

STEPHEN
KING



DALLAS '63

Prószyński i S-ka

STEPHEN KING

DALLAS '63

Przełożył Tomasz Wilusz

Prószyński i S-ka



SPIS TREŚCI

CZEŚĆ I MOMENT PRZEŁOMOWY	9
CZEŚĆ II OJCIEC WOŹNEGO	81
CZEŚĆ III ŻYCIE W PRZESZŁOŚCI	183
CZEŚĆ IV SADIE I GENERAL	289
CZEŚĆ V 22 listopada 1963	477
CZEŚĆ VI CZŁOWIEK Z ZIELONĄ KARTKĄ	621

Zeldzie

Cześć, kochanie, witaj na imprezie.

Dla naszego rozumu praktycznie jest nieprzyswajalne, że mały, samotny człowiek powalił olbrzyma pośród jego limuzyn, jego legionów, jego tłumu i jego ochrony. Jeśli takie nic unicestwiło przywódcę najpotężniejszego państwa na ziemi, to otacza nas świat zaburzonych proporcji i żyjemy we wszechświecie absurdu.

Norman Mailer

Jeśli jest miłość, blizny po ospie są tak ładne jak dołki w policzkach.

przysłowie japońskie

Taniec to życie.

Nie można o mnie powiedzieć, że jestem skłonny do łez.

Moja eks oświadczyła, że mój „nieistniejący gradient emocjonalny” to główny powód, dla którego odchodzi (jakby facet, którego poznała na spotkaniach Anonimowych Alkoholików, nie miał nic do rzeczy). Powiedziała, że jeszcze może mi darować to, że nie płakałem na pogrzebie jej ojca; znałem go tylko sześć lat i nie mogłem rozumieć, jak był wspianały, hojny (przykład: mustang kabriolet w prezencie z okazji ukończenia szkoły średniej). Kiedy jednak nie płakałem na pogrzebach własnych rodziców - umarli w odstępie raptem dwóch lat, tata na raka żołądka, mama na nagły jak uderzenie pioruna atak serca podczas spaceru po florydzkiej plaży - zaczęła rozumieć, o co chodzi z tym nieistniejącym gradientem. „Nie byłem zdolny czuć własnych uczuć”, mówiąc żargonem AA.

- Nigdy nie widziałam, żebyś uronił choć jedną łzę - powiedziała tonem, jakiego używają ludzie, kiedy przedstawiają absolutny, ostateczny, nieodwołalny powód zerwania związku. - Nawet kiedy mi mówiłeś, że albo pójdę na odwyk, albo ty odejdziesz. - Ta rozmowa odbyła się jakieś sześć tygodni przed tym, jak Christy spakowała swoje rzeczy, zawiozła je na drugi koniec miasta i wprowadziła się do Mela Thompsona. „Chłopak poznaje dziewczynę u Anonimowych Alkoholików” - to następne powiedzenie, jakie mają na tych spotkaniach.

Nie płakałem, kiedy się z nią żegnałem. Nie płakałem też, kiedy wszedłem z powrotem do małego domu z ogromną hipoteką. Domu, w którym nigdy nie pojawiło się dziecko i już się nie pojawi. Położyłem się na łóżku, które teraz należało wyłącznie do mnie, zakryłem oczy ramieniem i rozpacziałem.

Bez łez.

Nie jestem jednak emocjonalnie zablokowany. Co do tego Christy się myliła. Pewnego dnia, miałem wtedy jedenaście lat, matka czekała na mnie przed drzwiami, kiedy wróciłem ze szkoły. Powiedziała mi, że mój piesek, Rags, wpadł pod samochód, który nawet nie raczył się zatrzymać. Nie płakałem, kiedy go pochowaliśmy, choć tata zapewnił, że to nie przyniesie mi ujmę, ale płakałem, kiedy mi to powiedziała. Po części dlatego, że był to mój pierwszy kontakt ze śmiercią; a głównie przez to, że moim obowiązkiem było dopilnować, by

Rags był bezpiecznie zamknięty na naszym podwórku.

I płakałem, kiedy zadzwonił lekarz mamy i powiadomił mnie, co się stało tamtego dnia na plaży. „Przykro mi, ale nie było żadnych szans - powiedział. - Czasem dzieje się to zupełnie nagle, lekarze zwykle uważają to za szczęście w nieszczęściu”.

Christy przy tym nie było - tego dnia musiała zostać dłużej w szkole i spotkać się z matką, która miała jakieś pytania w związku z ocenami syna - ale ja płakałem, a jakże. Poszedłem do naszej małej pralni i płakałem w brudne prześcieradło wyjęte z kosza. Niedługo, ale łzy popłynęły. Później mogłem jej o tym powiedzieć, lecz nie widziałem w tym sensu, bo raz, pomyślałaby, że łaknę współczucia (tego sformułowania Anonimowi Alkoholicy nie używają, a może powinni), i dwa, nie sądzę, by umiejętność zalewania się łzami na zawołanie powinna być warunkiem udanego małżeństwa.

Teraz, kiedy o tym myślę, to nie widziałem, by mój tata kiedykolwiek płakał; w największych emocjach dobywał z siebie co najwyżej ciężkie westchnienie albo kilka niechętnych burknięć udających śmiech - William Epping nie walił się w piersi ani nie zrywał boków, co to, to nie. Był typem małowównego twardziela, a matka w gruncie rzeczy była taka sama. Może te kłopoty z płaczem to sprawa genetyczna. Ale zablokowany? Niezdolny czuć własnych uczuć? Nie, taki nie byłem nigdy.

Poza chwilą, w której dostałem wiadomość o mamie, pamiętam jeszcze tylko jedną okazję, kiedy płakałem jako dorosły, a było to przy czytaniu historii ojca woźnego. Siedziałem sam w pokoju nauczycielskim Lisbon High School i przekopywałem się przez stertę wypracowań, które spłodziła moja grupa z angielskiego dla dorosłych. W głębi korytarza słyszałem zgłuszone dudnienie piłek do koszykówki, ryk syreny ogłaszającej czas dla trenera i krzyki kibiców towarzyszące zmaganiom sportowych bestii: Chartów Lisbon i Tygrysów Jay.

Któż może wiedzieć, kiedy życie stanie na rozdrożu i dlaczego?

Zadałem temat „Dzień, który odmienił moje życie”. Odpowiedzi, choć najczęściej z serca płynące, były w większości ciężkostrawne: sentymentalne opowieści o dobrej cioci, która przyjęła pod swój dach nastolatkę w ciąży, o kumplu z wojska, który pokazał, czym jest prawdziwe męstwo, o przypadkowym spotkaniu z kimś sławnym (zdaje się, że chodziło o Alexa Trebeka z teleturnieju „Jeopardy”, choć mógł to być Karl Malden). Ci z was, którzy są nauczycielami i dla dodatkowych trzech czy czterech tysięcy rocznie prowadzą kursy przygotowujące do zaocznej matury, wiedzą, jak zniechęcające jest czytanie takich wypracowań. O obiektywnej ocenie właściwie nie ma mowy, a przynajmniej nie było dla mnie; zaliczałem wszystkim, bo nigdy nie miałem dorosłego ucznia, który nie wypruwał z

siebie żył. Jeśli oddawałeś pracę, w której napisałeś cokolwiek, miałeś zagwarantowane, że Jake Epping, nauczyciel angielskiego w LHS, postawi haczyk przy twoim nazwisku, a jeśli jeszcze tekst podzielony był na prawdziwe akapity, dostawałeś co najmniej cztery minus.

Robota była ciężka dlatego, że czerwony długopis stał się moim podstawowym narzędziem dydaktycznym zamiast moich ust i zużyłem go praktycznie do cna. Była też dołująca, bo wiedziałem, że praktycznie nic z tej edukacji czerwonym długopisem nie zostanie ludziom w pamięci; jeżeli ktoś w wieku trzydziestu lat nie zna podstawowych reguł gramatyki (poszedłem, nie poszłem), nie wie, kiedy używać wielkich liter (Biały Dom, nie biały-dom), ani nie potrafi sklecić zdania zawierającego rzeczownik i czasownik, to pewnie już się tego nie nauczy. Mimo to nie ustajemy w bojach i mężnie zaznaczamy niewłaściwie użyte słowo w zdaniach typu „Mąż mój był zbyt skory do tego, żeby mnie oceniać” bądź przekreślamy „żem” i dopisujemy końcówkę czasownika w zdaniu „I od tej pory żem często wypływał aż do boi”.

Taką właśnie beznadziejną, żmudną pańszczyznę odwaląłem tamtego wieczoru, podczas gdy niedaleko kolejny mecz szkolnej ligi koszykarskiej zbliżał się do kolejnej końcowej syreny, na wieki wieków, amen. Christy była wtedy świeżo po odwyku i przypuszczam, że jeśli o czymkolwiek wówczas myślałem, musiało to mieć związek z nadzieją, że wrócę do domu i zastanę ją trzeźwą (tak też się stało; łatwiej jej było zachować trzeźwość niż męża). Pamiętam, że pobolewała mnie głowa i pocierałem skronie, tak jak to się robi, kiedy chce się zapobiec przejściu lekkiego, dokuczliwego ćmienia w potężną migrenę. Pamiętam, że myślałem: Trzy, jeszcze tylko trzy prace i będę mógł wyjść. Wrócę do domu, zrobię sobie duży kubek kawy rozpuszczalnej i zanurzę się w nowej powieści Johna Irvinga bez tych szczerych, ale nieskładnych wypocin wiszących mi nad głową.

Nie było dźwięku skrzypiec ani dzwonka alarmowego, kiedy zdjąłem pracę woźnego z wierzchu sterty i położyłem przed sobą, żadnego poczucia, że ta chwila odmieni życie nie tylko mojej skromnej osoby, ale i wszystkich ludzi na świecie. Ale takich rzeczy się nie wie, prawda? Życie zmienia się w mgnieniu oka.

Pisał tanim tuszem długopisowym, który miejscami zaplamiał wszystkie pięć stron i niechybnie pobrudził mu palce. Miał kulfoniasty, ale czytelny charakter pisma i musiał mocno naciskać długopis, bo słowa wręcz wryły się na kartkach z taniego zeszytu; gdybym zamknął oczy i wodził palcami po ich odwrotach, to byłoby tak, jakbym czytał Braille'a. Na końcu każdego małego „y” był lekki zawijas, jakby ozdobnik. To pamiętam szczególnie wyraźnie.

Pamiętam też początek jego wypracowania. Słowo w słowo. Pewnie, że tak. Dzień,

który odmienił życie Harry'ego Dunninga, odmienił także moje własne.

To nie był dzień, tylko noc. Noc, która odmieniła moje życie, to była noc, kiedy ojciec zabił mamę moją i dwóch braci, a mnie pobił. Moją siostrę też pobił, tak bardzo, że była w śpiączce. Trzy lata się nie budziła i w końcu umarła. Na imię jej było Ellen i bardzo ją kochałem. Lubiała zrywać kwiatki i wkładać je w wazon.

W połowie pierwszej strony zaczęły mnie piec oczy i odłożyłem mój wierny czerwony długopis. To wtedy, gdy doszedłem do momentu, kiedy wczółgał się pod łóżko z krwią zalewającą oczy (*ściekała mi też w gardło i okropnie smakowała*), rozplakałem się - ależ Christy byłaby dumna. Doczytałem do samego końca bez postawienia choćby jednego znaczka, ocierając oczy, żeby łzy nie kapwały na stronicę, które w oczywisty sposób kosztowały go tak wiele wysiłku. Czy sądziłem, że był mniej lotny od pozostałych, że stał może pół szczebla nad tymi, o których się kiedyś mówiło „upośledzeni zdolni do nauki”? Cóż, na Boga, miało to swoją przyczynę, nieprawdaż? Podobnie jak to, że kulał. Cud, że w ogóle żył. A jednak. Miły człowiek, który zawsze się uśmiechał i nigdy nie podnosił głosu na dzieci. Miły człowiek, który przeszedł piekło, a teraz pracował - pokornie i z nadzieją, jak oni wszyscy - nad tym, żeby zrobić maturę. Mimo że miał do końca życia pozostać woźnym, zwykłym facetem w zielonym lub brązowym uniformie, który zamiatął korytarze i zeszkrobywał gumy do żucia z podłogi szpachlą (zawsze ją nosił w tylnej kieszeni). Może niegdyś mógł zostać kimś innym, ale pewnej nocy jego życie zmieniło się w mgnieniu oka i dziś był tylko facetem w stroju roboczym, na którego dzieciaki wołały „Harry Kic-Żabka”, bo tak śmiesznie chodził.

Dlatego płakałem. Niedługo, ale to były prawdziwe łzy, płynące prosto z serca. W głębi korytarza słyszałem, jak orkiestra szkolna zaczyna grać pieśń zwycięstwa - a zatem nasi wygrali, chwała im. Później Harry i para jego współpracowników złożą trybuny i pozamiatają wrzucone pod nie śmieci.

Wykreśliłem nad jego pracą wielkie czerwone 5. Patrzyłem na nie dłuższą chwilę, po czym dodałem wielki czerwony +. Dlatego, że praca była dobra, i dlatego, że jego ból wywołał emocjonalną reakcję we mnie, jego czytelniku. A czy nie to właśnie powinna robić proza godna piątki z plusem? Wywoływać reakcję?

Co do mnie, żałuję tylko, że była Christy Epping nie miała racji. Żałuję, że jednak nie byłem emocjonalnie zablokowany. Bo wszystko, co nastąpiło potem - każde koszarne zdarzenie - wzięło się z tych łez.

CZEŚĆ I

MOMENT PRZEŁOMOWY

ROZDZIAŁ 1

1

Harry Dunning zdał celująco. Na jego zaproszenie poszedłem na skromną uroczystość rozdania świadectw maturalnych w sali gimnastycznej Lisbon High School. Naprawdę nie miał nikogo innego i zrobiłem to z przyjemnością.

Po błogosławieństwie (udzielonym przez ojca Bandy'ego, który nie opuszczał prawie żadnej uroczystości w LHS) przecisnąłem się przez rojowisko krewnych i znajomych w miejsce, gdzie Harry stał samotnie w swojej wydymającej się czarnej todze, z dyplomem w jednej ręce i wypożyczonym biretem w drugiej. Wziąłem od niego czapkę, żeby móc uściskać mu dłoń. Uśmiechnął się szeroko, obnażając uzębienie z licznymi ubytkami i kilkoma krzywulcami. Ale uśmiech był promienny i ujmujący.

- Dziękuję, że pan przyszedł, panie Epping. Bardzo dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. I mów mi Jake. To przywilej, który przyznaję każdemu uczniowi w takim wieku, że mógłby być moim ojcem.

Przez chwilę miał zdziwioną minę, po czym parsknął śmiechem.

- Ano rzeczywiście mógłbym, nie? Kurczę!

Też się zaśmiałem. Wielu ludzi śmiało się wokół nas. Oczywiście, były i łzy. Co dla mnie jest trudne, całej masie ludzi przychodzi z łatwością.

- I ta piątka z plusem! Kurczę! - cieszył się Harry. - W życiu nie dostałem piątki z plusem! I nie spodziewałem się dostać!

- Zasłużyłeś, Harry. To jak, dokąd skierujesz swoje pierwsze kroki jako absolwent szkoły średniej?

Na chwilę przestał się uśmiechać - nie wybiegł myślami tak daleko naprzód.

- Pewnie do domu. Wynajmuję taki mały domek na Goddard Street, wie pan. - Podniósł dyplom, trzymając go ostrożnie w czubkach palców, jakby bał się, że rozmaże tusz. - A to oprawię i powieszę na ścianie. Potem naleję se lampkę wina, siądę na kanapie i będę to podziwiał do nocy.

- Dobry plan - powiedziałem - ale może najpierw dałbyś się zaprosić na hamburgera z frytkami? Moglibyśmy pójść do Ala.

Spodziewałem się, że się skrzywi, ale oczywiście sądziłem Harry'ego według moich kolegów pedagogów lub większości naszych uczniów - unikali knajpy Ala jak zarazy i chodzili albo do Dairy Queen naprzeciwko szkoły, albo do Hi-Hat przy drodze 196, niedaleko miejsca, gdzie kiedyś było kino samochodowe.

- Byłoby super, panie Epping. Dzięki!

- Jake, pamiętasz?

- Jake, jasne.

Zabrałem więc Harry'ego do baru Ala - z całego grona pedagogicznego ja jeden byłem tam stałym klientem - i Al, choć tego lata nawet zatrudnił kelnerkę, obsłużył nas osobiście. Jak zwykle, w kąciku jego ust tlił się papieros (niedozwolone w punktach gastronomicznych, to jednak Ala nigdy nie powstrzymało) i oko po tej stronie było przymrużone od dymu. Kiedy zobaczył złożoną togę absolwenta szkoły średniej i zdał sobie sprawę, jaka to okazja, uparł się, że cały rachunek bierze na siebie (jeśli rachunek to nie za duże słowo; jedzenie u Ala zawsze było zadziwiająco tanie, co dało początek plotkom na temat losu pewnych bezdomnych zwierząt w okolicy). Zrobił nam też zdjęcie, które potem wywiesił na, jak to nazywał, Miejskiej Ścianie Sławy. Wśród innych reprezentowanych tam „sław” byli świętej pamięci Albert Dunton, założyciel zakładu jubilerskiego Dunton Jewelry; Earl Higgins, były dyrektor LHS; John Crafts, założyciel komisju John Crafts Auto Sales; i, oczywiście, ojciec Bandy od Świętego Cyryla. (Ojciec był w parze z papieżem Janem XXIII - ten ostatni nietutejszy, ale wielbiony przez Ala Templetona, który nazywał samego siebie „dobrym katolem”). Zdjęcie, które Al zrobił tamtego dnia, pokazuje Harry'ego Dunninga z szerokim uśmiechem na twarzy. Ja stałem obok i razem trzymaliśmy jego dyplom. Harry miał lekko przekrzywiony krawat. Pamiętam to, bo skojarzył mi się z tym zawijasem, który robił na końcu małego „y”. Pamiętam to wszystko. Pamiętam doskonale.

2

Dwa lata później, w ostatnim dniu roku szkolnego, siedziałem w tym samym pokoju nauczycielskim i czytałem prace końcowe słuchaczy mojego seminarium z poezji amerykańskiej dla wybitnie zdolnych uczniów. Dzieciaki już wyszły, uwolnione na kolejne wakacje, ja wkrótce miałem zrobić to samo. Na razie jednak było mi dobrze tam, gdzie byłem, cieszyłem się niezwykłą ciszą. Pomyślałem, że przed wyjściem może nawet opróżnię szafkę z przekąskami. Ktoś powinien, stwierdziłem.

Wcześniej tego dnia Harry Dunning przykuśtykał do mnie po godzinie wychowawczej

(która była wyjątkowo rozjazgotana, jak każda lekcja wychowawcza i godzina nauki własnej w ostatnim dniu szkoły) i podał mi rękę.

- Chcę tylko podziękować za wszystko - powiedział.

Uśmiechnąłem się szeroko.

- O ile pamiętam, już to zrobiłeś.

- Tak, ale dziś mój ostatni dzień. Idę na emeryturę. Dlatego koniecznie chciałem jeszcze raz panu podziękować.

Kiedy uścisnąłem mu dłoń, przemykający obok dzieciak - druga klasa, nie starszy, sądząc po świeżym wysypie pryszczu i seriokomicznej kępcie na podbródku, która aspirowała do miana koziej bródki - mruknął:

- Harry Kic-Żabka po u-licy ki-ca.

Chciałem go złapać i zmusić, żeby przeprosił, ale Harry mnie powstrzymał. Jego uśmiech był swobodny, bez cienia urazy.

- Nie, nie ma co. Przywykłem. To tylko dzieci.

- To prawda - powiedziałem. - I naszym obowiązkiem jest je uczyć.

- Wiem, i dobrze to panu wychodzi. Ale moim obowiązkiem nie jest robić za... jak to się nazywa... lekcję pogładową. Zwłaszcza nie dzisiaj. Niech pan dba o siebie, panie Epping. - Może i był w takim wieku, że mógł być moim ojcem, ale najwyraźniej „Jake” nigdy nie przejdzie mu przez usta.

- Ty też, Harry.

- Nigdy nie zapomnę tej piątki z plusem. Ją też opawiłem. Powiesiłem obok dyplomu.

- I bardzo dobrze.

Tak było. Jego wypracowanie stanowiło dzieło sztuki naiwnej, ale pod każdym względem przejmujące i prawdziwe jak obrazy Grandma Moses. Na pewno przewyższało teksty, które czytałem w tej chwili. Ortografia w wypracowaniach wzorowych uczniów była przeważnie bez zarzutu, język przejrzysty (choć moi ostrożni, nieskłonnici do ryzyka przyszli studenci mieli irytującą tendencję do nadużywania strony biernej), ale styl bezbarwny. Nudny. Moi uczniowie byli z trzeciej klasy - tych z czwartej Mac Steadman, mój szef, przyznał sobie - ale pisali jak staruszkowie i staruszki, usta w ciup i „ojej, uważaj, Mildred, tam ślisko”. Mimo swoich gramatycznych potknięć i kulfoniastych liter, Harry Dunning pisał jak bohater. Przynajmniej ten jeden raz.

Kiedy tak snułem rozważania nad różnicą między prozą ofensywną a defensywną, interkom na ścianie odchrząknął.

- Czy pan Epping jest w pokoju nauczycielskim w zachodnim skrzydle? Jesteś tam

jeszcze, Jake?

Wstałem, pstryknąłem przełącznik kciukiem.

- Jeszcze jestem, Gloria. Za moje grzechy. Czym mogę służyć?

- Telefon do ciebie. Dzwoni jakiś facet... Al Templeton? Mogę cię połączyć, jak chcesz. Albo powiedzić mu, że już wyszedłeś.

Al Templeton, właściciel i kierownik baru Al's Diner, który omijało z daleka całe grono pedagogiczne LHS z wyjątkiem niżej podpisanego. Nawet czcigodny szef mojego wydziału - który usiłował mówić jak profesor Cambridge i zbliżał się do emerytury - publicznie nazywał specjalność zakładu „Słynnym Miauburgerem Ala”, zamiast „Słynnym Mniamburgerem Ala”.

„Cóż, jasne, że to tak naprawdę nie z kota - mawiali ludzie - czy raczej prawdopodobnie nie z kota, ale to nie może być wołowina, nie za dolara dziewiętnaście. W McDonaldzie za tyle nie dostanie się nawet podwójnego cheeseburgera”.

- Jake? Zasnąłeś mi tam?

- Nie, jestem zwarty i gotowy. - Byłem też ciekaw, czemu Al dzwoni do mnie do szkoły. Ba, czemu w ogóle do mnie dzwoni. Nigdy nie łączyło nas nic poza zwykłą znajomością kucharza z klientem. Ja ceniłem sobie jego żarcie, on cenił sobie stałe przychody, jakie mu zapewniałem. - Dawaj go.

- Właściwie co tu jeszcze robisz?

- Biczuję się.

- Uuu! - Mogłem sobie wyobrazić, jak Gloria trzepocze długimi rzęsami. - Uwielbiam, kiedy świntuszysz. Czekać, aż ci tam dzyńnie.

Rozłączyła się. Telefon wewnętrzny zadzwonił i podniosłem słuchawkę.

- Jake? Jesteś tam, stary?

W pierwszej chwili pomyślałem, że Gloria źle usłyszała imię. To nie mógł być głos Ala. Nawet najgorsze przeziębienie na świecie nie mogłoby spowodować takiej chrypy.

- Kto mówi?

- Al Templeton, nie powiedziała ci? Chryste, ta muzyczka podczas czekania na połączenie jest beznadziejna. Co oni, nie słyszeli o Connie Francis? - Zaniósł się kaszlem tak głośnym, że nieco odsunąłem słuchawkę od ucha.

- Dopadła cię grypa?

Zaśmiał się. Jednocześnie kaszłał dalej. Połączenie jednego z drugim było dość makabryczne.

- Coś mnie dopadło, to fakt.

- Musiało cię szybko rozłożyć. - Byłem u niego raptem wczoraj, na wczesnej kolacji. Mniamburger, frytki i truskawkowy shake. Uważam, że facet, który mieszka sam, powinien jeść produkty ze wszystkich najważniejszych grup pokarmowych.

- Można tak powiedzieć. Można też powiedzieć, że trochę to trwało. Jedno i drugie byłoby zgodne z prawdą.

Nie wiedziałem, jak na to zareagować. Przez te sześć czy siedem lat, kiedy chodziłem do Ala, owszem, bywał dziwny - na przykład z uporem nazywał New England Patriots „Boston Patriots” i mówił o Tedzie Williamsie, jakby znał go jak brata - ale drugiej tak osobliwej rozmowy jak ta nie pamiętałem.

- Jake, muszę się z tobą zobaczyć. To ważne.

- Mogę spytać...

- Spodziewam się, że będziesz miał masę pytań, a ja na nie odpowiem, ale nie przez telefon.

Nie wiedziałem, ile odpowiedzi będzie w stanie dać, zanim głos mu wysiadzie, ale obiecałem, że przyjdę za jakąś godzinę.

- Dzięki. Nawet wcześniej, gdybyś mógł. Jak to mówią, każda chwila jest cenna. - I odłożył słuchawkę, ot tak, bez pożegnania.

Przebrnąłem przez jeszcze dwa wypracowania i na kupce zostały już tylko cztery, ale uznałem, że nic z tego nie będzie. Wypadłem z rytmu. Wrzuciłem je więc do teczki i wyszedłem. Przemknęło mi przez myśl, żeby pójść na górę, do sekretariatu, i życzyć Glorii udanych wakacji, ale machnąłem na to ręką. Będzie tu przez cały najbliższy tydzień, zajęta zamykaniem kolejnego roku szkolnego, a ja przyjdę w poniedziałek opróżnić szafkę z przekąskami - obiecałem to sobie. W przeciwnym razie nauczyciele szkoły letniej, którzy będą korzystali z pokoju nauczycielskiego w zachodnim skrzydle, zastaną ją pełną robactwa.

Gdybym wiedział, co przyniesie przyszłość, na pewno poszedłbym do niej. Może nawet dałbym jej całusa, który wisiał w powietrzu między nami od paru miesięcy. Ale oczywiście nie wiedziałem. Życie zmienia się w mgnieniu oka.

3

Al's Diner mieścił się w srebrnej przyczepie barowej po drugiej stronie torów, patrząc od Main Street, w cieniu starych zakładów tkackich Worumbo. Takie miejsca czasem wyglądają obskurnie, Al jednak zasłonił betonowe bloki, na których stał jego lokal, ślicznymi grządkami kwiatów. Był nawet zadbany kwadrat trawnika, który osobiście strzygł starą

ręczną kosiarką do trawy. Kosiarka była tak starannie utrzymana jak kwiaty i trawnik; ani śladu rdzy na wirujących, jaskrawo pomalowanych ostrzach. Można by pomyśleć, że kupił ją przed tygodniem w miejscowym sklepie Western Auto... oczywiście gdyby w Falls jeszcze był sklep Western Auto. Kiedyś był, ale na przełomie wieków padł ofiarą wielkich, kłocowatych hipermarketów.

Podszedłem chodnikiem do baru, wdrapałem się na schody i znieruchomiałem ze zmarszczonym czołem. Tabliczka WITAJCIE WAL'S DINER, DOMU MNIAMBURGERA! zniknęła. Zastąpił ją kwadratowy kawałek tektury z napisem ZAMKNIĘTE NIEODWOŁALNIE Z POWODU CHOROBY. DZIĘKUJĘ WSZYSTKIM KLIENTOM. NIECH BÓG WAS BŁOGOSŁAWI.

Nie wszedłem jeszcze w mgłę nierzeczywistości, która wkrótce miała mnie wchłonąć, ale jej pierwsze macki mnie oplatały, czułem to. To nie letnie przeziębienie spowodowało chrypę, którą słyszałem w głosie Ala, i jego chrapliwy kaszel. Ani nie grypa. Sądząc z tej tabliczki, to było coś poważniejszego. Ale jaka poważna choroba rozwija się w dwadzieścia cztery godziny? Nawet szybciej. Poprzedniego wieczoru wyszedłem od Ala za piętnaście szosta i wtedy czuł się dobrze. Ba, był wręcz nadmiernie pobudzony. Pamiętam, że spytałem, czy aby nie wypił za dużo swojej kawy, a on powiedział, że nie, po prostu myśli, czy nie wziąć urlopu. Czy ludzie, których bierze choroba - dość ciężka, by skłonić ich do zamknięcia lokali, które samodzielnie prowadzili przez ponad dwadzieścia lat - mówią o urlopie? Może niektórzy, ale zapewne niewielu.

Drzwi się otworzyły, kiedy sięgnąłem do klamki, i stanął w nich Al. Patrzył na mnie bez uśmiechu. Poczułem, że ta mgła nierzeczywistości gęstnieje wokół mnie. Dzień był ciepły, ale mgła była zimna. W tym momencie wciąż jeszcze mogłem odwrócić się i z niej wyjść, z powrotem w czerwcowe słońce, i po trosze miałem ochotę to zrobić. Głównie jednak zamarłem ze zdumienia i zgrozy. I przerażenia, w sumie mogę to przyznać. Dlatego, że ciężka choroba nas przeraża, a Al był ciężko chory. Poznałem to na pierwszy rzut oka. Zapewne więcej niż ciężko - śmiertelnie.

Nie chodziło tylko o to, że jego zazwyczaj rumiane policzki stały się obwisłe, ziemiste. Nie chodziło o ropną wydzielinę powlekającą jego niebieskie oczy, które teraz wydawały się wyblakłe i krótkowzroczne. Nie chodziło nawet o jego włosy, wcześniej prawie całe czarne, teraz prawie całe białe - ostatecznie mógł stosować któryś z tych upiększających preparatów, a pod wpływem nagłego impulsu zmyć go szamponem i wrócić do naturalnego wyglądu.

Niemożliwe w tym wszystkim było to, że w ciągu dwudziestu dwóch godzin od czasu,

kiedy go ostatnio widziałem, Al Templeton na oko stracił co najmniej piętnaście kilogramów wagi. Może nawet dwadzieścia, co stanowiłoby jedną czwartą jego dotychczasowej masy. Nikt tak nie chudnie w niecały dzień. Nikt. A ja widziałem takie zjawisko na własne oczy. I myślę, że w tym momencie ta mgła nierzeczywistości całkowicie mnie wchłonęła.

Al uśmiechnął się i zobaczyłem, że stracił nie tylko funty, ale i zęby. Jego dziąsła były blade, wyglądały niezdrowo.

- Jak ci się podobam nowy ja, Jake? - I rozkaszał się serią chrapliwych, rzęzących dźwięków wydzierających się z głębi piersi.

Otworzyłem usta. Nie wyszły z nich żadne słowa. W jakiejś tchórzliwej, zdjętej obrzydzeniem części mojego umysłu znów zrodziła się myśl o ucieczce, ale nawet gdyby ta część mną rządziła, nie mógłbym tego zrobić. Nogi wrosły mi w ziemię.

Al opanował kaszel i z tylnej kieszeni wyjął chusteczkę. Otarł nią najpierw usta, potem wnętrze dłoni. Zanim ją schował, zobaczyłem na niej czerwone plamy.

- Wejdz - rzekł ochryple. - Mam dużo do powiedzenia i myślę, że ty jeden możesz mnie wysłuchać. Wysłuchasz mnie?

- Al... - Mój głos był tak cichy i słaby, że sam ledwo go słyszałem. - Co ci się stało?

- Wysłuchasz mnie?

- Oczywiście.

- Będziesz miał pytania, a ja odpowiem na każde, na które będę mógł, ale staraj się je ograniczyć do minimum. Głos mi wysiada. Kurde, siły mi wsiadają. No już, wchodź.

Wszedłem. W barze było ciemno, chłodno i pusto. Kontuar wypucowany, bez choćby jednego okruszka; lśniący chrom na stołkach; termos z kawą wypolerowany na wysoki połysk; tabliczka JEŚLI NIE PODOBA CI SIĘ NASZE MIASTO, ROZEJRZYJ SIĘ ZA ROZKŁADEM JAZDY na swoim zwykłym miejscu przy kasie Sweda. Brakowało tylko klientów.

No i kucharza, a zarazem właściciela, oczywiście. Miejsce Ala Templetona zajął stary, chory duch. Kiedy opuścił rygiel, zamykając nas w środku, towarzyszący temu zgrzyt był bardzo głośny.

4

- Rak płuc - powiedział beznamiętnie, kiedy usiedliśmy w boksie na końcu baru. Poklepał kieszeń koszuli i zobaczyłem, że jest pusta. Nieodłączna paczka cameli bez filtra zniknęła. - Żadna niespodzianka. Zacząłem, kiedy miałem jedenaście lat, i paliłem aż do dnia,

kiedy postawili diagnozę. Przeszło pięćdziesiąt cholernych lat. Trzy paczki dziennie, dopóki cena nie podskoczyła w 2007. Wtedy się poświęciłem i zszedłem do dwóch. - Parsknął rzeżącym śmiechem.

Pomyślałem, czy mu nie powiedzieć, że musiał pomylić się w obliczeniach, bo znałem jego prawdziwy wiek. Kiedy któregoś dnia późną zimą przyszedłem i spytałem, czemu pracuje przy grillu w dziecięcej czapce urodzinowej, powiedział: „Bo dziś kończę pięćdziesiąt siedem lat, przyjacielu. Pięćdziesiąt siedem, tyle co w reklamie ma Heinz do zaoferowania. Czyli możesz mi mówić Heinz?”. Prosił jednak, żebym nie zadawał pytań, jeśli to nie będzie absolutnie konieczne, i uznałem, że obejmuje to też wtrącanie się czy poprawianie go.

- Gdybym był na twoim miejscu... a chciałbym, choć za nic w świecie nie życzę ci tego, żebyś ty był na moim, nie w moim obecnym stanie... myślałbym: Coś tu nie gra, nikt nie łapie zaawansowanego raka w jedną noc. Mam z grubsza rację?

Skinąłem głową. Miał całkowitą rację.

- Odpowiedź jest banalnie prosta. To się nie stało w jedną noc. Zacząłem wypluwać płuca jakieś siedem miesięcy temu, w maju.

To była dla mnie nowina; jeśli rzeczywiście kaszłał, to nie przy mnie. Poza tym znowu się rąbnął w obliczeniach.

- Al, co ty opowiadasz? Jest czerwiec. Siedem miesięcy temu był grudzień.

Machnął na mnie ręką - palce miał chude, sygnet marines, dawniej pasujący jak ulał, teraz wisiał luźno na jednym z nich - jakby chciał powiedzieć: Na razie to olej, po prostu to olej.

- Z początku myślałem, że to przeziębienie, może grypa azjatycka, dużo ludzi to łapało. Ale nie miałem gorączki, a kaszel, zamiast przechodzić, był coraz gorszy. Potem zacząłem chudnąć. Cóż, głupi nie jestem, przyjacielu, zawsze liczyłem się z tym, że mogę dostać choroby na R... choć mój ojciec i matka kurzyli jak kominy i dożyli osiemdziesiątki. Zawsze znajdziemy wymówkę, żeby trzymać się złych nawyków, co?

Znów zaczął kaszleć i wyjął chusteczkę.

- Nie mogę zbaczać z tematu - powiedział, kiedy atak minął - ale robię to całe życie i trudno się odzwyczaić. Trudniej niż rzucić palenie, szczerze mówiąc. Kiedy znowu zacznę tracić wątek, daj znak, przejeżdż palcem po gardle czy coś, dobrze?

- Jasne - zgodziłem się bez większego oporu. Wtedy już myślałem, że to wszystko mi się śni. Jeśli tak, był to nadzwyczaj wyrazisty sen, z takimi szczegółami jak cienie rzucone przez obracający się pod sufitem wentylator, które przesuwają po rozłożonych na stolikach podkładkach z napisem NASZYM NAJWIĘKSZYM SKARBEM JESTEŚ TY!

- W telegraficznym skrócie, poszedłem do lekarza, zrobili mi prześwietlenie, no i były tam, wielkie jak skurczybyk. Dwa guzy. Zaawansowana martwica. Nie do zoperowania.

Prześwietlenie, pomyślałem - to jeszcze się tego używa do diagnozowania raka?

- Jakiś czas wytrzymałem, ale w końcu musiałem wrócić.

- Skąd? Z Lewiston? Ze szpitala stanowego?

- Z wakacji. - Jego oczy patrzyły na mnie nieruchomym wzrokiem z ciemnych jam, w które się zapadały. - Tylko że to nie były wakacje.

- Al, nic a nic z tego nie rozumiem. Wczoraj byłeś tutaj i byłeś zdrowy.

- Przyjrzyj się uważnie mojej twarzy. Zacznij od włosów i powoli schodź w dół. Postaraj się zignorować to, co robi ze mną rak... piękności szkodzi na pewno... i potem powiedz mi, że jestem tym samym człowiekiem, którego widziałeś wczoraj.

- Cóż, oczywiście splukałeś farbę z włosów...

- W życiu ich nie farbowałem. Nie sądzę, żebym musiał zwracać twoją uwagę na zęby, które straciłem, kiedy byłem... tam. Wiem, że zauważyłeś ich brak. Myślisz, że to od rentgena? Albo strontu 90 w mleku? Nawet nie piję mleka, nie licząc kropelki, którą dodaję do ostatniej kawy przed snem.

- Jakiego strontu?

- Nieważne. Nawiąż kontakt ze swoją, jak jej tam, kobiecą stroną. Spójrz na mnie tak, jak kobiety patrzą na inne kobiety, kiedy szacują ich wiek.

Spróbowałem i choć tego, com zaobserwował, nie uznałby żaden sąd, mnie to przekonało. Z kącików jego oczu rozchodziły się pajęczyny zmarszczek, na powiekach miał drobne, delikatnie pofałdowane bruzdy; takie widzi się u ludzi, którzy nie muszą już okazywać w kasie multipleksu Karty Seniora. Rowki w skórze, których nie było wczoraj wieczorem, dziś kreśliły sinusoidy na czole Ala. Dwie zmarszczki - dużo głębsze - okalały jego usta z boków, jakby ujmując je w nawias. Podbródek mu się wyostrzył, skóra szyi stała się obwisła. Ostry podbródek i gardło jak indycze korale mogły być skutkiem gwałtownej utraty wagi, ale te zmarszczki... i jeśli nie kłamał na temat swoich włosów...

Uśmiechał się lekko. To był ponury uśmiech, ale niepozbawiony humoru. Co w pewien sposób pogarszało sytuację.

- Pamiętasz moje urodziny w marcu? „Nie bój się, Al - powiedziałeś - jeśli ta durna czapka urodzinowa się zapali, kiedy będziesz stał nad grillem, wezmę gaśnicę i cię ugaszę”. Pamiętasz to?

Pamiętałem.

- Chciałeś, żebym mówił ci Heinz.

- No właśnie. A teraz mam sześćdziesiąt dwa lata. Wiem, że przez raka wyglądam jeszcze starzej, ale to... i to... - Dotknął czoła, potem kącika oka. - To autentyczne tatuaże czasu. Odznaki honorowe, można powiedzieć.

- Al... mógłbym prosić szklanę wody?

- Oczywiście. Szok, prawda? - Spojrzał na mnie ze współczuciem. - Myślisz sobie: Albo zwariowałem, albo on zwariował, albo zwariowaliśmy obaj. Wiem. Też tak miałem.

Z wysiłkiem wydzwignął się z boks, wsuwając prawą dłoń pod lewą pachę, jakby usiłował się w ten sposób trzymać w jednym kawałku. Zaprowadził mnie za kontuar. Kiedy to zrobił, uderzył mnie jeszcze jeden szczegół tego nierzeczywistego spotkania: pomijając okazje, gdy siedziałem z nim w jednej ławie w kościele Świętego Cyryla (a tych okazji było niewiele; choć zostałem wychowany w wierze, katol ze mnie żaden) albo spotykałem go na ulicy, nigdy nie widziałem Ala bez kucharskiego fartucha.

Zdjął lśniącą szklanę i nalał mi wody z lśniącego chromem kranu. Podziękowałem mu i już miałem wrócić do boks, lecz klepnął mnie w ramię. Byłoby lepiej, gdyby tego nie zrobił. To było tak, jakby zostać klepniętym przez Coleridge'owskiego Sędziwego Marynarza, który jednego zatrzymuje z trzech.

- Chcę, żebyś coś zobaczył, zanim znowu usiądziemy. Tak będzie szybciej. Chociaż „zobaczyć” to złe słowo. „Doświadczyć” jest dużo bliższe prawdy. Pij, przyjacielu.

Wypiłem pół szklanki. Woda była chłodna i smaczna, ale ani na chwilę nie spuszczałem go z oka. Tchórz we mnie się spodziewał, że lada moment zostanie zaatakowany, jak pierwsza niczego niepodjęta ofiara w jednym z tych filmów o siejących postrach szaleńcach, które przeważnie mają liczby w tytułach. Al jednak tylko stał oparty ręką o ladę. Jego dłoń była pomarszczona, z wydatnymi kłykciami. Nie wyglądała jak dłoń pięćdziesięcikilkuletniego człowieka, nawet chorego na raka i...

- To od promieniowania? - spytałem nagle.

- Co?

- Opalenizna. I te ciemne plamy na grzbiecie dłoni. Robią się od promieniowania albo nadmiaru słońca.

- Cóż, skoro nie przechodziłem radioterapii, zostaje tylko słońce. A przez ostatnie cztery lata miałem sporo okazji, żeby się opalić.

Z tego, co wiedziałem, Al przez ostatnie cztery lata głównie smażył hamburgery i robił shake'i w świetle jarzeniówek, ale tego nie powiedziałem. Dopilem wodę. Kiedy odstawiłem szklanę na blat z formiki, zauważyłem, że lekko drży mi ręka.

- No dobra, co chcesz, żebyś zobaczył? Albo czego doświadczył?

- Chodź.

Zaprowadził mnie w głąb długiej, wąskiej części kuchennej, za podwójny grill, frytkownice, zlew, lodówkę Frost-King i buczącą zamrażarkę, która sięgała mi do pasa. Zatrzymał się przed milczącą zmywarką i wskazał drzwi na drugim końcu kuchni. Były niskie; Al musiałby się schylić, żeby przez nie przejść, a miał może metr siedemdziesiąt. Ja mierzyłem metr dziewięćdziesiąt trzy - niektóre dzieciaki nazywały mnie „Helikopter” Epping.

- To tu - powiedział. - Za tymi drzwiami.

- To nie aby twoja spiżarnia? - Pytanie czysto retoryczne; przez lata widziałem, jak wynosił stamtąd puszki, worki z ziemniakami i produktami sypkimi.

Al zdawał się nie słyszeć.

- Wiedziałeś, że pierwotnie otworzyłem tę knajpę w Auburn?

- Nie.

Skinął głową i, jakby wskutek tego ruchu, dostał następnego napadu kaszlu. Stłumił go coraz bardziej makabrycznie wyglądającą chusteczką. Kiedy ten najnowszy atak powoli minął, Al wyrzucił chusteczkę do dogodnie ulokowanego kosza i wyszarpnął garść serwetek z podajnika na kontuarze.

- Przyczepa AluminAire, wyprodukowana w latach trzydziestych, art deco pełną gębą. Marzyłem o takiej, od kiedy tata zabrał mnie do Chat'N Chew w Bloomington, jak byłem mały. Kupiłem ją z pełnym wyposażeniem i otworzyłem bar na Pine Street. Stałem tam prawie rok i stwierdziłem, że jeśli zostanę, jeszcze rok i zbankrutuję. W okolicy było za dużo knajp szybkiej obsługi, niektóre dobre, inne niekoniecznie, wszystkie ze stałą klientelą. Ja byłem jak małolat świeżo po studiach prawniczych, który otwiera interes w mieście, gdzie urzęduje już tuzin wziętych papug. Poza tym w tamtych czasach Słynny Mniamburger Ala kosztował dwa pięćdziesiąt. Nawet w 1990 nie mogłem zejść niżej dwu i pół.

- To jakim cudem, u licha, teraz sprzedajesz go za mniej niż pół tej ceny? Czyżby rzeczywiście był z kota?

Prychnął; ten dźwięk zadudnił zaflegmionym echem w głębi jego piersi.

- Przyjacielu, to co sprzedaję, to stuprocentowo czysta amerykańska wołowina, najlepsza na świecie. Czy wiem, co ludzie gadają? Jasne. Wzruszam na to ramionami. Co innego można zrobić? Zakazać ludziom gadać? Równie dobrze można zakazać wiatrowi wiać.

Przejechałem palcem po gardle. Uśmiechnął się.

- Wiem, zbaczam z tematu, ale to akurat ma związek ze sprawą.

Zachęciłem go gestem, ale nie wiedziałem, na jak długo starczy mu sił.

- Mogłem dalej walić głową w mur na Pine Street, ale Yvonne Templeton nie wychowała synków na idiotów. „Lepiej uciec i zebrać siły do walki”, powtarzała nam, jak byliśmy mali. Wziąłem to, co zostało z kapitału, zbajerowałem bank, żeby pożyczył mi jeszcze pięć kawałków... nie pytaj jak... i przeprowadziłem się tutaj, do Falls. Interesy i tak nie szły za dobrze, bo sytuacja gospodarcza jest, jaka jest, i całe to głupie gadanie o Miauburgerach, Hauburgerach, Skunksburgerach czy co tam jeszcze ludzie wymyślali, też nie pomagało, okazało się jednak, że nie jestem już uzależniony od sytuacji gospodarczej jak inni. A wszystko dzięki temu, co jest za drzwiami tej spizarni. Nie było tego, kiedy otworzyłem lokal w Auburn, mogę przysiąc na stos Biblii. Pokazało się dopiero tutaj.

- O czym ty mówisz?

Spokojnie patrzył na mnie swoimi kaprawymi, nowo postarzałymi oczami.

- Na razie koniec rozmowy. Sam musisz to zobaczyć. No już, otwórz drzwi.

Spojrzałem na niego z powątpiewaniem.

- Potraktuj to jako ostatnią prośbę umierającego - powiedział. - No, przyjacielu. O ile jesteś moim przyjacielem, rzecz jasna. Otwórz te drzwi.

5

Skłamałbym, gdybym powiedział, że serce nie wskoczyło mi na wyższe obroty, kiedy przekręciłem gałkę i pociągnąłem drzwi do siebie. Nie miałem pojęcia, co zastanę w środku (choć mgliście pamiętam, że mignął mi przed oczami obraz martwych kotów, obdartych ze skóry i gotowych do przemienienia w elektrycznej maszynie), ale kiedy Al sięgnął za moje ramię do włącznika i zapalił światło, zobaczyłem...

Cóż, spizarnię.

Była mała, schludna jak reszta baru. Wzdłuż dwóch ścian ciągnęły się półki zastawione dużymi puszkami. Na drugim końcu pomieszczenia, gdzie dach wyginał się w dół, były środki czystości, choć miotła i mop musiały leżeć na płask, bo ta część klitki miała może półtora metra wysokości. Podłoga wyłożona była tym samym ciemnoszarym linoleum co sala barowa, ale zamiast słabej woni pieczonego mięsa wisiał w powietrzu aromat kawy, warzyw i przypraw. A oprócz tego inny zapach, słaby i niezbyt przyjemny.

- No dobra - powiedziałem. - To jest spizarnia. Wysprzątana i w pełni zaopatrzona. Masz piątkę z zarządzania zapasami, jeśli takie coś istnieje.

- Czym pachnie?

- Głównie przyprawami. Kawą. Może odświeżaczem powietrza. Nie jestem pewien.

- Uhm. Używam Glade. Bo pachnie tutaj czymś jeszcze. Mam rozumieć, że tego nie czujesz?

- Fakt, jest coś. Jakby siarka. Kojarzy mi się z zapachem spalonych zapalek. - Kojarzyło mi się też z gazami, jakie puszczałyśmy z rodziną po fasolce, którą mama robiła co sobota na kolację, ale nie chciałem tego powiedzieć. Czy od kuracji na raka się pierdzi?

- To jest siarka. I inne rzeczy, w tym ani odrobiny Chanel No. 5. To zapach fabryki, przyjacielu.

Następna dawka szaleństwa, ja jednak powiedziałem tylko (z absurdalną uprzejmością uczestnika cocktail party):

- Poważnie?

Znów się uśmiechnął, obnażając szczyrby, w których jeszcze wczoraj rosły zęby.

- Przez grzeczność nie chcesz powiedzieć, że zakłady Worumbo zamknęły w czasach, kiedy król Ćwieczek koszulę w zębach nosił. Że, co więcej, prawie w całości spłonęły pod koniec lat osiemdziesiątych i dziś na ich miejscu stoi... - wskazał kciukiem za ramię - ...tylko sklep fabryczny. Zwykła atrakcja turystyczna, jak Kennebec Fruit Company w czasie Festiwalu Moxie. Myślisz też sobie, że czas najwyższy złapać za komórkę i wezwać smutnych facetów w białych kitlach. Mam z grubsza rację, przyjacielu?

- Nikogo nie wezwę, bo nie zwariowałeś. - Wcale nie byłem tego taki pewny. - Ale to jest zwykła spizarka, a stare Worumbo od ćwierć wieku nie wyprodukowało ani jednej beli materiału.

- Nikogo nie wezwiesz, co do tego masz rację, bo chcę, żebyś oddał mi swoją komórkę, portfel i wszystkie pieniądze, które masz w kieszeniach, z drobnymi włącznie. To nie napad; wszystko odzyskasz. Zgoda?

- Jak długo to potrwa, Al? Bo mam jeszcze kilka prac do sprawdzenia, zanim na dobre zamknę dziennik z tego roku szkolnego.

- Potrwa tyle, ile będziesz chciał, bo zabierze ci to tylko dwie minuty. To zawsze zajmuje dwie minuty. Chcesz, to pochodź godzinę, rozejrzyj się, ale na twoim miejscu nie robiłbym tego, nie za pierwszym razem, bo to prawdziwy szok dla organizmu. Zobaczysz. Zaufasz mi w tej sprawie? - Coś, co zobaczył na mojej twarzy, sprawiło, że jego wargi ciałniej opięły niepełne uzębienie. - Proszę. Proszę, Jake. Prośba umierającego.

Byłem pewien, że zwariował, ale byłem równie pewien, że mówi prawdę o swojej chorobie. Miałem wrażenie, że w czasie naszej krótkiej rozmowy jego oczy zapadły się jeszcze głębiej w oczodoły. No i był wyczerpany. Dwanaście kroków od boksu na jednym

końcu baru do spizarni na drugim i już słańiał się na nogach. I ta zakrwawiona chusteczka, przypomniałem sobie. Nie zapominaj o zakrwawionej chusteczce.

Poza tym... czasem po prostu łatwiej ulec, nie sądzicie? „Odpuść sobie i dopuść Boga”, jak mawiają na spotkaniach, na które chadza moja była, ja zaś stwierdziłem, że w tym przypadku odpuszczę sobie i dopuszczę Ala. Przynajmniej do pewnego stopnia. A poza tym, powiedziałem sobie, w tych czasach większe korowody są ze wsiadaniem do samolotu. Al nawet nie prosi, żebym postawił buty na taśmociągu.

Odpiąłem telefon od paska i położyłem na pudle z puszkami tuńczyka. Dodałem do tego portfel, mały zwitek banknotów, jakieś półtora dolara drobnymi i pęk kluczy.

- Klucze sobie zostaw, nie mają znaczenia.

Cóż, dla mnie miały, ale trzymałem gębę na kłódkę.

Al sięgnął do kieszeni i wyjął plik banknotów znacznie grubszy od tego, który położyłem na pudle. Podał mi go.

- Na drobne wydatki. Gdybyś chciał sobie kupić pamiątkę albo coś. No już, bierz.

- Dlaczego nie mogę płacić własnymi? - Wydawało mi się, że to całkiem rozsądne pytanie. Jakby ta zwariowana rozmowa w ogóle miała sens.

- Na razie się tym nie przejmuj - powiedział. - To doświadczenie odpowie na większość pytań lepiej, niż ja mógłbym to zrobić, nawet gdybym był w rewelacyjnej formie, a w tej chwili jestem najdalej, jak można, od rewelacyjnej formy. Weź te pieniądze.

Wziąłem pieniądze i przewertowałem je. Na górze były banknoty jednodolarowe, wyglądały normalnie. Potem natrafiłem na pięciodolarowy i ten wyglądał jednocześnie normalnie i nie. Nad portretem Abe'a Lincolna widniał napis SILVER CERTIFICATE, po lewej stronie była duża niebieska piątka. Obejrzałem banknot pod światło.

- To nie fałszywka, jeśli tego się obawiasz. - W głosie Ala brzmiało znużone rozbawienie.

Może nie - w dotyku wydawał się tak prawdziwy, na jaki wyglądał - ale nie było widocznego w prześwicie obrazu.

- Jeśli jest prawdziwy, to jest stary - powiedziałem.

- Schowaj te pieniądze do kieszeni, Jake, i już.

Zrobiłem to.

- Masz przy sobie kalkulator? Jakies inne urządzenia elektroniczne?

- Nie.

- No to jesteś gotowy. Odwróć się twarzą do tylnej ściany spizarki. - Zanim mogłem to zrobić, palnął się w czoło i powiedział: - Boże, gdzie ja mam głowę? Zapomniałem o

Człowieku z Żółtą Kartką.

- O kim? Z czym?

- O Człowieku z Żółtą Kartką. Tak na niego mówię, nie wiem, jak się naprawdę nazywa. Masz, weź to. - Chwilę gmerał w kieszeni, po czym podał mi półdolarówkę. Nie widziałem ich od lat. Może od dzieciństwa.

Zważyłem ją w dłoni.

- Nie sądzę, żebyś chciał mi to dać. Musi być cenna.

- Jasne, że jest cenna, warta jest pół dolara.

Dostał ataku kaszlu - tym razem jakby trząśł nim silny wiatr - ale odpędził mnie machnięciem ręki, kiedy ruszyłem w jego stronę. Oparł się o stos pudeł, na którego wierzchu leżały moje rzeczy, splunął w zwitek serwetek, spojrzał, skrzywił się, po czym zmiął je w garści. Po jego wychudłej twarzy ściekał pot.

- Uderzenie gorąca czy coś. Cholerny rak rozregulował mi termostat razem ze wszystkim innym. Co do Człowieka z Żółtą Kartką, to niegroźny pijaczyna, ale jest inny niż wszyscy. Jakby coś wiedział. Myślę, że to tylko zbieg okoliczności... bo przypadkiem klapnął sobie niedaleko miejsca, w którym wyjdiesz... ale chcę cię uprzedzić, żebyś się nie zdziwił.

- Na razie kiepsko ci to idzie - stwierdziłem. - Nie mam za cholereę pojęcia, o czym mówisz.

- Powie: „Mam żółtą kartkę z zielonego sklepu, więc daj dolca, bo jeden dzisiaj wart jest dwa”. Jasne?

- Jasne. - Coraz większy obłąd.

- I rzeczywiście ma żółtą kartkę zatknietą za rondo kapelusza. Pewnie to tylko wizytówka firmy taksówkowej, a może znaleziony w rynsztoku bon z Red and White, ale facet ma mózg przeżarty tanim winem i chyba myśli, że to coś jak Żółty Bilet Willy'ego Wonki. Ty odpowiesz: „Całego dolara nie mogę ci dać, ale masz tu pół”, i dasz mu pięćdziesięciocentówkę. Wtedy on może powiedzieć... - Al uniósł kościsty palec. - Może powiedzieć coś w stylu: „Co tu robisz” albo „Skąd się wziąłeś?”. Może nawet powiedzieć: „Nie jesteś ten sam facet co poprzednio” albo coś takiego. To wątpliwe, ale niewykluczone. Tyłu jeszcze rzeczy o tym nie wiem. Cokolwiek powie, zostaw go przy suszarni... tam siedzi... i wyjdź przez bramę. Pewnie zawoła za tobą: „Wiem, że mógłbyś mi dać dolara, sknerusie jeden!”, ale nie zwracaj na niego uwagi. Nie oglądaj się za siebie. Przejdź przez tory i będziesz na skrzyżowaniu Main i Lisbon. - Obdarzył mnie ironicznym uśmiechem. - Potem, przyjacielu, świat należy do ciebie.

- Przy suszarni? - Mgliście pamiętałem, że coś kiedyś było w pobliżu miejsca, gdzie

teraz stał bar, i może nawet rzeczywiście była to stara suszarnia Worumbo, ale dziś już nie został po niej ślad. Gdyby w tylnej ścianie przytulnej spiżarki było okno, nie widziałbym za nim nic oprócz wyłożonego ceglami dziedzińca i sklepu z kurtkami. Nazywał się Your Maine Snuggery. Zaraz po Bożym Narodzeniu zafundowałem tam sobie parkę North Face, i to po bardzo okazyjnej cenie.

- Mniejsza o suszarnię, pamiętaj tylko, co ci powiedziałem. A teraz się odwróć... właśnie tak... i zrób dwa, trzy kroki do przodu. Małe. Dziecięce. Jakbyś próbował znaleźć po ciemku szczyt schodów... tak ostrożnie.

Zrobiłem, co kazał, czując się przy tym jak największy pajac na świecie. Jeden krok... schylić głowę, żeby nie szorować nią o aluminiowy sufit... dwa kroki... teraz już trzeba lekko przykucnąć. Jeszcze kilka kroków i będę musiał klęknąć. A tego nie zamierzałem zrobić, nawet na prośbę umierającego.

- Al, to głupie. Jeśli nie chcesz, żebym ci przyniósł karton koktajli owocowych albo kilka tych pojemniczków z dżemem, nie mogę tutaj nic z...

I wtedy moja noga opadła w dół tak jak wtedy, kiedy zaczyna się schodzić ze schodów. Tyle że moja stopa wciąż twardo stała na ciemnoszarym linoleum. Widziałem ją.

- O właśnie - powiedział Al. Chrypa zniknęła z jego głosu, przynajmniej chwilowo; te słowa były ciche, pełne zadowolenia. - Znalazłeś to, przyjacielu.

Co znalazłem? Czego właściwie doświadczałem? Siła sugestii wydawała się najbardziej logicznym wytłumaczeniem, bo bez względu na to, co czułem, widziałem moją nogę na podłodze. Tylko że...

Zauważyliście, że kiedy zamyka się oczy w słoneczny dzień, pod powiekami zostaje obraz tego, na co człowiek patrzył? To było coś podobnego. Kiedy patrzyłem na swoją stopę, stała na podłodze. Ale kiedy mrugałem - albo milisekundę przed, albo milisekundę po zamknięciu oczu, nie wiedziałem, w którym dokładnie momencie - przez chwilę widziałem obraz mojej nogi na drewnianym schodku. I nie w mętym świetle sześćdziesięciowatowej żarówki. W blasku słońca.

Zamarłem.

- Dalej - powiedział Al. - Nic ci się nie stanie, przyjacielu. Idź dalej. - Zakaszłał ostro i dodał rozpaczliwie brzmiącym charkotem:

- Musisz to dla mnie zrobić.

Zrobiłem to więc.

Boże, dopomóż mi, zrobiłem to.

ROZDZIAŁ 2

1

Zrobiłem następny krok do przodu i zszedłem stopień niżej. Oczy wciąż mówiły mi, że stoję na podłodze spizarni Al's Diner, ale choć byłem wyprostowany, czubek mojej głowy nie ocierał się już o dach. Co, oczywiście, było niemożliwe. Od tego pomieszania wrażeń nieprzyjemnie zakotłowało mi się w żołądku. Czułem, jak kanapka z sałatką jajeczną i kawałek szarlotki, które zjadłem na lunch, szykują się do katapultowania.

Za moimi plecami - ale w pewnym oddaleniu, jakby stał po drugiej stronie ulicy, nie tuż za mną - Al powiedział:

- Zamknij oczy, przyjacielu, wtedy jest łatwiej.

Kiedy to zrobiłem, pomieszanie wrażeń natychmiast minęło. Było tak, jakby przestać robić zeza. Albo będąc na filmie 3D, włożyć te specjalne okulary - to trafniejsze porównanie. Prawą nogą zszedłem stopień niżej. To rzeczywiście były schody; kiedy wzrok był wyłączony, ciało nie miało co do tego wątpliwości.

- Jeszcze dwa i możesz otworzyć oczy - powiedział Al. Wydawało się, że stoi jeszcze dalej niż poprzednio. Na drugim końcu baru, nie w drzwiach spizarni.

Opuściłem lewą nogę. Potem opuściłem prawą i nagle coś pyknęło mi w głowie, jak przy nagłej zmianie ciśnienia podczas lotu samolotem. Ciemność pod moimi powiekami poczerwieniała i poczułem ciepło na skórze. To były promienie słońca. Na pewno. A ten słaby zapach siarki stał się silniejszy, w skali uciążliwości organoleptycznej przeszedł z ledwo wyczuwalnego na czynnie drażniący. Co do tego też nie było wątpliwości.

Otworzyłem oczy.

Nie byłem już w spizarni. Nie byłem też w Al's Diner. Choć spizarnia nie miała drzwi prowadzących na zewnątrz, byłem na zewnątrz. Na dziedzińcu. Tylko że nie był już wyłożony cegłami i nie otaczały go sklepy fabryczne. Pod nogami miałem kruszejący brudny cement. Kilka wielkich metalowych pojemników stało pod nagą białą ścianą w miejscu, gdzie powinien być sklep Your Maine Snuggery. Były wypełnione stosami czegoś i przykryte wielkimi jak żagle płachtami szorstkiej brązowej tkaniny jutowej.

Odwrociłem się, żeby spojrzeć na wielką srebrną przyczepę, w której mieścił się Al's

Diner, ale bar zniknął.

2

Tam, gdzie powinien być, wznosiła się potężna, dickensowska bryła zakładów tkackich Worumbo. Pracowały pełną parą. Słyszałem huczenie farbiarek i suszarek, „sza-SZUUU, sza-SZUUU” wielkich krosien tkackich, które niegdyś zajmowały całe piętro (widziałem zdjęcia tych machin, przy których pracowały kobiety w chustach na głowie i kombinezonach, w maleńkim budynku Towarzystwa Historycznego Lisbon w górnej części Main Street). Białawoszary dym wypływał ze wszystkich trzech wysokich kominów, obalonych przez gwałtowną wichurę w latach osiemdziesiątych.

Stałem obok dużego, pomalowanego na zielono budynku w kształcie sześcianu - suszarnia, domyśliłem się. Zajmował połowę dziedzińca. Zszedłem tu po schodach, ale teraz schodów nie było. Nie było powrotu. Wezbrała we mnie panika.

- Jake? - To był głos Ala, ale bardzo słaby. Zdawał się dochodzić do moich uszu wskutek zwykłej sztuczki akustycznej, jak dźwięk niosący się przez długi, wąski kanion. - Możesz wrócić tą samą drogą, którą tam przeszedłeś. Wymacaj schody.

Podniosłem lewą nogę, opuściłem ją i wyczułem stopień. Panika zelżała.

- Śmiało. - Ledwo słyszalne. Głos jak echo echa. - Rozejrzyj się trochę, potem wróc.

Z początku nigdzie nie poszedłem, tylko stałem i ocierałem usta dłonią. Miałem wrażenie, że oczy wyłażą mi z orbit. Ciarki przechodziły mi po głowie i wąskim pasie skóry pośrodku pleców. Byłem wystraszony, prawie przerażony, ale silna ciekawość równoważyła to i (na razie) odpierała panikę. Widziałem na betonie mój cień, wyraźny, jakby wycięty z czarnego sukna. Widziałem płyty rdzy na łańcuchu, który oddzielał suszarnię od reszty dziedzińca. Czulem potężny smród zanieczyszczeń buchających z trzech kominów, tak silny, że oczy piekły. Inspektor Agencji Ochrony Środowiska po jednym pociągnięciu nosem natychmiast zamknąłby te zakłady. Tyle że... nie sądziłem, by w okolicy byli jacyś inspektorzy Agencji Ochrony Środowiska. Nie byłem nawet pewien, czy już wymyślono Agencję Ochrony Środowiska. Wiedziałem, gdzie jestem; w Lisbon Falls w stanie Maine, w samym sercu powiatu Androscoggin.

Pytanie tylko kiedy.

Na łańcuchu wisiała tabliczka, której nie mogłem przeczytać - napis był po drugiej stronie. Ruszyłem do niej, zaraz jednak zawróciłem. Zamknąłem oczy i powoli, noga za nogą, poszedłem naprzód, przypominając sobie, żeby stawiać dziecięce kroczki. Kiedy moja lewa stopa uderzyła w najniższy stopień schodów prowadzących z powrotem do spizarni Al's Diner (przynajmniej taką miałem głęboką nadzieję), włożyłem rękę do tylnej kieszeni spodni i wyjąłem złożoną kartkę, notatkę od wielce szanownego szefa mojego wydziału: „Miłych wakacji i proszę nie zapomnieć o szkoleniu w lipcu”. Przez chwilę zastanawiałem się, co sądziłby o propozycji, żeby Jake Epping w przyszłym roku poprowadził sześciotygodniowy blok zajęć pod tytułem „Literatura podróży w czasie”. Potem oderwałem pasek z góry kartki, zmiałem go i upuściłem na pierwszy stopień niewidzialnych schodów. Oczywiście, wylądował na ziemi, ale ważne, że wskazywał właściwe miejsce. Było ciepło, bezwietrzne popołudnie i nie sądziłem, by mogło go stąd wywiać, ale na wszelki wypadek znalazłem kawałek betonu, który wykorzystałem jako przycisk do papieru. Wylądował na stopniu, ale wylądował też na skrawku notatki. Bo stopnia nie było. Przez głowę przeleciał mi urywek starej popowej piosenki: „Najpierw jest góra, potem góry nie ma, potem znowu jest”.

Rozejrzyj się trochę, powiedział Al, i postanowiłem to właśnie zrobić. Stwierdziłem, że skoro do tej pory nie straciłem rozumu, to jeszcze jakiś czas wytrzymam. Chyba że zobaczę paradę różowych słoni albo UFO wiszące nad komisem Johna Craftsa. Próbowałem sobie wmówić, że to nie dzieje się naprawdę, nie może dziać się naprawdę, ale nic z tego. Filozofowie i psycholodzy mogą się spierać o to, co jest rzeczywiste, a co nie, ale większość z nas, zwykłych zjadaczy chleba, zna i akceptuje materię otaczającego nas świata. To działo się naprawdę. Pomijając wszystko inne, halucynacja nie mogła tak śmierdzieć.

Łańcuch wisiał na wysokości ud. Pochyliłem się i przeszedłem pod nim. Po drugiej stronie tabliczki widniało namalowane czarną farbą od szablonu ostrzeżenie ZAKAZ WSTĘPU RURA KANALIZACYJNA W NAPRAWIE. Jeszcze raz obejrzałem się za siebie, nie zauważyłem nic, co by wskazywało, że w najbliższym czasie zanosi się na prace naprawcze, wszedłem za róg suszarni i omal się nie potknąłem o opalającego się tam mężczyznę. Nie żeby mógł się za bardzo opalić. Miał na sobie stary czarny płaszcz, który rozlewał się wokół niego jak bezkształtny cień. Na obu rękawach widziałem krakelury zaschniętych glutów. Ciało pod płaszczem było skrajnie wychudzone. Stalowosiwie włosy zwisały w splecionych strąkach wokół szorstkich od zarostu policzków. Krótko mówiąc, wzorcowy pijaczyna.

Na głowie miał zsuniętą do tyłu brudną fedorę, która wyglądała jak żywcem wyjęta z czarnego kryminału z lat pięćdziesiątych, jednego z tych filmów, w których wszystkie kobiety mają wielkie bufory, a mężczyźni mówią szybko, z papierosem tkwiącym w kąciu ust. I owszem, z za wstążki fedory, niby staroświecka legitymacja dziennikarska, sterczała żółta kartka. Kiedyś zapewne była jasnożółta, ale od częstego dotykania brudnymi palcami kolor stał się rozmazany.

Kiedy mój cień padł na jego kolana, Człowiek z Żółtą Kartką odwrócił się i obejrzał mnie zapuchniętymi oczami.

- A ty, kurwa, kto? - spytał, tyle że zabrzmiało to „a hy, huhfa, hto?”.

Al nie udzielił mi szczegółowych instrukcji, jak odpowiadać na pytania, więc powiedziałem to, co wydawało się najbezpieczniejsze.

- Nie twój zasrany interes.

- A idź się pierdol.

- W porządku - powiedziałem. - Czyli jesteśmy zgodni.

- He?

- Miłego dnia. - Ruszyłem do bramy, która stała otwarta na stalowej szynie. Za nią, po lewej stronie, zobaczyłem parking, którego nigdy wcześniej tam nie było. Zapelniały go samochody, większość zdezelowana, a wszystkie tak stare, że ich miejsce było raczej w muzeum motoryzacji. Widziałem buicki z otworami wentylacyjnymi w przednim błotniku i fordę z przodem jak dziób torpedy. One należą do prawdziwych robotników, pomyślałem. Prawdziwych robotników, którzy w tej chwili pracują w fabryce, opłacani od godziny.

- Mam żółtą kartkę z zielonego sklepu - powiedział pijak. Mówił tonem zaczepnym i zaniepokojonym jednocześnie. - Więc daj dolca, bo jeden dziś wart jest dwa.

Podąłem mu pięćdziesięciocentówkę. Potem, czując się jak aktor, który ma w spektaklu tylko jedną kwestię, powiedziałem:

- Całego dolara nie mogę ci dać, ale masz tu pół.

„I wtedy masz mu ją dać”, powiedział Al, ale nie było takiej potrzeby. Człowiek z Żółtą Kartką sam wyrwał mi ją z ręki i podsunął sobie pod nos. Przez chwilę myślałem, że ją ugryzie, on jednak tylko objął monetę długimi palcami i zniknęła w jego garści. Znow mi się przyjrzał z niemal komicznie nieufną miną.

- Ty kto? Co tu robisz?

- Cholera wie - powiedziałem i odwróciłem się w stronę bramy. Spodziewałem się, że rzuci za mną następne pytania, ale była tylko cisza. Wyszedłem przez bramę.

Najnowszym samochodem na parkingu był plymouth fury z - jak sędzę - połowy albo końca lat pięćdziesiątych. Jego tablica rejestracyjna wyglądała jak prehistoryczna wersja tej, którą miałem na swoim subaru; na prośbę bylej żony zamówiłem taką z różową wstążką symbolizującą walkę z rakiem piersi. Tablica, na którą patrzyłem teraz, owszem, miała u dołu napis VACATIONLAND, ale była pomarańczowa, nie biała. Tak jak w większości stanów, numery rejestracyjne w Maine ostatnio zawierają litery - ten na moim subaru to 23383 IY - ale nowy czerwono-biały fury miał rejestrację 90-811. Bez liter.

Dotknąłem bagażnika. Był twardy i nagrany od słońca. Rzeczywisty.

„Przejdź przez tory i będziesz na skrzyżowaniu Main i Lisbon. Potem, przyjacielu, świat należy do ciebie”.

Przed starą fabryką nie było torów kolejowych - przynajmniej w moich czasach - ale tutaj były, a jakże. I to nie jakieś zapomniane, zabytkowe. Były wyraźnie używane, lśniły. I gdzieś w oddali słyszałem „puf-puf” prawdziwego pociągu. Kiedy przez Lisbon Falls ostatnio jeździły pociągi? To musiało być, jeszcze zanim zamknęli zakłady tkackie, w czasach gdy U.S. Gypsum pracowało na pełnych obrotach.

Tylko że pracuje na pełnych obrotach, pomyślałem. Postawiłbym na to każde pieniądze. I zakłady też pracują. Bo to już nie jest druga dekada dwudziestego pierwszego wieku.

Znów ruszyłem naprzód, nawet tego nie zauważając - szedłem jak we śnie. Teraz stałem na rogu Main Street i drogi numer 196, znanej też jako Old Lewiston Road. Tylko że nie było w niej nic starego. A na ukos ode mnie, po drugiej stronie skrzyżowania, na przeciwległym rogu...

To było Kennebec Fruit Company, cokolwiek szumna nazwa jak na sklep, który balansował na krawędzi ruiny - przynajmniej tak mi się wydawało - przez dziesięć lat mojej pracy w LHS. Jego osobliwym *raison d'être* i jedynym źródłem utrzymania był moxie, ten najdziwniejszy z napojów. Frank Ancietti, właściciel Fruit Company, dobroduszny staruszek, powiedział mi kiedyś, że ludzkość z natury (i zapewne wskutek obciążenia genetycznego) dzieli się na dwie grupy: garstkę błogosławionych wybrańców, którzy cenią moxie ponad wszystkie inne napitki... i całą resztę. Frank nazywał całą resztę „niefortunnie upośledzoną większością”.

Kennebec Fruit Company z moich czasów jest wyblakłą żółto-zieloną budą z brudną witryną pozbawioną towarów... chyba że kot, który czasem tam śpi, jest na sprzedaż. Dach

ugiął się pod ciężarem wielu śnieżnych zim. W asortymencie nie ma praktycznie nic oprócz pamiątek związanych z moxie: jasnopomarańczowe koszulki z hasłem MAM MOC MOXIE!, jasnopomarańczowe czapki, kalendarze w stylu retro, ozdobne blaszane tabliczki, które wyglądają retro, ale pewnie zostały wyprodukowane rok wcześniej w Chinach. Przez większą część roku w sklepie próżno wypatrywać klientów, a na większości półek - towarów... choć zawsze można dostać kilka słodkich przekąsek albo torebkę czipsów (pod warunkiem że lubi się takie z solą i octem). Lodówka z napojami zaopatrzona jest tylko w moxie. Lodówka na piwo stoi pusta.

Co roku w lipcu Lisbon Falls organizuje Festiwal Moxie. Są orkiestry, fajerwerki i parada z udziałem - przysięgam, że to prawda - udekorowanych platform reklamujących moxie i lokalnych królowych piękności w kostiumach kąpielowych w kolorze moxie, co oznacza pomarańczowy tak jaskrawy, że może przepalić siatkówkę oka. Marszałek Parady zawsze nosi przebranie Doktora Moxie, na które składa się biały kitel, stetoskop i to takie fikuśne lusterko na okalającej głowę opasce. Przed dwoma laty marszałkiem była dyrektorka LHS, Stella Langley. Do końca życia będą jej to pamiętać.

W trakcie festiwalu Kennebec Fruit Company budzi się do życia i świetnie prosperuje, głównie dzięki zdumionym turystom przejeżdżającym przez miasto w drodze do ośrodków wypoczynkowych w zachodnim Maine. Przez resztę roku jest to właściwie tylko pusta skorupa przeniknięta słabym aromatem moxie, zapachem, który zawsze przypominał mi - pewnie dlatego, że należę do niefortunnie upośledzonej większości - musterole, niewiarygodnie cuchnącą maść, którą mama z uporem wcierała mi w gardło i pierś, ilekroć się przeziębilem.

Teraz po drugiej stronie Old Lewiston Road widziałem kwitnący interes w latach swojej świetności. Szyld nad drzwiami (7-UP ORZEŻWIA na górze, WITAMY W KENNEBEC FRUIT CO. na dole) był dość jasny, by miotać mi w oczy strzały słońca. Farba była świeża, dach nieugięty pod naporem sił przyrody. Ludzie wchodzili i wychodzili. A w witrynie, zamiast kota...

Pomarańcze, na Boga! W Kennebec Fruit Company kiedyś sprzedawali prawdziwe owoce. Kto by przypuszczał?

Ruszyłem na drugą stronę ulicy, ale się cofnąłem, kiedy nadjechał pochrapający autobus międzymiastowy. Na tablicy nad przedzieloną przednią szybą widniał napis LEWISTON EXPRESS. Kiedy autobus zahamował przed przejazdem kolejowym, zobaczyłem, że większość pasażerów pali papierosy. Atmosfera w środku musiała być mniej więcej taka jak na Saturnie.

Kiedy autobus ruszył w dalszą drogę (zostawiając za sobą zapach podgrzanego diesla, który mieszał się z fetorem zgniłych jaj buchającym z kominów Worumbo), przeszedłem przez ulicę, zastanawiając się przelotnie, co by się stało, gdybym wpadł pod samochód. Czy zniknąłbym w błysku? A może obudziłbym się na podłodze spizarni Ala? Pewnie ani jedno, ani drugie. Pewnie po prostu umarłbym tutaj, w przeszłości, o której wielu myśli z nostalgią. Zapewne dlatego, że zapomnieli, jak przeszłość cuchnie, albo w ogóle nie biorą pod uwagę tego aspektu złotych lat pięćdziesiątych.

Przed Fruit Company stał nastoletni chłopak. Nogę w czarnym bucie oparł o drewniany siding. Był w koszuli z postawionym na karku kołnierzem, włosy nosił uczesane na wczesnego Elvisa (fryzurę rozpoznałem ze starych filmów). W odróżnieniu od chłopców, których oglądałem na co dzień w szkole, nie miał koziej bródki ani nawet kępki zarostu pod podbródkiem. Uświadomiłem sobie, że w świecie, który odwiedziłem (przynajmniej miałem nadzieję, że to tylko wizyta), wyleciałby z LHS, gdyby pokazał się w szkole z choć jednym włoskiem na twarzy. Z miejsca.

Kiwnąłem mu głową. James Dean odpowiedział tym samym i rzucił:

- Siemasz, papciu.

Wszedłem do środka. Zadzwieczał dzwonek nad drzwiami. Zamiast kurzu i lekko gnijącego drewna poczułem zapach pomarańczy, jabłek, kawy i wonnego tytoniu. Po mojej prawej stał regał z komiksami bez okładek - „Archie”, „Batman”, „Captain Marvel”, „Plastic Man”, „Opowieści z krypty”. Ręcznie wypisana tabliczka nad tym skarbcem, który doprowadziłby do paroksyzmów każdego entuzjastę eBay, ogłaszała KOMIKSY 5c/1 SZT. TRZY - 10c DZIEWIĘĆ - 25c NIE DOTYKAJ JEŚLI NIE ZAMIERZASZ KUPIĆ.

Po lewej stronie, na regale z gazetami, nie było „New York Timesa”, były za to „Portland Press-Herald” i ostatni niesprzedany „Boston Globe”. Nagłówek na pierwszej stronie „Globe” trąbił DULLES SKŁONNY DO USTĘPSTW, JEŚLI CZERWONE CHINY WYRZEKNĄ SIĘ UŻYCIA SIŁY NA FORMOZIE. Obie gazety datowane były na wtorek, 9 września 1958 roku.

5

Wziąłem „Globe” - kosztowała osiem centów - i podszedłem do barku z marmurową ladą, którego w moich czasach nie było. Za nim stał Frank Ancietti. To był on, na pewno, wszystko się zgadzało, nawet dystygowane siwe skrzydła nad uszami. Tyle tylko, że w tej wersji - nazwijmy ją Frank 1.0 - był chudy, nie pulchny, i nosił okulary dwuogniskowe bez

oprawki. Był też wyższy. Czując się jak obcy we własnym ciele, wsunąłem się na jeden ze stołków.

Kiwnął głową w stronę gazety.

- To wszystko, czy podać coś do picia?

- Byle zimne i nie moxie - usłyszałem swój głos.

Frank 1.0 się uśmiechnął.

- Nie sprzedaję tego, synu. Może być piwo korzenne?

- Brzmi kusząco. - I mówiłem prawdę. Zaszło mi w gardle, miałem rozpaloną głowę.

Czułem się jak w gorączce.

- Za pięć czy dziesięć?

- Proszę?

- Piwo za pięć czy dziesięć centów? - Mówił z akcentem rodowitego mieszkańca Maine.

- Aha. Za dziesięć, jak sądzę.

- Cóż, dobrze pan sądzisz. - Otworzył lodówkę z lodami i wyjął oszroniony kufel wielkości mniej więcej dzbanka na lemoniadę. Napełnił go z kranika i poczułem zapach piwa korzennego, soczysty i mocny. Zgarnął piankę rączką drewnianej łyżki, po czym dolał do pełna i postawił kufel na ladzie. - Proszę. Razem z gazetą będzie osiemnaście centów. Plus cent dla gubernatora.

Wręczyłem mu jeden z zabytkowych banknotów dolarowych Ala i Frank 1.0 wydał resztę.

Spróbowałem piwa przez piankę na powierzchni. Zdumiewające! Było... pełne. Na wskroś pyszne. Nie wiem, jak to lepiej wyrazić. Ten od pół wieku nieistniejący świat cuchnął gorzej, niż mogłem przypuszczać, za to dużo lepiej smakował.

- Znakomite - powiedziałem.

- Hm? Cieszę się, że smakuje. Pan nie stąd, co?

- Nie.

- Spoza stanu?

- Z Wisconsin - powiedziałem. Nie całkiem kłamstwo; moja rodzina mieszkała w Madison do czasu, kiedy miałem jedenaście lat. Wtedy ojciec dostał pracę nauczyciela angielskiego na Uniwersytecie Południowego Maine. Od tego czasu tułałem się po tym stanie.

- Cóż, wybrał pan dobry moment na przyjazd - powiedział Ancietti. - Większości letników już nie ma, a po ich wyjeździe ceny zawsze idą w dół. Weźmy to, co pan pije. Po sezonie piwo korzenne za dziesięć centów kosztuje tylko dziesięć centów.

Zadźwięczał dzwonek nad drzwiami; skrzypnęły deski w podłodze. To było przyjazne skrzypienie. Kiedy ostatnio wyprawilem się do Kennebec Fruit w (płonnej) nadziei na upolowanie rolki pastylek Tums, te deski stękały.

Za ladę wsunął się może siedemnastoletni chłopak. Ciemnowłosa, krótko ostrzyżony, prawie na jeża, ale niezupełnie. Nie mogłem nie zauważyć jego uderzającego podobieństwa do mężczyzny, który mnie obsłużył, i uświadomiłem sobie, że to właśnie jest mój Frank Ancietti. Człowiek, który zgarnął piankę z mojego piwa korzennego, był jego ojcem. Frank 2.0 nawet na mnie nie zerknął; dla niego byłem tylko jeszcze jednym klientem.

- Titus wziął wóz na podnośnik - powiedział do taty. - Mówi, że będzie gotowy na piątą.

- Cóż, to dobrze - odparł Ancietti senior i zapalił papierosa. Dopiero teraz zauważyłem, że na marmurowym blacie barku stał rząd małych ceramicznych popielniczek. Każda miała napisane z boku WINSTON. TAK SMAKUJE PAPIEROS. Ancietti spojrzał na mnie i powiedział: - Może wrzucić do piwa gałkę lodów waniliowych? Gratis. Zawsze dobrze traktujemy turystów, zwłaszcza spóźnionych.

- Dzięki, ale to mi wystarczy - powiedziałem zgodnie z prawdą. Myślałem, że jeszcze trochę słodczy i głowę mi rozsadzi. Poza tym piwo było mocne; jakbym pił gazowane espresso.

Chłopak posłał mi uśmiech słodki jak napój w oszronionym kuflu - bez śladu wzgardliwego rozbawienia, które wyczuwałem u niedoszłego Elvisa przed sklepem.

- Czytaliśmy w szkole opowiadanie - powiedział - w którym miejscowi zjadają turystów, jeśli przyjadą po sezonie.

- Frankie, nie mówi się gościom takich rzeczy - ofuknął go pan Ancietti. Ale się uśmiechał.

- Nie ma sprawy - powiedziałem. - Sam omawiałem to opowiadanie z uczniami. Shirley Jackson, zgadza się? „Letnicy”.

- Tak, taki był tytuł - potwierdził Frank. - Nie bardzo zrozumiałem, o co w nim chodziło, ale mi się podobało.

Pociągnąłem następny łyk piwa korzennego i kiedy odstawiłem kufel (uderzył w marmurowy blat z przyjemnym dla ucha, solidnym łupnięciem), nie byłem zaskoczony, że nie zostało w nim prawie nic. Mógłbym się od tego piwa uzależnić, pomyślałem. Bije moxie na głowę.

Starszy Ancietti wydmuchnął kłąb dymu pod sufit, gdzie łopatki wentylatora leniwie go wciągnęły w niebieskie krokwie.

- Uczy pan w Wisconsin, panie...?

- Epping - powiedziałem. Byłem zbyt zaskoczony, by nawet pomyśleć o podaniu fałszywego nazwiska. - Tak, uczę. Ale wziąłem roczny urlop naukowy.

- To znaczy, że ma rok wolnego - powiedział Frank.

- Wiem, co to znaczy. - Ancietti próbował przybrać poirytowany ton i kiepsko mu to wychodziło. Stwierdziłem, że lubię tych dwóch jak piwo korzenne. Że lubię nawet początkującego łobuza sprzed sklepu, choćby dlatego, że nie wiedział, że już jest stereotypem. Było tu jakieś poczucie bezpieczeństwa, poczucie... predeterminacji. Z pewnością złudne, w tym świecie czyhało tyle zagrożeń co w każdym innym, ja jednak posiadałem wiedzę, która, jak sądziłem do tego popołudnia, zastrzeżona była tylko i wyłącznie dla Boga: wiedziałem, że uśmiechnięty chłopak, któremu podobało się opowiadanie Shirley Jackson (mimo że go „nie zrozumiał”), przeżyje ten dzień i wszystkie następne w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat. Nie zginie w wypadku samochodowym, nie dostanie ataku serca, nie zachoruje na raka płuc od wdychania dymu z papierosów ojca. Frank Ancietti był na początku drogi.

Zerknąłem na zegar na ścianie (ZACZNIJ DZIEŃ Z UŚMIECHEM, zachęcała tarcza, WYPIJ KAWĘ NA DOBRY NASTRÓJ). Pokazywał 12.22. Nie miało to dla mnie znaczenia, ale udałem zaskoczonego. Dopilem resztę piwa i wstałem.

- Muszę lecieć, bo spóźnię się na spotkanie ze znajomymi w Castle Rock.

- Niech pan uważa na stosiedemnaście - powiedział Ancietti. - Ta droga to koszmar. - Od lat nie słyszałem tak mocnego akcentu z Maine. Wtedy dotarło do mnie, że to dosłowna prawda, i omal nie wybuchnąłem głośnym śmiechem.

- Będę uważał - zapewniłem. - Dzięki. I, synu, co do tego opowiadania Shirley Jackson...

- Tak, proszę pana?

„Proszę pana”, no, no. I to bez cienia sarkazmu. Dochodziłem do wniosku, że 1958 to całkiem dobry rok. Oczywiście, pomijając smród zakładów i dym papierosowy.

- Nie ma tam nic do rozumienia.

- Nie? Pan Marchant mówi co innego.

- Z całym szacunkiem dla pana Marchanta, powiedz mu, że ja, Jake Epping, mówię, że cygaro to czasem tylko cygaro, a opowiadanie to tylko opowiadanie.

Zaśmiał się.

- Pewnie, że mu powiem! Jutro na trzeciej lekcji!

- I słusznie. - Kiwnąłem głową jego ojcu, żalując, że nie mogę mu powiedzieć, że

dzięki moxie (którego nie sprzedawał... jeszcze) jego sklep będzie stał na rogu Main Street i Old Lewiston Road długo po tym, jak jego już nie będzie. - Dzięki za piwo korzenne.

- Przychodź, kiedy chcesz, synu. Myślę, czy nie obniżyć ceny dużego.

- Do dziesięciu centów?

Uśmiechnął się szeroko. Jak jego syn, miał szeroki, szczery uśmiech.

- No, nareszcie dobrze kombinujesz.

Zadzwieczał dzwonek. Weszły trzy panie. Żadnych spodni; miały na sobie spódnice do połowy łydki. I kapelusze! Dwa z obłoczkami białej woalki. Zaczęły grzebać w skrzyniach z owocami, szukając doskonałości. Odszedłem od barku, ale coś mi się przypomniało i zawróciłem.

- Możecie mi powiedzieć, co to jest „zielony sklep”?

Ojciec i syn wymienili rozbawione spojrzenia, które przypomniały mi stary dowcip. Turysta z Chicago zajeżdża wypasionym samochodem sportowym przed wiejski dom na zupełnym pustkowiu. Stary farmer siedzi na ganku, pali fajkę z kolby kukurydzy. Turysta wychyla się z jaguara i pyta: „Hej, staruszk, możesz mi powiedzieć, jak się dostać do East Machias?”. Stary farmer pyka z fajki w zamyśleniu, po czym mówi: „Stój, gdzie stoisz”.

- Pan naprawdę spoza stanu, co? - spytał Frank. Nie miał tak mocnego akcentu jak ojciec. Pewnie ogląda więcej telewizji, pomyślałem. Nic tak nie zabija regionalnego akcentu jak telewizja.

- Tak - powiedziałem.

- To dziwne, bo mógłbym przysiąc, że trochę zaciąga pan z jankeska.

- Yooperzy tak mają - powiedziałem. - No wiecie, ludzie z Górnego Półwyspu. - Tyle że... a niech to!... Górny Półwysep leży w Michigan.

Najwyraźniej jednak tego nie wiedzieli. Młody Frank odwrócił się i zaczął zmywać. Ręcznie, zauważyłem.

- W zielonym sklepie sprzedają alkohol - powiedział Ancietti. - Jest naprzeciwno, jeśli chcesz kupić pół litra.

- Piwo korzenne mi wystarczy - stwierdziłem. - Byłem tylko ciekaw. Miłego dnia życzę.

- I nawzajem, przyjacielu. Odwiedź nas jeszcze.

Minąłem oglądające owoce trio i przechodząc, mruknąłem: „Drogie panie”. Żałowałem, że nie mam kapelusza, którego mógłbym uchylić. Na przykład fedory.

Jak te, które widzi się w starych filmach.

Początkujący łobuz opuścił swoje stanowisko i myślałem, czy nie przejść się Main Street, żeby zobaczyć, co jeszcze się zmieniło, ale zaraz mi się odechciało. Nie ma co kusić losu. A gdyby ktoś zapytał o moje ubrania? Wydawało mi się, że sportowa marynarka i luźne spodnie wyglądają z grubsza normalnie, ale czy wiedziałem to na pewno? No i była jeszcze kwestia moich włosów, które dotykały kołnierza. W moich czasach taka fryzura u nauczyciela szkoły średniej nie raziła nikogo - nawet uznawano ją za konserwatywną - ale mogła przyciągać spojrzenia w czasach, gdy golenie karku uważano za normalny element usługi fryzjerskiej, a baki były zarezerwowane dla fanów rockabilly, takich jak ten, który nazwał mnie „papciem”. Mogłem oczywiście twierdzić, że jestem turystą, że w Wisconsin wszyscy mężczyźni noszą przydługie włosy, że to taka nowa moda, ale włosy i ubranie - to wrażenie odmienności, jakbym był przybyszem z kosmosu w niedoskonałym ludzkim przebraniu - były tylko częścią problemu.

Przede wszystkim zwyczajnie byłem w szoku. Nie to, że popadałem w obłęd, myślę, że względnie zrównoważony ludzki umysł może znieść dużo dziwności, zanim rzeczywiście zacznie szwankować, ale zszokowany byłem, a jakże. Ciągle myślałem o paniach w długich spódnicach i kapeluszach, paniach, które krępowałoby się pokazać publicznie nawet krawędź ramiączka stanika. I o smaku tego piwa korzennego. O tym, jaki był pełny.

Na wprost, po drugiej stronie ulicy, stał skromny sklep z wypukłym napisem ALKOHOL nad małą witryną. I rzeczywiście, fasada miała jasny, żółtozielony kolor. Za szybą ledwo mogłem dojrzeć moją koleżkę spod suszarni. Długi czarny płaszcz wisiał na jego wieszakowatych ramionach; był bez kapelusza i włosy sterczały mu wokół głowy jak rysunkowemu fajtlapie, który właśnie wsadził Palec A w Gniazdko Elektryczne B. Mówił coś do sprzedawcy, gestykulując obiema rękami, i widziałem, że w jednej trzymał swoją drogocenną złotą kartkę. Byłem pewien, że w drugiej miał półdolarówkę Ala Templetona. Sprzedawca, ubrany w krótki biały fartuch całkiem podobny do tego, który Doktor Moxie nosił na corocznej paradzie, wydawał się zupełnie nieporuszony.

Poszedłem na róg, zaczekałem, aż samochody przejadą, i wróciłem na tę stronę Old Lewiston Road, gdzie były zakłady Worumbo. Dwaj mężczyźni pchali przez dziedziniec wózek wyładowany belami materiału. Palili papierosy i śmiali się. Ciekaw byłem, czy mają pojęcie, co mieszanka dymu papierosowego i wycieków z fabryki robi z ich wnętrzościami. Pewnie nie. Może to szczęście w nieszczęściu, choć to zagadnienie raczej dla nauczyciela filozofii niż dla faceta, który zarabia na chleb swój powszedni, zapoznając szesnastolatków z

magią Szekspira, Steinbecka i Shirley Jackson.

Kiedy weszli do fabryki, wpychając wózek między zardzewiałe metalowe szczęki sięgających drugiego piętra wrót, skierowałem się do łańcucha z tabliczką ZAKAZ WSTĘPU. Nakazałem sobie nie iść za szybko, nie rozglądać się na wszystkie strony - nie robić niczego, co mogłoby zwrócić czyjąś uwagę - ale nie było łatwo. Teraz, kiedy już prawie wróciłem do punktu wyjścia, pokusa, by się pospieszyć, była prawie nie do odparcia. Miałem sucho w ustach i wypite duże piwo korzenne bełtało mi się w brzuchu. A jeśli nie będę mógł wrócić? A jeśli papierek, którym zaznaczyłem niewidoczne schody, zniknął? A jeśli papierek nadal będzie, a schody nie?

Spokojnie, powiedziałem sobie. Spokojnie.

Nie wytrzymałem i szybko rzuciłem okiem wkoło, zanim przelazłem pod łańcuchem, ale miałem cały dziedziniec dla siebie. Gdzieś w oddali, jak dźwięk słyszany we śnie, znów rozlegało się to ciche „puf-puf” parowozu. Przypomniało mi to inny wers z innej piosenki: „Ten pociąg na znikającej kolei bluesa”.

Ruszyłem wzdłuż zielonego boku suszarni, mocno bijące serce podchodziło mi do gardła. Oderwany skrawek papieru przygnieciony kawałkiem betonu był na swoim miejscu; jak dotąd, wszystko w porządku. Kopnąłem go lekko, myśląc: Proszę, Boże, niech to się uda, proszę, Boże, pozwól mi wrócić.

Kawałek betonu się odturlał - widziałem to - ale jednocześnie uderzył w schodek i znieruchomiał. Jedno wykluczało drugie, a jednak obie te rzeczy stały się naraz. Rozejrzałem się raz jeszcze, choć nikt na dziedzińcu nie zobaczyłby mnie w tym wąskim przejściu, chyba żeby przechodził obok jego jednego albo drugiego końca. A tam nie było nikogo.

Wszedłem na pierwszy stopień. Czuję go pod nogą, choć oczy mi mówiły, że wciąż stoję na popękanej nawierzchni dziedzińca. Piwo korzenne znów ostrzegawczo zakotłowało się w moim żołądku. Zamknąłem oczy i poczułem się trochę lepiej. Wszedłem na drugi schodek, potem trzeci. Były płytkie. Kiedy stanąłem na czwartym, letni upał przestał przypiekać mi kark, a ciemność pod powiekami stała się głębsza. Próbowałem wejść na piąty stopień, lecz piątego nie było. Zamiast tego uderzyłem głową w niski sufit szpiżarni. Ktoś złapał mnie za przedramię i omal nie krzyknąłem.

- Spokojnie - powiedział Al. - Spokojnie, Jake. Wróciłeś.

7

Zaproponował kawę, ale pokręciłem głową. Wciąż pieniało mi się w żołądku. Nalał

sobie i wróciliśmy do boksu, w którym zaczęła się ta szalona podróż. Mój portfel, telefon komórkowy i pieniądze leżały w stosie na środku stolika. Al usiadł ze stęknieniem bólu i ulgi. Wydawał się nieco mniej wynędzniały i nieco bardziej odprężony.

- No, byłeś tam i wróciłeś. I co myślisz?

- Al, nie wiem, co myśleć. Jestem wstrząśnięty do głębi. Znalazłeś to przypadkiem?

- Zupełnie przypadkiem. Niecały miesiąc po tym, jak się tu przeniosłem. Musiałem jeszcze mieć kurz Pine Street na podeszwach butów. Za pierwszym razem dosłownie zleciałem z tych schodów, jak Alicja do króliczej nory. Myślałem, że zwariowałem.

Mogłem to sobie wyobrazić. Ja przynajmniej słabo, bo słabo, ale byłem na to przygotowany. Chociaż czy w ogóle można człowieka dostatecznie przygotować na podróż w przeszłość?

- Jak długo mnie nie było?

- Dwie minuty. Mówiłem ci, to zawsze trwa dwie minuty. Bez względu na to, jak długo tam zostaniesz. - Zakaszlał, splunął w zwitek świeżych serwetek, złożył je i schował do kieszeni. - I kiedy schodzisz po tych schodach, zawsze jest 11.58 rankiem dziewiątego września 1958 roku. Każda podróż jest pierwszą podróżą. Dokąd poszedłeś?

- Do Kennebec Fruit. Wypiłem piwo korzenne. Smakowało fantastycznie.

- Tak, tam wszystko lepiej smakuje. Mniej konserwantów czy coś.

- Znasz Franka Ancietiego? Spotkałem go jako siedemnastoletniego chłopaka.

Jakoś mimo wszystko spodziewałem się, że Al się zaśmieje, ale on przyjął moje słowa jako coś oczywistego.

- Jasne. Spotkałem Franka wiele razy. Ale on spotyka mnie tylko raz... wtedy. Dla Franka to za każdym razem jest pierwszy raz. Wchodzi, zgadza się? Wraca z Chevrona. „Titus wziął wóz na podnośnik”, mówi do taty. I że ma być gotowy na piątą. Słyszałem to co najmniej pięćdziesiąt razy. Nie zawsze chodzę do Fruit, ale słyszę to, ile razy tam jestem. Potem wchodzi pani i przebiera ją w owocach. Pani Symonds z przyjaciółkami. To tak jakby raz po raz oglądać ten sam film.

- Za każdym razem pierwszy raz. - Powiedziałem to powoli, robiąc przerwy między słowami. Usiłując utworzyć z nich logiczną całość.

- Racja.

- I każda osoba, którą spotykasz, spotyka ciebie po raz pierwszy, bez względu na to, ile razy się wcześniej spotkaliście.

- Racja.

- Mógłbym tam wrócić, odbyć tę samą rozmowę z Frankiem i jego tatą, i oni by się nie

zorientowali.

- I znowu racja. Albo mógłbyś coś zmienić... powiedzmy, zamiast piwa korzennego zamówić banana z lodami i bitą śmietaną... a wtedy rozmowa potoczyłaby się inaczej. Tylko Człowiek z Żółtą Kartką zdaje się podejrzewać, że coś nie gra, a on jest tak naprany, że sam nie wie, co czuje. Oczywiście, o ile mam rację i rzeczywiście coś czuje. Nawet jeśli, to tylko dlatego, że przypadkiem siedzi blisko króliczej nory. Czy co to jest. Może ona wytwarza jakieś pole siłowe. Ten facet...

Znów się rozkaszał i nie mógł mówić dalej. Widok Ala zgiętego wpół, trzymającego się za bok i usiłującego nie okazywać mi, jak bardzo cierpi - jak choroba zżera go od środka - sam w sobie był bolesny. Długo tak nie pociągnie, pomyślałem. Nie dalej niż za tydzień zabiorą go do szpitala. Czy to nie dlatego mnie tu wezwał? Bo musiał przekazać komuś tę nadzwyczajną tajemnicę, zanim rak zamknie mu usta na zawsze?

- Myślałem, że tego popołudnia ci wszystko wyjaśnię, ale nie dam rady - powiedział, kiedy opanował kaszel. - Muszę wrócić do domu, łyknąć prochy i odpocząć. Przez całe życie nie brałem nic mocniejszego od aspiryny i to cholerne oxy ścina mnie z nóg. Pośpię jakieś sześć godzin, potem przez pewien czas będę się czuł lepiej. Będę trochę silniejszy. Możesz wpaść koło wpół do dziesiątej?

- Mógłbym, gdybym wiedział, gdzie mieszkasz - powiedziałem.

- Domek na Vining Street. Numer dziewiętnaście. Wypatruj krasnala ogrodowego obok ganku. Nie można go przegapić. Macha flagą.

- O czym mamy rozmawiać, Al? To znaczy... pokazałeś mi. Teraz ci wierzę. - Jasne, wierzyłem... ale na jak długo? Moja krótka wizyta w roku 1958 już rozplywała się jak sen. Kilka godzin (albo kilka dni) i pewnie sam siebie przekonam, że to rzeczywiście mi się przyśniło.

- Mam dużo spraw do obgadania, przyjacielu. Przyjdiesz? - Nie powtórzył „prośba umierającego”, ale wyczytałem to z jego oczu.

- Dobrze. Podrzucić cię do domu?

Oczy mu rozbłysły.

- Mam swój wóz, to tylko pięć przecznic. Tyle przejadę.

- Jasne - powiedziałem z nadzieją, że w moim głosie brzmi przekonanie, jakiego nie czułem. Wstałem i zacząłem chować swoje rzeczy z powrotem do kieszeni. Natrafiłem na zwitek pieniędzy od Ala i wyjąłem go. Teraz rozumiałem, skąd wzięły się zmiany na banknocie pięciodolarowym. Na innych też pewnie zauważyłbym różnice.

Podąłem mu te pieniądze. Potrząsnął głową.

- Nie, weź sobie, mam jeszcze dużo.

Mimo to położyłem banknoty na stoliku.

- Jeśli za każdym razem to pierwszy raz, jak możesz zachować pieniądze, które stamtąd przynosisz? Dlaczego nie znikają przy następnym przejściu?

- Pojęcia nie mam, przyjacielu. Mówiłem ci, jest masa rzeczy, których nie wiem. Są reguły, kilka udało mi się rozgryźć, ale to mało. - Jego twarz rozjaśnił blady, lecz autentycznie wesoły uśmiech. - Przeniosłeś tu swoje piwo korzenne, prawda? Nadal chlupocze ci w brzuchu, zgadza się?

Rzeczywiście, chlupotało.

- No widzisz. Do zobaczenia wieczorem, Jake. Wtedy będę wypoczęty i wszystko omówimy.

- Mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

Zachęcił mnie skinieniem ręki. Zauważyłem, że jego paznokcie, zawsze nieskazitelnie czyste, są żółte i popękane. Następny zły znak. Nie tak wymowny jak utrata piętnastu kilogramów wagi, ale mimo to zły. Mój tata, który w swej karierze zawodowej był też asystentem lekarza, mówił, że sam stan paznokci może wiele powiedzieć o stanie zdrowia.

- Słynny Mniamburger.

- Co w związku z nim? - Ale uśmiech igrał na kącikach jego ust.

- Sprzedajesz tanio, bo tanio kupujesz, zgadza się?

- Mielona karkówka z Red & White. Pięćdziesiąt cztery centy za funt. Chodzę tam co tydzień. A przynajmniej chodziłem do mojej ostatniej przygody, która rzuciła mnie daleko od Falls. Kupuję u rzeźnika, pana Warrena. Kiedy proszę pięć kilo mielonej karkówki, mówi: „Już daję”. Kiedy proszę sześć albo siedem, mówi: „Pan chwilę zaczeka, zmieję trochę świeżej. Zjazd rodzinny?”

- Zawsze to samo.

- Tak.

- Bo to zawsze jest pierwszy raz.

- No właśnie. Jak o tym pomyśleć, to tak jak w tej biblijnej historii o bochenkach chleba i rybach. Tydzień w tydzień kupuję tę samą mieloną karkówkę. Nakarmiłem nią setki, może tysiące ludzi, mimo tych dumnych plotek o miauburgerach, i zawsze się odtwarza.

- Raz po raz kupujesz to samo mięso. - Usiłowałem to pomieścić w głowie.

- To samo mięso, o tej samej porze, u tego samego rzeźnika. Który zawsze mówi to samo, chyba że ja powiem coś innego. Przyznam, przyjacielu, że czasem mnie korciło, żeby podejść do niego i zagadać: „Co tam słyhać, Warren, stary łysolu? Zerznąłeś ostatnio jaką

kurę?”. Przecież by tego nie pamiętał. Ale nigdy tak nie zrobiłem. Bo to miły człowiek. Jak większość ludzi, których tam spotkałem. - Mówiąc to, trochę posmutniał.

- Nie rozumiem, jak możesz kupować mięso tam... serwować je tutaj... a potem kupować je znowu.

- Witaj w klubie, przyjacielu. Jestem ci tylko cholernie wdzięczny, że wciąż tu jesteś... mogłem cię stracić. Ba, mogłeś nie odebrać telefonu, kiedy zadzwoniłem do szkoły.

Po trosze żałowałem, że pozwoliłem, by Gloria mnie z nim połączyła, ale nie powiedziałem tego na głos. Pewnie nie musiałem. Był chory, nie ślepy.

- Przyjdź dziś do mnie. Powiem ci, co mi chodzi po głowie, a ty zrobisz, co uznasz za stosowne. Będziesz jednak musiał szybko podjąć decyzję, bo czasu jest mało. To swoisty paradoks, nie sądzisz, zważywszy, dokąd prowadzą niewidzialne schody w mojej spiżarni?

Jeszcze wolniej niż poprzednio powtórzyłem:

- Za... każdym... razem... pierwszy... raz.

Znów się uśmiechnął.

- Widzę, że to już załapałeś. Do zobaczenia wieczorem, zgoda? Vining Street dziewiętnaście. Wpatruj krasną z flagą.

8

Wyszedłem z baru Ala o wpół do czwartej. Sześć godzin między tą chwilą a wpół do dziesiątej nie było tak dziwne jak wizyta w Lisbon Falls sprzed pięćdziesięciu trzech lat, ale prawie. Czas włókł się i gnał jednocześnie. Pojechałem do mojego nowego, jeszcze niespłaconego domu w Sabbatus (Christy i ja sprzedaliśmy ten, który mieliśmy w Falls, i po rozwiązaniu naszej małżeńskiej spółki podzieliliśmy się pieniędzmi). Myślałem, że się zdrzemnę, ale oczywiście nie mogłem zasnąć. Przez dwadzieścia minut leżałem na wznak, sztywny jak pogrzebacz, i gapilem się w sufit, aż wreszcie poszedłem do łazienki się odlać. Patrząc na mocz chlustający do sedesu, pomyślałem: To przetworzone piwo korzenne z 1958 roku. Jednocześnie jednak miałem wrażenie, że to bzdura, że Al jakoś mnie zahipnotyzował.

Chodzi o to rozdwojenie, rozumiecie?

Próbowałem dokończyć czytanie wypracowań wybitnie zdolnych uczniów i wcale nie byłem zaskoczony, kiedy stwierdziłem, że nie dam rady. Dobyć budzący postrach czerwony długopis pana Eppinga? Wydawać krytyczne sądy? Śmiechu warte. Nie mogłem nawet powiązać jednego słowa z drugim. Zapaliłem telewizor (tak się mówiło w latach pięćdziesiątych, kiedy w telewizorach były lampy) i przez jakiś czas skakałem po kanałach.

Na TMC natrafiłem na stary film pod tytułem „Dragstrip Girl”. Mimo woli zacząłem oglądać stare samochody i młodych buntowników bez powodu w takim skupieniu, że rozboleła mnie głowa. Wyłączyłem telewizor. Odsmażyłem sobie obiad, ale chociaż byłem głodny, nie mogłem jeść. Siedziałem i patrzyłem w talerz, myśląc o Alu Templetonie podającym raz po raz te same pięć czy siedem kilo mięsa, rok po roku. To naprawdę było jak cud z rozmnożeniem chleba i ryb, i co z tego, że niskie ceny w barze dały początek plotkom o hamburgerach z kota i psa? Biorąc pod uwagę, ile Al płacił za mięso, musiał mieć nieprzyzwoicie duży zysk z każdego sprzedanego Mniamburgera.

Kiedy zdałem sobie sprawę, że chodzę w kółko po kuchni - niezdolny zasnąć, niezdolny czytać, niezdolny oglądać telewizję, nakarmiwszy całkiem porządnym żarciem nie siebie, lecz zlewoświniaka - wsiadłem do wozu i pojechałem z powrotem do miasta. Była już za piętnaście siódma i wolnych miejsc parkingowych na Main Street nie brakowało. Zatrzymałem się naprzeciwko Kennebec Fruit i siedziałem za kierownicą, wpatrzony w odłazący z farby zabytek, niegdyś kwitnący małomiasteczkowy interes. Na dziś już zamknięty, wyglądał na gotowy do rozbiórki. Jedynymi oznakami ludzkiej obecności było kilka staroświeckich reklam moxie w zakurzonej witrynie (PIJ MOXIE DLA ZDROWIA! - głosiła największa).

Cień Kennebec Fruit sięgał przez ulicę do mojego samochodu. Po mojej prawej stronie, tam gdzie kiedyś był monopolowy, teraz stał schludny murowany budynek, w którym mieścił się oddział Key Bank. Po co komu zielony sklep, kiedy można wskoczyć do pierwszego lepszego spożywcza i wyskoczyć z połówką jacka danielsa albo litrem likieru kawowego? I to nie w lichej papierowej torbie; w dzisiejszych czasach używamy plastikowej folii, synu. Tysiąc lat wytrzyma. A skoro już mowa o sklepach spożywczych, nigdy nie słyszałem o takim, który nazywał się Red & White. W Falls zakupy robiło się w IGA, stojącym przecnicę dalej przy drodze numer 196. Dokładnie naprzeciwko starej stacji kolejowej. W której dziś był sklep z T-shirtami połączony z salonem tatuażu.

Mimo to przeszłość w tej chwili wydawała się bardzo bliska - może sprawiał to złocisty odcień dogasającego letniego światła, w którym zawsze widziałem coś z lekka nadprzyrodzonego. Tak jakby rok 1958 wciąż tu był, tylko schowany za cienką zasłoną minionych pięćdziesięciu trzech lat. I, jeśli nie uroiłem sobie tego, co przytrafiło mi się tego popołudnia, tak właśnie było.

Chce, żebym coś zrobił, pomyślałem. Coś, co zrobiłby sam, gdyby rak mu nie przeszkodził. Mówił, że był tam cztery lata (przynajmniej wydawało mi się, że tak powiedział), ale cztery lata to było za krótko.

Czy byłem gotów znów zejść po tych schodach i zostać tam ponad cztery lata? Praktycznie się tam przeprowadzić? I wrócić dwie minuty później... tyle że już po czterdziestce, z pierwszymi siwymi pasemkami włosów? Nie mogłem sobie tego wyobrazić, ale nie mogłem sobie też wyobrazić, co Alowi wydało się tak ważne w tamtym świecie. Wiedziałem tylko, że cztery, sześć, osiem lat mojego życia to zbyt wygórowana prośba, nawet od umierającego człowieka.

Miałem jeszcze ponad dwie godziny do umówionego spotkania z Alem. Postanowiłem wrócić do domu, znowu zrobić sobie coś do jedzenia i tym razem wmusić to w siebie. Potem jeszcze raz spróbuję dokończyć sprawdzanie wypracowań. Może i byłem jednym z niewielu ludzi, którzy cofnęli się w czasie - kto wie, może Al i ja dokonaliśmy tego jako jedyni w dziejach świata - ale moi uczniowie tak czy tak będą chcieli poznać swoje oceny końcowe.

Jadąc do miasta, nie słuchałem radia, ale teraz je włączyłem. I ono, i mój telewizor odbierają programy wysyłane ze sterowanych komputerowo wędrowców kosmicznych krążących wokół Ziemi na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy kilometrów - koncepcja, którą nastoletni Frank Ancietti ani chybi przyjąłby z wybaluszonymi ze zdumienia oczami (ale pewnie nie z zupełnym niedowierzaniem). Nastawiłem stację Fifties on Five, akurat leciało „Rock and Roll is Here to Stay” Danny and the Juniors - trzy, może cztery natarczywe, harmoniczne głosy z towarzyszeniem łupiącego jak młot pneumatyczny fortepianu. Potem był Little Richard krzyczący na całe gardło „Lucille” i Ernie K-Doe właściwie wyjękujący „Mother-in-Law”: „Nic, tylko rady dawać by chciała, najbardziej by pomogła, jakby wyjechała”. Wszystko to brzmiało świeżo i słodko jak pomarańcze, w których pani Symonds i jej przyjaciółki przebierały tamtego wczesnego popołudnia.

Wszystko to wydawało się nowe.

Czy chciałem spędzić całe lata w przeszłości? Nie. Ale chciałem tam wrócić. Choćby po to, żeby usłyszeć Little Richarda, kiedy jeszcze był na szczytach list przebojów. Albo wsiąść do samolotu Trans World Airlines bez konieczności zdjęcia butów, poddania się prześwietleniu całego ciała i przejścia przez wykrywacz metalu.

I chciałem wypić jeszcze jedno piwo korzenne.

ROZDZIAŁ 3

1

Krasnal rzeczywiście miał flagę, ale nie amerykańską. Nawet nie flagę Maine z łosiem. Ta, którą trzymał krasnal, miała pionowy niebieski pas i dwa grube pasy poziome, górny biały, dolny czerwony. Była na niej też gwiazda. Przechodząc, poklepałem krasnala po spiczastej czapce i wdrapałem się na schody małego domku Ala na Vining Street, myśląc o zabawnej piosence Raya Wylie Hubbarda „Screw You, We're from Texas”.

Drzwi się otworzyły, zanim mogłem zadzwonić. Al miał na sobie szlafrok włożony na piżamę, jego od niedawna siwe włosy były poskręcane i poplątane - najpoważniejszy przypadek odpoduszkowego kołtuna, jaki w życiu widziałem. Jednak te parę godzin snu (i prochy przeciwbólowe, rzecz jasna) dobrze mu zrobiły. Wciąż wyglądał na chorego, ale bruzdy wokół jego ust były płytsze i kiedy prowadził mnie przez krótką namiastkę przedpokoju do salonu, szedł jakby pewniejszym krokiem. Nie uciskał już prawą ręką lewej pachy, jakby próbował się trzymać w jednym kawałku.

- Trochę bardziej przypominam dawnego siebie, co? - spytał swoim chropawym głosem, kiedy usiadł w głębokim fotelu. A właściwie nie tyle usiadł, ile ustawił się w odpowiedniej pozycji i opadł.

- Fakt. Co ci powiedzieli lekarze?

- Ten, u którego byłem w Portland, że nie ma nadziei, nawet chemia i radioterapia nic nie dadzą. Dokładnie to samo usłyszałem od lekarza w Dallas. W 1962 roku. Miło wiedzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniają, co?

Otworzyłem i zamknąłem usta. Czasem nie da się nic powiedzieć. Czasem człowieka po prostu zatyka.

- Nie ma co owijać w bawełnę - mówił dalej. - Wiem, śmierć to krępująca sprawa, zwłaszcza kiedy ten, kto umiera, może za to winić tylko swoje złe nawyki, ale szkoda mi czasu na delikatność. Już niedługo wyląduję w szpitalu, choćby dlatego, że nie będę w stanie sam chodzić do łazienki. A za cholerę nie zamierzam tu siedzieć, pluć płucami i tonąć po pas we własnym gównie.

- Co z barem?

- Bar jest skończony, przyjacielu. Nawet gdybym był zdrowy jak koń, pod koniec miesiąca już by go nie było. Chyba wiesz, że tylko dzierżawiłem grunt?

Nie wiedziałem, ale to brzmiało logicznie. Choć Worumbo wciąż nazywało się Worumbo, dziś było typowym, modnym centrum handlowym, więc to znaczyło, że Al wynajmował teren od jakiejś korporacji.

- Zbliża się termin odnowienia dzierżawy i Mill Associates chce tę działkę, żeby postawić coś o nazwie... to ci się spodoba... L.L. Bean's Express. Poza tym mówią, że moja mała przyczepa AluminAire szpeci otoczenie.

- Nonsens! - powiedziałem z tak autentycznym oburzeniem, że Al zachichotał. Chichotanie próbowało przejść w kaszel, więc je stłumił. Tu, w zaciszu własnego domu, nie zasłaniał ust chusteczkami ani serwetkami; na stoliku obok fotela leżała paczka podpasek. Moje oczy uparcie do niej wracały. Zmuszałem je, żeby patrzyły gdzie indziej, choćby na zdjęcie na ścianie, przedstawiające Alę obejmującego ramieniem ładną kobietę, one jednak raz po raz wędrowały ku temu stolikowi. Oto jedna z wielkich prawd o kondycji ludzkiej: jeśli tylko podpaski Stayfree mogą wchłonąć plwocinę wytwarzaną przez twój znękany organizm, to masz głęboko przerąbane.

- Dzięki, że tak mówisz, przyjacielu. Napijmy się na to konto. Z alkoholem pożegnałem się na dobre, ale w lodówce jest mrożona herbata. Czyń honory domu, jeśli łaska.

2

W restauracji używał solidnych naczyń ze zwykłego szkła, lecz dzbanek z mrożoną herbatą wyglądał na wykonany ze szkła waterfordzkiego. Na powierzchni łagodnie kołysała się cała cytryna z rozciętą skórką, nasączająca napój swoim smakiem. Napchałem lodu do dwóch szklanek, nalałem herbaty i wróciłem do salonu. Al wziął długi łyk i błogo zamknął oczy.

- O rany, ale to dobre. W tej chwili wszystko w Świecie Ala jest dobre. Te prochy to wspinała rzecz. Oczywiście, uzależniają jak skurczybyk, ale są cudowne. Nawet trochę łagodzą kaszel. O północy ból zacznie wracać, lecz do tego czasu powinniśmy zdążyć wszystko obgadać. - Wziął następny łyk i spojrzał na mnie z melancholijnym rozbawieniem. - Wychodzi na to, że rzeczy doczesne są piękne aż do samego końca. Kto by przypuszczał.

- Al... co się stanie z tym... tą dziurą do przeszłości, kiedy zabiorą twoją przyczepę i postawią tam sklep?

- Nie wiem tego, tak samo jak nie wiem, dlaczego mogę raz po raz kupować to samo

mięso. Wydaje mi się, że zniknie. Myślę, że to taki sam wybryk natury jak gejzer Old Faithful, ta dziwna balansująca skała w zachodniej Australii czy rzeka, która odwraca bieg w określonych fazach księżyca. Takie cuda są kruche, przyjacielu. Lekkie ruchy tektoniczne, zmiana temperatury, kilka lasek dynamitu i już po nich.

- Czyli nie sądzisz, że wydarzy się... nie wiem... jakiś kataklizm? - Miałem wizję dziury w kabinie samolotu pasażerskiego, która wsysa wszystko, włącznie z pasażerami. Widziałem to w jednym filmie.

- Nie, ale kto to może wiedzieć? Wiem tylko, że tak czy tak nic na to nie poradzę. No chyba że chcesz, bym zapisał ci lokal w spadku. Mogę tak zrobić. Wtedy mógłbyś pójść do Towarzystwa Ochrony Zabytków i powiedzieć: „Ludzie, nie dajcie im postawić sklepu na dziedzińcu starych zakładów Worumbo. Tam jest tunel czasowy. Wiem, trudno w to uwierzyć, ale chodźcie, pokażę wam”.

Przez chwilę autentycznie rozpatrywałem taką możliwość, bo Al zapewne miał rację; szczelina prowadząca do przeszłości prawie na pewno była delikatna. Ani ja, ani on nie mogliśmy wiedzieć, czy aby nie pęknie jak bańka mydlana, gdy przyczepa choćby się mocniej zatrzęsie. Potem pomyślałem, co by było, gdyby rząd federalny odkrył, że może wysłać siły specjalne do przeszłości, żeby zmienić wszystko, co tylko zechce. Nie wiedziałem, czy to rzeczywiście możliwe, ale jeśli tak, za nic w świecie bym nie chciał, żeby ludzie, którym zawdzięczamy takie fajne zabawki jak broń biologiczna i sterowane komputerowo inteligentne bomby, przenieśli swoje intrygi do żywej, nieopancerzonej przeszłości.

W tej samej chwili - ba, w tej samej sekundzie - kiedy ta myśl przysła mi do głowy, zrozumiałem, co Al zamierza. Brakowało tylko konkretów. Odstawiłem mrożoną herbatę i wstałem.

- Nie. Wykluczone. Nigdy w życiu.

Przyjął to ze spokojem. Mógłbym powiedzieć, że to dlatego, że był naćpany oxycontinem, ale wiedziałem, że nie w tym rzecz. Widział po mnie, że nie zamierzam wyjść, bez względu na to, co powiem. Moja fascynacja musiała być widoczna jak nastroszone kolce jeżozwierza. Bo w głębi ducha naprawdę chciałem poznać te konkrety.

- Widzę, że mogę pominąć wstęp i od razu przejść do rzeczy - powiedział Al. - No dobrze, usiądź, Jake, to zdradzę ci jedyny powód, dla którego po prostu nie wziąłem całego mojego zapasu małych różowych pigułek naraz. - A kiedy nadal stałem: - Chcesz tego posłuchać, i co ci szkodzi? Nawet gdybym mógł cię zmusić do czegoś tu, w 2011 roku... a nie mogę... tam do niczego cię nie zmuszę. Kiedy tam wrócisz, Al Templeton będzie czteroletnim

brzdącem w Bloomington w Indianie, galopującym po podwórku w masce Samotnego Jeźdźca i wciąż jeszcze średnio zorientowanym w kwestii samodzielnego korzystania z toalety. Siadaj. Jak mówią w telezakupach, nie jesteś do niczego zobowiązany.

Jasne. Z drugiej strony, moja matka powiedziałaaby: „głos diabła jest słodki”.

Ale usiadłem.

3

- Znasz określenie „moment przełomowy”, przyjacielu?

Skinąłem głową. Nie trzeba być nauczycielem angielskiego, żeby je znać; nie trzeba nawet umieć czytać. To było jedno z tych irytujących uproszczeń, które dzień w dzień słyszy się na kanałach informacyjnych. Inne to „wnioski są oczywiste” i „na chwilę obecna”. Najbardziej irytujące ze wszystkich (ileż to razy pomstowałem przeciwko niemu przy moich wyraźnie znudzonych uczniach) jest kompletnie nic nieznaczące „niektórzy twierdzą” lub „zdaniem wielu”.

- Wiesz, jak ja je sobie tłumaczę?

- Nie.

- Że historia to rzeka, a momenty przełomowe to zdarzenia, które powodują zmianę jej biegu. Zgodzisz się?

- Może i tak. - Napilem się herbaty.

- Czasem wydarzenia, które zmieniają historię, mają rozległy zasięg... jak długie, intensywne deszcze na obszarze całego dorzecza, które mogą sprawić, że rzeka wystąpi z brzegów. Rzeki jednak mogą wylewać nawet w słoneczne dni. Wystarczy silna, długotrwała ulewa w jednym małym fragmencie dorzecza. Rzeka historii też ma swoje gwałtowne powodzie. Podać ci przykłady? Co powiesz o jedenastym września? Albo o zwycięstwie Busha nad Gore'em w dwutysięcznym roku?

- Nie możesz porównywać wyborów prezydenckich do gwałtownej powodzi, Al.

- Większości może i nie, ale tamte wybory były jak żadne inne. A gdybyś tak mógł wrócić na Florydę jesienią dwutysięcznego roku i wydać, powiedzmy, dwieście tysięcy dolarów na rzecz Ala Gore'a?

- Byłoby z tym parę problemów - powiedziałem. - Po pierwsze, nie mam dwustu tysięcy dolarów. Po drugie, jestem nauczycielem. Mogę ci powiedzieć wszystko o fiksacji Thomasa Wolfe'a na matce, ale jeśli chodzi o politykę, jestem jak dziecko we mgle.

Niecierpliwie machnął ręką i sygnet marines omal nie zleciał z jego wychudłego

palca.

- Pieniądze to nie kłopot. Co do tego na razie musisz mi wierzyć na słowo. A wiedza o tym, co się wydarzy, zwykle bije na głowę doświadczenie. O wyniku na Florydzie podobno przesądziło niespełna sześćset głosów. Myślisz, że mógłbyś w dniu wyborów kupić sześćset głosów za dwieście kawałków, gdyby nie było innego wyjścia?

- Może. Pewnie tak. Wybrałbym kilka okręgów, w których panuje ogólny marazm i frekwencja tradycyjnie jest niska... długo nie musiałbym szukać... a potem bym tam wjechał z kasą.

Al uśmiechnął się szeroko, odsłaniając szcerby i chore dziąsła.

- Czemu nie? W Chicago robią tak od lat.

Myśl o kupnie prezydentury za mniej niż równowartość dwóch mercedesów zamknęła mi usta.

- Kiedy jednak chodzi o rzekę historii, momentami przełomowymi najbardziej podatnymi na zmianę są zamachy... te udane i te nieudane. Arcyksiążę Austrii Franciszek Ferdynand zostaje zastrzelony przez niezrównoważonego psychicznie Gawryła Principa i z tego bierze się pierwsza wojna światowa. Z drugiej strony, kiedy Clausowi von Staffenbergowi nie udało się zabić Hitlera w 1944... a mało brakowało... wojna toczyła się dalej i zginęły kolejne miliony ludzi.

Ten film też oglądałem.

- W sprawie arcyksięcia Ferdynanda i Adolfa Hitlera nie możemy nic zrobić - westchnął Al. - Są poza naszym zasięgiem.

Pomyślałem, czy nie zarzucić mu nieuzasadnionego użycia zaimka w liczbie mnogiej, i trzymałem usta na kłódkę. Czułem się trochę jak człowiek, który czyta strasznie ponurą książkę. Powieść Thomasa Hardy'ego, powiedzmy. Wiadomo, jak się skończy, ale to, zamiast wszystko zepsuć, tylko w dziwny sposób wzmaga fascynację. To tak jakby patrzeć, jak dziecko puszcza kolejkę elektryczną coraz szybciej i szybciej, i czekać, kiedy wagoniki się wykoleją na zakręcie.

- Co do jedenastego września, gdybyś chciał temu zapobiec, musiałbyś czekać czterdzieści trzy lata. Byłbyś pod osiemdziesiątkę, o ile w ogóle byś tego dożył.

Teraz zrozumiałem, dlaczego krasnal trzyma flagę Teksasu. To była pamiątka z ostatniej wycieczki Ala w przeszłość.

- Nie dociągnąłeś nawet do sześćdziesiątego trzeciego, co?

Nie odpowiedział, tylko patrzył na mnie. Jego oczy, które wydawały się kaprawe i niewyraźne, kiedy tego popołudnia wpuścił mnie do baru, teraz były jasne. Wręcz młode.

- Bo o to ci właśnie chodzi, prawda? - pytałem dalej. - Dallas w 1963?

- Zgadza się - powiedział. - Ja musiałem się wycofać. Ale ty nie chorujesz, przyjacielu. Jesteś zdrowy, w kwiecie wieku. Możesz tam wrócić i możesz temu zapobiec.

Wychylił się do przodu. Jego oczy były więcej niż jasne; płonęły.

- Możesz zmienić historię, Jake. Rozumiesz to? John Kennedy... może... przeżyć.

4

Znam podstawowe reguły suspensu - wypada, tyle thrillerów w życiu czytałem - i najważniejsza głosi, że trzeba trzymać czytelnika w niepewności. Jednak jeśli na podstawie nadzwyczajnych wydarzeń tego dnia zdołaliście choć trochę wczuć się w mój sposób myślenia, zrozumiecie, że chciałem dać się przekonać. Christy Epping została Christy Thompson (chłopak poznaje dziewczynę u Anonimowych Alkoholików, pamiętacie?) i byłem sam. Nie mieliśmy nawet dzieci, o które moglibyśmy się kłócić. Miałem pracę, w której byłem dobry, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że stanowiła dla mnie wyzwanie. Jediną namiastką przygody w moim życiu była odbyta z kumplem po ostatnim roku studiów podróż autostopem po Kanadzie, a że większość Kanadyjczyków to ludzie z natury uczynni i pogodni, przygody w tym było tyle co nic. Teraz znienacka dostałem szansę, by zostać ważną postacią w historii nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale i całego świata. Dlatego tak, tak, tak, chciałem dać się przekonać.

Jednocześnie się bałem.

- A jeśli coś pójdzie nie tak? - Dopilem resztę mrożonej herbaty czterema długimi łykami, kostki lodu stukały o moje zęby. - A jeśli, Bóg wie jak, zdołam temu zapobiec, a to wszystko pogorszy, zamiast poprawić? A jeśli po powrocie odkryję, że Ameryką rządzą faszyci? Albo że środowisko jest tak skażone, że wszyscy chodzą w maskach przeciwigazowych?

- Wtedy wrócisz jeszcze raz - powiedział. - Do za dwie dwunasta dziewiątego września 1958 roku. W ten sposób wszystko wykasujesz. Każda podróż jest pierwszą podróżą, pamiętasz?

- No dobrze, a jeśli zmiany będą tak radykalne, że twojego baru w ogóle nie będzie?

Uśmiechnął się szeroko.

- Wtedy musiałbyś przeżyć resztę życia w przeszłości. Ale czy to byłoby takie złe? Jako nauczyciel angielskiego nadal miałbyś w ręku ceniony fach, zresztą nawet byś go nie potrzebował. Byłem tam cztery lata, Jake, i zbiłem małą fortunę. Wiesz jak?

Mogłem się domyślić, ale pokręciłem głową.

- Na zakładach. Byłem ostrożny... nie chciałem wzbudzać podejrzeń, a już na pewno nie chciałem, żeby jakiś bukmacher nasłał na mnie swoich oprychów... ale kiedy znasz wyniki wszystkich ważnych zawodów sportowych między latem 1958 roku a jesienią 1963, możesz sobie pozwolić na ostrożność. Nie powiem, że możesz żyć jak król, bo takie życie byłoby zbyt niebezpieczne, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś się dobrze urządził. I sądzę, że bar nadal będzie stał na swoim miejscu. Zawsze tam był, kiedy wracałem, a zmieniałem wiele rzeczy. Każdy to robi. Samo to, że idziesz za róg po chleb i mleko, zmienia przyszłość. Słyszałeś o efekcie motyla? To taka wydumana teoria naukowa, która w gruncie rzeczy sprowadza się do tego, że...

Znów zaczął kaszleć; pierwszy dłuższy atak, odkąd mnie wpuścił. Wyszarpnął z pudełka podpasękę, przycisnął ją do ust jak knebel i zgiął się wpół. Z jego piersi wrywały się straszliwe dźwięki jak przy wymiotowaniu. Brzmiało to tak, jakby rozleciało się pół jego maszynierii i części obijały się o siebie jak samochodziki w wesołym miasteczku. Wreszcie kaszel osłabł. Al zerknął na podpasękę, skrzywił się, złożył ją i wyrzucił.

- Przepraszam, przyjacielu. Ta ustna miesiączka jest upierdliwa.

- Al, Jezu!

Wzruszył ramionami.

- Jeśli nie można z tego żartować, to gdzie w tym wszystkim sens? Na czym to ja stanąłem?

- Na efekcie motyla.

- Ano tak. To znaczy, że drobne zdarzenia mogą mieć wielkie... jak to powiedzieć... konsekwencje. Idea jest taka, że jeśli jakiś facet zabije motyla w Chinach, to czterdzieści czy czterysta lat później może nastąpić trzęsienie ziemi w Peru. Wariactwo, zgodzisz się ze mną?

Zgadzałem się, ale przypomniałem sobie stary, wyświechtany paradoks związany z podróżami w czasie i wyciągnąłem go z rękawa.

- No dobra, ale co by było, gdybyś cofnął się w czasie i zabił własnego dziadka?

Patrzył na mnie ze zdumieniem.

- A po jaką cholere miałbym to zrobić?

To było dobre pytanie, poprosiłem więc tylko, żeby mówił dalej.

- Tego popołudnia przez samo to, że wszedłeś do Kennebec Fruit, zmieniłeś przeszłość na wiele drobnych sposobów... lecz schody prowadzące do spiżarni i roku 2011 były na swoim miejscu, zgadza się? A w Falls wszystko jest tak jak przedtem.

- Na to wygląda, owszem. Ale tobie chodzi o coś trochę poważniejszego. Konkretnie,

o uratowanie życia JFK.

- Och, chodzi mi o dużo więcej, bo nie mówimy tu o jakimś motylku w Chinach, przyjacielu. Chodzi mi też o uratowanie życia Roberta Kennedy'ego, bo jeśli John przeżyje wizytę w Dallas, Robert nie będzie kandydował na prezydenta w 1968. Naród nie byłby gotowy zastąpić jednego Kennedy'ego drugim.

- Nie wiesz tego na pewno.

- Nie, ale posłuchaj. Myślisz, że jeśli ocalisz życie Johnowi Kennedy'emu, jego brat Robert i tak będzie w hotelu Ambassador kwadrans po północy piątego czerwca 1968 roku? A nawet jeśli, że Sirhan Sirhan będzie pracował w kuchni?

Być może, ale prawdopodobieństwo tego musiało być nikłe. Jeśli wprowadzić do równania milion zmiennych, to oczywiste, że rozwiązanie musi się zmienić.

- A co z Martinem Lutherem Kingiem? Czy mimo wszystko będzie w Memphis w kwietniu sześćdziesiątego ósmego roku? A nawet jeśli, czy będzie stał na balkonie motelu Lorraine w odpowiednim momencie, by James Earl Ray mógł go zastrzelić? Jak myślisz?

- Jeśli ta teoria z motylem jest słuszna, pewnie nie.

- Też tak uważam. A jeśli Martin Luther King przeżyje, nie będzie zamieszek rasowych, które wybuchły po jego śmierci. Może Fred Hampton nie zginie zastrzelony w Chicago.

- Kto?

Zignorował mnie.

- A skoro już o tym mowa, może nie powstanie Symbionistyczna Armia Wyzwolenia, bo Donaldowi DeFreeze i reszcie tego towarzystwa tylko rasizm był w głowie. Bez Symbionistycznej Armii Wyzwolenia nie będzie porwania Patty Hearst. A jeśli nie będzie porwania Patty Hearst, biała klasa średnia będzie miała mniej powodów, żeby bać się czarnych.

- Gubię wątek. Przypominam, że kończyłem anglistykę.

- Gubisz wątek, bo więcej wiesz o wojnie secesyjnej w dziewiętnastym wieku niż o tej, która rozdarła ten kraj po zabójstwie Kennedy'ego w Dallas. Gdybym cię spytał, kto grał główną rolę w „Absolwencie”, na pewno znalazłbyś odpowiedź. Ale gdybym spytał, kogo Lee Oswald próbował zabić raptem kilka miesięcy przed zamachem na Kennedy'ego, zrobiłbyś wielkie oczy. Bo o tych sprawach z jakiegoś powodu zapomniano.

- Oswald próbował kogoś zabić przed Kennedym? - To była dla mnie nowina, ale większość mojej wiedzy o zamachu na Kennedy'ego pochodziła z filmu Olivera Stone'a. Tak czy owak, Al nie odpowiedział. Al był w ciągu.

- A co z Wietnamem? Cała ta obłądana eskalacja zaczęła się za Johnsona. Kennedy był wojownikiem zimnej wojny, co do tego nie ma wątpliwości, ale Johnson posunął się w tym dużo dalej. Miał kompleks pod tytułem „mam większe jaja niż wy”, ten sam, którym wykazał się Bush, kiedy stanął przed kamerami i powiedział, że jeśli iraccy rebelianci chcą atakować, niech spróbują. Kennedy mógł zmienić zdanie. Johnson i Nixon byli do tego niezdolni. Przez nich straciliśmy w Wietnamie prawie sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Wietnamczycy, z północy i południa, stracili miliony ludzi. Czy doszłoby do takiej jatki, gdyby Kennedy nie zginął w Dallas?

- Nie wiem. Ty też nie, Al.

- Fakt, ale ostatnio pilnie studiuję historię współczesnej Ameryki i chyba jest spora szansa, że ratując go, zmieni się sytuację na lepsze. I tak naprawdę nie ma żadnych minusów. Jeśli wszystko się popieprzy, po prostu to odkręcisz. Łatwizna. Jakbyś ścierał brzydkie słowo z tablicy.

- Albo nie będę mógł wrócić, a wtedy nigdy się tego nie dowiem.

- Gówno prawda. Młody jesteś. Jeśli nie wpadniesz pod taksówkę i nie dostaniesz ataku serca, pożyczysz dość długo, żeby zobaczyć, jak się wszystko ułoży.

Siedziałem w milczeniu, wpatrzony w swoje kolana, zamyślony. Al mi nie przeszkadzał. Wreszcie znów podniosłem głowę.

- Musiałeś dużo czytać o zamachu i Oswaldzie.

- Wszystko, co mi w ręce wpadło, przyjacielu.

- Na ile jesteś pewien, że on to zrobił? Bo jest z tysiąc teorii spiskowych. Nawet ja to wiem. A jeśli wrócę, powstrzymam go i ktoś inny kropnie Kennedy'ego z Trawiastego Wzgórza, czy jak to się nazywało?

- Trawiasty Pagórek. I jestem w prawie stu procentach pewien, że Oswald działał sam. Pierwsza sprawa, wszystkie teorie spiskowe były dość zwariowane i z czasem większość obalono. Na przykład sugestię, że strzelał nie Oswald, tylko jego sobowtór. W 1981 roku ekshumowano go i zrobiono badania DNA. To był on, bez dwóch zdań. Parszywy gnojek. - Zamilkł, po czym dodał: - Wiesz, spotkałem go.

Wybałuszylem oczy.

- Chrzanisz!

- O tak. Rozmawiał ze mną. To było w Fort Worth. On i Marina... jego żona, Rosjanka... byli z wizytą u brata Oswalda. Jeśli Lee kogokolwiek kochał, to właśnie swojego brata Bobby'ego. Stałem pod płotem okalającym podwórze Bobby'ego Oswalda, oparty o słup telefoniczny, paliłem papierosa i udawałem, że czytam gazetę. Serce waliło mi chyba ze

dwieście razy na minutę. Lee i Marina wyszli razem. Ona trzymała na rękach ich córkę, June. Maleństwo, miała niecały rok. Dziecko spało. Ozzie był ubrany w koszulkę Ivy League z przetartym kołnierzykiem. Spodnie miały ostry kant, ale były brudne. Nie był już ostrzyżony na zapalną jak marine, lecz za włosy byś go nie złapał, wciąż były dużo za krótkie. Marina... Chryste Panie, ale laska! Ciemne włosy, jasnoniebieskie oczy, idealnie gładka skóra. Wygląda, kurde, jak gwiazda filmowa. Jeśli się na to zdecydujesz, sam zobaczysz. Powiedziała coś do Oswalda po rosyjsku, gdy szli przez podwórko. On coś odpowiedział. Uśmiechał się, kiedy mówił, ale potem ją popchnął. Mało się nie przewróciła. Dziecko obudziło się i zaczęło płakać. Oswald przez cały ten czas się uśmiechał.

- Widziałeś to. Na własne oczy. Widziałeś go. - Mimo mojej własnej podróży w czasie byłem przynajmniej na połę przekonany, że to musiało być urojenie albo wierutne kłamstwo.

- Tak. Wyszła przez furtkę i minęła mnie ze spuszczoną głową, trzymając dziecko przy piersi. Jakby w ogóle mnie tam nie było. Za to on podszedł do mnie tak blisko, że czułem zapach Old Spice'a, którym się spryskał, żeby stłumić smród potu. Nos miał cały w wagrach. Po jego ubraniu... i butach, które były zdarte i rozłaziły się z tyłu... można było poznać, że nie tylko nie miał co do garnka włożyć, ale nawet nie miał garnka, jednak kiedy spojrzałeś mu w twarz, wiedziałeś, że dla niego to się nie liczy. Myślał sobie, że jest gość.

Al chwilę milczał, po czym pokręcił głową.

- Nie, cofam to. On wiedział, że jest gość. Czekał tylko, aż reszta świata się o tym przekona. W każdym razie stałem z nim twarzą w twarz, tak blisko, że mogłem go udusić gołymi rękami, i nie myśl, że nie przyszło mi to do głowy...

- Dlaczego tego nie zrobiłeś? Albo po prostu nie strzeliłeś mu w łeb?

- Na oczach jego żony i dziecka? Mógłbyś to zrobić, Jake?

Nie musiałem długo się zastanawiać.

- Raczej nie.

- To tak jak ja. Miałem też inne powody. Jednym była awersja do więzienia stanowego... i krzesła elektrycznego. Staliśmy na ulicy, przypominam.

- Aha.

- No właśnie, aha. Kiedy do mnie podszedł, na twarzy wciąż miał ten swój uśmiezek. Butny i lalusiowaty jednocześnie. Ma ten uśmiech na chyba każdym zdjęciu, jakie mu zrobiono. Tak właśnie uśmiechał się na komendzie w Dallas, kiedy aresztowali go za zabójstwo prezydenta i policjanta, na którego przypadkiem się nadział podczas próby ucieczki. Mówi do mnie: „Na co pan tak patrzy?”. Powiedziałem: „Na nic, przyjacielu”. A on na to: „To pilnuj pan własnego nosa”.

Marina czekała na niego, próbowała uspokoić i uśpić dziecko. Tego dnia było gorąco jak diabli, ale na głowie miała chustkę, wiele Europejek nosi je w tamtych czasach. Lee podszedł do niej, złapał ją za łokieć, jak glina, nie mąż... i mówi: *Pachoda! Pachoda!* - chodźże, chodźże. Ona coś odpowiedziała, może spytała go, czy nie mógłby trochę ponieść dziecka. Przynajmniej tak się domyślam. Jednak tylko ją odepchnął i powiedział: *Pachoda, suka!* Chodźże, suko. I posłuchała go. Poszli w stronę przystanku autobusowego. I tyle.

- Znasz rosyjski?

- Nie, ale mam dobry słuch i komputer.

- Widziałeś go jeszcze potem?

- Tylko z daleka. Wtedy byłem już chory. - Uśmiechnął się szeroko. - Nigdzie w Teksasie nie dostaniesz lepszych dań z grilla niż w Fort Worth, a ja nie mogłem ich jeść. Świat czasem bywa okrutny. Poszedłem do lekarza, usłyszałem diagnozę, którą wtedy sam mogłem sobie postawić, i wróciłem do dwudziestego pierwszego wieku. Właściwie i tak nie było już czego oglądać. Ot, chudy kurdupel, który leje żonę i czeka na sławę.

Wychylił się do przodu.

- Wiesz, kim był człowiek, który zmienił historię Ameryki? Samotnikiem ze zrzędliwą, apodyktyczną matką. Jeszcze w wieku jedenastu lat spał z nią w jednym łóżku... ojca nie miał. Był typem smarkacza, który rzuca w inne dzieci kamieniami i ucieka. Zanim wstąpił do marines... żeby być jak jego brat Bobby, był zapatrzony w Bobby'ego... mieszkał w dwudziestu paru różnych miejscach, od Nowego Orleanu po Nowy Jork. Miał wielkie plany i nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie nie chcą o nich słuchać. To go irytowało... rozwścieczało... ale nigdy nie tracił tego swojego wrednego, lalusiowatego uśmiešku. Wiesz, jak nazwał go William Manchester?

- Nie. - Nie wiedziałem nawet, kto to jest William Manchester.

- Żalonym przybłądą. Manchester mówił o wszystkich teoriach spiskowych, które rozpleniły się po zamachu... i po zabiciu Oswalda. O tym chyba słyszałeś, co?

- Oczywiście - powiedziałem, lekko rozdrażniony. - Zastrzelił go Jack Ruby. - Jednak biorąc pod uwagę luki w mojej wiedzy, które już zademonstrowałem, miał prawo żywić wątpliwości.

- Manchester stwierdził, że jeśli położyć na jednej szali zamordowanego prezydenta, a na drugiej Oswalda, żalowanego przybłądę, nie powstanie równowaga. Za nic w świecie. Gdybyś chciał nadać śmierci Kennedy'ego jakieś znaczenie, musiałbyś dorzucić coś cięższego. Stąd mnogość teorii spiskowych. Na przykład że stała za tym mafia, że zamach zlecił Carlos Marcello. Albo że zrobiło to KGB. Lub Castro, żeby odegrać się na CIA za

próbę podrzucenia mu zatrutych cygar. Do dziś niektórzy wierzą, że zrobił to Lyndon Johnson, żeby zostać prezydentem. Ale w ostatecznym rozrachunku... - Al pokręcił głową. - To był Oswald, prawie na pewno. Słyszałeś chyba o brzytwie Ockhama?

Miło było wiedzieć coś na pewno.

- To podstawowy truizm nazywany czasem zasadą ekonomii. „Przy tych samych okolicznościach najprostsze wyjaśnienie zwykle jest właściwe”. W takim razie dlaczego nie zabiłeś go, kiedy nie był z żoną i dzieckiem na ulicy? Też służyłeś w marines. Gdy już wiedziałeś, jak ciężko jesteś chory, czemu sam nie rozwaliłeś tego aroganckiego skurwysyna?

- Bo dziewięćdziesiąt pięć procent pewności to nie sto. Bo czy był pojebem, czy nie, był głową rodziny. Bo po aresztowaniu twierdził, że jest kozłem ofiarnym, i chciałem mieć pewność, że kłamał. Nie wierzę, że na tym podłym świecie można być pewnym czegośkolwiek na sto procent, ale chciałem dojść chociaż do dziewięćdziesięciu ośmiu. Nie miałem jednak zamiaru czekać do dwudziestego drugiego listopada i powstrzymać go w Teksaskiej Składnicy Podręczników... zwlekanie do ostatniej chwili byłoby zbyt ryzykowne. Z jednego ważnego powodu, o którym będę ci musiał powiedzieć.

Jego oczy nie były już tak jasne, bruzdy na twarzy znów się pogłębiały. Przerazało mnie, jak szybko tracił energię.

- Wszystko spisałem. Chcę, żebyś to przeczytał. Więcej, chcę, żebyś wykuł to na blachę. Zajrzyj na telewizor, przyjacielu. Możesz to zrobić? - Obdarzył mnie zmęczonym uśmiechem i dodał: - Za wygodnie mi się siedzi.

Leżał tam gruby niebieski zeszyt. Na okładce wybita cena: dwadzieścia pięć centów. Nazwa producenta nic mi nie mówiła.

- Co to jest Kresge's?

- Sieć domów towarowych dziś znana jako K-mart. Nie zajmuj się tym, co na okładce, skup się na tym, co w środku. To kalendarium działań Oswalda plus wszystkie dowody przeciwko niemu... których w zasadzie nie musisz czytać, bo jeśli przyjmiesz moją propozycję, powstrzymasz gnoja w kwietniu 1963 roku, ponad pół roku przed wizytą Kennedy'ego w Dallas.

- Dlaczego w kwietniu?

- Bo wtedy ktoś próbował zabić generała Edwina Walkera... wówczas już byłego generała. Wyrzucili go z wojska w 1961 na polecenie samego JFK. Generał Eddie rozdawał żołnierzom teksty segregacjonistów i kazał im to czytać.

- Oswald próbował go zastrzelić?

- To właśnie musisz sprawdzić. Karabin był ten sam, co do tego nie ma wątpliwości,

potwierdziły to badania balistyczne. Czekalem, zeby zobaczyc, jak z niego strzeli. Moglem sobie pozwolic na to, zeby nie interweniowac, bo przy tej okazji Oswald chybil. Kula odbila sie od listwy kuchennego okna. Minimalnie, ale to wystarczylo. Doslownie zrobila Walkerowi przedzialek we wlosach, a drzazgi oderwane od szczebliny skaleczyly go w ramie. To byla jego jedyna rana. - Al pokrecil glowa. - Nie powiem, ze ten czlowiek zaslugiwal na smierc... bardzo niewielu jest ludzi az tak zlých, by zaslugiwali na to, zeby ich zastrzelono z ukrycia... ale bez mrugnienicia okiem zamienilbym Walkera na Kennedy'ego.

Nie sluchalem ostatnich slow Ala. Przegladalem jego Ksiege Oswalda, strone za strona ciasno zapisanych notatek. Na poczatku byly w pelni czytelne, pod koniec juz mniej. Ostatnie kilka stron zajmowaly gryzmoły ciężko chorego czlowieka. Zamknalem zeszyt z trzaskiem.

- Gdybys mogl potwierdzic, ze do generała Walkera strzelal Oswald, to rozwialoby twoje watpliwosci? - spytalem.

- Tak. Musialem sie upewnic, ze jest do tego zdolny. Ozzie to zly czlowiek, Jake. W piecdziesiatym osmym na takich jak on mowi sie gnida. Ale to, ze ktos bije zone i praktycznie ja wiezi tylko dlatego, ze dziewczyna nie zna jezyka, nie usprawiedliwia zabojstwa. I jest cos jeszcze. Nawet gdybym nie zlapał choroby na R, wiedzialem, ze jesli zabije Oswalda i ktos inny mimo to zastrzeli prezydenta, moge nie dostac nastepnej szansy, zeby to naprawic. Czlowieka po szezdziesiatce gwarancja nie obejmuje, jesli wiesz, o czym mowie.

- Czy to musi byc zabojstwo? Nie mogles po prostu... nie wiem... wrobic go w cos?

- Moze i moglem, ale wtedy juz bylem chory. Nie wiem, czy dalbym rade, nawet gdybym byl zdrowy. Ogolnie wydawalo sie, ze latwiej bedzie go po prostu wykonczyc, jak juz uzyskam pewnośc. Pacnac ose, zanim uzadli.

Milczalem zamyslony. Zegar na scianie pokazywal wpol do jedenastej. Al zaczal rozmowe od zapewnienia, ze do polnocy wytrzyma, lecz wystarczył rzut oka na niego, by stwierdzic, ze to byl nadmiar optymizmu.

Zanioslem szklanki do kuchni, oplukalem je i postawilem na suszarce. Czulem sie, jakbym mial w czole lej tornada. Zamiast krow, sztchet i strzepow papieru wciagal i wprawial w wir nazwiska: Lee Oswald, Bobby Oswald, Marina Oswald, Edwin Walker, Fred Hampton, Patty Hearst. Byly w tym leju takze jasne akronimy, krzajace wokol niby chromowane emblematy zerwane z masek luksusowych samochodow: JFK, RFK, MLK. Cyklon mial nawet dzwiek, dwa slowa powtarzane raz po raz: *pachoda, suka*.

Chodze, suko.

5

- Ile mam czasu na decyzję? - spytałem.

- Mało. Bar zwija się z końcem miesiąca. Rozmawiałem z prawnikiem, czy nie dałoby się grać na zwłokę, oddać sprawy do sądu czy coś, ale nie robił mi nadziei. Widziałeś kiedyś w sklepie meblowym napis LIKWIDACJA SKLEPU, WYPRZEDAŻ WSZYSTKIEGO?

- Jasne.

- W dziewięciu przypadkach na dziesięć to bujda, chwyt marketingowy, ale to jest ten dziesiąty przypadek. Bo nie jakiś byle sklepik „wszystko za dolara” pcha się na moje miejsce, nie, to Bean's, a jeśli chodzi o handel detaliczny w Maine, L.L. Bean jest największą małą w dzungli. Pierwszego lipca bar zniknie jak Enron. Ale nie to jest najważniejsze. Pierwszego lipca może już mnie nie być. Mogę się przeziębnić i po trzech dniach umrzeć na zapalenie płuc. Mogę dostać zawału albo udaru. Albo niechcący się zabić tym cholernym oxycontinem. Pielęgniarka, która tu do mnie przychodzi, codziennie pyta, czy uważam, żeby nie przedawkować, a ja uważam, owszem, ale widzę, że i tak się boi, że któregoś ranka przyjdzie i zastanie mnie martwego, zapewne przez to, że się naćpam i stracę rachubę. Poza tym pigułki utrudniają oddychanie, a płuca mi nawalają. W dodatku dużo straciłem na wadze.

- Serio? Nie zauważyłem.

- Nie bądź mądrała, nikt takich nie lubi, przyjacielu... przekonasz się w moim wieku. W każdym razie chcę, żebyś zabrał to razem z zeszytem. - Podał mi klucz. - To do baru. Jeśli jutro zadzwonisz i usłyszysz od pielęgniarki, że w nocy mi się zmarło, będziesz musiał działać szybko. Oczywiście, o ile zdecydujesz się działać.

- Al, chyba nie planujesz...

- Po prostu staram się być ostrożny. To ważna sprawa, Jake. Dla mnie nie ma ważniejszej. Jeśli kiedykolwiek chciałeś zmienić świat, teraz masz szansę. Ocal Kennedy'ego, ocal jego brata. Ocal Martina Luthera Kinga. Zapobiegnij zamieszkom rasowym. Może nawet Wietnamowi. - Wychylił się do przodu. - Pozbądź się jednego żalosego przybłądy, a może ocalisz miliony istnień ludzkich.

- Świetna gadka reklamowa - powiedziałem - ale klucz mi niepotrzebny. Jutro po wschodzie słońca nadal będziesz jechał dużym niebieskim autobusem.

- Na dziewięćdziesiąt pięć procent. To za mało. Weź ten cholerny klucz.

Wziąłem ten cholerny klucz i schowałem do kieszeni.

- Teraz dam ci odpocząć.

- Jeszcze jedna sprawa, zanim pójdziesz. Muszę ci opowiedzieć o Carolyn Poulin i

Andym Cullumie. Usiądź, Jake. To zajmie kilka minut.

Nie usiadłem.

- Nie ma mowy. Jesteś wykończony. Musisz się przespać.

- Wyśpię się po śmierci. Siadaj.

6

Po odkryciu, jak to nazywał, króliczej nory, opowiadał Al, z początku zadawała się korzystaniem z niej do robienia zakupów, postawienia paru zakładów u buka, którego znalazł w Lewiston, i pomnażania zasobów gotówki z lat pięćdziesiątych. Od czasu do czasu robił sobie urlop w środku tygodnia i jeździł nad jezioro Sebago, obfite w ryby, które były i smaczne, i zdrowe. Ludzi niepokoił opad promieniotwórczy z prób broni atomowej, wytłumaczył, ale obawy przed zatruciem rtęcią były jeszcze odległą przyszłością. Nazywał te wypadki (zwykle na wtorek i środę, ale czasem zostawał aż do piątku) swoimi miniwakacjami. Pogoda zawsze była dobra (bo zawsze była ta sama pogoda), a ryby brały jak marzenie (pewnie co najmniej część z nich złowił po kilka razy).

- Doskonale wiem, co o tym wszystkim sądzisz, Jake, bo przez pierwszych kilka lat sam byłem w szoku. Chcesz wiedzieć, co najbardziej rozwała? Kiedy w czasie najgorszej styczniowej zawiei schodzisz tymi schodami w jasne wrześnie słońce. Pogoda na krótki rękaw, mam rację?

Skinąłem głową i kazałem mu mówić dalej. Lekkie rumieńce, które miał na policzkach, kiedy przyszedłem, zniknęły bez śladu i znów nieprzerwanie kaszłał.

- Ale jeśli dać człowiekowi trochę czasu, do wszystkiego się przyzwyczai, i kiedy szok w końcu zaczął mijać, nasza mnie myśl, że znalazłem tę starą króliczą norę z jakiegoś powodu. Wtedy zacząłem myśleć o Kennedym. Tyle że uczepliło się mnie to samo pytanie co ciebie: czy można zmienić przeszłość? Nie interesowały mnie konsekwencje, przynajmniej na początku, tylko czy w ogóle da się to zrobić. Podczas jednego z wypadów nad Sebago wzięłem nóż i na drzewie koło domku, w którym mieszkałem, wryłem AL T. Z 2007. Jak tylko wróciłem tutaj, wskoczyłem do samochodu i pojechałem nad jezioro Sebago. Domki, w których się zatrzymywałem, zniknęły; teraz stoi tam hotel turystyczny. Ale drzewo nadal jest. Razem z tym, co na nim wryłem. Napis jest stary, wygładzony, lecz wciąż widoczny: AL T. Z 2007. Przekonałem się więc, że można to zrobić. Dopiero wtedy pomyślałem o efekcie motyla.

W tamtych czasach Falls miało swoją gazetę, „Lisbon Weekly Enterprise”, a w 2005

roku biblioteka zeskanowała wszystkie swoje mikrofilmy na komputer. To przyspiesza pracę, zdecydowanie. Szukałem wypadku jesienią albo wczesną zimą 1958 roku. Wypadku określonego typu. Doszedłbym aż do początku 1959, gdyby było trzeba, ale znalazłem to, czego szukałem, piętnastego listopada 1958 roku. Dwunastoletnia Carolyn Poulin była na polowaniu z ojcem za rzeką, w części Durham, która nazywa się Bowie Hill. Koło drugiej tego popołudnia, to była sobota, w tym samym sektorze lasu Andrew Cullum, myśliwy, strzelił do jelenia. Chybił jelenia, trafił dziewczynkę. Wiesz, to daje do myślenia. Oswald strzelił do generała Walkera z niecałych stu, może nawet sześćdziesięciu metrów. Kula trąciła listwę pośrodku okna i chybiła. Kula, która sparaliżowała małą Poulin, przeleciała ponad czterysta metrów, dwa razy dalej niż ta, która zabiła Kennedy'ego, i ominęła wszystkie gałęzie i pnie po drodze. Gdyby choć trąciła jakąś gałązkę, dziewczynce prawie na pewno nie by się nie stało. Dlatego jasne, to daje do myślenia.

Słuchałem i po raz pierwszy przebiegło mi przez myśl stwierdzenie: „Życie zmienia się w mgnieniu oka”. Al złapał następną podpaszkę, zakaszłał, splunął, wyrzucił ją do kosza. Potem wziął głęboki oddech i mówił dalej. Nie próbowałem go powstrzymać. Znow byłam zafascynowany.

- Wpisałem jej nazwisko do bazy danych „Enterprise” i wyskoczyło jeszcze kilka artykułów o niej. Skończyła Lisbon High School w 1965 roku, rok później niż reszta jej klasy, ale dała radę... i dostała się na Uniwersytet Stanu Maine. Na ekonomię. Została księgową. Mieszka w Gray, niecałe piętnaście kilometrów od jeziora Sebago, nad którym spędzałem swoje miniwakacje, i do dziś pracuje na zlecenia. Zgadniesz, kto jest jednym z jej największych klientów?

Pokręciłem głową.

- John Crafts, tak, ten nasz, z Falls. Squiggy Wheaton, jeden ze sprzedawców, jest stałym klientem baru i kiedy któregoś dnia mi powiedział, że mają roczny remanent i że „pani od liczenia słupków” przegląda książki, zaraz postanowiłem tam podjechać i na nią zerknąć. Ma teraz sześćdziesiąt pięć lat i... wiesz, że niektóre kobiety w tym wieku potrafią być naprawdę piękne?

- Tak - powiedziałem. Myślałem o matce Christy, której uroda w pełni rozkwitła dopiero po pięćdziesiątce.

- Tak właśnie jest z Carolyn Poulin. Ma twarz klasyczną, jaka zachwyciłaby malarza sprzed dwustu, trzystu lat, i długie śnieżnobiałe włosy rozpuszczone na plecy.

- Coś czuję, że się zakochałeś, Al.

Zostało mu dość sił, żeby pokazać mi środkowy palec.

- I jest w doskonałej formie... cóż, czego innego się spodziewać po samotnej kobiecie, która dzień w dzień musi dźwigać się z wózka i na wózek, wsiadać i wysiadać ze specjalnie przystosowanego vana, którym jeździ. Nie wspomnę o wchodzeniu i wychodzeniu z łóżka, spod prysznic i tak dalej. I daję sobie z tym wszystkim radę, Squiggy twierdzi, że jest całkowicie samodzielna. Byłem pod wrażeniem.

- Dlatego postanowiłeś ją uratować. Jako eksperyment.

- Jeszcze raz wszedłem w króliczą norę, tyle że tym razem zostałem w domku nad Sebago ponad dwa miesiące. Powiedziałem właścicielowi, że odziedziczyłem trochę pieniędzy po zmarłym wujku. Radzę, żebyś to sobie zapamiętał, przyjacielu. Bajka o starym, bogatym wujku jest niezawodna. Wszyscy w nią wierzą, bo każdy chciałby takiego mieć. Przychodzi więc ten dzień, piętnasty listopada 1958 roku. Poulinów zostawiam w spokoju. Zważywszy na mój pomysł powstrzymania Oswalda, dużo bardziej interesuje mnie Cullum, sprawca. Jego też sprawdziłem i ustaliłem, że mieszkał niedaleko od Bowie Hill i starej hali widowiskowej Grange Hall w Durham. Myślałem, że pojedę tam, zanim wyruszy do lasu. Nie całkiem tak to wyszło.

Wyjechałem z domku nad Sebago bardzo wcześnie i dobrze zrobiłem, bo po przejechaniu kilometra mój wynajęty wóz złapał kapcia. Założyłem koło zapasowe i choć wydawało się, że wszystko z nim w porządku, kawałek dalej ono też siadło.

Zabrałem się okazją na stację Esso w Naples, gdzie mechanik oznajmił, że ma za dużo roboty, żeby jechać zmienić koło w czymś wynajętym chevrolecie. Chyba był wkurzony, że ominęło go sobotnie polowanie. Dwudziestodolarowy napiwek przekonał go do zmiany zdania, ale do Durham dotarłem dopiero po południu. Jechałem starą Runaround Pond Road, bo tamtędy jest najszybciej, i nie zgadniesz, co się stało. Most na Chuckle Brook zwałił się w cholereę do wody. Duże czerwono-białe bariery, lampy ostrzegawcze, wielka pomarańczowa tablica z napisem DROGA ZAMKNIĘTA. Do tego czasu zdążyłem się domyślić, co jest grane, i miałem paskudne przeczucie, że moje plany na ten dzień wezmą w łeb. Przypominam, wyruszyłem o ósmej rano, tak na wszelki wypadek, i pokonanie trzydziestu kilometrów zajęło mi ponad cztery godziny. Nie dałem jednak za wygraną. Zamiast tego pojechałem okrężną trasą, Methodist Church Road, wyciskając z wynajętego rzecha ile Bozia dała, wzbijając za sobą długi pióropusz pyłu; w tamtych czasach wszystkie drogi w tej okolicy są nieutwardzone.

No dobra, widzę więc tu i ówdzie samochody zaparkowane na poboczach albo u wylotu leśnych dróg, widzę też myśliwych z lufami strzelb przelamanymi na przedramieniu. Każdy z nich pozdrawiał mnie gestem ręki, w pięćdziesiątym ósmym ludzie są bardziej

przyjaźni, bez dwóch zdań. Ja też im machałem, ale tak naprawdę czekałem tylko, kiedy znowu złapię gumę. Albo koło w cholereę eksploduje. Wtedy pewnie wpadłbym do rowu, bo prulem co najmniej setką. Pamiętam, jeden z myśliwych dawał mi znaki podniesionymi dłońmi, żebym zwolnił, ale nie zwracałem na to uwagi.

Na pełnym gazie wjechałem na Bowie Hill i zaraz za starym domem zebrań kwaków, przy cmentarzu, zobaczyłem zaparkowanego pikapa. Na drzwiach miał wymalowane USŁUGI BUDOWLANE I STOLARSKIE POULIN. W środku nikogo. Poulin z córką byli w lesie, może siedzieli gdzieś na polanie, jedli kanapki i rozmawiali, tak jak ojciec rozmawia z córką. A przynajmniej jak sobie wyobrażam, że rozmawiają, bo sam nigdy nie miałem...

Kolejny długi atak kaszlu zakończony okropnym, wilgotnym odcharknięciem.

- Kurde, ale to boli - stęknął.

- Al, musisz przestać.

Potrząsnął głową i grzbietem dłoni stał z dolnej wargi plamę krwi.

- Przede wszystkim muszę to z siebie wyrzucić, więc zamknij się i daj mi mówić.

Długo wpatrywałem się w tego pikapa, wciąż prując setką, i kiedy znów spojrzałem przed siebie, zobaczyłem, że w poprzek drogi leży drzewo. Wyhamowałem dosłownie w ostatniej chwili. Nie było duże, a zanim dobrał się do mnie rak, byłem dość silny. Poza tym strasznie się wkurzyłem. Wsiadłem i zacząłem się z nim mocować. Kiedy to robiłem, a kłamię przy tym jak szewc, z naprzeciwka nadjechał samochód. Wsiada facet w pomarańczowej kamizelce myśliwego. Nie wiem na pewno, czy to ten, którego szukam, czy nie, w „Enterprise” nie opublikowali jego zdjęcia... ale wiek na oko się zgadza.

Mówi: „Pozwól, że ci pomogę, chłopie”.

Wielkie dzięki - odpowiadam i podaję mu rękę. - Bill Laidlaw.

Ściska moją grabę i przedstawia się: „Andy Cullum”. Czyli to on. Po wszystkich moich perypetiach w drodze do Durham ledwo mogłem uwierzyć. Czuję się, jakbym wygrał na loterii. Wspólnymi siłami podciągnęliśmy drzewo. Potem usiadłem na drodze i złapałem się za serce. Spytał, czy nic mi nie jest. „Cóż, nie wiem - mówię. - Nigdy nie miałem ataku serca, ale to może być to”. I dlatego pan Andy Cullum w to listopadowe popołudnie nie wybrał się na polowanie i nie postrzelił małej dziewczynki. Był zajęty wiezieniem biednego starego Billa Laidlawa do szpitala w Lewiston.

- Udało ci się? Naprawdę?

- A żebyś wiedział. W szpitalu powiedziałem, że zjadłem na lunch wielgachną kanapkę, wtedy nazywali takie włoskimi... diagnoza brzmiała: „ostra niestrawność”. Zapłaciłem dwadzieścia pięć dolarów gotówką i mnie wypuścili. Cullum czekał i zabrał mnie

z powrotem do mojego wypożyczonego samochodu, to się nazywa życzliwość, co? Jeszcze tego wieczoru wróciłem do 2011 roku... tylko że oczywiście tutaj minęły tylko dwie minuty. Kurde, takie numery rozregulują ci zegar wewnętrzny lepiej niż lot na drugi koniec świata.

Pierwsze, co zrobiłem, to pojechałem do biblioteki miejskiej i jeszcze raz przeczytałem artykuł o uroczystym rozdaniu świadectw ukończenia szkoły średniej w 1965 roku. Przedtem było w nim zdjęcie Carolyn Poulin. Ówczesny dyrektor, Earl Higgins, już dawno przeniósł się na łono Abrahama, schylał się, żeby wręczyć jej dyplom, ona siedziała w wózku inwalidzkim, ubrana w togę i biret. Podpis pod zdjęciem głosił: „Carolyn Poulin osiąga ważny cel na swojej długiej drodze do wyzdrowienia”.

- Nadal tam było?

- Artykuł o rozdaniu świadectw, owszem, jakżeby inaczej. Ceremonia ukończenia szkoły zawsze trafia na pierwszą stronę małomiasteczkowej gazety, przecież wiesz, przyjacielu. Tyle że kiedy wróciłem z pięćdziesiątego ósmego roku, zdjęcie pokazywało stojącego na mównicy chłopaka nieudolnie obciętego na bitelsa, a podpis brzmiał: „Najlepszy uczeń, Trevor »Buddy« Briggs, wygłasza mowę do abiturientów”. Podali nazwiska wszystkich absolwentów... było ich może ze stu... i nie było wśród nich Carolyn Poulin. Sprawdziłem więc artykuł o rozdaniu świadectw w 1964 roku, kiedy to normalnie ukończyłaby szkołę, gdyby nie była zajęta dochodzeniem do siebie po postrzale w kręgosłup. I proszę bardzo. Żadnego zdjęcia, żadnego wyróżnienia, ale była wymieniona między Davidem Platem a Stephanie Routier.

- Ot, jeszcze jeden dzieciak maszerujący w rytm marsza Elgara, co?

- No właśnie. Potem wpisałem jej nazwisko do wyszukiwarki „Enterprise” i wyskoczyło parę informacji z późniejszych lat. Niewiele, trzy albo cztery. Tyle, ilu można się spodziewać w przypadku zwyczajnej kobiety żyjącej zwyczajnym życiem. Dostała się na uniwersytet stanowy, skończyła zarządzanie, robiła studia uzupełniające w New Hampshire. Znalazłem jeszcze jeden artykuł z 1979 roku, niedługo potem „Enterprise” się zwinęło. ABSOLWENTKA LHS WYGRYWA OGÓLNOKRAJOWY KONKURS NA NAJŁADNIEJSZEGO LILIWCA, taki miał tytuł. Było jej zdjęcie, stała na dwu zdrowych nogach, z nagrodzonym liliowcem. Mieszka... mieszkała... nie wiem, która forma jest właściwa, może obie... w małej mieścinie pod Albany w stanie Nowy Jork.

- Ma męża? Dzieci?

- Nie sędzę. Na zdjęciu trzyma nagrodzonego liliowca i na lewej dłoni nie ma obrączki. Wiem, co sobie myślisz: poza tym, że może chodzić, niewiele się zmieniło. Tylko czy aby na pewno? Mieszkała gdzie indziej i wywarła wpływ na życie innych ludzi, kto wie

jak wielu. Takich, których by nie poznała, gdyby Cullum ją postrzelił i została w Falls. Rozumiesz, co mam na myśli?

Rozumiałem tyle, że tak naprawdę nie można mieć pewności w jedną ani w drugą stronę, ale się z nim zgodziłem. Głównie dlatego, że chciałem skończyć tę rozmowę, zanim zasłabnie. I zamierzałem odprowadzić go do łóżka, zanim wyjdę.

- Chodzi mi o to, Jake, że owszem, możesz zmienić przeszłość, ale to nie takie proste, jak się wydaje. Tamtego ranka czułem się jak człowiek, który próbuje się wyswobodzić z nylonowej pończochy. To się rozciągała, to znowu zaciskała z powrotem. W końcu jednak udało mi się ją rozerwać.

- Dlaczego to miałyby być trudne? Bo przeszłość nie chce, żeby ją zmieniać?

- Coś nie chce, żeby ją zmieniać, tego jestem raczej pewien. Ale to da się zrobić. Jeśli weźmiesz poprawkę na ten opór, to da się zrobić. - Al patrzył na mnie oczami błyszczącymi w wymizerowanej twarzy. - Ogólnie biorąc, historia Carolyn Poulin ma finał „i żyła długo i szczęśliwie”, zgodzisz się?

- Tak.

- Zajrzyj na trzecią stronę okładki zeszytu, który ci dałem, a może zmienisz zdanie. Jest tam coś, co sobie dzisiaj wydrukowałem.

Odchyliłem okładkę i zobaczyłem tekturową kieszonkę, taką na notatki i wizytówki. Tkwiła w niej złożona kartka. Wyjąłem ją, rozłożyłem i długo się w nią wpatrywałem. To była wydrukowana z komputera pierwsza strona „Weekly Lisbon Enterprise”. Pod tytułem widniała data osiemnasty czerwca 1965. Nagłówek głosił: ŚMIECH I ŁZY NA POŻEGNANIE ABSOLWENTÓW LHS. Na zdjęciu łysy mężczyzna (z biretem wsuniętym pod pachę, żeby nie spadł mu z głowy) pochylał się nad uśmiechniętą dziewczyną w wózku inwalidzkim. Trzymał jej dyplom za jeden bok; ona za drugi. Podpis oznajmiał: „Carolyn Poulin osiąga ważny cel na swojej długiej drodze do wyzdrowienia”.

Spojrzałem na Ala, zbity z tropu.

- Skoro zmieniłeś przyszłość i ocaliłeś tę dziewczynę, jak możesz to mieć?

- Każda podróż to reset, przyjacielu. Pamiętasz?

- O mój Boże! Kiedy wróciłeś, żeby powstrzymać Oswalda, wszystko, co zrobiłeś, by uratować Carolyn Poulin, zostało wymazane.

- Tak... i nie.

- Jak to?

- Podróż w przeszłość, żeby ocalić Kennedy'ego, miała być ostatnią, ale wcale mi się nie spieszyło do Teksasu. Bo i czemu? We wrześniu 1958 roku Królika Ozziego (tak

nazywali go inni marines) w ogóle nie ma w Ameryce. Zasuwa radośnie po południowym Pacyfiku ze swoją jednostką, chroni demokrację w Japonii i na Formozie. Pojechałem więc do ośrodka lotniskowego Shadyside nad Sebago i siedziałem tam do piętnastego listopada. Znowu. Jednak kiedy ten dzień nastał, wyszedłem jeszcze wcześniej niż poprzednio, i bardzo, kurwa, dobrze, bo tym razem na dwóch kapciach się nie skończyło. Cholerny korbowód przebił blok silnika wynajętego chevy. Ostatecznie zapłaciłem mechanikowi z Naples sześćdziesiąt dolarów, żeby pożyczył mi na jeden dzień swój samochód, zostawiłem mu w zastaw sygnet marines. Miałem kilka innych przygód, o których już nie będę opowiadał...

- Most w Durham nadal był zamknięty?

- Nie wiem, przyjacielu, nawet nie próbowałem tamtędy jechać. Tylko idiota nie uczy się z przeszłości, takie jest moje zdanie. Ja nauczyłem się między innymi trasy, którą pojedzie Andrew Cullum, więc nie tracąc ani chwili, pognałem mu na spotkanie. Drzewo leżało w poprzek drogi, jak poprzednio, i znów mocowałem się z nim, kiedy zjawił się Cullum. No i zaraz tak jak przedtem złapały mnie bóle w piersi. Odegraliśmy całą szopkę, Carolyn Poulin spędziła niedzielę z tatą w lesie, a ja po paru tygodniach krzyknąłem, juhu!" i pociągiem ruszyłem do Teksasu.

- To jakim cudem mam to zdjęcie, na którym dostaje dyplom?

- Bo każde wejście w głąb króliczej nory to reset.

Al tylko spojrział na mnie, żeby sprawdzić, czy rozumiem. Po minucie zrozumiałem.

- To ja...?

- Zgadza się, przyjacielu. Tego popołudnia kupiłeś sobie piwo korzenne za dziesięć centów. Jednocześnie posadziłeś Carolyn Poulin z powrotem na wózku inwalidzkim.

ROZDZIAŁ 4

1

Al dał się zaprowadzić do sypialni i nawet wymamrotał „Dzięki, przyjacielu”, kiedy ukląkł, żeby rozwiązać mu sznurówki i zdjąć buty. Postawił się, dopiero kiedy zaproponowałem, że pomogę mu pójść do łazienki.

- Naprawa świata ważna rzecz, ale samodzielne chodzenie do kibla też jest ważne.

- Pod warunkiem że jesteś pewien, że dasz radę.

- Dziś tak, o to, co będzie jutro, będę się martwił jutro. Wracaj do domu, Jake. Zaczynaj czytać zeszyt, jest tego dużo. Prześpij się z tym. Wpadnij rano i powiedz, co postanowiłeś. Jeszcze tu będę.

- Na dziewięćdziesiąt pięć procent?

- Co najmniej dziewięćdziesiąt siedem. Ogólnie czuję się całkiem rześko. I tak wytrzymałem dłużej, niż przypuszczałem. Samo to, że ci o tym opowiedziałem i w to uwierzyłeś, zważyło mi kamień z serca.

Nie byłem pewien, czy rzeczywiście w to uwierzyłem, nawet po mojej przygodzie tego popołudnia, ale przemilczałem to. Życzyłem mu dobrej nocy, przypomniałem, żeby nie wziął przez pomyłkę za dużo pigułek („Taa, taa”), i wyszedłem. Przez minutę stałem na dworze i patrzyłem na krasnalę z flagą Teksasu, po czym wsiadłem do samochodu.

Nie zadzieraj z Teksasem, pomyślałem... ale może nie będzie innego wyjścia. A biorąc pod uwagę kłopoty Ala ze zmianą przeszłości - przebite opony, padnięty silnik, zawalony most - czułem, że jeśli się na to zdecyduję, Teksas zadrze ze mną.

2

Po tym wszystkim sądziłem, że nie zasnę przed drugą w nocy, a było spore prawdopodobieństwo, że nie zasnę w ogóle. Czasem jednak organizm sam się troszczy o swoje potrzeby. Kiedy wróciłem do domu i zrobiłem sobie słabego drinka (fakt, że znów mogłem mieć alkohol w domu, był jednym z kilku małych plusów powrotu do stanu wolnego), ciążyły mi powieki; kiedy dopiłem szkocką i przeczytałem pierwsze dziesięć stron

zapisków Ala o Oswaldzie, oczy same mi się zamykały.

Oplukałem szklanę w zlewie, poszedłem do sypialni (zostawiając za sobą szlak z ubrań - Christy by mnie za to ochrzaniła) i gruchnąłem na podwójne łóżko, w którym teraz spałem w pojedynkę. Pomyślałem, żeby sięgnąć do lampki i ją wyłączyć, ale moja ręka była ciężka, bardzo ciężka. Wydawało się, że całe wieki upłynęły od chwili, kiedy sprawdzałem wypracowania w osobliwie cichym pokoju nauczycielskim. Co samo w sobie nie było dziwne; każdy wie, że czas, choć bezlitosny, jest wyjątkowo plastyczny.

Zrobiłem tę dziewczynę kaleką, myślałem. Wsadziłem ją z powrotem na wózek inwalidzki.

Kiedy tego popołudnia zszedłeś tymi schodami ze spiżarni, nie wiedziałeś nawet, kto to jest Carolyn Poulin, więc nie bądź osioł, tłumaczyłem sobie. Poza tym może gdzieś tam nadal chodzi o własnych siłach. Może przejście przez tę dziurę stwarza alternatywne rzeczywistości, strumienie czasu albo inne takie.

Carolyn Poulin odbierająca dyplom w wózku inwalidzkim. W roku, kiedy „Hang On, Sloopy” The McCoys była na pierwszym miejscu listy przebojów.

Carolyn Poulin spacerująca w swoim pełnym liliowców ogródku w 1979 roku, kiedy największym przebojem było „Y.M.C.A.”. The Village People; co jakiś czas przyklękająca na jedno kolano, żeby pielic chwasty, potem podrywająca się i idąca dalej.

Carolyn Poulin z tatą w lesie, mająca wkrótce zostać kaleką.

Carolyn Poulin z tatą w lesie, mająca wkrótce zostać zwyczajną nastolatką z małego miasteczka. Zastanawiałem się, gdzie była w tamtym strumieniu czasu, kiedy radio i telewizja podały, że trzydziesty piąty prezydent Stanów Zjednoczonych został zastrzelony w Dallas.

John Kennedy może przeżyć. Możesz go ocalić, Jake.

A czy to naprawdę zmieniliby sytuację na lepsze? Gwarancji nie było.

„Czułem się jak człowiek, który próbuje się wyswobodzić z nylonowej pończochy”.

Zamknąłem oczy i zobaczyłem kartki sfruwające z kalendarza - oklepany łącznik między scenami stosowany w starych filmach. Wylatywały przez okno mojej sypialni niczym ptaki.

Zanim zasnąłem, przyszła jeszcze jedna myśl: głupkowaty drugoklasista z jeszcze bardziej głupkowatą kępką zarostu na podbródku, szczerzący się radośnie i mamrocący „Harry Kic-Żabka po u-licy kica”. I Harry powstrzymujący mnie, kiedy chciałem dzieciaka przywołać do porządku. „Nie, nie ma co - powiedział. - Przywykłem”.

I wtedy powalił mnie sen.

3

Kiedy się obudziłem, było już jasno, ptaki ćwierkały, a ja ocierałem twarz dłońmi, pewien, że tuż przed przebudzeniem płakałem. Coś mi się śniło i choć nie pamiętałem co, sen musiał być bardzo smutny, bo nie można o mnie powiedzieć, że jestem skłonny do płaczu.

Suche policzki. Ani śladu łez.

Przekręciłem głowę na poduszce, żeby spojrzeć na zegar na stoliku nocnym, i zobaczyłem, że jest za dwie szósta. Zapowiadał się piękny czerwcowy poranek, a szkoła się skończyła. Pierwszy dzień letnich wakacji zazwyczaj jest dla nauczycieli tak radosny jak dla uczniów, ale mnie było smutno. Smutno. I nie tylko dlatego, że musiałem dokonać trudnego wyboru.

W połowie drogi pod prysznic do głowy wskoczyły mi trzy słowa: Kowabunga, Buffalo Bobie!

Zatrzymałem się, nagi i wpatrzony w moje szeroko otwarte oczy w lustrze nad komodą. Teraz pamiętałem ten sen i nic dziwnego, że obudziłem się smutny. Śniło mi się, że byłem w pokoju nauczycielskim i sprawdzałem prace dorosłych uczniów, podczas gdy na sali gimnastycznej w głębi korytarza kolejny mecz szkolnej ligi koszykówki zbliżał się do kolejnej syreny końcowej. Moja żona była świeżo po odwyku. Miałem nadzieję, że po powrocie zastanę ją w domu i nie będę musiał godzinę wisieć na telefonie, zanim ją znajdę i wyciągnę z jakiejś speluny.

W tym śnie przełożyłem wypracowanie Harry'ego Dunninga na szczyt sterty i zacząłem czytać: *To nie był dzień, tylko noc. Noc, która odmieniła moje życie, to była noc, kiedy ojciec zabił mamę moją i dwóch braci...*

To z miejsca przykuło moją uwagę. Cóż, przykułoby uwagę każdego, nieprawdaż? Jednak oczy zaczęły mnie piec, dopiero kiedy doszedłem do opisu, jak wówczas był ubrany. Kiedy dzieci wychodzą w ten szczególny jesienny wieczór z pustymi torbami, w których mają nadzieję przytaszczyć do domu słodkie łupy, po ich przebraniach zawsze można poznać, co aktualnie jest na topie. Przed pięcioma laty chyba co drugi chłopak, który pukał do moich drzwi, miał na nosie okulary à la Harry Potter i kalkomanie blizny w kształcie błyskawicy na czole. Podczas mojej dziewiczej wyprawy na cukierkowe żebry wiele księżyców temu szedłem po chodniku (mama, na moją usilną prośbę, trzymała się pięć kroków za mną) w postukującym przebraniu szturmowca śnieżnego z „Imperium kontratakuje”. Czy było więc takie zaskakujące, że Harry Dunning był w stroju trapera?

- Kowabunga, Buffalo Bobie - powiedziałem do mojego odbicia w lustrze i nagle

pobiegłem do gabinetu. Nie zachowuję wszystkich prac uczniów, nie robi tego żaden nauczyciel - człowiek by w nich utonął! - ale kseruję najlepsze wypracowania. Są znakomitymi pomocami naukowymi. Tekstu Harry'ego nigdy nie wykorzystalbym na lekcji, był na to zdecydowanie zbyt osobisty, ale jeśli pamięć mnie nie myliła, mimo to go skopiowałem, bo wywołał we mnie tak silne emocje. Wysunąłem dolną szufladę i zacząłem się przekopywać przez kłęb teczek i luźnych kartek. Po piętnastu wyciskających pot minutach znalazłem. Usiadłem za biurkiem i zacząłem czytać.

4

To nie był dzień, tylko noc. Noc, która odmieniła moje życie, to była noc, kiedy ojciec zabił mamę moją i dwóch braci, a mnie pobił. Moją siostrę też pobił, tak bardzo, że była w śpiączce. Trzy lata się nie budziła i w końcu umarła. Na imię jej było Ellen i bardzo ją kochałem. Lubiała zrywać kwiatki i wkładać je w wazon. To, co się stało, było jak jakiś horror. Nigdy nie oglądam horrorów, bo jeden taki sam przeżyłem, w wieczór Halloween w 1958 roku.

Brat mój Troy był za duży, żeby chodzić zbierać cukierki (15). Oglądał telewizję z mamą i powiedział, że pomoże nam zjeść cukierki, jak wrócimy, a Ellen mu na to, że nie, niech się przebierze i sam zbiera, a co to, i wszyscyśmy się zaśmiali, bo kochaliśmy Ellen, miała tylko 7 lat, ale była jak Lucille Ball, każdego potrafiła rozśmieszyć, nawet mojego ojca (jeśli tylko był trzeźwy, po pijaku zawsze się wściekał). Przebrana była za księżniczkę Summerfall Winterspring (sprawdziłem, tak to się pisze), a ja za Buffalo Boba, postacie z HOWDY DOODY SHOW, który lubiliśmy oglądać. „Wiecie, dzieci, na co przyszedł czas?” i „A co na to nasza galeria szyderców?”, i „Kowabunga, Buffalo Bobie!”. My z Ellen kochaliśmy ten program. Ona najbardziej lubiła księżniczkę, ja Buffalo Boba, i oboje uwielbialiśmy Howdy'ego! Chcieliśmy, żeby mój brat Tugga (na imię miał Arthur, ale wszyscy wołali na niego Tugga, nie pamiętam dlaczego) przebrał się za „burmistrza Fineusa T. Blistera”, ale on nie chciał, powiedział, że Howdy Doody to program dla małych dzieci, on przebierze się za „Frankynsztajna”, chociaż Ellen powiedziała, że ta maska jest za straszna. Poza tym Tugga czepiał się mnie o to, że biorę moją wiatrówkę Daisy, bo powiedział, że w telewizji Buffalo Bob nie ma bronii, a moja mama na to: „Weź ją, jeśli chcesz, Harry, to nie jest prawdziwa strzelba ani nawet nie strzela zabawkowymi kulami, więc Buffalo Bob nie miałby nic przeciwko”. To były ostatnie słowa, jakie do mnie powiedziała, i cieszę się, że były mile, bo potrafiła być surowa.

Szykowaliśmy się więc do wyjścia i powiedziałem poczekajcie sekundę, muszę do łazienki, bo taki byłem podekscytowany. Wszyscy się ze mnie śmiali, nawet mama i Troy na kanapie, ale to, że poszedłem się wysikać, uratowało mi życie, bo właśnie wtedy przyszedł tata z tym młotkiem. Ojciec po pijanemu wpadał w złość i nie zliczę, ile razy pobił moją mamę. Kiedyś, jak Troy próbował go przekonać, żeby tego nie robił, tata złamał mu rękę. Wtedy mało go nie zamknęli w więzieniu (mojego tatę, nie Troya). W czasach, o których piszę, moi rodzice byli w „separacji” i mama myślała, żeby wziąć rozwód, ale w 1958 nie było z tym tak łatwo jak teraz.

W każdym razie wszedł do domu, jak sikałem w łazience, i usłyszałem, jak mama moja mówi „Zabieraj to stąd, nie wolno ci tu być”. I nagle zaczęła krzyczeć. A potem krzyczeli już wszyscy.

Było tego więcej - trzy przerażające strony - ale nie ja musiałem to przeczytać.

5

Mimo że było kilka minut przed wpół do siódmej, odszukałem Ala w książce telefonicznej i bez wahania wybrałem jego numer. Nie obudziłem go, jak się okazało. Odebrał po pierwszym sygnale głosem tak zdartym i chropawym, że trudno go było zrozumieć; bardziej przypominał szczekanie psa niż ludzką mowę.

- Hej, przyjacielu, ranny ptaszek z ciebie, co?

- Chcę ci coś pokazać. Wypracowanie ucznia. Nawet znasz tego, kto to napisał. Powinieneś; masz jego zdjęcie na swojej Ścianie Sławy.

Zakaszłał, po czym powiedział:

- Mam tam dużo zdjęć, przyjacielu. Na jednym chyba nawet jest Frank Ancietti na pierwszym Festiwalu Moxie. Daj choć podpowiedź.

- Wolę ci to pokazać. Mogę wpaść?

- Jeśli niestraszny ci widok mnie w szlafroku, proszę bardzo. Ale muszę cię od razu spytać, teraz, kiedy miałeś okazję się z tym przespać. Podjąłeś decyzję?

- Chyba najpierw będę tam musiał zrobić coś innego.

Odłożyłem słuchawkę, zanim mógł zadać następne pytania.

6

W porannym świetle wpadającym przez okno salonu wyglądał fatalnie jak nigdy.

Biały szlafrok frotte wisiał na nim jak oklapły spadochron. Rezygnacja z chemioterapii pozwoliła mu zachować włosy, ale były przerzedzone i cienkie jak u małego dziecka. Wydawało się, że jego oczy zapadły się jeszcze głębiej w oczodoły. Przeczytał wypracowanie Harry'ego Dunninga dwa razy, już miał je odłożyć, ale przeczytał raz jeszcze. Wreszcie podniósł wzrok na mnie i powiedział:

- Jezusie Chrystusie Nazareński.

- Płakałem, kiedy to pierwszy raz czytałem.

- Nie dziwię się. Najbardziej mnie rusza ten fragment z wiatrówką Daisy. W latach pięćdziesiątych reklamy wiatrówek Daisy były na ostatniej stronie okładki praktycznie każdego komiksu. Każdy dzieciak w okolicy... przynajmniej każdy chłopak marzył tylko o dwóch rzeczach: wiatrówce Daisy i czapce z szopa à la Davy Crockett. Ma rację, kul nie było, nawet zabawkowych, ale myśmy wlewali do lufy trochę oliwki dla dzieci Johnson's. Potem, kiedy wślaczało się do wiatrówki powietrze i naciskało spust, wylatywał kłęb niebieskiego dymu. - Znow spjrzał na skserowane kartki. - Sukinsyn zabił żonę i trójkę dzieci młotkiem? Jeeezu!

Wziął i zaczął walić, napisał Harry. Pobiegłem z powrotem do salonu i ściany były całe we krwi, a na kanapie było coś białego. To był mózg mojej mamy. Ellen leżała na podłodze z nogami przywalonymi fotelem bujanym, krew jej ciekła z uszu i włosów. Wciąż grał telewizor, leciał ten serial, co go mama lubiła, o Elerie Queenie, który rozwiązuje przestępstwa.

Zbrodnia popełniona tego wieczoru w niczym nie przypominała bezkrwawych, eleganckich zagadek, które rozwikływał Ellery Queen; to była rzeź. Dziesięcioletni chłopiec, który musiał się wysikać przed wyprawą po cukierki, wrócił z łazienki w porę, by zobaczyć, jak jego pijany, rozwścieczony ojciec rozwała głowę Arthurowi „Tugga” Dunningowi, który próbował przeczołgać się do kuchni. Potem Dunning senior odwrócił się i spostrzegł Harry'ego, który uniósł wiatrówkę Daisy i powiedział: „Nie ruszaj mnie, tato, bo cię zastrzele”.

Dunning rzucił się na chłopca i zamachnął się zakrwawionym młotkiem. Harry strzelił z wiatrówki (słyszałem to „pa-paf!”, które musiała wydać, mimo że sam nigdy z takiej nie strzelałem), po czym upuścił ją i uciekł do sypialni, którą dzielił z nieżyjącym już Tuggą. Jego ojciec, wchodząc, zapomniał zamknąć drzwi wejściowe i gdzieś - „jakby strasznie daleko”, napisał woźny - krzyczeli sąsiedzi i piszczały poprzebierane dzieci.

Dunning prawie na pewno zabiłby ostatniego żyjącego syna, gdyby nie potknął się o przewrócony fotel bujany. Runął jak długi, wstał i pobiegł do pokoju młodszych synów.

Harry próbował się wczołgać pod łóżko. Ojciec wyciągnął go stamtąd i zadał mu cios w skroń, który niechybnie zabiłby chłopaka, gdyby nie to, że dłoń Dunninga ześliznęła się z zakrwawionego trzonka; zamiast roztrzaskać Harry'emu czaszkę, obuch tylko wgniół jej część nad prawym uchem.

Nie zemdląłem, ale niewiele brakowało. Próbowałem się wczołgać pod łóżko i prawie nie czułem, jak uderzał mnie w nogę, ale robił to, zламаł ją w czterech miejscach.

W tej chwili wbiegł sąsiad, który akurat chodził po osiedlu ze zbierającą słodczyce córką. Mimo krwawej jatki w salonie zachował dość przytomności umysłu, by wyszarpnąć szufłę do węgla z kubelka obok żelaznego piecyka w kuchni. Przywalił nią Dunningowi w potylicę, gdy ten próbował przewrócić łóżko i dopaść zakrwawionego, półprzytomnego syna.

Potem straciłem przytomność jak Ellen, tylko że miałem szczęście i się ocknąłem. Lekarze mówili, że może będą mi musieli ampuntować nogę, ale w końcu nie musieli.

Nie, nogi nie stracił i ostatecznie został woźnym w Lisbon High School, znanym pokoleniom uczniów jako Harry Kic-Żabka. Czy dzieciaki byłyby dla niego miłsze, gdyby wiedziały, dlaczego kuleje? Pewnie nie. Choć emocjonalnie kruche i nadzwyczaj wrażliwe, nastolatki cierpią na niedostatek empatii. Ona przychodzi z wiekiem, jeśli w ogóle.

- Październik 1958 roku - powiedział Al swoim ostrym, szczekającym głosem. - Mam uwierzyć, że to zbieg okoliczności?

Przypomniałem sobie, co powiedziałem nastoletniej wersji Franka Ancietiego o opowiadaniu Shirley Jackson, i uśmiechnąłem się.

- Czasem cygaro to tylko cygaro, a zbieg okoliczności to tylko zbieg okoliczności. Wiem tylko, że mówimy o kolejnym przełomowym momencie.

- Dlaczego nie znalazłem nic na ten temat w „Enterprise”?

- To nie stało się tutaj, tylko w Derry, na północy stanu. Kiedy Harry doszedł do siebie i wypisali go ze szpitala, zamieszkał u wujostwa w Haven, jakieś czterdzieści kilometrów na południe od Derry. Adoptowali go i gdy stało się oczywiste, że w szkole nie nadaża, dali mu pracę na rodzinnej farmie.

- Brzmi jak „Oliver Twist”.

- Nie, byli dla niego dobrzy. Zważ, że w tamtych czasach nie było zajęć wyrównawczych i nie wymyślono jeszcze określenia „niepełnosprawny intelektualnie”...

- Wiem - powiedział Al cierpko. - W tamtych czasach „niepełnosprawny intelektualnie” znaczy tyle, że jesteś jęłopem, matolem albo po prostu przygłupem.

- Ale on nie był taki wtedy i nie jest teraz. Nie całkiem. Jeśli były jakieś uszkodzenia neurologiczne, to się zagoiły. Myślę, że to był przede wszystkim skutek szoku, wiesz?

Przeżytej traumy. Minęło wiele lat, zanim doszedł do siebie po tamtym wieczorze, a wtedy na szkołę było już za późno.

- Przynajmniej dopóki nie zapisał się do zaocznej, a wówczas był już w mocno średnim wieku. - Al pokręcił głową. - Zmarnowane życie.

- Nonsens - zaprotestowałem. - Dobrze przeżyte życie nigdy nie jest zmarnowane. Czy mogło być lepsze? Tak. Czy mogę sprawić, żeby takie było? Sądząc po tym, co stało się wczoraj, być może, ale tak naprawdę nie o to chodzi.

- A o co? Bo mnie to wygląda na powtórkę z Carolyn Poulin, a tamta sprawa przecież udowodniła wszystko, co było do udowodnienia. Tak, można zmienić przeszłość. I nie, świat nie pęka jak balon, kiedy to robisz. Nalałbyś mi kawy, Jake? Sobie też przy okazji. Jest gorąca, dobrze ci zrobi.

Nalewając kawę, zobaczyłem kilka słodkich bułek. Kiedy zaproponowałem jedną Ałowi, pokręcił głową.

- Boli, kiedy przełykam stałe pokarmy. Jeśli koniecznie chcesz wmusić we mnie trochę kalorii, w lodówce jest sześciopak odżywki Ensure. Smakuje jak schłodzone glutiny, ale jakoś się przemożę.

Kiedy przyniosłem to w jednym z kieliszków do wina, które wypatrzyłem w jego kredensie, zaśmiał się głośno.

- Myślisz, że to poprawi smak?

- Może. Jeśli w mówisz sobie, że to *pinot noir*.

Wypił połowę i widziałem, jak walczy z mdłościami. Ten bój wygrał, ale odsunął kieliszek od siebie i sięgnął po kubek z kawą. Nie pił, objął go tylko dłońmi, jakby chciał się od niego rozgrzać. Widząc to, zrewidowałem swoją prognozę tego, ile czasu mu zostało.

- A zatem - powiedział - dlaczego ten przypadek jest inny?

Gdyby nie był tak ciężko chory, sam by dostrzegł. Był inteligentny.

- Carolyn Poulin nie była dobrym królikiem doświadczalnym. Nie uratowałeś jej życia, Al, tylko nogi. Jej dalsze losy potoczyły się dobrze, ale zupełnie normalnie, w obu wersjach, tej, w której Cullum ją postrzelił, i tej, w której interweniowałeś. Ani tu, ani tu nie wyszła za męża. Nie miała dzieci. To tak jak... - szukałem właściwych słów - ...nie obraż się, Al, ale to, co zrobiłeś, było jak uratowanie chorego wyrostka robaczkowego. Wyrostek świetnie na tym wyszedł, lecz nigdy nie ma z niego większego pożytku, nawet jeśli jest zdrowy. Rozumiesz, do czego piję?

- Tak. - Miałem jednak wrażenie, że lekko się obruszył. - Uznałem, że nikogo lepszego od Carolyn Poulin nie znajdę, przyjacielu. W moim wieku człowiek nie ma dużo

czasu, nawet jeśli jest zdrowy. Miałem na oku ważniejszy cel.

- Ja cię nie krytykuję. Ale przypadek rodziny Dunningów powie nam więcej, bo to nie tylko jedna sparaliżowana dziewczynka, jakkolwiek straszne to musiało być dla niej i jej rodziny. Mówimy tu o czterech zamordowanych ludziach i piątym okaleczonym na całe życie. Poza tym znamy go. Kiedy zdał zaoczną maturę, zabrałem go do twojego baru na hamburgera i jak zobaczyłeś jego togię i biret, zapłaciłeś za nas. Pamiętasz?

- Uhm. Wtedy zrobiłem mu zdjęcie.

- Jeśli to się uda... jeśli nie dopuszczę, żeby jego stary złapał ten młotek... myślisz, że to zdjęcie nadal tam będzie?

- Nie wiem - powiedział Al. - Może nie. Może nawet nie będę pamiętał, że w ogóle tam było.

To już były jak dla mnie trochę zbyt teoretyczne rozważania.

- Pomyśl też o trójce pozostałych dzieci, o Troyu, Ellen i Tugdze. Jeśli dożyją wieku dorosłego, założą rodziny. A Ellen może zostanie sławną komiczką. Czy nie napisał, że była zabawna jak Lucille Ball? - Wychyliłem się do przodu. - Chodzi mi tylko o to, żeby mieć lepszy przykład tego, co się dzieje po zmianie chwili przełomowej. Muszę to wiedzieć, zanim zacznę majstrować przy czymś tak ważnym jak zabójstwo Kennedy'ego. Co ty na to, Al?

- Rozumiem cię. - Dźwignął się na nogi. Przykro było na niego patrzeć, ale kiedy zacząłem się podnosić, odpedził mnie machnięciem ręki. - Nie, siedź tam. Mam coś dla ciebie. W drugim pokoju. Przyniosę.

7

To było blaszane pudełko. Podał mi je i kazał zanieść do kuchni. Powiedział, że łatwiej będzie rozłożyć wszystko na stole. Kiedy usiedliśmy, otworzył pudełko kluczykiem, który nosił na szyi. Najpierw wyjął grubą szarą kopertę. Wytrząsnął z niej stertę banknotów. Podniosłem jeden i obejrzałem z podziwem. To była dwudziestka, ale na awersie, zamiast Andrew Jacksona, zobaczyłem Grovera Clevelanda, którego zapewne nikt nie umieściłby w pierwszej dziesiątce najwybitniejszych amerykańskich prezydentów. Na rewersie były lokomotywa i parowiec, które wyglądały jak uchwycone na moment przed zderzeniem pod słowami FEDERAL RESERVE NOTE.

- To wygląda jak pieniądze z Monopoli.

- Ale są prawdziwe. I nie ma tego tak dużo, jak ci się pewnie wydaje, bo najwyższy nominał to dwudziestka. Dziś, kiedy byle tankowanie może cię wynieść trzydzieści,

trzydzieści pięć dolarów, pięćdziesiątka nie robi wrażenia nawet w małych sklepikach. W tamtych czasach jest inaczej, a nie chcesz robić wrażenia.

- To twoja kasa z hazardu?

- Częściowo. Głównie to moje oszczędności. Od pięćdziesiątego ósmego do sześćdziesiątego drugiego pracowałem jako kucharz, tak jak tutaj, a samotny facet może sporo odłożyć, zwłaszcza jeśli nie zadaje się z drogimi kobietami. A tego nie robiłem. Zresztą z tanimi też nie. Byłem w dobrych stosunkach z każdym i nie zbliżałem się do nikogo. Tobie radzę to samo. I w Derry, i w Dallas, jeśli się tam wybierzesz. - Trącił pieniądze chudym palcem. - Jeśli dobrze pamiętam, jest nieco ponad dziewięć kawałków. Kupisz za to tyle, ile dziś kupiłbyś za sześćdziesiąt.

Wbiłem wzrok w banknoty.

- Pieniądze wracają. Zostają bez względu na to, ile razy skorzystasz z króliczej nory. - Już o tym rozmawialiśmy, ale wciąż nie mieściło mi się to w głowie.

- Uhm, chociaż nadal są też tam, po drugiej stronie... pełny reset, pamiętasz?

- Czy to nie paradoks?

Spojrzał na mnie, wymizerowany, coraz bardziej zniecierpliwiony.

- Nie wiem. Zadawanie pytań, na które nie ma odpowiedzi, to strata czasu, a ja mam go mało.

- Przepraszam, przepraszam. Co tam jest jeszcze?

- Niewiele. Ale dużo ci nie potrzeba. To były zupełnie inne czasy, Jake. Możesz o nich czytać w podręcznikach historii, ale nie zrozumiesz ich, dopóki nie pomieszkasz tam dłużej. - Podał mi kartę ubezpieczenia społecznego. Miała numer 005-52-0223. Należała do George'a T. Ambersona. Al podsunął mi wyjęty z pudełka długopis. - Podpisz to.

Wziąłem długopis, upominek reklamowy. Na oprawce napisane było POWIERZ SWÓJ SAMOCHÓD CZŁOWIEKOWI, KTÓRY NOSI GWIAZDĘ TEXACO. Czując się trochę jak Daniel Webster, gdy zawierał umowę z diabłem, podpisałem kartę. Kiedy chciałem oddać długopis Ałowi, pokręcił głową.

Następnym przedmiotem było prawo jazdy George'a T. Ambersona, według którego miałem metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, niebieskie oczy, brązowe włosy i ważyłem osiemdziesiąt siedem kilogramów. Urodziłem się dwudziestego drugiego kwietnia 1923 roku i mieszkałem na Bluebird Lane 19 w Sabbatus, pod tym samym adresem co w roku 2011.

- Może być metr dziewięćdziesiąt pięć? - spytał Al. - Musiałem zgadywać.

- Prawie trafiłeś. - Podpisałem prawo jazdy, które w zasadzie było zwykłym kawałkiem tektury. Kolor: biurowy beż. - Bez zdjęcia?

- Minie wiele lat, zanim zaczną ich wymagać w Maine. I pozostałych czterdziestu ośmiu stanach.

- Czterdziestu ośmiu?

- Hawaje zostaną stanem dopiero rok później.

- Aha. - Trochę mnie przytknęło, jakby ktoś przywalił mi w brzuch. - Czyli co... zatrzymują cię za przekroczenie prędkości i glina po prostu zakłada, że jesteś tym, kim jesteś według tego karteluszką?

- Czemu nie? Jeśli w 1958 powiesz coś o ataku terrorystycznym, ludzie pomyślą, że mówisz o nastolatkach przewracających krowy. Te też podpisz.

Wręczył mi Kartę Stałego Klienta Hertza, kartę paliwową Cities Service, karty płatnicze Diners Club i American Express. Amex była celuloidowa, Diners Club tekturowa. Na obu widniało nazwisko George'a Ambersona. Wypisane na maszynie, nie odręcznie.

- Po roku możesz dostać prawdziwego plastikowego Amexa, jeśli będziesz chciał.

Uśmiechnąłem się.

- Nie ma książeczki czekowej?

- Mogłem ci załatwić, ale jaki miałbyś z niej pożytek? Wszystkie papiery, które wypełniłbym w imieniu George'a Ambersona, przepadłyby po następnym resece. Razem z wpłaconymi na konto pieniędzmi.

- Aha. - Poczuję się jak głupek. - Jasne.

- Nie przejmuj się, to wszystko jest dla ciebie nowe. Radzę jednak, żebyś założył konto. Wpłać nie więcej niż tysiąc. Większość pieniędzy trzymaj w gotówce i najlepiej gdzieś pod ręką.

- Na wypadek gdybym musiał szybko wrócić.

- Otóż to. A karty kredytowe to tylko dodatkowy dowód tożsamości. Konta, które założyłem, żeby je dostać, znikną, kiedy tam przejdiesz. Same karty mogą się jednak przydać, nigdy nic nie wiadomo.

- Czy George odbiera pocztę na Bluebird Lane 19?

- W 1958 Bluebird Lane to tylko adres na mapie katastralnej Sabbatus, przyjacielu. Osiedle, na którym mieszkasz, jeszcze nie powstało. Jeśli ktoś cię o to spyta, mów, że chodzi o biznes. Kupią to. W pięćdziesiątym ósmym biznes jest jak bóg, wszyscy go wielbią, ale nikt nie rozumie. Korespondencję odbierasz na poczcie głównej w Lisbon. Łap.

Rzucił mi piękny męski portfel. Wybałuszyłem oczy.

- To ze strusia?

- Chciałem, żebyś wyglądał, jakby ci się dobrze powiodło. Weź parę zdjęć i noś je w

środku razem z dokumentami. Mam dla ciebie jeszcze kilka innych drobiazgów. Długopisy, jeden to ówczesny krzyk mody, z nożykiem do listów mogącym służyć jako linijka na końcu. Automatyczny ołówek Scripto. Zakładany na kieszeń futerał na długopisy. W pięćdziesiątym ósmym uważane są za rzecz niezbędną, nie atrybut mądrali. Zegarek marki Bulova z rozciągliwą, chromowaną bransoletką Speidel... chcesz być gość, musisz taki mieć. Resztę sam sobie obejrzysz. - Zakaszlał długo i ostro, krzywiąc się. Kiedy przestał, wielkie krople potu perliły się na jego twarzy.

- Al, kiedy ty to wszystko zebrałeś?

- Jak tylko zrozumiałem, że nie dociągnę do 1963 roku, wyjechałem z Teksasu i wróciłem tutaj. Już wcześniej myślałem o tobie, chociaż cztery lata cię nie widziałem. Rozwiedziony, bez dzieci, bystry i, co najlepsze, młody. Aha, byłbym zapomniał. Oto ziarenko, z którego wyrosła cała reszta. Spisałem nazwisko z nagrobka na cmentarzu przy Świętym Cyrylu i po prostu wystosowałem podanie do sekretarza stanu Maine.

Dał mi mój akt urodzenia. Przesunąłem palcami po wytłoczonej pieczęci. W dotyku wydawała się jedwabista, oficjalna.

Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem, że położył na stole jeszcze jedną kartkę. Była zatytułowana SPORT 1958-1963

- Nie zgub. To nie tylko twoje źródło utrzymania; gdyby wpadła w niepowołane ręce, musiałbyś się gęsto tłumaczyć. Zwłaszcza kiedy typy zaczną cię sprawdzać.

Zacząłem chować wszystko z powrotem do pudełka i Al pokręcił głową.

- W szafie mam dla ciebie porządnie podniszczoną teczkę aktówkę Lord Buxton.

- Nie będzie potrzebna, mam plecak. Został w bagażniku samochodu.

Miał rozbawioną minę.

- Tam, dokąd się wybierasz, tylko skauci noszą plecaki, a i to jedynie na wędrownkach i obozach. Musisz się wiele nauczyć, przyjacielu, ale jeśli będziesz na każdym kroku uważał i unikał ryzyka, poradzisz sobie.

Zdałem sobie sprawę, że naprawdę to zrobię, i to już, zaraz, praktycznie bez przygotowania. Czuję się jak turysta zwiedzający siedemnastowieczne londyńskie doki, który nagle uświadamia sobie, że zaraz zwerbują go siłą na statek.

- Co ja robię? - Zabrzmiało to prawie jak skomlenie.

Uniósł brwi - krzaczaste i teraz już tak siwe jak rzadziejące włosy na jego głowie.

- Ratujesz rodzinę Dunningów. Nie o tym rozmawialiśmy?

- Nie o to mi chodzi. Co zrobię w razie, gdyby ktoś zapytał, jak zarabiam na życie? Co mam mówić?

- Że umarł twój bogaty wujek. Że wydajesz nieoczekiwany spadek po trochu, by starczyło ci dotąd, aż napiszesz książkę. Czy nie jest tak, że w każdym nauczycielu angielskiego siedzi niespełniony pisarz? Co, myłę się?

Szczerze mówiąc, nie mylił się.

Choć był wymizerowany i zdecydowanie za chudy, patrzył na mnie nie bez współczucia. Może nawet litości. W końcu powiedział bardzo cicho:

- Duża sprawa, co?

- To prawda - przytaknąłem. - I Al... stary... jestem tylko szarym człowiekiem.

- To samo mógłbyś powiedzieć o Oswaldzie. Gnojek, który strzelał z ukrycia. A według wypracowania Harry'ego Dunninga, jego ojciec to tylko agresywny pijak z młotkiem.

- Już nie. Umarł na ostre zatrucie żołądka w więzieniu stanowym Shawshank. Harry mówił, że pewnie opił się skażonej dykty. To taki...

- Wiem, co to dykta. Napatrzyłem się na to, kiedy stacjonowałem na Filipinach. Nawet trochę tego wypilem, czego później żałowałem. Ale tam, dokąd się wybierasz, on żyje. Oswald też.

- Al... wiem, że jesteś chory, wiem, że cierpisz, ale mógłbyś pojechać do baru ze mną? Ja... - Pierwszy i ostatni raz użyłem jego ulubionej poufalej formy. - Przyjacielu, nie chcę zaczynać tego sam. Boję się.

- Gdzieżbym mógł to przegapić. - Wsunął dłoń pod pachę i wstał z grymasem, który odsłonił jego zęby aż po dziąsła. - Weź aktówkę. I poczekaj, aż się ubiorę.

8

Była za piętnaście ósma, kiedy Al otworzył drzwi srebrnej przyczepy, którą słynny Mniamburger domem zwał. Połyskujące chromowane sprzęty za kontuarem wyglądały widmowo. Stołki zdawały się szeptać: „Już nikt nigdy na nas nie usiądzie”. Wielkie staromodne cukiernice zdawały się odszeptywać: „Już nikt nigdy nie wysypie z nas cukru - zabawa skończona”.

- Z drogi, L.L. Bean's nadchodzi - powiedziałem.

- No właśnie - odparł Al. - Marsz postępu, kurwa go mać.

Brakowało mu tchu, ciężko dyszał, ale nie zatrzymał się, żeby odpocząć. Zaprowadził mnie za kontuar i do drzwi spiżarni. Szedłem za nim, przekładając z ręki do ręki aktówkę z moim nowym życiem w środku. Była starego typu, z klamrami. Gdybym przyszedł z taką na lekcję wychowawczą w LHS, większość dzieciaków by mnie wyśmiała. Garstka pozostałych

- ci z raczkującym wycuciem stylu - mogłaby docenić wniesiony przez nią powiew retro.

Al otworzył drzwi, wypuszczając zapachy warzyw, przypraw, kawy. Znowu sięgnął za moje ramię do włącznika światła. Spojrzałem na szare linoleum jak na basen, który może okazać się pełen wygłodniałych rekinów, i kiedy Al postukał mnie w ramię, aż podskoczyłem.

- Przepraszam - powiedział - ale lepiej to weź. - Podał mi pięćdziesięciocentówkę. - Człowiek z Żółtą Kartką, pamiętasz?

- Jasne. - Tak naprawdę zupełnie o nim zapomniałem. Serce waliło mi mocno, miałem wrażenie, że oczy pulsują mi w oczodołach. Na języku czułem smak jakby starego kawałka wykładziny i kiedy Al podał mi monetę, omal jej nie upuściłem.

Obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem.

- Dżinsy na razie mogą być, ale zanim ruszysz na północ, zajrzyj do sklepu odzieżowego Mason's na Main Street i kup sobie spodnie. Pendletony z wełny są dobre do noszenia na co dzień. Ban-lony na specjalne okazje.

- Ban-lony?

- Spytaj, będą wiedzieli. Przyda ci się też kilka eleganckich koszul. Po jakimś czasie garnitur. Do tego parę krawatów i spinka do krawata. Spraw sobie też kapelusz. Tylko nie czapkę baseballową, porządny, letni, słomkowy.

Z kącików jego oczu ciekły łzy. To mnie naprawdę przeraziło.

- Al, co się dzieje?

- Po prostu się boję, jak ty. Nie ma co jednak odstawiać rzewnego pożegnania. Jeśli wrócisz, będziesz tu za dwie minuty bez względu na to, jak długo zostaniesz w pięćdziesiątym ósmym. Akurat dość czasu, żebym nastawił kawę. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wypijemy po filizance i opowiesz, jak było.

Jeśli. Jakże duże słowo.

- Mógłbyś też się pomodlić. Na to starczy czasu, co?

- Jasne. Pomodłę się o to, żeby wszystko poszło jak z płatka. Nie bądź aż tak oszołomiony tym, gdzie jesteś, by zapomnieć, że masz do czynienia z niebezpiecznym człowiekiem. Może bardziej niebezpiecznym od Oswalda.

- Będę ostrożny.

- No dobra. Staraj się trzymać gębę na kłódkę, dopóki nie podłapiesz języka i atmosfery tamtych czasów. Nie spiesz się. Nie mąć wody.

Próbowałem się uśmiechnąć, ale nie jestem pewien, czy mi się udało. Aktówka okropnie mi ciążyła, jakby wypełniały ją kamienie, nie pieniądze i fałszywe dowody

tożsamości. Myślałem, że zemdleję. A mimo to, Boże dopomóż, coś we mnie chciało tam pójść. Nie mogło się tego doczekać. Jak to było w starej reklamie, chciałem zobaczyć USA w moim chevrolecie; Ameryka zapraszała.

Al podał mi chudą, drżącą dłoń.

- Powodzenia, Jake. Z Bogiem.

- George, chciałeś powiedzieć.

- George, jasne. No, idź już. Jak to mówią w tamtych czasach, szuraj stąd.

Odwróciłem się i wszedłem do spiżarni powoli, jak człowiek, który usiłuje znaleźć szczyt schodów przy zgaszonym świetle.

Znalazłem go przy trzecim kroku.

CZEŚĆ II
OJCIEC WOŹNEGO

ROZDZIAŁ 5

1

Poszedłem wzdłuż bocznej ściany suszarni, jak poprzednio. Przegramoliłem się pod łańcuchem z tabliczką ZAKAZ WSTĘPU, jak poprzednio. Skręciłem za róg wielkiego zielonego budynku w kształcie sześcianu, jak poprzednio, i wtedy coś na mnie wpadło. Nie jestem jakoś szczególnie ciężki jak na mój wzrost, ale trochę masy mam - „Wichura cię nie porwie”, mawiał mój ojciec - a mimo to Człowiek z Żółtą Kartką prawie mnie przewrócił. To było tak, jakby zaatakował mnie czarny płaszcz pełen trzepoczących skrzydłami ptaków. Coś krzyczał, ale byłem zbyt zaskoczony (wystraszony raczej nie, wszystko wydarzyło się za szybko), żeby cokolwiek z tego zrozumieć.

Odepchnąłem go i zatoczył się na ścianę suszarni, z płaszczem wirującym wokół nóg. Brudna fedora zleciała na ziemię, a on uderzył w metal z głuchym brzękiem potylicą i upadł, a właściwie jakby złożył się w harmonijkę. Pożałowałem tego, co zrobiłem, jeszcze zanim moje serce zdążyło wrócić do bardziej normalnego rytmu, a pożałowałem jeszcze bardziej, kiedy podniósł kapelusz i zaczął wycierać go brudną ręką. Ten kapelusz już nigdy nie będzie czysty, jego właściciel najprawdopodobniej też nie.

- Nic ci nie jest? - spytałem, ale kiedy schyliłem się, żeby dotknąć jego ramienia, pierzchnął przede mną wzdłuż bocznej ściany suszarni, odpychając się rękami i sunąc tyłkiem po ziemi. Powiedziałbym, że wyglądał jak kaleki pająk, ale nie wyglądał jak pijaczyna o mózgu przeżartym alkoholem. Mógł być tak bliski śmierci jak Al Templeton, bo w tej Ameryce sprzed pięćdziesięciu paru lat zapewne nie było prowadzonych przez organizacje charytatywne schronisk ani klinik odwykowych dla takich jak on. Gdyby kiedyś nosił mundur, może zająłby się nim Departament do spraw Weteranów, ale kto by go tam zaprowadził? Pewnie nikt, choć ktoś - najprawdopodobniej byłby to brygadzysta z fabryki - mógł naśleć na niego policję. Wsadziliby go do izby wytrzeźwień na dwadzieścia cztery albo czterdzieści osiem godzin. Jeśli w tym czasie nie wykorkował w wywołanych delirium konwulsjach, zwolniliby go i znowu poszedłby w ciąg. Złapałem się na tym, że żałuję, że nie ma ze mną mojej bylejk - ona mogłaby znaleźć miejsce spotkań Anonimowych Alkoholików i go tam zabrać. Tyle że Christy miała się urodzić dopiero za dwadzieścia jeden lat.

Postawiłem aktówkę między nogami i pokazałem mu, że mam puste ręce, ale on wycofał się jeszcze dalej wzdłuż ściany suszarni. Ślina lśniła na jego szczeciniastym podbródku. Rozejrzałem się, czy nikt nie patrzy, zobaczyłem, że tę część dziedzińca mamy tylko dla siebie, i spróbowałem jeszcze raz.

- Odepchnąłem cię tylko dlatego, że mnie wystraszyłeś.

- Ty, kurwa, kto? - spytał ochrypłym głosem, który obskoczył chyba z pięć różnych rejestrów. Gdybym nie usłyszał tego pytania podczas mojej poprzedniej wizyty, nie miałbym pojęcia, o co mu chodzi... i choć bełkot był ten sam, czy modulacja nie była tym razem trochę inna? Pewności nie miałem, ale tak mi się wydawało. „To niegroźny pijaczyna, ale jest inny niż wszyscy - powiedział Al. - Jakby coś wiedział”. Al sądził, że to dlatego, że przypadkiem wygrzewał się na słońcu nieopodal króliczej nory o 11.58 rano siódmego września 1958 roku i przez to był wyczulony na jej działanie. Na tej samej zasadzie, na jakiej uruchomienie miksera blisko telewizora powoduje iskrzenie obrazu. Może o to chodziło. A może, kurczę, to po prostu przez gorzałę.

- Nikt ważny - powiedziałem moim najbardziej uspokajającym głosem. - Nikt, kim musiałbyś się przejmować. Na imię mi George. A tobie?

- Skurwysynu! - warknął i cofnął się jeszcze dalej. Jeśli tak miał na imię, było niezwykle, trzeba przyznać. - Nie powinno cię tu być!

- Bez obaw, już idę. - Podniosłem teczkę, żeby zademonstrować swoją szczerość, a on wtulił głowę w chude ramiona, jakby oczekiwał, że nią w niego rzucę. Był jak pies, którego tyle razy bito, że nie spodziewa się innego traktowania. - Widzisz? Nikomu się krzywda nie stała.

- Won, znajduchu! Wracaj, skąd przyszedłeś, i zostaw mnie w spokoju!

- Nie ma sprawy. - Jeszcze nie całkiem ochłonałem po jego ataku z zaskoczenia i resztki adrenaliny gryzły się we mnie ze współczuciem, nie wspominając o irytacji. Tej samej irytacji, o którą przyprawiała mnie Christy, ilekroć wracając do domu, znów zastawałem ją pijaną w sztok, wbrew wszelkim jej obietnicom, że teraz to już naprawdę powróci na drogę cnoty i rzuci gorzałę raz na zawsze. Ta mieszanka uczuć w połączeniu z upałem późnego lata przyprawiała mnie o lekkie mdłości. Raczej nie najlepszy początek akcji ratowniczej.

Pomyślałem o Kennebec Fruit i o tym, jak dobre było piwo korzenne; wręcz widziałem technienie pary z lodówki z lodami, gdy Frank Ancietti senior wyciągał z niej wielki kufel. Poza tym było tam cudownie chłodno. Bez dalszej zwłoki ruszyłem w stronę sklepu, z moją nową (ale porządnie podniszczoną) aktówką objającą się o kolano.

- Hej! Hej, ty, jak ci tam!

Odwrociłem się. Pijaczyna dźwigał się na nogi, opierając się o ścianę suszarni. Schwycił kapelusz, mocno przycisnął go do piersi, miętosił go w rękach.

- Mam żółtą kartkę z zielonego sklepu, więc daj dolca, skurwysynu. Jeden dzisiaj wart jest dwa.

Wróciliśmy do scenariusza. To było pocieszające. Mimo to starałem się nie podchodzić za blisko. Nie chciałem znów go wystraszyć czy sprowokować do następnego ataku. Zatrzymałem się o trzy kroki od niego i wyciągnąłem rękę. Moneta od Ala błyszczała na mojej dłoni.

- Całego dolara nie mogę ci dać, ale masz tu pół.

Zawahał się, teraz trzymając kapelusz w lewej ręce.

- Tylko nie licz na obciąganko.

- Kuszące, ale jakoś bez tego przeżyję.

- He? - Przeniósł wzrok z pięćdziesięciocentówki na moją twarz i z powrotem na monetę. Podniósł prawą dłoń, żeby wytrzeć ślinę z podbródka, i wtedy zauważyłem jeszcze jedną różnicę w porównaniu z poprzednim razem. Nic, co wstrząsnęłoby światem w posiadach, ale to wystarczyło, żebym zaczął się zastanawiać, na ile można wierzyć twierdzeniu Ala, że każde przejście tutaj powoduje pełny reset.

- Wszystko mi jedno, czy to weźmiesz, czy nie, ale się zdecyduj - powiedziałem. - Mam sprawy do załatwienia.

Porwał monetę i na powrót skulił się pod suszarnią. Jego oczy były wielkie i mokre. Podbródek znów lśnił od śliny. Nic na tym świecie nie może się równać z czarem zaawansowanego alkoholika; pojęcia nie mam, dlaczego Jim Beam, Seagram's i Mike's Hard Lemonade nie wykorzystują ich w swoich reklamach prasowych. Pij beam, będziesz widział bielsze myszki.

- Kim jesteś? Co tu robisz?

- Coś dobrego, mam nadzieję. Słuchaj, byłeś kiedyś u Anonimowych Alkoholików z tym twoim małym problemem z gorza...

- Wypierdalaj, Jimla!

Nie miałem pojęcia, co to może być „jimla”, ale „wypierdalaj” usłyszałem głośno i wyraźnie. Ruszyłem do bramy, spodziewając się, że rzuci za mną następne pytania. Poprzednio tego nie zrobił, ale między tym spotkaniem a tamtym była zasadnicza różnica.

Tym razem nie był Człowiekiem z Żółtą Kartką. Kiedy podniósł rękę, żeby wytrzeć podbródek, kartka, którą w niej ścisnął, nie była już żółta.

Miała przybrudzony, ale wciąż jasny pomarańczowy kolor.

2

Przecisnąłem się między samochodami na przyzakładowym parkingu i znowu poklepałem bagażnik czerwono-białego plymoutha fury na szczęście. Będzie mi potrzebne, to wiedziałem na pewno. Przeszedłem przez tory, znowu słysząc „puf-puf” pociągu, tym razem jednak nieco bardziej odległe, bo przy tej okazji moje spotkanie z Człowiekiem z Żółtą Kartką - który teraz był Człowiekiem z Pomarańczową Kartką - trwało trochę dłużej. Powietrze cuchnęło wyziewami z zakładów, jak poprzednio, i przejechał ten sam pochrapujący autobus międzymiastowy. Tym razem natknąłem się na niego za późno, żeby przeczytać tablicę kierunkową, ale pamiętałem, co było na niej napisane: LEWISTON EXPRESS. Zastanowiłem się przelotnie, ile razy Al widział ten sam autobus, z tymi samymi pasażerami wyglądającymi przez okna.

Pospieszyłem na drugą stronę ulicy, rozganiając niebieską chmurę spalin autobusu. Buntownik w stylu rockabilly czuwał na swoim stanowisku przed drzwiami i zastanawiałem się przez chwilę, co by powiedział, gdybym zwrócił się do niego jego własnym tekstem. Jednak w pewnym sensie byłoby to tak okrutne jak rozmyślne terroryzowanie pijaczka spod suszarni; jeśli kradniesz takim maślakom ich tajemny język, niewiele im zostaje. Ten tutaj nie mógłby nawet pójść wyżyć się na Xboxie. Dlatego tylko kiwnąłem mu głową.

Odpowiedział tym samym.

- Siemasz, papciu.

Wszedłem do środka. Zadzwieczał dzwonek. Przeszedłem obok przecenionych komiksów i skierowałem się prosto do kontuaru, za którym stał Frank Ancietti senior.

- Co mogę dziś dla ciebie zrobić, przyjacielu?

Na chwilę mnie zamurowało, bo powiedział co innego niż poprzednio. Zaraz jednak zrozumiałem, że to logiczne. Ostatnim razem wziąłem gazetę z regału. Teraz nie. Może i każdy powrót do 1958 roku cofa licznik przebiegu do zera (wyłączając Człowieka z Żółtą Kartką), ale jak tylko coś zmienisz, dalszy ciąg jest sprawą otwartą. Ta myśl była przerażająca i wyzwalająca jednocześnie.

- Marzę o piwie korzennym - powiedziałem.

- A ja o klientach, więc dobrze się składa. Piwo za pięć czy dziesięć centów?

- Za dziesięć, jak sądzę.

- Cóż, dobrze pan sądzisz.

Oszroniony kufel wyłonił się z lodówki. Rączka drewnianej łyżki zgarnęła piankę. Pełny kufel stanął przede mną. Wszystko jak przedtem.

- Dziesięć centów, plus jeden dla gubernatora.

Zapłaciłem jednym ze starych dolarów Ala. Podczas gdy Frank 1.0 wydawał resztę, obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem byłego Człowieka z Żółtą Kartką. Stał przed sklepem monopolowym - zielonym sklepem - i kołysał się z boku na bok. Na jego widok przypomniał mi się hinduski fakir z jakiegoś starego filmu, który grał na flecie wywabiał kobrę z wiklinowego koszyka. A chodnikiem nadchodził, punktualnie co do sekundy, Ancietti Młodszy.

Upiłem łyk piwa korzennego i westchnąłem.

- Tego mi było trzeba.

- Ano, nie ma to jak zimne piwo w upalny dzień. Pan nie stąd, co?

- Nie, z Wisconsin. - Podałem mu rękę. - George Amberson.

Uścisnął moją dłoń i w tej samej chwili brzęknął dzwonek nad drzwiami.

- Frank Ancietti. A oto mój syn. Frank junior. Przywitaj się z panem Ambersonem z Wisconsin, Frankie.

- Dzień dobry. - Chłopak obdarzył mnie uśmiechem i skinieniem głowy, po czym odwrócił się do taty. - Titus wziął wóz na podnośnik. Mówi, że będzie gotowy na piątą.

- Cóż, to dobrze. - Czekałem, aż Ancietti 1.0 zapali papierosa, i się nie zawiodłem. Zaciągnął się i odwrócił do mnie. - Przyjechał pan w interesach czy na wypoczynek?

Przez chwilę nie odpowiadałem, ale nie dlatego, że zabrakło mi słów. Wybijało mnie z rytmu to, jak ta scena to odchodziła od pierwotnego scenariusza, to znowu do niego wracała. W każdym razie Ancietti najwyraźniej niczego nie zauważył.

- Tak czy owak, wybrał pan dobry moment na przyjazd. Większości letników już nie ma, a po ich wyjeździe wszyscy się odprężamy. Wrzucić do piwa gałkę lodów waniliowych? Normalnie musiałby pan dopłacić piątaka, ale we wtorki obniżam cenę do pięciu centów.

- Tato, ten żart był stary dziesięć lat temu - powiedział Frank junior życzliwie.

- Dzięki, to mi wystarczy - odparłem. - Tak naprawdę jestem tu w interesach. Załatwiam zakup pewnej nieruchomości w... Sabbatus? Chyba tak to się nazywa. Znacie to miasto?

- Od urodzenia - powiedział Frank. Wydmuchnął dym nosem, po czym spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem. - Przejechał pan taki kawał z powodu jednej nieruchomości?

Odpowiedziałem uśmiechem, który miał zakomunikować: „żebyś ty wiedział to, co ja wiem”. Chyba zrozumiał, bo mrugnął do mnie. Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał i weszły panie kupujące owoce. Zegar WYPIJ KAWĘ NA DOBRY NASTRÓJ pokazywał 12.28. Najwyraźniej ta część scenariusza, w której rozmawiałem z Frankiem juniorem o

opowiadaniu Shirley Jackson, w tej wersji została wycięta. Dopilem piwo korzenne trzema długimi łykami i kiedy to zrobiłem, skurcz ścisnął mi kiszki. Bohaterowie powieści rzadko muszą chodzić za potrzebą, ale w świecie rzeczywistym stres psychiczny często wywołuje reakcję fizjologiczną.

- Przepraszam, macie tu ubikację?

- Nie, przykro mi - powiedział Frank senior. - Ciągle myślę, żeby ją wstawić, ale latem jest za dużo roboty, a zimą brakuje pieniędzy na remont.

- Może pan pójść za róg, do Titusa - wtrącił Frank junior. Wkładał gałki lodów do metalowego pojemnika, żeby przyrządzić sobie shake'a. Poprzednio tego nie robił i pomyślałem z pewnym niepokojem o tym tak zwanym efekcie motyla. Miałem wrażenie, że widzę, jak ten motyl rozpościera mi skrzydła przed oczami. Zmienialiśmy świat. W drobnych - mikroskopijnych - szczegółach, ale tak, zmienialiśmy go.

- Proszę pana?

- Przepraszam - powiedziałem. - Chwilowa pomrocność.

Zrobił zdumioną minę, po czym parsknął śmiechem.

- Tego jeszcze nie słyszałem, niezłe, niezłe. - A skoro mu się spodobało, może tak samo się wytłumaczy przy następnej okazji, kiedy sam zgubi wątek. I tak oto wyrażenie, które inaczej weszłoby do głównego nurtu slangu dopiero w latach osiemdziesiątych czy dziewięćdziesiątych, będzie miało wczesną premierę. „Przedwczesną” nazwać jej nie można, bo w tym strumieniu czasu nastąpi dokładnie wtedy, kiedy ma nastąpić.

- Titus Chevron jest zaraz za rogiem, na prawo - rzekł Ancietti senior. - Jeśli to... hm... pilne, może pan skorzystać z naszej łazienki na górze.

- Nie, nie trzeba. - Choć już wcześniej spojrzałem na zegar ścienny, ostentacyjnie zerknąłem na moją bulowę z modną bransoletką marki Speidel. Dobrze, że nie mogli zobaczyć tarczy, bo zapomniałem przestawić godzinę i zegarek wciąż pokazywał czas z roku 2011. - Muszę już lecieć. Sprawy do załatwienia. Jeśli nie zdarzy się cud, w jeden dzień się ze wszystkim nie wyrobię. Możecie polecić jakiś dobry motel w okolicy?

- Chodzi panu o hotel dla zmotoryzowanych? - spytał Ancietti senior. Zgasił papierosa w jednej ze stojących na ladzie popielniczek z napisem WINSTON. TAK SMAKUJE PAPIEROS.

- Tak. - Tym razem miałem wrażenie, że mój uśmiech jest raczej głupawy niż porozumiewawczy... i znów dostałem skurczu kiszki. Zanosilo się na to, że jeśli szybko nie rozwiążę tego problemu, będzie katastrofa. - W Wisconsin nazywamy je motelami.

- Cóż, jak dla mnie najlepszy jest chyba Tamarack, jakieś osiem kilometrów drogą 196

w kierunku Lewiston - powiedział Ancietti senior. - Koło kina samochodowego.

- Dzięki za radę. - Wstałem.

- Proszę bardzo. A gdyby chciał się pan trochę doprowadzić do porządku przed czekającymi pana spotkaniami, polecam zakład fryzjerski Baumera. To porządny fachura.

- Dzięki. Następna dobra rada.

- Rady są gratis, piwo korzenne sprzedajemy po amerykańsku. Miłego pobytu w Maine, panie Amberson. Frankie? Pij tego shake'a i wracaj do szkoły.

- Jasne, tato. - Tym razem to Frankie junior puścił do mnie oko.

- Frank! - zawołała jedna z pań melodyjnym głosem. - Te pomarańcze są świeże?

- Tak świeże jak twój uśmiech, Leola - odparł i panie zachichotały perlisto. Nie upiększam; to było naprawdę perliste „hi-hi”.

Minąłem je i przechodząc, mruknąłem „Drogie panie”. Zadzźwięczał dzwonek i wyszedłem na świat, który istniał przed moim urodzeniem. Tym razem jednak, zamiast przejść przez ulicę na dziedziniec, na którym była królicza nora, ruszyłem w głąb tego świata. Naprzeciwko pijaczyna w długim czarnym płaszczu gestykulując tłumaczył coś sprzedawcy w fartuchu. Kartka, którą wymachiwał, może i była pomarańczowa, nie żółta, ale poza tym wrócił do scenariusza.

Uznałem, że to dobry znak.

3

Titus Chevron był za supermarketem Red and White, w którym Al raz po raz kupował tę samą żywność do swojego baru. Według wywieszki w witrynie funt homarów kosztował sześćdziesiąt dziewięć centów. Naprzeciwko sklepu, na parceli, która w 2011 roku była pusta, stała duża rdzawoczerwona stodoła z otwartymi wrotami i wszelkiego rodzaju używanymi meblami na widoku - najobficiej reprezentowane były kołyski, krzesła bujane z wyplatany oparciem i miękkie fotele typu „żeby tata miał gdzie odpoczywać”. Szyld nad wrotami głosił THE JOLLY WHITE ELEPHANT. Tablica na trójkątnym stojaku ustawionym tak, by rzucał się w oczy podróżującym do Lewiston, wysuwała śmiałą tezę JEŚLI CZEGOŚ NIE MAMY, NIE JEST CI TO POTRZEBNE. Człowiek, którego uznałem za właściciela, siedział na jednym z krzeseł bujanych, palił fajkę i patrzył na mnie z drugiej strony ulicy. Był w koszulce bez rękawów i obszernych brązowych spodniach. Miał też kozią bródkę, co wydało mi się dość odważne jak na tę konkretną wyspę w strumieniu czasu. Jego włosy, choć zaczesane do tyłu i utrwalone pomadą czy czymś takim, kręciły się na karku i przywiodły mi na myśl stary

rockandrollowy teledysk z Jerrym Lee Lewisem skaczącym po pianinie i śpiewającym „Great Balls of Fire”. Właściciel Jolly White Elephant zapewne miał reputację lokalnego bitnika.

Zasalutowałem mu palcem na powitanie. Odpowiedział ledwo zauważalnym skinieniem głowy i dalej pykał fajkę.

Na stacji Chevron (gdzie zwykle paliwo kosztowało 19,9 centa za galon, a „super” było o centa droższe) mężczyzna w niebieskim kombinezonie, starannie ostrzyżony na jeża, pracował przy pikapie - Anciettich, domyśliłem się - który był na podnośniku.

- Pan Titus?

Zerknął przez ramię.

- Taa?

- Pan Ancietti mówił, że mogę u pana skorzystać z toalety.

- Klucz jest za drzwiami.

- Dziękuję.

Klucz przywiązany był do deseczki z napisem PANOWIE. Przy drugim była deseczka DZIEWCZYNY. Moja była dostałaby białej gorączki, pomyślałem nie bez złośliwej satysfakcji.

Ubikacja była czysta, ale śmierdziała dymem. Obok sedesu stała popielniczka w kształcie urny. Sądząc z liczby tkwiących w niej niedopałków, wielu gości tego schludnego przybytku lubiło puścić dymka przy robieniu kupy.

Kiedy wyszedłem, zobaczyłem ze dwa tuziny używanych samochodów na małym parkingu obok stacji benzynowej. Szpaler kolorowych chorągiewek trzepotał nad nimi na lekkim wietrze.auta, które w 2011 roku warte byłyby tysiące - jako klasyki - tu wyceniono na siedemdziesiąt pięć i sto dolarów. Cadillac, na oko w idealnym stanie, kosztował osiemset. Napis nad małą budką sprzedawcy (w środku urzędowała żująca gumę ślicznotka z włosami związanymi w koński ogon, pogrążona w lekturze „Photoplay”) ogłaszał: **WSZYSTKIE SAMOCHODY SĄ SPRAWNE I OBJĘTE GWARANCJĄ BILLA TITUSA. SERWISUJEMY TO, CO SPRZEDAJEMY!**

Odwiesiłem klucz na miejsce, podziękowałem Titusowi (burknął coś, nie odwracając się od pikapa na podnośniku) i ruszyłem z powrotem w stronę Main Street z myślą, że przed wizytą w banku dobrze byłoby się ostrzec. To przypomniało mi o bitniku z kozią bródką i pod wpływem impulsu przeszedłem przez ulicę do sklepu z używanymi meblami.

- Dzień dobry - powiedziałem.

- Dla kogo dobry, dla tego dobry, ale niech będzie. - Pociągnął z fajki i lekki wrześnieowy wietrzyk przywiął do mnie zapach tytoniu Cherry Blend. A wraz z nim

wspomnienie mojego dziadka, który palił ten gatunek, kiedy byłem mały. Czasem dmuchał mi nim do ucha, kiedy mnie bolało; tej kuracji zapewne nie zalecałoby Amerykańskie Towarzystwo Medyczne.

- Sprzedaje pan walizki?

- Och, kilka się znajdzie. Nie więcej niż dwieście. Idź pan na sam tył, będą po prawej stronie.

- Jeśli jakąś kupię, mogę zostawić ją tu na parę godzin? W tym czasie zrobiłbym trochę zakupów.

- Czynne do piątej - powiedział i wystawił twarz na słońce. - Potem radź pan sobie sam.

4

Wymieniłem dwa stare dolary Ala na skórzaną walizkę, zostawiłem ją za ladą bitnika, po czym poszedłem na Main Street z teczką objijającą się o nogę. Zajrzałem do zielonego sklepu. Sprzedawca siedział przy kasie i czytał gazetę. Ani śladu mojego koleżki w czarnym płaszczu.

Cieężko byłoby zabłądzić w dzielnicy handlowej; zajmowała tylko jedną przecznicę. Trzy budynki za Kennebec Fruit zobaczyłem zakład fryzjerski Baumera. W witrynie obracał się czerwono-biały słupek. Obok niego był plakat wyborczy Edmunda Muskie. Pamiętałem go jako znużonego, przygarbionego starca, ale w tej wersji wyglądał na zbyt młodego, żeby głosować, a co dopiero pełnić jakikolwiek urząd. Hasło na plakacie przekonywało WYŚLIJ EDA MUSKIE DO SENATU, GŁOSUJ NA DEMOKRATÓW! Ktoś obwiązał dół jaskrawobiałą wstęgą. Na niej nadrukowany był napis: MÓWILI, ŻE W MAINE TO SIĘ NIE MOŻE UDAĆ, ALE SIĘ UDAŁO! TERAZ KOLEJ NA HUMPHREYA W 1960!

W środku dwaj starsi jegomości siedzieli pod ścianą, podczas gdy trzeci, ich rówieśnik, miał strzyżoną tonsurę. Obaj czekający kopcili jak parowozy. Podobnie jak fryzjer (Baumer, domyśliłem się), który z jednym okiem zmrużonym od wznoszącego się dymu strzygł klienta. Wszyscy czterej patrzyli na mnie w dobrze mi znany sposób: to było owo nie całkiem nieufne, badawcze spojrzenie, które Christy kiedyś nazwała Janekskim Marsem. Miło wiedzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniają.

- Jestem nietutejszy, ale jestem swój - powiedziałem im. - Całe życie głosowałem na demokratów. - Podniosłem rękę jak do uroczystej przysięgi.

Popiół sypnął się z papierosa. Baumer strzepnął go odruchowo z fartucha na podłogę,

gdzie wśród obciętych włosów leżało kilka zgniecionych niedopałków.

- Ten tu Harold to republikanin. Lepiej uważaj pan, coby pana nie pogryzł.

- Musiałby mieć czym - powiedział jeden z pozostałych i wszyscy zarechotali.

- A pan skąd? - spytał Harold Republikanin.

- Z Wisconsin. - Wziąłem „Man's Adventure”, żeby zapobiec dalszym próbom rozmowy. Na okładce zdziczały Azjata z biczem w okrytej rękawicą dłoni podchodził do jasnowłosej ślicznotki przywiązanej do pala. Była to ilustracja tekstu pod tytułem JAPOŃSKIE NIEWOLNICE SEKSUALNE Z WYSP PACYFIKU. W zakładzie fryzjerskim pachniało słodką, przecudną mieszanką talku, pomady i dymu papierosowego. Kiedy Baumer zaprosił mnie gestem na fotel, byłem pogrążony w lekturze artykułu o niewolnicach seksualnych. Nie fascynował tak jak okładka.

- Długa podróż za panem, co, panie Wisconsin? - spytał, przykrywając mnie białą płachtą z rayonu i owijając moją szyję papierowym kołnierzem.

- Dość długa - odparłem zgodnie z prawdą.

- Cóż, teraz jesteś pan u Pana Boga w ogródku. Jak krótko obciąć?

- Tak krótko, żeby nie wyglądał jak... jak bitnik. - „Hipis”, prawie dokończyłem, ale Baumer nie mógł wiedzieć, co to takiego.

- Ździebko się pan zaniedbał. - Zaczął strzyc. - Jeszcze trochę, a wyglądałby pan jak ta ciota, co prowadzi Jolly White Elephant.

- Tego bym nie chciał - powiedziałem.

- Boże broń, co z niego za pokraka.

Po skończonej robocie Baumer przypudrował mi kark, spytał, czy chcę Vitalis, Brylcreem czy Wildroot Cream Oil, i kazał zapłacić czterdzieści centów.

To się nazywa zrobić dobry interes.

5

W banku Hometown Trust nie zdziwili się, kiedy wpłaciłem tysiąc dolarów. Świeżo przystrzyżone włosy zapewne pomogły, choć ważniejsze, jak sądzę, było to, że znalazłem się w społeczeństwie operującym gotówką, w świecie, gdzie karty kredytowe były jeszcze w powijakach... a oszczędni Jankesi zapewne traktowali je dość nieufnie. Surowej urody kasjerka z ciasno skręconymi lokami upiętymi na czubku głowy i kameą na szyi przeliczyła pieniądze, wprowadziła sumę do księgi, po czym zawołała zastępcę kierownika, który przeliczył banknoty raz jeszcze, zajrzał do księgi i wypisał kwit podający wysokość wpłaty i

kwotę na moim nowym rachunku bieżącym.

- Wybacz pan, panie Amberson, ale może nie warto trzymać tak dużej sumy na rachunku bieżącym? Nie wolałby pan założyć lokaty? Obecnie proponujemy oprocentowanie w wysokości trzech procent, naliczane co kwartał. - Otworzył szerzej oczy, żeby pokazać mi, jaka to wspaniała oferta. Wyglądał jak ten kubański dyrygent big-bandu sprzed lat, Xavier Cugat.

- Dzięki, ale mam ważną sprawę do załatwienia. - Zniżyłem głos. - Zakup nieruchomości. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Powodzenia - powiedział, zniżając głos do tego samego konfidencjonalnego tonu. - Lorraine da panu czeki. Pięćdziesiąt na początek wystarczy?

- Zdecydowanie.

- Później możemy dodrukować kilka z pańskim nazwiskiem i adresem. - Uniósł brwi, zmieniając stwierdzenie faktu w pytanie.

- Wyjeżdżam do Derry. Skontaktuję się.

- Dobrze. Jestem pod Drexel osiem cztery siedem siedem siedem.

Nie miałem pojęcia, o czym on mówi, dopóki nie wysunął przez okienko wizytówki. Wytłoczone na niej było „Gregory Dusen, zastępca kierownika” i „Drexel 8-4777”.

Lorraine przyniosła mi czeki i książeczkę z imitacji skóry aligatora, żebym miał je w czym trzymać. Podziękowałem i wrzuciłem wszystko do teczki. Przy drzwiach przystanąłem i obejrzałem się za siebie. Dwoje kasjerów pracowało z maszynami liczącymi, ale poza tym wszystkie operacje przeprowadzane były ręcznie, z mozołem. Przyszło mi do głowy, że pomijając kilka drobiazgów, Karol Dickens czułby się tu jak u siebie. Pomyślałem też, że żyć w przeszłości to trochę tak, jakby żyć pod wodą i oddychać przez rurkę.

6

W sklepie odzieżowym Mason's kupiłem ubrania, które polecił Al, i sprzedawca powiedział mi, że owszem, chętnie przyjmą czek, pod warunkiem że będzie wystawiony na lokalny bank. Dzięki Lorraine mogłem mu zrobić tę przyjemność.

Wróciłem do Jolly White Elephant. Bitnik przyglądał się w milczeniu, jak przepakowywałem zawartość trzech toreb z zakupami do mojej nowej walizki. Kiedy ją zatrzasnąłem, wreszcie wyraził swoją opinię.

- Dziwny masz sposób robienia zakupów, stary.

- Pewnie tak - powiedziałem. - Ale cały ten świat jest dziwny, nie sądzi pan?

Uśmiechnął się na te słowa.

- Moim zdaniem to dlatego, że Bóg przechylił go na bok, zanim puścił w ruch. Dawaj piątkę, szefuniu. - Wyciągnął dłoń zwróconą wnętrzem ku górze.

Przez chwilę czułem się tak jak wtedy, kiedy usiłowałem dojść, co znaczy słowo Drexel w połączeniu z jakimiś cyferkami. Potem przypomniałem sobie „Dragstrip Girl” i zrozumiałem, że bitnik po prostu chce ze mną przybić piątkę. Kiedy moja dłoń prześliznęła się po jego dłoni i poczułem dotyk jego cieplej, spoconej skóry, znów pomyślałem: To jest rzeczywiste. To dzieje się naprawdę.

- Piątka, bracie - powiedziałem.

7

Wróciłem na stację Titus Chevron ze spakowaną walizką kołyszącą się u jednej dłoni i teczką u drugiej. W świecie roku 2011, z którego przybyłem, było jeszcze rano, ale czułem się wykończony. Zapewne cierpiałem na swoistą, dotykającą podróżników w czasie odmianę zmęczenia wywołanego zmianą stref czasowych. Między stacją obsługi a przyległym parkingiem była budka telefoniczna. Wszedłem do środka, zamknąłem drzwi i przeczytałem ręcznie wypisany komunikat nad staromodnym automatem: PAMIĘTAJ! ROZMOWY TELEFONICZNE TERAZ TYLKO ZA 10 CENTÓW DZIĘKI „MA” BELL.

Przewertowałem żółte strony lokalnej książki telefonicznej i znalazłem Lisbon Taxi. Na ich ogłoszeniu widniała rysunkowa taksówka z oczami zamiast świateł i szeroko uśmiechniętą kratownicą wlotu powietrza. Obiecywała SZYBKĄ, KULTURALNĄ OBSŁUGĘ. To mnie przekonało. Wcisnąłem rękę do kieszeni, szukając drobnych, ale natrafiłem na coś, co powinienem był zostawić w domu: mój telefon komórkowy Nokia. W roku, z którego przybyłem, uchodził za starość - od dawna zamierzałem go wymienić na iPhone'a - ale tutaj w ogóle nie miał prawa istnieć. Gdyby ktoś go zobaczył, padłaby setka pytań, na które nie mógłbym odpowiedzieć. Schowałem telefon do aktówki. Tam na razie będzie bezpieczny, stwierdziłem, ale ostatecznie będę się go musiał pozbyć. Gdybym go zatrzymał, to byłoby tak, jakbym nosił przy sobie niewybuch.

Znalazłem dziesięciocentówkę, włożyłem ją do automatu i od razu wypadła do otworu zwrotu monet. Wyłowilem ją i jeden rzut oka wystarczył, by zorientować się, na czym polega problem. Podobnie jak nokia, dziesięciocentówka pochodziła z przyszłości; mosiężna, w gruncie rzeczy nie była niczym więcej jak tylko jednocentówką z pretensjami. Wyjąłem wszystkie monety, przegrzebałem je i znalazłem dziesięciocentówkę z 1953 roku, zapewne

część reszty z dolara, którym zapłaciłem za piwo korzenne w Kennebec Fruit. Już wsuwałem ją do otworu, gdy naszła mnie myśl, która przejęła mnie chłodem. A gdyby moja dziesięciocentówka z 2002 roku utknęła w automacie, zamiast wypaść do otworu zwrotu monet? I gdyby znalazł ją pracownik AT&T obsługujący automaty telefoniczne w Lisbon Falls?

Pomyślałby, że to żart? Jakiś wymyślny dowcip?

Jakoś w to wątpiłem - dziesięciocentówka była zbyt idealna. Pokazałby ją ludziom; w końcu może nawet napisaliby o niej w lokalnej gazecie. Tym razem miałem szczęście; przy następnej okazji mogło być inaczej. Musiałem być ostrożny. Z pogłębiającym się niepokojem znów pomyślałem o moim telefonie komórkowym. Potem włożyłem do otworu dziesięciocentówkę z 1953 roku i w nagrodę usłyszałem sygnał. Powoli, starannie wybrałem numer, usiłując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek używałem telefonu z tarczą. Chyba nie. Za każdym razem, kiedy puszczałem tarczę i wracała do pierwotnej pozycji, w słuchawce rozlegało się dziwne burczenie.

- Lisbon Taxi - powiedziała jakaś kobieta. - Z nami każda mila życie umila. Czym możemy służyć?

8

W czasie kiedy czekałem na taksówkę, obejrzałem samochody na parkingu Titusa. Najbardziej spodobał mi się ford kabriolet rocznik '54 - Sunliner, według napisu pod chromowanym reflektorem od strony kierowcy. Miał białe opony i autentyczny płócienny dach, bryka w sam raz dla git-chłopaków z „Dragstrip Girl”.

- Wóz niczego sobie - powiedział Bill Titus za moimi plecami. - Pruje jak szatan, to mogę poświadczyć osobiście.

Odwróciłem się. Wycierał ręce w czerwoną ścierekę, prawie tak brudną jak jego dłonie.

- Progi trochę rdzewieją - zauważyłem.

- Taki klimat. - Wzruszył ramionami w geście „cóż na to poradzić”. - Ważne, że silnik porządnie się trzyma, a opony są prawie nowe.

- V-8?

- Y-block - powiedział, a ja skinąłem głową, jakbym rozumiał. - Kupiłem go od Arlene Hadley z Durham, jak umarł jej mąż. A Bill Hadley dbał o samochód jak mało kto... ale pan ich nie zna, bo pan nie z tych stron, zgadza się?

- Nie, z Wisconsin. George Amberson. - Podałem mu rękę.

Pokręcił głową z lekkim uśmiechem.

- Miło pana poznać, panie Amberson, ale nie chcę pana pobrudzić. Przyjmijmy, żeśmy sobie ręce podali. Kupuje pan czy tylko patrzy?

- Jeszcze nie wiem - powiedziałem, ale nie byłem z nim szczery. Myślałem sobie, że sunliner to najfajniejszy wóz, jaki w życiu widziałem. Otworzyłem usta, żeby spytać, ile pali, ale uświadomiłem sobie, że takie pytanie jest praktycznie bez znaczenia w świecie, gdzie można zatankować do pełna za dwa dolary. Zamiast tego spytałem, czy to model z ręczną zmianą biegów.

- O tak. A kiedy wrzuci się dwójkę, trzeba uważać na gliny. Na dwójce zasuwają jak skurczybyk. Chce się pan przejechać?

- Nie mogę - powiedziałem. - Właśnie zamówiłem taksówkę.

- Eee, kto jeździ taksówkami? - obruszył się Titus. - Kupisz pan ten wóz, to wrócisz pan do Wisconsin z klasą i pociąg będzie niepotrzebny.

- Ile pan za niego chce? Na przedniej szybie nie widzę ceny.

- Mam go dopiero od przedwczoraj. Jeszczem się nim nie zajął. - Jeszczem! Wyjął papierosy. - Wyciągnąłbym za niego trzysta pięćdziesiąt, ale wie pan co, mozem się potargować. - Mozem!

Zacisnąłem zęby, żeby nie opadła mi szczeka, i powiedziałem mu, że to przemyśle. Jeśli moje przemyślenia pójdą we właściwym kierunku, obiecałem, jutro wrócę.

- Byle z samego rana, panie Amberson, to cacko długo tu nie postoi.

Znów poczułem się podniesiony na duchu. Miałem drobniaki, których nie dawało się użyć w automacie, większość operacji bankowych wciąż wykonywano ręcznie, a telefony dziwnie burczały w ucho, kiedy wybierało się numer, ale pewne rzeczy się nie zmieniały.

9

Taksówkarz był grubasem w sfatygowanym kapeluszu z odznaką LICENCJONOWANY PRZEWOŹNIK. Palił lucky strike'i, jednego za drugim, i miał radio ustawione na stację WJAB. Wysłuchaliśmy „Sugartime” McGuire Sisters, „Bird Dog” The Everly Brothers i „Purple People Eater” w wykonaniu istoty zwanej Sheb Wooley. Akurat bez tego kawałka mógłbym się obejść. Po co drugiej piosence trio fałszujących młodych kobiet śpiewało: „Czteeer-naście trzyyy-dzieści, WJA-biii... Wielki Jab!”. Dowiedziałem się, że Romanow's organizuje coroczną wielką wyprzedaż z okazji końca lata, a do F.W. Woolworth's właśnie przyszła nowa dostawa hula-hoop, dolar trzydzieści dziewięć za sztukę,

niepowtarzalna okazja.

- Cholerstwa nie tylko uczą dzieci biodrami wywijać - powiedział taksówkarz i pozwolił, by uchylne boczne okienko wysssało popiół z końcówki jego papierosa. To była jego jedyna próba nawiązania rozmowy przez całą drogę z Titus Chevron do hotelu dla zmotoryzowanych Tamarack.

Opuściłem szybę, żeby trochę odetchnąć od smogu papierosowego, i patrzyłem, jak za oknem przemyka inny świat. Zabudowa miejska między Lisbon Falls a rogatkami Lewiston nie istniała. Nie licząc kilku stacji benzynowych, baru dla zmotoryzowanych o nazwie Hi-Hat i kina samochodowego pod gołym niebem (billboard zapowiadał seans podwójny, „Zawrót głowy” i „Długie, gorące lato” - oba w systemie CinemaScope i technikolorze), byliśmy na prawdziwej wsi. Widziałem więcej krów niż ludzi.

Motel był odsunięty od drogi i ocieniony wielkimi, wyniosłymi wiązami. Wrażenie może nie było takie, jakbym zobaczył stado dinozaurów, ale prawie. Ja gapiłem się na drzewa, a pan Licencjonowany Przewoźnik zapalił następnego papierosa.

- Pomóc z bagażem?

- Nie, nie trzeba. - Kwota na liczniku nie była tak wyniosła jak wiązy, ale i tak zasłużyła na to, żeby na jej widok zrobić wielkie oczy. Dałem facetowi dwa dolary i poprosiłem, żeby wydał pięćdziesiąt centów. Wydawał się zadowolony; było nie było, napiwek wystarczy mu na paczkę lucky strike'ów.

10

Zameldowałem się (żaden kłopot; pieniądze na stół, dokumentów nie trzeba) i uciałem sobie długą drzemkę w pokoju, w którym za klimatyzację robił wentylator na parapecie. Obudziłem się rześki (to dobrze), ale potem w nocy nie mogłem zasnąć (niedobrze). Po zachodzie słońca ruch na drodze praktycznie ustał i cisza była tak głęboka, że aż niepokojąca. Telewizor był marki Zenith i musiał ważyć ze sto kilo. Stała na nim antena pokojowa typu „królicze uszy”. Oparta o nią była kartka **ANTENĘ REGULOWAĆ RĘCZNIE. NIE UŻYWAĆ CYNFOLII! DZIĘKUJEMY. KIEROWNICTWO.**

Były trzy programy. Na lokalnej filii NBC tak śnieżyło, że nie dało się oglądać, choć manipulowałem anteną na wszystkie możliwe sposoby; na CBS obraz falował i dostrajanie synchronizacji pionowej nic nie dało. Na ABC odbiór był idealny; właśnie leciało „Życie i legenda Wyatta Earpa”, z Hugh O'Brianem w roli głównej. Dzielny szeryf zastrzelił kilku bandziorów, po czym pojawiła się reklama papierosów Viceroy. Steve McQueen wyjaśnił, że

viceroye mają filtr, który zadowoli człowieka myślącego, i smak, który zadowoli konesera. Kiedy zapalał papierosa, zwlokłem się z łóżka i wyłączyłem telewizor.

Potem było już tylko cykanie świerszczy.

Rozebrałem się do majtek, położyłem się i próbowałem zasnąć. Moje myśli zwróciły się ku ojcu i matce. Tata miał obecnie sześć lat i mieszkał w Eau Claire. Moja mama, zaledwie pięcioletnia, mieszkała w domu wiejskim w Iowa, który za trzy, cztery lata doszczętnie spłonie. Jej rodzina wtedy przeprowadzi się do Wisconsin, bliżej skrzyżowania dróg życia, które w ostatecznym rozrachunku doprowadzi do... mnie.

Oszalałem, pomyślałem. Oszalałem i mam straszliwie zagmatwaną halucynację w szpitalu dla psychicznie chorych. Może jakiś lekarz napisze o mnie artykuł do czasopisma psychiatrycznego. Tak jak był „Mężczyzna, który pomylił swoją żonę z kapeluszem”, ja będę „Mężczyzną, który myślał, że jest w roku 1958”.

Jednak przesunąłem dłonią po supelkowych splotach narzuty, której jeszcze nie ściągnąłem z łóżka, i wiedziałem, że jest prawdziwa. Pomyślałem o Lee Harveyu Oswaldzie, ale Oswald na razie należał do przyszłości i nie on mnie niepokoił w tym pokoju motelowym jak z muzealnej ekspozycji.

Usiadłem na brzegu łóżka, otworzyłem aktówkę i wyjąłem mój telefon komórkowy, podróżujący w czasie gadżet, który tutaj był kompletnie nic niewart. Mimo to nie oparłem się pokusie, by go włączyć. Na ekraniku oczywiście wyskoczył komunikat BRAK SYGNAŁU - bo i czego innego się spodziewać? Pięciu kresek? Żałostnego głosu błagającego „Wracaj do domu, Jake, zanim spowodujesz coś, czego nie da się odwrócić”? Głupia, przesadna myśl. Gdybym narobił szkód, mógłbym je cofnąć, bo każda podróż to reset. Można rzec, że podróż w czasie miała wbudowany wyłącznik bezpieczeństwa.

To było pocieszające, ale fakt posiadania takiego telefonu w świecie, w którym szczytowym osiągnięciem elektroniki użytkowej była telewizja kolorowa, pocieszający nie był wcale. Nie powiesiliby mnie jako czarownicy, gdyby go u mnie znaleźli, ale lokalne gliny mogłyby mnie aresztować i przytrzymać w areszcie do czasu, aż chłopaki J. Edgara Hoovera przyjadą z Waszyngtonu mnie przesłuchać.

Położyłem telefon na łóżku i wyjąłem wszystkie drobniaki z prawej kieszeni spodni. Podzieliłem monety na dwa stosy. Te z 1958 roku i starsze wróciły do kieszeni. Te z przyszłości trafiły do jednej z kopert, które znalazłem w szufladzie biurka (razem z Biblią Gedeonitów i kartą dań na telefon baru Hi-Hat). Ubrałem się, wziąłem klucz i wyszedłem.

Na zewnątrz świerszcze były dużo głośniejsze. Ułamany kawałek księżycy wisiał na niebie. Z dala od jego blasku gwiazdy wydawały się jasne i bliskie jak nigdy. Droga 196

przejechała ciężarówka i na szosie znów zrobiło się pusto. To była wieś, a wieś spała. W oddali gwizdnął pociąg towarowy.

Na dziedzińcu parkowały tylko dwa samochody, w domkach, przed którymi stały, było ciemno. W recepcji też. Czując się jak przestępca, poszedłem na łąkę za motelem. Wysoka trawa chłostała nogawki moich dżinsów, które nazajutrz miałem zamienić na nowo kupione ban-lony.

Granicę terenu motelu Tamarack wyznaczało ogrodzenie z drutu. Za nim był mały staw, który na wsi nazywają glinianką. Niedaleko kilka krów spało w ciepłą noc. Jedna podniosła ślepią na mnie, kiedy przecisnąłem się pod ogrodzeniem i poszedłem na brzeg glinianki. Potem straciła zainteresowanie i opuściła łeb z powrotem. Nie podniosła go, kiedy moja nokia wpadła z pluskiem do stawu. Zakleiliśmy kopertę z monetami w środku i posłałem ją w ślad za telefonem. Wróciłem tą samą drogą, którą przyszedłem, zatrzymując się na tyłach motelu, by sprawdzić, czy dziedziniec nadal jest pusty. Był.

Wszedłem do mojego pokoju, rozebrałem się i prawie od razu zasnąłem.

ROZDZIAŁ 6

1

Następnego ranka zabrał mnie ten sam odpalający papierosa od papierosa taksówkarz i kiedy wysadził mnie przy stacji Titus Chevron, kabriolet jeszcze tam był. Spodziewałem się tego, ale i tak odetchnąłem z ulgą. Miałem na sobie nijaką szarą marynarkę sportową kupioną w sklepie Mason's. Mój nowy portfel ze strusia bezpiecznie spoczywał w jej wewnętrznej kieszeni, wypchany pięciuset dolarami z pieniędzy od Ala. Titus podszedł do mnie, kiedy podziwiałem forda. Wycierał ręce w na oko tę samą ścierkę, której używał wczoraj.

- Przespałem się z tym i chcę go - powiedziałem.

- To dobrze - odparł i zrobił zasmuconą minę. - Ale ja też się z tym przespałem, panie Amberson, i wychodzi na to, że pana okłamał, mówiąc, że mogę się potargować. Wie pan, co mi żona powiedziała, kiedyśmy rano jedli naleśniki? Powiedziała: „Bill, tylko skończony dureń oddałby tego sunlinera za mniej niż trzysta pięćdziesiąt”. Ba, powiedziała, że głupim jak but, że w ogóle go tak nisko wyceniłem.

- W porządku. - Skinąłem głową, jakbym niczego innego się nie spodziewał. Chyba go tym zaskoczyłem. - Oto co mogę zrobić, panie Titus. Mogę panu wypisać czek na trzysta pięćdziesiąt... z pokryciem, wystawiony na Hometown Trust, może pan do nich zadzwonić i zapytać... albo mogę panu dać trzysta dolarów gotówką prosto z mojego portfela. Mniej papierkowej roboty, jeśli tak to załatwimy. Co pan na to?

Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając olśniewającą biel zębów.

- Ja na to, że w tym Wisconsin umieją się targować. Dasz pan trzysta dwadzieścia, to dołożę nalepkę kontrolną i dwutygodniowe tablice rejestracyjne i możesz pan jechać.

- Trzysta dziesięć.

- Oj, nie mów pan takich rzeczy, bo aż mnie skręca - powiedział Titus, ale wcale go nie skręcało; doskonale się bawił. - Dorzuć pan pięć dolców i umowa stoi.

Wyciągnąłem rękę.

- Niech będzie trzysta piętnaście.

- Tajest. - Tym razem uściśnął mi dłoń, nie bacząc na brud. Potem wskazał budkę sprzedawcy. Ślicznotka z końskim ogonem dziś czytała „Confidential”. - Pan zapłaci tej

młodej damie, która tak się składa, że jest moją córką. Wypisze panu rachunek. Potem proszę tu wrócić, to nakleję tę nalepkę. I gratis zatankuję do pełna.

Czterdzieści minut później za kierownicą forda kabrioleta rocznik 1954, który teraz już należał do mnie, jechałem na północ, w kierunku Derry. Uczyłem się jazdy na samochodzie z ręczną skrzynią biegów, więc z tym nie było kłopotu, ale pierwszy raz w życiu prowadziłem wóz z wajchą zmiany biegów na kolumnie kierownicy. Z początku było dziwnie, ale jak już przywykłem (musałem też przyzwyczać się do przełączania świateł lewą nogą), spodobało mi się. I Bill Titus miał rację co do drugiego biegu; na dwójce sunliner zasuwiał jak skurczybyk. W Augustie zatrzymałem się i opuściłem dach. W Waterville zjadłem pysznego klopsa, który kosztował dziewięćdziesiąt pięć centów, z szarlotką z lodami włącznie. W porównaniu z tym Mniamburger wydawał się nieprzyzwoicie drogi. Śpiewałem razem z The Skyliners, The Coasters, The Del Vikings, The Elegants. Słońce grzało, wietrzyk mierzwił moje krótko obcięte włosy, a autostrada (według billboardów nazywana autostradą „Mila na Minutę”) była praktycznie cała moja. Wydawało się, że wszystkie wątpliwości, które dręczyły mnie poprzedniej nocy, zostały na dnie glinianki razem z moją komórką i drobniakami z przyszłości. Czułem się dobrze.

Dopóki nie zobaczyłem Derry.

2

Z tym miastem było coś nie tak i chyba wiedziałem to od samego początku.

Kiedy autostrada Mila na Minutę przeszła w połataną asfalem dwupasmówkę, odbiłem na drogę numer 7 i jakieś trzydzieści kilometrów na północ od Newport wjechałem na wzniesienie, z którego zobaczyłem Derry rozsiadłe na zachodnim brzegu Kenduskeag pod chmurą zanieczyszczeń z Bóg wie ilu papierni i zakładów włókienniczych pracujących pełną parą. Centrum przecinała arteria zieleni. Z oddali wyglądała jak szrama. Miasto wokół tego postrzępionego zielonego pasa zdawało się składać z samych smolistych szarości i czerni pod niebem zabarwionym wyziewami z kominów na żółć uryny.

Minąłem kilka kramów z owocami i warzywami. Ludzie za ladami (jak i ci, którzy tylko stali na poboczu i gapili się za mną) bardziej przypominali zdziczałych wieśniaków z „Uwolnienia” Johna Boormana niż farmerów z Maine. Kiedy przejeżdżałem obok ostatniego straganu, PRZYDROŻNEGO WARZYWNIAKA BOWERSA, zza stosu kilku koszy z pomidorami wyskoczył duży kundel i zaczął mnie gonić, śliniąc się i usiłując chwycić zębami tylne koła sunlinera. Wyglądał jak buldog z nieprawego łoża. Zanim straciłem go z oczu,

zobaczyłem, że chuda kobieta w ogrodniczkach okłada go deską.

To było miasto, w którym dorastał Harry Dunning, i zniechęciłem od pierwszego wejrzenia. Bez konkretnego powodu; ot tak. Dzielnica handlowa w centrum, leżąca u podnóża trzech stromych wzgórz, była przyprawiającą o klaustrofobię jamą. Mój wiśniowy ford wydawał się najjaśniejszą rzeczą na ulicy, przyciągającą uwagę (i niemiłe widzianą, sądząc z większości kierowanych na niego spojrzeń) plamą koloru pośród czarnych plymouthów, brązowych chevroletów i brudnych wozów dostawczych. Przez śródmieście przepływał kanał wypełniony czarną wodą prawie po szczyt obrośniętych mchem wybetonowanych brzegów.

Znalazłem wolne miejsce parkingowe na Canal Street. Wrzucona do parkomatu pięciocentówka zapewniła mi godzinę na zrobienie zakupów. W Lisbon Falls zapomniałem kupić kapelusz, a parę budynków dalej zauważyłem sklep o nazwie Derry Dress & Everyday, Najwytworniejsze Stroje dla Panów w Centralnym Maine. Nie sądziłem, by miał na tym polu dużą konkurencję.

Zostawiłem samochód przed drogerią i przystanąłem, żeby obejrzeć wywieszkę w witrynie. W jakimś sensie podsumowywała moje uczucia względem Derry - gorzką nieufność, wrażenie ledwo wstrzymywanej agresji - lepiej niż cokolwiek innego, choć spędziłem tam jeszcze prawie dwa miesiące i (może z wyjątkiem kilku osób, które poznałem) nic mi się w tym mieście nie podobało. Napis ostrzegał:

KRADZIEŻ TO NIE FRAJDA, RADOCHA ANI UBAW!
KRADZIEŻ TO PRZESTĘPSTWO I BĘDZIE UKARANA!
NORBERT KEENE
WŁAŚCICIEL I KIEROWNIK

A chudym mężczyzną w okularach i białym fartuchu, który patrzył na mnie zza szyby, musiał być pan Keene we własnej osobie. Jego wyraz twarzy nie mówił: „Wejdz, przybyszu, rozejrzyj się i coś kup, może napój z lodami”. Te twarde oczy i wygięte w dół usta przestrzegały: „Idź stąd, dla takich jak ty nic tu nie ma”. Chciałem myśleć, że to sobie ubzdurałem, ale jednak nie. Tytułem eksperymentu podniosłem dłoń w geście pozdrowienia.

Mężczyzna w białym fartuchu nie podniósł swojej w odpowiedzi.

Zdałem sobie sprawę, że kanał, który wcześniej widziałem, musi płynąć bezpośrednio pod tym osobliwie zapadniętym śródmieściem i że nad nim stoję. W nogach czułem szemranie ukrytej pod chodnikiem wody. To było mgliście nieprzyjemne uczucie, jakby ten mały skrawek świata rozmiękł.

W witrynie Derry Dress & Everyday stał męski manekin w smokingu. Miał monokl w jednym oku i szkolny proporczyk w gipsowej dłoni. Napis na proporczyku głosił TYGRYSY DERRY ROZSZARPIĄ BARANY BANGOR! Choć byłem fanem szkolnego patriotyzmu, to wydało mi się lekką przesadą. Pokonać Barany Bangor, jasne - ale żeby od razu rozszarpać?

To tylko taka przenośnia, powiedziałem sobie i wkroczyłem do środka.

Podszedł do mnie sprzedawca z taśmą krawiecką owiniętą wokół szyi. Ubrany był dużo ładniej ode mnie, ale w słabym świetle żarówek pod sufitem jego cera wydawała się pożółkła. Poczulem absurdalną pokusę, by zapytać: „Dostanę u pana porządny letni kapelusz słomkowy czy mam iść się pierdolić?”. Wtedy uśmiechnął się, spytał, czym może służyć, i zrobiło się prawie normalnie. Miał to, czego potrzebowałem, i objąłem to w posiadanie za nędzne trzy dolary i siedemdziesiąt centów.

- Szkoda, że tak krótko będzie pan mógł go nosić, zanim przyjdą chłody - powiedział.

Włożyłem kapelusz i poprawiłem go przed lustrem obok lady.

- Może będziemy mieli długie babie lato.

Delikatnie, z przeproszającą miną, przekrzywił kapelusz w drugą stronę. To była kwestia raptem kilku centymetrów, ale przestałem wyglądać jak kmiotek na wycieczce w wielkim mieście i przeistoczyłem się w... cóż, najbardziej wytwornego podróżnika w czasie w centralnym Maine. Podziękowałem mu.

- Nie ma za co, panie...?

- Amberson - powiedziałem i podałem mu rękę. Jego uścisk był krótki i słaby, dłoń miał obsypaną czymś w rodzaju talku. Kiedy mnie puścił, oparłem się pokusie, żeby wytrzeć rękę w marynarkę.

- W Derry w interesach?

- Tak. Pan tutejszy?

- Od urodzenia - powiedział i westchnął, jakby to było mu ciężarem. Sądząc po moich pierwszych wrażeniach, pewnie było. - Czym się pan zajmuje, panie Amberson, jeśli wolno spytać?

- Nieruchomościami. Ale pomyślałem sobie, że skoro już tu jestem przy okazji wpadnę do starego kumpla z wojska. Nazywa się Dunning. Imienia nie pamiętam, wołaliśmy na niego Skip. - To o Skipi zmyśliłem, ale prawdą było, że nie znałem imienia ojca Harry'ego Dunninga. Harry podał w wypracowaniu imiona braci i siostry, lecz morderca z młotkiem był tylko „ojcem” albo „tata”.

- Obawiam się, że nie mogę panu pomóc. - Teraz przybrał chłodny ton. Transakcja została zakończona i choć w sklepie nie było innych klientów, chciał, żebym sobie poszedł.

- To proszę o pomoc w czymś innym. Jaki jest najlepszy hotel w mieście?

- Derry Town House, jak sądzę. Musi pan wrócić na Kenduskeag Avenue, skrócić w prawo, a potem wjechać na Milowe Wzgórze do Main Street. Pozna go pan po lampach powozowych przed wejściem.

- Milowe Wzgórze?

- Tak je nazywamy, owszem. Jeśli to wszystko, muszę zrobić kilka przeróbek na zapleczu.

- Tak, to wszystko. Bardzo pan pomógł.

Kiedy wyszedłem, zaczynało się ściemniać. Jedno, co żywo pamiętam z mojej wizyty w Derry we wrześniu i październiku 1958 roku, to że wieczór zawsze zapadał wcześniej.

Zaraz obok Derry Dress & Everyday był sklep sportowy Machen's, w którym trwała JESIENNA WYPRZEDAŻ BRONI. W środku zobaczyłem dwóch mężczyzn, którzy patrzyli w celowniki karabinów myśliwskich, podczas gdy stary sprzedawca w krawacie z tasiemki (zawiazanym na cienkiej jak tasiemka szyi) przyglądał im się z aprobatą. Druga strona Canal wydawała się w całości zabudowana barami dla ludu pracującego, takimi, w których można dostać piwo i lufę za pięćdziesiąt centów, a w szafie grającej są same piosenki country. Był The Happy Nook, The Wishing Weil (którą, jak się później dowiedziałem, stali bywalcy nazywali Wiadrem Krwi), Two Brothers, The Golden Spoke i The Sleepy Silver Dollar.

Przed tym ostatnim czterej przedstawiciele klasy robotniczej gapili się na mój kabriolet. Wyposażeni byli w kufle piwa i papierosy. Ich twarze ginęły w cieniu daszków kaszkietów z tweedu i bawełny. Na nogach mieli solidne, bezbarwne bucioro robocze, które moi uczniowie z 2011 roku nazywali głanami. Trzech z tego kwartetu nosiło szelki. Patrzyli na mnie bez wyrazu. Przez chwilę pomyślałem o kundlu, który śliniąc się i kłapiąc zębami, gonił mój samochód, Po czym przeszedłem przez ulicę.

- Witam panów. Jakie piwo tu dają?

Przez chwilę milczeli. I kiedy już myślałem, że nie dostanę odpowiedzi, mężczyzna bez szelek rzekł:

- Buda i Micka, cóż by innego? Pan nietutejszy?

- Z Wisconsin.

- Pogratulować - mruknął jeden.

- Późno pan przyjechał jak na turystę - zauważył inny.

- Jestem tu w interesach, ale pomyślałem sobie, że przy okazji zajrzę do starego kumpla z wojska. - Żadnej reakcji, chyba żeby za takową uznać to, że jeden z mężczyzn upuścił niedopałek na chodnik i zgasił go wydmuchniętym z nosa glutem wielkości małża.

Mimo to brnąłem dalej. - Nazywa się Skip Dunning. Znacie panowie jakiegoś Dunninga?

- Prędeż świniaka z uśmiechem pocałuję - powiedział Bezszelkowy.

- Co proszę?

Przewrócił oczami i kąciki jego ust wygięły się ku dołowi w wyrazie zniecierpliwienia człowieka mającego do czynienia z głupkiem, który nigdy, przenigdy nie zmańdrzeje.

- W Derry pełno Dunningów. Zajrzyj pan do książki telefonicznej. - Ruszył do baru. Jego paczka podążyła za nim. Bezszelkowy przytrzymał im drzwi, po czym odwrócił się do mnie. - Co ten ford ma w środku? - „Sirodku” zamiast „środku”. - V-8?

- Y-block. - Miałem nadzieję, że zabrzmiało to tak, jakbym wiedział, o czym mówię.

- Jak się jeździ?

- Nieźle.

- To jedź pan na wzgórze. Tam mają porządne knajpy. Te bary są dla robotli. - Bezszelkowy otaksował mnie zimnym spojrzeniem, które w Derry wkrótce przestało mnie zaskakiwać, ale do którego nigdy nie przywykłem. - Gapiłoby się na pana. A kiedy ze Striars i Boutillier's wyjdzie nocna zmiana, na gapieniu mogłoby się nie skończyć.

- Dzięki. To bardzo miło z pańskiej strony.

Zimne taksowanie trwało.

- Mało pan wiesz, co? - stwierdził i wszedł do środka.

Wróciłem do mojego kabrioletu. Na tej szarej ulicy, wśród wiszącego w powietrzu smrodu przemysłowych wyziewów, w powoli przechodzące w wieczór popołudnie, centrum Derry wyglądało tylko marginalnie bardziej uroczco od martwej prostytutki w kościelnej ławie. Wsiadłem, wcisnąłem sprzęgło, zapaliłem silnik i poczułem silną pokusę, żeby po prostu stąd wyjechać. Wrócić do Lisbon Falls, przeleźć przez króliczą norę i powiedzieć Ałowi Templetonowi, żeby poszukał sobie innego chłopca na posyłki. Tyle że nie mógł, zgadza się? Nie miał już siły, czasu też nie. Byłem, jak to mówią w Nowej Anglii, ostatnią kulą trapera.

Podjechałem na Main Street, zobaczyłem lampy powozowe (zapaliły się na noc w tej samej chwili, kiedy je wypatrzyłem) i skręciłem na placyk przed Derry Town House. Pięć minut później byłem już zameldowany. Tak rozpoczął się mój pobyt w Derry.

3

Kiedy rozpakowałem nowe nabytki (część pozostałej gotówki poszła do portfela, reszta za podszewkę mojej nowej walizki), byłem już porządnie głodny, ale zanim zszedłem

na dół na kolację, zjrzałem do książki telefonicznej. Od tego, co zobaczyłem, zrobiło mi się ciężko na sercu. Pan Bezszelkowy może i nie grzeszył nadmiarem serdeczności, ale miał rację co do tego, że w Derry i czterech czy pięciu okolicznych wioskach, które uwzględniał spis, Dunningów było na pęczki. Zajmowali prawie całą stronę. Nie było to znowu takie zaskakujące, bo w małych miścinach pewne nazwiska rozpleniają się jak mleczce na trawniku w czerwcu. Przez ostatnie pięć lat nauczania angielskiego w LHS miałem w swoich klasach ze dwa tuziny Starbirdów i Lemków, z czego niektórzy byli ze sobą bliżej lub dalej spokrewnieni. Zawierali małżeństwa między sobą i płodzili kolejnych.

Zanim przeszedłem do przeszłości, powinienem był znaleźć czas, by zadzwonić do Harry'ego Dunninga i spytać o imię jego ojca - nic prostszego. I na pewno zrobiłbym to, gdybym nie był tak dokumentnie oszołomiony tym, co Al mi pokazał i o co mnie poprosił. No ale, myślałem sobie, czy może to być aż tak trudne? Chyba nie potrzeba Sherlocka Holmesa, żeby znaleźć rodzinę z dziećmi o imionach Troy, Arthur (alias Tugga), Ellen i Harry.

Pokrzepiony tą myślą, zszedłem do restauracji hotelowej i zamówiłem zestaw owoców morza, który zawierał małże i homara mniej więcej wielkości silnika motorówki. Zrezygnowałem z deseru na rzecz piwa przy barze. W powieściach detektywistycznych, które czytałem, barmani często byli doskonałymi źródłami informacji. Oczywiście, gdyby ten, który urzędował za kontuarem w Town House, okazał się taki jak inni ludzie, których dotąd spotkałem w tej ponurej miścinie, wiele bym nie zdziałał.

Nie był taki. Mężczyzna, który oderwał się od pucowania szklanek, żeby mnie obsłużyć, był młody i krępy, o wesołej twarzy jak księżyc w pełni pod żołnierską fryzurą.

- Co podać, przyjacielu?

Słowo na P zabrzmiało miło i z entuzjazmem odwzajemniłem uśmiech.

- Miller lite.

Zrobił zdziwioną minę.

- O takim nie słyszałem, ale mam high life.

Oczywiście, że nie słyszał o miller lite; jeszcze go nie wynaleziono.

- Może być. Przez chwilę zapomniałem, że jestem na Wschodnim Wybrzeżu.

- Pan skąd? - Zdjął kapsel otwieraczem i postawił przede mną oszronioną szklankę. W pięćdziesiątym ósmym mają fiola na punkcie oszronionego szkła.

- Z Wisconsin, ale trochę tu pobędę. - Choć byliśmy sami, zniżyłem głos. To zdawało się budzić zaufanie. - Nieruchomości. Muszę się trochę rozejrzeć.

Skinął uprzejmie głową i nalał mi piwa, zanim sam mogłem to zrobić.

- Powodzenia. Bóg jeden wie, że w tych stronach jest ich sporo na sprzedaż i

przeważnie są tanie. Ja stąd wybywam. Z końcem miesiąca. Wybieram się gdzieś, gdzie jest trochę mniej nerwowo.

- Fakt, miasto gościnne nie jest, ale myślałem, że to po prostu kwestia jankeskiego charakteru. W Wisconsin jesteśmy bardziej przyjaźni i na dowód tego postawię panu piwo.

- W pracy nie piję alkoholu, ale napiłbym się coca-coli.

- Proszę bardzo.

- Wielkie dzięki. Miło gościć dżentelmena, kiedy w interesie posucha. - Patrzyłem, jak przygotowywał colę: najpierw napuścił esencji do szklanki, potem dodał wody sodowej i zamieszał. Wziął łyk i cmoknął. - Lubię słodką.

Widząc jego zaokrąglony brzuch, nie byłem zaskoczony.

- Całe to gadanie, że Jankesi są ponurakami, to bzdura - rzekł. - Wychowywałem się w Fort Kent i bardziej gościnnej miejsciny pan nie znajdzie. Kiedy turyści wysiadają u nas z pociągu, praktycznie całujemy ich na powitanie. Chodziłem tam do szkoły barmanów, potem ruszyłem na południe szukać szczęścia. Wydawało mi się, że ten lokal to dobre miejsce na początek, płacą nie najgorzej, ale... - Rozejrzał się, nie zobaczył nikogo, lecz i tak zniżył głos. - Chce pan znać prawdę? To miasto śmierdzi.

- Wiem, o czym pan mówi. Tyle tych fabryk.

- Chodzi o coś więcej. Niech pan się rozejrzy. Co pan widzi?

Zrobiłem, o co prosił. W kącie siedział facet o wyglądzie komiwojażera, sączący whisky z sokiem cytrynowym, ale to było wszystko.

- Niewiele - powiedziałem.

- Tak to wygląda przez cały tydzień. Pensja jest wysoka, bo nie ma napiwków. Piwiarnie w śródmieściu pękają w szwach, u nas jest trochę ruchu w piątek i sobotę wieczorem, ale to właściwie wszystko. Ani chybi lepsze towarzystwo woli pić w domu. - Zniżył głos jeszcze bardziej. Niewiele brakowało, żeby zaczął szeptać. - To było dla nas złe lato, przyjacielu. Miejscowi starają się o tym nie mówić, nawet lokalna gazeta tego nie nagłaśnia, ale działa się tu paskudne rzeczy. Morderstwa. Dzieci. Jedno niedawno znaleźli w Barrens. Patrick Hockstetter, tak się nazywał. Już zdążył zgnieć.

- Barrens?

- To te bagna, które przecinają środek miasta. Pewnie widział je pan z samolotu.

Co prawda przyjechałem samochodem, ale wiedziałem, o czym mowa.

Oczy barmana otworzyły się szerzej.

- Chyba to nie jest ta nieruchomość, która pana interesuje?

- Nie mogę powiedzieć - odparłem. - Gdyby się rozeszło, musiałbym szukać nowej

pracy.

- Rozumiem, rozumiem. - Wypił połowę coli, stłumił beknięcie grzbietem dłoni. - Ale mam nadzieję, że tak jest. Powinno się cholera zalać betonem. Nic, tylko śmierdząca woda i komary. Oddałby pan temu miastu przysługę. Od razu by trochę wyładniało.

- Znaleźli tam też inne dzieci? - spytałem. Seryjny zabójca dzieci w dużym stopniu tłumaczyłby ponurą atmosferę, którą wyczuwałem, odkąd przekroczyłem granicę miasta.

- Tego to ja nie wiem, ale ludzie powiadają, że tam skończyła część tych, które zniknęły, bo w Barrens są wszystkie wielkie przepompownie ścieków. Słyszałem, że pod Derry biegnie tyle rur kanalizacyjnych... większość ułożona w czasach Wielkiego Kryzysu... że nikt nie wie, gdzie są wszystkie. A wie pan, jakie są dzieci.

- Szukają przygód.

Skwapliwie przytaknął.

- Trafiony, zatopiony. Niektórzy twierdzą, że zabójcą był jakiś włóczęga, który już się wyniósł z miasta. Inni, że miejscowy, który przebierał się za kłowna, żeby nikt go nie rozpoznał. Pierwsza ofiara... to było rok temu, przed moim przyjazdem... znaleźli go z urwaną ręką na skrzyżowaniu Witcham i Jackson. Nazywał się Denbrough, George Denbrough. Biedny mały smyk. - Spojrzał na mnie znacząco. - I znaleźli go tuż obok studzienki kanalizacyjnej. Jednej z tych, które odprowadzają wodę do Barrens.

- Chryste!

- No właśnie.

- Zauważyłem, że mówi pan o tym wszystkim w czasie przeszłym.

Już szykowałem się, żeby wyjaśnić, o co mi chodzi, lecz on najwyraźniej pilnie się uczył nie tylko w szkole barmanów, na lekcjach angielskiego też.

- Wygląda na to, że to się skończyło, odpukać w niemalowane. - Postukał w kontuar. - Może ten, kto to robił, spakował manatki i wyjechał. A może sukinsyn się zabił, czasem tak kończą. Dobrze by było. Ale małego Corcorana nie zabił jakiś szaleniec w przebraniu kłowna. Nie, kłownem, który dokonał tego morderstwa, był ojciec chłopaka, jeśli może pan w to uwierzyć.

To brzmiało tak podobnie do powodu mojej wizyty, że uznałem to za znak od losu raczej niż zbieg okoliczności. Upiłem ostrożny łyk piwa.

- Poważnie?

- A żeby pan wiedział. Dorsey Corcoran, tak się malec nazywał. Miał dopiero cztery latka i wie pan, co zrobił ten bydlak, jego ojciec? Zatłukł go na śmierć młotkiem.

Młotkiem... Utrzymałem na twarzy wyraz uprzejmego zainteresowania -

przynajmniej taką miałem nadzieję - ale poczułem gęsią skórę wędrującą w górę ramion.

- To okropne.

- Uhm, ale jeszcze nie to było naj... - Urwał i spojrzał nad moim ramieniem. - Podać następnego?

To był ten komiwojażer.

- Nie, dzięki - powiedział i zapłacił banknotem dolarowym. - Idę do łóżka i jutro spływam z tej rupieciarni. Mam nadzieję, że w Waterville i Auguście pamiętają, jak się zamawia sprzęt, bo tu już zapomnieli. Reszty nie trzeba, synu, kup sobie za to desoto. - Wyszedł ciężkim krokiem, ze spuszczoną głową.

- Widzi pan? Tak to właśnie jest w tej oazie. - Barman spojrzał ze smutkiem za wychodzącym klientem. - Jeden drink, do łóżka i na razie, pozdrów Kazię. Jak tak dalej pójdzie, ten grajdoł zupełnie się wyludni. - Stał prosto i spróbował wyprostować ramiona; niewykonalne zadanie, bo były tak okrągłe jak cała reszta jego postaci. - Ale kogo to obchodzi? Pierwszego października już mnie tu nie ma. Ruszam w wielki świat. Bywajcie zdrowi i do następnego spotkania.

- Ojciec tego chłopca, Dorsey... nie zabił żadnej z pozostałych ofiar?

- Nie, miał alibi. Teraz, kiedy o tym myślę, to zdaje się, że był jego ojczymem. Dicky Macklin. Johnny Keeson z recepcji, pewnie meldował się pan u niego, mówił, że facet czasem przychodził tu się napić dopóki nie dostał zakazu wstępu po tym, jak podrywał stewardesę i zaczął rozrabiać, kiedy posłała go do diabła. Od tamtej pory pewnie pił w Spoke albo Wiadrze. Tam wpuszczają każdego.

Nachylił się dość blisko mnie, żebym poczuł wodę kolońską Aqua Velva na jego policzkach.

- Chce pan wiedzieć, co jest najgorsze?

Nie chciałem, ale pomyślałem, że powinienem. Dlatego skinąłem głową.

- W tej popieprzonej rodzinie był jeszcze starszy brat. Eddie. Zniknął w czerwcu. Puf! - i tyle go widziano. Adresat nieobecny, nowy adres nieznan, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Niektórzy sądzą, że uciekł od Macklina, ale każdy, kto ma trochę rozumu, wie, że gdyby tak było, pojawiłby się w Portland, Castle Rock czy Portsmouth... dziesięć lat nie mógłby tak długo pozostawać niewidoczny. Nie, ręcę panu, że Eddie Corcoran dostał młotkiem jak jego braciszek. Macklin po prostu nie chce się do tego przyznać. - Nagle przybrał na usta szeroki, słoneczny uśmiech, który sprawił, że jego księżycowa twarz stała się wręcz ładna. - I jak, zniechęciłem już pana do kupna nieruchomości w Derry?

- Decyzja nie należy do mnie - powiedziałem. Wtedy już działałem na autopilocie.

Czy nie słyszałem lub nie czytałem o serii zabójstw dzieci w tej części Maine? A może oglądałem coś na ten temat w telewizji, skupiając na tym tylko czwartą część mojej uwagi, bo pozostałe trzy czwarte nasłuchiwały kroków mojej problemowej żony, podchodzącej - czy raczej zataczającej się - do drzwi domu po kolejnym „babskim wieczorze”? Tak mi się zdawało, ale jedyne, co pamiętałem o Derry na pewno, to że w połowie lat osiemdziesiątych zaleje je powódź, która zniszczy pół miasta.

- Nie?

- Nie, jestem tylko pośrednikiem.

- Cóż, powodzenia życzę. W mieście nie jest tak źle, jak było... w lipcu ludzie byli spięci jak Doris Day pasem cnoty... ale dużo jeszcze brakuje do normalności. Ja jestem przyjazny człowiek i lubię przyjaznych ludzi. Spływam.

- Też życzę panu powodzenia - powiedziałem i rzuciłem dwa dolary na kontuar.

- O rany, proszę pana, to za dużo!

- Zawsze płacę premię za ciekawą rozmowę. - Prawdę mówiąc, premia była za przyjazną twarz. Rozmowa jako taka była niepokojąca.

- Cóż, dzięki! - Rozpromienił się i wyciągnął rękę. - Nie przedstawiłem się. Fred Toomey.

- Miło cię poznać, Fred. Jestem George Amberson. - Miał porządny uścisk. Żadnego talku.

- Chcesz mojej rady?

- Jasne.

- Dopóki jesteś w mieście, lepiej nie rozmawiaj z dziećmi. Po tym, co się stało w lecie, nieznajomy, którego przydybią na tym, że gada z dzieciakami, może spodziewać się wizyty policji. Albo pobicia. To też wchodziłoby w rachubę.

- Nawet bez przebrania kłowna, co?

- Cóż, w tym cały sęk z przebierankami, nie? - Już się nie uśmiechał. Był blady i posepny. Jak wszyscy w Derry, innymi słowy. - Kiedy wkładasz strój kłowna i gumowy nos, nikt nie ma pojęcia, co się pod tym kryje.

4

Nikt nie ma pojęcia, co się pod tym kryje...

Myślałem o tym, kiedy staroświecka winda wjeżdżała ze zgrzytem na drugie piętro. To była prawda. A jeśli prawdą była także reszta tego, co mówił Fred Toomey, czy

ktokolwiek by się zdziwił, gdyby kolejny ojciec rzucił się z młotkiem na dzieci i żonę? Sądziłem, że nie. Ludzie zapewne by powiedzieli, że tak to już jest w Derry. I może mieliby rację.

Kiedy wszedłem do mojego pokoju, nasunęła mi się autentycznie przerażająca myśl: a gdybym w ciągu następnych siedmiu tygodni zmienił bieg wydarzeń tylko na tyle, żeby ojciec Harry'ego zabił też Harry'ego, zamiast zostawić go z niesprawną nogą i przyćmionym umysłem?

Nie ma mowy, powiedziałem sobie. Nie dopuszczę do tego. Jak powiedziała Hillary Clinton w 2008, wchodzę do gry po to, żeby wygrać.

Tyle że, oczywiście, przegrała.

Tę myśl zabrałem ze sobą do łóżka mojej pierwszej nocy w Derry.

5

Następnego ranka zjadłem śniadanie w hotelowej restauracji Riverview, pustej, nie licząc mnie i komiwojażera z poprzedniego wieczoru. Siedział z nosem zagrzebanym w lokalnej gazecie. Kiedy zostawił ją na stoliku, sięgnąłem po nią. Nie interesowała mnie pierwsza strona, poświęcona pobrzękiwaniu szabelką na Filipinach (choć zastanowiłem się przelotnie, czy Lee Oswald jest gdzieś w tamtym rejonie). Chciałem przejrzeć wiadomości lokalne. W roku 2011 byłem stałym czytelnikiem „Lewiston Sun” i ostatnia strona działu B zawsze nosiła tytuł „Szkolne sprawy”. Dumni rodzice mogli tam zobaczyć nazwiska swoich pociech, gdy zdobywały jakąś nagrodę, wyjeżdżały na wycieczkę czy uczestniczyły w akcji sprzątnięcia okolicy. Jeżeli „Derry Daily News” prowadziła podobną rubrykę, była szansa, że znajdę tam wzmiankę o jednym z dzieci Dunningów.

Jednak ostatnia strona „News” zawierała tylko nekrologi.

Zajrzałem do działu sportowego i przeczytałem o zbliżającym się ważnym meczu: Tygrysy Derry kontra Barany Bangor. Według wypracowania woźnego Troy Dunning miał piętnaście lat. Piętnastolatek swobodnie mógł się załapać do drużyny, choć pewnie nie do pierwszego składu.

Nie znalazłem jego nazwiska. Przeczytałem też każde słowo krótszego artykułu o drużynie dziecięcej (Tygrysiątka), lecz nie było tam nic o Arthurze „Tugdze” Dunningu.

Zapłaciłem za śniadanie i wróciłem do pokoju z pożyczoną gazetą pod pachą, myśląc, że marny ze mnie detektyw. Kiedy policzyłem Dunningów w książce telefonicznej (było dziewięćdziesięciu sześciu), przyszło mi do głowy coś innego: krępowało, może nawet

paraliżowało mnie to, że przywykłem do wszechobecnego społeczeństwa internetowego, odczułem się bez niego żyć. Jak trudno byłoby odszukać właściwych Dunningów w 2011? Zapewne wystarczyłoby wpisać „Tugga Dunning” i „Derry” do mojej ulubionej wyszukiwarki; potem wcisnąć enter i pozwolić, by Google, ten Wielki Brat dwudziestego pierwszego wieku, załatwił resztę.

W 1958 roku najnowocześniejsze komputery były wielkości małych osiedli, a lokalna gazeta nie pomogła. Cóż więc pozostawało? Przypomniał mi się mój profesor socjologii ze studiów - stary, sarkastyczny drań - który mawiał: „Kiedy wszystko inne zawiedzie, dajcie za wygraną i idźcie do biblioteki”.

Poszedłem tam. Z wielkimi nadziejami.

6

Późnym popołudniem, nadziei pozbawiony (przynajmniej na razie), powoli wdrapałem się na Milowe Wzgórze, przystając na chwilę na skrzyżowaniu Jackson i Witcham, by spojrzeć na studzienkę kanalizacyjną, przy której mały George Denbrough stracił rękę i życie (przynajmniej według Freda Toomeya). Kiedy dotarłem na szczyt wzgórza, waliło mi serce i dyszałem ciężko. Nie przez brak kondycji; przez smród fabryk.

Byłem zniechęcony i lekko przerażony. Owszem, miałem dużo czasu, by znaleźć właściwych Dunningów, i nie wątpiłem, że tego dokonam - gdyby to wymagało obdzwonienia wszystkich Dunningów w książce telefonicznej, zrobiłbym to, nie bacząc na ryzyko, że w ten sposób zaalarmuję tę tykającą bombę zegarową, jaką był ojciec Harry'ego - ale zaczynałem wyczuwać to, co wyczuwał Al: że coś działa przeciwko mnie.

Szedłem Kansas Street głęboko zamyślony i nie od razu zauważyłem, że na prawo ode mnie już nie ma domów. Ziemia opadała tam stromo do tego zielonego, podmokłego gąszczu, który Toomey nazywał Barrens. Tylko koślawy biały płotek oddzielał chodnik od stoku. Oparłem na nim dłonie, wpatrzony w rozbuchaną roślinność w dole. Widziałem połyskujące mętne bajorka, kępy trzciny tak wysokich, że wydawały się prehistoryczne, i splątane kłębowiska jeżyn. Drzewa na pewno były tam karłowate, walczące między sobą o dostęp do słońca. Na pewno był trujący bluszcz, góry śmieci, prawdopodobnie nawet parę obozów kloszardów. I ścieżki znane tylko niektórym miejscowym dzieciom. Tym, które szukały przygód.

Stałem i patrzyłem niewidzącym wzrokiem, półświadomie słysząc gdzieś daleko muzykę - coś z sekcją instrumentów dętych. Myślałem o tym, jak mało osiągnąłem tego

ranka. „Możesz zmienić przeszłość - mówił mi Al - ale to nie takie proste, jak się wydaje”.

Co to za muzyka? Coś wesołego, nieco skocznego. Te dźwięki przypomniały mi Christy w tych pierwszych latach, kiedy byłem w niej zadurzony. Kiedy byliśmy zadurzeni w sobie nawzajem. Ba-da-da-da... ba-da-da-di-dum... Glenn Miller?

Do biblioteki poszedłem z nadzieją, że obejrzę dane ze spisu ludności. Ostatni ogólnokrajowy odbył się osiem lat wcześniej, w 1950 roku, musiał więc objąć troje z czworga dzieci Dunningów: Troya, Arthura i Harolda. Ellen nie było wtedy jeszcze na świecie - w momencie zabójstwa miała siedem lat. Spis na pewno zawierał ich adres. Jasne, w ciągu ośmiu lat, które upłynęły od tamtego czasu, rodzina mogła się przeprowadzić, ale jeśli tak, któryś z sąsiadów na pewno mógłby mi powiedzieć, dokąd się przenieśli. To było małe miasto.

Tyle że danych ze spisu ludności nie było. Miła bibliotekarka o nazwisku Starrett powiedziała mi, że jej osobistym zdaniem te dokumenty zdecydowanie powinny być w bibliotece, ale rada miejska z jakiegoś powodu uznała, że ich miejsce jest w ratuszu. Przeniesiono je tam w 1954 roku, wyjaśniła.

- To nie brzmi optymistycznie - powiedziałem z uśmiechem. - Wie pani, jak to mówią: z ratuszem nie wygrasz.

Pani Starrett nie odwzajemniła uśmiechu. Była pomocna, nawet urocza, ale pełna tej samej czujnej rezerwy, z jaką odnosili się do mnie wszyscy, których spotkałem w tym dziwnym mieście - Fred Toomey był wyjątkiem, który potwierdzał regułę.

- Niech pan nie opowiada głupstw, panie Amberson. Narodowy spis ludności to nic tajnego. Pan tam pójdzie i powie sekretarz rady miasta, że przysłała pana Regina Starrett. Nazywa się Marcia Guay. Ona panu pomoże. Chociaż pewnie schowali te dokumenty do piwnicy, a to dla nich najgorsze miejsce. Jest tam wilgotno, nie zdziwiłabym się, gdyby były myszy. Jeśli będą jakieś kłopoty, wszystko jedno jakie, proszę tu do mnie wrócić.

Poszedłem więc do ratusza, gdzie plakat w holu ostrzegał RODZICE, PRZYPOMNIJCIE DZIECIOM, ŻEBY NIE ROZMAWIAŁY Z NIEZNAJOMYMI I BAWIŁY SIĘ TYLKO Z KOLEGAMI. Przy każdym okienku stało po kilka osób. Większość paliła. Oczywiście. Marcia Guay powitała mnie zakłopotanym uśmiechem. Pani Starrett wcześniej zadzwoniła do niej w moim imieniu i była stosownie zbulwersowana, kiedy pani Guay powiedziała jej to samo, co teraz mnie: dane ze spisu ludności w 1950 roku przepadły razem z resztą dokumentów przechowywanych w piwnicy ratusza.

- W zeszłym roku strasznie u nas lało. Przez cały tydzień, bez przerwy. Kanał wylał i całe Dolne Miasto... tak starsi mieszkańcy nazywają centrum miasta, panie Amberson... całe

Dolne Miasto było podtopione. Nasza piwnica przez prawie miesiąc wyglądała jak Wielki Kanał w Wenecji. Pani Starrett ma rację, tych dokumentów w ogóle nie należało przenosić. Nikt nie wie, dlaczego to zrobiono i kto o tym zdecydował. Okropnie mi przykro.

Nie mogłem nie poczuć tego, co czuł Al, kiedy próbował ocalić Carolyn Poulin: że jestem w swoistym więzieniu o elastycznych ścianach. Żeby się wyswobodzić, będę musiał je rozciąć, ale jak? Czy miałem kręcić się w pobliżu miejscowych szkół w nadziei, że zobaczę chłopca podobnego do sześćdziesięciokilkuletniego woźnego, który właśnie przeszedł na emeryturę? Wypatrywać siedmioletniej dziewczynki, która rozśmiesza koleżanki do rozpuku? Czekać, aż jakiś dzieciak krzyknie „Hej, Tugga, zaczekaj!”?

Jasne. Nowo przybyły kręcący się pod szkołami w mieście, w którego ratuszu wisi plakat przestrzegający rodziców przed obcymi. To byłoby tak, jakby nie tylko dać się wyłapać na radarze, ale wprost w ten radar wlecieć.

Jedno wiedziałem na pewno - musiałem się wynieść z Derry Town House. Przy cenach z roku 1958 swobodnie było mnie stać na to, żeby mieszkać tam jeszcze siedem tygodni, ale to mogłoby wywołać plotki. Postanowiłem poszukać w ogłoszeniach pokoju do wynajęcia. Odwróciłem się w stronę Dolnego Miasta i znieruchomiałem.

Ba-da-da-da... ba-da-da-di-dum...

To rzeczywiście był Glenn Miller. „In the Mood”, utwór, który nie bez powodu dobrze znałem. Zaciekawiony, ruszyłem w stronę muzyki.

7

Na końcu koślawego płotka między chodnikiem przy Kansas Street a zboczem opadającym do Barrens był mały placzyk piknikowy. Stał na nim kamienny grill i dwa stoły piknikowe rozdzielone zardzewiałym koszem na śmieci. Na jednym ze stołów leżał przenośny adapter. Na talerzu obracała się duża czarna płyta, odtwarzana z prędkością 78 obrotów na minutę.

Chudy jak tyczka chłopak w sklejonych taśmą okularach tańczył na trawie z absolutnie zjawiskową rudowłosą dziewczyną. W LHS nazywaliśmy pierwszoklasistów „narybkami” i ci dwoje już łapali się do tej kategorii, choć ledwo, ledwo. Tańczyli jednak z gracją dorosłych. I to nie jitterbuga; swinga. Byłem zauroczone, ale i... co? Przerażony? Może trochę. Bałem się przez prawie cały mój pobyt w Derry i w Teksasie. Chodziło też jednak o coś innego, coś większego. Swoistą trwogę, jakbym był na krawędzi poznania wielkiej tajemnicy. Albo jakbym widział (jak w zwierciadle, niejasno, rozumiecie) maszynię

wszechświata.

Trzeba wam bowiem wiedzieć, że poznałem Christy na kursie swinga w Lewiston i między innymi przy tym właśnie utworze nauczyliśmy się tańczyć. Później - w naszym najlepszym roku, sześć miesięcy przed ślubem i sześć miesięcy po - tańczyliśmy na zawodach, raz zajęliśmy czwarte miejsce (znane też jako „pierwsze poza pudłem”, według Christy) w Regionalnym Konkursie Swinga. Naszą piosenką był lekko spowolniony, taneczny mix „Boogie Shoes” K.C. and the Sunshine Band.

To nie jest zbieg okoliczności, pomyślałem, obserwując ich. Chłopak miał na sobie niebieskie dżinsy i koszulkę z okrągłym wycięciem pod szyją; dziewczyna była w białej bluzce wypuszczonej na wyblakłe czerwone spodnie do połowy łydki. Swoje niesamowite włosy miała związane w taki sam beczelnie uroczy koński ogon, jaki zawsze nosiła Christy, kiedy tańczyliśmy na zawodach. Wraz z wywijanymi skarpetkami do kostek i rozkloszowaną spódniczką w stylu retro, oczywiście.

To nie może być zbieg okoliczności...

Tańczyli odmianę lindy hopa, którą znałem jako hellzapoppin. Jest to szybki taniec - szybki jak błyskawica, jeśli ma się wystarczającą kondycję i grację - oni jednak poruszali się wolno, bo dopiero uczyli się kroków. Widziałem każdy ruch w najdrobniejszych szczegółach. Znałem wszystkie, choć od ponad pięciu lat nie miałem okazji ich ćwiczyć. Podejść do siebie, trzymając się za ręce. On lekko się pochyła i wyrzuca lewą nogę w przód, ona robi to samo, oboje ze skretem talii, jakby szli w przeciwnych kierunkach. Rozsunąć się, nie puszczając rąk, teraz ona okręca się najpierw w lewo, potem w prawo...

Ale obrót powrotny zupełnie im nie wyszedł i dziewczyna wyłożyła się w trawę.

- Jezu, Richie, zawsze ten sam błąd! Błę, jesteś do niczego! - Mimo to śmiała się. Przewróciła się na plecy i wbiła wzrok w niebo.

- Panienka wybaczy, panienko Scawlett! - krzyknął chłopak piskliwym głosem małego Murzynka. W politycznie poprawnym dwudziestym pierwszym wieku posypałyby się za to na niego gromy. - Ja prosty chłopak ze wsi jestem, ale tańca łonego się wyuczę, żeby nie wiadomo co!

- Prędzej mnie zabijesz - powiedziała. - Puść płytę od początku, zanim stracę...

Wtedy oboje zobaczyli mnie.

Nastała dziwna chwila. Derry było przedzielone zasłoną - z czasem poznałem tę zasłonę tak dobrze, że wręcz mogłem ją widzieć. Miejscowi byli po jednej stronie; ludzie spoza miasta (jak Fred Toorney jak ja) po drugiej. Tubylcy czasem wychodzili z za tej zasłony, tak jak to zrobiła bibliotekarka, pani Starrett, kiedy wyraziła swoje oburzenie z

powodu przeniesienia danych ze spisu ludności, ale jeśli zadawałeś za dużo pytań - a już na pewno gdy ich zaskakiwałeś - chowali się za nią z powrotem.

Te dzieci jednak, choć na pewno je zaskoczyłem, nie wycofały się za tę zasłonę. Ich twarze pozostały pełne ciekawości i zainteresowania.

- Przepraszam, przepraszam - odezwałem się. - Nie chciałem was wystraszyć. Usłyszałem muzykę i zobaczyłem, że tańczycie lindy hopa.

- Że próbujemy tańczyć lindy hopa, chciał pan powiedzieć - sprostował chłopak. Pomógł dziewczynie wstać. Ukłonił się. - Richie Tozier, do usług. Przyjaciele mawiają o mnie „Richie-Richie, mieszka w dziczy”, ale co oni tam wiedzą?

- Miło cię poznać. George Amberson. - A potem, ni z tego, ni z owego: - A o mnie przyjaciele mawiają: „Georgie-Georgie, gumę żuje w mordzie”, ale też się nie znają.

Dziewczyna ze śmiechem gruchnęła na ławę przy stole piknikowym. Chłopak wyrzucił ręce do góry i zaryczał:

- Nieznajomy dorosły mówi dobry żart! Ju-huuu! Seee-nsacja! Edzie McMahonie, cóż mamy dla naszego czarującego gościa? Ach, Johnny, główną nagrodą w dzisiejszym programie jest komplet „Encyclopedia Britannica” i elektroluks, który wessie każdy...

- Bip-bip, Richie - powiedziała dziewczyna. Ocierała kąciki oczu.

To poskutkowało niefortunnym powrotem do piskliwego głosu małego Murzynka.

- Panienska daruje, paniensko Scawlett, panienska nie bije! Jeszczem cały w strupach po ostatnim laniu!

- A panienska to kto? - spytałem.

- Bevvie-Bevvie, mieszkam na drzewie. - Znów zachichotała. - Przepraszam... Richie to dureń, ale mnie nic nie usprawiedliwia. Beverly Marsh. Pan nietutejszy, co?

Wszyscy jakoś to od razu poznawali.

- Tak, ale wy też mi na miejscowych nie wyglądacie. Jesteście pierwszymi mieszkańcami Derry, których poznałem, a którzy nie są... zrzędami.

- Taa, zrzędliwe jest to nasze miasteczko - przytaknął Richie i zdjął z płyty podskakujące w ostatnim rowku ramię gramofonu.

- Słyszałem, że ludzie szczególnie martwią się o dzieci - powiedziałem. - Zwróćcie uwagę, że trzymam się na dystans. Wy na trawie, ja na chodniku.

- Nie martwili się tak, kiedy trwały morderstwa - burknął Richie. - O morderstwach pan słyszał?

Skinąłem głową.

- Zatrzymałem się w Town House. Ktoś, kto tam pracuje, opowiedział mi, co się

działo.

- Taa, teraz, jak się skończyły, wszyscy nagle martwią się o dzieci. - Usiadł obok Bevvie, co mieszkała na drzewie. - Ale dopóki trwały, żaden słowem nie pisał.

- Richie, bip-bip - powiedziała Bevvie.

Tym razem chłopiec próbował naśladować Humphreya Bogarta, z marnym skutkiem.

- Cóż, taka jeszt prawda, szkarbie. Wiesz, że taka jeszt prawda.

- To się skończyło - powiedziała mi Bevvie z żarliwością lokalnego patrioty. - Oni tylko jeszcze tego nie wiedzą.

- „Oni” w sensie „mieszkańcy miasta” czy ogólnie „dorośli”?

Wzruszyła ramionami w geście „co za różnica”.

- Ale wy wiecie.

- Tak się składa, że owszem. - Richie spojrział na mnie wyzywająco, ale w oczach za jego sklejonymi okularami wciąż widziałem ten błysk wariackiego humoru. Domyślałem się, że nigdy nie zniknął z nich do końca.

Wszedłem na trawę. Żadne z dzieci nie uciekło z krzykiem. Mało tego, Beverly przesunęła się w bok na ławie (jednocześnie szturchnęła Richiego łokciem, żeby też się przesunął) i zrobiła mi miejsce. Byli albo bardzo odważni, albo bardzo głupi, a na głupich nie wyglądali.

I wtedy dziewczyna powiedziała coś, co wprawiło mnie w osłupienie.

- Czy ja pana znam? Czy my pana znamy?

Zanim mogłem odpowiedzieć, odezwał się Richie.

- Nie, to nie to. To... nie wiem. Chce pan czegoś, panie Amberson?

O to chodzi?

- Szczerze, tak. Pewnych informacji. Ale skąd to wiedzieliście? I skąd wiecie, że nie jestem niebezpieczny?

Spojrzeli na siebie i coś sobie powiedzieli bez słów. Nie mogłem stwierdzić co, ale pewien byłem: po pierwsze, wyczuli we mnie inność dalece wykraczającą poza fakt, że byłem obcym w ich mieście... a po drugie, w odróżnieniu od Człowieka z Żółtą Kartką nie bali się jej. Wręcz przeciwnie; byli nią zafascynowani. Miałem wrażenie, że te ładne, nieustraszone dzieciaki mogłyby mi niejedno opowiedzieć, gdyby tylko chciały. Do dziś jestem ciekaw, jakież to byłyby historie.

- Po prostu nie jest pan. - Richie spojrział na dziewczynę, a ona pokiwała głową na znak zgody.

- I jesteście pewni, że... złe czasy się skończyły?

- Prawie - powiedziała Beverly. - Wydaje mi się, że w Derry złe czasy tak naprawdę nigdy się nie kończą, panie Amberson... to okrutne miejsce. Pod wieloma względami. Ale kiedyś będzie lepiej.

- A gdybym powiedział wam czysto hipotetycznie, że coś złego jeszcze majaczy na horyzoncie? Coś takiego jak to, co spotkało małego Dorseya Corcorana.

Wzdrygnęli się, jakbym uszczypnął ich w miejsce, gdzie nerwy leżą tuż pod skórą. Beverly odwróciła się do Richiego i szepnęła mu coś na ucho. Nie jestem w stu procentach pewien, co powiedziała, mówiła szybko i cicho, ale możliwe, że były to słowa: „Tego nie zrobił kłown”. Potem spojrzała na mnie.

- Co dokładnie? To samo co wtedy, kiedy ojciec Dorseya...

- Nieważne. Nie musicie tego wiedzieć. - Pora skoczyć w głęboką wodę. Te dzieciaki były właściwymi osobami. Nie wiedziałem, skąd to wiem, ale to wiedziałem. - Znacie Dunningów? - Wyliczyłem na palcach. - Troy, Arthur, Harry i Ellen. Tylko że na Arthura mówią też...

- Tugga - powiedziała Beverly beznamiętnie. - Jasne, że go znamy, chodzi z nami do szkoły. Tego lindy hopa ćwiczymy na szkolny pokaz talentów, będzie zaraz przed Świętem Dziękczynienia...

- Panienska Scawlett uważa, że musim się wcześniej zacząć przygotowywać - wtrącił Richie.

Beverly Marsh go zignorowała.

- Tugga też się zgłosił do pokazu. Ma śpiewać „Splish Splash”. Z playbacku. - Przewróciła oczami. Była w tym dobra.

- Gdzie mieszka? Wiecie?

Oczywiście, że wiedzieli, ale żadne tego nie potwierdziło. I gdybym nie dał im czegoś więcej, nie zrobiliby tego. Widziałem to w ich twarzach.

- A jeśli wam powiem, że jest spore prawdopodobieństwo, że Tuggi w ogóle nie będzie na pokazie talentów, jeśli ktoś nie będzie nad nim czuwał? Nad jego braćmi i siostrą też? Uwierzycie?

Znów porozumieli się wzrokiem. Trwało to długo - może dziesięć sekund. To było tego rodzaju przeciągłe spojrzenie, jakie wymieniają kochankowie, ale byli za młodzi, by być kochankami. Przyjaciółmi owszem, na pewno. Bliskimi przyjaciółmi, którzy przez coś razem przeszli.

- Tugga i jego rodzina mieszkają na Cossut Street - powiedział wreszcie Richie. Przynajmniej tak to zabrzmiało.

- Cossut?

- Tak to wymawiają miejscowi - wyjaśniła Beverly. - K-O-S-S-U-T-H. Cossut.

- Rozumiem. - Teraz pozostawało tylko pytanie, jak dużo te dzieci rozpaplają o naszej dziwnej rozmowie na skraju Barrens.

Beverly patrzyła na mnie poważnie, z niepokojem.

- Panie Amberson, ja znam tatę Tuggi. Pracuje w Center Street Market. To miły człowiek. Zawsze uśmiechnięty. On...

- Miły człowiek już nie mieszka w domu - wtrącił Richie. - Żona go wywaliła na kopach.

Odwróciła się do niego z szeroko otwartymi oczami.

- Tug ci to powiedział?

- Nie. Ben Hanscom. Tug powiedział jemu.

- Ale jest miły - powtórzyła Beverly cicho. - Zawsze się wygłupia i w ogóle, ale nigdy się nie pcha z łapami, gdzie nie powinien.

- Klowny też się wygłupiają - stwierdziłem. Oboje podskoczyli jakbym znów uszczypnął ten czuły splot nerwów. - Co nie znaczy że są miłe.

- Wiemy - szepnęła Beverly. Patrzyła na swoje dłonie. Potem podniosła oczy na mnie.

- Słyszał pan o Żółwiu? - „Żółw” wyraźnie był nazwą własną.

Pomyślałem, żeby odpowiedzieć: „Słyszałem o Żółwiach Ninja” ale tego nie zrobiłem. Na Leonarda, Donatella, Raphaela i Michelangelo było jeszcze kilkadziesiąt lat za wcześnie. Tylko potrząsnąłem głową.

Spojrzała z powątpiewaniem na Richiego. On popatrzył na mnie, a potem znów odwrócił się do niej.

- To dobry człowiek. Jestem prawie pewna. - Dotknęła mojego nadgarstka. Jej palce były zimne. - Pan Dunning jest miły. To, że już nie mieszka w domu, nie znaczy, że nie.

Celna uwaga. Moja żona zostawiła mnie, ale nie dlatego, że byłem niemły.

- Wiem. - Wstałem. - Zostanę w Derry na jakiś czas i wolałbym nie rzucać się w oczy. Moglibyście zachować naszą rozmowę dla siebie? Wiem, że proszę o wiele, ale...

Spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

Kiedy odzyskała mowę, Beverly powiedziała:

- Potrafimy dochować tajemnicy.

Skinąłem głową.

- Nie wątpię. Założę się, że kilku dochowaliście tego lata.

Na to nie odpowiedzieli.

Wskazałem kciukiem Barrens.

- Bawicie się tam?

- Kiedyś tak, teraz już nie. - Richie wstał i otrzepał siedzenie dżinsów. - Miło się z panem rozmawiało, panie Amberson. Niech panu droga lekka będzie. - Zawahał się. - I niech pan uważa w Derry. Jest już lepiej, ale chyba nigdy nie będzie, wie pan, tak jak trzeba.

- Dzięki. Dziękuję wam obojgu. Może pewnego dnia rodzina Dunningów też będzie miała wam za co dziękować, ale jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli...

- ...nigdy się o niczym nie dowiedzą - dokończyła za mnie Beverly.

- Otóż to. - Po czym dodałem; przypominając sobie coś, co powiedział Fred Toomey: - Trafiony, zatopiony. Uważajcie na siebie.

- Taki mamy zamiar. - Beverly znów zachichotała. - Żuj gumę w mordzie, Georgie.

Zasalutowałem od runda mojego nowego słomkowego kapelusza i już miałem odejść, kiedy wpadłem na pewien pomysł.

- Czy ten gramofon odtwarza z prędkością trzydzieści trzy i jedna trzecia?

- Takiej do longplayów? - spytał Richie. - Nie, mamy taki w domu, owszem, ale sprzęt Bevvie to zabawka na baterie.

- Te, Tozier, uważaj, co mówisz o moim gramofonie - powiedziała Beverly. - Kupiłam go za własne oszczędności. - Potem do mnie: - Gra tylko siedemdziesiątki i czterdziestki. Tyle że zgubiłam takie plastikowe kółko, które się wkłada do otworu w czterdziestkach, więc teraz mogę na nim puszczać tylko siedemdziesiątki.

- Czterdzieści pięć powinno wystarczyć - stwierdziłem. - Puśćcie płytę od początku, ale na wolniejszych obrotach. - Na kursie nauczyliśmy się z Christy ćwiczyć kroki swinga w zwolnionym tempie.

- A to papcio wymyślił! - zdziwił się Richie. Przełączył wajchę prędkości obok talerza i puścił płytę od początku. Muzyka tym razem brzmiała, jakby cały big-band Glenna Millera nałykał się quaalude.

- No dobra. - Wyciągnąłem ręce do Beverly. - Patrz, Richie.

Wzięła mnie za ręce z pełną ufnością, patrząc szeroko otwartymi, rozbawionymi niebieskimi oczami. Byłem ciekaw, gdzie ta dziewczyna jest i kim jest w roku 2011. O ile w ogóle jeszcze żyje. Jeśli tak, czy pamięta, że dziwny człowiek, który zadawał dziwne pytania, tańczył z nią do ślimaczącej się wersji „In the Mood” w słoneczne wrześnie popołudnie?

- Przedtem robiliście to wolno - powiedziałem - a tak będzie jeszcze wolniej, ale łatwo trzymać rytm. I będziecie mieli mnóstwo czasu na każdy krok.

Przyciągnąłem Bevvie do siebie za ręce. Pozwoliłem jej się odsunąć. Oboje zgięliśmy

się jak ludzie pod wodą i zrobiliśmy wymach lewą nogą, podczas gdy Orkiestra Glenna Millera grała „baaaa... daa... daaaa... baaaa... daa... daaaa... diiii... daaaaa”. W tym samym zwolnionym tempie, jak nakręcona zabawka, która wytraca impet, Beverly okręciła się w lewo pod moimi uniesionymi dłońmi.

- Stop! - powiedziałem i zamarła, odwrócona do mnie plecami, wciąż trzymając mnie za rękę. - Teraz ściśnij moją prawą rękę, żeby mi przypomnieć, co dalej.

Ścisnęła, po czym płynnie obróciła się z powrotem, aż znalazła się po mojej prawej.

- Fajowo! - wykrzyknęła. - Teraz ja na dół, a pan mnie podrzuca. I wtedy robię przewrót. Dlatego ćwiczymy na trawie, żebym, w razie gdyby mi nie wyszło, nie złamała sobie karku.

- To już zostawię wam - zdecydowałem. - W moim wieku podrzuca się co najwyżej naleśniki.

Richie raz jeszcze podniósł dłonie do policzków.

- Ju-huuu! Nieznajomy dorosły mówi następny...

- Bip-bip, Richie - wszedłem mu w słowo. Zaśmiał się. - Teraz wy spróbujcie. I ustalcie sygnały do wszystkich innych figur, które wykraczają poza prosty two-step tańczony na lokalnych potańcówkach. Wtedy nawet jeśli nie wygracie konkursu talentów, przynajmniej będziecie dobrze wyglądać.

Richie wziął Beverly za rękę i spróbował. Do siebie, od siebie, na boki, obrót w lewo, obrót w prawo. Doskonale. Wśliznęła się nogami naprzód między jego rozstawione nogi, gibka jak ryba, on wyciągnął ją z powrotem. Zakończyła efektownym przewrotem, po którym wylądowała na nogach. Richie wziął ją za rękę i powtórzyli wszystko od początku. Za drugim razem wyszło jeszcze lepiej.

- Przy wślizgu gubimy rytm - narzekał Richie.

- Kiedy puścicie płytę w normalnym tempie, będzie dobrze. Zaufaj mi.

- To mi się podoba - uznała Beverly. - Jakbym oglądała to wszystko za szybą. - Zakręciła piruet na czubkach tenisówek. - Czuję się jak Loretta Young, kiedy wchodzi we wzorzystej sukni na początku swojego programu.

- Zwą mnie Arthur Murray, jestem z Miz-UUU-ri - wyglupiał się Richie. Też miał zadowoloną minę.

- Puszczę płytę szybciej - powiedziałem. - Pamiętajcie o sygnałach. I trzymajcie rytm. Rytm to podstawa.

Glenn Miller grał tę starą słodką melodię, a dzieci tańczyły. Obok, na trawie tańczyły ich cienie. Do siebie... od siebie... skłon... wymach nogą... obrót w lewo... obrót w prawo...

wślizg... wyciągnięcie za ręce... i przewrót. Tym razem nie wyszło im to idealnie i mieli zrobić jeszcze wiele błędów, zanim opanują wszystkie kroki (o ile w ogóle tego dokonają), ale nie byli źli.

Och, do licha z tym. Byli piękni. Po raz pierwszy od czasu, kiedy wjechałem na to wzniesienie na drodze numer 7 i zobaczyłem Derry rozsiadłe na zachodnim brzegu Kenduskeag, byłem szczęśliwy. To dobrze mnie nastroiło na resztę dnia, zostawiłem ich więc i poszedłem, dając sobie w duchu tę starą dobrą radę: Nie oglądaj się za siebie, nigdy nie oglądaj się za siebie. Jak często ludzie mówią to sobie po doświadczeniu, które jest wyjątkowo dobre (albo wyjątkowo złe)? Często, jak sądzę. I rada ta zwykle jest ignorowana. Ludzie są stworzeni do tego, żeby oglądać się za siebie; po to mamy ten staw obrotowy w szyi.

Przeszedłem pół przecznicy i odwróciłem się, przekonany, że będą za mną patrzeć. Ale nie. Wciąż tańczyli. I dobrze.

8

Parę przecznic dalej na Kansas Street była stacja benzynowa Cities Service i wszedłem do kantorka, żeby spytać o drogę na Kossuth Street, wymawiane Cossut. Z warsztatu dobiegał warkot sprężarki powietrznej i brzęczenie muzyki pop, ale kantorek był pusty. To mi nie przeszkadzało, bo obok kasy zobaczyłem coś użytecznego: druczany stojak wypełniony mapami. W górnej kieszonce był jeden jedyny plan miasta, brudny i zapomniany. Na okładce widniało zdjęcie wyjątkowo brzydkiej figury Paula Bunyana odlanej z plastiku. Paul trzymał topór na ramieniu i patrzył z szerokim uśmiechem w letnie słońce. Tylko Derry, pomyślałem, mogło przyjąć za swój symbol plastikową statuetkę mitycznego drwala.

Zaraz za dystrybutorami paliwa był stojak z gazetami. Wziąłem „Daily News”, żeby służyła mi za kamuflaż, i dorzuciłem pięciocentówkę do monet rozrzuconych na stosie pism. Nie wiem czy w 1958 ludzie są uczciwsi, ale na pewno są dużo bardziej ufni.

Według planu Kossuth Street znajdowała się w tej samej części miasta co Kansas Street i okazało się, że od stacji benzynowej dzieli ją raptem piętnaście minut przyjemnym spacerkiem. Szedłem pod wiązami jeszcze nietkniętymi przez zarazę, która do końca lat siedemdziesiątych miała zniszczyć prawie wszystkie, drzewami, które wciąż były zielone jak w lipcu. Dzieci śmigały obok mnie na rowerach i grały w kamyki przed domami. Grupki dorosłych stały na narożnych przystankach autobusowych, oznakowanych białymi paskami namalowanymi na słupach telefonicznych. Derry zajmowało się swoimi sprawami, ja swoimi

- ot, zwykły facet w nijakiej marynarce sportowej i słomkowym kapeluszu lekko zsuniętym na tył głowy, ze złożoną gazetą w ręku. Facet, który być może szukał wyprzedzący rzeczy używanych; a może polował na atrakcyjne nieruchomości. Na pewno nie wyglądał jak obcy.

Taką miałem nadzieję.

Kossuth była biegnącą między żywoplotami ulicą zabudowaną charakterystycznymi dla Nowej Anglii staromodnymi drewnianymi domami o dwuspadowych, nisko opadających z tyłu dachach. Zraszarki obracały się na trawnikach. Obok mnie przebiegli dwaj chłopcy rzucający sobie piłkę do futbolu amerykańskiego. Kobieta z chustką zawiązaną na głowie (i, a jakże, papierosem zwisającym z dolnej wargi) myślała o rodzinnym samochodzie i od czasu do czasu przyskała wodą na rodzinnego psa, który cofał się w podskokach i szczekał. Kossuth Street wyglądała jak plener starego, sympatycznego sitcomu.

Dwie dziewczynki kręciły skakanką, podczas gdy trzecia zwinnie, bez widocznego wysiłku skakała w przód i w tył, recytując: „Charlie Chaplin do Francji wyskoczył! Tancerki oglądać na własne oczy! Salutuj kapitanowi! Królowej też! Mój stary w łodzi podwodnej jest!”. Skakanka plask-plask plaskała o chodnik. Poczuliśmy na sobie czyjeś spojrzenie. Kobieta w chustce przerwała pracę, znieruchomiała ze szlauchem w jednej dłoni i wielką namydloną gąbką w drugiej. Patrzyła, jak podchodzę do dziewczynek bawiących się skakanką. Ominąłem je szerokim łukiem i zobaczyłem, że kobieta wróciła do pracy.

Podjąłeś cholernie wielkie ryzyko, rozmawiając z tymi dzieciakami na Kansas Street, pomyślałem. Tyle że sam w to nie wierzyłem. Gdybym przeszedł trochę za blisko dziewczynek ze skakanką... o, to byłoby cholernie wielkie ryzyko. Jednak Richie i Bev byli właściwymi osobami. Wiedziałem to, praktycznie, jak tylko ich zobaczyłem, i oni też to wiedzieli. Nadawaliśmy na tych samych falach.

„Czy my pana znamy?” - spytała dziewczyna. Bevvie-Bevvie, co mieszka na drzewie.

Kossuth kończyła się ślepo przed wielkim gmachem o nazwie Ośrodek Rekreacji West Side. Był opuszczony, na zaniedbanym trawniku stała tabliczka NA SPRZEDAŻ. Z pewnością gratka dla każdego szanującego się łowcy nieruchomości. Dwa domy bliżej, po prawej stronie, mała dziewczynka o włosach koloru marchewki i twarzy całej w piegach jeździła na rowerze z bocznymi kółkami w tę i w tę po asfaltowym podejździe. Raz po raz śpiewała różne warianty tej samej frazy: „Bing-bang, widziałam cały gang, ding-dang, widziałam cały gang, ring-rang, widziałam cały gang”...

Ruszyłem w stronę Ośrodka Rekreacji, jakby nic innego na tym świecie mnie nie interesowało, ale kątem oka dalej obserwowałem małą marchewkowowłosą. Kołysała się z boku na bok na siodełku, sprawdzając, jak daleko może się wychylić, zanim rower fiknie.

Sądząc z jej pokrytych strupami goleni, zapewne nie pierwszy raz tak się bawiła. Na skrzynce na listy przed domem nie było nazwiska, tylko numer 379

Podszedłem do tablicy NA SPRZEDAŻ i zapisałem informacje na gazecie. Potem zawróciłem. Kiedy mijalem Kossuth 379 (drugą stroną ulicy, udając zaabsorbowanego gazetą), na ganek wyszła kobieta. Był z nią chłopiec. Pałaszował coś zawiniętego w serwetkę, a w wolnej dłoni trzymał wiatrówkę Daisy, którą wkrótce będzie próbował odstraszyć rozwścieczonego ojca.

- Ellen! - zawołała kobieta. - Zsiadaj mi z tego, zanim spadniesz! Chodź, dostaniesz ciastko.

Ellen Dunning zsiadła, przewróciła rower na bok i wbiegła do domu, rycząc „Sing-sang, widziałam cały gang!” na całe swoje zadziwiająco mocne gardło. Jej włosy, w odcieniu rudego dużo bardziej niefortunnym niż włosy Beverly Marsh, podskakiwały jak zbuntowane sprężyny łóżka.

Chłopiec, który jako dorosły napisze tworzone w bólach wypracowanie i doprowadzi mnie do łez, ruszył za nią. Chłopiec, który zostanie jedynym żyjącym członkiem swojej rodziny.

Chyba że to zmienię. A teraz, kiedy ich zobaczyłem, prawdziwych ludzi żyjących prawdziwym życiem, wydawało się, że nie mam wyboru.

ROZDZIAŁ 7

1

Jak mam wam opowiedzieć o moich siedmiu tygodniach w Derry? Czym wyjaśnić lęk i nienawiść, które wzbudziło we mnie to miasto?

Nie tym, że miało swoje tajemnice (choć miało), i nie potwornymi zbrodniami - część pozostała niewyjaśniona - do których w nim doszło (choć doszło). „To się skończyło”, powiedziała Beverly, Richie przytaknął i ja w to uwierzyłem, a jakże... choć z czasem nabrałem przekonania, że cień nigdy do końca nie opuścił tego miasta z dziwnym, zapadniętym centrum.

Moja nienawiść brała się z przeczucia nieuchronnej klęski. I owego wrażenia, jakbym był w więzieniu o elastycznych ścianach. Gdybym chciał wyjechać, wypuściłoby mnie (z miłą chęcią!), gdybym jednak został, zaciskałoby się coraz bardziej. Aż w końcu nie mógłbym oddychać. A - to właśnie jest najgorsze - wyjazd nie wchodził w grę, bo zobaczyłem Harry'ego, kiedy jeszcze nie kulał i nie miał tego ufego, ale lekko nieprzytomnego uśmiechu. Zobaczyłem go, zanim został Harrym Kic-Żabką, co po u-licy kica.

Zobaczyłem też jego siostrę. Teraz nie była już tylko imieniem w starannie napisanym wypracowaniu, dziewczynką bez twarzy, lubiącą zrywać kwiaty i „wkładać je w wazony”. Czasem nie mogłem zasnąć i myślałem o tym, że w Halloween chciała iść zbierać cukierki w przebraniu księżniczki Summerfall Winterspring. I że jeśli czegoś nie zrobię, to się nigdy nie stanie. Czekala na nią trumna po długiej i bezowocnej walce o życie. Trumna czekała na jej matkę, której imienia wciąż nie znałem. I na Troya. I na Arthura zwanego Tuggą.

Gdybym do tego dopuścił, nie mógłbym ze sobą żyć. Dlatego zostałem, ale łatwo nie było. I ilekroć myślałem, że przez to samo będę musiał przejść w Dallas, mózg mi wysiadał. Przynajmniej, wmawiałem sobie, Dallas nie będzie takie jak Derry. Żadne miejsce na świecie nie mogło być takie jak Derry.

Jak więc to wam opowiedzieć?

Jako nauczyciel wbijałem uczniom do głowy potrzebę prostoty. I w literaturze pięknej, i w literaturze faktu jest tylko jedno pytanie i jedna odpowiedź. „Co się wydarzyło?” - pyta

czytelnik. „Wydarzyło się to - odpowiada pisarz. - To... i to... i jeszcze to”. Trzeba iść prostą drogą do celu. Tylko tak można mieć pewność, że się nie zabłądzi.

Dlatego spróbuję, choć musicie pamiętać, że w Derry rzeczywistość to cienka warstewka lodu na głębokim, ciemnym jeziorze. Mimo to:

Co się wydarzyło?

Wydarzyło się to. I to. I jeszcze to.

2

W piątek, mój drugi pełny dzień w Derry, poszedłem do Center Street Market. Zaczekałem do piątej po południu, bo uznałem, że wtedy ruch w sklepie będzie największy - było nie było, piątek to dzień wypłaty i dla wielu ludzi (przez co rozumiem żony; jedna z zasad życia w 1958 roku głosi, że mężczyźni nie robią zakupów) oznaczało to dzień zakupów. Im więcej kupujących, tym mniej będę się rzucał w oczy. Żeby jeszcze lepiej wtopić się w otoczenie, poszedłem do W.T. Granfs i uzupełniłem moją garderobę o drelichy i kilka koszul roboczych. Na wspomnienie Bezszelkowego i jego kumpli spod Sleepy Silver Dollar kupiłem też parę butów roboczych Wolverine. W drodze do sklepu kopałem nimi w krawężnik, aż pościerałem czubki.

W sklepie był ruch, na jaki liczyłem; przy wszystkich trzech kasach stały kolejki, w przejściach między regałami tłoczyły się kobiety popychające wózki. Nieliczni mężczyźni nieśli koszyki, więc też wziąłem koszyk. Włożyłem do niego torebkę jabłek (tanie jak barszcz) i torebkę pomarańczy (prawie tak drogie jak w 2011). Olejowana drewniana podłoga skrzypiała mi pod nogami.

Czym konkretnie zajmował się pan Dunning w Center Street Market? Bevvie-na-drzewie nie powiedziała. Nie był kierownikiem; rzut oka do oszklonej budki zaraz za działem owocowo-warzywnym wykazał obecność siwowłosego dżentelmena, który mógłby być dziadkiem Ellen Dunning, ale nie ojcem. W dodatku na biurku miał tabliczkę z nazwiskiem CURRIE.

Kiedy szedłem wzdłuż tylnej ściany sklepu, obok regału z nabiałem (rozbawiony napisem CZY SKOSZTOWAŁEŚ JUŻ JOGURTU? ŚMIAŁO, NIE POŻAŁUJESZ), doleciał mnie śmiech. Charakterystyczny kobiecy śmiech z gatunku „och, ty świntuchu, ty”. Skręciłem w ostatnie przejście między regałami i przy stoisku mięsnym zobaczyłem stadko kobiet ubranych na tę samą modłę co panie z Kennebec Fruit. RZEŹNIK, ogłaszał ręcznej roboty drewniany szyld na ozdobnych chromowanych łańcuchach. MIĘSO NA KAŻDY STÓŁ. I,

pod spodem: FRANK DUNNING, KIEROWNIK DZIAŁU MIĘSNEGO.

Życie czasem wyskakuje ze zbiegami okoliczności, jakich żaden pisarz nie odważyłby się przelać na papier.

To Frank Dunning tak rozśmieszał panie. Podobieństwo do woźnego, który chodził na mój kurs angielskiego dla dorosłych, było tak wyraźne, że aż niesamowite. Kropka w kropkę Harry, tyle że ta jego wersja miała prawie całkowicie czarne włosy zamiast prawie całkowicie siwych, a miejsce słodkiego, lekko zagubionego uśmiechu zajął uśmiech szeroki, szelmowski, bałamutny. Nic dziwnego, że paniom aż nogi miękły. Nawet Bevvie-na-drzewie czuła do niego miętę i dlaczego nie? Może i miała dopiero dwanaście czy trzynaście lat, ale była kobietą, a Frank Dunning był czarujący. I zdawał sobie z tego sprawę. Kwiat kobiecej populacji Derry musiał mieć powody, by wydawać pensje mężów w sklepie w centrum zamiast w odrobinę tańszym A&P, i tu właśnie był jeden z nich. Pan Dunning był przystojny, pan Dunning nosił czyściutki biały fartuch (trochę zakrwawiony na mankietach, ale cóż, w końcu był rzeźnikiem), pan Dunning miał na głowie zmyślną białą czapkę, która wyglądała jak skrzyżowanie toczka kucharskiego z beretem malarza, opadającą tuż nad jedną brew. Jak z żurnala, na Boga.

Ogólnie biorąc, pan Frank Dunning, ze swoimi różowymi, gładko ogolonymi policzkami i nienagannie przystrzyżonymi czarnymi włosami, był darem niebios dla typu Małej Kobiетки. Kiedy niespiesznie ruszyłem w jego stronę, obwiązał paczkę z mięsem sznurkiem odwiniętym z rolki na wałku obok wagi i zamasyście wypisał cenę. Zapakowany towar podał damie wiosen około pięćdziesięciu, odzianej w sukienkę domową rozkwitającą wielkimi różowymi różami, nylonowe pończochy ze szwem i rumieniec podlotka.

- Proszę bardzo, pani Levesque, funt niemieckiej mortadeli w cienkich plastrach. - Wychylił się konfidencjonalnie nad ladą, żeby pani Levesque (wraz z resztą zauroczonych dam) mogła poczuć upajający aromat jego wody kolońskiej. Czy była to Aqua Velva, której używał Fred Toomey? Nie... taki zaklinacz kobiet jak Frank Dunning wybrałby coś droższego. - Wie pani, na czym polega problem z niemiecką mortadela?

- Nie - powiedziała, lekko przeciągając, tak że zabrzmiało to „Niee-ee”. Reszta pań zachichotała, niecierpliwie oczekując dalszego ciągu.

Oczy Dunninga na chwilę przeskoczyły na mnie i nie zobaczyły nic, co by go zainteresowało. Kiedy znów spojrzały na panią Levesque, ten niepowtarzalny błysk w nich powrócił.

- Godzinę po jej zjedzeniu człowiek staje się głodny władzy.

Nie jestem pewien, czy wszystkie słuchaczki to zrozumiały, ale cała grupka

zapiszczała z zachwytem. Dunning odprawił przeszczęśliwą panią Levesque i kiedy oddaliłem się poza zasięg słuchu, zajął się niejaką panią Bowie. Która na pewno będzie z tego powodu tak szczęśliwa jak jej poprzedniczka.

„To miły człowiek. Zawsze się wygłupia i w ogóle”.

Ale ten miły człowiek miał zimne oczy. Kiedy występował przed swoim zauroczonym harem, były niebieskie. Kiedy jednak przeniósł wzrok na mnie - nawet tylko przelotnie - mógłbym przysiąc, że stały się szare, koloru wody pod niebem, z którego lada moment sygnie śnieg.

3

Sklep był czynny do szóstej, a kiedy wyszedłem z moimi skromnymi zakupami, było dopiero dwadzieścia po piątej. Zaraz za rogiem, na Witcham Street, znajdował się bar U-Need-a-Lunch. Zamówiłem hamburgera, coca-colę nalewaną z kranika i kawałek placka czekoladowego. Placek był doskonały - prawdziwa czekolada, prawdziwy krem. Pełnia smaku - jak piwo korzenne Franka Ancietiego. Ociągałem się najdłużej, jak się dało, po czym poszedłem spacerem nad kanał, gdzie stało kilka ławek. Stamtąd miałem ograniczony, ale wystarczający widok na Center Street Market. Choć byłem syty, zjadłem pomarańcz, wyrzucając kawałki skórki nad cementowym nabrzeżem i patrząc, jak porywa je woda.

Punktualnie o szóstej światła w wielkich witrynach zgasły. Piętnaście po wyszły ostatnie klientki objuczone siatkami; część wdrapała się na Miłowe Wzgórze, reszta skupiła się przy słupie telefonicznym z namalowanym białym paskiem. Stamtąd zgarnął je autobus z tabliczką KURS OKRĘŻNY JEDEN BILET. Za piętnaście siódma zaczęli wychodzić pracownicy. Ostatni wyłonili się pan Currie, kierownik, i Dunning. Podali sobie ręce i rozłączyli się, Currie poszedł na zaułek między sklepem spożywczym a sąsiednim obuwniczym, pewnie po samochód, Dunning stanął na przystanku.

Były tam oprócz niego tylko dwie osoby i nie chciałem do nich dołączać. Dzięki temu, że w Dolnym Mieście obowiązywał ruch jednokierunkowy, nie musiałem. Podeszedłem do innego słupa z białym paskiem, bliższego kina Strand (gdzie dziś był podwójny seans, „Machine Gun Kelly” i „Dziewczyna z poprawczaka”); billboard obiecywał OGNISTĄ AKCJĘ), i zczekałem z kilkoma prostymi robociarzami, którzy rozprawiali o swoich typach na World Series. Wiele im mogłem na ten temat powiedzieć, ale trzymałem głowę na kłódkę.

Nadjechał autobus miejski i zatrzymał się naprzeciwko Center Street Market. Dunning wsiadł. Autobus zjechał na sam dół wzniesienia i stanął na przystanku przy kinie. Puściłem

robociarzy przodem, żeby zobaczyć, ile pieniędzy wrzucą do pojemnika na monety zamontowanego na słupku obok fotela kierowcy. Czułem się jak przybysz z obcej planety w filmie science fiction, taki, który próbuje udawać Ziemianina. Wiedziałem, że to głupie - przecież tylko chciałem się przejechać autobusem miejskim, nie wysadzić Białego Domu promieniem śmierci - ale to w niczym nie zmieniało tego wrażenia.

Jeden z facetów, którzy wsiedli przede mną, machnął biletem miesięcznym w kolorze kanarkowym, na którego widok przelotnie pomyślałem o Człowieku z Żółtą Kartką. Pozostali wkładali po piętnaście centów do grzechoczącego i pobrzękującego pojemnika. Zrobiłem to samo, choć zajęło mi to trochę więcej czasu, bo dziesięciocentówka lepiała się do mojej spoconej dłoni. Miałem wrażenie, że czuję na sobie spojrzenia wszystkich pasażerów, ale kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem, że albo czytają gazety, albo patrzą pustym wzrokiem przez okna. Wnętrze wypełniał tuman niebieskoszarego dymu.

Frank Dunning był po prawej stronie w połowie długości autobusu, teraz ubrany w sztywne na miarę szare spodnie, białą koszulę i ciemnoniebieski krawat. Elegancik. Zajęty zapalaniem papierosa, nie spojrzał na mnie, kiedy przeszedłem obok niego i usiadłem blisko końca. Rzęzący autobus zrobił kółko po jednokierunkowych uliczkach Dolnego Miasta, po czym wspiął się Witcham Street na Miłowe Wzgórze. Kiedy znaleźliśmy się na osiedlu mieszkaniowym w zachodniej części miasta, pasażerowie zaczęli wysiadać. Byli sami mężczyźni; kobiety zapewne czekały w domu, zajęte rozpakowywaniem zakupów albo stawianiem kolacji na stole. Widząc, że autobus pustoszeje, a Frank Dunning niewzruszenie siedzi na swoim miejscu, zacząłem się zastanawiać, czy w końcu zostaniemy sami.

Niepotrzebnie się martwiłem. Kiedy autobus zjechał na przystanek na rogu Witcham Street i Charity Avenue (później się dowiedziałem, że w Derry są też Faith Avenue i Hope Avenue - cnoty boskie w komplecie*), Dunning upuścił papierosa na podłogę, zdeptał go i wstał. Poszedł swobodnym krokiem do wyjścia, nie przytrzymując się uchwytów, tylko kołysząc się zgodnie z ruchami zwalniającego autobusu. Niektórzy mężczyźni nie tracą młodzieńczej gracji do względnie późnego wieku. Dunning najwyraźniej do takich należał. Na pewno świetnie tańczyłby swinga.

Klepnął kierowcę autobusu w ramię i zaczął opowiadać mu dowcip. Był krótki i większość zagłuszył syk hamulców pneumatycznych, ale dosłyszałem urywek „...trzy czarnuchy utknęły w windzie” i stwierdziłem, że to nie był kawał przeznaczony dla haremu w sukienkach domowych. Kierowca wybuchnął śmiechem i szarpnął za długą chromowaną

* *Faith* - wiara, *hope* - nadzieja, *charity* - miłość.

dźwignię otwierającą przednie drzwi.

- Do zobaczenia w poniedziałek, Frank - powiedział.

- Jeśli nie będzie potopu - odparł Dunning, zbiegł po dwóch stopniach i przeskoczył nad trawiastym poboczem na chodnik. Widziałem, jak mięśnie przeżyły się pod jego koszulą. Jakie szanse miałoby z nim kobieta i czwórka dzieci? Niewielkie, pomyślałem w pierwszej chwili, ale to była błędna odpowiedź. Prawidłowa brzmiała: żadne.

Kiedy autobus ruszył, zobaczyłem, jak Dunning wbiega na stopnie pierwszego budynku za rogiem Charity Avenue. Na szerokim ganku było osiem czy dziesięć osób płci obojga, siedzących w fotelach bujanych. Kilka z nich przywitało się z rzeźnikiem, który ściskał dłonie jak polityk na spotkaniu z wyborcami. Dom był dwupiętrowy, w stylu wiktoriańskim, z szyldem zwisającym z okapu nad gankiem. Ledwo zdążyłem go przeczytać:

EDNA PRICE
POKOJE DO WYNAJĘCIA
NA TYDZIEŃ LUB MIESIĄC
DOSTĘPNE KUCHNIE Z WYPOSAŻENIEM
ZAKAZ TRZYMANIA ZWIERZĄT!

Pod spodem, zwisająca u wielkiego szyldu na hakach, była mniejsza, pomarańczowa tabliczka WOLNYCH MIEJSC BRAK.

Dwa przystanki dalej wysiadłem z autobusu. Podziękowałem kierowcy, który tylko coś burknął w odpowiedzi. To, jak się przekonywałem, uchodziło w Derry za kurtuazyjną rozmowę. Chyba że, rzecz jasna, przypadkiem znałeś parę dowcipów o uwięzionych w windzie czarnuchach albo o polskiej marynarce wojennej.

Powoli ruszyłem z powrotem w stronę miasta, nadkładając truchtem dwie przecznice, żeby ominąć z dala przybytek Edny Price, którego lokatorzy zbierali się po kolacji na ganku jak zwyczajni ludzie w opowiadaniach Raya Bradbury'ego o sielankowym Greentown w stanie Illinois. I czy Frank Dunning nie przypominał jednego z tych bogobojnych obywateli? Pewnie, że tak. Ale w Greentown Bradbury'ego też kryły się koszmary.

„Miły człowiek już nie mieszka w domu”, powiedział Richie-z-dziczy i okazało się, że był dobrze poinformowany. Miły człowiek mieszkał w pensjonacie, w którym wszyscy zdawali się jeść mu z ręki.

Obliczyłem, że pensjonat pani Price był nie dalej niż pięć przecznic na zachód od Kossuth Street 379, może nawet bliżej. Czy Frank Dunning siedział w swoim wynajętym

pokoju, gdy pozostali lokatorzy już poszli spać, zwrócony twarzą ku wschodowi jak muzułmanin w stronę Mekki? Jeśli tak, czy miał wtedy na twarzy ten swój uśmiech mówiący „hej, cieszę się, że cię widzę”? Sądziłem, że nie. I czy jego oczy były niebieskie, czy też przybierały ten zimny, zamyślony szary odcień? Jak tłumaczył to, że opuścił ognisko domowe, ludziom, którzy wieczorem wychodzili na ganek Edny Price zaczerpnąć powietrza? Czy miał swoją wersję, taką, w której jego żona była lekko stuknięta albo zwyczajnie wredna? Sądziłem, że tak. I czy ludzie w nią wierzyli? Na to pytanie łatwo odpowiedzieć. Nieważne, czy mowa jest o roku 1958, 1985 czy 2011. W Ameryce, gdzie pozory notorycznie myli się z rzeczywistością, ludzie zawsze wierzą typom pokroju Franka Dunninga.

4

W następnym wtorek wynająłem mieszkanie opisane w ogłoszeniu w „Daily News” jako „częściowo umeblowane, w dobrej dzielnicy”, i w środę siedemnastego września pan George Amberson wprowadził się do swojego nowego lokum. Żegnaj, Derry Town House, witaj, Harris Avenue. Spędziłem w 1958 roku ponad tydzień i choć może jeszcze się tu nie zadomowiłem, czułem się coraz swobodniej.

Częściowe umeblowanie składało się z łóżka (z lekko poplamionym materacem, ale bez pościeli), sofy, stołu kuchennego z podkładką wsuniętą pod jedną nogę, żeby się nie kolebał, i jednego krzesła z żółtym plastikowym siedzeniem, które wydawało dziwny, cmokający dźwięk, kiedy opornie puszczało siedzenie spodni. Była też kuchenka i klekocząca lodówka. W spiżarni znalazłem urządzenie do klimatyzacji: wentylator General Electric z wystrzępioną wtyczką, która wyglądała na śmiertelnie niebezpieczną.

Uważałem, że sześćdziesiąt pięć dolarów miesięcznie za to mieszkanie, położone dokładnie pod torem lotu samolotów lądujących na lotnisku w Derry, to lekka przesada, ale zgodziłem się tyle płacić, bo pani Joplin, właścicielka, skłonna była przymknąć oko na brak referencji pana Ambersona. Pomogło to, że mógł zapłacić gotówką za trzy miesiące z góry. Mimo to uparła się, żeby spisać dane z mojego prawa jazdy. Jeśli wydało jej się dziwne, że agent nieruchomości z Wisconsin ma prawo jazdy z Maine, zachowała to dla siebie.

Byłem zadowolony, że Al dał mi dużo gotówki. Gotówka skutecznie obłaskawia nieznajomych.

I w pięćdziesiątym ósmym konkretna suma na dużo więcej wystarcza. Za raptem trzysta dolarów zmieniłem swoje częściowo umeblowane mieszkanie w mieszkanie umeblowane całkowicie. Dziewięćdziesiąt z tych trzystu poszło na używany telewizor RCA.

Tego wieczora obejrzałem „The Steve Allen Show” w pięknej czerni i bieli, potem wyłączyłem telewizor i usiadłem przy stole kuchennym, wsłuchany w huk śmigieł samolotu opadającego ku ziemi. Z tylnej kieszeni wyjąłem notatnik Blue Horse, który kupiłem w drogerii w Dolnym Mieście (tej, w której kradzież to nie frajda, radocha ani ubaw). Otworzyłem go na pierwszej stronie i pstryknąłem równie nowym długopisem Parker. Siedziałem tak może piętnaście minut - dość długo, by usłyszeć warkot następnego opadającego samolotu, tak bliski, że wręcz spodziewałem się poczuć łupnięcie, kiedy jego koła otrą się o dach.

Kartka pozostała pusta. Moja głowa też. Ilekroć próbowałem ją rozruszać, jedyną składną myślą, na jaką mogłem się zdobyć, była: Przeszłość nie chce, żeby ją zmieniać.

To nie pomagało.

Wreszcie wstałem (plastikowe siedzenie krzesła niechętnie uwolniło moje spodnie z miłosnego uścisku), zdjąłem wentylator z półki w spiżarni i postawiłem na blacie. Nie byłem pewien, czy będzie sprawny, ale był. Pomruk silniczka działał dziwnie kojąco. Poza tym zagłuszał irytujące dudnienie lodówki.

Kiedy usiadłem z powrotem, myślało mi się już jaśniej i tym razem na kartce znalazło się kilka słów.

MOŻLIWOŚCI

- 1. Zawiadomić policję*
- 2. Anonimowy telefon do rzeźnika (w stylu „mam cię na oku, sk-synu, jeśli coś zrobisz, doniosę komu trzeba”)*
- 3. Wrobić rzeźnika w coś*
- 4. Jakoś unieszkodliwić rzeźnika*

Tu przerwałem. Lodówka szcęknęła i ucichła. Nie lądowały żadne samoloty, na Harris Avenue nie było ruchu. W tej chwili byłem tylko ja, mój wentylator i moja niedokończona lista. Wreszcie dopisałem ostatni punkt:

- 5. Zabić rzeźnika*

Następnie zmiąłem kartkę, otworzyłem pudełko zapalek, które leżało obok kuchenki, żeby było czym zapalić palniki albo piekarnik, i potarłem jedną o draskę. Wentylator od razu zdmuchnął płomyk i znów pomyślałem o tym, jak trudno zmienić pewne rzeczy. Wyłączyłem

wentylator, zapaliłem następną zapalniczkę i przystawiłem ją do zgniecionej w kulkę kartki. Kiedy buchnął płomień, wrzuciłem kartkę do zlewu, zaczekałem, aż zgaśnie, i splukałem popiół.

Potem pan George Amberson poszedł do łóżka.

Jednak nieprędko zasnął.

5

Kiedy o wpół do pierwszej ostatni nocny samolot przeleciał tuż nad dachem, jeszcze nie spałem i myślałem o mojej liście. Zawiadomienie policji odpadało. Może dałoby to coś w przypadku Oswalda, który miał wyznawać swoją dozągoną miłość do Fidela Castro i w Dallas, i w Nowym Orleanie, ale z Dunningiem była zupełnie inna historia. Dunning był lubianym i szanowanym członkiem społeczności. A kim byłem ja? Przybyszem w mieście, które nie przepadało za ludźmi z zewnątrz. Tego popołudnia, wychodząc z drogerii, znów zobaczyłem przed Sleepy Silver Dollar Bezszelkowego i jego załogę. Miałem na sobie moje robociarskie łachy, ale obdarzyli mnie tym samym beznamiętnym spojrzeniem, które mówiło „coś ty, kurwa, za jeden”.

Nawet gdybym mieszkał w Derry osiem lat, nie osiem dni, co mógłbym powiedzieć policji? Że miałem wizję, że Frank Dunning zabije swoją rodzinę w wieczór Halloween? To na pewno zrobiłoby piorunujące wrażenie.

Trochę bardziej podobał mi się pomysł z anonimowym telefonem do samego rzeźnika, ale bałem się go zrealizować. Gdybym zadzwonił do Franka Dunninga - w pracy albo pensjonacie Edny Price, gdzie na pewno zostałby przywołany do wspólnego telefonu w salonie - zmieniłbym bieg wydarzeń. Taki telefon może i powstrzymałby go przed zabiciem prawie całej rodziny, równie dobrze jednak mógłby mieć dokładnie odwrotny skutek i zepchnąć go do otchłani szaleństwa, na której skraju musiał balansować pod maską tego czarującego uśmiechu à la George Clooney. Zamiast zapobiec morderstwom, mógłbym je przyspieszyć. W obecnym stanie rzeczy wiedziałem, kiedy i gdzie do nich dojdzie. Gdybym go ostrzegł, nie sposób przewidzieć, co by się stało.

Wrobić go w coś? To mogłoby się udać w powieści szpiegowskiej, a ja nie byłem agentem CIA; byłem nauczycielem angielskiego, do cholery.

Następny punkt na liście - „unieszkodliwić rzeźnika”. No dobra, ale jak? Może potrącić go samochodem, kiedy będzie szedł z Charity Avenue na Kossuth Street z młotkiem w dłoni i żądzą mordu w głowie? Jeśli by nie dopisało mi niesamowite szczęście, schwytaliby

mnie i wsadzili do więzienia. No i jeszcze jedna sprawa. Poturbowani ludzie zwykle dochodzą do siebie. A wtedy mógłby spróbować znowu. Kiedy tak leżałem w ciemności, ten scenariusz wydał mi się aż nadto prawdopodobny. Bo przeszłość nie chciała, żeby ją zmieniać. Była nieustępliwa.

Jedynym pewnym rozwiązaniem było śledzić go, zaczekać, aż zostanie sam, i wtedy go zabić. Proste jest najlepsze.

Z tym jednak też wiązały się pewne problemy. Największym było to, że nie wiedziałem, czy mógłbym się na to zdobyć. W porywie emocji pewnie tak - gdybym musiał chronić siebie albo kogoś innego - ale z zimną krwią? Nawet wiedząc, że moja potencjalna ofiara zabije własną żonę i dzieci, jeśli go nie powstrzymam?

No i... gdybym to zrobił i złapaliby mnie, zanim mógłbym uciec do przyszłości, w której byłem Jakiem Eppingiem, nie George'em Ambersonem, to co wtedy? Postawiliby mnie przed sądem, skazali i wysłali do więzienia stanowego Shawshank. I tam właśnie byłbym w dniu, kiedy John Kennedy zginął w Dallas.

I nawet nie w tym leżało sedno sprawy. Wstałem, przeszedłem przez kuchnię do łazienki wielkości budki telefonicznej i usiadłem na sedesie z czołem opartym na dłoniach. Przyjąłem, że wypracowanie Harry'ego jest zgodne z prawdą. Al też. Zapewne słusznie, bo Harry był nieco powyżej progu normalności, a tacy ludzie są mniej skłonni przedstawiać fantazje o krwawych morderstwach jako rzeczywistość. Mimo to...

„Dziewięćdziesiąt pięć procent pewności to nie sto”, powiedział Al, a mówił to w odniesieniu do Oswalda. Właściwie to był jedyny człowiek, który mógł zabić Kennedy'ego - jeśli odrzucić wszystkie niewydarzone teorie spiskowe - a w Alu wciąż tliły się wątpliwości.

Nie zweryfikowałem opowieści Harry'ego. W przyjaznym komputerom świecie 2011 roku byłoby to łatwe, ale tego nie zrobiłem. A nawet jeśli była w całości prawdziwa, mógł pomylić albo w ogóle pominąć jakieś kluczowe szczegóły. Takie, na których mogłaby mi się powinać noga. A jeśli zamiast przybyć na ratunek jak sir Galahad, tylko dam się zabić razem z nimi? To zmieniloby przyszłość na wiele ciekawych sposobów, cóż, kiedy nie byłoby mi dane ich poznać.

Do głowy wpadł mi nowy pomysł, pomysł niebezpiecznie kuszący. W wieczór Halloween mógłbym się ulokować naprzeciwko Kossuth 379... i tylko patrzeć. Upewnić się, że to się stało naprawdę, owszem, ale i odnotować wszystkie szczegóły, które jedyny żyjący świadek - zszokowane dziecko - mógł przeoczyć. Potem pojechałbym do Lisbon Falls, przeszedłbym przez króliczą norę i natychmiast wróciłbym do dziewiątego września 1958 roku o 11.58 rano. Znowu kupiłbym sunlinera i pojechał do Derry, tym razem wyposażony w

niezbędne informacje. To prawda, że wydałem już sporą część pieniędzy od Ala, lecz zostało dość, żebym miał z czego żyć.

Pomysł dobrze wyszedł z bloków, ale potknął się jeszcze przed pierwszym wirażem. Podstawowym celem tej wyprawy była chęć sprawdzenia, jak ocalenie rodziny woźnego odbije się na przyszłości, a nie dowiedziałbym się tego, gdybym pozwolił Frankowi Dunningowi dokonać tych morderstw. Poza tym i tak już byłem skazany, żeby zrobić to wszystko jeszcze raz, bo kiedy - jeśli - znowu przejdę przez króliczą norę, by powstrzymać Oswalda, nastąpi reset. Już za pierwszym razem było ciężko. Za drugim będzie jeszcze gorzej. Za trzecim - strach pomyśleć.

I jeszcze jedna sprawa. Bliscy Harry'ego Dunninga już raz umarli. Czy miałem skazać ich na to, żeby umarli znowu? Nawet jeśli za każdym razem to był pierwszy raz i nie zdawali sobie z tego sprawy? Zresztą kto mógł wiedzieć, czy nie zostawało im to na jakimś głębokim poziomie podświadomości?

Ból. Krew. Mała marchewkowowłosa przygnieciona fotelem bujanym. Harry próbujący odstraszyć szaleńca wiatrówką Daisy. „Nie ruszaj mnie, tato, bo cię zastrzelę”.

Przechrząpałem z powrotem przez kuchnię, zatrzymując się, by spojrzeć na krzesło z żółtym plastikowym siedzeniem.

- Nienawidzę cię, krzesło - powiedziałem do niego i znowu poszedłem do łóżka.

Tym razem zasnąłem prawie natychmiast. Kiedy obudziłem się następnego ranka, słońce świeciło za jeszcze nieokrytym zasłonami oknem mojej sypialni, ptaki popisywały się świergoleniem, a ja byłem przekonany, że wiem, co muszę zrobić. Proste jest najlepsze.

6

W południe zawiązałem krawat, nasadziłem słomkowy kapelusz na głowę pod należycie zawadiackim kątem i pofatygowałem się do sklepu sportowego Machen's, gdzie wciąż trwała JESIENNA WYPRZEDAŻ BRONI. Powiedziałem sprzedawcy, że jestem zainteresowany kupnem pistoletu, bo pracuję w nieruchomościach i bywa, że muszę nosić przy sobie dużo gotówki. Pokazał mi kilka włącznie z koltem. 38 Police Special. Kosztował dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć. Cena wydawała się absurdalnie niska, dopóki nie przypomniałem sobie, że według notatek Ala zamówiony z katalogu wysyłkowego włoski karabin, którego użył Oswald do zmiany biegu dziejów, kosztował niecałe dwadzieścia dolarów.

- To pana porządnie ochroni - powiedział sprzedawca, wysuwając bębenek i obracając

nim. Klikklikkliklik. - Do piętnastu metrów celność gwarantowana, a każdy, kto będzie dość głupi, żeby chcieć pana obrobić, podejdzie dużo bliżej.

- Kupuję.

Przygotowałem się psychicznie na kontrolę moich skąpych papierów, ale znowu zapomniałem wziąć pod uwagę wyluzowaną, pozbawioną lęku atmosferę Ameryki, w której teraz mieszkałem. Odbyło się to tak: zapłaciłem i wyszedłem z rewolwerem. Żadnej roboty papierkowej, żadnego okresu oczekiwania na broń. Nie musiałem nawet podać aktualnego adresu.

Oswald zawiązał swoją broń w koc i schował ją w garażu domu, w którym jego żona mieszkała z niejaką Ruth Paine. Kiedy jednak wychodziłem ze sklepu Machen's z rewolwerem w teczce, wydawało mi się, że wiem, jak musiał się czuć: jak człowiek z wielką tajemnicą. Człowiek, który ma swoje własne prywatne tornado.

W drzwiach Sleepy Silver Dollar stał facet, który o tej porze powinien pracować w którymś z zakładów. Palił papierosa i czytał gazetę. A przynajmniej wyglądał, jakby ją czytał. Nie mógłbym przysiąc, że mnie obserwował, ale też nie mógłbym przysiąc, że nie.

To był Bezszelkowy.

7

Tego wieczora znów zająłem pozycję blisko kina Strand. Billboard nad wejściem zapowiadał OD JUTRA! THUNDER ROAD (MITCHUM) & WIKINGOWIE (DOUGLAS)! Kolejna porcja OGNISTEJ AKCJI dla kinomanów z Derry.

Dunning znowu poszedł na przystanek i wsiadł do autobusu. Tym razem nie ruszyłem za nim. Nie było takiej potrzeby; wiedziałem, dokąd jedzie. Wróciłem do mojego nowego mieszkania, od czasu do czasu rozglądając się za Bezszelkowym. Nigdzie go nie było i powiedziałem sobie, że to, że zobaczyłem go naprzeciwko sklepu sportowego, to tylko zbieg okoliczności. I to nieduży. Bądź co bądź, Sleepy Silver Dollar był jego ulubioną knajpą. A że zakłady w Derry pracowały przez sześć dni w tygodniu, pracownicy rotacyjnie dostawali wolne dni. Może akurat jemu jeden z nich wypadł w czwartek. Może za tydzień będzie w Dolarze w piątek. Albo we wtorek.

Następnego wieczora znów byłem pod Strandem i udawałem, że studiuje plakat „Thunder Road” (Robert Mitchum pędzi najgorętszą szosą na świecie!), głównie dlatego, że nie miałem nic innego do roboty; do Halloween zostało jeszcze sześć tygodni i zanosilo się na to, że ten punkt programu ograniczy się do zabijania czasu. Tym razem jednak zamiast pójść

na przystanek, Frank Dunning powędrował na skrzyżowanie Center, Kansas i Witcham i zatrzymał się tam, jakby niezdecydowany. Znowu się porządnie odstawił: ciemne spodnie, biała koszula, niebieski krawat i marynarka sportowa w jasnoszarą kratę. Kapelusz miał zsunięty na tył głowy. Przez chwilę myślałem, że pójdzie do kina zobaczyć najgorętszą szosę na świecie; wtedy ruszylibym jakby nigdy nic w stronę Canal Street. On jednak skręcił w lewo, na Witcham. Słyszałem, jak pogwizdywał. Dobrze mu to wychodziło.

Nie było potrzeby go śledzić; dziewiętnastego września nie zabił nikogo młotkiem. Byłem jednak ciekaw i nie miałem nic lepszego do roboty. Wszedł do baru Lamplighter, nie tak wysokiej klasy jak ten w Town House, ale i zdecydowanie nie tak obscurnego jak bary przy Canal. W każdej małej miejscinie są jedna lub dwie knajpy mieszane, w których niebieskie i białe kołnierzyki spotykają się na równych prawach, i Lamplighter wyglądał na taki właśnie lokal. W karcie dań zwykle jest jakiś lokalny rarytas, na którego widok niewtajemniczeni drapią się po głowach ze zdumienia. Specjalnością Lamplightera, jak się zdaje, było coś o nazwie Smażonki z Homara.

Przeszedłem obok szerokich okien, z ociąganiem, noga za nogą i zobaczyłem, jak Dunning wita się z klientelą. Ścisnął dłonie; poklepywał policzki; zdjął jednemu mężczyźnie kapelusz i rzucił go jak frisbee facetowi stojącemu przy automacie do ustawiania kręgli Bowl-Mor, który wprawnie złapał kapelusz ku ogólnej wesołości. Miły człowiek. Zawsze się wygłupia. Kiedy się śmiejesz, cały świat śmieje się z tobą i tak dalej.

Zobaczyłem, że usiadł przy stoliku blisko kręgli, i prawie ruszyłem dalej. Jednak chciało mi się pić. Piwo byłoby w sam raz, a kontuar Lamplightera znajdował się na drugim końcu zatłoczonej sali od dużego stolika, przy którym Dunning siedział w towarzystwie grupy mężczyzn. On mnie nie będzie widział, ale ja będę mógł mieć na niego oko w lustrze. Nie żebym spodziewał się zobaczyć coś szczególnie zaskakującego.

Poza tym, skoro miałem tu zostać jeszcze sześć tygodni, pora zacząć się zadomawiać. Odwróciłem się więc i wszedłem w gwar wesołych rozmów, lekko podpitego śmiechu i Deana Martina śpiewającego „That’s Amore”. Kelnerki krążyły wśród stolików z kuflami piwa i talerzami, na których piętrzyły się stosy czegoś, co ani chybi było Smażonkami z Homara. Były też oczywiście wznoszące się słupy niebieskiego dymu.

W 1958 dym jest wszędzie.

8

- Widzę, że zerka pan na tamten stolik - powiedział głos na wysokości mojego łokcia.

Siedziałem w Lamplighterze dość długo, by zamówić drugie piwo i „dziecięcą porcję” Smażonek z Homara. Stwierdziłem, że jeśli ich choć nie skosztuję, zawsze mnie to będzie męczyło.

Obejrzałem się i zobaczyłem niskiego mężczyznę o zaczesanych do tyłu, przylizanych włosach, okrągłej twarzy i żywych czarnych oczach. Wyglądał jak wesola wiewiórka. Uśmiechnął się do mnie szeroko i wyciągnął małą, jakby dziecięcą dłoń. Zdobiąca jego przedramię naga syrena machnęła giętkim ogonem i mrugnęła okiem.

- Charles Frati. Ale możesz mi mówić Chaz. Jak wszyscy.

Uścisnąłem jego rękę.

- George Amberson, ale możesz mi mówić George. Jak wszyscy.

Zaśmiał się. Ja też. Nie wypada się śmiać z własnych żartów (zwłaszcza kiedy są marniutki), ale niektórzy ludzie są tak ujmujący, że nigdy nie muszą się śmiać sami. Chaz Frati był jednym z nich. Kelnerka przyniosła mu piwo. Wzniósł je w toaście.

- Twoje zdrowie, George - powiedział.

- Za to się napiję - odparłem i stuknąłem krawędzią mojej szklanki w jego szklankę.

- To twoi znajomi? - spytał, patrząc w lustrze za kontuarem na duży stół w głębi sali.

- Nie. - Wytarłem pianę z górnej wargi. - Po prostu wyglądają, jakby bawili się najlepiej z całego towarzystwa.

Chaz się uśmiechnął.

- To stół Tony'ego Trackera. Właściwie mogliby wyryć na nim jego nazwisko. Tony i jego brat Phil prowadzą firmę transportową. Mają też więcej akrów w tym mieście... i sąsiednich... niż coca-cola ma bąbelków. Phil rzadko się tu pokazuje, zwykle jest w rozjazdach, a Tony nie przegapi żadnego piątkowego i sobotniego wieczoru. I ma furę przyjaciół. Zawsze dobrze się bawią, ale nikt tak nie potrafi rozruszać imprezy jak Frankie Dunning. To pierwszy żartowniś. Wszyscy lubią starego Tony'ego, lecz Frankiego uwielbiają.

- Mówisz tak, jakbyś ich znał.

- Od lat. Znam większość ludzi w Derry, ale ciebie nie.

- Dopiero przyjechałem. Robię w nieruchomościach.

- Biznesowych, domyślam się.

- Dobrze się domyślasz. - Kelnerka postawiła przede mną Smażonki z Homara i szybko odeszła. Stos na talerzu wyglądał jak truchła zeszkrobane z szosy, ale pachniał cudownie, a jeszcze lepiej smakował. Pewnie miliard gramów cholesterolu w każdym kęsie, lecz w 1958 roku nikt się tym nie przejmuje i chwala Bogu. - Pomóż mi z tym - powiedziałem.

- Nie, są twoje. Jesteś z Bostonu? Z Nowego Jorku?

Wzruszyłem ramionami. Zaśmiał się.

- Trzymasz karty przy orderach, co? Nie dziwię ci się, brachu. Licho nie śpi. Ale ja chyba wiem, co knujesz.

Znieruchomiałem z nabitymi na widelec Smażonkami z Homara w połowie drogi do ust. Chociaż w Lamplighterze było ciepło, nagle przejął mnie chłód.

- Poważnie?

Nachylił się blisko mnie. Jego włosy pachniały wodą fryzjerską Vitalis, oddech cukierkami na gardło Sen-Senem.

- Gdybym powiedział „działka pod centrum handlowe”, byłbym blisko?

Co za ulga! Wy tłumaczenie, że przyjechałem do Derry szukać miejsca na centrum handlowe, nie przyszło mi do głowy, ale było dobre. Puściłem oko do Chaza Fratiego.

- Nie mogę powiedzieć.

- Nie, nie, jasne. Biznes to biznes, zawsze powtarzam. Zostawmy ten temat. Ale gdybyś kiedyś miał ochotę rzucić miejscowemu prostaczkowi smaczny kęs, chętnie cię wysłucham. I tak tylko, na dowód, że mam dobre serce, dam ci małą wskazówkę. Jeśli jeszcze nie zajrzałeś do starych zakładów Kitchener's Ironworks, powinienes. Idealne miejsce. A centra handlowe? Wiesz, czym one są, synu mój?

- Falą przyszłości - powiedziałem.

Wymierzył do mnie z palca jak z pistoletu i mrugnął okiem. Znów się zaśmiałem, po prostu nie mogłem się powstrzymać. Po części z czystej ulgi, że jednak nie każdy dorosły w Derry zapomniał, jak być uprzejmym dla nieznajomego.

- Strzał w dziesiątkę.

- A czyja jest ziemia, na której stoją stare Kitchener's Ironworks, Chaz? Braci Trackerów, jak przypuszczam?

- Mówiłem, że mają większość, nie całość ziemi w okolicy. - Spojrzał w dół, na syrenę. - Milly, mam powiedzieć George'owi, czyja jest ta rewelacyjna działka przeznaczona pod działalność gospodarczą, położona o zaledwie trzy kilometry od centrum tej metropolii?

Milly pomachała pokrytym łuskami ogonem i zakołysała piersiami jak filiżanki. Chaz Frati nie zacisnął dłoni w pięść, by wywołać ten efekt; mięśnie w jego przedramieniu zdawały się ruszać same z siebie. Fajna sztuczka. Byłem ciekaw, czy wyciąga też króliki z kapeluszy.

- Dobrze, moja droga. - Znów spojrzał na mnie. - Cóż, tak się składa, że ta działka należy do mojej skromnej osoby. Skupuję, co najlepsze, resztę zostawiam braciom Tracker. Biznes to biznes. Pozwolisz, że wręcę ci moją wizytówkę, George?

- Oczywiście.

Wręczył. Na wizytówce napisane było tylko CHARLES „CHAZ” FRATI. KUPNO SPRZEDAŻ WYMIANA. Schowałem ją do kieszeni koszuli.

- Skoro znasz tych wszystkich ludzi, a oni ciebie, czemu nie jesteś tam z nimi, zamiast siedzieć przy barze z nowym uczniem w klasie? - spytałem.

Wyglądał na zaskoczonego, zaraz jednak na powrót przybrał rozbawioną minę.

- Co ty, brachu, z księżycą spadłeś?

- Jestem nowy w mieście, to wszystko. Jeszcze nie wiem, co i jak. Nie miej mi tego za złe.

- Gdzieżbym mógł. Robią ze mną interesy, bo jestem właścicielem połowy moteli w mieście, obu kin w centrum i samochodowego, jednego banku i wszystkich lombardów we wschodnim i centralnym Maine. Ale nie jedzą ze mną, nie piją, nie zapraszają mnie do swoich domów ani do swojego klubu, bo należę do narodu wybranego.

- Nie nadążam.

- Jestem Żydem, brachu.

Na widok mojej miny uśmiechnął się szeroko.

- Nie wiedziałeś. Nawet kiedy nie chciałem twojego homara, nie wiedziałeś. Jestem wzruszony.

- Po prostu usiłuję zrozumieć, dlaczego to miałyby mieć znaczenie - powiedziałem.

Zaśmiał się, jakby nie słyszał w tym roku lepszego żartu.

- To ty nie z księżycą spadłeś, tylko cię w kapuście znaleźli.

W lustrze widziałem, że Frank Dunning coś mówi. Tony Tracker i jego znajomkowie słuchali z szerokimi uśmiechami na twarzach. Kiedy ryknęli bydlęcym śmiechem, byłem ciekaw, czy opowiedział ten kawał o trzech czarnuchach uwięzionych w windzie, czy może coś jeszcze bardziej zabawnego - na przykład o trzech żydkach na polu golfowym.

Chaz zauważył, że przyglądam się Dunningowi.

- Frank potrafi rozbawić towarzystwo, o tak. Wiesz, gdzie pracuje? Nie, jesteś nowy w mieście, zapomniałem. W Center Street Market. Jest kierownikiem działu mięsnego. I współwłaścicielem, chociaż się tym nie chwali. Wiesz co? W dużej mierze dzięki niemu ten sklep jeszcze stoi i przynosi zyski. Kobiety lgną do niego jak pszczoły do miodu.

- Poważnie?

- O tak, i mężczyźni też za nim przepadają. A nie zawsze tak jest. Nie wszyscy faceci lubią bawidamków.

Na te słowa przypomniała mi się dzika obsesja mojej byłej żony na punkcie

Johnny'ego Deppa.

- Ale nie jest tak jak w starych czasach, kiedy pił z nimi do zamknięcia baru, a potem po bładym świcie rżnęli w pokera na dworcu towarowym. Teraz wypija jedno, góra dwa piwka i tyle go widziano. Zobaczysz.

Znałem ten schemat zachowania z pierwszej ręki. Tak samo robiła Christy, kiedy podejmowała sporadyczne próby kontrolowania ilości pitego alkoholu, zamiast odstawić go zupełnie. To przez jakiś czas działało, ale prędzej czy później hamulce zawsze puszczały.

- Problem z alkoholem? - spytałem.

- Tego to ja nie wiem. Z nerwami na pewno. - Spojrzał w dół, na tatuaż na swoim przedramieniu. - Milly, zauważyłaś kiedyś, jak wielu zabawnych gości ma wredny charakter?

Milly machnęła ogonem. Chaz spojrzał na mnie z poważną miną.

- Widzisz? Kobiety zawsze wiedzą. - Wziął ukradkiem jedną Smażonkę i komicznie łypnął oczami na boki. Wesoły był z niego gość i przez myśl mi nie przeszło, że mógł nie być tym, za kogo się podawał. Z drugiej strony, jak sam Chaz zauważył, byłem cokolwiek naiwny. Przynajmniej jak na Derry. - Tylko ani mru-mru rabbiemu Chrapigębie.

- Nie wydam cię, bez obaw.

Sądząc po tym, jak mężczyźni przy stoliku Trackera nachylili się ku Frankowi, zaczął opowiadać następny dowcip. Był typem człowieka, który wiele mówi rękami. Miał duże dłonie. Łatwo było sobie wyobrazić, jak w jednej trzyma trzonek młotka.

- W szkole średniej strasznie rozrabiał - powiedział Chaz. - A ten, kto ci o tym mówi, dobrze to wie, bo chodziłem z nim do budy. Ale mama nie wychowała mnie na głupka i na ogół trzymałem się od niego z daleka. Zawieszania na lewo i prawo. Zawsze za bójki. Miał pójść na uniwersytet stanowy, ale zamiast tego machnął dzieciaka jednej dziewczynie i się ożenił. Po roku czy dwóch zabrała dziecko i uciekła. Zapewne słusznie. Frankie był typem człowieka, któremu dobrze zrobiłoby wojowanie ze szkopami czy Japończykami... miałby na czym wyładować swoje szaleństwo, rozumiesz. Tylko że uznali go za niezdolnego do służby. Nigdy się nie dowiedziałem dlaczego. Płaskostopie? Szmery w sercu? Wysokie ciśnienie? Kto to może wiedzieć. Ale pewnie nie masz ochoty słuchać tych starych plotek.

- Owszem. To ciekawe. - Jeszcze jak. Wszedłem do Lamplighera przepłukać gardło i zamiast tego trafiłem na żyłę złota. - Weź jeszcze Smażonkę.

- Skoro nalegasz. - Wrzucił jedną do ust. Żując, wskazał kciukiem lustro. - Zresztą dlaczego miałbym sobie odmawiać? Spójrz tylko na tych gości, połowa to katolicy, a obżerają się hamburgerami, kanapkami z bekonem i z kiełbasą. W piątek! I weź, człowieku, zrozum religię.

- Tu ci nie pomogę - powiedziałem. - Jestem niepraktykującym metodystą. Czyli pan Dunning w końcu nie zdobył wyższego wykształcenia, co?

- Nie. Kiedy jego pierwsza żona zwinęła się w środku nocy, robił magisterkę z krojenia mięsa i dobrze mu szło. Znowu wpakował się w kłopoty... jak słyszałem, miało to związek z alkoholem, wiesz, ludzie to straszni plotkarze, a właściciel lombardów słyszy wszystko, co w trawie piszczy... więc pan Vollander, do którego wtedy należał sklep, wziął Frankiego do siebie na rozmowę od serca. - Chaz pokręcił głową i wziął następną Smażonkę. - Gdyby Benny Vollander wiedział że kiedy ten burdel w Korei się skończy, Frankie będzie właścicielem połowy sklepu, pewnie dostałby apopleksji. Dobrze, że nie możemy widzieć przyszłości, co?

- To utrudniałoby życie, fakt.

Chaz wyraźnie się rozkręcał i gdy poprosiłem kelnerkę, żeby przyniosła jeszcze dwa piwa, nie odmówił.

- Benny Vollander powiedział, że Frankie to najlepszy czeladnik, jakiego kiedykolwiek przyuczał do zawodu, ale jeśli jeszcze raz podpadnie glinom... innymi słowy, będzie się rwał do bitki, jak tylko ktoś krzywo pierdnie... będzie go musiał zwolnić. Mądry głowie dość dwie słowie, jak to mówią, i Frankie się uspokoił. Jakiś rok, dwa po odejściu żony wziął z nią rozwód z powodu porzucenia i niebawem ożenił się znowu. Wojna wtedy szła już pełną parą i w kobietach mógł przebierać jak w ulęgawkach... wiesz, ma ten swój urok, a większość konkurencji tak czy tak była na drugim końcu świata... ale zdecydował się na Doris McKinney. Śliczna z niej była dziewczyna.

- I nadal jest, nie wątpię.

- O tak, brachu. Ładna jak z obrazka. Mają trójkę czy czwórkę dzieci. Miła rodzinka. - Chaz znów nachylił się blisko mnie. - Ale Frankiemu nadal raz na jakiś czas odbija i tak właśnie musiało się stać na wiosnę, bo Doris pewnego dnia przyszła do kościoła z sińcami na twarzy i tydzień później już nie mieszkali razem. Wziął pokój w pensjonacie, najbliższej starego ogniska domowego, jak tylko mógł. Pewnie liczy, że żona przyjmie go z powrotem. I prędzej czy później to zrobi. On potrafi zauroczyć... oho, proszę bardzo, a nie mówiłem? Lisek wraca do nory.

Dunning wstawał. Kompani ryknęli na niego, żeby jeszcze został, on jednak kręcił głową i pokazywał na zegarek. Wlał w gardło ostatni łyk piwa, po czym schylił się i pocałował jednego z mężczyzn w łysinę. To wzbudziło aplauz, od którego ściany się zatrzęsły, i niesiony nim Dunning ruszył do drzwi.

Przechodząc, klepnął Chaza w plecy i powiedział:

- Nie pchaj nosa, gdzie nie trzeba, Chazzy, za długi jest, żeby go brudzić.

I wyszedł. Chaz spojrział na mnie. Jego usta uśmiechały się tym szerokim uśmiechem wiewiórki; oczy nie uśmiechały się wcale.

- To dopiero żartowniś, co?

- Jasne - przytaknąłem.

9

Jestem jednym z tych ludzi, którzy tak naprawdę nie wiedzą, co myślą, dopóki tego nie napiszą, więc większość tego weekendu spędziłem na robieniu notatek o tym, co widziałem w Derry, co już zrobiłem i co zrobić planowałem. Notatki rozrosły się w opis tego, jak dostałem się do Derry, i w niedzielę dotarło do mnie, że do tak ambitnego zadania notatnik i długopis nie wystarczą. W poniedziałek poszedłem kupić maszynę do pisania. Zamierzałem wybrać się do lokalnego sklepu z materiałami biurowymi, ale wtedy zobaczyłem na stole kuchennym wizytówkę Chaza Fratiego i postanowiłem zajrzeć do jego lombardu. Był na East Side Drive, niewiele mniejszy od domu towarowego. Zgodnie z tradycją nad wejściem wisiały trzy złote kule, ale oprócz nich było coś jeszcze: gipsowa syrena machająca giętkim ogonem i mrugająca okiem. Ta, jako że była w miejscu publicznym, miała na sobie stanik. Fratiego nie zastałem, ale kupiłem doskonałą maszynę walizkową Smith-Corona za dwanaście dolarów. Poprosiłem sprzedawczynię, żeby przekazała panu Fratiemu, że był George, facet od nieruchomości.

- Bardzo chętnie. Może pan zostawić wizytówkę?

Cholera. Będę musiał kilka sobie wydrukować... co znaczyło, że jednak nie obejdzie się bez wizyty w sklepie z materiałami biurowymi.

- Zostawiłem je w drugiej marynarce, ale myślę, że będzie mnie pamiętał. Wypiliśmy drinka w Lamplighterze.

Tego popołudnia zacząłem rozwijać swoje notatki.

10

Przyzwyczailem się do samolotów podchodzących do lądowania bezpośrednio nad moją głową. Zamówiłem dostawy gazet i mleka do domu - co rano pod drzwiami czekała pełna butelka z grubego szkła. Jak piwo korzenne, które Frank Ancietti podał mi podczas mojej pierwszej wycieczki do 1958 roku, mleko miało niezwykle bogaty, pełny smak.

Śmietanka była jeszcze lepsza. Nie wiedziałem, czy już wymyślono zabielače do kawy, i ani mi w głowie było to sprawdzać. Po co komu podróbka, kiedy ma oryginał.

Dni mijały szybko. Czytałem zapiski Ala Templetona o Oswaldzie dotąd, aż obszerne ich fragmenty mogłem cytować z pamięci. Wybrałem się do biblioteki i przestudiowałem wszystko, co mieli o pladze zabójstw i zniknięć w Derry w 1957 i 1958 roku. Szukałem artykułów o Franku Dunningu i jego sławetnym wybuchowym temperamencie, ale nie znalazłem żadnych; jeśli kiedykolwiek został aresztowany, nie wspomniano o tym w kronice policyjnej, która w większość dni tygodnia była spora, w poniedziałki zaś zwykle rozrastała się na całą stronę, by pomieścić pełne podsumowanie weekendowych harców (do większości dochodziło po zamknięciu barów). Jedyna informacja o ojcu woźnego, jaką znalazłem, dotyczyła zbiórki pieniędzy na cele charytatywne w 1955 roku. Tamtej jesieni Center Street Market przekazał dziesięć procent zysków Czerwonemu Krzyżowi na rzecz ofiar huraganów Connie i Diane, które spustoszyły Wschodnie Wybrzeże, zabijając dwieście osób i wywołując duże straty powodziowe w Nowej Anglii. Do artykułu dołączone było zdjęcie ojca Harry'ego wręczającego wielki czek regionalnemu przewodniczącemu Czerwonego Krzyża. Dunning promieniał tym swoim uśmiechem gwiazdy filmowej.

Więcej nie robiłem zakupów w Center Street Market, ale w dwa weekendy - ostatni we wrześniu i pierwszy w październiku - śledziłem ulubionego rzeźnika Derry, gdy już skończył swój sobotni, o połowę krótszy dyżur za ladą stoiska z mięsem. Do tej roboty wypożyczałem chevrolety w lotniskowym Hertz. Uznałem, że sunliner trochę za bardzo rzuca się w oczy, by kogokolwiek nim śledzić.

W pierwsze sobotnie popołudnie Dunning wybrał się na pchli targ w Brewer pontiakiem, którego trzymał w wynajętym garażu w mieście i z którego rzadko korzystał w dni powszednie. Nazajutrz, w niedzielę, pojechał do swojego domu na Kossuth Street i zabrał dzieci na podwójny seans filmów Disneya w Aladdinie. Nawet z daleka widać było, że Troy, najstarszy, miał śmiertelnie znudzoną minę, i kiedy wchodził do kina, i kiedy wychodził.

Dunning nie wszedł do domu ani kiedy zabierał dzieci, ani kiedy je odwiózł. Przyjeżdżając, zatrąbił, żeby je wywołać, a po powrocie z kina wysadził je na chodniku i patrzył za nimi, aż cała czwórka weszła do środka. Nawet wtedy nie odjechał od razu, siedział tylko za kierownicą chodzącego na biegu jałowym bonneville'a i palił papierosa. Może liczył, że śliczna Doris wyjdzie z nim pogadać. Kiedy nabrał pewności, że nic z tego, zawrócił, korzystając z podjazdu sąsiada, i ruszył z piskiem opon; spod kół wzbily się smużki niebieskiego dymu.

Skuliłem się na siedzeniu wynajętego wozu, ale niepotrzebnie. Przejeżdżając obok, nie

spojrzał w moim kierunku, i kiedy oddalił się w głąb Witcham Street, ruszyłem za nim. Odstawił auto do garażu, poszedł do Lamplighera, gdzie wypił jedno piwo przy prawie pustym barze, po czym ze zwieszoną głową powlókł się z powrotem do pensjonatu Edny Price na Charity Avenue.

W następną sobotę, czwartego października, zabrał dzieci na mecz futbolowy drużyny Uniwersytetu Stanu Maine w oddalonym o jakieś pięćdziesiąt kilometrów Orono. Stałem na Stillwater Avenue i czekałem, aż mecz się skończy. W drodze powrotnej zatrzymali się w Ninety-Fiver na obiad. Stałem na drugim końcu parkingu i czekałem, aż wyjadą. Naszła mnie refleksja, że życie prywatnego detektywa musi być nudne, wbrew temu, co pokazują filmy.

Kiedy Dunning odstawił dzieci do domu, na Kossuth Street zapadał zmierzch. Po Troyu znać było, że na meczu bawił się lepiej niż na przygodach Kopciuszka; wysiadł z pontiaca ojca szeroko uśmiechnięty, wymachując proporczykiem Czarnych Niedźwiedzi. Tugga i Harry też mieli proporczyki i też tryskali entuzjazmem. Ellen nie bardzo. Twardo spała. Dunning zaniósł ją na rękach do drzwi domu. Tym razem Doris Dunning pokazała się na chwilę - po to tylko, żeby wziąć córkę od niego.

Dunning powiedział coś do żony. Jej odpowiedź wyraźnie go nie zadowoliła. Odległość była za duża, by wyczytać cokolwiek z jego twarzy, ale mówiąc, groził żonie palcem. Wysłuchała go, pokręciła głową, odwróciła się i weszła do środka. On postać jeszcze chwilę przed drzwiami, po czym zdjął kapelusz i trzepnął nim w nogę.

Wszystko to ciekawe - i wiele mówiące o ich związku - ale poza tym mało pomocne. Nie tego szukałem.

To, czego szukałem, znalazłem następnego dnia. Tej niedzieli zamierzałem zrobić tylko dwie rundki po okolicy, przekonany, że jeżdżąc dłużej, zwrócę czyjąś uwagę, nawet w ciemnobrązowym wynajętym wozie, który prawie zlewał się z otoczeniem. Podczas pierwszego objazdu nie zobaczyłem nic, stwierdziłem więc, że Dunning pewnie postanowił zostać w domu, i czemuż by nie? Zrobiło się szaro i dżdżysto. Ani chybi on i reszta lokatorów siedzieli w salonie, oglądali sport w telewizji i kopcili jak kominy.

A jednak się myliłem. Kiedy skręciłem na Witcham, żeby zacząć drugą rundkę, zobaczyłem go. Szedł w stronę centrum, dziś ubrany w niebieskie dżinsy, wiatrówkę i kapelusz przeciwdeszczowy z szerokim rondem. Minałem go i zaparkowałem na Main Street, jakąś przecznicę od garażu, z którego korzystał. Dwadzieścia minut później już jechałem za nim na zachód, za miasto. Ruch był mały i trzymałem się daleko z tyłu.

Celem jego podróży okazał się cmentarz Longview, kawałek za kinem

samochodowym. Zatrzymał się przy straganie z kwiatami naprzeciwko wejścia i mijając go, zobaczyłem, że kupuje dwa kosze jesiennych kwiatów od starszej pani, która podczas transakcji osłaniała siebie i jego dużym czarnym parasolem. Widziałem w lusterku wstecznym, jak położył kwiaty na fotelu pasażera, wsiadł i wjechał na drogę prowadzącą na cmentarz.

Zawróciłem i pojechałem na Longview. Ryzyko było spore, ale musiałem je podjąć, bo to wyglądało obiecująco. Parking był pusty, nie licząc dwóch pikapów wyładowanych nakrytym plandekami sprzętem ogrodniczym i poobijanej ładowarki, która wyglądała jak z demobilu. Ani śladu pontiaca Dunninga. Pojechałem przez parking w stronę zwirowej drogi prowadzącej na rozległy cmentarz.

Na terenie cmentarza od drogi odchodziły mniejsze alejki. Przygruntowa mgła wznosiła się z zagłębień i dolinek, mżawka przechodziła w deszcz. Nie najlepszy dzień na wizytę u nieżyjących bliskich, ogólnie biorąc, i Dunning miał cały cmentarz dla siebie. Pontiac, zaparkowany w połowie wysokości pagórka na jednej z węższych alejek, był widoczny z daleka. Dunning stawiał kosze kwiatów przed dwoma sąsiadującymi ze sobą grobami. Pewnie jego rodziców, domyśliłem się, ale tak naprawdę nie obchodziło mnie to. Zawróciłem i zostawiłem go samego.

Kiedy wszedłem do mojego mieszkania na Harris Avenue, miasto bombardowała pierwsza tej jesieni ulewa. Woda w Kanale na pewno huczała, a to osobliwe szemranie, które przebijało przez beton w Dolnym Mieście, musiało być wyczuwalne lepiej niż kiedykolwiek. Wyglądało na to, że babie lato się skończyło. To też mnie nie obchodziło. Otworzyłem notatnik, przewertowałem go prawie do końca, zanim znalazłem czystą kartkę, i napisałem: *5 października, 15:45, Dunning na cm. Longview, składa kwiaty na grobie rodziców (?). Deszcz.*

Miałem to, czego chciałem.

ROZDZIAŁ 8

1

W tygodniach poprzedzających Halloween pan George Amberson obejrzał prawie wszystkie działki przeznaczone pod działalność gospodarczą w Derry i okolicznych miścinach.

Nie byłem aż tak naiwny, by sądzić, że miejscowi mogli mnie tak szybko uznać za swojego, ale chciałem, żeby przyzwyczaili się do widoku mojego sportowego czerwonego sunlinera, zaczęli go traktować jak element pejzażu. O, jedzie ten facet od nieruchomości, już prawie miesiąc tu siedzi. Jeśli wie, co robi, komuś może kapnie trochę pieniędzy.

Kiedy ludzie pytali, czego szukam, uśmiechałem się i mrugałem porozumiewawczo. Kiedy pytali, jak długo zostanę, mówiłem, że trudno powiedzieć. Poznałem topografię miasta i zacząłem poznawać werbalną topografię roku 1958. Dowiedziałem się na przykład, że „wojna” to druga wojna światowa, a „konflikt” to wojna w Korei. Obie się skończyły i całe szczęście. Ludzie martwili się Rosją i tak zwaną luką raketową, ale nie za bardzo. Ludzie martwili się przestępczością młodocianych, ale nie za bardzo. Trwała recesja, ale ludzie pamiętali gorsze. Kiedy się z kimś targowałeś, mogłeś bez skrępowania powiedzieć, że go ożydziłeś (albo dałeś się ocyganić). Najtańszymi słodyczami były żelki w kształcie dżdżownic i małych Murzyniątek. Na Południu obowiązywała segregacja rasowa. W Moskwie Nikita Chruszczow wyrzaskiwał groźby. W Waszyngtonie prezydent Eisenhower flegmatycznie zachęcał do optymizmu.

Niedługo po rozmowie z Chazem Fratim nie omieszkałem się wybrać do nieczynnej fabryki Kitchener's Ironworks. Była na dużej, zapuszczonej połaci pustki na północ od miasta i tak, to byłoby idealne miejsce pod centrum handlowe, gdyby dociągnęli tam autostradę Mila na Minutę. Jednak w dniu, kiedy tam zajrzałem - musiałem zostawić samochód i dalej iść pieszo, żeby nie zniszczyć osi na porzrzucanych gruzach - stara fabryka przypominała ruiny prastarej cywilizacji: mocarze, patrzcie na moje dzieła i gińcie z rozpacz. Z wysokiej trawy sterczały stosy cegieł i zardzewiałe części starej maszynierii. Pośrodku był dawno zwalony ceramiczny komin, o okopconych sadzą ścianach, z wielkim otworem wylotowym pełnym ciemności. Gdybym schylił głowę i przygarbił plecy, mógłbym do niego wejść, a niski nie

jestem.

W tych tygodniach poprzedzających Halloween wiele w Derry zobaczyłem i wiele poczułem. Długoletni mieszkańcy byli dla mnie uprzejmi, ale - z jednym wyjątkiem - nie spoufalali się ze mną. Tym wyjątkiem był Chaz Frati i z perspektywy czasu widzę, że jego spontaniczna wylewność powinna mnie była zdziwić, ale tyle miałem na głowie, że Frati zszedł na dalszy plan. Pomyślałem sobie: Czasem po prostu spotyka się przyjaznego gościa, to wszystko - i na tym poprzestałem. Na pewno nie podejrzewałem, że Fratiego nasłał Bill Turcotte.

Bill Turcotte, vel Bezszelkowy.

2

Bevvie-co-mieszka-na-drzewie mówiła, że jej zdaniem złe czasy w Derry tak naprawdę nigdy się nie kończą, i im więcej w tym mieście widziałem (i odczuwałem - to zwłaszcza), tym bardziej nabierałem przekonania, że mądre z niej dziecko. Derry nie było takie jak inne miasta. Z Derry było coś nie tak. Początkowo próbowałem sobie wmówić, że to moja wina, nie miasta. Byłem człowiekiem wytraconym z orbity, Beduinem w czasie i każde miejsce nieuchronnie musiało mi się wydawać trochę dziwne, trochę wykoślawione - jak Przypominające senne koszmary miasta w powieściach Paula Bowlesa. Ten argument z początku wydawał się przekonujący, ale w miarę jak mijały dni i poznawałem nowe otoczenie, coraz mniej do mnie trafiał. Zacząłem nawet kwestionować twierdzenie Beverly Marsh, że złe czasy prawie minęły, i snułem przypuszczenia (w te noce, kiedy nie mogłem spać, a było ich całkiem sporo), że sama też nie jest o tym przekonana. Czy nie dostrzegłem w jej oczach zalążków wątpliwości? Jak u kogoś, kto nie może do końca uwierzyć, choć chciałby? Może nawet musi?

Coś nie w porządku, coś złego.

Pewne puste domy, które zdawały się patrzeć jak twarze ludzi cierpiących na straszną chorobę psychiczną. Pusta stodoła na obrzeżach miasta, ze stryszkiem na siano, którego drzwi powoli kołysały się na zardzewiałych zawiasach, najpierw odsłaniając ciemność, potem ją ukrywając, by zaraz odsłonić ją znowu. Roztrzaskany płotek na Kossuth Lane, raptem przecnicę od domu, w którym mieszkała pani Dunning i jej dzieci. Ten płotek wyglądał, jakby coś rzuconego z potężną siłą przebiło go i spadło do Barrens. Coś albo ktoś. Pusty plac zabaw z karuzelą, która obracała się powoli, mimo że nie popychały jej dzieci ani nie wiał wyczuwalny wiatr. Ukryte łożyska skrzypiały przeraźliwie przy każdym ruchu. Któregoś dnia

zobaczyłem w Kanale niesionego prądem nieudolnie wyrzeźbionego Jezusa, który wpłynął do tunelu pod Canal Street. Miał metr długości. Zęby wystawały spod warg rozchylonych w drapieżnym uśmiechu. Czoło okalała fantazyjnie przekrzywiona korona cierniowa; pod dziwnymi białymi oczami namalowane były krwawe łzy. Wyglądał jak fetysz dżu-dżu. Na tak zwanym Moście Zakochanych w Bassey Park, wśród deklaracji wierności szkolnej drużynie i miłosnych wyznań, ktoś wrył słowa ZABIJĘ MOJĄ MATKĘ, a pod spodem ktoś inny dopisał: PRENDZEJ CHOROBA JOM ZEŻRE. Pewnego popołudnia, kiedy spacerowałem po wschodniej części Barrens, usłyszałem przeraźliwy pisk. Uniosłem głowę i zobaczyłem chudego mężczyznę na pobliskiej estakadzie kolejowej. Kij w jego ręku podnosił się i opadał. Coś bił. Pisk urwał się i pomyślałem: To był pies i facet właśnie go wykończył. Zaciągnął go tam na sznurze i zatłukł na śmierć. Oczywiście, nie mogłem wiedzieć, że tak właśnie było... a mimo to wiedziałem. Byłem tego pewien wtedy i teraz jestem pewien.

Coś nie tak.

Coś złego.

Czy cokolwiek z tego ma znaczenie dla historii, którą opowiadam? Historii o ojcu woźnego i o Lee Harveyu Oswaldzie (tym od chytrego uśmiešku typu „wiem coś, czego wy nie wiecie” i dziwnych szarych oczu, które nigdy nie napotykały twojego spojrzenia)? Nie wiem tego na pewno, ale jeszcze jedno mogę wam powiedzieć: coś było w tym przewróconym kominie w Kitchener's Ironworks. Nie wiem co i nie chcę wiedzieć, ale u jego wylotu zobaczyłem stosik ogryzionych kości i małą przeżutą obrózkę z dzwoneczkiem. Obrózkę, która na pewno należała do ukochanego kociaka jakiegoś dziecka. A wewnątrz komina - w głębi tego wielkiego otworu - coś poruszało się i szeleściło.

Wejdz i zobacz, to coś zdawało się szeptać w mojej głowie. Nie przejmuj się całą resztą, Jake - wejdz i zobacz. Chodź, porozmawiamy. Tu czas jest bez znaczenia; tu czas po prostu rozplywa się w nicłość. Wiesz, że tego chcesz, wiesz, że jesteś ciekaw. Może to nawet kolejna królicza nora. Kolejny portal.

Może i tak, ja jednak w to nie wierzyłem. Myślę, że tam w środku było Derry - że w tej rurze ukrywało się wszystko, co z tym miastem było nie w porządku, wszystko, co było w nim wypaczone. Tam hibernowało. Pozwalało ludziom wierzyć, że złe czasy się skończyły, czekało, aż uspokojeni zapomną, że w ogóle kiedykolwiek były złe czasy.

Poszedłem stamtąd w pośpiechu i do tej części Derry nigdy nie wróciłem.

3

Pewnego dnia w drugim tygodniu października - dęby i wiązy na Kossuth Street już mieniły się złotem i czerwienią - raz jeszcze odwiedziłem opuszczony Ośrodek Rekreacji West Side. Żaden szanujący się łowca nieruchomości nie przepuściłby okazji, by dokładnie wybadać potencjał tak korzystnie ulokowanej parceli, zapytałem więc kilku ludzi na ulicy, jak jest w środku (drzwi, rzecz jasna, były zamknięte na kłódkę) i jak długo budynek stoi nieużywany.

Jedną z osób, z którymi rozmawiałem, była Doris Dunning. „Ładna jak z obrazka”, powiedział Chaz Frati. Przeważnie nic nieznaczący banał - kto powiedział, że ludzie na obrazkach muszą być ładni? - w tym przypadku jednak prawdziwy. Upływ lat wyrył delikatne zmarszczki wokół jej oczu i głębsze w kąciakach ust, ale miała piękną skórę i wspaniałe, bujne kształty (w roku 1958, gdy Jayne Mansfield jest u szczytu sławy, pełne piersi uważa się za atut, nie powód do wstydu). Rozmawialiśmy na ganku. Nie mogła mnie zaprosić do pustego domu - dzieci były w szkole - bo tak nie wypadało i sąsiedzi niechybnie wzięliby ją na języki, tym bardziej że jej mąż „mieszkał poza domem”. W jednej dłoni miała ścierkę do kurzu, w drugiej papierosa. Z kieszeni jej fartucha wystawała butelka pasty do mebli. Jak większość ludzi w Derry, Doris Dunning była uprzejma, ale chłodna.

Tak, powiedziała, kiedy ośrodek jeszcze działał, dla dzieci nadawał się doskonale. Miło było mieć koło domu miejsce, gdzie mogły pójść po szkole i ganiać ile dusza zapragnie. Z okna kuchni widziała plac zabaw i boisko do koszykówki, i przykro patrzeć, jak stoją puste. Słyszała, że ośrodek zamknęli w związku z cięciami budżetowymi, ale to, jak zerknęła na boki i jak ściągnęła usta, sugerowało coś innego: że został zamknięty podczas serii zabójstw i zniknięć dzieci. Obawy o stan budżetu pewnie były sprawą drugorzędną.

Podziękowałem i dałem jej jedną z moich nowo wydrukowanych wizytówek. Wzięła ją, uśmiechnęła się do mnie z roztargnieniem i zamknęła drzwi. Delikatnie, nie z hukiem, ale usłyszałem za nimi szcęk zakładanego łańcucha.

Pomyślałem - bez entuzjazmu - że kiedy nadejdzie Halloween, nieczynny ośrodek mógłby się nadać do moich celów. Nie przewidywałem kłopotów z dostaniem się do środka, a z okna od frontu miałbym doskonały widok na ulicę. Nawet gdyby Dunning nie przyszedł pieszo, tylko przyjechał autem, wiedziałem, jak ono wygląda. Według wypracowania Harry'ego wtedy będzie już ciemno, ale przy ulicy stały latarnie.

Oczywiście, ta widoczność była bronią obosieczną. Gdyby Dunning nie był całkowicie zafiksowany na swoim celu, prawie na pewno zobaczyłby mnie, kiedy biegłbym

do niego. Miałem rewolwer, ale celnie strzelał dopiero z odległości piętnastu metrów. W rzeczywistości musiałbym podejść jeszcze bliżej, zanim odważyłbym się pociągnąć za spust, bo w wieczór Halloween na Kossuth Street będzie się roiło od małych duchów i goblinów. Z drugiej strony, nie mogłem wyjść z ukrycia dopiero wtedy, kiedy odtrącony mąż Doris Dunning zniknie wewnątrz domu, bo z wypracowania wynikało, że od razu wziął się do roboty. Kiedy Harry wyszedł z łazienki, wszyscy oprócz Ellen już nie żyli. Gdybym zwlekał, zobaczyłbym to, co zobaczył Harry: mózg jego matki wsiąkający w kanapę.

Nie przeżyłem przeszło połowy stulecia po to, żeby ocalić tylko jedno z nich. I nawet gdyby Dunning mnie zobaczył, to co? Ja miałem rewolwer, on młotek - pewnie podwędzony z szuflady z narzędziami w pensjonacie. Gdyby rzucił się na mnie, bardzo dobrze. Byłbym jak kłown na rodeo, odwracający uwagę byka. Płasałbym i pokrzykiwał dotąd, aż znalazłby się w moim zasięgu, a wtedy wbiłbym mu dwie kule w pierś.

O ile zdobyłbym się na to, żeby pociągnąć za spust.

I o ile rewolwer będzie działał. Przeszelałem go w żwirowni na skraju miasta i wydawało się, że wszystko z nim w porządku... ale przeszłość jest nieustępliwa.

Nie chce się zmienić.

4

Po dalszych rozmyślaniach doszedłem do wniosku, że mogę znaleźć jeszcze lepszą kryjówkę na wieczór Halloween. Żeby to się udało, potrzebowałem trochę szczęścia, ale może znowu nie aż tak dużo. „Bóg jeden wie, że w tych stronach jest ich sporo na sprzedaż”, tak barman Fred Toomey mówił o nieruchomościach w Derry mojego pierwszego wieczoru w tym mieście. I moje badania w terenie to potwierdziły - W następstwie morderstw (i wielkiej powodzi w pięćdziesiątym siódmym, nie zapominajcie) chyba z pół miasta było na sprzedaż. W mniej nieprzystępnej miejscinie potencjalny nabywca nieruchomości jak ja do tej pory już dostałby klucze do miasta i szalony weekend We dwoje z Miss Derry.

Była jedna ulica, na którą jeszcze nie zajrzałem: Wyemore Lane przecnicę na południe od Kossuth Street. To znaczyło, że podwórka na tyłach domów przy Wyemore i Kossuth sąsiadowały ze sobą. Nic nie szkodziło sprawdzić.

Wyemore 206, dom bezpośrednio za domem Dunningów, był zajęty, ale następny po lewej, pod numerem 202, wyglądał jak dar niebios. Świeża szara farba, nowe gonty, ale okiennice zatrzasknięte na głucho. Na zagrabionym trawniku stała żółto-zielona tabliczka, jakich wiele widziałem w całym mieście: NA SPRZEDAŻ. WYSPECJALIZOWANA

AGENCJA NIERUCHOMOŚCI DERRY. Ta zachęcała mnie, żebym zadzwonił do specjalisty Keitha Haneya, żeby porozmawiać o kredycie. Nie miałem zamiaru tego zrobić, ale zaparkowałem sunlinera na świeżo wyasfaltowanym podjeździe (komuś bardzo zależało, żeby sprzedać ten dom) i poszedłem na podwórko na tyłach z podniesioną głową, wyprostowanymi ramionami, dumnie wyprężony. Poznając moje nowe środowisko, dowiedziałem się między innymi tego, że jeśli zachowujesz się jak właściwy człowiek na właściwym miejscu, ludzie cię za takiego uważają.

Podwórko było porządnie skoszone, liście odgarnięte, by aksamitna zieleń prezentowała się w pełnej krasie. Pod okapem garażu stała ręczna kosiarka do trawy, z obrotowymi ostrzami starannie okrytymi kawałkiem zielonego brezentu. Obok klapy prowadzącej do piwnicy była psia buda z tabliczką, która dobitnie ukazywała dbałość Keitha Haneya o szczegóły: DOMEK DLA PIESKA. Wewnątrz leżał stos nieużywanych worków na liście, przygnieciony rydłem ogrodniczym i sekatorem do żywopłotu. W roku 2011 narzędzia byłyby pod kluczem; w 1958 ktoś dopilnował, by były osłonięte od deszczu, i uznał, że to wystarczy. Dom na pewno był zamknięty, ale to mi nie przeszkadzało. Nie miałem zamiaru się włamywać.

Na końcu podwórka przy Wyemore 202 rósł żywopłot. Nieco niższy ode mnie i choć był bujny, człowiek mógł się bez większego trudu przez niego przecisnąć, jeśli nie miał nic przeciwko kilku zadrapaniom. Co najlepsze, kiedy poszedłem w prawy kąt posesji, schowany za garażem, po przekątnej widziałem podwórko za domem Dunningów. Zobaczyłem tam dwa rowery. Jeden, chłopięcy Schwinn, stał oparty na nóżce. Drugi, leżący na boku jak martwy kucyk, należał do Ellen Dunning. Nie mogłem nie poznać charakterystycznych bocznych kółek.

Były też porozrzucane zabawki. A wśród nich wiatrówka Daisy Harry'ego Dunninga.

5

Jeśli kiedykolwiek graliście w amatorskim teatrze - albo reżyserowaliście przedstawienia szkolne, co mnie się w LHS kilka razy zdarzyło - będziecie wiedzieli, co czułem w dniach poprzedzających Halloween. Na pierwszych próbach panuje ogólne rozprężenie. Jest improwizacja, żarty, wygłupy i dużo flirtowania, kiedy między aktorami zaczyna iskrzyć. Jeśli na tym wczesnym etapie ktoś pomyli tekst albo w ogóle zapomni kwestii, to tylko pretekst, żeby się pośmiać. Jeśli aktor spóźni się piętnaście minut na próbę, on albo ona mogą dostać lekką reprimendę, ale raczej nic ponadto.

Aż pewnego dnia premiera przestaje być szalonym snem i staje się czymś realnym. Jest coraz mniej improwizacji. Wyglupy też się kończą i choć żarty wciąż padają, to w witającym je śmiechu czuć ładunek nerwowości. Pomyłki i zapominane kwestie zaczynają drażnić, zamiast bawić. Aktor, który spóźnia się na próbę, gdy dekoracje są ustawione i tylko dni dzielą ekipę od premiery, naraża się na ostry ochrzan od reżysera.

Przychodzi wieczór premiery. Aktorzy nakładają kostiumy i charakterystykę. Niektórzy są autentycznie przerażeni; wszyscy czują się nie dość dobrze przygotowani. Wkrótce będą musieli stanąć przed całą salą ludzi, którzy przyszedli oglądać ich popisy. To, co w dniach prób wydawało się niewyobrażalnie odległą przyszłością, jednak stało się faktem. I zanim kurtyna pójdzie w górę, jakiś Hamlet, Willie Loman czy Blanche DuBois pobiegną wymiotować do najbliższej łazienki. Tak jest zawsze.

Z tym ryzykiem możecie mi wierzyć. Znam to.

6

W Halloween nad ranem znalazłem się nie w Derry, lecz na oceanie. Wzburzoną oceanie. Kurczowo trzymałem się relingu dużej łodzi - zdaje się, że to był jacht - która była bliska zatonięcia. Niesiony wyjąłym wichrem deszcz zacinał mi w twarz. Pędziły ku mnie ogromne fale, u podstawy czarne, u szczytu przechodzące w skisłą, spienioną zieleń. Jacht podniósł się, obrócił, po czym znów runął w dół w obłądnym korkociągu.

Obudziłem się z tego snu z walącym sercem i dłońmi wciąż skulonymi od prób trzymania relingu, którego obraz wytworzył mój mózg. Chociaż nie tylko mózg za to odpowiadał, bo łóżko wciąż chodziło w górę i w dół. Miałem wrażenie, że mój żołądek zerwał się z cum mięśni, które dotąd utrzymywały go na miejscu.

W takich chwilach ciało prawie zawsze jest mądrzejsze od mózgu. Odrzuciłem pościel i poleciałem przez kuchnię do łazienki, po drodze kopniakiem przewracając znieciercierowane żółte krzesło. Później miały mnie boleć palce u nóg, ale wtedy praktycznie nic nie poczułem. Próbowałem zacisnąć gardło, lecz udało się tylko częściowo. Słyszałem, jak dziwny dźwięk przedziera się przez nie do moich ust. Brzmiał: „ulk-ulk-urp-ulk”. Mój żołądek był jachtem, najpierw się wznosił, by zaraz potem opaść w tym strasznym korkociągu. Runąłem na kolana przed sedesem i zwymiotowałem kolację. W ślad za nią poszedł lunch i wczorajsze śniadanie - o Boże, szynka i jajka sadzone. Na myśl o całym tym połyskującym tłuszczem żarciu znów zebrało mi się na wymioty. Nastąpiła krótka przerwa, po czym chyba wszystko, co zjadłem w poprzednim tygodniu, opuściło budynek.

I kiedy już zaczynałem mieć nadzieję, że to koniec, moimi bebechami wstrząsnął przeraźliwy bulgot. Chwiejnie dźwignąłem się na nogi, pospiesznie opuściłem klapę i zdołałem usiąść, zanim wszystko wylało się ze mnie z wodnistym chlupotem.

Ale nie. Nie wszystko, jeszcze nie. Żołądek podjechał mi do gardła i w tym samym momencie znów uaktywniły się jelita. Nie było innego wyjścia; wychyliłem się do przodu i zwymiotowałem do umywalki.

Trwało to aż do południa. Wtedy z obu moich otworów ewakuacyjnych nie leciało już nic oprócz wodnistej papki. Za każdym razem, kiedy rzygałem, przy każdym skurczu jelit nachodziła mnie ta sama myśl: Przeszłość nie chce, żeby ją zmieniać. Przeszłość jest nieustępliwa.

Kiedy jednak tego wieczoru Frank Dunning przyjdzie do swojego domu, zamierzałem tam być. Nawet gdybym wciąż jeszcze rzygał i srał szarą wodą, zamierzałem tam być. Nawet gdybym miał to przypłacić życiem, zamierzałem tam być.

7

Pan Keene, właściciel drogerii na Center Street, stał za ladą, kiedy przyszedłem tego piątkowego popołudnia. Drewniany wentylator w górze podrywał resztki jego włosów w zwiewnym tańcu; wyglądały jak pajęczyna poruszana letnim wietrzykiem. Na sam ten widok mój zmaltretowany żołądek znów szarpnął się ostrzegawczo. Keene był chudy pod swoim białym bawełnianym kitem - niemal chorobliwie - i kiedy mnie zobaczył, zmarszczył w uśmiechu blade usta.

- Kiepsko pan wygląda, przyjacielu.

- Kaopectate - powiedziałem chrapliwym głosem niepodobnym do mojego. - Ma pan to?

- Co, grypa żołądkowa? - Światło pod sufitem padało na szkła jego małych okularów bez oprawek i ślizgało się po nich, kiedy ruszał głową. Jak masło po patelni, pomyślałem i żołądek znów podjechał mi do gardła. - Ostatnio krąży po mieście. Obawiam się, że ciężkie dwadzieścia cztery godziny przed panem. Pewnie przypętał się bakcyl, a może używał pan toalety publicznej i zapomniał umyć ręce. Tak wiele osób nie dba o hi...

- Jest kaopectate czy nie?

- Oczywiście. W drugiej alejce.

- A pieluchomajtki?

Cierpki uśmiech się rozszerzył. Pieluchomajtki są zabawne, pewnie. Chyba że,

oczywiście, to ty ich potrzebujesz.

- Piąta alejka. Choć jeśli będzie się pan trzymał blisko domu, nie będą potrzebne. Sądząc po pańskiej bladości... i po tym, jak pan się poci... byłoby to wskazane.

- Dzięki - powiedziałem i wyobraziłem sobie, że walę go w pysk tak, że sztuczna szczeka wpada mu do gardła. A masz, koleś, udław się!

Zakupy robiłem powoli, nie chcąc zbytnio wstrząsać moimi rozbełtanymi trzewiami. Wziąłem kaopectate (duże opakowanie... jest) potem pieluchomajtki (duże dla dorosłych... są). Majtki były w dziale Sprzęt do Stomii, między workami do lewatywy a złowieszczymi żółtymi zwojami plastikowych węży, których przeznaczenia nie chciałem znać. Były też pieluchy dla dorosłych, ale od nich mnie odrzucało. Już wolałbym wypchać pieluchomajtki ścierkami do naczyń. Ta wizja mnie rozbawiła i mimo cierpienia musiałem wyteńczyć siłę woli, żeby powstrzymać się od śmiechu. W moim delikatnym stanie śmiech mógłby doprowadzić do katastrofy.

Jakby wyczuwając moją udrekę, kościsty aptekarz nabijał moje zakupy na kasę w zwolnionym tempie. Podałem mu pięciodolarowy banknot mocno trzęsącą się ręką.

- Coś jeszcze?

- Jedna sprawa. Fatalnie się czuję, widzisz, że fatalnie się czuję, więc czego, do cholery, się do mnie szczerzysz?

Pan Keene cofnął się o krok i uśmiech zniknął z jego ust.

- Zapewniam pana, że się nie szczerzyłem. Życzę powrotu do zdrowia.

Poczułem skurcz kiszek. Zachwiałem się lekko, schwyciłem torbę z zakupami i wolną ręką przytrzymałem się lady.

- Jest tu ubikacja?

Uśmiech powrócił.

- Nie dla klientów, przykro mi. Może pójdzie pan do jednego z... lokali naprzeciwko?

- Z ciebie naprawdę jest bydłę, co? Wzorcowy, kurde, obywatel Derry.

Zesztywniał, odwrócił się i wymaszerował do ciemnej nory, w której trzymał swoje pigułki, pudry i syropy.

Powoli przeszedłem obok dystrybutora napojów do wyjścia. Czułem się jak człowiek ze szkła. Dzień był chłodny, nie więcej niż siedem stopni, ale dotyk słońca na mojej skórze wydawał się gorący. I lepki. Znów dostałem skurczu jelit. Przez chwilę stałem nieruchomo ze spuszczoną głową, jedną nogą na chodniku, drugą w rynsztoku. Skurcz minął. Przeszedłem przez ulicę, nie patrząc, czy coś jedzie, i ktoś na mnie zatrał. Powściągnąłem pokusę, by pokazać mu środkowy palec, ale tylko dlatego, że miałem już dość kłopotów. Nie mogłem

ryzykować, że wdam się w bójkę; nie teraz, kiedy już toczyłem jedną walkę. Ale co właściwie ze mną walczyło? Paskudna dwudziestoczworgodzinna grypa żołądkowa, która krążyła po mieście, według mocno nieprzyjemnego Norberta Keene'a? Po części pewnie tak, ale sądziłem, że to nie wszystko. To była ta sama bitwa, którą musiał stoczyć Al, kiedy wyruszył na ratunek Carolyn Poulin.

Znów złapał mnie skurcz, jakby ktoś wbił mi dwa noże w podbrzusze. Zerwałem się do biegu. Sleepy Silver Dollar był najbliżej, więc to jego drzwi rozwarłem na oścież i moje nieszczęśliwe ciało wpadło w półmrok i drożdżowy zapach piwa. W szafie grającej Conway Twitty jęczał, że to tylko na niby. Marzyłem, by miał rację.

W lokalu nie było nikogo oprócz samotnego klienta przy pustym stoliku, patrzącego na mnie zaskoczonymi oczami, i barmana, który oparty o koniec kontuaru rozwiązywał krzyżówkę w gazecie. Podniósł na mnie wzrok.

- Ubikacja - rzuciłem. - Szybko.

Wskazał na tyły sali i pognałem w stronę drzwi oznakowanych KOWBOJE i KOWBOJKI. Wpadłem na KOWBOJÓW z impetem rugbisty taranującego przeciwnika. Wewnątrz śmierdziało gównem, dymem papierosowym i gryzącym w oczy chlorem. W jedynej kabinie nie było drzwi - może to i lepiej. Rozpiąłem spodnie szarpnięciem, niby Superman spóźniony na napad na bank, odwróciłem się i gruchnąłem na sedes.

W samą porę.

Kiedy ostatni atak minął, wyjąłem wielką butelkę kaopectate z papierowej torby i pociągnąłem trzy długie łyki. Żołądek podjechał mi do gardła. Zmusiłem go, żeby wrócił na swoje miejsce. Gdy nabrałem pewności, że pierwsza dawka się przyjęła, wziąłem następny łyk, beknałem i powoli zakręciłem butelkę. Na ścianie po mojej lewej stronie ktoś narysował penisa z jądrami. Jądra były rozcięte i tryskała z nich krew. Pod tym uroczym obrazkiem artysta napisał: HENRY CASTONGUAY OTO CO CIĘ CZEKA JAK JESZCZE RAZ ZERZNIESZ MI ŻONĘ.

Zamknąłem oczy i kiedy to zrobiłem, zobaczyłem zaskoczonego klienta, który obserwował moją szarżę do ubikacji. Ale czy rzeczywiście był klientem? Nie miał nic na stoliku; siedział tam tylko. Z zamkniętymi oczami wyraźnie widziałem jego twarz. Znałem ją.

Gdy wróciłem do baru, Conwaya Twitty'ego zastąpił Ferlin Husky, a Bezszelkowy zniknął. Skierowałem się do barmana.

- Kiedy przyszedłem, siedział tam jakiś facet. Kto to był? - spytałem.

Podniósł głowę znad krzyżówki.

- Nikogo nie widziałem.

Wyjąłem portfel, wyciągnąłem banknot pięciodolarowy i położyłem go na kontuarze obok podkładki pod piwo Narragansett.

- Nazwisko.

Odbył ze sobą krótką rozmowę w duchu, zerknął na słoik na napiwki obok drugiego, zawierającego marynowane jajka, zobaczył w środku samotną dziesięciocentówkę i pięć dolarów zniknęło w jego dłoni.

- To był Bill Turcotte.

Nazwisko nic mi nie mówiło. Pusty stolik też mógł nic nie znaczyć, ale...

Położyłem na kontuarze następnego Abrahama Lincolna.

- Przyszedł tu mnie obserwować? - Jeśli tak, to znaczyło, że mnie śledził. Może nie tylko dzisiaj. Ale dlaczego?

Barman odsunął piąta od siebie.

- Wiem tylko, że zwykle przychodzi na piwo. Dużo piwa.

- To dlaczego dziś żadnego nie wypił?

- Może zajrzał do portfela i zobaczył, że w środku ma tylko kartę biblioteczną. Co ja, jasnowidz jestem? A teraz, jak już zasmrodziłeś mi kibel, może byś tak coś zamówił albo sobie poszedł?

- Śmierdziało, zanim wszedłem, przyjacielu.

Kiepski tekst na odchodnym, ale najlepszy, na jaki mnie było stać w tych okolicznościach. Wszedłem i stanąłem na chodniku, wypatrując Turcotte'a. Zniknął bez śladu, za to Norbert Keene stał w witrynie swojej drogerii z dłońmi założonymi za plecy i patrzył na mnie. Nie uśmiechał się.

8

O piątej dwadzieścia tego popołudnia zostawiłem mojego sunlinera na parkingu przyległym do kościoła baptystów na Witcham Street. Miał tam dużo towarzystwa; według tablicy przed wejściem, od piątej trwało spotkanie Anonimowych Alkoholików. W bagażniku forda był cały mój dobytek zebrany w ciągu siedmiu tygodni, które przeżyłem jako mieszkaniec tego, jak zwykłem w myśli nazywać Derry, Dziwaczego Miasteczka. Wszystko, co niezbędne, spoczywało w teczce Lord Buxton, którą dostałem od Ala: jego i moje notatki, fragmentaryczny rękopis, nad którym pracowałem, i reszta gotówki. Dzięki Bogu, że większość pieniędzy trzymałem w przenośnej postaci.

Na siedzeniu obok mnie leżała papierowa torba zawierająca butelkę kaopectate - teraz

już w trzech czwartych opróżnioną - i pieluchomajtki. Na szczęście nie zanośli się na to, żebym miał z nich skorzystać. Mój żołądek i jelita jakby się uspokoili, ręce przestały drżeć. W schowku, na rewolwerze, leżało pół tuzina batonów Payday. Dorzuciłem to wszystko do torby. Planowałem, że później, kiedy ulokuję się między garażem a żywopłotem przy Wyemore Lane 202, nabiję rewolwer i zatknę go za pas. Jak podrzędny rabuś z filmów klasy B granych w Strand.

W schowku był jeszcze jeden przedmiot: „TV Guide” z Fredem Astaire'em i Barrie Chase na okładce. Chyba już ze dwunasty raz od czasu, kiedy kupiłem to czasopismo w kiosku na Main Street, zajrzałem do programu telewizyjnego na piątek.

20.00, Kanał 2: Nowe przygody Ellery'ego Queena, George Nader, Les Tremayne. „Tak bogata, tak piękna, tak martwa”. Perfidny makler (Whit Bissell) prześladowuje dziedziczkę wielkiej fortuny (Eva Gabor). Ellery i jego ojciec prowadzą śledztwo.

Włożyłem „TV Guide” do torby razem z całą resztą - właściwie tylko na szczęście - po czym wysiadłem, zamknąłem wóz i poszedłem na Wyemore Lane. Minąłem kilka mam i tatusiów zbierających cukierki razem z dziećmi za małymi, by puścić je same. Wydrążone dynie szczerzyły się radośnie z wielu ganków, para wypchanych kukieł w słomkowych kapeluszach patrzyła na mnie pustym wzrokiem.

Szedłem wzdłuż Wyemore Lane środkiem chodnika, jakbym miał wszelkie prawo tam być. Kiedy z naprzeciwka nadciągnął ojciec prowadzący za rękę córeczkę w dyndających cygańskich kolczykach, jaskrawoczerwonej szmince mamusi i wielkich czarnych plastikowych uszach nałożonych na kędzierzawą perukę, uniosłem lekko kapelusz przed tatusiem i nachyliłem się do dziecka, które jak ja niosło papierową torbę.

- Kimże ty jesteś, słonko?

- Annette Funicello - wyjaśniła. - To najładniejsza Myszkieterka.

- A ty jesteś tak ładna jak ona - odparłem. - No i...? Co się mówi?

Wyglądała na zaskoczoną, więc jej ojciec schylił się i szepnął jej coś na ucho. Rozpromieniła się.

- Cukierek albo psikus!

- No właśnie - przytaknąłem. - Ale dziś żadnych psikusów. - Oprócz tego, który miałem nadzieję spłatać człowiekowi z młotkiem.

Wyjąłem z torby paydaya (musiałem wygrzebać go spod rewolweru) i podałem jej. Otworzyła swoją torbę i wrzuciła do niej baton. Byłem tylko facetem z ulicy, zupełnie obcym

człowiekiem w mieście, którym niedawno wstrząsnęła fala straszliwych zbrodni, ale na twarzach ojca i córki widziałem tę samą dziecinną ufność. Cukierki zaprawione LSD były odległą przyszłością - podobnie jak ostrzeżenie NIE UŻYWAĆ, JEŚLI PLOMBA JEST ZERWANA.

Ojciec znów coś szepnął do małej.

- Dziękuję - powiedziała Annette Funicello.

- Bardzo proszę. - Mrugnąłem do ojca. - Życzę państwu miłego wieczoru.

- Jutro pewnie będzie ją brzuch bolał - rzekł, ale się uśmiechnął. - Chodź, kotku.

- Jestem Annette! - obruszyła się.

- Przepraszam, przepraszam. Chodź, Annette. - Uśmiechnął się do mnie, uchylił kapelusza i ruszyli na dalsze łowy.

Poszedłem w stronę domu pod 202, nie za szybko. Pogwizdywałem, gdyby moje usta nie były tak suche. Na podjeździe zaryzykowałem szybki rzut oka wkoło. Zobaczyłem kilku łowców smakołyków po drugiej stronie ulicy, ale nikogo, kto zwracałby na mnie najmniejszą uwagę. Doskonale. Żwawo wmaszerowałem na podjazd. Kiedy znalazłem się za domem, wydałem westchnienie ulgi tak głębokie, że zdawało się wypływać z moich pięt. Zająłem stanowisko w prawym kącie podwórka, bezpiecznie schowany między garażem a żywopłotem. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Zajrzałem na podwórko Dunningów. Rowery zniknęły. Wciąż leżała tam większość zabawek - dziecięcy łuk i kilka strzał z przyssawkami, kij baseballowy z uchwytem owiniętym taśmą izolacyjną, zielone koło hula-hoop - ale wiatrówki Daisy nie było. Harry zaniósł ją do domu. Zamierzał wziąć ją ze sobą, kiedy pójdzie zbierać cukierki w przebraniu Buffalo Boba.

Czy Tugga już się do niego o to przyczepił? Czy jego matka już powiedziała: „Weź ją, jeśli chcesz, Harry, to nie jest prawdziwa strzelba”? Jeżeli nie, wkrótce to zrobią. Ich kwestie już zostały napisane. Chwycił mnie skurcz żołądka, tym razem nie od dwudziestoczworgodzinnej grypy żołądkowej, która krążyła po mieście, lecz dlatego, że dogłębne zrozumienie - takie, które czuje się w trzewiach - wreszcie przyszło w całej swojej gołodupnej chwale. To stanie się naprawdę. Ba, to już się działo. Spektakl się zaczął.

Zerknąłem na zegarek. Wydawało mi się, że zostawiłem samochód na przykościelnym parkingu godzinę temu, ale była dopiero za piętnaście szósta. W domu Dunningów rodzina zapewne siadała do kolacji... choć o ile znałem dzieci, to te mniejsze z podniecenia ledwo mogły jeść, a Ellen już miała na sobie kostium księżniczki Summerfall Winterspring. Ani chybi przebrała się zaraz po powrocie ze szkoły i doprowadzała mamę do szału prośbami o

pomoc w nałożeniu barw wojennych.

Usiadłem oparty plecami o tylną ścianę garażu, wygrzebałem z torby paydaya. Podniosłem go do oczu i pomyślałem o biednym starym J. Alfredzie Prufrocku. Niewiele nas różniło, choć ja nie byłem pewien, czy ośmielę się zjeść batona, nie brzoskwinie. Z drugiej strony, miałem sporo do zrobienia w ciągu najbliższych mniej więcej trzech godzin, a mój żołądek był burczącą pustką.

Chrzanić to, pomyślałem i otworzyłem batona. Był przepyszny - słodki, słony, ciągnący się. Pożarłem większą jego część w dwu kęsach. Już szykowałem się, by wrzucić do ust resztę (i zastanawiałem się, dlaczego, na Boga, nie wziąłem kanapki i butelki coli), kiedy kątem lewego oka zobaczyłem ruch. Zacząłem się odwracać, sięgając do torby po kolta, ale było za późno. Coś zimnego i ostrego wbiło się w zagłębienie w mojej lewej skroni.

- Wyjmij rękę z torby.

Od razu poznałem ten głos. „Prędzej świniaka z uśmiechem pocałuję”, powiedział jego właściciel, kiedy spytałem, czy on albo jego znajomi znają niejakiego Dunninga. Powiedział też, że w Derry jest pełno Dunningów - co sam niedługo potem osobiście potwierdziłem - ale domyślał się od początku, o którego mi chodziło, nie? I oto miałem dowód.

Czubek ostrza wbił się nieco głębiej i poczułem, że po moim policzku ścieka strużka krwi. Była ciepła na mojej chłodnej skórze. Prawie gorąca.

- Wyjmij ją, już, koleżko. Chyba wiem, co tam masz, i jeśli zaraz nie pokażesz mi pustej ręki, na Halloween zamiast cukierka dostaniesz osiemnaście cali japońskiej stali. Ostra jest, wierz mi. Przebiję ci łeb na wylot.

Wyjąłem z torby dłoń - pustą - i odwróciłem się do Bezszelkowego. Tłuste kosmyki opadały mu na uszy i czoło. Ciemne oczy pływały w jego bladej, nieogolonej twarzy. Ogarnęło mnie rozczarowanie tak głębokie, że prawie przechodziło w rozpacz. Prawie... ale nie całkiem. Nawet gdybym miał to przyplącić życiem, pomyślałem znowu. Nawet wtedy.

- W torbie są tylko batony - powiedziałem spokojnie. - Jeśli chce się pan poczęstować, panie Turcotte, wystarczy poprosić. Dam panu jednego.

Zanim mogłem sięgnąć do środka, złapał torbę ręką nietrzymającą broni, którą okazał się bagnet. Nie wiedziałem, czy japoński, ale na podstawie tego, jak błyszczał w gasnącym świetle zmierzchu, skłonny byłem uwierzyć, że rzeczywiście jest ostry.

Wygrzebał z torby mój rewolwer.

- Tylko batony, he? To mi na baton nie wygląda, panie Amberson.

- Jest mi potrzebny.

- Taa, a duszom w piekle potrzebna jest zimna woda, ale jej nie dostają.

- Ciszej - powiedziałem.

Zatknałem swojego kolta za pas - tak jak sam zamierzałem to zrobić, kiedy przebiję się przez żywopłot na podwórko Dunningów - po czym dźgnął bagnetem w stronę moich oczu. Trzeba było wysiłku woli, żeby się nie uchylić.

- Nie mów mi, co mam... - Zachwiał się. Potarł się po brzuchu, potem po piersi i szorstkiej od zarostu kolumnie szyi, jakby coś mu tam utkwilo. Kiedy przełknął ślinę, usłyszałem pyknięcie w jego gardle.

- Panie Turcotte? Dobrze się pan czuje?

- Skąd wiesz, jak się nazywam? - Nie czekał na odpowiedź. - Od Pete'a, prawda? Barmana z Dolara. On ci powiedział.

- Tak. A teraz ja mam do pana pytanie. Od kiedy pan mnie śledzi? I dlaczego?

Uśmiechnął się niewesoło, odsłaniając dwie szczyrby.

- To dwa pytania.

- Niech pan odpowie.

- Zachowujesz się, jakbyś... - Znów się skrzywił, przełknął ślinę i oparł się o tylną ścianę garażu. - Jakbyś ty tu rządził.

Przyjrzałem się bladej, zbolalej twarzy Turcotte'a. Pan Keene może i był bydlakiem z lekką skłonnością do sadyzmu, ale diagnostą wydawał się niezłym. W końcu kto wie lepiej od lokalnego aptekarza, co po mieście krąży? Byłem prawie pewien, że nie będę potrzebował reszty kaopectate, ale Billowi Turcotte'owi ten specyfik mógł się przydać. Nie wspominając o pieluchomajtkach, kiedy bakcyl naprawdę weźmie się do rzeczy.

To albo bardzo dobrze, albo bardzo źle, pomyślałem. E tam, gówno prawda. Nie było w tym nic dobrego.

Nieważne. Zmusz go, żeby dalej mówił. A jak zaczniesz rzygać - o ile wcześniej nie poderżnie ci gardła albo nie zastrzeli cię z twojej własnej broni - rzuć się na niego.

- Niechże pan odpowie - nalegałem. - Chyba mam prawo wiedzieć skoro nic panu nie zrobiłem.

- To jemu zamierzasz coś zrobić, tak myślę. Cała ta gadka o nieruchomościach, którą wciskasz ludziom w mieście... jeden wielki pic. Przyjechałeś tu, żeby znaleźć jego. - Wskazał ruchem głowy dom po drugiej stronie żywopłotu. - Wiedziałem to, jak tylko jego nazwisko padło z twoich ust.

- Jakim cudem? Sam pan mówił, że w mieście jest pełno Dunningów.

- Taa, ale mnie obchodzi tylko jeden. - Podniósł dłoń z bagnetem i rękawem otarł pot z

czoła. Myślę, że już wtedy mogłem sobie z nim poradzić, ale bałem się, że odgłosy szamotaniny zwróciłyby czyjąś uwagę. A gdyby kolt wypalił, zapewne to ja dostałbym kulkę.

Poza tym byłem ciekaw.

- Musiał panu kiedyś oddać nielichą przysługę, skoro robi pan za jego anioła stróża - powiedziałem.

Szczeknął pozbawionym wesołości śmiechem.

- Niezłe, niezłe, koleżko, ale w pewnym sensie prawdziwe. Chyba faktycznie poniekąd jestem jego aniołem stróżem. Na razie.

- Jak to?

- Tak to, że on jest mój, Amberson. Ten sukinsyn zabił moją młodszą siostrę i jeśli ktoś wsadzi mu kulkę... albo nóż... - podniósł bagnet na wysokość swojej bladej, zaciętej twarzy - ...to tylko ja.

9

Patrzyłem na niego z otwartymi ustami. Gdzieś daleko gruchnęła seria trzasków - jakiś łobuziak odpalił sznur petard. Witcham Street rozbrzmiewała okrzykami dzieci. Tutaj jednak byliśmy tylko my dwaj. Christy i jej znajomi alkoholicy nazywali siebie Przyjaciółmi Billa; my byliśmy Wrogami Franka. Idealnie dobrany zespół, można by rzec... tyle że Bill Turcotte, Bezszelkowy, nie wyglądał na miłośnika pracy zespołowej.

- Ty... - Urwałem i pokręciłem głową. - Opowiedz mi.

- Jeśli jesteś choć w połowie tak bystry, jak ci się wydaje, sam powinienes do tego dojść. A może Chazzy nie dość ci powiedział?

Z początku nie załapałem. A potem wszystko stało się jasne. Niski człowiek z syreną na przedramieniu i twarzą wesołej wiewiórki. Tylko że ta twarz nie wyglądała tak wesoło, kiedy Frank Dunning klepnął go w plecy i powiedział, żeby nie pchał nosa, gdzie nie trzeba, bo ma za długi i go sobie ubrudzi. Wcześniej, w czasie gdy Frank opowiadał dowcipy przy stoliku braci Trackerów w głębi Lamplightera, Chaz Frati mówił mi o wrednym charakterze Dunninga... co, dzięki wypracowaniu woźnego, nie było dla mnie nowiną. „Machnął dzieciaka jednej dziewczynie. Po roku czy dwóch zabrała dziecko i uciekła”.

- No i jak, komandorze Cody, łączność ustanowiona? Na to wygląda.

- Pierwsza żona Franka Dunninga to twoja siostra.

- No proszę. Prawidłowa odpowiedź, wygrałeś sto dolarów.

- Pan Frati mówił, że zabrała dziecko i uciekła, bo miała dość tego, jak awanturował

się po pijaku.

- Taa, tak ci powiedział i tak sądzi większość miasta... Chazzy pewnie też... ale ja wiem swoje. Clara i ja zawsze byliśmy sobie bliscy. W dzieciństwie trzymaliśmy się razem, ja mogłem na nią liczyć, ona na mnie. Pewnie nic nie wiesz o takich rzeczach, wyglądasz mi na kawał zimnego drania, ale tak właśnie było.

Pomyślałem o tym jednym dobrym roku, który przeżyłem z Christy - sześć miesięcy przed ślubem i sześć miesięcy po.

- Aż tak zimny nie jestem. Wiem, o czym mówisz.

Znów pocierał się po całym ciele, chyba nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jego ręka wędrowała z brzucha na pierś, z piersi na gardło, i z powrotem na pierś. Twarz miał jeszcze bledszą niż przedtem. Ciekaw byłem, co jadł na lunch, ale sądziłem, że nie będę się musiał długo nad tym głowić; wkrótce zobaczę to na własne oczy.

- Tak? To może tobie też wyda się dziwne, że jak wyprowadzili się z Mikeyem, słowa do mnie nie napisała. Nawet pocztówki. Jak dla mnie to dużo więcej niż dziwne. Bo zrobiłaby to. Wiedziała, co do niej czuję. I wiedziała, jak bardzo kochałem tego malca. Miała dwadzieścia lat, a Mikey szesnaście miesięcy, kiedy ten wesołkowaty piździelec zgłosił ich zaginięcie. To było latem trzydziestego ósmego. Dziś miałaby czterdzieści lat, a mój siostrzeniec dwadzieścia jeden. Mógłby już głosować, do cholery. I chcesz mi powiedzieć, że nie napisałaby jednego słowa do brata, który nie dopuścił, żeby Nochal Royce wsadził jej swoją pomarszczoną starą kielbачę, kiedy jeszcześmy dziećmi byli? Że nie poprosiłaby o trochę pieniędzy na urządzenie się w Bostonie, New Haven czy gdzie tam? Przecież ja...

Skrzywił się, wydał ciche „urk-ulp”, świetnie mi znany dźwięk, i zatoczył się na ścianę garażu.

- Musisz usiąść - powiedziałem. - Jesteś chory.

- Nigdy nie choruję. Od szóstej klasy nawet się nie przeziębiłem.

Jeśli tak, ten bakcyl urządzi mu blitzkrieg jak Niemcy Warszawie.

- To grypa żołądkowa, Turcotte. Całą noc przez nią nie spałem. Pan Keene z drogerii mówił, że krąży po mieście.

- Ta stara ciota gówno wie. Nic mi nie jest. - Odrzucił tłuste strąki do tyłu, żeby pokazać, jak rewelacyjnie się czuje. Jego twarz była jeszcze bledsza niż chwilę temu. Dłoń trzymająca japoński bagnet trzęsła się tak jak moja tego przedpołudnia. - Chcesz mnie wysłuchać czy nie?

- Jasne. - Zerknąłem ukradkiem na zegarek. Dziesięć po szóstej. Czas, który dotąd tak się włókił, teraz przyspieszał. Gdzie był Frank Dunning w tej chwili? Jeszcze w sklepie?

Sądziłem, że nie. Sądziłem, że dziś wyszedł wcześniej, może tłumacząc, że chce pójść z dziećmi zbierać cukierki. Nie taki jednak był plan. Frank Dunning poszedł do baru, ale tym razem nie do Lamplighera. Tam chodził tylko na jedno, góra dwa piwa. Tyle mógł wypić bez obaw, że się upije, chociaż - jeśli moja żona była dobrym przykładem, a tak uważałem - wychodząc, zawsze miał sucho w ustach, a jego mózg wołał o więcej.

Nie, kiedy czuł potrzebę, żeby nurzać się w gorzale, wołał pójść do którejś ze spelun, do Spoke, Dolara albo Wiadra. Może nawet do jednej z najgorszych mordowni, które zwieszały się nad zanieczyszczonym Kenduskeag - Wally's czy obleśnego Paramount Lounge, gdzie sędziwe dziwki o twarzach jak z wosku wciąż okupowały większość stołków przy barze. I czy opowiadał dowcipy, które rozśmieszały cały lokal? Czy ludzie w ogóle go zagadywali, kiedy zajmował się laniem alkoholu zbożowego na węgle gniewu w głębi swojego umysłu? Nie, jeśli nie chcieli nieplanowanego zabiegu dentystycznego.

- Zanim moja siostra i siostrzeniec zniknęli, mieszkali z Dunningiem w małym wynajętym domku na obrzeżach Cashman. On chlał na umór, a kiedy chła, skurwysynowi pięści idą w ruch. Clara chodziła posiniaczona, raz nawet Mikey miał prawą rączkę całą siną od nadgarstka po łokieć. Pytam więc: „Siostrzyczko, bije ciebie i dziecko? Bo jeśli tak, mordę mu skuję”. Ona na to, że nie, ale nie patrzyła mi w oczy. Powiedziała: „Trzymaj się od niego z dala, Billy. Jest silny. Ty też, wiem, ale ty jesteś chudy. Wichura by cię porwała. Zrobiłby ci coś złego”. I niecałe pół roku później zniknęła. Wyjechała, tak powiedział. Ale w tamtej części miasta jest las. Kurde, jak się wjedzie do Cashman, jest tylko las. Las i bagna. Wiesz, co się naprawdę stało, prawda?

Wiedziałem. Inni mogli w to nie wierzyć, bo Dunning był teraz szanowanym obywatelem, który sprawiał wrażenie, jakby od dawna panował nad swoim pićciem. I uroku miał za dwóch. Ale ja miałem informacje z pierwszej ręki, nieprawdaż?

- Myślę, że puściły mu nerwy. Wrócił pijany do domu, a ona powiedziała coś nie tak, może coś niewinnego, co opacznie zrozumiał...

- Opacznie? Co to znaczy?

Zajrzałem przez żywopłot na sąsiednie podwórko. Za oknem kuchni przeszła kobieta i zniknęła. W *casa* Dunning podano do stołu. Czy będzie deser? Galaretka z bitą śmietaną? Ciasto z herbatników? Sądziłem, że nie. Komu chciałoby się jeść deser w Halloween?

- Mówię, że ich zabił. Bo o to go podejrzewasz, prawda?

- Uhm... - Miał minę zaskoczoną i nieufną jednocześnie. Tak chyba wyglądają wszyscy obsesjonaci, gdy słyszą historie, które nie dają im spać po nocach, nie tylko wyartykułowane, ale i potwierdzone. To musi być podstęp, myślą. Tylko że to nie był

podstęp. Ani halloweenowy psikus.

- Dunning miał ile, dwadzieścia dwa lata? - powiedziałem - Całe życie przed nim. Musiał sobie pomyśleć: Cóż, zrobiłem coś strasznego, ale mogę po tym posprzątać. Jesteśmy w lesie, najbliżsi sąsiedzi są kilometr stąd... Dobrze mówię, byli o kilometr stamtąd Turcotte?

- Co najmniej - przyznał niechętnie. Jedną dłonią masował dolną część gardła. Bagnet opadł. Łatwo byłoby schwycić go prawą ręką, ba, może nawet zdołałbym mu wyszarpnąć rewolwer zza pasa, ale nie chciałem. Myślałem, że bakcyl załatwi pana Billa Turcotte'a za mnie. Naprawdę uważałem, że to będzie takie proste. Widzicie, jak łatwo zapomnieć o oporze przeszłości?

- Więc zakopał ciała w lesie i powiedział, że żona uciekła z synkiem. Na pewno nie było zbyt energicznego śledztwa.

Turcotte odwrócił głowę i splunął.

- On pochodzi ze starej, porządnej rodziny z Derry. Moi rodzice zjechali tu z Saint John Valley zardzewiałym starym pikapem kiedy ja miałem dziesięć lat, a Clara osiem. Zwykła hołota ze wsi. Jak myślisz?

Pomyślałem, że tak to już jest w Derry - to wszystko. I choć rozumiałem miłość Turcotte'a i współczułem mu utraty siostry, mówił o starej zbrodni. Mnie interesowała ta, która miała zostać popełniona za niecałe dwie godziny.

- To ty nasłałeś na mnie Fratiego, prawda? - Teraz to było oczywiste, a mimo to przykre. Myślałem, że gość jest po prostu przyjazny, że zebrało mu się na ploty przy piwie i Smażonkach z Homara. Myliłem się. - To twój kumpel?

Turcotte wykrzywił usta w uśmiechu bardziej przypominającym grymas.

- Ja miałbym być kumplem nadzianego Żyda, właściciela lombardów? Śmiechu warte. Opowiedzieć ci krótką historyjkę?

Ponownie zerknąłem na zegarek - miałem w zapasie jeszcze trochę czasu. Pomyślałem, że w trakcie jego opowieści stary dobry wirus żołądkowy będzie robił swoje. I że jak tylko Turcotte zegnie się wpół i zacznie rzygać, zaatakuję.

- Czemu nie?

- Ja, Dunning i Chaz Frati jesteśmy w tym samym wieku, czterdzieści dwa lata. Uwierzysz?

- Jasne. - Choć Turcotte, który miał ciężkie życie (a teraz brała go choroba, choć nie chciał tego przyznać), wyglądał na dziesięć lat starszego od tamtych dwóch.

- Razem chodziliśmy do budy. W ostatniej klasie byłem asystentem trenera drużyny futbolowej. Tygrys Bill, tak mnie nazywali... urocze, co? W pierwszej i drugiej klasie

zgłaszałem się do drużyny, ale przy obu okazjach mnie odrzucili. Za chudy do obrony, za wolny do ataku. Taki mój los. Ale kochałem futbol i nie stać mnie było na bilet za dziesięć centów... moja rodzina nie miała nic... więc zostałem asystentem trenera. Brzmi ładnie, ale wiesz, co to znaczy?

Pewnie, wiedziałem. Jako Jake Epping nie byłem Człowiekiem od Nieruchomości, tylko Nauczycielem Szkoły Średniej, a pewne rzeczy się nie zmieniają.

- Byłeś chłopcem od noszenia wody.

- Taa, nosiłem za nimi wodę. I trzymałem wiadro, kiedy ktoś rzygał po bieganiu rundek w upale albo uderzeniu kaskiem w jaja. Zostawałem też po treningu, żeby zbierać graty z boiska i obsrane suspensoria z podłogi prysznicza.

Skrzywił się. Wyobrażałem sobie, jak jego żołądek zmienia się w jacht na wzburzonym morzu. Ahoj, kamraci, fala niesie nas w górę... a potem korkociągiem w dół.

- No i pewnego dnia we wrześniu albo październiku trzydziestego czwartego jestem tam po treningu, sam jeden, zbieram z ziemi ochraniacze, bandaże elastyczne i co tam jeszcze po sobie zostawiali, wkładam wszystko do koszyka na kółkach, patrzę i co widzę? Chaz Frati gna jak szalony przez boisko, gubi książki za sobą. Gonila go grupa chłopaków i... Chryste, co to było?

Obejrzał się blady, z wybałuszonymi oczami. Następna chwila, kiedy mogłem pochwycić rewolwer - bagnet na pewno - ale tego nie zrobiłem. Znów pocierał sobie pierś. Nie brzuch, tylko pierś. To powinno mi być coś powiedzieć, ale zbyt wiele rzeczy naraz zaprzętało mi głowę. Jego opowieść przede wszystkim. Tak to jest jak człowiek za dużo czyta. Nawet w najmniej sprzyjających chwilach daje się uwieść dobrej historii.

- Spokojnie, Turcotte. To tylko dzieci odpalają petardy. Halloween, pamiętasz?

- Kiepsko się czuję. Może miałeś rację co do tej grypy.

Gdyby uznał, że jest z nim tak źle, że lada moment może zasłabnąć mógłby zrobić coś nierozważnego.

- Na razie mniejsza z grypą. Opowiedz mi o Fratim.

Uśmiechnął się szeroko, co wyglądało makabrycznie na tej bladej, spoconej, zarośniętej twarzy.

- Stary Chazzy zasuwał jak dobry atakujący z piłką pod koniec remisowego meczu, ale go dopadli. Jakies dwadzieścia metrów za bramką na południowym końcu boiska był wąwóz i zepchnęli go na dół. Zdziwisz się, jeśli powiem, że jednym z nich był Frankie Dunning?

Pokręciłem głową.

- Wrzucili go tam i ściągnęli mu gacie. Potem zaczęli go popychać i bić po twarzy.

Krzyczałem, żeby przestali, i w końcu Frankie podnosi na mnie wzrok i wrzeszczy: „Chodź tu na dół i nas zmuś, kutasie! Dostaniesz dwa razy tyle co on”. Poleciałem więc do szatni i powiedziałem kilku chłopakom z drużyny, że banda oprychów bije dzieciaka i czy nie chcieliby mu pomóc. Cóż, im było wszystko jedno, kto się znęca nad kim, ale zawsze byli skorzy do bitki. Wybiegli, niektórzy w samych majtkach. I powiedziec ci coś zabawnego, Amberson?

- Jasne. - Znowu ukradkiem zerknąłem na zegarek. Prawie za piętnaście siódma. W domu Dunningów Doris zapewne zmywała naczynia i może jednym uchem słuchała „Huntley-Brinkley Report” w telewizji.

- Co, spieszysz ci się? - spytał Turcotte. - Pociąg ci, kurwa, ucieknie?

- Miałeś mi powiedziec coś zabawnego.

- Ano tak. Śpiewali przy tym hymn szkoły! I co ty na to?

Oczami wyobraźni zobaczyłem ośmiu, może dziesięciu napakowanych, półnagich chłopców, którzy pędzą przez boisko, żądni odrobiny potreningowego mordobicia, i śpiewają: „Do boju, Tygrysy Derry, wasz sztandar wznosimy wysoko!”. To rzeczywiście było całkiem zabawne.

- Futboliści spuścili tym paru gnojom niezłe manto - ciągnął Turcotte. - Ale nie Frankiemu Dunningowi; tchórz zorientował się, że tamtych jest więcej, i uciekł do lasu. Chazzy leżał na ziemi, trzymał się za rękę. Była złamana. Mogło jednak być dużo gorzej. Mogli posłać go do szpitala. Jeden z futbolistów spojrział na niego, trącił go nogą... tak jak się trąca krwi placek, w który omal się nie wdepnęło, i mówi: „Lecieliśmy taki kawał, żeby uratować szyneczkę żydka?”. I wszyscy się zaśmiali, bo to był taki żart, rozumiesz. Żydek? Szynka? - Spojrział na mnie przez lśniące od brylantyny strąki.

- Rozumiem - powiedziałem.

- „A chuj z tym”, mówi inny. „Ważne, że była okazja skopać komuś dupę, to mi wystarczy”. Wrócili do szatni, a ja pomogłem Chazowi wdrapać się z powrotem na górę. Odprowadziłem go nawet do domu, bo myślałem, że zemdleje. Bałem się, że Frankie i jego kumple wrócą po niego... on też się bał... ale nie zostawiłem go samego. Cholera wie czemu. Żebyś ty widział jego dom... pałac, kurde. Na lombardach naprawdę musi się tłuc niezłą forszę. Kiedy tam doszliśmy, podziękował mi. I to szczerze. Mało się nie rozbeczał. Ja mu na to: „Nie ma sprawy, po prostu nie podoba mi się, jak sześciu napada jednego”. Co było prawdą. Ale wiesz, co mówią o Żydach: nigdy nie zapominają długu ani przysługi.

- I w ramach spłaty długu wdzięczności poprosiłeś go, żeby wybadał, co tu robię.

- Domyślałem się, co tu robisz, koleżko. Chciałem się tylko upewnić. Chaz mówił,

żebym sobie odpuścił, że miły z ciebie gość... ale kiedy chodzi o Frankiego Dunninga, nie zamierzam sobie odpuścić. Nikt oprócz mnie nie może tknąć Frankiego Dunninga. On jest mój.

Skrzywił się i znów zaczął pocierać pierś. I tym razem przyszło olśnienie.

- Turcotte... boli cię brzuch?

- Nie, pierś. Coś mnie tam uciska.

To nie brzmiało dobrze i przez głowę przebiegła mi myśl: Teraz on też tkwi w nylonowej pończosze.

- Usiądź, zanim fkniesz. - Ruszyłem ku niemu.

Wyciągnął rewolwer. Skóra między moimi sutkami - w miejscu w które trafiłaby kula - zaczęła swędzieć jak szalona. Mogłem go rozbroić, pomyślałem. Naprawdę mogłem. Ale nie, musiałem wysłuchać jego opowieści. Musiałem wiedzieć.

- Sam usiądź, bracie. Zrelaksuj się, jak mówią w komiksach.

- Jeśli masz atak serca...

- Nie mam zasranego ataku serca. Siadaj, mówię.

Usiadłem i spojrzałem na niego. Opierał się o garaż. Jego wargi przybrały siny odcień, który nie wyglądał mi na objaw zdrowia.

- Czego od niego chcesz? - spytał Turcotte. - Muszę to wiedzieć, zanim zdecyduję, co z tobą zrobić.

Myślałem w skupieniu nad odpowiedzią. Jakby zależało od niej moje życie. I może tak było. Nie sądziłem, by Turcotte był zdolny do zwykłego morderstwa, bez względu na to, co sam sądził, w przeciwnym razie Frank Dunning dawno temu spocząłby obok swoich rodziców. Miał jednak moją broń i był chory. Mógł choćby przypadkiem pociągnąć za spust. Owa siła, która chciała, żeby wszystko pozostało bez zmian - czymkolwiek była - mogła mu nawet w tym pomóc.

Gdybym powiedział mu wszystko we właściwy sposób - innymi słowy, pomijając co bardziej zwariowane elementy tej historii - mógłby mi uwierzyć. Z uwagi na to, w co już wierzył. Co wiedział w głębi ducha.

- On zrobi to znowu.

Już miał spytać, co mam na myśli, ale nagle zrozumiał.

- Myślisz, że... ją? - Spojrzał w stronę żywopłotu. Do tej pory nawet nie byłem pewien, czy wie, co za nim jest.

- Nie tylko ją.

- Jedno z dzieci też?

- Nie jedno, wszystkie. W tej chwili poszedł się schlać, Turcotte. Będzie pił, aż znowu wpadnie w ślepą furję. Dobrze wiesz, co się wtedy stanie, prawda? Tylko że tym razem tego nie zatuszuje. Jest mu wszystko jedno. To narastało w nim od czasu, kiedy ostatnio poszedł w tango i Doris wreszcie uznała, że nie chce dłużej być bita. Pokazała mu drzwi, wiedziałeś o tym?

- Wszyscy wiedzą. Zamieszkał w pensjonacie na Chanty.

- Próbował na nowo wkupić się w jej łaski, ale jego urok już na nią nie działa. Doris chce rozwodu, a ponieważ on w końcu zrozumiał, że jej tego nie wyperswaduje, zamierza udzielić jej go młotkiem, potem w ten sam sposób rozwiedzie się z dziećmi.

Spojrzał na mnie ze zmarszczonymi brwiami. Bagnet w jednej ręce, rewolwer w drugiej. „Wichura by cię porwała”, powiedziała mu siostra przed laty, a dzisiaj wystarczyłby leciutki wiaterek.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Nie mam czasu wyjaśniać wszystkiego, ale wiem to, możesz mi wierzyć. Jestem tu, żeby temu zapobiec. Dlatego oddaj mi broń i pozwól, żebym to zrobił. Dla twojej siostry. Dla twojego siostrzeńca. I dlatego, że w gruncie rzeczy porządny z ciebie gość. - To była bujda zupełna, ale mój ojciec mawiał: „Jak kitować, to dużą szpachlą”. - Nie da się inaczej wytłumaczyć tego, że nie pozwoliłeś, by Dunning i jego kumple sprali Chaza Fratiego do nieprzytomności.

Myślał. Wręcz słyszałem zgrzyt obracających się i zaskakujących trybików. Wreszcie w jego oczach zabłysło światło. Może było to tylko odbicie ostatnich promieni zachodzącego słońca, mnie jednak przypominało blask świeczek, które teraz pełgały wewnątrz wydrążonych dyń w całym Derry. Rozciągnął wargi w uśmiechu. To, co powiedział potem, mogło paść tylko z ust człowieka, który był psychicznie chory lub za długo mieszkał w Derry... albo jedno i drugie.

- Chce ich wykończyć, co? No dobra, niech to zrobi.

- Co takiego?!

Wymierzył do mnie z trzydziestkiósemki.

- Siadaj, Amberson. Daj odpocząć nogom.

Z ociąganiem spełniłem polecenie. Było już po siódmej i Turcotte zmieniał się w cień człowieka.

- Panie Turcotte... Bill... wiem, że nie czujesz się najlepiej, więc może nie w pełni rozumiesz sytuację. W tym domu jest kobieta z czwórka małych dzieci. Jej córeczka ma dopiero siedem lat, na litość boską!

- Mój siostrzeniec był dużo młodszy. - Turcotte mówił z mocą, jakby przedstawiał prawdę przez duże P, taką, która wszystko tłumaczy. I usprawiedliwia. - Ja jestem zbyt chory, żeby dać mu radę, ty nie masz dość jaj. Widzę to po tobie.

Co do tego się mylił. Może gdyby chodziło o Jake'a Eppinga z Lisbon Falls, miałby rację, ale tamten człowiek się zmienił.

- Dlaczego nie dasz mi spróbować? Co ci szkodzi?

- Nawet gdybyś skurwiela zabił, to by nie wystarczyło. Właśnie to do mnie dotarło. Jak... - Pstryknął palcami. - Jak grom z jasnego nieba.

- Gadasz bez sensu.

- Tak myślisz, bo nie patrzyłeś przez dwadzieścia lat, jak Tony i Phil Tracker i inni traktowali go jak zasrane bożyszcze. Jak kobiety wdzięczyły się do niego, jakby był Frankiem Sinatra, nie jebanym Frankiem Dunningiem. Jeździł pontikiem, kiedy ja harowałem jak wół w sześciu różnych fabrykach za minimalną stawkę. Tak się nawdychałem tych włókien, że rano ledwo mogę się zwlec z łóżka. - Znów miał dłoń przy piersi. Pocierał i pocierał. Jego twarz była bladą plamą w półmroku podwórka przy Wyemore 202. - Śmierć to za lekka kara dla tego piździelca. Jemu potrzeba ze czterdziestu lat w Shank, gdzie jeśli upuści mydło pod prysznicem, nie ośmieli się skurwysyn po nie schylić. Gdzie jedyną gorzałą, jaką dostanie, będzie denaturat. - Zniżył głos. - I wiesz, co jeszcze?

- Co? - Przeszył mnie chłód.

- Kiedy przetrzeźwieje, będzie mu ich brakowało. Będzie żałował, że to zrobił. Będzie marzył o tym, żeby to cofnąć. - Teraz już prawie szeptał, chrapliwym, zaflegmionym głosem. Tak nieodwracalnie szaleni muszą mówić do siebie późną nocą, kiedy leki przestają działać. - Może nie będzie bardzo płakał za żoną, ale za dziećmi na pewno. - Parsknął śmiechem, po czym skrzywił się, jakby to go zabolalo. - Pewnie chrzaniasz głupoty, ale wiesz co? Mam nadzieję, że nie. Poczekamy, zobaczymy.

- Turcotte, te dzieci są niewinne.

- Tak samo jak Clara. Jak mały Mikey. - Cienie jego ramion poszły w górę i w dół. - Pieprzyć je.

- Nie mówisz serio...

- Zamknij się. Poczekamy.

przeżeniem i rezygnacją, jak ta dłuższa przesuwa się w dół tarczy, a następnie rusza z powrotem do góry. Dwadzieścia pięć minut do „Nowych przygód Ellery'ego Queena”. Dwadzieścia. Piętnaście. Próbowałem nawiązać rozmowę z Turcotte'em, ale kazał mi się zamknąć. Ciągłe pocierał się po piersi, z krótką przerwą na wyjęcie papierosów z kieszeni.

- Och, świetny pomysł - powiedziałem. - To ci dobrze zrobi na serce.

- Siedź cicho.

Wbił bagnet w żwir za garażem i zapalił papierosa sfatygowaną zapalniczką Zippo. W chwilowym rozbłysku płomienia zobaczyłem, że pot spływa po jego policzkach, choć noc była chłodna. Oczy zapadły mu się w głąb oczodołów, upodabniając jego twarz do trupiej czaszki. Wciągnął dym, wypuścił go kasznięciem. Jego chude ciało zadrżało, ale kolt tkwił w całkowitym bezruchu. Wymierzony w moją pierś. Zaświeciły gwiazdy. Była za dziesięć ósma. Jak długo trwał „Ellery Queen”, zanim przyszedł Dunning? Harry nie wspominał o tym w wypracowaniu, ale domyślałem się, że niedługo. Jutro wprawdzie nie będzie szkoły, lecz Doris Dunning na pewno nie chciała, by siedmioletnia Ellen wróciła dużo później niż o dziesiątej, nawet jeśli byli z nią Tugga i Harry.

Ósma za pięć.

I nagle wpadłem na pomysł. Miał klarowność niepodważalnej prawdy i odezwałem się, zanim mógł przygasnąć.

- Ty zasrany tchórze.

- Co takiego? - Wyprężył się, jakby ktoś go uszczypnął w tyłek.

- Słyszałeś mnie. - Zacząłem go przedrzeźniać. - „Nikt oprócz mnie nie może tknąć Frankiego Dunninga. On jest mój”. Tak sobie mówiłeś przez bite dwadzieścia dwa lata, nie? I do tej pory palcem go nie tknąłeś.

- Kazałem ci się zamknąć.

- Co tam dwadzieścia dwa lata! Kiedy dopadł Chaza Fratiego, też nic mu nie zrobiłeś, zgadza się? Uciekłeś jak mała dziewczynka i poleciałeś po futbolistów.

- Ich było sześciu!

- Jasne, ale od tamtego czasu Dunning nieraz był sam, a ty nawet nie podrzuciłeś mu skórki od banana, żeby się pośliznął. Tchórz jesteś zasrany i tyle, Turcotte. Ukrywasz się tu jak królik w norze.

- Zamknij się!

- Wmawiasz sobie niewydarzone bzdury o tym, jak to najlepszą zemstą będzie posłać go do pierdła, i dzięki temu nie musisz stawić czoła prawdzie...

- Zamknij się!

- ...że jesteś pozbawionym jaj błaznem, który pozwolił mordercy własnej siostry chodzić na wolności przez ponad dwadzieścia lat...

- Ostrzegam cię! - Odbezpieczył rewolwer.

Uderzyłem się w pierś.

- Śmiało. Zrób to. Wszyscy usłyszą wystrzał, przyjedzie policja, Dunning zobaczy, że coś się dzieje, zrobi w tył zwrot i to ty wylądujesz w Shawshank. Założę się, że tam też mają zakład pracy. Będiesz mógł w nim tyrać za pięć centów od godziny zamiast dolara dwadzieścia. Ale tobie w to graj, bo dzięki temu nie będziesz musiał wytłumaczyć samemu sobie, dlaczego przez te wszystkie lata siedziałeś z założonymi rękami. Gdyby twoja siostra żyła, plunęłaby ci w...

Gwałtownie wysunął rewolwer do przodu, chcąc przycisnąć lufę do mojej piersi, i potknął się o swój własny cholerny bagnet. Odtrąciłem kolta grzbietem dłoni i wtedy wypalił. Kula musiała wbić się w ziemię tuż obok mojej nogi, bo grad kamyków sypnął mi się na spodnie. Schwyciłem rewolwer i wymierzyłem w Turcotte'a, gotów strzelić, jak tylko spróbuje sięgnąć po przewrócony bagnet.

On jednak osunął się na ścianę garażu. Przyciskał obie ręce do piersi i cicho rzeźił.

Gdzieś niezbyt daleko - na Kossuth, nie Wyemore - jakiś facet ryknął:

- Zabawa zabawą, dzieci, ale jeszcze jedna petarda i dzwonię po gliny! Żeby nie było, że nie ostrzegałem!

Odetchnąłem. Turcotte też, ale jego wydech był ciężki, urywany. Wciąż rzeźąc, osunął się po ścianie garażu na żwir. Wziąłem bagnet, pomyślałem, czy nie wsadzić go sobie za pas, i stwierdziłem, że tylko rozciąłbym sobie nim nogę, przeciskając się przez żywopłot; usiłująca mnie powstrzymać przeszłość już by się o to postarała. No więc wyrzuciłem go na ciemne podwórze i usłyszałem, że uderzył w coś z cichym brzękiem. Może w ścianę DOMKU TWOJEGO PIESKA.

- Pogotowie - wycharczał Turcotte. Jego oczy błyszczały, być może od łez. - Proszę, Amberson. Strasznie boli.

Pogotowie. Dobra myśl. A teraz coś komicznego. Byłem w Derry - w 1958 roku - prawie dwa miesiące, a i tak odruchowo sięgnąłem do prawej kieszeni spodni, w której zawsze nosiłem telefon komórkowy, kiedy nie miałem na sobie marynarki sportowej. Moje palce nie wymacały niczego oprócz paru drobniaków i kluczyków do sunlinera.

- Przykro mi, Turcotte. Urodziłeś się w złej epoce, żeby liczyć na szybką pomoc.

- Co?

Według zegarka Bulova „Nowe przygody Ellery'ego Queena” były już na ekranach

oczekującej Ameryki.

- Wytrzymaj - powiedziałem i precyzyjnie się przez żywopłot, z ręką uniesioną, by osłaniać oczy od sztywnych, drapiących gałęzi.

11

Potknąłem się o piaskownicę na środku podwórka Dunningów, wyłożyłem się jak długi i znalazłem się twarzą w twarz z lalką o pustych oczach, która miała na sobie diadem i nic ponadto. Rewolwer wyleciał mi z ręki. Zacząłem go szukać na czworakach, przekonany, że nigdy nie znaję; to była ostatnia sztuczka nieustępliwej przeszłości. Mała w porównaniu z ostrą grypą żołądkową i Billem Turcotte'em, ale dobra. I kiedy już dostrzegłem kolta na skraju trapezoidalnej smugi światła padającego z okna kuchni, usłyszałem samochód nadjeżdżający Kossuth Street. Pędził z prędkością, jakiej żaden rozsądny kierowca nie ośmieliłby się rozwinąć na ulicy, która bez wątplenia była pełna dzieci w maskach i z torebkami na słodycze w rękach. Wiedziałem, kto jedzie, jeszcze zanim wóz zahamował z piskiem opon.

Show czas zacząć. W domu pod numerem 379 Doris Dunning siedziała na kanapie z Troyem, a Ellen hasała po pokoju w przebraniu indiańskiej księżniczki, rwąc się do wyjścia. Troy właśnie zapowiedział, że pomoże zjeść cukierki, kiedy ona, Tugga i Harry wrócą Ellen odpowiadała: „Nie, przebierz się i sam zbieraj”. Na to wszyscy się zaśmieją, nawet Harry, który pobiegł do łazienki odlać się przed wyjściem. Ellen była prawdziwą małą Lucille Ball, która każdego potrafiła rozbawić.

Chwyciłem rewolwer. Wyśliznął się z moich spoconych palców i znów wylądował w trawie. Moja goleń wyła z bólu w miejscu, w którym walnąłem nią o ściankę piaskownicy. Po drugiej stronie domu trzasnęły drzwi samochodu i zaraz usłyszałem szybkie kroki na chodniku. Pamiętam, że pomyślałem: Zarygluj drzwi, matko, to nie tylko twój porywczy mąż; to nadchodzi samo Derry.

Złapałem kolta, chwiejnie dźwignąłem się z ziemi, zaplątałem się we własne durne nogi, omal znowu się nie przewróciłem, złapałem równowagę i pobiegłem do tylnych drzwi. Po drodze była kłapa prowadząca do piwnicy. Ominąłem ją, przekonany, że gdybym na niej stanął, zawałiłaby się pod moim ciężarem. Powietrze wydawało się gęste i lepkie, jakby i ono próbowało mnie hamować.

Choćbym miał to przypłacić życiem, pomyślałem. Nawet jeśli ja zginę, a Oswald zrobi swoje i umrą miliony. Nawet wtedy. Bo to dzieje się teraz. To są oni.

Tylne drzwi musiały być zaryglowane. Byłem tego tak pewien, że prawie upadłem, kiedy ustąpiły za przekręceniem gałki. Wszedłem do kuchni - wciąż pachniało tu duszonym mięsem, które przyrządziła pani Dunning. W zlewie piętrzył się stos naczyń. Na blacie stała sosjerka; obok niej talerz zimnych klusek. W telewizorze rozległy się jękliwe dźwięki skrzypiec - coś, co Christy nazywała „muzyką morderstwa”. Bardzo w porę. Na blacie leżała gumowa maska Frankensteina, w której Tugga zamierzał zbierać cukierki. Obok stała papierowa torba na łupy z wypisanym czarną kredką ostrzeżeniem NIE RUSZAĆ! CUKIERKI TUGGI.

W swoim wypracowaniu Harry napisał, że jego matka powiedziała: „Zabieraj to stąd, nie wolno ci tu być”. Był blisko. Jej słowa, które usłyszałem, biegnąc po linoleum w stronę łuku między kuchnią a salonem, w rzeczywistości brzmiały:

- Frank? Co tu robisz? - Coraz bardziej podnosiła głos. - Co to? poco ci... wynoś się!
I wtedy wrzasnęła.

12

Kiedy wbiegłem w łuk, usłyszałem głos dziecka:

- Kto ty jesteś? Dlaczego mama krzyczy? Przyszedł tata?

Odwrociłem głowę i zobaczyłem dziesięcioletniego Harry'ego Dunninga. Stał w drzwiach małej ubikacji w przeciwległym kącie kuchni. Był w stroju trapera, w jednej ręce trzymał wiatrówkę. Drugą zasuwiał rozporek. I wtedy Doris Dunning wrzasnęła znowu. Pozostali dwaj chłopcy coś krzyczeli. Głuchy łomot - ciężki, obrzydliwy dźwięk - i wrzask się urwał.

- Nie, tato, nie, nie, robisz jej krzyyywdę! - piszczała Ellen.

Przebiegłem przez łuk i zamarłem z rozdziawionymi ustami. Na podstawie wypracowania Harry'ego sądziłem, że będę musiał powstrzymać człowieka wymachującego takim młotkiem, jakie majsterkowicze trzymają w skrzynkach z narzędziami. Nic bardziej mylnego. Dunning dzierżył wielki dwuręczny młot i wywijał nim jak zabawką. Miał zakasane rękawy i widziałem naprężone mięśnie wyrzeźbione przez dwadzieścia lat krojenia mięsa i dźwigania tusz zwierzęcych. Doris leżała na dywanie. Złamał jej już rękę - kość sterczała z rozdartego rękawa sukienki - i chyba zmiażdżył bark. Błada, oszołomiona, czołgała się przed telewizorem, włosy opadały jej na twarz. Dunning zamachnął się młotem. Tym razem miał trafić ją w głowę, zachłapać poduszki kanapy jej mózgiem.

Ellen, w swym kostiumie jak mały derwisz, usiłowała wypchnąć ojca za drzwi.

- Przestań, tato, przestań!

Złapał ją za włosy i odrzucił w bok. Zatoczyła się, pióra wyleciały z jej pióropusza. Wpadła na fotel bujany i przewróciła go.

- Dunning! - krzyknąłem. - Przestań!

Spojrzał na mnie czerwonymi, mokrymi od łez oczami. Był pijany Płakał. Gluty zwisały z jego nozdry, ślina błyszczała na podbródku Jego twarz była skurczona wściekłością, rozpaczą i zdumieniem.

- Ty, kurwa, kto? - spytał i rzucił się na mnie, nie czekając na odpowiedź.

Pociągnąłem za spust kolta, myśląc: Tym razem nie zadziała to broń z Derry i nie zadziała.

Ale wystrzeliła. Kula trafiła go w bark. Czerwona róża rozkwitła na białej koszuli. Siła uderzenia obróciła go w bok, lecz się wyprostował i znów ruszył ku mnie. Wzniósł młot. Kwiat na jego koszuli się powiększał, on jednak zdawał się tego nie czuć.

Ponownie nacisnąłem cyngiel, ale w tej samej chwili ktoś mnie potracił i kula przeszła górą. To był Harry.

- Przestań, tato! - wrzasnął przenikliwie. - Przestań, bo cię zastrzelę!

Arthur Tugga Dunning czołgał się ku mnie, w kierunku kuchni. W chwili kiedy Harry wypalił z wiatrówki - pa-paff! - Dunning uderzył młotem. Twarz Tuggi zmieniła się w krwawą miazgę. Kawałki kości i pęki włosów wleciały wysoko w powietrze; kropelki krwi bryznęły na sufit. Ellen i pani Dunning wrzeszczały i wrzeszczały.

Złapałem równowagę i strzeliłem trzeci raz. Ta kula oderwała Dunningowi policzek aż do ucha, ale go nie powstrzymała. To nie człowiek, pomyślałem wtedy i to samo myślę teraz. W jego ociekających oczach i zgrzytających zębami ustach - zdawał się przeżuwać powietrze, zamiast nim oddychać - widziałem tylko coś w rodzaju bełkotliwej pustki.

- Ty, kurwa, kto? - powtórzył, po czym: - To jest najście.

Zamachnął się i młot ze świstem zatoczył poziomy łuk. Ugiąłem kolana i schyliłem się, i choć miałem wrażenie, że dziesięciokilogramowy obuch chybił - nie poczułem bólu, nie wtedy - fala gorąca przeszła czubek mojej głowy. Kolt wyleciał mi z ręki, uderzył w ścianę i wylądował w kącie. Coś ciepłego ściekało po moim policzku. Czy zdawałem sobie sprawę, że drasnął mnie na tyle, by rozciąć skórę głowy na długości piętnastu centymetrów? Że naprawdę niewiele brakowało, by mnie znokautował, a może od razu zabił? Nie potrafię tego powiedzieć. Wszystko trwało niecałą minutę; może nawet pół. Życie zmienia się w mgnieniu oka.

- Uciekaj! - krzyknąłem na Troya. - Bierz siostrę i uciekajcie! Wezwij pomoc!

Krzycz...

Dunning wziął zamach. Odskoczyłem do tyłu i obuch zagłębił się w ścianę, roztrzaskując listwy i wzbijając kłęb tynku, który zlał się w jedno z dymem wystrzałów. Telewizor wciąż grał. Wciąż skrzypce, wciąż muzyka morderstwa.

Kiedy Dunning usiłował wyrwać młot ze ściany, coś przeleciało obok mnie. To była wiatrówka - Harry nią rzucił i lufą trafił ojca w rozharatany policzek. Frank Dunning wrzasnął z bólu.

- Ty gnojku! Zabiję cię za to!

Troy niósł Ellen w stronę drzwi. Czyli nie jest najgorzej, pomyślałem. Przynajmniej to udało mi się zmienić...

Zanim jednak zdołali się wydostać na zewnątrz, ktoś stanął w drzwiach i zataczając się, wpadł do środka, przewracając oboje na podłogę. Ledwo zdążyłem to zauważyć, bo w tym samym momencie Frank wyswobodził młot i ruszył w moją stronę. Zacząłem się cofać, jedną ręką wpychając Harry'ego do kuchni.

- Wyjdź tylnymi drzwiami, synu. Szybko. Zatrzymam go, dopóki nie...

Frank Dunning wrzasnął i zeszytniał. Coś wysunęło się z jego piersi. To było jak sztuczka magiczna. To coś było tak uwalane krwią, że minęła sekunda, zanim poznałem - ostrze bagnetu.

- To za moją siostrę, skurwysynu - wycharczał Bill Turcotte. - Za Clare.

13

Dunning upadł, z nogami w salonie i głową w łukowatym przejściu między salonem a kuchnią. Nie leżał jednak całym ciałem na ziemi. Zawisł tuż nad nią na wbitym w podłogę ostrzu bagnetu. Wierzgnął nogą i znieruchomiał. Wyglądał, jakby umarł, próbując zrobić pompkę.

Wszyscy krzyczeli. W powietrzu wisiał smród prochu, tynku i krwi. Doris, z włosami opadającymi na twarz, szła chwiejnym krokiem do martwego syna. Nie chciałem, żeby to widziała - głowa Tuggi była rozplątana aż po szczękę - ale nie miałem jak jej powstrzymać.

- Następnym razem spiszę się lepiej, pani Dunning - wychrypiałem. - Obiecuję.

Twą miałem całą we krwi; musiałem wytrzeć lewe oko, żeby cokolwiek widzieć z tej strony. Jako że wciąż byłem przytomny, uznałem, że nic strasznego mi się nie stało, poza tym wiedziałem że rany głowy krwawią jak cholera. Wyglądałem jednak fatalnie i żeby w ogóle był następny raz, musiałem tym razem się stąd wydostać niepostrzeżenie i szybko.

Jednak przed wyjazdem musiałem pogadać z Turcotte'em. A przynajmniej spróbować. Siedział oparty o ścianę przy rozstawionych nogach Dunninga. Trzymał się za pierś i ciężko dyszał. Jego twarz była trupio blada, wargi miał fioletowe jak dziecko, które objadło się jagód. Wyciągnąłem do niego rękę. Ścisnął ją kurczowo, lekliwie, ale w jego oczach tliły się wesołe iskry.

- I kto tu jest zasrany tchórz, Amberson?

- Nie ty. Jesteś bohaterem.

- Taa - wyrzęził. - Wrzuć mi order do trumny.

Doris tuliła zabitego syna. Za nią Troy chodził w kółko, mocno przyciskając głowę siostry do swojej piersi. Nie patrzył na nas, zdawał się nie wiedzieć, że tu jesteśmy. Ellen płakała.

- Wylizesz się - powiedziałem. Jakbym to wiedział. - A teraz słuchaj, bo to ważne: zapomnij moje nazwisko.

- Jakie nazwisko? Przecież się nie przedstawiłeś.

- Otóż to. I... wiesz, jaki mam samochód?

- Ford. - Tracił głos, ale jego oczy wciąż utkwione były w moich. - Ładny. Kabriolet. Czerwony. Rocznik pięćdziesiąt cztery albo pięć.

- Nigdy go nie widziałeś. To najważniejsze ze wszystkiego, Turcotte. Jeszcze dziś wyjadę nim i będę musiał trzymać się autostrady, bo innych dróg nie znam. Jeśli dam radę dotrzeć do centralnego Maine, będę bezpieczny. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Nigdy nie widziałem twojego wozu - powiedział i skrzywił się. - Ożeż kurwa, ale boli.

Przyłożyłem palce do jego szorstkiego od zarostu gardła i sprawdziłem puls. Był przyspieszony i szalenie nieregularny. W oddali słyszałem wycie syren.

- Zrobiłeś, co należało zrobić.

Przewrócił oczami.

- Prawie nie dałem rady. Nie wiem, co mnie opętało. To był jakiś atak szaleństwa. Słuchaj, kolego. Gdyby cię mimo wszystko dorwali, nie mów, co ja... no wiesz, nie powtarzaj tego, co...

- Nigdy w życiu. Załatwiłeś go, Turcotte. Był wściekłym psem, a ty go uśpiłeś. Twoja siostra byłaby dumna.

Uśmiechnął się i zamknął oczy.

14

Poszedłem do łazienki, namoczyłem ręcznik w umywalce i wytarłem zakrwawioną twarz. Wrzuciłem ręcznik do wanny, chwyciłem dwa inne i wyszedłem do kuchni.

Chłopiec, który mnie tu sprowadził, stał na wyblakłym linoleum i patrzył na mnie. Choć pewnie ze sześć lat temu oduczył się ssać kciuk, teraz go ssał. Oczy miał szeroko otwarte i poważne, nabiegłe łzami. Krwawe piegi znaczyły policzki i czoło. To był chłopiec, który właśnie doświadczył czegoś, co bez wątpienia pozostawi uraz w jego psychice, ale był to też chłopiec, który nie wyrośnie na Harry'ego Kic-Żabkę. Ani nie napisze wypracowania, które wzruszy mnie tak, że zapłaczę.

- Kim pan jest? - spytał.

- Nikim. - Przeszedłem obok niego do drzwi. Zasługiwał jednak na coś więcej. Syreny były coraz bliżej, ale odwróciłem się do niego. - Twoim dobrym aniołem - powiedziałem. Wymknąłem się tylnymi drzwiami w ciemność wieczoru Halloween 1958 roku.

15

Widziałem błyskające niebieskie światła kierujące się na Kossuth Street. Na drugim skrzyżowaniu w głębi osiedla skręciłem w prawo na Gerard Avenue. Ludzie stali na chodnikach, zwróceni w stronę wycia syren.

- Nie wie pan, co się stało? - spytał mnie jakiś mężczyzna. Trzymał za rękę Królową Śnieżkę w tenisówkach.

- Słyszałem, jak dzieciaki odpalały petardy. Może coś się zapaliło. - Poszedłem dalej, z lewą stroną twarzy odwróconą od niego, bo nieopodal świeciła latarnia, a z mojej głowy wciąż ciekła krew.

Cztery przecznice dalej skręciłem w Witcham Street. Była ciemna i cicha. Wszystkie radiowozy zapewne już dotarły na miejsce zbrodni. Dobrze. Byłem już prawie na rogu Grove i Witcham, kiedy nagle poczułem, że nogi mam jak z waty. Rozejrzałem się, nie zauważyłem żadnych łowców słodczy i usiadłem na krawężniku. Nie mogłem sobie pozwolić na postój, ale nie miałem wyjścia. Rano wymiotowałem i mnie oczyściło, przez cały dzień nie jadłem nic oprócz jednego nędznego batona (i nie pamiętałem, czy w ogóle zdążyłem go skosztować w całości, zanim zaatakował mnie Turcotte) i dopiero co uczestniczyłem w krwawej zbrodni, zostałem ranny - jak ciężko, tego jeszcze nie wiedziałem. Miałem wybór - albo chwilę odpocznę i pozwolę, żeby organizm przegrupował siły, albo padnę zemdlony na chodnik.

Włożyłem głowę między kolana i wziąłem serię głębokich, powolnych oddechów, tak jak się nauczyłem na kursie Czerwonego Krzyża, na który chodziłem na studiach, żeby dostać kartę ratownika. Z początku miałem przed oczami głowę Tuggi Dunninga roztrzaskującą się pod uderzeniem młota, i to mnie jeszcze bardziej osłabiło. Potem pomyślałem o Harrym, ochlapanym krwią brata, ale poza tym całym i zdrowym. I o Ellen - nie była w głębokiej śpiączce, z której się nigdy nie obudzi. I o Troyu. I o Doris. Ta paskudnie złamana ręka i zmiądzony bark może będą ją boleć do końca życia, lecz przynajmniej będzie to życie miała.

- Udało się, Al - szepnąłem.

Ale co przez to zrobiłem w roku 2011? Co zrobiłem rokowi 2011? To były pytania, na które dopiero miałem poznać odpowiedź. Gdyby wskutek efektu motyla stało się coś strasznego, zawsze mogłem wrócić i to wykasować... chyba że zmieniając losy rodziny Dunningów, w jakiś sposób zmieniłem też losy Ala Templetona. A jeśli baru nie będzie tam, gdzie go zostawiłem? A jeśli się okaże, że nie przeniósł go z Auburn do Lisbon Falls? Albo że w ogóle nie otworzył baru? Wydawało się to mało prawdopodobne... ale proszę bardzo, oto siedziałem na krawężniku z roku 1958 z krwią wyciekającą z włosów przystrzyżonych w roku 1958, a na ile coś takiego było prawdopodobne?

Wstałem, zachwiałem się i ruszyłem naprzód. Po mojej prawej stronie, w głębi Witcham Street, widziałem migające i pulsujące niebieskie światła. Na rogu Kossuth zgromadził się tłum, ale ludzie stali odwrócenii do mnie plecami. Kościół, przy którym zostawiłem samochód, był naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy. Teraz sunliner stał sam na parkingu, ale wyglądało na to, że wszystko z nim w porządku; żaden dowcipniś nie spuścił powietrza z opon. Pod wycieraczką zobaczyłem żółty kwadrat. W głowie błysnął mi obraz Człowieka z Żółtą Kartką i ścisnęło mnie w dołku. Wyszarpnąłem kartkę i odetchnąłem z ulgą, kiedy przeczytałem: **POMÓDL SIĘ Z PRZYJACIÓŁMI I SĄSIADAMI NA MSZY W NIEDZIELĘ O 9.00. KAŻDY NOWY GOŚĆ JEST MILE WIDZIANY! PAMIĘTAJ, ŻYCIE JEST PYTANIEM, JEZUS ODPOWIEDZIĄ.**

- Myślałem, że odpowiedzią są twarde narkotyki, i teraz bardzo by mi się przydały - mruknąłem i otworzyłem drzwi od strony kierowcy. Pomyślałem o papierowej torbie, którą zostawiłem za garażem domu na Wyemore Lane. Gliny przeczesujące okolice na pewno ją znajdą. W środku zobaczą kilka batonów, prawie Pustą butelkę kaopectate... i stos, co tu dużo mówić, pieluch dla dorosłych.

Ciekaw byłem, co z tego wywnioskują.

Ale nie za bardzo.

Kiedy wjechałem na autostradę, głowa bolała mnie jak diabli ale nawet gdybym nie przebywał w czasach, w których jeszcze nie znano całodobowych sklepów spożywczych, nie jestem pewien, czy odważyłbym się zatrzymać; lewa strona mojej koszuli była sztywna od krzepnącej krwi. Dobrze chociaż, że wcześniej pamiętałem by zatankować do pełna.

Raz spróbowałem pomacać ranę na głowie czubkami palców. Eksplozja bólu skutecznie zniechęciła mnie do dalszych prób.

Ostatecznie zatrzymałem się na parkingu pod Augustą. Wtedy było już po dziesiątej i wokół ani żywej duszy. Zapaliłem lampkę sufitową i obejrzałem moje źrenice w lusterku wstecznym. Na oko były tej samej wielkości, chwała Bogu. Przed męską ubikacją stał automat z przekąskami i dziesięć centów wystarczyło na nadziewane kremem ciastko czekoladowe. Spalaszowałem je w trakcie jazdy. Ból głowy trochę zelżał.

Po północy dotarłem do Lisbon Falls. Main Street tonęła w ciemności, ale Worumbo i zakłady U.S. Gypsum pracowały pełną parą, sapały i dyszały, wyrzucały w powietrze smród i wylewały kwaśne odpady do rzeki. Skupiska zapalonych świateł upodabniały budynki przemysłowe do statków kosmicznych. Zaparkowałem sunlinera przed Kennebec Fruit, gdzie miał stać dotąd, aż ktoś do niego zajrzy i zobaczy plamy krwi na siedzeniu, drzwiach i kierownicy. Wtedy wezwana zostanie policja. Zapewne zbiorą odciski palców z forda. Możliwe, że ustalą ich zgodność z odciskami na pewnym rewolwerze. 38 Police Special znalezionym na miejscu zbrodni w Derry. Nazwisko George Amberson może padnie w Derry, a potem tu, w Falls. Jednak jeśli królicza nora będzie tam, gdzie ją zostawiłem, George zniknie bez śladu. Odciski palców należą do człowieka, który urodzi się dopiero za osiemnaście lat.

Otworzyłem bagażnik, wyjąłem aktówkę i postanowiłem zostawić całą resztę. Kto wie, może pewnego dnia to wszystko będzie do kupienia w Jolly White Elephant, sklepie z rzeczami używanymi niedaleko Titus Chevron. Przeszedłem przez ulicę w stronę smoczego oddechu zakładów, owego „sza-SZUUU, sza-SZUUU”, które miało rozbrzmiewać dzień w dzień, dwadzieścia cztery godziny na dobę, dopóki wolny rynek ery Reagana nie wyeliminuje popytu na drogie amerykańskie tekstylia.

Biały fluorescencyjny blask z brudnych okien farbiarni padał na suszarnię. Wypatrzyłem łańcuch oddzielający ją od reszty dziedzińca. Było za ciemno, żeby przeczytać wiszącą na nim tabliczkę, i nie widziałem jej prawie dwa miesiące, ale pamiętałem, co jest na niej napisane: ZAKAZ WSTĘPU RURA KANALIZACYJNA W NAPRAWIE. Nigdzie nie

było Człowieka z Żółtą Kartką - albo Człowieka z Pomarańczową Kartką, jeśli w takiej roli teraz występował.

Światła samochodu załały dziedziniec, oświetlając mnie jak mrówkę na talerzu. Przede mną wyskoczył mój cień, długi i chudy. Zamarłem, gdy wielka ciężarówka potoczyła się ku mnie. Spodziewałem się, że kierowca stanie, wychyli się i spyta, co tu, u licha, robię. Zwolnił, ale się nie zatrzymał. Podniósł rękę w geście pozdrowienia. Podniosłem dłoń w odpowiedzi i kierowca ruszył dalej, w stronę ramp załadowniczych, pobrzękując dziesiątkami wiezionych pustych beczek. Ruszyłem do łańcucha, rozejrzałem się pospiesznie i przegramoliłem się pod nim.

Poszedłem wzdłuż bocznej ściany suszarni. Serce waliło mi w piersi, rana głowy pulsowała do wtóru. Tym razem nie było kawałka betonu oznaczającego właściwe miejsce. Pomału, powiedziałem sobie. Pomału. Stopień jest... tutaj.

Ale go tam nie było. Był tylko cement pod moim badającym, ostukującym nawierzchnię butem.

Poszedłem kawałek dalej. Nadal nic. Było tak zimno, że przy każdym wydechu widziałem obłoki rzadkiej pary, ale moje ramiona i szyję zrosił lepki, tłusty pot. Poszedłem jeszcze trochę dalej, choć byłem prawie pewien, że to już za daleko. Albo królicza nora zniknęła, albo w ogóle jej nigdy nie było, co znaczyło, że całe moje życie jako Jake Epping - wszystko od nagrodzonego w konkursie w podstawówce ogródka przez niedokończoną powieść z lat studenckich po małżeństwo z miłą w gruncie rzeczy kobietą, która prawie utopiła moją miłość do niej w alkoholu - było zwariowaną halucynacją. Że zawsze byłem George'em Ambersonem.

Poszedłem jeszcze kawałek dalej i zatrzymałem się, ciężko dysząc. Gdzieś - może w farbiarni, może w jednej z tkalni - ktoś krzyknął. „No żeż ja cię pierdolę!”. Podskoczyłem raz, potem drugi, kiedy przekleństwo powitał bydłęcy ryk śmiechu.

Nie tutaj.

Zniknęła.

Albo nigdy jej nie było.

Czy byłem rozczarowany? Przerażony? Spanikowany? Szczerze mówiąc, wcale. Tak naprawdę czułem coś w rodzaju ulgi. Myślałem: Mógłbym tu żyć. I to swobodnie. A nawet szczęśliwie.

Na pewno? Tak. Tak!

W pobliżu fabryk i w publicznych środkach transportu, gdzie wszyscy kurzyli na potęgę, był smród, ale poza tym powietrze prawie wszędzie pachniało niewiarygodnie słodko.

Niewiarygodnie świeżo. Jedzenie było smaczne; mleko dostarczano pod drzwi. Po paru dniach bez komputera nabrałem wystarczającego dystansu, by się zorientować, jak bardzo się od tego kurestwa uzależniłem; siedziałem przy nim całymi godzinami, czytając kretyńskie załączniki do e-maili i odwiedzając strony internetowe z tego samego powodu, z którego himalaiści pchają się na Everest: bo były. W tym świecie moja komórka nigdy nie dzwoniła, bo nie miałem komórki, i jakaż to była ulga. Poza wielkimi miastami ludzie przeważnie wciąż korzystali z telefonów towarzyskich, i czy większość zamykała drzwi na noc? Takiego wała. Bali się wojny nuklearnej, ale ja mogłem czuć się bezpiecznie, bo wiedziałem, że ludzie z 1958 roku zestarzeją się i umrą, i jedyne wybuchy bomb atomowych, o jakich do tego czasu usłyszą, będą wybuchami próbnymi. Nikt nie bał się globalnego ocieplenia ani zamachowców samobójców wlatujących porwanymi samolotami w drapacze chmur.

A jeśli moje życie w roku 2011 nie było złudzeniem (w głębi ducha byłem tego pewien), nadal mogłem powstrzymać Oswalda. Tyle że się nie dowiem, jaki będzie tego ostateczny skutek. Wydawało mi się, że mógłbym bez tej wiedzy żyć.

No dobra. Pierwsza rzecz to wrócić po sunlinera i opuścić Lisbon Falls. Mógłbym pojechać do Lewiston, znaleźć dworzec autobusowy i kupić bilet do Nowego Jorku. Stamtąd udałbym się pociągiem do Dallas... albo czemu, u licha, nie polecieć samolotem? Miałem jeszcze dużo pieniędzy, a żaden pracownik linii lotniczych nie zażądałby ode mnie dokumentu ze zdjęciem. Musiałbym tylko wyłożyć kasę na bilet i Trans World Airlines z otwartymi ramionami przyjęłyby mnie na pokład.

Ulga po podjęciu tej decyzji była tak wielka, że nogi znów ugięły się pode mną. Nie było to tak gwałtowne osłabienie jak w Derry, kiedy to musiałem usiąść, ale oparłem się o suszarnię, żeby nie upaść. Uderzyłem łokciem w ścianę. Brzęknęła cicho. I w powietrzu usłyszałem głos. Chrapliwy. Prawie pomruk. Głos z przyszłości, można rzec. „Jake, to ty?”, po czym nastąpiła salwa suchych, szczekających kaszlnięć.

Prawie nie odpowiedziałem. Mogłem nie odpowiedzieć. Potem pomyślałem o tym, jak dużą część swojego życia Al poświęcił temu przedsięwzięciu i że jestem jego ostatnią nadzieją.

Odwróciłem się w stronę kaszlnięć.

- Al? - zapytałem półgłosem. - Mów do mnie. Odliczaj. - Mogłem dodać: „Albo kaszł dalej”, ale to byłoby cokolwiek okrutne.

Zaczął odliczać. Ruszyłem w jego stronę, macając ziemię nogą. Po przejściu dziesięciu kroków - daleko za miejscem, w którym dałem za wygraną - czubek mojego buta jednocześnie wysunął się naprzód i uderzył w coś, co blokowało mu drogę. Rozejrzałem się

raz jeszcze. Jeszcze raz zaczerpnąłem cuchnącego chemikaliami powietrza. Potem zamknąłem oczy i zacząłem wchodzić po stopniach, których nie widziałem. Na czwartym nocny chłód zastąpiło duszne ciepło, zapach kawy i przypraw. Przynajmniej jeśli chodzi o moją górną połowę. Od pasa w dół wciąż czułem noc.

Stałem tak przez może trzy sekundy, na poły w teraźniejszości, na poły w przeszłości. Potem otworzyłem oczy, zobaczyłem wymizerowaną, zaniepokojoną, zbyt chudą twarz Ala i wszedłem z powrotem do roku 2011

CZĘŚĆ III
ŻYCIE W PRZESZŁOŚCI

ROZDZIAŁ 9

1

Powiedziałbym, że wtedy już nic nie mogło mnie zaskoczyć, ale na lewo od Ala zobaczyłem coś takiego, że opadła mi szczeka: papierosa tłącego się w popielniczce. Sięgnąłem za jego plecy i zgasilem niedopałek.

- Czy ty chcesz do reszty płuca wykrztusić?

Nie odpowiedział. Nie jestem pewien, czy w ogóle to usłyszał. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Jezu Chryste, Jake... kto cię oskalpował?

- Nikt. Chodźmy stąd, zanim się uduszę twoim dymem. - To jednak było próżne gadanie. W ciągu tygodni spędzonych w Derry przyzwyczailem się do smrodu papierosów. Gdybym się nie pilnował, jeszcze trochę i sam wpadłbym w nałóg.

- Jesteś oskalpowany - powiedział. - Tylko o tym nie wiesz. Płat skóry z włosami zwisa ci za uchem i... ile krwi straciłeś? Litr? I kto ci to zrobił?

- A, niecały litr. B, Frank Dunning. Jeśli nie masz więcej pytań, teraz kolej na mnie. Mówiłeś, że będziesz się modlić. Dlaczego zamiast tego paliłeś?

- Z nerwów. I dlatego, że teraz to już nie ma znaczenia. Mleko się wylało.

Co do tego nie mogłem się z nim nie zgodzić.

2

Powlókł się za ladę. Wyjął z szafki plastikowe pudełko z czerwonym krzyżem. Usiadłem na jednym ze stołków i spojrzałem na zegar. Kiedy Al odemknął drzwi i wpuścił mnie do baru, była za piętnaście ósma. Jakies dziesięć minut później wszedłem w króliczą norę i wyłoniłem się w Krainie Czarów 1958 roku. Al twierdził, że każda wyprawa zajmuje dokładnie dwie minuty i zegar ścienny zdawał się to potwierdzać. Spędziłem pięćdziesiąt dwa dni w 1958 roku, ale tutaj była 7.59 rano.

Al przygotował gazę, plastry i butelkę wody utlenionej.

- Schyl się, żebyś to widział - powiedział. - Połóż brodę na blacie.

- Wodę utlenioną możesz sobie darować. To stało się cztery godziny temu i krew już zakrzepła. Widzisz?

- Lepiej dmuchać na zimne.

Czubek mojej głowy zapłonął żywym ogniem.

- Aaa!

- Boli, co? To dlatego, że rana wciąż jest otwarta. Chcesz leczyć zakażenie u jakiegoś łapiducha z 1958 roku, zanim wybierzesz się do Dallas? Wierz mi, przyjacielu, nie chcesz. Nie ruszaj się. Muszę obciąć trochę włosów, inaczej plaster się nie będzie trzymał. Dzięki Bogu, że masz krótkie.

Ciach-ciach-ciach. Potem ucisnął piekącą ranę gazą - jakby jeszcze nie dość bolało - i nalepił plaster.

- Za dzień lub dwa możesz zdjąć opatrunek, ale do tego czasu lepiej przykrywaj go kapeluszem. Będziesz tam miał łysy placek, włosy powinny odrosnąć, a jak nie, zawsze możesz zrobić zaczeskę. Chcesz aspirynę?

- Tak. I kawę. Da radę? - Choć kawa mogła pomóc tylko na krótko. Tak naprawdę potrzebowałem snu.

- Pewnie. - Pstryknął włącznikiem ekspresu i znów zaczął grzebać w apteczce. - Wyglądasz, jakbyś stracił na wadze.

I kto to mówi, pomyślałem.

- Rozchorowałem się. Złapałem dwudziestoczwierogodzinną... - Urwałem.

- Jake, co się stało?

Patrzyłem na oprawione fotografie Ala. Kiedy wszedłem w króliczą norę, wisiało wśród nich zdjęcie Harry'ego Dunninga ze mną. Uśmiechnięci pokazywaliśmy do obiektywu dyplom maturalny Harry'ego.

To zdjęcie zniknęło.

3

- Jake? Przyjacielu? Co się dzieje?

Wziąłem pastylki aspiryny, które położył na kontuarze, wrzuciłem je do ust i połknąłem na sucho. Potem wstałem i powoli podszedłem do Ściany Sławy. Czuję się jak człowiek ze szkła. Tam, gdzie przez ostatnie dwa lata wisiało zdjęcie Harry'ego ze mną, teraz była fotografia, na której Al ścisnął dłoń Mike'a Michauda, kongresmena z drugiego okręgu Maine. Kiedy ją zrobiono, Michaud musiał kandydować na drugą kadencję, bo Al miał na

fartuchu kucharza dwa znaczki. Na jednym było hasło MICHAUD DO KONGRESU. Na drugim LISBON KOCHA MIKE'A. Szanowny pan kongresmen miał na sobie jasnopomarańczowy T-shirt reklamujący moxie i pokazywał do obiektywu ociekającego tłuszczem Mniamburera.

Zdjąłem fotografię z haczyka.

- Jak długo to tu wisi?

Spojrzał na nią ze zmarszczonym czołem.

- Widzę to zdjęcie pierwszy raz w życiu. Jasne, popierałem Michauda w jego ostatnich dwóch kampaniach... kurde, popieram każdego demokratę, którego nie przyłapali na dymaniu asystentek... i spotkałem go na wiecu w 2008, ale to było w Castle Rock. Nigdy nie był w barze.

- Wygląda na to, że był. To twój kontuar, prawda?

Wziął zdjęcie dłońmi tak wychudłymi, że wyglądały jak szpony, i przysunął sobie do oczu.

- Uhm. Zgadza się.

- Czyli efekt motyla rzeczywiście działa. To zdjęcie tego dowodzi.

Patrzył na nie nieruchomym wzrokiem, lekko uśmiechnięty. Ze zdumieniem, jak sądzę. A może podziwem. Wreszcie oddał mi fotografię i poszedł za kontuar nalać kawę.

- Al, pamiętasz Harry'ego, prawda? Harry'ego Dunninga.

- Pewnie. Czy to nie z jego powodu pojechałeś do Derry i mało ci głowy nie odrąbali?

- Jego i całej jego rodziny, owszem.

- I uratowałeś ich?

- Wszystkich oprócz jednego. Jego ojciec dopadł Tugę, zanim mogliśmy go powstrzymać.

- Jacy „my”?

- Opowiem ci wszystko, ale najpierw jadę do domu się wyspać.

- Przyjacielu, mamy niewiele czasu.

- Wiem - powiedziałem z myślą: Wystarczy, że na ciebie spojrzę. - Ale padam z nóg. Dla mnie jest wpół do drugiej w nocy i mam za sobą trudny wieczór... - Ziewnąłem przeraźliwie.

- W porządku. - Przyniósł kawę: dla mnie pełen kubek czarnej, dla siebie pół, z dużą porcją śmietanki. - Pij i opowiadaj, dopóki będziesz w stanie.

- Najpierw mi wytłumacz, jak możesz pamiętać Harry'ego, jeśli nigdy nie był woźnym w LHS i nigdy nie kupił u ciebie Mniamburera. A potem wyjaśnij, dlaczego nie pamiętasz

wizyty Mike'a Michauda w barze, kiedy na zdjęciu widać, że tu był.

- Nie wiesz na pewno, że Harry'ego Dunninga rzeczywiście nie ma w mieście - powiedział Al. - Ba, nie wiesz na pewno, że nie jest nadal woźnym w Lisbon High.

- To byłby cholernie wielki zbieg okoliczności. Zmieniłem przeszłość na dużą skalę... z pomocą niejakiego Billa Turcotte'a. Harry nie mógł zamieszkać u wujostwa w Haven, bo jego matka nie umarła. Jego brat Troy i siostra Ellen też nie. I pijany ojciec nie walnął Harry'ego młotem. Jeśli po tych wszystkich zmianach Harry nadal mieszka w Falls, będę najbardziej zdziwionym człowiekiem na świecie.

- Można to sprawdzić - powiedział Al. - Na zapleczu mam laptopa. Chodź. - Ruszył przodem, kaszląc i przytrzymując się mijanych sprzętów. Wziąłem kawę ze sobą; on swoją zostawił.

Zaplecze było zbyt szumną nazwą dla tej przyległej do kuchni kanciapy wielkości szafy. Ledwo mieściliśmy się tam we dwóch. Ściany były obwieszane notatkami, zezwoleniami i rozporządzeniami sanitarnymi władz stanu Maine i federalnych. Gdyby ludzie, którzy rozpuszczali plotki o Mniamburgerze, zobaczyli te wszystkie papiery - wśród których znajdował się Certyfikat Czystości Pierwszej Klasy wydany po ostatniej inspekcji Stanowej Komisji do spraw Restauracji - mogłoby to ich zmusić do przemyśleń.

Laptop leżał na biurku w typie ławki, w jakiej siedziałem w trzeciej klasie szkoły podstawowej. Ze stęknieniem bólu i ulgi Al zwałił się na krzesło mniej więcej tych samych rozmiarów.

- Szkoła ma stronę internetową, zgadza się?

- Jasne.

W czasie gdy czekaliśmy, aż laptop się uruchomi, zastanawiałem się, ile e-maili uzbierało się w trakcie mojej pięćdziesięciodwudniowej nieobecności. Potem przypomniałem sobie, że przecież tak naprawdę zniknąłem tylko na dwie minuty. Głuptas ze mnie.

- Al, w głowie mi się płacze - powiedziałem.

- Znam to uczucie. Trzymaj się, przyjacielu, wszystko będzie... o, możemy zaczynać. Zobaczmy. Przedmioty... szkoła letnia... kadra... administracja... personel techniczny.

- To otwórz - powiedziałem.

Pomasował panel dotykowy, mruknął, kiwnął głową, kliknął na coś, po czym wbił wzrok w ekran komputera jak jasnowidz zaglądający w szklaną kulę.

- No i...? Nie trzymaj mnie w niepewności.

Przekreślił laptop, żebym sam zobaczył. PERSONEL TECHNICZNY LHS, przeczytałem. NAJLEPSI W MAINE! Było tam zdjęcie dwóch mężczyzn i kobiety stojących

pośrodku sali gimnastycznej. Wszyscy byli uśmiechnięci. Wszyscy mieli na sobie bluzy Chartów Lisbon. Nie było wśród nich Harry'ego Dunninga.

4

- Pamiętasz go jako woźnego i twojego ucznia, bo to ty wszedłeś do króliczej nory - powiedział Al. Znowu byliśmy w barze. - Ja pamiętam go albo dlatego, że sam korzystałem z króliczej nory, albo po prostu przez to, że jestem blisko niej. - Zamyślił się. - Tak, pewnie dlatego. Działa jakieś promieniowanie czy coś. Człowiek z Żółtą Kartką też jest blisko niej, tyle że po drugiej stronie, i też to wyczuwa. Widziałeś go, więc wiesz.

- Teraz jest Człowiekiem z Pomarańczową Kartką.

- Jak to?

Znowu ziewnąłem.

- Gdybym spróbował ci to teraz wytłumaczyć, zamotałbym się tylko. Chodź, odwiozę cię do domu, a potem wrócę do siebie. Zrobię sobie coś do jedzenia, bo jestem głodny jak niedźwiedź...

- Usmażę ci jajecznicę. - Zaczął wstawać, po czym ciężko usiadł z powrotem i się rozkaszał. Suchy, rżący kaszel wyrывał się przy każdym oddechu, wstrząsał całym jego ciałem. Z gardła dobywało się charczenie jak terkot karty o szprychy rowerowego koła.

Położyłem dłoń na jego ramieniu.

- Nie będziesz nic smażył, tylko wrócisz do domu, weźmiesz prochy i odpoczniesz. Prześpisz się, jeśli dasz radę zasnąć. Ja zasnę na pewno. Na osiem godzin. Nastawię sobie budzik.

Przestał kaszleć, ale ta karta wciąż terkotała w jego gardle.

- Sen. Zdrowy sen. Pamiętam to uczucie. Zazdroszczę ci, przyjacielu.

- Będę u ciebie o siódmej wieczorem. Nie, powiedzmy o ósmej. To da mi dość czasu, żeby sprawdzić parę rzeczy w Internecie. Upewnić się, że na przykład Salt Lake City nie zapadło się pod ziemię wskutek naszych działań.

- A jeśli wszystko będzie na piątkę? - Uśmiechnął się blado ze swojego żartu, który, jako nauczyciel, słyszałem już co najmniej tysiąc razy.

- To jutro tam wrócę i zacznę przygotowania do czynu.

- Nie - powiedział. - Ty masz czynowi zapobiec. - Ścisnął moją dłoń. Palce miał chude, ale uścisk wciąż mocny. - O to właśnie chodzi. Żeby znaleźć Oswalda, udaremnić kurestwo, które ma popełnić, i zetrzeć ten zadowolony uśmiezek z jego gęby.

5

Zapaliłem silnik i w pierwszym odruchu sięgnąłem do krótkiej wajchy zmiany biegów forda na kolumnie kierownicy, a lewą nogą poszukałem sprężynującego sprzęgła. Gdy moje palce nie chwyciły nic prócz powietrza, a but uderzył w dywanik na podłodze, zaśmiałem się. Nie mogłem się powstrzymać.

- Co jest? - spytał Al z fotela pasażera.

Tęskniłem za moim eleganckim fordem sunlinerem, ale nic to; wkrótce kupię go znowu. Choć jako że następnym razem będę miał mniej funduszy, przynajmniej na początku (przepadną nawet pieniądze na koncie w Hometown Trust, wymazane przy następnym reseccie), może trochę bardziej potarguję się z Billem Titusem.

Sądziłem, że sobie z tym poradzę.

Sądziłem, że stałem się innym człowiekiem.

- Jake? Coś zabawnego?

- Nie, nic.

Wypatrywałem zmian na Main Street, ale wszystkie znajome budynki były w komplecie, włącznie z Kennebec Fruit, który wyglądał - jak zwykle - jakby dwa nieopłacone rachunki dzieliły go od katastrofy finansowej. Posąg wodza Worumbo wciąż stał w parku miejskim, a transparent w witrynie sklepu meblowego Cabell's nadal zapewniał świat, że NIGDZIE NIE JEST TANIEJ NIŻ U NAS.

- Al, pamiętasz ten łańcuch, pod którym trzeba przejść, żeby wrócić do króliczej nory?

- Jasne.

- A tabliczkę na nim?

- Tę o rurze kanalizacyjnej. - Siedział jak żołnierz, który się obawia, że droga może być zaminowana, i krzywił się, ilekroć podskakiwaliśmy na jakiejś nierówności.

- Kiedy wróciłeś z Dallas... jak już uznałeś, że jesteś zbyt chory, żeby dać radę... czy ta tabliczka nadal tam była?

- Była - rzekł po chwili namysłu. - Trochę dziwne, nie? Kto naprawia rurę przez cztery lata?

- Nikt. Nie na dziedzińcu zakładowym, po którym dzień i noc jeżdżą ciężarówki. Dlaczego więc nie zwraca to niczyjej uwagi?

Pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia.

- Musi tam być po to, żeby ludzie przypadkiem nie wchodzili do króliczej nory. Ale

kto ją powiesił?

- Nie wiem. Nie wiem nawet, czy jest tak, jak mówisz.

Skręciłem na jego ulicę, licząc, że odstawię go bezpiecznie do domu, a potem pokonam te dwanaście kilometrów do Sabbatus, nie zasypiając za kółkiem. Zaprzętała mnie jednak jeszcze jedna sprawa i musiałem powiedzieć to na głos. Choćby po to, żeby nie robić mu zbyt wielkich nadziei.

- Przeszłość jest nieustępliwa, Al. Nie chce, żeby ją zmieniać.

- Wiem. Sam ci to mówiłem.

- Fakt. Ale teraz sędzę, że opór wobec zmiany jest proporcjonalny do tego, jak bardzo przyszłość może się zmienić wskutek danego czynu.

Spojrzał na mnie. Cienie pod jego oczami były ciemne jak nigdy, a same oczy błyszczały bólem.

- Mógłbyś to powiedzieć po ludzku?

- Trudniej było zmienić przyszłość rodziny Dunningów niż przyszłość Carolyn Poulin, bo chodziło o więcej osób, ale głównie przez to, że Poulin tak czy tak by żyła. Doris Dunning i jej dzieci mieli zginąć... i jedno z nich mimo wszystko zginęło, choć zamierzam to naprawić.

Cień uśmiechu przemknął po jego ustach.

- I bardzo dobrze. Tylko następnym razem pamiętaj, żeby się niżej schylić. Żebyś potem nie musiał świecić wstydliwą blizną, na której włosy ci nie odrosną.

Miałem pewne pomysły na rozwiązanie tego problemu, ale przemilczałem to. Pomału wjechałem na podjazd przed jego domem.

- Mówię tylko, że mogę nie dać rady powstrzymać Oswalda. Przynajmniej za pierwszym razem. - Zaśmiałem się. - Co tam, egzamin na prawo jazdy także za pierwszym razem oblałem.

- Ja też, ale nie kazali mi czekać pięć lat na następne podejście.

Celna uwaga.

- Ile masz lat, Jake, trzydzieści? Trzydzieści dwa?

- Trzydzieści pięć. - I byłem o dwa miesiące bliżej trzydziestych szóstych urodzin niż tego ranka, ale co znaczy parę miesięcy między przyjaciółmi?

- Gdybyś dał ciała i musiał zacząć od nowa, miałbyś czterdzieści pięć lat, kiedy dostałbyś drugą szansę. W dziesięć lat wiele się może wydarzyć, zwłaszcza kiedy masz przeszłość przeciwko sobie.

- Wiem - powiedziałem. - Proszę, co się z tobą stało.

- Dostałem raka płuc od papierochów, to wszystko. - Zakaszłał jakby na potwierdzenie

swoich słów, ale w jego oczach dostrzegłem nie tylko ból, ale i niepewność.

- Pewnie to faktycznie jedyny powód. Mam taką nadzieję. Ale to jeszcze jedna rzecz, której nie...

Drzwi jego domu otworzyły się z hukiem. Tęga młoda kobieta w żółtozielonym fartuchu i białych chodakach pielęgniarskich rzuciła się do nas półbiegiem. Zobaczyła Ala zgarbionego w fotelu pasażera mojej toyoty i otworzyła drzwi szarpnięciem.

- Panie Templeton, gdzie pan był? Przyszłam podać kroplówkę i zrobić zastrzyki, i kiedy zastałam pusty dom, myślałam, że...

Zdobył się na uśmiech.

- Wiem, co myślałaś, ale wszystko ze mną w porządku. Nie rewelacyjnie, ale w porządku.

Spojrzała na mnie.

- A pan co? Co panu do głowy strzeliło, żeby go na przejażdżkę zabierać? Nie widzi pan, jaki jest osłabiony?

Oczywiście widziałem. Ponieważ jednak nie bardzo mogłem jej powiedzieć, co robiliśmy naprawę, trzymałem gębę na kłódkę i przygotowałem się, żeby przyjąć burę jak mężczyzna.

- Mieliśmy ważną sprawę do omówienia - powiedział Al. - Dobrze? Zrozumiano?

- Mimo to...

- Pomóż mi wejść do środka, Doris. Jake musi wracać do domu.

Doris.

Jak Doris Dunning.

On nie zauważył tego zbiegu okoliczności - bo to na pewno był zbieg okoliczności, przecież to pospolite imię; mnie jednak długo brzęczało ono w głowie.

6

Dotarłem do domu i tym razem złapałem się na tym, że sięgam do hamulca ręcznego sunlinera. Kiedy zgasilem silnik, pomyślałem o tym, jak ciasną, nędzną, ogólnie niesympatyczną mydelniczką z plastiku i włókna szklanego jest moja toyota w porównaniu z samochodem, do którego przywykłem w Derry. Wszedłem do domu, zacząłem karmić kota i zobaczyłem, że jedzenie w jego misce wciąż jest świeże i wilgotne. Dlaczegoż by nie? W 2011 roku leżało tam tylko półtorej godziny.

- Zjedz to, Elmore - powiedziałem. - Głodujące koty w Chinach wiele by dały za

friskies.

Elmore spojrział na mnie tak, jak na to zasługiwałem, i wysliznął się przez klapkę w drzwiach. Podgrzałem dwa mrożone dania Stouffers (myśląc jak uczące się mówić monstrum Frankensteina: Mikrofala dobra, nowoczesne samochody złe). Zjadłem wszystko, wyrzuciłem śmieci i poszedłem do sypialni. Zdjąłem moją gładką białą koszulę z roku 1958 (dziękując Bogu, że Doris Ala była zbyt wściekła, żeby zauważyć plamy krwi), usiadłem na brzegu łóżka, by rozwiązać porządne buty z roku 1958, i osunąłem się do tyłu. Jestem prawie pewien, że zasnąłem, zanim wylądowałem.

7

Zupełnie zapomniałem o nastawieniu budzika i może spałbym jeszcze długo po piątej, gdyby nie to, że piętnaście po czwartej Elmore wskoczył mi na pierś i obwąchiwał moją twarz. To znaczyło, że sprzątnął wszystko z miski i prosi o jeszcze. Nakarmiłem go, ochlapałem twarz zimną wodą, po czym zjadłem talerz płatków Special K z myślą, że minie wiele dni, zanim zdołam przywrócić właściwy porządek posiłków.

Z pełnym brzuchem poszedłem do gabinetu i włączyłem komputer. Moim pierwszym cyberprzystankiem była biblioteka miejska. Al miał rację - ich baza danych zawierała wszystkie numery „Lisbon Weekly Enterprise”. Żeby uzyskać dostęp do tego skarbcza, musiałem zostać przyjacielem Biblioteki, co kosztowało dziesięć dolarów, ale zważywszy na okoliczności, cena nie wydawała się wygórowana.

Numer „Enterprise”, którego szukałem, nosił datę siódmy listopada. Na drugiej stronie, między notką o śmiertelnym wypadku samochodowym a informacją o możliwym podpaleniu, był artykuł pod tytułem LOKALNA POLICJA POSZUKUJE TAJEMNICZEGO MĘŻCZYZNY. Tym tajemniczym mężczyzną byłem ja... czy raczej moje alter ego z ery Eisenhowera. Sunliner został odnaleziony, odnotowano obecność plam krwi. Bill Titus rozpoznał w nim wóz, który sprzedał niejakiemu George'owi Ambersonowi. Ton artykułu chwycił mnie za serce: była z niego zwyczajna troska o zaginionego (i być może rannego) człowieka. Gregory Dusen, mój bankier z Hometown Trust, opisał mnie jako „dobrze wysławiającego się, uprzejmego jegomościa”. Eddie Baumer, właściciel zakładu fryzjerskiego, powiedział w gruncie rzeczy to samo. Nawet ziarenko podejrzenia nie przylgnęło do nazwiska Amberson. Może byłoby inaczej, gdyby powiązano mnie z pewną sensacyjną sprawą w Derry, ale tak się nie stało.

Ten stan rzeczy nie zmienił się do następnego numeru, w którym zasłużyłem już tylko

na krótką notkę w kronice policyjnej: POSZUKIWANIA ZAGINIONEGO Z WISCONSIN TRWAJĄ. Tydzień później „Weekly Enterprise” entuzjasmowało się nadchodzącym sezonem świątecznym i George Amberson zupełnie zniknął z łamów. Lecz byłem tam. Al wydrapał swoje imię na drzewie. Moje było wydrapane na stronach starej gazety. Spodziewałem się tego, ale i tak czułem nabożny podziw, kiedy widziałem to na własne oczy.

Następnie wszedłem na stronę „Derry Daily News”. Dostęp do ich archiwum kosztował mnie znacznie więcej - trzydzieści cztery pięćdziesiąt - ale już po kilku minutach miałem przed sobą pierwszą stronę numeru z pierwszego listopada 1958 roku.

Wydawałoby się, że sensacyjna lokalna zbrodnia powinna trafić na pierwszą stronę lokalnej gazety, ale w Derry - dziwnym miasteczku - o potwornościach mówiło się jak najciszej. Wiadomością numer jeden tego dnia były prowadzone w Genewie rozmowy Rosji, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych o możliwym zakazie prób z bronią jądrową. Niżej był artykuł o Bobbym Fischerze, czternastoletnim geniuszu szachowym. Dopiero na samym dole pierwszej strony w lewym rogu (gdzie, jak twierdzą eksperci od mediów, ludzie patrzają na samym końcu, jeśli w ogóle), widniał nagłówek **KRWAWA NAPAŚĆ ZAKOŃCZONA ŚMIERCIA DWÓCH OSÓB**. Według autora artykułu w piątek krótko po ósmej wieczorem Frank Dunning „ważna postać lokalnego biznesu, uczestnik wielu akcji charytatywnych”, przyjechał „w stanie nietrzeźwym” do żony, z którą był w separacji. Po kłótni z żoną (której ja na pewno nie słyszałem... a przecież byłem tam) Dunning rzucił się na nią z młotkiem, łamiąc jej rękę, po czym zabił swojego dwunastoletniego syna, Arthura Dunninga, który usiłował bronić matki.

Dalszy ciąg artykułu był na stronie dwunastej. Kiedy tam zajrzałem, powitała mnie fotka mojego (nie)przyjaciela Billa Turcotte'a. Według autora „pan Turcotte przechodził obok domu państwa Dunning, kiedy usłyszał dobiegające ze środka krzyki i wrzaski”. Pobiegł tam, zobaczył przez otwarte drzwi, co się dzieje, i powiedział panu Dunningowi, „żeby przestał wymachiwać tym młotkiem”. Dunning odmówił; pan Turcotte zauważył nóż myśliwski w pochwie u pasa Dunninga i go stamtąd wyciągnął; Dunning rzucił się na pana Turcotte'a i zaczęli się szamotać; w trakcie walki Dunning został śmiertelnie raniony nożem. Chwilę potem bohaterski pan Turcotte doznał zawału serca.

Siedziałem wpatrzony w starą fotkę - Turcotte, z papierosem w kąciku ust, stał z jedną nogą dumnie postawioną na zderzaku sedana z późnych lat czterdziestych - i bębniłem palcami w udo. Dunning został zakłuty od tyłu, nie od przodu, i bagnetem, nie nożem myśliwskim. Nie miał noża myśliwskiego. Oburęczny młot - ta nazwa nie padła ani razu - był jego jedyną bronią. Czy policja mogła przeoczyć tak oczywiste fakty? Niemożliwe, chyba że

byli ślepi jak Ray Charles. A jednak... w Derry, jakie znałem, to wszystko było doskonale logiczne.

Chyba się uśmiechałem. Ta historia była tak zwariowana, że aż godna podziwu. Wszystko zgrabnie wyjaśnione. Szalony, pijany mąż, chowająca się po kątach, przerażona rodzina, bohaterski przechodzień (ani słowa o tym, dlaczego w ogóle tamtędy przechodził). Czego jeszcze potrzeba? I żadnej wzmianki o Tajemniczym Nieznajomym na miejscu zdarzenia. Całe Derry.

Chwilę grzebałem w lodówce, znalazłem resztkę budyniu czekoladowego i wsunąłem go, stojąc przy blacie i wyglądając na podwórko. Wziąłem Elmore'a na ręce i głaskałem dotąd, aż zaczął się wiercić na znak, że ma dosyć. Wróciłem przed komputer, wcisnąłem pierwszy lepszy klawisz, żeby magicznie usunąć wygaszacz ekranu, i jeszcze trochę popatrzyłem na zdjęcie Billa Turcotte'a. Bohaterskiego interwenta, który ocalił kobietę i dzieci i przyplącił to zawałem serca.

Wreszcie podszedłem do telefonu i zadzwoniłem na informację.

8

W spisie telefonów Derry nie było Doris, Troya ani Harolda Dunninga. Chwytną się ostatniej deski ratunku, spytałem o Ellen, nie robiłem sobie jednak żadnych nadziei; nawet jeśli nadal tam mieszkała, zapewne nosiła nazwisko męża. Czasem jednak strzał z pozoru mający małe szanse trafienia okazuje się celny (przypadek Lee Harveya Oswalda jest szczególnie okrutnym tego dowodem). Tak byłem zaskoczony, kiedy telefoniczny robot podyktował mi numer telefonu, że nawet nie miałem ołówka w ręku. Zamiast zadzwonić na informację raz jeszcze, wcisnąłem I, żeby wybrać podany numer. Gdybym miał czas się nad tym zastanowić, nie jestem pewien, czy zrobiłbym to. Czasem nie chcemy wiedzieć, prawda? Czasem boimy się wiedzieć. Docieramy do określonego punktu, a potem się wycofujemy. Ja jednak mężnie słuchałem, jak telefon w Derry dzwoni raz, drugi, trzeci... Po następnym sygnale zapewne włączyłaby się automatyczna sekretarka. Postanowiłem nie zostawiać wiadomości. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć.

Jednak w połowie czwartego sygnału usłyszałem kobiecy głos:

- Halo?

- Czy rozmawiam z Ellen Dunning?

- Cóż, zależy, kto dzwoni. - Wydawała się ostrożnie rozbawiona. Głos zmysłowo chropawy, nieco sugestywny. Gdybym nie wiedział, że jest inaczej, wyobraziłbym ją sobie

jako kobietę po trzydziestce, nie taką, która ma już sześćdziesiąt albo prawie sześćdziesiąt lat. Ona głosu używa zawodowo. Piosenkarka? Aktorka? A może jednak komiczka? W Derry wszystkie te warianty wydawały się mało prawdopodobne.

- Moje nazwisko George Amberson. Dawno temu znałem pani brata Harry'ego. Właśnie byłem w Maine i pomyślałem sobie, że może spróbuję się z nim skontaktować.

- Harry'ego? - Wydawała się zaskoczona. - Boże mój! Zna go pan z wojska?

Z wojska? Szybko pomyślałem i uznałem, że ta wersja się nie nadaje. Zbyt wiele potencjalnych pułapek.

- Nie, nie, z Derry. Z dzieciństwa. - Błysk natchnienia. - Bawiliśmy się w Ośrodku Rekreacji. Graliśmy w tych samych drużynach. Kumplowaliśmy się.

- Cóż, przykro mi to panu powiedzieć, panie Amberson, ale Harry nie żyje.

Na chwilę oniemiałem. Tylko że przez telefon nie da się tego okazać, prawda? Wykrztusiłem:

- O Boże, tak mi przykro.

- To było dawno temu. W Wietnamie. W czasie Ofensywy Tet.

Usiadłem. Zrobiło mi się słabo. Uratowałem go od kalectwa i lekkiego przyćmienia umysłowego po to tylko, by skrócić mu życie o jakieś czterdzieści lat? Wspaniale. Operacja zakończyła się sukcesem, ale pacjent umarł.

Tymczasem przedstawienie musiało toczyć się dalej.

- A co słyhać u Troya? I u pani, co u pani? W tamtych czasach była pani jeszcze mała, jeździła pani na rowerze z bocznymi kółkami i śpiewała pani. Na okrągło. - Zdobyłem się na słaby śmiech. - O rany doprowadzała nas pani tym śpiewaniem do szału.

- Ostatnimi czasy śpiewam tylko w wieczory karaoke w pubie Bennigan's, ale chlapanie jęzorem nigdy mi się nie znudziło. Jestem didżejem stacji WKIT w Bangor. Wie pan, dyskdżokejem.

- Uhm. A co porabia Troy?

- Wiedzie *la vida loca* w Palm Springs. Jest najbogatszy w rodzinie. Dorobił się na komputerach. Zaczynał na najniższym szczeblu w latach siedemdziesiątych. Dzisiaj jada lunche ze Steve'em Jobsem i innymi takimi. - Zaśmiała się. To był piękny śmiech. Założę się, że ludzie z całego wschodniego Maine włączali radio po to tylko, żeby go usłyszeć. Kiedy jednak znów zaczęła mówić, jej głos był już niższy i cała wesołość ulotniła się bez śladu. W jednej chwili słońce, w następnej cień. - Kim pan jest naprawdę, panie Amberson?

- Jak to?

- W weekendy prowadzę audycje z udziałem słuchaczy. W soboty radiowy pchli targ.

„Mam glebogryzarkę, Ellen, prawie nowa, ale nie mogę dłużej spłacać rat i przyjmę najlepszą ofertę powyżej pięćdziesięciu dolarów”. Coś w tym stylu. W niedzielę rozmowy o polityce. Ludzie dzwonią, żeby schlastać Rusha Limbaugh albo wytłumaczyć, dlaczego Glenn Beck powinien kandydować na prezydenta. Znam głosy. Gdyby był pan kolegą Harry'ego z czasów Ośrodka Rekreacji, byłby pan po sześćdziesiątce, a nie jest pan. Sądząc z głosu, ma pan nie więcej niż trzydzieści pięć lat.

Jezu, trafiła idealnie.

- Często słyszę, że mam głos dużo młodszego człowieka. O pani na pewno mówią to samo.

- Sprytnie pan wybrnął. - Teraz był to głos starszej kobiety. - Ja całe lata ćwiczyłam ten słoneczny ton. A pan?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc milczałem.

- Poza tym nikt nie dzwoni, żeby sprawdzić, co słychać u kolegi z podstawówki. Nie po pięćdziesięciu latach.

W zasadzie mogę już odłożyć słuchawkę, pomyślałem. Dostałem to, po co zadzwoniłem, i to z nawiązką. Rozłączę się i tyle. Ale telefon był jak przyklejony do mojego ucha. Nie jestem pewien, czy zdołałbym go puścić, nawet gdybym zobaczył, że zasłony w salonie płoną.

Kiedy znów się odezwała, głos jej się zacinał.

- To ty? Powiedz.

- Nie wiem, o czym pani...

- Tamtego wieczoru w domu był ktoś jeszcze. Harry go widział, ja też. Czy to byłeś ty?

- Którego wieczoru? - Tyle że zabrzmiało to „hu-ego he-czoru”, bo wargi mi odrętwiały. Czulem się, jakby ktoś naciągnął mi na twarz maskę. Wyłożoną śniegiem.

- Harry mówił, że to był jego dobry anioł. Myślę, że to ty. Gdzie byłeś?

Teraz ona mówiła niewyraźnie, bo zaczęła płakać.

- Proszę pani... Ellen... co też pani...

- Kiedy przyszły rozkazy i jego przepustka się skończyła, odwiozłam Harry'ego na lotnisko. Leciał do Wietnamu i powiedziałam mu żeby pilnował swojego tyłka. On na to: „Bez obaw, siostrzyczko, mam anioła stróża, który nade mną czuwa, pamiętasz?”. Gdzie więc byłeś szóstego lutego 1968 roku, Panie Aniele? Gdzie byłeś, kiedy mój brat umierał pod Khe Sanh? Gdzie byłeś wtedy, sukinsynu?

Powiedziała coś jeszcze, ale nie wiem co. Za mocno płakała. Zresztą nie chciałem jej

dłużej słuchać. Odłożyłem słuchawkę. Poszedłem do łazienki. Usiadłem w wannie, zaciągnąłem zasłonkę i włożyłem głowę między kolana. Przed oczami miałem gumową matę z żółtymi stokrotkami. Krzyknąłem. Raz. Drugi. Trzeci. Żałowałem, że Al w ogóle powiedział mi o tej jego cholernej króliczej norze. I co najgorsze, nie poprzestałem na tym. Posunąłem się dalej. Życzyłem mu śmierci.

9

Kiedy zajechałem przed jego dom i zobaczyłem, że w środku jest ciemno, opadły mnie złe przecucia. Nasiliły się, gdy nacisnąłem klamkę i drzwi okazały się otwarte.

- Al?

Nic.

Wymacałem i wcisnąłem włącznik światła. W salonie panował sterylny porządek, jak w pokoju, który jest regularnie sprzątany, ale rzadko używany. Ściany były obwieszane fotografiami w ramkach. Prawie wszystkie przedstawiały obcych mi ludzi - domyślałem się, że to krewni Ala - ale parę na zdjęciu nad kanapą rozpoznałem bez trudu: John i Jacqueline Kennedy. Byli nad morzem, pewnie w Hyannisport. Obejmowali się. W powietrzu wisiał zapach Glade, nie całkiem maskujący woń choroby płynącą z głębi domu. Gdzieś, bardzo cicho, The Temptations śpiewali „My Girl”. Słońce w chmurny dzień i tak dalej.

- Al? Jesteś tu?

A niby gdzie miał być? Co, wybrał się do Studio Nine w Portland tańczyć disco i wrywać stewardesy? Dobrze wiedziałem, co się stało, pomyślałem życzenie, a życzenia czasem się spełniają.

Nerwowo obmacałem ścianę w poszukiwaniu włączników światła w kuchni, znalazłem je i pomieszczenie zalał blask fluorescencyjny tak jasny, że można by przy nim wyrostek wyciąć. Na stole leżała kasetka na leki, taka, w której trzyma się tabletki na cały tydzień. Kasetki tego typu przeważnie są tak małe, że mieszczą się w kieszeni lub torebce, ta jednak była niemal wielkości encyklopedii. Obok niej leżała wiadomość napisana na kartce z zeszytu: *Jak zapomnisz o tych, które masz wziąć o ósmej, ZABIJĘ!!!! Doris.*

Piosenka „My Girl” się skończyła, zaczęła się „Just My Imagination”. Poszedłem za muzyką prosto w fetor choroby. Al leżał w łóżku. Wyglądał względnie spokojnie. Na sam koniec z kącików jego zamkniętych oczu spłynęły pojedyncze łzy. Ich ślady były jeszcze na tyle wilgotne, że lśniły. Na stoliku nocnym po jego lewej stronie stał wielopłytkowy odtwarzacz płyt kompaktowych. Leżał tam też list, przygnieciony buteleczką leków. Nawet

przy lekkim przeciągu marnie by służyła za przycisk do papieru, bo była pusta. Spojrzałem na etykietkę: Oxycontin, dwadzieścia miligramów. Wziąłem list.

Wybacz, przyjacielu, nie mogłem dłużej czekać. Za bardzo bolało. Masz klucz do baru i wiesz, co robić. I nie oszukuj się, że w razie czego będziesz mógł spróbować znowu, bo zbyt wiele może się przez ten czas wydarzyć. Zrób to, jak trzeba, za pierwszym razem. Może jesteś na mnie zły za to, że Cię w to wplątałem. Ja na Twoim miejscu byłbym. Ale nie dawaj za wygraną. Proszę Cię. Blaszane pudełko jest pod łóżkiem. W środku znajdziesz jeszcze jakieś 500\$, które zaoszczędziłem.

Wszystko w Twoich rękach, przyjacielu. Jakies 2 godziny po tym, jak Doris mnie rano znajdzie, właściciel terenu pewnie zamknie bar na kłódkę, więc musisz to zrobić jeszcze dzisiaj. Ocal go, dobrze? Ocal Kennedy'ego, a wszystko się zmieni.

Proszę.

Al

Ty draniu, pomyślałem. Wiedziałeś, że mogę mieć wątpliwości i w ten sposób je rozwiązałeś, prawda?

Oczywiście, miałem wątpliwości. Jednak wątpliwości to nie decyzje. Jeśli podejrzewał, że mogę się wycofać, mylił się. Powstrzymać Oswalda? Jasne. W tej chwili jednak Oswald był dla mnie sprawą drugorzędną, częścią spowitej mgłą przyszłości. Dziwnie myśleć w ten sposób o roku 1963, ale dokładnie tak to postrzegałem. Zaprzętała mnie przede wszystkim rodzina Dunningów.

Arthur, znany też jako Tugga - wciąż mogłem go ocalić. Harry'ego też.

„Kennedy mógł zmienić zdanie”, powiedział Al. Miał na myśli wojnę w Wietnamie.

Nawet gdyby Kennedy nie zmienił zdania i nie wycofał wojsk, czy szóstego lutego 1968 roku Harry mimo to byłby dokładnie w tym samym miejscu o tej samej porze? Sądziłem, że nie.

- W porządku - powiedziałem. - W porządku. - Pochyliłem się nad Alem i pocałowałem go w policzek. Czuję słaby słony smak tej ostatniej łyzy. - Śpij dobrze, przyjacielu.

10

Po powrocie do domu przejrzałem zawartość mojej teczek Lord Buxton i eleganckiego

portfela ze strusia. Miałem wyczerpujące notatki Ala o poczynaniach Oswalda po jego odejściu z marines jedenastego września 1959 roku. Moje dokumenty wciąż były w komplecie. Finansowo stałem lepiej, niż przypuszczałem; z dodatkowymi pieniędzmi zaoszczędzonymi przez Ala, w sumie dysponowałem przeszło pięcioma tysiącami dolarów.

W szufladzie na mięso w lodówce miałem mieloną wołowinę. Część podgrzałem i włożyłem do miski Elmore'a. Głaskałem go, kiedy jadł.

- Jeśli nie wrócę, idź do sąsiadów, Rittersów - poradziłem mu. - Zaopiekują się tobą.

Elmore oczywiście nie słuchał, ale wiedziałem, że tak właśnie postąpi, jeśli zniknę i nie będzie miał go kto nakarmić. Kot zawsze sobie poradzi. Wziąłem teczkę, poszedłem do drzwi i zwalczyłem przelotną, acz silną pokusę, by uciec do sypialni i schować się pod kołdrą. Czy mój kot i mój dom w ogóle tu będą, kiedy wrócę, jeśli uda mi się dokonać tego, co zamierzałem? A jeśli tak, czy nadal będą należeć do mnie? Któż to mógł wiedzieć. Powiedzieć wam coś zabawnego? Nawet ludzie, którzy są zdolni żyć w przeszłości, tak naprawdę nie wiedzą, co przyniesie przyszłość.

- Hej, Ozzie - powiedziałem cicho. - Idę po ciebie, skurwysynu.

Zamknąłem drzwi i wyszedłem.

11

Dziwnie było w barze bez Ala, bo wciąż czułem w nim jego obecność - jego ducha. Twarze na Miejskiej Ścianie Sławy zdawały się mnie obserwować, pytać, co tu robię, mówić, że nic tu po mnie, zaklinać, żebym dał sobie spokój, zanim zerwę sprężynę napędową wszechświata. Coś szczególnie niepokojącego było w fotografii Ala z Mikiem Michaudem wiszącej w miejscu, gdzie powinno być zdjęcie Harry'ego ze mną.

Wszedłem do spiżarki i ruszyłem naprzód małymi krokami, szurając nogami po podłodze. „Jakbyś próbował znaleźć po ciemku szczyt schodów”, tak powiedział Al i tak robiłem.

„Zamknij oczy, przyjacielu, wtedy jest łatwiej”.

Zrobiłem to. Dwa stopnie niżej poczułem to pyknięcie w uszach jak przy nagłej zmianie ciśnienia. Ciepło uderzyło w moją skórę; słońce zaświeciło przez moje zamknięte powieki; usłyszałem „sza-SZUUU, sza-SZUUU” krosien tkackich. Był dziewiąty września 1958 roku, dwie minuty przed południem. Tugga Dunning znowu żył, pani Dunning jeszcze nie miała złamanej ręki. Niedaleko stąd, na stacji Titus Chevron, czekał na mnie elegancki czerwony kabriolet ford sunliner.

Najpierw jednak musiałem się zająć eks-Człowiekiem z Żółtą Kartką. Tym razem miał dostać dolara, o którego prosił, bo zapomniałem pięćdziesięciocentówki. Przeszedłem pod łańcuchem i zatrzymałem się na chwilę, żeby włożyć dolara do prawej kieszeni spodni.

I tam już został, bo kiedy wszedłem za róg suszarni, znalazłem Człowieka z Żółtą Kartką leżącego na betonie z szeroko otwartymi oczami w kałuży krwi. Jego gardło było poderżnięte od ucha do ucha. W jednej dłoni miał obtłuczoną zieloną butelkę po winie, którą się posłużył. W drugiej trzymał swoją kartkę, tę, która mogła mieć coś wspólnego z tym, że jeden dolar w zielonym sklepie dziś wart jest dwa. Kiedyś żółta, potem pomarańczowa, teraz była czarna jak noc.

ROZDZIAŁ 10

1

Trzeci już raz przeszedłem przez parking dla pracowników, prawie biegiem. Znowu postukałem w bagażnik czerwono-białego plymoutha fury. Na szczęście, jak sądzę. W nadchodzących tygodniach, miesiącach i latach miałem potrzebować go możliwie najwięcej.

Tym razem nie zajrzałem do Kennebec Fruit, nie zamierzałem też kupować ubrań ani samochodu. Mogłem się tym zająć jutro albo pojutrze - dziś raczej niedobrze było być obcym w Falls. Lada moment ktoś znajdzie trupa na zakładowym dziedzińcu i policja mogłaby chcieć przesłuchać nieznanego. Dokumenty George'a Ambersona nie oparłyby się tej próbie, zwłaszcza że w prawie jazdy widniał adres domu na Bluebird Lane, którego jeszcze nie wybudowano.

Dotarłem na przyzakładowy przystanek za parkingiem w chwili, kiedy nadjechał pochrapujący autobus ze słowami LEWISTON EXPRESS na tablicy kierunkowej. Wsiadłem i wręczyłem kierowcy dolara, którego zamierzałem dać Człowiekowi z Żółtą Kartką. Kierowca wysypał garść srebrnych monet z chromowanej maszynki do rozmienniania pieniędzy, którą nosił na pasku. Wrzuciłem dziesięć centów do pojemnika na opłaty i poszedłem rozkołysanym przejściem między siedzeniami w głąb autobusu, na miejsce za dwoma przyszczatymi marynarzami - pewnie z bazy marynarki wojennej w Brunswick. Rozmawiali o dziewczynach, które mieli nadzieję zobaczyć w knajpie ze striptizem o nazwie The Holly. Swoje słowa przeplatali wymianami solidnych ciosów w ramię i chrząknięciami śmiechu.

Patrzyłem na przemykającą za oknem drogę numer 196, prawie jej me widząc. Ciągle myślałem o martwym człowieku. I kartce, która teraz była czarna jak noc. Kiedy znalazłem tego niepokojącego nieboszczyka, chciałem jak najszybciej się oddalić, ale jeszcze dotknąłem kartki. Nie była z tektury, jak początkowo zakładałem. Ani z plastiku. Może z celuloidu... choć to też raczej nie to. W dotyku przypominał martwy naskórek - taki, jaki zdiera się z nagniotka. Nic nie było na niej napisane, ja przynajmniej niczego nie zauważyłem.

Al uważał Człowieka z Żółtą Kartką za zwykłego ochlapusa, który oszalał pod wpływem nieszczęśliwego połączenia alkoholu i bliskości króliczej nory. Ja tego nie

kwestionowałem do czasu, kiedy kartka stała się pomarańczowa. Teraz więcej niż kwestionowałem; nie wierzyłem w to zupełnie. Kim on właściwie był?

Jest trupem, nie myśl o nim, powiedziałem sobie. Masz dużo roboty.

Kiedy mijaliśmy kino samochodowe, szarpnąłem za sznurek przeciągnięty pod sufitem. Kierowca zatrzymał się przy następnym słupie telefonicznym z białym pasem. Ruszyłem do wyjścia przez kłęby niebieskiego dymu papierosowego.

- Miłego dnia - powiedziałem do kierowcy, kiedy przesunął wajchę otwierając drzwi.

- W tej robocie nie ma nic miłego oprócz piwa po fajrancie - odparł i zapalił papierosa, powiększając ogólny zaduch.

Kilka sekund później stałem już na zwirowym poboczu z teczką w lewej dłoni i patrzyłem, jak autobus toczy się ku Lewiston, ciągnąc za sobą chmurę spalin. Na tyle miał reklamę przedstawiającą gospodynię domową, która w jednej ręce trzymała lśniący garnek, a w drugiej myjkę SOS Magic Scouring Pad. Wielkie niebieskie oczy i wyszczerzony, podkreślony czerwoną szminką uśmiech nadawały jej wygląd kobiety na progu katastrofального załamania nerwowego.

Niebo było bezchmurne. Świerszcze cykały w wysokiej trawie. Gdzieś muczała krowa. Teraz, kiedy lekki wietrzyk rozwiął smród diesla pozostawiony przez autobus, powietrze miało słodki, świeży, nowy zapach. Ruszyłem do motelu Tamarack. To był krótki spacer, ale zanim dotarłem do celu, dwie osoby podjechały do mnie i spytały, czy mnie gdzieś podwieźć. Obu podziękowałem i powiedziałem, że nie trzeba, wszystko gra. I wszystko grało. Kiedy wchodziłem do Tamarack, pogwizdywałem.

Wrzesień 1958 roku, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Co tam Człowiek z Żółtą Kartką. Miło było tu wrócić.

2

Resztę tego dnia spędziłem w swoim pokoju, po raz enty przeglądając zapiski Ala o Oswaldzie. Tym razem skupiłem się na dwóch stronach pod koniec zatytułowanych WNIOSKI CO DO SPOSOBU POSTEMPOWANIA. Oglądanie czegokolwiek w telewizorze, który odbierał praktycznie tylko jeden kanał, nie miało sensu, więc po zmierzchu poszedłem spacerkiem do kina samochodowego i zapłaciłem trzydzieści centów za wstęp, specjalną stawkę dla niezmotoryzowanych. Przed bufetem stały rozkładane krzesła. Kupiłem torbę popcornu i pepsol, smaczny napój o smaku cynamonu, i obejrzałem „Długie, gorące lato” z kilkoma innymi niezmotoryzowanymi, głównie starszymi ludźmi, którzy znali się

między sobą i toczyli przyjacielskie pogawędki. Kiedy zaczął się „Zawrót głowy”, zrobiło się zimno, a ja nie miałem kurtki. Wróciłem do motelu i tej nocy twardo spałem.

Rano pojechałem autobusem z powrotem do Lisbon Falls (żadnych taksówek; uznałem, że muszę oszczędzać, przynajmniej na razie) i pierwszy przystanek zrobiłem w Jolly White Elephant. O tak wczesnej porze było chłodno, więc bitnik siedział w środku na wyliniałej kanapie i czytał „Argosy”.

- Witam sąsiada - powiedział.

- Witam. Pewnie sprzedaje pan walizki?

- Och, jest kilka na składzie. Nie więcej niż dwieście. Idź pan na sam tył...

- Będą po prawej - powiedziałem.

- No właśnie. Był pan tu już kiedyś?

- Wszyscy tu kiedyś byliśmy - powiedziałem. - O tym sklepie jest głośniejsze niż o zawodowym futbolu.

Zaśmiał się.

- To klawo, szefuniu. Idź wybierz sobie coś porządnego.

Wziąłem tę samą skórzaną walizkę co poprzednio. Potem przeszedłem na drugą stronę ulicy i znowu kupiłem sunlinera. Tym razem bardziej się targowałem i dostałem go za trzy stowy. Po zakończonych pertraktacjach Bill Titus wysłał mnie do swojej córki.

- Pan chyba nietutejszy? - powiedziała.

- Pochodzę z Wisconsin, ale już dość długo siedzę w Maine. Interesy.

- Pewnie wczoraj nie było pana w Falls, co? - Kiedy powiedziałem, że nie, nadmuchała balon z gumy do żucia, aż pękł, i dodała: - Ciekawe rzeczy pana ominęły. Pod suszarnią zakładów znaleźli martwego pijaka. - Zniżyła głos. - Samobójstwo. Podciął sobie gardło kawałkiem szkła. Wyobraża pan sobie?

- Okropność - powiedziałem, chowając akt kupna-sprzedaży sunlinera do portfela. Podrzuciłem kluczyki na dłoni. - To ktoś miejscowy?

- Nie, i nie miał dokumentów. Pewnie włóczęga, który wyskoczył z pociągu towarowego, tak mówi mój tata. Może przyjechał na zbiór jabłek. Pan Cady, sprzedawca z zielonego sklepu, mówił tacie, że wczoraj rano ten facet chciał kupić u niego pół litra, ale był nietrzeźwy i śmierział, więc pan Cady go wyrzucił. Widać potem ten pijak poszedł na dziedziniec zakładowy wypić to, co mu zostało, a jak to się skończyło, rozbił butelkę i jednym z kawałków podciął sobie gardło. - Powtórzyła: - Wyobraża pan sobie?

Darowałem sobie strzyżenie (nie było konieczne, w Derry pilnowałem, żeby włosy za bardzo nie urosły), do banku też nie zabrałem, za to znowu kupiłem ubrania w sklepie

Mason's.

- Musi pan lubić ten odcień niebieskiego - skwitował sprzedawca, oglądając koszulę na wierzchu sterty, z którą poszedłem do kasy. - Ma pan na sobie koszulę w tym samym kolorze.

To była ta sama koszula, ale nie powiedziałem mu tego. To tylko zrobiłoby nam obu mętlik w głowie.

3

Tego środowego popołudnia ruszyłem w drogę autostradą Mila na Minutę. Tym razem nie musiałem kupować nakrycia głowy po przyjeździe do Derry, bo pamiętałem, żeby w Mason's do reszty nabytków dorzucić porządny słomkowy kapelusz. Zameldowałem się w Derry Town House, zjadłem kolację w restauracji, po czym poszedłem do baru i zamówiłem piwo u Freda Toomeya. W tej wersji przeszłości nie próbowałem go wciągnąć w rozmowę.

Nazajutrz wynająłem moje stare mieszkanie na Harris Avenue i zamiast nie dać mi zasnąć, dźwięk lądujących samolotów, o dziwo, ukołysał mnie do snu. Następnego dnia poszedłem do sklepu sportowego Machen's i powiedziałem sprzedawcy, że jestem zainteresowany kupnem pistoletu, bo pracuję w nieruchomościach i bla-bla-bla. Sprzedawca wyjął moją trzydziestkęósemkę i raz jeszcze zapewnił, że ona mnie porządnie ochroni. Kupiłem ją i schowałem do teczki. Pomyślałem, czy nie pójść na placik piknikowy przy Kansas Street, żeby popatrzeć, jak Richie-z-dziczy i Bevvie-co-mieszka-na-drzewie ćwiczą kroki taneczne, ale zorientowałem się, że spóźniłem się o jeden dzień. Żałowałem, że podczas krótkiego powrotu do 2011 nie sprawdziłem numerów „Daily News” z końca listopada; dowiedziałbym się, czy wygrali pokaz talentów.

Co dzień chodziłem do Lamplightera na podwieczorne piwo, w porze, kiedy jeszcze nie było dużego ruchu. Czasem zamawiałem Smażonki z Homara. Ani razu nie widziałem tam Franka Dunninga i nie chciałem go zobaczyć. Lamplighter stał się moim regularnym przystankiem z innego powodu. Gdyby wszystko dobrze się ułożyło, wkrótce miałem wyruszyć do Teksasu i chciałem przed wyjazdem pomnożyć moje finanse. Zaprzyjaźniłem się z barmanem Jeffem i pewnego wieczora pod koniec września poruszył temat, który sam zamierzałem zagaić.

- Na kogo stawiasz w World Series, George?

- Yankees, oczywiście - powiedziałem.

- Ty? Człowiek z Wisconsin?

- Patriotyzm lokalny nie ma nic do rzeczy. W tym roku fortuna sprzyja Yankees.

- A gdzie tam. Ich miotacze są starzy. Obrona jest dziurawa. Mantle ciągle łapie kontuzje. Dynastia Bombardierów z Bronxu wygasła. Nie będę zdziwiony, jak Milwaukee wygra do zera.

Zaśmiałem się.

- Argumenty masz mocne, Jeffery, widzę, że rozmawiam z fachowcem, ale przyznaj: nienawidzisz Yankees jak cała Nowa Anglia i przez to masz wypaczony punkt widzenia.

- Może się założymy?

- Jasne. O piątaka. Mam zasadę, że z ludzi pracy więcej nie ściagam. To jak, stoi?

- Stoi. - Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- No dobra - powiedziałem - a korzystając z okazji, że poruszyliśmy tematy baseballu i zakładów, dwóch ulubionych rozrywek Ameryki, tak sobie pomyślałem, że może wiesz, gdzie w tym mieście mógłbym zagrać na serio. Jeśli pozwolisz, że popadnę w poetycki ton, chciałbym postawić sporą sumkę. Daj jeszcze jedno piwo i przy okazji nalej sobie.

Powiedziałem „sporą sumkę” z akcentem z Maine i Jeff zaśmiał się, nalewając dwa narragansetty (które nauczyłem się nazywać Marnymi Gansettami; kiedy wejdiesz między wrony, w miarę możliwości powinienes krakać jak i one).

Stuknęliśmy się szklankami i Jeff spytał, co rozumiem przez „zagrać na serio”. Udałem, że się zastanawiam, po czym mu powiedziałem.

- Pięć stów? Na Yankees?! Kiedy Braves mają Spahna i Burdette'a? Że nie wspomnę o Aaronie i Eddiem „Pewniaku” Matthewsie? Zwariowałeś!

- Może tak, może nie. Zobaczymy po pierwszym października, nie? To co, jest w Derry ktoś, kto przyjąłby zakład tej wysokości?

Czy wiedziałem, co odpowie? Nie. Aż takim prorokiem to ja nie jestem. Czy byłem zaskoczony? Też nie. Przeszłość bowiem jest nie tylko nieustępliwa; pozostaje w harmonii z samą sobą i z przyszłością. Co rusz doświadczałem tej harmonii na własnej skórze.

- Chaz Frati. Pewnie widziałeś go tutaj. Prowadzi kilka lombardów. Nie nazwałbym go bukmacherem, ale w trakcie rozgrywek ligi szkolnej i World Series ma ruch w interesie.

- I myślisz, że przyjmie mój zakład.

- Jasne. Poda ci kurs i tak dalej. Tylko... - Rozejrzał się, zobaczył, że nadal mamy cały kontuar dla siebie, ale i tak zniżył głos do szeptu. - Tylko nie próbuj go kiwać, George. On zna ludzi. Mocnych ludzi.

- Rozumiem. Dzięki za radę. Wiesz co? Będę dla ciebie łaskawy i kiedy Yankees wygrają, daruję ci te pięć dolców.

Nazajutrz wszedłem do Lombardu i Kasy Pożyczkowej „Fair Deal” Chaza Fratiego. W środku wyrosła przede mną tęga dama o kamiennej twarzy, na oko sto czterdzieści kilo żywej wagi. Miała na sobie fioletową sukienkę, indiańskie paciorki i mokasyny na opuchniętych stopach. Powiedziałem jej, że chciałbym przedstawić panu Fratiemu dużą propozycję biznesową na tle sportowym.

- To po ludzku znaczy zakład? - spytała.

- Pani z policji?

- Tak - odparła, wyjęła z kieszeni sukienki tiparillo i zapaliła go zapalniczką Zippo. - Nazywam się J. Edgar Hoover, synu.

- Cóż, panie Hoover, przejrzał mnie pan na wylot. Tak, mówię o zakładzie.

- Na World Series czy mecz Tygrysów?

- Nie jestem stąd i nie odróżniłbym Tygrysa z Derry od Pawiana z Bangor. Chodzi o baseball.

Kobieta wsadziła głowę w ukryte za zasłoną drzwi w głębi pomieszczenia, prezentując mi bez wątpienia jeden z największych tyłków w centralnym Maine, i krzyknęła:

- Hej, Chazzie, chodź no tu! Jeleń ci się trafił.

Frati wyszedł i pocałował korpulentną jejmość w policzek.

- Dziękuję, kochanie moje. - Miał zakasane rękawy i widziałem syrenę. - Mogę w czymś pomóc?

- Mam taką nadzieję. Nazywam się George Amberson. - Podąłem mu rękę. - Jestem z Wisconsin i choć serce każe kibicować ziomkom, Portfel trzyma z Yankees.

Odwrócił się w stronę regału za jego plecami, ale tęga jejmość już miała to, czego chciał - poobcierany zielony brulion ze słowem POŻYCZKI na okładce. Otworzył go i przekartkował, aż znalazł czystą stronę, od czasu do czasu zwilżając czubek palca.

- O jak dużej części portfela mówimy, brachu?

- Jaki kurs proponuje pan, jeśli postawię pięćset na wygraną?

Gruba kobieta zaśmiała się i wydmuchnęła dym.

- Bombardierów? Jeden do jednego, brachu. Jeden do jednego.

- Ile dostałbym za pięćset na wygraną Yankees w siedmiu meczach?

Zamyślił się i odwrócił do tegiej jejmości. Pokręciła głową, wciąż wyraźnie rozbawiona.

- Nie da rady - powiedziała. - Jak pan nie wierzy, niech pan wyśle telegram do

Nowego Jorku i sam sprawdzi, ile tam dają.

Westchnąłem i zabębniłem palcami w szklaną gablotę wypełnioną zegarkami i pierścionkami.

- No dobra, a co powiecie na to: stawiam pięćset, że Yankees odrobnią straty ze stanu jeden do trzech i wygrają.

Zaśmiał się.

- Niezłe masz poczucie humoru, brachu. Pozwól, że skonsultuję się z szefową.

Naradził się szeptem z tęgą jejmością (wyglądał przy niej jak krasnolud z Tolkiena) i wrócił do lady.

- Jeśli masz na myśli to, co mi się wydaje, przyjmę twój zakład po kursie cztery do jednego. Ale jeśli Yankees nie będą przegrywać jeden do trzech i nie wygrają potem całego finału, stracisz wszystko. Chcę, żeby warunki zakładu były jasne.

- Są jasne jak słońce - powiedziałem. - I... nie chciałbym urazić pana ani pańskiej przyjaciółki...

- Jesteśmy małżeństwem - wtrąciła tęga jejmość - więc nie nazywaj nas pan przyjaciółmi. - I jeszcze trochę się pośmiała.

- Nie chciałbym urazić pana ani pańskiej żony, ale cztery do jednego to za mało. Za to osiem do jednego... to już byłaby gra o coś, dla obu stron.

- Dam pięć do jednego i na tym koniec - rzekł Frati. - Dla mnie to tylko zajęcie na boku. Marzy ci się Vegas, jedź do Vegas.

- Siedem - powiedziałem. - No, panie Frati, niech pan mi pójdzie na rękę.

Naradził się z tęgą jejmością. Potem wrócił i zaproponował sześć do jednego, na co się zgodziłem. To i tak był niski kurs jak na tak szalony zakład, ale nie chciałem za bardzo trzepnąć Fratiego po kieszeni. To prawda, że wystawił mnie Billowi Turcotte'owi, ale miał swoje powody. Poza tym to było w innym życiu.

5

W tamtych czasach w baseball grało się tak, jak się powinno grać - w blasku popołudniowego słońca, wczesną jesienią, kiedy w powietrzu jeszcze czuć lato. Ludzie zbierali się przed sklepem AGD Benton's w Dolnym Mieście, by oglądać mecze w trzech dwudziestojednocalowych zenithach ustawionych na piedestałach w witrynie. Nad nimi był napis treści PO CO OGLĄDAĆ NA ULICY, KIEDY MOŻNA W DOMU? DOGODNE WARUNKI KREDYTU!

No tak. Dogodne warunki kredytu. To już bardziej przypominało Amerykę, w której dorastałem.

Pierwszego października Milwaukee wygrało z Yankees jeden do zera dzięki doskonałej grze Warrena Spahna. Drugiego października Milwaukee rozgromiło Bombardierów trzynastie do pięciu. Czwartego października, kiedy rywalizacja finałowa przeniosła się do Bronxu, miotacz Don Larsen poprowadził Yankees do zwycięstwa cztery do zera, z pomocą swojego zmiennika, Ryne'a Durena, który rzucając, nie miał pojęcia, dokąd piłka poleci, i z tego względu budził paniczny lęk u pałkarzy, którzy musieli stanąć naprzeciw niego. Innymi słowy, idealny zawodnik na dobiecie przeciwnika.

Pierwszej części tego spotkania słuchałem w radiu w moim mieszkaniu, a ostatnich parę rund obejrzałem razem z tłumem zebrany przed sklepem Benton's. Kiedy mecz się skończył, poszedłem do drogerii i kupiłem kaopectate (zapewne tę samą wielką butelkę co poprzednio). Pan Keene znowu zapytał, czy złapała mnie grypa żołądkowa. Kiedy powiedziałem, że czuję się świetnie, stary drań zrobił zawiedzioną minę. Naprawdę czułem się świetnie i nie sądziłem, by przeszłość szykowała mi dokładnie te same niespodzianki co poprzednio, ale przezorny zawsze ubezpieczony.

Kiedy wychodziłem z drogerii, moje spojrzenie przyciągnęła gablota, nad którą wisiała tabliczka ZABIERZ DO DOMU KAWALEK MAINE! Były tam pocztówki, nadmuchiwane homary, słodko pachnące woreczki z sosnowym igliwem, repliki figury Paula Bunyana i małe ozdobne poduszki z wieżą ciśnień w Derry. Kupiłem jedną z nich.

- Dla siostrzeńca z Oklahoma City - powiedziałem panu Keene'owi.

Kiedy wjechałem na stację Texaco na Harris Avenue Extension zwycięstwo Yankees stało się faktem. Przed dystrybutorami była tablica treści MECHANIK DYŻURUJE 7 DNI W TYGODNIU - POWIERZ SWÓJ SAMOCHÓD CZŁOWIEKOWI, KTÓRY NOSI GWIAZDĘ!

Podczas gdy chłopak z obsługi napelniał bak i mył przednią szybę sunlinera, ja poszedłem do warsztatu, odszukałem dyżurnego mechanika Randy'ego Bakera i chwilę się z nim potargowałem. Baker był zdziwiony, ale przystał na moją propozycję. Dwadzieścia dolarów przeszło z ręki do ręki. Podał mi numery telefonów do stacji benzynowej i swojego domu. Odjechałem z pełnym bakiem, czystą przednią szybą i spokojną głową. No... względnie spokojną. Nigdy nie da się przewidzieć wszystkich ewentualności.

Z uwagi na moje przygotowania do tego, co miało się stać nazajutrz, poszedłem do Lamplighera na wieczorne piwo później niż zwykle, ale nie było zagrożenia, że natknę się na Franka Dunninga. Tego dnia zabrał dzieci na mecz do Orono i w drodze powrotnej mieli

zatrzymać się w Ninety-Fiver na smażone małże i shake'i.

Chaz Frati był przy kontuarze, sączył whisky z wodą.

- Módl się, żeby Braves jutro wygrali, inaczej będziesz pięć stów do tyłu - powiedział.

Wiedziałem, że wygrają, ale miałem ważniejsze rzeczy na głowie. Zamierzałem zostać w Derry dość długo, by odebrać od pana Fratiego należne mi trzy tysiące, ale najistotniejszą sprawę miałem załatwić już nazajutrz. Jak dobrze pójdzie, jeszcze zanim Braves zdobędą w szóstej rundzie, jak się później okaże, punkt przesądzający o zwycięstwie.

- Cóż - powiedziałem, zamawiając piwo i Smażonki z Homara - pożyczmy, zobaczymy, nie?

- Zgadza się, brachu. W tym cała frajda z zakładania się. Mogę o coś spytać?

- Proszę bardzo. Pod warunkiem że się nie obrazisz, jeśli nie odpowiem.

- To właśnie mi się w tobie podoba, brachu: to poczucie humoru pewnie ludzie z Wisconsin tak mają. Ciekawi mnie, dlaczego właściwie przyjechałeś do naszego pięknego miasta.

- Nieruchomości. Chyba już ci mówiłem.

Nachylił się ku mnie. Jego zaczesane do tyłu, przylizane włosy pachniały wodą Vitalis, oddech cukierkiem Sen-Sen.

- Gdybym powiedział „działka pod centrum handlowe”, byłbym blisko?

I potem jeszcze trochę sobie porozmawialiśmy, ale o tym już było.

6

Wcześniej wspomniałem, że nie zaglądałem do Lamplightera, kiedy mógł tam być Frank Dunning, bo wiedziałem o nim już wszystko, co potrzebowałem wiedzieć. To prawda, ale nie cała prawda. Muszę to jasno powiedzieć. Inaczej nie zrozumiecie, dlaczego później w Teksasie zachowywałem się tak, jak się zachowywałem.

Wyobraźcie sobie, że wchodzicie do pokoju i widzicie na stole misterny, wielopiętrowy domek z kart. Waszym zadaniem jest go obalić. Gdyby to było wszystko, sprawa prosta, nieprawdaż? Wystarczy mocno tupnąć albo potężnie dmuchnąć, jak solenizant na świeczki na torcie urodzinowym. Ale to nie wszystko. Sęk w tym, że musicie obalić ten domek z kart w konkretnym momencie. Do tego czasu musi stać.

Wiedziałem, gdzie Dunning będzie niedzielnego popołudnia piątego października 1958 roku, i nie chciałem ryzykować, że zmienię jego harmonogram choćby o ułamek sekundy. A nawet wymiana spojrzeń w Lamplighterze mogłaby mieć taki skutek. Możecie

sobie drwić, wyrzucać mi nadmiar ostrożności; możecie sobie uważać, że mało prawdopodobne, by taka błahostka mogła zmienić bieg wydarzeń. Jednak przeszłość jest delikatna jak skrzydło motyla. Albo domek z kart.

Wróciłem do Derry, żeby obalić domek z kart Franka Dunninga, ale do tego czasu musiałem ten domek chronić.

7

Powiedziałem Chazowi Fratiemu dobranoc i wróciłem do mieszkania. Butelka kaopectate stała w szafce z lekarstwami w łazience, a moja nowa pamiątkowa poduszka z wyszytą złotą nicią wieżą ciśnień leżała na stole kuchennym. Wyjąłem nóż z szuflady ze sztucami i starannie rozciąłem poszwę po przekątnej. Do środka włożyłem rewolwer, wciskając go głęboko w wypełnienie poduszki.

Nie byłem pewien, czy zasnę, ale zasnąłem, i to twardo. „Rób co w twojej mocy, resztę zostaw Bogu” - to tylko jedno z wielu powiedzonek, które Christy wyniosła ze spotkań Anonimowych Alkoholików. Nie wiem, czy Bóg istnieje, czy nie - dla Jake'a Eppinga ta kwestia pozostaje nierozstrzygnięta - ale kiedy tego wieczora kładłem się do łóżka, byłem pewien, że zrobiłem wszystko co w mojej mocy. Teraz mogłem już tylko trochę się przespać i liczyć, że owo „wszystko” wystarczy.

8

Nie było grypy żołądkowej. Tym razem obudziłem się o świcie z najbardziej paralizującym bólem głowy w moim życiu. Migrena? Nie wiedziałem na pewno, bo nigdy dotąd jej nie miałem. Wystarczyło, że spojrzałem choćby w blade światło, a już czułem mdlące łupanie przetaczające się falami od karku po zatoki. Z moich oczu ciekły niczym nieuzasadnione łzy.

Wstałem (nawet to bolało), założyłem tanie okulary przeciwsłoneczne, które kupiłem w drodze do Derry, i łyknąłem pięć aspiryn. Pomogły na tyle, że zdołałem się ubrać i włożyć płaszcz. Nie obyłbym się bez niego; ranek był chłodny i szary, zanosilo się na deszcz. Poniekąd było to korzystne. Nie jestem pewien, czy przeżyłbym na słońcu.

Wypadało, żebym się ogolił, ale dałem sobie z tym spokój; gdybym stanął w jasnym świetle - podwojonym w łazienkowym lustrze - mógł by mi się po prostu rozpuścić. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak przeżyję ten dzień, więc nawet nie próbowałem. Krok po kroku,

powiedziałem sobie, powoli schodząc schodami na dół. Jedną ręką trzymałem się poręczy, w drugiej niosłem pamiątkową poduszkę. Musiałem wyglądać jak przerosnięte dziecko z pluszowym misiem. Krok po kro...

Poręcz się złamała.

Przechyliłem się do przodu, z pękającą głową, rozpaczliwie wymachując rękami. Upuściłem poduszkę (rewolwer w środku brzęknął) i usiłowałem wczepić się dłońmi w ścianę. W ostatniej chwili, zanim mój przechył przeszedł w karkołomny upadek, chwyciłem palcami staromodny kinkiet przyśrubowany do tynku. Wyrwałem go, ale kabel elektryczny wytrzymał dość długo, żebym zdołał odzyskać równowagę.

Usiadłem na schodach z łupiącą głową na kolanach. Ból pulsował w rytmie walącego jak młot pneumatyczny serca. Moje łzawiące oczy zdawały się nie mieścić w oczodołach. Mógłbym wam powiedzieć, że chciałem wrócić jak niepyszny do swojego mieszkania i dać za wygraną, ale to nie byłaby prawda. Prawda była taka, że chciałem umrzeć tam, na schodach, i mieć już święty spokój. Czy są ludzie, którzy doświadczają takich bólów głowy nie tylko raz na jakiś czas, ale regularnie? Jeśli tak, niech Bóg im dopomoże.

Jedno mogło mnie postawić na nogi i zmusiłem moją obolałą mózgownicę, żeby nie tylko o tym pomyślała, ale i to zobaczyła: twarz czółgającego się ku mnie Tuggi Dunninga, nagle zmieniającą się w krwawą miazgę. Jego włosy i mózg wzbijające się w powietrze.

Podniosłem pamiątkową poduszkę i chwiejnie zszedłem na sam dół schodów. Na zewnątrz powitał mnie chmurny dzień, który wydawał się jasny jak popołudnie na Saharze. Sięgnąłem po kluczyki. Nie było ich. Tam, gdzie być powinny, znalazłem sporą dziurę w prawej przedniej kieszeni spodni. Wieczorem jeszcze jej nie było, byłem tego prawie pewien. Obróciłem się małymi, niepewnymi kroczkami. Kluczyki leżały na werandzie, wśród porzrzucanych drobnych monet. Pochyliłem się, krzywiąc się z bólu, kiedy ołowiany ciężar w mojej głowie przesunął się do przodu. Podniosłem kluczyki i powlokłem się do sunlinera. I kiedy spróbowałem go uruchomić, mój dotąd niezawodny ford ani myślał zapalić. W rozruszniku trzasnęło. I tyle.

Byłem przygotowany na taką ewentualność; nie byłem jednak przygotowany na to, że będę musiał zawlec moją rozdętą jak chory pęcherz głowę z powrotem schodami na górę. Jeszcze nigdy tak bardzo mi nie brakowało mojej nokii. Gdybym ją miał, mógłbym zadzwonić z samochodu, a potem siedzieć spokojnie z zamkniętymi oczami aż do przyjazdu Randy'ego Bakera.

Jakimś cudem wdrapałem się z powrotem na górę, obok złamanej poręczy i kinkietu, który wisiał na pooblupywanym tynku jak martwa głowa na skręconym karku. Na stacji

obsługi nikt nie odbierał - był niedzielny ranek - więc wybrałem numer domowy Bakera.

Pewnie umarł, pomyślałem. W środku nocy dostał ataku serca. Zabiła go nieustępliwa przeszłość przy biernym współludziale Jake'a Eppinga.

Mój mechanik nie umarł. Z rozspanym głosem odebrał po drugim sygnale i kiedy powiedziałem mu, że mój samochód nie chce zapalić, zadał logiczne pytanie:

- Skąd pan wczoraj wiedział?

- Mam wycucie - powiedziałem. - Niech pan przyjedzie jak najszybciej, dobrze? Ma pan u mnie następne dwie dychy, jeśli zdoła pan go uruchomić.

9

Baker wymienił przewód od akumulatora, który w tajemniczy sposób odczepił się w nocy (może w tej samej chwili, kiedy w kieszeni moich spodni robiła się dziura), a gdy sunliner nadal nie chciał zapalić, sprawdził świece zapłonowe i okazało się, że dwie mocno zardzewiały. Miał zapasowe w swojej dużej zielonej skrzynce z narzędziami i kiedy je wkręcił, mój rydwan z rykiem obudził się do życia.

- To pewnie nie mój interes, ale pana miejsce jest nie za kółkiem, tylko w łóżku. Albo u lekarza. Błady pan jak zjawa.

- To tylko migrena. Nic mi nie będzie. Zajrzyjmy do bagażnika. Chcę sprawdzić koło zapasowe.

Sprawdziliśmy koło zapasowe. Kapeć.

Pojechałem za Bakerem przez drobną, ciągłą mżawkę na stację Texaco. Samochody, które mijaliśmy, miały zapalone reflektory i mimo przeciwsłonecznych okularów każda para świateł zdawała się wiercić mi dziury w mózgu. Baker otworzył warsztat i spróbował napompować moje koło zapasowe. Nic z tego. Powietrze uciekało z sykiem przez kilka szczelin niewiele grubszych od porów w ludzkiej skórze.

- Hm - mruknął. - Pierwszy raz widzę coś takiego. Opona musi być wadliwa.

- Niech pan założy nową - odparłem.

Podczas gdy on wziął się do roboty, ja poszedłem za warsztat. Nie mogłem znieść dźwięku sprężarki. Oparłem się o ścianę z pustaków i podniosłem twarz, pozwalając, by zimna mżawka zrosiła moją rozpaloną skórę. Krok po kroku, powtarzałem sobie. Krok po kroku.

Kiedy chciałem zapłacić Randy'emu Bakerowi za oponę, potrzęsnał głową.

- Już dał mi pan połowę mojej tygodniówki. Byłbym bydlę, jakbym wziął więcej. Boję

się tylko, że wpadnie pan do rowu albo coś. To naprawdę aż tak ważna sprawa?

- Choroba w rodzinie.

- Sam pan jest chory.

Nie mogłem zaprzeczyć.

10

Wyjechałem z miasta drogą numer 7, zwalniając i rozglądając się w obie strony na każdym skrzyżowaniu, czy miałem pierwszeństwo, czy nie. I bardzo dobrze, jak się okazało, bo na skrzyżowaniu siódemki i Old Derry Road rozpędzona, wyładowana żwirem ciężarówka przejechała na czerwonym. Gdyby nie to, że prawie stanąłem w miejscu, choć miałem zielone, z mojego forda zostałyby kupa złomu, a ze mnie kotlet mielony. Wcisnąłem klakson mimo bólu głowy, ale kierowca nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Wyglądał jak zombi za kierownicą.

Nie dam rady, za nic w świecie, pomyślałem. Ale gdybym nie powstrzymał Franka Dunninga, jakże mógłbym liczyć na to, że powstrzymam Oswalda? Po co w ogóle miałbym jechać do Teksasu?

Nie to jednak trzymało mnie na chodzie. Nie, za to odpowiadała myśl o Arthurze Dunningu. I o trójce pozostałych dzieci. Raz już je ocaliłem. Gdybym nie uratował ich znowu, jakże mógłbym uciec od świadomości, że współuczestniczyłem w morderstwie przez sam fakt spowodowania kolejnego resetu?

Dojechałem do kina samochodowego i skręciłem na żwirowy podjazd prowadzący do zamkniętej na głucho kasy. Wzdłuż podjazdu rosły ozdobne jodły. Zaparkowałem za nimi, zgasilem silnik i spróbowałem wysiąść. Nic z tego. Drzwi nie chciały się otworzyć. Parę razy napałem na nie ramieniem, a kiedy i to nie pomogło, zobaczyłem, że zamek jest wciśnięty, choć samozamykające się samochody to wówczas była odległa przyszłość, a ja go nie wcisnąłem. Próbowałem go wyciągnąć. Na próżno. Poruszałem nim na boki. Nie wychodził. Otworzyłem okno, wychyliłem się i udało mi się wsunąć kluczyk do dziurki pod chromowanym guzikiem na klamce. Tym razem zamek wyskoczył. Wysiadłem i sięgnąłem do środka po pamiątkową poduszkę.

„Opór wobec zmiany jest proporcjonalny do tego, jak bardzo przyszłość może się zmienić wskutek danego czynu”, powiedział Ałowi moim najlepszym belferskim tonem i to była prawda. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, jaką cenę trzeba za to zapłacić. Aż do teraz.

Wolno ruszyłem poboczem drogi numer 7, osłonięty od deszczu postawionym kołnierzem i kapeluszem naciągniętym na uszy. Kiedy nadjeżdżały samochody - a zdarzało się to rzadko - chowałem się między drzewami, które rosły po mojej stronie drogi. Zdaje się, że czasem przykładalem dłonie do skroni, żeby sprawdzić, czy mi głowa nie puchnie. Takie sprawiała wrażenie.

Wreszcie skończyły się drzewa. Zastąpił je kamienny mur. Za nim były starannie wypielegnowane, łagodne pagórki usiane nagrobkami i pomnikami. Cmentarz Longview. Wspiąłem się na wzniesienie i zobaczyłem stragan z kwiatami po drugiej stronie drogi. Stał zamknięty, w środku nie paliło się światło. W weekendy, czas odwiedzania zmarłych, zwykle był duży ruch, ale nie w taką pogodę. Starsza pani, która prowadziła stragan, zapewne postanowiła pospać dłużej. Później otworzy interes. Widziałem to na własne oczy.

Wdrapałem się na mur, przygotowany na to, że się pode mną zawali, ale tak się nie stało. I kiedy dostałem się na teren Longview, zdarzył się cud: ból głowy powoli zelżał. Usiadłem na nagrobku pod zwieszającymi się gałęziami wiązu, zamknąłem oczy i oceniłem poziom bólu. Dotąd sięgał dziesięciu na dziesięć punktów - może nawet jedenastu - teraz jednak osłabł do ośmiu.

- Chyba się przebiłem, Al - powiedziałem. - Chyba jestem po drugiej stronie.

Mimo to szedłem ostrożnie, wypatrując kolejnych sztuczek - upadających drzew, hien cmentarnych, może nawet płonącego meteorytu. Nie było nic. Kiedy dotarłem do sąsiadujących ze sobą grobów oznaczonych ALTHEA PIERCE DUNNING i JAMES ALLEN DUNNING, ból głowy nie przekraczał już pięciu punktów.

Rozejrzałem się i zobaczyłem mauzoleum ze znajomym nazwiskiem wygrawerowanym na różowym granicie: TRACKER. Poszedłem tam i pociągnąłem żelazną furtkę do siebie. W 2011 byłaby zamknięta na kłódkę, ale to był rok 1958 i otworzyła się bez oporu... choć z godnym horrorem skowytem zardzewiałych zawiasów.

Wszedłem do środka, brnąc przez zwał starych, suchych liści. Na środku krypty stała kamienna ławeczka dumania; po bokach były kamienne schowki z Trackerami sięgające roku 1831. Według miedzianej tablicy na najstarszym spoczywały w nim kości monsieur Jeana Paula Traiche'a.

Zamknąłem oczy.

Położyłem się na ławce i zapadłem w drzemkę.

Zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, było prawie południe. Podeszedłem do furtki krypty Trackerów, żeby poczekać na Dunninga... tak jak Oswald Pięć lat później miał czekać w swojej

strzeleckiej ambonie na piątym Piętrze Teksaskiej Składnicy Podręczników na przejazd kawalkady Kennedy'ego.

Ból głowy minął.

11

Pontiac Dunninga zjawił się mniej więcej o tej samej porze, kiedy Red Schoendienst zdobywał pierwszy z punktów, które miały dać zwycięstwo Milwaukee Braves. Dunning zaparkował na najbliższej alejce wysiadł, postawił kołnierz, po czym schylił się i sięgnął do samochodu po kosze z kwiatami. Ruszył w dół wzgórza, do grobów rodziców niosąc po jednym koszu w każdej dłoni.

Teraz, kiedy ta chwila nadeszła, czułem się całkiem dobrze. Przebiłem się na drugą stronę tego, co próbowało mnie powstrzymać. Pamiątkową poduszkę miałem pod płaszczem. Trzymałem w niej dłoń. Mokra trawa tłumiała moje kroki. Słońce nie świeciło, więc nie rzucałem cienia. Dunning nie wiedział, że za nim jestem, dopóki nie powiedziałem na głos jego nazwiska. Wtedy się odwrócił.

- Kiedy odwiedzam rodziców, nie lubię towarzystwa - powiedział. - Coś ty za jeden, do cholery? I co to? - Patrzył na poduszkę, którą wyjąłem z za pazuchy. Okrywała moją dłoń jak rękawiczka.

Postanowiłem odpowiedzieć tylko na pierwsze pytanie.

- Nazywam się Jake Epping. Przyszedłem cię o coś spytać.

- To pytaj, a potem daj mi spokój. - Deszcz kapał z runda jego kapelusza. Z mojego też.

- Co jest w życiu najważniejsze, Dunning?

- Że co?

- W życiu człowieka, o to mi chodzi.

- Co ty, szaleju się objadłeś? A w ogóle to po kiego ci ta poduszka?

- Zrób mi tę przyjemność. Odpowiedz na pytanie.

Wzruszył ramionami.

- Pewnie rodzina.

- Też tak uważam - powiedziałem i dwa razy pociągnąłem za spust. Przy pierwszym strzale rozległo się zgłuszone łupnięcie, jakby trzepaczki uderzającej w dywan. Drugi był trochę głośniejszy. Myślałem, że poduszka się zapali - widziałem coś takiego w „Ojcu chrzestnym 2” - ale tylko przez chwilę się tliła. Dunning przewrócił się, miażdżąc kosz

kwiatów, który postawił na grobie ojca. Ukląknęłam przy nim, wyciskając kolanem wodę z nasączonej ziemi, przyłożyłam rozdarty koniec poduszki do jego skroni i strzeliłam jeszcze raz. Dla pewności.

12

Zaciągnąłem go do mauzoleum Trackerów i upuściłem osmaloną poduszkę na jego twarz. Kiedy wyszedłem, parę samochodów jechało powoli przez cmentarz i kilku ludzi stało pod parasolami przy grobach, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi. Ruszyłem bez pośpiechu w stronę kamiennego muru, od czasu do czasu przystając, by obejrzeć jakiś grób lub pomnik. Jak tylko zasłoniły mnie drzewa, potruchtałem do mojego forda. Ilekroć słyszałem nadjeżdżający samochód, dawałem nura do lasu. Podczas jednej z takich rejterad zagrzebałem kolta pod grubą warstwą ziemi i liści. Sunliner czekał nietknięty tam, gdzie go zostawiłem, i zapalił za pierwszym razem. Pojechałem do swojego mieszkania, tam posłuchałem transmisji z końcowej części meczu. Zdaje się, że trochę sobie popłakałem. To były łzy ulgi, nie skruchy. Cokolwiek miało się stać ze mną, rodzina Dunningów była bezpieczna.

Tej nocy spałem jak niemowlę.

13

W poniedziałkowym „Derry Daily News” było dużo o World Series, w tym także ładne zdjęcie Schoendiensta zdobywającego po błędzie Tony'ego Kubeka punkt, który przesądził o zwycięstwie. Red Barber twierdził, że Bombardierzy z Bronxu są skończeni. „Można postawić na nich krzyżyk - rezonował. - Jankesi umarli, niech żyją Jankesi”.

Na początku nowego tygodnia roboczego nie było nic o Franku Dunningu, za to już we wtorek napisali o nim na pierwszej stronie, dołączając do tekstu zdjęcie, na którym promieniał uśmiechem adonisa. Diaboliczny błysk w oku à la George Clooney był na swoim miejscu.

CIAŁO ZAMORDOWANEGO BIZNESMENA ZNALEZIONE NA LOKALNYM CMENTARZU

Dunning aktywnie uczestniczył w wielu akcjach charytatywnych

Komendant policji w Derry zapewniał, że śledczy badają wiele obiecujących tropów i należy się spodziewać rychłego aresztowania sprawcy. W rozmowie telefonicznej z autorem

artykułu Doris Dunning oświadczyła, że jest „szokowana i zdruzgotana”. Ani słowa o tym, że ona i denat nie mieszkali ze sobą. Jego znajomi i współpracownicy z Center Street Market byli równie wstrząśnięci. Wszyscy wydawali się zgodni co do tego, że z Franka Dunninga był wspaniały chłop, i nikt nie miał pojęcia, dlaczego ktokolwiek miałby chcieć go zastrzelić.

Tony Tracker był szczególnie zbulwersowany (może dlatego, że zwłoki znaleziono w rodzinnej składnicy ciał). „Dla tego, kto to zrobił, powinno się przywrócić karę śmierci”, oświadczył.

W środę ósmego października Yankees wymęczyli zwycięstwo dwa do jednego nad Braves na County Stadium; w czwartek, przy remisie dwa do dwóch, w ósmej rundzie zdobyli cztery punkty i zostali mistrzami. W piątek poszedłem do Lombardu i Kasy Pożyczkowej „Fair Deal”, spodziewając się, że powitają mnie tam pani Zręda i pan Dąs. Tęga jejmość spełniła moje oczekiwania z nawiązką - na mój widok skrzywiła się i krzyknęła: „Chazzie! Burzuj przyszedł!”. Zaraz potem weszła w ukryte za zasłoną drzwi i zniknęła z mojego życia.

Fрати wyszedł z tym samym uśmiechem wiewiórki, który po raz pierwszy zobaczyłem w Lamplighterze podczas mojej poprzedniej wyprawy do barwnej przeszłości Derry. W dłoni trzymał wypchaną kopertę podpisaną wielkimi literami G. AMBERSON.

- Jaśnie pan we własnej osobie - powiedział. - Proszę, oto twój łup. Chcesz, to przelicz.

- Ufam ci - odparłem i schowałem kopertę do kieszeni. - Strasznie jesteś wesoły jak na człowieka, który stracił trzy patole.

- Nie przeczę, uszczupliłeś moje zyski. I to mocno, choć parę dolców i tak zarobiłem. Jak zawsze. Ale tak czy tak zajmuję się tym głównie w ramach, jak to się zwie, służby publicznej. Ludzie chcą i zawsze będą chcieli się zakładać, a ja gwarantuję im szybką wypłatę jeśli taka się należy. Poza tym lubię przyjmować zakłady. To takie moje hobby. A wiesz, kiedy lubię to najbardziej?

- Nie.

- Kiedy zjawia się ktoś taki jak ty, prawdziwy jeździec znikąd, który wbrew oczekiwaniom zgarnia całą pulę. To przywraca mi wiarę w to, że ślepy traf rządzi wszechświatem.

Ciekaw byłem, czy dalej uważałby to za ślepy traf, gdyby zobaczył ściągawkę Ala Templetona.

- Twoja żona chyba nie zapatruje się na to tak, hm, wyrozumiale.

Zaśmiał się i jego małe czarne oczka rozbłysły. Czy wygrywał, czy przegrywał, czy remisował, ten człowiek z syreną na przedramieniu po prostu cieszył się życiem. Podziwiałem

to.

- Ech, ta Marjorie. Wystarczy, że przyjdzie tu jakaś oferma losu z pierścionkiem zaręczynowym żony i rzewną historyjką, a już topnieje jak wosk. Za to kiedy idzie o bukmacherkę, robi się z niej zupełnie inna kobieta. Bierze to do siebie.

- Bardzo ją kochasz, co?

- Jak księżyc i gwiazdy na niebie, brachu. Jak księżyc i gwiazdy.

Na oszklonej gablocie zawierającej pierścionki i inne rzeczy leżała dzisiejsza gazeta, którą zostawiła tam Marjorie. Nagłówek głosił POSZUKIWANIA TAJEMNICZEGO ZABÓJCZY TRWAJĄ, FRANK DUNNING POCHOWANY.

- Jak myślisz, co się za tym kryje? - spytałem.

- Nie wiem, ale coś ci powiem. - Wychylił się do przodu i uśmiech zniknął z jego twarzy. - Nie był taki święty, jak o nim piszą w tym lokalnym szmatławcu. Niejedno mógłbym ci opowiedzieć, brachu.

- Śmiało. Mam cały dzień do dyspozycji.

Uśmiech pojawił się znowu.

- Nie. W Derry sami pierzemy swoje brudy.

- Zauważyłem. - Pokiwałem głową.

14

Chciałem wrócić na Kossuth Street. Wiedziałem, że gliny mogą obserwować dom Dunningów, by zobaczyć, czy ktoś wykazuje niezwykle zainteresowanie rodziną ofiary, ale to pragnienie i tak było bardzo silne. Nie Harry'ego chciałem zobaczyć, tylko jego młodszą siostrę. Pragnąłem jej powiedzieć kilka rzeczy.

Że w Halloween powinna pójść zbierać cukierki bez względu na to jak bardzo jej smutno z powodu śmierci taty.

Że będzie najładniejszą, najbardziej magiczną indiańską księżniczką, jaką świat widział, i że wróci do domu z górą cukierków.

Że ma przed sobą co najmniej pięćdziesiąt trzy długie, pracowite lata, a zapewne dużo więcej.

I, co najważniejsze, że pewnego dnia jej brat Harry będzie chciał włożyć mundur i wstąpić do wojska, i że wtedy będzie musiała zrobić absolutnie wszystko co w jej mocy, żeby mu to wyperswadować.

Tylko że dzieci zapominają. Wie to każdy nauczyciel.

I myślą, że będą żyć wiecznie.

15

Przyszedł czas, by opuścić Derry, ale przedtem miałem jeszcze jedną drobną sprawę do załatwienia. Zaczekałem do poniedziałku. Tego popołudnia, trzynastego października, wrzuciłem walizkę do bagażnika sunlinera, po czym siedziałem za kierownicą dość długo, by skreślić krótki liścik. Schowałem go do koperty, zakleiłem ją i na wierzchu napisałem drukowanymi literami nazwisko adresata.

Pojechałem do Dolnego Miasta, zaparkowałem i poszedłem do Sleepy Silver Dollar. Zgodnie z moimi oczekiwaniami w środku nie było nikogo oprócz barmana Pete'a. Mył szklanki i oglądał „Love of Life” w telewizji. Odwrócił się do mnie z ociąganiem, zerkając jednym okiem na Johna i Marszę, czy jak im tam było.

- Coś podać?

- Nie, ale może mi pan wyświadczyć przysługę. Za którą otrzyma pan wynagrodzenie w wysokości pięciu dolarów amerykańskich.

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

- Co pan powie. Co to za przysługa?

Położyłem kopertę na kontuarze.

- Proszę to przekazać właściwej osobie, kiedy przyjdzie.

Spojrzał na nazwisko na kopercie.

- Czego pan chcesz od Billy'ego Turcotte'a? I czemu sam pan mu tego nie dasz?

- To proste zadanie, Pete. Chcesz tego piątką czy nie?

- Jasne. Pod warunkiem że nie stanie się nic złego. Billy to dobra dusza.

- To mu na pewno nie zaszkodzi. Może nawet pomoże.

Położyłem pięć dolarów na kopercie. Pete zgarnął banknot i wrócił do oglądania opery mydlanej. Wyszedłem. Turcotte zapewne dostał tę kopertę. Czy po przeczytaniu tego, co było w środku, zrobił coś, czy nie, to już inne pytanie, jedno z wielu, na które nigdy nie poznam odpowiedzi. Oto, co napisałem:

Drogi Billu,

Masz chore serce. Musisz jak najszybciej pójść do lekarza, bo potem będzie za późno. Pewnie myślisz, że to żart, ale tak nie jest. Pewnie myślisz, że nie mogę tego wiedzieć, ale ja to wiem, tak jak Ty wiesz, że Frank Dunning zamordował Twoją siostrę Clare i twojego

siostrzeńca Mikeya. PROSZE, UWIERZ MI I IDŹ DO LEKARZA!

Życzliwy

16

Wsiadłem do sunlinera i kiedy wyjeżdżałem tyłem z ukośnego miejsca parkingowego, zobaczyłem wąską, nieufną twarz pana Keene'a patrzącą na mnie z drogerii. Opuściłem szybę, wystawiłem rękę na zewnątrz i pokazałem mu środkowy palec. Potem wjechałem na Milowe Wzgórze i pożegnałem się z Derry na dobre.

ROZDZIAŁ 11

Jadąc autostradą Mila na Minutę na południe, przekonywałem samego siebie, że nie muszę zawracać sobie głowy Carolyn Poulin. Tłumaczyłem sobie, że ona była eksperymentem Ala Templetona, nie moim, i że jego eksperyment, jak jego życie, dobiegł końca. Przypomniałem sobie, że z małą Poulin było zupełnie inaczej niż z Doris, Troyem, Tuggą i Ellen. Owszem, Carolyn miała zostać sparaliżowana od pasa w dół, i tak, to rzecz straszna. Jednak być sparaliżowanym od kuli to nie to samo co zostać zatłuczonym młotem na śmierć. Na wózku czy nie, Carolyn Poulin miała wieść ciekawe, bogate życie. Powiedziałem sobie, że szaleństwem byłoby narażać moją właściwą misję na szwank, raz jeszcze prowokując nieustępliwą przeszłość, żeby mi dała wycisk.

Nic z tego mnie nie przekonało.

Zamierzałem spędzić moją pierwszą noc w podróży w Bostonie, ale nie mogłem odpędzić obrazu Dunninga leżącego na zmiażdżonym koszu kwiatów na grobie ojca. Ten człowiek zasłużył na śmierć - co tam zasłużył, on musiał umrzeć - ale piątego października jeszcze nic nie zrobił swojej rodzinie. Przynajmniej tej drugiej. Mogłem przekonywać samego siebie (i to robiłem!), że wystarczająco dużo zła wyrządził swojej pierwszej rodzinie, że trzynastego października 1958 roku był już podwójnym mordercą, który miał na sumieniu małe dziecko, ale wiedziałem to tylko z drugiej ręki, od Billa Turcotte'a.

Zdaje się, że koniec końców chciałem zrównoważyć coś, co wydawało się złem, nieważne, jak bardzo koniecznym, czymś dobrym. Dlatego zamiast pojechać do Bostonu, opuściłem autostradę w Auburn i skierowałem się na zachód, do krainy jezior. Tuż przed zmierzchem zameldowałem się w ośrodku nad Sebago, tym samym, w którym zatrzymywał się Al. Wynająłem największy z czterech domków nad jeziorem za absurdalnie niską pozasezonową stawkę.

Te pięć tygodni to był chyba najpiękniejszy okres w moim życiu. Nie widywałem nikogo oprócz małżeństwa prowadzącego lokalny sklep, w którym dwa razy w tygodniu robiłem podstawowe zakupy, i pana Winchella, właściciela domków. Zaglądał do mnie co niedziela sprawdzić, czy wszystko w porządku i czy jestem zadowolony. Za każdym razem odpowiadałem twierdząco i nie kłamałem. Dał mi klucz do szopy ze sprzętem i każdego ranka

i wieczora, kiedy woda była spokojna, wypływałem kajakiem na jezioro. Pamiętam, jak jednego z tych wieczorów patrzyłem na księżyc w pełni wschodzący w ciszy nad czubkami drzew, i pamiętam srebrzysty trakt, który kładł na wodzie, podczas gdy odbicie mojego kajaka wisiało pode mną jak utopiony bliźniak. Gdzieś krzyknął nur i odpowiedział mu jego kolega, a może partnerka. Wkrótce do rozmowy dołączyły następne. Wciągnąłem wiosło do łódki i siedziałem nieruchomo trzysta metrów od brzegu, obserwując wschodzący księżyc i słuchając rozmowy nurów. Pamiętam, myślałem sobie, że jeśli gdzieś istnieje raj i nie jest tam tak jak tutaj, nie chcę do niego trafić.

Zaczęły rozkwitać barwy jesieni - najpierw nieśmiało złoto, potem oranż i wreszcie płomienista, wściekła czerwień, jak pożoga trawiąca resztki lata w Maine. W sklepie były tekturowe pudła pełne książek bez okładek i przeczytałem ich chyba kilkadziesiąt: kryminały Eda McBaina, Johna D. MacDonalda, Chestera Himesa i Richarda S. Prathera; gorące melodramaty jak „Peyton Place” i „Kamień dla Danny'ego Fishera”; niezliczone westerny; i jedną powieść science fiction pod tytułem „The Lincoln Hunters”, o podróżnikach w czasie pragnących zarejestrować „zapomniane” przemówienie Abrahama Lincolna.

Kiedy nie czytałem i nie pływałem kajakiem, spacerowałem po lesie. Długie jesienne popołudnia, przeważnie mgliste i ciepłe. Zakurzone, pozłacane światło padające ukosem przez drzewa. Nocą cisza tak wielka, że w uszach dzwoniło. Drogą numer 114 przejeżdżało niewiele samochodów, po dziesiątej wieczorem nie było żadnego. Po dziesiątej część świata, do której przybyłem odpocząć, należała tylko do nurów i wiatru w jodłach. Obraz Franka Dunninga leżące na grobie ojca pomału zaczynał się zacierać i coraz rzadziej zdarzał mi się w najmniej oczekiwanych chwilach przypominać sobie jak upuściłem wciąż tłącą się pamiętkową poduszkę na jego szeroko otwarte oczy.

Pod koniec października, kiedy z drzew opadały ostatnie liście a noce zrobiły się zimne, zacząłem jeździć do Durham, żeby poznać okolice Bowie Hill, gdzie za dwa tygodnie miało dojść do wypadku na polowaniu. Dom zebrzań kwakrów, o którym wspomniał Al był dogodnym punktem orientacyjnym. Niedaleko za nim nad drogą pochyliło się martwe drzewo, prawdopodobnie to samo, z którym mocował się Al, kiedy nadjechał Andrew Culum, już ubrany w pomarańczową kamizelkę myśliwego. Pamiętałem też, żeby zlokalizować dom niefortunnego strzelca i wyznaczyć prawdopodobną trasę jego przejazdu stamtąd do Bowie Hill.

Mój plan właściwie planem nie był; zamierzałem po prostu pójść szlakiem wytyczonym już przez Alą. Wcześniej rano pojedę do Durham, zatrzymam się przy przewróconym drzewie, będę się z nim mocował i kiedy zjawi się Culum i przyjdzie mi z

pomocą, udam, że dostałem ataku serca. Traf jednak chciał, że po odszukaniu domu Culluma wpadłem do pobliskiego sklepu Brownie's po coś zimnego do picia i w witrynie zobaczyłem plakat, który nasunął mi pewien pomysł. Szalony, ale poniekąd interesujący.

Nagłówek głosił WYNIKI OKRĘGOWEGO TURNIEJU CRIBBAGE. Dalej następowała lista około pięćdziesięciu nazwisk. Zwycięzca turnieju, z West Minot, uzyskał dziesięć tysięcy „kołeczków”, cokolwiek to było. Zdobywca drugiego miejsca miał ich dziewięć i pół tysiąca. Trzecią lokatę, z 8722 kołeczkami - nazwisko było zakreślone na czerwono i to właśnie pierwotnie zwróciło moją uwagę - zajął Andy Cullum.

Zbiegi okoliczności się zdarzają, ale z czasem nabrałem przekonania, że tak naprawdę są dość rzadkie. Coś tym wszystkim steruje, zgoda? Gdzieś we wszechświecie (albo poza nim) potężna machina cyka i kręci swoimi fantastycznymi trybikami. Raz na jakiś czas wyciąga się z talii dzokera, ale przeważnie jest tak, jak ma być.

Nazajutrz przed piątą po południu pojechałem do domu Culluma, zaparkowałem za jego fordem kombi z drewnianą kabiną i podszedłem do drzwi.

Kiedy zapukałem, otworzyła sympatyczna z wyglądu kobieta w wymiętym fartuszk, trzymająca dziecko na ręku. Ledwie ją zobaczyłem, a już wiedziałem, że to, co robię, jest słuszne. Bo piętnastego listopada Carolyn Poulin nie będzie jedyną ofiarą w ogóle, tylko jedyną, która skończy w wózku inwalidzkim.

- Tak?

- Nazywam się George Amberson, proszę pani. - Uchyliłem kapelusza. - Jeśli można, chciałbym porozmawiać z pani mężem.

Pewnie, że można. Już stał za nią i obejmował ją ramieniem. Młody chłopak, jeszcze przed trzydziestką, z miną wyrażającą uprzejme zainteresowanie. Córeczka wyciągnęła ręce do jego twarzy i kiedy Cullum pocałował jej paluszki, zaśmiała się. Cullum podał mi rękę i uścisnąłem ją.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Amberson?

Pokazałem mu planszę do gry w cribbage.

- Zauważyłem w Brownie's, że jest z pana nie lada gracz. Dlatego mam dla pana propozycję.

Pani Cullum zrobiła zaniepokojoną minę.

- Mój mąż i ja jesteśmy metodystami, panie Amberson. Te turnieje to tylko zabawa. Mąż zdobył puchar i z przyjemnością mu go poleruję, żeby dobrze wyglądał na kominku, ale jeśli chce pan grać na pieniądze, trafił pan pod zły adres. - Uśmiechnęła się. Widziałem, że kosztowało ją to sporo wysiłku, ale i tak był to miły uśmiech. Polubiłem ją. Polubiłem ich

oboje.

- To prawda. - Głos Culluma był pełen żalu, lecz stanowczy. - Dawniej, kiedy pracowałem w lesie, grywałem za stawkę cent od kołeczka, ale to było, zanim poznałem Marnie.

- Musiałbym być niespełna rozumu, żeby grać z panem na pieniądze - powiedziałem - bo nie gram w ogóle. Ale chcę się nauczyć.

- W takim razie proszę, niech pan wejdzie. Chętnie pana nauczę, Zajmie to góra kwadrans, a do kolacji jeszcze godzina. Kurczę blade, Jeśli umie pan dodawać do piętnastu i liczyć do trzydziestu jeden, to umie pan grać w cribbage.

- Jestem pewien, że trochę liczenia i dodawania nie wystarczy, inaczej nie zająłby pan trzeciego miejsca w turnieju okręgowym. I tak naprawdę chodzi mi o coś więcej niż tylko naukę reguł gry. Chcę kupić jeden dzień pańskiego czasu. Ściśle, piętnasty listopada. Powiedzmy od dziesiątej rano do czwartej po południu.

Jego żona wyraźnie zaczynała się bać. Trzymała dziecko blisko piersi.

- Za tych sześć godzin zapłacę dwieście dolarów.

Cullum zmarszczył brwi.

- W co pan gra?

- Chciałbym w cribbage. - To jednak nie wystarczy. Widziałem to na ich twarzach. - Słuchajcie, nie będę kłamał, że nie kryje się za tym coś więcej, ale gdybym spróbował to wyjaśnić, pomyślelibyście, że zwariowałem.

- Ja już tak myślę - powiedziała Marnie Cullum. - Wyproś go, Andy.

Odwróciłem się do niej.

- To nic złego, nic nielegalnego, to nie żaden kant i nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Daję słowo honoru. - Zaczynałem jednak podejrzewać, że nic z tego nie będzie, ze słowem honoru czy bez. To był zły pomysł. Teraz Cullum będzie podwójnie podejrzliwy, kiedy piętnastego po południu spotka mnie przy domu zebranych kwaków.

Ale naciskałem dalej. Nauczyłem się tego w Derry.

- To tylko cribbage. Wytlumaczy mi pan zasady, kilka godzin pogramy, dam panu dwieście dolców i rozstaniemy się w przyjaźni. Co pan na to?

- Skąd pan jest, panie Amberson?

- Pochodzę z Wisconsin. Ostatnio mieszkałem w Derry. Zajmuję się nieruchomościami komercyjnymi. Aktualnie jestem na urlopie nad jeziorem Sebago, potem zamierzam wrócić na południe. Chcecie państwo, żeby podał jakieś nazwiska? Referencje, że tak powiem? - Uśmiechnąłem się. - Od ludzi, którzy potwierdzą, że nie jestem wariatem?

- W sezonie polowań mąż co sobota chodzi do lasu - powiedziała pani Cullum. - To dla niego jedyna okazja, bo przez cały tydzień pracuje i wraca do domu przed zmierzchem, a wtedy to już nie oplaca się nawet nabić strzelby.

Wciąż miała nieufną minę, ale teraz dostrzegłem w jej twarzy coś, co dało mi nadzieję. Kiedy jest się młodą kobietą z dzieckiem i mężem, który pracuje fizycznie - o czym świadczyły jego spękane, zgrubiałe dłonie - dwieście dolarów może wystarczyć na wiele zakupów. Albo, w 1958 roku, na dwie i pół raty za dom.

- Jedno polowanie mogę sobie odpuścić - powiedział Cullum. - Zwierzyna i tak jest przetrzebiona. Psiakrew, jelenia można upolować już tylko w Bowie Hill.

- Panie Cullum, wyrażaj się przy dziecku - skarciła go. Jej ton był ostry, ale uśmiechnęła się, kiedy mąż pocałował ją w policzek.

- Panie Amberson, muszę porozmawiać z małżonką - powiedział Cullum. - Mógłby pan minutkę poczekać na ganku?

- Mam lepszy pomysł - odparłem. - Pojadę do Brownie's i kupię sobie kokę. - Tak w Derry mówiło się na coca-colę. - Przynieść państwu coś do picia?

Odmówili uprzejmie i Marnie Cullum zamknęła mi drzwi przed nosem. Pojechałem do Brownie's, gdzie kupiłem sobie napój Orange Crash. Wziąłem też pałeczkę lukrecjową z myślą, że może posmakuje dziecku, o ile było już dość duże, by jeść takie rzeczy. Cullumowie mnie spławią, myślałem. Z podziękowaniem, ale stanowczo. Byłem dziwnym człowiekiem z dziwną propozycją. Miałem nadzieję, że tym razem łatwiej będzie zmienić przeszłość, bo Al dokonał tego już dwa razy. Najwyraźniej byłem w błędzie.

Jednak spotkała mnie niespodzianka. Cullum się zgodził, a jego żona pozwoliła mi dać lukrecję córeczce, która zaczęła ją ssać, a potem przeczesała nią włosy jak grzebieniem. Prosimi nawet, żebym został na kolację, ale podziękowałem. Zaproponowałem Andy'emu Cullumowi pięćdziesiąt dolarów zaliczki, lecz nie chciał ich przyjąć... dopóki żona go nie przekonała.

Wróciłem nad Sebago w euforii, ale gdy rankiem piętnastego listopada jechałem do Durham (łąki bieleły się szronem tak grubym, że ubrani na pomarańczowo myśliwi, którzy już tłumnie ruszyli na łowy, zostawiali ślady), nastrój mi się zmienił. Andy Cullum na pewno zadzwonił na policję stanową albo do lokalnego posterunkowego, pomyślałem. I kiedy mnie będą przesłuchiwać na najbliższym komisariacie, żeby ustalić, jak bardzo jestem szalony, on sobie zapoluje w lesie w Bowie Hill.

Na podjeździe nie było radiowozu, tylko ford Culluma z drewnianą kabiną. Wziąłem moją nową planszę do gry w cribbage i poszedłem do drzwi. Otworzył i powiedział:

- Gotów do lekcji, panie Amberson?

Uśmiechnąłem się.

- Tak jest, panie profesorze.

Zabrał mnie na tylny ganek; pewnie żona nie chciała, żebym był w domu z nią i dzieckiem. Zasady były proste. Kołeczki symbolizowały punkty, rozgrywka toczyła się do dwóch okrążeń planszy. Andy nauczył mnie właściwej terminologii. Potem zagraliśmy. Na początku śledziłem wynik, ale przestałem, kiedy byłem czterysta punktów do tyłu. Co pewien czas w oddali grzmiały strzelby myśliwych i Cullum spoglądał w stronę lasu za małym podwórkiem.

- W następną sobotę - powiedziałem przy jednej z takich okazji. - W następną sobotę pójdziesz tam z nimi, na pewno.

- Pewnie będzie padać - odparł i parsknął śmiechem. - Też się mam na co skarżyć, co? Dobrze się bawię i jeszcze na tym zarabiam. Coraz lepiej ci idzie, George.

W południe Marnie dała wielkie kanapki z tuńczykiem i domowej roboty zupę pomidorową. Jedliśmy w kuchni i po lunchu zasugerowała, byśmy grali w domu. A zatem uznała, że nie jestem groźny. To mnie ucieszyło. Cullumowie byli miłymi ludźmi. Miła para z miłym dzieckiem. Czasem myślałem o nich, kiedy słyszałem, jak Lee i Marina Oswaldowie krzyczeli na siebie w swoich lichych mieszkaniach... i kiedy widziałem, co najmniej raz, jak dawali upust swojej wzajemnej wrogości na ulicy. Przeszłość harmonizuje; próbuje też równoważyć, na ogół skutecznie. Cullumowie byli na jednym końcu huśtawki; Oswaldowie na drugim.

A Jake Epping, znany też jako George Amberson? On był punktem podparcia.

Pod koniec naszego maratonu cribbage wygrałem pierwszą partię. Trzy rozgrywki później, kilka minut po czwartej, dosłownie rozgromiłem Andy'ego i zaśmiałem się radośnie. Mała Jenna zawtórowała mi, wychyliła się z wysokiego krzeselka i na znak sympatii lekko pociągnęła mnie za włosy.

- Dosyć! - krzyknąłem ze śmiechem. Troje Cullumów śmiało się wraz ze mną. - Na tym rozdaniu koniec! - Wyjąłem portfel i położyłem trzy banknoty pięćdziesięciodolarowe na stole kuchennym nakrytym ceratą w czerwono-białą kratę. - To było warte każdego centa!

Andy przesunął pieniądze z powrotem w moją stronę.

- Schowaj je do portfela, gdzie ich miejsce, George. Za dobrze się bawiłem, żeby brać od ciebie pieniądze.

Skinąłem głową, jakbym się z nim zgadzał, po czym pchnąłem banknoty w kierunku Marnie, która zgarnęła je ze stołu.

- Dziękuję, panie Amberson. - Spojrzała z wyrzutem na męża, potem znów na mnie. - Naprawdę nam się przydadzą.

Wstałem i przeciągnąłem się z trzeszczeniem kręgosłupa. Gdzieś - z dziesięć kilometrów stąd - Carolyn Poulin i jej ojciec wsiadali do pikapa z wymalowanym na drzwiach napisem USŁUGI BUDOWLANE I STOLARSKIE POULIN. Może ustrzelili jelenia, może nie. Tak czy tak, byłem pewien, że spędzili miłe popołudnie w lesie, rozmawiając o tym, o czym ojcowie rozmawiają z córkami, i bardzo dobrze.

- Zostań na kolację, George - powiedziała Marnie. - Będzie fasola i hot dogi.

Zostałem więc, a po kolacji obejrzelśmy wiadomości w małym telewizorze Cullumów. Ktoś zginął na polowaniu w New Hampshire, ale nie w Maine. Choć już pękałem z przejedzenia, dałem się namówić na drugi kawałek placka z jabłkami roboty Marnie, po czym wstałem i serdecznie podziękowałem za gościnę.

Andy Cullum podał mi rękę.

- Następnym razem gramy za darmo, zgoda?

- Jasne. - Następnego razu miało nie być i chyba to wiedział.

Jego żona też, jak się okazało. Dogoniła mnie, kiedy już miałem wsiąść do samochodu. Opatuliła córeczkę kocem i włożyła jej czapkę, ale sama była bez płaszcza. Drżała, jej oddech parował.

- Pani Cullum, niech pani wraca do domu, zanim się pani zazię...

- Przed czym go uratowałeś?

- Proszę?

- Wiem, że dlatego przyjechałeś. Modliłam się, kiedy byliście z Andym na ganku, i Bóg zesłał mi odpowiedź, ale nie całą odpowiedź. Przed czym go uratowałeś?

Położyłem dłonie na jej dygocących ramionach i spojrzałem jej w oczy.

- Marnie... gdyby Bóg chciał, żebyś to wiedziała, powiedziałaby ci.

Nagle objęła mnie i wyściskała. Zaskoczony, odwzajemniłem uścisk. Mała Jenna, uwieczona między nami, miała oczy wielkie ze zdumienia.

- O cokolwiek chodziło, dziękuję - szepnęła mi na ucho Marnie. Jej ciepły oddech przyprawił mnie o gęsią skórkę.

- Wracaj do środka, kochana. Zanim zamarzniesz.

Drzwi domu się otworzyły. Stał w nich Andy, z puszką piwa w ręku.

- Marnie?

Cofnęła się o krok. Oczy miała szeroko otwarte, ciemne.

- Bóg zesłał nam anioła stróża - powiedziała. - Nikomu nic nie powiem, ale zachowam

to w pamięci. I rozważę w sercu. - Pospieszyła do czekającego męża.

Anioł stróż. Drugi raz słyszałem to określenie i rozważyłem te słowa we własnym sercu, zarówno tej nocy, kiedy leżałem w moim domku i czekałem na sen, jak i następnego dnia, gdy dryfowałem kajakiem przez spokojne wody pod zimnoniebieskim, zwiastującym zimę niebem.

Anioł stróż.

W poniedziałek siedemnastego listopada zobaczyłem pierwsze wirujące tumany śniegu i uznałem, że to znak. Spakowałem się, pojechałem do Sebago Village i znalazłem pana Winchella w restauracji Lakeside, gdzie właśnie pił kawę i jadł pączki (w 1958 roku ludzie jedzą dużo pączków). Oddałem mu klucze i powiedziałem, że nad jeziorem było cudownie i wypocząłem za wszystkie czasy. Rozpromienił się.

- To dobrze, panie Amberson. Tak powinno być. Ma pan opłacony pobyt do końca miesiąca. Proszę podać adres, pod który mam wysłać zwrot pieniędzy za ostatnie dwa tygodnie, a zaraz wrzucę czek do skrzynki.

- Jeszcze nie wiem, gdzie trafię, centrala o tym zdecyduje, ale nie omieszkać do pana napisać. - Podróżnicy w czasie dużo kłamią.

Podał mi rękę.

- Miło było pana gościć.

Uścisnąłem ją.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Wsiadłem do samochodu i ruszyłem na południe. Tego wieczora zameldowałem się w Parker House w Bostonie i poszedłem obejrzeć Combat Zone, osławioną dzielnicę rozrywek. Neony raziły mnie w oczy, a przewalające się tłumy nocnych marków - przeważnie młodych, głównie płci męskiej, wielu w mundurach - budziły we mnie agorafobię i tęsknotę za cichymi nocami w zachodnim Maine, gdzie nieliczne sklepy zamykano o szóstej, a ruch uliczny zamierał o dziesiątej.

Następną noc spędziłem w hotelu Harrington w Waszyngtonie. Trzy dni później byłem już na zachodnim wybrzeżu Florydy.

ROZDZIAŁ 12

1

Pojechałem drogą US 1 na południe. Jadłem w wielu przydrożnych restauracjach oferujących domową kuchnię, jak u mamy”, lokalach, w których danie firmowe, włącznie z koktajlem owocowym na przystawkę i ciastem z lodami na deser, kosztowało osiemdziesiąt centów. Nie widziałem ani jednego fast foodu, nie licząc restauracji Howard Johnson's, z ich 28 smakami lodów i charakterystycznym logo przedstawiającym Simple Simona, bohatera dziecięcej rymowanki. Widziałem drużynę skautów palących jesienne liście w ognisku pod dozorem drużynowego; widziałem kobiety w płaszczach i kaloszach, które wносиły pranie do domów w szare popołudnie, kiedy zanosilo się na deszcz; widziałem długie pociągi pasażerskie o nazwach jak The Southern Flyer i Star of Tampa, pędzące ku tym rejonom Ameryki, gdzie zima nie ma wstępu. Widziałem starców palących fajki na ławkach na rynkach miejskich. Widziałem milion kościołów i cmentarz, na którym co najmniej stu żałobników otaczało kręgiem świeżo wykopany grób, śpiewając „The Old Rugged Cross”. Widziałem mężczyzn budujących stodoły. Widziałem ludzi pomagających sobie nawzajem. Dwaj z nich, jadący pikapem, zatrzymali się, żeby mi pomóc, kiedy strzeliła chłodnica sunlinera i stałem na poboczu. To było w Wirginii, koło czwartej po południu, i jeden z mężczyzn spytał, czy nie potrzebuję noclegu. Jestem w stanie sobie wyobrazić, że coś takiego mogłoby się wydarzyć w 2011 roku, ale z trudem.

I jeszcze jedno. W Karolinie Północnej zatrzymałem się po paliwo na stacji Humble Oil, po czym poszedłem za róg budynku skorzystać z toalety. Było dwoje drzwi i trzy tabliczki. Na jednych drzwiach widniał starannie wymalowany od szablonu napis PANOWIE, na drugich PANIE. Trzecia tabliczka była strzałką na patyku. Wskazywała porośnięty krzakami stok za stacją benzynową. Napisane było na niej KOLOROWI. Zaciekawiony, ruszyłem ścieżką naprzód, starannie omijając charakterystyczne, tłusto połyskujące, częściowo zielone, częściowo rdzawoczerwone liście trującego bluszczu. Miałem nadzieję, że tatusiowie i mamusie, którzy prowadzili dzieci do czekającej w dole wygodki, potrafili rozpoznać te kłopotliwe krzaki, bo pod koniec lat pięćdziesiątych większość dzieci nosi krótkie spodenki.

Wygódki nie było. Na końcu ścieżki znalazłem wąski strumyk, nad którym na dwóch betonowych słupkach położono deskę. Mężczyzna, który musiał się wysikać, mógł po prostu stanąć na brzegu, rozpiąć rozporek i lać śmiało. Kobieta mogła przytrzymać się krzaka (o ile nie był to trujący bluszcz albo trujący dąb) i przykucnąć. Na desce siadało się, żeby się wysrać. Nawet w ulewnym deszczu.

Jeśli kiedykolwiek dałem wam powód sądzić, że rok 1958 to sama sielanka, pamiętajcie tę ścieżkę, dobrze? Tę, wzdłuż której rósł trujący bluszcz. I deskę nad strumykiem.

2

Osiadłem się w mieście Sunset Point, sto kilometrów na południe od Tamy. Za osiemdziesiąt dolarów miesięcznie wynajmowałem domek na najpiękniejszej (i prawie zupełnie opuszczonej) plaży, jaką w życiu widziałem. Obok stały cztery podobne domki, wszystkie tak samo skromne jak mój. Nigdzie nie zauważyłem ani jednej neokoszmarnej nowobogackiej rezydencji, które miały później wyrosnąć w tej części stanu jak betonowe muchomory. Piętnaście kilometrów na południe, w Nokomis, był supermarket, a w Venice senna dzielnica handlowa. Droga numer 41, Tamiami Trail, była w zasadzie tylko wiejską szosą. Należało jeździć nią wolno, zwłaszcza pod wieczór, bo wtedy przez jezdnię lubiły przechodzić aligatory i pancerniki. Między Sarasotą a Venice były kramy z owocami, przydrożne bazy, parę barów i tancbuda Blackie's. Za Venice, bracie, miałeś praktycznie całą drogę dla siebie, przynajmniej dopóki nie dotarłeś do Fort Myers.

Porzuciłem maskę George'a Ambersona, specja od nieruchomości. Wiosną 1959 roku w Ameryce nastąpiła recesja. Na wybrzeżu Florydy wszyscy sprzedawali i nikt nie kupował, więc George Amberson stał się tym, kogo chciał z niego zrobić Al - niespełnionym pisarzem, który odziedziczył po względnie bogatym wujku dość pieniędzy, by mieć z czego żyć przez jakiś czas.

Pisać pisałem, i to nie jedną, ale dwie rzeczy. Co rano, kiedy byłem najbardziej rześki, pracowałem nad rękopisem, który teraz czytasz drogi czytelniku (o ile gdzieś tam istnieje). Wieczorami pracowałem nad powieścią, którą wstępnie zatytułowałem „Miasto zbrodni”. Miastem, o które chodziło, było oczywiście Derry, choć w książce nazwałem je Dawson. Zaczęłem pisać po to tylko, żeby mieć alibi, coś, co mógłbym pokazać w sytuacji, gdybym się z kimś zaprzyjaźnił i ten ktoś by spytał, nad czym pracuję („rękopis poranny” trzymałem w stalowej kasetce pod łóżkiem). Ostatecznie „Miasto zbrodni” stało się czymś więcej niż tylko

kamuflażem. Zacząłem sądzić, że to dobry tekst, i mieć nadzieję, że pewnego dnia może nawet ukazać się drukiem.

Nawet jeśli odliczyć godzinę pracy nad pamiętnikiem rano i godzinę pracy nad powieścią wieczorem, wciąż miałem mnóstwo wolnego czasu, z którym musiałem coś zrobić. Próbowałem łowić ryby, których nie brakowało, ale uznałem, że to nie dla mnie, i zrezygnowałem. Spacerowały w porządku o świcie i zachodzie słońca, ale nie w ciągu upalnego dnia. Zostałem częstym bywalcem jedynej księgarni w Sarasocie i spędzałem długie (i na ogół szczęśliwe) godziny w małych bibliotekach w Nokomis i Osprey.

Czytałem też raz po raz notatki Ala o Oswaldzie. W końcu się zorientowałem, że to już graniczy z obsesją, i schowałem zeszyt do kasetki z moim „porannym rękopisem”. Nazwałem te notatki wyczerpującymi i takie też mi się wtedy wydawały, ale w miarę jak czas - ten taśmociąg, na którym wszyscy jedziemy - przybliżał mnie do punktu, w którym moje życie mogło zbiec się z życiem młodego przyszłego zabójcy, to wrażenie słabło. Były luki.

Czasami przeklinałem Ala za to, że samowolnie zrobił mnie w tę misję, ale kiedy wracał rozsądek, zdawałem sobie sprawę, że nawet gdyby dał mi więcej czasu, niczego by to nie zmieniło, Mogłoby nawet pogorszyć sytuację i Al pewnie o tym wiedział. Nawet gdyby nie popełnił samobójstwa, miałbym góra dwa tygodnie, a ile książek napisano o ciągu wydarzeń, który doprowadził do wydarzeń tamtego dnia w Dallas? Sto? Trzysta? Pewnie bliżej tysiąca. Niektóre zgadzały się z przekonaniem Ala, że Oswald działał sam, inne spekulowały, że był uczestnikiem gigantycznego spisku, jeszcze inne zaś kategorycznie stwierdzały, że w ogóle nie pociągnął za spust i że był tym, za kogo się podawał po aresztowaniu, kozłem ofiarnym. Popelniając samobójstwo, Al eliminował największą słabość uczzonego: nazywanie wahania pracą badawczą.

3

Od czasu do czasu jeździłem do Tamy, gdzie dyskretne zasięgnięcie języka doprowadziło mnie do bukmachera. Nazywał się Edwardo Gutierrez. Jak już nabrał pewności, że nie jestem gliną, chętnie przyjmował moje zakłady. Zacząłem od obstawienia Minneapolis Lakers w finale sezonu 1958/59 przeciwko Boston Celtics, w ten sposób zyskując sobie reputację frajera; Lakers nie wygrali ani jednego meczu. Postawiłem też czterysta dolarów na to, że Canadians pokonają Maple Leafs w Pucharze Stanleya, i wygrałem... ale stawka była jeden do jednego. Śmieszne pieniądze, brachu, powiedziałby mój kumpel Chaz Frati.

Największy łup zgarnąłem wiosną 1960 roku, kiedy obstawiłem, że Venetian Way

wygra z Bally Ache, zdecydowanym faworytem Kentucky Derby. Gutierrez zaproponował mi kurs cztery do jednego, jeśli postawię tysiąka, lub pięć do jednego, jeśli wyłożę dwa. Po stosownie długim wahaniu zgodziłem się na ten drugi wariant i wzbogaciłem się o dziesięć tysięcy. Wypłacił całą sumę z pogodą, jak Frati, ale w oczach miał stalowy błysk, który mi się nie spodobał, i postarałem się, żeby przegrać tysiąc z okładem, zanim wyjechałem latem 1960 roku.

Gutierrez był Kubańczykiem, ważył może sześćdziesiąt kilo w mokrym ubraniu, ale był też wygnańcem z nowoorleańskiej mafii, w owych czasach kierowanej przez Carlosa Marcello. Zasłyszałem tę plotkę w sali bilardowej obok zakładu fryzjerskiego, w którym Gutierrez przyjmował zakłady (i rozgrywał na zapleczu chyba nigdy niekończącą się partię pokera pod fotografią prawie nagiej Diany Dors) Mężczyzna, z którym grałem w dziewiątkę, wychylił się do przodu rzucił okiem wkoło, by sprawdzić, czy mamy stół w kącie tylko dla siebie, po czym mruknął: „Wiesz, co mówią o mafii, George... z niej się nie odchodzi”.

Chętnie pogadałbym z Gutierrezem o jego latach w Nowym Orleanie, ale uznałem, że zbytnia ciekawość byłaby niewskazana zwłaszcza po mojej wielkiej wygranej przy okazji derby. Gdybym się ośmielił - i znalazł przekonujący sposób poruszenia tego tematu - zapytałbym Gutierrez, czy miał okazję poznać innego domniemanego członka organizacji Marcello, Charlesa „Dutza” Murreta, byłego boksera. Coś czuję, że odpowiedź byłaby twierdząca, bo przeszłość harmonizuje sama ze sobą. Żoną Dutza Murreta była siostra Marguerite Oswald. Co znaczyło, że on sam był wujem Lee Harveya Oswalda.

4

Pewnego dnia wiosną 1959 roku (tak, na Florydzie jest wiosna; tubylcy mi mówili, że czasem trwa cały tydzień) otworzyłem swoją skrzynkę na listy i znalazłem zawiadomienie z biblioteki publicznej w Nokomis. Jakiś czas wcześniej zamówiłem „The Disenchanted”, nową powieść Budda Schulberga, i właśnie ją dostali. Wskoczyłem do sunlinera - idealny samochód na Słoneczne Wybrzeże, jak wtedy zaczynano nazywać te okolice - i pojechałem po nią.

Wychodząc, zauważyłem nowy plakat na obwieszonej makulaturą tablicy w holu. Trudno byłoby go przeoczyć; jasnoniebieski, przedstawiał dygoczącego rysunkowego człowieczka, który wpatruje się w wielki termometr pokazujący dziesięciostopniowy mróz. BRAKUJE CI STOPNI? - pytał plakat. MOŻESZ UBIEGAĆ SIĘ O ŚWIADECTWO UKOŃCZENIA KURSU KORESPONDENCYJNEGO UNITED COLLEGE OF

OKLAHOMA! NAPISZ, JEŚLI CHCESZ POZNAĆ SZCZEGÓŁY!

United College of Oklahoma sprawiał bardziej podejrzane wrażenie iż pięciu zbirów w ciemnym zaułku, ale ten plakat nasunął mi pewien pomysł. Głównie dlatego, że mi się nudziło. Oswald nadal służył w marines i miał zostać zwolniony dopiero we wrześniu, kiedy to wyruszy do Rosji. Tam od razu podejmie starania o zrzeczenie się obywatelstwa amerykańskiego. To mu się nie uda, ale po efekciarskiej - i zapewne sfingowanej - próbie samobójczej w moskiewskim hotelu Rosjanie pozwolą mu zostać w ich kraju. „Na próbę”, można rzec. Spędzi tam jakieś dwa i pół roku, pracując w fabryce radioodbiorników w Mińsku. I na imprezie pozna Marinę Prusakową. *Czerwona sukienka, białe pantofle*, napisał Al w swoich notatkach. *Ładna, Ubrana jak na tańce*.

No i bardzo fajnie, ale co ja miałem przez ten czas robić? United College dawał jakąś możliwość. Napisałem do nich z prośbą o szczegóły i otrzymałem szybką odpowiedź. Katalog oferował całe mnóstwo stopni naukowych. Najbardziej zaintrygowała mnie informacja, że za trzysta dolarów (gotówką albo przekazem pieniężnym) mogę dostać licencjat z angielskiego. Musiałem tylko zdać egzamin złożony z pięćdziesięciu pytań wielokrotnego wyboru.

Wypełniłem przekaz, pożegnałem się z trzema stówami i wysłałem podanie. Dwa tygodnie później z United College przyszła cienka szara koperta. W środku znalazłem dwie rozmazane kartki odbite na powielaczu. Pytania były cudowne. Oto moje dwa ulubione:

22. Jak miał na imię „Moby”?

- A. Tom
- B. Dick
- C. Harry
- D. John

37. Kto napisał „Dom o siedmiu zaszczytach”?

- A. Charles Dickens
- B. Henry James
- C. Ann Bradstreet
- D. Nathaniel Hawthorne
- E. Żadne z powyższych

Gdy skończyłem się zachwycać tymi precudnymi pytaniami wpisałem właściwe odpowiedzi (od czasu do czasu wykrzykując „Jaja sobie robicie!”) i odesłałem test do Enid.

Wkrótce dostałem kartkę pocztową gratulującą mi zdania egzaminu. Poinformowano mnie, że za dodatkowe pięćdziesiąt dolarów „opłaty administracyjnej” otrzymam pocztą dyplom. Tak mi powiedziano i tak się stało. Dyplom wyglądał dużo lepiej od egzaminu i był opatrzony imponującą złotą pieczęcią. Kiedy okazałem go przedstawicielowi kuratorium powiatu Sarasota, notabl przyjął dokument bez mrugnięcia okiem i wciągnął mnie na listę nauczycieli zastępców.

I tak to się stało, że w roku szkolnym 1959/60 przez jeden lub dwa dni w tygodniu znów miałem okazję uczyć. Miło było do tego wrócić. Lubiłem uczniów - chłopców ostrzyżonych na zapałkę, dziewczęta z włosami w koński ogon, ubrane w rozkloszowane spódniczki za kolana - choć byłem boleśnie świadom, że wszystkie twarze, które widziałem w rozmaitych klasach, są w odcieniu waniliowym. Te dni nauczania przypomniały mi podstawową prawdę o sobie samym: lubiłem pisać i odkryłem, że nieźle mi to wychodzi, ale najbardziej kochałem uczyć. To dawało mi poczucie spełnienia, którego nie potrafiłem wyjaśnić. Ani nie chciałem. Wyjaśnienia to nic innego jak marna poezja.

Najpiękniejszy dzień w swojej karierze nauczyciela zastępcy przeżyłem w szkole West Sarasota High, gdy na zajęciach z literatury amerykańskiej streściłem fabułę „Buszującego w zbożu” (książki, której w bibliotece szkolnej oczywiście być nie mogło, a zostałyby skonfiskowane, gdyby jakiś uczeń ośmielił się ją wnieść w te dostojne progi) i poddałem pod dyskusję główny zarzut stawiany przez Holdena Caulfielda: że szkoła, dorośli i ogólnie życie w Ameryce jest pełne obłudy. Dzieciaki rozkręcały się powoli, ale kiedy rozbrzmiał dzwonek, wszyscy przekrzykiwali się jeden przez drugiego, a kilkoro uczniów nawet zaryzykowało spóźnienie na następną lekcję, byle tylko wygłosić taką czy inną kategoryczną opinię o tym, co jest nie tak z otaczającym ich społeczeństwem i życiem, które zaplanowali dla nich rodzice. Oczy im błyszczały, twarze pałały z emocji. Byłem pewien, że w okolicznych księgarniach wkrótce gwałtownie wzrośnie popyt na pewną ciemnoczerwoną książkę w miękkiej oprawie. Jako ostatni wyszedł muskularny chłopak w bluzie drużyny futbolowej. Przypominał mi Moose'a Masona z komiksów o Archiem.

- Chciałbym, coby pan zawsze nas uczył, panie Amberson - powiedział ze swoim łagodnym południowym akcentem. - Pana najbardziej lubię.

Nie tylko mnie lubił; on lubił mnie najbardziej. Nic nie może się równać z usłyszeniem takich słów od siedemnastoletniego chłopaka, który wygląda, jakby po raz pierwszy od rozpoczęcia swojej edukacji był w pełni świadomy.

Jeszcze w tym samym miesiącu dyrektor wezwał mnie do gabinetu, poczęstował uprzejmościami i co'-cołą, po czym spytał:

- Synu, jesteś wywrotowcem?

Zapewniłem go, że nie. Powiedziałem, że głosowałem na Ike'a. To go chyba uspokoiło, ale zasugerował, żebym na przyszłość trzymał się „powszechnie akceptowanej listy lektur”. Fryzury się zmieniają, podobnie jak długość spódnic i slang, ale administracje szkół średnich? Nigdy.

5

Kiedyś na studiach (to było na Uniwersytecie Stanu Maine, prawdziwej uczelni, na której zrobiłem prawdziwy licencjat) słyszałem, jak profesor psychologii wyraził opinię, że ludzie rzeczywiście posiadają szósty zmysł. Nazwał go myśleniem intuicyjnym i stwierdził, że ta zdolność jest najlepiej rozwinięta u mistyków i wyjętych spod prawa. Mistykiem nie byłem, byłem za to wygnańcem z mojej własnej epoki i mordercą (mogłem uważać zabójstwo Franka Dunninga za uzasadnione, ale policja na pewno zapatrywałaby się na to inaczej). Krótko mówiąc, chyba jak mało kto zasługiwałem na miano wyjątego spod prawa.

- Radzę wam: jeśli czujecie, że grozi wam niebezpieczeństwo - powiedział profesor tamtego dnia w 1995 roku - słuchajcie instynktu.

Tak właśnie postanowiłem postąpić w lipcu 1960. Coraz bardziej obawiałem się Gutierrez. Niby było z niego chuchro, ale musiałem wziąć pod uwagę domniemane powiązania z mafią... no i ten błysk w oczach, kiedy wypłacał mi wygraną z zakładu na Kentucky Derby który teraz wydawał mi się absurdalnie wysoki. Po kiego postawiłem taką sumę, skoro bynajmniej nie byłem splukany? To nie była chciwość; raczej coś takiego, co czuje dobry pałkarz, kiedy miotacz posyła mu łatwą piłkę. W pewnych sytuacjach nie można się oprzeć pokusie, żeby huknąć z całej siły. I huknąłem, jak to ujmował Leo „The Lip” Durocher w swoich barwnych komentarzach radiowych, a teraz tego żałowałem.

Rozmyślnie przegrałem dwa ostatnie zakłady złożone u Gutierrez, robiąc z siebie głupiego Jasia, ot, typowego jelenia, któremu raz się poszczęściło i który zaraz znowu wszystko straci, ale myślenie intuicyjne podpowiadało mi, że nie wypadam zbyt przekonująco. Mojemu myśleniu intuicyjnemu nie spodobało się, że Edwardo Gutierrez zaczął mnie witać słowami „Oho! Toż to mój *Yanqui* z Krainy Jankesów”. Nie jakiś tam *Yanqui*; mój *Yanqui*.

A jeśli zlecił jednemu z kumpli od pokera, żeby śledził mnie w drodze powrotnej z Tamy do Sunset Point? Czy posunąłby się do tego, by wysłać kilku innych kumpli - albo paru mięśniaków pragnących wyzwolić się z jarzma narzucanych przez Gutierrez

lichwiarskich odsetek - żeby przeprowadzili małą operację ratunkową i odzyskali to, co z tych dziesięciu tysięcy zostało? Mój rozum sądził, że to niedorzeczny pomysł rodem z seriali kryminalnych typu „77 Sunset Strip”, lecz intuicja była innego zdania. Intuicja mówiła, że ten drobny człowieczek o przerzedzonych włosach niewątpliwie jest zdolny kazać oprychom wdrzeć się do mojego domu i sprać mnie na kwaśne jabłko, jeśli będę się stawiał. Nie chciałem zostać pobity ani obrabowany. Co najważniejsze, nie chciałem ryzykować, że moje zapiski wpadną w ręce bukmachera powiązanego z mafią. Przykro mi było na myśl o ucieczce z podkulonym ogonem, ale co tam, i tak prędzej czy później musiałem pojechać do Teksasu, więc czemu nie zrobić tego prędzej? Poza tym odwaga winna iść w parze z rozważą. Nauczyłem się tego na kolanach matki.

Dlatego po prawie bezsennej lipcowej nocy, kiedy sygnały sonaru intuicji były szczególnie silne, spakowałem dobytek (kasetkę z pamiętnikiem i gotówkę schowałem pod kołem zapasowym sunlinera), zostawiłem właścicielowi domu wiadomość oraz czek z komornym za ostatni miesiąc i ruszyłem drogą US 19 na północ. Pamiętam pierwszy nocleg w podróży - w niszczącym motelu w DeFuniak Springs. Siatki przeciw owadom były dziurawe i dopóki nie zgasłem jedyne źródła światła w pokoju (nagiej żarówki wiszącej na mocno poprzecieranym kablu elektrycznym), atakowały mnie komary wielkości myśliwców.

A mimo to spałem jak niemowlę. Żadnych koszmarów, sygnały wewnętrznego radaru umilkły. I bardzo dobrze.

Pierwszy dzień sierpnia spędziłem w Gulfport w Luizjanie. W Red Top Inn na peryferiach miasta odmówiono mi noclegu. Recepcjonista wyjaśnił, że to motel tylko dla Murzynów, i wysłał mnie do The Southern Hospitality, który nazwał „najlepszym w Guffpote”. Może i miał rację, ale ogólnie biorąc, chyba wolałbym Red Top. Dźwięki gitary slide płynące z sąsiedniego baru z grillem brzmiały zachwycająco.

6

Nowy Orlean nie leżał dokładnie po drodze do Dallas, ale skoro sygnały sonaru intuicji umilkły, wzięła mnie ochota na odrobinę turystyki... choć to nie Dzielnicę Francuską, przystań parowców przy Bienville Street czy Vieux Carre chciałem obejrzeć.

Kupiłem plan miasta od handlarza ulicznego i udałem się w jedyne miejsce, które mnie naprawdę interesowało. Zaparkowałem wóz i po pięciominutowym spacerze stanąłem przed budynkiem przy Magazine Street 4905, gdzie Lee i Marina Oswaldowie mieli mieszkać ze swoją córką June ostatniej wiosny i lata życia Johna Kennedy'ego. Był to rozległy, jeszcze

nie całkiem zrujnowany dom, z sięgającym po pas żelaznym parkanem otaczającym zarośnięte podwórko. Farba na parterze, niegdyś biała, teraz przybrała żółty kolor moczu i odłaziła płatami. Piętro było z niepomalowanych, szarych desek. W wybitym oknie na górze tkwił kawał tektury z napisem DO WYNAJĘCIA. TEL. MU3-4192. Rdzewiejące siatki przeciw owadom osłaniały werandę, na której we wrześniu 1963 roku Lee Oswald miał przesiadywać po zmroku w samych majtkach, szepcząc „Paf! Paf! Paf!” i strzelając do przechodniów z nienabitego karabinu - który miał się stać najśłynniejszym karabinem w dziejach Ameryki.

Myślałem o tym, kiedy ktoś postukał mnie w ramię, i omal nie krzyknąłem. Chyba podskoczyłem, bo młody czarny mężczyzna, który mnie zaczepił, grzecznie cofnął się o krok, unosząc otwarte dłonie.

- Przepraszam szanownego pana, nie chciałem nastraszyć.

- Wszystko w porządku - powiedziałem. - Moja wina.

Ta deklaracja jakby go zaniepokoiła, ale miał do mnie interes i to przeważało... chociaż znowu musiał podejść bliżej, bo był to interes, który omawia się tonem głosu niższym od tego, jakiego używa się do swobodnej rozmowy. Chciał wiedzieć, czy byłbym zainteresowany kupnem kilku szalpałek. Wydawało mi się, że wiem, o co chodzi, ale pewności nie miałem, dopóki nie dodał:

- Wysokiej jakości zioło z bagien, panie szanowny.

Powiedziałem mu, że nie skorzystam, ale że gdyby polecił mi jakiś dobry hotel w Paryżu Południa, byłoby to dla mnie warte pół dolara. Kiedy znów się odezwał, mówił już dużo bardziej rzeczowym tonem.

- Różnie ludzie mówią, ale jak dla mnie najlepszy jest Monteleone. - Dokładnie wytłumaczył, jak tam trafić.

- Dzięki. - Dałem mu monetę. Zniknęła w jednej z jego licznych kieszeni.

- W ogóle to co pan tak ogląda ten dom? - Kiwnął głową w stronę podniszczonego budynku. - Myśli pan, żeby go kupić?

Na chwilę przebudził się we mnie stary George Amberson.

- Na pewno mieszka pan w pobliżu. Myśli pan, że to dobra okazja?

- Niektóre domy przy tej ulicy może, ale nie ten. Jak dla mnie, wygląda na nawiedzony.

- Jeszcze nie - powiedziałem i odszedłem, a on patrzył za mną ze zdumieniem.

Wyjąłem kasetkę z bagażnika i położyłem ją na fotelu pasażera, zamierzając osobiście zanieść ją na górę do mojego pokoju w Monteleone - co też uczyniłem. Kiedy jednak portier zabierał resztę moich bagaży, na podłodze z tyłu samochodu zobaczyłem coś, co przyprawiło mnie o rumieniec wstydu dużo większy, niż znaleziony przedmiot na to zasługiwał. Jednak nauki pobrane w dzieciństwie najmocniej zapadają w pamięć, a nauczyłem się na kolanach matki, że książki z biblioteki trzeba zawsze oddawać w terminie.

- Panie portierze, mógłby pan podać mi tę książkę? - spytałem.

- Tak jest, proszę szanownego pana! Z miłą chęcią!

To był „Raport Chapmana”, który wypożyczyłem z biblioteki publicznej w Nokomis jakiś tydzień przed podjęciem decyzji, że pora zwinąć manatki. Nalepka w rogu przezroczystej okładki ochronnej - TYLKO NA 7 DNI, POMYŚL O INNYCH CZYTELNIKACH - czyniła mi niemy wyrzut.

Kiedy wszedłem do mojego pokoju, spojrzałem na zegarek i zobaczyłem, że jest dopiero szósta po południu. Latem bibliotekę otwierali w południe, ale była czynna aż do ósmej. Rozmowy międzymiastowe to jedna z niewielu rzeczy droższych w roku 1960 niż w 2011, lecz to dziecinne poczucie winy nie dawało mi spokoju. Zadzwoiłem do hotelowej telefonistki i podałem jej numer do biblioteki w Nokomis, odczytując go z kieszonki na kartę biblioteczną przyklepioną do tylnej wyklejki książki. Krótka wiadomość pod nim, o treści „Prosimy zadzwonić, gdyby spóźnienie przekraczało 3 dni”, wprawiła mnie w jeszcze bardziej pieski nastrój.

Moja telefonistka rozmawiała z inną telefonistką. W tle słychać było paplaninę słabych głosów. Uzmysłowiłem sobie, że w epoce, z której przybyłem, większość tych rozmawiających w oddali osób już nie żyje. I wtedy usłyszałem sygnał w słuchawce.

- Halo, tu biblioteka publiczna w Nokomis. - To był głos Hattie Wilkerson, ale brzmiał tak, jakby ta urocza starsza pani tkwiła w wielkiej stalowej beczce.

- Witam, pani Wilkerson...

- Halo? Halo? Czy mnie słychać? Przekłęte międzymiastowe!

- Hattie! - Teraz już krzyczałem. - Tu George Amberson!

- George Amberson? A niech mnie! Skąd dzwoniisz, George?

Prawie powiedziałem jej prawdę, ale radar intuicji wydał pojedynczy, bardzo głośny sygnał ostrzegawczy i ryknąłem:

- Z Baton Rouge!

- W Luizjanie?

- Tak! Mam jedną z waszych książek! Dopiero teraz zauważyłem! Odeślę ją, jak tylko...

- Nie musisz krzyżeć, George, połączenie się poprawiło. Telefonistka pewnie nie docisnęła wtyczki. Tak się cieszę, że cię słyszę. Chwała Bogu, że cię tam nie było. Martwiliśmy się, chociaż komendant straży powiedział, że dom był pusty.

- O czym ty mówisz, Hattie? O moim domu na plaży?

A o czymże by innym?

- Tak! Ktoś wrzucił zapaloną butelkę z benzyną przez okno. Cały dom spłonął w kilka minut. Komendant Durand uważa, że to robota jakichś pijanych dzieciaków. Tyle jest teraz łobuzerii. Wszystko przez strach przed bombą, tak mówi mój mąż.

A zatem...

- George? Jesteś tam jeszcze?

- Tak - powiedziałem.

- Jaką masz książkę?

- Słucham?

- Jaką... masz... książkę? Nie każ mi szukać w katalogu.

- Aha. „Raport Chapmana”.

- Cóż, odeślij ją jak najszybciej, dobrze? Sporo osób na nią czeka. Irwing Wallace jest niezwykle popularny.

- Tak - bąknąłem. - Nie omieszkam.

- I bardzo mi przykro z powodu twojego domu. Straciłeś swoje rzeczy?

- Wszystko, co ważne, mam przy sobie.

- Dzięki Bogu. Przyjedziesz do nas wkrótce...

Rozległ się trzask tak głośny, że zabolęło mnie ucho, i usłyszałem burczenie przerwane połączenia. Odłożyłem słuchawkę na widelki. Czy wkrótce do nich przyjadę? Nie widziałem potrzeby, by oddzwonić i odpowiedzieć na to pytanie. Będę jednak uważał na przeszłość, bo ona wyczuwa sprawców zmian i ma kły.

Z samego rana wysłałem „Raport Chapmana” do biblioteki w Nokomis.

Potem pojechałem do Dallas.

8

Trzy dni później siedziałem na ławce na Dealey Plaza i patrzyłem na murowany

sześcian Teksaskiej Składnicy Podręczników. Było późne popołudnie, żar lał się z nieba. Poluźniłem krawat (w 1960 roku, jeśli się go nie nosi, nawet w upalne dni, człowiek budzi niepożądane zainteresowanie) i rozpiąłem górny guzik mojej gładkiej białej koszuli, ale to niewiele pomogło. Podobnie jak skapy cień wiązu rosnącego za ławką.

Kiedy zameldowałem się w hotelu Adolphus na Commerce Street, dano mi wybór, jakiego nie dostaje się w roku 2011: pokój z klimatyzacją albo bez. Zapłaciłem dodatkowe pięć dolarów za pokój, w którym klimatyzator okienny obniżał temperaturę aż do dwudziestu pięciu stopni, i gdybym miał choć trochę oleju w głowie, wróciłbym tam natychmiast, dopóki jeszcze nie padłem od udaru słonecznego. Może z nastaniem nocy zrobi się chłodniej. Trochę.

Jednak ten murowany sześcian przyciągał moje spojrzenie i okna - zwłaszcza to w prawym rogu piątego piętra - zdawały się patrzeć na mnie badawczo. Czuło się, że w tym budynku czai się coś złego. Ty, drogi czytelniku - o ile gdzieś tam istniejesz - możesz sobie z tego drwić, nazywać to skutkiem mojej unikalnej wiedzy, ale tak naprawdę nie to trzymało mnie na tej ławce mimo prażącego upału. Tym czymś było poczucie, że już widziałem ten budynek.

Przypominał mi Kitchener's Ironworks w Derry.

Składnica Podręczników nie była ruiną, ale ziało z niej to samo wrażenie ożywionej, myślącej i świadomej groźby. Pamiętałem, jak natknąłem się na ten zanurzony w zaroślach, okopcony sadzą komin, który leżał w chwastach niby gigantyczny prehistoryczny wąż drzemiący w słońcu. Pamiętałem, jak zaglądałem w jego ciemny otwór wylotowy, tak wielki, że mógłbym do niego wejść. I pamiętałem uczucie, że coś siedzi w środku. Coś żywego. Coś, co chce, żebym wszedł. Żebyśmy mogli porozmawiać. Kto wie, jak długo.

Wejdz! - szeptało okno na piątym piętrze. Rozejrzyj się. Teraz budynek jest pusty, okrojony personel, który pracuje tu latem, już rozszedł się do domów, ale jeśli pójdziesz na rampę załadowniczą przy torach kolejowych, na pewno znajdziesz otwarte drzwi. Ostatecznie co tu można chronić? Nic, tylko podręczniki, i nawet uczniowie, dla których są przeznaczone, tak naprawdę ich nie chcą. Sam dobrze to wiesz, Jake. Dlatego wejdz. Chodź na piąte piętro. W twoich czasach jest tu muzeum, ludzie przyjeżdżają z całego świata i niektórzy z nich wciąż oplakują człowieka, który zginął, i wszystko, czego mógł dokonać, ale teraz mamy rok 1960, Kennedy dopiero jest senatorem, a Jake Epping nie istnieje. Istnieje tylko George Amberson, krótko ostrzyżony mężczyzna w przepoconej koszuli i poluzowanym krawacie. Człowiek swojej epoki, można by rzec. Dlatego wejdz. Boisz się duchów? Przecież zbrodnia jeszcze się nie wydarzyła!

A jednak były tam duchy. Może nie na Magazine Street w Nowym Orleanie, ale tam,

na górze? O tak. Sądziłem, że nigdy nie będę musiał stawić im czoła, bo do Składnicy Podręczników nie wejść, tak jak nie wszedłem do tego przewróconego komina w Derry. Oswald zacznie tam pracować jakiś miesiąc przed zamachem, a zbyt ryzykownie byłoby czekać aż tak długo. Nie, zamierzałem postąpić zgodnie z planem ogólnie nakreślonym przez Ala w ostatniej części jego notatek, tej pod tytułem WNIOSKI CO DO SPOSOBU POSTEMPOWANIA.

Choć Al był pewien słuszności swojej teorii o samotnym strzelcu, brał pod uwagę małą, ale statystycznie istotną możliwość, że jednak się mylił. W swoich notatkach nazywał to „marginiesem niepewności”.

Zamierzał wyeliminować ten margines na dobre dziesiątego kwietnia 1963 roku, ponad pół roku przed wizytą Kennedy'ego w Dallas, i uznałem, że jego pomysł ma sens. Jeszcze w tym samym miesiącu, a najprawdopodobniej już nocą dziesiątego - po co zwlekać? - zabiję męża Mariny i ojca June, tak jak zabiłem Franka Dunninga. I z tym samym brakiem skrupułów. Kiedy widzisz pająka, który biegnie po podłodze w stronę łóżeczka twojego dziecka, możesz się zawahać. Możesz się nawet zastanowić, czy złapać go do butelki i wypuścić na podwórku, żeby dalej żył swoim małym życiem. Ale jeśli jesteś pewien, że ten pająk jest jadowity? Że to czarna wdowa? Wtedy nie wahasz się ani chwili. Nie, jeśli masz rozum.

Wtedy rozdeptujesz go na miazgę.

9

Miałem własny plan na okres między sierpniem 1960 a kwietniem 1963 roku. Kiedy Oswald wróci z Rosji, będę miał go na oku, ale nie będę w nic ingerował. Nie mogłem sobie na to pozwolić. Ze względu na efekt motyla. Jeśli istnieje głupsza metafora niż „łańcuch zdarzeń”, ja takiej nie znam. Łańcuchy (może poza tymi, które wszyscy uczyliśmy się kleić z pasków kolorowego papieru w przedszkolu) są mocne. Używamy ich do wyciągania bloków silnika z ciężarówek oraz krępowania rąk i nóg niebezpiecznym więźniom. Rzeczywistość, jak ją pojmowałem, już taka nie była. Wydarzenia są kruche, powiadam wam, są domkami z kart i zaczepiając Oswalda - a co dopiero próbując go odwieść od popełnienia zbrodni, o której jeszcze nawet nie pomyślał - pozbawiałbym się mojego jedyne go atutu. Motyl rozpostarłby skrzydła i losy Oswalda by się zmieniły.

Może z początku byłyby to drobne zmiany, ale, jak mówi piosenka Bruce'a Springsteena, z drobiazgów, mała, wielkie rzeczy się rodzą. Mogłyby to być zmiany na

lepsze, ocaliłyby człowieka, który teraz był młodym senatorem z Massachusetts. Ja w to jednak nie wierzyłem. Bo przeszłość jest nieustępliwa. W 1962 roku, zanotował Al na marginesie, Kennedy będzie w Houston, na uniwersytecie Rice, gdzie wygłosi przemówienie o locie na Księżyc. *Odkryta aula, bez kuloodpornego podium*, napisał. Houston było o niecałe pięćset kilometrów od Dallas. A jeśli Oswald tam postanowi zabić prezydenta?

A jeśli Oswald był tym, za kogo się podawał, kozłem ofiarnym? Co by się stało, gdybym wypłoszył go z Dallas z powrotem do Nowego Orleanu, a Kennedy zginąłby mimo to, padając ofiarą jakiegoś szalonego spisku mafii czy CIA? Czy starczyłoby mi odwagi, żeby jeszcze raz wejść w króliczą norę i zacząć wszystko od nowa? Znowu ocalić Dunningów? Znowu uratować Carolyn Poulin? Już poświęciłem tej misji prawie dwa lata. Czy byłbym skłonny dorzucić następne pięć, gdy skutek tak czy tak będzie niepewny?

Lepiej nie musieć się o tym przekonać.

Lepiej od razu mieć pewność.

W drodze z Nowego Orleanu do Teksasu zdecydowałem, że najlepszym sposobem na monitorowanie Oswalda bez wchodzenia mu w drogę jest mieszkać w Dallas, gdy on będzie w siostrzanym mieście Dallas, Fort Worth, i przenieść się do Fort Worth, gdy Oswald przeprowadzi się z rodziną do Dallas. Zaletą tego pomysłu była jego prostota, ale to nie mogło się udać. Uświadomiłem to sobie w następnych tygodniach po tym, jak pierwszy raz spojrziałem na Teksaską Składnicę Podręczników i bardzo silnie poczułem, że, jak czeluść Nietzschego, ona też na mnie patrzy.

W sierpniu i wrześniu tego roku wyborów prezydenckich jeździłem sunlinerem po Dallas, szukając mieszkania (nawet po tak długim czasie strasznie brakowało mi mojego GPS-a i co rusz musiałem pytać ludzi o drogę). Nic mi nie pasowało. Z początku myślałem, że to wina samych mieszkań. Potem, kiedy zacząłem lepiej poznawać miasto, zorientowałem się, że przyczyna leży po mojej stronie.

Prawda była taka, że nie lubiłem Dallas, i osiem tygodni wnikliwej obserwacji przekonało mnie, że wiele było powodów, by tego miasta nie lubić. „Times Herald” (który wielu mieszkańców Dallas rutynowo nazywało „Szajs Herald”) był męczącą tubą taniego patriotyzmu lokalnego. „Morning News” mogło sobie lirycznie opisywać toczony przez Dallas i Houston „wyścig ku niebu”, ale drapacze chmur, do których to określenie się odnosiło, były wyspą architektonicznej miernoty otoczoną pierścieniami, jak to zwykłem nazywać w duchu, Wielkiego Amerykańskiego Kultu Płaskości. Prasa nie zauważała dzielnic slumsowych, w których podziały na tle rasowym zaczynały się zacierać. Za nimi były niekończące się osiedla klasy średniej, zaludnione głównie przez weteranów drugiej wojny

światowej i wojny w Korei. Weterani mieli żony, które całymi dniami sprzątały, prały i prasowały. Większość małżeństw miała 2,5 dziecka. Nastolatki kosiły trawniki, rozwoziły rowerami „Szajs Herald”, pucowały rodzinne samochody woskiem i słuchały (potajemnie) Chucka Berry'ego w radiach tranzystorowych.

Jeszcze dalej, za domami na przedmieściach z wirującymi zraszaczami na trawnikach, rozciągały się rozległe połacie pustki. Tu i tam obrotowe deszczownie wciąż pracowały na polach bawełny, która jednak nie była już w tych stronach królem; zastąpiły ją bezkresne łąny kukurydzy i soi. W powiecie Dallas najlepiej obrodziły elektronika, tekstylia, brednie i nieuczciwie zarabiane petrodolary. W okolicy stało niewiele wież wiertniczych, ale kiedy wiatr wiał od zachodu, gdzie znajduje się Basen Permski, w bliźniaczych miastach cuchnęło ropą i gazem ziemnym.

Dzielnica finansowa w centrum była pełna zagonionych cwaniaków w stroju, który nazywałem w duchu Full Dallas: marynarka sportowa w kratę, wąski krawat obciążony wielgachną spinką (spinki te, ówczesny odpowiednik hiphopowych błyskotek, zwykle miały na środku skrzące się brylanty albo ich przekonujące podróbki), białe spodnie Sansabelt i krzykliwe buty z ozdobnymi szwami. Pracowali w bankach i spółkach inwestycyjnych. Sprzedawali kontrakty terminowe na soję, koncesje na ropę i ziemię na zachód od miasta, gdzie nie rosło nic oprócz czarciego ziela i szarłatów. Poklepywali się nawzajem po ramionach dłońmi obładowanymi pierścieniami i mówili do siebie per „synu”. U pasa, tam gdzie biznesmeni w 2011 noszą telefony komórkowe, wielu miało pistolety w ręcznie szytych kaburach.

Były billboardy nawołujące do odwołania z urzędu prezesa Sądu Najwyższego Earla Warrena; billboardy pokazujące rozwścieczonego Nikitę Chruszczowa (głosiły: NIET, TOWARZYSZU CHRUSZCZOW, TO MY POGRZEBIEMY WAS!); jeden na West Commerce Street informował AMERYKAŃSKA PARTIA KOMUNISTYCZNA POPIERA INTEGRACJĘ. **PRZEMYŚL TO!** Ten ostatni opłaciła organizacja o nazwie Stowarzyszenie im. Patricka Henry'ego. Przy dwu okazjach na sklepach, których nazwy sugerowały, że właścicielami są Żydzi, zobaczyłem narysowane mydłem swastyki.

Dallas mi się nie podobało. Nie, proszę pani, nie, proszę pana, wcale. Nie podobało mi się od chwili, kiedy zameldowałem się w Adolphusie i zobaczyłem, jak *maître d'* restauracji ściska skulonego młodego kelnera za ramię i krzyczy mu w twarz. Mimo to, miałem tutaj sprawę do załatwienia i tutaj miałem zostać. Tak wtedy myślałem.

Dwudziestego drugiego września nareszcie znalazłem lokum, które wyglądało na zdadne do zamieszkania. Był to stojący przy Blackwell Street w północnej części Dallas samodzielny garaż przerobiony na całkiem przyzwoite dwupoziomowe mieszkanie. Największa zaleta: klimatyzacja. Największa wada: właściciel, Ray Mack Johnson. Był rasistą. Uprzedził mnie, że jeśli zdecyduję się tu zamieszkać, to on radzi, żebym trzymał się z dala od pobliskiej Greenville Avenue, bo dużo tam knajp o wymieszanej rasowo klienteli i czarnuchów z nożami, które nazywał „sprężynowcami”.

- Nie mam nic przeciwko czarnuchom, Boże broń - powiedział mi. - A gdzie tam. To Bóg ich takim statusem społecznym pokarał, nie ja. Wiesz pan chyba o tym, co?

- Musiałem przeoczyć ten fragment w Biblii.

Zmrużył oczy podejrzliwie.

- Coś pan, metodysta?

- Tak. - Uznałem, że tak będzie bezpieczniej, niż gdybym powiedział, że z wyznaniowego punktu widzenia jestem nikim.

- Tobie do baptystów przejść trzeba, synu. Nasz Kościół przyjmuje nowych wiernych z otwartymi ramionami. Weź pan to mieszkanie, a może którejś niedzieli ja i żona zabierzemy pana na mszę.

- Może - przytaknąłem, notując sobie w pamięci, by w ową niedzielę być w śpiączce. Albo w ogóle być martwy.

Pan Johnson tymczasem powrócił do swojego kazania.

- Widzisz pan, pewnego razu Noe upił się na arce i leżał na łożu goły jak go Pan Bóg stworzył. Dwaj synowie nie chcieli na niego patrzeć, odwrócili się tylko i przykryli go kocem. A może to było prześcieradło, nie pamiętam. Ale Cham, jedyny czarnuch w rodzinie, ujrzał nagość ojca swego i Bóg za karę skazał go i całą jego rasę na to, by już zawsze byli tymi, co drzewo ścinają i wodę noszą. Ot, i cała prawda. Tak to właśnie było. Księga Rodzaju, rozdział dziewiąty. Pan sam to sobie sprawdzi, panie Amberson.

- Uhm - mruknąłem, wmawiając sobie, że gdzieś mieszkać muszę, a przecież nie mogę bez końca siedzieć w Adolphusie. Że trochę rasizmu wytrzymam, że się nie rozpuszczę. Że to duch czasów i że pewnie tak samo jest wszędzie. Tylko że sam sobie nie wierzyłem. - Przemyszę to i za dzień lub dwa dam panu odpowiedź, panie Johnson.

- Tylko nie zwlekaj za długo, synu. Chętni na to mieszkanie szybko się znajdują. Błogosławionego dnia życzę.

W ten błogosławiony dzień znów panował potworny upał, a łowy na mieszkanie kosztowały mnie wiele potu. Po opuszczeniu uczonego towarzystwa Raya Macka Johnsona wzięła mnie chęć na piwo. Postanowiłem je kupić na Greenville Avenue. Skoro pan Johnson odradzał wizytę w tej okolicy, uznałem, że wypada tam zajrzeć.

Pod dwoma względami miał rację: ulica była zintegrowana (mniej więcej) i niebezpieczna. Była też pełna życia. Zaparkowałem wóz i poszedłem na spacer, delektując się jarmarczną atmosferą. Minąłem prawie dwa tuziny barów, kilka podrzędnych kin (WEJDŹ, W ŚRODKU JEST „KOOL”, zachęcały transparenty u markiz łopoczące na gorącym, cuchnącym ropą teksaskim wietrze) i lokal ze striptizem, zachwalany przez stojącego przed wejściem naganiacza wrzaskiem: „Dziewczyny, dziewczyny, dziewczyny, najlepsza burleska na świecie! Lepszej nie zobaczycie! Te damulki się gołą, jeśli wiecie, co mam na myśli!”. Przeszedłem też obok trzech czy czterech punktów kasowych, w których można było zrealizować czek i dostać szybką pożyczkę. Przed jednym z nich - Faith Financial: Zaufanie to nasza dewiza - beczelnie stała tablica z napisami DZISIEJSZE ZAKŁADY u góry i TYLKO DLA ZABAWY u dołu. Mężczyźni w słomkowych kapeluszach i szelkach (styl, w jakim tylko zatwardziały graczom do twarzy) stali wokół niej i dyskutowali o podanych notowaniach. Niektórzy mieli programy wyścigów konnych; inni przeglądali dział sportowy „Morning News”.

Tylko dla zabawy, pomyślałem. Jasne. Przed oczami mignął mi obraz mojego domku na plaży, trawionego pośród nocy płomieniami wzbijanymi w rozgwieżdżone niebo przez wiatr znad Zatoki Meksykańskiej. Zabawa miała swoje złe strony, zwłaszcza kiedy polegała na stawianiu zakładów.

Z otwartych drzwi wysączała się muzyka i zapach piwa. Usłyszałem Jerry'ego Lee Lewisa śpiewającego „Whole Lotta Shakin' Goin' On” w jednej szafie grającej i Ferlina Husky'ego zawodzącego „Wings of a Dove” w drugiej, w sąsiednim lokalu. Zaczepiły mnie cztery prostytutki i handlarz uliczny, który sprzedawał kołpaki, brzytwy skrzące się strasami i flagi Teksasu z wypisanym wypukłymi literami hasłem NIE ZADZIERAJ Z TEKSASEM. Spróbujcie przetłumaczyć coś takiego na łacinę.

Dręczyło mnie niepokojące, bardzo silne poczucie *déjà vu*, wrażenie, że coś tutaj jest nie tak, że coś tutaj zawsze było nie tak. To było niedorzeczne - nigdy w życiu nie byłem na Greenville Avenue - ale przy tym niezaprzeczone, płynące z serca raczej niż z głowy. Nagle stwierdziłem, że nie chcę piwa. I że nie wynajmę przerobionego garażu pana Johnsona bez

względu na to, jak dobrze był klimatyzowany.

Właśnie minąłem knajpę o nazwie Desert Rose, w której huczała szafa grająca Rock-Ola; śpiewał Muddy Waters. Kiedy zrobiłem zwrot w tył, żeby wrócić do samochodu, przez drzwi wyleciał mężczyzna. Potknął się i runął jak długi na chodnik. Z ciemnego wnętrza baru dobiegł wybuch śmiechu. Jakaś kobieta krzyknęła: „I nie wracaj tu, dopóki ci jaj nie przyszyją!”. Wywołało to kolejną (i jeszcze donośniejszą) salwę śmiechu.

Wyrzucony klient krwawił z nosa - mocno przekrzywionego w bok - i z zadrapania, które przecinało lewą stronę jego twarzy od skroni po podbródek. Oczy miał wielkie, zszokowane. Wywleczona ze spodni, szarpana wiatrem koszula opadała mu prawie do kolan, kiedy złapał się latarni i podźwignął na nogi. Gdy już na nich stanął, omiótł gniewnym wzrokiem wszystko dokoła, nie widząc niczego.

Zrobiłem parę kroków w jego kierunku, ale zanim pokonałem dzielący nas dystans, jedna z kobiet - ta o dużych ciemnych oczach i gładkiej skórze koloru kawy, które wcześniej pytały mnie, czy nie chciałbym się zabawić, nadeszła, kołysząc się na szpilkach. Tak naprawdę jeszcze nie była kobietą, mogła mieć najwyżej szesnaście lat. Uśmiechała się, ale nie złośliwie, i kiedy mężczyzna z zakrwawioną twarzą zachwiał się, ujęła go za ramię.

- Spokojnie, skarbulku - powiedziała. - Musisz ochłonać, zanim...

Podciągnął zwisające poły koszuli. Zdobiona masą perłową rękojeść pistoletu - dużo mniejszego niż ten, który kupiłem w sklepie sportowym Machen's, wyglądał jak zabawka - wbijała się w blade sadło wylewające się z nieopiętych pasem gabardynowych spodni. W rozpiętym do połowy rozporku widziałem bokserki w czerwone wyścigówki. To pamiętam. Mężczyzna wyszarpnął pistolet, przycisnął lufę do brzucha prostytutki i pociągnął za spust. Rozległ się idiotyczny cichy trzask, dźwięk kapiszona wybuchającego w blaszanej puszcze, nic więcej. Kobieta krzyknęła i usiadła na chodniku, z dłońmi splecionymi na brzuchu.

- Postrzeliłeś mnie! - W jej głosie było więcej oburzenia niż bólu, ale krew zaczynała przesączać się przez jej palce. - Postrzeliłeś mnie, gnido parszywa, dlaczegoś mnie postrzelił?

Nie zwrócił na nią uwagi, tylko szarpnął drzwi Desert Rose. Ja wciąż stałem tam, gdzie byłem, kiedy postrzelił ładną młodą prostytutkę, po części dlatego, że zamarłem z szoku, ale głównie przez to, że to wszystko trwało sekundy. Może dłużej niż Oswaldowi zajmie zabójstwo prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale niewiele.

- Tego chcesz, Linda?! - krzyknął. - Jeśli tego chcesz, proszę bardzo!

Wsadził sobie lufę do ucha i nacisnął cyngiel.

12

Złożyłem chusteczkę i delikatnie przycisnąłem ją do dziury w czerwonej sukience dziewczyny. Nie wiem, jak ciężko była ranna, ale miała dość siły, by wyrzucić z siebie potok barwnych wyrażeń, których zapewne nie nauczyła się od matki (choć kto wie). A kiedy jakiś mężczyzna z gromadzącego się tłumu podszedł za blisko jak na jej gust, warknęła:

- Nie zaglądamy mi pod kieckę, świntuchu jeden. Za to się płaci.

- Trup na miejscu. Biedny sukinsyn - stwierdził ktoś. Klęczał obok mężczyzny, którego wyrzucili z Desert Rose. Jakaś kobieta zaczęła piszczeć.

Zbliżające się syreny też piszczały. Zauważyłem inną kobietę, która też mnie zaczepiła podczas mojej przechadzki po Greenville Avenue, rudowłosą, w spodniach Capri. Przywołałem ją skinieniem ręki. Dotknęła swojej piersi gestem mówiącym „kto, ja?”, a ja kiwnąłem głową. Tak, ty.

- Przyciskaj tę chusteczkę do rany - poleciłem jej. - Spróbuj zatamować krwawienie. Ja muszę już iść.

Obdarzyła mnie mądrym uśmiechem.

- Co, nie chcesz zaczekać na gliny?

- Nie bardzo. Nie znam tych ludzi. Tylko tędy przechodziłem.

Uklękła przy krwawiącej, przeklinającej dziewczynie na chodniku i ucisnęła ranę mokrą już od krwi chusteczką.

- Jak my wszyscy, kochany - powiedziała.

13

Tej nocy nie mogłem spać. Kiedy już zapadałem w sen, nagle ukazywała mi się tłusta od potu, pełna samozadowolenia twarz Raya Macka Johnsona zrzucającego winę za dwa tysiące lat niewolnictwa, mordów i wyzysku na to, że jakiś nastolatek obczaił drażek zmiany biegów ojca. Budziłem się raptownie, uspokajałem się, zasypiałem... i widziałem niskiego faceta z rozpiętym rozporkiem, który wsadza sobie w ucho lufę małego pistoletu. „Tego chcesz, Linda?”. Ostatni wybuch bezrozumnej złości przed wielkim snem. I znowu się budziłem. Następni w galerii postaci byli mężczyźni w czarnym sedanie wrzucający butelkę z benzyną przez frontowe okno mojego domu w Sunset Point: Edwardo Gutierrez próbujący się pozbyć swojego Yanqui z Krainy Jankesów. Dlaczego? Bo nie lubił przegrywać, to wszystko. Jak dla niego to wystarczający powód.

W końcu dałem za wygraną i usiadłem przy oknie, w którym dzielnie warkotał hotelowy klimatyzator. Noc w Maine na pewno była dość rześka, by drzewa zaczęły nabierać kolorów, ale tu, w Dallas, o wpół do trzeciej nad ranem wciąż było dwadzieścia kilka stopni. I wilgoć w powietrzu.

- Dallas, Derry - powiedziałem, patrząc w dół, na milczący wąwóz Commerce Street. Murowanego sześcianu Składnicy Podręczników nie widziałem, ale był blisko. Kilka minut piechotą. - Derry, Dallas.

Obie nazwy składały się z dwóch sylab przełamanych na podwójnej literze jak patyk na kolanie. Nie mogłem tu zostać. Zwariowałbym, gdybym spędził w Dallas jeszcze trzydzieści miesięcy. Ile czasu by minęło, zanim zacząłbym zauważać graffiti typu NIEDŁUGO ZABIJĘ MOJĄ MATKĘ? Albo dostrzegłbym Jezusa jak fetysz dżu-dżu płynącego w rzece Trinity? Może w Fort Worth byłoby lepiej, ale Fort Worth i tak był za blisko.

Czemu właściwie muszę mieszkać w jednym z tych miast?

Ta myśl przyszła zaraz po trzeciej nad ranem i była jak objawienie. Miałem porządną samochód - w którym się tak jakby zakochałem, szczerze mówiąc - a w centralnym Teksasie nie brakowało dobrych, szybkich dróg, w tym wielu świeżo wybudowanych. Na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku skomplikuje je płatanina estakad i dodatkowych pasów, ale w roku 1960 były wręcz niesamowicie puste, przygotowane na przyjęcie ruchu, który jeszcze nie nastąpił. Były ograniczenia prędkości, ale nikt nie pilnował ich przestrzegania. W Teksasie nawet policjanci stanowi wyznawali wiarę w gaz do dechy i ryk silnika.

Mógłbym wyjść z tego duszącego cienia, który zdawał się spowijać całe miasto. Mógłbym znaleźć miejscowość nie tak przygnębiającą, gdzie nie czułoby się wszechobecnej nienawiści i agresji. W biały dzień mogłem sobie wmawiać, że to tylko złudzenie, ale nie teraz, na dnie poranka. W Dallas niewątpliwie byli dobrzy ludzie, tysiące dobrych ludzi, przytłaczająca większość, ale był też ten pobrzmiwający w tle akord, który czasem wrywał się na pierwszy plan. Tak jak wtedy przed Desert Rose.

„Wydaje mi się, że w Derry złe czasy tak naprawdę nigdy się nie kończą”. Tak powiedziała Bevvie-co-mieszka-na-drzewie i sądziłem, że to samo dotyczy Dallas, mimo że najgorszy dzień w dziejach tego miasta miał nadejść dopiero za ponad trzy lata.

Będę dojeżdżać, postanowiłem. George chce w ciszy i spokoju pracować nad książką, ale że pisze o mieście... nawiedzonym mieście, musi od czasu do czasu w nim bywać, zgadza się? Żeby zbierać materiały.

Nic dziwnego, że trzeba było prawie dwóch miesięcy, żebym wpadł na ten pomysł; najprostsze rozwiązania często najłatwiej przeoczyć. Wróciłem do łóżka i prawie od razu zasnąłem.

14

Nazajutrz wyjechałem z Dallas drogą numer 77 na południe. Po półtorej godziny dotarłem do powiatu Denholm. Skręciłem na zachód, na drogę stanową numer 109, głównie dlatego, że spodobał mi się billboard na skrzyżowaniu. Przedstawiał heroicznego młodego futbolistę w złocistym kasku, czarnej koszulce i złocistych getrach. LWY DENHOLM, TRZYKROTNI MISTRZOWIE REGIONU! ZMIERZAMY PO MISTRZOSTWO STANU W 1960! „MOC JIMA JEST Z NAMI!”.

Cokolwiek to znaczy, pomyślałem. Cóż, każda szkoła ma swoje sekretne znaki i sygnały; dzięki temu dzieciaki czują się dopuszczone do tajemnicy.

Po przejechaniu paru kilometrów drogą 109 dotarłem do miejsciny o nazwie Jodie. Tabliczka oznajmiała: MIESZK. 1280. WITAJ, PRZYBYSZU! W połowie długości szerokiej, wysadzonej drzewami Main Street zobaczyłem małą restaurację z wywieszką w witrynie: NAJLEPSZE SHAKE'I, FRYTKI I HAMBURGERY W CAŁYM TEKSASIE! Nazywała się Al's Diner.

Oczywiście.

Zatrzymałem wóz na jednym z ukośnych miejsc parkingowych przed restauracją, wszedłem do środka i zamówiłem coś o nazwie Widłorogi Specjał, co okazało się podwójnym cheeseburgerem z sosem barbecue. Podawano go w zestawie z frytkami Mesquite i shakiem Rodeo - do wyboru waniliowy, czekoladowy lub truskawkowy. Widłorogi Specjał nie był tak dobry jak Mniamburger, ale nie był też zły, a frytki takie jak lubię najbardziej: chrupiące, słone, lekko przypalone.

Al okazał się Alem Stevenssem, chudzielcem w średnim wieku, który w niczym nie przypominał Ala Templetona. Miał fryzurę w stylu rockabilly, oprószone siwizną wąsy meksykańskiego *bandido*, mocny teksaski akcent i papierową czapkę zawadiacko przekrzywioną na bok. Kiedy spytałem, czy w Jodie można wynająć mieszkanie, zaśmiał się i powiedział:

- Do wyboru, do koloru. Gorzej z pracą, bo ośrodek handlowy to nie jest. Głównie rancza, a pan, bez urazy, nie wygląda mi na typ kowboja.

- I słusznie. Jestem raczej typem pisarza.

- Co pan powie! Mogłem coś pańskiego przeczytać?

- Jeszcze nie. Mam napisane prawie pół powieści i paru wydawców wyraziło zainteresowanie. Szukam cichego miejsca, gdzie mógłbym ją dokończyć.

- Cóż, w Jodie jest cicho, to na pewno. - Al przewrócił oczami. - Powinni nam przyznać patent na ciszę. Tylko w piątkowe wieczory robi się głośno.

- Futbol?

- Otóż to, całe miasto idzie na mecz. W przerwie wszyscy ryczą jak lwy, potem wiwatują na cześć Jima. Słysząc ich na parę kilometrów wokół. Bardzo to zabawne.

- Kto to jest Jim?

- LaDue, rozgrywający. Mieliśmy parę dobrych drużyn, ale takiego rozgrywającego jak LaDue jeszcze w Denholm nie było. A jest dopiero w trzeciej klasie. Ludzie zaczynają przebąkiwać o mistrzostwie stanu. Jak dla mnie to nadmiar optymizmu, przecież tyle jest mocnych szkół w Dallas, ale myślę sobie, że odrobina nadziei jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

- Pomijając futbol, jaka jest ta szkoła?

- Bardzo porządna. Z początku wielu wątpiło, czy cała ta konsolidacja ma sens... ja też... ale w sumie się opłaciło. W tym roku mają ponad siedmiuset uczniów. Niektórzy dojeżdżają autobusem godzinę, nawet dłużej, ale nie narzekają. Pewnie dzięki temu mają mniej obowiązków w domu. Ta pańska książka jest o nastolatkach? Coś w stylu „Szkolnej dżungli”? Bo tutaj nie ma gangów. Tu dzieci są dobrze wychowane.

- Nic z tych rzeczy. Mam oszczędności, ale chętnie trochę dorobiłbym na zastępstwach. Nie mogę uczyć na całym etacie i pisać.

- Pewnie, że nie - powiedział z kurtuazją.

- Dyplom mam z Oklahomy... - Wzruszyłem ramionami na znak, że Oklahoma nie może się równać z Teksasem, ale lepszy rydz niż nic.

- Cóż, powinien pan pogadać z Dekiem Simmonsem. To dyrektor szkoły. Prawie co wieczór przychodzi tu na kolację. Parę lat temu umarła mu żona.

- Przykro mi.

- Jak nam wszystkim. To miły człowiek. Jak większość ludzi w tych stronach, panie...?

- Amberson. George Amberson.

- Cóż, George, żyjemy tu dość sennie, pomijając piątkowe wieczory, ale mogłeś trafić gorzej. Może nawet nauczysz się ryczeć jak lew w przerwie meczu.

- Może - przytaknąłem.

- Zajrzyj tu koło szóstej. Wtedy zwykle przychodzi Deke. - Oparł się rękami o kontuar i nachylił się nad nimi. - Chcesz mojej rady?

- Pewnie.

- Prawdopodobnie przyjdzie z przyjaciółką. To panna Corcoran, szkolna bibliotekarka. Smali do niej cholewki gdzieś tak od ostatniego Bożego Narodzenia. Słyszałem, że to Mimi Corcoran faktycznie rządzi Denholm Consolidated High School, bo rządzi jej dyrektorem. Jeśli jej się spodobaś, masz tę robotę na mur-beton.

- Będę to miał na uwadze - powiedziałem.

15

Tygodnie polowania na mieszkanie w Dallas przyniosły mi dokładnie jedną potencjalną zdobycz, a okazała się własnością człowieka, od którego nie chciałem nic wynajmować. W Jodie wystarczyły trzy godziny, żebym znalazł porządne lokum. Nie mieszkanie, tylko mały, schludny pięciopokojowy dom. Został wystawiony na sprzedaż, powiedział mi agent nieruchomości, ale małżeństwo, do którego należał, chętnie wynajmie go odpowiedniej osobie. Było podwórko w cieniu wiązów, garaż na sunlinera... i centralna klimatyzacja. A czynsz, jak na takie wyposażenie, nie był wygórowany.

Agent nazywał się Freddy Quinlan. Był mną zaintrygowany - myślę, że tablica rejestracyjna z Maine na moim samochodzie wydała mu się egzotyczna - ale nie nadmiernie. Co najlepsze, czułem, że wydostałem się z cienia, który okrywał mnie w Dallas, Derry i Sunset Point, gdzie z mojego ostatniego wynajmowanego domu została kupka popiołu.

- No i...? - spytał Quinlan. - Co pan sądzi?

- Chciałbym go, ale dziś nie mogę podjąć decyzji. Muszę się najpierw zobaczyć z jednym człowiekiem. Jutro pan pewnie nie pracuje?

- Pracuję, a jakże. W soboty dyżuruję do południa. Potem idę do domu i oglądam Mecz Tygodnia w telewizji. Zanoszą na ciekawe World Series w tym roku.

- Tak, to prawda.

Quinlan podał mi rękę.

- Miło było pana poznać, panie Amberson. Na pewno spodobałoby się panu w Jodie. Mieszkają tu sami porządni ludzie. Mam nadzieję, że wszystko ułoży się po pańskiej myśli.

Uścisnąłem jego dłoń.

- Ja też.

Jak to ktoś powiedział, odrobina nadziei jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Tego wieczora wróciłem do Al's Diner i przedstawiłem się dyrektorowi Denholm Consolidated i jego przyjaciółce bibliotekarce. Zaprosili mnie, żebym się do nich przysiadł.

Deke Simmons był wysoki, łysy, pod sześćdziesiątkę. Mimi Corcoran miała okulary i opaleniznę. Jej niebieskie oczy mierzyły mnie badawczo zza dwuogniskowych szkieł. Chodziła o lasce, którą posługiwała się z niedbałą (niemal pogardliwą) wprawą zrodzoną z długiego użytkowania. Oboje, co zauważyłem z rozbawieniem, mieli proporczyki Denholm i złote znaczki z hasłem MAMY MOC JIMA! Nic dziwnego - to był piątkowy wieczór w Teksasie.

Simmons spytał mnie, jak mi się podoba Jodie (bardzo), jak długo byłem w Dallas (od sierpnia) i czy lubię oglądać futbol w szkolnym wydaniu (o tak, zdecydowanie). Jedyne w miarę konkretne pytanie dotyczyło tego, czy jestem pewien, że potrafię zdobyć „posłuch” u uczniów. Wielu nauczycieli na zastępstwie ma z tym kłopoty, wytłumaczył.

- Ci młodzi nauczyciele wysyłają dzieci do nas, jakbyśmy nie mieli nic lepszego do roboty - powiedział, po czym wgrzył się w Widłorogiego Hamburgera.

- Sos, Deke - rzuciła Mimi i posłusznie wytarł kącik ust papierową serwetką z podajnika.

Panna Corcoran tymczasem dalej robiła inwentaryzację mojej osoby: sportowa marynarka, krawat, fryzura. Butom dobrze się przyjrzała, kiedy szedłem do ich boksu.

- Ma pan referencje, panie Amberson?

- Tak, proszę pani, sporo pracowałem na zastępstwach w powiecie Sarasota.

- A w Maine?

- Tam trochę mniej, chociaż w Wisconsin uczyłem przez trzy lata na etacie, zanim zrezygnowałem, żeby się skupić na pisaniu książki. Przynajmniej na tyle, na ile mi finanse pozwolą. - Faktycznie miałem referencje ze szkoły średniej imienia świętego Wincentego w Madison. Dobre referencje; sam je napisałem. Oczywiście, gdyby ktoś je sprawdził, byłbym załatwiony. Deke Simmons nie zrobiłby tego, ale bystrooka Mimi o ogorzałej skórze kowboja owszem, mogłaby.

- A o czym jest pańska powieść?

Na tym też mogłem się wkopać, ale postanowiłem być szczery. Przynajmniej na tyle, na ile to było możliwe w mojej szczególnej sytuacji.

- O serii morderstw i ich wpływie na społeczność, w której następują.

- O mój Boże - powiedział Deke.

Poklepała go po nadgarstku.

- Ciii. Proszę dalej, panie Amberson.

- Pierwotnie miejscem akcji miało być fikcyjne miasto w Maine... nazwałem je Dawson... ale potem uznałem, że fabuła będzie bardziej realistyczna, jeśli umiejscowię ją w prawdziwym mieście. Większym. Myślałem o Tampie, ale jakoś mi nie pasowała...

Zbyła Tampę machnięciem ręki.

- Zbyt pastelowa. Za dużo turystów. Domyślam się, że szukał pan czegoś trochę bardziej odciętego od świata.

Naprawdę bystra dama. Wiedziała o mojej książce więcej niż ja.

- Otóż to. Dlatego postanowiłem obejrzeć Dallas. Myślę, że to odpowiednie miejsce, ale...

- Ale nie chciałby pan tam mieszkać?

- No właśnie.

- Rozumiem. - Dłubała w swojej rybie smażonej w głębokim tłuszczu. Deke patrzył na nią z lekko oszołomioną miną. O czymkolwiek marzył na ostatniej prostej swojego życia, wydawało się, że ona to ma. Nic w tym szczególnie dziwnego; każdy kiedyś kogoś kocha, jak miał przenikliwie zauważyć Dean Martin. Ale to dopiero za kilka lat. - A kiedy pan nie pisze, co lubi pan czytać, panie Amberson?

- Och, praktycznie wszystko.

- Czytał pan „Buszującego w zbożu”?

O-o, pomyślałem.

- Tak, proszę pani.

Zrobiła zniecierpliwioną minę.

- Ojej, mówże mi Mimi. Nawet dzieci tak do mnie mówią, choć tłumaczą im, żeby dla przyzwoitości dodawały „pani”. I cóż pan sądzi o *cri de coeur* pana Salingera?

Skłamać czy powiedzieć prawdę? Niepoważne pytanie. Ta kobieta wyczytałaby kłamstwo z mojej twarzy, jak ja mógłbym przeczytać... cóż... billboard ODWOŁAĆ EARLA WARRENA.

- Myślę, że ta książka wiele mówi o tym, jak podłe były lata pięćdziesiąte i jak piękne mogą być lata sześćdziesiąte. O ile Holdenowie Caulfieldowie Ameryki nie wyzbędą się swojego gniewu. I odwagi.

- Uhm. Hm. - Cały czas dłubała w rybie, ale nie zauważyłem żeby zjadła choć kęs. Nic dziwnego, że wyglądała, jakby można jej było przyczepić sznurek do sukienki i puszczać ją na wietrze jak latawiec. - Uważa pan, że ta książka powinna się znaleźć w szkolnej

bibliotece?

Westchnąłem, myśląc o tym, jak przyjemnie mieszkałoby mi się i uczyło w Jodie w stanie Teksas.

- Szczerze mówiąc, proszę pani... Mimi... tak. Choć uważam też, że powinno się ją wypożyczać tylko niektórym uczniom, według uznania bibliotekarza.

- Bibliotekarza? Nie rodziców?

- Nie, proszę pani. To otworzyłyby puszkę Pandory.

Mimi Corcoran uśmiechnęła się szeroko i odwróciła się do swojego kawalera.

- Deke, miejsce tego dżentelmena nie jest na liście zastępców. On powinien dostać etat.

- Mimi...

- Wiem, nie ma wolnych etatów dla nauczycieli angielskiego. Ale jeśli trochę poczeka, można by go przyjąć, kiedy ten dureń Don Haggarty przejdzie na emeryturę.

- Meems, to bardzo nietaktowne.

- Tak - zgodziła się i ni mniej, ni więcej, tylko puściła do mnie oko. - I bardzo prawdziwe. Niech pan wyśle Deke'owi swoje referencje z Florydy, panie Amberson. Powinny wystarczyć. Albo lepiej niech pan je przyniesie osobiście w przyszłym tygodniu. Rok szkolny się zaczął. Nie ma co tracić czasu.

- Proszę, mów mi George - powiedziałem.

- Nie omieszka - odparła. Odsunęła talerz. - Deke, przecież to ohydne. Dlaczego właściwie tu jadamy?

- Bo ja lubię hamburgery, a ty ciasto z truskawkami od Ala.

- Ano tak, ciasto z truskawkami. Dawaj je. Panie Amberson, może pan zostać na mecz?

- Dziś nie - odparłem. - Muszę wracać do Dallas. Może za tydzień. Jeśli uznacie, że się wam przydam.

- Jeśli podoba się pan Mimi, to mnie też - powiedział Deke Simmons. - Nie mogę zagwarantować, że dostanie pan jeden dzień w każdym tygodniu, ale będą tygodnie, kiedy będzie pan potrzebny przez dwa, nawet trzy dni. Wszystko się wyrówna.

- Nie wątpię.

- Pensja zastępcy niestety nie jest wysoka...

- Wiem, proszę pana. Chcę tylko trochę dorobić.

- Tego „Buszującego” nigdy nie będzie w naszej bibliotece. - Deke zerknął z żalem na swoją lubą, która siedziała z odętymi ustami. - Rada szkolna się nie zgodzi. Mimi dobrze to

wie. - Kolejny duży kęs Widłoburgenza.

- Czasy się zmieniają - powiedziała Mimi Corcoran, po czym wskazała najpierw podajnik serwetek, a potem kącik jego ust. - Deke. Sos.

17

W następnym tygodniu popełniłem błąd. Powinienem być być mądrzejszy; wszystkie moje perypetie powinny były wybić mi z głowy wszelkie myśli o robieniu dużych zakładów. Krótko mówiąc, powinienem być bardziej mieć się na baczności.

Jasne, zdawałem sobie sprawę z ryzyka, ale martwiłem się o finanse. Przyjechałem do Teksasu z niespełna szesnastoma tysiącami dolarów. Część to była jeszcze resztką pieniędzy wygranych przez Alę, ale większość pochodziła z dwóch bardzo wysokich zakładów, jednego w Derry i jednego w Tampie. Jednak mniej więcej siedem tygodni pobytu w Adolphusie pochłonęło przeszło tysiąc dolarów; osiedlenie się w nowym miejscu mogło swobodnie kosztować następne czterysta-pięćset. Pomijając żywność, czynsz i opłaty, potrzebowałem wielu nowych ubrań - lepszych - żeby porządnie wyglądać w sali lekcyjnej. Miałem mieszkać w Jodie dwa i pół roku, zanim będę mógł zakończyć sprawę z Lee Harveyem Oswaldem. Czternaście tysięcy dolarów nie wystarczy. Pensja nauczyciela na zastępstwie? Piętnaście dolarów i pięćdziesiąt centów za dzień. Juhu.

No dobra, może jakoś wyżyłbym za te czternaście tysięcy plus trzydzieści, czasem pięćdziesiąt tygodniowo za zastępstwa. Musiałbym jednak być zdrowy i nie mieć żadnych wypadków, a na to liczyć nie mogłem. Przeszłość bowiem jest nie tylko nieustępliwa, ale i podstępna. Nie poddaje się bez walki. I owszem, może był w tym element chciwości. Jeśli tak, brała się nie tyle z miłości do pieniędzy, ile z upajającej wiedzy, że mogłem rozbić zwykle nierozbijalny bank, kiedy tylko chciałem.

Teraz myślę sobie: Gdyby Al śledził notowania giełdy tak dokładnie jak to, kto wygrał te wszystkie mecze baseballowe, futbolowe i wyścigi konne...

Ale tego nie zrobił.

Teraz myślę sobie: Gdyby Freddy Quinlan nie wspomniał, że zanosi się na ciekawe World Series...

Ale to zrobił.

I znowu pojechałem na Greenville Avenue.

Powiedziałem sobie, że wszyscy ci gracze w słomkowych kapeluszach, których widziałem przed Faith Financial (Zaufanie to nasza dewiza), na pewno będą obstawiać wynik

World Series i niektórzy wyłożą sporą kasę. Wmówiłem sobie, że będę jednym z wielu i że średniej wysokości zakład złożony przez pana George'a Ambersona - który, jeśli ktoś spyta, powie, że mieszka w ładnym, przerobionym na dwupoziomowe mieszkanie garażu na Blackwell Street tutaj, w Dallas - nie zwróci niczyjej uwagi. Przekonywałem sam siebie, że ludzie prowadzący Faith Financial zapewne wiedzą o *señor* Edwardo Gutierrezie z Tamy tyle co nic. Albo tyle, ile Ray Mack Johnson wiedział o Chamie, synu Noego.

Och, wiele rzeczy sobie wmawiałem i wszystkie sprowadzały się do tego samego - że nic złego się nie stanie i że to w pełni uzasadnione, że chcę więcej pieniędzy, choć w danej chwili mam z czego żyć. Idiota ze mnie. Ale głupota jest jedną z dwóch rzeczy, które najlepiej widzimy z perspektywy czasu. Drugą są stracone okazje.

18

Dwudziestego ósmego września, tydzień przed planowanym początkiem World Series, wszedłem do Faith Financial i - po długich korowodach - postawiłem sześćset dolarów na to, że Pittsburgh Pirates pokonają Yankees w siedmiu meczach. Zgodziłem się na stawkę dwa do jednego, skandalicznie niską, zważywszy na to, że Yankees byli zdecydowanymi faworytami. Następnego dnia po tym, jak Bill Mazerowski nieoczekiwanie zdobył punkt w ostatniej rundzie, dając zwycięstwo Piratom, pojechałem do Dallas, na Greenville Avenue. Myślę, że gdyby w Faith Financial było pusto, natychmiast wróciłbym do Jodie... a może tylko tak sobie teraz wmawiam. Nie wiem na pewno.

Wiem za to, że była tam kolejka graczy oczekujących na wypłatę wygranych i że ustawiłem się na jej końcu. Ta grupa była spełnieniem marzenia Martina Luthera Kinga: w pięćdziesięciu procentach czarna, w pięćdziesięciu procentach biała, w stu procentach szczęśliwa. Większość wychodziła z raptem paroma banknotami pięciodolarowymi czy jedną-dwiema dychami, ale zauważyłem też kilku facetów przeliczających pliki setek. Uzbrojony bandyta, który postanowiłby tego dnia napaść na Faith Financial, nieźle by się obłowił.

Kasjer był krępyim jegomościem z zielonym daszkiem na czole. Zadał mi standardowe pierwsze pytanie (Jesteś gliną? Jeśli tak, musisz się wylegitymować), a kiedy odpowiedziałem przecząco, poprosił, żebym podał nazwisko i pokazał prawo jazdy. Było nowe, przysłane poleconym tydzień wcześniej; nareszcie dokument z Teksasu, który mogłem dołączyć do mojej kolekcji. I uważałem, żeby zasłaniać kciukiem adres w Jodie.

Wypłacił mi tysiąc dwieście dolarów. Wcisnąłem pieniądze do kieszeni i szybko

poszedłem do samochodu. Na drodze numer 77, kiedy Dallas zostało z tyłu i z każdym obrotem kół zbliżałem się do Jodie, w końcu się odprężyłem.

Głupiec ze mnie.

19

Wkrótce zrobimy kolejny skok naprzód w czasie (jak o tym pomyśleć, opowieści też zawierają królicze nory), ale najpierw muszę opisać jeszcze jedno wydarzenie z roku 1960

Fort Worth. Szesnasty listopada 1960. Kennedy jest prezydentem elektem od nieco ponad tygodnia. Róg Ballinger i Zachodniej Siódmej. Dzień zimny i pochmurny. Samochody buchają białymi spalinami. Synoptyk ze stacji KLIF („hity na okrągło”) zapowiadał deszcz, który do północy mógł przejść w deszcz ze śniegiem, więc ostrożnie na drodze, rockersi i rollowcy. Wy też, boppersi i gitowcy.

Byłem opatulony ocieplaną kurtką z niewyprawionej skóry; na głowę nasadziłem filcową czapkę uszatkę. Siedziałem na ławce przed siedzibą Teksaskiego Stowarzyszenia Hodowców Bydła i patrzyłem w głąb Zachodniej Siódmej. Byłem tam prawie godzinę i nie sądziłem, by młody mężczyzna miał siedzieć u matki dużo dłużej; według notatek Ala Templetona wszyscy trzej synowie uciekli od niej najszybciej jak mogli. Liczyłem na to, że ona wyjdzie razem z nim. Niedawno wróciła w te strony po kilku miesiącach w Waco, gdzie pracowała jako opiekunka starszych pań.

Moja cierpliwość została wynagrodzona. Drzwi Rotary Apartments otworzyły się i wyszedł chudy mężczyzna niesamowicie podobny do Lee Harveya Oswalda. Przytrzymał drzwi kobiecie w płaszczu w szkocką kratę i białych chodakach pielęgniarki. Sięgała mu zaledwie do ramienia, ale była masywna. Jej siwiejące włosy były odgarnięte z przedwcześnie pomarszczonej twarzy i związane z tyłu. Na głowie miała czerwoną chustkę. Tego samego koloru szminka podkreślała drobne usta zacięte w niezadowolonym, bojowym wyrazie - to były usta kobiety, która wierzy, że świat jest przeciwko niej, i przez lata zebrała wiele potwierdzających to dowodów. Starszy brat Lee Oswalda szybko ruszył przed siebie wylaną betonem ścieżką. Kobieta pospieszyła za nim i złapała go za płaszcz. Odwrócił się do niej. Wyglądali, jakby się kłócili, ale mówiła głównie ona. Groziła mu palcem. Nie mogłem stwierdzić, o co miała do niego pretensje; przezornie trzymałem się półtorej przecznicy od nich. Potem on ruszył w stronę rogu Zachodniej Siódmej i Summit Avenue, tak jak tego oczekiwałem. Przyjechał autobusem, a tam był najbliższy przystanek.

Kobieta przez chwilę stała w miejscu, jakby niezdecydowana. No, mamuśka, chyba

nie dasz mu tak łatwo odejść, co? - pomyślałem. Jest raptem pół przecznicy od ciebie. Lee musiał wyjechać aż do Rosji, żeby uciec przed tym wygrażającym palcem.

Ruszyła za nim. Kiedy zbliżyli się do rogu ulicy, podniosła głos i usłyszałem ją wyraźnie.

- Stój, Robert, nie goń tak, jeszcze z tobą nie skończyłam!

Obejrzał się przez ramię, ale szedł dalej. Dogoniła go na przystanku autobusowym i dotąd szarpała go za rękaw, aż na nią spojrział, jej palec znów zaczął się kiwać jak metronom. Dolatywały mnie oderwane frazy: obiecałeś, dałam ci wszystko i - chyba - kim jesteś, żeby mnie osądzać. Nie widziałem twarzy Oswalda, bo był odwrócony do mnie plecami, ale jego zgarbione ramiona mówiły wszystko. Nie sądziłem, by była to pierwsza okazja, kiedy mamuśka leciała za nim ulicą, trajkocząc nieprzerwanie, nie bacząc na gapiów. Rozpostarła dłoń nad swoimi wydatnymi piersiami w owym ponadczasowym geście wszystkich mam, mówiącym: „Spójrz na mnie, niewdzięczne dziecię”.

Oswald wcisnął rękę do tylnej kieszeni, wyjął portfel i podał jej banknot. Nie sprawdziła jaki, tylko schowała go do torebki i ruszyła z powrotem do Rotary Apartments. Potem jeszcze coś jej się przypomniało i odwróciła się. Słyszałem ją wyraźnie. Podniesiony, by krzyknąć przez dzielące ich dwadzieścia metrów, ten piskliwy głos był jak dźwięk paznokci drapiących po tablicy.

- I zadzwoń, jak Lee znowu się do ciebie odezwie, słyszysz? Dalej mam telefon towarzyski, tylko na to mnie stać, dopóki nie znajdę lepszej pracy, a ta Sykes z dołu cały czas na nim wisi, rozmawiałam z nią, powiedziałam, co o tym myślę, „Pani Sykes”, powiedziałam...

Obok niej przeszedł jakiś mężczyzna. Teatralnym gestem włożył palec do ucha i wyszczerzył zęby. Jeśli mamuśka to zobaczyła, nie zwróciła na to uwagi. A już z całą pewnością nie zwróciła uwagi na grymas zażenowania na twarzy syna.

- „Pani Sykes”, powiedziałam, „nie pani jedna korzysta z telefonu, więc niech pani z łaski swojej się ogranicza, bo jak nie, to kto wie, może będę musiała zadzwonić do przedstawiciela firmy telefonicznej, żeby panią do tego zmusił”. Tak jej powiedziałam. Dlatego zadzwoń do mnie, Rob. Wiesz, że muszę wiedzieć, co u Lee.

Nadjechał autobus. Kiedy się zatrzymywał, mężczyzna podniósł głos, by przekrzyczeć syk hamulców pneumatycznych.

- Jest cholernym komuchem, mamó, i nie wróci do domu. Pogódź się z tym.

- Zadzwoń! - wrzasnęła. Miała ponurą, zaciętą twarz. Nogi rozstawiła jak bokser gotowy do przyjęcia ciosu. Dowolnego ciosu. Każdego ciosu. Jej oczy gniewnie patrzyły zza

kocich okularów w czarnej oprawce. Chustka była zawiązana na podwójny węzeł pod brodą. Zaczęło padać, mamuśka jednak na to nie zważała. Wzięła głęboki wdech. - Muszę wiedzieć, co u mojego kochanego synka, słyszysz?!

Robert Oswald bez słowa wbiegł po schodkach do autobusu, który odjechał w kłębach niebieskich spalin. A wtedy jej twarz rozjaśnił uśmiech. Dokonał czegoś, do czego uśmiech wydawał mi się niezdolny: odmłodził ją i oszpecił jednocześnie.

Minął ją robotnik. Z tego, co zauważyłem, nie potrafił jej ani nawet się o nią nie otarł, ale warknęła:

- Patrz, gdzie leziesz! Chodnik nie należy do ciebie!

Marguerite Oswald ruszyła z powrotem do swojego mieszkania. Kiedy odwróciła się ode mnie, wciąż była uśmiechnięta.

Tego popołudnia wróciłem do Jodie wstrząśnięty i zamyślony. Miałem zobaczyć Lee Oswalda dopiero za półtora roku i wciąż byłem zdeterminowany go powstrzymać, ale już darzyłem go większym współczuciem niż Franka Dunninga.

ROZDZIAŁ 13

1

Była za piętnaście ósma wieczorem osiemnastego maja 1961 roku. Światło długiego teksaskiego zmierzchu kładło się na moim podwórku. W otwartym oknie zasłony falowały na łagodnym wietrze. W radiu Troy Shondell śpiewał „This Time”. Siedziałem w drugiej sypialni małego domku, w której urządziłem swój gabinet. Biurko było odrzutem ze szkoły, miało jedną nogę krótszą i wyrównałem ją podkładką. Na nim stała maszyna do pisania marki Webster. Właśnie przeglądałem pierwsze sto kilkadziesiąt stron mojej powieści „Miasto zbrodni”, głównie dlatego, że Mimi Corcoran uparła się, żeby ją przeczytać, a Mimi, jak się przekonałem, była typem osoby, której nie da się bez końca zbywać wymówkami. Nawiasem mówiąc, pisanie szło mi nieźle. Nie miałem kłopotu, żeby w pierwszej wersji zmienić Derry w fikcyjne miasto Dawson, a przerobić Dawson na Dallas było jeszcze łatwiej. Zacząłem wprowadzać zmiany po to tylko, żeby powstająca książka potwierdziła moje alibi, kiedy w końcu pozwolę Mimi ją przeczytać, teraz jednak te modyfikacje wydawały się niezbędne i nieuniknione. Jakby ta powieść od początku chciała być o Dallas.

Zadźwięczał dzwonek u drzwi. Położyłem przycisk do papieru na kartkach maszynopisu, żeby nie porzucił ich wiatr, i poszedłem zobaczyć, kto mnie odwiedził. Pamiętam to bardzo wyraźnie: tańczące zasłony, przycisk do papieru z gładkiego otoczaka, „This Time” w radiu, długie światło teksaskiego wieczoru, które z czasem pokochałem. Trudno, żebym tego nie pamiętał. To było wtedy, kiedy przestałem żyć w przeszłości i zacząłem po prostu żyć.

Otworzyłem drzwi. Na progu stał Michael Coslaw. Płakał.

- Nie mogę, panie Amberson - załkał. - Po prostu nie mogę.

- Cóż, wejdź, Mike - powiedziałem. - Porozmawiajmy.

2

Nie byłem zaskoczony, kiedy go zobaczyłem. Prowadziłem kółko dramatyczne Lisbon High przez pięć lat, zanim uciekłem do Ery Wszechobecnego Dymu Papierosowego, i w tym

okresie napatrzyłem się na objawy tremy do przesyty. Prowadzenie nastoletnich aktorów jest jak zonglerka słojami z nitrogliceryną: doświadczenie euforyczne, ale niebezpieczne. Widziałem dziewczyny, które szybko się uczyły, na próbach emanowały piękną naturalnością, ale na scenie stały jak sparaliżowane; widziałem niepozornych chłopców, którzy rozkwitali i rośli o głowę za pierwszym razem, kiedy wypowiadali kwestię, na którą publiczność reagowała śmiechem. Prowadziłem gorliwe miernoty i od czasu do czasu dzieciaki z iskrą talentu. Nigdy jednak nie miałem takiego podopiecznego jak Mike Coslaw. Podejrzewam, że w szkołach średnich i na uczelniach pracują ludzie, którzy całe życie prowadzili kółka dramatyczne i nigdy kogoś takiego nie spotkali.

Mimi Corcoran rzeczywiście rządziła szkołą Denholm Consolidated i to ona mnie namówiła, żebym przejął kółko dramatyczne klas trzecich i czwartych, kiedy u Alfiego Nortona, nauczyciela matematyki, który prowadził je od lat, wykryto ostrą białaczkę szpikową i musiał wyjechać do Houston na kurację. Próbowałem odmówić pod pretekstem, że nadal zbieram materiały w Dallas, ale zimą i wczesną wiosną 1961 roku rzadko tam bywałem. Mimi to wiedziała, bo ilekroć Deke w tym półroczu potrzebował zastępstwa na angielskim, zwykle byłem dostępny. Jeśli chodzi o Dallas, w gruncie rzeczy stałem w miejscu. Lee wciąż był w Mińsku, wkrótce miał wziąć ślub z Mariną Prusakową, dziewczyną w czerwonej sukience i białych butach.

- Masz mnóstwo wolnego czasu - stwierdziła Mimi. Trzymała zaciśnięte w pięści dłonie na nieistniejących biodrach; tego dnia nie była w nastroju do ustępstw. - A za to będą ci płacić.

- O tak - powiedziałem - pytałem o to Deke'a. Pięćdziesiąt dolców. Będę gość na dzielnicy.

- Słucham?

- Mniejsza o to, Mimi. Na razie pieniędzy mi nie brakuje. Nie możemy na tym zakończyć tematu?

Nie. Nie mogliśmy. Pani Mimi była jak buldożer i kiedy napotykała pozornie nieporuszalny obiekt, tylko opuszczała lemiesz i zwiększała obroty silnika. Beze mnie, stwierdziła, po raz pierwszy w historii szkoły trzecie i czwarte klasy nie wystawią przedstawienia. Rodzice będą zawiedzeni. Rada szkoły będzie zawiedziona.

- A ja - dodała, ściągając brwi - będę zdruzgotana.

- Boże broń, żeby pani Mimi miała być zdruzgotana. Mam pomysł. Jeśli pozwolisz mi samemu wybrać sztukę... nic nazbyt kontrowersyjnego, obiecuję... zgodzę się.

Jej mars przeszedł w promienny uśmiech Mimi Corcoran, który zawsze zmieniał

Deke'a Simmonsa w półmisek bulgoczącej owsianki (co w przypadku kogoś o jego temperamencie nie było wielką transformacją).

- Doskonale! I kto wie, może odkryjesz w naszych progach wielki talent.

- Tak. - Westchnąłem. - A świnię nauczą się gwizdać.

Jednak - życie jest tak zabawne - rzeczywiście odkryłem wielki talent. Urodzonego aktora. A on teraz, w wieczór poprzedzający pierwsze z czterech naszych przedstawień, siedział w moim salonie, zajmując prawie całą kanapę (która ugięła się potulnie pod ciężarem jego stu dwudziestu kilogramów), i beczał wniebogłose. Mike Coslaw. Czyli Lennie Small ze złągodzonej na potrzeby szkoły średniej adaptacji „Myszy i ludzi” Johna Steinbecka w reżyserii George'a Ambersona.

O ile zdołam go namówić, żeby się jutro pokazał.

3

Pomyślałem, czy nie dać mu paru chusteczek higienicznych, i uznałem, że nie podolają zadaniu. Wyjąłem z kuchennej szuflady ścierkę do naczyń. Wytarł nią twarz, trochę się opanował, po czym spojrział na mnie z rozpaczą. Oczy miał czerwone i podrażnione. Nie rozplakał się dopiero pod moimi drzwiami; to musiało trwać całe popołudnie.

- No dobra, Mike... o co chodzi? Wytłumacz mi.

- Cała drużyna się ze mnie nabija, panie Amberson. Trener zaczął na mnie mówić Clark Gable... to było na Wiosennym Pikniku Lwów i teraz wszyscy mnie przezywają. Nawet Jimmy. - Chodziło o Jima LaDue, fenomenalnego rozgrywającego drużyny i najlepszego przyjaciela Mike'a.

Zachowanie trenera Bormana mnie nie zdziwiło; był tłukiem o subtelności tarana i nie lubił, kiedy inni wkraczali na jego poletko, w trakcie sezonu czy poza nim. A Mike spotykał się z dużo gorszymi przezwiskami; kiedy miałem dyżury na holu, słyszałem, jak inne dzieciaki nazywały go Tępym Osłkiem, George'em Prosto z Drzewa i Godzillą. Przyjmował to ze śmiechem. Ta wręcz bezwiednie dobronująca reakcja na docinki i żarty to być może największy dar, jaki rośli chłopcy zawdzięczają swoim gabarytom; przy Mike'u, który miał dwa metry wzrostu i ważył sto dwadzieścia kilo, wyglądałem jak Mickey Rooney.

W drużynie Lwów była tylko jedna gwiazda, Jim LaDue - czyż nie miał swojego własnego billboardu na skrzyżowaniu dróg numer 77 i 109? Jednak jeśli komuś ten status zawdzięczał, to przede wszystkim Mike'owi Coslawowi, który zaraz po zakończeniu swojego ostatniego szkolnego sezonu planował podpisać umowę z Texas A&M. LaDue zamierzał

kontynuować karierę w Crimson Tide, drużynie Uniwersytetu Stanu Alabama (o czym on i jego ojciec mówili przy każdej okazji), ale gdyby ktoś mnie spytał, który z nich ma większe szanse na grę w lidze zawodowej, postawiłbym na Mike'a. Lubiłem Jima, ale patrząc na niego, czułem, że prędzej czy później złapie kontuzję kolana albo zwichni obojczyk. Za to Mike miał budowę faceta, który wiele wytrzyma.

- Co na to Bobbi Jill? - Mike i Bobbi Jill Allnut byli praktycznie nierozłączni. Piękna dziewczyna? Zgadza się. Blondynka? Zgadza się. Czirliderka? Po co w ogóle pytać?

Uśmiechnął się szeroko.

- Bobbi Jill popiera mnie na tysiąc procent. Mówi, żebym był mężczyzną i nie dawał się prowokować.

- Rozsądna młoda dama.

- Tak, jest najlepsza na świecie.

- Coś czuję, że tak naprawdę gnębi cię coś innego niż jakieś tam durne docinki.

Nie odpowiedział.

- Mike? Odezwij się.

- Zrobię z siebie durnia przed ludźmi. Tak powiedział Jimmy.

- Jimmy jest fantastycznym rozgrywającym i wiem, że się kumplujecie, ale o aktorstwie gówno wie. - Mike zamrugał. W 1961 nauczyciele raczej nie używali słowa „gówno”, nawet jeśli mieli go pełne usta. No ale ja byłem zastępcą, a to dawało mi nieco więcej swobody.

- Myślę, że to wiesz. Jak mówią w tych stronach, może i kulejesz, ale to nie znaczy, żeś głupi.

- Ludzie za takiego mnie uważają - powiedział zniżonym głosem. - I mam same tróje. Może pan tego nie wie, może zastępcom nie pokazują arkuszków ocen, ale taka jest prawda.

- Twój obejrzałem po drugim tygodniu prób, kiedy zobaczyłem, co potrafisz na scenie. Jesteś trójkowym uczniem, bo, jako futbolista, masz być trójkowy. To element etosu.

- Czego?

- Domyśl się z kontekstu. Głupiego to ty możesz udawać przed kumplami. Nie wspominając o trenerze Bormanie, który pewnie musi wiązać wstążkę na gwizdku, żeby pamiętać, z której strony się dmucha.

Mike parsknął śmiechem mimo zaczerwienionych oczu.

- Posłuchaj mnie - mówiłem dalej. - Ludzie automatycznie zakładają, że każdy, kto jest tak potężnie zbudowany jak ty, to głupek. Powiedz, czy nie mam racji; słyszałem, masz takie ciało, odkąd skończyłeś dwanaście lat, więc sam to wiesz najlepiej.

Nie zaprzeczył.

- Cała drużyna starała się o rolę Lenniego. Dla żartu. Dla zgrywy. - I dodał pospiesznie: - Nie żeby mieli coś przeciwko panu, panie A. Wszyscy w drużynie pana lubią. Nawet trener.

Grupa futbolistów rzeczywiście wtargnęła na przesłuchanie, onieśmielając poważniejszych kandydatów na tyle, że bali się odezwać. Wszyscy twierdzili, że chcą zagrać rolę potężnego, głupkowatego przyjaciela George'a Milтона. Jasne, że się wygłupiali, ale Lennie w interpretacji Mike'a nie miał w sobie krzty śmieszności. Do licha, ten chłopak był prawdziwym objawieniem. Gdyby było trzeba, użyłbym elektrycznego pastucha, żeby go zatrzymać w sali, ale rzecz jasna nie musiałem uciekać się do tak drastycznych metod. Chcecie wiedzieć, co w pracy nauczyciela jest najlepsze? Ta chwila, kiedy widzi się, jak dzieciak odkrywa drzemiący w nim lub w niej talent. Żadne uczucie nie może się z tym równać. Mike wiedział, że kumple z drużyny będą się z niego nabijać, a jednak wziął tę rolę.

A trenerowi Bormanowi to się oczywiście nie spodobało. Trenerom Bormanom tego świata to się nigdy nie podoba. W tym wypadku jednak niewiele mógł na to poradzić, zwłaszcza że Mimi Corcoran stała po mojej stronie. Na pewno nie mógł twierdzić, że Mike jest mu potrzebny na treningi w kwietniu i maju. Dlatego zmuszony był poprzestać na przezywaniu swojego najlepszego obrońcy Clarkiem Gable'em. Są ludzie, którym nic nie wybije z głowy przekonania, że aktorstwo jest dla dziewczyn i pedziów, czyli chłopaków, którzy poniekąd chcieliby być dziewczynami. Gavin Borman był takim człowiekiem. Na dorocznej primaaprilisowej imprezie u Dona Haggarty'ego marudził mi nad uchem, że napycham „temu tłumokowi głowę mrzonkami”.

Powiedziałem mu, że ma pełne prawo do swojej opinii; opinie są jak odbytnice, każdy ma własną. Potem odszedłem, zostawiając go z papierowym kubkiem w dłoni i zdumioną miną na twarzy. Trenerzy Bormanowie tego świata są też przyzwyczajeni do tego, że zawsze stawiają na swoim metodą specyficznego, żartobliwego zastraszania; nie potrafił więc pojąć, dlaczego to nie działa na podrzędnego zastępcę, który w ostatniej chwili zastąpił Alfiego Nortona na fotelu reżysera. A raczej nie mogłem powiedzieć Bormanowi, że zastrzelenie kogoś, by uniemożliwić mu zamordowanie własnej żony i dzieci, nieco zmienia człowieka.

Krótko mówiąc, trener nie miał żadnych szans. Kilku innym futbolistom dałem role mieszkańców miasta, ale widziałem Mike'a jako Lenniego od chwili, kiedy otworzył usta i powiedział: „Pamiętam o królikach, George!”.

On stał się Lenniem. Porywał nie tylko oczy - bo był taki potężny - ale i serce. Patrząc na niego, zapominało się o wszystkim innym, tak jak ludzie zapominali o codziennych

troskach, kiedy Jim LaDue rzucał kolejne celne podanie. Mike może i był odpowiednio zbudowany do tego, by pokornie, bez fanfar taranować szeregi przeciwnika, ale stworzony - przez Boga, jeśli takie bóstwo istnieje; przez rzut genetycznymi kośćmi, jeśli nie - był do tego, by stać na scenie i stawać się kimś innym.

- To była zgrywa dla wszystkich oprócz ciebie - powiedziałem.

- Dla mnie też. Na początku.

- Bo na początku nie wiedziałeś.

- Tak. - Chrapliwie. Prawie szeptem. Opuścił głowę, bo znów polały się łzy i nie chciał, żebym je zobaczył. Trener nazwał go Clarkiem Gable'em i gdybym facetowi to wypomniał, tłumaczyłby, że to był tylko żart. Zgrywa. Ubaw po pachy. Jakby nie wiedział, że podchwyci to reszta drużyny i będą chłopaka dręczyć. Jakby nie wiedział, że ten syf zaboli Mike'a nieporównanie bardziej niż przezwiska typu Tępy Osilek. Dlaczego ludzie robią to uzdolnionym jednostkom? Z zazdrości? Ze strachu? Może z obu tych powodów. Ten dzieciak jednak miał to szczęście, że wiedział, że jest dobry. I obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że nie trener Borman jest podstawowym problemem. Jediną osobą, która mogła nazajutrz wieczorem powstrzymać Mike'a przed wyjściem na scenę, był Mike.

- Grałeś w futbol przy tłumach dużo większych niż ten, który zbierze się na widowni. Kurczę, kiedy w listopadzie pojechaliście do Dallas na mistrzostwa regionu, oglądało was dwanaście tysięcy ludzi. I to nieprzyjaznych.

- Futbol to co innego. Kiedy wychodzimy na boisko, wszyscy mamy te same stroje i kaski. Ludzie rozróżniają nas tylko po numerach. Wszyscy jesteśmy po jednej stronie...

- W przedstawieniu występujesz z dziewięcioma innymi osobami, Mike, nie licząc mieszkańców miasta, których dopisałem do scenariusza, żeby dać zajęcie twoim kumplom z boiska. To też jest drużyna.

- To nie to samo.

- Może nie całkiem. Ale pod jednym względem to jest to samo: jeśli ich zawiedziesz, wszystko się rozsypie i wszyscy przegrają. Aktorzy, ekipa, dziewczyny z zespołu reprezentacyjnego, które zrobiły wam reklamę, i widzowie, a niektórzy chcą przyjechać z rancz oddalonych o sto kilometrów. Nie wspominając o mnie. Ja też przegram.

- Na to wychodzi. - Patrzył na swoje stopy i zaiste były to ogromne stopy.

- Mógłbym sobie pozwolić na to, by stracić Slima czy Curleya; po prostu wysłałbym na scenę kogoś z tekstem, żeby czytał ich kwestie. Może nawet obeszlibyśmy się bez Żony Curleya...

- Sandy mogłaby być trochę lepsza - powiedział Mike. - Jest piekielnie ładna, ale jeśli

ustawia się, jak trzeba, to tylko przypadkiem.

Pozwoliłem sobie na ostrożny uśmiech w duchu. Zaczynałem myśleć, że wszystko będzie dobrze.

- Za to nie mógłbym się obejść... przedstawienie nie mogłoby się obejść bez ciebie i Vince'a Knowlesa.

Vince grał George'a, towarzysza wędrowki Lenniego, i tak naprawdę poradzilibyśmy sobie bez niego, gdyby złapał grypę albo skręcił kark w wypadku samochodowym (co było realną możliwością, zważywszy na to, jak jeździł pikapem swojego taty). W ostateczności sam mógłbym zastąpić Vince'a, choć byłem o wiele za wysoki do tej roli, i nawet nie musiałbym grać z tekstem w rękę. Po sześciu tygodniach prób opanowałem wszystkie kwestie tak dobrze jak moi aktorzy. Może nawet lepiej od niektórych. Mike'a jednak zastąpić nie mogłem. Mike'a, z jego wyjątkowym połączeniem budowy fizycznej i prawdziwego talentu, nie mógł zastąpić nikt. Był filarem spektaklu.

- A jeśli wszystko spierdolę? - spytał, po czym dotarło do niego, jak się wyraził, i zakrył usta dłonią.

Usiadłem obok niego na kanapie. Miejsca było mało, ale jakoś dałem radę. W tamtej chwili nie myślałem o Johnie Kennedym, Alu Templetonie, Franku Dunningu ani świecie, z którego przybyłem. W tamtej chwili myślałem tylko o tym rosnącym chłopaku... i moim przedstawieniu. Bo w którymś momencie stało się moje, tak jak moja stała się ta dawna epoka z telefonami towarzyskimi i tanią benzyną. W tamtej chwili bardziej obchodziło mnie przedstawienie „Myszy i ludzi” niż Lee Harvey Oswald.

A jeszcze bardziej obchodził mnie Mike.

Zdjąłem mu dłoń z ust. Położyłem ją na jego potężnym udzie. Oparłem moje ręce na jego ramionach. Spojrzałem mu w oczy.

- Posłuchaj mnie. Słuchasz?

- Tak jest, psze pana.

- Niczego nie spierdolisz. Powiedz to.

- Ja...

- Powiedz to.

- Niczego nie spierdolę.

- Zadziwisz ich. Obiecuję ci to, Mike. - Mocniej ścisnąłem jego ramiona. To było tak, jakby próbować zatopić palce w kamieniu. Mimo mojego wzrostu mógłby mnie podnieść i złamać na kolanie, ale tylko siedział i patrzył na mnie oczami, które były pokorne, pełne nadziei i wciąż nabiegłe łzami. - Słyszysz mnie? Obiecuję.

Scena była przyczółkiem światła. Za nią rozciągało się jezioro ciemności - tam siedziała publiczność. George i Lennie stali na brzegu wymyślonej rzeki. Pozostali mężczyźni zostali odprawieni, ale niedługo wrócą; jeśli wielki, niepewnie uśmiechnięty olbrzym w ogrodniczkach miał umrzeć z godnością, George sam będzie się musiał o to zatroszczyć.

- George? Gdzie oni idą?

Mimi Corcoran siedziała po mojej prawej stronie. W którymś momencie złapała mnie za rękę i ścisnęła ją. Mocno, mocno, mocno. Byliśmy w pierwszym rzędzie. Po jej drugiej stronie Deke Simmons patrzył na scenę z lekko rozchyłonymi ustami. To była mina farmera, który widzi wielkie UFO wiszące nad jego ziemią.

- Na polowanie. Idą na polowanie. Siądź sobie, Lennie.

Vince Knowles na aktora się nie nadawał - sądziłem, że skończy jako sprzedawca w Jodie Chrysler-Dodge, jak jego ojciec - ale wybitna kreacja może wynieść całe przedstawienie na wyższy poziom i tak się stało tego wieczoru. Vince, który na próbach może ze dwa razy osiągnął minimum wiarygodności (a i to głównie dlatego, że jego szczurza, inteligentna, drobna twarz idealnie pasowała do Steinbeckowskiego George'a Miltona), dostroił się do Mike'a. Nagle, gdzieś tak w połowie pierwszego aktu, nareszcie jakby zrozumiał, co to znaczy wędrować przez życie z kimś takim jak Lennie jako jedynym przyjacielem i w pełni wczuł się w rolę. Teraz, kiedy patrzyłem, jak zsuwa na tył głowy stary filcowy kapelusz z rekwizytorni, miałem wrażenie, że widzę Henry'ego Fondę w „Gronach gniewu”.

- George?

- Tak?

- Nie będziesz na mnie krzyczał?

- Jak to?

- No wiesz, George. - Z uśmiechem. Takim uśmiechem, który mówi „Tak, wiem, jestem osioł, ale obaj wiemy, że nic na to nie poradzę”. Siada obok George'a na wymyślonym brzegu rzeki. Zdejmuje kapelusz, odrzuca go na bok, mierzwi krótkie blond włosy. Naśladuje głos George'a. Mike opanował to ze zdumiewającą łatwością już na pierwszej próbie, bez mojej pomocy. - „Gdybym był sam, życie byłoby takie proste. Miałbym robotę i żadnych kłopotów”. - Wraca do swojego własnego głosu... czy raczej głosu Lenniego. - Ja mogę sobie iść. Jak mnie nie chcesz, mogę zaraz pójść w góry i znaleźć sobie jakąś jamę.

Vince Knowles spuścił głowę, a kiedy ją podniósł i wygłosił następną kwestię, jego głos był ochryply, zacinający się. To był obraz smutku, do jakiego się nie zbliżył nawet na najlepszych dla siebie próbach.

- Nie, Lennie, chcę, żebyś tu ze mną został.

- Poopowiadaj mi tak jak zawsze. O innych ludziach, takich jak my, i o nas.

Wtedy usłyszałem pierwszy cichy szloch na widowni. Potem następny. I jeszcze jeden. Tego się nie spodziewałem w najśmielszych snach. Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach i zerknąłem ukradkiem na Mimi. Jeszcze nie płakała, ale wilgotny połysk jej oczu mówił mi, że zaraz zacnie. Tak, nawet ona - nawet ta twarda sztuka.

George się zawahał, po czym wziął Lenniego za rękę - tego Vince za nic w świecie nie zrobiłby na próbie. Powiedziałby: „Nie jestem ciota”.

- Tacy jak my... Lennie, tacy jak my nie mają rodziny. Nie mają nikogo, komu by na nich zależało. - Drugą ręką dotyka atrapy pistoletu schowanej pod płaszczem. Wyciąga ją częściowo. Chowa z powrotem. Potem zbiera się w sobie i wyjmując ją do końca, kładzie przy nodze.

- Ale my to co innego, George! Z nami jest inaczej! Prawda?

Mike zniknął. Scena zniknęła. Teraz byli tam tylko we dwóch i kiedy Lennie poprosił George'a, żeby opowiedział mu o małym ranczo, o królikach i o tym, jak to będą żyć z tego, co da ziemia, połowa widowni głośno łkała. Vince płakał tak mocno, że ledwo mógł wygłosić swoje ostatnie kwestie, powiedzieć biednemu głupiemu Lenniemu, żeby spojrzał o tam, tam jest ranczo, na którym zamieszkają. Jeśli wyteży wzrok, na pewno je zobaczy.

Scena powoli pograżyła się w ciemności, Cindy McComas choć raz operowała oświetleniem jak należy. Birdie Jamieson, woźny szkolny, wystrzelił ślepy nabój. Jakaś kobieta na widowni wydała cichy okrzyk. Po takiej reakcji zwykle następuje nerwowy śmiech, dziś jednak było tylko łkanie publiczności. Poza tym cisza. Trwała dziesięć sekund. A może tylko pięć. Tak czy tak, w moim odczuciu dłużyła się w nieskończoność. I nagle zerwała się burza braw. To była najpiękniejsza burza, jaką w życiu słyszałem. Na sali rozbłysło światło. Cała publiczność stała. Pierwsze dwa rzędy były zarezerwowane dla kadry pedagogicznej i przypadkiem zerknąłem na trenera Bormana. Głowę dałbym sobie uciąć, że też płakał.

Dwa rzędy za nami, gdzie siedzieli wszyscy szkolni sportsmeni, Jim LaDue porwał się na równe nogi.

- Coslaw, jesteś boski! - krzyknął. To wywołało wiwaty i śmiech.

Obsada wyszła pokłonić się publiczności: najpierw futboliści grający mieszkańców

miasta, następnie Curley i Żona Curleya, potem Candy, Slim i reszta robotników rolnych. Aplauz nieco przycichł i wtedy na scenie pojawił się Vince, rumiany ze szczęścia, z wciąż mokrymi policzkami. Na końcu wyszedł Mike Coslaw. Szurał nogami jakby speszony, i spojrzał na widownię z komicznym zdumieniem kiedy Mimi krzyknęła: „Brawo!”.

Zawtórowali jej inni i wkrótce sala rozbrzmiewała głośnym „Brawo, brawo, brawo”. Mike się uklonił, zamiatając kapeluszem tak nisko, że ocierał nim o deski sceny. Kiedy znów się wyprostował, był uśmiechnięty. To jednak było coś więcej niż uśmiech; jego twarz odmieniło szczęście zarezerwowane dla tych, którym dane jest wreszcie dojść na sam szczyt.

Potem krzyknął:

- Panie Amberson! Proszę tu do nas, panie Amberson!

Obsada zaczęła skandować:

- Reżyser! Reżyser!

- Nie czekaj, aż aplauz ucichnie - warknęła Mimi u mojego boku. - Idźże tam, bałwanie!

Poszedłem więc do nich i brawa znów przybrały na sile. Mike porwał mnie w ramiona, wyściskał, podniósł, postawił z powrotem i serdecznie cmoknął mnie w policzek. Wszyscy się śmiali, włącznie ze mną. Ja i cała obsada wzięliśmy się za ręce, podnieśliśmy je, pozdrawiając publiczność, i ukloniliśmy się. Kiedy słuchałem aplauzu, przyszła mi do głowy myśl, która okryła cieniem moje serce. W Mińsku dwoje młodych ludzi wzięło ślub. Lee i Marina byli małżeństwem od dokładnie dziewiętnastu dni.

5

Trzy tygodnie później, tuż przed końcem roku szkolnego, pojechałem do Dallas zrobić zdjęcia trzech mieszkań, w których mieli mieszkać Lee i Marina. Używałem małego minoxa, trzymając go w garści, z obiektywem wystającym między dwoma rozstawionymi palcami. Czuję się idiotycznie - bardziej jak zakutane w trence karykatury z komiksów „Spy Vs. Spy” w piśmie „Mad” niż James Bond - ale nauczyłem się, że w takich sytuacjach ostrożność to podstawa. Kiedy szturchasz przeszłość, ona odpłaca ci się tym samym.

Po powrocie do domu zobaczyłem stojącego przy krawężniku błękitnego nasha ramblera Mimi Corcoran. Mimi właśnie wsuwała się za kierownicę. Na mój widok wysiadła z powrotem. Jej twarz skurczyła się w przelotnym grymasie - bólu albo wysiłku - ale gdy do mnie podchodziła, na ustach miała swój zwykły ironiczny uśmiech. Jakbym ją bawił, ale w dobrym tego słowa rozumieniu. W rękach niosła wypchaną szarą kopertę, która zawierała sto

pięćdziesiąt stron „Miasta zbrodni”. W końcu uległem jej namolnym prośbom... ale to było dopiero wczoraj.

- Albo strasznie ci się spodobało, albo utknęłaś na dziesiątej stronie - powiedziałem, biorąc kopertę. - To jak, która wersja jest prawdziwa?

Jej uśmiech był enigmatyczny i rozbawiony jednocześnie.

- Jak większość bibliotekarek, szybko czytam. Możemy porozmawiać w środku? Jeszcze nie ma południa, a już taki upał.

Tak było, owszem, a ona pociła się, co nigdy jej się nie zdarzało. Poza tym wyglądała, jakby straciła na wadze. Niedobry objaw u kobiety, która nie miała z czego chudnąć.

Kiedy usiedliśmy w moim salonie z wielkimi szklankami mrożonej kawy - ja w fotelu, ona na kanapie - Mimi wygłosiła swój werdykt.

- Podobał mi się pomysł z mordercą przebranym za kłowna. Może mam chorą wyobraźnię, ale przyprawiło mnie to o rozkosznie zimny dreszczyk.

- Jeśli ty masz chorą wyobraźnię, to ja też.

Uśmiechnęła się.

- Jestem pewna, że bez trudu znajdziesz wydawcę. Książka ogólnie mi się bardzo podobała.

Poczułem się lekko dotknięty. „Miasto zbrodni” może i z założenia miało służyć za kamuflaż, ale im bardziej wciągałem się w pisanie tej książki, tym ważniejsza się dla mnie stawała. Była jak sekretny pamiętnik. Pamiętnik nerwów.

- To „ogólnie” przypomina mi Alexandra Pope'a... no wiesz, przyganianie przez skape pochwały.

- Nie tak to miało zabrzmieć. - Kolejne zastrzeżenie. - Chodzi o to, że... cholera, George, nie do tego jesteś stworzony. Jesteś stworzony do tego, żeby uczyć. A jeśli opublikujesz taką książkę, żadna szkoła w Stanach cię nie zatrudni. - Zawiesiła głos. - No, może jakaś w Massachusetts.

Nie odpowiedziałem. Zamurowało mnie.

- To, co zrobiłeś z Mikiem Coslawem... co zrobiłeś dla Mike'a Coslawa... to była najbardziej niesamowita i cudowna rzecz, jaką w życiu widziałam.

- Mimi, ja nie miałem z tym nic wspólnego. Po prostu jest urodzonym...

- Wiem, że jest urodzonym aktorem, to było oczywiste, jak tylko wyszedł na scenę i otworzył usta, ale coś ci powiem, przyjacielu. Coś, czego skutecznie nauczyło mnie czterdzieści lat w szkołach średnich i sześćdziesiąt lat życia. Talent artystyczny jest dużo bardziej powszechny niż talent do pielęgnowania talentu artystycznego. Każdy rodzic z

twardą ręką może go zmiążyć, ale dużo trudniej jest czuwać nad jego rozwojem. Ty masz do tego talent, o wiele większy niż ten, który kryje się za tym. - Postukała plik kartek na stoliku.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz „dziękuję” i pogratuluj mi trafności oceny.

- Dzięki. A twoją przenikliwość przewyższa tylko twoja uroda.

To wywołało następny uśmiech, jeszcze bardziej ironiczny niż zwykle.

- Nie wykraczaj poza swoje kompetencje, George.

- Tak jest, pani Mimi.

Uśmiech zniknął. Niebieskie oczy za jej okularami były za duże, pływały w jej twarzy. Skóra pod opalenizną pożółkła, zapadły się do niedawna napięte policzki. Kiedy to się stało? Czy Deke to zauważył? E tam zauważył, jak mawiają dzieciaki. Deke by nie zauważył, że ma skarpetki nie do pary, dopóki nie zdjąłby ich przed pójściem spać. A może i wtedy nie.

- Phil Bateman już nie tylko grozi odejściem, ale wyciągnął zawleczkę i rzucił granat, jak powiedziałby nasz przeuroczy trener Borman. Co znaczy, że zwolniło się miejsce dla nauczyciela angielskiego. Przejdź na cały etat, George. Dzieciaki cię lubią, a po przedstawieniu kółka dramatycznego całe Jodie uważa cię za drugiego Alfreda Hitchcocka. Deke tylko czeka na twoje podanie, sam mi tak powiedział wczoraj wieczorem. Proszę. Wydaj to pod pseudonimem, jeśli musisz, ale zostań nauczycielem. Do tego jesteś stworzony.

Bardzo chciałem powiedzieć „tak”, bo miała rację. Nie nadawałem się do pisania książek, a już na pewno nie do zabijania ludzi, bez względu na to, jak bardzo na śmierć zasługiwali. To, co zrobiłem w Derry, odebrało mi apetyt i zmaściło mój dotychczas spokojny sen. No i było jeszcze samo Jodie. Przyjechałem tu jako obcy, człowiek wysiedlony ze swojego miasta i swojej epoki, i pierwsze słowa, które usłyszałem - od Ala Stevensa, w barze - były przyjazne. Jeśli kiedykolwiek tęskniliście za domem albo czuliście się oderwani od ludzi, wśród których macie swoje miejsce, zrozumiecie, jak ważne może być ciepłe słowo i serdeczny uśmiech. Jodie było anty-Dallas, a teraz jedna z jego najbardziej znamienitych obywaterek namawiała mnie, żebym został stałym mieszkańcem, nie tylko gościem. Jednak nadciągał moment przełomowy. Chmury już zaczynały się zbierać tuż za horyzontem i niebawem zacnie się powódź. Tylko że jeszcze jej tu nie było. Może...

- George, co się dzieje? Masz przedziwną minę.

- To się nazywa myślenie. Dasz mi się na tym skoncentrować?

Podniosła dłonie do policzków i ułożyła usta w komiczne, przeprasające O.

- Łaskawie proszę wielmożnego pana o wybaczenie.

Nie słuchałem jej, bo byłem skupiony na przeglądaniu notatek Ala. Nie musiałem już mieć ich przed oczami, żeby to robić. Kiedy we wrześniu rozpocznie się nowy rok szkolny, Oswald wciąż jeszcze będzie w Rosji, choć zaczął już toczyć, jak się ostatecznie okaże, długą biurokratyczną batalię o powrót do Ameryki z żoną i córką June, którą lada dzień poczną z Mariną. W końcu dopnie swego, wygrywając biurokrację obu supermocarstw przeciwko sobie z instynktownym (choć prymitywnym) sprytem, ale zanim zejdzie z rodziną z pokładu SS „Maasdam” na amerykańską ziemię, minie jeszcze prawie rok. A do Teksasu...

- Meems, rok szkolny zwykle kończy się w pierwszym tygodniu czerwca, zgadza się?

- Zawsze. Żeby dzieci miały czas znaleźć sobie pracę na lato.

...do Teksasu Oswaldowie przyjadą czternastego czerwca 1962 roku.

- A umowa o pracę, którą miałbym podpisać, obowiązywałaby przez okres próbny, dobrze mówię? To znaczy rok?

- Z opcją przedłużenia, jeśli obie strony będą zadowolone.

- Wobec tego znalazłaś nauczyciela angielskiego na okres próbny.

Zaśmiała się, klasnęła w dłonie, wstała i wyciągnęła do mnie ręce.

- Cudownie! Uściski dla pani Mimi!

Uściskałem ją i szybko puściłem, kiedy usłyszałem jej zduszony okrzyk.

- A cóż szanownej pani, u licha, dolega?

Wróciła na kanapę, wzięła mrożoną kawę i napiła się.

- Dam ci dwie rady, George. Pierwsza: nigdy nie nazywaj kobiety z Teksasu „szanowną panią”, jeśli pochodzisz z północy. Wtedy brzmi to sarkastycznie. Druga: nigdy nie pytaj żadnej kobiety, co jej, u licha, dolega. Ujmij to bardziej delikatnie, na przykład, „Dobrze się pani czuje?”.

- I co, dobrze się czujesz?

- A czemuż by nie? Przecież wychodzę za mąż.

Z początku nie mogłem znaleźć stosownej riposty na jej unik. Tyle że jej poważna mina wskazywała, że nie jest to tylko unik. Wokół czegoś krążyła. I zapewne nie było to nic miłego.

- Powiedz: „Moje gratulacje, pani Mimi”.

- Moje gratulacje, pani Mimi.

- Deke pierwszy raz mi się oświadczył prawie rok temu. Zbyłam go, mówiąc, że jeszcze za wcześnie, że dopiero pochował żonę i ludzie by gadali. Z biegiem czasu ten argument był coraz mniej skuteczny. Zresztą gadania i tak pewnie nie byłoby znowu tak dużo, zważywszy na nasz wiek. Ludzie w małych miasteczkach zdają sobie sprawę, że takie osoby

jak Deke i ja nie bardzo mogą sobie pozwolić na luksus cnoty, kiedy osiągamy pewien, nazwijmy to, graniczny poziom dojrzałości. Prawda jest taka, że odpowiadał mi dotychczasowy stan rzeczy. Staruszek mnie kocha, a ja bardzo go lubię, a... tylko mi się tu nie zawstydz... nawet panie, które osiągnęły pewien graniczny poziom dojrzałości, nie mają nic przeciwko figlom-miglom w sobotni wieczór. I co, zawstydziłam cię?

- Nie - powiedziałem. - Prawdę mówiąc, zachwyciłaś mnie.

Ironiczny uśmiech.

- To doskonale, bo kiedy rano zwieszam nogi z łóżka, moją pierwszą myślą, kiedy lądują na podłodze, jest: Czy mogę dziś czymś zachwycić George'a Ambersona? A jeśli tak, czym?

- Nie wykraczaj poza swoje kompetencje, Mimi.

- Po męsku powiedziane. - Napila się mrożonej kawy. - Przychodząc tu dzisiaj, miałam dwa cele. Pierwszy osiągnęłam. Teraz przejdę do drugiego, żeby nie zabierać ci więcej czasu. Deke i ja pobieramy się dwudziestego pierwszego lipca, w piątek. To będzie mała, prywatna uroczystość w jego domu: my, pastor i kilkoro członków rodziny. Przyjeżdżają jego rodzice z Alabamy... całkiem żwawi jak na dinozaury... i moja siostra z San Diego. Zamiast wesela następnego dnia wyprawiamy garden party w moim domu. Początek druga po południu, koniec, kiedy wszyscy legną pod stołem. Zapraszamy prawie całe miasto. Będzie *piñata* i lemoniada dla małych dzieciaczków, grill i beczki piwa dla dużych dzieciaczków, i nawet zespół z San-Antone. W odróżnieniu od większości zespołów z San-Antone zdaje się, że potrafią grać nie tylko „La Paloma”, ale i „Louie Louie”. Jeżeli nie zaszczyisz nas swoją obecnością...

- Będiesz zdruzgotana?

- W rzeczy samej. Nie planuj więc niczego na ten dzień, zgoda?

- Oczywiście.

- Dobrze. W niedzielę, kiedy Deke'owi minie kac, wyjedziemy do Meksyku. Jesteśmy trochę za starzy na miesiąc miodowy, ale za południową granicą dostępne są pewne usługi, na które nie można liczyć w naszym pięknym stanie. Pewne eksperymentalne terapie. Wątpię, czy pomogą, ale Deke nie traci nadziei. Poza tym, cóż, nie zaszkodzi spróbować. Życie... - Westchnęła z zalem. - Życie jest za słodkie, żeby oddać je bez walki, nie sądzisz?

- Tak - powiedziałem.

- Tak. Dlatego trzeba się trzymać. - Przyjrzała mi się uważnie. - Będiesz płakał, George?

- Nie.

- To dobrze, bo wtedy poczułabym się skrepowana. Może nawet sama bym się popłakała, a marnie mi to wychodzi. Nikt nigdy nie napisałby wiersza o moich łzach. Ja nie płaczę, ja kumkam.

- Jak źle to wygląda? Mogę spytać?

- Bardzo źle. - Powiedziała to bezceremonialnie. - Zostało mi może osiem miesięcy. Góra rok. O ile kuracje ziołami, pestkami brzoskwini czy co tam jeszcze wymyślą w Meksyku, nie spowodują cudownego wyzdrowienia.

- Ogromnie mi przykro.

- Dziękuję, George. Nie mogłeś tego lepiej wyrazić, nie popadając w ckliwość.

Uśmiechnąłem się.

- Mam jeszcze jeden powód, żeby cię zaprosić na nasze przyjęcie - mówiła dalej - choć rozumie się, że wystarczyłoby samo twoje czarujące towarzystwo i błyskotliwe poczucie humoru. Nie tylko Phil Bateman przechodzi na emeryturę.

- Mimi, nie rób tego. Weź urlop, jeśli musisz, ale...

Stanowczo potrząsnęła głową.

- Nawet gdybym nie była chora, czterdzieści lat wystarczy. Czas na młodsze ręce, młodsze oczy i młodsze umysły. Na mój wniosek Deke zatrudnił wysoce kompetentną młodą damę z Georgii. Nazywa się Sadie Clayton. Będzie na przyjęciu, nie będzie znała absolutnie nikogo i oczekuję, że będziesz dla niej wyjątkowo miły.

- Pani Clayton?

- Tego bym nie powiedziała. - Mimi spojrzała na mnie z niewinną miną. - Zdaje się, że w najbliższej przyszłości zamierza wrócić do nazwiska panińskiego. Po dopełnieniu pewnych formalności prawnych.

- Mimi, bawisz się w swatkę?

- A skąd! - zachnęła się... i zachichotała. - Gdzieżbym mogła. Ale jesteś jedynym nauczycielem angielskiego, który aktualnie nie jest z nikim związany, więc idealnie nadajesz się na jej mentora.

Pomyślałem, że to argument wysoce nielogiczny, zwłaszcza jak na kogoś o tak poukładanym umyśle, ale odprowadzając ją do drzwi, nie powiedziałem tego na głos. Powiedziałem za to:

- Jeśli sprawa jest tak poważna, jak mówisz, powinnaś już teraz zacząć kurację. I nie u jakiegoś szarlatana z Juarez. Powinnaś być w klinice w Cleveland. - Nie wiedziałem, czy ta klinika w ogóle już istnieje, ale w tamtej chwili miałem to gdzieś.

- Nie sądzę. Jeśli mam wybierać, czy wolę umrzeć w jakiejś szpitalnej sali,

popodłączana do rurek i kabli, czy w meksykańskiej hacjendzie nad morzem... to, jak ty często mawiasz, nie ma nawet o czym myśleć. I jest coś jeszcze. - Spojrzała na mnie, nie mrugając oczami. - Na razie ból jest do wytrzymania, ale jak słyszałam, to się zmieni. W Meksyku mają dużo mniejsze moralne opory przed podawaniem dużych dawek morfiny. Albo nembutalu, jeśli nie będzie innego wyjścia. Zaufaj mi, wiem, co robię.

Na podstawie tego, co spotkało Ala Templetona, byłem skłonny jej wierzyć. Wziąłem ją w objęcia, tym razem bardzo delikatnie. Pocałowałem jej ogorzały policzek.

Zniosła to z uśmiechem, po czym odsunęła się ode mnie. Jej oczy przeszukały moją twarz.

- Chciałabym poznać twoją historię, przyjacielu.

Wzruszyłem ramionami.

- Jestem jak otwarta książka, pani Mimi.

Zaśmiała się.

- Wierutna bzdura. Twierdzisz, że jesteś z Wisconsin, ale zjawileś się w Jodie z akcentem z Nowej Anglii i tablicami rejestracyjnymi z Maine. Mówisz, że jeździsz do Dallas zbierać materiały, a twój rękopis rzekomo jest o Dallas, ale ludzie w nim mówią jak rodowici mieszkańcy Nowej Anglii. W paru miejscach nawet wyrywa im się „Ano”. Radzę ci to zmienić.

A myślałem, że moje przeróbki były tak sprytne.

- Ściśle mówiąc, Mimi, w Nowej Anglii wymawia się to „Aaa-no”.

- Zapamiętam na przyszłość. - Dalej przeszukiwała moją twarz. Trudno było nie spuścić oczu, ale jakoś wytrzymałem. - Czasem wręcz się zastanawiam, czy aby nie jesteś przybyszem z kosmosu jak Michael Rennie w „Dniu, w którym zatrzymała się Ziemia”. Przysłanym tu, by obserwować zachowania tubylców, a potem zameldować na Alfa Centauri, czy jest jeszcze nadzieja dla nas jako gatunku, czy też lepiej zniszczyć nas promieniami plazmowymi, zanim rozniesiemy nasze zarazki po całej galaktyce.

- Masz bujną wyobraźnię - powiedziałem z uśmiechem.

- To dobrze. Czułabym się źle z myślą, że całą naszą planetę ocenia się według Teksasu.

- Gdyby potraktować Jodie jako próbkę reprezentatywną, Ziemia na pewno zdałaby egzamin.

- Podoba ci się tutaj, co?

- Tak.

- Czy George Amberson to twoje prawdziwe nazwisko?

- Nie. Zmieniłem je z powodów, które są ważne dla mnie, ale nie miałyby znaczenia dla nikogo innego. Wolałbym, żebyś zachowała to dla siebie. Z oczywistych przyczyn.

Skinęła głową.

- Nie ma sprawy. Do zobaczenia, George. W barze, bibliotece... i na przyjęciu, oczywiście. Będiesz miły dla Sadie Clayton, co?

- Będę słodki jak miód - powiedziałem, zaciągając z teksaska. Roześmiała się.

Kiedy pojechała, długo siedziałem w moim salonie, nie czytając, nie oglądając telewizji. A praca nad którymkolwiek z moich rękopisów zupełnie nie była mi w głowie. Myślałem o posadzie, którą właśnie przyjąłem: rok na etacie nauczyciela angielskiego w Denholm Consolidated High School, domu Lwów. Stwierdziłem, że nie żałuję. Mogłem ryczeć w przerwie meczu nie gorzej od nich wszystkich.

Cóż, czegoś żałowałem, ale nie miało to związku ze mną. Kiedy myślałem o Mimi i jej obecnej sytuacji, żal przejmował mnie do głębi.

6

W kwestii miłości od pierwszego wejrzenia zgadzam się z Beatlesami: uważam, że zdarza się na co dzień. Nie tak to się jednak potoczyło ze mną i Sadie, choć ledwie się poznaliśmy, a już miałem ją w ramionach i w dodatku obejmowałem prawą dłoń jej lewą pierś. Dlatego zgadzam się również z Mickeyem i Sylwią, którzy twierdzili, że miłość jest dziwna.

Lipiec w środkowo-południowej części Teksasu bywa potwornie upalny, ale sobota wyznaczona na przyjęcie poślubne była niemal idealna, z dwudziestokilkustopniową temperaturą i mnóstwem pulchnych białych obłoków spieszących po niebie koloru wypłowiałych ogrodniczków. Długie żaluzje słońca i cienia przecinały podwórko Mimi, usytuowane na łagodnym stoku opadającym ku błotnistej struzce, którą nazywała Bezimiennym Potokiem.

Drzewa były udekorowane żółtymi i srebrnymi wstążkami - barwy Denholm High - i rzeczywiście była też *piñata*, zawieszona kusząco nisko, na sterczącej gałęzi sosny. Każde przechodzące obok dziecko zerkało na nią tęsknie.

- Po kolacji maluchy wezmą kije i zaczną ją tłuc - powiedział ktoś tuż za moim lewym ramieniem. - Cukierki i zabawki dla wszystkich *niños*.

Odwrociłem się i ujrzałem Mike'a Coslawa, który wyglądał olśniewająco (i nieco fantasmagorycznie) w obcisłych czarnych spodniach i białej, rozpiętej pod szyją koszuli. Na

jego plecach wisiało sombrero na sznurku, pas obwiązywała wielobarwna szarfa. Zobaczyłem też wielu innych futbolistów, z Jimem LaDue włącznie, którzy, w równie absurdalnych strojach, krążyli z tacami wśród gości. Mike podsunął mi swoją z lekko krzywym uśmiechem.

- Tartinkę, *señor* Amberson?

Wzięłem krewetkę na wykałaczce i zamoczyłem ją w sosie.

- Ładnie się odstawieś. Jak Speedy Gonzales.

- Niech pan nie zaczyna. Proszę spojrzeć na Vince'a Knowlesa, ten to dopiero się odstawił. - Wskazał na drugą stronę rozwieszanej siatki, wokół której grupa nauczycieli nieudolnie, ale z entuzjazmem grała w siatkówkę. Ujrzałem Vince'a ubranego we frak i cylinder. Otaczały go dzieci, które patrzyły zafascynowane, jak znikąd wyciąga różnobarwne szale. Robiło to wrażenie, jeśli było się dość młodym, by nie zauważyć rąbka kolorowego materiału wystającego mu z rękawa. Jego namalowane pastą do butów wasy błyszcząły w słońcu.

- Ogólnie biorąc, wolę wyglądać jak Cisco Kid - powiedział Mike.

- Nie wątpię, że jesteście doskonałymi kelnerami, ale kto, w imię Boże, namówił was, żebyście się poprzebierali? I czy trener o tym wie?

- Powinien, skoro tu jest.

- Tak? Nie zauważyłem go.

- Tam stoi, przy grillu, tankuje z naszym klubem kibica. A co do strojów... pani Mimi ma dużą siłę przekonywania.

Pomyślałem o umowie, którą podpisałem.

- Wiem.

Mike zniżył głos.

- Wszyscy wiemy, że jest chora. Poza tym... traktuję to jako ćwiczenie aktorskie. - Przybrał pozę torreadora, co nie jest łatwe, kiedy ma się w ręku tacę z tartinkami. - *Arriba!*

- Nieźle, ale...

- Wiem, jeszcze nie w pełni wczułem się w rolę. Muszę się zanurzyć w postaci, zgadza się?

- Marlonowi Brando to pomaga. Jak widzicie swoje szanse tej jesieni, Mike?

- W czwartej klasie? Z Jimem na rozegraniu? Ze mną, Hankiem Alvarezem, Chipem Wigginsem i Carlem Crockettem w obronie? Awans do mistrzostw stanu mamy w kieszeni, gablota z trofeami już czeka na złotą piłkę.

- Masz dobre nastawienie.

- Wyreżyseruje pan coś jesienią, panie Amberson?

- Taki mam plan.

- To dobrze. Świetnie. Proszę zachować rolę dla mnie... ale z uwagi na rozgrywkę będzie musiała być mała. Niech pan posłucha zespołu, nie są źli.

Zespół był dużo więcej niż niezły. Logo na werblu oznajmiało, że nazywają się The Knights. Nastoletni wokalista odliczył do trzech i zespół zagrał ostrą wersję „Ooh, My Head”, starej piosenki Richiego Valensa - w sumie latem 1961 jeszcze nie tak starej, mimo że Valens nie żył od prawie dwóch lat.

Wziąłem piwo w papierowym kubku i podszedłem bliżej estrady. Głos tego chłopaka był znajomy. Podobnie jak dźwięk klawiszy, które brzmiały, jakby rozpaczliwie chciały być akordeonem. I nagle trybiki zaskoczyły. Tym chłopakiem był Doug Sahm, który już za kilka lat nagra własne hity: „She's About a Mover”, to jeden, „Mendocino”, drugi. Będzie to w czasach Brytyjskiej Inwazji, więc zespół, który w gruncie rzeczy grał *tejano* rocka, przyjmie pseudobrytyjską nazwę: The Sir Douglas Quintet.

- George? Pozwól tu, kogoś ci przedstawię.

Odwrociłem się. Minii prowadziła jakąś kobietę. Pierwszym, co zauważyłem u Sadie - jak bez wątplenia wszyscy - był jej wzrost. Miała buty na płaskim obcasie, jak większość kobiet tutaj, przygotowanych na to, że spędzą popołudnie i wieczór na powietrzu, ale w odróżnieniu od nich zapewne ostatnio nosiła szpilki na własnym weselu - choć i wtedy być może pod suknią skrywała pantofle na niskim obcasie bądź bez obcasów, dobrane tak, by nie górowała komicznie nad panem młodym, gdy staną przed ołtarzem. Miała z metr osiemdziesiąt, jeśli nie więcej. Mimo to byłem od niej wyższy, ale prawdopodobnie spośród obecnych tylko ja, trener Borman i Greg Underwood, nauczyciel historii, mogliśmy to o sobie powiedzieć. A Greg był tyką. Sadie zaś, jak to się w owych czasach mówiło, była kobietą na schwał. Zdawała sobie z tego sprawę i to ją krępowało, zamiast napawać dumą. Poznałem to po jej chodzie. Wiem, że jestem trochę za wysoka, żeby uchodzić za normalną, mówił ten chód. Ułożenie ramion dodawało: To nie moja wina, taka urosłam - jak Topsy z „Chaty wuja Toma”. Miała na sobie suknię bez rękawów z nadrukowanymi różami. Była opalona. Lekko maznęła usta różową szminką, ale poza tym nie miała makijażu.

Miłość od pierwszego wejrzenia? Jestem prawie pewien, że nie, ale pamiętam to pierwsze wejrzenie zadziwiająco wyraźnie. Gdybym powiedział, że równie wyraźnie pamiętam chwilę, kiedy pierwszy raz zobaczyłem byłą Christy Epping, tobym skłamał. Inna sprawa, że poznaliśmy się w dyskotecie i oboje byliśmy uwaleni, więc chyba jestem usprawiedliwiony.

Sadie miała naturalną, bezpretensjonalną urodę amerykańskiej dziewczyny z

sąsiedztwa. Miała też w sobie coś jeszcze. W dniu przyjęcia myślałem, że tym czymś jest zwyczajna niezdarność wysokiej kobiety. Później odkryłem, że wcale nie była niezdarna. Wręcz przeciwnie.

Mimi wyglądała dobrze - przynajmniej nie gorzej niż tego dnia, kiedy mnie odwiedziła w domu i przekonała, żebym przeszedł na cały etat - ale, co niezwykle, była umalowana. Makijaż nie w pełni maskował cienie pod oczami, zapewne skutek bezsenności i bólu, i nowe zmarszczki w kąciach ust. Mimo to była uśmiechnięta i dlaczego nie? Wyszła za mąż, wydała imprezę, na której wszyscy się znakomicie bawili, i przyprowadziła ładną dziewczynę w ładnej letniej sukience, by przedstawić ją jedynemu w szkole nauczycielowi angielskiego, który był do wzięcia.

- Cześć, Mimi - powiedziałem, idąc ku niej w górę łagodnego stoku, slalomem między stolikami do kart (pożyczonymi z siedziby Amerykańskich Weteranów), przy których ludzie mieli później jeść dania z grilla i oglądać zachód słońca. - Moje gratulacje. Zapewne teraz będę się musiał przyzwyczaić do nazywania cię panią Simmons.

Uśmiechnęła się swoim ironicznym uśmiechem.

- Proszę, zostań przy Mimi, do tego przywykłam. Chciałabym ci przedstawić nową członkinię grona pedagogicznego. To...

Ktoś nie wsunął składanego krzesła pod stół i wysoka blondynka, która już wyciągała do mnie rękę i układała usta w uśmiech mówiący „miło cię poznać”, potknęła się i razem z nim runęła do przodu. Zorientowałem się, że jeśli ta dziewczyna nadzieje się brzuchem na sterczącą nogę krzesła, będzie źle.

Upuściłem kubek z piwem w trawę, zrobiłem wielki krok do przodu i złapałem ją, zanim upadła. Lewą ręką objąłem ją w pasie. Prawa wylądowała wyżej i pochwyciła coś ciepłego, krągłego i jędrnego. Między moją dłoń a jej piersią bawełna sukienki zsunęła się po gładkim nylonie, jedwabiu czy co tam pod nią było. Intymny sposób zawarcia znajomości, owszem, ale za przyzwoitkę robiły uwierające nas kanty krzesła. Zachwiałem się nieco pod jej ciężarem, lecz ustałem na nogach i ona też.

Cofnąłem rękę od tej części jej ciała, za którą raczej nie łapie się nowo poznanej kobiety, i powiedziałem:

- Cześć, jestem... - O mały włos byłbym podał moje imię z dwudziestego pierwszego wieku, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język. - Jestem George. Bardzo mi miło cię poznać.

Zaczerwieniła się po korzonki włosów. Ja pewnie też. Ona jednak miała dość taktu, by się zaśmiać.

- I nawzajem. Wygląda na to, że uratowałeś mnie przed paskudnym wypadkiem.

Pewnie tak było. W tym bowiem cała rzecz, rozumiecie? Sadie nie była niezdarna, była wypadkogenna. To mogło wydawać się zabawne, dopóki człowiek nie uświadamiał sobie, że to naprawdę było swoistą klątwą. Opowiadała mi później, jak przed studniówką przytrzasnęła sobie rąbek sukni drzwiami samochodu i cała dolna część się oberwała, kiedy ruszyli z chłopakiem do sali gimnastycznej. Przy niej nawalały wodotryski i przyskały jej wodą w twarz; ona, zapalając papierosa, podpałała całe pudełko zapalek, parząc sobie palce albo osmalając włosy; na wywiadówce pękało jej ramiączko biustonosza albo odkrywała wielkie oczka w pończochach na chwilę przed szkolną akademią, na której miała wygłosić przemówienie.

Wchodząc przez drzwi, pamiętała, by schylić głowę (wszystkie przezorne dryblasy z czasem nabierają tego odruchu), ale ludzie mieli tendencję do nieostrożnego otwierania ich prosto w jej twarz. Trzy razy utknęła w windzie, raz na dwie godziny, a rok wcześniej, w domu handlowym w Savannah, nowo zamontowane schody ruchome pożarły jej but. Oczywiście wtedy jeszcze tego wszystkiego nie wiedziałem; w to lipcowe popołudnie wiedziałem tylko, że ładna kobieta o blond włosach i niebieskich oczach padła mi w ramiona.

- Widzę, że już się świetnie z panną Dunhill rozumiecie - powiedziała Mimi. - Zostawię was samych, żebyście mogli się lepiej poznać.

A zatem, pomyślałem, przemiana pani Clayton w pannę Dunhill już została przeprowadzona, formalnie czy nie. Sadie tymczasem usiłowała podnieść przewrócone krzesło, ale jedna noga wbiła się w darń i ani myślała wyjść. Kiedy w końcu ustąpiła, oparcie zwinnie podjechało po udzie panny Dunhill do góry, podciągając halkę i odsłaniając pończochę aż po podwiązkę. Która była tak różowa jak róże na sukience. Sadie wydała cichy okrzyk irytacji. Jej rumieniec przybrał niepokojący odcień cegły szamotowej.

Wziąłem od niej krzesło i stanowczym ruchem odstawiłem je na bok.

- Panno Dunhill... Sadie... widzę, że komu jak komu, ale tobie potrzeba zimnego piwa. Chodź.

- Dziękuję - powiedziała. - Tak mi głupio. Mama tyle razy mi mówiła, że bym nie rzucała się na mężczyzn, ale nigdy jej nie posłuchałam.

Kiedy prowadziłem ją w stronę rzędu beczek, wskazując po drodze różnych członków grona pedagogicznego (i usuwając ją z drogi siatkarza, który cofał się prosto na nią, by odebrać wysoki lob), jednego byłem pewien: że możemy być współpracownikami i kolegami, może nawet przyjaciółmi, ale nic ponadto, bez względu na nadzieje Mimi. W komedii z udziałem Rocka Hudsona i Doris Day nasze pierwsze spotkanie bez wątpienia byłoby

„słodkie”, ale w świecie rzeczywistym, na oczach wciąż szeroko uśmiechniętej publiczności, było tylko niezręczne i kłopotliwe. Tak, była ładna. Tak, miło było iść u boku tak wysokiej dziewczyny i mimo to być od niej wyższy. I owszem, przyjemnie było poczuć pod ręką jędrność tej piersi schowanej pod cienką podwójną warstwą bawełny i seksownego nylonu. Ale jeśli masz więcej niż piętnaście lat, przypadkowe macanko na garden party nie liczy się jako miłość od pierwszego wejrzenia.

Podaliśmy piwo świeżo (a może ponownie) upieczonej pannie Dunhill i ucieliśmy sobie stosownie długą pogawędkę przy prowizorycznym barze. Śmialiśmy się, kiedy gołąb, wypożyczony na tę okazję, wystawił łebek z cylindra i dziobnął Vince'a Knowlesa w palec. Wskazałem jej kolejnych pedagogów z Denholm (wielu już opuszczało Miasto Trzeźwości Alkoholowym Ekspresem). Powiedziała, że nigdy nie pozna wszystkich, a ja zapewniłem ją, że owszem. Nie mówiła o swoim życiu w Georgii w charakterze pani Clayton, a ja nie pytałem. Poprosiłem za to, żeby zwróciła się do mnie, jeśli będzie potrzebowała z czymkolwiek pomocy. Tyle minut, ile nakazywała przyzwoitość, wszystkie zwyczajowe formułki. Potem jeszcze raz podziękowała mi za to, że uratowałem ją przed groźnym upadkiem, i poszła zgłosić się na ochotnika do organizowania dzieci w bandę katów *piñaty*, którą miały się wkrótce stać. Odprowadziłem ją wzrokiem, nie z miłością, ale z lekkim pożądaniem; przyznam, że przez chwilę myślałem o tych pończochach i różowej podwiązce.

Moje myśli powróciły do Sadie tego wieczora, kiedy szykowałem się do snu. Bardzo wdzięcznie wypełniała spory kawałek przestrzeni i moje oko nie było jedynym, które śledziło jej zgrabne ruchy we wzorzystej sukience, ale tak naprawdę to wszystko. Bo i co jeszcze miałyby być? Niedługo przed wyruszeniem w najdziwniejszą podróż świata przeczytałem książkę pod tytułem „Żona godna zaufania” i kiedy kładłem się do łóżka, przez myśl przemknął mi cytat z niej: „Odwykł od romansów”.

To o mnie, pomyślałem, gasząc światło. Zupełnie odwykłem. A potem, podczas gdy świerszcze śpiewały mi do snu: Ale nie tylko dotyk jej piersi był taki przyjemny. Chodziło o jej ciężar. Jej ciężar w moich ramionach.

Jak się okazało, wcale nie odwykłem od romansów.

7

W sierpniu w Jodie było jak w piecu; temperatura co dzień przekraczała trzydzieści, często nawet czterdzieści stopni. Klimatyzacja w moim wynajętym domu na Mesa Lane była dobra, ale nie dość dobra, by odeprzeć tak zmasowany atak. Czasem - kiedy padał

orzeźwiający deszcz - noce były nieco bardziej znośne, ale niewiele.

Rankiem trzynastego sierpnia siedziałem przy moim biurku i w samych koszykarskich szortach pracowałem nad „Miastem zbrodni”, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Zdziwiłem się. Była niedziela, niedługo wcześniej słyszałem bicie rywalizujących ze sobą dzwonów kościelnych, a większość moich znajomych chodziła do jednego z czterech czy pięciu miejsc kultu w mieście.

Wciągnąłem koszulkę i poszedłem otworzyć. Na progu stali trener Borman i Ellen Dockerty, była kierowniczka szkolnego działu gospodarstwa domowego, pełniąca obowiązki dyrektora DCHS w nadchodzącym roku szkolnym; ku niczyjemu zaskoczeniu Deke złożył rezygnację tego samego dnia co Mimi. Trener był wciśnięty w ciemnoniebieski garnitur i krzykliwy krawat, który wyglądał, jakby dusił jego grubą szyję. Ellen miała na sobie surowy szary kostium ożywiony kłębem koronek na gorsie. Byli śmiertelnie poważni. Moja pierwsza myśl, równie przekonująca, co szalona: Wiedzą. Jakimś cudem dowiedzieli się, kim jestem i skąd pochodzę. Przyszli mi o tym powiedzieć.

Trenerowi Bormanowi drżały usta i choć Ellen nie szlochała, oczy miała pełne łez. Wtedy zrozumiałem.

- Chodzi o Mimi?

Trener skinął głową.

- Zadzwonił do mnie Deke. Wziąłem Ellie... zwykle wożę ją do kościoła... i zawiadamiamy ludzi. Najpierw tych, których lubiła najbardziej.

- Przykro mi - powiedziałem. - Jak się czuje Deke?

- Jakoś się trzyma - odparła Ellen, po czym zerknęła na trenera z pewnym wyrzutem. -

Przynajmniej on tak twierdzi.

- Tak, wszystko z nim w porządku - rzekł trener. - Oczywiście, jest załamany.

- Nie wątpię - stwierdziłem.

- Zamierza ją poddać kremacji. - Ellen zacisnęła usta z dezaprobatą. - Twierdzi, że tego chciała.

Pomyślałem o tym.

- Powinniśmy zorganizować specjalną akademię czy coś, kiedy szkoła się zacznie. Da się to załatwić? Byłyby przemówienia, może nawet pokaz slajdów... ludzie na pewno mają dużo jej zdjęć.

- Doskonały pomysł - powiedziała Ellen. - Zajmiesz się tym, George?

- Chętnie spróbuję.

- Niech pani Dunhill ci pomoże. - I zanim podejrzenie, że to dalszy ciąg swatania,

mogło przemknąć mi przez głowę, dodała: - Myślę, że chłopcom i dziewczętom, którzy kochali Meems, będzie lżej ze świadomością, że namaszczona przez nią następczyni pomogła przygotować akademię ku jej pamięci. Pomoże to też samej Sadie.

Oczywiście. Jako nowej nauczycielce przyda jej się na początku roku zyskać pewien kredyt zaufania.

- Dobrze, porozmawiam z nią. Dziękuję wam obojgu. Poradzicie sobie?

- Jasne - dzielnie zapewnił trener, ale wciąż drżały mu wargi. Polubiłem go za to. Powoli poszli do jego samochodu, który stał zaparkowany przy krawężniku. Trener Borman prowadził Ellen pod łokieć. Za to też go polubiłem.

Zamknąłem drzwi, usiadłem na ławie w maciupkim przedpokoju i przypomniałem sobie Mimi mówiącą, że będzie zdruzgotana, jeśli nie przejmę kółka dramatycznego. I jeśli nie zgodzę się uczyć na całym etacie przez co najmniej rok. I jeśli nie przyjdę na jej przyjęcie poślubne. Mimi, która uważała, że „Buszujący w zbożu” powinien być w szkolnej bibliotece, i która nie miała nic przeciwko figlom-migłom w sobotni wieczór. Była jednym z tych pedagogów, których dzieciaki pamiętają długo po ukończeniu szkoły i czasem odwiedzają, kiedy już nie są dzieciakami. Typem nauczyciela, który czasem pojawia się w życiu trudnego ucznia w krytycznym momencie i znacząco je odmienia.

„Niewiastę dzielną któż znajdzie? - pyta Księga Przysłów. - Jej wartość przewyższa perły. O len się stara i wełnę, pracuje starannie rękami. Podobnie jak okręt kupiecki żywność sprowadza z daleka”.

Jest więcej ubrań niż te, które nosi się na sobie, wie to każdy nauczyciel, a pokarm to nie tylko to, co człowiek wkłada do ust. Pani Mimi nakarmiła i przyodziała wielu. Także mnie. Ze spuszczoną głową i twarzą w dłoniach siedziałem na ławie kupionej na pchlim targu w Fort Worth. Myślałem o Mimi i bardzo mi było smutno, ale moje oczy pozostały suche.

Nie można o mnie powiedzieć, że jestem skłonny do łez.

8

Sadie bez wahania zgodziła się pomóc przygotować uroczystą akademię. Pracowaliśmy nad nią przez ostatnie dwa tygodnie tego upalnego sierpnia, jeżdżąc po mieście i dobierając mówców. Wyzaczyłem Mike'a Coslawa do odczytania Przysłowia Trzydziestego Pierwszego, o dzielnej niewieście, a Al Stevens sam zaproponował, że opowie historię - której nigdy nie słyszałem od samej Mimi - o tym, jak nadała nazwę Widłoburgerowi, jego *spécialité de la maison*. Zebraliśmy też przeszło dwieście fotografii.

Moja ulubiona pokazywała Mimi i Deke'a tańczących twista na zabawie szkolnej. Ona wyglądała, jakby się dobrze bawiła; on wyglądał, jakby wsadzili mu w tyłek kij od szczotki. Dokonałiśmy selekcji zdjęć w szkolnej bibliotece, gdzie teraz na biurku stała tabliczka P. DUNHILL, nie P. MIMI.

W tym czasie Sadie i ja ani razu się nie pocałowaliśmy, nie trzymaliśmy się za ręce, a jeśli patrzyliśmy sobie w oczy, to tylko przelotnie. Ona nie mówiła o swoim nieudanym małżeństwie ani powodach, dla których przeniosła się z Georgii do Teksasu. Ja nie mówiłem o mojej powieści ani nie opowiadałem o mojej w dużej mierze zmyślonej przeszłości. Rozmawialiśmy o książkach. Rozmawialiśmy o Kennedym, któremu zarzucała szowinistyczną politykę zagraniczną. Dyskutowaliśmy o rodzącym się ruchu na rzecz praw obywatelskich. Powiedziałem jej o desce nad strumykiem na końcu ścieżki za stacją benzynową Humble Oil w Karolinie Północnej. Odparła, że widziała podobne „toalety” dla kolorowych w Georgii, ale sądziła, że ich dni są policzone. Uważała, że pewnego dnia szkoły będą zintegrowane, ale zapewne nie wcześniej niż w połowie lat siedemdziesiątych. Ja stwierdziłem, że moim zdaniem nastąpi to szybciej, z inicjatywy nowego prezydenta i jego młodszego brata, prokuratora generalnego.

Prychnęła.

- Masz więcej szacunku dla tego wyszczerzonego Irlandczyka niż ja. Powiedz no, czy on w ogóle bywa u fryzjera?

Nie zostaliśmy kochankami, ale zostaliśmy przyjaciółmi. Czasem potykała się o różne rzeczy (włącznie z własnymi stopami, które były duże) i przy dwóch okazjach ją przytrzymałem, ale nie tak efektownie jak za pierwszym razem. Czasem oświadczała, że musi zapalić, i chodziłem z nią tam, gdzie zwykle palili uczniowie, za pracownię techniczną.

- Szkoda, że nie będę mogła tu przychodzić i wylegiwać się na ławce w moich starych dżinsach - powiedziała pewnego dnia. To było niecały tydzień przed początkiem roku szkolnego. - W pokojach nauczycielskich zawsze jest taki zaduch.

- Kiedyś to się zmieni. W szkołach nie będzie wolno palić. Ani nauczycielom, ani uczniom.

Uśmiechnęła się. Jej uśmiech był ładny, bo miała wydatne, pełne usta. A dżinsy, muszę przyznać, dobrze na niej leżały. Miała długie, bardzo długie nogi. No i wypchany jak trzeba bagażnik.

- Społeczeństwo bez papierosów... murzyńskie i białe dzieci uczące się razem w pełnej harmonii... nic dziwnego, że piszesz powieść, masz cholernie bujną wyobraźnię. Co jeszcze widzisz w swojej kryształowej kuli, George? Rakiety na Księżyc?

- Jasne, ale na to pewnie trzeba będzie poczekać trochę dłużej niż na integrację. Kto ci powiedział, że piszę powieść?

- Pani Mimi. - Zagasiła papierosa w jednej z kilku popielniczek z piaskiem. - Mówiła, że jest dobra. A skoro już mowa o pani Mimi, chyba powinniśmy wrócić do pracy. Ze zdjęciami już prawie skończyliśmy, zgodzisz się?

- Tak.

- I jesteś pewien, że zilustrowanie pokazu slajdów tą piosenką z „West Side Story” nie będzie zbyt ckliwe?

Sądziłem, że „Somewhere” jest kwintesencją ckliwości, ale według Ellen Dockerty to była ulubiona piosenka Mimi.

Powiedziałem to Sadie i zaśmiała się z powątpiewaniem.

- Nie znałam jej aż tak dobrze, ale to mi jakoś do niej nie pasuje. Może to ulubiona piosenka Ellie.

- Hm, całkiem możliwe. Słuchaj, Sadie, pójdziesz ze mną w piątek na mecz? Żebyś, że tak powiem, pokazała się dzieciakom, zanim szkoła się zacznie w poniedziałek?

- Bardzo chętnie. - Zamilkła, jakby nieco skrupowana. - Pod warunkiem że, no wiesz, nie pomyślisz sobie Bóg wie czego. Jeszcze nie jestem gotowa chodzić na randki. I nieprędko będę.

- Ja też nie. - Pewnie myślała o swoim byłym, ale dla mnie najważniejszy był Lee Oswald. Wkrótce odzyska paszport amerykański. Potem będzie musiał tylko skombinować sowiecką wizę wyjazdową dla żony. - Ale przyjaciele czasem chodzą razem na mecze.

- To prawda. A ja lubię z tobą chodzić w różne miejsca, George.

- Bo jestem wyższy.

Żartobliwie trzepnęła mnie w ramię - jak starsza siostra.

- Otóż to, kowboju. Jesteś mężczyzną, który mnie przerasta.

9

Na meczu patrzyli na nas prawie wszyscy, i to z niejakim podziwem - jakbyśmy byli przedstawicielami nieco innej rasy ludzi. Wydawało mi się to poniekąd sympatyczne, a Sadie choć raz nie musiała się garbić, żeby dopasować się do otoczenia. Była w bluzie Lwów i spranych dzinsach. Ze swoimi blond włosami związanymi w koński ogon sama wyglądała jak uczennica. Uczennica wysoka, może środkowa dziewczęcej drużyny koszykówki.

Siedzieliśmy w rzędzie zarezerwowanym dla kadry pedagogicznej i wiwatowaliśmy,

kiedy Jim LaDue dziurawił obronę Niedźwiedzi Arnette najpierw kilkoma krótkimi podaniami, a potem sześćdziesięciometrową torpedą, która poderwała wszystkich widzów z miejsc. Po pierwszej połowie Denholm prowadziło trzydzieści jeden do sześciu. Kiedy zawodnicy zbiegali z boiska, a na ich miejsce wmaszerowała orkiestra szkolna, machając tubami i puzonami, spytałem Sadie, czy chce hot doga i colę.

- Jasne, ale teraz pewnie jest kolejka aż po parking. Zaczekaj, niech któryś trener weźmie czas w trzeciej kwarcie czy coś. Teraz musimy ryczeć jak lwy i wiwatować na cześć Jima.

- Chyba poradzisz sobie z tym sama.

Uśmiechnęła się i ścisnęła moje ramię.

- Nie, musisz mi pomóc. Jestem tu nowa, zapomniałeś?

Jej dotyk przeszył mnie ciepłym dreszczykiem, który nie miał nic wspólnego z uczuciem przyjaźni. I co w tym dziwnego? Ona policzki miała zarumienione, oczy błyszczące; w świetle jupiterów, pod zielonkawoniebieskim niebem zapadającego teksaskiego zmierzchu, była dużo więcej niż piękna. Sprawy między nami mogły rozwinąć się szybciej, niż to się ostatecznie stało, gdyby nie to, co się wydarzyło w trakcie tej przerwy.

Jak wszystkie szkolne orkiestry, także i ta lepiej maszerowała, niż grała, racząc widzów hałaśliwą wiązką melodii, które nie bardzo dało się rozróżnić. Kiedy skończyli, czirliderki potruchtowały na linię pięćdziesięciu jardów, upuściły pompony na ziemię i podparły się pod boki.

- Dajcie nam L!

Daliśmy im to, czego chcieli, a na następne natarczywe prośby posłusznie odpowiedzieliśmy W i Y.

- Jak to będzie razem?!

- LWY! - Wszyscy podnieśli się z miejsc i klaskali.

- Kto wygra mecz?!

- LWY! - Przy takim wyniku do przerwy raczej nie było co do tego wątpliwości.

- Niech więc zabrzmie lwi ryk!

Zaryczeliśmy, zgodnie z tradycją odwracając się najpierw w lewo, a potem w prawo. Sadie, z ustami okolonymi dłońmi, dawała z siebie wszystko, jej koński ogon latał z jednego ramienia na drugie.

A potem nastąpił wiwat na cześć Jima. W poprzednich trzech latach - tak, nasz pan LaDue był pierwszym rozgrywającym już w pierwszej klasie - był on dość prosty. Czirliderki wykrzykiwały coś w stylu „Cały stadion odpowiada! Kto drużyny naszej chlubą?”, a tłum

wówczas ryczał „JIM! JIM! JIM!”. Potem czirliderki fikały jeszcze kilka gwiazd i zbiegały z boiska, żeby orkiestra ze szkoły rywali mogła wymaszerować i zagrać jeden czy dwa kawałki. Jednak w tym roku, być może dla uczczenia pożegnalnego sezonu Jima LaDue, treść wiwatu się zmieniła.

Ilekcio tłum wykrzykiwał „JIM!”, czirliderki odpowiadały pierwszą sylabą jego nazwiska, przeciągając ją jak budującą napięcie nutę. Było to nowe, ale nieskomplikowane, i publiczność szybko załapała, o co chodzi. Sadie skandowała wzorowo, dopóki się nie zorientowała, że ja milczę. Stałem tylko z rozdziawionymi ustami.

- George? Dobrze się czujesz?

Nie mogłem odpowiedzieć. Prawdę mówiąc, ledwo ją słyszałem. Myślam byłem w Lisbon Falls. Chwilę po tym, jak wyszedłem z króliczej nory za dwie dwunasta dziewiętego września 1958 roku. Właśnie ruszyłem wzdłuż ściany suszarni i przegramoliłem się pod łańcuchem. Byłem przygotowany na spotkanie z Człowiekiem z Żółtą Kartką, ale nie na to, że mnie zaatakuję. Co też uczynił. Tylko że nie był już Człowiekiem z Żółtą Kartką; teraz był Człowiekiem z Pomarańczową Kartką. „Nie powinno cię tu być - powiedział. - Kim jesteś? Co tu robisz?”. A kiedy chciałem go spytać, czy był może u Anonimowych Alkoholików, powiedział...

- George? - Teraz była nie tylko zaniepokojona, ale i zatroskana. - O co chodzi? Co się stało?

Kibice na dobre wczuli się w rytm zawołanie-odpowiedź. Czirliderki krzychały „JIM!”, istoty na trybunach odkrzykiwały „LA!”.

„Wypierdalaj, Jimla!”. Tak warknął na mnie Człowiek z Żółtą Kartką, który stał się Człowiekiem z Pomarańczową Kartką (choć jeszcze nie zabitym z własnej ręki Człowiekiem z Czarną Kartką), i to samo słowo słyszałem teraz, przerzucane jak piłka lekarska między czirliderkami a dwu i pół tysiącem oglądających je kibiców:

„JIMLA, JIMLA, JIMLA!”.

Sadie potrzęsła mną za ramię.

- Powiedz coś! Odezwij się, bo zaczynam się bać!

Zdobyłem się na uśmiech. Nie było łatwo, wierzcie mi.

- Chyba spadł mi poziom cukru. Pójdę po colę.

- Nie zemdlejesz mi tu, co? Mogę cię zaprowadzić do punktu opatrunkowego, jeśli...

- Nic mi nie jest - powiedziałem, po czym niewiele myśląc, pocałowałem ją w czubek nosa.

- Tak trzymać, panie A! - zawołał jakiś dzieciak.

Zamiast się zezłościć, zmarszczyła nos jak królik i uśmiechnęła się.

- W takim razie idź już. Zanim zszargasz mi reputację. I przynieś mi chili doga. Z dużą ilością sera.

- Tak jest, psze pani.

Przeszłość harmonizuje sama ze sobą, tyle już wiedziałem. Ale jaka to była pieśń? Nie miałem pojęcia i bardzo mnie to niepokoiło. Na wylanym betonem przejściu prowadzącym do bufetu doping był jeszcze głośniejszy, na tyle, że miałem ochotę zasłonić sobie uszy, żeby go stłumić.

JIMLA, JIMLA, JIMLA!

CZEŚĆ IV
SADIE I GENERAL

ROZDZIAŁ 14

1

Uroczysta akademія odbyła się na koniec pierwszego dnia nowego roku szkolnego i jeśli mierzyć sukces liczbą mokrych chusteczek, show, który przygotowaliśmy z Sadie, był pierwszorzędny. Jestem pewien, że dla dzieciaków był katartycznym przeżyciem, i sędzę, że samej Mimi też by się podobał. „Pod zbroją sarkazmu zwykle kryje się miękkie serce - powiedziała mi kiedyś. - Tak samo jest ze mną”.

Nauczyciele jakoś się trzymali przez większość mów pożegnalnych. Mike pierwszy poruszył serca swoją stonowaną, przejmującą recytacją Przysłowia Trzydziestego Pierwszego. Potem, podczas pokazu slajdów przy akompaniamencie rzewnej piosenki z „West Side Story”, grono pedagogiczne nie wytrzymało. Najbardziej rozbawił mnie trener Borman. Ze łzami ściekającymi po czerwonych policzkach i głośnymi, kwaczącymi szlochami wrywającymi się z potężnej piersi futbolowy guru Denholm do złudzenia przypominał owego drugiego pod względem popularności rysunkowego kaczoza, Baby Huey.

Szeptem podzieliłem się tym spostrzeżeniem z Sadie, kiedy staliśmy obok wielkiego ekranu, po którym przesuwaly się zdjęcia pani Mimi. Ona też płakała, ale w tej chwili musiała uciec za kulisy, gdzie śmiech walczył w niej z łzami i ostatecznie zwyciężył. Bezpiecznie schowana w cieniu, spojrziała na mnie z wyrzutem... a potem pokazała mi środkowy palec. Stwierdziłem, że na to zasłużyłem. Byłem ciekaw, czy Mimi nadal by uważała, że świetnie się z Sadie rozumiemy.

Sędziłem, że tak.

Na jesienne przedstawienie wybrałem „Dwunastu gniewnych ludzi”, rozmyślnie zapominając poinformować właściciela praw, Samuel French Company, że zamierzam naszą wersję przemianować na „Ławę przysięgłych” i wziąć do obsady kilka dziewczyn. Przesłuchania wyznaczyłem na koniec października, a pierwszą próbę na trzynastego listopada, już po ostatnim meczu Lwów w sezonie zasadniczym. Upatrzyłem sobie Vince'a Knowlesa do roli Przysięgłego #8 - nieugiętego ławnika, którego w filmie grał Henry Fonda - i Mike'a Coslawa do, moim zdaniem, najciekawszej roli w sztuce: tyranizującego otoczenie, opryskliwego Przysięgłego #3

Powoli jednak zaczynałem się koncentrować na ważniejszym spektaklu, w porównaniu z którym sprawa Franka Dunninga była nędznym numerem wodewilowym. Można by go zatytułować „Jake i Lee w Dallas”. Gdyby wszystko dobrze poszło, byłaby to tragedia w jednym akcie. Musiałem być gotów we właściwym momencie wejść na scenę, a to wymagało wczesnego rozpoczęcia prób.

2

Szóstego października Lwy Denholm odniosły piąte zwycięstwo w sezonie, który miały zakończyć bez żadnej porażki i zadedykować Vince'owi Knowlesowi, chłopcu, który grał George'a w „Myszach i ludziach” i któremu nie dane było wziąć udziału w „Dwunastu gniewnych ludziach” w wersji George'a Ambersona - ale o tym później. Był początek trzydniowego weekendu, bo w poniedziałek wypadał Dzień Kolumba.

W dzień świąteczny pojechałem do Dallas. Większość sklepów była otwarta i pierwszy przystanek zrobiłem w jednym z lombardów na Greenville Avenue. Powiedziałem niskiemu mężczyźnie za ladą, że chcę najtańszą obrączkę, jaką ma na składzie. Zaoferował mi złotą za osiem dolarów (przynajmniej wyglądała jak ze złota) i wyszedłem z nią na palcu serdecznym lewej dłoni. Potem pojechałem do centrum, do sklepu na Lower Main Street, który wytropiłem w książce telefonicznej Dallas: Silent Mike's Satellite Electronics*. Na miejscu powitał mnie schludny mężczyzna w rogowych okularach, z osobiście futurystycznym znaczkiem na kamizelce: NIE UFAJ NIKOMU.

- Cichy Mike to pan? - spytałem.

- Uhm.

- I naprawdę jest pan cichy?

Uśmiechnął się.

- Zależy, kto słucha.

- Przyjmijmy, że nikt - powiedziałem i wytłumaczyłem, o co chodzi. Okazało się, że mogłem zaoszczędzić osiem dolarów, bo moja rzekomo niewierna żona nie obeszła go zupełnie. Właściciela Satellite Electronics interesował tylko sprzęt, który chciałem kupić. Kiedy zeszliśmy na ten temat, stał się Gadatliwym Mikiem.

- Panie szanowny, takie cuda to może mają na planecie, z której pan przyleciał, ale u nas czegoś takiego się nie dostanie.

* Elektronika Satelitarna Cichego Mike'a.

To przywołało wspomnienie pani Mimi porównującej mnie do przybysza z kosmosu w „Dniu, w którym zatrzymała się Ziemia”, ale otrząsnąłem się z tego.

- Nie rozumiem.

- Chce pan małe bezprzewodowe urządzenie nasłuchowe? Proszę bardzo. Są w tej gablocie po pańskiej lewej ręce. Nazywają się radia tranzystorowe. Mam na składzie motorole i GE, ale najlepsze robią Japończycy. - Wysunął dolną wargę i zdmuchnął sobie kosmyk włosów z czoła. - Niezłe jaja, co? Piętnaście lat temu pobiliśmy ich, obracając dwa ich miasta w radioaktywny pył, ale czy umarli? Nie! Pochowali się w swoich norach, dopóki pył nie opadł, i wyleźli z nich uzbrojeni w obwody drukowane i lutownice zamiast karabinów Nambu. Do 1985 roku opanują cały świat. A przynajmniej tę jego część, w której żyję.

- Czyli nie może mi pan pomóc?

- Co pan, kpi? Pewnie, że mogę. Cichy Mike McEachern zawsze chętnie pomaga zaspokoić elektroniczne potrzeby klienta. Ale to będzie kosztowało.

- Jestem gotów dobrze zapłacić. Dzięki temu może zaoszczędzę, kiedy rozwiodę się z tą niewierną suką.

- Uhm. Pan chwilę zaczeka, przyniosę coś z zaplecza. I niech pan obróci tabliczkę w drzwiach na ZAMKNIĘTE, dobrze? Pokażę panu coś, co pewnie nie jest... to znaczy, może i jest legalne, ale kto wie? Czy Cichy Mike McEachern jest prawnikiem?

- Zgaduję, że nie.

Zrobiłem, o co prosił. Nie sądziłem, by miał przez to stracić wielu klientów; mały i zakurzony sklep wyglądał, jakby Cichy Mike ledwo wiązał koniec z końcem.

Mój przewodnik po elektronice lat sześćdziesiątych wrócił z dziwnie wyglądającym gadżetem w jednej dłoni i małym tekturowym pudełkiem w drugiej. Napisy na pudełku były po japońsku. Gadżet, który Cichy Mike położył na ladzie, wyglądał jak wibrator dla chochlików zamontowany na czarnym plastikowym dysku. Sterczał z niego pęk kabli.

- To echo. Produkowane u nas, w tym mieście, synu. Jeśli ktoś może pobić Synów Nipponu ich własną bronią, to właśnie my. Do roku siedemdziesiątego elektronika zastąpi w Dallas bankowość. Zapamiętaj moje słowa. - Przeżegnał się, wskazał palcem w niebo i dodał:

- Boże, błogosław Teksas.

Podniosłem gadżet.

- Czym właściwie jest echo?

- Najbliższym dostępnym odpowiednikiem opisanej przez pana pluskwy. Jest takie małe, bo nie ma żadnych lamp próżniowych i nie jest na baterie. Zasilane jest zwykłym prądem zmiennym.

- Podłącza się to do gniazdka?

- Jasne, czemu nie? Pana żona i jej facet będą mogli to zobaczyć i powiedzieć: „Jak miło, ktoś założył podsłuch pod naszą nieobecność, pouprawiajmy hałaśliwy seks, a potem pogadamy o naszych prywatnych sprawach”.

Był mądrałą, to na pewno. Z drugiej strony - cierpliwość jest cnotą. A ja potrzebowałem tego, czego potrzebowałem.

- Co więc się z tym robi?

Postukał w dysk.

- To wkłada się do podstawy lampy. Nie stojącej, chyba że chce pan mieć nagrane skrobanie myszy pod podłogą, rozumiemy się? Do stołowej, żeby urządzenie było tam, gdzie ludzie rozmawiają. - Musnął dłonią kable. - Te czerwone i żółte podłącza się do przewodu lampy, przewód lampy idzie do gniazdka. Pluskwa nie działa, dopóki ktoś nie włączy lampy. Pstryk i wszystko gotowe.

- To drugie coś to mikrofon?

- Uhm, całkiem dobry jak na amerykański sprzęt. A teraz... widzi pan te pozostałe dwa kable? Niebieski i zielony?

- Uhm.

Otworzył tekturowe pudełko z japońskimi napisami i wyjął magnetofon szpulowy. Był większy od paczki winstonów Sadie, ale niewiele.

- Te kable podłącza się do tego. Pluskwa idzie do lampy, a urządzenie nagrywające do szuflady komody, na przykład pod majtki żony. Albo można wywiercić mały otwór w ścianie i schować je do szafy.

- Magnetofon też jest zasilany z przewodu lampy.

- Naturalnie.

- Mógłbym kupić dwa takie echa?

- Mogę załatwić panu cztery, jeśli pan chce. Ale za tydzień.

- Dwa wystarczą. Ile płacę?

- Takie rzeczy nie są tanie. Za dwa zabuli pan sto czterdzieści. Niżej nie zejść. I przyjmę tylko gotówkę. - Mówił z żalem, który sugerował, że miło było wspólnie snuć technologiczne fantazje, ale teraz wraca szara rzeczywistość.

- Ile musiałbym dopłacić, żeby sam pan to zainstalował? - Zobaczyłem, że się spłoszył, i pospiesznie go uspokoiłem. - Nie chodzi o samą brudną robotę, nic z tych rzeczy. Tylko żeby wsadził pan pluskwy do dwóch lamp i podłączył magnetofony.

- Magnetofony drutowe. Normalny magnetofon byłby duży jak cholera...

- Może pan to zrobić?
- Oczywiście, że tak, panie...
- Powiedzmy... Doe. John Doe.

Jego oczy rozbłysły tak, jak wyobrażam sobie, że rozbłysły oczy E. Howarda Hunta, gdy pierwszy raz zobaczył, jakim wyzwaniem będzie hotel Watergate.

- Dobrze nazwisko.

- Dzięki. I przydałoby się na wszelki wypadek mieć kable różnej długości. Krótszy, w razie gdybym mógł umieścić magnetofon gdzieś blisko, dłuższy, gdybym musiał go schować w szafie czy za ścianą.

- Żaden kłopot, chociaż przy odległości większej niż trzy metry dźwięk robi się niewyraźny. Poza tym im dłuższy kabel, tym większe prawdopodobieństwo, że ktoś go znajdzie.

Nawet nauczyciel angielskiego mógł to zrozumieć.

- Ile za całość?
- Mmm... sto osiemdziesiąt?

Wyglądał, jakby był skłonny się targować, ale nie miałem na to czasu ani ochoty. Położyłem na ladzie pięć dwudziestek.

- Reszta przy odbiorze sprzętu. Ale dopiero jak go przetestujemy i upewnimy się, że działa, zgoda?

- Jasne, niech będzie.
- Jeszcze jedno. Niech pan załatwi używane lampy. Obskurne.
- Obskurne?

- Takie, jakie kupuje się na wyprzedażach rzeczy używanych albo pchlich targach za ćwierć dolara. - Kiedy człowiek wyreżyseruje kilka sztuk (wliczając te, przy których pracowałem w LHS, „Myszy i ludzie” była moją piątą), to uczy się tego i owego o scenografii. Ostatnie, czego chciałem, to żeby ktoś ukradł lampę z założonym podsłuchem z częściowo umeblowanego mieszkania.

Przez chwilę miał zdumioną minę, po czym na jego twarz wypłynął uśmiech współspiskowca.

- Rozumiem. Realizm.
- Właśnie. - Ruszyłem do drzwi, zawróciłem, oparłem przedramiona na gablocie z radiami tranzystorowymi i spojrzałem mu w oczy. Nie mogę przysiąc, że zobaczył człowieka, który zabił Franka Dunninga, ale i nie mogę powiedzieć, że nie. - Nikomu ani słowa, jasne?
- Tak! Oczywiście! - Przesunął dwoma palcami po ustach, jakby zamykał je na suwak.

- O to chodzi. Kiedy?
- Pan da mi parę dni.
- Przyjdę w poniedziałek. O której pan zamyka?
- O piątej.

Obliczyłem odległość z Jodie do Dallas.

- Dodatkowe dwadzieścia dolarów, jeśli sklep będzie otwarty do siódmej. Wcześniej nie dam rady. Pasuje?

- Uhm.

- To dobrze. Niech pan ma wszystko gotowe.

- Jasne. Coś jeszcze?

- Tak. Dlaczego, u licha, nazywają pana Cichy Mike?

Miałem nadzieję, że odpowie: „Bo umiem dochować tajemnicy”, ale się zawiodłem.

- Jak byłem mały, myślałem, że ta kolęda jest o mnie. I tak już zostało.

Nie spytałem, ale w połowie drogi do samochodu doznałem olśnienia i roześmiałem się.

*Silent night, holy night**

A „Mike” brzmi podobnie do *night*.

Czasem świat, w którym żyjemy, bywa naprawdę dziwny.

3

Po powrocie do Stanów Lee i Marina mieli mieszkać w wielu podłych, tanich mieszkaniach, włącznie z tym w Nowym Orleanie, które już odwiedziłem, ale z notatek Ala wynikało, że wystarczy się skupić na dwóch. Jedno było na West Neely Street 214 w Dallas. Drugie znajdowało się w Fort Worth i tam pojechałem po mojej pierwszej wizycie u Cichego Mike'a.

Miałem plan miasta, ale i tak musiałem trzy razy pytać o drogę. W końcu na właściwy trop naprowadziła mnie starsza czarna kobieta urzędująca za ladą małego sklepiku rodzinnego. Kiedy wreszcie znalazłem to, czego szukałem, przestałem się dziwić, że tak trudno tam trafić. Końcowy odcinek Mercedes Street okazał się nieutwardzoną gruntową drogą, wzdłuż której stały sypiące się domy niewiele lepsze od chat parobków. Wpadała ona na rozległy, prawie pusty parking, na którym niesione wiatrem szarłaty przetaczały się po

* Cicha noc, święta noc.

popękanym asfalcie. Za parkingiem była tylna ściana magazynu z pustaków. Wymalowane na niej wielkie białe litery głosiły WŁASNOŚĆ MONTGOMERY WARD, a dalej WSTĘP WZBRONIONY i UWAGA, POLICJA.

Powietrze cuchnęło krakowaną ropą naftową z Odessa-Midland i dużo bliższymi ściekami. Z otwartych okien dochodziły dźwięki rock and rolla. Słyszałem The Dovells, Johnny'ego Burnette'a, Lee Dorseya, Chubby'ego Checkera... a to tylko przez pierwsze czterdzieści metrów. Kobiety rozwieszały pranie na zardzewiałych suszarkach ogrodowych. Wszystkie miały na sobie fartuchy i wszystkie wyglądały, jakby były w ciąży. Umorusany chłopiec i równie umorusana dziewczynka stali na popękanym gliniastym podjeździe i patrzyli na mnie, kiedy przechodziłem. Trzymali się za ręce i byli zbyt do siebie podobni, by nie być bliźniętami. Chłopiec, nagi, tylko w jednej skarpetce, trzymał pistolet na kapiszony. Dziewczynka miała na sobie obwisłą pieluchę, a nad nią koszulkę Mickey Mouse Club. Ścisłała w dłoni plastikową lalkę, brudną jak ona sama. Dwaj rozebrani do pasa mężczyźni stojący na sąsiadujących ze sobą podwórkach rzucali sobie piłkę do futbolu amerykańskiego, jeden i drugi z papierosem zwisającym z kącika ust. Za nimi kogut i dwie zakurzone kury dziobały w pyłe niedaleko wychudzonego psa, który albo spał, albo zdechł.

Zatrzymałem się przed domem numer 2703, gdzie Lee miał przywieźć swoją żonę i córkę, kiedy wyniszczająca, zaborcza miłość Marguerite Oswald stanie się nie do zniesienia. Dwa pasy betonu prowadziły na łysy placek poplamionej olejem ziemi w miejscu, gdzie w lepszej dzielnicy stałby garaż. Na zachwaszczonym pozał się Boże trawniku walały się tanie plastikowe zabawki. Mała dziewczynka w obszarpanych różowych szortach kopła futbolówkę o ścianę domu. Każde uderzenie piłki w drewniany siding kwitowała okrzykiem: „Czamba!”.

Kobieta z wielkimi niebieskimi wałkami we włosach i papierosem w kąciku ust wystawiła głowę przez okno i krzyknęła:

- Jak mi zara nie przestaniesz, Rosette, wyjdę tam do ciebie i tak ci wleję, że się posmarkasz! - Wtedy zobaczyła mnie. - Czego? Jeśli idzie o jaki rachunek, to z tym nie do mnie. Takimi rzeczami zajmuje się mąż. Dzisiaj jest w pracy.

- Nie chodzi o rachunek - powiedziałem. Rosette kopnęła futbolówkę we mnie z zawziętym grymasem, który przeszedł w niechętny uśmiech, kiedy przyjąłem piłkę bokiem stopy i delikatnie odkopnąłem. - Chciałem tylko chwilę z panią pomówić.

- To zaczekaj pan. Jestem nieubrana.

Jej głowa zniknęła. Czekałem. Piłka tym razem poleciała wysoko obok mnie („Czamba!”), ale złapałem ją jedną ręką, zanim uderzyła w dom.

- Rękami nie wolno, stary oszukańcu - powiedziała Rosette. - Rzut karny.

- Rosette, co ja ci mówiłam o tej twojej niewyparzonej gębie? - Mamuśka wyszła na ganek, zawiązując na głowie przezroczystą żółtą chustkę. Wałki pod nią wyglądały jak owady w kokonach, takie, które po wylęgnięciu mogą być jadowite.

- Stary zasrany oszukaniec! - wrzasnęła Rosette i czmychnęła Mercedes Street w stronę magazynu Montgomery Ward, kopiąc piłkę z maniackim śmiechem.

- Czego pan chce? - Mamuśka miała dwadzieścia parę lat, a wyglądała na pięćdziesiąt. Brakowało jej kilku zębów, pod okiem miała blednące resztki siniaka i jak reszta kobiet na tej ulicy była w ciąży.

- Zadać kilka pytań - powiedziałem.

- A czemuż to pana interesują moje sprawy?

Wyjąłem portfel i podałem jej banknot pięciodolarowy.

- Niech pani nie pyta, to nie będę musiał kłamać.

- Pan nietutejszy. Mówi pan jak Jankes.

- Chce pani te pieniądze czy nie?

- Zależy od pytań. Nie powiem, jaki noszę rozmiar stanika.

- Na początek chcę wiedzieć, jak długo pani tu mieszka.

- W tym domu? Jakies sześć tygodni. Harry myślał, że załapie się do roboty w magazynie, ale nie przyjmują, skurczysyny. Dlatego poszedł do Manpower. Wie pan, co to?

- Robota na dniówkę?

- Tak, i pracuje z bandą zasranych czarnuchów. - Nie powiedziała „bandą”, tylko „bandom”. - Dziewięć dolarów dziennie za tyranie z cholernymi czarnuchami na poboczu drogi. Mówi, że czuje się, jakby znowu był w więzieniu.

- Ile płacie czynszu?

- Pięćdziesiąt miesięcznie.

- Dom umeblowany?

- Częściowo. No, można tak powiedzieć. Jest łóżko i cholerna kuchenka gazowa, która pewnie nas wszystkich wytruje. I od razu uprzedzam, że sublokatorów nie biorę. Nie wiem, co z pana za jeden.

- Czy w wyposażeniu były lampy i inne takie?

- Pan zgłupiał czy co?

- Były czy nie?

- Tak, dwie. Tylko jedna działa. Za cholere tutaj nie zostanę, co to, to nie. Stary mówi, że nie wróci do mojej mamy do Mozelle, ale kij mu w oko. Ja tu nie zostanę. Czujecie pan

smród?

- Tak, psze pani.

- To gówno, synciu. Nie kocie, nie psie, tylko ludzkie. Pracować z czarnuchami to jedno, ale żyć jak czarnuch? O nie. To wszystko?

Niestety, to jeszcze nie było wszystko. Brzydziłem się tej kobiety i brzydziłem się sobą za to, że śmiem ją oceniać. Była więźniem swojej epoki, dokonanych przez siebie wyborów i tej śmierdzącej gównem ulicy. Wałki pod żółtą chustą uparcie przyciągały moje spojrzenie. Tłuste niebieskie robale, które czekały, żeby się wylęgnąć.

- Pewnie nikt tu długo nie wytrzyma?

- Na 'Cedes Street'? - Machnęła papierosem w stronę gruntowej drogi prowadzącej na opuszczony parking przy wielkim magazynie pełnym ładnych rzeczy, które nigdy nie będą jej. W stronę zwartego szeregu chałup ze schodkami z popękanych pustaków i wybitymi szybami zasłoniętymi kawałkami tektury. W stronę hałaśliwych dzieci. W stronę starych, przeżartych rdzą fordów, hudsonów i studebakerów larków. W stronę bezlitosnego teksaskiego nieba. A potem wydała z siebie przerażający śmiech, pełen rozbawienia i rozpacz. - Panie, toż to przystanek autobusowy na drodze donikąd. Ja i ta nieznośna smarkuła zwijamy żagle i wracamy do Mozelle. Jak Harry nie będzie chciał zabrać się z nami, trudno, zwiniemy żagle bez niego.

Wyjąłem z tylnej kieszeni plan miasta, oderwałem pasek papieru i napisałem na nim mój numer telefonu w Jodie. Do tego dodałem jeszcze jeden banknot pięciodolarowy. Podałem jej jedno i drugie. Spojrzała, ale nie wzięła.

- A na co mi pana numer? Nie mam telefonu, do cholery. Poza tym to nie numer z Dallas ani Fort Worth. To, kurna, zamiejscowy.

- Proszę zadzwonić, kiedy będziecie się wyprowadzać. To wszystko. Niech pani zadzwoni i powie: „Tu mama Rosette, wyprowadzamy się”. Tylko tyle.

Widziałem, jak kalkulowała w myśli. Szybko się z tym uporała. Dziesięć dolarów to więcej, niż jej mąż mógł zarobić przez cały dzień pracy w prażącym teksaskim słońcu. Bo w Manpower nie słyszeli, że za pracę w święta płaci się półtorej stawki. A jej mąż nigdy nie usłyszy o tych dziesięciu dolarach.

- Jeszcze siedemdziesiąt pięć centów - powiedziała. - Na zamiejscową.

- Proszę, to cały dolar. Niech pani użyje życia. Tylko proszę nie zapomnieć.

- Nie zapomnę.

- Nie radziłbym, bo gdyby pani zapomniała, kto wie, może znalazłbym pani męża i mu się poskarżył. To ważna sprawa, proszę szanownej pani. Przynajmniej dla mnie. W ogóle jak

się pani nazywa?

- Ivy Templeton.

Stałem nieruchomo wśród chwastów, wdychając zapachy gówna, smażonego oleju i śmierdzącego jak potężne pierdnięcie gazu ziemnego.

- Panie? Co panu jest? Jakoś dziwnie pan wygląda.

- Nic - powiedziałem. I może to rzeczywiście nie było nic takiego. Templeton to bynajmniej nierzadkie nazwisko. Oczywiście, człowiek może sobie wszystko wmówić, jeśli tylko się dość dobrze postara. Jestem tego żywym dowodem.

- A jak pan się nazywa?

- Stary Ramol - powiedziałem. - Spytaj znowu, odpowiem tak samo.

Na ten dziecinny żarcik wreszcie się uśmiechnęła.

- Niech pani zadzwoni.

- Taa, dobra. Pan już idzie. Jakby pan po drodze rozjechał tę moją małą diabolicę, pewnie oddałby mi pan przysługę.

Wróciłem do Jodie i na drzwiach zastałem przypiętą pinezką wiadomość:

George,

mógłbyś zadzwonić? Mam prośbę.

Sadie (i w tym cały kłopot!)

A cóż to właściwie znaczyło? Wszedłem do środka, żeby do niej zadzwonić i się dowiedzieć.

4

Matka trenera Bormana, która mieszkała w domu opieki w Abilene, złamała biodro, a w najbliższą sobotę w DCHS miała się odbyć tradycyjna zabawa „panie proszą panów”, zwana Sadie Hawkins* Dance. Nie bardzo wiedziałem, jak jedno wiąże się z drugim, i powiedziałem to Sadie.

- Trener namówił mnie, żebym razem z nim pilnowała porządku! Powiedział, cytując: „Jak możesz nie iść na zabawę, która praktycznie nosi twoje imię?”. To było raptem w zeszłym tygodniu. A ja, głupia, się zgodziłam. I teraz on jedzie do Abilene, a co ja mam

* Sadie Hawkins - postać z klasycznych komiksów „Li'l Abner”, których akcja toczyła się w fikcyjnym miasteczku Dogpatch. Sadie, stara panna, uczestniczyła w specjalnym wyścigu, w którego trakcie goniła uciekających przed nią kawalerów z miasta; ten, którego złapała, musiał się z nią ożenić.

zrobić? Sama pilnować dwustu napalonych szesnastolatków tańczących twista i philly? Niedoczekanie! A jeśli jacyś chłopcy przyniosą piwo?

Pomyślałem, że byłby cud, gdyby tego nie zrobili, ale postanowiłem zachować to dla siebie.

- Albo jeśli pobiją się na parkingu? - panikowała dalej. - Ellie Dockerty mówiła, że w zeszłym roku na zabawę wkręciła się grupa chłopaków z Henderson i potem dwóch tamtych i dwóch naszych wylądowało w szpitalu! George, pomożesz mi? Proszę!

- To zaproszenie? - Uśmiechałem się szeroko. Myśl o pójściu z nią na zabawę wcale nie była mi niemiła.

- Nie żartuj sobie! To nie jest śmieszne!

- Sadie, chętnie z tobą pójde. Przyniesiesz mi bukietek?

- Przyniosłabym ci szampana, bylebyś się zgodził. - Zamyśliła się. - Chociaż nie. Nie przy mojej pensji. Ale butelkę sikacza owszem.

- Początek o wpół do ósmej? - Tak naprawdę odpowiedź już znałem. Cała szkoła była obwieszona plakatami.

- Tak.

- I muzyka będzie z płyt. Żadnego zespołu. To dobrze.

- Dlaczego?

- Z zespołami bywają kłopoty. Raz, kiedy pilnowałem porządku na zabawie szkolnej, perkusista w przerwie występu sprzedawał piwo domowej roboty. Przyjemne doświadczenie, mówię ci.

- Co, bili się? - Wydawała się przerażona. I zafascynowana.

- Nie, ale rzygali na lewo i prawo. Cholerstwo miało moc.

- To było na Florydzie?

To było w Lisbon High w 2009 roku, więc powiedziałem, że tak, na Florydzie. Powiedziałem jej też, że chętnie pomogę pilnować porządku na zabawie.

- Strasznie ci dziękuję, George.

- Cała przyjemność po mojej stronie, droga pani.

I nie kłamałem.

5

Zespół reprezentacyjny odpowiadał za organizację zabawy Sadie Hawkins Dance i spisał się doskonale: mnóstwo serpentyn z krepki zwisających z krokwi sali gimnastycznej

(srebrne i złote, oczywiście), hektolitry ponczu z piwa imbirowego, obfitość ciastek cytrynowych i aksamitnie czerwonych babeczek, wszystko dostarczone przez Przyszłe Gospodynie Domowe Ameryki. Kółko plastyczne - małe, ale ofiarne - przygotowało malowidło przedstawiające nieśmiertelną pannę Sadie Hawkins we własnej osobie, goniącą kawalerów z Dogpatch. Większość pracy odwały Mattie Shaw i dziewczyna Mike'a, Bobbi Jill, i były z tego zasłużenie dumne. Byłem ciekaw, czy równie dumne będą za lat niespełna dziesięć, kiedy pierwsze feministki zaczną palić biustonosze, demonstrować na rzecz pełnych praw reprodukcyjnych i nosić T-shirty z hasłami typu NIE JESTEM NICZYJĄ WŁASNOŚCIĄ czy KOBIETA POTRZEBUJE MĘŻCZYZNY JAK RYBA ROWERU.

Didżejem i konferansjerem tego wieczoru był Donald Bellingham, uczeń drugiej klasy. Przyniósł zupełnie wystrzałową kolekcję płyt, nie w jednej, lecz dwóch walizkach. Za moim przyzwoleniem (Sadie tylko zrobiła oszołomioną minę) podłączył swój gramofon Webcor i przedwzmacniacz ojca do szkolnego systemu nagłaśniającego. Sala gimnastyczna była dość duża, by zapewniać naturalny pogłos, i po kilku wstępnych zgrzytach sprzężenia zwrotnego udało się uzyskać rewelacyjny, soczysty dźwięk. Choć urodzony w Jodie, Donald był stałym mieszkańcem Rockville w stanie Daddy Cool. Nosił grube okulary w różowej oprawce, luźne, ściągane z tyłu spodnie i biało-czarne półbuty tak groteskowo niemodne, że aż odlotowe. Jego twarz była polem minowym pryszczy pod ociekającą brylantyną fryzurą à la kaczy kuper. Wyglądał, jakby miał po raz pierwszy pocałować dziewczynę z krwi i kości nie wcześniej niż w wieku czterdziestu dwóch lat, ale konferansjerem był żywym, zabawnym, a kolekcję płyt (którą nazywał „hity, bity i hajfity” i „Donny'ego B. płytoteka klawego człowieka”), miał, jak już wspomniano, wystrzałową, że hej.

- Na początek powrót do przeszłości, rockandrollowy relikw z siódmego nieba bigbitu, płyta złota, ważna i poważna, panie i panowie, niechaj porwie was zapomniany rytm Danny'ego... and the JOONNIERS!

I huknęło „At the Hop”. Zabawa zaczęła się jak większość zabaw na początku lat sześćdziesiątych - dziewczyny tańczyły jitterbuga z dziewczynami. Nogi w mokasynach wlatywały w powietrze. Wirowały halki. Po pewnym czasie jednak parkiet zaczęły zapełniać pary chłopiec-dziewczyna... przynajmniej przy szybszych tańcach, do nowszych kawałków jak „Hit the Road, Jack” i „Quarter to Three”.

Większość dzieciaków raczej nie miałyby szans w „Tańcu z gwiazdami”, ale byli młodzi, pełni entuzjazmu i doskonale się bawili. Patrzyłem na nich z przyjemnością. Postanowiłem, że później, jeśli Donny B. sam nie wpadnie na to, żeby trochę przygasić światła, zrobię to za niego. Sadie z początku była nerwowa, gotowa na kłopoty, ale te

dzieciaki przyszły tu tylko dobrze się bawić. Nie było hord najeźdźców z Henderson ani żadnej innej szkoły. Kiedy to do niej dotarło, zaczęła się trochę odprężyć.

Po jakichś czterdziestu minutach nieprzerwanej muzyki (i czterech czerwonych babeczkach) nachyliłem się ku Sadie i powiedziałem:

- Pora, by strażnik Amberson zrobił pierwszy obchód budynku i upewnił się, że na spacerunku nie dzieje się nic niestosownego.

- Iść z tobą?

- Ty miej oko na wazę z ponczem. Jeśli którykolwiek młodzieniec podejdzie do niej z butelką czegokolwiek, nawet syropu na kaszel, masz mu zagrozić porażeniem prądem lub kastracją, cokolwiek uznasz za bardziej skuteczne.

Oparła się o ścianę i śmiała się, aż łzy zalśniły w kąciakach jej oczu.

- Idź sobie, George, jesteś okropny.

Poszedłem. Byłem zadowolony, że ją rozśmieszyłem; nawet po trzech latach łatwo było zapomnieć, o ileż większe wrażenie robią zarty z podtekstem seksualnym w Krainie Przeszłości.

Przylapałem parę obściskującą się w jednym z ciemniejszych zakamarków po wschodniej stronie sali gimnastycznej - on prowadził wykopaliska pod jej swetrem, ona wyraźnie próbowała wessać jego wargi. Kiedy postukałem młodego poszukiwacza w ramię, odskoczyli od siebie.

- Zajmiecie się tym, jak po zabawie pojedziecie na Bluffs - powiedziałem. - Na razie wracajcie do sali. Idźcie powoli. Ochłońcie. Napijcie się ponczu.

Poszli, ona zapinając sweter, on lekko zgarbiony w owym dobrze znanym nastolatkom płci męskiej Kłusie z Obolałymi Jajami.

Kilkanaście ogników mrugało do mnie zza pracowni technicznej. Pomachałem do nich i parę dzieciaków z papierosami odpowiedziało tym samym gestem. Zajrzałem za wschodni róg pracowni stolarskiej i zobaczyłem coś, co mi się nie spodobało. Mike Coslaw, Jim LaDue i Vince Knowles stali zbici w grupkę i coś sobie podawali z ręki do ręki. Złapałem to i wyrzuciłem za siatkę, zanim w ogóle mnie zauważyli.

Jim przez chwilę miał zaskoczoną minę, po czym obdarzył mnie swoim leniwym uśmiechem gwiazdy futbolu.

- I my też pana witamy, panie A.

- Daruj sobie, Jim. Nie jestem panienką, którą chcesz zbałamucić, a już na pewno nie jestem twoim trenerem.

Wydawał się zszokowany i lekko wystraszony, ale nie widziałem w jego twarzy

urazonej pychy, którą okazałby zapewne, gdyby był uczniem jednej z dużych szkół w Dallas. Vince cofnął się o krok. Mike nie ruszał się z miejsca, ale wydawał się przygnębiony i zakłopotany. Nie, to było coś więcej niż zakłopotanie. To był czysty wstyd.

- Flaszka na zabawie - powiedziałem. - Nie żebym oczekiwał, że będziecie przestrzegać wszystkich reguł, ale jak można je tak głupio łamać? Jimmy, jak cię złapią na picciu i wywalą z drużyny, co będzie z twoim stypendium na uniwersytet?

- Pewnie ześlą mnie do rezerw, to wszystko - powiedział.

- No właśnie, i przesiedzisz tam cały rok. A w tym czasie będziesz musiał się na poważnie przykładać do nauki. To samo dotyczy ciebie, Mike. W dodatku wylecisz z kółka dramatycznego. Chcesz tego?

- Nie, psze pana. - Niemal szeptem.

- A ty, Vince?

- Nie, wcale nie, panie A. Za skarby świata. W tym półroczu robimy tę sztukę o przysięgłych? Bo jeśli tak, to...

- Nie wiesz, że masz siedzieć cicho, jak nauczyciel cię ruga?

- Tak jest, panie A.

- Następnym razem nie puszcę wam tego płazem, ale dziś macie szczęście. Dziś dam wam tylko cenną radę: nie spierdolicie swojej przyszłości. Nie dla flaszki na szkolnej potańcówce, której za rok nawet nie będziecie pamiętać. Rozumiecie?

- Tak jest - powiedział Mike. - Przepraszam.

- Ja też - dorzucił Vince. - Z całego serca. - I przeżegnał się z szerokim uśmiechem. Niektórzy po prostu tak mają. Zresztą może światu potrzebna jest kadra mądrali, żeby wnosili trochę kolorytu, kto wie?

- Jim?

- Tak jest - przytaknął. - Proszę, niech pan nic nie mówi mojemu tacie.

- Nie, to zostanie między nami. - Obrzuciłem ich wzrokiem. - Za rok, na studiach, znajdziecie pod dostatkiem miejsc na picie. Ale nie w naszej szkole. Zrozumiano?

Tym razem odpowiedzieli jednym głosem „tak jest”.

- A teraz wracajcie do środka. Napijcie się ponczu i przepłuczcie usta, żeby nie jechało od was whisky.

Poszli. Dałem im trochę czasu i ruszyłem za nimi w pewnym oddaleniu, ze spuszczoną głową i rękami wciśniętymi głęboko do kieszeni, intensywnie rozmyślając. Nie w naszej szkole, powiedziałem. Naszej.

„Zostań nauczycielem - powiedziała Mimi. - Do tego jesteś stworzony”.

Rok 2011 nigdy nie wydawał się bardziej odległy niż w tamtej chwili. Diabła tam, Jake Epping nigdy nie wydawał się bardziej odległy. Porykujący saksofon tenorowy grał w mrugającej kolorowymi światłami sali gimnastycznej w sercu Teksasu. Orzeźwiający podmuch niósł muzykę przez noc. Perkusista wybijał zaraźliwy, porywający do tańca rytm.

Chyba to wtedy postanowiłem nie wracać.

6

Porykujący saksofon i wyluzowany perkusista akompaniowali zespołowi o nazwie The Diamonds. Piosenka nosiła tytuł „The Stroll”. Dzieciaki jednak nie tańczyły tańca o tej nazwie. Nie całkiem.

Stroll to był pierwszy krok, jakiego nauczyliśmy się z Christy, kiedy zaczęliśmy chodzić na wieczorowy kurs tańca w czwartki. To taniec dobry na przełamanie pierwszych lodów - każda para idzie tanecznym krokiem między stojącymi naprzeciw siebie szeregami klaszczących chłopaków i dziewczyn. To, co zobaczyłem po powrocie do sali gimnastycznej, wyglądało inaczej. Ustawieni w rzędach chłopcy i dziewczęta podchodzili do siebie, obracali się w swoich ramionach jak w walcu, po czym ponownie się rozłączali i szli na miejsce naprzeciwko tego, w którym zaczynali. Kiedy byli rozdzieleni, odchylali się na piętach do tyłu i wyrzucali biodra do przodu ruchem uroczym i seksownym jednocześnie.

Z mojego stanowiska przy stole z przekąskami patrzyłem, jak Mike, Jim i Vince stają po stronie chłopców. Vince niewiele miał do pokazania - powiedzieć, że tańczył jak biały chłopak, byłoby obelgą dla białych chłopaków - za to Jim i Mike poruszali się z niewymuszoną gracją sportowców. Szybko przyciągnęli spojrzenia większość dziewczyn z naprzeciwka.

- Już zaczynałam się o ciebie martwić! - zawołała Sadie, przekrzykując muzykę. - Na zewnątrz wszystko w porządku?

- Tak! - odkrzyknąłem. - Co to za taniec?

- Madison! Od miesiąca pokazują go w „Bandstand”! Nauczyć cię?

- Droga pani - powiedziałem, biorąc ją pod ramię - to ja nauczę ciebie.

Widząc, że nadchodzimy, dzieciaki zrobiły nam miejsce, klaszcząc i pokrzykując „Brawo, panie A!” i „Pani mu pokaże, jak to się robi, pani Dunhill!”. Sadie zaśmiała się i ciałniej związała włosy gumką. Zarumieniona, wyglądała pięknie jak nigdy. Odchyliła się na piętach do tyłu, klasnęła w dłonie i zatrzęsła ramionami razem z resztą dziewcząt, po czym weszła w moje objęcia, patrząc mi w oczy z dołu. Cieszyłem się, że byłem dość wysoki, by

mogła tak zrobić. Obróciliśmy się wkoło jak nakręcane figurki pana młodego i panny młodej na torcie weselnym, po czym się rozdzieliliśmy. Skłoniłem się nisko i zakręciłem piruet na palcach, z rękami wyciągniętymi przed siebie jak Al Jolson śpiewający „Mammy”. To wzbudziło jeszcze głośniejszy aplauz i przed-Beatlesowskie piski dziewczyn. Nie popisywałem się (no dobrze, może trochę); przede wszystkim cieszyłem się tańcem. Długo nie miałem po temu okazji.

Piosenka się skończyła, porykujący saksofon uleciał do rockandrollowej wieczności, którą nasz didżej z lubością nazywał siódmym niebem bigbitu, i zaczęliśmy schodzić z parkietu.

- Boże, fajnie było - powiedziała. Ścisnęła moje ramię. - Fajny jesteś.

Zanim mogłem odpowiedzieć, w głośnikach ryknął głos Donalda.

- Na cześć opiekunów, którzy o dziwo potrafią tańczyć... rzecz bez precedensu w dziejach naszej budy... oto stary, ale jary kawałek, który może zniknął z list przebojów, ale nie z naszych serc, płyta ważna i poważna prosto z kolekcji mojego staruszka, który, nawiasem mówiąc, nie wie, że ją zabrałem, i jeśli któryś z was, klawi ludzie, mu to powie, będę miał kłopoty. Na parkiet, rockersi, oto jak się grało w czasach, kiedy pan A. i pani D. byli w liceum!

Wszyscy odwrócili się do nas i... cóż...

Wiecie, jak to jest, kiedy człowiek widzi w środku nocy, że brzeg chmury nagle rozbłyskuje złotem, i wie, że to znak, że za sekundę czy dwie wyłoni się księżyc? Coś podobnego poczułem wtedy, stojąc wśród łagodnie kołyszących się serpentyn z krepy w sali gimnastycznej Denholm. Wiedziałem, jaki utwór Donny puści, wiedziałem, że do niego zatańczymy, i wiedziałem, jak zatańczymy. I oto zagrały te wyluzowane puzony:

Ba-da-da... ba-da-da-di-dum...

Glenn Miller. „In the Mood”.

Sadie sięgnęła do tyłu i ściągnęła gumkę, rozwiązując koński ogon. Wciąż się śmiała i zaczęła lekko kołysać biodrami. Włosy spłynęły z jednego jej ramienia na drugie.

- Umiesz tańczyć swinga? - Podniosłem głos, żeby mnie usłyszała pośród muzyki. Wiedziałem, że umie. I wiedziałem, że zatańczy.

- Chodzi ci o coś jak lindy hop? - spytała.

- Dokładnie tak.

- Cóż...

- Śmiało, pani Dunhill - powiedziała jedna z dziewczyn. - Chcemy to zobaczyć. - I jej dwie przyjaciółki popchnęły Sadie w moją stronę.

Zawahała się. Jeszcze raz zakręciłem się wkoło i wyciągnąłem do niej dłonie. Dzieciaki powitały nas owacją, kiedy wyszliśmy na parkiet. Zrobiły nam miejsce. Przyciągnąłem Sadie do siebie. Po króciuteńkiej chwili wahania obróciła się najpierw w lewo, a potem w prawo - rozszerzana u dołu sukienka na ramiączkach zapewniała jej wystarczającą swobodę ruchów, by robiąc, to mogła krzyżować nogi. To była odmiana lindy hopa, którą Richie-z-dziczy i Bevvie-co-mieszka-na-drzewie ćwiczyli tamtego dnia jesienią 1958 roku. Hellzapoppin. Oczywiście. Bo przeszłość harmonizuje.

Przyciągnąłem ją do siebie za rękę, po czym pozwoliłem jej się cofnąć. Rozłączyliśmy się. Potem, jak ludzie, którzy ćwiczyli te kroki od miesiący (być może na opuszczonym placu piknikowym, przy muzyce z płyty puszczonej na zwolnionych obrotach), pochyliliśmy się i wyrzuciliśmy w bok najpierw lewą, potem prawą nogę. Dzieciaki śmiały się i wiwatowały. Otoczyły nas klaszczącym kręgiem na środku wypolerowanego parkietu.

Zbliżyliśmy się do siebie i Sadie zakręciła się wkoło pod naszymi splecionymi dłońmi jak nabuzowana baletnica.

„Teraz ściśnij moją rękę, żeby dać znać, czy robisz obrót w lewo, czy w prawo”.

Jak na zawołanie, lekko ścisnęła moją prawą dłoń i zawirowała jak śmigło, rozrzucając włosy w wachlarz, który rozbłysł w światłach najpierw na czerwono, potem na zielono. Usłyszałem zduszone okrzyki kilku dziewczyn. Złapałem ją i przysiadłem na pięcie z Sadie przewieszoną przez moją rękę, modląc się, by kolano wytrzymało. Wytrzymało.

Podniosłem się, ona razem ze mną. Odsunęła się, po czym znów padła mi w ramiona. Tańczyliśmy w blasku świateł.

Taniec to życie.

6

Zabawa skończyła się o jedenastej, ale kiedy wjechałem sunlinerem na podjazd przed domem Sadie, było już kwadrans po północy w niedzielę. Jedną z rzeczy, których nie mówi się o prestiżowej funkcji opiekuna szkolnej dyskoteki, jest to, że gdy muzyka ucichnie, to właśnie opiekunowie muszą dopilnować, by wszystko zostało posprzątane i pozamykane.

W drodze powrotnej prawie się nie odzywaliśmy. Choć Donald puścił jeszcze kilka kuszących, skocznych utworów big-bandów, a dzieciaki nalegały, żebyśmy znowu zatańczyli swinga, odmówiliśmy. Jeden taniec to coś, co będzie się długo pamiętać; dwa to byłoby coś, czego nie zapomni się nigdy. A to niewskazane w małym mieście. Zresztą, jak dla mnie, to już było niezapomniane. Nie mogłem przestać myśleć o tym, jak czułem ją w moich

ramionach, o jej przyspieszonym oddechu omiatającym moją twarz.

Zgasilem silnik i odwróciłem się do niej. Wiedziałem: Teraz powie „Dzięki za pomoc” albo „Dzięki za cudowny wieczór” i to będzie wszystko.

Ale nie powiedziała ani tego, ani tego. Nie powiedziała nic. Tylko na mnie patrzyła. Włosy opadały jej na ramiona. Górne dwa guziki męskiej koszuli z oxfordu pod jej sukienką były rozpięte. Kolczyki połyskiwały. I nagle złączyliśmy się w uścisku, z początku niewprawnym, nerwowym, potem mocnym. To był pocałunek, ale i coś więcej. Coś jak posiłek dla głodnego albo napój dla spragnionego. Czułem zapach jej perfum i czystego potu pod perfumami, czułem smak tytoniu, słaby, ale wciąż ostry, na jej wargach i języku. Jej palce wsunęły się w moje włosy (mały palec przez moment połaskotał mnie za uchem tak, że ciarki mnie przeszły), po czym splotły się na moim karku. Jej kciuki poruszały się bezustannie. Gładziły nagą skórę na karku, która kiedyś, w innym życiu, byłaby osłonięta włosami. Wsunąłem dłoń pod jej koszulę i objąłem pełną pierś.

- Och, dziękuję - mruknęła Sadie - bałam się, że nie wytrzymam.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Obłapialiśmy się przez może pięć minut, oddychając coraz ciężiej, w miarę jak pieszczoty robiły się śmielsze. Przednia szyba mojego forda zaparowała. I nagle Sadie odepchnęła mnie i zobaczyłem, że ma mokre policzki. Kiedy, w imię Boże, zaczęła płakać?

- George, przepraszam cię - powiedziała. - Nie mogę. Za bardzo się boję. - Jej sukienka była podciągnięta powyżej ud, odsłaniając podwiązki, rąbek halki i koronkową piankę majtek. Opuściła ją na kolana.

Myslałem, że to dlatego, iż była mężatką i nawet jeśli jej małżeństwo się rozpadło, wciąż miało to dla niej znaczenie - bądź co bądź to był środek dwudziestego, nie początek dwudziestego pierwszego wieku. Albo że to przez wzgląd na sąsiadów. Domy wydawały się ciemne, pogrążone we śnie, ale nigdy nic nie wiadomo, a w małych miasteczkach nowi kaznodzieje i nowi nauczyciele zawsze są wdzięcznymi tematami do rozmów. Obie moje teorie okazały się mylne, ale wtedy nie miałem jak tego wiedzieć.

- Sadie, nie musisz robić nic, czego nie chcesz. Nie jestem...

- Nie rozumiesz. Nie chodzi o to, że nie chcę. Nie dlatego się boję. Chodzi o to, że nigdy tego nie robiłam.

Zanim mogłem cokolwiek na to odpowiedzieć, wypadła z samochodu i pobiegła do domu, nerwowo szukając klucza w torebce. Nie obejrzała się.

Wróciłem do domu za dwadzieścia pierwsza i przeszedłem z garażu do drzwi wejściowych moją własną wersją Kłusu z Obolałymi Jajami. Ledwie włączyłem światło w kuchni, zadzwonił telefon. System identyfikacji rozmówcy miał zostać wprowadzony dopiero czterdzieści lat później, ale tylko jedna osoba mogła dzwonić do mnie o tej godzinie i po takim wieczorze.

- George? To ja. - Wydawała się opanowana, ale jej głos był chrapliwy. Płakała. I to mocno, sądząc z tego, co słyszałem w słuchawce.

- Cześć, Sadie. Nie dałaś mi okazji podziękować ci za cudowny wieczór. Na zabawie i potem.

- Też się dobrze bawiłam. Tak dawno nie tańczyłam. Prawie boję się ci powiedzieć, z kim uczyłam się lindy hopa.

- Cóż, ja uczyłem się z moją byłą żoną. Domyślam się więc, że twoim partnerem był mąż, z którym jesteś w separacji. - To wcale nie był domysł; tak się po prostu te sprawy układały. Już przestało mnie to dziwić, ale skłamałbym, gdybym wam powiedział, że przyzwyczałem się do tego niesamowitego współbrzmienia wydarzeń.

- Tak - powiedziała matowym głosem. - On. John Clayton, z Claytonów z Savannah. Mąż, z którym jestem w separacji praktycznie od ślubu.

- Jak długo byliście małżeństwem?

- Wieczność i jeden dzień dłużej. Jeśli to, co nas łączyło, nazwać małżeństwem. - Zaśmiała się. To był śmiech Ivy Templeton, pełen humoru i rozpaczy. - W moim przypadku wieczność i jeden dzień to nieco ponad cztery lata. W czerwcu, kiedy szkoła się skończy, dyskretnie wyjadę do Reno. Popracuję tam przez wakacje jako kelnerka czy coś. Po sześciu tygodniach będę mogła dostać stałe zameldowanie. Co znaczy, że pod koniec lipca lub na początku sierpnia będę mogła ostatecznie dobić ten... ten żart, w który się wpakowałam... jak konia ze złamaną nogą.

- Mogę poczekać. - Jak tylko te słowa wyszły z moich ust, zacząłem się zastanawiać, czy były prawdziwe. Bo aktorzy już zbierali się za kulisami, przedstawienie wkrótce miało się zacząć. W czerwcu sześćdziesiątego drugiego roku Lee Oswald wróci do Stanów i najpierw zamieszka z Robertem i jego rodziną, a potem u matki. W sierpniu będzie na Mercedes Street w Fort Worth i zacznie pracować w pobliskiej Leslie Welding Company przy składaniu aluminiowych okien i drzwi zabezpieczających przed wicherą, takich, w których wytłoczone są inicjały właścicieli.

- Ja raczej nie. - Mówiła tak cicho, że musiałem wyteńczyć słuch, żeby ją dosłyszeć. - Byłam dziewczyną panną młodą w wieku dwudziestu trzech lat, teraz jestem dwudziestoosmioletnią dziewczyną słomianą wdową. Owoc nie powinien tak długo wisieć na drzewie, jak mawiają w moich stronach... zwłaszcza kiedy ludzie, z własną matką na czele, są przekonani, że od czterech lat nabierasz praktycznego doświadczenia w tych sprawach. Nigdy nikomu tego nie mówiłam i gdybyś to komuś powtórzył, chyba bym umarła.

- To zostanie między nami, Sadie. Na zawsze. Był impotentem?

- Nie cał... - Urwała. Na chwilę zapadła cisza, a kiedy Sadie w końcu się odezwała, jej głos był pełen przerażenia. - George... czy to telefon towarzyski?

- Nie. Za dodatkowe trzy pięćdziesiąt miesięcznie to cudo należy tylko do mnie.

- Dzięki Bogu, ale tak czy tak o takich rzeczach nie powinno się mówić przez telefon. A już na pewno nie w barze przy Widłoburgerach. Przyjdiesz na kolację? Możemy sobie urządzić mały piknik u mnie na podwórku. Powiedzmy koło piątej?

- Dobrze. Przyniosę keks czy coś.

- Nie to chcę, żebyś przyniósł.

- A co?

- Nie mogę tego powiedzieć przez telefon, nawet jeśli nie jest towarzyski. Coś, co kupuje się w drogerii. Ale nie tej w Jodie.

- Sadie...

- Nic nie mów, proszę. Zaraz odłożę słuchawkę i pochłapię sobie twarz zimną wodą. Policzki mi płoną.

Usłyszałem trzask w słuchawce. Sadie się rozłączyła. Rozebrałem się i poszedłem do łóżka, gdzie długo leżałem i rozmyślałem. O czasie, miłości i śmierci.

ROZDZIAŁ 15

1

O dziesiątej tego niedzielnego poranka wskoczyłem do sunlinera i pojechałem do oddalonego o dwadzieścia mil Round Hill. Przy głównej ulicy stała drogeria i była otwarta, ale na drzwiach zobaczyłem nalepkę RYCZYMY DLA LWÓW DENHOLM i przypomniałem sobie, że Round Hill należy do mojego okręgu szkolnego. Pojechałem dalej, do Kileen. Tam starszy aptekarz, który wykazywał niesamowite, ale zapewne przypadkowe podobieństwo do pana Keene'a z Derry, wręczył mi brązową torbę i wydał resztę z porozumiewawczym mrugnięciem.

- Tylko nie rób nic niezgodnego z prawem, synu.

Odmrugnąłem mu zgodnie z konwencją i wróciłem do Jodie. Poprzedniej nocy siedziałem do późna, położyłem się więc i spróbowałem zdrzemnąć, ale sen trzymał się ode mnie z daleka. W końcu poszedłem do sklepu Weingarten's i jednak kupiłem keks. Wyglądał na czerstwy, jak to w niedzielę, ale miałem to gdzieś i sądziłem, że Sadie też to będzie obojętne. Piknik piknikiem, lecz byłem raczej pewien, że nie jedzenie tego wieczora będzie głównym punktem programu. Kiedy pukałem do jej drzwi, w brzuchu miałem całe stado motyli.

Sadie nie miała makijażu. Nawet nie umalowała ust. Jej oczy były wielkie, ciemne i przerażone. Przez chwilę oczekiwałem, że zatrzasknie mi drzwi przed nosem i usłyszę, jak ucieka ile sił w nogach. I na tym się skończy.

Ale nie uciekła.

- Wejdz - powiedziała. - Zrobiłam sałatkę z kurczakiem. - Wargi jej zaczęły drżeć. - Mam nadzieję, że lubisz... lubisz d-dużom-majo...

Kolana ugięły się pod nią. Upuściłem pudełko z keksem i złapałem ją. Myślałem, że zemdleje, ale tak się nie stało. Objęła mnie za szyję i trzymała się mocno, jak tonąca. Czulem, jak całe jej ciało drży. Wdepnąłem w ten cholerny keks. Ona też. *Ćtaap!*

- Boję się - powiedziała. - A jeśli nie będę w tym dobra?

- A jeśli ja nie będę w tym dobry? - To nie do końca był żart. Dawno tego nie robiłem. Co najmniej cztery lata.

Zdawała się mnie nie słyszeć.

- Nigdy mnie nie chciał. Nie w taki sposób, jakiego oczekiwałam. A jego sposób jest jedynym, jaki znam. Dotykanie, potem miotła.

Co na litość boską...?

- Spokojnie, Sadie. Odetchnij głęboko.

- Byłeś w drogerii?

- Tak, w Kileen. Ale nie musimy...

- Musimy. Ja muszę. Zanim do reszty stracę odwagę. Chodź.

Jej sypialnia znajdowała się na końcu korytarza. Była spartańska: łóżko, biurko, parę rycin na ścianach, perkalowe zasłony tańczące w łagodnym tchnieniu klimatyzatora okiennego, przykręconego do minimum. Znów ugięły się pod nią kolana i raz jeszcze ją złapałem. Wyglądało to tak, jakbyśmy tańczyli osobliwego swinga. Na podłodze były nawet ślady stóp jak rozrysowane taneczne kroki. To od keksu. Pocałowałem ją i jej usta przywarły do moich, suche, rozgorączkowane.

Odepchnąłem ją delikatnie i oparłem jej plecy o drzwi szafy. Spojrzała na mnie poważnym wzrokiem zza włosów opadających na oczy. Odgarnąłem je, po czym - leciuteńko - zacząłem lizać czubkiem języka jej suche wargi. Powoli, od kącika do kącika.

- Lepiej? - spytałem.

Odpowiedziała nie głosem, lecz swoim własnym językiem. Nie napierając na nią, zacząłem bardzo powoli wodzić ręką po całym jej długim ciele, od szyi, pod którą wyczuwałem szybko tętniący puls, przez piersi, brzuch, pochyłą płaszczyznę kości łonowej, po pośladki i udo. Miała na sobie dzinsy. Materiał szeptał pod moim dotykiem. Odchyliła się do tyłu i walnęła głową w drzwi.

- Au! - powiedziałem. - Wszystko w porządku?

Zamknęła oczy.

- Tak. Nie przerywaj. Całuj mnie jeszcze. - Potem pokręciła głową. - Nie, nie całuj. Jeszcze raz obliż mi wargi. Liż mnie. To przyjemne.

Zrobiłem to. Westchnęła i poczułem na krzyżu jej palce, wnikające pod mój pasek. A potem przesunęła je na przód, gdzie była sprzączka.

2

Chciałem zrobić to jak najszybciej, każda moja cząstka nawoływała do pośpiechu, kazała zanurzyć się głęboko, pragnęła tego doskonałego uczucia złączenia, które jest esencją

tego aktu, ale zwlekałem jak najdłużej. Przynajmniej z początku. W końcu Sadie powiedziała: „Nie każ mi czekać, już dość się naczekałam”, więc pocałowałem ją w spoconą skroń i wyrzuciłem biodra do przodu. Jakbyśmy tańczyli horyzontalną wersję madisona. Wciągnęła powietrze do ust, cofnęła się nieco, po czym uniosła biodra na spotkanie moich.

- Sadie? W porządku?

- O mój Boże, tak - wydyszała i zaśmiałem się. Otworzyła oczy i spojrzała na mnie z ciekawością i nadzieją. - To już koniec czy jest coś jeszcze?

- Jeszcze trochę - powiedziałem. - Nie wiem ile. Dawno nie byłem z kobietą.

Okazało się, że było tego jeszcze całkiem sporo. Tylko kilka minut w czasie rzeczywistym, ale czas niekiedy biegnie inaczej, kto jak kto, lecz ja to wiem. Na koniec zaczęła jęczeć:

- Ojej, o mój Boże, o Boże kochany, o jejuniu!

Ta chciwa radość odkrycia w jej głosie sprawiła, że dłużej nie wytrzymałem, więc nie stało się to całkiem równocześnie, ale już kilka sekund później Sadie poderwała głowę i zagrzebała twarz w moim ramieniu. Mała piastka uderzyła mnie w łopatkę raz, potem drugi... aż otworzyła się jak kwiat i znieruchomiła. Sadie opadła na poduszki. Patrzyła na mnie oszołomionymi, szeroko otwartymi oczami, z miną, która wyglądała trochę strasznie.

- Szczytowałam - powiedziała.

- Zauważyłem.

- Matka mi mówiła, że przeżywają to tylko mężczyźni, kobiety nie. Że kobiecy orgazm to mit. - Zaśmiała się drżącym głosem. - Boże mój, żeby wiedziała, co ją ominęło.

Podniosła się na łokciu, wzięła moją rękę i położyła ją na swojej piersi. W jej głębi serce nieprzerwanie waliło jak młotem.

- Powiedz no pan, panie Amberson... kiedy będziemy mogli zrobić to znowu?

3

Kiedy czerwieniejące słońce zapadało się w wieczny gazowo-naftowy smog na zachodzie, Sadie i ja siedzieliśmy na jej małym podwórku pod ładnym starym orzesznikiem i jedliśmy kanapki z sałatką z kurczakiem popijane mrożoną herbatą. Z keksu nici, rzecz jasna. Nie dało się go uratować.

- Nie jest ci niewygodnie w tych... no wiesz, w tych rzeczach z drogerii?

- Nie, skąd - powiedziałem. Tak naprawdę było mi niewygodnie, i wtedy, i zawsze. Między rokiem 1961 a 2011 mnóstwo amerykańskich produktów zmieni się na lepsze, ale,

możecie Jake'owi wierzyć na słowo, gumki są praktycznie takie same. Może mają bardziej wymyślne nazwy, niekiedy nawet składnik smakowy (dla tych o osobliwych gustach), ale w gruncie rzeczy pozostają gorsetem na kutasa.

- Kiedyś miałam kapturek - powiedziała. Nie było stołu piknikowego, więc rozłożyła koc na trawie. Sięgnęła po pojemnik Tupperware z resztką sałatki z ogórkiem i cebulą i zaczęła na przemian otwierać i zamykać wieko; ten nerwowy odruch niektórzy nazwaliby freudowskim. Ze mną włącznie. - Matka dała mi go na tydzień przed moim ślubem z Johnnym. Powiedziała mi nawet, jak to się zakłada, chociaż nie patrzyła mi w oczy i gdyby kropla wody kapnęła jej na policzek, na pewno zaczęłyby skwierczeć. „Nie daj sobie zrobić dziecka przez pierwsze półtora roku - powiedziała. - A nawet dwa lata, jeśli on wytrzyma tak długo. Przez ten czas będziesz mogła żyć z jego pensji, a swoją odkładać”.

- W sumie niegłupia rada. - Byłem ostrożny. Weszliśmy na pole minowe. Wiedziała to równie dobrze jak ja.

- Johnny jest nauczycielem przedmiotów ścisłych. Wysoki, choć nie tak jak ty. Miałam już dość spotykania się z mężczyznami niższymi ode mnie i chyba dlatego się zgodziłam, kiedy zaprosił mnie na randkę. I w końcu przyzwyczyłam się do chodzenia z nim. Wydawał się miły i na koniec wieczoru nigdy nie zachowywał się, jakby wyrosła mu dodatkowa para rąk. W tamtym czasie myślałam, że na tym polega miłość. Ależ byłam naiwna, co?

Pokiwałem dłonią na boki.

- Poznaliśmy się na Georgia Southern i dostaliśmy pracę w tej samej szkole średniej w Savannah. Koedukacyjna, ale prywatna. Jestem prawie pewna, że jego tatuś pociągnął za parę sznurków, żeby nam to załatwić. Claytonowie nie mają pieniędzy... już nie, choć kiedyś mieli... ale nadal dużo znaczą w Savannah. Biedni, ale poważani, rozumiesz?

Nie rozumiałem - w moim dzieciństwie kwestie, kto należy do elity, a kto nie, nie miały większego znaczenia - lecz mruknąłem potakująco. Długo w sobie to wszystko dusiła i była niemal w transie.

- Tak więc miałam kapturek, owszem. W plastikowym pudełku z różą na wieczku. Nigdy z niego nie skorzystałam. Nie musiałam. W końcu wyrzuciłam go do kosza po jednym z tych wyjęć. Tak to nazywał, wyjęciem. „Muszę go wyjąć”, mówił. A potem była miotła. Rozumiesz?

Nie rozumiałem nic a nic.

Sadie zaśmiała się i znów przypomniała mi się Ivy Templeton.

- Poczekaj dwa lata, mówiła! Mogliśmy poczekać dwadzieścia, i to bez żadnego

kapturka!

- Co się działo? - Lekko ścisnąłem jej ramiona. - Bił cię? Kijem od miotły? - Był jeszcze jeden sposób użycia kija od miotły... czytałem „Piekielny Brooklyn”, więc wiem... ale najwyraźniej do tego się nie posunął. Bądź co bądź, rzeczywiście była dziewicą; dowód tego był na pościeli.

- Nie - powiedziała. - Miotła nie służyła do bicia. George, nie mogę dłużej o tym mówić. Nie teraz. Czuję się... sama nie wiem... jak wstrząśnięta butelka wody sodowej. Wiesz, czego chcę?

Tak sądziłem, ale zrobiłem, co nakazuje przyzwoitość, i zapytałem.

- Chcę, żebyś zabrał mnie do środka i mnie odkorkował. - Podniosła rękę i przeciągnęła się. Nie włożyła biustonosza i widziałem, jak jej piersi przęą się pod bluzką. Słońce już zaszło i w półmroku sutki odcinały się na materiale małymi cieniami jak znaki przestankowe.

Powiedziała:

- Nie chcę dziś wracać do przeszłości. Dziś chcę się tylko wyszumieć.

4

Godzinę później zauważyłem, że zapadła w drzemkę. Pocałowałem ją najpierw w czoło, potem w nos, żeby ją obudzić.

- Muszę lecieć. Choćby po to, żeby zabrać samochód sprzed twojego domu, zanim sąsiedzi zaczną obdzwaniać znajomych.

- Słusznie. Obok mieszkają Sanfordowie, a Lila Sanford w tym miesiącu ma dyżury w bibliotece.

I byłem prawie pewien, że ojciec Liii zasiada w radzie szkoły ale tego nie powiedziałem. Sadie promieniała szczęściem, nie było potrzeby tego psuć. W mniemaniu Sanfordów zapewne siedzieliśmy na kanapie ze złączonymi kolanami i czekaliśmy, aż skończy się „Dennis Rozrabiaka”, a zacznie wielki show Eda Sullivana. Gdyby mój samochód nadal był przed domem Sadie o jedenastej, mogliby zmienić zdanie.

Patrzyła, jak się ubierałem.

- Co teraz będzie, George? Z nami?

- Chcę być z tobą, jeśli ty chcesz być ze mną. A chcesz?

Usiadła prosto, owijając się w pasie prześcieradłem, i sięgnęła po papierosy.

- Bardzo. Ale jestem mężatką, a to się nie zmieni do następnego lata w Reno. Gdybym

zażądała unieważnienia małżeństwa, Johnny walczyliby ze mną. Ba, jego rodzice walczyliby ze mną.

- Jeśli będziemy dyskretni, wszystko będzie dobrze. Ale musimy być dyskretni. Wiesz o tym, prawda?

Parsknęła śmiechem i zapaliła papierosa.

- O tak. Wiem.

- Sadie, miałaś jakieś kłopoty z dyscypliną w bibliotece?

- Hę? Trochę tak, jasne. Normalka. - Wzruszyła ramionami; jej piersi się zakołysały; zacząłem żałować, że tak szybko się ubrałem. Z drugiej strony kogo ja próbowałem oszukać? Jamesowi Bondowi może i starczyłoby ikry na trzecie podejście, ale Jake/George był wyczerpany do cna. - Jestem nowa w szkole. Poddają mnie próbom. Jasne, to uciążliwe, ale niczego innego się nie spodziewałam. Czemu pytasz?

- Myślę, że twoje problemy wkrótce znikną. Uczniowie uwielbiają zakochanych nauczycieli. Nawet chłopcy. To dla nich jak program w telewizji.

- Będą wiedzieli, że my...

Pomyślałem o tym.

- Część dziewczyn na pewno. Te bardziej doświadczone.

Wypuściła dym.

- No to znakomicie. - Nie wyglądała jednak na zupełnie niezadowoloną.

- Co powiesz na kolację w The Saddle w Round Hill? Niech ludzie się oswajają z widokiem nas razem.

- Zgoda. Jutro?

- Nie, jutro mam coś do załatwienia w Dallas.

- Materiały do książki?

- Uhm. - Proszę bardzo, dopiero zaczęliśmy być ze sobą, a już kłamałem. Nie podobało mi się to, ale nie widziałem innego wyjścia. A jeśli chodzi o przyszłość... na razie wolałem o tym nie myśleć. Ja też promieniałem szczęściem i chciałem, żeby tak zostało. - We wtorek?

- Tak. I... George...?

- Co?

- Musimy znaleźć sposób, żeby dalej to robić.

Uśmiechnąłem się.

- Miłość przewycięży przeszkody.

- Na razie to chyba raczej żądza.

- Może jedno i drugie.

- Słodki jesteś, George'u Ambersonie.

Chryste, nawet nazwisko było fałszywe.

- Opowiem ci o Johnnym i o mnie. Kiedy będę mogła. O ile w ogóle chcesz tego słuchać.

- Chcę. - Sądziłem, że nie mam innego wyjścia. Jeśli coś miało z tego być, musiałem zrozumieć. Ją. Jego. I tę historię z miotłą. - Kiedy będziesz gotowa.

- Jak mawia nasza czcigodna pani dyrektor: „Uczniowie, będzie trudno, za to ciekawie”.

Zaśmiałem się.

Zgasła papierosa.

- Jedno mnie zastanawia. Czy pani Mimi pochwalałaby nasze zachowanie?

- Prawie na pewno.

- Też tak sędzę. Jedź ostrożnie, mój drogi. I lepiej zabierz to ze sobą - Wskazała papierową torbę z drogerii w Kileen. Leżała na jej komodzie. - Gdybym miała tu wścibskich gości, którzy po siusianiu zaglądną do apteczki, musiałabym się gęsto tłumaczyć.

- Dobra myśl.

- Ale miej je pod ręką, kochanie.

I puściła do mnie oko.

5

W drodze do domu mimo woli zacząłem myśleć o tych gumkach Marki Trojan... prążkowane dla JEJ przyjemności, według napisu na opakowaniu. Moja pani nie miała już kapturka (choć domyślałem się, że sprawi go sobie przy okazji najbliższego wyjazdu do Dallas) a środki antykoncepcyjne będą szeroko dostępne dopiero za rok czy dwa. Nawet wtedy, jak pamiętałem z zajęć z socjologii współczesnej lekarze będą je niechętnie przepisywać. Czyli na razie pozostawały trojany. Nosilem je nie dla jej przyjemności, tylko po to, żeby nie zrobić jej dziecka. Co było zabawne, jeśli wziąć pod uwagę, że sam miałem być dzieckiem dopiero za piętnaście lat.

Myślenie o przyszłości jest pod wieloma względami zagmatwane.

6

Następnego wieczora ponownie zawitałem do sklepu Cichego Mike'a. Wywieszka w drzwiach informowała ZAMKNIĘTE i lokal wyglądał na pusty, ale kiedy zapukałem, mój kumpel od elektroniki wpuścił mnie do środka.

- Punktualnie, panie Doe, punktualnie - powiedział. - Zobaczmy, co pan na to. Osobiście uważam, że przeszedłem samego siebie.

Stałem przy szklanej gablocie wypełnionej radiami tranzystorowymi i czekałem, podczas gdy on zniknął na zapleczu. Wrócił z dwiema lampami, po jednej w każdej dłoni. Abażury były umorusane, jakby poprawiało je wiele brudnych palców. Jedna miała obtłuczoną podstawę, przez co stała krzywo na ladzie: Krzywa Lampa w Pizie. Wyglądały idealnie i tak mu powiedziałem. Uśmiechnął się szeroko i obok lamp położył magnetofony w pudełkach. I ściągając sznurkiem torbę zawierającą kilka kawałków drutu tak cienkiego, że był prawie niewidzialny.

- Zrobić panu krótkie przeszkolenie?

- Chyba wiem, co i jak - powiedziałem i położyłem na ladzie pięć dwudziestek. Byłem mile zaskoczony, kiedy odsunął jedną od siebie.

- Umówiliśmy się na sto osiemdziesiąt.

- Dodatkowe dwadzieścia jest za to, że zapomnisz, że w ogóle tu byłem.

Chwilę pomyślał, po czym położył kciuk na beapańskim banknocie i przysunął go do reszty jego małych zielonych przyjaciół.

- Już to zrobiłem. Może potraktuję to jako napiwek?

Kiedy chował moje nabytki do brązowej papierowej torby, zdjęła mnie zwykła ciekawość i zadałem mu pytanie.

- Kennedy? Nie głosowałem na niego, ale jeśli tylko nie będzie przyjmował rozkazów od papieża, jakoś sobie poradzi. Temu krajowi Potrzeba kogoś młodszego. Idzie nowe, wie pan?

- Gdyby przyjechał do Dallas, myślisz, że byłby bezpieczny?

- Raczej tak. Chociaż pewien nie jestem. Ogólnie biorąc, na jego miejscu trzymałbym się na północ od Linii Masona-Dixona.

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Gdzie cicha noc, święta noc, pokój niesie ludziom wszem?

Cichy Mike (Święty Mike) powiedział:

- Już niech pan nie zaczyna.

7

W pokoju nauczycielskim na parterze był regał z przegródkami na korespondencję i komunikaty dyrekcji. We wtorek rano, kiedy miałem okienko, znalazłem w mojej przegródce małą zaklejoną kopertę.

Drogi George!

Jeśli nadal chcesz zabrać mnie dziś na kolację, będzie to musiało być koło piątej, bo w tym i następnym tygodniu zaczynam pracę skoro świt z uwagi na przygotowania do Jesiennej Wypzedaży Książek. Może potem pójdziemy do mnie na deser. Mam keks, gdybyś chciał kawalek.

Sadie

- Z czego się śmiejesz, Amberson? - spytał Danny Laverty. Sprawdzał wypracowania z pustką w oczach, która mogła być objawem kaca. - Powiedz, też się chętnie pośmieję.

- Nie - odparłem. - Prywatny żart. Nie zrozumiałbyś.

8

Za to my rozumieliśmy, o co chodzi, „keks” stał się dla nas określeniem „tego”, i tej jesieni dużo go jedliśmy.

Byliśmy dyskretni, ale oczywiście niektórzy wiedzieli, co jest grane. Zapewne krążyły plotki, lecz nie wybuchł skandal. Ludzie z małych miasteczek przeważnie nie są złośliwi. Znali sytuację Sadie, przynajmniej w ogólnych zarysach, i rozumieli, że nie możemy się ujawnić, przynajmniej na razie. Ona nie przychodziła do mojego domu; to wywołałoby nieprzychylnie komentarze. Ja nigdy nie siedziałem u niej dłużej niż do dziesiątej; to też spotkałoby się z dezaprobatą. Nie było szans, żebym zostawił mojego sunlinera w jej garażu i został na noc, bo jej volkswagen garbus, choć mały, zajmował go prawie w całości. Zresztą i tak bym tego nie zrobił, bo ktoś by się zorientował. Jak to zwykle w małych miasteczkach.

Odwiedzałem ją po szkole. Wpadałem do niej na posiłek, który nazywała kolacją. Czasem chodziliśmy do baru na Widłoburgery albo filety z sumą; bywaliśmy w The Saddle; dwa razy zabrałem ją do Grange na sobotnią potańcówę. Oglądaliśmy filmy w lokalnym kinie Gem, w Mesa w Round Hill i kinie samochodowym Starlite w Kileen. W porządnej restauracji, jak The Saddle, czasem piła lampkę wina przed kolacją, a ja popijałem posiłek piwem, ale nie pokazywaliśmy się w żadnej z lokalnych knajp, a już na pewno nie w Red

Rooster, jedynym szynku w Jodie, lokalu, o którym nasi uczniowie mówili z utęsknieniem i podziwem. Był rok 1961, segregacja może i powoli zaczynała się zacierać - Murzyni wywalczyli prawo do siedzenia przy kontuarach Woolworth's w Dallas, Fort Worth i Houston - ale nauczyciele nie pili w Red Rooster. Nie jeśli chcieli zachować pracę. Nigdy, przenigdy.

Kiedy kochaliśmy się w sypialni Sadie, zawsze trzymała po swojej stronie łożka spodnie, sweter i mokasyny. Nazywała to swoim strojem awaryjnym. Przy jedynej okazji, kiedy dzwonek u drzwi zabrzączał, gdy byliśmy nadzy (stan, który z czasem zaczęła określać *in flagrante delectissimo*), włożyła te ciuchy w równe dziesięć sekund. Wróciła, chichocząc i machając pismem „Strażnica”.

- Świadkowie Jehowy. Powiedziałam im, że już zostałam zbawiona, i sobie poszli.

Raz, gdy po wszystkim jedliśmy w jej kuchni steki z szynki i okrę, powiedziała, że nasz związek przypomina jej ten film z Audrey Hepburn i Garym Cooperem - „Miłość po południu”.

- Czasem się zastanawiam, czy w nocy byłoby lepiej. - Powiedziała to z lekkim smutkiem. - Wtedy, kiedy robią to normalni ludzie.

- Kiedyś się przekonasz. Wytrzymaj jeszcze trochę, mała.

Uśmiechnęła się i pocałowała mnie w kącik ust.

- Jakiś ty wygadany.

- O tak. Oryginał ze mnie.

Odsunęła talerz na bok.

- Jestem gotowa na deser. A ty?

9

Niedługo po wizycie świadków Jehowy u Sadie - to musiał być początek listopada, bo właśnie skończyłem obsadzać moją wersję „Dwunastu gniewnych ludzi” - grabiłem trawnik przed domem, kiedy ktoś powiedział:

- Cześć, George, co słychać?

Odwróciłem się i zobaczyłem Deke'a Simmonsa, od niedawna podwójnego wdowca. Siedział w Meksyku dłużej, niż wszyscy przewidywali, i kiedy ludzie już zaczęli nabierać przekonania, że zostanie tam na dobre, wrócił. To było nasze pierwsze spotkanie po jego przyjeździe. Był opalony, ale zdecydowanie za chudy. Ubrania wisiały na nim, a jego włosy - szpakowate w dniu przyjęcia poślubnego - teraz były prawie całe białe i przerzedzone na czubku głowy.

Upuściłem grabie i pospieszyłem do niego. Chciałem podać mu rękę, ale zamiast tego go uściskałem. To go zaskoczyło - w 1961 roku prawdziwi faceci się nie ściskają - ale po chwili się zaśmiał.

Odsunąłem go na długość ramienia.

- Świetnie wyglądasz!

- Miły jesteś, George. Wyglądam fatalnie i dobrze, o tym wiesz. Ale czuję się już lepiej. Śmierć Meems... wiedziałem, że to nieuniknione, lecz i tak nie mogłem się pozbierać. Rozum jakoś nie mógł przemówić do serca.

- Wejdz, napijemy się kawy.

- Chętnie.

Rozmawialiśmy o jego pobycie w Meksyku. O szkole. O nie pokonanej drużynie futbolowej i nadchodzącej premierze naszego jesiennego przedstawienia. Wreszcie odstawił kubek i oznajmił:

- Ellen Dockerty prosiła, żebym powiedział w jej imieniu parę słów o tobie i Sadie Clayton.

O-o. A myślałem, że tak dobrze nam szło.

- Wróciła do panieńskiego nazwiska, Dunhill.

- Znam jej sytuację. Wiedziałem o niej wszystko, kiedy ją zatrudnialiśmy. To porządna dziewczyna, ty jesteś porządny chłop, George. Z tego, co mówiła mi Ellie, radzicie sobie w trudnej sytuacji z dużą dozą taktu.

Nieco się odprężyłem.

- Ellie jest prawie pewna, że żadne z was nie słyszało o Candlewood Bungalows na peryferiach Kileen - mówił dalej. - Jej niezręcznie byłoby wam o tym powiedzieć, więc prosiła, żebym ją wyręczył.

- Candlewood Bungalows?

- Zabierałem tam Meems w wiele sobotnich wieczorów. - Obracał kubek w dłoniach, które wydawały się za duże w stosunku do reszty ciała. - Właścicielami są dwaj emerytowani nauczyciele z Arkansas albo Alabamy. Jednego z tych stanów na A. Emerytowani nauczyciele, mężczyźni. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Chyba tak.

- Sympatyczni jegomości, bardzo dyskretni, jeśli chodzi o ich związek i związki niektórych z ich gości. - Podniósł głowę znad kubka. Był lekko zarumieniony, ale przy tym uśmiechnięty. - To nie pierwszy lepszy motelik na schadzki, jeśli takie odniosłeś wrażenie. W żadnym razie. Pokoje są ładne, ceny rozsądne, a niedaleko jest mała, przytulna restauracja.

Czasem dziewczynie potrzebne jest takie miejsce. Mężczyźni może też. Żeby nie musieli się tak spieszyć. I nie czuli się podle.

- Dziękuję - powiedziałem.

- Proszę bardzo. Spędziliśmy z Mimi wiele przyjemnych wieczorów w Candlewood. Czasem tylko oglądaliśmy telewizję w piżamach, a potem kładliśmy się spać, ale w pewnym wieku bywa to równie dobre jak cała reszta. - Uśmiechnął się smutno. - No, prawie. Zасыpialiśmy, słuchając świerszczy. Czasem gdzieś wył kojot, bardzo daleko, wśród szafwii. Do księżycy, rozumiesz. Naprawdę to robią. Wyją do księżycy.

Wolnymi ruchami starego człowieka wyjął z tylnej kieszeni chusteczkę i otarł policzki.

Podał mu rękę i Deke ją uściskał.

- Lubiła cię, choć nigdy do końca nie wiedziała, co o tobie sądzić. Mówiła, że przypominasz jej duchy z tych starych filmów z lat trzydziestych. „Jasny, świecący, ale nie całkiem obecny”, powiedziała.

- Nie jestem duchem - zapewniłem. - Słowo.

Uśmiechnął się.

- Nie? Wiesz, w końcu sprawdziłem twoje referencje. Kiedy już trochę u nas popracowałeś na zastępstwach i tak świetnie wyreżyserowałeś przedstawienie. Te z Sarasoty są w porządku, ale wcześniejsze... - Pokręcił głową, wciąż uśmiechnięty. - A dyplom masz z fabryki magistrów w Oklahomie.

Odchrząknięcie nie pomogło. Odebrało mi mowę i już.

- A co mnie to obchodzi, pytasz? Właściwie nic. Kiedyś w tych stronach było tak, że jak przyjechałeś do miasta z kilkoma książkami w sakwach, okularami na nosie i krawatem na szyi, to robili cię nauczycielem i mogłeś dwadzieścia lat pracować. I nie było to znowu tak dawno temu. Ty jesteś cholernie dobrym nauczycielem. Dzieciaki to wiedzą, ja to wiem i Meems też to wiedziała. To obchodzi mnie przede wszystkim.

- Czy Ellen wie, że sfalszowałem pozostałe referencje? - Ellen Dockerty pełniła obowiązki dyrektora, a po spotkaniu rady szkolnej w styczniu miała objąć tę funkcję na stałe. Innych kandydatów nie było.

- Nie, i się tego nie dowie. Przynajmniej ode mnie. Wydaje mi się, że nie jest to jej do niczego potrzebne. - Wstał. - Ale jedna osoba musi poznać prawdę o tym, gdzie byłeś i co robiłeś; jest nią pewna bibliotekarka. O ile masz wobec niej poważne zamiary, rzecz jasna. A masz?

- Tak - powiedziałem i Deke skinął głową, jakby sprawa była załatwiona.

Jakże chciałem, żeby tak było.

10

Dzięki Deke'owi Simmonsowi Sadie wreszcie się przekonała, jak to jest kochać się po zachodzie słońca. Kiedy spytałem ją o wrażenia, powiedziała, że było cudownie.

- Ale jeszcze bardziej cieszę się na to, że rano obudzę się przy tobie. Słyszysz wiatr? Słyszałem. Wył pod okapem.

- Czy przy tym dźwięku nie robi ci się błogo?

- Owszem.

- Teraz coś powiem. Mam nadzieję, że nie poczujesz się niezręcznie.

- Mów.

- Chyba się w tobie zakochałam. Może to tylko seks, słyszałam, że ludzie myślą jedno z drugim, ale nie sądzę.

- Sadie?

- Tak? - Próbowала się uśmiechnąć, ale była przerażona.

- Ja ciebie też kocham. Bez żadnych „może” i bez żadnych pomyłek.

- Dzięki Bogu - powiedziała i przytuliła się do mnie.

11

Podczas naszej drugiej wizyty w Candlewood Bungalows była gotowa opowiedzieć o Johnnym Claytonie.

- Ale zgaś światło, dobrze?

Zgasilem. Opowiadając, wypaliła trzy papierosy. Pod koniec głośno płakała, pewnie nie tyle na wspomnienie doznanego bólu, ile ze zwykłego wstydu. Myślę, że większości z nas łatwiej się przyznać do zła niż głupoty. Nie żeby była głupia. Jest wielka różnica między głupotą a naiwnością i jak większość porządnych dziewczyn z klasy średniej, które osiągnęły dojrzałość w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, Sadie prawie nic nie wiedziała o seksie. Wyznała, że nigdy tak naprawdę nie widziała penisa, dopóki nie zobaczyła mojego. Zerkała ukradkiem na członka Johnny'ego, ale mówiła, że kiedy ją na tym przyłapywał, chwytął jej twarz mocnym, ale nieprzekraczającym granicy bólu uściskiem i odwracał w bok.

- Ale to i tak bolało - powiedziała. - Wiesz?

John Clayton pochodził z konwencjonalnie religijnej rodziny, na pewno nie byli to

jacyś pomyleńcy. Był uprzejmy, troskliwy, względnie atrakcyjny. Nie miał najlepszego poczucia humoru na świecie (gwoli ścisłości, nie miał go prawie w ogóle), ale zdawał się ubóstwiać Sadie. Jej rodzice zaś ubóstwiali jego. Zwłaszcza Claire Dunhill szalała za Johnnym Claytonem. No i, oczywiście, był wyższy od Sadie, nawet kiedy nosiła buty na wysokim obcasie. Po latach wysłuchiwanie żartów o grochowych tykach to miało znaczenie.

- Jedyne, co mnie niepokoiło przed ślubem, to jego obsesja na punkcie porządku - powiedziała Sadie. - Miał wszystkie książki ułożone w kolejności alfabetycznej i strasznie się złościł, kiedy ktoś je przestawiał. Wystarczyło zdjąć jedną z półki i już robił się nerwowo... wyczuwało się u niego takie swoiste napięcie. Golił się trzy razy dziennie i co rusz mył ręce. Jeśli uścisnął komuś dłoń, to zaraz pod byle pretekstem uciekał do łazienki, żeby się obmyć.

- I dopasowywał ubrania według kolorów - powiedziałem. - Na sobie i w szafie, i biada temu, kto ośmieliłby się je przełożyć. Czy układał alfabetycznie produkty w spiżarni? I wstawał czasem w środku nocy, żeby sprawdzić, czy kuchenka jest wyłączona, a drzwi pozamykane?

Odwróciła się do mnie z szeroko otwartymi, zdumionymi oczami. Łóżko zaskrzypiało przyjaźnie; wiatr przybrał na sile; zabrzęczała obluzowana szyba.

- Skąd wiesz?

- To taka choroba. Zaburzenie obsesyjno-kompulsyjne. W skrócie ZOK. Howard... - Urwałem. Zacząłem mówić: Howard Hughes ma ostrą tego postać, ale może to jeszcze nie było prawdą. A nawet jeśli, ludzie pewnie o tym nie wiedzieli. - Miał to jeden mój stary znajomy, Howard Temple. Mniejsza o to. Czy robił ci krzywdę, Sadie?

- Właściwie nie, nie bił mnie ani nic takiego. Raz dał mi w twarz, to wszystko. Ale są też inne sposoby zadawania bólu, wiesz?

- Tak.

- Nie mogłam o tym z nikim rozmawiać. Na pewno nie z matką. Wiesz, co mi powiedziała w dniu ślubu? Że jeśli zmówię pół modlitwy przed i pół w trakcie, wszystko będzie dobrze. Tak powiedziała, „w trakcie”, bo słowo „stosunek” nie przeszłoby jej przez usta. Próbowałam porozmawiać o tym z moją przyjaciółką Ruthie, ale tylko raz. To było po lekcjach, pomagała mi sprzątać w bibliotece. „To, co się dzieje za drzwiami sypialni, to nie moja sprawa”, powiedziała. Więcej do tego nie wracałam, bo nie chciałam o tym mówić. Tak strasznie się wstydziłam.

I wtedy słowa popłynęły wartkim strumieniem. Część z nich stłumiły łyzy, ale to, co najważniejsze, zrozumiałem. W pewne wieczory - raz lub dwa razy na tydzień - mówił jej, że musi „go wyjąć”. Leżeli obok siebie w łóżku, ona w koszuli nocnej (nalegał, by nosiła

nieprześwitujące), on w bokserkach. Bardziej rozebranego go nigdy nie widziała. Zwykle odkrywał się do pasa, a ona wtedy widziała jego erekcję sterczącą pod pościelą jak maszt namiotu.

- Raz spojrział na ten namiocik. Jeden jedyny raz, z tego, co pamiętam. I wiesz, co powiedział?

- Nie.

- „Ależ my jesteśmy obrzydliwi”. A potem dodał: „Zróbże to, żebym mógł się przespać”.

Wkładała rękę pod pościel i onanizowała go. Nigdy nie trwało to długo, czasem wystarczały sekundy. Parę razy dotknął jej biustu, kiedy wykonywała ten obowiązek, ale jego dłonie zazwyczaj pozostawały splecione wysoko na piersi. Po wszystkim szedł do łazienki, mył się i wracał w pizamie. Miał siedem pizam, same niebieskie.

Potem ona musiała pójść do łazienki i umyć ręce. Nalegał, by szorowała je co najmniej trzy minuty, w wodzie dość gorącej, by poczerwieniała jej skóra. Kiedy wracała do łóżka, podsuwała mu dłonie pod nos. Jeśli zapach mydła Lifebuoy nie był w jego ocenie dość silny, musiała umyć je raz jeszcze.

- I kiedy wracałam, miotła była na swoim miejscu.

Latem kładł ją na prześcieradle, zimą na kocu. Na środku łóżka. Jedna strona dla niego, druga dla niej.

- Kiedy się wierciłam i niechcący ją przesuwiałam, budził się. Nieważne, jak twardo spał. I spychał mnie z powrotem na moją stronę. Mocno. Nazywał to „naruszeniem miotły”.

Jeden raz dostała od niego po twarzy - bo spytała, jak mają mieć dzieci, jeśli nigdy jej go nie wkłada.

- Wściekł się. Dlatego mnie uderzył. Potem przeprosił, ale powiedział: „Myślisz, że wsadziłbym swojego w to twoje siedlisko zarazków i sprowadził dzieci na ten ohydny świat? Wszystko i tak wyleci w powietrze, wie to każdy, kto czyta gazety, a my zginiemy od promieniowania. Będziemy zdychać cali we wrzodach, wypływając płuca. To może się stać w każdej chwili”.

- Jezu... Nic dziwnego, że go zostawiłaś, Sadie.

- Dopiero po czterech zmarnowanych latach. Aż tyle czasu potrzebowałam, by przekonać samą siebie, że zasługuję na coś więcej od życia niż tylko układanie skarpetek męża według kolorów, brandzlowanie go dwa razy w tygodniu i spanie z cholerną miotłą. To było w tym wszystkim najbardziej upokarzające i myślałam, że nigdy nikomu o tym nie powiem... bo to takie śmieszne.

Ja nie widziałem w tym nic śmiesznego. Jak dla mnie to było coś rodem ze strefy mroku między nerwicą a czystą psychozą. Zarazem miałem wrażenie, że słucham wzorcowej opowieści z lat pięćdziesiątych. Łatwo było sobie wyobrazić Rocka Hudsona i Doris Day śpiących w łóżku przedzielonym miotłą. Oczywiście, gdyby Rock nie był gejem.

- I nie szukał cię?

- Nie. Wysłałam podania o pracę do tuzina różnych szkół, odpowiedzi odbierałam w skrytce pocztowej. Czułam się jak kobieta, która ma romans za plecami męża. I tak właśnie odebrali to moi rodzice, kiedy się dowiedzieli. Tata w końcu trochę się udobruchał... chyba domyśla się, jak ciężko mi było, choć oczywiście nie chce znać szczegółów... ale matka? Gdzie tam. Jest na mnie wściekła. Musiała zmienić kościół i odejść z kółka robótek ręcznych. Bo, jak twierdzi, nie mogła spojrzeć ludziom w oczy.

W pewnym sensie wydawało się to równie okrutne i szalone jak ta miotła, ale tego nie powiedziałem. Inny aspekt tej sprawy interesował mnie bardziej od rodziców Sadie - typowych ludzi z Południa.

- Clayton nie powiedział im, że odeszłaś? Dobrze zrozumiałem? Nie odwiedził ich?

- Nie. Moja matka oczywiście świetnie go rozumiała. - Zwykle słaby południowy akcent Sadie teraz się pogłębił. - Takiego wstydu bidulkowi narobiłam, że nie chciał nikomu nic powiedzieć. - Porzuciła akcent. - I wcale nie ironizuję. Ona wie, co to wstyd, i wie, że pewne rzeczy zamiata się pod dywan. Co do tego Johnny i moja mamuska są jednej myśli. To z nią powinien się być ożenić. - Zaśmiała się trochę histerycznie. - Mama pewnie byłaby zachwycona miotłą.

- Słowem się nie odezwał? Nie wysłał nawet pocztówki w stylu „Hej, Sadie, wyjaśnijmy sobie wszystkie sprawy i niech życie toczy się dalej”?

- Jak miałby to zrobić? Nie wie, gdzie jestem, i założę się, że nic go to nie obchodzi.

- Jest coś, czego od niego chcesz? Bo jestem pewien, że prawnik...

Pocałowała mnie.

- Jedyne, czego chcę, jest tutaj, w łóżku ze mną.

Odkryłem nas aż po kostki.

- Spójrz na mnie, Sadie. Spojrzała. A potem dotknęła.

12

Kiedy skończyliśmy, zapadłem w drzemkę. Nie głęboką - wciąż słyszałem wiatr i tę jedną pobrzękującą szybę - ale wystarczająco mocną, by śnić. Sadie i ja byliśmy w pustym

domu. Nadzy. Coś poruszało się piętro wyżej - dochodziło stamtąd nieprzyjemne, głuche łupanie. Jakby ktoś chodził w tę i we w tę - ktoś, kto miał za dużo nóg. Nie było mi wstyd, że nakryje nas rozebranych. Bałem się. Na obłazącej z tynku ścianie widniały wypisane węglem słowa NIEDŁUGO ZABIJĘ PREZYDENTA. Pod spodem ktoś dodał NIE ZDONRZYSZ PRENDZEJ CHOROBA GO ZEŻRE. Ciemną szminką. A może krwią.

Łup, stuk, łup...

Na górze.

- To chyba Frank Dunning - szepnąłem do Sadie. Złapałem ją za ramię. Było bardzo zimne. Jak ramię nieboszczyka. Na przykład kobiety, którą zatłuczono na śmierć oburęcznym młotem.

Sadie pokręciła głową. Patrzyła w sufit, usta jej drżały.

Stuk, łup, stuk...

Tynk sypnął się z sufitu.

- W takim razie to John Clayton - szepnąłem.

- Nie - powiedziała. - Myślę, że to Człowiek z Żółtą Kartką. Przyprowadził Jimlę.

Łomotanie nad nami nagle ucichło.

Schwyciła mnie za ramię i zaczęła nim potrząsać. Oczy zajmowały prawie całą jej twarz.

- To on! To Jimla! Usłyszał nas! Jimla wie, że tu jesteśmy!

13

- George, obudź się! Obudź się!

Otworzyłem oczy. Leżała oparta na łokciu obok mnie. Jej twarz była bladą, niewyraźną plamą.

- Co? Która godzina? Musimy już jechać?

Wciąż było ciemno i wiał silny wiatr.

- Nie. Jeszcze nawet nie ma północy. Miałeś zły sen. - Zaśmiała się, trochę nerwowo. - Może o futbolu? Bo powtarzałeś „Jimla, Jimla”.

- Serio? - Usiadłem.

Trzasnęła zapalka i płomyk na chwilę rozświetlił twarz Sadie, gdy zapalała papierosa.

- Tak. Mówiłeś też różne inne rzeczy.

Niedobrze.

- Na przykład jakie?

- Większości nie rozumiałam, ale jedno słyszałam bardzo wyraźnie. „Derry to Dallas”, powiedziałeś. A potem na odwrót. „Dallas to Derry”. O co chodziło? Pamiętasz?

- Nie. - Jednak trudno przekonująco kłamać, kiedy człowiek jest świeżo wybudzony ze snu, nawet płytkiej drzemki, i zobaczyłem w jej twarzy sceptycyzm. Zanim mógł przejść w niedowierzanie, ktoś zapukał do drzwi. Na kwadrans przed północą.

Spojrzeliśmy po sobie.

Pukanie rozległo się znowu.

To Jimla! - Ta myśl była bardzo wyraźna, bardzo pewna.

Sadie odłożyła papierosa do popielniczki, owinęła się prześcieradłem i bez słowa uciekła do łazienki.

- Kto tam? - spytałem.

- To ja, Yorrity... Bud Yorrity.

Jeden z emerytowanych nauczycieli, gejów, którzy prowadzili Candlewood Bungalows.

Wstałem z łóżka i włożyłem spodnie.

- O co chodzi, panie Yorrity?

- Mam dla pana wiadomość. Ta pani mówiła, że to pilne.

Otworzyłem drzwi. Był w wytartym szlafroku kąpielowym. Włosy miał skotłowane od snu. W jednej dłoni trzymał kartkę.

- Jaka pani?

- Ellen Dockerty.

Podziękowałem mu za fatygę, zamknąłem drzwi, rozłożyłem kartkę i przeczytałem wiadomość.

Sadie wyszła z łazienki, wciąż owinięta prześcieradłem. Jej oczy były szeroko otwarte, wystraszone.

- Co się stało?

- Zdarzył się wypadek - powiedziałem. - Vince Knowles dachował pod miastem. Byli z nim Mike Coslaw i Bobbi Jill. Mike'a wyrzuciło z samochodu. Ma złamaną rękę. Bobbi Jill ma paskudnie rozciętą twarz, ale Ellie pisze, że nic poza tym jej się nie stało.

- A Vince?

Przypomniało mi się, co wszyscy mówili o Vinsie jako kierowcy - że jeździ, jakby jutro miało nigdy nie nadejść. I teraz nie nadejdzie. Nie dla niego.

- Nie żyje, Sadie.

Rozdziawiła usta.

- Niemożliwe! Ma dopiero osiemnaście lat!

- Wiem.

Prześcieradło wysunęło się z jej rąk i rozłożyło wokół jej nóg. Ukryła twarz w dłoniach.

14

Moja przeróbka „Dwunastu gniewnych ludzi” została odwołana. Jej miejsce zajęła „Śmierć ucznia”, sztuka w trzech aktach: czuwanie w domu pogrzebowym, nabożeństwo w Metodystycznym Kościele Łaski i pogrzeb na cmentarzu West Hill. Na ten smutny spektakl przyszło całe miasto, a właściwie prawie całe, ale w sumie co za różnica.

Główne role podczas czuwania grali rodzice i oszołomiona młodsza siostra Vince'a, siedzący na składanych krzesłach przy trumnie. Kiedy podszedłem do nich z Sadie u boku, pani Knowles wstała i objęła mnie. Mało się nie udusiłem od zapachów perfum White Shoulders i dezodorantu Yodora.

- Zmienił pan jego życie - szepnęła mi na ucho. - Tak mi powiedział. Pierwszy raz miał dobre oceny, bo chciał być aktorem.

- Pani Knowles, tak bardzo, bardzo mi przykro - powiedziałem. W tej chwili straszne podejrzenie przebiegło mi przez głowę: Może to efekt motyla. Może Vince zginął dlatego, że przyjechałem do Jodie.

Po bokach trumny ustawiono fotografie przedstawiające zbyt krótkie życie Vince'a. Na sztaludze z przodu, oddzielnie od pozostałych, było zdjęcie przedstawiające go w kostiumie z „Myszy i ludzi” i tym sfatygowanym starym filcowym kapeluszu z rekwizytorni. Spod ronda wyglądała jego szczurza, inteligentna twarz. Vince tak naprawdę aktorem był marnym, ale to zdjęcie uchwyciło go z absolutnie idealnym cwaniackim uśmiechem. Sadie zaczęła szlochać i wiedziałem dlaczego. Życie zmienia się w mgnieniu oka. Czasem coś nam daje, ale częściej odbiera - żegnaj, kochanie, było miło, ale się skończyło.

A w Jodie było miło - dla mnie. W Derry byłem outsiderem, za to w Jodie czułem się jak w domu. Oto mój dom: zapach szaławii i wżgórza, które latem robiły się pomarańczowe od gailardii. Słaby smak tytoniu na języku Sadie i skrzypienie olejowanych drewnianych desek w mojej klasie. Troskliwość Ellie Dockerty, która wysłała nam wiadomość w środku nocy, może żebyśmy mogli niepostrzeżenie wrócić do miasta, a prawdopodobnie po to tylko, by nas poinformować, co się stało. Niemal dusząca mieszanka perfum i dezodorantu ściskającej mnie pani Knowles. Mike obejmujący mnie ramieniem - tym bez gipsu - na cmentarzu, a potem

wciskający twarz w mój bark, dopóki się nie opanował. Brzydka czerwona rana na twarzy Bobbi Jill to też mój dom, jak i myśl, że jeśli nie przejdzie operacji plastycznej (na którą jej rodziny nie było stać), zostanie blizna, która do końca życia będzie jej przypominać o tym, jak widziała kolegę z sąsiedztwa martwego na poboczu drogi, z głową prawie oderwaną z karku. Mój dom to czarna opaska, którą nosiła Sadie, którą nosiłem ja, którą nosiła cała kadra przez następny tydzień. I Al Stevens wystawiający zdjęcie Vince'a w witrynie baru. I łyzy Jimmy'ego LaDue, gdy stał przed całą szkołą i dedykował zakończony bez porażki sezon Vince'owi Knowlesowi.

A także inne rzeczy. Ludzie pozdrawiający mnie na ulicy, machający do mnie z samochodów, Al Stevens prowadzący mnie i Sadie do stolika na tyłach, który zaczął nazywać „naszym”, gra w cribbage w piątkowe popołudnia w pokoju nauczycielskim z Dannym Lavertym za centa od punktu, dyskusje ze starszą panią Mayer o tym, kto lepiej prowadzi wiadomości, Chet Huntley i David Brinkley czy Walter Cronkite. Moja ulica, mój mały domek, przyzwyczajanie się od nowa do pisania na maszynie. Spotkania z dziewczyną, zielone kupony S&H, które dostawałem razem z zakupami, prawdziwe masło na kinowym popcornie.

Dom to oglądanie księżycy wschodzącego nad szafliwą i towarzystwo kogoś, kogo można przywołać do okna, żebyście obejrzelili to razem. Dom jest tam, gdzie tańczysz z innymi, a taniec to życie.

15

Rok Pański 1961 miał się ku końcowi. W dżdżysty dzień jakieś dwa tygodnie przed świętami wróciłem po szkole do domu, znowu opatulony ocieplaną kurtką z niewyprawionej skóry, i usłyszałem dzwonek telefonu.

- Tu Ivy Templeton - powiedziała kobieta. - Pewnie nawet mnie pan nie pamięta, co?

- Pamiętam panią doskonale, pani Templeton.

- Nie wiem, po co w ogóle dzwonię, te cholerne dziesięć dolców już dawno poszło. Z jakiegoś powodu zapadł mi pan w pamięć. Rosette też. Nazywa pana „facetem, co złapał moją piłkę”.

- Wyprowadzacie się, pani Templeton?

- Jak amen w pacierzu. Mama przyjeżdża jutro furą z Mozelle.

- Nie macie własnego samochodu? A może się zepsuł?

- Samochód trzyma się nieźle jak na takiego gruchota, ale Harry ani nim nie pojedzie,

ani go więcej nie poprowadzi. W zeszłym miesiącu robił na jednej z tych cholernych fuch od Manpower. Wpadł do rowu i przejechała go cofająca się ciężarówka z żwirem. Złamała mu kręgosłup.

Zamknąłem oczy i zobaczyłem rozbity wrak pikapa Vince'a, ciągnięty w dół Main Street przez wóz pomocy drogowej z Gogie's Sunoco. Roztrzaskaną przednią szybę całą we krwi.

- Przykro mi to słyszeć, pani Templeton.

- Będzie żył, ale chodzić już nie będzie nigdy. Będzie siedział w wózku i szczał do worka, oto co go czeka. Ale najpierw pojedzie do Mozelle na platformie fury mojej mamuski. Ukradniemy materac z sypialni, żeby miał na czym leżeć. Jakby wieść psa na wakacje, co?

Rozpłakała się.

- Uciekam z niezapłaconym czynszem za dwa miesiące, ale to mi nie wadzi. Wadzi mi co innego, wie pan co, panie Stary Ramol, Spytaj Znowu, Odpowiem Tak Samo? To, że mam trzydzieści pięć dolarów i na tym koniec. Stary pierdoła Harry, gdyby mógł stanąć na nogach, nie byłoby tego kłopotu. Myślałam, że wcześniej było ciężko, ale co mam powiedzieć teraz?

Usłyszałem przeciągłe, mokre smarknięcie.

- Wie pan co? Listonosz robi do mnie maślane oczy i tak sobie myślę, że za dwadzieścia dolców dałabym mu dupy na podłodze dużego pokoju. O ile cholerni sąsiedzi z naprzeciwka by nie patrzyli. Do sypialni go przecież nie wezmę, nie? Tam leży mój przetrącony mężulo. - Zaśmiała się chrapliwie. - Albo jeszcze lepiej, niech pan tu przyjedzie tym swoim eleganckim kabriolecikiem. Zabierze mnie pan do jakiegoś motelu. Jak pan dorzuci parę dolców, dadzą nam apartament z salonem. Rosette będzie sobie oglądać telewizję, a pan mnie wydupczy. Wyglądał pan na takiego, któremu się dobrze powodzi.

Nie odpowiedziałem. W głowie zapaliła mi się żarówka.

„O ile cholerni sąsiedzi z naprzeciwka by nie patrzyli”.

A ja przecież miałem wypatrywać pewnego człowieka. Oprócz samego Oswalda, rzecz jasna. Człowieka, który, traf chciał, też miał na imię George i który zostanie jedynym przyjacielem Oswalda.

„Nie ufaj mu”, napisał Al w swoich notatkach.

- Jesteś pan tam jeszcze, panie Stary Ramol? Nie? Jeśli nie, to pierdol się i żegna...

- Niech pani nie odkłada słuchawki, pani Templeton. A gdybym zapłacił za panią zaległy czynsz i dorzucił jeszcze stówę? - To była zbyt wysoka cena za to, czego chciałem, ale ja miałem pieniądze, a ona ich potrzebowała.

- Panie, za dwieście dolców dałabym panu dupy na oczach rodzzonego ojca.

- Nie ma takiej potrzeby, pani Templeton. Musi pani tylko spotkać się ze mną na tym parkingu na końcu ulicy. I coś mi przynieść.

16

Było już ciemno, kiedy dotarłem na parking magazynu Montgomery Ward, i deszcz nieco zgęstniał, jak zawsze, gdy próbuje przejść w deszcz ze śniegiem. Rzadko się to zdarza wśród wzgórz na południe od Dallas, ale rzadko nie znaczy nigdy. Miałem nadzieję, że w drodze powrotnej do Jodie nie wypadnie ze śliskiej szosy.

Ivy czekała za kierownicą żaloznego starego sedana z zardzewiałymi progami i popękana tylną szybą. Przesiadła się do mojego forda i natychmiast nachyliła się nad wylotem ogrzewania, które było odkręcone do maksimum. Miała na sobie dwie flanelowe koszule zamiast kurtki i drżała.

- Ale przyjemnie. W tym chevy zamarznąć można. Ogrzewanie siadło. Ma pan pieniądze, panie Stary Ramol?

Dałem jej kopertę. Otworzyła ją i przewertowała dwudziestki, część wygranej z zakładu na World Series postawionego rok wcześniej w Faith Financial, którą przez cały ten czas trzymałem na górnej półce szafy. Dźwignęła pokaźny tyłek z fotela, wsunęła kopertę do tylnej kieszeni dżinsów, po czym sięgnęła do kieszeni na piersi koszuli bliższej ciała. Wyjęła klucz i położyła go z rozmachem na mojej dłoni.

- To wystarczy?

Wystarczyło, zdecydowanie. Teraz, kiedy miałem ten klucz, nie będę musiał wynajmować domu pod numerem 2703; w okresach, gdy będzie stał pusty, będę mógł wejść, kiedy zechcę. W starych spodniach i dżinsowej kurtce nie powinienem się rzucać w oczy.

- Wystarczy - powiedziałem. - To duplikat, zgadza się?

- Tak jak pan kazał. Zrobiony w sklepie żelaznym na McLaren Street. Po cholere panu klucz do tego sracza? Za dwie stowy wynająłby go pan na cztery miesiące.

- Mam swoje powody. Proszę opowiedzieć o sąsiadach z naprzeciwka. Tych, co mogliby patrzeć, jak robi to pani z listonoszem na podłodze dużego pokoju.

Poruszyła się niespokojnie i nieco ciaśniej opatulila koszulami piers, równie pokaźną jak jej tyłek.

- To był tylko żart.

- Wiem. - Nie wiedziałem i miałem to gdzieś. - Interesuje mnie tylko, czy sąsiedzi naprawdę mogą zaglądać do pani dużego pokoju.

- Pewnie, a ja mogłabym zaglądać do nich, gdyby nie mieli zasłon. Sama też bym takie kupiła, gdyby mnie było stać. Jeśli chodzi o prywatność, wszyscy równie dobrze moglibyśmy mieszkać na dworze. Pewnie mogłabym rozwiesić kawałek juty, tam na pewno by się jaki znalazł... - Wskazała rząd kontenerów ze śmieciami pod wschodnią ścianą magazynu. - Ale to tak obskurnie wygląda.

- Sąsiedzi z widokiem mieszkają pod którym numerem? 2704?

- 2706. Przedtem mieszkał tam Slider Burnett z rodziną, ale zaraz po Halloween się wynieśli. Był rezerwowym kłownem na rodeo, uwierzy pan? Kto by pomyślał, że taka robota w ogóle istnieje? Po nim nastał Hazzard z dwójką dzieci i chyba matką. Rosette nie bawi się z tymi dziećmi, mówi, że są brudne. W ustach takiego kocmołucha to nie lada zarzut. Stara babunia próbuje mówić, ale wychodzi z tego tylko bełkot. Nie może ruszać jedną stroną twarzy. Nie wiem, co on z niej ma za pożytek, kobiecina nic, tylko snuje się z kąta w kąt. Jeśli kiedyś tak samo będzie ze mną, już lepiej niech mnie zastrzela. Chooo-robcia! - Potrząsnęła głową. - Powiem panu jedno, długo tu nie pomieszkają. Nikt nie zostaje na Mercedes Street. Ma pan papierosa? Musiałam rzucić. Kiedy nie stać cię na ćwierć dolara na fajki, wiesz, że naprawdę z tobą krucho.

- Nie palę.

Wzruszyła ramionami.

- A co tam. Teraz stać mnie na własne, nie? Bogata jestem, kurde. Pan nieżonaty, co?

- Nie.

- Ale dziewczynę pan ma. Po tej stronie samochodu czuć perfumami. Porządny.

Uśmiechnąłem się.

- Tak, mam dziewczynę.

- I bardzo dobrze. Wie, że kręci się pan po południowym Fort Worth po zmroku i coś kombinuje?

Nie odpowiedziałem, ale milczenie to czasem wystarczająca odpowiedź.

- Nieważne. To sprawa między panem a nią. Już się ogrzałam, więc sobie pójdę. Jeśli jutro dalej będzie tak deszczowo i zimno, nie wiem, jak przewieziemy Harry'ego na platformie wozu mamy.

- Spojrzała na mnie z uśmiechem. - Kiedy byłam mała, myślałam, że wyrosnę na drugą Kim Novak. Teraz Rosette myśli, że zastąpi Darlene w Myszkietkach. Juhu, kurwa mać.

Otworzyła drzwi, ale ją zatrzymałem.

- Proszę zaczekać.

Wygrzebałem śmieci z kieszeni - miętusy Life Savers, chusteczki Kleenex, pudełko zapalek, które schowała tam Sadie, notatki do sprawdzianu z angielskiego dla pierwszej klasy, który zamierzałem zrobić przed świętami - po czym dałem jej moją kurtkę z niewyprawionej skóry.

- Niech pani to weźmie.

- Nie chcę pańskiej cholernej kurtki! - Wyglądała na zszokowaną.

- Mam drugą taką w domu. - Nie miałem, ale mogłem ją kupić, a ta kobieta nie.

- Co powiem Harry'emu? Że ją, kurde, w kapuście znalazłam?

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Niech mu pani powie, że dała pani dupy listonoszowi i kupiła kurtkę za zarobione pieniądze. Co zrobi, pogoni panią kijem?

Zaśmiała się ostrym, kraczącym śmiechem, który był dziwnie uroczy. I wzięła kurtkę.

- Proszę pozdrowić Rosette - powiedziałem. - Niech jej pani przekaże, że odwiedzę ją w snach.

Spowaźniała.

- Oby nie, proszę pana. Raz śniła o panu koszmar. Tak krzyczała, że ściany się trzęsły. Wyrwała mnie z twardego snu o drugiej w nocy. Powiedziała, że facet, co złapał jej piłkę, ma potwora na tylnym siedzeniu samochodu, i bała się, że ten potwór ją pożre. Przestraszyła mnie na śmierć tymi swoimi krzykami.

- Czy ten potwór jakoś się nazywał? - Oczywiście, że tak.

- Mówiła, że to był jimla. Pewnie chodziło jej o dzina, jak z tych historii o Aladynie i Siedmiu Welonach. No dobrze, muszę już lecieć. Pan uważa na siebie.

- Ty też, Ivy. Wesołych świąt.

Znów parsknęła tym swoim kraczącym śmiechem.

- Prawie o tym zapomniałam. Nawzajem. Niech pan nie zapomni dać swojej dziewczynie prezentu.

Potruchtala do swojego starego samochodu z moją kurtką - teraz już jej kurtką - narzuconą na ramiona. Nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

17

Deszcz zamarzał tylko na mostach, a wiedziałem z mojego poprzedniego życia - tego w Nowej Anglii - że na nich trzeba uważać, ale do Jodie i tak jechałem długo. Ledwie nastawiłem wodę na herbatę, a już zadzwonił telefon. Tym razem to była Sadie.

- Wydzwaniam do ciebie od kolacji, żeby spytać, co z wigilijną bibką u trenera Bormana. Zaczyna się o trzeciej. Pójdę, jeśli weźmiesz mnie ze sobą, bo wtedy będziemy mogli się wcześniej wyrwać. Powiedzieć, że mamy zarezerwowany stół w The Saddle albo coś. Muszę jednak dać mu odpowiedź.

Zauważyłem moje zaproszenie leżące obok maszyny do pisania i poczułem lekkie wyrzuty sumienia. Było tam trzy dni i nawet go nie otworzyłem.

- A chcesz do niego iść? - spytałem.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby się pokazać. - Nastąpiła pauza. - Gdzie byłeś przez tyle czasu?

- W Fort Worth. - Prawie dodałem „na zakupach świątecznych”. Ale tego nie zrobiłem. Jedyne, co kupiłem w Fort Worth, to informacje. I klucz do domu.

- Na zakupach?

Znowu musiałem powstrzymać się od kłamstwa.

- Ja... Sadie, naprawdę nie mogę powiedzieć.

Nastąpiła długa, bardzo długa chwila ciszy. Złapałem się na tym, że mam ochotę zapalić. Zapewne uzależniłem się od kontaktu z papierosami. Na litość boską, paliłem biernie dzień w dzień. W pokoju nauczycielskim stale wisiała sina mgła.

- Chodzi o kobietę, George? Inną kobietę? Czy może jestem wścibska?

Cóż, była Ivy, ale nie taką kobietę Sadie miała na myśli.

- Jeśli chodzi o kobiety, jesteś tylko ty.

Kolejna długa, bardzo długa przerwa. W świecie zewnętrznym Sadie potrafiła być nieuważna; we własnej głowie nigdy. Wreszcie powiedziała:

- Dużo o mnie wiesz. Dużo rzeczy, których nikomu nie powiedziałam i myślałam, że nigdy nie powiem. A ja o tobie nie wiem prawie nic. Chyba dopiero teraz to do mnie dotarło. Sadie potrafi być taka głupia, George, nie sądzisz?

- Nie jesteś głupia. I jedno wiesz na pewno: że cię kocham.

- Tak... - W jej głosie brzmiało powątpiewanie. Przypomniał mi się zły sen, który przyśnił mi się tamtej nocy w Candlewood Bungalows, i ostrożność, jaką widziałem w jej twarzy, kiedy powiedziałem, że nic z niego nie pamiętam. Czy teraz miała taką samą minę? A może jej twarz wyrażała coś więcej niż tylko ostrożność?

- Sadie? Wszystko między nami w porządku?

- Tak. - Już z nieco większym przekonaniem. - Pewnie, że tak. Pomijając sprawę imprezy u trenera. Jak chcesz to rozegrać? Pamiętaj, że będzie cała kadra i że zanim pani trenerowa przyniesie przekąski, wszyscy urzną się w sztok.

- Pójdźmy tam - powiedziałem zbyt jowialnie. - Rozerwijmy się, dajmy czadu.

- Dajmy czego?

- Zabawmy się. O to mi chodzi. Posiedzimy godzinę, może półtorej, i się ulotnimy. Na kolację w The Saddle. Może być?

- W porządku. - Byliśmy jak para umawiająca się na drugą randkę po średnio udanej pierwszej. - Zabawimy się.

Pomyślałem o tym, jak Ivy Templeton poczuła ślad zapachu perfum Sadie i zapytała, czy moja dziewczyna wie, że kręcę się po południowym Fort Worth po zmroku i coś kombinuję. Pomyślałem o słowach Deke'a Simmonsa, że jedna osoba zasługuje na to, by poznać prawdę o tym, gdzie byłem i co robiłem. Ale czy miałem powiedzieć Sadie, że zabiłem Franka Dunninga z zimną krwią, żeby nie zamordował żony i trojga z czworga swoich dzieci? Że przyjechałem do Teksasu, by zapobiec zamachowi i zmienić bieg dziejów? Że wiedziałem że mogę tego dokonać, bo pochodziłem z przyszłości, w której moglibyśmy prowadzić tę rozmowę za pomocą komunikatora internetowego?

- Sadie, wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

- W porządku - powiedziała znowu. A potem dodała: - Do zobaczenia jutro, George, w szkole. - I odłożyła słuchawkę, bardzo delikatnie i grzecznie.

Przez kilka sekund trzymałem telefon w dłoni, wpatrzony w pustkę po czym zrobiłem to samo. Coś zaczęło bębnić w okna wychodzące na podwórko. A jednak deszcz przeszedł w deszcz ze śniegiem.

ROZDZIAŁ 16

1

Wigilijna bibka u trenera Bormana zakończyła się klapą i duch Vince'a Knowlesa nie był jedyną tego przyczyną. Dwudziestego pierwszego Bobbi Jill Allnut zdruzgotało się oglądanie tej czerwonej szramy przecinającej lewą stronę jej twarzy po podbródek i połknęła garść środków usypiających podebranych matce. Nie umarła, ale przeleżała dwa dni w szpitalu Parkland, tym samym, w którym mieli dokonać żywota prezydent i zabójca prezydenta, o ile tego nie zmienię. W 2011 prawdopodobnie są jakieś bliższe - prawie na pewno w Kileen, może nawet w Round Hill - ale nie w trakcie roku szkolnego, który przepracowałem na etacie w DCHS.

Kolacja w The Saddle też nie była rewelacją. Lokal był zatłoczony, panował radosny, przedświąteczny nastrój, ale Sadie zrezygnowała z deseru i stwierdziła, że chce wcześniej wrócić do domu. Powiedziała, że boli ją głowa. Nie uwierzyłem jej.

Na zabawie sylwestrowej w Bountiful Grange No.7 było trochę lepiej. Grał zespół z Austin o nazwie The Jokers i naprawdę nieźle grzali. Sadie i ja tańczyliśmy pod zwieszającymi się u sufitu siatkami pełnymi baloników, aż nogi nas rozboleły. O północy The Jokers zagrali „Auld Lang Syne” w stylu The Ventures i wokalista grupy krzyknął: „Spełnienia wszystkich marzeń w roku 1962!”.

Wokół nas opadały baloniki. Pocałowałem Sadie i życzyłem jej szczęśliwego Nowego Roku, tańcząc z nią walca, ale choć przez cały wieczór była wesoła i roześmiana, teraz nie wyczułem na jej ustach uśmiechu.

- Ja tobie też życzę szczęśliwego Nowego Roku, George. Mógłbyś przynieść mi ponczu? Strasznie mnie suszy.

Do wazy z ponczem zaprawionym alkoholem ustawiła się długa kolejka, do wersji bezalkoholowej krótsza. Nalałem chochlą mieszanek różowej lemoniady i piwa imbirowego do papierowego kubka, ale kiedy zaniósłem go w miejsce, gdzie zostawiłem Sadie, nie było jej tam.

- Chyba poszła odetchnąć świeżym powietrzem, mistrzu - powiedział Carl Jacoby. Był jednym z czterech nauczycieli zajęć technicznych w naszej szkole, prawdopodobnie

najlepszym, ale tej nocy nie dałbym mu się nawet zbliżyć do żadnego elektrycznego narzędzia.

Zajrzałem do palaczy skupionych przy wyjściu pożarowym. Nie było wśród nich Sadie. Poszedłem do sunlinera. Siedziała na miejscu pasażera, tonąc w kłębach fałdzistej spódnicy sięgającej deski rozdzielczej. Bóg jeden wie, ile miała na sobie halek. Palila papierosa i płakała.

Wsiadłem i spróbowałem ją przytulić.

- Sadie, co się stało? Co się stało, skarbie? - Jakbym nie wiedział. Jakbym nie wiedział od dłuższego czasu.

- Nic, - Zapłakała głośniej. - Mam okres, to wszystko. Zabierz mnie do domu.

Do przejechania było tylko pięć kilometrów, ale droga dłużyła się niemiłosiernie. Nie rozmawialiśmy. Skręciłem na podjazd przed jej domem i zgasilem silnik. Przestała płakać, ale wciąż się nie odzywała. Ja też nie. Milczenie czasem bywa kojące. W tej sytuacji było niemal mordercze.

Wyjęła winstony z torebki, spojrzała na paczkę i schowała ją z powrotem. Trzask zamka był bardzo głośny. Spojrzała na mnie. Jej włosy były ciemną chmurą otaczającą biały owal twarzy.

- Czy jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć, George?

Nade wszystko chciałem jej powiedzieć, że nie mam na imię George. Nie lubiłem już tego imienia. Prawie je znenawidziłem.

- Dwie rzeczy. Po pierwsze, że cię kocham. Po drugie, że nie robię nic, czego bym się wstydził. Aha, i dwa a: nic, czego ty byś się wstydziła.

- Dobrze. To dobrze. Ja ciebie też kocham, George. Ale coś ci powiem, jeśli mnie wysłuchasz.

- Zawsze cię wysłucham. - Jednak mnie przerażała.

- Wszystko może zostać tak, jak jest... na razie. Dopóty, dopóki jestem żoną Johna Clayтона, nawet jeśli małżeństwo istnieje tylko na papierze i nie zostało skonsumowane jak należy, czuję, że są sprawy, o które nie mam prawa cię pytać... i których nie mam prawa od ciebie wymagać.

- Sadie...

Położyła mi palec na ustach.

- Na razie. Nigdy więcej jednak nie pozwolę, by mężczyzna kładł miotłę w moim łóżku. Rozumiesz?

Pocałowała mnie szybko w miejsce, gdzie przed chwilą spoczywały jej palce, po czym

pospieszyła do drzwi domu, szukając klucza w torebce.

Tak zaczął się rok 1962 dla człowieka, który przedstawiał się jako George Amberson.

2

Nowy Rok wstał zimny i bezchmurny. Synoptyk z porannego raportu dla rolników straszyl marznącą mgłą na terenach nizinnych. Lamy z podsłuchem trzymałem w garażu. Schowałem jedną do samochodu i pojechałem do Fort Worth. Pomyślałem sobie, że jeśli obskurne wesołe miasteczko na Mercedes Street kiedykolwiek robi sobie przerwę, to właśnie dziś. Miałem rację. Było cicho jak... cóż, jak w mauzoleum Trackerów, kiedy wciągałem do niego ciało Franka Dunninga. Na łysiejących trawnikach leżały przewrócone rowerki na trzech kółkach i kilka zabawek. Jakiś imprezowicz zostawił większą zabawkę - monstualnego starego mercury'ego - zaparkowaną obok swojego ganku. Drzwi samochodu wciąż były pootwierane. Na ubitej gruntowej drodze żałośnie wałało się kilka porzuconych serpentyn z krepy, a w rynsztokach liczne puszkki po piwie - głównie Lone Star.

Zerknąłem przez ulicę na dom pod numerem 2706 i nie zauważyłem nikogo w dużym oknie od frontu, ale Ivy miała rację: stojąc tam, miało się idealny widok na salon domu pod 2703

Zaparkowałem na pasach betonu, które robiły za podjazd, jakbym miał wszelkie prawo przebywać w domu do niedawna zajmowanym przez pechową rodzinę Templetonów. Wziąłem lampę oraz nowiutką skrzynkę z narzędziami i poszedłem do drzwi wejściowych. Miałem chwilę zwątpienia, kiedy klucz nie chciał się obrócić, ale to tylko dlatego, że był nowy. Kiedy zwilżyłem go śliną i trochę nim poruszałem, przekręcił się i wszedłem do środka.

Były trzy pokoje i łazienka, widoczna za drzwiami, które wisiały na jedynym sprawnym zawiasie. Największe z pomieszczeń pełniło funkcję salonu połączonego z kuchnią. Pozostałe dwa służyły jako sypialnie. W większej na łóżku nie było materaca. Przypomniałem sobie, jak Ivy powiedziała: „Jakby wieść psa na wakacje, co?”. W mniejszej, na listwach wylazających spod odpadającego tynku, Rosette narysowała kredkami dziewczynki. Wszystkie były w zielonych fartuszkach i wielkich czarnych butach. Miały nieproporcjonalne w stosunku do reszty ciała warkoczyki, długością dorównujące nogom, wiele z nich kopało futbolówki. Jedna nosiła na głowie koronę Miss Ameryki i szeroko uśmiechała się umalowanymi na czerwono ustami. W domu jeszcze pachniało smażonym mięsem, które Ivy upichciła na ostatni posiłek przed powrotem do Mozelle, gdzie miała mieszkać z mamą, swoją

małą diabolicą i przetraconym mężem.

To tu Lee i Marina mieli rozpocząć amerykański etap swojego małżeństwa. W większej z dwóch sypialni będą się kochać i on będzie ją bił. Tam też Lee będzie leżał z otwartymi oczami po długich dniach spędzanych na składaniu drzwi zabezpieczających i zastanawianiu się, dlaczego, u licha, nie jest sławny. Czy nie próbował? Czy nie próbował ze wszystkich sił?

A w tym salonie z pofałdowaną podłogą i wytartym zgniłozielonym dywanem Lee pozna człowieka, któremu miałem nie ufać, który był główną, jeśli nie jedyną przyczyną drobnych wątpliwości Ala co do tego, czy Oswald rzeczywiście działał sam. Człowiek ten nazywał się George DeMohrenschildt i bardzo chciałem usłyszeć, co on i Oswald będą mieli sobie do powiedzenia.

Blisko kuchni w salonie stała stara komoda. Szuflady zawierały mieszaninę sztucców nie do kompletu i marnych przyborów kuchennych. Odsunąłem komodę od ściany i zobaczyłem gniazdko elektryczne. Doskonale. Postawiłem lampę na komodzie i podłączyłem ją do prądu. Wiedziałem, że ktoś tu pewnie trochę pomieszka przed Oswaldami, ale nie sądziłem, by ewakuując się, chciał zabrać na pamiątkę Krzywą Lampę z Pizy. Jeśli nawet, w garażu miałem zapasową.

Wywierciłem najmniejszym wiertłem otwór w ścianie, wsunąłem komodę na miejsce i wypróbowałem lampę. Działała. Spakowałem się i wyszedłem, pamiętając o zamknięciu drzwi na klucz. Potem wróciłem do Jodie.

Zadzwoiła Sadie i spytała, czy przyjdę na kolację. Sama wędlina, powiedziała, ale na deser jest keks, jeśli mam ochotę. Pojechałem do niej. Deser był cudowny jak zawsze, ale nie było już tak jak przedtem. Miała bowiem rację. W łóżku była miotła. Niewidzialna jak jimla, którego Rosette widziała na tylnym siedzeniu mojego samochodu... ale rzeczywista. Rzuciła cień.

3

Czasem mężczyzna i kobieta docierają na rozdroże i tam już zostają, nie chcąc wybrać żadnej z dróg, świadomi, że błędna decyzja będzie oznaczać koniec... i że tyle jest rzeczy wartych uratowania. Tak właśnie było ze mną i Sadie tej niemiłosiernie szarej zimy 1962 roku. Nadal raz albo dwa razy w tygodniu chodziliśmy na kolację i w niektóre soboty jeździliśmy do Candlewood Bungalows. Sadie uwielbiała seks i między innymi to podtrzymywało nasz związek przy życiu.

Pilnowaliśmy porządku na trzech zabawach szkolnych. Na każdej didżejem był Donald Bellingham i prędzej czy później pojawiały się prośby, abyśmy powtórzyli naszego pierwszego lindy hopa. Dzieciaki zawsze biły brawo i gwizdały, kiedy to robiliśmy. I nie przez grzeczność. Były autentycznie pod wrażeniem, niektóre nawet zaczęły uczyć się kroków.

Czy byliśmy zadowoleni? Jasne, bo naśladownictwo naprawdę jest wyrazem najwyższego uznania. Jednak nigdy nie wyszło nam to tak dobrze jak za pierwszym razem, z tak intuicyjną płynnością. Sadie nie miała już takiej gracji. Raz nie złapała mojej ręki przy obrocie i wyłożyłaby się, gdyby w pobliżu nie stali dwaj krzepcy futboliści z dobrym refleksem. Zbyła to śmiechem, ale widziałem w jej twarzy wstyd. I wyrzut. Jakbym to ja był temu winien. I w pewnym sensie byłem.

Awantura wisiała w powietrzu. Wybuchłaby wcześniej, niż to się faktycznie stało, gdyby nie „Jodie Jamboree”. To była nasza odwilż, okazja, by trochę pograć na zwłokę i przemyśleć sprawy, zanim okoliczności miały nas zmusić do podjęcia decyzji, której oboje chcieliśmy uniknąć.

4

W lutym przysłała do mnie Ellen Dockerty. Miała dwie prośby: raz, żebym jednak zmienił zdanie i podpisał nową umowę na rok szkolny 1962/63, i dwa, żebym także w tym roku wyreżyserował przedstawienie kółka dramatycznego, bo zeszłoroczne było tak wielkim hitem. Obie odrzuciłem, nie bez żalu.

- Jeśli to z powodu twojej książki, będziesz miał całe lato na pracę nad nią - namawiała.

- To za mało - odparłem, chociaż w tym momencie miałem „Miasto zbrodni” głęboko gdzieś.

- Sadie Dunhill mówi, że jej zdaniem ta powieść nic a nic cię nie obchodzi.

Nie podzieliła się ze mną tym spostrzeżeniem. Byłem wstrząśnięty, ale starałem się tego nie okazywać.

- El, Sadie nie wie wszystkiego.

- W takim razie przedstawienie. Przygotuj choć przedstawienie. Jeśli tylko nie będzie w nim golizny, zgodzę się na każdy twój wybór. Zważywszy na obecny skład rady szkolnej i fakt, że sama mam tylko dwuletni kontrakt jako dyrektor, to nie byle jaka obietnica. Możesz zadedykować je Vince'owi Knowlesowi, jeśli chcesz.

- Pamięci Vince'a poświęcili już cały sezon futbolowy, Ellie. Myślę, że to wystarczy.
Odeszła z kwitkiem.

Drugi po prośbie przyszedł Mike Coslaw, który w czerwcu miał skończyć szkołę i powiedział mi, że na studiach zamierza wybrać specjalizację teatralną.

- Ale naprawdę chciałbym zagrać tu w jeszcze jednej sztuce. Z panem, panie Amberson. Bo pan wskazał mi drogę.

W odróżnieniu od Ellie Dockerty, przyjął wymówkę o mojej niby-powieści bez zastrzeżeń, co przyprawiło mnie o wyrzuty sumienia. Okropna sprawa. Jak na człowieka, który nie lubił kłamać - którego małżeństwo rozpadło się z powodu wszystkich kłamstw słyszanych od żony, z „mogę przestać, kiedy tylko zechcę” na czele - łąłem ostatnio jak opętany, jak się mówiło w tamtych czasach w Jodie.

Odprowadziłem Mike'a na parking dla uczniów, gdzie czekał jego największy skarb (stary buick sedan z osłonami kół tylnych) i spytałem, czy po zdjęciu gipsu wszystko w porządku z jego ręką. Powiedział, że tak i że na pewno będzie gotowy na treningi futbolowe w lecie.

- Chociaż - stwierdził - nie rozpaczałbym, gdybym się nie załapał. Wtedy może mógłbym zagrać w jakimś lokalnym teatrze, nie tylko na uczelni. Chcę się nauczyć wszystkiego... o scenografii, oświetleniu, nawet kostiumach. - Zaśmiał się. - Ludzie zaczną mnie od ciot wyzywać.

- Na pierwszym semestrze skup się na futbolu, ocenach i na tym, żeby za bardzo nie tęsknić za domem - powiedziałem. - Proszę. Żadnych wygłupów.

Przybrał głos ni to zombi, ni to monstrum Frankensteina.

- Tak... panie...

- Jak się miewa Bobbi Jill?

- Lepiej - powiedział. - Oto i ona.

Bobbi Jill czekała przy buicku Mike'a. Pomachała do niego i na mój widok natychmiast się odwróciła, jakby zainteresowana pustym boiskiem futbolowym i rozciągającymi się dalej łąkami. To był gest, do którego przywykli wszyscy w szkole. Powypadkowa szrama zagoiła się w tłustą czerwoną krechę. Bobbi Jill próbowała ją tuszować kosmetykami, co tylko uwydatniało bliznę jeszcze bardziej.

- Powiedziałem jej, żeby darowała sobie ten puder, bo wygląda w nim jak żywa reklama zakładu pogrzebowego Soamesa - wyjaśnił Mike - ale mnie nie słucha. Mówię jej też, że nie spotykam się z nią z litości ani po to, żeby znowu nie łyknęła jakich prochów. Twierdzi, że mi wierzy, i może nie kłamie. W słoneczne dni.

Patrzyłem za nim, kiedy pospieszył do Bobbi Jill, objął ją w pasie i odwrócił ku sobie. Westchnąłem. Było mi trochę głupio, ale mój upór był silniejszy. Po trosze nawet chciałem wyreżyserować to cholerne przedstawienie. Miałbym się czym zająć w oczekiwaniu na początek mojego własnego spektaklu, „Lee i Jake w Dallas”. Nie chciałem jednak splatać moich losów z Jodie bardziej, niż już to zrobiłem. Podobnie jak wszelkie perspektywy wspólnej przyszłości z Sadie, mój związek z miastem musiał na razie zejść na dalszy plan.

Przy dobrych układach była szansa, że na koniec zdobędę dziewczynę, pamiątkowy złoty zegarek i całą resztę. Nie mogłem jednak na to liczyć, choćbym nie wiadomo jak starannie wszystko zaplanował. Nawet gdyby mi się powiodło, zapewne musiałbym uciekać, inaczej istniało spore prawdopodobieństwo, że nagrodą za mój dobry uczynek dla świata byłoby dożywocie za kratkami. Albo krzesło elektryczne w Huntsville.

5

Ostatecznie to Deke Simmons podstępem skłonił mnie do wyrażenia zgody. Dokonał tego, mówiąc mi, że musiałbym być stuknięty, żeby w ogóle brać to pod uwagę. Powinienem był rozpoznać ten stary numer rodem z „Kruka i lisa”, ale podszedł mnie bardzo sprytnie. Bardzo subtelnie. Jak lis, można by rzec.

To było w sobotnie popołudnie. Siedzieliśmy u mnie w salonie i piliśmy kawę, podczas gdy w moim śnieżącym telewizorze leciał jakiś stary film - kowboje w Fort Hollywood odpierali ataki chyba ze dwóch tysięcy Indian. Na dworze znowu padało. Zimą sześćdziesiątego drugiego musiało być przynajmniej kilka słonecznych dni, ja jednak takich sobie nie przypominam. Pamiętam tylko zimne palce mżawki zawsze dosięgające mojego wygolonego karku mimo postawionego kołnierza kozucha, który kupiłem na miejsce ocieplanej kurtki z niewyprawionej skóry.

- Nie przejmuj się cholernym przedstawieniem tylko dlatego, że Ellen Dockerty ma hopla na tym punkcie - powiedział Deke. - Dokończ książkę, a jak zostanie bestsellerem, będziesz mógł machnąć na wszystko ręką. Żyć jak król w Nowym Jorku. Pić z Normanem Mailerem i Irwinem Shawem w White Horse Tavern.

- Mhm - mruknąłem. John Wayne zadał w trąbkę. - Nie sądzę, żeby Norman Mailer miał powód się mnie obawiać. Irwin Shaw też.

- Poza tym „Myszy i ludzie” było tak świetne - ciągnął - że cokolwiek byś teraz zrobił, zapewne ludzie by się rozczarowali... o rany, widziałeś? John Wayne dostał strzałą w kapelusze! Szczęście, że włożył taki wysoki!

Sugestia, że za drugim razem mogłem zawieść oczekiwania, dotknęła mnie bardzo. Przypomniała mi o tym, jak mimo usilnych starań nie udało nam się z Sadie powtórzyć naszego pierwszego popisu na parkiecie.

Deke, na pozór całkowicie zaabsorbowany filmem, powiedział:

- Poza tym przedstawienie ma ochotę wyreżyserować Szczurek Sylvester. Mówi o „Arszeniku i starych koronkach”. Podobno dwa lata temu oglądał to z żoną w Dallas i ze śmiechu mało z krzeseł nie pospadali.

Dobry Boże, ten starość! I z Fredem Sylvestrem, nauczycielem przedmiotów ścisłych, w roli reżysera? Nie dałbym Szczurkowi wyreżyserować próbnego alarmu przeciwpożarowego w podstawówce. Gdyby utalentowany, ale jeszcze nieopierzony aktor jak Mike Coslaw trafił pod skrzydła Szczurka, mogłoby to cofnąć go w rozwoju o pięć lat. Szczurek i „Arszenik i stare koronki”. Jezu!

- Tak czy tak, za mało czasu, żeby wystawić coś dobrego - ciągnął Deke. - Dlatego moja rada jest taka, żebyś dał Szczurkowi wpakować się na tę minę. I tak nigdy nie lubiłem tego wiercidupy.

Nie lubił go nikt, może poza panią Szczurkową, która przydreptywała u jego boku na każdą szkolną i nauczycielską imprezę, owinięta kilometrami organdy. Ale to nie on by się wpakował na tę minę, tylko dzieciaki.

- Można by wystawić rewię - powiedziałem. - Na to starczyłoby czasu.

- Chryste, George! Wallace Beery dostał strzałę w ramię! Chyba już po nim!

- Deke?

- Nie, John Wayne odciąga go w bezpieczne miejsce. W tej starej strzelance nie ma krzty sensu, ale mnie się podoba, a tobie?

- Słyszałeś, co powiedziałem?

Zaczęła się reklama. Keenan Wynn gramolił się z buldożera, założył kask i powiedział światu, co by dla camela mógł zrobić. Deke odwrócił się do mnie.

- Nie, musiało mi umknąć.

Stary, chytry lis.

- Powiedziałem, że jest dość czasu, żeby przygotować rewię. Piosenki, tańce, dowcipy i kilka skeczy.

- Wszystko oprócz dziewczyn machających tyłkami? A może o tym też myślałeś?

- Nie bądź osioł.

- Czyli chodzi o wodewil. Zawsze lubiłem wodewile. Program Jimmy'ego Durante'a i tym podobne.

Wyciągnął fajkę z kieszeni rozpinanego swetra, nabił ją tytoniem Prince Albert i zapalił.

- Wiesz, kiedyś robiliśmy coś podobnego w Grange. Show nosił tytuł „Jodie Jamboree”. Ale pod koniec lat czterdziestych przestaliśmy. Wypadało to trochę żenująco, choć nikt tego głośno nie powiedział. I nie nazywaliśmy tego wodewilem.

- O czym ty mówisz?

- To był minstrel show, George. Uczestniczyli w tym wszyscy kowboje i robotnicy rolni. Malowali twarze na czarno, śpiewali i tańczyli, opowiadali dowcipy murzyńskim w ich mniemaniu dialektem. Opartym głównie na tym, co słyszeli w „Amos and Andy”.

Zaśmiałem się.

- Ktoś grał na banjo?

- A owszem, przy paru okazjach robiła to nasza aktualna dyrektorka.

- Ellen grała na banjo w minstrel show?

- Uważaj, zaczynasz mówić pentametrem jambicznym. To może prowadzić do manii wielkości, przyjacielu.

Wychyliłem się do przodu, choć raz nie myśląc ani o Oswaldzie, ani o moim skomplikowanym związku z Sadie.

- Opowiedz mi jeden z tych dowcipów.

Deke odchrząknął i zaczął mówić dwoma różnymi grubymi głosami.

- „Tambo, bracie, a tę wazelinę to tyś po co kupił?”. „A po czterdzieści dziewięć cyntów!”.

Spojrzał na mnie wyczekująco i zrozumiałem, że to była puenta.

- Śmiali się? - Prawie bałem się odpowiedzi.

- Zrywali boki i chcieli jeszcze. Potem słyszało się te kawały w mieście przez wiele następnych tygodni. - Spojrzał na mnie z powagą, ale jego oczy skrzyły się jak lampki choinkowe. - To mała miejscina. Nasze potrzeby, jeśli chodzi o humor, są skromne. Tutaj szczyt rabelaisowskiego dowcipu to ślepiec wywracający się na skórcie od banana.

Siedziałem zamyślony. Zaczął się dalszy ciąg westernu, ale Deke już nie był nim zainteresowany. Przyglądał mi się.

- To i teraz mogłoby się udać - powiedziałem.

- George, to zawsze się udaje.

- I nie musielibyśmy się zdawać na dowcipy o Murzynach.

- Teraz to by już nawet nie przeszło. Może w Luizjanie czy Alabamie, ale nie po drodze do Austin, które w „Szajs Heraldzie” nazywają SympKom City. Poza tym nie

chciałbyś tego, dobrze mówię?

- Nie. Może jestem zgniłym liberałem, ale na samą myśl o tym mnie odrzuca. I czy to w ogóle potrzebne? Garść oklepanych dowcipów... chłopcy w obszernych garniturach z wywatowanymi ramionami zamiast wieśniackich ogrodników... dziewczyny w spódniczkach po kolana z mnóstwem frędzli... strasznie jestem ciekaw, jak Mike Coslaw poradziłby sobie z grą w skeczu...

- Och, zrobiłby furorę - powiedział Deke, jakby to było z góry przesądzone. - Niegłupi pomysł. Szkoda, że nie masz czasu wcielić go w życie.

Zacząłem coś mówić, ale wtedy znowu przeszła mnie błyskawica. Była tak jasna jak ta, która rozświetliła mi umysł, kiedy Ivy Templeton powiedziała, że sąsiedzi z naprzeciwka mogą zaglądać do jej salonu.

- George? Masz otwarte usta. Widok jest dobry, ale nieapetyczny.

- Mógłbym znaleźć czas - powiedziałem. - Jeśli przekonasz Ellie Dockerty, żeby spełniła jeden warunek.

Wstał i wyłączył telewizor, nawet nie zerkając na ekran, choć bój między Dukiem Wayne'em a plemieniem Paunisów właśnie osiągnął punkt kulminacyjny, podczas gdy w tle Fort Hollywood płonął w najlepsze.

- Powiedz jaki.

Powiedziałem i dodałem:

- Muszę pogadać z Sadie. Już, teraz.

6

Z początku była śmiertelnie poważna. Potem zaczęła się uśmiechać. Uśmiech stał się szeroki. A kiedy zdradziłem jej pomysł, na który wpadłem pod koniec rozmowy z Dekiem, zarzuciła mi ręce na szyję. To jej jednak nie wystarczyło, więc wdrapała się wyżej i objęła mnie też nogami. Tego dnia nie było między nami miotły.

- Świetna sprawa! Jesteś genialny! Napiszesz scenariusz?

- A żebyś wiedziała. I nie zajmie mi to dużo czasu. - Stare, wyświechtane dowcipy już latały mi po głowie: Trener Borman otworzył sok pomarańczowy w sklepie, bo przeczytał na puszcze „Tu otwierać”. Nasz pies miał wrośnięty ogon, musieliśmy robić mu prześwietlenie, żeby sprawdzać, czy jest zadowolony. Leciałem samolotem tak starym, że na jednej toalecie napisane było Orville, a na drugiej Wilbur. - Ale będę potrzebował dużo pomocy z całą resztą. Krótko mówiąc, potrzeba mi producenta. Mam nadzieję, że weźmiesz to na siebie.

- Pewnie. - Zsunęła się na podłogę, wciąż przywierając do mnie całym ciałem. Spódniczka podjechała jej do góry, odsłaniając, niestety tylko na chwilę, nagą nogę. Sadie zaczęła chodzić po salonie, paląc zawzięcie. Potknęła się o fotel (chyba szósty czy nawet ósmy raz, odkąd się spotykaliśmy) i złapała równowagę tak, jakby niczego nie poczuła, choć do wieczora miał jej się zrobić spory siniak. - Jeśli potrzebne będą spódniczki w stylu lat dwudziestych, mogę poprosić Jo Peet, żeby uszyła kostiumy. - Jo była nową kierowniczką działu gospodarstwa domowego, na które to stanowisko awansowała po tym, jak Ellen Dockerty oficjalnie została dyrektorką szkoły.

- To super.

- Większość dziewczyn od gospodarstwa domowego uwielbia szyć... i gotować. George, trzeba będzie przygotowywać jakieś wieczorne posiłki, nie? Jeśli próby będą się przeciągać? A będą na pewno, bo czasu jest strasznie mało.

- Tak, ale wystarczy kanapki...

- Nie, stać nas na coś lepszego. Dużo lepszego. I muzyka! Będzie potrzebna muzyka! Trzeba będzie puścić coś z płyty, bo orkiestra nie zdąży w porę nic przygotować. - I wtedy oboje powiedzieliśmy jednym głosem: „Donald Bellingham!”.

- Co z ogłoszeniami? - spytałem. Zaczynaliśmy rozmawiać jak Mickey Rooney i Judy Garland przygotowujący widowisko w stodole cioci Milly.

- Carl Jacoby i jego kółko graficzne. Plakaty nie tylko tutaj, ale i w całym mieście. Bo chcemy, żeby przyszło całe miasto, nie same rodziny aktorów. Miejsca stojące.

- Otóż to - powiedziałem i pocałowałem ją w nos. Podobał mi się jej entuzjazm. Był zaraźliwy.

- Co powiemy o celu imprezy? - spytała Sadie.

- Nic, dopóki nie będziemy pewni, że zbierzemy dość pieniędzy. Nie ma co przedwcześnie rozbudzać nadziei. Pojedziesz jutro ze mną do Dallas zasięgnąć języka?

- Jutro niedziela, kochanie. Po szkole w poniedziałek. Może nawet przed końcem lekcji, jeśli dasz radę się urwać.

- Poproszę Deke'a, żeby wrócił z emerytury i poprowadził zajęcia wyrównawcze z angielskiego - powiedziałem. - Jest mi to winien.

7

W poniedziałek pojechaliśmy z Sadie do Dallas, pełnym gazem, żeby zdążyć przed końcem godzin pracy. Gabinet, którego szukaliśmy, znajdował się na Harry Hines Boulevard,

nieopodal szpitala Parkland. Tam zadaliśmy masę pytań, a Sadie w uproszczeniu zademonstrowała, o co nam chodzi. Odpowiedzi były więcej niż zadowalające i dwa dni później przystąpiłem do mojego przedostatniego showbiznesowego przedsięwzięcia, jako reżyser „Jodie Jamboree, Nowego, Przeważającego Wodewilowego Widowiska Taneczno-Muzycznego”. I wszystko to w Zbożnym Celu. Nie powiedzieliśmy, co to za cel, i nikt nie pytał.

Dwa spostrzeżenia odnośnie do Krainy Przeszłości: jest dużo mniej roboty papierkowej i o wiele więcej zaufania.

8

Rzeczywiście przyszło całe miasto i Deke Simmons miał rację co do jednego: te kiepskie żarty nigdy się nie starzały. Przynajmniej dwa i pół tysiąca kilometrów od Broadwayu.

Za sprawą Jima LaDue (który nie był zły i całkiem przyzwoicie śpiewał) i Mike'a Coslawa (który był wprost przekomiczny) nasz show miał w sobie więcej z występów Deana Martina i Jerry'ego Lewisa niż wygłupów Mr. Bonesa i Mr. Tambo. Skecze były slapstickowe i w wykonaniu pary sportowców wypadły lepiej, niż prawdopodobnie na to zasługiwały. Widzowie klepali się po kolanach, strzelały guziki, pewnie nawet pękło kilka gorsetów.

Ellen Dockerty odkurzyła swoje zapomniane banjo; jak na damę o niebieskich włosach, niezłe wymiatała. I jednak było machanie tyłkami. Mike i Jim namówili resztę drużyny futbolowej, żeby odtańczyli żywego kankana, ubrani w halki i pantalony od pasa w dół i nic od pasa w górę. Jo Peet znalazła dla nich peruki i to oni zebrali największe oklaski. Zwłaszcza panie oszalały na punkcie tych półnagich młodych mężczyzn, co tam, że w perukach.

W finale obsada dobrała się w pary i zatańczyła na scenie ognistego swinga, podczas gdy w głośnikach huczał „In the Mood”. Fruwały spódniczki; śmigaly nogi; futboliści (teraz w garniturach z wywatowanymi ramionami i kapeluszach ze skąpym rondem) kręcili gibkimi dziewczynami. Te ostatnie w większości były czirliderkami, które już to i owo o tańcu wiedziały.

Muzyka ucichła; roześmiana, zdyszana obsada wyszła na przód sceny, by ukłonić się publiczności; a gdy widownia zerwała się na nogi po raz trzeci (a może czwarty), odkad podniesiono kurtynę, Donald znów włączył „In the Mood”. Tym razem chłopcy i dziewczęta rozbiegli się na lewo i prawo, złapali dziesiątki ciast z kremem czekających na stołach za

kulisami i zaczęli się nimi obrzucać. Publiczność zareagowała gromkim aplauzem.

O tej części widowiska nasza obsada wiedziała i nie mogła się jej doczekać. Jako że na próbach nie poleciało nawet jedno ciasto, nie byłem pewien, jak to wyjdzie. Oczywiście wyszło znakomicie - tak z walkami na ciasta zwykle bywa. Dzieciaki były przekonane, że to punkt kulminacyjny, ja jednak jeszcze miałem coś w zanadru.

Kiedy aktorzy z twarzami i kostiumami upakowanymi kremem wystąpili naprzód, by znów się pokłonić, „In the Mood” rozbrzmiało po raz trzeci. Większość dzieciaków rozejrzała się ze zdumieniem, dlatego nie zauważyli, że całe grono pedagogiczne wstało, trzymając ciasta z kremem, które Sadie i ja schowaliśmy pod ich siedzeniami. Ciasta poleciały i obsada została zbryzgana po raz drugi. Trener Borman miał dwa talerze i rzucał z zabójczą precyzją; trafił i swojego rozgrywającego, i najlepszego obrońcę.

Mike Coslaw, z twarzą ociekającą kremem, zaczął ryczeć:

- Pan A! Pani D! Pan A! Pani D!

Podchwyciła to reszta obsady, a za nią rytmicznie klaszcząca publiczność. Weszliśmy na scenę, trzymając się za ręce. Bellingham znów puścił tę cholerną płytę. Dzieciaki ustawiły się w szeregach po naszych obu stronach i skandowały: „Tańczyć! Tańczyć! Tańczyć!”.

Nie mieliśmy wyboru i choć byłem święcie przekonany, że moja dziewczyna pośliznie się na całym tym kremie i złamie sobie kark, zatańczyliśmy perfekcyjnie pierwszy raz od Sadie Hawkins Dance. Na koniec ścisnąłem obie dłonie Sadie, zobaczyłem, że lekko skinęła głową - dawaj, śmiało, ufam ci - i wpuściłem ją sobie między nogi. Jej buty poleciały w pierwszy rząd, spódniczka podjechała zachwycająco do ud... i Sadie jakimś cudem podniosła się na nogi w jednym kawałku, z dłońmi najpierw wyciągniętymi do publiczności - która dosłownie oszalała - a potem opuszczonymi do boków wymazanej kremem spódniczki w wytwornym dygnięciu.

Okazało się, że dzieciaki też miały jeszcze coś w zanadru, prawie na pewno za podpuszczeniem Mike'a Coslawa, choć nigdy się do tego nie przyznał. Zachowały za kurtyną trochę ciast i kiedy staliśmy we dwoje na scenie i upajaliśmy się aplauzem, trafiło nas co najmniej tuzin talerzy nadlatujących ze wszystkich stron. A na widowni, jak to mówią, euforia sięga zenitu.

Sadie przyciągnęła moje ucho do swoich ust, małym palcem starła z niego krem, i szepnęła:

- Jak mógłbyś to wszystko zostawić?

A to jeszcze nie był koniec.

Deke i Ellen wyszli na środek sceny, niemal magicznie omijając wszystkie bryzgi, plamy i grudki kremu. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by rzucić w nich ciastem.

Deke uniósł dłonie, nakazując milczenie, i Ellen Dockerty wystąpiła naprzód. Mówiła wyraźnym, belferskim głosem, który bez trudu przebijał przez szepty i cichnące śmiechy.

- Panie i panowie, „Jodie Jamboree” zostanie wystawione jeszcze trzy razy.

To wywołało kolejną burzę braw.

- Przedstawienia te będą miały charakter dobroczynny - ciągnęła Ellie, kiedy aplauz przycichł - i z wielką, naprawdę wielką przyjemnością pragnę państwa powiadomić, na jaki cel pójdą uzyskane z nich dochody. Ostatniej jesieni straciliśmy cenionego ucznia. Wszyscy oplakiwaliśmy śmierć Vincenta Knowlesa, która nadeszła dużo, dużo, dużo za wcześnie.

Na widowni zapadła martwa cisza.

- W tym samym wypadku poważnie oszpecona została uczennica, którą wszyscy znacie, jedna z wiodących postaci naszej szkolnej społeczności. Pan Amberson i pani Dunhill zapisali Robertę Jillian Allnut na operację plastyczną twarzy w czerwcu w Dallas. Państwa Allnut nie będzie to nic kosztować; jak powiadomił mnie pan Sylvester, który pełni funkcję księgowego „Jodie Jamboree”, koledzy i koleżanki Bobbi Jill... i całe miasto... zapewnili, że w całości pokryją koszty zabiegu.

Nastąpiła chwila ciszy i kiedy wreszcie do wszystkich dotarło, co to znaczy, porwali się na nogi. Aplauz był jak letnia burza. Zobaczyłem Bobbi Jill na trybunie. Płakała z twarzą ukrytą w dłoniach. Rodzice obejmowali ją ramionami.

To był jeden wieczór w małej mieścinie, jednej z tych dziur daleko od szosy, które właściwie nie obchodzą nikogo oprócz mieszkających tam ludzi. Ale to nic, bo ich one obchodzą. Spojrzałem na Bobbi Jill, szlochającą w dłonie. Spojrzałem na Sadie. Miała krem we włosach. Uśmiechnęła się. Ja też. Powiedziała bezgłośnie: „Kocham cię, George”. Odpowiedziałem: „Ja ciebie też”. Tego wieczora kochałem ich wszystkich i siebie samego za to, że z nimi byłem. Nigdy przedtem nie czułem się tak pełen życia ani tak szczęśliwy, że żyję. Rzeczywiście, jak mogłem to wszystko zostawić?

Awantura wybuchła dwa tygodnie później.

To była sobota, dzień zakupów. Sadie i ja mieliśmy w zwyczaju robić je razem w sklepie Weingarten's przy drodze numer 77. Chodziliśmy z wózkami obok siebie, cieszyliśmy się swoim towarzystwem i przy płynących z góry dźwiękach Mantovaniego przebieraliśmy w owocach i szukaliśmy najlepszych okazji w dziale mięsnym. Można było dostać praktycznie każdą część mięsa, jaką się chciało, byle była to wołowina albo kurczak. Mnie to odpowiadało; nawet po prawie trzech latach wciąż byłem pod wrażeniem śmiesznie niskich cen.

Poza tym tego dnia moje myśli zaprzętało coś innego: rodzina Hazzardów mieszkająca na Mercedes 2706, po drugiej stronie ulicy i nieco na lewo od rozpadającego się dwupoziomowego domu, do którego wkrótce miał się wprowadzić Lee Oswald. „Jodie Jamboree” zabrało mi mnóstwo czasu, ale tej wiosny zdołałem trzy razy odwiedzić Mercedes Street. Zostawiałem forda na parkingu w centrum Fort Worth i przesiadałem się do jadącego Winscott Road autobusu, który miał przystanek paręset metrów dalej. Na te wyprawy przebierałem się w dżinsy, zdarte buty i spraną kurtkę dżinsową, którą kupiłem na wyprzedaży rzeczy używanych. Moje wytłumaczenie, gdyby ktoś go zażądał: szukam taniego lokum do wynajęcia, bo właśnie dostałem robotę nocnego stróża w Texas Sheet Metal w zachodnim Fort Worth. To czyniło mnie osobą godną zaufania (pod warunkiem że nikt tego nie sprawdzi) i wyjaśniało, dlaczego za dnia w domu będzie cicho, a okna będą pozasłaniane.

Podczas moich przechadzek Mercedes Street do magazynu Montgomery Ward i z powrotem (zawsze z gazetą otwartą na ogłoszeniach o mieszkaniach do wynajęcia), widywałem pana Hazzarda, olbrzyma po trzydziestce, dwójkę dzieci, z którymi nie chciała się bawić Rosette, i starą kobietę o zastygłej twarzy, powłóczącą nogą. Przy jednej okazji mama Hazzarda - stała wtedy obok skrzynki na listy - przyglądała mi się podejrzliwie, gdy niespiesznie szedłem obok niej w wyżłobieniu w ziemi, które służyło za chodnik, ale nic nie powiedziała.

Na moim trzecim zwiadzie zobaczyłem zardzewiałą starą przyczepę doczepioną do pikapa Hazzarda. On i dzieci ładowali na nią pudła, podczas gdy starsza pani stała w pobliżu wśród świeżo pozieleniałych paluszników, wsparta na lasce, z twarzą wykrzywioną w poudarowym grymasie, który maskował wszelkie uczucia. Gotów byłem się założyć, że czuła tylko obojętność. Ja za to byłem szczęśliwy. Hazzardowie się wyprowadzali. Jak tylko to zrobią, prosty robot George Amberson wynajmie dom pod numerem 2706. Teraz musiałem tylko dopilnować, by być pierwszy w kolejce.

I właśnie o tym, jak to załatwić, myślałem, kiedy robiliśmy nasze sobotnie zakupy. Z pozoru zachowywałem się normalnie, odpowiadałem na uwagi Sadie, czyniłem stosowne komentarze, żartowałem z niej, kiedy za długo sterczała przy gablocie z nabiałem, wypchnąłem obładowany zakupami wózek na parking, włożyłem torby do bagażnika ford. Jednak robiłem to wszystko na autopilocie, bo moje myśli zaprzętała logistyka przygotowań w Fort Worth, i to mnie zgubiło. Nie uważałem, co mówię, a to niebezpieczne, kiedy człowiek prowadzi podwójne życie.

Nie uważałem też, co śpiewam, kiedy wiozłem Sadie do jej domu i siedziała cicho (za cicho) obok mnie. Śpiewałem dlatego, że w fordzie wysiadło radio. W dodatku rzęziły zawory. Sunliner nadal wyglądał elegancko i z różnych powodów byłem do niego przywiązany, ale minęło siedem lat, odkąd zjechał z linii montażowej, i miał ponad sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów na liczniku.

Zaniosłem wszystkie zakupy Sadie do kuchni za jednym podejściem, heroicznie postępując i chwiejąc się na nogach dla dramatycznego efektu. Nie zauważyłem, że się nie uśmiechała, i nie miałem pojęcia, że nasza krótka odwilż dobiegła końca. Wciąż myślałem o Mercedes Street i zastanawiałem się, jakie przedstawienie będę tam musiał odegrać - czy raczej jak wielkie przedstawienie. To będzie delikatna sytuacja. Chciałem być znajomą twarzą, bo na znajomych nie zwraca się uwagi, ale nie chciałem się niczym wyróżniać. No i byli jeszcze Oswaldowie. Ona nie znała angielskiego, on był z natury zimny jak ryba, i wszystko to pięknie, ale dom pod numerem 2706 to jednak bliskie sąsiedztwo. Przeszłość może i jest nieustępliwa, ale też delikatna jak domek z kart i musiałem uważać, by jej za szybko nie zmienić. Dlatego będę musiał...

Wtedy Sadie odezwała się do mnie i wkrótce potem życie, jakie poznałem (i pokochałem) w Jodie, legło w gruzach.

11

- George? Mogę cię prosić do salonu? Chcę z tobą porozmawiać.

- Może najpierw schowaj mieloną wołowinę i schabowe do lodówki? I zdaje się, że lody...

- A niech się roztopią! - krzyknęła i to błyskawicznie wyrwało mnie z zamyślenia.

Odwróciłem się do niej, ale już była w salonie. Wzięła papierosy ze stolika obok kanapy i zapaliła jednego. Na moje delikatne sugestie próbowała ograniczyć palenie (przynajmniej przy mnie), więc ten gest Wydawał się jakoś bardziej złowieszczy od jej

podniesionego głosu.

Wszedłem do salonu.

- O co chodzi, kochanie? Coś nie tak?

- Wszystko. Co to była za piosenka?

Miała bladą, zaciętą twarz. Trzymała papierosa przed ustami jak tarczę. Zaczęło do mnie docierać, że popełniłem jakiś błąd, ale nie miałem pojęcia jaki ani kiedy, i to mnie przerażało.

- Nie wiem, o czym mówię...

- Ta piosenka, którą śpiewałeś w samochodzie, kiedy jechaliśmy do domu. Ta, którą ryczałeś na całe gardło.

Próbowałem sobie przypomnieć, ale nie mogłem. Pamiętałem tylko, jak myślałem, że na Mercedes Street zawsze będę się musiał nosić jak ubogi robotnik, żeby pasować do otoczenia. Jasne, że śpiewałem, ale często to robię, kiedy błędzę myślami - jak chyba wszyscy, nie?

- Pewnie jakiś nowy przebój. Coś, co utkwiło mi w głowie. Wiesz, że z piosenkami tak jest. Nie rozumiem, co cię tak zdenerwowało.

- Coś, co słyszałeś przez radio? Z tekstem „Spotkałem w Memphis dziewczynę, która przesiąkniętą królową, na górę mnie zapraszała na to i owo”?

Nie tylko serce we mnie upadło; wydawało się, że wszystko pod moją szyją bardzo się obniżyło. „Honky Tonk Women”. Tak, śpiewałem piosenkę, która zostanie nagrana za siedem czy osiem lat, w wykonaniu zespołu, który dopiero za trzy lata będzie miał swój pierwszy hit w Stanach. Myślami byłem gdzie indziej, ale mimo to - jak mogłem być aż tak głupi?

- „Nos mi wysmarkała i w głowie namieszała”? W radiu? Federalna Komisja Łączności zamknęłaby stację, która puściłaby coś takiego!

Wtedy powoli ogarnęła mnie złość. Głównie na siebie samego... ale nie tylko. Ja tu, kurde, balansowałem na linie, a ta darła się na mnie z powodu kawałka Rolling Stonesów.

- Wyluzuj, Sadie. To tylko piosenka. Nie wiem, gdzie ją słyszałem.

- Kłamiesz i oboje dobrze o tym wiemy. - Świrujesz. Może lepiej zabiorę swoje zakupy i pojedę do domu. - Próbowałem zachować spokojny ton. Brzmiał bardzo znajomo. Tak właśnie zawsze próbowałem mówić do Christy, kiedy wracała do domu na gazie. Przekrzywiona spódnica, bluzka do połowy wywleczonej na wierzch, włosy każdy w inną stronę. Nie wspominając o rozmazanej szmince. O brzeg kieliszka czy o usta innej ómy barowej?

Na samą myśl o tym wściekłem się jeszcze bardziej. Znowu wszystko nie tak,

pomyślałem. Nie wiedziałem, czy chodzi mi o Sadie, Christy czy o mnie, ale w tej chwili miałem to gdzieś. Nigdy nie jesteśmy bardziej źli niż wtedy, kiedy dajemy się przyłapać, prawda?

- Lepiej powiedz, gdzie słyszałeś tę piosenkę, jeśli chcesz tu jeszcze kiedykolwiek wrócić. I gdzie słyszałeś to, co powiedziałeś do chłopaka w kasie, kiedy zaproponował, że zapakuje kurczaka w dwie torby, żeby z niego nie ciekło.

- Nie mam pojęcia, co...

- „Zajebicie”, tak powiedziałeś. Lepiej powiedz mi, gdzie ty to usłyszał. I „dawać czadu”. I „fruwa moja marynara”. I „kręcić kuperkiem”. „Wyluzuj” i „świrujesz”, te wyrażenia też mnie ciekawią. Używasz ich ty i nikt inny. Chcę wiedzieć, dlaczego tak się wystraszyłeś tego kretyńskiego skandowania „Jimla”, że mówisz o nim przez sen. Chcę wiedzieć, gdzie leży Derry i dlaczego jest takie jak Dallas. Chcę wiedzieć, czy byłeś żonaty, bo czasem widzę, jak bawisz się palcem serdecznym lewej dłoni, jakbyś kiedyś nosił tam obrączkę. Chcę wiedzieć, gdzie byłeś, zanim przyjechałeś na Florydę, bo Ellie Dockerty tego nie wie, twierdzi, że część twoich referencji jest fałszywa. „Wydają się zmyślane”, tak to ujęła.

Byłem pewien, że Ellen nie dowiedziała się tego od Deke'a... ale się dowiedziała. Szczerze mówiąc, nawet mnie to szczególnie nie zaskoczyło, ale byłem wściekły, że wypaplała to Sadie.

- Nie miała prawa ci tego powiedzieć!

Zgasiała papierosa z rozmachem, po czym otrząsnęła dłoń oparzoną wzbitymi w powietrze drobinkami żaru.

- Czasem mam wrażenie, że jesteś z... nie wiem... innego wszechświata! Takiego, w którym śpiewają o rżnięciu pijanych kobiet z M-Memphis! Próbowałam sobie wmówić, że to bez znaczenia, że m-miłość przewycięży wszystko, ale to nieprawda. Nie przewycięży kłamstw. - Głos jej zadrżał, ale się nie rozplakała. Patrzyła mi w oczy. Gdybym w jej oczach widział samą złość, byłoby trochę łatwiej. Ale widziałem też błaganie.

- Sadie, gdybyś mogła tylko...

- Nie. Już nie. Dlatego nie zaczynaj mi tu opowiadać o tym, jak to nie robisz nic, czego byś się wstydził i czego wstydziłabym się ja. O tym sama muszę zdecydować. Wybór jest prosty: albo zniknie miotła, albo ty.

- Gdybyś wiedziała, nie mówiłabyś...

- To mi powiedz!

- Nie mogę. - Gniew pękł jak przekłuty balon, pozostawiając tylko otepienie.

Spuściłem oczy z jej zaciętej twarzy i moje spojrzenie przypadkiem padło na biurko. To, co zobaczyłem, zaparło mi dech w piersi.

Był tam mały stosik podań o pracę na czas jej pobytu w Reno nadchodzącego lata. To na wierzchu było zaadresowane do Harrah's Hotel and Casino. W pierwszej linijce starannie wypisała drukowanymi literami swoje dane. Włącznie z drugim imieniem, o które nigdy nie przyszło mi do głowy jej zapytać.

Bardzo powoli opuściłem dłonie i zasłoniłem kciukami jej pierwsze imię i drugą sylabę panińskiego nazwiska. Zostało DORIS DUN.

Pamiętałem dzień, kiedy rozmawiałem z żoną Franka Dunninga, podając się za spekulanta nieruchomościami zainteresowanego Ośrodkiem Rekreacji West Side. Była dwadzieścia lat starsza od Sadie Doris Clayton, z domu Dunhill, ale obie kobiety miały niebieskie oczy, alabastrową skórę, zgrabną sylwetkę i pełne piersi. Obie paliły. To wszystko mogło być zbiegiem okoliczności, ale nie było. I ja to wiedziałem.

- Co ty robisz? - Oskarżycielski ton oznaczał, że należy to rozumieć jako „dlaczego ciągle się wykręcasz i unikasz odpowiedzi”, ale nie byłem już zły. Wprost przeciwnie.

- Jesteś pewna, że on nie wie, gdzie jesteś? - spytałem.

- Kto? Johnny? Mówisz o Johnnym? Dlaczego... - Wtedy stwierdziła, że to na nic. Wyczytałem to z jej twarzy. - George, idź już.

- Przecież może się tego dowiedzieć - powiedziałem. - Bo wiedzą to twoi rodzice, a oni świata poza nim nie widzą, sama tak mówiłaś.

Zrobiłem krok w jej kierunku. Cofnęła się. Tak jak ludzie cofają się przed człowiekiem, którego zachowanie wskazuje, że postradał zmysły. Widziałem strach w jej oczach, widziałem niezrozumienie, a mimo to nie mogłem się powstrzymać. Pamiętajcie, że sam też byłem przerażony.

- Nawet gdybyś im zabroniła dać mu twój adres, wyciągnąłby go z nich. Bo jest czarujący. Dobrze mówię, Sadie? Kiedy nie myje obsesyjnie rąk, nie układa alfabetycznie książek i nie mówi o tym, jak ohydną rzeczą jest dostać erekcji, jest czarujący. Ciebie oczarował, i to jak.

- Proszę, George, wyjdź. - Głos jej drżał.

Zrobiłem jeszcze jeden krok w jej stronę. Ona cofnęła się, utrzymując dystans między nami, uderzyła plecami w ścianę... i skuliła się. Ten widok był jak policzek wymierzony histerykowi albo chluśnięcie zimną wodą w twarz lunatyka. Wycofałem się do łukowatego przejścia między salonem a kuchnią, z rękami podniesionymi na wysokość twarzy w geście kapitulacji. I to była kapitulacja.

- Idę. Ale, Sadie...

- Po prostu nie rozumiem, jak mogłeś to zrobić. - Łzy powoli spływały po jej policzkach. - I dlaczego nie chcesz tego naprawić. Tak dobrze nam było razem.

- Nadal jest.

Pokręciła głową. Powoli, ale stanowczo.

Przeciąłem kuchnię, czując się, jakbym unosił się nad ziemią, wyjąłem kubek lodów waniliowych z jednej z toreb stojących na blacie i włożyłem go do zamrażalnika lodówki Coldspot. Jakaś mała cząstka mojego ja myślała, że to tylko zły sen i zaraz się obudzę. Wszystkie pozostałe nie były tak naiwne.

Sadie stała w łukowatym przejściu i obserwowała mnie. W jednej dłoni trzymała nowego papierosa, w drugiej podania o pracę. Teraz, kiedy to dostrzegłem, podobieństwo do Doris Dunning było niesamowite. W związku z tym rodziło się pytanie: dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej? Bo byłem zaprzątnięty innymi sprawami? A może dlatego, że wciąż jeszcze nie w pełni do mnie docierało, z jak potężnymi siłami igrałem?

Wyszedłem i stanąłem na ganku, patrząc na nią przez siatkę przeciwko owadom.

- Uważaj na niego, Sadie.

- Johnny w wielu sprawach ma nie po kolei, ale nie jest niebezpieczny - stwierdziła. - A moi rodzice za nic w świecie nie powiedzieliby mu, gdzie jestem. Obiecali.

- Ludzie mogą łamać obietnice i mogą tracić panowanie nad sobą. Zwłaszcza jeśli żyją w dużym stresie i tak czy tak są niezrównoważeni.

- Idź już, George.

- Pójdę, jeśli obiecasz, że będziesz na niego uważać.

- Obiecuję, obiecuję, obiecuję! - krzyknęła. To, jak papieros drżą - w jej palcach, było złe; połączenie szoku, poczucia straty, żalu i gniewu w jej przekrwionych oczach było dużo gorsze. Czułem na sobie ich spojrzenie przez całą drogę do samochodu.

Cholerni Stonesi.

ROZDZIAŁ 17

1

Na kilka dni przed początkiem sprawdzianów końcowych Ellen Dockerty wezwała mnie do swojego gabinetu. Kiedy zamknęła drzwi, powiedziała:

- Przepraszam za kłopoty, które spowodowałam, George, ale gdybym miała to zrobić jeszcze raz, chyba postąpiłabym dokładnie tak samo.

Nie odpowiedziałem. Nie byłem już zły, tylko oszołomiony. Od zerwania z Sadie prawie nie spałem i coś czułem, że w najbliższej przyszłości czwarta nad ranem i ja zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

- Przepisy oświatowe stanu Teksas, paragraf dwudziesty piąty - powiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Słucham?

- To Nina Wallingford zwróciła mi na to uwagę. - Nina była pielęgniarzką rejonową. W każdym roku szkolnym pokonywała dziesiątki tysięcy kilometrów swoim fordem ranch wagon, krążąc między ośmioma szkołami w powiecie Denholm, z których trzy wciąż miały tylko jedną-dwie sale. - Paragraf dwudziesty piąty mówi o szczepieniach obowiązkowych. Podlegają im i uczniowie, i nauczyciele, a Nina zauważyła, że nie ma twojej karty szczepień. Ani w ogóle żadnej dokumentacji medycznej, nawiasem mówiąc.

A zatem stało się. Fałszywy nauczyciel zdemaskowany przez brak szczepionki na Heinego-Medina. Cóż, przynajmniej nie wpadłem z powodu znajomości Rolling Stonesów czy niestosownego używania slangu disco.

- Byłeś zajęty „Jamboree” i całą resztą, więc pomyślałam sobie, że napiszę do szkół, w których uczyłeś, i oszczędzę ci kłopotu. Z Florydy dostałam list z informacją, że nie wymagają kart szczepień od nauczycieli na zastępstwach. Z Maine i Wisconsin odpisali: „Nie słyszeliśmy o nim”.

Wychyliła się nad biurkiem, patrząc na mnie. Nie mogłem długo wytrzymać jej spojrzenia. Zanim ponownie opuściłem wzrok na grzbiety moich dłoni, zauważyłem w jej oczach nieznośne współczucie.

- Czy kuratorium stanowe obchodziłoby to, że zatrudniliśmy oszusta? Bardzo.

Mogliby nawet zażądać przed sądem zwrotu twoich wynagrodzeń za ostatni rok. Czy obchodzi to mnie? Wcale. Swoją pracę wykonywałaś wzorowo. To, co zrobiliście z Sadie dla Bobbi Jill Allnut, było po prostu wspaniałe, godne nominacji na Nauczyciela Roku.

- Dzięki - mruknąłem. - Chyba.

- Myślałam, żeby pójść z tym do Deke'a, ale zamiast tego zadałam sobie pytanie, co zrobiłaby Mimi Corcoran. I Meems powiedziała mi: „Gdyby podpisał umowę na jeszcze rok czy dwa lata, byłabyś zmuszona działać. Skoro jednak za miesiąc odchodzi, tak naprawdę w interesie twoim... i szkoły... jest nic nie mówić”. Potem dodała: „Ale jest jedna osoba, która musi się dowiedzieć, że on nie jest tym, za kogo się podaje”.

Ellie zawiesiła głos.

- Powiedziałam Sadie, że na pewno masz jakieś racjonalne wytłumaczenie, ale widzę, że tak nie jest.

Zerknąłem na zegarek.

- Jeśli mnie nie zwalniasz, Ellie, muszę wracać do klasy. Dziś przerabiamy rozbiór logiczny zdania. Zastanawiam się, czy nie zadać im zdania złożonego o treści „Jestem w tej sprawie bez winy, ale nie mogę powiedzieć dlaczego”. Jak sądzisz? Za trudne?

- Dla mnie na pewno - odparła uprzejmie.

- Jeszcze jedno - powiedziałem. - Sadie ma za sobą trudne małżeństwo. Jej mąż to dziwny człowiek, w szczególności wolałbym nie wchodzić. Nazywa się John Clayton. Sądzę, że może być niebezpieczny. Musisz spytać Sadie, czy ma jego zdjęcie, żebyś wiedziała, jak wygląda, w razie gdyby się zjawił i zaczął zadawać pytania.

- A sądzisz tak, bo...?

- Bo kiedyś już byłem świadkiem podobnej sytuacji. Wystarczy?

- Chyba musi, prawda?

To nie była zadowalająca odpowiedź.

- Zapytasz ją o zdjęcie?

- Tak, George. - Może mówiła serio; może tylko na odwal się. Skąd miałem wiedzieć?

Kiedy już byłem przy drzwiach, powiedziała niby od niechcienia:

- Łamiesz tej dziewczynie serce.

- Wiem. - I wyszedłem.

2

Mercedes Street. Koniec maja.

- Spawacz, co?

Stałem na ganku domu pod numerem 2706 z jego właścicielem. Jay Baker, porządny Amerykanin, był przy kości, z wielkim brzuszyskiem, które nazywał „piwnym domkiem”. Właśnie skończyliśmy krótki obchód budynku, który, jak wyjaśnił Baker, był „o rzut beretem od przystanku autobusowego”, jakby to miało zrekompensować uginające się sufity, zacieki na ścianach, popękana spłuczka i ogólną dewastację.

- Nocny stróż - powiedziałem.

- Taa? Dobra fucha. Dużo czasu, żeby pierdzieć w stołek.

Nie sądziłem, by to wymagało odpowiedzi.

- Żona? Dzieci?

- Rozwiedziony. Zostali na wschodzie. - Alimony płacisz?

Wzruszyłem ramionami.

Zostawił ten temat.

- To jak, Amberson, bierzesz ten dom?

- Myślę, że tak. - Westchnąłem.

Wyjął z tylnej kieszeni podłużną książeczkę czynszową w luźnej skórzanej okładce.

- Pierwszy miesiąc, ostatni miesiąc, depozyt na pokrycie szkód.

- Depozyt? Pan chyba żartuje.

Baker mówił dalej, jakby mnie nie usłyszał.

- Czysz musi wpłynąć do ostatniego piątku miesiąca. Wpłacisz za mało albo za późno i wylatujesz na bruk w asyście policji z Fort Worth. Mam z nimi bardzo dobre układy.

Wyjął z kieszeni na piersi osmalony niedopałek cygara, wcisnął przeżuty koniec do gęby i zapalił drewnianą zapałkę od paznokcia kciuka. Na ganku było gorąco. Czułem, że to będzie długie, upalne lato.

Westchnąłem znowu. Potem - z ostentacyjną niechęcią - wyjąłem portfel i zacząłem wyciągać banknoty dwudziestodolarowe.

- Bogu ufamy - stwierdziłem. - Pozostali płacą gotówką.

Zaśmiał się, wydmuchując kłęby gryzącego sinego dymu.

- Dobrze, będę to pamiętał. Zwłaszcza w ostatni piątek miesiąca. Nie mogłem uwierzyć, że zostawiam mój ładny domek na południe stąd - gdzie z dumą pielęgnowałem prawdziwy trawnik - na rzecz tej nędznej rudery na tej nędznej ulicy. Choć jeszcze nie opuściłem Jodie na dobre, już ogarnęła mnie tęsknota.

- Poproszę rachunek - powiedziałem.

Tyle dostałem za darmo.

3

Był ostatni dzień lekcji. Klasy i korytarze stały puste. Wentylatory pod sufitem młóciły powietrze, które już było gorące, choć mieliśmy dopiero ósmy czerwca. Rodzina Oswaldów opuściła Rosję; według notatek Ala Templetona za pięć dni SS „Maasdam” zawinie do Hoboken, gdzie zejdą po trapie na ziemię amerykańską.

W pokoju nauczycielskim był tylko Danny Laverty.

- Hej, mistrzu. Słyszałem, że jedziesz do Dallas dokończyć tę twoją książkę.

- Taki mam plan. - Tak naprawdę jechałem do Fort Worth, przynajmniej na razie. Zaczęłem opróżniać moją przegródkę wypchaną komunikatami związanymi z końcem roku szkolnego.

- Gdybym był wolny jak ptak, a nie przykuty do żony, trzech szkrabów i hipoteki, może sam spróbowałbym napisać książkę - powiedział Danny. - Wiesz, walczyłem na wojnie.

Wiedziałem. Wiedział to każdy, kto rozmawiał z nim choć dziesięć minut.

- Masz z czego żyć? - zapytał.

- Poradzę sobie.

Dzięki dziewięciu miesiącom regularnych pensji miałem w banku prawie dwanaście tysięcy dolarów. To z powodzeniem wystarczy mi do następnego kwietnia, kiedy to, jak sądziłem, załatwię sprawę Lee Oswalda. Nie będą potrzebne kolejne wyprawy do Faith Financial na Greenville Avenue. Nawet ta jedna była straszliwą głupotą. Gdybym chciał, mógłbym sobie wmówić, że to, co się stało z moim domem na Florydzie, było tylko skutkiem tragicznie zakończonego kawału, ale wmawiałem też sobie, że między mną i Sadie wszystko jest w porządku, i proszę, co z tego wyszło.

Stertę papierów z przegródki wyrzuciłem do kosza... i zobaczyłem małą zaklejoną kopertę, która jakimś cudem umknęła mojej uwagi. Wiedziałem, kto używa takich kopert. Na kartce w środku nie było pozdrowienia ani żadnego podpisu, tylko słaby (może nawet urojony) zapach jej perfum. Wiadomość była krótka.

Dziękuję, że mi pokazałeś, jak może być pięknie. Proszę, nie żegnaj się.

Trzymałem list przez minutę, zamyślony, po czym schowałem go do tylnej kieszeni i szybko poszedłem do biblioteki. Nie wiem, co planowałem zrobić i co zamierzałem jej powiedzieć, ale to i tak nie miało znaczenia, bo w bibliotece było ciemno i krzesła stały na stołach. Mimo to spróbowałem przekręcić gałkę w drzwiach. Były zamknięte na klucz.

Na części parkingu zarezerwowanej dla kadry zostały tylko dwa samochody: plymouth sedan Danny'ego Laverty'ego i mój ford, teraz już dość zmaltratowany. Ja też byłem cokolwiek zmaltratowany.

- Panie A! Pan poczeka, panie A!

Mike i Bobbi Jill biegli do mnie przez gorący parking. Mike niósł mały zapakowany prezent. Podał mi go.

- My z Bobbi coś panu kupili.

- Kupiliśmy. I nie trzeba było, Mike.

- Musieliśmy.

Byłem wzruszony, kiedy zobaczyłem, że Bobbi Jill płacze, i zadowolony, że gruba warstwa fluidu Maxa Factora zniknęła z jej twarzy. Teraz, kiedy wiedziała, że dni szpecącej blizny są policzone, nie próbowała już jej ukrywać. Pocałowała mnie w policzek.

- Bardzo, bardzo, bardzo panu dziękuję, panie Amberson. Nigdy pana nie zapomnę. - Spojrzała na Mike'a. - Obydwoje nigdy pana nie zapomnimy.

I pewnie nie zapomną. To dobrze. Nie wynagrodzi mi to tej zamkniętej i ciemnej biblioteki, ale tak - to bardzo dobrze.

- Proszę rozpakować - powiedział Mike. - Mamy nadzieję, że się panu spodoba. To do pańskiej książki.

Otworzyłem paczuszkę. W środku było drewniane pudełko, a w nim, zawinięte w jedwab, leżało pióro Waterman z inicjałami GA wygrawerowanymi na klipsie.

- Och, Mike - powiedziałem. - To za dużo.

- To by nie wystarczyło, nawet gdyby było ze szczerego złota - odparł. - Zmienił pan moje życie. - Spojrzał na Bobbi. - Życie nas obojga.

- Mike, to była dla mnie przyjemność.

Uściskał mnie, a w 1962 roku nie jest to tani gest między mężczyznami. Z przyjemnością odwzajemniłem uścisk.

- Niech pan będzie w kontakcie - poprosiła Bobbi Jill. - Dallas przecie niedaleko... - Zawiesiła głos. - Przecież.

- Oczywiście - zapewniłem, ale ani ja nie będę w kontakcie z nimi, ani zapewne oni ze mną. Odchodzili, by żyć własnym życiem, życiem, które, jeśli dopisze im szczęście, będzie pełne blasku.

Ruszyli w swoją stronę, po czym Bobbi odwróciła się do mnie.

- Szkoda, że się państwo rozstaliście. Strasznie mi przykro.

- Mnie też - powiedziałem - ale tak prawdopodobnie będzie najlepiej.

Pojechałem do domu spakować maszynę do pisania i resztę mojego dobytku, który wciąż był dość skromny, by zmieścić się w walizce i kilku tekturowych pudłach. Na czerwonym świetle na Main Street otworzyłem małe pudełeczko i spojrzałem na pióro. Było piękne i bardzo byłem wzruszony, że mi je podarowali. Jeszcze bardziej wzruszyło mnie to, że zaczekali, by się ze mną pożegnać. Zapaliło się zielone światło. Zatrzasnąłem wieko pudełeczka i ruszyłem dalej. Miałem gulę w gardle, ale moje oczy były suche.

5

Życie na Mercedes Street nie było budującym doświadczeniem.

Dni nie były takie złe. Rozbrzmiewały okrzykami wypuszczonych ze szkoły dzieci ubranych w za duże ciuchy po starszym rodzeństwie; biadoleniem gospodyń domowych stojących przy skrzynkach na listy albo rozwieszających pranie na podwórkach; hałasem prowadzonych przez nastolatków zardzewiałych rzeźbów z tłumikami przelotowymi i ryczącymi radiami ustawionymi na K-Life. Między drugą w nocy a szóstą rano też nie było najgorzej. Wówczas, gdy dręczona kolka niemowlęta wreszcie zasypiały w swoich łóżeczkach (albo szufladach komody), a ich ojcowie chrapali przed następnym dniem pracy na godziny w sklepach, fabrykach lub na okolicznych farmach, na ulicy panowała jakby otępiała cisza.

Jednak między czwartą a szóstą po południu Mercedes Street wybuchała jazgotem mamusí wołających dzieci do domu, bo obowiązki czekają, i tatusiów wracających z pracy i wrzeszczących na żony prawdopodobnie dlatego, że nie mieli nikogo innego, na kogo mogliby powrzeszczeć. Wiele żon odpłacało im się pięknym za nadobne. Koło ósmej zaczęli wracać tatusiowie pijacy, a największy hałas robił się koło jedenastej, kiedy albo zamykano bary, albo kończyły się pieniądze. Wtedy słyszałem trzaskanie drzwiami, brzęk tłuczonych szyb i okrzyki bólu, gdy jakiś nawalony tatuś pijak wyżywał się na żonie, dzieciach albo całej rodzinie. Przez moje zaciągnięte zasłony często przebijały migające czerwone światła radiowozów. Parę razy rozległy się strzały, może wymierzone w niebo, może nie. I pewnego wczesnego ranka, kiedy wyszedłem po gazetę, zobaczyłem kobietę z dolną połową twarzy pokrytą skorupą zaschniętej krwi. Siedziała na krawężniku cztery domy dalej i piła piwo Lone Star z puszki. Prawie poszedłem sprawdzić, co jej się stało, choć wiedziałem, jak nierozsądnie byłoby angażować się w życie tej podłej, robotniczej dzielnicy.

Kiedy zauważyła, że na nią patrzę, pokazała mi środkowy palec. Wróciłem do domu.

Nie było komitetu powitalnego ani pań imieniem Muffy lub Buffy drepczących na zebrania Klubu Kobiet. Na Mercedes Street było za to dużo czasu na myślenie. Na to, by tęsknić za przyjaciółmi z Jodie i za pracą, która odwracała moje myśli od tego, po co tu przybyłem. Na to, by uświadomić sobie, że nauczanie było czymś więcej niż tylko sposobem zabicia czasu; że zaspokajało moje potrzeby intelektualne jak każde zajęcie, na którym człowiekowi zależy, które daje mu poczucie, że robi coś, co być może rzeczywiście ma znaczenie.

Było nawet dość czasu na to, by poużalać się nad moim niegdyś eleganckim kabrioletem. Oprócz tego, że nie działało radio i rzeziły zawory, teraz jeszcze wyl i strzelał z zardzewiałej rury wydechowej a przednią szybę miał pękniętą po kontakcie z kamieniem, który zleciał z potężnej ciężarówki z asfaltem. Przestałem go myć i dlatego - smutno przyznać - idealnie się dopasował do pozostałych zdezelowanych środków transportu na Mercedes Street.

Przede wszystkim był czas na to, by myśleć o Sadie.

„Łamiesz tej dziewczynie serce”, powiedziała Ellie Dockerty a z moim sercem też nie było najlepiej. Pewnej nocy, kiedy leżałem z otwartymi oczami i słuchałem pijackiej kłótni sąsiadów - zrobiłeś to, wcale nie, zrobiłeś, nie, pierdol się - przyszło mi do głowy, by wyznać jej całą prawdę. Odrzuciłem ten pomysł, następnego nocy jednak powrócił ze świeżymi siłami. Widziałem, jak siedzę z nią przy stole w jej kuchni i piję kawę w mocnym popołudniowym słońcu, które wpada ukosem przez okno nad zlewem. Jak mówię spokojnie. Jak wyznaję, że naprawdę nazywam się Jacob Epping, że faktycznie urodzę się dopiero za czternaście lat, że przybyłem z roku 2011 przez szczelinę w czasie, którą mój nieżyjący przyjaciel Al Templeton nazywał króliczą norą.

Jak miałbym ją o czymś takim przekonać? Mówiąc jej, że pewien amerykański uchodźca polityczny, który zmienił zdanie na temat Rosji, wkrótce wprowadzi się do domu naprzeciwko tego, w którym teraz mieszkam, wraz ze swoją rosyjską żoną i małą córeczką? Że Dallas Texans - jeszcze nie Cowboys, jeszcze nie Drużyna Ameryki - tej jesieni pokonają Houston Oilers 20 do 17 po dwóch dogrywkach? Absurd. A co jeszcze wiedziałem o najbliższej przyszłości? Niewiele, bo nie miałem czasu się doksztalić. Wiedziałem sporo o Oswaldzie, ale to wszystko.

Uznałaby, że zwariowałem. Mogłem zaśpiewać jej kilkanaście innych piosenek pop, których jeszcze nie nagrano, a i tak dalej miałyby mnie za szaleńca. Zarzuciłaby mi, że wymyśliłem je na poczekaniu - w końcu czy nie byłem pisarzem? A nawet gdyby w to

uwierzyła? Czy chciałem zaciągnąć ją ze sobą w paszczę rekina? Czy już nie dość złe było to, że w sierpniu wróci do Jodie i że jeśli John Clayton jest echem Franka Dunninga, może będzie jej szukał?

- Dobrze, w takim razie fora ze dwóra! - krzyknęła kobieta na ulicy.

Jakiś samochód dodał gazu i popędził w stronę Winscott Road. Klin światła na chwilę wsunął się w szparę między moimi zaciągniętymi zasłonami i przemknął po suficie.

- LACHOCIĄG! - wrzasnęła za samochodem, na co męski głos, nieco bardziej odległy, odkrzyknął:

- Te, lala, chodź, obciągnij mojego, może to cię uspokoi.

Takie było życie na Mercedes Street latem 1962 roku.

Nie mieszaj jej do tego - tak mówił głos rozsądku. Czy ją przekonasz, czy nie, nie ma nic do rzeczy. To po prostu zbyt niebezpieczne. Może kiedyś znów będziesz mógł z nią być - może nawet w Jodie - ale nie teraz.

Tyle że w Jodie nie było już dla mnie miejsca. Zważywszy na to, co Ellen wiedziała o mojej przeszłości, posada nauczyciela była marzeniem ściętej głowy. A cóż innego miałbym robić? Wylewać beton?

Pewnego ranka nastawiłem kawę i poszedłem wziąć gazetę z ganku. Kiedy otworzyłem drzwi, zobaczyłem, że z obu tylnych opon sunlinera uszło powietrze. Jakiś znudzony, pętający się po nocy małałat przeciął je nożem. Takie było życie na Mercedes Street latem sześćdziesiątego drugiego roku.

6

W czwartek czternastego czerwca ubrałem się w dżinsy, niebieską koszulę roboczą i starą skórzaną kamizelkę kupioną w sklepie z rzeczami używanymi na Camp Bowie Road. Przez cały poranek chodziłem po domu, jakbym się dokąds wybierał. Nie miałem telewizora, za to słuchałem radia. W wiadomościach podali, że prezydent Kennedy zamierza w tym miesiącu złożyć oficjalną wizytę w Meksyku. Prognoza pogody zapowiadała bezchmurne niebo i upał. Didżej przez jakiś czas plół trzy po trzy, po czym puścił „Palisades Park”. Okrzyki i dźwięki kolejki górskiej w tle utworu wrzynały mi się w głowę.

W końcu nie wytrzymałem. Wiedziałem, że przyjadę za wcześnie, ale miałem to gdzieś. Wsiadłem do sunlinera - który teraz miał dwie bieżnikowane czarne opony z tyłu i dwie białe z przodu - i pokonałem siedemdziesiąt kilometrów dzielących mnie od Love Field w północno-zachodnim Dallas. Nie było parkingu krótko - czy długoterminowego; był po

prostu parking. Kosztował siedemdziesiąt pięć centów za dobę. Nasadziłem na głowę mój stary słomkowy kapelusz i powlokłem się do oddalonego o mniej więcej kilometr terminalu. Przy krawężniku stali dwaj gliniarze pijący kawę, ale w środku nie było ani ochrony, ani wykrywaczy metalu. Pasażerowie tylko pokazywali bilety facetowi przy drzwiach, po czym szli po gorącej płycie lotniska do samolotów należących do jednego z pięciu przewoźników: American, Delta, TWA, Frontier i Texas Airways.

Spojrzałem na tablicę zamontowaną na ścianie za stanowiskiem linii Delta. Podawała, że lot numer 194 przyleci zgodnie z rozkładem. Kiedy dla pewności spytałem o to przedstawicielkę linii, uśmiechnęła się i powiedziała mi, że samolot właśnie wystartował z Atlanty.

- Strasznie wczesnie pan przyszedł.

- Nic na to nie poradzę - powiedziałem. - Na swój pogrzeb też pewnie przyjdę za wczesnie.

Zaśmiała się i życzyła mi miłego dnia. Kupiłem „Time'a” i poszedłem do restauracji, gdzie zamówiłem Siódme Niebo, jak tu nazywano sałatkę szefa kuchni. Porcja była wielka, a ja za bardzo się denerwowałem, żeby być głodny - nie co dzień ma się okazję zobaczyć na własne oczy człowieka, który zmieni dzieje świata - ale przynajmniej miałem w czym dłużyć, czekając na przylot samolotu wiozącego rodzinę Oswaldów.

Siedziałem w boksie, z którego miałem dobry widok na główny terminal. Nie było tłoku i rzuciła mi się w oczy młoda kobieta w ciemnoniebieskim kostiumie podróżnym. Włosy miała upięte w schludny kok. W każdej dłoni trzymała walizkę. Podeszedł do niej bagażowy, Murzyn. Pokręciła z uśmiechem głową i uderzyła ramieniem w mijaną budkę Traveler's Aid. Upuściła jedną walizkę, potarła łokieć, podniosła ją i ruszyła dalej.

To była Sadie. Wyjeżdżała na sześć tygodni do Reno.

Czy byłem zaskoczony? Wcale. To znowu była ta zbieżność, czy jak to nazwać. Zdażyłem do niej przywyknąć. Czy ogarnęła mnie niemal nieodparta pokusa, by wybiec z restauracji i dogonić ją, zanim będzie za późno? Pewnie, że tak.

Przez chwilę wydawało się to więcej niż możliwe; wydawało się to konieczne. Powiedziałbym jej, że to los (a nie jakaś dziwaczna harmonika podróży w czasie) doprowadził do naszego spotkania na lotnisku. W filmach tak się zdarza, czyż nie? Poprosiłbym ją, żeby zaczekała, po czym kupiłbym bilet do Reno i powiedział jej, że wszystko wyjaśnię na miejscu. I po wymaganych prawem sześciu tygodniach moglibyśmy postawić drinka sędziemu, który dał jej rozwód, zanim udzieliłby nam ślubu.

Już zaczynałem się podnosić. Wtedy jednak mój wzrok przypadkiem padł na okładkę

kupionego w kiosku „Time'a”. Była na niej Jacqueline Kennedy. Uśmiechnięta, rozpromieniona, w sukience bez rękawów, z dekoltem w serek. DAMA PREZYDENTA UBRANA NA LATO, głosił podpis. Kiedy tak patrzyłem na to zdjęcie, kolory nagle przeszły w czerń i biel, a radosny uśmiech zmienił się w puste spojrzenie. Teraz Jacqueline Kennedy stała obok Lyndona Johnsona na pokładzie Air Force One i nie miała już na sobie ładnej (i całkiem seksownej) letniej sukienki, tylko zbryzgany krwią wełniany kostium. Przypomniało mi się, że czytałem - nie w notatkach Ala, gdzie indziej - że zaraz po tym, jak orzeczono zgon Kennedy'ego, Lady Bird Johnson chciała objąć panią Kennedy na szpitalnym korytarzu i zobaczyła na tym kostiumie fragment mózgu martwego prezydenta.

Prezydent z rozwaloną głową. I wszyscy zmarli, którzy przyjdą po nim, widmowy szereg ciągnący się w nieskończoność.

Usiadłem z powrotem i patrzyłem, jak Sadie taszczy walizki na stanowisko Frontier Airlines. Widać było, że bagaże są ciężkie, ale niosła je *con brio*, z wyprostowanymi plecami, jej płaskie obcasy dziarsko stukały w podłogę. Przedstawiciel linii wziął od niej walizki i położył je na wózku bagażowym. Rozmawiali chwilę; ona podała mu bilet, który przed dwoma miesiącami kupiła w biurze podróży, on coś na nim napisał. Wzięła bilet z powrotem i skierowała się do wyjścia. Spuściłem głowę, żeby mnie nie zauważyła. Kiedy znów podniosłem wzrok, już jej nie było.

7

Czterdzieści długich, bardzo długich minut później obok restauracji przeszli mężczyzna, kobieta i dwójka małych dzieci - chłopiec i dziewczynka. Chłopiec trzymał ojca za rękę i trajkotał jak najęty. Ojciec patrzył na niego z góry, uśmiechał się i kiwał głową. Ojcem tym był Robert Oswald.

Głośnik zagrzmiał:

- Samolot linii Delta numer 194 z Newark i Atlanty podchodzi do lądowania. Oczekujących prosimy o przejście do wyjścia numer 4. Samolot linii Delta numer 194 podchodzi do lądowania.

Żona Roberta - Vada, według notatek Ala - wzięła dziewczynkę na ręce i przyspieszyła kroku. Nigdzie nie było Marguerite.

Dłubałem w sałatce, żułem, ale nie czułem smaku. Serce biło mi mocno.

Usłyszałem zbliżający się ryk silników i zobaczyłem biały dziób DC-8 podjeżdżającego do terminalu. Witający skupili się wokół drzwi. Kelnerka postukała mnie w

ramię i mało nie krzyknąłem.

- Przepraszam pana - powiedziała z teksaskim akcentem tak mocnym, że uderzał do głowy. - Chciałam ino spytać, czy co jeszcze podać.

- Nie, dziękuję.

- Proszę bardzo.

Pierwsi pasażerowie przecięli terminal. Sami mężczyźni w garniturach, porządnie ostrzyżeni. Oczywiście. Pierwsza klasa wysiada najpierw.

- Na pewno nie chce pan kawałka placka brzoskwińskiego? Dzisiaj świeży.

- Nie, dzięki.

- Pewien jesteś, skarbie?

Teraz wylał się tłum pasażerów klasy turystycznej. Były i kobiety, i mężczyźni, wszyscy obwieszani torbami podręcznymi. Usłyszałem pisk kobiety. Czy to Vada wita szwagra?

- Jestem pewien - powiedziałem i podniosłem mego „Time'a”.

Złapała aluzję. Mieszałem resztki sałatki w pomarańczowej zupie sosu winegret i patrzyłem. Nadeszli mężczyzna i kobieta z małym dzieckiem, za dużym jednak, by była to June. Pasażerowie mijali restaurację, gawędząc z krewnymi i znajomymi, którzy po nich wyszli. Zobaczyłem, jak młody mężczyzna w mundurze wojskowym klepie swoją dziewczynę po tyłku. Zaśmiała się, odtrąciła jego dłoń, po czym wspięła się na palce, żeby go pocałować.

Przez jakieś pięć minut terminal był prawie pełny. Potem tłum zaczął się przersedzać. Nigdzie śladu Oswaldów. Ogarnęła mnie szalona pewność: nie było ich w tym samolocie. Nie tylko przeniosłem się w czasie, ale i wpadłem do jakiegoś równoległego wszechświata. Może Człowiek z Żółtą Kartką miał czemuś takiemu zapobiec, ale Człowiek z Żółtą Kartką nie żył, a ja tym samym byłem wolny. Nie ma Oswalda? W porządku, a zatem nie ma misji. Kennedy umrze w jakiejś innej wersji Ameryki, ale nie w tej. Mogłem dogonić Sadie i żyć długo i szczęśliwie.

Ledwie ta myśl przebiegła mi przez głowę, a już po raz pierwszy zobaczyłem mój cel. Robert i Lee szli obok siebie i rozmawiali z ożywieniem. Lee wymachiwał czymś, co było albo dużą aktówką, albo małą torbą na ramię. Robert miał w ręku różową walizkę z zaokrąglonymi rogami, która wyglądała, jakby pochodziła z szafy Barbie. Vada i Marina szły za nimi. Vada niosła jedną z dwóch toreb pozszywanych z kawałków materiału; Marina miała drugą przewieszoną przez ramię. Trzymała też na rękach czteromiesięczną June i z trudem dotrzymywała kroku pozostałym. Dwoje dzieci Roberta i Vady szło po obu jej bokach,

patrzac na nia z nieskrywaną ciekawością.

Vada zawołała mężczyzn i zatrzymali się prawie przed samą restauracją. Robert wyszczerzył się radośnie i wziął torbę od Mariny. Lee był... rozbawiony? Złośliwy? Może jedno i drugie. Po jego twarzy przemknął ledwo dostrzegalny cień uśmiechu, od którego zrobiły mu się dołki w kącikach ust. Nijakie ciemne włosy miał starannie uczesane. Ogólnie wyglądał jak wzorcowy porządnik w wyprasowanej białej koszuli, spodniach khaki i wypastowanych butach. Nikt by się nie domyślił, że dopiero co przebył pół świata; na jego ubraniach nie było ani jednego zagięcia, na policzkach ani śladu zarostu. Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, a wyglądał młodziej - jak jeden z nastolatków, których uczyłem literatury amerykańskiej.

Marina, której jeszcze miesiąca brakowało do tego, by mogła legalnie kupować alkohol, była wyczerpana, oszołomiona, gapiała się na wszystko wokół. Była też piękna, z kłębami ciemnych włosów i smutnymi niebieskimi oczami.

June była cała opatulona pieluchami z materiału. Nawet szyję miała czymś owiniętą i choć nie płakała, jej twarz była czerwona i spocona. Lee wziął dziecko na ręce. Marina uśmiechnęła się z wdzięcznością i kiedy rozchyliła usta, zobaczyłem, że brakuje jej jednego zęba. Pozostałe były odbarwione, jeden prawie czarny. Kontrast z jej mleczną skórą i pięknymi oczami był rażący.

Oswald nachylił się blisko niej i powiedział coś, co starło uśmiech z jej twarzy. Spojrzała na niego niepewnie. Powiedział coś jeszcze, dźgając ją palcem w ramię. Przypomniałem sobie opowieść Ala i ciekaw byłem, czy teraz Oswald mówi swojej żonie to samo: *pachoda, suka* - chodźże, suko.

Ale nie. To te pieluchy tak go poirytowały. Zerwał je - najpierw z rąk, potem z nóg dziecka - i cisnął nimi w Marinę, która niewprawnie je złapała. Rozejrzała się, czy nikt nie patrzy.

Vada wróciła i dotknęła ramienia Lee. Nie zwrócił na nią uwagi, tylko odwiązał prowizoryczny bawełniany szalik z szyi June i rzucił nim w żonę. Upadł na podłogę terminalu. Marina schyliła się i podniosła go bez słowa.

Robert dołączył do nich i żartobliwie uderzył brata w ramię. W terminalu zrobiło się pusto - ostatni wysiadający pasażerowie ominęli rodzinę Oswaldów - i wyraźnie usłyszałem, co powiedział.

- Daj jej spokój, dopiero przyjechała. Nawet jeszcze nie wie, gdzie jest.

- Spójrz na to dziecko. - Lee podniósł June. Dopiero wtedy się rozplakała. - Opatuliła ją jak cholerną mumię egipską. Bo tak to się u nich robi. Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać.

Staraja baba! - Odwrócił się do Mariny z ryczącym dzieckiem w ramionach. - *Staraja baba!*

Spojrzała na niego z lękiem. Próbowała się uśmiechnąć, tak jak robią to ludzie, gdy wiedzą, że są obiektem drwin, ale nie rozumieją dlaczego. Pomyślałem przelotnie o Lenniem z „Myszy i ludzi”. Wtedy twarz Oswalda rozjaśnił uśmiech, buńczuczny i trochę krzywy. Z tym uśmiechem Lee Oswald był prawie przystojny. Delikatnie pocałował żonę, najpierw w jeden policzek, potem w drugi.

- USA! - powiedział i pocałował ją znowu. - USA, Rina! Kraj wolnych, ojczyzna obsranych!

Rozpromieniła się. Lee zaczął mówić do niej po rosyjsku i oddał jej dziecko. Objął ją ramieniem, kiedy uspokajała June. Wciąż jeszcze się uśmiechała, kiedy opuszczali moje pole widzenia, i przełożyła sobie dziecko na ramię, by móc wziąć męża za rękę.

8

Wróciłem do domu - jeśli mogłem tak nazywać Mercedes Street - i próbowałem się zdrzemnąć. Nieświadomość nie przychodziła, leżałem więc z rękami pod głową i wsłuchany w niespokojne dźwięki ulicy rozmawiałem z Alem Templetonem. Teraz, kiedy zostałem sam, robiłem to dość często. Jak na nieboszczyka, miał dużo do powiedzenia.

- Głupio zrobiłem, że przyjechałem do Fort Worth - powiedziałem mu. - Jeśli spróbuję podłączyć pluskwę do magnetofonu, ktoś na pewno mnie zauważy. Może nawet sam Oswald, a to zmieniliby wszystko. On już jest paranoikiem, tak napisałeś w swoich notatkach. Wiedział, że KGB i MSW obserwowały go w Mińsku, i będzie się bał, że FBI i CIA obserwują go tutaj. I FBI rzeczywiście będzie go obserwować, przynajmniej przez pewien czas.

- Tak, musisz być ostrożny - przytaknął Al. - Nie będzie łatwo, ale wierzę w ciebie, przyjacielu. Dlatego się do ciebie zwróciłem.

- Nie chcę się nawet do niego zbliżać. Na lotnisku ciarki mnie przeszły na sam jego widok.

- Wiem, że nie chcesz, ale nie masz wyjścia. Jako ktoś, kto spędził prawie całe życie w kuchni, mogę cię zapewnić, że nikt nigdy jeszcze nie zrobił omletu, nie rozbijając przy tym jaj. I błędem byłoby przecenianie tego faceta. To nie jakiś superprzestępca. Poza tym teraz będzie zaprzątnięty innymi sprawami, głównie swoją porąbaną matką. Do niczego się nie nada w najbliższym czasie oprócz krzyczenia na żonę i tłuczenia jej, kiedy będzie tak wkurzony, że krzyk nie wystarczy.

- Myślę, że zależy mu na niej, Al. Chociaż trochę, a może bardzo. Mimo tego krzyczenia.

- Taa, i tacy jak on najczęściej wykańczają swoje kobiety. Weź takiego Franka Dunninga. Po prostu rób, co do ciebie należy, przyjacielu.

- I co mi to da, że podłączę pluskwę? Będę miał nagrania kłótni? Kłótni po rosyjsku? Bardzo mi to pomoże.

- Nie o to chodzi, żebyś zgłębiał życie rodzinne tego człowieka. Przede wszystkim musisz dowiedzieć się jak najwięcej o George'u DeMohrenschildcie. Upewnić się, że DeMohrenschildt nie jest zamieszany w zamach na generała Walkera. Kiedy tego dokonasz, wyeliminujesz margines niepewności. No i spójrz na to bardziej optymistycznie. Jeśli Oswald przyłapie cię na tym, że go szpiegujesz, może odstąpić od swego planu. Może mimo wszystko nie spróbuje zabić Kennedy'ego.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Nie. Szczerze mówiąc, nie.

- Ja też nie. Przeszłość jest nieustępliwa. Nie chce, żeby ją zmieniać.

- Przyjacielu, nareszcie dobrze...

- ...kombinuję - usłyszałem swoje mruknięcie. - Nareszcie dobrze kombinuję.

Otworzyłem oczy. A jednak zasnąłem. Późne światło wpadało przez zaciągnięte zasłony. Gdzieś niedaleko, na Davenport Street w Fort Worth, bracia Oswald i ich żony siadali do kolacji - pierwszego posiłku Lee po powrocie na stare śmiecie.

Za moim oknem dziewczynki skaczące na skakance recytowały wierszyk. Brzmiał bardzo znajomo. Wstałem, przeszedłem przez pogrążony w półmroku salon (umeblowany dwoma fotelami ze sklepu z rzeczami używanymi i niczym więcej) i ostrożnie odchyliłem zasłonę. Od tych zasłon zacząłem urządzenie domu. Chciałem widzieć; nie chciałem być widziany.

Dom pod 2703 wciąż stał pusty, z tabliczką DO WYNAJĘCIA przyczepioną dwiema pinezkami do balustrady rozpadającego się ganku. Na trawniku dwie dziewczynki kręciły skakanką, trzecia przez nią skakała. Oczywiście, że to nie były te same dziewczynki, które widziałem na Kossuth Street w Derry - te trzy, ubrane w połatane i sprane dżinsy zamiast nowiutkich szortów, wyglądały na zabiedzone i niedożywione - ale wierszyk był ten sam, tyle że recytowany z teksaskim akcentem.

- Charlie Chaplin do Francji wyskoczył! Tancerki oglądać na własne oczy! Salutuj kapitanowi! Królowej też! Mój stary w łodzi podwodnej jest!

Dziewczynka, która skakała przez skakankę, potknęła się i runęła na zaniedbany

trawnik przed domem numer 2703. Koleżanki rzuciły się na nią i cała trójka zaczęła tarzać się po ziemi. Potem wstały i czmychnęły.

Odprowadziłem je wzrokiem, myśląc: Ja je widziałem, one mnie nie. To już coś. Jakiś początek. Jaki będzie koniec, Al?

DeMohrenschildt był kluczem do całej sprawy, jedynym powodem, dla którego nie mogłem zabić Oswalda, jak tylko wprowadzi się do domu naprzeciwko. George DeMohrenschildt, geolog naftowy, spekulant koncesjami na ropę. Człowiek, który wiódł żywot playboya, głównie dzięki pieniądzom żony. Podobnie jak Marina, był rosyjskim emigrantem, ale, w odróżnieniu od niej, pochodził z arystokratycznej rodziny - ściśle mówiąc, był baronem DeMohrenschildtem. Człowiek, który miał zostać jedynym przyjacielem Lee Oswalda w ciągu kilku ostatnich miesięcy jego życia. Człowiek, który miał zasugerować Oswaldowi, że świat byłby dużo lepszy bez pewnego rasistowskiego, prawicowego generała w stanie spoczynku. Gdyby się okazało, że DeMohrenschildt uczestniczył w zamachu Oswalda na Edwina Walkera, moja sytuacja mocno by się skomplikowała; wtedy wszystkie zwariowane teorie spiskowe zaczęłyby wchodzić w grę. Al jednak uważał, że jedyne, co rosyjski geolog zrobił (czy i co zrobi; jak wspominałem, życie w przeszłości jest zagmatwane), to podjudził człowieka, który i bez tego był obsesyjnie żądny sławy i niezrównoważony psychicznie.

Al zanotował: *Jeśli Oswald był sam wieczorem 10 kwietnia 1963, prawdopodobieństwo, że w zamachu na Kennedy'ego siedem miesięcy później uczestniczył drugi snajper, maleje do jednego procentu, może nawet bardziej.*

Pod spodem, wielkimi literami, dodał swój końcowy werdykt: TO WYSTARCZY, ŻEBY SUKINSYNA SPRZĄTNAĆ.

9

To, jak zobaczyłem dziewczynki, które nie zobaczyły mnie, przypomniało mi ten stary thriller z Jimmym Stewartem, „Okno na podwórze”. Człowiek mógł dużo widzieć, nie ruszając się z własnego salonu. Zwłaszcza gdy miał odpowiedni sprzęt.

Nazajutrz poszedłem do sklepu sportowego i kupiłem lornetkę Bausch & Lomb, notując sobie w pamięci, by uważać na odbłyśki słońca w soczewkach. Jako że dom numer 2703 był po wschodniej stronie Mercedes Street, uznałem, że po południu nie będzie z tym problemu. Wsunąłem lornetkę w szparę między zasłonami i kiedy wyregulowałem ostrość, obskurna salonokuchnia naprzeciwko stała się tak jasna i wyraźna, jakbym w niej stał.

Krzywa Lampa z Pizy wciąż była na starej komodzie z przyborami kuchennymi i czekała, aż ktoś ją zapali i uruchomi pluskwę. Ta jednak na nic się nie zda, dopóki nie podłączę jej do sprytnego małego japońskiego magnetofonu, który przy najniższej prędkości obrotów mógł nagrywać do dwunastu godzin. Przetestowałem go ni mniej, ni więcej, tylko mówiąc do zapasowej lampy z podsłuchem (czułem się przy tym jak postać z komedii Woody'ego Allena) i choć dźwięk przy odtwarzaniu był spowolniony - brzmiał jak jedna z czterdziestekpiątek Richiego-z-dziczy puszczonej z prędkością szesnastu obrotów - słowa dało się zrozumieć. Wszystko to oznaczało, że w każdej chwili mogę przystąpić do działania.

Jeśli się odważę.

10

Czwartego lipca Mercedes Street tętniła życiem. Mężczyźni, korzystając z wolnego dnia, podlewali trawniki, których nic już nie mogło uratować - pomijając kilka popołudniowych i wieczornych burz, było upalnie i panowała susza - po czym zwalali się na krzesła ogrodowe, słuchali transmisji baseballu w radiu i pili piwo. Gangi podrostków rzucali petardami w bezpańskie psy i nieliczne wałęsające się kury. Jedna z nich trafiona eksplodowała w chmurze krwi i piór. Matka dzieciaka, który rzucił petardę, ubrana tylko w halkę i baseballówkę Farmall, zaciągnęła go siłą do stojącego dalej domu. Sądząc po jej niepewnym chodzie, wlała już w siebie kilka browarek. Swoisty pokaz fajerwerków nastąpił zaraz po dziesiątej, kiedy ktoś, może ten sam małolat, który przeciął opony mojego kabrioleta, podpalił starego studebakera, który od jakiegoś tygodnia stał porzucony na parkingu magazynu Montgomery Ward. Straż pożarna przyjechała go ugasić i wszyscy wylegli z domów popatrzeć.

Szczęśliwego Święta Niepodległości.

Następnego ranka poszedłem obejrzeć wypalony wrak, który stał żałośnie na stopionych szczątkach opon. Przy jednej z ramp załadowniczych magazynu dostrzegłem budkę telefoniczną i pod wpływem impulsu zadzwoniłem do Ellie Dockerty. Poprosiłem telefonistkę, żeby znalazła właściwy numer i mnie połączyła. Zrobiłem to po części z samotności i tęsknoty, głównie jednak dlatego, że chciałem się dowiedzieć, co u Sadie.

Ellie odebrała po drugim sygnale i wyraźnie się ucieszyła, słysząc mój głos. Uśmiechnąłem się w tej już nagranej budce telefonicznej, z Mercedes Street odsypiającą święto narodowe za moimi plecami i smrodem spalonego auta w nozdrzach.

- Z Sadie wszystko w porządku. Przysłała mi dwie pocztówki i list. Pracuje w Harrah's

jako kelnerka. - Zniżyła głos. - Zdaje się, że roznosi drinki, ale rada szkolna nigdy nie usłyszy tego ode mnie.

Wyobraziłem sobie długie nogi Sadie w krótkiej spódniczce kelnerki roznoszącej drinki. Wyobraziłem sobie biznesmenów zaglądających pod jej spódniczkę i w dolinę dekoltu, gdy schylała się, by postawić drinki na stoliku.

- Pytała o ciebie - powiedziała Ellie i to znów wywołało mój uśmiech. - Nie chciałam jej mówić, że w Jodie wiemy tylko, że zapadłeś się pod ziemię, więc powiedziałam, że pracujesz nad książką i masz się dobrze.

Od jakiegoś miesiąca nie dodałem do „Miasta zbrodni” ani słowa. Przy dwóch okazjach, kiedy sięgnąłem po rękopis i próbowałem go czytać, miałem wrażenie, że napisany jest trzeciowiecznym punickim.

- Cieszę się, że wszystko u niej w porządku.

- Pod koniec miesiąca może dostać stałe zameldowanie, ale postanowiła zostać do końca wakacji. Mówi, że napiwki są bardzo przyzwoite.

- Prosiłaś ją o zdjęcie jej już prawie byłego męża?

- Zaraz przed jej wyjazdem. Mówiła, że nie ma żadnego. Sądzi, że jej rodzice mają kilka, ale nie chciała do nich pisać w tej sprawie. Podobno nigdy nie przestali wierzyć w to małżeństwo i w ten sposób tylko dałaby im złudną nadzieję. Mówiła też, że jej zdaniem przesadzasz. „Mocno przesadza”, tak to dokładnie ujęła.

To było w stylu mojej Sadie. Tyle że już nie była moja. Teraz była: „Hej, kelnerko, jeszcze jedną kolejkę... i tym razem schyl się trochę niżej”. Każdy mężczyzna nosi w sobie strunę zazdrości; moja gwałtownie drgała rankiem piątego lipca.

- George, nie wątpię, że nadal jej na tobie zależy. Może nie jest za późno, żeby uprzętnąć ten bałagan.

Pomyślałem o Lee Oswaldzie, który dopiero za dziewięć miesięcy miał dokonać zamachu na generała Edwina Walkera.

- Jeszcze za wcześnie - powiedziałem.

- Słucham?

- Nie, nic. Miło się z tobą rozmawia, Ellie, ale zaraz włączy się telefonistka i zażąda więcej pieniędzy, a mnie się skończyły ćwierćdolarówki.

- Nie wpadłbyś tu do nas na hamburgera i shake'a? W barze Ala? Jeśli tak, zaproszę też Deke'a Simmonsa. Prawie co dzień o ciebie pyta.

Chyba tylko wizja powrotu do Jodie i spotkania z przyjaciółmi ze szkoły mogła mnie pocieszyć tego poranka.

- Bardzo chętnie. Czy dziś po południu to nie za wcześnie? Powiedzmy, o piątej?
- Pora w sam raz. My, wiejskie myszy, jadamy wcześnie.
- W porządku. Przyjadę. I ja płacę.
- A ja dołożę drugie tyle.

11

Al Stevens zatrudnił dziewczynę, którą znałem z kursu angielskiego dla biznesu, i byłem wzruszony tym, jak się rozpromieniła, kiedy zobaczyła, kto siedzi z Ellie i Dekiem.

- Pan Amberson! O rany, jak miło pana widzieć! Co słyhać?
- Wszystko w porządku, Dorrie - powiedziałem.
- Cóż, niech pan złoży duże zamówienie. Schudł pan.
- To prawda - przytaknęła Ellie. - Trzeba się tobą porządnie zaopiekować.

Meksykańska opalenizna Deke'a zniknęła, z czego wywnioskowałem, że większość emerytury spędza w domu, a kilogramy, które ja straciłem na wadze, on zyskał. Mocno uściśnął moją dłoń i powiedział, jak bardzo się cieszy, że mnie widzi. Nie było w nim krzty sztuczności. W Ellie Dockerty też, nawiasem mówiąc. Zamiana tego miejsca na Mercedes Street, gdzie obchodzono Święto Niepodległości, wysadzając w powietrze kury, wydawała mi się coraz większym szaleństwem, bez względu na to, co wiedziałem o przyszłości. Miałem tylko nadzieję, że Kennedy jest tego wart.

Jedliśmy hamburgery, cienkie frytki skwierczące tłuszczem i szarlotkę z lodami. Rozmawialiśmy o tym, co kto robi, i obśmialiśmy Danny'ego Laverty'ego, który w końcu wziął się do pisania swojej długo zapowiadanej książki. Ellie powiedziała, że słyszała od żony Danny'ego, że pierwszy rozdział nosi tytuł „Ruszam w bój”.

Pod koniec posiłku, kiedy Deke nabił fajkę tytoniem Prince Albert, Ellie wyciągnęła spod stolika torbę na zakupy i wyjęła z niej dużą księgę, którą podała mi nad tłustymi resztkami jedzenia.

- Strona osiemdziesiąta dziewiąta. I z łaski swojej odsuń się od tej paskudnej kałuży keczupu. To rzecz pożyczona i chciałabym odesłać ją w takim stanie, w jakim ją dostałam.

Była to księga pamiątkowa pod tytułem „Tygrysie Ogony”, wydana przez szkołę dużo bardziej ekskluzywną niż DCHS; oprawiona w skórę zamiast materiału i wydrukowana na grubym, błyszczącym papierze, a na końcu miała co najmniej sto stron reklam. Instytucją, którą ta księga upamiętniała - czy raczej wysławiała - była Longacre Day School w Savannah. Przejrzałem utrzymane w jednolicie waniliowej tonacji zdjęcia absolwentów i pomyślałem, że

może w roku 1990 pojawi się wśród nich jedna czy dwie czarne twarze. Może.

- Kurczę blade - powiedziałem. - Sadie musiała nieźle dostać po portfelu, kiedy przeniosła się stamtąd do Jodie.

- Zdaje się, że bardzo jej zależało, żeby wyjechać - odparł cicho Deke. - I jestem pewien, że miała swoje powody.

Otworzyłem księgę na stronie osiemdziesiątej dziewiątej. U góry widniał tytuł WYDZIAŁ NAUK ŚCISŁYCH LONGACRE. Niżej było sztamkowe zdjęcie czterech nauczycieli w białych kitlach, którzy trzymali zlewki z kipiącą cieczą - brakowało jeszcze tylko doktora Jekylla - a pod nim cztery fotografie portretowe. John Clayton w niczym nie przypominał Lee Oswalda, ale miał podobnie przyjemną, nijaką twarz, i ten sam nieznaczny uśmiech z dołkami w kącikach ust. Czy wyrażał cię rozbawienia, czy ledwo skrywaną pogardę? Kurde, może to po prostu było wszystko, na co ten obsesyjno-kompulsywny bydlak mógł się zdobyć, kiedy fotograf poprosił go o uśmiech. Jedynym znakiem szczególnym były ledwo widoczne wgłębienia na skroniach, prawie identyczne jak dołki w kącikach ust. Zdjęcie nie było kolorowe, ale jego oczy wyszły na nim tak jasne, że w rzeczywistości musiały być niebieskie lub szare.

Odwróciłem księgę w stronę moich przyjaciół.

- Widzicie te wgłębienia po bokach głowy? Czy to naturalne, jak haczykowaty nos lub dołek w brodzie?

Oboje naraz odpowiedzieli „Nie”. Wypadło to dość komicznie.

- To ślady od kleszczy - wyjaśnił Deke. - Powstały, kiedy jakiemuś konowałowi w końcu znudziło się czekanie i wyciągnął go z łona mamusi. Zwykle zanikają, ale nie zawsze. Gdyby włosy nie rzędziały mu na skroniach, w ogóle nie byłoby tego widać?

- I nie było go, nie wypytywał o Sadie? - upewniłem się.

- Nie. - Znów odpowiedzieli jednocześnie. Ellen dodała:

- Nikt o nią nie pytał. Oprócz ciebie, George. Durniu przeklęty. - Uśmiechnęła się, jakby to miał być żart, ale niezbyt przekonująco.

Spojrzałem na zegarek.

- No, przyjaciele, już dość czasu wam zabrałem. Jadę do domu.

- Może jeszcze przejdiesz się na boisko? - spytał Deke. - Trener Borman kazał cię przyprowadzić, jeśli będę miał okazję. Już zagonił drużynę do treningów, oczywiście.

- Dobrze chociaż, że tylko w chłodne wieczory - powiedziała Ellie, wstając. - Dzięki Bogu i za to. Pamiętasz, Deke, jak mały Hastings trzy lata temu dostał udaru słonecznego? I wszyscy z początku myśleli, że to atak serca?

- Pojęcia nie mam, dlaczego miałby chcieć się ze mną zobaczyć. Przeciągnąłem jednego z jego najlepszych obrońców na ciemną stronę wszechświata. - Zniżyłem głos do chrapliwego szeptu. - Teatr!

Deke się uśmiechnął.

- Tak, ale drugiego ocaliłeś od zesłania do rezerw drużyny Uniwersytetu Alabamy. Przynajmniej tak sądzi Borman. Bo, synu, tak mu powiedział Jim LaDue.

Z początku nie miałem pojęcia, o czym on mówi. Potem przypomniałem sobie zabawę Sadie Hawkins Dance i uśmiechnąłem się szeroko.

- Ja tylko przyłapałem ich trzech z flaszką. Wyrzuciłem ją za ogrodzenie.

Deke spoważniał.

- Jednym z tych chłopców był Vince Knowles. Wiedziałaś, że był pijany, kiedy rozbił tego swojego pikapa?

- Nie. - Jednak nie byłem zaskoczony. Samochody i gorzała to w szkole średniej popularny i czasem zabójczy koktajl.

- Tak jest. To w połączeniu z tym, co powiedziałaś tym chłopcom na zabawie, sprawiło, że LaDue wyrzekł się alkoholu.

- Co właściwie im powiedziałaś? - spytała Ellie. Grzebała w torebce, szukając portfela, ale byłem zbyt zaprzątnięty wspomnieniem tamtej nocy, by spierać się z nią o to, kto zapłaci rachunek. „Nie spierdolicie swojej przyszłości” - tak powiedziałem. A Jim LaDue, ten od leniwego uśmiechu mówiącego „świat je mi z ręki”, o dziwo, wziął to sobie do serca. Nigdy nie wiemy, na czyje życie wywieramy wpływ, kiedy i dlaczego. Przynajmniej dopóki przyszłość nie pozre teraźniejszości. Dowiadujemy się, gdy jest już za późno.

- Nie pamiętam - powiedziałem.

Ellie poszła zapłacić rachunek.

- Powiedz pani Dockerty, żeby wypatrywała mężczyzny z tego zdjęcia, Deke - poprosiłem. - Ty też miej oczy otwarte. Może się tu nie zjawi, zaczynam myśleć, że mogłem się co do tego mylić, ale nigdy nic nie wiadomo. A ma nie całkiem równo pod sufitem.

Deke mi to obiecał.

12

Prawie nie poszedłem na boisko. Jodie było wyjątkowo piękne tego wczesnego lipcowego wieczoru. Myślę, że jakaś cząstka mnie chciała wziąć tyłek w troki i wrócić do Fort Worth, zanim zupełnie stracę na to ochotę. Ciekaw jestem, jak wiele by się zmieniło,

gdybym odpuścił sobie ten krótki, nieplanowany spacer. Może nic. Może dużo.

Trener ćwiczył ostatnie dwa-trzy zagrania z zawodnikami od zadań specjalnych, podczas gdy reszta drużyny siedziała na ławce ze ściągniętymi kaskami i potem ściekającym po twarzach.

- Czerwona dwójka, czerwona dwójka! - krzyknął trener. Zobaczył Deke'a i mnie i podniósł rękę z rozłożonymi palcami: pięć minut. Potem odwrócił się do małej i zmęczonej grupki wciąż przebywającej na boisku. - Jeszcze raz! Zróbcie ten wielki krok naprzód, pokażcie, że nie jesteście łamagami, na jakie wyglądacie! No, dalej!

Spojrzałem na drugi koniec boiska i zobaczyłem faceta w marynarce sportowej tak krzykliwej, że aż ogłuszającej. Truchtał wzdłuż linii autowej ze słuchawkami na uszach i czymś, co wyglądało jak salaterka, w rękach. Jego okulary kogoś mi przypominały. Z początku nie kojarzyłem, ale wreszcie przyszło olśnienie: wyglądał trochę jak Cichy Mike McEachern. Mój osobisty Q.

- Kto to? - spytałem Deke'a.

Zmrużył oczy.

- Cholera wie.

Trener klasnął w dłonie i posłał dzieciaki pod prysznic. Podeszedł do trybun i klepnął mnie w plecy.

- Jak leci, Szekspirze?

- Nie najgorzej - powiedziałem z dzielnym uśmiechem.

- Wszystkie Szekspiry dostają wciry, tak mawialiśmy w dzieciństwie. - Zaśmiał się rubasznie.

- A u nas się mówiło: wszyscy trenerzy to frajerzy.

Trener Borman zrobił zdumioną minę.

- Naprawdę?

- Nie, jaja sobie robię. - Trochę żałowałem, że nie uległem pierwszemu impulsowi i nie wyjechałem z miasta po kolacji. - Jak wygląda drużyna?

- A tam, porządne chłopaki, dadzą z siebie wszystko, ale bez Jima to już nie będzie to. Widziałeś nowy billboard na rozjeździe dróg?

- Tak się go naoglądałem, że już nie zwracam na niego uwagi.

- Cóż, obejrzyj go w drodze powrotnej, brachu. Naprawdę się postarali. Mama Jimmy'ego mało się nie popłakała, jak go zobaczyła. Słyszałem, że jestem ci winien podziękowanie za to, że skłoniłeś chłopaka, by rzucił picie. - Zdjął czapkę z wielkim C, otarł przedramieniem pot z czoła, nałożył ją z powrotem i westchnął ciężko. - Pewnie powinienem

też podziękować temu pieprzonemu idiocie Vince'owi Knowlesowi, ale za niego mogę się już tylko modlić.

Przypomniałem sobie, że trener jest zatwardziałym baptystą. Oprócz modlitw pewnie wierzył w te pierdoły o synach Noego.

- Nie musisz dziękować - powiedziałem. - Zrobiłem, co do mnie należało, i tyle.

Spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem.

- Powinieneś dalej to robić, zamiast opierdalać się przy jakiejś książce. Przepraszam, jeśli jestem zbyt obcesowy, ale mówię, co myślę.

- Nie ma sprawy. - Zyskał w moich oczach tym, że to powiedział. W innym świecie mógłby nawet mieć rację. Wskazałem na drugą stronę boiska, gdzie sobowtór Cichego Mike'a pakował salaterkę do stalowej skrzynki. Słuchawki wciąż wisiły mu na szyi. - Kto to, trenerze?

Prychnął.

- Chyba nazywa się Hale Duff. A może Cale. Nowy spec od sportu w Starej Damie. - Miał na myśli KDAM, jedyną stację, a właściwie stacyjkę radiową w powiecie Denholm, rano nadającą raporty dla rolników, po południu muzykę country, a po zakończeniu lekcji rocka. Dzieciaki lubiły dzingle reklamowe tak bardzo jak muzykę; w jednym z nich rozległ się huk eksplozji, a po nim głos starego kowboja: „Kurrr-DAM! Nieźle dało!”. W Krainie Przeszłości coś takiego uchodzi za szczyt śmiałego dowcipu.

- Co on tam ma za ustrojstwo, trenerze? - spytał Deke. - Wiesz może?

- Pewnie, że wiem - powiedział Borman - i jeśli sądzi, że pozwolę mu tego używać w czasie transmisji meczu, to na głowę upadł. Myślicie, że chcę, żeby każdy, kto ma radio, słyszał, jak wyzywam moich chłopców od zastranych mięczaków, kiedy nie potrafią jakimś łamagom piłki odebrać?

Odróciłem się do niego bardzo powoli.

- O czym ty mówisz?

- Nie wierzyłem mu, więc sam to wypróbowałem - powiedział trener. Po czym, z narastającym oburzeniem: - Usłyszałem, jak Boof Redford mówił jednemu z pierwszoklasistów, że mam większe jaja niż mózg!

- Doprawdy - powiedziałem. Serce zabiło mi znacznie mocniej.

- Duffer mówił, że zmontował to w swoim garażu - burknął trener. - Że jak się ustawi maksymalne wzmocnienie, można usłyszeć, jak przecnicę dalej pierdzi kot. Gówno prawda, oczywiście, ale Redford był na drugim końcu boiska, kiedy podsłuchiwałem, jak się wymądrzał.

Spec od sportu, który wyglądał na góra dwadzieścia cztery lata, podniósł stalową

skrzynkę ze sprzętem i pomachał do nas wolną ręką. Trener odpowiedział mu tym samym gestem, po czym mruknął pod nosem:

- Prędzej nalepię na mojego dodge'a naklejkę wychwalającą Kennedy'ego, niż wypuszczę go na stadion z tym diabelstwem.

13

Było już prawie ciemno, kiedy dotarłem na skrzyżowanie dróg 77 i 109, ale wstający na wschodzie rozdęty pomarańczowy księżyc dawał dość światła, by zobaczyć billboard. Widniał na nim Jim LaDue, uśmiechnięty, z kaskiem futbolowym w jednej ręce i piłką w drugiej. Kosmyk czarnych włosów opadał mu heroicznie na czoło. Gwiazdziste litery nad zdjęciem głosiły GRATULACJE DLA JIMA LADUE, NAJLEPSZEGO ROZGRYWAJĄCEGO STANU W LATACH 1960 i 1961! POWODZENIA W ALABAMIE! NIGDY CIĘ NIE ZAPOMNIMY!

A pod spodem, czerwonymi literami, które zdawały się krzyczeć:

JIMLA!

14

Dwa dni później wszedłem do Satellite Electronics i czekałem, aż gospodarz sprzeda żującemu gumę dzieciakowi tranzystor wielkości iPod'a. Kiedy chłopak wyszedł (już wciskając do ucha słuchawkę małego radia), Cichy Mike odwrócił się do mnie.

- A niech mnie, toż to mój stary kumpel Doe. Czym mogę dzisiaj służyć? - Po czym, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu: - Jeszcze kilka lamp z podsłuchem?

- Nie dzisiaj - powiedziałem. - Słuchaj, słyszałeś o czymś takim jak mikrofon wszechkierunkowy?

Rozchylił usta w uśmiechu, odsłaniając zęby.

- Przyjacielu, znowu przyszedłeś we właściwe miejsce.

ROZDZIAŁ 18

1

Zainstalowałem sobie telefon i pierwszą osobą, do której zadzwoniłem, była Ellen Dockerty. Bez wahania dała mi adres Sadie w Reno.

- Jeśli chcesz, mam też numer telefonu pensjonatu, w którym się zatrzymała.

Pewnie, że chciałem, ale gdybym go miał, w końcu uległbym pokusie i zadzwonił. Coś mi mówiło, że to byłby błąd.

- Sam adres wystarczy.

Jak tylko się rozłączyłem, napisałem list, poirytowany jego koturnowym, sztucznie poufałym tonem, ale niezdolny się go wyzbyć. Ta cholerna miotła wciąż leżała między nami. A jeśli Sadie poznała tam jakiegoś nadzianego tatuśka i zupełnie o mnie zapomniała? Czy nie było takiej możliwości? Na pewno potrafiłaby go zadowolić w łóżku; szybko się uczyła i była w nim tak gibka jak na parkiecie. Znowu ta struna zazdrości. Dokończyłem list w pośpiechu, świadom, że zapewne wychodzę w nim na żalosego, nieczulego palanta. Wszystko, byle wyrwać się z oków sztuczności i napisać coś szczerego.

Tęsknię za Tobą i cholernie żałuję, że rozstaliśmy się w takich okolicznościach. Po prostu nie wiem, jak to teraz naprawić. Mam sprawę do załatwienia i potrwa to do następnej wiosny. Może nawet dłużej, ale sądzę, że nie. Mam taką nadzieję. Proszę, nie zapomnij mnie. Kocham Cię, Sadie.

Podpisałem się imieniem George, co zdawało się przekreślać całą namiastkę szczerości, na jaką się zdobyłem. Pod spodem dodałem *Gdybyś chciała zadzwonić* i mój nowy numer telefonu. Potem poszedłem do biblioteki w Benbrook i wrzuciłem list do stojącej przed nią wielkiej niebieskiej skrzynki. Na razie mogłem zrobić tylko tyle.

2

W zeszyt Ala wpięte były trzy zdjęcia, wydrukowane z różnych stron internetowych.

Wszystkie znałem na pamięć. Jedno przedstawiało George'a DeMohrenschildta w szarym, bankierskim garniturze z białą chusteczką w kieszeni na piersi. Włosy miał szesane z czoła, ze schludnym przedziałkiem, w stylu, który w tamtych czasach uchodził za elegancki. Jego grubawe wargi marszczyły się w uśmiechu, który kojarzył mi się z Małym Misiem z bajki o Złotowłosej: nie za twardy, nie za miękki, w sam raz. Ani śladu autentycznego szaleńca, którego wkrótce miałem zobaczyć, gdy będzie rozdzierał swoją koszulę na ganku domu przy Mercedes Street 2703. A może ślad był. Coś w tych ciemnych oczach. Buta. Odrobina starego dobrego „pierdolcie się”.

Na drugim zdjęciu było osławione stanowisko snajperskie zbudowane z tekturowych pudeł na piątym piętrze Teksaskiej Składnicy Podręczników.

Trzecie pokazywało Oswalda ubranego na czarno, trzymającego w jednym ręku karabin kupiony z katalogu wysyłkowego, a w drugim dwa lewicowe czasopisma. Rewolwer, z którego podczas swojej nieudanej ucieczki miał zabić J.D. Tippita, policjanta z Dallas - o ile go nie powstrzymam - miał zatknięty za pas. To zdjęcie zrobi Marina na ogrodzonym bocznym podwórku domu na West Neely Street 214 w Dallas, niespełna dwa tygodnie przed zamachem na generała Walkera.

Zabijając czas w oczekiwaniu na przeprowadzkę Oswaldów do chałupy naprzeciwko mojej w Fort Worth, często jeździłem na West Neely 214. Dallas to była zupełna porażka, jak powiedzieliby moi uczniowie z 2011 roku, ale West Neely znajdowała się w ciut lepszej dzielnicy niż Mercedes Street. Oczywiście, śmierdziało - w 1962 większość centralnego Teksasu cuchnie jak nawalająca rafineria - lecz przynajmniej nie było fetoru gówna i ścieków. Ulica była popękana, ale utwardzona. I nie było kur.

Na piętrze domu pod numerem 214 mieszkała młoda para z trojgiem dzieci. Kiedy się wyniosą, ich miejsce zajmą Oswaldowie. Mnie interesowało mieszkanie piętro niżej, bo gdy Lee, Marina i June wprowadzą się na górę, ja chciałem być na dole.

W lipcu sześćdziesiątego drugiego na parterze mieszkały dwie kobiety i mężczyzna. Kobiety były grube, ślamazarne i miały słabość do pomarszczonych sukienek bez rękawów. Jedna była po sześćdziesiątce i mocno kulała. Druga wyglądała na jakieś czterdzieści lat. Podobieństwo rysów twarzy wskazywało, że są to matka i córka. Mężczyzna był chudy jak szkielet i przykuty do wózka inwalidzkiego. Jego włosy wyglądały jak cienka biała mgiełka. Na kolanach miał worek z mętnymi sikami, połączony z grubym cewnikiem. Bez przerwy palił, strzepując popiół do popielniczki przyczepionej do poręczy wózka. Tego lata zawsze widziałem go w tych samych ubraniach: czerwone atlasowe spodenki koszykarskie, które obnażały jego wychudłe uda prawie po krocze, podkoszulek prawie tak żółty jak mocz w

cewniku, tenisówki posklejane taśmą klejącą i wielki czarny kapelusz kowbojski ze wstążką chyba z węzowej skóry. Na przodzie kapelusza widniały skrzyżowane szable kawalerzystów. Żona albo córka wywoziły go na trawnik, gdzie siedział zgarbiony pod drzewem, nieruchomy jak posąg. Przejżdżając powoli obok niego, z czasem zacząłem pozdrawiać go podniesioną dłonią, ale nigdy nie odwzajemniał gestu, choć mój samochód rozpoznawał. Może bał się pomachać. Może wziął mnie za obserwującego go Anioła Śmierci, który patroluje Dallas za kierownicą starzejącego się forda kabrioleta, zamiast na czarnym koniu. W pewnym sensie chyba tym właśnie byłem.

Ci ludzie wyglądali, jakby mieszkali tu od dłuższego czasu. Czy nadal będą tutaj za rok, kiedy ich lokum będzie mi potrzebne? Nie wiedziałem. W notatkach Ala nie było nic na ich temat. Na razie mogłem tylko patrzeć i czekać.

Wziąłem moje nowe urządzenie, zmontowane własnoręcznie przez Cichego Mike'a. Czekałem, kiedy zadzwoni telefon. Zadzwonił trzy razy i przy każdej okazji rzucałem się do niego z nadzieją. Dwa razy okazało się, że to Ellie, która chciała pogadać. Raz był to Deke, który zaprosił mnie na kolację. Przyjąłem zaproszenie z wdzięcznością.

Sadie nie zadzwoniła.

3

Trzeciego sierpnia na żalostnej namiastce podjazdu przed domem numer 2703 zatrzymał się bel air sedan rocznik 1958. Za nim stanął lśniący chrysler. Bracia Oswaldowie wysiedli z bel aira i bez słowa stanęli obok siebie.

Włożyłem rękę za zasłony tylko na tyle, żeby unieść okno od frontu, wpuszczając dźwięki ulicy i mizerny podmuch gorącego, wilgotnego powietrza. Potem pobiegłem do sypialni i wyjąłem spod łóżka moją nową zabawkę. Cichy Mike wyciął dziurę w dnie półmiska Tupperware, włożył w nią mikrofon wszechkierunkowy - jak mnie zapewnił, najwyższej klasy - i przymocował go taśmą tak, że sterczał jak podniesiony palec. Podłączyłem kable mikrofonu do złączy z tyłu magnetofonu i mocno je przykręciłem. Było tam też gniazdko do słuchawek; one także, według mojego specja od elektroniki, były najwyższej klasy.

Wyrząłem na zewnątrz i zobaczyłem, że bracia Oswaldowie rozmawiają z facetem z chryslera. Miał stetsona na głowie, krawat ranczera i krzykliwe buty z ozdobnymi szwami. Lepiej ubrany od właściciela mojego domu, ale z tego samego plemienia. Nie musiałem słyszeć słów; gesty tego człowieka były podręcznikowe. „Wiem, że to nic nadzwyczajnego,

ale na nadzwyczajne cię nie stać. Mam rację, brachu?”. To musiała być gorzka pigułka dla takiego obieżyświata jak Lee, który wierzył, że sława jest mu pisana, nawet jeśli bogactwo niekoniecznie.

W listwie przypodłogowej było gniazdko. Podłączyłem do niego magnetofon z nadzieją, że nie trzepnie mnie prąd ani nie wysadzę bezpiecznika. W magnetofonie zapaliło się czerwone światełko. Założyłem słuchawki i wsunąłem półmisek Tupperware w szczelinę między zasłonami. Gdyby Oswaldowie spojrzeli w tę stronę, musieliby zmrużyć oczy od słońca i w cieniu okapu nad oknem nie zobaczyliby nic lub co najwyżej niepozorną białą plamę, która mogła być dosłownie wszystkim. Zapisałem sobie w pamięci, żeby mimo to oblepić półmisek czarną taśmą maskującą. Przezorny zawsze ubezpieczony.

Zresztą i tak nic nie było słychać.

Nawet odgłosy z ulicy stały się przytłumione.

No to super, pomyślałem. Rewelacja, do kurwy nędzy. Wielkie dzięki, Cichy Mi...

Wtedy zauważyłem, że głośność w magnetofonie ustawiona jest na zero. Przekręciłem regulator aż do znaku + i w uszach huknęły mi głosy. Zakląłem, zerwałem słuchawki z głowy, ustawiłem wskaźnik głośności na środku skali i spróbowałem jeszcze raz. Skutek był nadzwyczajny. Jak lornetka dla uszu.

- Sześćdziesiąt miesięcznie to wydaje się trochę dużo, proszę pana - mówił Lee Oswald (zważywszy, że Templetonowie płacili dziesięć dolarów miesięcznie mniej, nie mogłem się z nim nie zgodzić). Jego głos był pełen szacunku, zabarwiony ledwie szczyptą południowego akcentu. - Gdybyśmy zeszli do pięćdziesięciu pięciu...

- Szanuję każdego, kto chce się targować, ale nawet pan nie próbuj - rzekł Wężowe Buty. Kołysał się w przód i w tył na obcasach klejonych z warstw skóry jak człowiek, któremu spieszno odejść. - Ile chcę, tyle dostanę. Nie od was, to od kogoś innego.

Lee i Robert popatrzyli po sobie.

- W sumie można zobaczyć, jak jest w środku - powiedział Lee.

- To porządny dom na rodzinnej ulicy - stwierdził Wężowe Buty. - Ale lepiej uważajta na ten pierwszy schodek na ganku, trza by wezwać do niego stolarza. Tyle mam tych domów, a ludziska tak je dewastują. Żebyście wiedzieli, jaka tu hołota ostatnio mieszkała.

Uważaj sobie, palancie, pomyślałem. Mówisz o rodzinie Ivy.

Weszli do środka. Głosy ucichły, po czym rozległy się znowu - słabo słyszalne - kiedy Wężowe Buty podniósł okno w dużym pokoju. To było to, przez które według Ivy mogli ją podglądać sąsiedzi z naprzeciwka, i miała stuprocentową rację.

Lee spytał, co właściciel jego ewentualnego domu zamierza zrobić z dziurami w

ścianach. W jego głosie nie było oburzenia ani sarkazmu, nie było też jednak uległości, pomimo kończącego każde zdanie „proszę pana”. To był uprzejmy, ale beznamiętny sposób mówienia, którego zapewne nauczył się w marines. Bezbarwny - to słowo określało Oswalda najlepiej. Miał twarz i głos człowieka, który świetnie potrafi wtapiać się w tło. Przynajmniej w miejscach publicznych. Tylko Marina widziała jego drugą twarz i słyszała jego drugi głos.

Wężowe Buty złożył niejasne obietnice i solennie zapewnił, że dostarczy nowy materac do dużej sypialni, bo „ta hołota, co tu mieszkała ostatnio”, ukradła ten, który dotąd tam był. Powtórzył, że jeśli Lee nie chce tego domu, to chętni na pewno się znajdą (jakby nie stał pusty od początku roku), po czym zachęcił braci, by obejrzeni sypialnie. Ciekaw byłem, jak im się spodoba twórczość Rosette.

Ich głosy ucichły, po czym rozległy się znowu, kiedy przeszli do kącika kuchennego. Byłem zadowolony, że mijając Krzywą Lampę z Pizy, nawet na nią nie spojrzeli.

- ...piwnica? - spytał Robert.

- Żadnej piwnicy! - odparł Wężowe Buty, oznajmiając to tubalnym głosem, jakby brak piwnicy był zaletą. Sam najwyraźniej tak uważał. - W takiej dzielnicy tylko woda się w nich zbiera. A ta wilgoć, rany boskie! - Tu znowu straciłem ich ze słuchu, kiedy otworzył tylne drzwi, żeby pokazać podwórko. Które faktycznie nie było podwórkiem, tylko pustą łąką.

Pięć minut później znowu wyszli przed dom. Tym razem to Robert, starszy z braci, próbował się targować. Nie wskórał nic więcej niż Lee.

- Da pan nam minutę? - spytał Robert.

Wężowe Buty spojrział na toporny, połyskujący chromem zegarek i stwierdził, że owszem, tyle może im dać.

- Ale mam spotkanie na Church Street, więc musicie panowie zdecydować szybko.

Robert i Lee przeszli na tył bel aira Roberta i choć zniżyli głosy, by Wężowe Buty nie słyszał, to kiedy przechyliłem półmisek w ich kierunku, mogłem wychwycić większość słów. Robert był za tym, żeby obejrzyć jeszcze kilka mieszkań. Lee powiedział, że chce to. Na początek mu wystarczy.

- To nora - powiedział Robert. - Wyrzucasz... - Zapewne pieniądze w błoto.

Lee odpowiedział coś, czego nie dosłyszałem. Robert westchnął i podniósł ręce w geście kapitulacji. Wrócili do Wężowych Butów, który wymienił z Lee krótki uścisk dłoni i pogratulował mu mądrego wyboru. Potem wygłosił Mantrę Właściciela Domu: pierwszy miesiąc, ostatni miesiąc, depozyt na pokrycie szkód. Wtedy interweniował Robert, mówiąc, że nie będzie żadnego depozytu, dopóki nie znikną dziury w ścianach i nie pojawi się nowy materac.

- Nowy materac, jasne - powiedział Wężowe Buty. - I każę naprawić ten stopień, żeby żoneczka kostki sobie nie skręciła. Ale jeśli od ręki załatam ściany, będę musiał podnieść komorne o pięć dolarów miesięcznie.

Wiedziałem z notatek Ala, że Lee weźmie ten dom, a mimo to spodziewałem się, że nie przystanie na takie zdzierstwo. On jednak wyciągnął z tylnej kieszeni wiotki portfel i wyjął cienki plik banknotów. Przełożył większość z nich jeden po drugim na wyciągniętą dłoń właściciela domu, Robert zaś poszedł do swojego samochodu, kręcąc głową z niesmakiem. Jego oczy na chwilę skierowały się na mój dom po drugiej stronie ulicy, po czym powędrowały dalej, niezainteresowane.

Wężowe Buty jeszcze raz wytargał dłoń Lee, po czym wskoczył do chryslera i dał gazu, zostawiając za sobą chrzęst kurzu.

Dziewczynka z sąsiedztwa podjechała na zardzewiałej hulajnodze.

- Pan będzie mieszkał w domu Rosette? - spytała Roberta.

- Nie, on - odparł i wskazał kciukiem swojego brata.

Podprowadziła hulajnogę do Lee i spytała człowieka, który miał odstrzelić Jackowi Kennedy'emu prawą stronę głowy, czy ma dzieci.

- Córeczkę - powiedział Lee. Oparł dłonie na kolanach, żeby móc spojrzeć jej prosto w oczy.

- Ładna jest?

- Nie tak ładna jak ty i nie tak duża.

- Umie skakać na skakance?

- Skarbie, toż ona chodzić jeszcze nie potrafi.

- A to niech się wypcha. - Odjechała w kierunku Winscott Road.

Dwaj bracia odwrócili się w stronę domu. To trochę stłumiło ich głosy, ale kiedy podkręciłem dźwięk, mogłem dosłyszeć większość tego, co mówili.

- To... kota w worku - powiedział Robert. - Jak Marina go zobaczy, wsiądzie na ciebie jak muchy na psie gównu.

- Poradzę... Riną - odparł Lee. - Ale, bracie, jeśli nie... od mamy i z tej ciasnej klitki, chyba ją zabiję.

- Czasem bywa... ale... cię kocha, Lee. - Robert przeszedł kilka kroków w stronę ulicy. Lee dołączył do niego, teraz słyszałem ich głośno i wyraźnie.

- Tak, ale jest, jaka jest, i tego nie zmieni. Którejś nocy wzięliśmy się z Riną do rzeczy, a ta nagle wrzeszczy na nas z kanapy. Wiesz, śpi w salonie. „Ej, dajcie sobie na wstrzymanie, za wcześnie na następnego dzieciaka. Zaczekajcie, aż będziecie mieli dość

pieniędzy na tego, którego już macie”.

- Potrafi być surowa.

- Ciągłe kupuje jakieś pierdoły, bracie. Mówi, że dla niej, ale to mnie pcha je pod nos.

- Lee zaśmiał się i tym razem to jego oczy prześliznęły się po domu numer 2706. Musiałem wyteńczyć całą siłę woli, żeby trwać w bezruchu za zasłonami, a jeszcze trzymać nieruchomo półmisek.

Obaj podeszli do bel aira. Oparli się o tylny zderzak, dwaj mężczyźni w czystych niebieskich koszulach i robociarskich spodniach. Lee poluźnił krawat.

- Posłuchaj tego. Mama idzie do Leonard Brothers i wraca z górą ubrań dla Riny. Wyciąga szorty, długie jak pantalone, tyle że w szkocką kratę. „Obacz, Reenie, śliczności, co?”, mówi. - Lee bezlitośnie parodiował matkę.

- I co Rina na to? - Robert się uśmiechał.

- Mówi „Nie, *mamoczka*, nie, dziękuję, ale nie podoba się, nie podoba. Ja wolę takie”. I kładzie rękę na nodze, o tak. - Lee przyłożył kant dłoni do swojej nogi mniej więcej w połowie uda.

Uśmiech Roberta stał się jeszcze szerszy.

- Mama na pewno była zachwycona.

- Mówi: „Marina, takie szorty są dla dziewczuch, co paradują po ulicach i szukają sobie kawalerów, nie dla mężatek”. Masz jej nie mówić, gdzie jesteśmy, bracie. Zabraniam. Rozumiemy się?

Robert przez kilka sekund milczał. Może wspominał zimny dzień w listopadzie 1960 roku. To, jak mama dreptała za nim Zachodnią Siódmą, krzycząc „Stój, Robert, nie goń tak, jeszcze z tobą nie skończyłam!”. I choć Al nic o tym nie napisał, sądziłem, że z Lee też jeszcze nie skończyła. Bądź co bądź, to Lee był synem, którego naprawdę kochała. Najmłodszym w rodzinie. Tym, który spał z nią w jednym łóżku dotąd, aż skończył jedenaście lat. Tym, któremu regularnie oglądała jaja, żeby sprawdzić, czy już rosną mu tam włosy. Te fakty były w notatkach Ala. Obok, na marginesie, widniały dwa słowa, o których znajomość raczej nie podejrzewa się prostego kucharza: histeryczna fiksacja.

- Rozumiemy się, Lee, ale to nie jest duże miasto. Znajdzie cię.

- Wtedy przegonię ją na cztery wiatry. Słowo.

Wsiedli do bel aira i odjechali. Tabliczka DO WYNAJĘCIA zniknęła z balustrady ganku. Właściciel nowego domu Lee i Mariny zabrał ją ze sobą.

Poszedłem do sklepu żelaznego, kupiłem rolkę taśmy izolacyjnej i okleiłem nią półmisek, wewnątrz i na zewnątrz. Ogólnie sądziłem, że to był udany dzień, ale wkroczyłem

na grząski grunt. I dobrze o tym wiedziałem.

4

Dziesiątego sierpnia koło piątej po południu bel air pojawił się znowu. Tym razem ciągnął małą drewnianą przyczepę. Lee i Robert w niecałe dziesięć minut wnieśli wszystkie dobra doczesne Oswaldów do nowej rezydencji (uważając przy tym na obłuzowaną deskę na ganku, której dotąd nie naprawiono). Przez ten czas Marina stała na zaniedbanym trawniku z June na rękach i patrzyła na swój nowy dom z przerażoną miną, do której nie potrzeba było tłumacza.

Tym razem zjawily się trzy dziewczynki, dwie szły pieszo, trzecia prowadziła hulajnogę. Zażądały, żeby pokazać im dziecko, i Marina z uśmiechem wykonała polecenie.

- Jak jej na imię? - spytała jedna z dziewczynek.

- June - powiedziała Marina.

Wtedy zaczęły wypytywać jedna przez drugą:

- Ile ma lat? Umie mówić? Czego się nie śmieje? Ma lalkę?

Marina pokręciła głową, wciąż uśmiechnięta.

- Przepraszam, ja nie mówić.

Dziewczynki czmychnęły z krzykiem: „Ja nie mówić, ja nie mówić!”. Jedna z ocalałych kur z Mercedes Street uciekła im z drogi, gdcząc wniebogłosy. Marina odprowadziła je wzrokiem i jej uśmiech przygasł.

Lee podszedł do niej. Był nagi do pasa i zlany potem. Skórę miał białą jak brzuch ryby, ręce chude i słabe. Objął żonę ramieniem w talii, po czym schylił się i pocałował June. Myślałem, że Marina wskaże palcem na dom i powie „nie podoba się, nie podoba” - tyle angielskiego już się nauczyła - ona jednak tylko oddała Lee dziecko i weszła na ganek. Zachwiała się na obłuzowanym schodku i złapała równowagę. Przyszło mi do głowy, że Sadie zapewne by się tam wyłożyła i przez następne dziesięć dni kuśtykała na spuchniętej kostce.

Przyszło mi też do głowy, że Marinie zależało na tym, by uciec od Marguerite, tak bardzo jak jej mężowi.

5

Dziesiątego był piątek. W poniedziałek, jakieś dwie godziny po tym, jak Lee wyruszył

na kolejny dzień składania aluminiowych drzwi zabezpieczających, przy krawężniku przed domem numer 2703 zatrzymał się kombi w kolorze błota. Marguerite Oswald wysiadła od strony pasażera, jeszcze zanim wóz się zatrzymał. Dziś czerwoną chustkę zastąpiła biała w czarne kropki, ale chodaki pielęgniarские były te same, podobnie jak niezadowolona, bojowa mina. Tak więc mamuśka ich znalazła.

Chart gończy niebios, pomyślałem. Chart gończy niebios.

Wyglądałem przez szparę między zasłonami, ale nie widziałem potrzeby, żeby włączyć mikrofon. Ta historia nie wymagała ścieżki dźwiękowej.

Przyjaciółka, która ją przywiozła - zażywna kobiecina - wygramoliła się zza kierownicy i powachlowała się dekoltem sukienki. Był kolejny upalny dzień, ale Marguerite na to nie zważała. Zagoniła swoją szoferkę na tył samochodu. W bagażniku było wysokie krzeselko dziecięce i torba zakupów. Marguerite wzięła to pierwsze; jej przyjaciółka dźwignęła to drugie.

Nadjechała dziewczynka na hulajnodze, ale Marguerite szybko ją spławiła. Usłyszałem „Sio, dziecko!” i mała odjechała z wydętą dolną wargą.

Marguerite pomaszerowała wydeptaną ścieżką do drzwi. Kiedy przyglądała się obluzowanemu schodkowi, wyszła Marina. Miała na sobie luźną koszulkę i szorty w rodzaju tych, jakie pani Oswald uważała za nieodpowiednie dla mężatek. Nie dziwiłem się, że Marinie się podobały. Miała piękne nogi. Na jej twarzy malowało się zaskoczenie i lęk, i nie potrzebowałem mojego prowizorycznego wzmacniacza, żeby ją usłyszeć.

- Nie, *mamoczka... mamoczka*, nie! Lee mówił nie! Lee mówił nie! Lee mówił... - A potem szybka seria rosyjskich słów, gdy Marina wyraziła to, co powiedział jej mąż, w jedyny znany jej sposób.

Marguerite Oswald należała do tych Amerykanów, którzy wierzą, że cudzoziemcy na pewno cię zrozumieją, jeśli tylko będziesz mówić powoli... i bardzo GŁOŚNO.

- Tak... Lee... ma... swoją... DUMĘ! - huknęła. Wdrapała się na ganek (zwinnie omijając felerny schodek) i zaczęła mówić spłoszonej synowej prosto w twarz. - Nic... w tym... złego... ale nie może... pozwolić... żeby... cenę za to... płaciła... moja WNUCZKA!

Była masywna. Marina była wiotka. *Mamoczka* bez ceregieli wpakowała się do domu. Nastąpiła chwila ciszy, a po niej godny dokera ryk:

- A gdzież ta moja ŚLICZNOTKA?!

W głębi domu, zapewne w dawnej sypialni Rosette, June się rozpląkała.

Kobieta, która przywiozła Marguerite, obdarzyła Marinę niepewnym uśmiechem i wniosła zakupy do domu.

O wpół do szóstej Lee nadszedł od strony przystanku autobusowego, uderzając o udo czarną bańką, w której nosił obiad. Wszedł na schody, zapominając o zepsutym stopniu. Schodek poruszył się pod nim; Lee zachwiał się, upuścił bańkę i schylił się, żeby ją podnieść.

To mu na pewno poprawi nastrój, pomyślałem.

Wszedł. Patrzyłem, jak idzie przez salon i stawia bańkę na blacie kuchennym. Zobaczył nowe wysokie krzeselko dla dziecka. Najwyraźniej znał modus operandi mamuski, bo w następnej kolejności otworzy zardzewiałą lodówkę. Wciąż jeszcze do niej zaglądał, kiedy z pokoju dziecka wyszła Marina. Miała przewieszoną przez ramię pieluchę na której - lornetka była mocna - zobaczyłem wyplute mleko.

Powiedziała coś do niego z uśmiechem i Lee odwrócił się w jej stronę. Miał jasną skórę, przekleństwo każdego, kto się łatwo rumieni i jego zagniewana twarz była czerwona jak burak aż po rzadniejące włosy. Zaczął krzyczeć na żonę, wskazując palcem lodówkę (drzwi wciąż były otwarte, wypuszczając zimną parę). Marina odwróciła się i ruszyła z powrotem do pokoju dziecka. Złapał ją za ramię, obrócił ku sobie i zaczął nią potrząsać. Jej głowa latała bezwładnie w przód i w tył.

Nie chciałem na to patrzeć i nie było powodu, dla którego powinienem; to niczego nie dodawało do niezbędnej mi wiedzy. Bił żonę, owszem, ale ona go przeżyje, w odróżnieniu od Johna F. Kennedy'ego... i funkcjonariusza Tippita, jeśli już o tym mowa. Dlatego nie, nie musiałem tego widzieć. Czasem jednak po prostu nie sposób odwrócić wzroku.

Kłócili się zażarcie, Marina bez wątplenia usiłowała wytłumaczyć, że nie wie, jak Marguerite ich znalazła, i że nie mogła nie wpuścić *mamoczki*. A Lee oczywiście w końcu uderzył ją w twarz, bo swojej mamy uderzyć nie mógł. Nawet gdyby była tam z nimi, nie potrafiłby podnieść na nią ręki.

Marina krzyknęła. Puścił ją. Mówiła do niego żarliwie, z wyciągniętymi rękami. Próbował chwycić jedną z nich, ale odtrąciła jego dłoń. Potem podniosła obie ręce do sufitu, opuściła je i wyszła z domu. Lee ruszył za nią, ale się rozmyślił. Bracia wystawili na ganek dwa stare, sfatygowane krzesła ogrodowe. Marina osunęła się na jedno z nich. Miała zadrapanie pod lewym okiem, policzek już zaczynał puchnąć. Spojrzała na ulicę, a potem na domy naprzeciwko. Poczulem ukłucie podszytego wyrzutami sumienia strachu, choć światła w moim salonie były zgaszone i nie mogła mnie zobaczyć. Mimo to uważałem, żeby się nie ruszać, z lornetką przy oczach.

Lee usiadł przy stole kuchennym i oparł czoło na dłoniach. Przez jakiś czas

pozostawał w tej pozycji, po czym usłyszał coś i wszedł do mniejszej z dwóch sypialni. Wyłonił się z June na rękach i zaczął chodzić z nią po salonie, głaskać ją po plecach, uspokajając. Marina weszła do środka. June wyciągnęła do niej pulchne rączki. Marina podeszła bliżej i Lee oddał jej dziecko. Potem, zanim mogła odejść, przytulił ją. Przez chwilę stała w milczeniu w jego objęciach, po czym przełożyła dziecko na ramię, żeby móc jedną ręką odwzajemnić jego uścisk. Jego usta były zagrzebane w jej włosach i mogłem się domyślić, co mówił: rosyjskie słowo oznaczające „przepraszam”. Nie miałem wątpliwości, że szczerze żałował. I że będzie żałował za każdym następnym razem.

Marina zabrała June z powrotem do dawnej sypialni Rosette. Lee chwilę stał w miejscu, po czym podszedł do lodówki, coś wyjął i zaczął to jeść.

7

Późnym popołudniem następnego dnia, kiedy Lee i Marina zasiadali do kolacji (June leżała na podłodze dużego pokoju i wierzgała nóżkami na kocu), od strony przystanku na Winscott Road nadciągnęła zasapana Marguerite. Tym razem miała na sobie luźne niebieskie spodnie; niefortunny wybór, zważywszy na jej obfitych rozmiarów tyłek. Taszczyła dużą torbę z materiału. Wystawał z niej czerwony plastikowy dach domku dla lalek. Weszła na ganek (znowu zwinnie omijając zepsuty schodek) i wmaszerowała bez pukania.

Walczyłem z pokusą, by pójść po mikrofon kierunkowy - to była kolejna scena, której nie musiałem oglądać - i przegrałem. Nic tak nie fascynuje jak rodzinna kłótnia, zdaje się, że tak powiedział Lew Tołstoj. A może Jonathan Franzen. Kiedy podłączyłem sprzęt i przez otwarte okno wymierzyłem mikrofon w otwarte okno po drugiej stronie ulicy, zadyma już rozkręciła się w najlepsze.

- ...chciał, żebyś wiedziała, gdzie jesteśmy, powiedziałbym ci, do cholery!

- Vada mi powiedziała, to dobre dziecko - odparła jego matka z niezmałym spokojem. Furia Lee spływała po niej jak letni deszczyk. Wypakowywała na blat naczynia, każde z innej parafii, z szybkością krupiera rozdającego karty w blackjacku. Marina patrzyła na nią z nieskrywanym zdumieniem. Domek dla lalek stał na podłodze, obok kocyka June. June wierzgała nóżkami i ignorowała go. Oczywiście, na co czteromiesięcznemu dziecku domek dla lalek?

- Mamo, musisz zostawić nas w spokoju! Nie przynos nic więcej! Potrafię się zatroszczyć o moją rodzinę!

Marina wtrąciła swoje trzy grosze:

- *Mamoczka*, Lee mówi nie.

Marguerite zaśmiała się wesoło.

- „Lee mówi nie, Lee mówi nie”. Skarbie, Lee zawsze mówi nie, mój syneczek całe życie to powtarza i to nic nie znaczy. Mamusia się nim opiekuje. - Uszczypnęła go w policzek, tak jak matka szczypie w policzek sześciolatka, który jest krnąbrny, ale przy tym niezaprzeczalnie słodki. Gdyby Marina spróbowała tak zrobić, jestem pewien, że Lee zęby by jej powybił.

W którymś momencie dziewczynki ze skakanką zawędrowały na łysą namiastkę trawnika. Obserwowały kłótnię w takim skupieniu, w jakim najubożsi widzowie teatru Globe oglądali na stojąco najnowszą sztukę Szekspira. Tyle że w przedstawieniu, którego byliśmy świadkami, złońca miała zwyciężyć.

- Co ci zrobiła na kolację, kochanie? Coś dobrego?

- Gulasz. *Żarkoje*. Ten, jak mu tam, Gregory podesłał nam kilka kuponów do Shop-Rite. - Bezgłośnie poruszał ustami. Marguerite czekała. - Chcesz trochę, mamó?

- *Żarkoje* dobre, *mamoczka* - powiedziała Marina z zachęcającym uśmiechem.

- Nie, nie przełknęłabym czegoś takiego - odparła Marguerite.

- Kurde, mamó, nawet nie wiesz, co to jest!

- Zaszkoziłoby mi na żołądek - powiedziała tak, jakby w ogóle się nie odezwał. - Poza tym nie chcę wracać po ósmej. Wtedy w autobusie za dużo pijaków. Lee, syneczku, musisz naprawić ten schodek, zanim ktoś złamie sobie nogę.

Coś mruknął, ale Marguerite już była zaprzątnięta czymś innym. Rzuciła się na June jak jastrząb na mysz polną i porwała ją w objęcia. Przez lornetkę wyraźnie widziałem zaskoczoną minę dziecka.

- Jak się dziś miewa moja ŚLICZNOTKA? Moja KOCHANIENKA? Moja mała DIEWUSZKA?

Mała *diewuszka*, panicznie przerażona, rozdarła się wniebogłosy.

Lee zrobił ruch, jakby chciał mamusce odebrać dziecko. Czerwone wargi Marguerite rozchyliły się, obnażając zęby; tylko z dużą dozą dobrej woli można było nazwać to uśmiechem. Mnie bardziej przypominał grymas złości. Jej synowi zapewne też, bo cofnął się o krok. Marina przygryzła wargę, oczy miała szeroko otwarte, przerażone.

- Oooo, Junie! Junie-Niuni-Siuni!

Marguerite maszerowała tam i z powrotem po wytartym zielonym dywanie, ignorując coraz bardziej rozpaczliwe wycie June, tak jak ignorowała gniew Lee. Czy ona syciła się tymi krzykami? Takie miałem wrażenie. Wreszcie Marina nie wytrzymała. Wstała i podeszła do

teściowej. Marguerite uciekła od niej, przyciskając dziecko do piersi. Słyszałem stukanie wielkich białych chodaków. Marina poszła za nią. Marguerite, może uznając, że postawiła na swoim, w końcu oddała dziecko. Wskazała na Lee, po czym zwróciła się do Mariny swoim donośnym głosem nauczycielki angielskiego:

- Przybrał na wadze... kiedyście u mnie mieszkali... bo gotowałam mu... wszystko, co LUBI... ale nadal jest ZA... CHUDY!

Marina patrzyła na nią znad czubka głowy dziecka. Marguerite przewróciła oczami ze zniecierpliwieniem albo z czystą odrazą i zbliżyła twarz do twarzy Mariny. Krzywa Lampa z Pizy była włączona i światło ślizgało się po szklach kocich okularów Marguerite.

- RÓB MU... TO CO LUBI! ŻADNEJ... KWAŚNEJ... ŚMIETANY! ŻADNEGO... JOGURTU! JEST... ZA... CHUDY!

- Chuu-dy - powtórzyła Marina z powątpiewaniem. June, bezpieczna w ramionach matki, powoli się uspokajała, jej płacz przechodził w mokrą czkawkę.

- Tak! - powiedziała Marguerite. Odwróciła się gwałtownie do Lee. - Napraw ten schodek!

Z tymi słowy wyszła, zatrzymując się tylko po to, by cmoknąć wnuczkę w głowę. Kiedy ruszyła z powrotem na przystanek, uśmiechała się. Wyglądała, jakby ubyło jej lat.

8

Nazajutrz po tym, jak Marguerite przyniosła domek dla lalek, wstałem o szóstej rano. Wyrzałem przez szczelinę między zasłonami, nawet o tym nie myśląc - szpiegowanie sąsiadów z naprzeciwka weszło mi w nawyk. Marina siedziała na krześle ogrodowym i paliła papierosa. Była w różowej piżamie z rayonu, o wiele na nią za dużej. Miała podbite oko, górę od piżamy znaczyły plamy krwi. Paliła niespiesznie, zaciągając się głęboko i patrząc pustym wzrokiem przed siebie.

Po jakimś czasie wróciła do środka i zrobiła śniadanie. Niedługo potem Lee wyszedł z sypialni i zjadł. Nie patrzył na nią. Czytał książkę.

9

„Ten, jak mu tam, Gregory podesłał nam kilka kuponów do Shop-Rite”, powiedział matce Lee, może chcąc wyjaśnić, skąd wziął mięso na gulasz, a może tylko po to, by ją poinformować, że on i Marina nie są w Fort Worth sami, mają przyjaciół. Wydawało się, że

mamoczką nie zwróciła na to uwagi, ale ja owszem. Peter Gregory był pierwszym ogniwem w łańcuszku, który doprowadzi George'a DeMohrenschildta na Mercedes Street.

Podobnie jak DeMohrenschildt, Gregory był emigrantem z Rosji i pracował w branży naftowej. Pochodził z Syberii i raz w tygodniu dawał lekcje rosyjskiego w bibliotece w Fort Worth. Na wieść o tym Lee zgłosił się do niego i spytał, czy mógłby dostać pracę jako tłumacz. Gregory przeegzaminował go i orzekł, że jego rosyjski jest „znośny”. Tym, co tak naprawdę interesowało Gregory'ego - co interesowało wszystkich emigrantów, jak zapewne sądził Lee - była Marina z domu Prusakowa, dziewczyna z Mińska, która jakimś cudem wyrwała się ze szponów rosyjskiego niedźwiedzia po to tylko, by wpaść w łapy amerykańskiego gbura.

Lee nie dostał tej pracy; zamiast niego Gregory zatrudnił Marinę - jako korepetytorkę rosyjskiego dla jego syna, Paula. Oswaldowie rozpaczliwie potrzebowali tych pieniędzy. Dla Lee był to zarazem kolejny policzek. Marina dwa razy w tygodniu uczyła bogatego dzieciaka, gdy on sam był skazany na składanie drzwi zabezpieczających przed wichurą.

Tego samego ranka, kiedy obserwowałem Marinę palącą papierosa na ganku, Paul Gregory, przystojny, mniej więcej w wieku Mariny, przyjechał nowiutkim buickiem. Zapukał i otworzyła Marina o twarzy pokrytej grubą warstwą makijażu, na której widok przypomniała mi się Bobbi Jill. Albo z uwagi na zaborczość Lee, albo przez wzgląd na wpojone jej w rodzinnym kraju zasady przyzwoitości udzieliła mu lekcji na ganku. Trwało to półtorej godziny. June leżała między nimi na kocyku, a kiedy płakała, oboje na zmianę trzymali ją na rękach. Uroczą scenką, choć pan Oswald zapewne byłby innego zdania.

Koło południa przyjechał ojciec Paula. Zatrzymał się za buickiem. Byli z nim dwaj mężczyźni i dwie kobiety. Przynieśli zakupy. Starszy Gregory uściskał syna, po czym pocałował Marinę w policzek (ten nieopuchnięty). Długo rozmawiali po rosyjsku. Młodszy Gregory był zagubiony, za to Marina się odnalazła; rozświetliła się jak neon. Zaprosiła ich do środka. Wkrótce już siedzieli w dużym pokoju, pili mrożoną herbatę i rozmawiali. Dłonie Mariny trzepotały jak podniecone ptaki. June przechodziła z rąk do rąk i z kolan na kolana.

Byłem zafascynowany. Społeczność emigrantów rosyjskich znalazła młodziutką kobietę, która zostanie ich ulubienicą. Jakże mogłoby być inaczej? Była młoda, była obca w obcym kraju, była piękna. Oczywiście, traf chciał, że owa piękność była poślubiona bestii - ponuremu młodemu Amerykaninowi, który ją bił (to źle) i żarliwie wierzył w system, który ci dobrze usytuowani ludzie równie żarliwie odrzucili (to dużo gorzej).

Mimo to Lee miał przyjmować dostarczane przez nich zakupy, z rzadka tylko wybuchając złością, kiedy zaś przywozili meble - nowe łóżko, jaskraworóżowe łóżeczko dla

dziecka - je też brał. Liczył, że Rosjanie wydobędą go z dołka. Nie lubił ich jednak i kiedy w listopadzie sześćdziesiątego drugiego roku przeniósł się z rodziną do Dallas, musiał wiedzieć, że jego uczucia były z całego serca odwzajemnione. Dlaczego właściwie mieliby go lubić? - zastanawiał się na pewno. On był ideologicznie czysty. Oni byli tchórzami, którzy porzucili Matkę Rosję, gdy w czterdziestym trzecim była na kolanach, którzy lizali Niemcom buty, a po wojnie uciekli do Stanów i szybko nawrócili się na amerykański styl życia... który dla Oswalda oznaczał potrząsający szabłą, ciemiejący mniejszości, wyzyskujący robotników kryptofaszyzm.

Część tych faktów znałem z notatek Ala. Większość widziałem na scenie po drugiej stronie ulicy albo wydedukowałem z jedynej istotnej rozmowy, którą pluskwa w lampie wychwyciła i nagrała.

10

Wieczorem dwudziestego piątego sierpnia, w sobotę, Marina wystroiła się w ładną niebieską sukienkę i wsadziła June w sztruksowy pajacyk z naszytymi kwiatkami na przodzie. Lee, z kwaśną miną wyłonił się z sypialni w, jak sądzę, swym jedynym garniturze - wełnianym, o kanciastym kroju, względnie zabawnym; takie szyli tylko w Rosji. Był gorący wieczór i domyślałem się, że zanim dobiegnie końca, Lee będzie ociekał potem. Ostrożnie zeszli z ganku po schodkach (tego felernego jeszcze nie naprawiono) i ruszyli na przystanek autobusowy. Wsiadłem do samochodu, pojechałem na róg Mercedes Street i Winscott Road. Widziałem, jak stali przy słupie telefonicznym z namalowanym białym pasem. Kłócili się. Wielka mi niespodzianka. Przyjechał autobus. Oswaldowie wsiedli. Ruszyłem za nimi, jak za Frankiem Dunningiem w Derry.

„Historia się powtarza” to inny sposób wyrażenia myśli, że przeszłość harmonizuje.

Wysiedli z autobusu w dzielnicy mieszkaniowej w północnej części Dallas. Zaparkowałem i patrzyłem, jak szli do małego, ale zgrabnego domu w stylu Tudorów, zbudowanego z kamienia polnego i drewna. Lampy powozowe na końcu prowadzącego do drzwi chodnika świeciły łagodnie w zmroku. Ten trawnik był zadbany. Dom całym sobą wołał „Ameryka to jest to!”. Marina szła przodem z dzieckiem na rękach, Lee trzymał się nieco z tyłu, wyraźnie nieswój w dwurzędowej marynarce, która opadała mu prawie do kolan.

Marina wepchnęła go przed siebie i wskazała na dzwonek. Wcisnął go. Wyszli Peter Gregory i jego syn. June wyciągnęła ręce do Paula, a chłopak zaśmiał się i wziął ją od Mariny. Na ten widok usta Lee wygięły się ku dołowi.

W już zatłoczonym wejściu stanął jeszcze jeden człowiek. Rozpoznałem go z grupy, która przyjechała w dniu pierwszej lekcji rosyjskiego Paula Gregory'ego; od tego czasu odwiedzał Oswaldów trzy czy cztery razy, przynosząc a to zakupy, a to zabawki dla June, a to jedno i drugie. Byłem prawie pewien, że nazywał się George Bouhe (tak, jeszcze jeden George, przeszłość harmonizuje na przeróżne sposoby). Choć zbliżał się do sześćdziesiątki, miałem wrażenie, że poważnie się zabujał w Marinie.

Według kucharza, który mnie w to wpakował, to Bouhe namówił Petera Gregory'ego, żeby urządził wieczorek zapoznawczy. George'a DeMohrenschildta nie było, ale wkrótce miał usłyszeć o wszystkim, co tu się wydarzy. Bouhe opowie DeMohrenschildtowi o Oswaldach i ich osobliwym małżeństwie. Powie mu też, że Lee Oswald zrobił scenę na przyjęciu, wychwalając socjalizm i rosyjskie kolchozy. „Ten młody człowiek wydaje mi się szalony”, stwierdzi Bouhe. DeMohrenschildt, zawołany koneser szaleństwa, zechce poznać tę dziwną Parę osobiście.

Dlaczego Oswald wpadł w furję na przyjęciu u Petera Gregory'ego i obraził pełnych najlepszych intencji emigrantów, którzy, gdyby nie to, mogliby mu pomóc? Nie wiedziałem na pewno, ale mogłem się domyślić. Oto Marina, czarująca wszystkich (zwłaszcza mężczyzn) w swojej niebieskiej sukience. Oto June, śliczna jak laleczka w pochodzącym z darów pajacyku z naszytymi kwiatkami. A oto Lee, pocący się w brzydkim garniturze. Owszem, rozumie z szybko wymienianych zdań po rosyjsku więcej niż młody Paul Gregory, ale koniec końców i tak nie nadaża. Na pewno był wściekły, że musi płaszczyć się przed tymi ludźmi i jeść z nimi przy jednym stole. Miałem taką nadzieję. Miałem nadzieję, że to go bolało.

Nie zostałem tam. Interesował mnie tylko DeMohrenschildt, następne ogniwo w łańcuchu. Wkrótce miał wejść na scenę. Tymczasem Oswaldowie wreszcie byli poza domem i mieli wrócić najwcześniej o dziesiątej. A że nazajutrz wypadała niedziela, może jeszcze później.

Pojechałem włączyć pluskwę w ich dużym pokoju.

11

Mercedes Street ostro balowała tego sobotniego wieczoru, ale łąka za *chez* Oswald była cicha i pusta. Sądziłem, że mój klucz będzie pasował i do frontowych, i do tylnych drzwi, ale nie musiałem wystawić tej teorii na próbę, bo tylne drzwi były otwarte. Podczas pobytu w Fort Worth ani razu nie skorzystałem z klucza, który kupiłem od Ivy Templeton. To się nazywa ironia losu.

Dom był tak schludny, że serce się krajało. Wysokie krzeselko stało między krzesłami rodziców przy stoliku w kuchni, gdzie jedli posiłki, tacka lśniła czystością. Podobnie jak złuszczone powierzchnie blatu kuchennego i zlew z rdzawym pierścieniem osadu od twardej wody. Założyłem się sam ze sobą, że Marina zostawiła narysowane przez Rosette dziewczynki w fartuszkach, i poszedłem do pokoju teraz zajmowanego przez June, żeby to sprawdzić. Miałem przy sobie latarkę Penlite i poświeciłem nią po ścianach. Tak, wciąż tu były, choć w ciemności wydawały się raczej widmowe niż radosne. June pewnie patrzyła na nie, kiedy ze smoczką w buzi leżała w łóżeczku. Ciekaw byłem, czy będzie je pamiętać w przyszłości, na jakimś głębokim poziomie swojego umysłu. Widmowe dziewczynki narysowane kredkami.

Jimla, pomyślałem zupełnie bez powodu i zadrzałem.

Odsunąłem komodę, podłączyłem kabel urządzenia podsłuchowego do wtyczki lampy i przeciągnąłem go przez otwór, który dawno temu wywierciłem w ścianie. Do tej pory wszystko dobrze szło, ale teraz popełniłem błąd. Duży błąd. Kiedy wsunąłem komodę z powrotem na miejsce, uderzyła w ścianę i Krzywa Lampa z Pizy się wywróciła.

Gdybym miał czas pomyśleć, zamarłbym w bezruchu i cholera rozbiłoby się o podłogę. Co wtedy? Usunąć pluskwę i zostawić skorupy? Liczyć, że Oswaldowie uznają, że chybotliwa lampa spadła sama? Większość ludzi pewnie by to kupiła, ale większość ludzi nie ma powodu lękać się FBI. Lee mógłby znaleźć dziurę, którą wywierciłem w ścianie. A wtedy motyl rozpostarłby skrzydła.

Nie miałem jednak czasu pomyśleć. Wyciągnąłem rękę i złapałem spadającą lampę. Potem tylko stałem nieruchomo i trzymałem ją, dygocząc. W małym domu było gorąco jak w piecu i czułem smród mojego własnego potu. Czy oni też go poczują po powrocie? Jak mogliby nie poczuć?

Pomyślałem, że chyba oszalałem. Przecież najrozsądniej byłoby usunąć pluskwę... a potem siebie. Mogłem ponownie namierzyć Oswalda dziesiątego kwietnia przyszłego roku, obserwować go podczas próby zamachu na generała Edwina Walkera, a jeśli wówczas będzie sam, zabić go, tak jak zabiłem Franka Dunninga. Proste jest najlepsze, jak mawiają na spotkaniach Anonimowych Alkoholików, w których uczestniczy Christy. Dlaczego, na litość boską, cackałem się ze zdezelowaną lampą z podsłuchem, gdy gra szła o przyszłość świata?

Odpowiedział mi Al Templeton: Jesteś tu, bo nadal istnieje margines niepewności. Jesteś tu, bo jeśli George DeMohrenschildt znaczy więcej, niż się wydaje, może Oswald rzeczywiście był kozłem ofiarnym. Jesteś tu, żeby ocalić Kennedy'ego, a praca nad tym zaczyna się w tej chwili. Dlatego odstaw tę zasraną lampę na miejsce.

Odstawiłem lampę na miejsce, choć niepokoiła mnie jej chybotliwość. A jeśli sam Lee straci ją z komody i, kiedy ceramiczna podstawa się roztrzaska, zobaczy zamontowaną w niej pluskwę? Albo z innej beczki: co będzie, jeśli Lee i DeMohrenschildt, owszem, będą się naradzać w tym pokoju, ale przy zgaszonej lampie i zbyt cichymi głosami, by wychwycił je mój mikrofon dalekiego zasięgu? Wtedy cały wysiłek pójdzie na marne.

Myśląc tak, nigdy nie usmażysz omletu, przyjacielu.

Ostatecznie przekonała mnie myśl o Sadie. Kochałem ją, a ona mnie - przynajmniej do niedawna - i zrezygnowałem z tego, żeby przenieść się tu, na tę głównianą ulicę. I, na Boga, nie odjadę stąd, dopóki choć nie spróbuję usłyszeć, co George DeMohrenschildt będzie miał do powiedzenia.

Wymknąłem się tylnymi drzwiami i z latarką w zębach podłączyłem kabel od pluskwy do magnetofonu. Wsunąłem magnetofon do zardzewiałej puszkę po margarynie Crisco, żeby osłonić go przed siłami natury, i całość schowałem w uprzednio przygotowanym małym gnieździe z cegieł i desek.

Potem wróciłem do mojego głównianego domu na tej głównianej ulicy i zacząłem czekać.

12

Włączali lampę, dopiero kiedy robiło się ciemno choć oko wykol. Pewnie oszczędzali na rachunkach za prąd. Poza tym, Lee był człowiekiem pracującym. Wcześniej chodził spać, a ona razem z nim. Kiedy przesłuchałem pierwszą taśmę, usłyszałem głównie język rosyjski - i to rosyjski w wersji rozciągniętej, z uwagi na superwolne obroty magnetofonu. Ilekroć Marina próbowała ćwiczyć swoje angielskie słownictwo, Lee ją beształ. Za to do June czasem mówił po angielsku, gdy grymasiła, zawsze łagodnym, kojącym tonem. Niekiedy nawet jej śpiewał. Na zwolnionych obrotach brzmiało to jak kołysanka w wykonaniu orka.

Dwa razy słyszałem, jak uderzył Marinę, i przy drugiej okazji rosyjski nie wystarczył mu do wyrażenia wściekłości.

- I czego marudzisz, pizdo beznadziejna! Może mama miała co do ciebie rację! - Po czym nastąpił trzask zamykanych drzwi i płacz Mariny. Urwał się raptownie, gdy zgasła lampę.

Wieczorem czwartego września zobaczyłem, że do drzwi Oswaldów podszedł może trzynastoletni chłopak z płóciennym workiem na ramieniu. Otworzył mu Lee, bosy, w T-shircie i džinsach. Chwilę rozmawiali. Lee zaprosił go do środka. Jeszcze trochę

porozmawiali. W pewnym momencie Lee wziął do ręki jakąś książkę i pokazał chłopcu, który spojrzał na nią sceptycznie. Nie dało się skorzystać z mikrofonu kierunkowego, bo zrobiło się chłodno i okna u Oswaldów były pozamykane. Za to Krzywa Lampa z Pizy była włączona i kiedy następnego nocy zabrałem z ukrytego magnetofonu drugą nagraną taśmę, wysłuchałem zabawnej rozmowy. Odtwarzając ją po raz trzeci, już prawie nie zwracałem uwagi na spowolniony dźwięk głosów.

Chłopak sprzedawał prenumeratę gazety - a może to był magazyn - o nazwie „Grit”. Poinformował Oswaldów, że pismo zawiera przeróżne ciekawe rzeczy, którymi prasa nowojorska się nie zajmuje (nazwał to „wiadomościami regionalnymi”), a oprócz tego informacje sportowe i porady ogrodnicze. Były też, jak to określił, „historie fikcyjne” i komiksy.

- W „Times-Herald” nie znajdziecie państwo „Dixie Dugan” - powiadomił ich. - Moja mama uwielbia Dixie.

- Cóż, synu, to dobrze - powiedział Lee. - Prawdziwy mały biznesmen z ciebie, co?

- Eee... tak, psze pana?

- Powiedz no, ile ci płacą.

- Dostaję jeno cztery centy z każdych dziesięciu, ale nie to jest najważniejsze, psze pana. Najbardziej lubię nagrody. Są dużo lepsze od tych, jakie dostaje się, sprzedając maść Cloverine Salve. Niech tamci się wypchają! Wezmę se dwudziestkędwójkę! Ojciec już pozwolili.

- Synu, wiesz, że jesteś ofiarą wyzysku?

- Hę?

- Oni biorą dziesięciocentówki. Tobie dają centy i obietnicę karabinu.

- Lee, on dobry chłopiec - wtrąciła Marina. - Bądź miły. Daj spokój.

Lee ją zignorował.

- Koniecznie musisz poznać tę książkę, synu. Umiesz przeczytać, co jest na okładce?

- O tak, psze pana. „Położenie klasy robotniczej”, autor... Inggels?

- Engels. Opowiada o tym, jak kończą chłopcy, którzy myślą, że dorobią się milionów na sprzedaży od drzwi do drzwi.

- Ja tam nie chcę być milioner - zaprotestował chłopak. - Chcę ino dwudziestkędwójkę, coby strzelać do szczurów na wysypisku, jak mój przyjaciel Hank.

- Zarabiasz centy, sprzedając ich gazety; oni zarabiają dolary, sprzedając twój pot i pot milionów tobie podobnych chłopców. Wolny rynek nie jest wolny. Musisz się doksztalcić, synu. Ja to zrobiłem, a zacząłem, kiedy byłem w twoim wieku.

Lee wygłosił chłopcu sprzedającemu „Grit” dziesięciminutowy wykład o niegodziwościach kapitalizmu, okraszony starannie dobranymi cytatami z Karola Marksa. Chłopiec słuchał cierpliwie, po czym spytał:

- To jak, weźnie pan prenumeratę?

- Synu, ty mnie w ogóle słuchałeś?

- Tak jest!

- To powinienesz wiedzieć, że ten system okradł mnie, tak jak okrada ciebie i twoją rodzinę.

- Pan ni ma pieniędzy? Czego od razu nie mówił?

- Bo próbowałem ci wyjaśnić, dlaczego nie mam pieniędzy.

- O ra-any! Mogłem jeszcze ze trzy chałupy obskoczyć, a tak to muszę do dom wracać, inaczej rodzice się wściekną!

- Powodzenia - powiedziała Marina.

Drzwi frontowe otworzyły się ze skrzypieniem starych zawiasów, po czym zamknęły się ze stuknięciem (były zbyt umęczone, by porządnie huknąć). Nastąpiła długa chwila ciszy. Wreszcie Lee powiedział matowym głosem:

- Sama widzisz, z czym mamy do czynienia.

Niedługo potem lampa zgasła.

13

Mój nowy telefon przeważnie milczał. Raz zadzwonił Deke - krótka rozmowa z gatunku „co tam słyhać” - ale to wszystko. Powiedziałem sobie, że na nic więcej nie mogę liczyć. Zaczęła się szkoła, a pierwszych kilka tygodni to zawsze jeden wielki kocioł. Deke był zajęty, bo Ellie ściągnęła go z emerytury. Powiedział mi, że trochę pogrymasił, ale zgodził się w końcu, żeby dopisała jego nazwisko do listy zastępców. Ellie nie dzwoniła, bo miała pięć tysięcy spraw na głowie i pewnie z pięćset małych pożarów do ugaszenia.

Dopiero kiedy odłożył słuchawkę, uświadomiłem sobie, że nie wspomniał o Sadie... i dwa wieczory po wykładzie Lee dla gazeciarza stwierdziłem, że muszę z nią porozmawiać. Musiałem usłyszeć jej głos, choćby miała powiedzieć tylko: „Proszę, nie dzwoń do mnie więcej, George, między nami wszystko skończone”.

Kiedy sięgnąłem po słuchawkę, telefon zadzwonił. Podniosłem ją i powiedziałem z niewzruszoną pewnością:

- Cześć, Sadie. Cześć, kochanie.

Nastąpiła chwila ciszy dość długa, bym pomyślał, że jednak się pomyliłem, że ktoś zaraz powie: „Nie jestem Sadie, tylko frajerem, który wykręcił zły numer”. A potem usłyszałem:

- Skąd wiedziałeś, że to ja?

Prawie odpowiedziałem: „Harmonika”, i może by to zrozumiała. Ale „może” to za mało. To była ważna rozmowa i nie chciałem jej schrzanić. Rozpaczliwie tego nie chciałem. Prowadziłem tę rozmowę w dwu osobach - George mówił głośno, a Jake dopowiadał w duchu to, czego George nie mógł powiedzieć. Może zawsze, gdy ważą się losy miłości, tak się dzieje.

- Bo cały dzień o tobie myślę - powiedziałem. (Myślę o tobie całe lato).

- Co u ciebie?

- W porządku. - (Jestem samotny). - A u ciebie? Jak minęło lato? Załatwiłaś, co miałaś załatwić? - (Przecięłaś więzy prawne łączące cię z twoim dziwnym mężem?)

- Tak. Po sprawie. Czy to nie jedno z twoich powiedzonek, George? Po sprawie?

- Możliwe. Co słychać w szkole? W bibliotece?

- George, będziemy tak rozmawiać, czy porozmawiamy naprawdę?

- W porządku. - Usiadłem na mojej powgniatanej kanapie z odzysku. - Porozmawiajmy. U ciebie wszystko dobrze?

- Tak, ale jestem nieszczęśliwa. I bardzo zagubiona. - Zawahała się, po czym powiedziała: - Pracowałam w Harrah's, pewnie słyszałeś. Roznosiłam drinki. I kogoś poznałam.

- Tak? - (Ożeż cholera).

- Tak. Jest bardzo miły. Czarujący. Dżentelmen. Pod czterdziestkę. Nazywa się Roger Beaton. Jest asystentem republikańskiego senatora z Kalifornii, Toma Kuchela. To rzecznik dyscyplinarny mniejszości w Senacie. Kuchel, nie Roger. - Zaśmiała się, ale nie tak, jak śmieje się ktoś, kto powiedział coś śmiesznego.

- Czy powinienem się cieszyć, że poznałaś kogoś miłego?

- Nie wiem, George... a cieszysz się?

- Nie. - (Chcę go zabić).

- Roger jest przystojny - powiedziała rzeczowym tonem. - I sympatyczny. Skończył Yale. Wie, jak zabawić dziewczynę. I jest wysoki.

Drugi ja nie mógł dłużej milczeć.

- Chcę go zabić.

Zaśmiała się na to i ten dźwięk przyniósł mi ulgę.

- Nie mówię ci tego, żeby sprawić ci przykrość czy ból.

- Nie? W takim razie po co mi to mówisz?

- Spotkaliśmy się trzy-cztery razy. Pocałował mnie... trochę się pieściliśmy... no wiesz, jak nastolatki...

(Nie tylko chcę go zabić, chcę zrobić to powoli).

- Ale to nie było to samo. Może z czasem takie by się stało; może nie. Dał mi swój numer w Waszyngtonie i powiedział, żebym zadzwoniła, jeśli... jak to ujął? „Jeśli znudzi ci się układanie książek na półkach i wzdychanie do tego jednego jedyne, który wymknął ci się z rąk”. Chyba mniej więcej do tego to się sprowadzało. Twierdzi, że wysoko zajdzie i że potrzebuje porządnej kobiety, która by mu w tym towarzyszyła. Myśli, że mogłabym nią być ja. Oczywiście, mężczyźni często tak mówią. Nie jestem tak naiwna jak kiedyś. Ale czasem mówią serio.

- Sadie...

- No ale to nie było to samo. - Wydawała się zamyślona, nieobecna i po raz pierwszy naszła mnie myśl, że może dręczy ją coś innego niż rozterki osobiste. Że może jest chora. - Plus jest taki, że nie było żadnej miotły. Oczywiście, mężczyźni czasem tę miotłę ukrywają, nie? Tak robił Johnny. Ty też, George.

- Sadie?

- Tak?

- A czy ty ukrywasz miotłę?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Dużo dłuższa od tej w momencie, gdy odebrałem telefon i powiedziałem jej imię, i dużo dłuższa, niż się spodziewałem. W końcu Sadie powiedziała:

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Po prostu jesteś jakaś nieswoja, to wszystko.

- Mówiłam ci, jestem strasznie zagubiona. I smutna. Bo nadal nie jesteś gotów powiedzieć mi prawdy, zgadza się?

- Gdybym mógł, zrobiłbym to.

- Wiesz, co jest ciekawe? Masz w Jodie dobrych przyjaciół... nie tylko mnie... i żaden z nich nie wie, gdzie mieszkasz.

- Sadie...

- Twierdzisz, że w Dallas, ale masz numer w centrali Elmhurst, a Elmhurst jest w Fort Worth.

Nie pomyślałem o tym. O czym jeszcze nie pomyślałem?

- Sadie, mogę ci tylko powiedzieć, że robię coś bardzo waż...

- Och, nie wątpię. I to, co robi senator Kuchel, też jest bardzo ważne. Roger wytrwale mi to tłumaczył i powiedział też, że jeśli... jeśli przyjadę do niego do Waszyngtonu, to w gruncie rzeczy będę siedzieć u stóp wielkości... albo we wrotach historii... coś w tym guście. Władza go podnieca. To jedna z nielicznych cech, które trudno w nim polubić. Pomyślałam sobie... nadal tak myślę... że kimże ja jestem, by siedzieć u stóp wielkości? Jestem tylko rozwiedziona bibliotekarka.

- Kimże ja jestem, by siedzieć we wrotach historii? - powiedziałem.

- Co? Co powiedziałeś, George?

- Nic, kochanie.

- Może lepiej tak mnie nie nazywaj.

- Przepraszam. - (Właśnie że nie). - O czym my właściwie mówimy?

- O tobie i o mnie, i o tym, czy ty i ja to nadal my. Byłoby łatwiej, gdybyś mógł mi powiedzieć, dlaczego jesteś w Teksasie. Bo ja wiem, że nie przyjechałeś po to, by pisać książkę czy uczyć w szkole.

- Gdybym ci powiedział, mógłbym narazić cię na niebezpieczeństwo.

- My wszyscy już jesteśmy w niebezpieczeństwie - powiedziała. - Johnny ma co do tego rację. Powiedz mi, czego dowiedziałam się od Rogera?

- Dobrze. - (Gdzie ci to powiedział, Sadie? W trakcie tej rozmowy byliście w pozycji poziomej czy pionowej?).

- Wypił ze dwa drinki i rozwiązał mu się język. Byliśmy w jego pokoju hotelowym, ale nie martw się... trzymałam nogi na podłodze i byłam w ubraniu.

- Nie martwiłem się.

- Jeśli nie, jestem zawiedziona.

- No dobrze, martwiłem się. Co takiego powiedział?

- Że chodzą słuchy, że tej jesieni albo zimy na Karaibach wydarzy się coś dużego. Przesilenie, tak to nazwał. Domyślam się, że miał na myśli Kubę. Powiedział: „Ten idiota JFK wpakuje nas wszystkich w pasztet po to tylko, by pokazać, że ma jaja”.

Pamiętałem całą tę gadaninę o końcu świata, którą były małżonkowie sycyli w jej uszy. „Wie to każdy, kto czyta gazety - powiedział jej.

- Będziemy zdychać cali we wrzodach, wypluwając płuca”. Takie teksty zapadają w pamięć, zwłaszcza wypowiedziane tonem suchej, naukowej pewności. Zapadają? Raczej się wrzynają.

- Sadie, to bzdura.

- Tak? - Wydawała się dotknięta. - Pewnie ty masz wiadomości z pierwszej ręki, a senator Kuchel nie?

- Można tak powiedzieć.

- Nie, nie można. Dam ci jeszcze trochę czasu na to, żebyś wyznał całą prawdę, ale nie za dużo. A i to chyba tylko dlatego, że dobrze tańczysz.

- To chodźmy na tańce! - powiedziałem trochę zbyt entuzjastycznie.

- Dobranoc, George.

I zanim mogłem powiedzieć coś jeszcze, odłożyła słuchawkę.

15

Miałem od razu do niej oddzwonić, ale kiedy telefonistka spytała „Jaki numer?“, powrócił rozsądek. Odłożyłem słuchawkę z powrotem na widelki. Powiedziała, co chciała powiedzieć. Usiłując wyciągnąć z niej coś więcej, tylko pogorszyłem sytuację.

Próbowałem sobie wmówić, że ten telefon od niej to nic innego, jak fortel mający mnie zmusić, żebym przestał siedzieć okrakiem na barykadzie i wreszcie się jednoznacznie określił. Nie wierzyłem w to jednak, bo to nie było w stylu Sadie. Jej słowa wydawały się raczej wołaniem o pomoc.

Ponownie podniosłem słuchawkę i kiedy telefonistka spytała o numer, tym razem go podałem. Usłyszałem dwa sygnały, po czym Ellen Dockerty powiedziała:

- Tak? Kto mówi?

- Witam panią, Ellie. To ja, George.

Może ta chwila ciszy po odebraniu telefonu to był jakiś nowy zwyczaj. Czekałem. Wreszcie powiedziała:

- Cześć, George. Zaniedbywałam cię, co? To dlatego, że ostatnio jestem okropnie...

- Zajęta, jasne. Wiem, jak to jest w pierwszych tygodniach, Ellie. Dzwonię, bo właśnie zadzwoniła do mnie Sadie.

- Tak? - W jej głosie brzmiała duża ostrożność.

- Jeśli jej powiedziałaś, że mam numer z Fort Worth, nie Dallas, nie mam ci tego za złe.

- Nie obgadywałam cię. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Pomyślałam, że ma prawo to wiedzieć. Sadie jest mi bliska. Oczywiście ty też, George... ale ciebie nie ma. Ona jest.

Rozumiałem to, choć z bólem. Powróciło uczucie, jakbym przebywał w kapsule

wysłanej w najdalsze otchłanie kosmosu.

- Nie mam do ciebie pretensji, Ellie, poza tym to nie było duże kłamstwo. Zamierzam wkrótce przenieść się do Dallas.

Żadnej odpowiedzi. Bo i co mogła powiedzieć? „Może i tak, ale oboje wiemy, że bywasz z prawdą na bakier?”

- Miałem wrażenie, że coś jest z nią nie tak. Wiesz może, czy wszystko u niej w porządku?

- Nie jestem pewna, czy chcę na to odpowiedzieć. Jeśli powiem, że nie, może tu do niej przygnasz, a ona nie chce cię widzieć. Nie, dopóki sprawy tak się mają.

W ten sposób mimo woli odpowiedziała na moje pytanie.

- Czy wszystko było z nią w porządku, kiedy wróciła?

- Tak. Cieszyła się, że nas widzi.

- Ale teraz jest jakaś nieobecna i mówi, że jej smutno.

- Dziwisz się? - Głos Ellie był szorstki. - Czekają tu na nią tyle wspomnień, wiele związanych z mężczyzną, do którego wciąż coś czuje. Miłym mężczyzną i świetnym nauczycielem, który jednak zawiązał do nas pod fałszywą banderą.

To naprawdę zabolęło.

- Wydawało mi się, że chodzi o coś innego. Mówiła o jakimś nadciągającym kryzysie, o którym usłyszała od... - Od absolwenta Yale, który siedział we wrotach historii? - Od kogoś, kogo poznała w Nevadzie. Mąż napchał jej do głowy masę bzdur...

- Do jej głowy? Jej ślicznej główki? - To już nie była tylko szorstkość; to był jawny gniew. Poczulem się mały i podły. - George, mam przed sobą wielką stertę teczek i muszę się nimi zająć. Nie możesz poddawać Sadie Dunhill psychoanalizie na odległość, a ja nie mogę ci pomóc z twoim życiem uczuciowym. Mogę ci tylko doradzić, żebyś powiedział jej całą prawdę, jeśli ci na niej zależy. Prędzej raczej niż później.

- Nie widziałaś tam jej męża, mam nadzieję?

- Nie! Dobranoc, George!

Po raz drugi tego wieczoru bliska mi kobieta rzuciła słuchawkę. Mój nowy rekord.

Poszedłem do sypialni i zacząłem się rozbierać. Wszystko było w porządku, kiedy przyjechała. Cieszyła się, że znowu jest w Jodie, wśród przyjaciół. A teraz coś się popsło. Bo jest rozdarta między przystojnym, skazanym na sukces nowym facetem a wysokim, tajemniczym brunetem z niewidzialną przeszłością? Tak to pewnie wyglądałoby w romansidzie, ale czemu nie była przygnębiona, kiedy wróciła?

Przyszła mi do głowy nieprzyjemna myśl: Może piła. Dużo. W tajemnicy. Czyż nie

było takiej możliwości? Moja żona ukrywała się ze swoim pićem przez wiele lat - zaczęła jeszcze przed naszym ślubem, nawiasem mówiąc - a przeszłość harmonizuje sama ze sobą. Łatwo byłoby to odrzucić, stwierdzić, że Ellie na pewno wypatrzyłaby oznaki, ale pijacy potrafią być sprytni. Czasem mijają całe lata, zanim ludzie ich przejrzą. Jeśli Sadie przychodziła punktualnie do pracy, Ellie mogła nie zauważyć przekrwionych oczu i oddechu pachnącego miętusami.

Nie, to raczej niedorzeczne. Wszystkie moje hipotezy były podejrzane, na każdą z nich rzutowało to, jak bardzo wciąż mi na Sadie zależało.

Położyłem się do łóżka i wbiłem wzrok w sufit. Piecyk naftowy gulgotał w salonie - była kolejna chłodna noc.

Daj temu spokój, przyjacielu, powiedział Al. Musisz. Pamiętaj, nie jesteś tu po to, żeby zdobyć...

Dziewczyne, pamiątkowy złoty zegarek i całą resztę. Tak, Al, wiem.

Poza tym pewnie nic jej nie jest. To ty masz kłopot.

I to niejeden, prawdę mówiąc. Minęło dużo czasu, zanim zasnąłem.

16

W następny poniedziałek, podczas jednej z moich regularnych wizyt na West Neely Street 214 w Dallas, zauważyłem zaparkowany na podjeździe długi szary karawan. Dwie grube panie stały na ganku i patrzyły, jak dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach wkładają nosze na tył wozu. Leżało na nich ciało przykryte prześcieradłem. Mieszkające na górze młode małżeństwo patrzyło z niepewnie wyglądającego balkonu nad gankiem. Ich najmłodsze dziecko spało na rękach mamy.

Wózek inwalidzki z popielniczką przyczepioną do poręczy stał osierocony pod drzewem, gdzie staruszek spędził większość dni minionego lata.

Zatrzymałem się i stałem przy samochodzie, aż karawan odjechał. Wtedy (choć zdawałem sobie sprawę, że pora po temu jest, oględnie mówiąc, nie najlepsza) przeszedłem na drugą stronę ulicy i ruszyłem ścieżką na ganek. U podnóża schodów uchyliłem kapelusza.

- Drogie panie, proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Starsza z nich - jak przypuszczałem, żona, która teraz została wdową - powiedziała:

- Już pan tu kiedyś był.

W istocie, miałem ochotę odpowiedzieć. O tym domu jest głośniejsze niż o zawodowym futbolu.

- Widział pana. - Nie zarzut; zwykle stwierdzenie faktu.

- Szukam mieszkania w tej dzielnicy. Panie zamierzają tu zostać?

- Nie - odparła młodsza. - Miał u-bez-pieczenie. I właściwie nic poza tym. Oprócz paru orderów w pudełku. - Pociągnęła nosem. Mówię wam, serce mi się trochę krajało, kiedy widziałem rozpacz tych dwóch dam.

- Nazywał pana duchem - powiedziała mi wdowa. - Mówił, że widział przez pana na wylot. Oczywiście, miał nawalone jak szczur w sraczu. Od trzech lat, odkąd dostał wylewu i podłączyli go do worka na szczynty. My z Idą wracamy do Oklahomy.

Polecam Mozelle, pomyślałem. To tam trzeba jechać, kiedy porzuca się swoje mieszkanie.

- Czego pan chce? - spytała młodsza. - Musimy zawieźć mu garnitur do domu pogrzebowego.

- Poproszę numer właściciela waszego mieszkania.

Wdowie oczy rozblęły.

- Ile byłby dla pana wart?

- Dam go panu za darmo! - odezwała się młoda kobieta z balkonu piętro wyżej.

Pogrążona w żałobie córka podniosła głowę i kazała jej zamknąć ten zapluty ryj. To właśnie było charakterystyczne dla Dallas. I Derry też.

Ta życzliwość międzyludzka.

ROZDZIAŁ 19

1

George DeMohrenschildt efektownie wkroczył na scenę po południu piętnastego września, w ciemną, deszczową sobotę. Siedział za kierownicą kawowego cadillaca prosto z piosenki Chucka Berry'ego. Byli z nim jeden znany mi człowiek, George Bouhe, i jeden nieznajomy - chudzielec z białą czupryną i wyprężonymi jak struna plecami faceta, który długo służył w wojsku i do dziś jest z tego powodu szczęśliwy. DeMohrenschildt przeszedł na tył samochodu i otworzył bagażnik. Poleciałem po mikrofon dalekiego zasięgu.

Kiedy wróciłem ze sprzętem, Bouhe trzymał pod pachą złożony kojec dla dziecka, a facet o wyglądzie wojskowego był obładowany zabawkami. DeMohrenschildt miał puste ręce i, z podniesioną głową i wyprężoną piersią, wdrapał się na schody pierwszy. Był wysoki i potężnie zbudowany. Siwiejące włosy nosił szesane na bok z szerokiego czoła w sposób, który mówił - przynajmniej mnie - „Mocarze, patrzcie na moje dzieła i gińcie z rozpacz. Albowiem jam jest GEORGE”.

Podłączyłem magnetofon do prądu, założyłem słuchawki i wymierzyłem półmisek z mikrofonem w drugą stronę ulicy.

Marina była poza polem widzenia. Lee siedział na kanapie i w świetle lampy czytał grubą książkę w miękkiej oprawie. Kiedy usłyszał kroki na ganku, podniósł głowę zasepiony i rzucił książkę na stolik. Pewnie pomyślał: Znowu ci cholerni emigranci.

Mimo to poszedł otworzyć. Podał rękę srebrzystowłosemu nieznajomemu, ale ku jego - i mojemu - zaskoczeniu DeMohrenschildt porwał go w objęcia, wycałował w oba policzki i odsunął na długość ramion.

- Niech no obejrzę młodego człowieka, który przebył taki szmat drogi i powrócił wciąż wierny swoim ideałom! - Głos miał głęboki, z silnym akcentem, niemieckim raczej niż rosyjskim. Znowu przyciągnął Lee do siebie i wyściskał. Głowa Oswalda była widoczna tuż nad jego ramieniem i zobaczyłem coś jeszcze bardziej zaskakującego: Lee Harvey Oswald się uśmiechał.

2

Marina z June w ramionach krzyknęła radośnie na widok Bouhe'a. Podziękowała mu za kojec i, jak to nazwała swoją łamaną angielszczyzną, „igraszki dla dziecka”. Bouhe przedstawił chudzielca jako Lawrence'a Orlova - „Pułkownik Lawrence Orlov”, uściślił chudzielec - a DeMohrenschildt określił mianem przyjaciela rosyjskiej społeczności.

Bouhe i Orlov zajęli się rozkładaniem kojca na środku podłogi. Marina stała obok i gawędziła z nimi po rosyjsku. Podobnie jak Bouhe, Orlov nie mógł oderwać oczu od młodej rosyjskiej matki. Marina miała na sobie luźną bluzkę i szorty obnażające niekończące się nogi. Lee już się nie uśmiechał. Popadł w swój zwykły ponury nastrój.

DeMohrenschildt jednak ani myślał mu na to pozwolić. Zauważył książkę, którą czytał Lee, i podniósł ją ze stolika.

- „Atlas zbuntowany”? - Zwracał się tylko do Lee. Kompletnie ignorował pozostałych, którzy podziwiali nowy kojec. - Ayn Rand? Co młody rewolucjonista robi z czymś takim?

- Trzeba poznać wroga - powiedział Lee i kiedy DeMohrenschildt zaniósł się serdecznym śmiechem, na usta Oswalda znów wypłynął uśmiech.

- I cóż sądzisz o *cri de coeur* pani Rand? - Gdy później odtwarzałem nagranie, zabrzmiało mi to jakoś znajomo. Wysłuchałem tych słów dwa razy, zanim trybiki zaskoczyły: niemal dokładnie tego samego sformułowania użyła Mimi Corcoran, pytając mnie o „Buszującego w zbożu”.

- Myślę, że połknęła zatrutą przynętę - powiedział Oswald - i teraz zarabia, sprzedając ją innym.

- Otóż to, przyjacielu. Sam bym tego lepiej nie ujął. Nadejdzie dzień, kiedy Ayny Rand tego świata odpowiedzą za swoje zbrodnie. Wierzysz w to?

- Ja to wiem - rzekł Lee z niezachwianą pewnością.

DeMohrenschildt poklepał kanapę.

- Usiądźmy. Chcę posłuchać o twoich przygodach w ojczyźnie.

Bouhe i Orlov podeszli do nich obu. Długo dyskutowali o czymś po rosyjsku. Lee miał niepewną minę, ale kiedy DeMohrenschildt coś mu powiedział, też po rosyjsku, Oswald kiwnął głową i rzucił parę słów do Mariny. To, jak machnął ręką w stronę drzwi, jasno dawało do zrozumienia, o co chodzi: No dobra, idź.

DeMohrenschildt rzucił swoje kluczyki Bouhe'owi, który ich nie złapał. Kiedy nieporadnie podnosił je z brudnego zielonego dywanu, DeMohrenschildt i Lee wymienili rozbawione spojrzenia. A potem tamci wyszli, Marina z dzieckiem na rękach, i odjechali

wielkim jak Łódź cadillakiem DeMohrenschildta.

- Teraz będziemy mieli spokój, przyjacielu - rzekł DeMohrenschildt. - No i panowie sięgną do portfeli, a to dobrze, nie?

- Mam dość tego ich sięgania do portfeli - odparł Lee. - Moja żona już zapomina, że wróciliśmy do Ameryki nie po to, by kupić cholerną zamrażarkę i całą szafę sukienek.

DeMohrenschildt zbył to machnięciem ręki.

- Pot z grzbietu kapitalistycznego wieprza. Nie wystarczy ci, że mieszkasz w tej przygnębiającej norze?

- Marnie wygląda, nie? - powiedział Lee i mało nie zleciał z kanapy, tak mocno DeMohrenschildt klepnął go w plecy.

- Rozchmurz się! Co weźmiesz teraz, po tyśiąckroć oddasz później. Czy nie taką zasadę wyznajesz? - A kiedy Lee skinął głową: - Teraz mów, jak się sprawy mają w Rosji, towarzyszu... mogę cię tak nazywać, czy nie używasz już tej formy?

- Możesz mnie nazywać, jak chcesz, byle nie spóźnionym na kolację. - Oswald się zaśmiał. Widziałem, że otwiera się przed DeMohrenschildtem jak kwiat na słońce po wielu dniach deszczu.

Zaczął mówić o Rosji. Przynudzał i popadał w pompatyczny ton. Niezbyt mnie interesowała jego gadka o tym, jak komunistyczna biurokracja zawłaszczyła wspaniałe przedwojenne ideały socjalistyczne (pomiął wielką czystkę Stalina w latach trzydziestych). Nie obchodziła mnie też jego opinia, że Nikita Chruszczow to idiota; takie same jałowe wyrzekanie na amerykańskich przywódców słyszało się w każdym zakładzie fryzjerskim i u każdego pucybuta w Stanach. Człowiek, który za raptem czternaście miesięcy miał zmienić bieg dziejów, był nudziarzem.

Zaciekawilo mnie co innego - to, jak DeMohrenschildt go słuchał. Jak co bardziej czarujące i charyzmatyczne jednostki zawsze zadawał właściwe pytanie we właściwym momencie, nie wiercił się, nie odrywał oczu od twarzy rozmówcy, dawał mu poczucie, że jest najlepiej znającym temat, genialnym i błyskotliwym człowiekiem na świecie. Lee może pierwszy raz w życiu miał tak uważnego słuchacza.

- Widzę tylko jedną nadzieję dla socjalizmu - zakończył - i jest nią Kuba. Tam rewolucja wciąż jest czysta. Mam nadzieję pewnego dnia tam pojechać. Może nawet dostać obywatelstwo.

DeMohrenschildt pokiwał głową z powagą.

- Mógłbyś trafić dużo gorzej. Wiele razy tam byłem, zanim obecna administracja utrudniła podróże na Kubę. To piękny kraj... a teraz, dzięki Fidelowi, to piękny kraj, który

należy do jego obywateli.

- Prawda. - Lee promieniał.

- Ale! - DeMohrenschildt uniósł palec w geście wykładowcy. - Jeśli sądzisz, że amerykańscy kapitaliści pozwolą Fidelowi, Raulowi i Che dokończyć dzieła bez ingerencji z zewnątrz, żyjesz mrzonkami. Koła już poszły w ruch. Znasz Walkera?

Nadstawiłem uszu.

- Edwina Walkera? Tego generała, którego wywalili?

- Tego samego.

- Znam go. Mieszka w Dallas. Kandydował na gubernatora i dostał po dupie. Potem pojechał do Missisipi poprzeć Rossa Barnetta, kiedy James Meredith wprowadził integrację na uniwersytecie stanowym. Jeszcze jeden segregacjonista, mały Hitler.

- Rasistą jest na pewno, ale dla niego sprawa segregacji i idioci z Klanu to tylko zasłona dymna. Wykorzystuje postulaty równych praw dla Murzynów jako straszak przeciwko socjalistycznym ideom których tak boją się on i jemu podobni. James Meredith? Komunista! NAACP? Przykrywka! SNCC*? Czarne z wierzchu, czerwone w środku!

- Jasne - przytaknął Lee - takie mają metody.

Nie mogłem stwierdzić, czy DeMohrenschildt rzeczywiście angażował się emocjonalnie, czy nakręcał Lee dla zgrywy.

- A co Walkerowie, Barnettowie i rozbrykani kaznodzieje jak Billy Graham i Billy James Hargis uważają za bijące serce tego nikczemnego, kochającego czarnuchów komunistycznego monstrum? Rosję!

- Prawda.

- I gdzie widzą zaborczą rękę komunizmu oddaloną o zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeży Stanów Zjednoczonych? Na Kubie! Walker nie nosi już munduru, ale jego najlepszy przyjaciel owszem. Wiesz, o kim mowa?

Lee pokręcił głową. Ani na chwilę nie odrywał oczu od twarzy DeMohrenschildta.

- O Curtisie LeMayu. Następny rasista, który za każdym krzakiem widzi komunistę. Do czego Walker i LeMay nawołują Kennedy'ego? Żeby zbombardował Kubę! A potem najechał na Kubę! I uczynił Kubę pięćdziesiątym pierwszym stanem! Upokorzenie w Zatoce Świń tylko wzmogło ich determinację! - DeMohrenschildt podkreślał wykrzykniki, uderzając się pięścią w udo. - Ludzie pokroju LeMaya i Walkera są dużo groźniejsi od tej suki Rand, i

* NAACP - Krajowe Stowarzyszenie Postępu Ludzi Kolorowych; SNCC - Komitet Koordynacyjny Studenckiego Ruchu przeciw Przemocy.

nie dlatego, że mają broń. Dlatego, że mają zwolenników.

- Znam niebezpieczeństwo - powiedział Lee. - Organizuję tu, w Fort Worth, grupę Ręce Precz od Kuby. Mam już kilkunastu chętnych.

Śmiałe słowa. Z tego, co wiedziałem, jedyne, co Lee organizował w Fort Worth, to aluminiowe drzwi zabezpieczające, no i obrotową suszarkę ogrodową przy tych kilku okazjach, kiedy Marina zdołała go przekonać, żeby rozwiesił na niej pieluchy.

- Musisz działać szybko - rzekł DeMohrenschildt ponuro. - Kuba jest billboardem rewolucji. Kiedy uciemienzone ludy Nikaragui, Haiti i Republiki Dominikańskiej patrzą na Kubę, widzą pokojowe, rolnicze, socjalistyczne społeczeństwo, które obaliło dyktatora i rozgoniło tajną policję na cztery wiatry, niektórych z pałkami wsadzonymi w tłuste zady!

Lee ryknął śmiechem.

- Widzą wielkie plantacje trzciny cukrowej - ciągnął DeMohrenschildt - i wykorzystujące niewolniczą pracę farmy United Fruit przejęte przez farmerów. Widzą puszczone z torbami Standard Oil. Widzą kasyna, wszystkie kierowane przez gang Lansky'ego...

- Prawda.

- ...pozamykane na cztery spusty. Koniec z pokazami seksu z osłem, przyjacielu, a kobiety, które sprzedawały swoje ciało i ciała córek, znalazły uczciwą pracę. Prosty chłop, który za czasów tego wieprza Batisty zdechłby na ulicy, teraz może pójść do szpitala i być traktowany jak człowiek. A dlaczego? Bo za Fidela lekarz i chłop są sobie równi!

- Prawda - zgodził się Lee. Taką miał odpowiedź na wszystko.

DeMohrenschildt zerwał się z kanapy i zaczął chodzić wokół nowego kojca dla dziecka.

- Myślisz, że Kennedy i jego irlandzka sitwa pozwolą, by ten billboard dalej stał? Ta latarnia morska dająca światło nadziei?

- Właściwie to lubię Kennedy'ego - powiedział Lee, jakby krępował się to przyznać. - Mimo Zatoki Świń. Wiesz, to był plan Eisenhowera.

- Większość ZSA lubi prezydenta Kennedy'ego. Wiesz, co rozumiem przez ZSA? Gwarantuję ci, że ta parszywa gnida, co napisała „Atlasa zbuntowanego”, to wie. Zdurniała Spsiała Ameryka, o tym mówię. Obywatele, którzy ją tworzą, żyją szczęśliwi i umrą szczęśliwi, jeśli mają lodówkę, która robi lód, dwa samochody w garażu i „77 Sunset Strip” w telewizji. Zdurniała Spsiała Ameryka kocha uśmiech Kennedy'ego. O tak. Zdecydowanie. On ma piękny uśmiech, to przyznaję. Czyż jednak Szekspir nie powiedział, że człowiek może się uśmiechać i uśmiechać, a i tak być łotrem? Wiesz, że Kennedy przystał na uknuty przez CIA

plan zamordowania Castro? Tak! Już kilka razy próbowali, daremnie, chwała Bogu. Wiem to od moich znajomych z branży naftowej w Haiti i Republice Dominikańskiej, Lee, i to wiarygodne informacje.

Lee wyraził oburzenie.

- Ale Fidel ma silnego przyjaciela, czyli Rosję - ciągnął DeMohrenschildt, wciąż chodząc w kółko. - Nie jest to Rosja z marzeń Lenina... ani twoich, ani moich... ale może mieć swoje powody, by stanąć u boku Fidela, jeśli Ameryka spróbuje dokonać kolejnej inwazji. A zapamiętaj moje słowa: Kennedy podejmie taką próbę, i to już wkrótce. Posłucha LeMaya. Posłucha Dullesa i Angletona z CIA. Potrzebuje tylko odpowiedniego pretekstu, a wtedy uderzy, po to tylko, by pokazać światu, że ma jaja.

Dalej rozmawiali o Kubie. Kiedy wrócił Cadillac, tylne siedzenie było pełne zakupów - wyglądało na to, że prowiantu starczy na miesiąc.

- Cholera, już są - powiedział Lee.

- I bardzo się cieszymy, że ich widzimy - odparł DeMohrenschildt z kurtuazją.

- Zostań na kolację. Z Riny jest marna kucharka, ale...

- Muszę iść. Żona niecierpliwie czeka na mój meldunek i oj, będę miał o czym mówić!

Przyprowadzę ją następnym razem, zgoda?

- Tak, jasne.

Poszli do drzwi. Marina rozmawiała z Bouhe'em i Orlovem, którzy wyjmowali z bagażnika kartony konserw. Właściwie nie tylko rozmawiała; trochę też z nimi flirtowała. Bouhe wyglądał, jakby gotów był paść przed nią na kolana.

Tymczasem na ganku Lee powiedział coś o FBI. DeMohrenschildt spytał go, ile razy. Lee pokazał mu trzy palce.

- Jeden agent, Fain, był dwa razy. Drugi nazywał się Hosty.

- Patrz im prosto w oczy i odpowiadaj na pytania! - poradził DeMohrenschildt. - Nie masz się czego bać, Lee, nie tylko dlatego, że jesteś niewinny, ale dlatego, że po twojej stronie jest słuszość!

Teraz patrzyli na niego też pozostali... i nie tylko oni. Pojawiły się dziewczynki ze skakanką, stały w wyłobieniu służącym za chodnik na naszym odcinku Mercedes Street. DeMohrenschildt miał publiczność i przemawiał przed nią.

- Jesteś oddany ideologii, młody panie Oswald, więc to oczywiste, że do ciebie przychodzą. Gang Hoovera! Kto wie, może obserwują nas w tej chwili, może z głębi ulicy, może z tego domu naprzeciwko!

Dźgnął palcem w kierunku moich zaciągniętych zasłon. Lee powędrował ku nim

spojrzeniem. Stałem nieruchomo w cieniu, zadowolony, że odłożyłem wzmacniający dźwięk półmisek, nawet jeśli teraz już był oklejony czarną taśmą izolacyjną.

- Ja ich znam. Czyż oni i ich kuzyni z CIA nie nachodzili mnie, próbując mnie zmusić, żebym donosił na moich rosyjskich i południowoamerykańskich przyjaciół? Czy po wojnie nie nazywali mnie kryptonazistą? Czyż nie twierdzili, że płaciłem *tonton macoutes*, żeby bili i torturowali moich konkurentów do koncesji na ropę w Haiti? Czy nie oskarżali mnie, że przekupiłem Papę Doca i opłaciłem zabójstwo Trujilla?

Dziewczynki ze skakanką patrzyły na niego z rozdziawionymi ustami. Marina też. Gdy George DeMohrenschildt się rozkręcał, nie było siły, która mogłaby mu się oprzeć.

- Bądź dzielny, Lee! Kiedy przyjdą, stań przed nimi! Pokaż im to! - Szarpnął swoją koszulę na piersi, rozdarł ją. Guziki pourywały się i spadły ze stukotem na ganek. Dziewczynki ze skakanką wciągnęły powietrze do ust, zbyt zszokowane, żeby się śmiać. W odróżnieniu od większości amerykańskich mężczyzn z tamtej epoki, DeMohrenschildt nie nosił podkoszulka. Jego skóra była koloru olejowanego mahoniu. Tłuste piersi wisały na starych mięśniach. Uderzył się pięścią tuż nad lewym sutkiem. - Powiedz im: „Tu jest moje serce, a moje serce jest czyste i bije dla mojej sprawy!”. Powiedz im: „Nawet jeśli Hoover wyrwie mi serce, ono nadal będzie bić, a z nim tysiąc innych serc! A potem dziesięć tysięcy! Sto tysięcy! Milion!”.

Orlov odłożył niesione przez siebie pudło konserw, żeby skwitować jego przemowę lekkimi, ironicznymi oklaskami. Policzki Mariny płonęły rumieńcem. Najciekawiej wyglądała twarz Lee. Jak Paweł z Tarsu na drodze do Damaszku, doznał objawienia.

Zasłona opadła mu z oczu.

3

Płomienne kazanie DeMohrenschildta zakończone rozerwaniem koszuli - błazenada w gruncie rzeczy niewiele się różniła od popisów prawicowych kaznodziei, którymi gardził - głęboko mnie zaniepokoiło. Miałem nadzieję, że jeśli podsłucham rozmowę od serca tych dwóch mężczyzn, przybliży mnie to do odrzucenia teorii o współudziale DeMohrenschildta w zamachu na Walkera, a tym samym w zabójstwie Kennedy'ego. Rozmowę podsłuchałem, ale to tylko pogorszyło sytuację, zamiast poprawić.

Jedno wydawało się oczywiste: nadszedł czas na niezbyt serdeczne pożegnanie z Mercedes Street. Wynająłem mieszkanie na parterze przy West Neely 214. Dwudziestego czwartego września zapakowałem moje nieliczne ubrania, książki oraz maszynę do pisania do

podstarzałego forda sunlinera i przenieśliem się do Dallas.

Dwie grube panie zostawiły po sobie cuchnący chorobą chlew. Posprzątałem sam, dziękując Bogu, że królicza nora Ala prowadziła do epoki, w której dostępny jest odświeżacz powietrza w aerozolu. Kupiłem przenośny telewizor wystawiony na czyimś podwórku i postawiłem go na blacie obok kuchenki (którą nazywałem w duchu Składowiskiem Prehistorycznego Tłuszczu). Zamiatając, myjąc, szorując i przyskajac, oglądałem seriale kryminalne jak „Nietykalni” i sitcomy jak „Car 54, Where Are You?”. Gdy wieczorem cichło tupanie i krzyki dzieci z góry, kładłem się do łóżka i spałem jak zabity. Bez snów.

Zatrzymałem dom na Mercedes Street, ale pod 2703 widziałem niewiele ciekawego. Marina czasem kładła June do wózka (kolejny prezent od jej starszego adoratora, pana Bouhe'a) i wozila ją na parking magazynu i z powrotem. Popołudniami, po szkole, często towarzyszyły im dziewczynki ze skakanką. Marina parę razy nawet poskakała z nimi, recytując coś po rosyjsku. Mała June śmiała się, kiedy patrzyła, jak mama skacze, potrząsając tą wielką chmurą ciemnych włosów. Dziewczynki też się śmiały. Marinie to nie przeszkadzało. Dużo z nimi rozmawiała i nigdy się nie złościła, kiedy poprawiała ją z chichotem. Przeciwnie, wyglądała na zadowoloną. Lee nie chciał, żeby nauczyła się angielskiego, ale uczyła się mimo to. I bardzo dobrze.

Drugiego października 1962 roku obudziłem się na Neely Street w niesamowitej ciszy; żadnego tupotu na górze, żadnych krzyków młodej matki na dwójkę starszych dzieci, żeby szykowały się do szkoły. Wyprowadzili się w środku nocy.

Poszedłem na piętro i sprawdziłem, czy mój klucz pasuje do ich drzwi. Nie pasował, ale zamek był z zapadką sprężynową i bez trudu otworzyłem go wieszakiem. W salonie wypatrzyłem pustą biblioteczkę. Wywierciłem mały otwór w podłodze, podłączyłem do prądu drugą lampę z podsłuchem i wpuściłem kabel przez dziurę do mojego mieszkania piętro niżej. Potem nasunąłem na nią biblioteczkę.

Pluskwa działała, ale szpule sprytnego małego japońskiego magnetofonu obracały się tylko wtedy, gdy potencjalni najemcy przychodzili obejrzeć mieszkanie i włączali lampę. Oglądało wielu, nie wprowadzał się nikt. Do przyjazdu Oswaldów miałem cały dom przy Neely Street dla siebie. Była to przyjemna odmiana po uciążliwym wesołym miasteczku na Mercedes Street, choć trochę tęskniłem za dziewczynkami ze skakanką. Były moim greckim chórem.

Nocą spałem w mieszkaniu w Dallas, za dnia patrzyłem, jak Marina spaceruje z dzieckiem w Fort Worth. Zbliżał się kolejny przełomowy moment lat sześćdziesiątych, ale nie zważałem na to. Byłem zaprzątnięty Oswaldami, których domostwem wstrząsnął kolejny kryzys.

Pewnego dnia w drugim tygodniu października Lee wrócił wcześniej z pracy. Marina była na spacerze z June. Rozmawiali u wylotu podjazdu po drugiej stronie ulicy. Pod koniec rozmowy Marina spytała po angielsku:

- Co znaczy „wylali”?

Wyjaśnił to po rosyjsku. Marina rozłożyła ręce w geście mówiącym „nic się na to nie poradzi” i uściskała go. Lee pocałował ją w policzek, po czym wyjął dziecko z wózka. June zaśmiała się, gdy podniósł ją wysoko nad głowę, i próbowała złapać go rączkami za włosy. Weszli razem do domu. Szczęśliwa rodzinka, dzielnie znosząca przejściowe trudności.

Tak było do piątej po południu. Już szykowałem się do powrotu na Neely Street, kiedy zauważyłem Marguerite Oswald nadciągającą od strony przystanku na Winscott Road.

Będą kłopoty, pomyślałem. Miałem rację, i to jak.

Marguerite znowu ominęła wciąż nienareperowany zdradliwy schodek, znowu weszła bez pukania i natychmiast eksplodowały fajerwerki. Wieczór był ciepły i okna w domu naprzeciwko były pootwierane. Nie zwracałem sobie głowy mikrofonem dalekiego zasięgu. Lee klócił się z matką na cały regulator.

Jak się okazało, jednak nie został zwolniony z Leslie Welding; sam odszedł. Jego szef, szukając go, zadzwonił do Vady Oswald, bo brakowało im ludzi, a kiedy żona Roberta nie potrafiła mu pomóc, skontaktował się z Marguerite.

- Ja dla ciebie kłamałam, Lee! - krzyknęła Marguerite. - Powiedziałam, że masz gripę! Dlaczego zawsze mnie zmuszasz, żebym dla ciebie kłamała?

- Do niczego cię nie zmuszam! - odkrzyknął. Stali nos w nos w dużym pokoju. - Do niczego cię nie zmuszam, a ty i tak to robisz!

- Lee, jak utrzymasz rodzinę? Musisz mieć pracę!

- To ją znajdę! Tym się nie martw, mamó!

- Gdzie?

- Nie wiem...

- Och, Lee! Z czego opłacisz czynsz?

- ...ale ona ma dużo znajomych. - Wskazał kciukiem na Marinę, która drgnęła. -

Marny z nich pożytek, teraz wreszcie się do czegoś przydadzą. Idź już, mamó. Wracaj do domu. Daj mi odsapnąć.

Marguerite przypadła do kojca.

- A to skąd się wzięło?

- Od znajomych, o których ci mówiłem. Połowa z nich jest bogata, reszta do tego dąży. Lubią gadać z Riną. - Lee uśmiechnął się szyderczo. - Ci starsi lubią się gapić na jej cycki.

- Lee! - Zszokowany ton, ale na twarzy... zadowolenie? Czy *mamoczka* cieszyła się z furii, którą słyszała w głosie syna?

- Idź już, mamó. Daj nam trochę spokoju.

- Czy ona zdaje sobie sprawę, że mężczyźni, którzy dają, zawsze chcą czegoś w zamian? Czy ona to wie, Lee?

- Wynoś się! - Wygrażał pięściami. Prawie tańczył w bezsilnym gniewie.

- Jesteś zdenerwowany. - Marguerite się uśmiechnęła. - To zrozumiałe. Wrócę, kiedy trochę ochłoniesz. I pomogę. Zawsze chcę pomagać.

Raptem przypadła do Mariny i dziecka. Wyglądało to tak, jakby chciała ich zaatakować. Obsypała twarz June pocałunkami, po czym przeszła wielkimi krokami przez pokój. Przy drzwiach odwróciła się i wskazała kojec.

- Każ jej to wyszorować, Lee. Na rzeczach z odzysku zawsze jest pełno zarazków. Jak dziecko się rozchoruje, nie będzie was stać na lekarza.

- Mamó! Idź!

- Idę. - Słodka jak ciasteczka z mlekiem. Zatrzepotała palcami w dziewczęcym pożegnalnym geście i poszła.

Marina podeszła do Lee, trzymając dziecko jak tarczę. Rozmawiali. Potem krzyczeli. Solidarność rodzinna przemienęła z wiatrem; Marguerite się o to zatroszczyła. Lee wziął dziecko, chwilę kołysał ją na jednym ręku, po czym - bez żadnego ostrzeżenia - uderzył żonę pięścią w twarz. Marina upadła, krwawiąc z nosa i ust, krzycząc głośno. Dziecko też krzychało. Lee pogładził delikatne włosy June, pocałował ją w policzek i jeszcze chwilę pokołysał. W polu widzenia znów pojawiła się Marina, dźwigająca się na nogi. Lee kopnął ją w bok i raz jeszcze upadła. W oknie widziałem tylko chmurę jej włosów.

Zostaw go, pomyślałem, choć wiedziałem, że tego nie zrobi. Weź dziecko i go zostaw. Idź do George'a Bouhe'a. Rozgrzej jego łóżko, jeśli będziesz musiała, ale co żywo odejdz od tego chudego, stłamszonego przez matkę potwora.

Ale to Lee ją zostawił, przynajmniej na jakiś czas. Nigdy więcej nie zobaczyłem go na

Mercedes Street.

5

To było ich pierwsze rozstanie. Lee pojechał do Dallas szukać pracy. Nie wiem, gdzie się zatrzymał. Według notatek Ala w YMCA ale ta informacja okazała się mylna. Może znalazł pokój w którymś z tanich pensjonatów w śródmieściu. Nie interesowało mnie to. Wiedziałem, że koniec końców wspólnie wynajmą mieszkanie nade mną, a na razie tak czy tak miałem tego człowieka dosyć. Przyjemnie było nie musieć słuchać jego spowolnionego głosu powtarzającego po kilkanaście razy „Prawda” w każdej rozmowie.

Dzięki George'owi Bouhe'owi Marina stanęła na nogi. Niedługo po wizycie Marguerite i wyjeździe Lee Bouhe przyjechał pikapem chevy z drugim mężczyzną i pomogli jej w przeprowadzce. Kiedy samochód ruszył sprzed domu na Mercedes 2703, matka i córka siedziały na platformie. Różowa walizka, którą Marina przywiozła z Rosji, była wyścielona kocami i June smacznie spała w tym prowizorycznym gniazdku. Kiedy pikap ruszył, Marina położyła dłoń na piersi córeczki w opiekuńczym geście. Dziewczynki ze skakanką patrzyły za nimi i Marina im pomachała. Odpowiedziały tym samym gestem.

6

Znalazłem adres George'a DeMohrenschildta w książce telefonicznej Dallas i dwa razy go śledziłem. Ciekawiło mnie, z kim się spotyka, choć gdyby wśród jego rozmówców byli pracownicy CIA, pomagierzy Lansky'ego lub inni potencjalni spiskowcy, i tak raczej bym ich nie rozpoznał. Mogę tylko powiedzieć, że nie widział się z nikim, kto wydałby mi się podejrzany. Bywał w pracy; bywał w Dallas Country Club, gdzie grał w tenisa i pływał z żoną; poszli razem do paru klubów ze striptizem. Nie narzucał się tancerkom, ale miał skłonność do obmacywania cycków i tyłka żony w miejscach publicznych. Jej to wyraźnie nie przeszkadzało.

Przy dwu okazjach spotkał się z Lee. Raz było to w ulubionym klubie ze striptizem DeMohrenschildta. Lee czuł się nieswojo w tym otoczeniu i szybko stamtąd wyszli. Za drugim razem zjedli lunch w kawiarni na Browder Street. Zostali tam prawie do drugiej po południu, rozmawiając przy niezliczonych kubkach kawy. Lee już wstawał, ale zmienił zdanie i zamówił coś jeszcze. Kelnerka przyniosła mu kawałek placka, a on dał jej coś, co schowała do kieszeni fartuszka, tylko rzuciwszy na to okiem. Kiedy wyszli, zamiast ich

śledzić, zaczęłam kelnerkę i spytałam, czy mógłbym zobaczyć, co dostała od tego młodego człowieka.

- Może pan to sobie zabrać - powiedziała i dała mi kartkę żółtego papieru z krzyczącym czarnym nagłówkiem: RĘCE PRECZ OD KUBY! Ulotka zachęcała „zainteresowane osoby”, by przystąpiły do oddziału w tej zacnej organizacji w Dallas i Fort Worth. NIE DAJ SIĘ OSZUKAĆ WUJOWI SAMOWI! PO INFORMACJE O PRZYSZŁYCH ZEBRANIACH PISZ POD PO BOX 1919

- O czym rozmawiali? - spytałam.

- Co pan, glina?

- Nie, daję wyższe napiwki niż gliny - powiedziałam i wręczyłam jej banknot pięciodolarowy.

- O tym. - Wskazała ulotkę, którą Oswald bez wątpienia wydrukował w swoim nowym miejscu pracy. - O Kubie. Jakby mnie to obchodziło.

Jednak wieczorem dwudziestego drugiego października, niecały tydzień później, prezydent Kennedy też mówił o Kubie. I wtedy już obchodziło to wszystkich.

7

To bluesowy truizm, że nietęskno ci za wodą, dopóki studnia nie wyschnie, ale aż do jesieni 1962 roku nie zdawałam sobie sprawy, że odnosi się to też do wstrząsającego twoim sufitem tupotu małych nóżek. Kiedy wyprowadziła się rodzina z góry, na West Neely 214 zapanowała upiorna atmosfera nawiedzonego domu. Brakowało mi Sadie i zacząłem prawie obsesyjnie się o nią martwić. Chociaż, jak o tym pomyśleć, „prawie” można wykreślić. Ellie Dockerty i Deke Simmons nie traktowali poważnie moich obaw związanych z jej mężem. Sama Sadie nie traktowała ich poważnie; kto wie, może wręcz sądziła że ją straszą Johnem Claytonem, by nie wypchnęła mnie całkowicie ze swojego życia. Żadne z nich nie wiedziało, że jeśli usunąć „Sadie” tylko jedna sylaba różniła jej imię i nazwisko od imienia i nazwiska Doris Dunning. Żadne z nich nie wiedziało o efekcie harmonicznym który zdawałem się wytwarzać samą swoją obecnością w Krainie Przeszłości. A skoro tak, na kogo spadłaby wina, gdyby Sadie coś stało się złego?

Wróciły niedobre sny. Sny o Jimli.

Przestałem obserwować George'a DeMohrenschildta i zacząłem chodzić na długie spacer; wyruszałem po południu, o dziewiątej-dziesiątej wieczór wracałem na West Neely Street. W ich trakcie myślałem o Lee, teraz odbywającym staż w dziale fotowydruku Jaggars-

Chiles-Stovall, firmy poligraficznej z Dallas. Albo o Marinie, która tymczasowo zamieszkała u niedawno rozwiedzionej Eleny Hall. Pani Hall pracowała dla dentysty George'a Bouhe'a, i właśnie ten dentysta był za kierownicą pikapa w dniu, kiedy Marina i June wyprowadzili się z rudery na Mercedes Street. Najlepiej byłoby dla niej, gdyby pozostała w separacji z Lee, ale wiedziałem, że tak się nie stanie.

Głównie myślałem o Sadie. I Sadie. I Sadie.

Podczas jednej z takich przechadzek, spragniony i zdołowany, zawędrowałem do pobliskiej knajpy o nazwie Ivy Room i zamówiłem piwo. Szafa grająca była wyłączona, a klientela zadziwiająco cicha. Kiedy kelnerka postawiła przede mną piwo i natychmiast odwróciła się do telewizora nad barem, zorientowałem się, że wszyscy patrzą na człowieka, którego przybyłem ocalić. Był bladej i śmiertelnie poważny. Pod oczami miał ciemne kręgi.

- Aby położyć kres tej agresywnej rozbudowie, nałożona zostanie ścisła kwarantanna na wszelkiego rodzaju sprzęt bojowy transportowany na Kubę. Wszelkie statki zmierzające na Kubę, na których pokładzie odnaleziona zostanie broń ofensywna, zostaną zawrócone.

- Jezu Chryste! - powiedział mężczyzna w kapeluszu kowbojskim - I myśli, że co ruszy na to?

- Przymknij się, Rolf - rzucił barman. - Trza tego posłuchać.

- Od tej chwili - ciągnął Kennedy - traktować będziemy każdą raketę jądrową wystrzeloną z Kuby w kierunku któregośkolwiek z krajów półkuli zachodniej jako atak Związku Sowieckiego na Stany Zjednoczone, pociągający za sobą natychmiastowy odwet.

Kobieta na końcu kontuaru jęknęła i złapała się za brzuch. Mężczyzna ją objął, ona położyła głowę na jego ramieniu.

Na twarzy Kennedy'ego widziałem w równej mierze strach i determinację. Widziałem też życie - pełne zaangażowanie w pracę do wykonania. Dokładnie trzynaście miesięcy dzieliło go od spotkania z kulą zabójcy.

- Podejmując niezbędne środki ostrożności, wysłałem posiłki do naszej bazy w Guantanamo i zarządziłem dziś ewakuację rodzin przebywającego tam personelu.

- Stawiam wszystkim kolejkę - nagle oznajmił Rolf Kowboj. - Bo wygląda na to, że to koniec drogi, *amigos*. - Położył dwie dwudziestki obok swojego kieliszka, ale barman nawet nie sięgnął po nie. Patrzył na Kennedy'ego, który teraz wzywał Chruszczowa, by wyeliminował to „potajemne, nierozważne i prowokacyjne zagrożenie dla pokoju na świecie”.

Kelnerka, która podała mi piwo, zajeżdżona tleniona blondyna pod pięćdziesiątkę, nagle wybuchnęła płaczem. To przeważało szalę. Zszedłem ze stołka, ruszyłem słalomem

między stolikami, przy których mężczyźni i kobiety siedzieli wpatrzni w telewizor jak poważne dzieci, i wśliznąłem się do jednej z kabin telefonicznych obok automatu do skee balia.

Telefonistka kazała mi zapłacić czterdzieści centów za pierwsze trzy minuty. Wrzuciłem dwie ćwierćdolarówki. Automat brzęknął łagodnie. Z oddali wciąż dobiegał nosowy głos Kennedy'ego. Teraz nazywał sowieckiego ministra spraw zagranicznych, Andrieja Gromykę, kłamcą. Żadnego owijania w bawełnę.

- Łączę - powiedziała telefonistka. Po czym wykrztusiła: - Słucha Pan prezydenta? Jeśli nie, niech pan włączy telewizor albo radio.

- Słucham - odparłem. Sadie na pewno też słuchała. Sadie, której mąż plótł apokaliptyczne brednie powleczone cienką warstwą nauki. Sadie, której znajomy politykier, absolwent Yale, powiedział, że coś dużego zdarzy się na Karaibach. Przesilenie, prawdopodobnie na Kubie.

Nie miałem pojęcia, co powiem, żeby ją uspokoić, ale nie to było problemem. Telefon dzwonił i dzwonił. To mi się nie podobało. Gdzie była o wpół do dziewiątej w poniedziałkowy wieczór w Jodie? W kinie? Wątpiłem.

- Proszę pana, pod podanym numerem nikt się nie zgłasza.

- Prawda - powiedziałem i skrzywiłem się, kiedy usłyszałem ulubione słówko Lee wychodzące z moich ust.

Ćwierćdolarówki wypadły z brzękiem do otworu zwrotu monet. Zacząłem wkładać je z powrotem do automatu, ale się rozmyśliłem. Co mi to da, że zadzwonię do pani Ellie? Byłem na jej czarnej liście. Deke'a pewnie też. Poślą mnie do wszystkich diabłów.

Kiedy podszedłem z powrotem do baru, Walter Cronkite pokazywał zrobione z pokładu U-2 zdjęcia budowanych sowieckich baz raketowych. Powiedział, że wielu członków Kongresu naciska na Kennedy'ego, by zarządził naloty bądź od razu zmasowaną inwazję. W amerykańskich bazach raketowych i Strategicznym Dowództwie Sił Powietrznych po raz pierwszy w dziejach ogłoszono stan gotowości DEFCON-2

- Amerykańskie bombowce B-52 wkrótce będą krążyć tuż za granicami Związku Sowieckiego - mówił Cronkite tym jego głębokim, grobowym głosem. - I... co oczywiste dla wszystkich z nas, którzy relacjonowali ostatnie siedem lat tej coraz bardziej przerażającej zimnej wojny... prawdopodobieństwo pomyłki, potencjalnie katastrofalnej pomyłki, rośnie z każdą nową eskalacją...

- Nie czekajmy! - krzyknął mężczyzna stojący obok stołu bilardowego. - Zbombardujmy skurwysynów komuchów, aż nie zostanie kamień na kamieniu!

Jego żądza krwi spotkała się z kilkoma okrzykami protestu, które jednak utonęły w burzy braw. Wyszedłem z Ivy Room i pobiegłem z powrotem na Neely Street. Tam wskoczyłem do sunlinera i pognałem do Jodie.

8

Radio samochodowe, teraz znowu sprawne, na okrągło wieszczyło nieuchronną zgubę, gdy goniłem moje światła drogą numer 77. Nawet didżeje złapali grypę nuklearną i mówili rzeczy typu „Boże, błogosław Amerykę” i „Bądźcie w pogotowiu”. Kiedy prezenter K-Life puścił Johnny'ego Hortona ryczącego „Battle Hymn of the Republic”, wyłączyłem radio. Za bardzo przypominało mi to następnego dnia po jedenastym września.

Dawałem gaz do dechy, nie bacząc na to, że silnik sunlinera robił bokami, a wskazówka na tarczy TEMP. SILNIKA zbliżała się do H. Drogi były praktycznie puste i tuż po wpół do pierwszej w nocy - już dwudziestego trzeciego - zajechałem przed dom Sadie. Jej żółty volkswagen garbus stał przed zamkniętym garażem i na parterze paliły się światła, ale kiedy zadzwoniłem do drzwi, nie było żadnej reakcji. Poszedłem za dom i zacząłem się dobijać do drzwi kuchennych, też bez skutku. Coraz mniej mi się to podobało.

Pod schodkiem przed tylnymi drzwiami trzymała zapasowy klucz. Wyciągnąłem go i wszedłem do środka. W moje nozdrza uderzył charakterystyczny aromat whisky. Był też zatechły smród papierosów - wielu papierosów.

- Sadie!

Nic. Przeszedłem przez kuchnię do salonu. Na niskim stoliku przed kanapą stała przepełniona popielniczka, w rozłożone na blacie pisma „Life” i „Look” wsiąkał jakiś płyn. Umoczyłem w nim palce i podniosłem je do nosa. Szkocka. Kurwa.

- Sadie!

Teraz poczułem coś jeszcze, coś, co dobrze pamiętałem z kilku ostatnich pijackich ciągów Christy: ostry smród wymiocin.

Pobiegłem do krótkiego korytarza po drugiej stronie salonu. Było tam dwoje drzwi naprzeciw siebie, jedno prowadziły do sypialni, drugie do gabinetu. Oba pokoje były zamknięte, ale drzwi łazienki na końcu korytarza otwarte. W ostrym świetle jarzeniówki zobaczyłem obrzyganą krawędź sedesu. Wymiociny były też na wyłożonej różowymi płytkami podłodze i na brzegu wanny. Na umywalce, obok mydelniczki, stała buteleczka tabletek. Bez zakrętki. Pobiegłem do sypialni.

Sadie leżała w poprzek łóżka na zmiętej narzucie, ubrana w halkę i jeden zamszowy

mokasyn. Drugi spadł na podłogę. Jej skóra była koloru starego wosku. W pierwszej chwili wydawało mi się, że nie oddycha, nagle jednak zachrapała głośno i wypuściła powietrze ustami. Jej pierś nie ruszała się przez przerażające cztery sekundy, po czym płuca wciągnęły następny chrapliwy wdech. Na stoliku nocnym stała kolejna przepełniona popielniczka. Zgnieciona pusta paczka po winstonach, z jednej strony osmalona niedokładnie zgaszonym papierosem leżała na niedopałkach. Obok była opróżniona do połowy szklanka i butelka whisky Glenlivet. Wypiła niewiele - dzięki Bogu i za to - lecz największym moim zmartwieniem była nie szkocka, tylko te tabletki. Na stoliku leżała też duża brązowa koperta, z której coś się wysypywało, chyba zdjęcia, ale nie zerknąłem na nie. Nie wtedy.

Objąłem ją ramionami i próbowałem dźwignąć. Jedwabna halka wysliznęła mi się z rąk. Sadie zwała się z powrotem na łóżko i wzięła następny chrapliwy, ciężki oddech. Włosy opadły na jej zamknięte oczy.

- Sadie, obudź się!

Nic. Złapałem ją za ramiona i z głuchym łupnięciem oparłem o wezłowie łóżka. Zadrzało.

- Ostaw mnie. - Słabo i bełkotliwie, ale lepsze to niż nic.

- Obudź się, Sadie! Musisz się obudzić!

Zacząłem lekko bić ją po twarzy. Wciąż miała zamknięte oczy, ale podniosła ręce i próbowała - ospale - odtrącić moje dłonie.

- Obudź się! Obudź się, do cholery!

Rozwarła powieki, spojrzała na mnie niewidzącym wzrokiem i znów zamknęła oczy. Teraz, kiedy siedziała, już tak strasznie nie charczała przy oddychaniu.

Wróciłem do łazienki, wyrzuciłem jej szczoteczkę do zębów z różowego plastikowego kubka i odkręciłem zimną wodę. Napelniając kubek, spojrzałem na etykietkę na buteleczce tabletek. Nembutal. Zostało z dziesięć pigułek, więc nie była to próba samobójcza. Przynajmniej nie jawna. Wysypałem je do sedesu i pobiegłem z powrotem do sypialni. Sadie powoli osuwała się z pozycji siedzącej, w której ją zostawiłem, i podbródkiem opuszczonym na pierś, znów chrapliwie oddychała.

Postawiłem kubek z wodą na stoliku nocnym i na sekundę zamarłem, gdy rzuciło mi się w oczy jedno ze zdjęć wystających z koperty. Możliwe, że przedstawiało kobietę - ocalałe resztki włosów były długie - ale trudno to było stwierdzić na pewno. W miejscu twarzy było surowe mięso z dziurą u dołu. Dziura zdawała się krzyżeć.

Dźwignąłem Sadie, złapałem ją za włosy i odchyliłem jej głowę do tyłu. Jęknęła coś, co zabrzmiało jak „Nie, to boli”. Chlusnąłem jej wodą w twarz. Drgnęła i otworzyła szeroko

oczy.

- Geor...? Ho hu hobisz, Geor...? Czemu...stem mokra?

- Obudź się! Obudź się, Sadie! - Znów zacząłem ją klepać po policzkach, ale teraz bardziej delikatnie, wręcz pieszczotliwie. To nie wystarczyło. Jej oczy zaczęły się zamykać.

- ...dź sobie!

- Nie, jeśli nie chcesz, żebym wezwał karetkę. Potem mogłabyś zobaczyć swoje nazwisko w gazecie. Rada szkolna byłaby zachwycona. No, wstawaj!

Udało mi się spleść dłonie za jej plecami i ściągnąłem ją z łóżka na dywan. Halka zmarszczyła się, podjechała do góry i opadła z powrotem, kiedy Sadie osunęła się na kolana. Otworzyła szeroko oczy i krzyknęła z bólu, ale podniosłem ją na nogi. Zakołysała się w przód i w tył, i walnęła mnie mocno w twarz.

- Puszczaj! Puszczaj, Geor...!

- Nie, szanowna pani. - Objąłem ją i na poły poprowadziłem, na poły zaniósłem w kierunku drzwi. Skręciliśmy w stronę łazienki i wtedy kolana ugięły się pod nią. Dalej musiałem ją nieść, co przy jej wzroście było nie lada wyzwaniem. Dzięki Bogu za adrenalinę. Posadziłem ją na sedesie tuż przed tym, jak mnie też wysiadły kolana. Ciężko dyszałem, po części z wysiłku, głównie z przerażenia. Zaczęła przechylać się na prawo i klepnąłem ją w nagie ramię - plask!

- Siedź prosto! - krzyknąłem. - Siedź prosto, Christy, do cholery!

Z trudem otworzyła oczy. Były mocno przekrwione.

- Kto to Christy?

- Wokalista zasranych Rolling Stonesów. Od kiedy bierzesz nembutal? I ile wzięłaś dzisiaj?

- To na receptę - powiedziała. - Nie twój interes, Geor...

- Ile? I ile wypiałaś?

- Idź sobie.

Odkręciłem kurek zimnej wody w wannie do oporu, po czym włączyłem prysznic. Zobaczyła, co zamierzam, i znów zaczęła mnie bić po twarzy i po głowie.

- Nie, Geor...! Nie!

Ignorowałem ją. Nie pierwszy raz wsadzałem roznegliżowaną kobietę pod zimny prysznic, a z pewnymi umiejętnościami jest jak z jazdą na rowerze. Przerzuciłem ją przez krawędź wanny szybkim, gwałtownym ruchem, który nazajutrz czułem w krzyżu, i trzymałem ją mocno, gdy miotała się chłostana zimną wodą. Z krzykiem wyciągnęła rękę do wieszaka na ręczniki. Teraz już miała oczy otwarte. Kropelki wody perliły się na jej włosach.

Halka stała się przezroczysta i nawet w tych okolicznościach nie mogłem nie poczuć chwilowego przypływu pożądania, kiedy te ponętne kształty ukazały się w pełnej krasie.

Próbowała wyjść. Wepchnąłem ją z powrotem.

- Stój tam, Sadie. Stój tam i wytrzymaj.

- J-jak długo jeszcze? Zimno mi!

- Dopóki nie wrócą ci kolory.

- D-dlaczego to ro-ro-robisz? - Szczękała zębami.

- Bo mało się nie zabiłaś!

Drgnęła. Pośliznęła się, ale złapała się wieszaka na ręczniki i ustała na nogach. Powracały odruchy. Dobrze.

- Ta-ta-tabletki nie działały, więc się na-napiłam, to wszystko. Daj mi wyjść, tak mi zimno. Proszę, G-George, proszę, daj mi wyjść. - Włosy przylepiły jej się do policzków, wyglądała jak zmokła kura, lecz kolory rzeczywiście jej wracały. Na razie tylko w postaci bladego rumieńca, ale to już coś.

Wyłączyłem prysznic, objąłem ją mocnym uściskiem i podtrzymałem, gdy chwiejnie wychodziła z wanny. Woda z przesiąkniętej halki kapała na różową matę łazienkową.

- Myślałem, że nie żyjesz - szepnąłem Sadie na ucho. - Kiedy wszedłem i zobaczyłem, jak leżysz, myślałem, do cholery, że nie żyjesz. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie.

Puściłem ją. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi, zdumionymi oczami. Potem powiedziała:

- John miał rację. R-Roger też. Zadzwoił do mnie dzisiaj przed przemówieniem Kennedy'ego. Z Waszyngtonu. Dlatego jakie to ma znaczenie? Za tydzień o tej porze wszyscy będziemy martwi. Albo będziemy pragnęli śmierci.

W pierwszej chwili nie miałem pojęcia, o czym ona mówi. Widziałem w niej Christy, brudną, ociekającą wodą, wciskającą mi kit i byłem po prostu wściekły. Ty tchórzliwa suko! - pomyślałem. Musiała zobaczyć to w moich oczach, bo cofnęła się.

To mnie otrzeźwiło. Czy mogłem zarzucać jej tchórzostwo tylko dlatego, że sam wiedziałem, jak wygląda pejzaż za horyzontem?

Zdjąłem ręcznik z wieszaka nad sedesem i podałem jej.

- Rozbierz się i wytrzyj.

- Najpierw wyjdź. Daj mi trochę prywatności.

- Tylko jeśli powiesz mi, że jesteś przytomna.

- Jestem przytomna. - Spojrzała na mnie z ponurym wyrzutem, ale i, być może, iskierką humoru. - Ty to potrafisz mieć efektowne wejście, George.

Odwróciłem się do szafki z lekarstwami.

- Już żadne nie zostały - powiedziała. - Co nie jest we mnie, jest w sedesie.

Nauczony czterema latami małżeństwa z Christy, zajrzałem do szafki mimo to. Potem spuściłem wodę. Załatwiwszy to, prześliznąłem się obok niej do drzwi.

- Masz trzy minuty.

9

Na kopercie był adres zwrotny: John Clayton, East Oglethorpe Avenue 79, Savannah, Georgia. Z pewnością nie można było zarzucić bydlakowi, że ukrywa się pod fałszywą banderą czy śle anonimy. Na stemplu widniała data dwudziesty ósmy sierpnia, więc kiedy Sadie wróciła z Reno, przesyłka zapewne już tu na nią czekała. Miała prawie dwa miesiące, żeby katować się jej zawartością. Wydawała się smutna i przybita, kiedy rozmawiałem z nią wieczorem szóstego września? Cóż, nic dziwnego, zważywszy na zdjęcia, które przysłał jej jakże troskliwy eks.

„Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie - powiedziała, kiedy ostatnio rozmawiałem z nią przez telefon. - Johnny ma co do tego rację”.

Zdjęcia przedstawiały Japończyków, mężczyzn, kobiety i dzieci Ofiary bomby atomowej z Hiroszimy albo Nagasaki. Niektórzy byli ślepi. Wielu straciło włosy. Większość cierpiała na oparzenia popromienne. Kilkoro, jak kobieta bez twarzy, upiekło się żywcem. Jedna fotografia przedstawiała kwartet skulonych czarnych posągów. Czworo ludzi stało przed ścianą, kiedy bomba wybuchła. Wszyscy wyparowali wraz z większą częścią ściany. Zachowały się tylko fragmenty, które zasłonili własnymi ciałami. Były czarne, bo pokrywało je zwęglone mięso.

Na odwrocie każdego zdjęcia wypisał tę samą wiadomość swoim wyraźnym, starannym charakterem pisma: *To wkrótce czeka Amerykę. Analiza statystyczna nie kłamie.*

- Urocze, co?

Jej głos był matowy, martwy. Stała w drzwiach, owinięta ręcznikiem. Wilgotne pukle opadały na jej ramiona.

- Ile wypiałś, Sadie?

- Tylko dwa drinki, kiedy tabletki nie zadziałały. Zdaje się, że próbowałam ci to powiedzieć, kiedy biłeś mnie po twarzy.

- Jeśli liczysz na przeprosiny, długo poczekasz. Barbiturany i gorzala to niezdrowa mieszanka.

- Nieważne - powiedziała. - Nie pierwszy raz dostałam po twarzy.

Na te słowa pomyślałem o Marinie i skrzywiłem się. Niby to nie było to samo, lecz bicie to bicie. A bijąc ją, byłem nie tylko przerażony, ale i zły.

Podeszła do krzesła w kącie, usiadła i ciasniej owinęła się ręcznikiem. Wyglądała jak nadąsane dziecko. Nadąsane, przerażone dziecko.

- Dzwonił mój znajomy, Roger. Mówiłam ci?

- Tak.

- Mój dobry znajomy Roger. - Jej oczy rzucały mi wyzwanie, żebym wszczął o to awanturę. Nie zrobiłem tego. Koniec końców, to było jej życie. Ja tylko chciałem dopilnować, by nadal mogła je mieć.

- W porządku, twój dobry znajomy Roger.

- Kazał mi dziś koniecznie oglądać przemówienie tego irlandzkiego dupka. Tak go nazwał. Potem spytał, jak daleko jest z Jodie do Dallas. Kiedy mu powiedziałam, stwierdził: „To chyba wystarczająco daleko, zależy, z której strony wiatr powieje”. Sam wyjeżdża z Waszyngtonu, wielu tak robi, ale nie sądzę, żeby to im coś dało. Przed wojną nuklearną nie ma ucieczki. - Wtedy rozplakała się, gwałtowny, rozdierający szloch wstrząsał całym jej ciałem. - Ci idioci zniszczą piękny świat! Pozabijają dzieci! Nienawidzę ich! Nienawidzę ich wszystkich! Kennedy’ego, Chruszczowa, Castro, oby wszyscy szczyli w piekle!

Zasłoniła twarz dłońmi. Ukląknęłam jak oświadczający się staroświecki dżentelmen i przytuliłem ją. Objęła ramionami moją szyję i przywarła do mnie w niemalże uścisku tonącego. Wciąż była zimna od prysznic, ale policzek, który położyła na moim ramieniu, miała rozpalony.

W tym momencie ja też nienawidziłem ich wszystkich, a szczególnie Johna Clayтона, bo posiał to ziarno w młodej, kruchej kobiecie, która czuła się niepewnie w swoim małżeństwie. Posiał je, podlewał, pielił i patrzył, jak rośnie.

Czy Sadie była tego wieczoru jedyną przerażoną osobą, jedyną, która sięgnęła po prochy i gorzałę? Jak ostro tankowali w tej chwili w Ivy Room? Przyjąłem durne założenie, że ludzie potraktują kryzys kubański jak każdą inną przejściową drakę międzynarodową, bo w czasie moich studiów był to już tylko jeszcze jeden splot nazwisk i dat do wykucia na następny egzamin. Tak wydarzenia wyglądają z perspektywy przyszłości. Ludzie w dolinie (ciemnej dolinie) teraźniejszości postrzegają je inaczej.

- Zdjęcia już tu były, kiedy wróciłam z Reno. - Spojrzała na mnie przekrwionymi, udreńczonymi oczami. - Chciałam je wyrzucić, ale nie mogłam. Ciągle na nie patrzyłam.

- Tego bydlak chciał. Po to je wysłał.

Zdawała się nie słyszeć.

- Analiza statystyczna to jego hobby. Mówi, że pewnego dnia, kiedy komputery będą dostatecznie dobre, zostanie najważniejszą z nauk, bo analiza statystyczna nigdy się nie myli.

- Nieprawda. - Oczami wyobraźni widziałem George'a DeMohrenschildta, czarusia, który był jedynym przyjacielem Lee. - Zawsze jest margines niepewności.

- Wygląda na to, że czasy superkomputerów Johnny'ego nigdy nie nadejdą - powiedziała. - Ludzie, którzy ocaleją... jeśli tacy będą, będą mieszkać w jaskiniach. A niebo... już nigdy nie będzie błękitne. Nuklearne ciemności, tak nazywa to Johnny.

- Pieprzy głupoty, Sadie. Twój kumpel Roger też.

Pokręciła głową. Patrzyła na mnie ze smutkiem przekrwionymi oczami.

- Johnny wiedział, że Rosjanie wyślą w kosmos satelitę. Byliśmy wtedy świeżo po studiach. Powiedział mi o tym latem i rzeczywiście, w październiku wystrzelili Sputnika. Wówczas stwierdził: „Teraz wyślą psa albo małpę. A potem człowieka. I wreszcie dwóch ludzi z bombą”.

- I zrobili to? Zrobili to, Sadie?

- Wysłali psa, wysłali człowieka. Pies wabił się Łajka, pamiętasz? Umarł tam, w górze. Biedna psina. Dwóch ludzi z bombą już nie muszą wysyłać, co nie? Użyją swoich rakiet. A my naszych. Wszystko z powodu jakiejś zafajdanej wyspy, na której produkują cygara.

- Wiesz, co mawiają magicy?

- Ma...? O czym ty mówisz?

- Mawiają, że możesz nabrać naukowca, ale nigdy nie nabierzesz drugiego magika. Twój eks może i zna się na nauce, lecz magik z niego żaden. W odróżnieniu od Rosjan.

- Bzdury pleciesz. Johnny mówi, że Rosjanie muszą zaatakować, i to jak najszybciej, bo na razie mają więcej rakiet, ale długo tej przewagi nie utrzymają. Dlatego nie ustąpią w sprawie Kuby. To pretekst.

- Johnny naoglądał się za dużo kronik filmowych ze zdjęciami rakiet wiezionych pierwszego maja przez plac Czerwony. Nie wie jednak... senator Kuchel zapewne też nie... że ponad połowa tych rakiet nie ma silnika.

- Nie wiesz... nie możesz...

- Nie wie, jak wiele rakiet międzykontynentalnych wybucha na syberyjskich wyrzutniach przez to, że Rosjanie mają niekompetentnych techników. Nie wie, że ponad połowa rakiet sfotografowanych przez nasze U-2 to tak naprawdę pomalowane drzewa z tekturowymi statecznikami. To sztuczka magiczna, Sadie. Dają się na to nabrać naukowcy jak

Johnny i politycy jak senator Kuchel, ale nie inni magicy.

- To... to nie może być... - Przygryzła usta. Potem zapytała: - Skąd wiesz?

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- W takim razie nie mogę ci wierzyć. Johnny przewidział, że Kennedy będzie kandydatem demokratów na prezydenta, chociaż wszyscy stawiali na Humphreya, bo Kennedy to katolik. Przyjrzał się stanom, które organizują prawybyory, wszystko wyliczył i miał rację. Powiedział, że Johnson będzie kandydował na wiceprezydenta, bo Johnson to jedyny południowiec tolerowany na północ od Linii Masona-Dixona. Co do tego też miał rację. Kennedy wygrał wybory, a teraz zabije nas wszystkich. Analiza statystyczna nie kłamie.

Odetchnąłem głęboko.

- Sadie, posłuchaj mnie. Bardzo uważnie. Jesteś wystarczająco przytomna?

Przez chwilę nie było odpowiedzi. Wreszcie poczułem, jak kiwnęła głową wtuloną w moje ramię.

- Teraz mamy noc z poniedziałku na wtorek. Ten impas potrwa jeszcze trzy dni. A może cztery, nie pamiętam.

- Jak to, nie pamiętasz?

W notatkach Ala nie było nic na ten temat, a moje jedyne zajęcia z historii Ameryki na studiach były prawie dwadzieścia lat temu. Dziw, że pamiętałem aż tyle.

- Wprowadzimy blokadę Kuby, ale jedyny rosyjski statek, jaki zatrzymamy, będzie przewoził tylko żywność i towary na handel. Rosjanie będą się odgrażać, lecz już w czwartek lub piątek, śmiertelnie przerażeni, zaczną szukać wyjścia z sytuacji. Jeden z ważnych rosyjskich dyplomatów zorganizuje nieformalne spotkanie z jakimś facetem z telewizji. - I nie wiedzieć skąd, na tej samej zasadzie, na jakiej czasem wpadają do głowy właściwe odpowiedzi w krzyżówce, przypomniałem sobie nazwisko. Prawie. - Nazywa się John Scolari czy jakoś tak...

- Scali? Mówisz o Johnie Scali z ABC News?

- O właśnie. To stanie się w piątek albo sobotę, podczas gdy reszta świata... włącznie z twoim byłym i twoim koleżką z Yale... czekać będzie na sygnał, żeby wsadzić sobie głowę między nogi i pocałować tyłek na pożegnanie.

Zachichotała, zdumiewając i podnosząc mnie na duchu jednocześnie.

- Ów Rosjanin powie coś w stylu... - Tu przybrałem całkiem przyzwoity rosyjski akcent. Nauczyłem się go, słuchając żony Lee. Oraz Borisa i Natashy z „Rocky i Bullwinkle”.
- „Skażycie waszemu prezidientu, szto my hociem wyjść z tego z twarzą. Wy zabierzecie

rakiety z Turcji. Obiecatie nigdy nie atakować Kuby. My skażem haraszo i zabierzem rakiety z Kuby”. Tak to się rozegra, Sadie.

Teraz już nie chichotała. Patrzyła na mnie oczami jak spodki.

- Zmyślasz, żeby mnie pocieszyć.

Nie odpowiedziałem.

- Nie zmyślasz - szepnęła. - Naprawdę w to wierzysz.

- Nieprawda. Ja to wiem. Wielka różnica.

- George... nikt nie zna przyszłości.

- John Clayton twierdzi, że ją zna, i mu wierzysz. Roger z Yale twierdzi, że ją zna, i jemu też wierzysz.

- Jesteś o niego zazdrosny, prawda?

- Ażebyś, kurde, wiedziała.

- Nie spałam z nim. Nawet nie chciałam. - Dodała poważnym tonem: - Nie mogłabym pójść do łóżka z mężczyzną, który wylewa na siebie tak dużo wody kolońskiej.

- Dobrze wiedzieć. I tak jestem zazdrosny.

- Skąd...

- Nie pytaj, bo i tak nie odpowiem. - Pewnie nie powinienem był jej mówić nawet tyle, ale nie mogłem się powstrzymać. I szczerze mówiąc, zrobiłbym to znowu. - Ale powiem ci coś jeszcze, coś, co sama będziesz mogła za parę dni sprawdzić. Adlai Stevenson i rosyjski ambasador przy ONZ pokłócą się w Zgromadzeniu Ogólnym. Stevenson pokaże wielkie zdjęcia baz raketowych, które Rosjanie budują na Kubie, i poprosi Rosjanina, żeby wyjaśnił, czym jest to coś, czego według Rosjan tam nie ma. Rosjanin odpowie coś w stylu: „Pan zaczeka, nie mogę odpowiedzieć, dopóki mi tego dokładnie nie przetłumaczą”. A Stevenson, który wie, że facet świetnie zna angielski, odpowie słowami, które trafią do podręczników historii razem z „nie strzelajcie, dopóki nie zobaczycie białek ich oczu”. Powie Rosjaninowi, że jest gotów czekać, aż piekło zamarznie.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem, odwróciła się w stronę stolika nocnego, zobaczyła osmaloną paczkę po winstonach na górze zgniecionych niedopałków i powiedziała:

- Chyba skończyły mi się papierosy.

- Do rana wytrzymasz - stwierdziłem oschle. - Z tego, co widzę, wypaliłaś tygodniowy zapas.

- George? - Jej głos był bardzo cichy, bardzo nieśmiały. - Zostaniesz ze mną na noc?

- Mój samochód stoi przed twoim...

- Jeśli jakiś wścibski sąsiad będzie się czepiał, powiem, że przyjechałeś zobaczyć się

ze mną po przemówieniu prezydenta, a potem wóz nie chciał zapalić.

Zważywszy na to, jak sunliner ostatnio się sprawował, to brzmiało wiarygodnie.

- Czy twoja nagła troska o konwenanse znaczy, że nie boisz się już nuklearnego Armagedonu?

- Nie wiem. Wiem tylko, że nie chcę być sama. Mogę się nawet z tobą kochać, jeśli to cię skłoni, żebyś został, chociaż pewnie niewiele mielibyśmy z tego przyjemności. Głowa mnie strasznie boli.

- Nie musisz się ze mną kochać, skarbie. To nie transakcja handlowa.

- Nie chodziło mi o...

- Ciii. Pójdę po aspirynę.

- I zajrzyj na szafkę z lekarstwami, dobrze? Czasem zostawiam tam paczkę papierosów.

Rzeczywiście, była tam, ale ledwie Sadie zaciągnęła się trzy razy papierosem, którego jej zapaliłem, a już ledwo widziała na oczy i zasypiała. Wyjąłem niedopałek z jej palców i zgasiłem na dolnym zboczach rakotwórczej góry. Potem wziąłem Sadie w ramiona i osunąłem się na poduszkę. Tak zasnęliśmy.

10

Kiedy obudziłem się w pierwszych promieniach świtu, rozporek moich spodni był rozpięty i wprawna ręka grzebała mi w majtkach. Odwróciłem się do Sadie. Patrzyła na mnie ze spokojem.

- Świat nadal istnieje, George. My też. Do roboty. Ale bądź delikatny. Nadal boli mnie głowa.

Byłem delikatny i starałem się, by trwało to jak najdłużej. Oboje się staraliśmy. Na końcu uniosła biodra i wbiła palce w moje łopatki. To był ten sam uścisk, który kiedyś towarzyszył słowom „Ojej, o mój Boże, o Boże kochany, o jejuniu!”.

- Wszystko jedno. - Szeptala i jej oddech w moim uchu przyprawił mnie o dreszcz, kiedy szczytowałem. - Wszystko jedno, kim jesteś, co robisz, powiedz tylko, że zostaniesz. I że wciąż mnie kochasz.

- Sadie... nigdy nie przestałem.

Zanim wróciłem do Dallas, zjedliśmy śniadanie w jej kuchni. Zapewniłem ją, że teraz naprawdę mieszkam w Dallas i na razie nie mam telefonu, lecz jak tylko mi go zainstalują, podam jej numer.

Skinęła głową i zaczęła dłużyć w jajkach.

- Mówiłam serio. Nie będę więcej pytać o twoje sprawy.

- Tak będzie najlepiej. Nie pytaj, nie mów.

- Hm?

- Nieważne.

- Powiedz mi tylko, że robisz coś dobrego, nie złego.

- Tak - powiedziałem. - Jestem z tych dobrych.

- Czy kiedyś będziesz mógł mi o tym opowiedzieć?

- Mam taką nadzieję. Sadie, te zdjęcia, które przysłał...

- Podarłam je z samego rana. Nie chcę o nich mówić.

- Nie musimy. Ale chcę, żebyś mi powiedziała, że to jedyny kontakt, jaki z nim miałaś. Że go tu nie było.

- Nie było go. A stempel na kopercie był z Savannah.

Zauważyłem to. Zauważyłem też jednak, że stempel był sprzed prawie dwóch miesięcy.

- Bezpośrednia konfrontacja to nie w jego stylu - dodała Sadie. - Ma się za odważnego, ale w rzeczywistości to tchórz.

Ta ocena wydała mi się trafna; wysłanie zdjęć było podręcznikowym przykładem biernej agresji. Z drugiej strony, Sadie była pewna, że Clayton nie dowie się, gdzie teraz mieszka i uczy, i co do tego się pomyliła.

- Trudno przewidzieć zachowanie osoby nie zrównoważonej psychicznie, kochanie. Jeśli go zobaczysz, wezwiesz policję, dobrze?

- Tak, George. - Z odrobiną jej starego zniecierpliwienia. - Muszę zadać ci jedno pytanie, a potem nie będziemy więcej o tym rozmawiać, dopóki nie będziesz gotowy. O ile w ogóle kiedykolwiek będziesz.

- Zgoda. - Próbowałem przygotować odpowiedź na pytanie, którego się spodziewałem: George, czy pochodzisz z przyszłości?

- Pomyślisz, że zwariowałam.

- To była zwariowana noc. Śmiało.

- Czy ty... - Zaśmiała się i zaczęła zbierać talerze. Poszła z nimi do zlewu i odwrócona plecami spytała: - Czy jesteś człowiekiem? To znaczy, z tej planety?

Podszedłem, objąłem ją od tyłu, kładąc dłonie na jej piersiach, i pocałowałem ją w kark.

- Jestem w stu procentach człowiekiem.

Odwróciła się. Oczy miała poważne.

- Mogę zapytać o coś jeszcze?

Westchnąłem.

- Wal.

- Mam co najmniej czterdzieści minut, zanim będę musiała się ubrać do szkoły. Została ci może jeszcze jedna prezerwatywa? Zdaje się, że odkryłam lekarstwo na ból głowy.

ROZDZIAŁ 20

1

A zatem ostatecznie wystarczyła groźba wojny nuklearnej, żebyśmy do siebie wrócili - romantyczne, prawda?

No dobra, może nie.

Deke Simmons, typ człowieka, który na smutne filmy zabiera zapasową chusteczkę, pochwalał to całym sercem. Ellie Dockerty przeciwnie. Zauważyłem dziwny fakt: kobiety lepiej dochowują tajemnic, ale mężczyznom łatwiej się z nimi żyje. Jakiś tydzień po zakończeniu kryzysu kubańskiego Ellie wezwała Sadie do swojego gabinetu i zamknęła drzwi - niedobry znak. Jak zwykle obcesowa, spytała Sadie, czy wie o mnie więcej niż do tej pory.

- Nie - powiedziała Sadie.

- Ale znowu zaczęliście.

- Tak.

- Wiesz chociaż, gdzie on mieszka?

- Nie, ale mam jego numer telefonu.

Ellie przewróciła oczami... i któż mógłby mieć do niej o to pretensje.

- Powiedział ci cokolwiek o swojej przeszłości? O tym, czy był kiedyś żonaty? Bo ja sądzę, że był.

Sadie, która słyszała, jak nazwałem ją Christy tej nocy, kiedy wróciłem do jej życia, milczała.

- Wspomniał może, czy zostawił gdzieś tam cielaczka albo dwa? Bo mężczyźni czasem tak robią, a jak ktoś raz tak postąpi, później zawaha się...

- Pani Ellie, mogę już wrócić do biblioteki? Zostawiłam ją pod opieką uczennicy i choć Helen to bardzo odpowiedzialna dziewczyna, wolę żeby nie siedziała tam sama za...

- Idź, idź. - Ellie machnęła ręką.

- Wydawało mi się, że lubisz George'a - powiedziała Sadie, wstając.

- Bo go lubię - odparła Ellie... tonem, który, jak mi później powiedziała Sadie, mówił „lubiłam”. - Lubiłabym go jeszcze bardziej... i lepiej wróżyła waszemu związkowi, gdybym wiedziała, jak się naprawdę nazywa i co kombinuje.

- Nie pytaj, nie mów - powiedziała Sadie i ruszyła do drzwi.

- A cóż to znaczy?

- Że go kocham. Że uratował mi życie. Że jedyne, czym mogę mu się odwdziżyć, to moje zaufanie, i zamierzam mu je dać.

Pani Ellie była z tych kobiet, które zawsze muszą mieć ostatnie słowo. Nie tym razem.

2

Tej jesieni i zimy nasze życie toczyło się według ustalonego schematu. W piątkowe popołudnia jeździłem do Jodie. Bywało, że po drodze kupowałem kwiaty w kwiaciarni w Round Hill. Czasem strzygłem się w zakładzie fryzjerskim w Jodie, który był najlepszym miejscem na zapoznanie się z najnowszymi lokalnymi plotkami. Poza tym przyzwyczailem się do krótkich włosów. Pamiętałem, że kiedyś miałem długie, opadające na oczy, ale nie dlatego znosiłem to utrapienie. Trochę trudniej było przestawić się z bokserek na slipy, lecz po jakimś czasie moje jaja przestały krzyczeć, że się duszą.

W te wieczory zazwyczaj jedliśmy kolację w barze Ala, a potem szliśmy na mecz. Drużyna cienko przędła bez Jima LaDue, ale zawsze się starali. A kiedy skończył się sezon futbolowy, zaczęła się koszykówka. Czasem dołączał do nas Deke, wystrojony w swój szkolny sweter z Brianem Walecznym Lwem z Denton.

Ellie nigdy.

Jej dezaprobata nie przeszkadzała nam jeździć po piątkowych meczach do Candlewood Bungalows. Zwykle zostawałem tam na sobotnią noc - sam - a co niedziela chodziłem z Sadie na mszę w Pierwszym Kościele Metodystycznym w Jodie. Korzystaliśmy z jednego zbioru hymnów i śpiewaliśmy wiele zwrotek „Bringing in the Sheaves”. „Siejemy rankiem, siejemy ziarna dobroci”... melodia i te pełne życzliwości słowa tkwią mi w głowie do dziś.

Po kościele jedliśmy u niej lunch, a potem wracałem do Dallas. Z każdym kolejnym przejazdem trasa wydawała się coraz dłuższa i coraz bardziej uciążliwa. Wreszcie, w zimny grudniowy dzień, w moim fordzie urwał się korbówód, jakby i samochód dawał do zrozumienia, że jedziemy w złym kierunku. Chciałem go naprawić - ten kabriolet sunliner to jedyny wóz, jaki kiedykolwiek naprawdę kochałem - ale facet z warsztatu w Kileen powiedział mi, że trzeba by wymienić cały silnik, a on nie ma skąd wytrzasnąć nowego.

Sięgnąłem do mojej wciąż pokaźnej (no... względnie pokaźnej) rezerwy gotówki i kupiłem chevy rocznik 1959, taki z odlotowymi tylnymi płetwami w kształcie mewich

skrzydeł. To był porządny samochód i Sadie twierdziła, że jest nim zachwycona, ale jak dla mnie to już nie było to samo.

Wieczór Bożego Narodzenia spędziliśmy razem w Candlewood. Położyłem gałązkę jemioly na komodzie i dałem Sadie rozpinany sweter. Ona podarowała mi pantofle, które w tej chwili mam na nogach. Pewne rzeczy zostają z człowiekiem na zawsze.

W drugi dzień świąt mieliśmy zjeść kolację u niej i kiedy nakrywałem do stołu, przed dom zajechał plymouth Deke'a. To mnie zaskoczyło, bo Sadie nie wspomniała, że będziemy mieli towarzystwo. Jeszcze bardziej zaskakujący był widok pani Ellie na miejscu pasażera. To, jak stała z założonymi rękami, patrząc na mój nowy samochód, świadczyło, że listę gości trzymano w tajemnicy nie tylko przede mną. Jednak - trzeba jej przyznać - powitała mnie z całkiem niezłą udawaną serdecznością i cmoknęła w policzek. Była w zrobionej na drutach czapce narciarskiej, w której wyglądała jak podstarzałe dziecko, i kiedy ściągnąłem ją z jej głowy, podziękowała mi cierpki uśmiechem.

- Też nie zostałem powiadomiony - powiedziałem.

Deke uścisnął mi dłoń.

- Wesółych świąt, George. Cieszę się, że cię widzę. O rety, coś tu pięknie pachnie.

Powędrował do kuchni. Po paru chwilach usłyszałem, że Sadie śmieje się i mówi:

- Zabieraj stamtąd paluchy, Deke, to tak cię w domu wychowali?

Ellie powoli rozpiniała wielkie guziki płaszcza, ani na moment nie odrywając oczu od mojej twarzy.

- Czy to rozsądne, George? - spytała. - To, co robicie z Sadie... czy to rozsądne?

Zanim mogłem odpowiedzieć, Sadie wniosła indyka, przy którym krzątała się od naszego powrotu z Kileen. Usiedliśmy i wzięliśmy się za rękę.

- Panie, pobłogosław tę strawę dla ciał naszych - powiedziała Sadie - i pobłogosław łączącą nas więź, strawę dla naszych dusz i umysłów.

Zacząłem zwalniać uścisk, ale Sadie wciąż trzymała lewą ręką moją dłoń, a prawą dłoń Ellie.

- I proszę, ześlij George'owi i Ellie dar przyjaźni. Pomóż George'owi przypomnieć sobie jej dobroć i pomóż Ellie przypomnieć sobie, że bez George'a dziewczyna z tego miasta miałaby straszliwie oszpeconą twarz. Kocham ich oboje i smutno mi, kiedy widzę nieufność w ich oczach. W imię Pańskie, amen.

- Amen! - powiedział Deke z werwą. - Dobra modlitwa! - Mrugnął do Ellie.

Myślę, że w głębi ducha Ellie miała ochotę wstać i wyjść. Może powstrzymała ją wzmianka o Bobbi Jill. A może po prostu tak bardzo polubiła nową bibliotekarkę szkolną.

Może nawet miało to po trosze związek ze mną. Tak sobie wmawiam.

Sadie patrzyła na Ellie z całym swoim dawnym niepokojem.

- Ten indyk smakowicie wygląda - powiedziała Ellie i podała mi swój talerz. -
Nałożysz mi kawałek nogi, George? I nie poskąp farszu.

Sadie potrafiła być bezbronna, Sadie potrafiła być niezdarna, ale Sadie potrafiła też być bardzo, bardzo dzielna.

Ależ ja ją kochałem!

3

Sylwester wypadł w poniedziałek. Lee, Marina i June poszli witać rok 1963 u DeMohrenschildtów. Lee i George stali się jak papużki nierozłączki. Ja zostałem sam na sam ze sobą. Kiedy Sadie zadzwoniła i spytała, czy nie zabrałbym jej na zabawę sylwestrową w Bountiful Grange w Jodie, zawahałem się.

- Wiem, co myślisz - powiedziała - ale będzie lepiej niż rok temu. Już my się o to postaramy, George.

I tak oto o ósmej znowu tańczyliśmy pod podwieszonymi u sufitu siatkami pełnymi baloników. W tym roku grał zespół The Dominoes. Mieli czteroosobową sekcję dętą zamiast surfrockowych gitar w stylu Dicka Dale'a, które zdominowały zeszłoroczną zabawę, ale też nieźle grzali. Były te same dwie wazy z różową lemoniadą zmieszaną z piwem imbirowym, jedna z alkoholem, druga bez. Byli ci sami palacze skupieni przy wyjściu pożarowym na chłodnym powietrzu. Ale było lepiej niż rok wcześniej. U ludzi wyczuwało się wielką ulgę i radość. W październiku nad światem przesunął się nuklearny cień... i udało się spod niego wydostać. Usłyszałem kilka pochlebnych komentarzy, jak to Kennedy pogonił starego złego rosyjskiego niedźwiedzia.

Koło dziewiątej, podczas wolnego tańca, Sadie nagle krzyknęła i oderwała się ode mnie. Byłem pewien, że zauważyła Johna Claytona, i serce skoczyło mi do gardła. Okazało się jednak, że był to krzyk czystej radości, bo nowo przybyłymi, których dostrzegła, byli Mike Coslaw - absurdalnie przystojny w tweedowym palcie - i Bobbi Jill. Sadie pobiegła do nich... i potknęła się o czyjś nogę. Mike ją złapał. Bobbi Jill pomachała do mnie trochę nieśmiało.

Uścisnąłem Mike'owi dłoń i pocałowałem Bobbi Jill w policzek. Ze szpecącej blizny została już tylko słaba różowa kreska.

- Lekarz mówi, że do lata zniknie - powiedziała. - Nazwał mnie swoją najszybciej

kurującą się pacjentką. Dzięki panu.

- Dostałem rolę w „Śmierci komiwojażera”, panie A - dodał Mike. - Gram Biffa.

- Szufladkują cię - stwierdziłem. - Tylko uważaj na latające ciasta.

W czasie jednej z przerw zauważyłem, że Mike rozmawia z liderem zespołu, i doskonale wiedziałem, co się święci. Po powrocie na estradę wokalista powiedział:

- A teraz specjalna prośba. Czy są na sali George Amberson i Sadie Dunhill? George i Sadie? Chodźcie tu do nas, George i Sadie, tyłki z krzesel, nogi w ruch.

Poszliśmy w stronę sceny wśród burzy braw. Sadie śmiała się, czerwona jak burak. Pogroziła Mike'owi pięścią. Wyszczrzył się radośnie. Przystawał być chłopcem, stawał się mężczyzną. Nieśmiało, ale nieuchronnie. Wokalista odliczył i sekcja dęta zagrała takty, które do dziś słyszę w snach.

Ba-da-da... ba-da-da-di-dam...

Podąłem jej rękę. Pokręciła głową, a mimo to lekko zakołysała biodrami.

- Pani go bierze, pani Sadie! - zawołała Bobbi Jill. - Do dzieła!

Tłum jej zawtórował.

- Jaz-da! Jaz-da! Jaz-da!

Uległa i wzięła mnie za rękę. Zatańczyliśmy.

4

O północy zespół zagrał „Auld Lang Syne” - inna aranżacja niż rok temu, ta sama słodka piosenka - i sfrunęły baloniki. Pary wokół nas ścisnęły się i całowały. My też.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Geo... - Cofnęła się ode mnie i zmarszczyła czoło. - Co się stało?

W głowie nagle stanął mi obraz Teksaskiej Składnicy Podręczników, brzydkiego murowanego sześcianu z oknami jak oczy. W tym roku miał się stać amerykańską ikoną.

Nie, nie pozwolę, żebyś zaszedł tak daleko, Lee, pomyślałem. Nigdy nie staniesz w tym oknie na piątym piętrze. Obiecuję.

- George?

- Nic, jakoś zimno mi się zrobiło - powiedziałem. - Szczęśliwego Nowego Roku.

Podszedłem, żeby ją pocałować, ale odsunęła mnie od siebie.

- To już niedługo, prawda? To, co masz zrobić.

- Tak. Ale nie dziś. Dziś liczymy się tylko my. Pocałuj mnie więc kochanie. I zatańcz ze mną.

Pod koniec 1962 i na początku 1963 roku żyłem w dwu różnych światach. Ten dobry był w Jodie i w Candlewood Bungalows. Drugi był w Dallas, mieście, które coraz bardziej przypominało mi Derry.

Lee i Marina znowu byli razem. Ich pierwszym przystankiem w Dallas stała się rudera zaraz za rogiem West Neely. DeMohrenschildt pomógł im w przeprowadzce. George'a Bouhe'a przy tym nie było. Nie było też żadnego z pozostałych emigrantów rosyjskich. Lee ich odstraszył. *Nienawidzili go*, napisał Al w notatkach, a pod spodem: *Tego chciał*.

Walący się murowany budynek na Elsbeth Street 604 podzielony był na cztery czy pięć mieszkań pełnych ubogich ludzi, którzy ciężko pracowali, ostro pili i płodzili hordy zasmarkanych, rozwrzeszczanych bachorów. W porównaniu z nim dom Oswaldów w Fort Worth wyglądał całkiem nieźle.

Nie potrzebowałem elektronicznego wsparcia, żeby śledzić rozpad ich małżeństwa; Marina nosiła szorty, nawet kiedy przyszły chłody, jakby po to, by kłuć męża w oczy swoimi siniakami. I seksapilem, rzecz jasna. June zwykle siedziała między nimi w wózku. Kiedy się kłócili, już prawie nie płakała, tylko patrzyła, ssąc kciuk albo smoczek.

Pewnego dnia w listopadzie 1962 roku wróciłem z biblioteki i zobaczyłem Lee i Marinę na rogu West Neely i Elsbeth, krzyczących na siebie. Kilka osób (o tej porze głównie kobiety) wyszło na ganki popatrzeć. June siedziała w wózku opatulona puszystym różowym kocem, milcząca i zapomniana.

Kłócili się po rosyjsku, ale dźgający palec Lee jasno dawał do zrozumienia, co jest najnowszą kością niezgody. Marina miała na sobie prostą czarną spódniczkę - nie wiem, czy wtedy już nazywano je spódnicami ołówkowymi, czy nie - i suwak na lewym biodrze był do połowy rozpięty. Pewnie po prostu zaczepił się o materiał, ale Lee tak się wściekał, jakby jego żona polowała na facetów.

Marina odgarnęła włosy, wskazała na June, po czym machnęła ręką w stronę domu, w którym teraz mieszkali - budynku z połamanymi rynnami ociekającymi czarną wodą, z łysym trawnikiem zawalonym śmieciami i puszkami po piwie - i krzyknęła po angielsku:

- Mówisz piękne kłamstwa, a potem przywozisz żonę i dziecko do tego chlewu!

Zaczerwienił się po czubek głowy i ścisnął splecione na chudej piersi ramiona, jakby chciał zakotwiczyć dłonie i nie pozwolić, żeby wyrządziły więcej szkód. Może i by mu się udało - przynajmniej tym razem - gdyby Marina się nie roześmiała i nie pokręciła palcem wokół ucha w geście znanym chyba wszystkim kulturom. Zaczęła się odwracać. Przyciągnął

ją z powrotem do siebie, potrącając wózek i omal go nie wywracając. A potem przywalił jej pięścią. Upadła na popękany chodnik i zasłoniła twarz, kiedy schylił się nad nią.

- Nie, Lee, nie! Już nie bij!

Nie uderzył jej. Zamiast tego dźwignął ją na nogi i potrząsnął nią. Jej głowa latała na wszystkie strony.

- Ty! - usłyszałem skrzekliwy głos po mojej lewej stronie. Aż podskoczyłem. - Ty, chłopcze!

To była staruszka z balkonikiem. Stała na swoim ganku w różowej flanelowej koszuli nocnej, na którą narzuciła pikowaną kurtkę. Jej siwiejące włosy sterczały prosto w górę, przywodząc mi na myśl naelektryzowaną trwałą Elsy Lanchester w „Narzeczonej Frankensteina”.

- Ten facet bije kobietę! Idź tam, powstrzymaj go!

- Nie, psze pani. - Głos mi drżał. Pomyślałem, żeby dodać: „Nie stanę między mężem a żoną”, ale to byłoby kłamstwo. Tak naprawdę nie chciałem zrobić nic, co mogłoby zakłócić przyszłość.

- Tchórz - powiedziała.

„Wezwij gliny”, prawie odparowałem, ale w porę ugryzłem się w język. Jeśli starsza pani sama nie wpadła na ten pomysł, to gdybym go jej podsunął, też mogłoby zmienić bieg przyszłości. Czy gliny przyjechały? Kiedykolwiek? W zeszycie Ala nie było o tym mowy. Wiedziałem tylko, że Oswalda nigdy nie zamkną za znęcanie się nad żoną. W tej epoce, w tym miejscu zapewne spotykało to niewielu mężczyzn.

Jedną ręką włókł ją w stronę domu, drugą ciągnął wózek. Stara kobieta posłała mi jeszcze jedno miażdżące spojrzenie, po czym pomału, z trudem wróciła do domu. Inni gapie robili to samo. Koniec przedstawienia.

Poszedłem za ich przykładem, ale w domu wyjąłem lornetkę i skierowałem ją na murowane okropieństwo na ukos ode mnie. Dwie godziny później, kiedy już miałem zakończyć obserwację, wyszła Marina z małą różową walizką w jednej dłoni i zawiniętym w koc dzieckiem w drugiej. Przebrała się z kontrowersyjnej spódniczki w luźne spodnie i, zdaje się, dwa swetry - było zimno. Pospieszyła w głąb ulicy, kilka razy oglądając się przez ramię, by sprawdzić, czy nie ma tam Lee. Kiedy nabrałem pewności, że za nią nie pójdzie, zacząłem ją śledzić.

Doszła aż do myjni samochodowej Mister cztery przecznice w głąb West Davis i zadzwoniła z budki. Siedziałem na przystanku autobusowym po drugiej stronie ulicy z rozłożoną gazetą. Po dwudziestu minutach zjawił się niezawodny George Bouhe. Powiedziała

mu coś z przejęciem. Zaprowadził ją do swojego samochodu i otworzył jej drzwi od strony pasażera. Uśmiechnęła się i pocałowała go w kącik ust. Jestem pewien, że jedno i drugie wiele dla niego znaczyło. Potem usiadł za kierownicą i odjechali.

6

Tego wieczora przed domem na Elsbeth Street rozgorzała następna kłótnia i znów prawie cała okolica wyległa patrzeć. Stwierdziłem, że w grupie bezpieczniej, i dołączyłem do nich.

Ktoś - prawie na pewno Bouhe - wysłał George'a i Jeanne DeMohrenschildt po resztę rzeczy Mariny. Zapewne doszedł do wniosku, że tylko oni dostaną się do środka bez uprzedniego skrepowania Lee.

- Nic nie oddam, takiego wała! - krzyczał Lee, nie bacząc na sąsiadów chłonących każde słowo. Żyły wystąpiły mu na szyi; jego twarz znów oblał wściekły rumieniec. Ależ on musiał nienawidzić tej skłonności do czerwienienia się jak uczennica przyłapaną na przekazywaniu liścików miłosnych.

DeMohrenschildt próbował odwołać się do jego rozsądku.

- Pomyśl, przyjacielu. W ten sposób jeszcze jest szansa. Jeśli przyśle policję... - Wzruszył ramionami i wznosił dłonie ku niebu.

- W takim razie daj mi godzinę. - Lee pokazywał zęby, ale ta mina nie miała zupełnie nic wspólnego z uśmiechem. - Tyle wystarczy, żebym pociął nożem wszystkie jej sukienki i połamał wszystkie zabawki, które poprzysyłała ci burżuje, żeby kupić moją córkę.

- Co się dzieje? - spytał mnie młody mężczyzna. Miał jakieś dwadzieścia lat, przyjechał na rowerze.

- Chyba kłótnia rodzinna.

- To Osmont czy jak mu tam, nie? Ta Rosjanka go zostawiła? Czas najwyższy. Ten facet to wariat. Jest komuchem, wie pan?

- Coś o tym słyszałem.

Lee wmaszerował po schodach na ganek z podniesioną głową i wyprostowanymi plecami - Napoleon wycofujący się spod Moskwy - kiedy Jeanne DeMohrenschildt ofuknęła go ostrym tonem:

- Przestań, pajacu jeden!

Lee odwrócił się do niej z szeroko otwartymi oczami, pełnymi niedowierzania... i bólu. Spojrzał na DeMohrenschildta z miną mówiącą „Czy nie możesz zapanować nad swoją

żoną?”, ale DeMohrenschildt nie powiedział nic. Wydawał się rozbawiony. Jak zblazowany miłośnik teatru oglądający sztukę, która ku jego zaskoczeniu jest niezła. Nie wybitna, żaden Szekspir, ale pozwalająca przyjemnie zabić czas.

Jeanne:

- Lee, jeśli kochasz żonę, na litość boską, przestań się zachowywać jak rozpuszczony bachor. Uspokój się.

- Nie możesz tak do mnie mówić. - Pod wpływem stresu jego południowy akcent stał się silniejszy.

- Mogę i będę. Daj nam zabrać jej rzeczy, bo inaczej sama wezwę Policję.

- Każ jej się zamknąć i pilnować swoich spraw, George - rzucił Lee.

DeMohrenschildt zaśmiał się wesoło.

- Dziś jesteś naszą sprawą, Lee. - Spowaźniał. - Tracę szacunek dla ciebie, towarzyszu. Wpuść nas. Jeśli cenisz moją przyjaźń, jak ja cenię twoją, wpuść nas natychmiast.

Lee zwiesił ramiona i odsunął się na bok. Jeanne weszła po schodach, nawet na niego nie spoglądając. Za to DeMohrenschildt zatrzymał się i pochwycił straszliwie chudego Lee w swoje potężne objęcia. Po dłuższej chwili Oswald odwzajemnił uścisk. Zdałem sobie sprawę (z mieszanką współczucia i wstrętu), że ten chłopak - bo tak naprawdę przecież był jeszcze chłopcem - zaczął płakać.

- Co oni - spytał młody mężczyzna na rowerze - mają się ku sobie czy co?

- Mają, mają - powiedziałem - ale nie tak, jak myślisz.

7

Jeszcze w tym samym miesiącu, po powrocie z kolejnego cudownego weekendu z Sadie, odkryłem, że Marina i June wróciły do rudery na Elsbeth Street. Przez pewien czas wydawało się, że w rodzinie zapanował spokój. Lee chodził do pracy - teraz powiększał zdjęcia, zamiast składać aluminiowe drzwi zabezpieczające - i czasem wracał do domu z kwiatami. Marina całowała go na powitanie. Raz pokazała mu, że posprzątała wszystkie śmieci z trawnika przed domem, a on zaczął bić jej brawo. Zaśmiała się wtedy i zobaczyłem, że miała wyleczone zęby. Nie wiem, jaki był w tym udział George'a Bouhe'a, ale domyślam się, że duży.

Oglądałem tę scenę z rogu ulicy i znowu zaskoczył mnie skrzekliwy głos starszej pani z balkonikiem.

- Wiesz, to nie potrwa długo.
- Może i ma pani rację - powiedziałem.
- Pewnie ją zabije. Widziałam już takie rzeczy. - Spod tych elektrycznych włosów jej oczy patrzyły na mnie z zimną pogardą. - A ty zamiast coś zrobić, tylko się będziesz przyglądał, co, synciu.
- Zrobię coś, jeśli będzie bardzo źle.
Zamierzałem tej obietnicy dotrzymać, choć nie przez wzgląd na Marinę.

8

Pierwszego dnia po świętach znalazłem w mojej skrzynce wiadomość od Oswalda, choć podpisał się pod nią nazwiskiem A. Hidell. Ten pseudonim pojawiał się w notatkach Ala. „A” było skrótem od „Alek”, imienia, jakim Marina nazywała go pieszczotliwie, gdy mieszkali w Mińsku.

Ta wiadomość mnie nie zaniepokoiła, bo wyglądało na to, że takie same dostała cała ulica. Ulotki były wydrukowane na jaskraworóżowym papierze (zapewne podwędzonym z obecnego miejsca pracy Oswalda) i zobaczyłem, że kilkanaście z nich już trzepocze w rynsztokach. W dzielnicy Oak Cliff w Dallas nie wyrzucało się śmieci w przeznaczonych do tego miejscach.

ZAPROTESTUJMY PRZECIWKO
FASZYZMOWI KANAŁU 9!
STACJI SEGREGACJONISTY
BILLY'EGO JAMESA HARGISA!
ZAPROTESTUJMY PRZECIWKO FASZYSTOWSKIEMU
BYŁEMU GENERALOWI EDWINOWI WALKEROWI!

Podczas czwartkowej transmisji tak zwanej Chrześcijańskiej Krucjaty” Billy'ego Jamesa Hargisa Kanał 9 gościł będzie GENERAŁA EDWINA WALKERA, prawicowego faszystę, który nawołuje JFK do dokonania inwazji na miłujący pokój lud Kuby i podsycą antymurzyńską, antyintegracyjną „MOWĘ NIENAWIŚCI” na całym Południu. (Jeśli wątpiecie w wiarygodność tych informacji, zajrzyjcie do „TV Guide”). Ci dwaj reprezentują wszystko, przeciwko czemu walzyliśmy na drugiej wojnie światowej, i dla ich

Faszystowskiego BELKOTU nie powinno być miejsca na antenie. EDWIN WALKER był jednym z BIAŁYCH SUPREMACJONISTÓW, którzy próbowali przeszkodzić JAMESOWI MERDITHOWI w uczęszczaniu na zajęcia na UNIWERSYTECIE STANU MISSISIPI. Jeśli kochacie Amerykę, zaprotestujcie przeciwko udostępnianiu darmowego czasu antenowego ludziom, którzy głoszą NIENAWIŚĆ i PRZEMOC. Piszcie listy! Albo jeszcze lepiej, przyjdźcie 27 grudnia zaprotestować przed siedzibą Kanału 9!

A. Hidell

Przewodniczący Ręce Precz od Kuby

Oddział Dallas-Fort Worth

Przez chwilę kontemplowałem literówki w tekście, po czym złożyłem ulotkę i schowałem ją do kasetki, w której trzymałem rękopisy.

Jeśli protest przed siedzibą stacji się odbył, „Szajs-Herald” z następnego dnia po „transmisji” z udziałem Hargisa i Walkera nie wspomniał o nim ani słowem. Nie sądziłem, by ktokolwiek tam się stawił z samym Lee włącznie. Ja na pewno nie miałem takiego zamiaru za to w czwartek wieczorem włączyłem Kanał 9, pragnąc zobaczyć człowieka, którego Lee wkrótce spróbuje zabić.

Na początku Hargis, tłustawy jegomość o gęstych, przylizanych do tyłu czarnych włosach, siedział sam za urzędniczym biurkiem i udawał, że coś skrzętnie notuje, podczas gdy chór z puszek śpiewał „The Battle-Hymn of the Republic”. Kiedy chór przycichł, gospodarz programu odłożył długopis, spojrzął w kamerę i powiedział:

- Witajcie na Chrześcijańskiej Krucjacie, sąsiedzi. Niosę wam dobrą nowinę: Jezus was kocha. Tak, kocha was wszystkich i każdego z osobna. Pomodlicie się ze mną?

Hargis suszył głowę Wszechmogącemu przez co najmniej dziesięć minut. Obskoczył wszystkie zwykłe sprawy, podziękował Bogu za możliwość szerzenia Jego Słowa i poinstruował Go, by pobłogosławił tych, którzy przysłali dary serca. Potem przeszedł do konkretów; zwrócił się do Boga o to, by uzbroił swój Lud Wybrany w miecz i tarczę prawości, które pozwolą nam pokonać komunizm, podnoszący swą szpetną głowę zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeży Florydy. Poprosił Go też, żeby dał prezydentowi Kennedy'emu mądrość (którą Hargis, jako bliższy Najwyższemu, już posiadał), aby wkroczył tam i wyrwał kąkol bezbożności. Zażądał też, by Bóg położył kres rosnącemu zagrożeniu komunizmem na amerykańskich uczelniach - miało to jakiś związek z muzyką folk, chociaż w tym punkcie Hargis trochę stracił wątek. Na zakończenie podziękował Bogu za

dzisiejszego gościa, bohatera spod Anzio i Chosin, generała Edwina A. Walkera.

Walker wystąpił nie w mundurze, lecz w garniturze koloru khaki, który mundur bardzo przypominał. Kanty w jego spodniach wyglądały na dość ostre, by się nimi golić. Miał kamienną twarz; przypominał mi aktora westernów, Randolpha Scotta. Uścisnął Hargisowi dłoń i zaczęli rozmawiać o komunizmie, który rozplenił się nie tylko na uczelnianych kampusach, ale i na korytarzach Kongresu i w środowisku naukowym. Wspomnieli o fluoryzacji. Potem gawędzili o Kubie, którą Walker nazwał „nowotworem Karaibów”.

Teraz już rozumiałem, dlaczego Walker przed rokiem poniósł sromotną klęskę w wyborach na gubernatora Teksasu. Gdyby występował przed klasą licealną, uspiłby dzieciaki jeszcze na pierwszej lekcji, kiedy były najbardziej rześkie. Hargis jednak płynnie prowadził go od tematu do tematu, wtrącając „Chwała Jezusowi!” i „Bóg świadkiem, bracie!”, ilekroć robiło się trochę niezręcznie. Omówili nadchodzącą krucjatę o kryptonimie Operacja Nocna Jazda, po czym Hargis zachęcił Walkera, by wyjaśnił wszelkie nieporozumienia związane z „pewnymi obelżywymi pomówieniami o segregacjonizm, które pojawiły się w nowojorskiej prasie i innych publikacjach”.

Walker wreszcie zapomniał, że jest w telewizji, i odżył.

- Wiesz przecież, że to tylko stek komunistycznej propagandy.

- Prawda! - wybuchnął Hargis. - I Bóg chce, żebyś o tym opowiedział, bracie.

- Całe życie służyłem w wojsku i w sercu pozostanę żołnierzem aż do śmierci. - (Gdyby Lee dopiął swego, oznaczałoby to jeszcze trzy miesiące). - Jako żołnierz zawsze robiłem, co do mnie należy. Kiedy prezydent Eisenhower wysłał mnie do Little Rock podczas rozruchów w 1957... co, jak wiesz, miało związek z przymusową integracją Central High School... zrobiłem, co do mnie należało. Ale, Billy, jestem też żołnierzem Boga...

- Chrześcijańskim żołnierzem! Chwalmy Pana!

- ...i jako chrześcijanin wiem, że przymusowa integracja jest, mówiąc wprost, zła. Sprzeczną z konstytucją, z prawami stanów i z Biblią.

- Święte słowa - powiedział Hargis i otarł łzę z policzka. A może to był pot, który przesiąknął przez makijaż.

- Czy nienawidzę murzyńskiej rasy? Ci, którzy tak mówią... i ci, którzy nie szczędzili starań, żeby wyrzucić mnie z mojego ukochanego wojska... to kłamcy i komuniści. Ty wiesz, że to nieprawda, moi towarzysze broni wiedzą, że to nieprawda, i Bóg wie, że to nieprawda. - Wychylił się do przodu na krześle. - Myślisz, że murzyńscy nauczyciele w Alabamie, Arkansas, Luizjanie i wielkim stanie Teksas chcą integracji? Gdzie tam. Odbierają to jako policzek dla ich kwalifikacji i ciężkiej pracy. Myślisz, że murzyńscy uczniowie chcą chodzić

do jednej szkoły z białymi, którym z natury łatwiej przychodzi nauka czytania, pisania i rachunków? Myślisz, że prawdziwi Amerykanie chcą skundlenia rasy, które będzie nieuchronnym skutkiem takiego pomieszania?

- Oczywiście, że nie! Chwaaa-lmy Pana!

Pomyślałem o tabliczce, którą widziałem w Karolinie Północnej, tej wskazującej ścieżkę okoloną trującym bluszczem. KOLOROWI - tak było na niej napisane. Walker nie zasługiwał na śmierć, ale przydałoby się, żeby ktoś nim solidnie potrząsnął. Wtedy nawet ja wychwalałbym Pana.

Zacząłem błędzić myślami, ale coś, co powiedział Walker, natychmiast przywołało mnie do rzeczywistości.

- To Bóg, nie generał Edwin Walker, wyznaczył pozycję Murzynów w Jego świecie, dając im inny kolor skóry i innego rodzaju zdolności. Zdolności bardziej, nazwijmy to, atletyczne. Co Biblia mówi nam o tej różnicy i o tym, dlaczego rasa murzyńska skazana jest na tyle bólu i niedoli? Wystarczy zajrzeć do dziewiątego rozdziału Księgi Rodzaju, Billy.

- Chwała Bogu za Jego Święte Słowo!

Walker zamknął oczy i podniósł prawą dłoń, jakby zeznawał w sądzie.

- „Gdy Noe napił się wina, odurzył się i leżał nagi w swym namiocie. Cham, ojciec Kanaana, ujrawszy nagość swego ojca, powiedział o tym dwu swym braciom, którzy byli poza namiotem”. Ale Sem i Jafet... jeden został ojcem rasy arabskiej, drugi rasy białej, wiem, że tobie nie muszę o tym mówić, Billy, ale nie wszyscy to wiedzą, nie każdy poznawał Biblię jak my na matczynych kolanach...

- Dzięki Bogu za chrześcijańskie matki!

- Sem i Jafet nie spojrzeli na ojca. A gdy Noe po przebudzeniu dowiedział się, co zaszło, rzekł: „Niech będzie przeklęty Kanaan! Niech będzie najniższym sługą swych braci, niech na zawsze pozostanie tym, co drzewo ścina i wodę no...”.

Wyłączyłem telewizor.

9

Ilekcję widziałem Lee i Marinę w styczniu i lutym 1963 roku, przypominał mi się T-shirt, który Christy czasem nosiła w ostatnim roku naszego małżeństwa. Był na nim groźnie wyszczerzony pirat i, u dołu, następujące przesłanie: BICIE NIE USTANIE, DOPÓKI MORALE NIE WZROŚNIE. Tej zimy na Elsbeth Street 604 bicie było na porządku dziennym. Cała okolica słyszała wrzaski Lee i krzyki Mariny - czasem złości, czasem bólu.

Nikt nic nie robił, ze mną włącznie.

Nie żeby była jedyną regularnie bitą żoną w Oak Cliff; klótnie w piątkowy i sobotni wieczór wydawały się lokalną tradycją. Pamiętam, że w ciągu tych posepnych, szarych miesięcy pragnąłem tylko, by ta nędzna, niemiłosiernie się dłużąca opera mydlana wreszcie się skończyła, abym mógł być z Sadie na stałe. Potwierdzę, że Lee dokonał zamachu na generała Walkera w pojedynkę, a potem załatwię, co było do załatwienia. To, że raz działał sam, niekoniecznie znaczyło, że przy drugiej okazji też nie miał współnika, ale lepszego dowodu nie zdobędę. Po dopięciu na ostatni guzik wszystkich szczegółów - a przynajmniej większości - wybiorę odpowiednie miejsce i czas na to, by zastrzelić Lee Oswalda z taką samą bezwzględnością, z jaką zabiłem Franka Dunninga.

Czas mijał. Powoli, ale mijał. I wreszcie pewnego dnia, niedługo przed tym, jak Oswaldowie wprowadzili się do mieszkania na Neely Street piętro nade mną, zobaczyłem Marinę rozmawiającą ze starszą panią z balkonikiem i włosami à la Elsa Lanchester. Obie się uśmiechały. Starsza pani zapytała o coś. Marina zaśmiała się, skinęła głową i wysunęła dłoń przed brzuch.

Stałem w odsłoniętym oknie, z lornetką w ręku i rozdziawionymi ustami. W notatkach Ala nie było ani słowa o tym obrocie wypadków, bo albo o nim nie wiedział, albo nic go to nie obchodziło. Mnie obchodziło, i to bardzo.

Żona człowieka, którego miałem zabić po ponad czterech latach oczekiwania, znowu była w ciąży.

ROZDZIAŁ 21

1

Oswaldowie zostali moimi sąsiadami z góry drugiego marca 1963 roku. Własnoręcznie przenieśli cały swój dobytek, większość w kartonach ze sklepu monopolowego, z walącej się murowanej budy na Elsbeth Street. Wkrótce szpule małego japońskiego magnetofonu obracały się regularnie, ale najczęściej podsłuchiwałem przez słuchawki. Dzięki temu słyszałem rozmowy na górze w normalnym, nie zwolnionym tempie, ale oczywiście i tak niewiele z nich rozumiałem.

Tydzień po tym, jak wprowadzili się do nowego lokum, poszedłem do jednego z lombardów na Greenville Avenue kupić broń. Pierwszym rewolwerem, który pokazał mi sprzedawca, był ten sam model kolta, Police Special .38, który kupiłem w Derry.

- Świetnie chroni przed rabusiami i włamywaczami - powiedział. - Do dwudziestu metrów celność gwarantowana.

- Do piętnastu - odparłem. - Słyszałem, że do piętnastu. Sprzedawca uniósł brwi.

- No dobra, powiedzmy, że do piętnastu. Każdy, kto będzie dość głupi...

...żebyście mnie obrobić, podejdzie dużo bliżej, tak ta gadka idzie, pomyślałem.

- ...żebyście cię zaczepić, tak czy tak podejdzie blisko, więc co ty na to?

W pierwszym odruchu, ot tak, żeby zakłócić to poczucie dźwięczącej, acz nieco fałszywie brzmiącej harmonii, miałem ochotę powiedzieć, by dał mi coś innego, na przykład czterdziestkępiątkę, z drugiej jednak strony burzenie owej harmonii mogło być niewskazane. Któż to mógł wiedzieć? Wiedziałem tylko, że trzydziestkaósemka, którą kupiłem w Derry, zrobiła, co trzeba.

- Ile?

- Jak dla ciebie, dwanaście.

Dwa dolary więcej, niż zapłaciłem w Derry, no ale od tamtego czasu minęło cztery i pół roku. Gdy uwzględnić inflację, wychodziło mniej więcej tyle samo. Powiedziałem mu, żeby dorzucił pudełko nabojów i umowa stoi.

Kiedy sprzedawca zobaczył, że chowam broń i amunicję do teczki którą przyniosłem w tym celu, powiedział:

- Może kupisz jeszcze kaburę, synu? Po twoim akcencie poznaję, żeś nie stąd i pewnie tego nie wiesz, ale w Teksasie można legalnie nosić broń, nie wymagają zezwolenia, jeśli nie jesteś notowany. A jesteś?

- Nie, ale nie przewiduję, żeby ktoś miał mnie napaść w biały dzień.

Sprzedawca obdarzył mnie mrocznym uśmiechem.

- Na Greenville Avenue nigdy nic nie wiadomo. Kilka lat temu jeden facet strzelił sobie w łeb raptem półtorej przecznicy stąd.

- Naprawdę?

- Tak jest, przed barem Desert Rose. Z powodu kobiety, oczywiście. Samo życie, co?

- Być może - powiedziałem. - Chociaż niektórzy zabijają się z powodu polityki.

- Nie, nie, u podłoża zawsze jest kobieta, synu. - Zarechotał.

Mój nowy wóz (przynajmniej nowy dla mnie) zostawiłem cztery przecznice na zachód od lombardu i żeby tam dojść, musiałem minąć Faith Financial, punkt, w którym jesienią 1960 roku obstawiłem niespodziewane zwycięstwo Pirates. Buk, który wypłacił mi wtedy tysiąc dwieście dolarów, stał przed wejściem i palił papierosa. Na głowie miał swój zielony daszek. Jego oczy przesunęły się po mojej twarzy, ale bez zainteresowania. Chyba mnie nie poznał.

2

To było w piątek po południu i z Greenville Avenue pojechałem prosto do Kileen, gdzie Sadie czekała na mnie w Candlewood Bungalows. Spędziliśmy tam noc, jak to mieliśmy w zwyczaju tej zimy. Nazajutrz Sadie wróciła do Jodie i w niedzielę poszedłem z nią do kościoła. Po błogosławieństwie, kiedy podawaliśmy ręce ludziom wokół nas, mówiąc „Pokój z tobą”, pomyślałem z zażenowaniem o rewolwerze schowanym w bagażniku samochodu.

Przy lunchu Sadie spytała:

- Ile czasu jeszcze zostało? Do tego, co musisz zrobić?

- Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, niewiele ponad miesiąc.

- A jeśli nie?

Przezesłem włosy dłońmi i podszedłem do okna.

- Wtedy nie wiem. Interesuje cię coś jeszcze?

- Tak - powiedziała ze spokojem. - Na deser jest placek wiśniowy. Chcesz go z bitą śmietaną?

- Bardzo - odparłem. - Kocham cię, skarbie.

- Mam nadzieję. - Wstała, żeby pójść po deser. - Bo nie chciałabym zostać na lodzie.

Za oknem powoli jechał samochód - stary, ale jary, jak mawiali didżeje z radiostacji K-Life - i znów poczułem tę dźwięczącą harmonię. Teraz jednak czułem ją praktycznie na okrągło i to czasem nic nie znaczyło. Przypomniał mi się jeden ze sloganów, których Christy uczyła się na spotkaniach Anonimowych Alkoholików: strach się pojawia, gdy fałszywe dowody bierze się za prawdziwe.

Tym razem jednak klapka w głowie zaskoczyła. Ten wóz to był czerwono-biały plymouth fury. Taki sam widziałem na parkingu zakładów Worumbo niedaleko suszarni, przy której znajdowało się wyjście z króliczej nory prowadzącej do 1958 roku. Ten miał rejestrację z Arkansas, nie z Maine, ale mimo to... ta harmonia. Ta dźwięcząca harmonia. Czasem miałem wrażenie, że gdybym zrozumiał, co ona znaczy, zrozumiałbym wszystko. Zapewne głupie, ale prawdziwe.

Człowiek z Żółtą Kartką wiedział, pomyślałem. Wiedział i to go zabiło.

Najnowszy element harmonii włączył lewy kierunkowskaz, skręcił za znakiem stopu i zniknął, kierując się ku Main Street.

- Chodźże na deser - powiedziała Sadie za moimi plecami i podskoczyłem.

W Anonimowych Alkoholikach mówią też, że gdy pojawia się strach, najlepiej brać tyłek w troki i uciekać.

3

Kiedy tego wieczora wróciłem na Neely Street, nałożyłem słuchawki i odsłuchałem ostatnie nagranie. Spodziewałem się usłyszeć tylko rosyjski, ale nie, tym razem było też trochę angielskiego. I plusk wody.

Marina: (mówi po rosyjsku).

Lee: Nie mogę, mamuśka! Jestem w wannie z Junie!

(Znowu plusk, potem śmiech Lee i piskliwy chichot dziecka).

Lee: Mamuśka, zalaliśmy podłogę! Junie chłapie! Niegrzeczna dziewczynka!

Marina: Wytrzymaj to! Ja zajęta! Zajęta! (Ale też się śmieje).

Lee: Nie mogę, co ty, chcesz, żeby dziecko się... (rosyjski).

Marina: (mówi po rosyjsku - gdera i śmieje się jednocześnie).

(Znowu plusk. Marina nuci jakąś piosenkę. Brzmi słodko).

Lee: Mamuśka, przynieś nam zabawki!

Marina: *Da, da*, zawsze musisz mieć zabawki.

(Plusk, głośny. Drzwi łazienki pewnie są teraz otwarte na oścież).

Marina: (mówi po rosyjsku).

Lee (głosem marudnego dziecka): Mamuśka, zapomniałaś o gumowej piłce.

(Głośny plusk - dziecko krzyczy radośnie).

Marina: Proszę, wszystkie zabawki dla księcia i księżniczki.

(Śmiech całej trójki - na dźwięk ich radości robi mi się zimno).

Lee: Mamuśka, przynieś nam (rosyjskie słowo). Mamy wodę w uchu.

Marina (ze śmiechem): Boże mój, i co jeszcze?

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Myślałem o Oswaldach. Choć raz dla odmiany byli szczęśliwi i dlaczego nie? Neely 214 to nic nadzwyczajnego, ale dla nich to i tak była zmiana na lepsze. Może nawet spali we trójkę w jednym łóżku i June ten jeden raz czuła się szczęśliwa, nie śmiertelnie przerażona.

A teraz była z nimi w łóżku jeszcze czwarta osoba. Ta, która rosła w brzuchu Mariny.

4

Wydarzenia przyspieszyły bieg, tak jak to było w Derry, tyle że teraz strzała czasu mknęła w kierunku dziesiątego kwietnia, nie Halloween. Notatki Ala, na których polegałem do tej pory, stały się mniej pomocne. Do zamachu na Walkera koncentrowały się prawie wyłącznie na tym, gdzie był Lee i co robił, a tej zimy w ich życiu - zwłaszcza w życiu Mariny - działo się dużo więcej.

Po pierwsze, wreszcie się z kimś zaprzyjaźniła - i to nie z jakimś niedoszłym bogatym tatuśkiem pokroju George'a Bouhe'a, lecz z kobietą. Nazywała się Ruth Paine i była kwakierką. *Zna rosyjski*, zanotował Al w lakonicznym stylu nieprzypominającym jego wcześniejszych zapisków. *Poznana na przyjęciu, II(?)*/63. *Marina, w separacji z Lee, mieszka u Paine w czasie zabójstwa Kennedy'ego*. A potem, jakby przypomniał to sobie w ostatniej chwili: *Lee przechowywał M-C w garażu Paine. Zawinięty w koc. Twierdził, że to karnisze*.

M-C to zamówiony z katalogu wysyłkowego karabin Mannlicher-Carcano; z niego Lee planował zastrzelić generała Walkera.

Nie wiem, kto wydał przyjęcie, na którym Lee i Marina poznali Paine'ów. Nie wiem, kto ich sobie przedstawił. DeMohrenschildt? Bouhe? Prawdopodobnie jeden albo drugi, bo

reszta emigrantów już wtedy trzymała się od Oswaldów z daleka. Mężulo był szyderczo uśmiechniętym mądrałą, zoneczka workiem do bicia, która straciła Bóg wie ile okazji, by opuścić go na dobre.

Wiem tylko, że potencjalne wyjście ratunkowe Mariny Oswald przyjechało za kierownicą chevroleta kombi - biało-czerwonego - pewnego dżdżystego dnia w środku marca. Kobieta zaparkowała przy krawężniku i rozejrzała się z powątpiewaniem, jakby niepewna, czy trafiła pod właściwy adres. Ruth Paine była wysoka (choć nie aż tak jak Sadie) i straszliwie chuda. Jej brązowawe włosy z przodu opadały grzywką na wielkie, szerokie czoło, a z tyłu się wywijają; w tym uczesaniu nie było jej do twarzy. Na upstrzonym piegami nosie miała okulary bez oprawki. Widziana przez szparę między zasłonami robiła na mnie wrażenie kobiety, która nie tyka mięsa i uczestniczy w demonstracjach przeciwko broni atomowej... i sądzę, że Ruth Paine w gruncie rzeczy taka właśnie była; wyznawała New Age, zanim New Age stał się modny.

Marina musiała jej wypatrywać, bo zbiegła ze stukotem obcasów po schodach. Niosła dziecko na rękach. Kocyk narzucony na głowę June osłaniał ją od miotanej wiatrem mżawki. Ruth Paine uśmiechnęła się nieśmiało i mówiła starannie, z przerwą po każdym słowie.

- Witam, pani Oswald, nazywam się Ruth Paine. Pamięta mnie pani?

- *Da* - odparła Marina. - Tak. - Po czym dodała coś po rosyjsku. Ruth odpowiedziała w tym samym języku... choć się zacinała.

Marina zaprosiła ją do środka. Zaczekałem, aż podłoga zaskrzypi pod ich nogami, i wtedy założyłem słuchawki podłączone do pluskwy w lampie. Usłyszałem rozmowę prowadzoną częściowo po angielsku, częściowo po rosyjsku. Marina kilka razy poprawiła Ruth, czasem ze śmiechem. Zrozumiałem dość, by się domyślić, po co Ruth Paine przyszła. Jak Paul Gregory, chciała uczyć się rosyjskiego. Z ich częstych wybuchów śmiechu i coraz bardziej swobodnej rozmowy zrozumiałem coś jeszcze: polubiły się.

Cieszyłem się radością Mariny. Gdybym zabił Oswalda po jego zamachu na generała Walkera, może newage'owata Ruth Paine wzięłaby ją do siebie. Oby.

5

Ruth odbyła tylko dwie lekcje na Neely Street. Później zawsze zabierała Marinę i June swoim samochodem. Zapewne do jej domu na eleganckim (przynajmniej jak na Oak Cliff) przedmieściu o nazwie Irving. Tego adresu nie było w notatkach Ala - znajomość Mariny z Ruth mało go obchodziła, bo zamierzał wykończyć Lee na długo przed tym, jak karabin

Mannlicher-Carcano trafi do garażu Paine'ów - ale znalazłem go w książce telefonicznej:
Zachodnia Piąta 2515

Pewnego pochmurnego marcowego popołudnia, jakieś dwie godziny po odjeździe Mariny i Ruth, George DeMohrenschildt przywiózł Lee swoim samochodem. Lee wysiadł z brązową papierową torbą z nadrukowanym z boku sombrero i napisem PEPINO'S NAJLEPSZE MEKSYKAŃSKIE DANIA. DeMohrenschildt niósł sześciopak piwa Dos Equis. Weszli na górę zewnętrznymi schodami, rozmawiając i śmiejąc się. Z bijącym sercem chwyciłem słuchawki. Z początku nie było nic, w końcu jednak któryś z nich zapalił lampę. Od tego momentu czułem się, jakbym był z nimi w pokoju niby niewidzialna trzecia osoba.

Proszę, nie namawiajcie się, żeby zabić Walkera, pomyślałem. Proszę, nie utrudniajcie mi zadania jeszcze bardziej.

- Przepraszam za bajzel - powiedział Lee. - Żona ostatnio nic, tylko śpi, telewizję ogląda i gada o tej kobiecie, której daje lekcje.

DeMohrenschildt mówił przez jakiś czas o koncesjach naftowych, które próbował zdobyć w Haiti, i ostro krytykował represyjny reżim Duvaliera.

- Na koniec dnia ciężarówka zbierają trupy z targowiska. Wiele z nich to dzieci, które umarły z głodu.

- Castro i Front położą temu kres - powiedział Lee ponuro.

- Oby dzień ten szybko nastał. - Brzęknęły butelki, zapewne w toaście za rychłe nastanie tego dnia. - Co słyhać w pracy, towarzyszu? I dlaczego dziś cię tam nie ma?

Nie było go tam, wyjaśnił Lee, bo chciał być tutaj. Ot, i cała historia. Odbił kartę i wyszedł.

- A co mi zrobia? Jestem najlepszym specem od foto wydruku, jakiego ma stary Bobby Stovall, i dobrze o tym wie. Brygadzysta, nazywa się (nie dosłyszałem nazwiska - Graff? Grafe?), mówi mi „Przestań zgrywać działacza związkowego, Lee”. Wiesz, co wtedy robię? Śmieję się, mówię „Dobra, *swinojebie*” i odchodzę. To świński kutas, wszyscy to wiedzą.

Mimo to było oczywiste, że Lee lubi swoją pracę, choć narzekał na paternalistyczne stosunki i na to, że ranga znaczy więcej od umiejętności. W którymś momencie stwierdził:

- Wiesz, w Mińsku, przy równych szansach dla wszystkich, w rok zostałem kierownikiem.

- Wiem, synu... to się rozumie samo przez się.

Podpuszczał go. Nakręcał go. Byłem tego pewien. I to mi się nie podobało.

- Widziałeś dzisiejszą gazetę? - spytał Lee.

- Nie widziałem rano nic oprócz telegramów i notatek służbowych. Jak myślisz, czemu tu jestem, jeśli nie po to, żeby oderwać się od biurka?

- Walker zrobił to - powiedział Lee. - Przyłączył się do krucjaty Hargisa... a może to Hargis przyłączył się do krucjaty Walkera. Trudno powiedzieć. W każdym razie chodzi o tę zasaną Nocną Jazdę. Te dwa matole objadają całe Południe i będą wmawiać ludziom, że NAACP to komunistyczna przybudówka. To cofnie integrację i prawa wyborcze o dwadzieścia lat.

- Jasne! I rozniesi nienawiść. Ile czasu minie, zanim zaczną się masakry?

- Albo zanim ktoś zastrzeli Ralpa Abernathy'ego i doktora Kinga!

- Że Kinga zastrzelą, to pewne - powiedział DeMohrenschildt, prawie ze śmiechem.

Stałem wyprostowany, mocno przyciskając słuchawki do uszu, z potem ściekającym po twarzy. Wkroczyli na naprawdę grząski grunt; balansowali na krawędzi spisku. - To tylko kwestia czasu.

Jeden z nich otworzył następną butelkę meksykańskiego piwa i Lee powiedział:

- Ktoś powinien powstrzymać tych dwóch bydlaków.

- Mylisz się, nazywając naszego generała Walkera matolem - oznajmił DeMohrenschildt tonem wykładowcy. - Co do Hargisa zgoda. Hargis to błazen. Słyszałem, że... jak wielu jemu podobnych... ma wynaturzone gusty seksualne, no wiesz, z rana by pochędożył cipkę małej dziewczynki, a po południu dupkę małego chłopca.

- Kurczę, to chore! - Głos Lee załamał się na ostatnim słowie jak głos nastolatka przechodzącego mutację. A potem chichot.

- Za to Walker, hm, to zupełnie inna para kaloszy. Jest ważną figurą w John Birch Society...

- Banda faszystów i antysemitów!

- ...i mogę sobie wyobrazić, że pewnego dnia, już niebawem, zrobią go przewodniczącym. Kiedy zdobędzie zaufanie i poparcie reszty nawiedzonych prawicowych grup, może nawet znów wystartuje w wyborach... ale tym razem nie na gubernatora Teksasu. Podejrzewam, że mierzy wyżej. Senat? Niewykluczone. Może nawet Biały Dom?

- Nie ma szans. - W głosie Lee brzmiała jednak niepewność.

- Najprawdopodobniej nie ma szans - uściślił DeMohrenschildt. - Ale nigdy nie lekceważ zdolności amerykańskiej burżuazji do zaakceptowania faszyzmu zwanego populizmem. Ani potęgi telewizji. Bez niej Kennedy za nic nie pokonałby Nixona.

- Kennedy i jego żelazna pięść - powiedział Lee. Wyglądało na to, że jego sympatia dla obecnego prezydenta przeminęła jak niebieskie zamszowe buty. - Nie spocznie, dopóki

Fidel sra w kibel Batisty.

- I nigdy nie lekceważ przerażenia białej Ameryki na myśl o społeczeństwie, w którym zaprowadzi się równość ras.

- Czarnuch, czarnuch, czarnuch, Meksykaniec, Meksykaniec, Meksykaniec! - wybuchnął Lee z wściekłością tak wielką, że prawie przechodziła w udrękę. - Na okrągło słyszę to w pracy!

- Nie wątpię. Kiedy w „Morning News” piszą o „wielkim stanie Teksas”, tak naprawdę mają na myśli „biały stan Teksas”. A ludzie słuchają! Dla takiego człowieka jak Walker... bohatera wojennego jak Walker... błazen pokroju Hargisa to tylko narzędzie. Tak jak von Hindenburg był narzędziem Hitlera. Z odpowiednimi specami od public relations, którzy wygładziliby jego wizerunek, Walker mógłby zajść wysoko. Wiesz, co sędzę? Że człowiek, który sprzątnąłby generała rasistowskiej Ameryki Edwina Walkera, oddałby społeczeństwu przysługę.

Zwaliłem się ciężko na krzesło przy stole, na którym stał mały magnetofon z kręcącymi się szpulami.

- Jeśli naprawdę uważasz... - zaczął Lee i wtedy rozległ się głośny zgrzyt, na który zerwałem słuchawki z głowy. Na górze nie było krzyków niepokoju ani oburzenia, żadnego szybkiego tupotu nóg więc... chyba że potrafili się świetnie maskować... uznałem, że nie znaleźli podsłuchu w lampie. Założyłem słuchawki z powrotem. Nic. Wypróbowałem mikrofon dalekiego zasięgu, stojąc na krześle i przykładając półmisek Tupperware prawie do samego sufitu. Słyszałem jak Lee coś mówi, a DeMohrenschildt od czasu do czasu odpowiada ale o czym mówili, tego już nie mogłem wychwycić.

Moje ucho w mieszkaniu Oswalda ogłuchło.

Przeszłość jest nieustępliwa.

Po następnych dziesięciu minutach rozmowy - może o polityce, może o irytujących przywarach żon, może o tworzonych na gorąco planach zamordowania generała Edwina Walkera - DeMohrenschildt zbiegł po zewnętrznych schodach na dół i odjechał.

Nad głową słyszałem kroki Lee - stuk, stuk, stuk. Poszedłem za nimi do mojej sypialni i wymierzyłem mikrofon dalekiego zasięgu w miejsce, gdzie się zatrzymały. Nic... nic... i wreszcie słaby, ale charakterystyczny dźwięk - chrapanie. Kiedy Ruth Paine dwie godziny później przywiozła Marinę i June, Lee wciąż spał piwnym snem. Marina go nie obudziła. Na jej miejscu też bym nie budził tego porywczego sukinsyna.

6

Po tamtym dniu Oswald coraz rzadziej pojawiał się w pracy. Jeśli Marina o tym wiedziała, nie obchodziło jej to. Może nawet tego nie zauważyła. Była zaabsorbowana Ruth, swoją nową znajomą. Bicia było trochę mniej, nie dlatego, że wzrosło morale, ale przez to, że Lee wychodził z domu prawie tak często jak ona. Często zabierał swój aparat fotograficzny Imperial Reflex. Dzięki notatkom Ala wiedziałem, dokąd chodził i co robił.

Pewnego dnia, kiedy poszedł na przystanek, wskoczyłem do samochodu i pojechałem na Oak Lawn Avenue. Chciałem dotrzeć tam przed autobusem Lee i mi się udało. Z dużym zapasem czasu. Po obu stronach Oak Lawn nie brakowało ukośnych miejsc parkingowych, ale mój czerwony chevy z tylnymi płetwami w kształcie skrzydeł mewy wyglądał dość charakterystycznie i nie chciałem ryzykować, że Lee go zobaczy. Zostawiłem wóz za rogiem, na parkingu sklepu spożywczego Alpha Beta przy Wycliff Avenue. Poszedłem pieszo na Turtle Creek Boulevard. Stały tam nowoczesne hacjendy z lukami i pokrytymi stiukiem ścianami. Były wysadzone palmami podjazdy, wielkie trawniki, nawet jedna czy dwie fontanny.

Przed domem numer 4011 szczupły mężczyzna (uderzająco podobny do aktora westernów Randolpha Scotta) strzygł trawnik ręczną kosiarką. Napotykając moje spojrzenie, Edwin Walker zasalutował mi niedbale od skroni. Odpowiedziałem tym samym gestem. Cel Lee Oswalda wrócił do koszenia trawnika, a ja poszedłem dalej.

7

Interesował mnie kwartał ulic wyznaczony przez Turtle Creek Boulevard (gdzie mieszkał generał), Wycliff Avenue (gdzie zaparkowałem), Avondale Avenue (gdzie poszedłem po wymianie pozdrawiających gestów z generałem Walkerem) i Oak Lawn, ulicę małych sklepików biegnącą bezpośrednio za domem generała. Oak Lawn interesowała mnie najbardziej, bo tędy Lee miał nadejść i uciec wieczorem dziesiątego kwietnia.

Stałem przed sklepem Texas Shoes & Boots z postawionym kołnierzem dżinsowej kurtki i rękami wciśniętymi do kieszeni. Jakies trzy minuty po tym, jak tam się ulokowałem, na rogu Oak Lawn i Wycliff zatrzymał się autobus. Wsiadły dwie kobiety z torbami z materiału. A za nimi Lee. Trzymał brązową papierową torbę, w jakich robotnicy noszą lunch.

Na rogu był duży kamienny kościół. Lee niespiesznie podszedł do żelaznego ogrodzenia, przeczytał ogłoszenia na tablicy, wyjął mały notes z kieszeni spodni i coś sobie

zapisał. Potem ruszył w moim kierunku, chowając notes do kieszeni. Tego się nie spodziewałem. Al był przekonany, że Lee schowa karabin przy torach kolejowych po drugiej stronie Oak Lawn Avenue, dobry kilometr stąd. Może jednak się mylił, bo Lee nawet nie zerknął w tamtą stronę. Był o siedemdziesiąt-osiemdziesiąt metrów ode mnie i szybko się zbliżał.

Zauważył mnie i zagadnie, pomyślałem. Powie: „Czy to nie ty mieszkasz piętro niżej? Co tu robisz?”. A wówczas przyszłość zoczy na zupełnie nowy tor. Niedobrze. Ba, fatalnie.

Gapilem się na buty w witrynie, pot zwilżał mi kark i ściekał po plecach. Kiedy wreszcie zaryzykowałem i spojrzałem w lewo, Oswalda już nie było. Zniknął jak za skinieniem różdżki.

Bez pośpiechu ruszyłem w głąb ulicy. Dlaczego nie włożyłem czapki czy chociaż okularów przeciwsłonecznych? Co ze mnie za tajny agent, do cholery?

Podszedłem do kawiarni mniej więcej w połowie przecznicy. Tabliczka w oknie reklamowała ŚNIADANIE PRZEZ CAŁY DZIEŃ. Lee nie było w środku. Za kawiarnią znajdował się wylot zaułka. Powoli przechodząc na drugą jego stronę, zerknąłem w prawo i wtedy go zobaczyłem. Był odwrócony plecami. Wyjął aparat fotograficzny z papierowej torby, ale nie robił zdjęć, przynajmniej jeszcze nie. Oglądał kubły na śmieci. Zdejmował pokrywy, zaglądał do środka, odkładał je na miejsce.

Każda moja cząstka - przez co chyba rozumiem wszystkie moje instynkty - nalegała, żebym ruszył dalej, zanim się odwróci i mnie zauważy, ale silna fascynacja jeszcze chwilę zatrzymała mnie na miejscu. Tak samo pewnie byłoby z większością ludzi w mojej sytuacji. Ostatecznie jak często mamy okazję obserwować człowieka podczas przygotowań do morderstwa z zimną krwią?

Wszedł nieco dalej w zaułek i zatrzymał się przy okrągłej żelaznej płycie osadzonej w betonowej pokrywie kanału. Próbował ją podnieść. Nic z tego.

Zaułek był nieutwardzony, pełen dziur, mniej więcej dwustumetrowy. W połowie jego długości kończyła się druciana siatka ogradzająca zachwaszczone podwórka i puste parcele, a zaczynał wysoki drewniany parkan porośnięty bluszczem, który wyglądał niezbyt żywotnie po paskudnej zimie. Lee odgarnął zasłonę z pnączy i pociągnął za deskę. Odchyliła się i zajrzał za nią.

Jasne, trzeba rozbić jajka, aby zrobić omlet, ja jednak czułem, że starczy już tego kuszenia losu. Ruszyłem dalej. Na końcu przecznicy przystanąłem przed kościołem, który zainteresował Oswalda. Był to kościół Świętych w Dniach Ostatnich. Tablica ogłoszeń podawała, że nabożeństwa odbywają się w każdą niedzielę rano, a w środowe wieczory o

siódmej odprawiane są specjalne msze dla nowych parafian, po których odbywa się godzinne spotkanie towarzyskie. Z poczęstunkiem.

Dziesiąty kwietnia wypadł w środę i plan Lee (zakładając, że nie był planem DeMohrenschildta) teraz wydawał się dość oczywisty: ukryć wcześniej broń w zaułku, a potem czekać na zakończenie mszy dla nowych parafian - i, oczywiście, spotkania towarzyskiego. Będzie mógł usłyszeć wiernych, kiedy wyjdą i wśród rozmów i śmiechu skierują się na przystanek. Autobusy kursowały co kwadrans; nawet gdy jeden uciekł, nie trzeba było długo czekać na następny. Lee strzelił, schował broń z powrotem za obłuzowaną deską (nie przy torach kolejowych), a potem wmiesza się w tłum wychodzących z kościoła. I odjedzie autobusem.

Zerknąłem w prawo w samą porę, by zobaczyć, jak wyszedł z zaułka. Aparat wrócił do papierowej torby. Oswald poszedł na przystanek i oparł się o słup. Dołączył do niego jakiś mężczyzna i o coś spytał. Wkrótce wdali się w rozmowę. Kurtuazyjna pogawędka z nieznanym czy może był to jeszcze jeden kumpel DeMohrenschildta? Przypadkowy przechodzień czy współspiskowiec? Może nawet słynny Nieznany Strzelec, który - według zwolenników teorii spiskowych - czał się na trawiastym pagórku nieopodal Dealey Plaza, kiedy nadjechała kolumna samochodów Kennedy'ego? Powiedziałem sobie, że to bzdura. I pewnie miałem rację, ale nie mogłem tego wiedzieć na pewno. To właśnie było najgorsze.

Nie mogłem niczego wiedzieć na pewno, dopóki nie zobaczę na własne oczy, że dziesiątego kwietnia Oswald był sam. Nawet to nie wystarczy, by rozwiać wszystkie wątpliwości, wystarczy jednak, żeby przystąpić do działania.

Żeby zabić ojca Junie.

Przyjechał powarkujący autobus. Tajny agent X-19 - znany też jako Lee Harvey Oswald, słynny marksista i damski bokser - wsiadł. Kiedy autobus zniknął w oddali, wróciłem do zaułka i przeszedłem całą jego długość. Na końcu rozszerzał się w rozległe, nieogrodzone podwórze. Obok pompowni gazu ziemnego stał chevy biscaine, rocznik '57 albo '58. Był też grill na trójnogu. Za nim wznosiła się tylna fasada dużego ciemnobrązowego domu. Domu generała.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem świeży ślad wleczenia czegoś po ziemi. Na jego końcu stał kubek ze śmieciami. Nie widziałem by Lee go przestawił, ale wiedziałem, że to zrobił. Wieczorem dziesiątego zamierzał oprzeć na nim lufę karabinu.

8

W poniedziałek dwudziestego piątego marca Lee nadszedł Neely Street, niosąc podłużną paczkę zawiniętą w brązowy papier. Przez cienką szparę między zasłonami zobaczyłem, że była opatrzona wielkimi czerwonymi pieczęciami ZAREJESTROWANO i UBEZPIECZONO. Po raz pierwszy miałem wrażenie, że zachowywał się podejrzanie i nerwowo - rozglądał się po okolicy, zamiast patrzeć na straszne umeblowanie w głębi swojej głowy. Wiedziałem, co jest w paczce: karabin Carcano kalibru 6,5 mm - znany też jako Mannlicher-Carcano - z lunetą, sprowadzony ze sklepu sportowego Klein's w Chicago. Pięć minut po tym, jak Lee wdrapał się zewnętrznymi schodami na piętro, broń, przy której użyciu miał zmienić bieg dziejów, znalazła się w szafie nad moją głową. Sześć dni później Marina zrobiła słynne zdjęcia przedstawiające go z tym karabinem zaraz za oknem mojego salonu, ja tego jednak nie widziałem. To było w niedzielę i byłem wtedy w Jodie. W miarę jak zbliżał się dziesiąty kwietnia, te weekendy z Sadie stały się dla mnie czymś najważniejszym, najdroższym.

9

Zerwałem się ze snu, słysząc, jak ktoś mamrocze: „Jeszcze nie za późno”. Uświadomiłem sobie, że to ja sam, i zamknąłem się.

Sadie zaprotestowała chrapliwym mruknięciem i przewróciła się na drugi bok. Znajome skrzypienie sprężyn naprowadziło mnie na właściwe miejsce i czas: Candlewood Bungalows, piąty kwietnia 1963 roku. Wziąłem po omacku zegarek ze stolika nocnego i spojrzałem na fosforyzujące cyfry. Piętnaście po drugiej w nocy, co znaczyło, że faktycznie jest już szósty kwietnia.

Jeszcze nie za późno.

Nie za późno na co? Żeby się wycofać, dać sobie spokój? Choć, jeśli miałem być ze sobą w stu procentach szczery, spokoju nie zaznałbym wówczas nigdy? Bóg mi świadkiem, myśl, żeby się wycofać, była kusząca. Gdybym zrobił, co zamierzałem, i coś poszłoby nie tak, to mogła być moja ostatnia noc z Sadie.

Nawet jeśli rzeczywiście muszę go zabić, nie muszę tego zrobić już teraz, uświadomiłem sobie.

Po zamachu na generała Oswald na pewien czas przeniesie się do Nowego Orleanu - do kolejnego podłego mieszkania, tego, które już odwiedziłem - ale to dopiero dwa tygodnie

później. To dałoby mi dość czasu, by posłać go do piachu. Czułem jednak, że czekając zbyt długo, popełniłbym błąd. Mógłbym znaleźć kolejne powody, by zwlekać dalej. Najlepszy z nich leżał obok mnie w tym łóżku: piękne, nagie ciało. Może Sadie była tylko kolejną pułapką zastawioną przez nieustępliwą przeszłość, ale to nie miało znaczenia, bo ją kochałem. A mogłem sobie wyobrazić scenariusz - aż nazbyt wyraziście - w którym po zabiciu Oswalda musiałbym uciekać. Dokąd? Z powrotem do Maine, oczywiście. W nadziei że wyprzedzę gliny na tyle, by dostać się do króliczej nory i uciec do przyszłości, w której Sadie Dunhill będzie miała... cóż... około osiemdziesięciu lat. O ile w ogóle będzie żyła. W przypadku takiej nałogowej palaczki to byłoby jak wyrzucenie szóstki w kości.

Wstałem i podszedłem do okna. Tylko kilka domków było zajętych w ten wczesnowiosenny weekend. Zobaczyłem zachlapanego błotem albo obornikiem pikapa z przyczepą pełną - chyba - narzędzi rolniczych. Motocykl marki Indian z boczną przyczepą. Dwa samochody kombi. I dwukolorowego plymoutha fury. Księżyc to wsuwał się za cienkie chmury, to znowu zza nich wypływał, i w tym rwanym świetle nie dało się rozpoznać koloru dolnej połowy samochodu, ja jednak byłem prawie pewien, że wiem, jaki jest.

Wciągnąłem spodnie, podkoszulek i buty. Cicho wyszedłem z domku. Chłodne powietrze kasało moją wygrzaną w łóżku skórę, ale prawie tego nie czułem. Tak, ten samochód to był fury, i tak, był czerwono-biały, ale nie pochodził z Maine ani Arkansas; tablica rejestracyjna była z Oklahomy, a kalkomania na tylnej szybie wzywała DO BOJU, OKLAHOMA SOONERS. Zajrzałem do środka i zobaczyłem porozrzucane podręczniki. Jakiś student, może wybrał się na południe, żeby spędzić ferie wiosenne u rodziców. Albo para napalonych nauczycieli korzystała z liberalnego podejścia do gości w Candlewood.

Kolejny nie całkiem czysty dźwięk przeszłości harmonizującej ze sobą. Dotknąłem bagażnika tak jak dawno temu w Lisbon Falls i wróciłem do domku. Sadie odkryła się do pasa i kiedy wszedłem, podmuch chłodnego powietrza ją obudził. Usiadła, zasłoniła biust kołdrą i opuściła ją, kiedy zobaczyła, że to ja.

- Nie możesz zasnąć, kochanie?

- Miałem zły sen i wyszedłem zaczerpnąć powietrza.

- Co ci się śniło?

Rozpiąłem dzinsy, zrzuciłem pantofle.

- Nie pamiętam.

- Spróbuj sobie przypomnieć. Moja matka zawsze mawiała, że sen się nie sprawdzi, jeśli go komuś opowiesz.

Położyłem się przy niej w samym podkoszulku.

- Moja matka mawiała, że nie sprawdzi się, jeśli pocałuję ukochaną.
- Naprawdę?
- Nie.
- Cóż - powiedziała w zamyśleniu - to też może poskutkować. Spróbujmy.
Spróbowaliśmy.
Dalej już poszło samo.

10

Po wszystkim zapaliła papierosa. Leżałem i patrzyłem, jak dym płynie ku górze i robi się niebieski w świetle księżyca wpadającym od czasu do czasu przez zaciągnięte do połowy zasłony. Na Neely Street nie zostawiłbym tak rozsuniętych zasłon, pomyślałem.

Na Neely Street, w moim drugim życiu, zawsze jestem sam, ale i tak pamiętam, żeby zaciągać je do końca. Oprócz tych chwil, kiedy podglądałem, oczywiście. Kiedy czyham.

W tamtej chwili niezbyt lubiłem samego siebie.

- George?

Westchnąłem.

- To nie jest moje prawdziwe imię.

- Wiem.

Spojrzałem na nią. Zaciągnęła się głęboko, delektując się papierosem bez poczucia winy, tak jak to się robi w Krainie Przeszłości.

- Nie mam żadnych informacji z pierwszej ręki, jeśli tak sobie pomyślałeś. Ale to logiczne. Przecież całą resztę życiorysu zmyśliłeś. I cieszę się. Imię George niezbyt mi się podoba. Jest trochę... jakiego ty słowa czasem używasz?... trochę obciachowe.

- A Jake ci pasuje?

- To od Jacoba?

- Tak.

- Podoba mi się. - Odwróciła się do mnie. - W Biblii Jakub walczył z aniołem. I ty też walczysz. Prawda?

- Poniekąd tak, ale nie z aniołem. - Choć diabeł z Lee Oswalda też był marny. W tej roli widziałem raczej George'a DeMohrenschildta. Szatan z Biblii to kusiciel, który składa propozycję, a potem usuwa się na bok. Miałem nadzieję, że taki właśnie jest DeMohrenschildt.

Sadie zgasiła papierosa. Jej głos był spokojny, ale w oczach miała mrok.

- Czy coś ci się stanie?

- Nie wiem.

- A wyjeżdżasz gdzieś? Jeśli tak, nie wiem, czy to zniosę. Będąc tam, w życiu bym tego nie powiedziała, ale Reno to był koszmar. Gdybym miała cię stracić na zawsze... -

Powoli pokręciła głową. - Nie, nie sądzę, żebym mogła to znieść.

- Chcę się z tobą ożenić - powiedziałem.

- Mój Boże - szepnęła. - W chwili, kiedy już mam na końcu języka, że to się nigdy nie stanie, Jake vel George mówi, że chce tego już teraz.

- Nie już teraz, ale jeśli w przyszłym tygodniu wszystko ułoży się po mojej myśli... powiesz „tak”?

- Oczywiście. Lecz muszę zadać jedno małe pytanko.

- Czy jestem stanu wolnego? W rozumieniu prawa? To chcesz wiedzieć?

Skinęła głową.

- Tak, jestem wolny - powiedziałem.

Wydała komiczne westchnienie i uśmiechnęła się jak małe dziecko. Potem spoważniała.

- Mogę ci jakoś pomóc? Pozwól, żebym ci pomogła.

Na samą myśl zrobiło mi się zimno i musiała to zauważyć. Przygryzła wargę.

- Czyli jest aż tak źle - mruknęła w zadumie.

- Ujmijmy to tak: w tej chwili jestem blisko potężnej maszyny pełnej ostrych zębów, która pracuje na pełnych obrotach. Nie pozwolę, żebyś stała u mojego boku w czasie, kiedy przy niej majstruję.

- Kiedy to się stanie? Twoje... nie wiem... spotkanie z przeznaczeniem?

- Jeszcze nie wiadomo. - Miałem wrażenie, że już powiedziałem za dużo, ale skoro zaszedłem tak daleko, postanowiłem pójść jeszcze trochę dalej. - Coś się wydarzy w środę wieczorem. Coś, co muszę zobaczyć na własne oczy. Wtedy zdecyduję.

- I nie mogę ci nijak pomóc?

- Nie sądzę, kochanie.

- Gdyby się jednak okazało, że mogę...

- Dzięki. Doceniam to. Naprawdę wyjdiesz za mnie?

- Teraz, kiedy wiem, że masz na imię Jake? Oczywiście.

W poniedziałek rano, koło dziesiątej, przed domem zatrzymał się oldsmobile i Marina pojechała z Ruth Paine do Irving. Ja miałem swoją sprawę do załatwienia i już zbierałem się do wyjścia, kiedy usłyszałem głuchy tupot nóg schodzących po zewnętrznych schodach. To był Lee, blady i ponury. Miał zmierzwiłone włosy, twarz obsypana brzydkim trądzikiem. Ubrany był w dzinsy i absurdalnie wyglądający trencz, którego poły łopotwały wokół jego goleni. Szedł z jedną ręką przyciśniętą do piersi, jakby bolały go żebra.

Albo jakby miał coś pod płaszczem. *Przed zamachem Lee wyregulował celownik swojego nowego karabinu gdzieś w pobliżu Love Field*, napisał Al. Nie obchodziło mnie, gdzie to zrobił. Obchodziło mnie to, jak niewiele zabrakło, bym spotkał go twarzą w twarz. Niefrasobliwie przyjąłem, że nie zauważyłem, kiedy wyszedł do pracy, i...

A skoro już o tym mowa, dlaczego w poniedziałek rano nie był w pracy?

Wyrzuciłem to pytanie z głowy i wyszedłem z moją teczką aktówką. W środku miałem powieść, której nigdy nie skończę, notatki Ala i stale uaktualniany opis moich przygód w Krainie Przeszłości.

Gdyby wieczorem dziesiątego kwietnia Lee nie był sam, jeden z jego współspiskowców - może nawet DeMohrenschildt we własnej osobie - mógłby mnie zauważyć i zabić. Nadal sądziłem, że to mało prawdopodobne, za to była całkiem spora szansa, że po zabójstwie Oswalda będę musiał uciekać. Albo że zostanę schwytyany i aresztowany za morderstwo. A gdyby stało się jedno lub drugie, nie chciałem, żeby ktoś - na przykład policja - znalazł notatki Ala albo mój pamiętnik.

Ósmego kwietnia najważniejsze dla mnie było to, żeby zabrać wszystkie papiery z mieszkania jak najdalej od zagubionego i agresywnego młodego człowieka, który mieszkał piętro wyżej. Pojechałem do First Corn Bank w Dallas i nie byłem zaskoczony, kiedy urzędnik, który mnie obsłużył, okazał się uderzająco podobny do bankowca, który pomagał mi w Hometown Trust w Lisbon Falls. Ten tutaj nazywał się Richard Link, nie Gregory Dusen, ale i tak wyglądał zupełnie jak Xavier Cugat, kubański dyrygent big-bandu sprzed lat.

Zapytałem o skrytki bankowe. Wkrótce rękopisy spoczęły w tej oznaczonej numerem 775. Wróciłem na Neely Street i przeżyłem chwilę grozy, kiedy nie mogłem znaleźć kluczyka od skrytki.

Wyluzuj, powiedziałem sobie. Masz go gdzieś w kieszeni, a nawet jeśli nie, twój nowy kumpel Richard Link chętnie da ci duplikat. Kosztowałoby cię to pewnie całego dolara.

Jakby przywołany tą myślą, kluczyk odnalazł się głęboko na dnie kieszeni, pod

drobnymi. Wpiąłem go do kółka z moimi kluczami gdzie będzie bezpieczny. Gdybym musiał uciec do króliczej nory, a potem ponownie wrócić do przeszłości, miałbym go nadal... choć wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie cztery i pół roku, zostałyby wykasowane. Rękopisy, które teraz leżały w skrytce, zagięłyby w czasie. To pewnie dobra wiadomość.

Zła była taka, że zagięłyby też Sadie.

ROZDZIAŁ 22

1

Popołudnie dziesiątego kwietnia było pogodne i ciepłe - przedsmak lata. Ubrałem się w luźne spodnie i jedną ze sportowych marynarek, które kupiłem w ciągu roku pracy w Denholm Consolidated. Kolt Police Special .38, załadowany, wylądował w mojej aktówce. Nie pamiętam, żebym był zdenerwowany; teraz, gdy ten moment nadszedł, czułem się jak człowiek zaklejonny w zimnej kopercie. Spojrzałem na zegarek - wpół do czwartej.

Mój plan był taki, żeby znowu zostawić wóz na parkingu sklepu Alpha Beta na Wycliff Avenue. Będę tam najpóźniej o czwartej piętnaście, nawet gdyby w mieście był duży ruch. Po przyjeździe zajrzę do zaułka. Jeśli będzie pusty, czego o tej porze należało się spodziewać, zerknę za obluzowaną deskę. Jeżeli Al miał rację co do tego, że Lee ukrył carcano przed zamachem (nawet jeśli pomylił się co do miejsca), zobaczę tam karabin.

Potem wrócę do mojego samochodu i będę obserwował przystanek autobusowy, na wypadek gdyby Lee przyjechał wcześniej. Kiedy o siódmej w mormońskim kościele zacznie się nabożeństwo dla nowych parafian, pójdę spacerkiem do kawiarni, która serwuje śniadanie przez cały dzień, i usiądę przy oknie. Zjem coś, na co nie będę miał ochoty, powoli, żeby starczyło na jak najdłużej, i będę obserwował przyjeżdżające autobusy, licząc na to, że kiedy Lee w końcu wysiądzie z jednego z nich, będzie sam. I że nie zobaczę wielkiego jak łódź samochodu George'a DeMohrenschildta.

Taki był plan.

Wziąłem aktówkę i jeszcze raz zerknąłem na zegarek. Trzecia trzydzieści trzy. Chevy był zatankowany do pełna i gotowy do jazdy. Gdybym wyszedł i wszedł do niego w tym momencie, tak jak planowałem, mój telefon zadzwoniłby w pustym mieszkaniu. Tak się jednak nie stało, bo w chwili, kiedy wyciągnąłem rękę do gałki w drzwiach, ktoś zapukał.

Otworzyłem. Na progu stała Marina Oswald.

2

Przez chwilę tylko się gapiłem, niezdolny ruszyć się ani wydobyć z siebie głosu.

Głównie z powodu jej niespodziewanej wizyty, ale nie tylko. Dopóki nie stanęła przede mną, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jej duże niebieskie oczy przypominały oczy Sadie.

Marina albo zignorowała moją zaskoczoną minę, albo jej nie zauważyła. Miała swoje zmartwienia.

- Przepraszam, widział pan mojego *muża*? - Zagryzła wargi i lekko pokręciła głową. - Mę-ża. - Spróbowała się uśmiechnąć, co dało jej okazję do zaprezentowania ładnie wyremontowanego uzębienia, ale i tak nie wyszło zbyt przekonująco. - Przepraszam pana, słabo znam angijski. Ja z Białorusi.

Usłyszałem, jak ktoś - pewnie ja sam - pyta, czy chodzi jej o tego pana, który mieszka piętro wyżej.

- Tak, proszę, to mój mąż, Lee. Mieszkamy na górze. To nasza *małyszka*... nasze dziecko. - Wskazała na June, która siedziała u podnóża schodów w swoim wózku i z zadowoleniem ssła smoczek. - Mąż ciągle gdzieś chodzi, od kiedy stracił pracę. - Znow spróbowała się uśmiechnąć i kiedy jej oczy się zmrużyły, z kącika lewego wyciekła łza i spłynęła po policzku.

A jednak. Wyglądało na to, że stary Bobby Stovall może się obejść bez swojego najlepszego specja od fotowydruków.

- Nie widziałem go, pani... - Prawie wyrwało mi się „Oswald”, ale w porę ugryzłem się w język. I całe szczęście, bo niby skąd mogłem znać jej nazwisko? Chyba nie odbierali poczty w domu. Na ganku były dwie skrzynki na listy, ale na żadnej nie było ich nazwiska. Ani mojego. Ja też nie odbierałem poczty w domu.

- Os'wal - powiedziała i podała mi dłoń. Uścisnąłem ją, pewien jak nigdy, że to wszystko mi się śni. Jednak ta mała, sucha dłoń była aż nadto rzeczywista. - Marina Os'wal, miło pana poznać.

- Przykro mi, pani Oswald, nie widziałem go dzisiaj. - Nieprawda; widziałem, jak wyszedł parę minut po dwunastej, niedługo po tym, jak kombi Ruth Paine zabrało Marinę i June do Irving.

- Ja niespokojna o niego. On... nie wiem... przepraszam. Ja nie chciała panu przeszkadzać. - Znow się uśmiechnęła przesłodko, przesmutnie i powoli otarła łzę z twarzy.

- Jeśli go zobaczę...

Zrobiła zaniepokojoną minę.

- Nie, nie, pan nic nie mówi. On nie lubi, jak rozmawiam z obcy ludzic. Na kolację przyjdzie, może na pewno. - Zeszła po schodach na dół i powiedziała coś po rosyjsku do dziecka, które zaśmiało się i wyciągnęło do niej pulchne rączki. - Do widzenia, proszę pana.

Bardzo dziękuję. Pan nic nie powie?

- Nic a nic. Ani mru-mru. - Nie zrozumiała, ale skinęła głową i wyraźnie jej ulżyło, kiedy położyłem palec na ustach.

Zamknąłem drzwi, zlany potem. Gdzieś słyszałem nie tylko jednego trzepoczącego skrzydłami motyla, ale całą ich chmarę.

Może nic się nie stało, pomyślałem.

Marina pchała wózek June w stronę przystanku autobusowego, gdzie zapewne zamierzała zaczekać na swojego *muża*... który coś knuł. Tyle wiedziała. Miała to wypisane na twarzy.

Kiedy zniknęła mi z oczu, wyciągnąłem rękę do gałki w drzwiach i wtedy zadzwonił telefon. Nie chciałem odebrać, ale mój numer znała tylko garstka osób, a jedną z nich była kobieta, na której ogromnie mi zależało.

- Słucham?

- Witam, panie Amberson - powiedział jakiś mężczyzna. Miał lekki południowy akcent. Nie jestem pewien, czy od razu domyśliłem się, kto to jest. Nie pamiętam. Sądzę, że tak. - Ktoś tu ma coś panu do powiedzenia.

Pod koniec 1962 i na początku 1963 roku żyłem w dwu światach, jeden był w Dallas, drugi w Jodie. Te dwa światy zderzyły się ze sobą o trzeciej trzydziści dziewięć po południu dziesiątego kwietnia. W słuchawce usłyszałem krzyk Sadie.

3

Mieszkała w parterowym domu z prefabrykatów na Bee Tree Lane, na obejmującym cztery-pięć przecznic osiedlu identycznych domów w zachodniej części Jodie. Zdjęcie lotnicze tej okolicy w podręczniku historii z 2011 roku mogłoby być podpisane DOMY OSÓB ROZPOCZYNAJĄCYCH SAMODZIELNE ŻYCIE W POŁOWIE WIEKU. Przyjechała tam koło trzeciej tego popołudnia, po spotkaniu z uczniami pomagającymi jej w bibliotece. Wątpię, czy zauważyła czerwono-białego plymoutha fury zaparkowanego kawałek dalej przy krawężniku.

Po drugiej stronie ulicy, kilka domów dalej, pani Holloway myła swój samochód (renault dauphine, na który reszta sąsiadów patrzyła dość podejrzliwie). Sadie pomachała do niej, wysiadając ze swojego volkswagena garbusa. Jako jedyne właścicielki zagranicznych (i jakoś obcych) samochodów w okolicy utrzymywały luźne koleżeńskie stosunki.

Sadie podeszła do drzwi wejściowych i na chwilę znieruchomiała ze zmarszczonym

czołem. Były uchylone. Czy tak je zostawiła? Weszła do środka i zamknęła drzwi za sobą. Nie domknęły się, bo zamek został wyłamany, ale tego nie zauważyła. Wtedy już całą uwagę skupiła na ścianie nad sofą. Tam, wypisane jej własną szminką literami wysokimi na metr, widniały dwa słowa: PARSZYWA PIZDA.

Powinna była wtedy uciec, ale jej osłupienie i złość były tak wielkie, że nie zostało w niej miejsca na strach. Wiedziała, kto to zrobił, ale przecież Johnny na pewno już sobie poszedł. Bezpośrednia konfrontacja nie była w stylu mężczyzny, którego poślubiła. Och, rzucał mnóstwo ostrych słów, od czasu do czasu dostawała od niego w twarz, ale to wszystko.

Jej bielizna była rozrzucona po podłodze.

Wyznaczała prowizoryczny szlak z salonu krótkim korytarze do sypialni. Wszystko - halki, półhalki, biustonosze, majtki, gorset, którego nie potrzebowała, ale który czasem nosiła - zostało pocięte nożem. Drzwi łazienki na końcu korytarza były otwarte. Wieszak z ręcznikami został wyrwany. W pustym miejscu po nim, na kafelkach widniała kolejna wiadomość, także wypisana jej szminką: OHYDNA KURWA.

Sypialnia też była otwarta. Sadie poszła tam i stanęła w wejściu, kompletnie nieświadoma, że Johnny Clayton czai się za drzwiami z nożem w jednej dłoni i smith & wessonem victory kaliber .38 w drugiej. Rewolwer, który miał tego dnia, był tej samej marki i modelu co ten, z którego Lee Oswald zastrzelił policjanta z Dallas, J.D. Tippita.

Jej mała kosmetyczka leżała na łóżku, przybory do makijażu wały się po narzucie. Harmonijkowe drzwi szafy były otwarte. Część ubrań wciąż zwisała smętnie z wieszaków; większość leżała na podłodze. Wszystkie pocięte.

- Johnny, ty draniu! - Chciała wykrzyknąć te słowa, ale szok był zbyt wielki. Mogła tylko szeptać.

Ruszyła w stronę szafy, ale daleko nie zaszła. Ramię objęło jej szyję i mały stalowy krążek mocno wbił się w jej skroń.

- Nie ruszaj się, nie stawiaj oporu. Bo zabiję.

Próbowała się wyrwać i zdzielił ją w głowę lufą rewolweru. Mocniej ścisnął ramieniem jej szyję. Zobaczyła nóż w pięści na końcu duszącej ją ręki i przestała się szamotać. To był Johnny - poznała po głosie - tyle że tak naprawdę to nie był on. Zmienił się.

Powinnam go była posłuchać, stwierdziła w duchu, mając na myśli mnie. Dlaczego nie posłuchałam?

Wyprowadził ją do salonu, wciąż trzymając ramieniem za szyję, po czym ją pchnął. Zwaliała się na kanapę.

- Obciągnij kieckę. Widzę twoje podwiązki, dziwko.

Miał na sobie ogrodniczki (samo to wystarczyło, by pomyślała, że śni) i zafarbował włosy na dziwny pomarańczowoblond kolor. Prawie się zaśmiała.

Usiadł na pufie przed nią. Rewolwer wymierzony był w jej brzuch.

- Zadzwonimy do twojego fagasa.

- Nie wiem, o czym...

- Do Ambersona. Tego, którego kielbachą zabawiasz się w tej ruchalni w Kileen. Wiem wszystko. Od dawna was obserwuję.

- Johnny, jeśli zaraz wyjdiesz, nie zadzwonię na policję. Obiecuję. Mimo że zniszczyłeś mi ubrania.

- Kurwie szmaty - powiedział wzgardliwie.

- Ja nie... nie znam jego numeru.

Jej notes na adresy, ten, który zwykle trzymała w swoim małym gabinecie obok maszyny do pisania, leżał otwarty obok telefonu.

- A ja tak. Jest na pierwszej stronie. Najpierw sprawdziłem pod F, jak „fagas”, ale tam go nie było. Ja zamówię rozmowę, żeby nie przyszło ci do głowy powiedzieć czegoś telefonistce. A potem z nim pogadasz.

- Nie, Johnny, nie, jeśli chcesz mu zrobić krzywdę.

Wychylił się do przodu. Dziwne pomarańczowoblond włosy opadły mu na oczy i odgarnął je dłonią trzymającą rewolwer. Potem ręką z nożem podniósł słuchawkę z widełek. Rewolwer znowu wymierzył w jej brzuch.

- Oto jak wygląda sytuacja, Sadie - stwierdził niemal racjonalnym tonem. - Zabiję jedno z was. Drugie może żyć. Ty zdecydujesz, na kogo padnie.

Mówił serio. Widziała to w jego twarzy.

- A co... co, jeśli nie ma go w domu?

Zaśmiał się z jej głupoty.

- Wtedy zginiesz, Sadie.

Musiała pomyśleć: Mogę zyskać na czasie. Z Dallas do Jodie jedzie się co najmniej trzy godziny, dłużej, jeśli jest duży ruch. Dość czasu, by Johnny się opamiętał. Może. Albo żeby stracił czujność na dość długo, bym mogła czymś w niego rzucić i uciec.

Wykręcił 0 i nie zaglądając do notatnika z adresami (zawsze miał świetną pamięć do liczb), poprosił o połączenie z numerem Westbrook 7-5430. Chwilę słuchał.

- Dziękuję pani.

A potem cisza. Gdzieś bardzo daleko dzwonił telefon. Sadie musiała się zastanawiać, ile sygnałów Johnny przeczeka, zanim się rozłączy i strzeli jej w brzuch.

Wtem Johnny rozchmurzył się, nawet się z lekka uśmiechnął. Jego zęby były białe jak zawsze, zauważyła, i nic dziwnego - szorował je co najmniej sześć razy dziennie.

- Witam, panie Amberson. Ktoś tu ma coś panu do powiedzenia.

Wstał z pufa i podał Sadie słuchawkę. Kiedy przyłożyła ją do ucha, chlasnął nożem, szybko jak atakujący wąż, i rozciął jej policzek.

4

- Co jej zrobiłeś?! - krzyknąłem. - Co zrobiłeś, bydlaku?!

- Ciii, panie Amberson. - Wydawał się rozbawiony. Sadie już nie krzyczała, ale słyszałem jej szloch. - Nic jej nie jest. Mocno krwawi, ale przestanie. - Zawiesił głos, po czym przemówił tonem rozważnego namysłu. - Oczywiście, nie będzie już ładna. Teraz wygląda jak zwykła tania dziwka, którą jest. Moja matka tak o niej mówiła i miała rację.

- Zostaw ją, Clayton - powiedziałem. - Proszę.

- Ależ ja chcę ją zostawić. Zwłaszcza teraz, kiedy ją naznaczyłem. Ale jest jeden szczegół, panie Amberson. Zabiję jedno z was. Przez nią straciłem pracę, wie pan; musiałem odejść i iść do szpitala, gdzie robią elektrowstrząsy, inaczej kazaliby mnie aresztować. - Zamilkł. - Zrzuciłem jedną dziewczynę ze schodów. Próbowwała mnie dotknąć. Wszystko przez tę parszywą sukę, tę tutaj, która zalewa sobie krwią kolana. Ręce mi nią pobrudziła. Będzie mi potrzebny środek odkażający. - I roześmiał się.

- Clayton...

- Daję ci trzy i pół godziny, fagasio. Masz czas do wpół do ósmej. Potem wpakuję jej dwie kulki. Jedną w brzuch, drugą w jej śmierdzącą cipę.

W tle usłyszałem krzyk Sadie:

- Nie rób tego, Jacob!

- ZAMKNIJ SIĘ! - wrzasnął na nią Clayton. - ZAMKNIJ GĘBĘ! - A potem, do mnie, mrozącym krew w żyłach, swobodnym tonem: - Kto to jest Jacob?

- Ja - powiedziałem. - Tak mam na drugie.

- Tak na ciebie mówi w łóżku, jak ci ssie kutasa, fagasio?

- Clayton... Johnny, zastanów się, co robisz.

- Zastanawiałem się nad tym ponad rok. Myślałem i śniłem o tym. Wiesz, robili mi elektrowstrząsy. Mówili, że to odpędzi sny, ale kłamali. Stały się jeszcze gorsze.

- Jak ciężko jest ranna? Daj mi z nią porozmawiać.

- Nie.

- Jeśli dasz mi z nią porozmawiać, może zrobię to, o co prosisz. Jeśli nie, nie zrobię tego na pewno. Jesteś za bardzo otumaniony elektrowstrząsami, żeby to zrozumieć?

Wyglądało na to, że nie. Usłyszałem szuranie w słuchawce, a potem głos Sadie. Był cienki i drżący.

- Jest źle, ale to mnie nie zabije. - Zniżyła głos. - Niewiele brakowało, a rozciąłby mi o...

Clayton zabrał jej słuchawkę.

- Widzisz? Nic się twojej zdzirze nie stało. A teraz wskakuj do swojego fajowskiego chevroleta i zasuważ tu pełnym gazem, co ty na to? Ale posłuchaj mnie uważnie, panie George Jacob Amberson Fagas: jeśli wezwiesz policję, jeśli zobaczę jedno niebieskie albo czerwone światło, zabiję tę sukę, a potem siebie. Wierzysz mi?

- Tak.

- To dobrze. Widzę tu równanie, po którego obu stronach mamy dwie równoważne wartości: fagas i kurwiszcze. Ja jestem pośrodku. Ja jestem znakiem równości, Amberson, ale ty musisz zdecydować. Która z wartości zostanie zredukowana? Wybór należy do ciebie.

- Nie! - krzyknęła. - Nie rób tego! Jeśli tu przyjedziesz, zabije nas obo...

Usłyszałem trzask odkładanej słuchawki.

5

Do tej pory mówiłem prawdę i powiem prawdę także teraz, mimo że stawia mnie w najgorszym możliwym świetle: moją pierwszą myślą, kiedy odrętwiała dłoń odłożyłem słuchawkę na widelki, była ta, że Clayton się mylił, bo te wartości tak naprawdę się nie równoważyły. Na jednej szali była ładna bibliotekarka szkolna. Na drugiej był człowiek, który znał przyszłość i miał - przynajmniej teoretycznie - moc ją zmienić. Przez sekundę autentycznie się zastanawiałem, czy nie poświęcić Sadie i nie pojechać na drugi koniec miasta, żeby obserwować zaulek biegnący między Oak Lawn Avenue a Turtle Creek Boulevard i przekonać się, czy człowiek, który zmieni historię Ameryki, działał sam.

Ruszyłem samochodem do Jodie. Na drodze numer 77 przyspieszyłem do stu dziesięciu i takie tempo utrzymywałem. W trakcie jazdy otworzyłem kciukiem zatrzaśki teczki, wyjąłem kolta i schowałem go do wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki.

Zdałem sobie sprawę, że muszę wciągnąć w to Deke'a. Był stary i już niezbyt pewnie trzymał się na nogach, ale nikogo innego po prostu nie było. Na pewno będzie chciał w tym uczestniczyć, powiedziałem sobie. Kochał Sadie. Widziałem to w jego twarzy, ilekroć na nią

patrzył.

I swoje już przeżył, dopowiedział mój zimny rozum. Ona nie. Poza tym Deke dostanie tę samą szansę, którą ten wariat dał mnie. Nie musi tam pójść.

Ale pójdzie. Czasem coś, co przedstawia się nam jako wybór, tak naprawdę wyborem nie jest.

Brak mojej dawno utraconej komórki nigdy nie doskwierał mi bardziej niż wtedy, podczas tej jazdy z Dallas do Jodie. Jedynym rozwiązaniem była budka telefoniczna przy stacji benzynowej na drodze stanowej numer 109, niecały kilometr za billboardem z futbolistą. Telefon na drugim końcu linii zadzwonił trzy razy... cztery... pięć...

Kiedy już miałem odwiesić słuchawkę, Deke powiedział:

- Halo? Halo? - Był poirytowany i zdyszany.

- To ja, George.

- Hej, chłopcze! - Teraz w głosie dzisiejszej wersji Billa Turcotte'a (z tej popularnej, długo granej sztuki „Mąż morderca”) brzmiała radość, nie irytacja. - Byłem w ogródku koło domu. Już miałem nie odbierać, ale...

- Bądź cicho i słuchaj. Stało się coś bardzo złego. Dzieje się nadal. Sadie jest ranna, chyba ciężko.

Nastąpiła krótka pauza. Kiedy Deke znów się odezwał, jego głos brzmiał młodziej; jak głos twardego człowieka, którym bez wątplenia był czterdzieści lat i dwie żony temu. A może tylko miałem taką nadzieję. Tego wieczora nadzieja i mężczyzna pod siedemdziesiątkę to wszystko, co miałem.

- Mówisz o jej mężu, prawda? To moja wina. Chyba go widziałem, ale to było wiele tygodni temu. I miał dużo dłuższe włosy niż na zdjęciu w księdze pamiątkowej. W dodatku innego koloru. Prawie pomarańczowe. - Chwila przerwy, po czym słowo, którego jeszcze nigdy przy mnie nie użył. - Kurwa!

Powiedziałem mu, czego chce Clayton i co zamierzam zrobić. Plan był dość prosty. Przeszłość harmonizuje sama ze sobą? W porządku, niech harmonizuje. Wiedziałem, że Deke może dostać ataku serca - jak Turcotte - ale to mnie nie mogło powstrzymać. Nic mnie nie mogło powstrzymać. Chodziło o Sadie.

Czekałem, aż zapyta, czy nie lepiej zostawić to policji, ale oczywiście wiedział, że nie. Doug Reems, posterunkowy z Jodie, miał słaby wzrok, nosił aparat ortopedyczny na jednej nodze i był jeszcze starszy. Deke nie zapytał także, czemu nie wezwałem policji stanowej z Dallas. Gdyby to zrobił, powiedziałbym mu, że moim zdaniem Clayton nie blefował, mówiąc, że zabije Sadie, jeśli zobaczy choć jedno błyskające światło. Co było prawdą, ale nie

głównym powodem. Chciałem załatwić tego sukinsyna osobiście.

Byłem wściekły.

- O której się ciebie spodziewa, George?

- Nie później niż o wpół do ósmej.

- A teraz jest... za kwadrans siódma, według mojego zegarka. Co daje nam troszkę czasu. Ulica za Bee Tree nazywa się Apple jakaś tam. Nie pamiętam dokładnie. Tam będziesz?

- Tak. Na tyłach jej domu.

- Mogę tam być za pięć minut.

- Jasne, jeśli będziesz jechał jak wariat. Dziesięć wystarczy. I przynieś coś dla kamuflażu, coś, co będzie mógł zobaczyć z okna salonu, jeśli wyjrzy na zewnątrz. Nie wiem, może...

- Może być brytfanna?

- Jasne. Do zobaczenia za dziesięć minut.

Zanim odłożyłem słuchawkę, zapytał:

- Masz broń?

- Tak.

Jego odpowiedź zabrzmiała jak warczenie psa.

- Dobrze.

6

Ulica za domem Doris Dunning nazywała się Wyemore Lane. Ulica za domem Sadie - Apple Blossom Way. Dom na Wyemore 202 był na sprzedaż. Przed domem na Apple Blossom Way 140 nie było tablicy NA SPRZEDAŻ, ale w środku panowały ciemności, a trawnik był zaniedbany, usiany mleciami. Zaparkowałem od frontu i spojrzałem na zegarek. Za dziesięć siódma.

Dwie minuty później ranch wagon Deke'a zatrzymał się za moim chevy. Deke miał na sobie dzinsy, koszulę w kratę i krawat z tasiemki. W rękach trzymał brytfannę w kwiatki. Miała szklaną pokrywkę i była wypełniona po brzegi chop suey.

- Deke, nie wiem, jak ci dzie...

- Nie zasługuję na podziękowanie, zasługuję na porządnego kopa w tyłek. Tego dnia, kiedy go widziałem, minąłem się z nim w drzwiach Western Auto. To musiał być Clayton. Dzień był wietrzny. Podmuch rozwiał mu włosy i przez sekundę widziałem te wgłębienia w

jego skroniach. Ale te włosy... długie i innego koloru... poza tym miał na sobie strój kowbojski... szlag by to. - Pokręcił głową. - Starzeję się. Jeśli Sadie stało się coś złego, nigdy sobie nie daruję.

- Dobrze się czujesz? Żadnych bólów w piersi ani nic takiego?

Spojrzał na mnie jak na wariata.

- Będziemy tu stać i gawędzić o moim zdrowiu, czy spróbujemy wyciągnąć Sadie z opresji?

- Więcej niż spróbujemy. Ty okrążysz jej dom i podejdziesz od frontu. Ja w tym czasie przekradnę się przez żywopłot na jej podwórko. - Oczywiście, mówiąc to, miałem przed oczami dom Dunningów na Kossuth Street, ale zaraz przypomniałem sobie, że na końcu małego podwórka Sadie też rośnie żywopłot. Widziałem go wiele razy.

- Zapukasz i powiesz coś wesołego. Dość głośno, żebym usłyszał. Wtedy będę już w kuchni.

- A jeśli tylne drzwi będą zamknięte?

- Pod schodkiem trzyma klucz.

- No dobra. - Deke chwilę pomyślał zaszępiony, po czym podniósł głowę. - Zawołam „Tu Avon, specjalna dostawa zapiekanki”. I podniosę brytfannę, żeby mógł mnie zobaczyć przez okno salonu, jeśli wyjrzy. Może być?

- Tak. Chcę tylko, żebyś na kilka sekund odwrócił jego uwagę.

- Nie strzelaj, jeśli będzie zagrożenie, że trafisz Sadie. Staranuj drania. Dasz radę. Facet, którego widziałem, był chudy jak szczapa.

Spojrzeliliśmy na siebie ponuro. Taki plan mógłby się powieść w „Gunsmoke” albo „Mavericku”, ale to było prawdziwe życie. A w prawdziwym życiu pozytywni bohaterowie - i bohaterki - czasem giną.

7

Podwórko za domem na Apple Blossom Way nie wyglądało zupełnie tak samo jak to za domem Dunningów, ale podobieństwa były. Po pierwsze, stała tam psia buda, choć nieopatrzona tabliczką DOMEK DLA PIESKA. Nad okrągłym wejściem widniały wymalowane niewprawną ręką dziecka słowa: DOM BUTCHA. I nie było maluchów zbierających cukierki. Nie ta pora roku.

Za to żywopłot wyglądał identycznie.

Przecisnąłem się przez krzaki, praktycznie nie czując zadrapań, które sztywne gałęzie

kreśliły na moich rękach. Przeciąłem podwórko Sadie na ugiętych nogach i spróbowałem otworzyć drzwi. Zamknięte. Wsunąłem rękę pod schodek, przekonany, że klucza nie będzie, bo przeszłość harmonizuje, ale i jest nieustępliwa.

Był. Wyciągnąłem go, włożyłem do zamka i powoli zwiększając nacisk, przekręciłem. Zasuwa odskoczyła z głuchym łupnięciem. Zesztywniałem, czekając na okrzyk zaniepokojenia. Jednak panowała cisza. W salonie paliły się światła, ale nie słyszałem żadnych głosów. Może Sadie już nie żyła, a Clayton uciekł.

Boże, proszę, nie!

Kiedy ostrożnie uchyliłem drzwi, usłyszałem go. Mówił donośnym, monotonnym głosem, jak wielebny Billy James Hargis na prochach uspokajających. Nazywał ją dziwką, narzekał, że zrujnowała mu życie. A może chodziło o dziewczynę, która próbowała go dotknąć. W oczach Johnny'ego Clayтона wszystkie były takie same: głodne seksu nosicielki chorób. Trzeba je było nauczyć moresu. I, oczywiście, odgradzić się od nich miotłą.

Zzulem buty i postawiłem je na linoleum. Światło nad zlewem było włączone. Sprawdziłem, gdzie pada mój cień, by się upewnić, że nie pojawi się przede mną w drzwiach. Wyjąłem kolta z kieszeni marynarki i ruszyłem przez kuchnię. Zamierzałem stać przy drzwiach salonu, dopóki nie usłyszę „Tu Avon!”. Wtedy rzucę się do ataku.

Tylko że nie tak to się rozegrało. Kiedy Deke krzyknął, w jego głosie nie było wesołości. To był krzyk szoku i gniewu. I nie rozległ się za drzwiami wejściowymi, tylko już wewnątrz domu.

- O mój Boże! Sadie!

A potem wszystko potoczyło się bardzo, bardzo szybko.

8

Clayton wyłamał zamek w drzwiach wejściowych, przez co się nie domykały. Sadie tego nie zauważyła, ale Deke owszem. Zamiast zapukać, pchnął je i wszedł do środka z brytfanną w rękach. Clayton wciąż siedział na pufie i mierzył z rewolweru w Sadie, ale nóż położył na podłodze obok siebie. Deke później mówił, że nawet nic nie wiedział o tym nożu. Wątpię, czy w ogóle zobaczył rewolwer. Całą uwagę skupiał na Sadie. Góra jej niebieskiej sukienki przybrała brudny, rdzawoczerwony kolor. Ręka Sadie i bok sofy, nad którym dyndała, były zalane krwią. Najgorzej jednak wyglądała jej twarz, odwrócona w stronę Deke'a. Z lewego policzka zwisały dwa płaty skóry, jak dwie części rozdartej kurtyny.

- O mój Boże! Sadie! - To był spontaniczny krzyk, wyraz czystego szoku.

Clayton odwrócił się z górną wargą wykrzywioną we wściekłym grymasie. Poderwał broń. Zobaczyłem to w chwili, kiedy wpadłem w drzwi między kuchnią a salonem. Zobaczyłem też, jak Sadie wyrzuca nogę do przodu i kopnięciem przewraca puf. Clayton strzelił, ale kula wbiła się w sufit. Kiedy próbował się podnieść, Deke rzucił brytfanną. Przykrywka odpadła. Trochę makaronu, mięso, kawałki zielonej papryki i sos pomidorowy chlusnęły wachlarzem na wszystkie strony. Naczynie, wciąż w więcej niż połowie pełne, trafiło Claytona w prawe ramię. Reszta chop suey wypadła. Rewolwer poleciał w bok.

Zobaczyłem krew. Zobaczyłem zmasakrowaną twarz Sadie. Zobaczyłem Claytona kucającego na zakrwawionym dywanie i uniosłem kolta.

- Nie! - krzyknęła Sadie. - Nie, proszę, nie!

To otrzeźwiło mnie, jakbym dostał w twarz. Gdybym go zabił, policja zainteresowałaby się mną bez względu na to, jak bardzo zabójstwo byłoby uzasadnione. Maska George'a Ambersona rozsypałaby się w proch i straciłbym wszelkie szanse na to, by przeszkodzić w listopadowym zamachu. Poza tym - na ile to zabójstwo byłoby uzasadnione? Ten człowiek już nie miał broni.

A przynajmniej tak sądziłem, bo ja też nie zauważyłem noża. Zasłaniał go przewrócony puf. Możliwe, że przeoczyłbym go, nawet gdyby leżał na wierzchu.

Schowałem broń z powrotem do kieszeni i podniosłem Claytona na nogi.

- Nie wolno mnie bić! - krzyknął, tryskając z ust śliną. Jego powieki trzepotały jak w ataku padaczki. Puścił mu pęcherz; słyszałem, jak mocz kapie na dywan. - Jestem chory psychicznie, nie odpowiadam za siebie, nie można mnie obarczać odpowiedzialnością, mam zaświadczenie, jest w schowku w samochodzie, pokażę ci...

Skamlący głos Claytona, skrajne przerażenie w jego oczach teraz, gdy był bez broni, zwisające wokół twarzy strąki ufarbowanych na pomarańczowoblond włosów, nawet zapach chop suey... wszystko to mnie rozwścieczało. W największą furję jednak wprowadził mnie widok Sadie skulonej na kanapie i zalanej krwią. Jej włosy rozsypały się i po lewej stronie wisały pozlepiane obok rozharatanej twarzy. Miała nosić bliznę w tym samym miejscu, w którym Bobbi Jill nosiła ślad po swojej - oczywiście, przeszłość harmonizuje, ale rana Sadie wyglądała gorzej, och, jak dużo gorzej.

Uderzyłem go w prawy policzek tak mocno, że ślina trysnęła z lewego kącika jego ust.

- Ty pojechańcu, to za miotłę!

Poprawiłem z drugiej strony i tym razem ślina trysnęła z prawego kącika jego ust. Syciłem uszy jego skowytem z gorzką, nieprzynoszącą radości satysfakcją zastrzeżoną tylko dla rzeczy najgorszych, gdy zło jest zbyt wielkie, żeby je cofnąć. Czy kiedykolwiek

wybaczyć.

- To za Sadie!

Zacisnąłem pięść. W jakimś innym świecie Deke krzyczał do słuchawki telefonu. I czy pocierał się po piersi tak jak Turcotte? Nie. Przynajmniej jeszcze nie. W tym samym innym świecie Sadie jęczała.

- A to za mnie!

Wyrzuciłem pięść do przodu i - powiedziałem, że będę mówił prawdę, od początku do końca - kiedy zgruchotałem mu nos, jego krzyk bólu był mi najmiłszą muzyką. Puściłem go i zwałił się na podłogę.

Odwrociłem się do Sadie.

Próbowała wstać z kanapy, ale osunęła się z powrotem. Próbowała wyciągnąć do mnie rękę, ale tego też nie była w stanie zrobić. Opadły na jej przesiąkniętą krwią, zniszczoną sukienkę. Oczy zaczęły uciekać jej w głąb czaszki i byłem pewien, że zemdleje, ale wytrzymała.

- Przyjechałeś - szepnęła. - Och, Jake, przyjechałeś po mnie. Obaj przyjechaliście.

- Bee Tree Lane! - krzyknął Deke do telefonu. - Nie, nie wiem, jaki numer, nie pamiętam, ale przed domem zobaczycie wymachującego rękami starego człowieka w butach ochlapanych chop suey! Szybko! Straciła dużo krwi!

- Nie ruszaj się - powiedziałem. - Nie próbuj...

Jej oczy otworzyły się szeroko. Patrzyła mi za ramię.

- Uważaj! Jake, uważaj!

Odwrociłem się, sięgając do kieszeni po rewolwer. Deke też się obrócił, trzymając słuchawkę telefonu w dwóch powykrzywianych artretyzmem rękach jak maczugę. Jednak choć Clayton podniósł z podłogi nóż, którym oszpecił Sadie, to miał już nigdy nikogo nie zaatakować. Nikogo oprócz siebie.

To była jeszcze jedna scena, w której już kiedyś grałem; wtedy działo się to na Greenville Avenue, zaraz po moim przyjeździe do Teksasu. Tym razem nie było muzyki Muddy'ego Watersa huczącej w Desert Rose, była za to kolejna ciężko ranna kobieta i kolejny mężczyzna krwawiący z kolejnego złamanego nosa, z wywleczoną ze spodni koszulą opadającą prawie do kolan. Trzymał nóż zamiast pistoletu, ale wszystko poza tym się zgadzało.

- Nie, Clayton! - krzyknąłem. - Odlóż to!

Jego wybałuszone oczy patrzyły przez strąki pomarańczowych włosów na oszołomioną, omdlewającą kobietę na kanapie.

- Tego chcesz, Sadie? - krzyknął. - Jeśli tego chcesz, proszę bardzo!
Z uśmiechem szaleńca podniósł nóż do gardła... i ciął.

CZEŚĆ V

22 LISTOPADA 1963

ROZDZIAŁ 23

1

Z „Dallas Morning News”, 11 kwietnia 1963 (str. 1):

WALKER CELEM SNAJPERA

Eddie Hughes

Jak informuje policja, w środę wieczorem doszło do próby zabójstwa generała dywizji w stanie spoczynku Edwina A. Walkera w jego własnym domu. Wystrzelony z karabinu dalekiego zasięgu pocisk chybił kontrowersyjnego działacza o włos.

O dziewiątej wieczorem Walker wypełniał zeznanie podatkowe, kiedy kula wpadła przez tylną szybę i wbiła się w ścianę obok niego.

Według policji nieznaczny ruch Walkera mógł uratować mu życie.

„Ktoś miał go idealnie na muszce - powiedział detektyw Ira Van Cleave. - Ktokolwiek to był, niewątpliwie chciał go zabić”.

Walker wydłubał kilka fragmentów płaszcza kuli ze swojego prawego rękawa i w chwili przybycia dziennikarzy wciąż jeszcze wytrząsał z włosów kawałki szkła i odpryski pocisku.

Powiedział, że wrócił do swojego domu w Dallas w poniedziałek po wygłoszeniu pierwszego z cyklu wykładów pod nazwą „Operacja Nocna Jazda”. Oznajmił też dziennikarzom...

Z „Dallas Morning News”, 12 kwietnia 1963 (str. 7):

CHORY PSYCHICZNIE RANI BYŁĄ ŻONĘ,

POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO

Mack Dugas (JODIE)

W środowy wieczór siedemdziesięciosiedmioletni Deacon „Deke” Simmons przybył za późno, by ocalić Sadie Dunhill przed okaleczeniem,

jednak tę dwudziestoosmioletnią, powszechnie lubianą bibliotekarkę z okręgu szkolnego Denholm Consolidated mógł spotkać dużo gorszy los.

Według Douglasa Reemsa, posterunkowego z Jodie, „Gdyby Deke nie przyjechał w porę, pani Dunhill zginęłaby prawie na pewno”.

Na pytania reporterów Simmons odpowiadał tylko: „Nie chcę o tym mówić, już jest po wszystkim”.

Według posterunkowego Reemsa, Simmons obezwładnił dużo młodszego Johna Claytona i odebrał mu mały rewolwer. Clayton dobył wówczas noża, którym uprzednio zranił swoją żonę, i poderznął sobie gardło. Simmons wraz z innym uczestnikiem zajścia, George'em Ambersonem z Dallas, bezskutecznie próbowali zatamować krwawienie. Clayton poniósł śmierć na miejscu.

Pan Amberson, były nauczyciel w okręgu szkolnym Denholm Consolidated, przybyły na miejsce zdarzenia wkrótce po tym, jak Clayton został obezwładniony, nie odpowiedział na nasze próby kontaktu, jednak bezpośrednio po zajściu zeznał posterunkowemu Reemsovi, że Clayton - były pacjent szpitala psychiatrycznego - mógł nękać byłą żonę od wielu miesięcy. O zagrożeniu z jego strony uprzedzono personel Denholm Consolidated High School, dyrektor Ellen Dockerty zdobyła nawet jego zdjęcie, Clayton jednak zmienił swój wygląd.

Pani Dunhill została przewieziona karetką do szpitala Parkland w Dallas. Według lekarzy jest w dobrym stanie.

2

Pozwolili mi ją zobaczyć dopiero w sobotę. Przez prawie cały ten czas siedziałem w poczekalni z książką, której nie byłem w stanie czytać. W sumie to i dobrze, bo towarzystwa mi nie brakowało - większość nauczycieli DCHS wpadła spytać o Sadie, podobnie jak prawie stu uczniów; tych, którzy nie mieli prawa jazdy, do Dallas przywieźli rodzice. Wielu oddało krew, by uzupełnić litry zużyte do ratowania Sadie. Wkrótce moja teczka wypchana była kartkami z życzeniami powrotu do zdrowia i wyrazami troski. Ludzie przynieśli tyle kwiatów, że stanowisko pielęgniarek wyglądało jak szklarnia.

Myślałem, że przywykłem do życia w przeszłości, i w zasadzie tak było, a mimo to przeżyłem szok, kiedy zobaczyłem salę Sadie w Parkland - przegrzaną jedynek niewiele

większą od szafy. Nie było łazienki; w rogu przycupnął brzydki sedes, z którego tylko skrzaty mogłyby wygodnie korzystać, oddzielony zaciaganą półprzezroczystą zasłoną, zapewniającą minimum prywatności. Zamiast przycisków podnoszących i opuszczających łóżko była korba, z której liczne ręce pościerały białą farbę. Oczywiście, nie było elektronicznych monitorów czynności życiowych ani telewizora dla chorej.

Na metalowym stojaku wisiała samotna szklana butelka, zapewne z płynem fizjologicznym. Rurka biegła od niej do grzbietu lewej dłoni Sadie, gdzie zniknęła pod grubym bandażem.

Nie tak grubym jednak jak ten, którym miała obwiązaną lewą stronę głowy. Obcięli jej tam włosy, przez co twarz wydawała się asymetryczna, udręczona... Sadie była udręczona. Lekarze zostawili wąską szczelinę na jej oko. I ono, i to po niezabandażowanej, nietkniętej stronie twarzy, zamrugały i otworzyły się na dźwięk moich kroków, i choć była naszpikowana prochami, w oczach tych mignął błysk przerażenia, na którego widok ścisnęło mi się serce.

A potem z wysiłkiem odwróciła się twarzą do ściany.

- Sadie... kochanie, to ja.

- Cześć, ja - powiedziała, nie odwracając się.

Dotknąłem jej nagiego ramienia wystającego ze szpitalnej koszuli. Uchyliła się.

- Proszę, nie patrz na mnie.

- Sadie, to nie ma znaczenia.

Odwróciła się z powrotem. Smutne, otumanione morfiną oczy spojrzały na mnie, jedno przez judasza w opatrunku. Brzydka żółtawoczerwona plama przesiąkała przez bandaże. Krew i jakaś maść, domyśliłem się.

- To ma znaczenie - powiedziała Sadie. - To nie jest to samo co spotkało Bobbi Jill. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Wiesz, jak wygląda piłka baseballowa z czerwonymi szwami? Tak właśnie teraz wygląda Sadie. Idą w górę, w dół i dookoła.

- Znikną.

- Ty nie rozumiesz. Przeciął mi policzek na wylot.

- Ale żyjesz. A ja cię kocham.

- Przestaniesz, kiedy zdejmą bandaże - powiedziała swoim matowym, naćpanym głosem. - Przy mnie narzeczona Frankensteina to Liz Taylor.

Wziąłem ją za rękę.

- Kiedyś czytałem...

- Chyba raczej nie jestem gotowa na rozmowę o literaturze, Jake.

Próbowała się odwrócić, ale nie puszczałem jej ręki.

- To japońskie przysłowie. „Jeśli jest miłość, blizny po ospie są tak ładne jak dołki w policzkach”. Będę kochał twoją twarz bez względu na to, jak wygląda. Bo jest twoja.

Rozpląkała się i tuliłem ją dotąd, aż się uspokoiła. Już myślałem, że zasnęła, kiedy nagle powiedziała:

- Wiem, że to moja wina, wyszłam za niego, ale...

- To nie twoja wina, Sadie, nie wiedziałaś.

- Wiedziałam, że coś z nim jest nie tak. A mimo to nie wycofałam się. Chyba głównie dlatego, że moim rodzicom tak strasznie na tym zależało. Jeszcze się tu nie pokazali. I bardzo dobrze. Bo ich też za to winię. To okropne, prawda?

- Skoro już rozdzielasz winę, zachowaj jej trochę dla mnie. Co najmniej dwa razy wyraźnie widziałem tego cholernego plymoutha, którym jeździł, i parę razy chyba mignął mi gdzieś z boku.

- Nie miej o to do siebie pretensji. Detektyw z policji stanowej i ranger, którzy mnie przesłuchiwali, mówili, że bagażnik Johnny'ego był pełen tablic rejestracyjnych. Pewnie kradł je w motelach, powiedzieli. I miał dużo tych nalepek, jak one się nazywają...

- Kalkomania. - Myślałem o tej, na którą dałem się nabrać tamtej nocy w Candlewood. DO BOJU, OKLAHOMA SOONERS. Mój błąd polegał na tym, że zlekceważyłem czerwono-białego plymoutha, uznając jego obecność za jeszcze jeden przejaw harmonizowania przeszłości, powinienem być bardziej czujny. I byłbym, gdybym myślnami nie był w Dallas, przy Lee Oswaldzie i generale Walkerze. A jeśli już mieliśmy rozdzielać winę, to jej porcja należała się też Deke'owi. Przecież widział tego człowieka, zauważył te głębokie dołki na jego skroniach.

Zostaw to, pomyślałem. Stało się. Nie można tego odwrócić.

A właśnie że można.

- Jake, czy policja wie, że nie jesteś... tym, za kogo się podajesz?

Odgarnąłem włosy po prawej stronie jej twarzy, gdzie wciąż były długie.

- Pod tym względem wszystko gra.

Deke'a i mnie przesłuchali ci sami policjanci, którzy rozmawiali z Sadie, zanim lekarze zabrali ją do sali operacyjnej. Detektyw policji stanowej bez przekonania udzielił nam reprymendy, przebąkując coś o ludziach, którzy naoglądali się westernów w telewizji. Ranger przytaknął mu, po czym uściśnął nam dłonie i powiedział: „Na waszym miejscu postąpiłbym dokładnie tak samo”.

- Deke w zasadzie przemilczał mój udział w sprawie. Zależy mu na tym, żeby rada szkolna nie mogła się do ciebie przyczepić, kiedy w przyszłym roku będziesz chciała wrócić

do pracy. Dla mnie to niewiarygodne, że ofiarę napaści szaleńca można zwolnić za niemoralne prowadzenie się, ale Deke uważa, że najlepiej będzie...

- Nie mogę tam wrócić. Nie mogę z taką twarzą stanąć przed dziećmi.

- Sadie, gdybyś wiedziała, ile z nich tu było...

- To słodkie, wiele to dla mnie znaczy i właśnie przed tymi dziećmi nie mogłabym stanąć. Nie rozumiesz? Myślę, że jakoś zniosłabym tych, którzy by się śmiali i dowcipkowali. W Georgii miałam koleżankę z zajęczą wargą i wiele się nauczyłam, obserwując, jak radziła sobie z okrucieństwem nastolatków. Ale dobiliby mnie ci życzliwi. Ci patrzący ze współczuciem... i ci, którzy nie mogliby patrzeć w ogóle. - Wzięła głęboki, drżący wdech, po czym wybuchnęła: - A poza tym wstydę się. Wiem, że życie jest ciężkie, myślę, że wszyscy to w głębi ducha wiedzą, ale dlaczego musi być też okrutne? Dlaczego musi kasać?

Wzięłam ją w ramiona. Nietknięta strona jej twarzy była rozpalona pulsująca.

- Nie wiem, kochanie.

- Dlaczego nie można dostać drugiej szansy?

Tuliłam ją. Kiedy jej oddech stał się regularny, puściłam ją i po cichu wstałam, żeby wyjść. Nie otwierając oczu, powiedziała:

- Mówiłeś, że w środę wieczorem miało się wydarzyć coś, co musiałeś zobaczyć na własne oczy. Pewnie nie chodziło o Johnny'ego Claytona podrywającego sobie gardło?

- Nie.

- Czyli tego nie zobaczyłeś?

Pomyślałam, żeby skłamać, ale nie zrobiłam tego.

- Nie.

Teraz otworzyła oczy, ale wymagało to wielkiego wysiłku i zaraz znowu zaczęły się zamykać.

- A dostaniesz drugą szansę?

- Nie wiem. To bez znaczenia.

Nieprawda. Będzie to bowiem miało znaczenie dla żony i dzieci Johna Kennedy'ego; dla jego braci; może dla Martina Luthera Kinga; prawie na pewno dla dziesiątków tysięcy młodych Amerykanów, którzy teraz byli w szkole średniej i jeśli nic nie zmieni biegu dziejów, wkrótce mieli zostać poproszeni o to, by włożyli mundury, polecili na drugi koniec świata, rozłożyli pośladki i usiedli na wielkim zielonym sztucznym penisie, którym był Wietnam.

Zamknęła oczy. Wyszedłem.

3

Kiedy wysiadłem z windy, w holu nie było uczniów DCHS, była za to dwójka absolwentów. Mike Coslaw i Bobbi Jill Allnut siedzieli na twardych plastikowych krzesłach z czasopismami na kolanach, ale nie czytali. Mike zerwał się i podał mi rękę. Bobbi Jill mocno mnie uściskała.

- Jak bardzo z nią źle? - spytała. - To znaczy... - Przesunęła czubkami palców po swojej zanikającej bliźnie. - Czy to się zagoi?

- Nie wiem.

- Rozmawiał pan z doktorem Ellertonem? - zapytał Mike. Ellerton, uważany za najlepszego chirurga plastycznego w centralnym Teksasie, pokazał swój kunszt, zajmując się Bobbi Jill.

- Jest dziś w szpitalu na obchodzie. Deke, pani Ellie i ja mamy się z nim spotkać za... - Spojrzałem na zegarek. - Za dwadzieścia minut. Pójdziecie z nami?

- Chętnie - powiedziała Bobbi Jill. - On jej pomoże, ja to wiem. To geniusz.

- Wobec tego chodźcie. Zobaczmy, co ten geniusz może zdziałać.

Mike musiał czytać mi w twarzy, bo ścisnął moje ramię i powiedział:

- Może nie jest tak źle, jak pan myśli, panie A.

4

Było gorzej.

Ellerton puścił w obieg zdjęcia - surowe, czarno-białe, na lśniącym papierze. Bobbi Jill odwróciła wzrok. Deke stęknął głucho, jakby dostał pięścią. Ellie przejrzała je ze stoickim spokojem, ale jej twarz straciła wszelkie kolory oprócz dwóch płonących plam różu na policzkach.

Na pierwszych dwóch zdjęciach z policzka Sadie zwisały poszarpane płaty skóry. To już widziałem w środę wieczorem i byłem na to przygotowany. Nie byłem jednak przygotowany na widok jej obwisłych jak po wylewie ust i zwiotczalej skóry pod lewym okiem. Wyglądała przez to trochę jak kłown i widząc ją w takim stanie, miałem ochotę walić głową w stół w małej sali konferencyjnej, którą doktor Ellerton zajął na nasze spotkanie. A może - to byłoby lepsze - pobiec do kostnicy, w której leżał Johnny Clayton, i jeszcze mu Przyłożyć.

- Kiedy dziś wieczorem przyjadą rodzice tej młodej damy - powiedział Ellerton - będę

pełen taktu i nadziei, bo rodzice zasługują na takt i nadzieję. - Zmarszczył brwi. - Chociaż można się ich było spodziewać wcześniej, zważywszy na poważny stan pani Clayton...

- Panny Dunhill - wtrąciła Ellie cicho, drapieźnie. - Rozwiodła się z tym potworem.

- Tak, oczywiście, przepraszam za pomyłkę. W każdym razie państwo jesteście jej przyjaciółmi i sędzę, że zasługujecie na mniej taktu, a więcej prawdy. - Spojrzał beznamiętnie na jedno ze zdjęć i postukał krótkim, czystym paznokciem w rozharatany policzek Sadie. - To da się poprawić, ale nie przywrócić do pierwotnego stanu. Nie przy zastosowaniu technik, które obecnie mam do dyspozycji. Może za rok, kiedy tkanka się w pełni zrośnie, będę w stanie nieco skorygować tę asymetrię.

Bobbi Jill wzięła Mike'a za rękę. Łzy spłynęły po jej policzkach.

- Trwałe oszpecenie jest niefortunne - powiedział Ellerton - ale są jeszcze inne problemy. Nerw twarzowy został przecięty. Będzie miała kłopoty z jedzeniem lewą stroną ust. Powieka już zawsze będzie opadać tak, jak to widać na zdjęciu, kanalik łzowy został naderwany. Mimo to może nie dojdzie do uszkodzenia wzroku. Oby nie.

Westchnął i rozłożył ręce.

- Biorąc pod uwagę wspaniałe perspektywy, jakie dają mikrochirurgia i regeneracja nerwów, może za dwadzieścia-trzydzieści lat będziemy mogli w takich przypadkach działać więcej. Na razie mogę tylko zapewnić, że zrobię, co leży w mojej mocy, by naprawić szkody, które są do naprawienia.

Mike odezwał się po raz pierwszy. Jego ton był gorzki.

- Szkoda, że nie mamy maszyny czasu, co?

5

Tego popołudnia ze szpitala wyszła milcząca, przygnębiona grupka. Na skraju parkingu Ellie dotknęła mojego rękawa.

- Powinam cię była posłuchać, George. Tak bardzo, bardzo mi przykro.

- Nie wiem, czy to by cokolwiek zmieniło - powiedziałem - ale jeśli chcesz mi to jakoś zrekompensować, poproś Freddy'ego Quinlana, żeby do mnie zadzwonił. To agent nieruchomości, który pomógł mi, kiedy sprowadziłem się do Jodie. Tego lata chcę być blisko Sadie, a to znaczy, że muszę wynająć dom.

- Możesz zatrzymać się u mnie - powiedział Deke. - Miejsca jest dosyć.

Odwrociłem się do niego.

- Jesteś pewien?

- Oddałbyś mi przysługę.

- Chętnie zapłacę...

Zbył to machnięciem ręki.

- Dołożysz się do zakupów. To wystarczy.

On i Ellie przyjechali ranch wagonem Deke'a. Patrzyłem za nimi, kiedy wyruszyli w drogę powrotną, po czym powlokłem się do mojego chevroleta, który teraz wydawał się - pewnie niesprawiedliwie - samochodem przynoszącym pecha. Nie miałem najmniejszej ochoty wracać na West Neely, gdzie bez wątpienia bym usłyszał, jak Lee wyładowuje na Marinie frustrację wywołaną nieudanym zamachem na generała Walkera.

- Panie A? - To był Mike. Bobbi Jill stała kilka kroków za nim z rękami mocno splecionymi pod biustem. Wyglądała, jakby była przemarznięta i nieszczęśliwa.

- Tak, Mike.

- Kto zapłaci za pobyt pani Dunhill w szpitalu? I za te wszystkie zabiegi, o których mówił lekarz? Jest ubezpieczona?

- Częściowo.

To jednak nie mogło wystarczyć, nie w takim przypadku. Pomyślałem o jej rodzicach, ale fakt, że jeszcze się nie zjawili, był niepokojący. Chyba nie mogli jej winić za to, co zrobił Clayton... chociaż kto wie? Nie mogłem sobie tego wyobrazić, ale pochodziłem ze świata, w którym czarny był prezydentem, a kobiety w gruncie rzeczy traktowano na równi z mężczyznami. Stany w roku 1963 nigdy nie wydawały mi się bardziej obcym krajem niż w tej chwili.

- Pomogę na tyle, na ile będę mógł - powiedziałem.

Na jaką właściwie pomoc było mnie stać? Gotówki miałem dość, by przetrwać tych kilka miesięcy, ale nie aż tyle, by pokryć koszty kilku zabiegów rekonstrukcji twarzy. Nie chciałem znowu iść do Faith Financial na Greenville Avenue, ale uznałem, że zrobię to jeśli będę musiał. Za niecały miesiąc miało się odbyć Kentucky Derby i wśród zapisanych przez Ala wyników sportowych była informacja, że zwycięży Chateaugay, outsider. Stawiając tysiąc na jego wygraną zgarnąłbym siedem lub osiem patoli, dość, by opłacić pobyt Sadie w szpitalu i - przy cenach z roku 1963 - przynajmniej część późniejszych zabiegów.

- Wpadłem na pewien pomysł - odezwał się Mike i zerknął przez ramię. Bobbi Jill uśmiechnęła się do niego zachęcająco. - To znaczy, my z Bobbi Jill wpadli.

- Wpadliśmy, Mike. Nie jesteś już dzieckiem, więc nie mów jak dziecko.

- Jasne, jasne, przepraszam. Jeśli pójdzie pan z nami na jakieś dziesięć minut do kawiarni, wszystko panu wyłożymy.

Poszedłem. Wypiliśmy kawę. Wysłuchałem ich pomysłu. I zgodziłem się. Czasem, kiedy przeszłość harmonizuje sama ze sobą, mądry człowiek odchrząkuje i przyłącza się do chóru.

6

Tego wieczora w mieszkaniu nade mną wybuchła potężna awantura. Mała June dorzuciła swoje trzy grosze, rycząc na całe gardło. Nie zwracałem sobie głowy podsłuchiwaniami; większość krzyków i tak była po rosyjsku. Potem, koło ósmej, zapadła niezwykajna cisza. Uznałem, że pewnie poszli spać dwie godziny wcześniej niż zwykle, i odetchnąłem z ulgą.

Myslałem o tym, żeby też pójść do łóżka, kiedy przy krawężniku zatrzymał się wielki jak jacht cadillac DeMohrenschildtów. Jeanne wysliznęła się na zewnątrz; George jak zwykle z werwą wyskoczył niby diabełek z pudełka. Otworzył tylne drzwi za fotelem kierowcy i wyjął wielkiego pluszowego królika o absurdalnie fioletowym futrze. Gapiłem się na nich przez szczelinę między zasłonami i dopiero po chwili przyszło olśnienie: nazajutrz wypadła Niedziela Wielkanocna.

Ruszyli w stronę zewnętrznych schodów. Ona szła; George truchtał przed nią. Tupot jego nóg na rozchwierutanych stopniach wstrząsał całym budynkiem.

Usłyszałem nad głową zaskoczone głosy, stłumione, ale wyraźnie pytające. Kroki przemknęły po moim suficie, wisząca lampa w salonie zakołysała się z brzękiem. Czy Oswaldowie pomyśleli, że przyszła po nich policja? A może jeden z agentów FBI, którzy obserwowali Lee, kiedy mieszkał z rodziną na Mercedes Street? Miałem nadzieję, że gnojkwowi serce podeszło do gardła i go dusi.

Piętro wyżej rozległo się głośne pukanie do drzwi i DeMohrenschildt zawołał jowialnie:

- Otwieraj, Lee! Otwieraj, bezbożniku!

Drzwi otworzyły się. Założyłem słuchawki, ale nic nie usłyszałem. Potem, kiedy już zamierzałem wypróbować mikrofon w półmisku, ktoś, Lee albo Marina, włączył lampę z pluskwą. Podsłuch znowu działał, przynajmniej na razie.

- ...dla dziecka - powiedziała Jeanne.

- Och, dzięki! - ucieszyła się Marina. - Dzięki bardzo, Jeanne, taka ty miła!

- Nie stój tak, towarzyszu, przynieś no coś do picia! - powiedział DeMohrenschildt.

Sądząc po głosie, już był po kilku głębszych.

- Mam tylko herbatę - odparł Lee. Wydawał się rozdrażniony i półprzytomny.

- Może być herbata. Mam tu w kieszeni coś, co ją wzmocni. - Prawie widziałem, jak puścił oko.

Marina i Jeanne przeszły na rosyjski. Lee i DeMohrenschildt - łatwo było rozpoznać ich cięższe kroki - przenieśli się do kącika kuchennego, gdzie wiedziałem, że będą poza moim zasięgiem. Głosy stojących przy lampie kobiet zagłuszają rozmowę mężczyzn.

I nagle Jeanne, po angielsku:

- O mój Boże, to karabin?!

Wszystko zamarło, włącznie z - miałem takie wrażenie - moim sercem.

Marina się zaśmiała. To był cichy, perlisy śmiech uczestniczki cocktail party, chachacha, sztuczny jak cholera.

- Pracy nie ma, pieniędzy nie ma, a wariat kupuje karabin. Powiedziałam: „Schowaj do szafy, ty głupi idioto, żeby nie zaszkodził mojej ciąży”.

- Chciałem poćwiczyć strzelanie, to wszystko - powiedział Lee, - W marines byłem w tym niezły. Zawsze trafiałem dziesięć na dziesięć.

Znowu chwila ciszy. Przedłużała się w nieskończoność. I nagle huknął donośny, wylewny śmiech DeMohrenschildta.

- Daj spokój, bujać to my, a nie nas! Jak mogłeś go nie trafić, Lee?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- O generale Walkerze! Mało brakowało, a jego nienawidzący Murzynów mózg rozbryznąłby się po ścianie. Chcesz powiedzieć, że o tym nie słyszałeś?

- Ostatnio nie czytam gazet.

- Tak? - zdziwiła się Jeanne. - A tam na stołku to nie „Times-Herald”?

- Nie czytam wiadomości, o to mi chodzi. Zbyt przygnębiające. Tylko komiksy i ogłoszenia o pracę. Wielki Brat mówi, że jeśli czegoś nie znajdę, dziecko umrze z głodu.

- Czyli nie ty na niego zapolowałeś, hm? - spytał DeMohrenschildt.

Drażnił się z nim. Podpuszczał go.

Pytanie dlaczego. Czy dlatego, że DeMohrenschildtowi w najśmielszych snach do głowy by nie przyszło, że taki wymoczek jak Królik Ozzie może być zamachowcem z ubiegłego wieczoru... czy dlatego, że wiedział, że nim jest? Z całego serca pragnąłem, by nie było z nimi kobiet. Gdybym miał okazję posłuchać, co Lee i jego dziwaczny *amigo* powiedzieliby sobie w cztery oczy, mógłbym poznać odpowiedzi na wiele pytań. A tak nadal nie miałem pewności.

- Myślisz, że jestem na tyle szalony, by strzelać do kogoś, kiedy J. Edgar Hoover

zagląda mi przez ramię? - Lee mówił takim tonem, jakby próbował wczuć się w nastrój chwili, poprzekomarzać się z George'em, ale nie za dobrze mu to wychodziło.

- Nikt nie twierdzi, że do kogokolwiek strzelałeś, Lee - powiedziała Jeanne pojednawczo. - Obiecuj tylko, że jak dziecko zacznie chodzić, będziesz trzymał ten swój karabin w bardziej bezpiecznym miejscu niż szafa.

Marina odparła na to po rosyjsku, ale jako że czasem widywałem jej córkę na podwórku koło domu, mogłem się domyślić, co powiedziała - że June już chodzi.

- Prezent na pewno się Junie spodoba - stwierdził Lee - ale my nie obchodzimy Wielkanocy. Jesteśmy ateistami.

On może i tak, ale według notatek Ala Marina - z pomocą jej adoratora, George'a Bouhe'a - potajemnie ochrzciła June mniej więcej w czasie kryzysu kubańskiego.

- My też - powiedział DeMohrenschildt. - Dlatego czcimy Królika Wielkanocnego! - Przysunął się bliżej lampy i jego ryk śmiechu mnie ogłuszył.

Rozmawiali jeszcze dziesięć minut, mieszając rosyjski z angielskim. Potem Jeanne powiedziała:

- Dobrze, już damy wam spokój. Zdaje się, że ściągnęliśmy was z łóżka.

- Nie, nie, byliśmy na nogach - powiedział Lee. - Dzięki, że wpadliście.

- Niedługo pogadamy, co, Lee? - spytał George. - Możesz przyjść do mojego klubu. Założymy kelnerom spółdzielnię!

- Jasne, jasne. - Poszli w stronę drzwi.

DeMohrenschildt powiedział coś jeszcze, ale za cicho, żebym wychwycił więcej niż parę słów. Brzmiały jak „to zabrałeś”. Albo „go nabrałeś”, choć to nie miałyby większego sensu.

Kiedy to zabrałeś? Czy to powiedział DeMohrenschildt? W sensie: kiedy zabrałeś stamtąd karabin?

Odsłuchałem taśmę kilka razy, ale przy zwolnionych obrotach nie dało się nic stwierdzić. Leżałem z otwartymi oczami jeszcze długo po tym, jak Oswaldowie poszli spać; nie zasnąłem do drugiej nad ranem, kiedy to June rozplakała się i zaraz, ukołysana przez matkę, powróciła do krainy snów. Myślałem o Sadie, śpiącej niespokojnym morfinowym snem w szpitalu Parkland. Jej sala była brzydka, łóżko wąskie, ale tam mógłbym zasnąć, byłem tego pewien.

Myślałem o DeMohrenschildcie, tym zwariowanym, koszulę rwącym aktorze. Co powiedział? Co powiedział wtedy, pod koniec? „Kiedy to zabrałeś?”. Czy „Rozchmurz się, nic się nie stało”? A może „Nie rezygnuj, choć się nie udało”? Czy coś zupełnie innego?

Wreszcie zasnąłem. I śniło mi się, że jestem z Sadie w wesołym miasteczku. Poszliśmy na strzelnicę, gdzie stał Lee z karabinem wciśniętym kolbą w bark. Za ladą był George DeMohrenschildt. Lee strzelił trzy razy i nie trafił w żaden z celów.

- Przykro mi, synu - powiedział DeMohrenschildt - dla tych, co chybiają, nie ma nagród.

Potem odwrócił się do mnie i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zapraszam, synu, może ty będziesz miał więcej szczęścia. Ktoś tak czy tak zabije prezydenta, czemu nie ty?

Zerwałem się ze snu o bladym świetle. Nade mną Oswaldowie spali dalej.

7

Wielkanocne popołudnie zastało mnie na Dealey Plaza, gdzie siedziałem na ławce parkowej, wpatrzony w złowrogi murowany sześcian Składnicy Podręczników, i zastanawiałem się co dalej.

Za dziesięć dni Lee miał wyjechać z Dallas do Nowego Orleanu, jego rodzinnego miasta. Tam dostanie pracę przy oliwieniu maszyn do mielenia ziaren kawy i wynajmie mieszkanie na Magazine Street. Marina i June dołączą do niego po około dwóch tygodniach spędzonych z Ruth Paine i jej dziećmi w Irving. Ja nie. Nie, gdy Sadie czekała długa kuracja i niepewna przyszłość.

Czy zabiję Lee między tą Wielkanocą a dwudziestym czwartym? Pewnie bym mógł. Odkąd stracił pracę w Jaggars-Chiles-Stovall, większość czasu spędzał w domu i w centrum Dallas, gdzie rozdawał ulotki Fair Play wobec Kuby. Raz na jakiś czas chodził do biblioteki publicznej, gdzie, jak się zdaje, porzucił Ayn Rand i Karola Marksa na rzecz westernów Zane'a Greya.

Gdybym zastrzelił go na ulicy albo w bibliotece na Young Street, sam prosiłbym się o to, żeby mnie zamknęli, ale gdybym zrobił to w mieszkaniu piętro wyżej, kiedy Marina będzie w Irving, zajęta udzielaniem Ruth Paine korepetycji z rosyjskiego? Mógłbym zapukać do drzwi, wpakować mu kulkę w łeb, kiedy otworzy i po sprawie. Z bliska nie było zagrożenia, że chybię. Sęk w tym, co dalej. Musiałbym uciec. Gdybym został, policja przesłuchałaby mnie jako pierwszego. Koniec końców, byłem jego sąsiadem z dołu.

Mógłbym twierdzić, że nie było mnie, kiedy to się stało, i może na początku by to kupili, ale ile czasu zajęłoby im ustalenie, że George Amberson z West Neely Street to ten sam George Amberson, który niedługo przedtem dziwnym trafem znalazł się na miejscu

zbrodni na Bee Tree Lane w Jodie? Taką zbieżność trzeba by sprawdzić, a gdyby to zrobili, szybko by się okazało, że uprawnienia nauczycielskie George'a Ambersona pochodzą z fabryki magistrów w Oklahomie, a jego referencje są sfalszowane. W tym momencie zapewne by mnie aresztowali. Policja uzyskałaby nakaz sądowy zezwalający na otwarcie mojej skrytki bankowej, oczywiście o ile dowiedziałyby się o jej istnieniu - a dowiedziałyby się prawie na pewno. Pan Richard Link, mój bankier z First Corn, zobaczyłby moje nazwisko i/lub zdjęcie w gazecie i zgłosił się na najbliższy komisariat. Co pomyślałaby policja o moim pamiętniku? Że miałem motyw, by zabić Oswalda, jakkolwiek szalony.

Nie, musiałbym uciec do króliczej nory, porzucić chevy gdzieś w Oklahomie lub Arkansas i dalej jechać autobusem albo pociągiem. I gdyby udało mi się wrócić do roku 2011, nie mógłbym nigdy więcej użyć króliczej nory, bo to spowodowałoby reset. To oznaczałoby, że zostawiłbym tu Sadie na zawsze, oszpeconą i samotną. Myślałaby: Nic dziwnego, że mnie rzucił. Miał usta pełne pięknych słów, że blizny po ospie są piękne jak dołki w policzkach, ale kiedy tylko usłyszał prognozę Ellertona - brzydka dziś, brzydka na zawsze - uciekł w siną dal.

Może nawet nie miałyby mi tego za złe. To była najstraszniejsza ze wszystkich możliwości.

Ale nie. Nie. Przyszła mi do głowy jeszcze gorsza. A gdybym wrócił do 2011 i odkrył, że Kennedy mimo wszystko został zamordowany dwudziestego drugiego listopada? Nadal nie miałem absolutnej pewności, że Oswald działał sam. Kimże ja byłem, by twierdzić, że tysiące zwolenników teorii spiskowych się myliły, zwłaszcza na podstawie tych nędznych strzępków informacji zebranych na wszystkich moich przeszpiegach i podchodach?

Może zajrzę do Wikipedii i przeczytam, że zabójca jednak był na trawiastym pagórku. Albo na dachu połączonego budynku więzienia i sądu na Houston Street, uzbrojony w karabin snajperski zamiast zamówionego z katalogu wysyłkowego carcano. Albo schował się w kanale na Elm Street i wypatrywał nadjeżdżającego Kennedy'ego przez peryskop, jak twierdzili popuszczający wodze fantazji zwolennicy teorii spiskowych.

DeMohrenschildt mniej lub bardziej współpracował z CIA. Przyznał to nawet Al Templeton, który był prawie pewien, że Oswald działał sam. Al sądził, że DeMohrenschildt tylko przekazywał plotki z Ameryki Południowej i Środkowej, by móc w spokoju spekulować ropą. A jeśli był kimś więcej? CIA nienawidziła Kennedy'ego od czasu, kiedy odmówił wysłania wojska na pomoc partyzantom otoczonym w Zatoce Świń. To, jak zgrabnie rozwiązał kryzys kubański, pogłębiło tę nienawiść; odebrał bowiem tajnym służbom, święcie przekonanym, że okrzyczana „luka raketowa” to pic na wodę, pretekst do zakończenia zimnej wojny raz na zawsze. Wiele z tego można było przeczytać w gazetach, czasem między

wierszami artykułów, czasem wyłożone kawa na ławę w komentarzach redakcji.

A jeśli pewne prowadzące własną politykę kręgi w CIA nakłoniły George'a DeMohrenschildta, by podjął się dużo bardziej niebezpiecznego zadania? Nie zabójstwa prezydenta, tylko zwerbowania kilku nie całkiem zrównoważonych osobników, którzy skłonni byliby to zrobić? Czy DeMohrenschildt przyjąłby taką propozycję? Pewnie tak. On i Jeanne żyli wystawnie, ale tak naprawdę nie wiedziałem, skąd wzięli pieniądze na cadillaca, członkostwo w Dallas Country Club i wielki dom na Simpson Stuart Road. Służyć jako pośrednik, punkt zwarcia między wyznaczonym do eliminacji prezydentem USA a agencją, która teoretycznie istniała po to, by wykonywać jego rozkazy... niebezpieczna robota, ale gdyby mogła przynieść wystarczająco wysokie zyski, człowiek żyjący ponad stan mógłby się skusić. A najpiękniejsze było to, że nie musieliby mu płacić w gotówce. Wystarczyłyby te smakowite koncesje naftowe w Wenezueli, Haiti i Republice Dominikańskiej. Poza tym takie zlecenie mogłoby odpowiadać nadętemu bufonowi pokroju DeMohrenschildta. Był człowiekiem czynu i nie lubił Kennedy'ego.

Przez Johna Clayтона nie mogłem nawet oczyścić DeMohrenschildta z podejrzeń o udział w zamachu na Walkera. Karabin należał do Oswalda, owszem, tylko że Lee mógł nie zdobyć się na to, by z niego strzelić, gdy przyszła na to pora. Sądziłem, że gnojek zdolny był do tego, by skrewić w krytycznym momencie. Wręcz widziałem, jak DeMohrenschildt wyrzywa carcano z drżących rąk Lee i warczy: „Dawaj, sam to załatwię”.

Czy DeMohrenschildt zdobyłby się na to, by strzelić zza kubła na śmieci, który Lee zamierzał wykorzystać jako podpórkę snajperską? Jedna linijka w notatkach Ala kazała mi sądzić, że tak: *Wygrał konkurs strzelania do rzutków w swoim country klubie w 1961 r.*

Gdybym zabił Oswalda, a Kennedy umarłby mimo to, wszystko poszłoby na marne. I co potem? Powtórzyć cały cykl od początku? Znowu zabić Franka Dunninga? Ocalić Carolyn Poulin? Pojechać do Dallas?

Znowu poznać Sadie?

Jeszcze nie byłaby ranna, to dobrze. Wiedziałbym, jak wygląda jej szalony były mąż, nawet z ufarbowanymi włosami, i tym razem mógłbym go powstrzymać, zanim zbliżyłby się do niej. Też dobrze. Ale na samą myśl, że miałbym jeszcze raz przez to wszystko przejść, robiło mi się słabo. Nie sądziłem też, bym mógł zabić Lee z zimną krwią, przynajmniej nie na podstawie poszlak, które zebrałem. Przy Franku Dunningu miałem pewność. Widziałem, co zrobił.

Czyli... jaki powinien być mój następny krok?

Było piętnaście po czwartej i zdecydowałem, że moim następnym krokiem będą

odwiedziny u Sadie. Ruszyłem do mojego samochodu zaparkowanego na Main Street. Na rogu Main i Houston, zaraz za starym gmachem sądu, odniosłem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, i odwróciłem się. Na chodniku za mną nie było nikogo. To Składnica Podręczników patrzyła, wszystkie te puste okna wyglądające na Elm Street, którą za dwieście dni od tej Niedzieli Wielkanocnej nadjedzie kolumna prezydencka.

8

Kiedy przyszedłem, na piętrze Sadie podano obiad: chop suey. Ten zapach przywołał wyrazisty obraz krwi, która chlusnęła na dłoń i przedramię Johna Claytona, zanim runął na dywan, dzięki Bogu twarzą w dół.

- Witam, panie Amberson - powiedziała siostra przełożona, kiedy wpisałem się do księgi wizyt. Była siwiejącą kobietą w nakrochmalonym białym czepku i kitlu. Na swoim okazałym biuście nosiła przypięty zegarek kieszonkowy. Patrzyła na mnie zza barykady z bukietów. - Wczoraj wieczorem było tam dużo krzyku. Mówię to panu tylko dlatego, że jest pan jej narzeczonym, rozumiemy się?

- Jasne - powiedziałem. Na pewno chciałem nim być, czy miała pociętą twarz, czy nie.

Pielęgniarka wychyliła się ku mnie między dwoma przepelnionymi wazonami. Kilka stokrotek przeczesало jej włosy.

- Wie pan, zwykle nie plotkuję o pacjentach i ostro sztorcuję młodsze pielęgniarki, które to robią. Ale rodzice źle tę dziewczynę traktują. Wprawdzie nie można ich za to całkowicie winić po tym, jak jechali z Georgii z rodzicami tego pomyleńca, ale...

- Chwila! Dunhillowie i Claytonowie przyjechali jednym samochodem?

- Zdaje się, że w lepszych czasach byli dobrymi znajomkami, więc w porządku, można to zrozumieć, ale żeby jej powiedzieć, że kiedy oni tu odwiedzają córkę, ich przyjaciele Claytonowie poszli na dół zabrać ciało syna z kostnicy... - Pokręciła głową. - Tatuńcio słowem nie pisał, ale ta kobieta...

Rozejrzała się, by sprawdzić, czy jesteśmy sami, zobaczyła, że tak, i znów odwróciła się do mnie. Jej pospolita, wiejska twarz była zacięta z oburzenia.

- Gęba jej się nie zamykała. Jedno pytanie o to, jak czuje się córka, a potem nic, tylko biedni Claytonowie to i biedni Claytonowie tamto. Pańska panna Dunhill trzymała język za zębami, dopóki jej matka nie zaczęła się żalić, że będą musieli znowu zmienić kościół. Wtedy dziewczynie puściły nerwy i wrzasnęła, żeby się wynosili.

- I bardzo dobrze - powiedziałem.

- Usłyszałam: „Chcecie zobaczyć, co mi zrobił synek waszych przyjaciół?”, i, kochanieńki, poleciałam tam w te pędy. Próbowала zdjąć bandażę. A jej matka... panie Amberson, ona się nad nią nachylała. Z ciekawością. Naprawdę chciała to zobaczyć. Przegoniłam ich i poprosiłam stażystę, żeby dał panie Dunhill zastrzyk na uspokojenie. Ojciec... taki tam mizerota... próbował przeprosić za żonę. „Nie wiedziała, że denerwuje Sadie”, mówi. To ja mu na to: „A pan co? Języka w gębie nie ma?”. I wie pan, co powiedziała ta kobieta, kiedy wsiadali do windy?

Pokręciłem głową.

- Powiedziała: „Przecież nie mogę go za to winić, prawda? Bawił się na naszym podwórku i taki słodziuchny był z niego chłopczyk”. Uwierzy pan?

Wierzyłem. Miałem bowiem wrażenie, że w pewnym sensie już poznałem panią Dunhill. Na Zachodniej Siódmej, gdy leciała za starszym synem i darła się na całe gardło: „Stój, Robert, nie goń tak, jeszcze z tobą nie skończyłam!”.

- Panna Dunhill może być... nadwrażliwa - stwierdziła pielęgniarka. - Chciałam tylko pana uprzedzić, że ma po temu dobry powód.

9

Nie była nadwrażliwa. Wolałbym, żeby była. Jeśli jest coś takiego jak stoicka depresja, w takim właśnie stanie Sadie była tego wielkanocnego wieczoru. Siedziała na krześle - dobre i to - z talerzem nietkniętego chop suey przed sobą. Straciła na wadze; jej długie ciało zdawało się unosić w białej szpitalnej koszuli, którą owinęła się na mój widok.

Mimo to uśmiechnęła się - tą stroną twarzy, którą mogła - i nadstawiła zdrowy policzek do pocałunku.

- Cześć, George... raczej tak cię powinnam tu nazywać, nie sądzisz?

- Może i tak. Jak się czujesz, kochanie?

- Mówią, że jest lepiej, ale twarz boli, jakby ktoś ją oblał naftą i podpalił. To dlatego, że odstawiają środki przeciwbólowe. Boże broń, żeby się miała uzależnić.

- Jeśli są ci jeszcze potrzebne, mogę z kimś pogadać.

Pokręciła głową.

- Mącą mi w głowie, a muszę pomyśleć. I po nich trudno mi panować nad emocjami. Wczoraj niezłe napyskowałam matce i ojcu.

Było tylko jedno krzesło - jeśli nie liczyć sedesu przycupniętego w kącie - usiadłem więc na łóżku.

- Siostra przełożona wszystko mi opowiedziała. Miałaś wszelkie prawo się wściec.

- Może i tak, ale co to da? Mama nigdy się nie zmieni. Potrafi gadać godzinami o tym, jak to prawie umarła, kiedy mnie rodziła, ale ma strasznie mało współczucia dla innych. To brak taktu, ale i czegoś więcej. Nie mogę sobie przypomnieć słowa.

- Brak empatii?

- Tak. O to chodzi. I ma bardzo ostry język. Przez lata tak poraniła nim tatę, że dziś biedak boi się odezwać.

- Nie musisz więcej się z nimi spotykać.

- Chyba muszę. - Jej spokojny, zobojętniały głos coraz mniej mi się podobał. - Mama mówi, że przygotowują dla mnie mój dawny pokój, a innego domu nie mam.

- Twój dom jest w Jodie. I twoja praca.

- Chyba już o tym rozmawialiśmy. Złożę wypowiedzenie.

- Nie, Sadie, nie. To fatalny pomysł.

Uśmiechnęła się na tyle, na ile mogła.

- Jakbym słyszała Ellie. Która nie wierzyła ci, kiedy mówiłaś, że Johnny jest groźny. - Pomyślała o tym, po czym dodała: - Oczywiście, ja też nie wierzyłam. Do końca naiwnie go oceniałam, nie.

- Masz dom.

- To prawda. I hipotekę, której spłacić nie dam rady. Muszę go zostawić.

- Będę płacił za ciebie.

To do niej trafiło. Zrobiła zszokowaną minę.

- Nie stać cię!

- Właśnie że tak. - Co było prawdą... przynajmniej na razie. No i zawsze pozostawał Chateaugay. - Wynoszę się z Dallas i wprowadzam do Deke'a. Nie chce ode mnie komornego, co zostawia mi dość pieniędzy na spłatę domu.

Łza wysunęła się na brzeg jej prawego oka i tam zadrzała.

- Nic nie rozumiesz. Nie poradzę sobie sama, przynajmniej na razie. A jeśli już mam być pod cudzą opieką, niech to będzie w domu, gdzie mama wynajmie pielęgniarkę do pomocy w co bardziej nieprzyjemnych sprawach. Jeszcze trochę godności mi zostało. Niewiele, ale mimo wszystko.

- Ja będę się tobą opiekował.

Wybałuszyła na mnie oczy.

- Słucham?

- Słyszałaś, co powiedziałem. A przy mnie, Sadie, możesz sobie wsadzić swoją

godność tam, gdzie słońce nie dochodzi. Tak się składa, że cię kocham. I jeśli ty kochasz mnie, to przestaniesz pleść brednie o powrocie do tej krokodylicy, twojej matki.

Zdobyła się na słaby uśmiech i siedziała cicho, zamyślona, z dłońmi na podolku jej lichego okrycia.

- Przyjechałeś do Teksasu coś zrobić i na pewno nie chodziło o opiekę nad bibliotekarką szkolną, która była zbyt głupia, by wiedzieć, że grozi jej niebezpieczeństwo.

- Sprawa, którą miałem załatwić w Dallas, jest w zawieszaniu.

- To w ogóle możliwe?

- Tak. - I tak po prostu decyzja zapadła. Lee jedzie do Nowego Orleanu, ja wracam do Jodie. - Ty potrzebujesz czasu, Sadie, a ja mam czas. Czemu nie mielibyśmy spędzić go razem?

- Nie możesz mnie chcieć. - Powiedziała to niemal szeptem. - Nie możesz, nie taką, jaka jestem teraz.

- Ale chcę.

Spojrzała na mnie oczami, które bały się mieć nadzieję, a mimo to ją miały.

- Dlaczego?

- Bo jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało.

Zdrowa strona jej ust zaczęła drżeć. Łza ściekła na policzek i za nią polały się następne.

- Gdybym nie musiała wrócić do Savannah... gdybym nie musiała mieszkać z nimi... z nią... może wtedy, nie wiem, nie byłoby tak źle.

Wziął ją w ramiona.

- Będzie lepiej niż nieźle, zobaczysz.

- Jake... - Jej głos był stłumiony łzami. - Zrobisz coś dla mnie, zanim pójdziesz?

- Co, kochanie?

- Zabierz to cholerne chop suey. Rzygać mi się chce od tego zapachu.

10

Pielęgniarka z barami rugbisty i zegarkiem przypiętym do biustu nazywała się Rhoda McGinley i osiemnastego kwietnia uparła się, by osobiście zawieźć Sadie na wózku nie tylko do windy, ale i na dół, przed szpital, gdzie Deke czekał przy otwartych tylnych drzwiach swojego kombi.

- I nie waż mi się tu wracać, słodziutka - powiedziała siostra McGinley, kiedy

pomogliśmy Sadie wsiąść do samochodu.

Sadie uśmiechnęła się z roztargnieniem i nie odpowiedziała. Była, co tu dużo mówić, naćpana po uszy. Doktor Ellerton rano przyszedł zbadać obrażenia jej twarzy, bolesny proces, który wymagał zwiększonej dawki środków przeciwbólowych.

McGinley odwróciła się do mnie.

- Przez najbliższych kilka miesięcy będzie wymagała troskliwej opieki.

- Zrobię, co w mojej mocy.

Ruszyliśmy. Piętnaście kilometrów na południe od Dallas Deke powiedział:

- Zabierz jej to i wyrzuć przez okno. Ja muszę patrzeć, co się dzieje na drodze.

Sadie zasnęła z papierosem tłącym się w palcach. Przechyliłem się przez fotel i wyjąłem go z jej ręki. Kiedy to zrobiłem, jęknęła i powiedziała:

- Och nie, Johnny, proszę cię, nie.

Napotkałem spojrzenie Deke'a. Tylko przez sekundę, ale to wystarczyło, żebym zobaczył, że naszła nas ta sama myśl: Długa droga przed nami. Długa droga.

11

Zamieszkałem u Deke'a, w jego domu w stylu hiszpańskim na Sam Houston Road. Przynajmniej na użytek publiczny. Tak naprawdę mieszkałem u Sadie na Bee Tree Lane 135. Kiedy wchodziliśmy tam z nią po raz pierwszy, bałem się, co zastaniemy, i myślę, że Sadie też się tego obawiała, choć była naćpana. Jednak Ellie i Jo Peet z działu gospodarstwa domowego zwerbowały brygadę uczniów, którzy cały ostatni dzień przed powrotem Sadie myli, polerowali i ścierali ze ścian wszystkie ohydne ślady Clayтона. Dywan w salonie został zwinięty i zastąpiony nowym. Ten był stalowoszary, kolor może niezbyt frapujący, ale prawdopodobnie mądrze dobrany; z szarością wiąże się mało wspomnień. Zniszczone ubrania zostały zabrane i na ich miejsce pojawiły się nowe.

Sadie nie powiedziała ani słowa o nowym dywanie i nowych ciuchach. Chyba nawet ich nie zauważyła.

12

Spędzałem tam dni, gotowałem posiłki, pracowałem w jej małym ogródku (który tego jak zwykle upalnego teksaskiego lata ledwo zipsał, ale ostatecznie przetrwał) i czytałem jej „Samotnię” Dickensa. Wciągnęliśmy się też w kilka popołudniowych oper mydlanych: „The

Secret Storm”, „Young Doctor Malone”, „From These Roots” i, naszą ulubioną „The Edge of Night”.

Zaczęła się czesać z przedziałkiem z prawej strony zamiast pośrodku, w stylu Veroniki Lake, tak by po zdjęciu bandażu włosy zasłoniły najgorsze blizny. Nie żeby mieli je zdjąć na długo; pierwszy z zabiegów rekonstrukcyjnych - wysiłek zespołowy, w którym miało uczestniczyć czterech chirurgów - był zaplanowany na piąty sierpnia. Ellerton zapowiedział, że potem nastąpią jeszcze co najmniej cztery.

Po kolacji (podczas której Sadie na ogół tylko dłubała w jedzeniu) jechałem z powrotem do Deke'a, bo małe miasteczka są pełne wielkich oczu połączonych z gadatliwymi gębami. Było wskazane, by te wielkie oczy po zachodzie słońca widziały mój samochód przed jego domem. Po zapadnięciu zmroku pokonywałem pieszo trzy kilometry do domu Sadie, gdzie do piątej rano spałem na nowej rozkładanej sofie. Sen prawie zawsze był niespokojny, bo noce, kiedy nie budziły mnie krzyki rozpaczliwie wrywającej się z koszmarów Sadie, zdarzały się rzadko. Za dnia Johnny Clayton był martwy. Po zmroku wciąż czyhał na nią z rewolwerem i nożem.

Wówczas szedłem do niej i uspokajałem ją najlepiej, jak umiałem. Czasem wlokła się ze mną do salonu i wypalała papierosa, zanim noga za nogą wracała do łóżka, zawsze pieczołowicie przyciskając włosy do oszpeconej strony twarzy. Nie pozwalała mi zmieniać jej opatrunku. Robiła to sama, w łazience, za zamkniętymi drzwiami.

Po jednym wyjątkowo straszliwym koszmarze zastałem ją nagą przy łóżku i szlochającą. Stała się zatrwająco chuda. Koszula nocna leżała wokół jej stóp jak kałuża. Usłyszawszy mnie, Sadie się odwróciła, jedną ręką zasłaniając piersi, drugą krocze. Włosy opadły na jej prawe ramię, gdzie tak naprawdę było ich miejsce, i zobaczyłem obrzmiałe blizny, grube szwy, obwisłą, pomarszczoną skórę na policzku.

- Wyjdź! - krzyknęła. - Nie patrz na mnie, dlaczego nie możesz wyjść?

- Sadie, co się dzieje? Czemu zdjęłaś koszulę? Co się stało?

- Złałam się, w porządku? Muszę zmienić pościel, więc proszę cię, wyjdź i daj mi się ubrać!

Poszedłem w nogi łóżka, chwyciłem leżącą tam zmiętą kołdrę i owinąłem nią Sadie. Kiedy jednym końcem osłoniłem jej policzek jak postawionym kołnierzem, uspokoiła się.

- Idź do salonu i uważaj, żeby nogi ci się w to nie zaplątały. Zapal sobie. Ja zmienię pościel.

- Nie, Jake, jest brudna.

Wziąłem ją za ramiona.

- Tak powiedziałby Clayton, a on nie żyje. To tylko trochę sików.

- Jesteś pewien?

- Tak. Ale zanim pójdziesz...

Opuściłem prowizoryczny kołnierz. Drgnęła i zamknęła oczy, ale stała nieruchomo. Z trudem to znosiła, ale uznałem, że to i tak postępek. Pocałowałem obwisły fałd skóry, który kiedyś był jej policzkiem - delikatnie, motylił pocałunkiem, jak nazwałaby to Christy - po czym podciągnąłem kołdrę z powrotem.

- Jak możesz? - spytała, nie otwierając oczu. - To tak okropnie wygląda.

- E tam. To tylko jeszcze jedna część ciebie, którą kocham. A teraz idź do drugiego pokoju i czekaj, aż zmienię pościel.

Kiedy skończyłem, zaproponowałem, że poleżę z nią, dopóki nie zaśnie. Drgnęła jak wtedy, gdy odsłoniłem jej policzek, i pokręciła głową.

- Nie mogę, Jake. Przykro mi.

Krocze po kroczy, powiedziałem sobie, wlokąc się przez miasto do Deke'a o szarym świetle. Krocze po kroczy.

13

Dwudziestego czwartego kwietnia powiedziałem Deke'owi, że mam sprawę do załatwienia w Dallas, i spytałem, czy nie posiedziałyby z Sadie, dopóki nie wrócę koło dziewiątej. Zgodził się dość chętnie i o piątej tego popołudnia znalazłem się naprzeciwko dworca Greyhound na South Polk Street, nieopodal skrzyżowania drogi numer 77 i nowej wówczas dwupasmówki I-20. Czytałem (a raczej udawałem, że czytam) najnowszego Jamesa Bonda, „Szpieg, który mnie kochał”.

O wpół do szóstej na parking przy dworcu wjechał samochód kombi. Prowadziła Ruth Paine. Lee wyskoczył z auta, przeszedł na tył i otworzył klapę bagażnika. Marina, z June na rękach, wysiadła tylnymi drzwiami. Ruth Paine została za kierownicą.

Lee miał tylko dwie sztuki bagażu: oliwkowy worek marynarski i pikowany pokrowiec na broń, taki z rączką. Zaniósł je do czekającego z włączonym silnikiem scenicruisera. Kierowca wziął od Lee torbę i karabin, i zerknąwszy na jego bilet, schował je do otwartego bagażnika.

Lee podszedł do drzwi autobusu, po czym odwrócił się i uściskał żonę, całując ją w oba policzki, a potem w usta. Wziął od niej córeczkę i połaskotał ją nosem pod brodą. June zaśmiała się głośno. Lee śmiał się razem z nią, ale w jego oczach widziałem łzy. Pocałował

June w czoło, przytulił ją, po czym oddał małą Marinie i nie oglądając się, wbiegł po stopniach do autobusu.

Marina podeszła do samochodu. Ruth Paine stała obok niego. June wyciągnęła do niej rączki. Po chwili obie kobiety z dzieckiem odjechały.

Autobus ruszył punktualnie o szóstej. Krwawa łuna zachodzącego słońca błysnęła w szybcie osłaniającej tablicę z trasą, na chwilę zamazując to, co było na niej napisane. Zaraz jednak znów zobaczyłem te trzy słowa, które oznaczały, że miałem Lee Harveya Oswalda z głowy, przynajmniej na jakiś czas:

NEW ORLEANS EXPRESS

Patrzyłem, jak autobus wspina się drogą dojazdową do I-20 w kierunku wschodnim, po czym przeszedłem dwie przecznice do miejsca, gdzie zaparkowałem swój samochód, i wróciłem do Jodie.

14

I znowu to myślenie intuicyjne.

Opłaciłem czynsz za maj za mieszkanie na West Neely Street, mimo że musiałem zacząć oszczędzać i tak naprawdę nie było mi już do niczego konkretnego potrzebne. Miałem tylko niejasne, ale silne poczucie, że powinienem zachować bazę w Dallas.

Dwa dni przed Kentucky Derby pojechałem na Greenville Street w pełni zdecydowany postawić pięćset dolarów na to, że Chateaugay zajmie miejsce w czołówce. To, rozumowałem, zwróci mniejszą uwagę niż zakład, że ta chabeta wygra. Zaparkowałem cztery przecznice od Faith Financial i zamknąłem samochód, nieodzowny środek ostrożności w tej części miasta nawet o jedenastej rano. Z początku szedłem rażnym krokiem, ale potem - znowu bez konkretnego powodu - zacząłem się ociągać.

Pół przecznicy od udającego kasę pożyczkową punktu przyjmowania zakładów stanąłem zupełnie. Znowu zobaczyłem bukmachera - tego przedpołudnia nie miał daszka - palącego papierosa w drzwiach swojego lokalu. Kiedy tak stał w silnym słonecznym blasku, otoczony ostrymi cieniami w wejściu, wyglądał jak postać z obrazu Edwarda Hoppera. Tego dnia na pewno mnie nie zauważył, bo wpatrywał się w samochód zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Był to kremowy lincoln z zieloną tablicą rejestracyjną. Nad numerem widniały słowa SUNSHINE STATE. Co nie znaczyło, że był to kolejny element harmonii. Co z całą

pewnością nie znaczyło, że samochód należał do Edwardo Gutierrez z Tamy, buka, który z uśmiechem mawiał: „Toż to mój Yanqui z Krainy Jankeów”. Tego, który prawie na pewno kazał spalić mój domek na plaży.

Mimo to zawróciłem i ruszyłem z powrotem do mojego wozu z pięciuset dolarami, które zamierzałem postawić, wciąż w kieszeni.

Myślenie intuicyjne.

ROZDZIAŁ 24

1

Biorąc pod uwagę skłonność historii do powtórek, przynajmniej wokół mnie, nie zdziwi was wieść, że pomysłem Mike'a Coslawa na zdobycie środków na leczenie Sadie było ponowne wystawienie „Jodie Jamboree”. Zapewnił, że może przekonać członków pierwotnej obsady, by raz jeszcze wystąpili w swoich rolach, pod warunkiem że zaplanujemy spektakl na środek lata, i słowa dotrzymał - prawie wszyscy dali się namówić. Ellie nawet zgodziła się powtórzyć swój występ złożony z solidnych wersji „Camptown Races” i „Clinch Mountain Breakdown” na banjo, choć, jak twierdziła, palce jeszcze ją bolały po poprzednim razie. Przedstawienia wyznaczaliśmy na dwunasty i trzynasty lipca, ale sprawa przez pewien czas stała pod znakiem zapytania.

Pierwszą przeszkodą do pokonania była sama Sadie. Ten pomysł ją przeraził. Nazwała to „przyjmowaniem jałmużny”.

- To brzmi jak coś, czego nauczyłaś się na kolanach matki - powiedziałem.

Przez chwilę patrzyła na mnie bykiem, po czym spuściła wzrok i zaczęła głaskać włosy opadające na oszpeconą stronę twarzy.

- A jeśli nawet? Czy to znaczy, że to nieprawda?

- Jezu, niech no pomyślę. Mówisz o życiowej nauce od kobiety, która na wieść o tym, że jej córka została okaleczona, martwiła się przede wszystkim o to, gdzie teraz będzie chodzić do kościoła.

- To poniżające - powiedziała cicho. - Zdawanie się na łaskę miasta jest poniżające.

- Inaczej się na to zapatrywałaś, kiedy chodziło o Bobbi Jill.

- Dręczysz mnie, Jake. Proszę, nie rób tego.

Usiadłem i wziąłem ją za rękę. Wyrwała się. Spróbowałem znowu. Tym razem się nie opierała.

- Wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe, kochanie, ale jest czas na to, by dawać, i na to, by brać. Nie wiem, czy to cytat z Księgi Koheleta, ale tak czy tak to prawda. Twoje ubezpieczenie zdrowotne jest śmiechu warte. Doktor Ellerton zgodził się obniżyć swoje honorarium...

- Nigdy nie prosiłam...

- Ciii, Sadie. Proszę. To się nazywa praca *pro bono* i sam to zaproponował. Ale będą w to zaangażowani też inni chirurdzy. Rachunki za zabiegi będą ogromne i nie na wszystko starczy mi pieniędzy.

- Prawie żałuję, że mnie nie zabił - szepnęła.

- Nie waż się tak mówić. - Skuliła się, słysząc gniew w moim głosie, i połały się łzy. Teraz mogła płakać tylko jednym okiem. - Skarbie, ludzie chcą to dla ciebie zrobić. Pozwól im. Wiem, że matka siedzi w twojej głowie, jak chyba matka każdego... ale tym razem nie możesz jej ulec.

- Lekarze i tak tego nie naprawią. Nigdy nie będzie jak dawniej. Tak mówił Ellerton.

- Wiele z tego mogą naprawić. - Co brzmiało marginalnie lepiej niż „co nieco mogą naprawić”.

Westchnęła.

- Jesteś dzielniejszy niż ja, Jake.

- Jesteś bardzo dzielna. To jak, zgadzasz się?

- Benefis na rzecz Sadie Dunhill. Moja matka posrałaby się, gdyby się dowiedziała.

- Tym bardziej powinniśmy to zrobić. Wyślemy jej parę fotek.

Uśmiechnęła się, ale tylko przelotnie. Zapaliła papierosa lekko drżącymi palcami i znów zaczęła przyglądać włosy zasłaniające oszpeconą stronę twarzy.

- Będę musiała tam być? Żeby im pokazać, na co pójda ich dolary? Jak świnia rasy berkshire na licytacji?

- Oczywiście nie. Choć nie sądzę, by ktokolwiek miał zemdleć. Większość ludzi z tych stron widziała gorsze rzeczy. - Nawet my, pracownicy szkoły w okolicy pełnej farm i rancz, widzieliśmy gorsze rzeczy: na przykład mocno poparzoną w pożarze domu Britte Carlson czy lewą dłoń Dufry'ego Hendricksona, która wyglądała jak kopyto po tym, jak łańcuch wciągnika w warsztacie jego ojca nie utrzymał silnika ciężarówki.

- Nie jestem gotowa na tego rodzaju publiczny pokaz. Chyba nigdy nie będę.

Z całego serca miałem nadzieję, że się co do tego myliła. Szaleńcy tego świata - Johnowie Claytonowie, Lee Harveyowie Oswaldowie - nie powinni zwyciężać. Jeśli Bóg nie naprawi sytuacji po ich gównianych małych triumfach, muszą Go wyręczyć zwykli ludzie. A chociaż spróbować. Jednak nie pora była na prawienie kazań o takich sprawach.

- Będzie ci lżej, jeśli powiem, że sam doktor Ellerton zgodził się wystąpić?

Na chwilę zapomniała o swoich włosach i spojrzała na mnie.

- Co takiego?

- Chce być zadem Berthy. - Bertha Tańczący Kucyk była płóciennym tworem dzieciaków z kółka plastycznego. Przechadzała się po scenie w kilku skeczach, ale jej popisowym numerem był żywy taniec z wywijaniem ogonem do „Back in the Saddle Again” Gene'a Autry'ego (ogon sterowany był sznurkiem pociągany przez zadnią część Zespołu Bertha). Ludzi ze wsi, znanych z mało wyrafinowanego poczucia humoru, bawiło to do rozpuku.

Sadie zaczęła się śmiać. Widziałem, że przypląca to bólem, ale nie mogła się powstrzymać. Opadła na oparcie kanapy, z dłonią przyciśniętą do czoła, jakby przytrzymywała mózg, żeby jej nie eksplodował.

- W porządku! - powiedziała, kiedy wreszcie odzyskała mowę. - Zgadzam się po to tylko, żeby to zobaczyć. - Potem wbiła we mnie wzrok. - Ale zobaczę to na próbie generalnej. Nie wyciągniesz mnie na scenę, żeby wszyscy mogli się gapić i szeptać: „Och, zobaczcie, co on zrobił tej biednej dziewczynie”. Rozumiemy się?

- Całkowicie - przytaknąłem i pocałowałem ją.

Jedna przeszkoda z głowy. Następną było przekonanie czołowego chirurga plastycznego z Dallas, by przyjechał do Jodie w lipcowym upale i hasał w tylnej części grubego płóciennego kostiumu. Tak naprawdę wcale go o to nie pytałem.

Nie było z tym jednak kłopotu; Ellerton rozpromienił się jak dziecko, kiedy przedstawiłem mu swój pomysł.

- Mam nawet doświadczenie praktyczne - stwierdził. - Żona od lat mi powtarza, że jestem głupi jak koński zad.

2

Ostatnią przeszkodą okazała się sala. W połowie czerwca, mniej więcej w tym samym czasie, gdy Lee został wyrzucony z nowoorleańskiego doku za próbę rozdawania marynarzom z USS „Wasp” ulotek popierających Castro, Deke przyszedł do domu Sadie. Pocałował ją w zdrowy policzek (kiedy ktoś ją odwiedzał, odwracała oszepeconą stronę twarzy) i spytał mnie, czy nie poszedłbym z nim napić się zimnego piwa.

- Idź - powiedziała Sadie. - Poradzę sobie.

Deke zawiózł nas do The Prairie Chicken, marnie klimatyzowanej budy z blaszanym dachem piętnaście kilometrów na zachód od miasta. Wczesnym popołudniem w lokalu nie było nikogo oprócz dwóch samotnych pijaczków przy barze, szafa grająca milczała. Deke dał mi dolara.

- Ja stawiam, ty nosisz. Może być?

Mnie to odpowiadało. Poszedłem do baru i zgarnąłem dwa buckhorny.

- Gdybym wiedział, że przyniesiesz buckies, sam bym poszedł - marudził Deke. - Człowieku, przecież to końskie szczyny.

- Mnie smakuje - stwierdziłem. - Poza tym wydawało mi się, że zwykle pijesz w domu. „Stężenie palantów w lokalnych barach jest trochę zbyt wysokie jak na mój gust”, to twoje słowa, o ile dobrze pamiętam.

- I tak nie chcę piwa, do cholery. - Teraz, kiedy nie było z nami Sadie, widziałem, że wrzał z wściekłości. - Tak naprawdę chcę tylko dać Fredowi Millerowi w pysk i skopać Jessice Caltrop to jej chude i niewątpliwie koronką obszyte dupsko.

Znałem te nazwiska i twarze, choć, jako skromny wyrobnik, nigdy z tymi ludźmi nie rozmawiałem. Miller i Caltrop stanowili dwie trzecie rady szkolnej powiatu Denholm.

- Nie kończ na tym - poprosiłem. - Skoro już gra w tobie żądza krwi, powiedz jeszcze, co chcesz zrobić Dwightowi Rawsonowi. On jest trzeci, prawda?

- Nazywa się Rawlings - rzekł markotnie - i jemu odpuszczę. Głosował za nami.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie pozwolą nam wystawić „Jamboree” w sali gimnastycznej. Mimo że to będzie w środku lata, kiedy sala stoi pusta.

- Żartujesz? - Sadie uprzedzała, że niektórzy w mieście mogą zwrócić się przeciwko niej, a ja nie uwierzyłem. Głupi stary Jake Epping, wciąż kurczowo uciepiony swojej wizji dwudziestego pierwszego wieku rodem z science fiction.

- Synu, chciałbym żartować. Tłumaczyli, że mogą być problemy z ubezpieczeniem od pożaru. Ja im na to, że takich problemów nie było, kiedy organizowaliśmy benefis dla uczennicy, która miała wypadek, a wtedy ta Caltrop, zasuszona stara szkapę, powiedziała: „No tak, Deke, ale tamto było w trakcie roku szkolnego”. Mają problemy, jasne, lecz głównie z tym, że nauczycielce pociął twarz jej szalony były mąż. Boją się, że wspomną o tym w gazecie albo, Boże uchojaj, w jednej ze stacji telewizyjnych w Dallas.

- Jakie to może mieć znaczenie? - spytałem. - On... Chryste, Deke, on nawet nie był stąd! Był z Georgii!

- To ich nie obchodzi. Dla nich liczy się tylko to, że umarł tutaj, i boją się, że to postawi w złym świetle szkołę. Miasto. I ich samych.

Usłyszałem, że z moich ust wyszedł płaczliwy jęk, dźwięk, który niezbyt przystoi mężczyźnie w kwiecie wieku, ale nic na to nie mogłem poradzić.

- Przecież to nie ma najmniejszego sensu!

- Zwolniliby ją, gdyby mogli, byle pozbyć się kłopotu. A ponieważ nie mogą, mają nadzieję, że sama odejdzie, zanim dzieci będą musiały zobaczyć, co Clayton zrobił z jej twarzą. Bzdurna, małomiasteczkowa hipokryzja w najlepszym wydaniu, chłopcze. Kiedy Fred Miller miał dwadzieścia parę lat, dwa razy w miesiącu szalał w burdelach w Nuevo Laredo. Częściej, jeśli dostawał od tatusia zaliczkę na poczet kieszonkowego. I wiem z dobrych źródeł, że kiedy Jessica Caltrop była prostą Jessie Trapp ze Sweetwater Ranch, w wieku szesnastu lat strasznie przytyła, by po jakichś dziewięciu miesiącach nagle schudnąć. Korci mnie, żeby im powiedzieć, że moja pamięć sięga dalej niż te ich wścibskie nosy i gdybym chciał, mógłbym im narobić nie lada wstydu. Nawet nie musiałbym się bardzo wysilić.

- Chyba nie mogą winić Sadie za szaleństwo jej byłego męża... prawda?

- Nie bądź dzieckiem, George. Czasem zachowujesz się, jakbyś się w stodole urodził. Albo w jakimś kraju, gdzie ludzie używają rozumu. Dla nich to sprowadza się do seksu. Dla takich ludzi jak Fred i Jessica wszystko sprowadza się do seksu. Pewnie myślą, że Alfalfa i Spanky z „Klanu urwisów” w wolnym czasie dymają Darię za stodołą, a Buckwheat ich dopinguje. I kiedy wydarzy się coś takiego, co spotkało Sadie, wina zawsze leży po stronie kobiety. Nigdy nie powiedzieliby tego otwarcie, ale w głębi ducha uważają, że mężczyźni to bestie, a kobiety, które nie potrafią ich poskromić, cóż, dostają za swoje, synu, dostają za swoje. Nie pozwolę, żeby to im uszło na sucho.

- Będziesz musiał - powiedziałem. - W przeciwnym razie Sadie mogłaby usłyszeć o całym zamieszaniu. A teraz jest krucha. Coś takiego by ją dobiło.

- Uhm - mruknął. Wygrzebał fajkę z kieszeni na piersi. - Uhm, wiem. Muszę się wyładować, to wszystko. Ellie wczoraj rozmawiała z zarządem Grange Hall. Chętnie udostępnią nam salę, a u nich na widowni zmieści się pięćdziesiąt osób więcej. Bo mają balkon, rozumiesz.

- A widzisz - odetchnąłem z ulgą. - Rozsądek zwyciężył.

- Jest tylko jeden kłopot. Żądają czterech stów za dwa wieczory. Jeśli wytrzasnę skądś dwieście dolarów, dasz radę dołożyć drugie tyle? Uprzedzam, że z wpływów tego nie odzyskasz. Całość pójdzie na leczenie Sadie.

Doskonale znałem koszty leczenia Sadie; zapłaciłem już trzysta dolarów za tę część jej pobytu w szpitalu, której nie pokryło jej gównem ubezpieczenie. Mimo miłego gestu Ellertona wydatków szybko będzie przybywać. A choć moje finanse jeszcze się nie wyczerpały, już widać było dno.

- George? Co ty na to?

- Fifty-fifty - przytaknąłem.

- To dopij te swoje siki. Chcę wrócić do miasta.

3

Kiedy wychodziliśmy z tej pozał się Boże knajpy, rzucił mi się w oko plakat wystawiony w witrynie. U góry:

**ZAPRASZAMY NA TELEWIZYJNĄ TRANSMISJĘ
WALKI STULECIA!
NA ŻYWO Z MADISON SQUARE GARDEN!
NASZ CZŁOWIEK Z DALLAS, TOM „MŁOT” CASE
KONTRA DICK TIGER!
DALLAS AUDITORIUM
CZWARTEK 29 VIII
BILETY DOSTĘPNE U NAS W PRZEDSPRZEDAŻY**

Niżej były umieszczone obok siebie zdjęcia dwóch mięśniaków z gołymi klatami i pięściami w rękawicach uniesionymi w standardowej pozycji bokserskiej. Jeden był młody i bez skazy. Drugi wyglądał dużo starzej i jego nos nosił ślady kilku złamań. Jednak to ich nazwiska zatrzymały mnie w pół kroku. Skądś je znałem.

- Nawet o tym nie myśl - powiedział Deke, kręcąc głową. - Miałbyś lepszą rozrywkę, oglądając walkę pitbulla z cocker-spanielem-Starym cocker-spanielem.

- Poważnie?

- Tommy'emu Case'owi serca nigdy nie brakowało, ale teraz to czterdziestoletnie serce w czterdziestoletnim ciele. Ma mięsień piwny i ledwo się rusza. Tiger jest młody i szybki. Za parę lat zostanie mistrzem, jeśli będą mu umiejętnie dobierać przeciwników. Na razie rzucają mu na pożarcie chłopców do bicia jak Case, żeby trzymał formę.

Zupełnie jakbym słyszał opis walki Rocky'ego Balboa z Apollo Creedem, ale w sumie co w tym dziwnego? Życie czasem naśladuje sztukę.

- Płacisz za oglądanie telewizji w sali koncertowej - powiedział Deke. - Rany boskie, co jeszcze wymyślą?

- To powiew przyszłości - stwierdziłem.

- I pewnie wyprzedają wszystkie bilety, przynajmniej w Dallas, co nie zmienia faktu, że Tom Case to powiew przeszłości. Tiger rozniesie go na strzępy. Jesteś pewien, że nie masz

nic przeciwko temu pomysłowi z Grange, George?

- Zdecydowanie.

4

To był dziwny czerwiec. Z jednej strony, przyjemnie było prowadzić próby z trupą, która wystawiła oryginalne „Jamboree”. To było najlepsze *déjà vu*, jakie można sobie wyobrazić. Z drugiej strony, coraz częściej się zastanawiałem, czy w ogóle kiedykolwiek szczerze zamierzałem wykreślić Lee Harveya Oswalda z równania historii. Nie mogłem uwierzyć, że brakowało mi odwagi, żeby to zrobić - zabiłem już jednego człowieka, i to z zimną krwią - ale było niezaprzeczalnym faktem, że miałem Oswalda na muszce i dałem mu odejść. Mówiłem sobie, że to kwestia marginesu niepewności i że nie ma to nic wspólnego z jego rodziną, ale co rusz stawał mi przed oczami obraz uśmiechniętej Mariny z dłońmi okalającymi brzuch. Zastanawiałem się, czy Lee aby jednak nie był kozłem ofiarnym. Przypominałem sobie, że w październiku wróci. A potem, oczywiście, zadawałem sobie pytanie, na ile to cokolwiek zmieni. Jego żona nadal będzie w ciąży i pozostanie margines niepewności.

Tymczasem musiałem czuwać nad powoli dochodzącą do siebie Sadie, opłacać rachunki, wypełniać formularze ubezpieczeniowe (biurokracja w 1963 roku jest tak wkurzająca jak w roku 2011), no i prowadzić te próby. Doktor Ellerton mógł przyjechać tylko na jedną z nich, ale szybko się uczył i wierzgał swoją połową Berthy Tańczącego Kucyka z uroczą werwą. Po próbie powiedział mi, że chciałby włączyć do swojego zespołu jeszcze jednego chirurga, specjalistę od chirurgii twarzy ze szpitala Massachusetts General. Powiedziałem mu - z ciężkim sercem - że jeszcze jeden chirurg to doskonała myśl.

- Stać was? - spytał. - Mark Anderson nie jest tani.

- Jakoś sobie poradzimy.

Niedługo przed pierwszym przedstawieniem zaprosiłem Sadie na próbę. Grzecznie, ale stanowczo odmówiła, wbrew wcześniejszej obietnicy, że przyjdzie na próbę generalną. Rzadko wychodziła z domu, a jeśli nawet, to tylko do ogródka na tyłach. Nie była w szkole - ani w mieście - od tego wieczora, kiedy John Clayton rozciął jej twarz, a potem własne gardło.

Przedpołudnie i wczesne popołudnie dwunastego lipca spędziłem w Grange Hall na ostatniej próbie technicznej. Mike Coslaw, który w roli producenta odnalazł się tak dobrze jak w roli slapstickowego komika, powiedział mi, że bilety na sobotnie przedstawienie rozeszły się w stu procentach, a na dzisiejsze w dziewięćdziesięciu.

- W ostatniej chwili przyjdzie dość ludzi, żeby wszystkie miejsca były zajęte, panie A. Gwarantuję. Mam tylko nadzieję, że my z Bobbi Jill nie zepsujem bisu.

- Zepsujemy, Mike. I bez obaw, nie zepsujecie.

Wszystko to było dobre. Mniej dobre było to, że kiedy w drodze powrotnej skręcałem na Bee Tree Lane, minąłem jadący w przeciwnym kierunku samochód Ellen Dockerty, a potem zastałem Sadie siedzącą w oknie salonu ze łzami na nietkniętym policzku i zmiętą w garści chusteczką.

- Co? - rzuciłem. - Co ci powiedziała?

Ku mojemu zaskoczeniu zdobyła się na uśmiech. Jak zwykle ostatnio, był jednostronny, ale miał pewien dziewczęcy urok.

- Nic, co nie byłoby prawdą. Nie przejmuj się, proszę. Zrobię ci kanapkę i opowiesz mi, jak było.

Opowiedziałem jej więc. I przejmowałem się, oczywiście, ale zachowałem swoje zmartwienia dla siebie. Razem z przemyśleniami na temat wścibskich dyrektorek szkół średnich. O szóstej wieczorem Sadie dokładnie mnie obejrzała, zawiązała mi krawat od nowa, po czym strzepnęła jakieś pyłki, prawdziwe albo wyimaginowane, z ramion mojej marynarki sportowej.

- Życzyłabym ci, żebyś złamał nogę, ale kto cię tam wie, jeszcze byś to zrobił.

Miała na sobie stare dzinsy i luźną bluzkę, którą maskowała - przynajmniej trochę - swoją chudość. Mimo woli przypomniałem sobie śliczną sukienkę, w której przyszła na pierwsze „Jodie Jamboree”. Śliczną sukienkę ze śliczną dziewczyną w środku. To było wtedy. Kiedy dziś kurtyna pójdzie w górę, ta sama dziewczyna - wciąż śliczna z jednej strony - będzie oglądać w domu powtórkę „Route 66”.

- Co się stało? - spytała.

- Chciałbym, żebyś tam była, to wszystko.

Od razu pożałowałem tych słów, ale właściwie niepotrzebnie. Jej uśmiech przygaś i zaraz powrócił. Jak słońce po przejściu małej chmury.

- Ty tam będziesz. Co znaczy, że będę tam i ja. - Śmiertelnie poważna i onieśmielona,

spojrzała na mnie jedynym okiem widocznym spod fryzury à la Veronica Lake. - Jeśli mnie kochasz, oczywiście.

- Bardzo cię kocham.

- Na to wygląda. - Pocałowała mnie w kącik ust. - A ja kocham ciebie. Dlatego nie łam żadnych nóg i podziękuj wszystkim.

- Nie omieszkam. Nie boisz się zostać sama?

- Poradzę sobie. - Właściwie nie była to odpowiedź na moje pytanie, ale na razie tylko na tyle mogła się zdobyć.

6

Mike miał rację co do tego, że publiczność dopisze. Godzinę przed początkiem piątkowego przedstawienia wyprzedaliśmy resztę dostępnych biletów. Donald Bellingham, nasz inspicjent, przygasił światła punktualnie o ósmej. Spodziewałem się odczuwać niedosyt w porównaniu z niemal doskonałym oryginałem z walką na ciasta w finale (którą zamierzaliśmy powtórzyć tylko w sobotę, bo zgodnie uznaliśmy, że chcemy sprzątać scenę Grange Hall - i pierwsze dwa rzędy - tylko raz), ale ten show był niemal równie dobry. Jak dla mnie, gwoździem programu był ten cholerny tańczący koń. W pewnym momencie przednia połowa doktora Ellertona, szalenie rozochocony trener Borman, tak się roztańczył, że Bertha mało nie spadła ze sceny.

Publiczność myślała, że trwający trzydzieści sekund slalom między światłami rampy to część przedstawienia, i serdecznie oklaskiwała te karkołomne wygibasy. Ja, który znałem prawdę, tkwiłem w szponach emocjonalnego paradoksu, jakiego zapewne miałem nigdy więcej nie doświadczyć. Stałem za kulisami obok niemal sparaliżowanego Donalda Bellinghama i śmiałem się jak wariat, podczas gdy trzepoczące z przerażenia serce podchodziło mi do gardła.

Tego wieczoru element harmonii pojawił się podczas bisu. Mike i Bobbi Jill wyszli na scenę, trzymając się za ręce. Bobbi Jill stanęła twarzą do publiczności i oznajmiła:

- Pani Dunhill wiele, bardzo wiele dla mnie znaczy przez wzgląd na jej dobroć i chrześcijańskie miłosierdzie. Pomogła mi, kiedy potrzebowałam pomocy, i to ona zachęcała mnie, żeby nauczyć się tego, co za chwilę państwu zaprezentujemy. Dziękujemy państwu za przybycie i za okazane dziś także przez was chrześcijańskie miłosierdzie. Prawda, Mike?

- Tak - powiedział. - Jesteście najlepsi.

Spojrzał w lewo. Wskazałem na Donalda, który pochylony trzymał ramię gramofonu

nad płytą, gotów opuścić igłę do rowka. Tym razem ojciec Donalda nie mógł nie wiedzieć, że Donald pożyczył jedną z jego płyt z muzyką big-bandów, a to dlatego, że był na widowni.

Glenn Miller, ten dawno nieżyjący bombardier, zagrał pierwsze takty „In the Mood”, a na scenie, przy wtórze rytmicznych oklasków publiczności, Mike Coslaw i Bobbi Jill Allnut zawirowali w odrzutowym lindy hopie, z żarem, jakiego nie zaznałem, tańcząc ani z Sadie, ani z Christy. Ich taniec tryskał młodością, radością i entuzjazmem, i dlatego był wspaniały. Kiedy zobaczyłem, że Mike ściska dłoń Bobbi Jill, mówiąc jej dotykiem, by zrobiła obrót powrotny i wśliznęła mu się między nogi, nagle wróciłem myślami do Derry, do tej chwili, kiedy oglądałem Bevvie-co-mieszka-na-drzewie i Richiego-z-dziczy.

To wszystko współgra ze sobą, pomyślałem. To echo tak bliskie doskonałości, że nie sposób poznać, który z głosów jest żywy, a który widmowy, powracający.

Przez moment wszystko nabrało wyraźnych kształtów, a kiedy tak się dzieje, widać, jak ulotny jest świat. Czyż wszyscy nie wiemy tego skrycie? To idealnie wyważony mechanizm wołań i ech udających koła i tryby, śniony zegar bijący pod tajemniczą szybą, którą zwiemy życiem. A za nim? Pod nim i wokół niego? Chaos, burze. Ludzie z młotkami, ludzie z nożami, ludzie z pistoletami. Kobiety, które wypaczają to, czego nie potrafią sobie podporządkować, i poniżają to, czego nie potrafią zrozumieć. Wszechobecna pustka i zgroza otaczająca samotną, rozświetloną scenę, na której śmiertelnicy tańczą na przekór ciemności.

Mike i Bobbi Jill tańczyli w swoim rytmie, rytmie roku 1963, tej epoki fryzur na jeża, telewizorów szafkowych i garażowego rocka. Tańczyli tego samego dnia, kiedy prezydent Kennedy obiecał podpisać traktat o zakazie prób z bronią jądrową i powiedział dziennikarzom, że nie ma „zamiaru dopuścić do tego, by nasze wojska uwikłały się w niezrozumiałe intrygi polityczne i odwieczne spory między krajami Azji Południowo-Wschodniej”. Tańczyli jak Bevvie i Richie, jak Sadie i ja, byli piękni i kochałem ich nie pomimo ich kruchości, ale właśnie z jej powodu. Kocham ich do dziś.

Zakończyli perfekcyjnie, z podniesionymi rękami, ciężko zdyszani i zwróceni twarzami do publiczności, która zerwała się na nogi. Mike dał ludziom całe czterdzieści sekund na gromkie brawa (to nadzwyczajne, jak szybko światła rampy zmieniają skromnego lewego obrońcę w herosa pełną gębą), po czym poprosił o ciszę. I widownia w końcu go posłuchała.

- Nasz reżyser, pan George Amberson, pragnie powiedzieć kilka słów. Włożył dużo wysiłku i inwencji w ten show, więc mam nadzieję, że podziękujecie mu gromkimi brawami.

Wyszedłem na scenę, witany owacjami. Uścisnąłem dłoń Mike'a i pocałowałem Bobbi Jill w policzek. Czmychnęli za kulisy. Podniosłem ręce, nakazując milczenie, i przystąpiłem

do wygłaszania mojego starannie przygotowanego przemówienia. Na początek powiedziałem, że Sadie nie mogła przyjść osobiście, lecz prosiła, abym podziękował wszystkim w jej imieniu. Każdy mówca z prawdziwego zdarzenia wie, że musi koncentrować uwagę na wybranych osobach z publiczności, skupiłem się więc na parze w trzecim rzędzie, która do złudzenia przypominała ojczulka i matuchnę z obrazu „American Gothic”. Byli to Fred Miller i Jessica Caltrop, członkowie rady szkolnej, którzy nie pozwolili nam skorzystać z sali gimnastycznej, bo napaść byłego męża na Sadie była w złym guście i tym samym należało ją ignorować na tyle, na ile to możliwe.

Po czterech zdaniach przerwały mi okrzyki zdumienia. A potem rozległ się aplauz - z początku nieśmiały, ale szybko przechodzący w prawdziwą burzę. Publiczność znów zaczęła podnosić się z miejsc. Nie miałem pojęcia, co oklaskują, dopóki nie poczułem, że lekka, niepewna dłoń chwyta moją rękę nad łokciem. Odwróciłem się i zobaczyłem Sadie. Stała obok mnie w tej jej czerwonej sukience. Włosy upięła na czubku głowy skrzającą się spinką. Jej twarz - obie strony - była całkowicie widoczna. I, ku mojemu najwyższemu zdumieniu, odsłonięte ślady po obrażeniach wcale nie wyglądały tak okropnie, jak się tego obawiałem. Możliwe, że ilustrowało to jakąś uniwersalną prawdę, byłem jednak zbyt oszołomiony, by ją pojąć. Jasne, ta głęboka, poszarpana rysa i blednąca siatka szwów to nie był miły widok. Podobnie jak obwisła skóra i nienaturalnie szerokie lewe oko, które nie mrugało równocześnie z prawym.

Jednak uśmiechała się tym uroczym, jednostronnym uśmiechem, i w moich oczach była piękna jak Helena Trojańska. Uściskałem ją, a ona mnie, śmiejąc się przez łzy. Całe jej ciało wibrowało pod sukienką jak drut wysokiego napięcia. Kiedy znów odwróciliśmy się twarzami do publiczności, wszyscy wiwatowali na stojąco, oprócz Millera i Caltrop. Którzy rozejrzeli się i widząc, że jako jedyni wciąż siedzą na tyłkach, z ociąganiem się podnieśli z krzeseł.

- Dziękuję wam - powiedziała Sadie, kiedy brawa ucichły. - Dziękuję wam wszystkim z całego serca. Szczególne podziękowania dla Ellen Dockerty, która powiedziała mi, że jeśli tu nie przyjdę i nie spojrzę wam w oczy, będę tego żałowała do końca życia. A najserdeczniej dziękuję...

Najdrobniejsze zawahanie. Jestem pewien, że publiczność tego nie zauważyła, co oznaczało, że ja jeden wiedziałem, jak niewiele zabrakło, by Sadie powiedziała pięciuset osobom moje prawdziwe imię.

- ...George'owi Ambersonowi. Kocham cię, George.

Co oczywiście spotkało się z ogłuszającym aplauzem. Jak wszystkie wyznania miłości

w mrocznych czasach, kiedy nawet mędrcom brak pewności.

7

O wpół do jedenastej Ellen zabrała wykończoną Sadie do domu. Mike i ja o północy zgasiliśmy światła w Grange Hall i wyszliśmy.

- Przyjdzie pan oblać przedstawienie, panie A? Al obiecał, że bar będzie otwarty do drugiej, i przywiózł parę beczek piwa. Nie ma na to koncesji, ale nie sądzę, żeby mieli go aresztować.

- Nie, dzięki. Ledwo żyję. Do zobaczenia jutro wieczorem, Mike.

Przed powrotem do domu zajrzałem do Deke'a. Siedział w pizamie na ganku i palił fajkę przed snem.

- Wyjątkowa noc - powiedział.

- Fakt.

- Ta twoja młoda kobieta pokazała odwagę. Mnóstwo odwagi.

- To prawda.

- Postąpisz wobec niej, jak należy, synu?

- Spróbuję.

Skinął głową.

- Zasluguje na to po tym, co przeżyła. I jak dotąd, całkiem nieźle się sprawujesz. - Zerknął w stronę mojego chevy. - Pewnie dziś mógłbyś tam pojechać i zostawić samochód przed jej domem. Po takim wieczorze chyba nikt w mieście by okiem nie mrugnął.

Może i miał rację, ale wolałem dmuchać na zimne i poszedłem pieszo, jak zwykle. Potrzebowałem czasu, by ochłonąć z emocji. Ciągle widziałem ją w blasku światła rampy. Tę czerwoną suknię. Wdzięczny łuk szyi. Gładki policzek... i ten poharatany.

Kiedy wszedłem do domu na Bee Tree Lane, składana sofa była nierozłożona. Stałem i patrzyłem ze zdumieniem, niepewny, jak to rozumieć. Wtedy Sadie zawołała mnie po imieniu - moim prawdziwym - z sypialni. Bardzo cicho.

Zapalona lampa rzucała łagodne światło na jej nagie ramiona i jedną stronę twarzy. Oczy Sadie były błyszczące i poważne.

- Myślę, że tutaj jest twoje miejsce - powiedziała. - Chcę, żebyś tu był. A ty?

Rozebrałem się i położyłem obok niej. Jej dłoń wsunęła się pod pościel, odnalazła mnie i zaczęła pieścić.

- Jesteś głodny? Bo jeśli tak, mam keks.

- Och, Sadie, umieram z głodu.

- To zgaś światło.

8

Ta noc w łóżku Sadie była najlepsza w moim życiu - nie dlatego, że na dobre zamknęła rozdział z Johnem Claytonem, ale dlatego, że na nowo otworzyła inny, nasz wspólny.

Kiedy skończyliśmy się kochać, pierwszy raz od wielu miesięcy zapadłem w prawdziwie głęboki sen. Obudziłem się o ósmej rano. Słońce wisiało na niebie, The Angels śpiewały „My Boyfriend's Back” w kuchennym radiu i czułem zapach smażącego się bekonu. Wkrótce miała zawołać mnie do stołu, ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie w tej chwili.

Podłożyłem dłonie pod głowę i spojrzałem w sufit, lekko zszokowany tym, jak głupi - jak wręcz naumyślnie ślepy - byłem od tego dnia, kiedy pozwoliłem Lee wyjechać do Nowego Orleanu i nie zrobiłem nic, by go powstrzymać. Potrzebowałem wiedzieć, czy George DeMohrenschildt przyłożył rękę do zamachu na Edwina Walkera, czy tylko podpuścił niezrównoważonego młodego człowieka, by go dokonał, zgadza się? Cóż, skoro tak, można to było całkiem łatwo ustalić, nieprawdaż?

DeMohrenschildt znał prawdę, trzeba go więc o nią spytać.

9

Sadie jadła z apetytem, jakiego nie miała od tego wieczoru, kiedy Clayton wdarł się do jej domu, ze mną też pod tym względem było nie najgorzej. Razem zmiotliśmy z talerzy sześć jajek, do tego grzanki i bekon. Kiedy naczynia były już w zlewie, a Sadie paliła papierosa przy drugim kubku kawy, powiedziałem, że chcę ją o coś zapytać.

- Jeśli o to, czy przyjdę dziś na przedstawienie, nie sędzę, żebym mogła drugi raz się na to zdobyć.

- Nie, chodzi o coś innego. Ale skoro już o tym wspomniałaś, co właściwie Ellie ci powiedziała?

- Że najwyższy czas, żebym przestała uzalać się nad sobą i wróciła do świata żywych.

- Ostro.

Sadie pogładziła włosy opadające na poranioną stronę twarzy - znów ten automatyczny gest.

- Ellie nie grzeszy nadmiarem delikatności i taktu. Czy zaszokowała mnie, kiedy tu wpadła i powiedziała, że czas przestać marudzić? Tak. Czy miała rację? Owszem. - Przestała głaskać się po włosach i raptownie odgarnęła je nasadą dłoni. - Od tej chwili tak właśnie będę wyglądać... z drobnymi korektami... więc muszę się do tego przyzwyczaić. Sadie się przekona, czy rzeczywiście ludzi nie ocenia się po wyglądzie.

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

- W porządku. - Wypuściła dym przez nos.

- Przypuśćmy, że mógłbym cię zabrać gdzieś, gdzie lekarze mogliby naprawić uszkodzenia twojej twarzy... może nie idealnie, ale dużo lepiej niż doktor Ellerton i jego zespół. Pojechałabyś tam? Nawet gdybyś wiedziała, że nigdy tu nie wrócimy?

Zmarszczyła brwi.

- Mówimy hipotetycznie?

- Szczerze mówiąc, nie.

Powoli, z namaszczeniem zgmiotła papierosa, pogrążona w zamyśleniu.

- Czy to coś takiego jak wyjazd pani Mimi do Meksyku na eksperymentalną terapię przeciwrakową? Bo nie sądzę, żeby...

- Mówię o Ameryce, kochanie.

- Cóż, jeśli to jest w Ameryce, nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy...

- Oto ciąg dalszy: ja być może będę tam musiał pojechać. Z tobą lub bez ciebie.

- I nigdy nie wrócisz? - Zaniepokoili się.

- Nigdy. Żadne z nas nie mogłoby wrócić, z powodów, które trudno wyjaśnić. Pewnie myślisz, że zwariowałem.

- Wiem, że nie zwariowałeś. - Jej oczy były zatroskane, ale mówiła bez wahania.

- Możliwe, że będę musiał zrobić coś, co bardzo się nie spodoba organom ścigania. Nic złego, ale ludzie będą to inaczej postrzegać.

- Czy to... Jake, czy to ma jakiś związek z tym, co mówiłeś o Adlaiu Stevensonie? O tych jego słowach o zamierzającym piekle?

- W pewnym sensie. Ale oto w czym sęk. Nawet jeśli zdołam zrobić to, co muszę, i nie dać się schwytać... a sądzę, że mi się uda... to w niczym nie zmieni twojej sytuacji. Twoja twarz nadal będzie mniej czy bardziej oszpecona. W miejscu, w które chcę cię zabrać, są środki medyczne, o jakich Ellerton może tylko marzyć.

- Ale nigdy nie mogliśmy tu wrócić. - Nie mówiła do mnie; próbowała to sobie ułożyć w głowie.

- Otóż to. - Pomijając wszystko inne, gdybyśmy wrócili do dziewiątego września 1958

roku, wówczas istniałaby już oryginalna wersja Sadie Dunhill. To był paradoks, o którym nawet nie chciałem myśleć.

Podniosła się i podeszła do okna. Długo stała odwrócona do mnie plecami. Czekałem.

- Jake?

- Tak, kochanie.

- Potrafisz przepowiadać przyszłość? Potrafisz, prawda?

Milczałem.

- Czy przybyłeś z przyszłości? - spytała cicho.

Milczałem.

Odwróciła się od okna. Była bardzo blada.

- Jake?

- Tak. - Poczułem się, jakby wielki kamień spadł mi z piersi. A zarazem się bałem. O nas oboje, ale głównie o nią.

- Z jak... jak odległej?

- Kochanie, jesteś pewna, że chcesz...

- Tak. Z jak odległej przyszłości?

- O prawie czterdzieści osiem lat.

- Czy ja wtedy... nie żyję?

- Nie wiem. Nie chcę wiedzieć. Liczy się to, co jest teraz. Liczymy się my.

Pomyślała o tym. Skóra wokół czerwonych śladów po jej ranach zrobiła się biała jak prześcieradło i chciałem do niej podejść, ale bałem się ruszyć. A jeśli ucieknie z krzykiem?

- Dlaczego tu przybyłeś?

- Żeby nie pozwolić pewnemu człowiekowi czegoś zrobić. Zabiję go, jeśli będzie trzeba. To znaczy, jeśli będę miał absolutną pewność, że zasługuje na śmierć. Na razie jej nie mam.

- Czym jest to „coś”?

- Jestem prawie pewien, że za cztery miesiące zabije prezydenta. Zabije Johna Ken...

Zobaczyłem, że kolana ugięły się pod nią, ale ustała na nogach dość długo, żebym mógł ją złapać, zanim upadła.

10

Zaniosłem ją do sypialni i poszedłem do łazienki zwilżyć ściereczkę zimną wodą. Kiedy wróciłem, Sadie miała już otwarte oczy. Spojrzała na mnie z nieodgadnionym

wyrazem twarzy.

- Nie powinienem był ci powiedzieć.

- Może i nie - odparła, ale nie drgnęła, kiedy usiadłem obok niej na łóżku, i cicho, błogo westchnęła, gdy zacząłem muskać jej twarz zimną ściereczką, omijając złe miejsce, w którym nie czuła nic oprócz głębokiego, tępego bólu. Kiedy skończyłem, spojrzała na mnie ze śmiertelną powagą. - Powiedz mi o czymś, co się wydarzy; jeśli mam ci uwierzyć, musisz to zrobić. O czymś takim jak ta historia z Adlaiem Stevensonem i zamarzającym piekłem.

- Nie mogę. Jestem anglistą, nie historykiem. W liceum uczyłem się historii Maine, bo była obowiązkowa... ale o Teksasie nie wiem praktycznie nic. Nie... - Wtedy uświadomiłem sobie, że coś jednak wiem. Coś, co było na końcu części notatek Ala Templetona poświęconej wynikom sportowym, coś, co sprawdziłem dwa razy. *Na wypadek gdybyś potrzebował ostatniego zastrzyku gotówki*, napisał.

- Jake?

- Wiem, kto za miesiąc wygra walkę bokserską w Madison Square Garden. Nazywa się Tom Case i znokautuje Dicka Tigera w piątej rundzie. Jeśli tak się nie stanie, cóż, będziesz miała wszelkie prawo wysłać mnie do czubków. Ale do tego czasu niech to zostanie między nami, zgoda? Wiele od tego zależy.

- Tak. Zgoda.

11

Po drugim przedstawieniu na poły spodziewałem się, że Deke albo Ellie wezmą mnie na stronę i z poważnymi minami oznajmia, że dzwoniła do nich Sadie z wiadomością, że dokumentnie postradałem rozum. Tak się jednak nie stało i kiedy wróciłem do Sadie, na stole czekała kartka o treści: *Obudź mnie, gdybyś miał ochotę na nocną przekąskę*.

Było jeszcze przed północą i Sadie nie spała. Następne czterdzieści minut z okładem było bardzo przyjemne. Potem, w ciemności, powiedziała:

- Na razie nie muszę podejmować decyzji, prawda?

- Nie.

- I na razie nie musimy o tym rozmawiać?

- Nie.

- Może po walce. Tej, o której mi powiedziałaś.

- Może.

- Wierzę ci, Jake. Nie wiem, czy to znaczy, że oszalałam, ale ci wierzę. I kocham cię.

- Ja ciebie też.

Jej oczy błyszczały w mroku - to piękne, o migdałowym wykroju, i to, które było przymknięte, a mimo to widziało.

- Nie chcę, żeby cokolwiek ci się stało, i nie chcę, żebyś zrobił komukolwiek krzywdę, jeśli nie będziesz absolutnie musiał. I nigdy przez pomyłkę. Nigdy, przenigdy. Obiecujesz?

- Tak. - Przyszło mi to łatwo. Gdyby było inaczej, Lee Oswald już by nie oddychał.

- Będziesz uważał?

- Tak, będę bardzo...

Zamknęła mi usta pocałunkiem.

- Bo bez względu na to, skąd przybyłeś, bez ciebie nie ma dla mnie przyszłości. A teraz chodźmy spać.

12

Myślałem, że rano wrócimy do tej rozmowy. Nie miałem pojęcia, co - jak wiele - jej wtedy powiem, ale koniec końców nie musiałem powiedzieć nic, bo nie poruszyła tego tematu. Zamiast tego zapytała mnie, ile pieniędzy przyniósł Benefis na rzecz Sadie Dunhill. Kiedy powiedziałem jej, że z dobrowolnymi datkami nieco ponad trzy tysiące dolarów, odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła pięknym śmiechem na całe gardło. Trzy patole nie pokryją wszystkich kosztów leczenia, ale samo to, że usłyszałem jej śmiech... i że nie powiedziała nic w stylu „Po co w ogóle zawracać sobie tym głowę, skoro mogą mnie wyleczyć w przyszłości?”... warte było miliona. Bo nie byłem do końca pewien, czy naprawdę chciała się tam przenieść, nawet jeśli mi wierzyła, i czy ja sam chciałem ją tam zabrać.

Chciałem z nią być, owszem. Przez czas możliwie najbliższy wieczności. Ale może lepszy na to byłby rok 1963... i wszystkie następne lata, które dałby nam Bóg albo opatrzność. Lepszy dla nas obojga. Wyobrażałem sobie Sadie zagubioną w 2011 roku, patrzącą z zadziwieniem i niepokojem na każdą krótką spódniczkę, każde spodnie z obniżonym krokiem, każdy monitor komputerowy. Nigdy nie uderzyłbym jej ani na nią nie krzyknął - nie, na pewno - ale mimo to mogłaby się stać moją Mariną Prusakową, mieszkającą w obcym świecie i na zawsze wygnaną z ojczyzny.

W Jodie była jedna osoba, która mogła wiedzieć, jak zrobić użytek z ostatniego wyniku sportowego zanotowanego przez Alę. Freddy Quinlan, agent nieruchomości. Co tydzień organizował u siebie w domu partyjkę pokera - pięć centów na wejście, dwadzieścia pięć na pozostanie w grze - i kilka razy przyjąłem jego zaproszenie. Przy paru takich okazjach przechwalał się, że jest specem od zakładów w dwu dziedzinach: futbolu zawodowym i koszykówce szkolnej w Teksasie. Przyjął mnie w swoim biurze tylko dlatego, że, jak stwierdził, było za gorąco, żeby grać w golfa.

- Co ci chodzi po głowie, George? Zakład średniej wielkości czy gra va banque?

- Myślałem, żeby postawić pięćset dolarów.

Gwizdnął, odchylił się na oparcie krzesła i splótł dłonie na małym, kształtnym brzuchu. Była dopiero dziewiąta rano, ale klimatyzator pracował pełną parą. Stosy broszur agencji nieruchomości (Przekręć klucz i jesteś w domu!) trzepotały w jego chłodnym podmuchu.

- To już niezła kapusta. Masz jakiegoś pewniaka?

Ponieważ oddawał mi przysługę - przynajmniej taką miałem nadzieję - powiedziałem mu. Jego brwi powędrowały tak wysoko, że jeszcze trochę, a sięgnęłyby cofającej się linii włosów.

- Rany boskie! Czemu od razu nie wyrzucisz pieniędzy do kanału?

- Mam przecucie, to wszystko.

- George, posłuchaj znawcy. Walka Case'a z Tigerem nie ma nic wspólnego ze sportem, to tylko balon próbny dla tej nowej telewizji przemysłowej. Może będzie kilka dobrych przedwalk, ale główna jest śmiechu warta. Tiger dostanie instrukcje, żeby pobawić się z dziadkiem przez siedem-osiem rund, a potem go uśpić. Chyba że...

Wychylił się do przodu. Jego krzesło zgrzytnęło nieprzyjemnie pod biurkiem.

- Chyba że coś wiesz. - Znów odchylił się do tyłu i odął wargi. - Chociaż skąd mógłbyś wiedzieć? Mieszkasz w Jodie, na litość boską. Ale gdybyś coś wiedział, powiedziałbyś kumplowi, co?

- Nic nie wiem - skłamałem mu prosto w oczy (z przyjemnością). - To tylko przecucie, ale tak silnego nie miałem od czasu, kiedy postawiłem, że Pirates wygrają z Yankees w World Series i zgarnąłem ładną sumkę.

- To miło, ale znasz to stare powiedzenie: nawet zegar, który stoi, dwa razy dziennie pokazuje dobrą godzinę.

- Genialne - powiedziałem. - To jak, Freddy, pomożesz mi czy nie?

Obdarzył mnie pocieszającym uśmiechem, który mówił, że głupiego pieniądze się nie mają.

- Jest w Dallas gość, który chętnie przyjmie taki zakład. Nazywa się Akiva Roth. Urzęduje w Faith Financial na Greenville Avenue. Przejął interes po ojcu parę lat temu. - Zniżył głos. - Mówią, że trzyma z mafią. - Zniżył głos jeszcze bardziej. - Z Carlosem Marcello.

Tego właśnie się obawiałem, bo to samo mówiło się o Edwardo Gutierrezie. Przypomniałem sobie lincolna z tablicami rejestracyjnymi z Florydy zaparkowanego naprzeciwko Faith Financial.

- Nie jestem pewien, czy chcę, żeby widziano mnie w takim miejscu. Może będę jeszcze chciał pouczyć, a co najmniej dwaj członkowie rady szkolnej już są na mnie cięci.

- To idź do Franka Fratiego z Fort Worth. Prowadzi lombard. - Krzesło znowu zgrzytnęło, kiedy wychylił się do przodu, żeby mi się lepiej przyjrzeć. - Powiedziałem coś nie tak? A może połknąłeś robaka?

- Nie, nie. Po prostu kiedyś znałem jednego Fratiego. Który też prowadził lombard i też przyjmował zakłady.

- Pewnie obaj pochodzą z tego samego oszczędnościowo-pożyczkowego rumuńskiego klanu. W każdym razie pięć stów pewnie przyjmie... zwłaszcza kiedy chodzi o tak frajerski zakład. Ale nie da ci stawki, na jaką zasługujesz. Inna sprawa, że u Rotha też byś takiej nie dostał, choć na pewno lepszą niż u Franka Fratiego.

- Tyle że u Franka nie dostałbym powiązań z mafią. Mam rację?

- Kto go tam wie? Bukmacherzy, nawet ci na pół etatu, raczej nie robią interesów z elitą biznesu.

- Chyba powinienem posłuchać twojej rady i trzymać te pieniądze.

Quinlan zrobił przerażoną minę.

- Nie, nie, nie, nie rób tego. Postaw na to, że Bears wygrają NFC. Zgarniesz kupę forsy. Praktycznie ci to gwarantuję.

14

Dwudziestego drugiego lipca uprzedziłem Sadie, że mam parę spraw do załatwienia w Dallas i że poproszę Deke'a, żeby do niej zajrzał. Powiedziała, że nie ma takiej potrzeby, że sobie poradzi. Wracała do siebie. Kroczył po kroczeniu, owszem, ale wracała.

Nie pytała, jakie sprawy mam załatwić.

Pierwszy przystanek zrobiłem w First Corn, gdzie otworzyłem moją skrytkę i trzy razy sprawdziłem w notatkach Ala, czy pamięć mnie nie myliła. I rzeczywiście, Tom Case miał odnieść sensacyjne zwycięstwo, nokautując Dicka Tigera w piątej rundzie. Al musiał znaleźć tę walkę w Internecie, bo długo przed nią opuścił Dallas - i barwne lata sześćdziesiąte.

- Mogę czymś jeszcze służyć, panie Amberson? - spytał mój bankier, odprowadzając mnie do drzwi.

Cóż, mógłby zmówić krótką modlitwę o to, żeby mój stary kumpel Al Templeton nie pomylił się co do wyniku tej walki.

- Być może. Nie wie pan, gdzie mógłbym znaleźć sklep z kostiumami? Mam robić za magika na urodzinach siostrzeńca.

Sekretarka pana Linka szybko przejrzała książkę telefoniczną i podała mi adres na Young Street. Tam kupiłem wszystko, czego potrzebowałem. Schowałem to w mieszkaniu na West Neely - skoro płaciłem za nie czynsz, w sumie wypadało, żebym miał z niego jakiś pożytek. Zostawiłem tam też rewolwer, który położyłem na górnej półce szafy. Pluskwa, którą zabrałem z lampy w mieszkaniu piętro wyżej, wylądowała w schowku mojego samochodu razem ze sprytnym japońskim magnetofonem. Po powrocie do Jodie zamierzałem wyrzucić te rzeczy w krzaki. Nie były mi już potrzebne. Nikt nie wprowadził się do mieszkania na górze i w domu panowała upiorna cisza.

Zanim opuściłem Neely Street, chwilę chodziłem po ogrodzonym podwórku, gdzie raptem trzy miesiące wcześniej Marina zrobiła zdjęcia Lee trzymającego karabin. Nie zobaczyłem nic oprócz ubitej ziemi i kilku zahartowanych chwastów. Potem, kiedy już miałem iść, coś zauważyłem: błysk czerwieni pod schodami zewnętrznymi. Dziecięca grzechotka. Wziąłem ją i włożyłem do schowka w moim chevy razem z pluskwą, ale, w odróżnieniu od pluskwy, grzechotkę zatrzymałem. Nie wiem dlaczego.

15

Moim następnym przystankiem był rozległy dom wiejski na Simpson Stuart Road, w którym George DeMohrenschildt mieszkał ze swoją żoną Jeanne. Jak tylko go zobaczyłem, stwierdziłem, że nie nadaje się na zaplanowane przeze mnie spotkanie. Po pierwsze, nie miałem jak poznać, czy Jeanne jest w domu, czy nie, a ta konkretna rozmowa musiała być ściśle *mano a mano*. Po drugie, nie był wystarczająco odosobniony. Niedaleko stał Paul Quinn College, szkoła dla czarnych, i wyglądało na to, że trwały tam kursy letnie. Nie było

tłumów dzieci, ale widziałem ich sporo, niektóre szły pieszo, inne jechały na rowerach. To nie sprzyjało moim zamiarom. Było możliwe, że nasza dyskusja będzie głośna. Było możliwe, że w ogóle nie będzie dyskusją w słownikowym tego słowa znaczeniu.

Coś rzuciło mi się w oczy. Coś, co było na szerokim trawniku DeMohrenschildtów, gdzie zraszacze rozpylały zwiewną wodną mgiełkę, tworząc tęcze, które wydawały się tak małe, że można by je schować do kieszeni. Rok 1963 nie był rokiem wyborów, ale na początku kwietnia - mniej więcej wtedy, kiedy ktoś strzelił do generała Edwina Walkera - przedstawiciel Piątego Dystryktu umarł na zawał serca. Szóstego sierpnia miały się odbyć wybory uzupełniające, które wyłonią jego następcę.

Tablica zachęcała:

WYBIERZCIE JENKINSA Z PIĄTEGO DYSTRYKTU!
ROBERT „ROBBIE” JENKINS, BIAŁY RYCERZ DALLAS!

Z tego, co pisały gazety, Jenkins był dokładnie tym, za kogo się podawał - pravicowcem, który we wszystkim zgadzał się z Walkerem i duchowym doradcą Walkera, Billym Jamesem Hargisem. Robbie Jenkins opowiadał się za prawami stanów, segregacją rasową w szkołach i przywróceniem blokady Kuby z okresu kryzysu kubańskiego. Tej samej Kuby, którą DeMohrenschildt nazwał „piękną wyspą”. Ta tablica potwierdzała opinię, jaką zdążyłem sobie wyrobić na temat DeMohrenschildta. Był dyletantem, który w gruncie rzeczy nie miał żadnych politycznych przekonań. Poparłby każdego, kto go bawił albo nabijał mu kieszenie. Na Lee Oswaldzie zarobić nie mógł - był tak biedny, że mysz kościelna w porównaniu z nim to krezus - ale jego ponure oddanie socjalizmowi połączone z wybujałymi osobistymi ambicjami zapewniało DeMohrenschildtowi nie lada rozrywkę.

Jeden wniosek wydawał się oczywisty: Lee nigdy nie chodził po tym trawniku ani nie skalał dywanów w tym domu swoimi nogami biedaka. To było drugie życie DeMohrenschildta... czy raczej jedno z wielu. Coś mi mówiło, że miał ich kilka, wszystkie przechowywane w oddzielnych wodoszczelnych przedziałach. To jednak nie dawało odpowiedzi na pytanie najważniejsze: czy nudził się aż tak, by towarzyszyć Lee w jego misji mającej na celu zabójstwo faszystowskiego potwora, Edwina Walkera? Nie znałem go dość dobrze, by choć spróbować zgadnąć.

Ale go poznam. Tak postanowiłem.

Napis w witrynie lombardu Franka Fratiego oznajmiał: WITAMY W KRÓLESTWIE GITAR. Rzeczywiście, na wystawie było ich bez liku - akustyczne, elektryczne, dwunastostrunowe i jedna z podwójnym gryfem - podobną kiedyś widziałem w teledysku Motley Crue. Oczywiście były też inne pozostałości po rozbitych ludzkich losach - obrączki, broszki, radia, małe urządzenia elektryczne. Kobieta, która stanęła przede mną, była chuda, nie gruba, miała na sobie luźne spodnie i bluzkę Ship N Shore zamiast fioletowej sukienki i mokasynów, ale jej kamienna twarz do złudzenia przypominała twarz kobiety, którą poznałem w Derry, i usłyszałem, że z moich ust wyszły te same słowa co wtedy. No, może nie całkiem te same, ale nie bądźmy drobiazgowi.

- Chciałbym omówić z panem Fratim dużą propozycję biznesową na tle sportowym.

- Tak? A kiedy taka propozycja siedzi w domu z nogami na stole, to mówi o sobie per zakład?

- Pani z policji?

- Tak, jestem komendant Curry. Nie poznałeś po okularach i obwisłych policzkach?

- Nie widzę żadnych okularów ani obwisłych policzków, psze pani.

- Bo jestem w przebraniu. Co chcesz obstawić w środku lata, przyjacielu? Nic się nie dzieje.

- Case-Tiger.

- I na kogo stawiasz?

- Na Case'a.

Przewróciła oczami, po czym krzyknęła przez ramię:

- Tato, chodź no tu, jeleni ci się trafił!

Frank Frati był co najmniej dwa razy starszy od Chaza Fratiego, ale podobieństwo było niezaprzeczone. Byli spokrewnieni, to oczywiste. Gdybym wspomniał, że kiedyś złożyłem zakład u pana Fratiego z Derry w stanie Maine, bez wątpienia ucieliłobyśmy sobie krótką, uprzejmą pogawędkę o tym, jaki ten świat jest mały; może nawet powiedziałbym mu, że dla mnie *déjà vu* stało się codziennością.

Zamiast tego od razu przeszedłem do negocjacji. Czy mógłbym postawić na wygraną Toma Case'a w walce z Dickiem Tigerem w Madison Square Garden?

- Jasne - powiedział Frati. - Mógłbyś pan też wsadzić sobie rozpalony pogrzebacz w kuper, ale po co?

Jego córka szczerknęła krótkim, radosnym śmiechem.

- Na jaką stawkę mógłbym liczyć?

Spojrzał na córkę. Podniosła dłonie. Lewa pokazywała dwa palce, prawa jeden.

- Dwa do jednego? To absurd.

- Życie to absurd, mój przyjacielu. Idź na sztukę Ionesco, jak nie wierzysz. Polecam „Ofiary obowiązku”.

Cóż, przynajmniej nie nazywał mnie brachem, jak jego kuzyn z Derry.

- Panie Frati, proszę choć trochę pójść mi na rękę.

Podniósł gitarę akustyczną Epiphone Hummingbird i zaczął ją stroić. Był niesamowicie szybki.

- Daj mi powód, żebym ci poszedł na rękę, albo spadaj do Dallas. Jest tam punkt o nazwie...

- Znam to miejsce. Wolę Fort Worth. Kiedyś tu mieszkałem.

- I się wyniosłeś, co dowodzi większego rozsądku niż obstawianie Toma Case'a.

- A co pan powie na zakład, że Case wygra przez nokaut w pierwszych siedmiu rundach? Ile za to dostanę?

Spojrzał na córkę. Tym razem wyprostowała trzy palce lewej dłoni.

- A Case przez nokaut w pierwszych pięciu?

Pomyślała, po czym podniosła czwarty palec. Postanowiłem dłużej nie kusić losu. Wpisałem się do księgi zakładów i pokazałem Fratiemu prawo jazdy, zasłaniając kciukiem adres w Jodie tak jak wtedy, gdy prawie trzy lata wcześniej stawiałem na Pirates w Faith Financial. Potem dałem mu pieniądze - mniej więcej jedną czwartą moich pozostałych zasobów gotówki - i schowałem kwit do portfela. Dwa tysiące wystarczyłyby na pokrycie kolejnej części wydatków Sadie i na resztę mojego pobytu w Teksasie. A nie chciałem oskubać tego Fratiego, tak jak nie chciałem oskubać Chaza Fratiego, mimo że napuścił na mnie Billa Turcotte'a.

- Wrócę dzień po imprezie - oznajmiłem. - Szykujcie pieniądze.

Córka zaśmiała się i zapaliła papierosa.

- Czy nie tak powiedziała chórzystka do arcybiskupa?

- Nie ma pani przypadkiem na imię Marjorie? - spytałem.

Zamarła z papierosem przed twarzą i dymem wysączającym się spomiędzy warg.

- Skąd wiedziałeś? - Zaśmiała się na widok mojej miny. - Tak naprawdę jestem Wanda, kolego. Mam nadzieję, że lepiej odgadujesz wyniki niż imiona.

Wracając do samochodu, też miałem taką nadzieję.

ROZDZIAŁ 25

1

Rankiem piątego sierpnia byłem z Sadie do chwili, kiedy położyli ją na wózku i zawieźli do sali operacyjnej. Tam czekał na nią doktor Ellerton, a z nim tylu lekarzy, że starczyłoby na drużynę koszykarską. Jej oczy błyszczały od przedoperacyjnego znieczulenia.

- Życz mi szczęścia.

Schyliłem się i pocałowałem ją.

- Tyle szczęścia, ile można mieć na tym świecie.

Minęły trzy godziny, zanim zawieźli ją z powrotem do jej sali - tej samej co poprzednio, z tym samym obrazkiem na ścianie i tym samym okropnym przycupniętym w kącie sedesem. Twardo spała i chrapała, z lewą stroną twarzy owiniętą świeżym bandażem. Rhonda McGinley, pielęgniarka o barach rugbisty, pozwoliła mi zostać przy niej, dopóki nie zacznie się budzić, co stanowiło poważne naruszenie reguł. W Krainie Przeszłości godziny wizyt są ściślej przestrzegane. Chyba że, rzecz jasna, siostra przełożona cię polubi.

- Jak się czujesz? - spytałem, biorąc Sadie za rękę.

- Obolała. I śpiąca.

- To śpij, kochanie.

- Może następnym razem... - Słowa przeszły w niewyraźne, zgłuszone „hzzzzz”. Oczy jej się zamknęły, ale otworzyła je z wysiłkiem. - ...będzie lepiej. W twoim świecie.

I zasnęła, a ja miałem o czym myśleć.

Kiedy wróciłem na stanowisko pielęgniarek, Rhonda powiedziała mi, że doktor Ellerton czeka na mnie w stołówce na dole.

- Zatrzymamy ją na dziś i pewnie jutro - powiedział. - Ostatnie, czego chcemy, to żeby przyplątała się jakaś infekcja.

- Jak poszło?

- Zgodnie z oczekiwaniami, ale obrażenia, które jej zadał, były bardzo poważne. Jak tylko dojdzie do siebie, zapiszę ją na następny zabieg na środek września. - Zapalił papierosa, wydmuchnął dym i powiedział: - To znakomity zespół chirurgów i zrobimy wszystko, co w naszej mocy... ale są granice.

- Tak. Wiem. - Byłem prawie pewien, że wiem też coś jeszcze: koniec z bezowocnymi operacjami, z bólem zadawanym w próbie naprawienia tego, czego naprawić się nie da. Przynajmniej tutaj. Następnym razem, kiedy Sadie pójdzie pod nóż, noża nie będzie. Będzie laser.

W moim świecie.

2

Drobne oszczędności zawsze odbijają się człowiekowi czkawką. Kazałem zabrać telefon z mojego mieszkania na Neely Street, żeby oszczędzić te osiem czy dziesięć dolarów miesięcznie, a teraz by mi się przydał. Szczęśliwie cztery przecznice dalej był sklep U-Tote-M z kabiną telefoniczną obok lodówki z coca-colą. Miałem numer DeMohrenschildta zapisany na świstku papieru. Wrzuciłem dziesięciocentówkę i wykręciłem go.

- Rezydencja państwa DeMohrenschildt, czym mogę służyć? - Nie był to głos Jeanne. Pewnie pokojówka... doprawdy, skąd ci DeMohrenschildtowie brali pieniądze?

- Poproszę z George'em.

- Przykro mi, jest w pracy.

Wyjąłem długopis z kieszeni na piersi.

- Może mi pani podać numer?

- Tak, proszę pana. Chapel 5-6323

- Dzięki. - Zapisałem go na grzbiecie dłoni.

- Można wiedzieć, kto dzwoni, na wypadek gdyby nie udało się panu z nim skontaktować?

Odłożyłem słuchawkę. Znów spowijało mnie zimno. Cieszyłem się nim. Zimna jasność była mi potrzebna jak nigdy.

Wrzuciłem następną dziesięciocentówkę i tym razem telefon odebrała sekretarka, która poinformowała mnie, że dodzwoniłem się do Centrex Corporation. Powiedziałem, że chcę rozmawiać z panem DeMohrenschildtem. Zapytała, w jakiej sprawie.

- Niech mu pani powie, że chodzi o Jean-Claude'a Duvaliera i Lee Oswalda. I że to dla jego dobra.

- Pańskie nazwisko?

Stary Ramol tym razem się nie nada.

- John Lennon.

- Proszę zaczekać, panie Lennon, zobaczę, czy może z panem rozmawiać.

Nie było muzyki z puszki, co uznałem za zmianę na lepsze. Oparłem się o ścianę nagrzaną kabiny i wbiłem wzrok w napis JEŚLI PALISZ, WŁĄCZ WENTYLATOR.

W słuchawce trzasnęło tak głośno, że aż drgnąłem, i sekretarka powiedziała:

- Łączę, panie D.

- Halo? - Na dźwięk tego jowialnego, tubalnego głosu aktora zaschło mi w ustach. -

Halo? Panie Lennon?

- Witam. To bezpieczna linia?

- O czym pan...? Oczywiście, że tak. Momencik. Tylko zamknę drzwi.

Nastąpiła pauza, po czym wrócił do telefonu.

- O co chodzi?

- O Haiti, przyjacielu. I koncesje na ropę.

- A jaki to ma związek z monsieur Duvalierem i tym, jak mu tam, Oswaldem? - W jego głosie nie było niepokoju, tylko pogodna ciekawość.

- Och, za dobrze ich znasz, żeby tak o nich mówić - powiedziałem. - Śmiało, nazywaj ich Baby Doc i Lee.

- Jestem dziś potwornie zajęty, panie Lennon. Jeśli nie powie mi pan, o co chodzi, obawiam się, że będę musiał...

- Baby Doc może zatwierdzić koncesje naftowe, na które ostrzysz sobie zęby od pięciu lat. Wiesz o tym; jest prawą ręką ojca, dowodzi *tonton macoute* i jest pierwszy w kolejce do tronu. On cię lubi i my ciebie też lubimy...

DeMohrenschildt mówił coraz mniej jak aktor, a coraz bardziej jak człowiek z krwi i kości.

- Kiedy mówi pan „my”, czy ma pan na myśli...

- Wszyscy cię lubimy, DeMohrenschildt, ale martwią nas twoje związki z Oswaldem.

- Jezu, ledwo znam człowieka! Nie widziałem go sześć czy osiem miesięcy!

- Widziałeś go w Niedzielę Wielkanocną. Przyniosłeś jego córeczce pluszowego królika.

Bardzo długa pauza. A potem:

- No dobrze, rzeczywiście. Zapomniałem.

- A zapomniałeś o tym, że ktoś strzelał do Edwina Walkera?

- Jaki to ma związek ze mną? I z moimi interesami? - Prawie nie sposób było nie uwierzyć w autentyczność jego zdziwienia i oburzenia. Kluczowe słowo: prawie.

- Nie udawaj głupiego - powiedziałem. - Oskarżyłeś Oswalda, że to zrobił.

- Tylko żartowałem, do licha!

Oczekałem dłuższą chwilę, po czym zapytałem:

- Wiesz, w jakiej firmie pracuję, DeMohrenschildt? Wskazówka: nie jest to Standard Oil.

Po drugiej stronie zapadła cisza, w czasie której DeMohrenschildt przebiegał myślą wszystkie brednie, którymi go zasypałem. Tyle że to nie były brednie, nie do końca. Wiedziałem o pluszowym króliku i o żarciku „jak mogłeś nie trafić”, który rzucił po tym, jak jego żona zauważyła karabin. Wniosek był względnie oczywisty. Moją firmą była Firma, czyli CIA, i jedynym pytaniem, które w tej chwili kołatało się w głowie DeMohrenschildta - taką miałem nadzieję - było to, jak dużą część jego niewątpliwie interesującego życia podsłuchiwaliśmy.

- To nieporozumienie, panie Lennon.

- Dla twojego dobra mam nadzieję, że tak, bo nam się wydaje, że to ty mogłeś go nakłonić do zamachu. Na okrągło gadałeś o tym, jaki to z tego Walkera rasista i że będzie z niego następny amerykański Hitler.

- To zupełna nieprawda!

Zignorowałem to.

- Ale nie to niepokoi nas najbardziej. Najbardziej niepokoi nas to że mogłeś towarzyszyć panu Oswaldowi w jego robótce dziesiątego kwietnia.

- *Mein Gott!* To obłąd!

- Jeśli możesz to udowodnić... i jeśli obiecasz na przyszłość trzymać się z dala od nieobliczalnego pana Oswalda...

- Jest w Nowym Orleanie, na litość boską!

- Zamknij się - powiedziałem. - Wiemy, gdzie jest i co robi. Rozdaje ulotki Fair Play wobec Kuby. Jeśli wkrótce nie przestanie, wyląduje w więzieniu. - Tak się stanie, i to za niecały tydzień. Jego wujek Dutz, ten powiązany z Carlosem Marcello, wniesie za niego kaucję. - Niebawem wróci do Dallas, ale ty więcej go nie zobaczysz. Twoja gierka jest skończona.

- Mówię panu, że nigdy...

- Te koncesje wciąż mogą być twoje, ale tylko jeśli udowodnisz, że dziesiątego kwietnia nie było cię z Oswaldem. Jesteś w stanie to zrobić?

- Ja... niech pomyślę. - Długa pauza. - Tak. Tak, myślę, że tak.

- Wobec tego spotkajmy się.

- Kiedy?

- Dzisiaj. O dziewiątej. Ludzie, przed którymi odpowiadam, bardzo byliby ze mnie

niezadowoleni, gdybym dał ci dość czasu, żebyś załatwił sobie alibi.

- Niech pan przyjdzie do mojego domu. Wyślę Jeanne do kina z przyjaciółkami.

- Myślałem o innym miejscu. Trafisz tam bez żadnych wskazówek. - Powiedziałem mu, o co chodzi.

- Dlaczego tam? - Wydawał się autentycznie zdziwiony.

- Przyjdź i już. A jeśli nie chcesz, żeby *pere* i *fils Duvalier* pogniwiali się na ciebie, przyjdź sam.

Odwiesiłem słuchawkę.

3

Punkt szósta wróciłem do szpitala i posiedziałem u Sadie pół godziny. Była już w pełni przytomna i twierdziła, że ból jest do zniesienia. O wpół do siódmej pocałowałem ją w zdrowy policzek i powiedziałem, że muszę iść.

- Twoje sprawy? - spytała. - Te prawdziwe?

- Tak.

- Nikomu nie stanie się krzywda, jeśli to nie będzie absolutnie konieczne. Zgadza się? Skinąłem głową.

- I nigdy przez pomyłkę - dodałem.

- Uważaj na siebie.

- Będę się obchodził ze sobą jak z jajkiem.

Próbowała się uśmiechnąć, ale uśmiech przeszedł w grymas bólu, gdy napiął się świeżo zmaltretowany lewy policzek. Zajrzała mi za ramię. Odwróciłem się i zobaczyłem w drzwiach Deke'a i Ellie. Ubrali się odświętnie, Deke w lekki letni garnitur, krawat z tasiemki i kapelusz miejskiego kowboja, Ellie w jedwabną suknię z nadrukowanymi różami.

- Jak chcecie, możemy zaczekać - powiedziała Ellie.

- Nie, wejdźcie. Właśnie wychodziłem. Tylko nie siedźcie za długo, jest zmęczona.

Pocałowałem Sadie dwa razy - w suche usta i wilgotne czoło. Potem pojechałem na West Neely Street, gdzie rozłożyłem przed sobą rzeczy ze sklepu z kostiumami. Pracowałem powoli i starannie przed lustrem w łazience, często zaglądając do instrukcji i żałując, że Sadie nie może mi pomóc.

Nie obawiałem się, że DeMohrenschildt zobaczy mnie i powie: „Czy ja cię już gdzieś nie widziałem?”; przede wszystkim chciałem mieć pewność, że nie rozpozna „Johna Lennona” później. Zależnie od tego, jak bardzo będzie wiarygodny, mogłem być zmuszony

do niego wrócić. A wówczas będę chciał wziąć go z zaskoczenia.

Najpierw przykleiłem wąsy. Krzaczaste, upodabniały mnie do bandyty z westernu Johna Forda. Potem nałożyłem makijaż na twarz i dłonie, nadając sobie opaleniznę ranczera. Do tego doszły rogowe okulary. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie ufarbować włosów, ale jak na mój gust to za bardzo traciłoby Johnem Claytonem. Zamiast tego naciągnąłem na głowę baseballówkę San Antonio Bullets. Kiedy skończyłem, prawie się nie poznawałem w lustrze.

- Nikomu nie stanie się krzywda, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne - powiedziałem nieznajomemu w lustrze. - I nigdy przez pomyłkę. Rozumiemy się?

Nieznajomy skinął głową, ale oczy za atrapą okularów były zimne.

Zanim wyszedłem, zdjąłem rewolwer z półki w szafie i wcisnąłem go do kieszeni.

4

Przyjechałem na opuszczony parking na końcu Mercedes Street dwadzieścia minut przed czasem, ale DeMohrenschildt już tam był, jego krzykliwy cadillac stał tyłem do murej tylnej ściany magazynu Montgomery Ward. To znaczyło, że się boi. Doskonale.

Rozejrzałem się, po trosze spodziewając się zobaczyć dziewczynki ze skakanką, ale oczywiście były już w łózkach - pewnie spały i śniły o Charliem Chaplinie, który do Francji wyskoczył oglądać tancerki na własne oczy.

Zaparkowałem blisko jachtu DeMohrenschildta, opuściłem szybę, wystawiłem lewą rękę na zewnątrz i zgiąłem palec wskazujący w przywołującym geście. DeMohrenschildt przez chwilę nie ruszał się z miejsca, jakby niepewny. Wreszcie wysiadł. Dostojny krok ważniaka zniknął bez śladu. DeMohrenschildt skradał się lękliwie. To też doskonale. W jednej dłoni trzymał teczkę, tak płaską, że wiele w niej być nie mogło. Miałem nadzieję, że nie jest to tylko rekwizyt. Gdyby tak było, wówczas byśmy sobie zatańczyli, i to nie lindy hopa.

Otworzył drzwi, wsadził głowę do środka i powiedział:

- Słuchaj, nie zastrzelisz mnie ani nic takiego, co?

- Nie - powiedziałem z nadzieją, że sprawiam wrażenie znudzonego. - Gdybym był z FBI, może miałbyś powód się obawiać, ale nie jestem i o tym wiesz. Nie pierwszy raz masz z nami do czynienia. - Modliłem się o to, by Al się co do tego nie pomylił.

- Samochód jest na podsłuchu? A ty?

- Jeśli będziesz uważał na to, co mówisz, nie masz się czego bać, nie? No, wsiadaj.

Wsiadł i zamknął drzwi.

- Co do tych koncesji...

- O tym porozmawiasz kiedy indziej z kim innym. Ropa to nie moja specjalność. Moją specjalnością jest zajmowanie się ludźmi, którzy są niedyskretni, a twoja znajomość z Oswaldem to bardzo duża niedyskrecja.

- Byłem ciekaw, to wszystko. Oto facet, któremu udało się uciec do Rosji, a stamtąd uciec z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Niedouczonego wieśniaka, ale jest zaskakująco sprytny. Poza tym... - Odchrząknął. - Jeden mój znajomy chce przelecieć jego żonę.

- To wiemy - powiedziałem, myśląc o Bouhe'u, jeszcze jednym George'u w niekończącej się ich paradzie. Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł uciec z komory pogłosowej przeszłości. - Zależy mi tylko na tym, by się upewnić, że nie miałeś nic wspólnego ze sfuszerowanym zamachem na Walkera.

- Zobacz. To z żony albumu z pamiątkami.

Otworzył teczkę, wyjął stronę wyrwaną z gazety. Zapaliłem lampkę sufitową z nadzieją, że w jej świetle nie będzie widać, że moja opalenizna jest sztuczna. Ale nawet jeśli, to co? DeMohrenschildt uznałby to za jeszcze jedną szpiegowską sztuczkę.

Strona była z „Morning News” z dwunastego kwietnia. Znałem tę rubrykę; większość mieszkańców Dallas zapewne czytała dział „Z miasta” o wiele uważniej niż wiadomości z kraju i ze świata. Było dużo wytłuszczonych nazwisk i zdjęć mężczyzn i kobiet w strojach wieczorowych. DeMohrenschildt zakreślił czerwonym atramentem notkę na środku strony. Na towarzyszącej jej fotografii nie sposób było nie rozpoznać George'a i Jeanne. On, w smokingu, rzucał uśmiech, który zdawał się ukazywać tyle zębów, ile fortepian ma klawiszy. Jeanne prezentowała nadzwyczaj odważny dekolty, który przyciągał wzrok trzeciej osoby przy ich stoliku. Wszyscy troje wznosili kieliszki szampana.

- To gazeta z piątku - zauważyłem. - Zamach na Walkera był w środę.

- Artykuły w rubryce „Z miasta” zawsze są sprzed dwóch dni. Bo dotyczą życia nocnego, kapujesz? Poza tym... nie patrz tylko na zdjęcie, przeczytaj podpis, człowieku. Masz tam wszystko czarno na białym!

Sprawdziłem to, ale wiedziałem, że mówi prawdę, jak tylko zobaczyłem wypisane wrzaskliwie tłustym drukiem nazwisko ich towarzysza tamtego wieczoru. Echo harmoniczne było głośnie jak wzmacniacz gitarowy z włączonym pogłosem.

W środowy wieczór lokalny radca naftowy George DeMohrenschildt zabrał swoją małżonkę **Jeanne** do **Carousel Club**, gdzie spełnili toast (a może kilkanaście!) z okazji

urodzin tej przesmakuśnej damy. Których? Zakochana para nie chciała zdradzić, ale naszym zdaniem pani **DeMohrenschildt** wygląda na nie więcej niż dwadzieścia trzy lata (fiu-fiu!). Ich gospodarzem był jowialny Wielki Bonza z **Carousel, Jack Ruby**, który postawił świętującym szampana na koszt firmy, a następnie wznosił z nimi toast. Wszystkiego najlepszego, **Jeanne**, niech Ci gwiazdka pomyślności nigdy nie zagaśnie!

- Szampan to był zwykły jabol i kac męczył mnie do trzeciej po południu, ale jeśli to cię zadowoli, warto było.

To mnie rzeczywiście zadowoliło. I zafascynowało.

- Jak dobrze znasz tego Ruby'ego?

DeMohrenschildt pociągnął nosem - cały jego wielkopański snobizm wyrażony jednym szybkim wdechem przez rozszerzone nozdrza.

- Słabo, a wolałbym w ogóle. To stuknięty Żydek, który stawia policji drinki, żeby przymykali oko, kiedy robi użytek z pięści. A to mu się często zdarza. Pewnego dnia doigra się przez ten swój temperament. Jeanne lubi striptizerki. Podniecają ją. - Wzruszy ramionami, jakby chciał powiedzieć „i weź tu zrozum kobiety”. - I co, jesteś... - Spojrzał w dół, zobaczył kolta w mojej garści i zamilkł. Jego oczy otworzyły się szeroko. Wystawił język i oblizał wargi. Wciągnął go z powrotem do ust z dziwnym, mokrym mlaśnięciem.

- Czy jestem usatysfakcjonowany? O to chciałeś zapytać?

Dźgnąłem go lufą i jego zduszony okrzyk sprawił mi sporą przyjemność. Zabójstwo zmienia człowieka, powiadam wam, znieczula go, ale na moją obronę: nikt bardziej od DeMohrenschildta nie zasługiwał na to, by dostać porządną nauczkę. Marguerite częściowo odpowiadała za to, kim stał się jej najmłodszy syn, i Lee w dużym stopniu był sam sobie winien - te wszystkie niekonkretne marzenia o chwale - ale DeMohrenschildt także odegrał w tym rolę. I czy był to jakiś zawiły spisek uknuty w głębokich lochach CIA? Nie. Faceta bawiło bratanie się z plebsem. Podobnie jak wściekłość i rozgoryczenie zapieczone w niezrównoważonej osobowości Lee.

- Proszę - szepnął DeMohrenschildt.

- Jestem usatysfakcjonowany. Ale posłuchaj mnie, ty gaduło: nigdy więcej nie spotkasz się z Lee Oswaldem. Nigdy do niego nie zadzwonisz. Nie piśniesz słowa o tej rozmowie jego żonie, jego matce, George'owi Bouhe'owi ani żadnemu z pozostałych emigrantów. Rozumiesz?

- Tak. Całkowicie. I tak zaczynał mnie nudzić.

- Nie tak bardzo jak ty mnie. Jeśli się dowiem, że rozmawiałeś z Lee, zabiję cię.

Kapujesz?

- Tak. A koncesje...?

- Ktoś się z tobą skontaktuje. A teraz wypierdalaj z mojego samochodu.

Zrobił to co żywo. Kiedy usiadł za kierownicą cadillaca, znów wystawiłem lewą rękę na zewnątrz. Zamiast go przywoływać, tym razem wskazałem palcem na Mercedes Street. Pojechał.

Ja jeszcze przez czas jakiś zostałem na miejscu, patrząc na wycinek, który w pośpiechu zapomniał zabrać ze sobą. DeMohrenschildtowie i Jack Ruby ze wzniesionymi kieliszkami. Czy to znak, że spisek jednak istniał? Zapewne tak sądziłyby oszołomy, które wierzą w takie rzeczy jak snajperzy wyskakujący z kanałów i sobowtóry Oswalda, ale ja wiedziałem swoje. To był tylko jeszcze jeden element harmonii. To była Kraina Przeszłości, w której wszystko odbijało się echem.

Sądziłem, że udało mi się zawęzić margines niepewności Ala Templetona do najcieńszej kreseczki. Trzeciego października Oswald wróci do Dallas. Według notatek Ala, w połowie października zostanie zatrudniony jako pracownik fizyczny w Teksaskiej Składnicy Podręczników. Tyle że tak się nie stanie, bo między trzecim a szesnastym zakończy jego nędzny, niebezpieczny żywot.

5

Rankiem siódmego sierpnia pozwolono mi zabrać Sadie ze szpitala. W drodze do Jodie milczała. Ból wciąż dawał jej się we znaki, ale przez prawie całą podróż czule trzymała dłoń na moim udzie. Kiedy zjechaliśmy z drogi numer 77 przy wielkim billboardzie Lwów Denholm, powiedziała:

- We wrześniu wracam do szkoły.

- Na pewno?

- Tak. Skoro mogłam stanąć przed całym miastem w Grange, to i przed grupą dzieci w bibliotece szkolnej dam radę. Poza tym coś czuję, że będziemy potrzebowali pieniędzy. Jeśli nie masz jakiegoś źródła dochodów, o którym nie wiem, musisz być już prawie splukany. Przeze mnie.

- Pod koniec miesiąca powinno mi wpłynąć trochę gotówki.

- Z tej walki?

Skinąłem głową.

- To dobrze. A ja i tak nie będę musiała długo znosić szeptów i chichotów. Bo kiedy

wyjdziesz, ja wyjadę z tobą. - Zawiesiła głos. - Jeśli nadal tego chcesz.

- Sadie, tylko tego chcę.

Skręciliśmy na Main Street. Jem Needham właśnie kończył rozwozić mleko. Bill Gavery wykladał przed piekarnią świeże bochenki chleba nakryte rzadkim płótnem. W mijającym nas samochodzie Jan and Dean śpiewali, że w Surf City na każdego chłopca przypadają dwie dziewczyny.

- Spodoba mi się, Jake? Tam u ciebie?

- Mam nadzieję, skarbie.

- Czy jest dużo inaczej?

Uśmiechnąłem się.

- Ludzie więcej płacą za paliwo i mają więcej guzików do wciskania. Poza tym jest właściwie tak samo.

6

Ten upalny sierpień stał się dla nas swoistym miesiącem miodowym i było słodko. Wszelkie pozory, jakobym mieszkał u Deke'a Simmonsa, poszły w zapomnienie, choć nadal zostawiałem samochód na noc przed jego domem.

Sadie szybko doszła do siebie po ostatnim spotkaniu z nożem i choć powieka jej opadała, a policzek wciąż szpecily blizny i głęboka rysa w miejscu, gdzie Clayton przeciął go na wylot, poprawa była widoczna. Ellerton i jego zespół spisali się najlepiej, jak mogli w tych okolicznościach.

Czytaliśmy książki, siedząc obok siebie na jej kanapie, podczas gdy wentylator rozwiewał nam włosy - ona „Grupę” Mary McCarthy, ja „Judę nieznanego” Thomasa Hardy'ego. Urządzaliśmy sobie pikniki w ogródku, w cieniu jej ulubionej pistacji chińskiej, i piliśmy hektolitry mrożonej kawy. Sadie znów zaczęła ograniczać palenie. Oglądaliśmy „Rawhide”, „Ben Casey” i „Route 66”. Któregoś wieczoru włączyła „Nowe przygody Ellery'ego Queena”, ale poprosiłem, żeby zmieniła kanał. Nie lubię kryminałów, powiedziałem.

Przed snem starannie smarowałem maścią jej poranioną twarz, a kiedy kładliśmy się do łóżka... było dobrze. Poprzestaśmy na tym.

Pewnego dnia przed sklepem spożywczym nadziałem się na Jessicę Caltrop, tę czcigodną członkinię rady szkolnej. Powiedziała, że chciałaby chwilę ze mną porozmawiać o pewnej, jak to ujęła, „delikatnej” sprawie.

- A jakież to może być sprawa, pani Caltrop? - spytałem. - Bo mam tu lody i chciałbym zawieźć je do domu, zanim się roztopią.

Obdarzyła mnie zimnym uśmiechem, który mógłby zamrozić moje lody waniliowe na wiele godzin.

- Czy dom, o którym pan mówi, jest na Bee Tree Lane, panie Amberson? U nieszczęsnej panny Dunhill?

- Od kiedy jest to pani interes?

Uśmiech zlodowaciał jeszcze trochę bardziej.

- Jako członek rady szkolnej muszę pilnować nienagannego prowadzenia się naszej kadry. Jeżeli pan i panna Dunhill mieszkacie razem, jest to dla mnie przedmiotem najwyższej troski. Nastolatki są podatne na wpływy. Naśladują podpatrzone zachowania starszych od siebie.

- Tak pani myśli? Bo ja, po jakichś piętnastu latach w sali lekcyjnej, powiedziałbym raczej, że widząc zachowania dorosłych, uciekają, gdzie ich nogi poniosą.

- Nie wątpię, że moglibyśmy odbyć pouczającą dyskusję na temat pańskiego postrzegania psychologii nastolatków, panie Amberson, ale nie dlatego chcę z panem porozmawiać, jakkolwiek to dla mnie krępujące. - Zupełnie nie wyglądała na skrepowaną. - Jeżeli żyje pan w grzechu z panną Dunhill...

- Grzech - powiedziałem. - To dopiero ciekawe słowo. Jezus mówił, że kto jest bez grzechu, może pierwszy rzucić kamieniem. Czy pani jest bez grzechu, pani Caltrop?

- Nie rozmawiamy o mnie.

- A moglibyśmy. Ja mógłbym. Mógłbym, na przykład, popytać ludzi o nieślubne dziecko, które pani dawno temu powiła.

Wzdrygnęła się, jakby dostała w twarz, i cofnęła się o dwa kroki w kierunku ściany sklepu. Ja postąpiłem dwa kroki naprzód, z torbami pełnymi zakupów w ramionach.

- To wstrętne i obraźliwe! - krzyknęła. - Gdyby nadal pan uczył, postarałabym się...

- Nie wątpię, ale nie uczę, więc posłuchaj mnie bardzo uważnie. Jak słyszałem, urodziłaś dziecko, kiedy miałaś szesnaście lat i mieszkałaś na Sweetwater Ranch. Nie wiem, czy ojcem był kolega z klasy, wędrowny kowboj czy może nawet twój własny ojciec...

- Jesteś wstrętny!

To prawda. I czasem to takie przyjemne.

- Nie obchodzi mnie, kto to był, ale obchodzi mnie Sadie, która zaznała więcej bólu i cierpienia niż ty przez całe swoje życie. - Przypierałem ją do ściany. Patrzyła na mnie z dołu oczami błyszczącymi przerażeniem. W innych czasach, w innym miejscu może byłoby mi jej

zał. Nie teraz. - Jeśli piśniesz jedno słowo o Sadie... komukolwiek... zrobię wszystko, żeby się dowiedzieć, gdzie ten twój dzieciak jest dziś, i rozpuszczę wieść o nim po całym mieście. Rozumiemy się?

- Zejdź mi z drogi! Puść mnie!

- Rozumiemy się?

- Tak! Tak!

- To dobrze. - Cofnąłem się o dwa kroki. - Niech pani żyje swoim życiem, pani Caltrop. Podejrzewam, że jest dość szare od czasu, kiedy skończyła pani szesnaście lat... za to pracowite, grzebanie w cudzych brudach to przecież ciężka praca... ale niech pani sobie żyje tak dalej. I da nam żyć po swojemu.

Przesuwała się w lewo wzdłuż muru, w stronę parkingu za sklepem. Miała wybałuszone oczy. Nie odrywała ich ode mnie.

Uśmiechnąłem się uprzejmie.

- Zanim ta rozmowa stanie się czymś, co się nigdy nie wydarzyło, dam szanownej pani jedną radę. Płynącą prosto z serca. Ja tę kobietę kocham, a na pani miejscu nie zadzierałbym z zakochanym mężczyzną. Jeśli będzie pani pchać nos w sprawy moje... albo Sadie, zrobię co w mojej mocy, by ten wścibski nos pani utracić. Solennie to obiecuję.

Pobiegła na parking. Zrobiła to niewprawnie, jak ktoś, kto dawno nie miał okazji poruszać się w tempie szybszym od dostojnego marszu. W swojej brązowej sukience do łydek, nieprzezroczystych cielistych pończochach i porządnych brązowych butach, była uosobieniem swojej epoki. Włosy wymykały się z jej koka. Nie wątpiłem, że kiedyś nosiła je rozpuszczone, tak jak to się najbardziej podoba mężczyznom, ale to było dawno, dawno temu.

- I miłego dnia życzę! - zawołałem za nią.

7

Sadie weszła do kuchni, kiedy chowałem zakupy do lodówki.

- Długo cię nie było. Zaczynałam się niepokoić.

- Zagadałem się. Wiesz, jak to jest w Jodie. Zawsze trafi się ktoś, z kim można miło spędzić czas.

Uśmiechnęła się. Przychodziło jej to już trochę łatwiej.

- Słodki jesteś.

Podziękowałem i powiedziałem jej, że też jest słodka. Ciekaw byłem, czy pani Caltrop zwróci się do Freda Millera, drugiego członka rady szkolnej, który uważał się za stróża

moralności w mieście. Raczej nie. Chyba skutecznie ją zastraszyłem. Z DeMohrenschildtem mi się udało, z nią też. Zastraszanie ludzi to brudna robota, ale ktoś musi ją odwalić.

Sadie objęła mnie ramieniem.

- Co powiedziałbyś na weekend w Candlewood Bungalows, zanim zacznie się szkoła? Jak za dawnych czasów? Pewnie Sadie na zbyt wiele sobie pozwala, co?

- No cóż, to zależy. - Wziąłem ją w objęcia. - A będziemy świętować?

Jej twarz zarumieniła się, oprócz okolicy blizny. Tam skóra pozostała biała i lśniąca.

- Pogrzesziii-my sobie, *señor*.

- Wobec tego im szybciej, tym lepiej.

8

Tak naprawdę nie był to grzeszny weekend, chyba że sądzicie - jak Jessiki Caltrap tego świata - że kochanie się to grzech. To prawda, że sporo czasu spędziliśmy w łóżku. Dość często wychodziliśmy też jednak na zewnątrz. Sadie była niestrudżonym piechurem, a na stoku wzgórza za Candlewood rozciągała się rozległa łąka. Mieniła się kolorami polnych kwiatów. Spędziliśmy tam prawie całe sobotnie popołudnie. Sadie знаła niektóre kwiaty - jukka, mak kolczasty, różanecznik szary, coś o nazwie rdest ptasi - ale przy innych mogła tylko pokręcić głową i schylić się, by powąchać. Szliśmy, trzymając się za ręce, wysoka trawa ocierała się o nasze dżinsy, wielkie puchate chmury żeglowały po wysokim teksaskim niebie. Łąkę przecinały długie żaluzje światła i cienia. Tego dnia wiał chłodny wietrzyk i w powietrzu nie było smrodu z rafinerii. Na szczycie wzgórza odwróciliśmy się i spojrzeliśmy w dół. Domki wydawały się małe i nieistotne na usianej drzewami wielkiej połaci prerii. Droga wyglądała jak wstążka.

Sadie usiadła, przyciągnęła kolana do piersi i objęła je mocno. Usiadłem obok niej.

- Chcę cię o coś spytać - powiedziała.

- Proszę bardzo.

- Nie chodzi o to... no wiesz, skąd pochodzisz... na razie nie mam do tego głowy. Chodzi o człowieka, którego masz powstrzymać. Tego, który, jak twierdzisz, zabije prezydenta.

Zastanowiłem się.

- Delikatny temat, kochanie. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że jestem blisko potężnej maszyny pełnej ostrych zębów?

- Tak...

- Powiedziałem, że nie pozwolę, żebyś stała u mojego boku w czasie, kiedy przy niej majstruję. Zdradziłem ci już więcej, niż zamierzałem, i prawdopodobnie więcej, niż powinienem. Widzisz, przeszłość nie chce, żeby ją zmieniać. Broni się, kiedy próbujesz. Tym zacieklej, im większa jest potencjalna zmiana. Nie chcę, żeby stało ci się coś złego.

- Już się stało - szepnęła.

- Pytasz, czy to z mojej winy?

- Nie, kochanie. - Położyła dłoń na moim policzku. - Nie.

- Bo to całkiem możliwe. Jest coś, co nazywa się efekt motyla... - Jakby dla zilustrowania tego faktu, na zbieżnym przed nami fruwały setki motyli.

- Znam to - powiedziała. - Ray Bradbury napisał o tym opowiadanie.

- Naprawdę?

- Pod tytułem „I uderzył grom”. Bardzo piękne i bardzo niepokojące. Ale, Jake... Johnny był szalony na długo, zanim się pojawiłeś. Zostawiłam go na długo, zanim się pojawiłeś. A gdybyś nie pojawił się ty, może pojawiłby się inny mężczyzna. Jestem pewna, że nie byłby taki miły jak ty, ale nie wiedziałabym tego, prawda? Czas to drzewo o wielu gałęziach.

- Co chcesz wiedzieć o tym człowieku, Sadie?

- Głównie to, dlaczego po prostu nie zadzwonisz na policję... anonimowo, oczywiście... i nie doniesiesz na niego.

Zerwałem źdźbło trawy i przygryzając je, myślałem nad jej pytaniem. Pierwszym, co przebiegło mi przez głowę, było coś, co DeMohrenschildt powiedział na parkingu przy Montgomery Ward: „To niedouczony wieśniak, ale jest zaskakująco sprytny”.

Trafna ocena. Lee wyrwał się z Rosji, kiedy mu się tam znudziło; będzie też dość sprytny, by po zabiciu prezydenta uciec ze Składnicy Podręczników, mimo niemal natychmiastowej reakcji policji i Secret Service. Oczywiście, że reakcja będzie błyskawiczna; wielu ludzi wyraźnie zobaczy, skąd padną strzały.

Lee zostanie przesłuchany pod lufą pistoletu w pokoju socjalnym na piętrze, jeszcze zanim pędząca kolumna samochodów przewiezie umierającego prezydenta do szpitala Parkland. Glina, który przeprowadzi przesłuchanie, będzie później wspominał, że ten młody człowiek mówił rozsądnie i przekonująco. Kiedy brygadzysta Roy Truly poręczy za Oswalda i potwierdzi, że jest tu zatrudniony, policjant puści Królika Ozziego wolno i pobiegnie na górę szukać miejsca, z którego padły strzały. Całkiem możliwe, że gdyby nie jego przypadkowe spotkanie z funkcjonariuszem Tippitem, Lee pozostałby na wolności przez wiele dni, może nawet miesięcy.

- Sadie, gliny z Dallas zaszokują świat swoją niekompetencją. Byłbym szalony, gdybym im zaufał. Zresztą pewnie zignorowałyby anonimowy donos. A w tej chwili tego człowieka w ogóle nie ma w Teksasie i nie zamierza tu wrócić. Planuje uciec na Kubę.

- Na Kubę? Na miłość boską, dlaczego na Kubę?

Pokręciłem głową.

- To bez znaczenia, bo nic z tego nie wyjdzie. Wróci do Dallas, ale bez zamiaru zabójstwa prezydenta. Na razie nawet nie wie, że Kennedy przyjedzie do Dallas. Sam Kennedy tego nie wie, bo tej podróży jeszcze nie zaplanowano.

- Ale ty wiesz.

- Tak.

- Bo w czasach, z których pochodzisz, to wszystko jest w podręcznikach historii.

- W ogólnych zarysach, tak. Szczegóły znam od przyjaciela, który mnie tu wysłał. Pewnego dnia, kiedy będzie po wszystkim, opowiem ci całą historię, ale nie teraz. Nie kiedy ta machina ze wszystkimi tymi zębami nadal pracuje pełną parą. Najważniejsze jest to, że jeśli policja przesłucha tego człowieka przed połową listopada, on sprawi na nich wrażenie całkowicie niewinnego, bo jest niewinny. - Kolejny ogromny cień chmury przetoczył się po nas, chwilowo obniżając temperaturę o jakieś dziesięć stopni. - Możliwe, że tak naprawdę zdecydował się dopiero w chwili, kiedy pociągnął za spust.

- Mówisz tak, jakby to już się stało - dziwiła się.

- Bo w moim świecie to już się stało.

- Co tak ważnego wydarzy się w połowie listopada?

- Szesnastego „Morning News” poinformuje Dallas o przejeździe kolumny samochodów prezydenta Main Street. L... ten człowiek przeczyta to i zorientuje się, że samochody będą mijać jego miejsce pracy. Zapewne pomyśli, że to znak od Boga. Albo od ducha Karola Marksa.

- Gdzie będzie pracował?

Znowu pokręciłem głową. Bezpieczniej dla niej, żeby tego nie wiedziała. Oczywiście, najbezpieczniej byłoby, żeby nie wiedziała niczego. A mimo to (już to mówiłem, ale warto powtórzyć) wielką ulgą było wyjawić drugiej osobie choć część prawdy.

- Gdyby policja z nim porozmawiała, może przynajmniej by go odstraszyli.

Miała rację, ale jakież to byłoby straszne ryzyko. Raz już zaryzykowałem, rozmawiając z DeMohrenschildtem, lecz w tamtej sytuacji zagrożenie było mniejsze, bo DeMohrenschildtowi zależało na tych koncesjach naftowych. Poza tym zrobiłem coś więcej, niż tylko go odstraszyłem - przeraziłem go na śmierć. Sądziłem, że będzie trzymał gębę na

klódkę. Za to Lee...

Wziąłem Sadie za rękę.

- W tej chwili mogę przewidzieć, dokąd zmierza ten człowiek, w taki sam sposób, w jaki mogę przewidzieć, dokąd zmierza pociąg, bo wiem, że nie może opuścić torów. Kiedy tylko wkroczę, kiedy się wmieszam, dalszy ciąg będzie sprawą otwartą.

- A gdybyś sam z nim porozmawiał?

Przed oczami stanął mi prawdziwie koszmarny obraz. Zobaczyłem Lee mówiącego glinom: „Ten pomysł podsunął mi George Amberson. Sam nigdy bym na to nie wpadł”.

- To też raczej nic by nie dało.

- Będziesz musiał go zabić? - spytała cicho.

Nie odpowiedziałem. Co, oczywiście, samo w sobie było odpowiedzią.

- I wiesz na pewno, że to się wydarzy.

- Tak.

- Tak jak wiesz, że Tom Case wygra tę walkę dwudziestego dziewiątego.

- Tak.

- Chociaż wszyscy znawcy boksu twierdzą, że Tiger go rozniesie.

Uśmiechnąłem się.

- Czytałaś dział sportowy.

- Tak. To prawda. - Wyjęła źdźbło trawy z moich ust i włożyła do własnych. - Nigdy nie byłam na walce bokserskiej. Zabierzesz mnie?

- Tak naprawdę nie będzie na żywo. Pokażą ją na wielkim ekranie.

- Wiem. Zabierzesz mnie?

9

Wiele pięknych kobiet przyszło obejrzyć walkę w Dallas Auditorium, ale Sadie też przyciągała niejedno pełne uznania spojrzenie. Starannie się na tę okazję umalowała, ale nawet najbardziej umiętny makijaż mógł co najwyżej zminimalizować uszkodzenia twarzy, nie całkowicie je ukryć. Bardzo pomogła sukienka. Ciasno opinała jej sylwetkę i miała głęboki okrągły dekolot.

Genialnym pomysłem była filcowa fedora, którą Ellen Dockerty dała jej na wieść, że George zaprosił ją na walkę bokserską. Kapelusz był prawie idealną kopią tego, który Ingrid Bergman ma na głowie w ostatniej scenie „Casablanki”. Niedbale przekrzywiony, doskonale podkreślał jej twarz... i, oczywiście, przechylony był na lewo, rzucając głęboki trójkąt cienia

na oszpecony policzek. Żaden makijaż nie byłby bardziej skuteczny. Kiedy wyszła z sypialni, żeby mi się pokazać, powiedziałem jej, że wygląda bosko. Ulga na jej twarzy i radosne iskierki w oczach wskazywały, że wiedziała, że mówię tak nie tylko po to, by sprawić jej przyjemność.

Na rogatkach Dallas był duży ruch i kiedy wreszcie usiedliśmy na swoich miejscach, trwała już trzecia przedwalka - potężny czarny zawodnik i jeszcze potężniejszy biały powoli okładali się pięściami wśród wiwatów tłumu. Nad wypolerowaną posadzką z twardego drewna, na której w sezonie koszykarskim grali Dallas Chapperells (kiepsko), wisiał nie jeden, lecz cztery ogromne ekrany. Obraz szedł z licznych systemów projekcji tylnej i choć kolory były przyćmione - wręcz prymitywne - wszystko widać było jak na dłoni. Sadie była pod wrażeniem. Ja, prawdę mówiąc, też.

- Niepokoisz się? - spytała.

- Tak.

- Mimo że...

- Mimo że. Kiedy w sześćdziesiątym obstałem, że Pirates wygrają World Series, wiedziałem, że tak będzie. Tym razem całkowicie zdaję się na mojego przyjaciela, który pewnie znalazł tę informację w Internecie.

- A cóż to takiego?

- Science fiction. Jak coś z Raya Bradbury'ego.

- Aha... jasne. - Włożyła palce do ust i gwizdnęła. - Hej, daj tu piwo!

Sprzedawca piwa, wystrojony w kamizelkę, kapelusz kowbojski i pasek nabity srebrnymi ćwiekami, sprzedał nam dwie butelki lone star (szklane, nie plastikowe) z papierowymi kubkami nasadzonymi na szyjki. Dałem mu dolara i powiedziałem, że reszty nie trzeba.

Sadie wzięła swoje piwo, stuknęła się ze mną i powiedziała:

- Powodzenia, Jake.

- Jeśli będzie mi potrzebne, to mam nielichy kłopot.

Zapaliła papierosa, dodając więcej dymu do niebieskiej zasłony wiszącej wokół reflektorów. Siedziałem na prawo od niej i z mojego miejsca wyglądała idealnie.

Stuknąłem ją w ramię i kiedy się odwróciła, lekko pocałowałem w rozchyłone usta.

- Mała - powiedziałem - zawsze będziemy mieli Paryż.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Może ten w Teksasie.

Tłum jęknął głośno. Czarny bokser właśnie powalił białego na deski.

Walka wieczoru zaczęła się o wpół do dziesiątej. Na ekranach pojawiły się zbliżenia bokserów i kiedy kamera skupiła się na Tomie Case, zrobiło mi się ciężko na sercu. Jego kręcone czarne włosy były oproszone siwizną. Miał obwisłe policzki. Brzuch wylewał się ze spodenek. Jednak najgorsze były jego jakoś oszołomione oczy wyglądające z opuchniętych, zrytych bliznami worów. Sprawiał wrażenie, jakby nie bardzo się orientował, gdzie jest. Półtoratysiężna publiczność zgotowała mu owację - Tom Case to przecież swojak - ale usłyszałem też spory chór buczących głosów. Kiedy tak siedział w swoim narożniku, zgarbiony, przytrzymując się lin dłońmi w rękawicach, wyglądał, jakby już przegrał. A Dick Tiger był na nogach, boksował z cieniem i zwinnie podskakiwał w swoich czarnych butach bokserskich.

Sadie nachyliła się do mnie i szepnęła:

- Nie za dobrze to wygląda, kochanie.

To było niedopowiedzenie stulecia. Wyglądało to fatalnie.

Daleko z przodu (gdzie ekran musiał wyglądać jak wysokie urwisko, na którym wyświetlane są zamazane ruchome sylwetki) zobaczyłem, jak Akiva Roth prowadzi ubraną w norki lalunię w ciemnych okularach à la Greta Garbo na miejsce, które byłoby przy samym ringu, gdyby walka nie toczyła się na ekranie. Siedzący przed nami pulchny facet palący cygaro obejrzał się i powiedział:

- Na kogo stawiasz, ślicznotko?

- Na Case'a! - dzielnie odparowała Sadie.

Grubas z cygarem się zaśmiał.

- Cóż, dobre masz serce. Założymy się o dyczę?

- Zgodzi się pan na stawkę cztery do jednego? Że Case wygra przez nokaut?

- Że Case znokautuje Tigera? Droga pani, z miłą chęcią. - Wyciągnął rękę. Sadie uściśnęła ją. Odwróciła się do mnie z wyzywającym uśmiechem igrającym w sprawnym kąciku jej ust.

- Śmiały krok - powiedziałem.

- Wcale nie - odparła. - Tiger padnie na deski w piątej rundzie. Widzę przyszłość.

Ubrany w smoking konferansjer o włosach zlanych wodą fryzjerską potruchtął na

środek ringu, ściągnął na dół mikrofon na srebrnym kablu i odczytał statystyki pięściarzy dudniącym głosem naganiacza z wesołego miasteczka. Odegrano hymn państwowy. Mężczyźni zerwali kapelusze z głów i położyli dłonie na sercach. Czulem, że moje serce łomocze gwałtownie, co najmniej stu dwudziestoma uderzeniami na minutę, może nawet szybciej. Sala była klimatyzowana, ale pot ściekał mi po karku i zmoczył pachy.

Dziewczyna w bikini i na wysokich obcasach niespiesznie obeszała ring wkoło, trzymając w górze tablicę z wielką jedynką.

Brzęknął gong. Tom Case powlókł się na środek ringu ze zrezygnowaną miną. Dick Tiger żwawo, w podskokach wyszedł mu na spotkanie, zamarkował cios prawą ręką, po czym wyprowadził szybki lewy hak, który powalił Case'a po dokładnie dwunastu sekundach walki. Przez tłum - ten tutaj i ten w Garden, daleko stąd - przetoczył się pomruk zniesmaczenia. Dłoń Sadie na moim udzie zeszytywniała i wczepiła się we mnie, jakby wysunęła pazury.

- Powiedz swojej dyszce, żeby pożegnała się z koleżankami, ślicznotko - radośnie oznajmił grubas z cygarem.

Al, co ci, kurde, do łba strzeliło? - pomyślałem.

Dick Tiger wycofał się do swojego narożnika i stał tam, podskakując nonszalancko na palcach, podczas gdy sędzia zaczął liczyć jego przeciwnika, teatralnie machając prawą ręką z góry na dół. Kiedy doszedł do trzech, Case się poruszył. Przy pięciu usiadł prosto. Przy siedmiu ukląkł na jednym kolanie. A przy dziewięciu wstał i uniósł rękawice. Sędzia wziął jego twarz w dłonie i o coś zapytał. Case odpowiedział. Sędzia skinął głową, przywołał Tigera gestem i odsunął się na bok.

Tiger Man, któremu może spieszyło się na stek w Sardi's, rzucił się do ataku, by dobić przeciwnika. Case nie próbował uciekać - szybkość dawno go opuściła, może podczas walki w jakiejś dziurze jak Moline w stanie Ohio czy Springfield w Illinois - ale potrafił się osłaniać... i kłinczować. Robił to raz po raz, kładł głowę na ramieniu Tigera jak zmęczony tancerz tango i słabo klepał go pięściami po plecach. Tłum zaczął buczeć. Kiedy zabrzączał gong i Case powlókł się na swój stołek ze spuszczoną głową i bezwładnie zwisającymi pięściami w rękawicach, buczenie stało się głośniejsze.

- Jest do niczego, ślicznotko - stwierdził grubas.

Sadie spojrzała na mnie z niepokojem.

- Co sądzisz?

- Przetrwał pierwszą rundę. - Tak naprawdę myślałem, że ktoś powinien skrócić jego męki.

Laska w bikini znów zrobiła swoje, tym razem trzymając w górze dwójkę. Brzęknął

gong. Tiger ponownie wyskoczył na ring, a Case wyszedł, powłócząc nogami. Mój faworyt nadal podchodził jak najbliżej przeciwnika, szukając zwarcia, ale zauważyłem, że teraz udawało mu się blokować lewy hak, który powalił go w pierwszej rundzie. Tiger objął brzuch starszego rywala pracującą jak tłok prawą pięścią, ale pod tą warstwą sadła musiało kryć się sporo mięśni, bo ciosy wyraźnie nie robiły na Casie wrażenia. W pewnym momencie Tiger odepchnął Case'a i machnął na niego rękawicami w geście mówiącym „no dawaj, no dawaj”. Tłum zaczął wiwatować. Case tylko stał i patrzył, więc to Tiger zaatakował. Case natychmiast przeszedł do zwarcia. Tłum jęknął. Rozbrzmiał gong.

- Moja babcia lepiej postawiłaby się Tigerowi - burknął grubas z cygarem.

- Może i tak - powiedziała Sadie, zapalając swojego trzeciego papierosa podczas tej walki - ale nadal trzyma się na nogach, nie?

- Już niedługo, słonko. Jeszcze jeden lewy hak i po sprawie. - Prychnął śmiechem.

W trzeciej rundzie znów było dużo klinczowania i szurania nogami po ringu, ale w czwartej Case nieco opuścił gardę i Tiger zasypał go serią lewych i prawych sierpowych, na które widownia z rykiem zerwała się na nogi. Dziewczyna Akivy Rotha wstała razem ze wszystkimi. Sam pan Roth został na miejscu, ale zadał sobie trud, by prawą, ozdobioną sygnetami ręką ująć damę swego serca za tytek.

Case upadł na liny, odgryzając się prawymi, aż wreszcie jeden z nich trafił. Wydawał się dość słaby, lecz Tiger Man się otrząsnął, rozrzucając wokół krople potu z włosów. Miał oszołomioną minę mówiącą „a to skąd się wzięło?”. Potem ponowił ataki. Krew popłynęła z rozcięcia obok lewego oka Case'a. Zanim Tiger mógł powiększyć ranę na tyle, by strużka przeszła w strumień, odezwał się gong.

- Jak dasz mi tę dychę już teraz, ślicznotko - powiedział pękaty palacz - ty i twój narzeczony zdążycie wyjechać, zanim zrobią się korki.

- Wie pan co - odparowała Sadie - dam panu szansę na to, żeby się wycofać i zaoszczędzić czterdzieści dolarów.

Grubas z cygarem się roześmiał.

- Piękna i z poczuciem humoru. Jeśli ten przerośnięty helikopter, z którym jesteś, źle cię traktuje, kochana, zapraszam do siebie.

W narożniku Case'a sekundant gorączkowo zajmował się kontuzjowanym okiem podopiecznego, wyciskając coś z tubki i rozsmarowując to czubkami palców. Wyglądało mi to na klej Crazy Glue, chociaż zdaje się, że w tych czasach jeszcze go nie wynaleziono. Potem plasnął Case'a mokrym ręcznikiem w twarz. Rozbrzmiał gong.

Dick Tiger skoczył naprzód, atakując prawymi sierpowymi i lewymi hakami. Case

uniknął ciosu z lewej i po raz pierwszy w tej walce Tiger uderzył prawym podbródkowym. Case odchylił się na tyle, że nie dostał w szczękę, ale pięść rywala trafiła go w policzek. Siła ciosu wykrzywiła jego twarz w grymas rodem z domu strachów. Zatoczył się do tyłu. Tiger przypadł do niego. Widownia znów zerwała się na nogi, rykiem domagając się krwi. Wstaliśmy razem z nimi. Sadie zasłoniła usta dłońmi.

Tiger przyparł Case'a do jednego z neutralnych narożników i okładał go ciosami z prawej i lewej. Widziałem, że Case słabnie; widziałem, jak światło w jego oczach przygasa. Jeszcze jeden lewy hak - albo ten piorunujący prawy sierpowy - i zgaśnie całkowicie.

- NA DESKI GO! - krzyczał grubas z cygarem. - NA DESKI GO, DICKY! ROZWAL MU ŁEB!

Tiger uderzył nisko, poniżej pasa. Zapewne niechcący, ale sędzia przerwał walkę. Podczas gdy udzielał Tigerowi ostrzeżenia za niedozwolony cios, obserwowałem Case'a, żeby zobaczyć, jak wykorzysta chwilę wytchnienia. I nagle dostrzegłem w jego twarzy coś znajomego. Taką samą minę miał Lee tego dnia, kiedy opieprzał Marinę za rozpięty suwak spodniczki. Przybrał ją wtedy, gdy Marina odgryzła mu się, oskarżając go, że przywiózł ją i dziecko do chlewu, a potem pokręciła palcem wokół ucha w geście mówiącym „jesteś stuknięty”.

Ta walka nagle przestała być dla Toma Case'a tylko jeszcze jedną fuchą.

Sędzia odsunął się na bok. Tiger rzucił się do ataku, ale Case tym razem wyszedł mu naprzeciw. Następne dwadzieścia sekund było najbardziej elektryzującym i przerażającym widowiskiem, jakie kiedykolwiek oglądałem jako widz. Dwaj bokserzy po prostu stali naprzeciw siebie i tłukli się po twarzach, piersiach, ramionach, brzuchach. Nie było uników, zwodów, efektownej pracy nóg. Byli jak dwa byki na pastwisku. Krew lała się ze złamanego nosa Case'a. Dolna warga Tigera rozcięła się o zęby; krew ściekała po obu stronach brody, upodabniając go do wampira po obfitym posiłku.

Cała widownia była na nogach i krzyczała. Sadie podskakiwała. Kapelusz opadł jej na tył głowy, odsłaniając oszpecony policzek. Nie zauważyła tego. Nie zauważył tego też nikt inny. Na wielkich ekranach trzecia wojna światowa trwała w najlepsze.

Case opuścił głowę, by przyjąć jeden z tych atomowych ciosów z prawej, i zobaczyłem, że Tiger skrzywił się, gdy jego pięść zderzyła się z twardą kością. Cofnął się o krok i wtedy Case zadał potężny podbródkowy. Tiger odwrócił głowę, unikając głównego impetu ciosu, ale ochraniacz wyleciał mu z ust i przetoczył się po brezencie.

Case ruszył do ataku, waląc bez opamiętania lewą i prawą ręką. W ciosach nie było artyzmu, tylko surowa, wściekła moc. Tiger cofnął się, zaplątał we własne nogi i upadł. Case

stanął nad nim, jakby niepewny, co robić, czy może nawet gdzie w ogóle jest. Kątem oka dostrzegł rozpaczliwie gestykulującego sekundanta i poczłapał z powrotem do swojego narożnika. Sędzia zaczął liczenie.

Przy czterech Tiger ukląkł na jednym kolanie. Przy sześciu wstał. Po odliczeniu do ośmiu walka została wznowiona. Spojrzałem na wielki zegar w rogu ekranu i zobaczyłem, że do końca rundy zostało piętnaście sekund.

Za mało, za mało czasu, pomyślałem.

Case ociężale ruszył naprzód. Tiger zaatakował tym swoim morderczym lewym hakiem. Case odrzucił głowę w bok i kiedy rękawica przeciwnika chybiła celu, uderzył prawą ręką. Tym razem to twarz Dicka Tigera wykrzywiła się w grymasie i kiedy upadł, już nie wstał.

Grubas spojrział na zmaltretowane szczątki swojego cygara, po czym rzucił je na podłogę.

- Jezu Chryste Nazareński!

- Tak! - zaświergotała Sadie, na powrót przekrzywiając fedorę pod właściwym, zawadiackim kątem. - Święty Boże nie pomoże! Płać!

12

Kiedy wróciliśmy do Jodie, był już nie dwudziesty dziewiąty, lecz trzydziesty sierpnia, ale oboje byliśmy zbyt pobudzeni, by spać. Kochaliśmy się, po czym wyszliśmy do kuchni i w samej bieliźnie jedliśmy babeczki.

- No i co o tym sądzisz? - zapytałem.

- Że nigdy więcej nie pójdę na boks. To była czysta żądza krwi. A ja stałam i krzyczałam razem ze wszystkimi. Przez kilka sekund może nawet całą minutę, chciałam, żeby Case zabił tego płasającego, zarozumiałego pięknisia. Potem nie mogłam się doczekać, kiedy tu wrócę i wskoczę z tobą do łóżka. W tym, co przed chwilą zrobiliśmy, nie było miłości. Była tylko gorączka.

Milczałem. Czasem nie da się nic powiedzieć.

Wyciągnęła rękę nad stołem, zdjęła mi okruszek z podbródka i wrzuciła go do moich ust.

- Powiedz mi, że to nie z nienawiści.

- Co?

- To, że musisz sam powstrzymać tego człowieka. - Zobaczyła, że otwieram usta, i

uniosła dłoń, by mnie uciszyć. - Słyszałam wszystko, co mówiłeś, wszystkie powody, które podałeś, ale musisz mi powiedzieć, że naprawdę kierujesz się nimi, nie tym, co zobaczyłam w oczach tego Case'a, kiedy Tiger uderzył go poniżej pasa. Mogę cię kochać jako mężczyznę, mogę cię kochać jako bohatera... tak sędzę, choć z jakiegoś powodu wydaje się to dużo trudniejsze... ale raczej nie mogłabym kochać mściciela.

Pomyślałem o tym, jak Lee patrzył na żonę, kiedy się na nią nie wściekał. Pomyślałem o rozmowie, którą podsłuchałem, kiedy pluskał się z córeczką w wannie. Pomyślałem o jego łzach na dworcu autobusowym, kiedy trzymał Junie w ramionach i łaskotał ją nosem pod brodą, zanim wyjechał do Nowego Orleanu.

- To nie jest nienawiść - powiedziałem. - Budzi we mnie inne uczucie...

Zawiesiłem głos. Sadie czekała.

- ...żał z powodu zmarnowanego życia. Ale człowiekowi może być żal dobrego psa, który złapał wściekliznę. Co nie znaczy, że go nie uśpi.

Spojrzała mi w oczy.

- Pragnę cię znowu. Tym razem niech to będzie z miłości, dobrze. Nie dlatego, że oglądaliśmy dwóch facetów okładających się pięściami i ten nasz wygrał.

- Zgoda - powiedziałem. - Zgoda. Tak będzie dobrze.

I było.

13

- A kogóż to moje oczy widzą! - powitała mnie córka Franka Fratiego, kiedy w ten piątek koło południa wszedłem do lombardu. - Toż to spec od boksu z akcentem z Nowej Anglii. - Obdarzyła mnie skrzącym się uśmiechem, po czym odwróciła głowę i zawołała: - Ta-ato! Przyszedł ten twój facet od Toma Case'a!

Frati wyszedł, szurając nogami.

- Pan Amberson. We własnej osobie, przystojny jak szatan w sobotni wieczór. Założę się, że całyś pan w skowronkach tego pięknego dnia, co?

- Jasne - odparłem. - Czemu by nie? Trafił mi się fuks.

- Panu się trafił, a mnie trafiło. - Z tylnej kieszeni obszernych gabardynowych spodni wyciągnął brązową kopertę, nieco większą od standardowej. - Dwa kawalki. Może pan przeliczyć.

- Nie trzeba. Ufam panu.

Podał mi kopertę, ale zaraz ją cofnął i postukał się nią w podbródek. Jego niebieskie

oczy, przygąsłe, ale bystre, zmierzyły mnie baczny spojrzeniem.

- Nie chciałby pan postawić następnego zakładu? Zbliża się sezon futbolowy i World Series.

- Nie znam się na futbolu, a mecze Dodgers-Yankees średnio mnie interesują. Poproszę pieniądze.

Dał mi je.

- Miło robić z panem interesy - powiedziałem i wyszedłem. Czuję na sobie ich spojrzenia i ogarnęło mnie to teraz już bardzo nieprzyjemne wrażenie *déjà vu*. Nie wiedziałem, skąd się wzięło. Wsiadłem do samochodu z nadzieją, że nigdy więcej nie będę musiał wrócić do Fort Worth. Ani na Greenville Avenue w Dallas. Ani złożyć kolejnego zakładu u kolejnego bukmachera o nazwisku Frati.

To były moje trzy życzenia i wszystkie się spełniły.

14

Moim następnym przystankiem była Neely Street 214. Zadzwoiłem do właściciela mieszkania i powiedziałem, że sierpień to mój ostatni miesiąc. Próbował mi to wyperswadować, chwalił mnie, że tak dobrych lokatorów jak ja to ze świecą szukać. Zapewne mówił prawdę - ani razu nie wzywano do mnie policji, a w tej dzielnicy bywała często, zwłaszcza w weekendy - ale podejrzewałem, że bardziej chodziło o to, że było za dużo mieszkań i za mało najemców. Dallas właśnie przechodziło kolejny z regularnie powtarzających się kryzysów.

Po drodze wpadłem do First Corn i zasililem swój rachunek bieżący dwoma tysiącami od Fratiego. I całe szczęście. Później - dużo później - uprzytomniłem sobie, że gdybym miał te pieniądze przy sobie, kiedy wróciłem na Neely Street, na pewno bym je stracił.

Plan był taki, żeby sprawdzić, czy nie zostawiłem czegoś w którymś z czterech pokoiów, zwracając szczególną uwagę na owe mistyczne punkty przyciągania rupieci pod łóżkiem, poduszkami sofy i w głębi szuflad biurka. I, oczywiście, miałem zabrać rewolwer. Będzie mi potrzebny, żeby załatwić Lee. Teraz już szczerze zamierzałem go zabić, i to jak najszybciej po jego powrocie do Dallas. Na razie chciałem, by nie został żaden ślad po George'u Ambersonie.

Kiedy zbliżałem się do Neely, to uczucie, jakbym tkwił w komorze pogłosowej czasu, było bardzo silne. Ciągle myślałem o dwóch Fraticach, jednym z żoną Marjorie, drugim z córką Wandą.

Marjorie: To po ludzku znaczy zakład?

Wanda: A kiedy taka propozycja siedzi w domu z nogami na stole, to mówi o sobie per zakład?

Marjorie: Nazywam się J. Edgar Hoover, synu.

Wanda: Jestem komendant Curry.

I co z tego? To był ten podźwięk, to wszystko. Harmonia. Skutek uboczny podróży w czasie.

Mimo to głęboko w mojej głowie rozbrzęczał się dzwonek alarmowy, który, kiedy skręciłem na Neely Street, przeniósł się do przedniej części mózgu. Historia się powtarza, przeszłość harmonizuje i stąd brało się to uczucie... ale nie tylko stąd. Kiedy skręciłem przed dom, w którym Lee opracował swój niewydarzony plan zabójstwa Edwina Walkera, autentycznie wsłuchałem się w ten dzwonek alarmowy. Teraz był blisko. Wręcz ogłuszał.

Akiva Roth na walce, ale nie sam. Była z nim lalunia w ciemnych okularach à la Greta Garbo i etoli z nerek. Sierpień w Dallas to nie pora na noszenie nerek, lecz sala była klimatyzowana, a poza tym - jak to mówią w moich czasach - trochę lansu nigdy nie zaszkodzi.

Odejmij te ciemne okulary. Odejmij etolę. Co zostaje?

Z początku, gdy tak siedziałem w samochodzie, słuchając cykania stygnącego silnika, nic mi nie przychodziło do głowy. A potem zorientowałem się, że gdyby zastąpić etolę z nerek bluzką Ship N Shore, ta kobieta to wypisz wymaluj Wanda Frati.

Chaz Frati z Derry nasłał na mnie Billa Turcotte'a. Ta myśl swego czasu nawet przemknęła mi przez głowę... ale ją odpędziłem. Błąd.

Kogo nasłał na mnie Frank Frati z Fort Worth? Cóż, musiał znać Akivę Rotha z Faith Financial; bądź co bądź Roth był facetem jego córki.

Nagle chciałem mieć w ręku mój rewolwer, i to już.

Wysiadłem z chevy i wbiegłem po schodach na ganek, z kluczami w ręku. Właśnie szukałem właściwego, kiedy zza rogu Haines Avenue wyskoczyła mała furgonetka i gwałtownie zahamowała przed domem numer 214, wjeżdżając lewymi kołami na krawężnik.

Rozejrzałem się. Nikogo. Ulica opustoszała. Że też nigdy nie ma przechodniów, których można by wezwać na pomoc, gdy są potrzebni. O glinach nie wspomnę.

Weisnąłem właściwy klucz do zamka i przekręciłem go z myślą, że zamknę się przed nimi - kimkolwiek byli - w środku i zadzwonię na policję. Już byłem wewnątrz, już czułem gorące, zatęchłe powietrze opuszczonego mieszkania, kiedy przypomniałem sobie, że

przecież nie ma w nim telefonu. Kazałem go zabrać.

Potęźni faceci biegli przez trawnik. Trzech. Jeden miał gazrurkę, zdaje się, że czymś owiniętą.

Nie, tak naprawdę było ich dość, by zagrać w brydża. Czwartym był Akiva Roth, on jednak nie biegł. Szedł niespiesznym krokiem z rękami w kieszeniach i łagodnym uśmiechem na twarzy.

Zatrzasnąłem drzwi. Przekręciłem zasuwę. Ledwie to zrobiłem drzwi wyleciały z zawiasów. Pobiegłem do sypialni i mniej więcej w połowie drogi mnie dopadli.

15

Dwa zbiry Rotha zawlokły mnie do kuchni. Trzecim był ten z gazrurką. Owinięta była paskami ciemnego filcu. Zauważyłem to, kiedy z pietyzmem położył ją na stole, na którym zjadłem wiele porządných posiłków. Naciągnął żółte rękawice z niewyprawionej skóry.

Roth zajrzał przez drzwi, wciąż łagodnie uśmiechnięty.

- Eduardo Gutierrez ma syfilis - oznajmił. - Uderzył mu na mózg. Za półtora roku umrze, ale wiesz co? Ma to gdzieś. Wierzy, że odrodzi się jako arabski emirat czy ktoś taki. To dopiero, co?

Odpowiedź na pytanie ni z gruszki, ni z pietruszki - czy na koktajlu, czy w środku transportu publicznego, czy w kolejce po bilety do kina - to zawsze niełatwa sprawa, ale szczególnie trudno znaleźć właściwą w sytuacji, gdy trzymają cię dwaj faceci, a trzeci tylko czeka, żeby ci wlać. Dlatego nie powiedziałem nic.

- Sęk w tym, że zapadłeś mu w pamięć. Wygrywałeś zakłady, których nie powinienesz wygrać. Czasem przegrywałeś, ale Eddie G. ubzdurał sobie, że kiedy przegrywałeś, robiłeś to celowo. Rozumiesz? Potem wygrałeś sporą sumkę na derby i Eddie uznał, że jesteś, sam nie wiem, jakimś telepatycznym dziwolągiem, który widzi przyszłość. Wiesz, że spalił ci dom?

Milczałem.

- Potem - ciągnął Roth - kiedy te robaczki na dobre wżarły się w jego mózg, doszedł do wniosku, że jesteś jakimś upiorem czy innym czortem. Rozesłał więc wiadomość po całym południu, zachodzie, Środkowym Zachodzie. „Wypatrujcie tego Ambersona i załatwcie go. Zabijcie. To nie człowiek. Od początku to czułem, ale nie zwracałem na to uwagi. A teraz popatrzcie na mnie, chorego i umierającego. To przez niego. Jest upiorem, diabłem czy czymś takim”. Wariat, nie? Ma nierówno pod sufitem i tyle.

Milczałem.

- Carmo, zdaje się, że mój przyjaciel Georgie mnie nie słucha. Chyba mu się przysnęło. Zrób mu pobudkę.

Mężczyzna w żółtych rękawicach z niewyprawionej skóry wyprowadził z biodra podbródkowy w stylu Toma Case'a. Głowa eksplodowała mi bólem i przez długą chwilę widziałem wszystko po lewej stronie przez szkarłatną mgiełkę.

- No dobra, teraz jesteś bardziej przytomny - powiedział Roth. - Na czym stanąłem? Aha, już wiem. Na tym, jak stałeś się osobistą zmorą Eddiego G. To przez syfa, wszyscy wiedzieliśmy. Gdyby nie padło na ciebie, zawziąłby się na jakiegoś kundla spod zakładu fryzjerskiego. Albo na dziewczynę, która za mocno go brandzlowała w kinie samochodowym, kiedy miał szesnaście lat. Czasem nie pamięta własnego adresu, musi dzwonić do ludzi, żeby po niego przyjechali. Smutne, co? To przez te robale w jego głowie. Ale wszyscy go tolerują, bo z Eddiego zawsze był równy gość. Jak opowiadał kawał, to, stary, śmiałeś się do łez. Nikt nie wierzył, że naprawdę istniejesz. Aż tu nagle zmora Eddiego G. pokazuje się w Dallas, w moim kantorku. I co robi? Stawia, że Pirates pokonają Yankees, choć wszyscy wiedzą, że to niemożliwe, i to w siedmiu meczach.

- To był zwykły fuks - powiedziałem niewyraźnie, bo usta puchły mi z jednej strony. - Impuls.

- Głupoty gadasz, a za głupotę się płaci. Carmo, przetrąć durniowi kolano.

- Nie! - powiedziałem. - Proszę, tylko nie to!

Carmo uśmiechnął się, jakbym powiedział coś zabawnego, wziął ze stołu owiniętą filcem gazurkę i przywalił mi w lewe kolano. Usłyszałem, jak coś w nim strzeliło. Ból był straszliwy. Zdusiłem krzyk i osunąłem się na trzymających mnie mężczyzn. Poderwali mnie z powrotem na nogi.

Roth stał w drzwiach, z rękami w kieszeniach i tym swoim zadowolonym, łagodnym uśmiechem na twarzy.

- No dobra. Fajowo. To spuchnie, nawiasem mówiąc. Nie uwierzysz, jak bardzo. Ale cóż, sam sobie na to zapracowałeś. Tymczasem fakty, szanowna pani, nic, tylko fakty.

Podtrzymujące mnie oprychy zarechotały.

- Fakty są takie, że nikt ubrany jak ty tego dnia, kiedy przyszedłeś do mojego kantorka, nie robi takiego zakładu. Człowiek ubrany jak ty pod wpływem impulsu stawia dziesięć dolarów, góra dwie dychy. No ale fakty są też takie, że Pirates wygrali. Myślę więc sobie: może Eddie G.. miał rację. Nie że jesteś diabłem, upiorem czy dziwolągiem z szóstym zmysłem, nic takiego, ale kurczę, może naprawdę jesteś kimś, kto coś wie? Na przykład że finał jest ustawiony i Pirates mają wygrać w siedmiu meczach?

- Nikt nie ustawia baseballu, Roth. Nie od czasu Black Sox w 1919. Przyjmujesz zakłady, musisz to wiedzieć.

Uniósł brwi.

- Wiesz, jak się nazywam! Hej, może naprawdę masz szósty zmysł, czytasz w myślach i tak dalej. Ale nie będę marnować całego dnia.

Zerknął na zegarek. Duży i toporny, pewnie rolex.

- Kiedy przyszedłeś po pieniądze, próbowałem zobaczyć, gdzie mieszkasz, ale zasłoniłeś adres kciukiem. W porządku. Dużo ludzi tak robi. Myślę więc sobie: Daj temu spokój. Co, mam nasłać na ciebie chłopaków, żeby sprali cię na kwaśne jabłko, może nawet cię zabili, tylko dla spokoju ducha Eddiego G.? Dlatego, że jakiś gość zgodził się na głównianą stawkę i oskubał mnie na tysiąc dwieście? Walić to, czego Eddie G. nie wie, to go nie zaboli. Poza tym gdyby nie było ciebie, po prostu zaczęłyby myśleć o czymś innym. Może że Henry Ford to ancykryst czy coś w tym stylu. Carmo, on znowu nie słucha, i to mnie wkurza.

Carmo zamachnął się gazurką, mierząc w mój tułów. Trafiła pod żebra z paraliżującą siłą. Poczulem ból, najpierw szarpiący, potem wchłonięty przez rozrastającą się jak kula ognista eksplozję żaru.

- Boli, co? - rzucił Carmo. - Jak to się mówi, przez żołądek do serca.

- Chyba coś mi rozwaliłeś - stęknąłem. Usłyszałem chrapliwe sapanie jakby silnika parowego i uświadomiłem sobie, że to ja tak dyszę.

- I o to, kurwa, chodzi - powiedział Roth. - Puściłem cię wolno, ty baranie! Puściłem cię, kurwa, wolno! Zapomniałem o tobie! A ty nagle zjawiasz się u Franka w Fort Worth, żeby obstawić cholerną walkę Case-Tiger. Dokładnie ten sam sposób działania... duża suma na słabszego i najwyższa stawka, jaką możesz wytargować. I tym razem, kurde, przewidujesz, w której dokładnie rundzie wygra. Oto więc, jak to załatwimy, przyjacielu: powiesz mi, skąd to wiedziałeś. Jeśli to zrobisz, pstryknę ci kilka fotek w takim stanie, w jakim jesteś teraz, i Eddie G. będzie usatysfakcjonowany. Wie, że nie może kazać cię zabić, bo Carlos mu zabronił, a jedynie Carlosa słucha, nawet teraz. Za to jeśli zobaczy twoją poobijaną mordę... ech, za mało jest poobijana. Przypierdol mu jeszcze, Carmo. Teraz w pysk.

Carmo tłukł mnie więc po twarzy, a tamci dwaj mnie trzymali. Złamał mi nos, podbił lewe oko, naruszył kilka zębów i rozciął lewy policzek. Myślałem: Zemdleję albo mnie zabiją, tak czy tak ból ustanie. Jednak nie zemdlałem i w którymś momencie Carmo przestał. Ciężko dyszał, na jego żółtych rękawiczkach z niewyprawionej skóry pojawiły się czerwone plamy. Słońce wpadało przez okna kuchni i malowało radosne wydłużone prostokąty na

wyblakłym linoleum.

- Teraz lepiej - powiedział Roth. - Przynies polaroida z wozu, Carmo. Tylko szybko. Chcę to skończyć.

Przed wyjściem Carmo ściągnął rękawice i położył je na stole obok gazrurki. Niektóre filcowe paski się odwinęły. Były nasiąknięte krwią. Twarz mi pulsowała, ale gorzej było z brzuchem. Żar w nim stale się rozprzestrzeniał. Działo się tam coś bardzo złego.

- Jeszcze raz, Amberson. Skąd wiedziałeś, że walka była ustawiona? Kto ci powiedział? Mów prawdę.

- Zgadłem. - Próbowałem sobie wmówić, że mój głos brzmi jak głos człowieka ostro przeziębionego, ale tak nie było. Brzmiał jak głos człowieka spranego na kwaśne jabłko.

Wziął gazrurkę i stuknął nią w swoją pulchną dłoń.

- Kto ci powiedział, zasrańcu?

- Nikt. Gutierrez miał rację. Jestem diabłem, a diabły znają przyszłość.

- Więcej szans nie dostaniesz.

- Wanda jest dla ciebie za wysoka, Ruth. I za chuda. Jak na niej leżysz, pewnie wyglądasz jak ropucha ruchająca kłodę. Albo może.

Jego łagodna twarz zmarszczyła się w furii. To była całkowita przemiana, a nastąpiła w niecałą sekundę. Zamierzył się gazrurką na moją głowę. Zasłoniłem się lewą ręką i usłyszałem, jak przedramię trzasnęło niby obciążona lodem gałąź brzozy. Tym razem, kiedy się osunąłem, oprychy dały mi upaść na podłogę.

- Pieprzony mądrała, jak ja nie cierpię pieprzonych mądrali.

Te słowa zdawały się dobiegać z bardzo daleka. Albo z bardzo wysoka. Albo jedno i drugie. Nareszcie traciłem przytomność i jakaż to była ulga. Widziałem jednak jeszcze dość wyraźnie, by zobaczyć Carmo, kiedy wrócił z polaroidem. Był duży i nieporęczny, taki z obiektywem wysuwany na czymś w rodzaju harmonijki.

- Obróć go - powiedział Roth. - Zdejmiemy go z lepszej strony. - Kiedy zbiry wykonały polecenie, Carmo podał Rothowi aparat, a Roth jemu gazrurkę. Podniósł polaroida do oka. - Patrz, tu wyleci ptaszek, jebany spermójadzie. Jedno dla Eddiego G...

Błysk.

- ...i jedno do mojej osobistej kolekcji, której nie mam, ale którą może teraz założę...

Błysk.

- ...i jedno dla ciebie. Żebyś sobie zapamiętał, że jak poważni ludzie zadają ci pytania, to masz odpowiadać.

Błysk.

Wyszarpnął trzecie zdjęcie z aparatu i rzucił je w moim kierunku. Wylądowało przed moją lewą dłonią... na którą nadepnął. Chrupnęły kości. Jęknąłem i przyciągnąłem bolącą dłoń do piersi. Złamał mi co najmniej jeden palec, może aż trzy.

- Pamiętaj, żeby za minutę oderwać negatyw, inaczej zdjęcie wyjdzie prześwietlone. Jeśli oczywiście będziesz przytomny.

- Jeszcze go trochę popytać, póki jest zmiękczone? - zaproponował Carmo.

- Żartujesz? Spójrz na niego. Nie wie już nawet, jak się nazywa. Pieprzyć go. - Już ruszył do wyjścia, ale zawrócił. - Hej, żłobie. To lekcja dla ciebie na przyszłość.

I wtedy kopnął mnie w skroń twardym, chyba stalowym czubem buta. Rakiety eksplodowały mi przed oczami. Potem mój kark uderzył w listwę przypodłogową i wszystko zniknęło.

16

Nie sędzę, żebym długo był nieprzytomny, bo podłużne prostokąty światła słonecznego na linoleum na pierwszy rzut oka nie zmieniły pozycji. W ustach czułem smak mokrej miedzi. Wyplułem na poły zakrzepłą krew na podłogę, wraz z kawałkiem zęba, i zacząłem dźwigać się na nogi. Musiałem przytrzymać się sprawną ręką krzesła, a potem stołu (który omal się na mnie nie przewrócił), ale ogólnie poszło łatwiej, niż sądziłem. Zdrętwiała mi lewa noga, nogawka spodni ciasno opinała puchnące zgodnie z obietnicą kolano, lecz uznałem, że mogło być dużo gorzej.

Wyjrzałem przez okno, by się upewnić, że furgonetka odjechała, i powoli pokuśtykałem do sypialni. Serce głucho, potężnie łomotało w mojej piersi. Każde uderzenie pulsowało w moim złamanym nosie i wprawiało w drzenie puchnącą lewą stronę twarzy - kość policzkowa musiała być złamana. Kark też pulsował. Szyja była sztywna.

Mogło być gorzej, przypomniałem sobie, wlokąc się przez sypialnię. Jesteś na nogach, prawda? Po prostu weź tego cholernego kolta, włóż go do schowka w samochodzie i jedź na pogotowie. W gruncie rzeczy nic ci się nie stało. Pewnie jesteś w lepszym stanie niż Dick Tiger dziś rano.

Tak sobie wmawiałem, dopóki nie sięgnąłem ręką na górną półkę szafy. Kiedy to zrobiłem, coś najpierw naciągnęło się w moich bebechach... a potem jakby zakręciło się wkoło. Uporczywy żar w lewym boku rozpałił się jak węgle, gdy chlusać na nie benzyną. Dotknąłem czubkami palców rękojeści rewolweru, obróciłem go, wsunąłem kciuk w kabłąk spustowy i ściągnąłem kolta z półki. Spadł na podłogę, odbił się i wylądował w sypialni.

Pewnie nawet nie jest naładowany. Schyliłem się, żeby go podnieść. Lewe kolano wrzasnęło i ugięło się pode mną. Upadłem i kieszki znów zapłonęły żywym ogniem. Mimo to wzięłem rewolwer i zakręciłem bębenkiem. Był naładowany. Wszystkie komory. Schowałem go do kieszeni i próbowałem przeczołgać się z powrotem do kuchni, ale kolano za bardzo bolało. Jeszcze gorszy był ból głowy, wysuwający ciemne macki ze swojej małej jaskini nad karkiem.

Ruchami pływaka dowlokłem się na brzuchu do łóżka. Tam znowu udało mi się podźwignąć na prawej ręce i prawej nodze. Lewa noga wytrzymała mój ciężar, ale kolano się nie zginało. Musiałem się stamtąd wydostać, i to natychmiast.

Zapewne wyglądałem jak Chester, kuśtykający zastępcę szeryfa z „Gunsmoke”, kiedy szedłem z sypialni przez kuchnię do drzwi wejściowych, które wisiały na zawiasach, z drzazgami sterczącymi wokół zamka. Pamiętam nawet, że pomyślałem: Panie Dillon, panie Dillon, awantura w Longbranch!

Przeszedłem przez ganek, chwyciłem prawą ręką poręcz i zacząłem zeskakiwać po schodach. Były tylko cztery stopnie, ale ból głowy potęgował się z każdym skokiem. Miałem wrażenie, że zawęza mi się pole widzenia, a to nie mógł być dobry znak. Próbowałem odwrócić głowę, żeby zobaczyć mojego chevroleta, lecz szyja odmówiła posłuszeństwa. Obróciłem z wysiłkiem całe ciało i kiedy dostrzegłem samochód, dotarło do mnie, że nie dam rady prowadzić. Nie dałbym rady nawet otworzyć drzwi od strony pasażera i włożyć rewolweru do schowka: gdybym się schylił, ból i żar w boku eksplodowałyby na nowo.

Niezdarnie wygrzebałem kolta z kieszeni i trzymając się poręczy, wsunąłem go pod schody. To będzie musiało wystarczyć. Wyprostowałem się i powoli poszedłem chodnikiem w stronę ulicy. Dziecięcymi kroczkami, powiedziałem sobie. Małymi, dziecięcymi kroczkami.

Nadciągnęło dwoje dzieci na rowerach. Próbowałem im powiedzieć, że potrzebuję pomocy, ale z moich opuchniętych ust wyszło tylko suche „hhhahhhh”. Popatrzyły po sobie i mocniej nacisnęły na pedały.

Odwróciłem się w prawo (spuchnięte kolano wybiło mi z głowy myśl, by skrócić w lewo) i zataczając się, ruszyłem chodnikiem przed siebie. Pole widzenia nadal się zawężało; teraz już miałem wrażenie, że patrzę przez otwór strzelniczy, a może z wylotu tunelu. Przypomniał mi się przewrócony komin w Kitchener's Ironworks w Derry.

Dojź do Haines Avenue, powiedziałem sobie. Na Haines Avenue jest duży ruch. Musisz dojść przynajmniej tam.

Ale czy szedłem w stronę Haines, czy wprost przeciwnie? Nie mogłem sobie

przypomnieć. Widzialny świat skurczył się do małego kręgu. Głowa mi pękała; w brzuchu płonął las. Kiedy upadłem, miałem wrażenie, że stało się to w zwolnionym tempie, a chodnik wydał mi się miękki jak poduszka z pierza.

Zanim straciłem przytomność, coś mnie szturchnęło. Coś twardego, metalicznego. I usłyszałem skrzekliwy głos jakieś dziesięć kilometrów nade mną:

- Hej, ty! Ty, chłopcze! Co z tobą?

Przewróciłem się na bok. Zużyłem na to resztki sił, ale dałem radę. Górowała nade mną staruszka, która nazwała mnie tchórzem, kiedy nie chciałem się mieszać do kłótni Lee z Mariną w Dniu Suwaka. Zresztą kto wie, czy to nie był wciąż ten sam dzień, bo mimo sierpniowego upału znowu miała na sobie różową flanelową koszulę nocną i pikowaną kurtkę. Może dlatego, że w nielicznych jeszcze funkcjonujących szarych komórkach kołatały mi się myśli o boksie, jej sterczące włosy dziś skojarzyły mi się z Donem Kingiem, nie Elszą Lanchester. A tym, co mnie szturchnęło, była jedna z przednich nóg jej balkonika.

- O mój dobry Boże! - powiedziała. - Kto cię tak pobił?

To była długa historia, której nie mogłem opowiedzieć. Zapadała ciemność - dobrze, bo ból głowy był morderczy. Al dostał raka płuc, pomyślałem. Ja dostałem Akivę Rotha. Tak czy tak, gra skończona. Ozzie wygrał.

Nie. Nie pozwolę na to.

Zebrałem wszystkie siły i odezwałem się do twarzy nade mną, Jedynej jasnej rzeczy pośród gęstniejącej ciemności:

- Zadzwoń na... dziewięć jeden jeden.

- Co to takiego?

Nic dziwnego, że nie wiedziała. Jeszcze nie wymyślono telefonu ratunkowego. Wytrzymałem dość długo, by spróbować znowu.

- Karetkę.

Zdaje się, że to powtórzyłem, ale nie jestem pewien. Wtedy wchłonęła mnie ciemność.

ROZDZIAŁ 26

Przez następnych jedenaście tygodni znowu żyłem w dwóch światach. Był świat, o którym nie wiedziałem prawie nic - świat zewnętrzny - i ten, który znałem aż za dobrze. To był świat wewnątrz mnie, gdzie często śniłem o Człowieku z Żółtą Kartką.

W świecie zewnętrznym pani z balkonikiem (Alberta Hitchinson; Sadie odszukała ją i zaniósła jej bukiet kwiatów) stała nade mną na chodniku i krzyczała dotąd, aż wyszedł sąsiad, zobaczył sytuację i wezwał karetkę, która zabrała mnie do Parkland. Lekarzem, który udzielił mi tam pomocy, był Malcolm Perry, który później miał zajmować się i Johnem F. Kennedym, i Lee Harveyem Oswaldem w ostatnich chwilach ich życia. Ze mną miał więcej szczęścia, choć ledwo, ledwo.

Miałem połamane zęby, złamany nos, złamaną kość policzkową, pogruchotane lewe kolano, złamaną lewą rękę, zwichnięte palce i obrażenia narządów wewnętrznych. Doznałem też urazu mózgu, co niepokoiło Perry'ego najbardziej.

Powiedziano mi, że obudziłem się z wyciem, kiedy obmacywali mój brzuch, ale tego nie pamiętam. Podłączono mi cewnik i natychmiast zacząłem szczać czymś, co konferansjerzy bokserzy nazwaliby „klaretem”. Moje funkcje życiowe, z początku stabilne, po jakimś czasie zaczęły się pogarszać. Ustalono moją grupę krwi, przeprowadzono próbę zgodności i przetoczono mi całe cztery jednostki... które, Sadie powiedziała mi później, mieszkańcy Jodie zwrócili ze stokrotną nawiązką podczas akcji oddawania krwi pod koniec września. Musiała mi to powtórzyć kilka razy, bo ciągle zapominałem. Przygotowano mnie do operacji, przedtem jednak była konsultacja neurologiczna i nakłucie lędźwiowe - w Krainie Przeszłości nie ma takich rzeczy jak tomografia czy rezonans magnetyczny.

Podobno rozmawiałem z dwiema pielęgniarkami przygotowującymi mnie do nakłucia lędźwiowego. Powiedziałem im, że moja żona za dużo pije. Jedna odparła, że to przykre, i zapytała, jak jej na imię. Powiedziałem, że jest rybką zwaną Wandą, i roześmiałem się serdecznie. A potem znowu zemdlałem.

Miałem rozwaloną śledzionę. Wycięli ją.

Kiedy jeszcze byłem nieprzytomny, a moja śledziona była w drodze tam, dokąd wędrują wszystkie już nieprzydatne, ale nie absolutnie niezbędne organy, przeniesiono mnie

na oddział ortopedii. Tam moją złamaną rękę unieruchomiono szyną, a na złamaną nogę założono gips. W następnych tygodniach podpisało się na nim wielu ludzi. Niektóre nazwiska znałem; większości nie.

Stale byłem na prochach uspokajających, leżałem z unieruchomioną głową w łóżku podniesionym pod kątem dokładnie trzydziestu stopni. Dostawałem fenobarbital nie dlatego, że byłem przytomny (choć czasem coś mamrotałem, opowiadała Sadie), ale dlatego, że bali się, że mogę się nagle ocknąć i zrobić sobie jeszcze większą krzywdę. Krótko mówiąc, Perry i pozostali lekarze (Ellerton też regularnie zaglądał, żeby monitorować mój stan) obchodzili się z moją poobijaną łepetyną jak saperzy z niewybuchem.

Po dziś dzień nie bardzo wiem, co to są hematokryt i hemoglobina, ale ich poziom zaczął mi się podnosić i to wszystkich ucieszyło. Trzy dni później zrobili mi następne nakłucie lędźwiowe. W pobranej próbce wykryto ślady starej krwi, a przy nakłuciu lędźwiowym stare jest lepsze od nowego. To wskazywało, że odniosłem poważny uraz mózgu, ale obejdzie się bez trepanacji czaszki, ryzykownego zabiegu, zważywszy na wszystkie bitwy, które mój organizm toczył na innych frontach.

Cóż, kiedy przeszłość jest nieustępliwa i broni się przed zmianami. Piątego dnia skóra wokół blizny po operacji wycięcia śledziony zrobiła się czerwona i ciepła. Następnego dnia rana się otworzyła i dostałem wysokiej gorączki. Mój stan, po drugim nakłuciu lędźwiowym przemianowany z krytycznego na poważny, znów gwałtownie spadł do poziomu krytycznego. Według mojej karty choroby „na zalecenie doktora Perry'ego” podano mi środki uspokajające i wykazywałem „minimalne reakcje na bodźce zewnętrzne”.

Siódmego września na krótko się obudziłem. Tak mi opowiadają. Przy moim łóżku siedziała kobieta, ładna mimo blizn na twarzy, i stary mężczyzna z kapeluszem kowbojskim na kolanach.

- Wiesz, jak się nazywasz? - spytała kobieta.

- Stary Ramol - powiedziałem. - Spytaj znowu, odpowiem tak samo.

Pan Jake George Stary Ramol Epping Amberson spędził siedem tygodni w Parkland, zanim przeniesiono go do ośrodka rehabilitacji - małego osiedla dla chorych - w północnej części Dallas. Przez te siedem tygodni dostawałem przez kroplówkę antybiotyki przeciw infekcji, która rozgościła się tam, gdzie kiedyś miałem śledzionę. Szynę na złamanej ręce zastąpił długi gips, który też zapelniał się nieznanymi mi nazwiskami. Tuż przed tym, jak przeniosłem się do Eden Fallows, ośrodka rehabilitacji, zmieniono opatrunek gipsowy na krótszy. Mniej więcej w tym samym czasie fizjoterapeutka zaczęła znęcać się nad moim kolanem, żeby przywrócić mu jaką taką sprawność. Podobno dużo krzyczałem, ale nie

pamiętam.

Malcolm Perry i reszta personelu Parkland ocalili mi życie, co do tego nie mam wątpliwości. Zostawili mi też niezamierzoną i niemiłą pamiątkę, która męczyła mnie jeszcze długo po przybyciu do Eden Fallows. Była to wtórna infekcja wywołana przez antybiotyki pompowane do mojego organizmu w celu zwalczenia pierwotnej. Mgliście pamiętam, jak wymiotowałem i niemal całymi dniami miałem basen pod tyłkiem. Przypominam sobie, że w którymś momencie pomyślałem: „Muszę iść do apteki w Derry zobaczyć się z panem Keene'em. Potrzebny mi kaopectate”. Ale kto to był pan Keene i gdzie było Derry?

Wypuścili mnie ze szpitala, kiedy znów zacząłem przyjmować posiłki, ale biegunka przeszła mi dopiero po prawie dwóch tygodniach w Eden Fallows. To było już pod koniec października. Sadie (czasem pamiętałem jej imię; przeważnie wylatywało mi z głowy) Przyniosła mi papierową dynię. To wspomnienie jest bardzo wyraziste, bo na widok dyni zacząłem krzyczeć. To były krzyki kogoś, kto zapomniał coś niezwykle ważnego.

- Co się dzieje, kochanie? - spytała mnie. - Co się stało? Chodzi o Kennedy'ego? Coś w związku z Kennedym?

- Zabije ich wszystkich młotkiem! - krzyknąłem na nią. - W Halloween! Muszę go powstrzymać!

- Kogo? - Chwyła moje wymachujące ręce. Była przerażona. - Kogo powstrzymać?

Nie mogłem sobie przypomnieć i zasnąłem. Spałem dużo, nie tylko z powodu powoli gojącego się urazu głowy. Byłem wyczerpany, stałem się cieniem samego siebie. W dniu pobicia ważyłem osiemdziesiąt cztery kilogramy. Kiedy przeniosłem się ze szpitala do Eden Fallows, już tylko sześćdziesiąt dwa.

Tak wyglądało zewnętrzne życie Jake'a Eppinga, człowieka, który został mocno pobity i omal nie umarł w szpitalu. Moje życie wewnętrzne to była czerń, głosy i mgnienia świadomości jak błyskawice: oślepiały swoim blaskiem i znikwały, zanim mogłem zobaczyć w ich świetle coś więcej niż tylko kontury pejzażu. Przeważnie byłem zagubiony, ale od czasu do czasu się odnajdowałem.

Raz odnalazłem się w chwili, kiedy było mi piekielnie gorąco, a jakaś kobieta wkładała mi do ust niebiańsko chłodne kawałki lodu. To była KOBIEITA Z BLIZNĄ, która czasem miała na imię Sadie.

Raz odnalazłem się, gdy siedziałem na sedesie w kącie sali, nie pamiętając, skąd tam się wziąłem. Ze swędzącym, ćmiącym bokiem i ryczącym z bólu kolaniem wypuszczałem z siebie hektolitry wodnistego, palącego gówna. Pamiętam, że pragnąłem, żeby ktoś mnie zabił.

Raz odnalazłem się, gdy próbowałem wstać z łóżka, bo musiałem zrobić coś okropnie

ważnego. Miałem wrażenie, że zależą od tego losy całego świata. Był ze mną CZŁOWIEK Z KAPELUSZEM KOWBOJSKIM. Złapał mnie i pomógł mi położyć się z powrotem do łóżka, zanim upadłem na podłogę.

- Jeszcze nie, synu - powiedział. - Jesteś o wiele za słaby.

Raz odnalazłem się, gdy rozmawiałem - czy próbowałem rozmawiać - z dwoma mundurowymi policjantami, którzy przyszli w sprawie mojego pobicia. Jeden z nich miał identyfikator z nazwiskiem TIPPIT. Próbowałem go przekonać, że jest w niebezpieczeństwie. Próbowałem powiedzieć, żeby pamiętał o piątym listopada. Miesiąc był właściwy, dzień nie. Nie mogłem sobie przypomnieć dokładnej daty i ze złości zacząłem walić się pięściami po moim durnym łbie. Gliniarze popatrzyli po sobie z zaskoczeniem. Nie-TIPPIT zawołał pielęgniarkę. Pielęgniarka przyszła z lekarzem, lekarz zrobił mi zastrzyk i odpłynąłem.

Odnajdywałem się, słuchając Sadie, gdy czytała mi, najpierw „Judę nieznanego”, potem „Tessę d'Urberville”. Znałem te historie i ponowne ich słuchanie koło mnie. W pewnym momencie „Tessy” coś sobie przypominałem.

- Zmusiłem Tessicę Caltrop, żeby zostawiła nas w spokoju.

Sadie podniosła wzrok.

- Masz na myśli Jessicę? Jessicę Caltrop? Zrobiłeś to? Jak? Pamiętasz?

Nie pamiętałem. To przypadek.

Raz odnalazłem się, patrząc na Sadie, gdy stała przy moim małym oknie i zapłakana wpatrywała się w deszcz.

Ale przeważnie byłem zagubiony.

MEŹCZYŻNA Z KAPELUSZEM KOWBOJSKIM to był Deke, ale raz wziąłem go za mojego dziadka, a to mnie mocno przeraziło, bo dziadek Epping nie żył i...

Epping, tak się nazywam. Zapamiętaj to, powiedziałem sobie, lecz z początku nie byłem w stanie.

Kilka razy odwiedziła mnie STARSZA KOBIETA W CZERWONEJ SZMINCE. Czasem myślałem, że ma na imię pani Mimi; czasem wydawało mi się, że pani Ellie; raz byłem święcie przekonany, że to Irene Ryan, która grała babunię Clampett w „The Beverly Hillbillies”. Powiedziałem jej, że wyrzuciłem mój telefon komórkowy do stawu.

- Teraz śpi z rybami. Przydałby mi się, skubany.

Przyszła MŁODA PARA. Sadie powiedziała:

- Zobacz, to Mike i Bobbi Jill.

- Mike Coleslaw - powiedziałem.

MŁODY MEŹCZYŻNA powiedział:

- Blisko, panie A. - Uśmiechnął się. Łza spłynęła mu po policzku.

Później, kiedy Sadie i Deke przyjeżdżali do Eden Fallows, siadali ze mną na kanapie. Sadie brała mnie za rękę i pytała:

- Jak on się nazywa, Jake? Nigdy nie powiedziałeś mi jego nazwiska. Jak mamy go powstrzymać, jeśli nie wiemy, kim jest i gdzie będzie?

Raz odpowiedziałem:

- Ja go potrzynam. - Bardzo się starałem. Aż potylicy mnie od tego bolała, ale postarałem się jeszcze bardziej. - Powstrzymam.

- Nie poradzisz sobie bez naszej pomocy - powiedział Deke.

Ale Sadie była zbyt kochana, a Deke za stary. W ogóle nie powinna mu była nic mówić. Chociaż może nic się nie stało, bo tak naprawdę w to nie uwierzył.

- Człowiek z Żółtą Kartką powstrzyma was, jeśli się w to wmieszacie - uprzedziłem. - Tylko mnie nie może powstrzymać.

- Kto to jest Człowiek z Żółtą Kartką? - spytała Sadie, biorąc mnie za rękę.

- Nie pamiętam, ale nie może mnie powstrzymać, bo nie powinno mnie tu być.

Tyle że mnie powstrzymywał. On albo coś innego. Doktor Perry mówił, że moja amnezja jest płytka i przejściowa, i miał rację... ale tylko do pewnego stopnia. Kiedy zbyt usilnie starałem się przypomnieć sobie rzeczy najważniejsze, głowa bolała mnie jak diabli, moje kuśtykające nogi zaczynały potykać się o siebie i świat rozmywał mi się przed oczami. Najgorsza była skłonność do nagłego zasypiania. Sadie spytała doktora Perry'ego, czy to narkolepsja. Powiedział, że raczej nie, ale wydawało mi się, że był zaniepokojony.

- Budzi się, kiedy pani go woła albo nim potrząsa?

- Zawsze - powiedziała Sadie.

- Czy zwykle zdarza się to wtedy, kiedy jest zdenerwowany, bo nie może sobie czegoś przypomnieć?

Sadie przytaknęła.

- W takim razie jestem pewien, że to minie, tak jak mija jego amnezja.

W końcu - krocze po kroczy - mój świat wewnętrzny zaczął scalać się z zewnętrznym. Nazywałem się Jacob Epping, byłem nauczycielem i w jakiś sposób cofnąłem się w czasie, żeby nie dopuścić do zabójstwa prezydenta Kennedy'ego. Z początku próbowałem odrzucić tę myśl, ale za dużo wiedziałem o nadchodzących latach i nie były to tylko wizje. To były wspomnienia. Rolling Stones, przesłuchania w sprawie odwołania Clintona z urzędu, World Trade Center w ogniu. Christy, moja sprawiająca i przeżywająca trudności żona.

Pewnego wieczoru, kiedy Sadie i ja oglądaliśmy serial „Combat!”, przypomniało mi się, co zrobiłem Frankowi Dunningowi.

- Sadie, zanim przyjechałem do Teksasu, zabiłem człowieka. To było na cmentarzu. Musiałem. Inaczej zamordowałby całą swoją rodzinę.

Spojrzała na mnie z szeroko otwartymi oczami i ustami.

- Wyłącz telewizor - powiedziałem. - Aktor, który gra sierżanta Saundersa... nie pamiętam nazwiska... zginie, kiedy śmigło helikoptera obetnie mu głowę. Proszę, Sadie, wyłącz to.

Zrobiła, o co prosiłem, i uklękła przede mną.

- Kto zabije Kennedy'ego? Gdzie wtedy będzie?

Próbowałem z całych sił, i nie zasnąłem, ale nie mogłem sobie przypomnieć. Pojechałem z Maine na Florydę, to pamiętałem. Fordem sunlinerem, wspinałem samochodem. Z Florydy pojechałem do Nowego Orleanu, a z Nowego Orleanu do Teksasu. Pamiętałem, jak słuchałem w radiu „Earth Angel”, kiedy przekraczałem granicę stanu, pędząc drogą numer 20. Pamiętałem tablicę: TEKSAS WITA. I billboard reklamujący GRILL SONNY'S. Potem luka w filmie. Po jej drugiej stronie wynurzały się wspomnienia tego, jak uczyłem i mieszkalem w Jodie. Bardziej radosne wspomnienia swinga tańczonego z Sadie i tego, jak leżeliśmy razem w łóżku w Candlewood Bungalows. Sadie powiedziała mi, że mieszkalem też w Fort Worth i Dallas, ale nie wiedziała gdzie; miała tylko dwa już nieczynne numery telefonów. Ja też tego nie wiedziałem, choć wydawało mi się, że jeden z domów mógł stać na Cadillac Street. Sprawdziła na mapach drogowych i powiedziała, że ani w jednym, ani w drugim mieście nie ma Cadillac Street.

Dużo już sobie przypominałem, ale nie nazwisko zabójcy ani nie miejsce, w którym dokona zamachu. A dlaczego? Bo przeszłość ukrywała to przede mną. Nieustępliwa przeszłość.

- Zabójca ma dziecko - powiedziałem. - Na imię jej chyba April.

- Jake, o coś cię spytam. Może się rozzłościś, ale skoro tyle od tego zależy... nawet los świata... muszę.

- Śmiało. - Nie wyobrażałem sobie, by jakiegokolwiek jej pytanie mogło mnie rozzłościć.

- Czy mnie okłamujesz?

- Nie - odparłem. To była prawda. Wtedy.

- Powiedziałam Deke'owi, że musimy zadzwonić na policję. Pokazał mi artykuł w „Morning News”, w którym piszą, że przyszło już dwieście groźb śmierci i informacji o

możliwych zamachowcach. Mówił, że i prawicowcy z Dallas-Fort Worth, i lewicowcy z San Antonio próbują odstraszyć Kennedy'ego od przyjazdu. Że policja z Dallas przekazuje wszystkie groźby i informacje FBI, a FBI nic nie robi. Że jedynym człowiekiem, którego J. Edgar Hoover nienawidzi bardziej od JFK, jest jego brat Bobby.

Mało mnie obchodziło, kogo nienawidzi J. Edgar Hoover.

- Wierzysz mi?

- Tak - powiedziała i westchnęła. - Vic Morrow naprawdę umrze?

Rzeczywiście, tak się nazywał.

- Tak.

- Przy kręceniu „Combat!”?

- Nie, filmu kinowego.

Zalała się łzami.

- Tylko ty mi nie umrzyj, Jake... proszę cię. Chcę jedynie, żebyś wyzdrowiał.

Miałem dużo złych snów. Miejsca akcji były różne - czasem pusta ulica, która wyglądała jak Main Street w Lisbon Falls, czasem cmentarz, na którym zastrzeliłem Franka Dunninga, czasem kuchnia Andy'ego Culluma, mistrza cribbage - ale zazwyczaj był to bar Ala Templetona. Siedzieliśmy w boksie, zdjęcia na Miejskiej Ścianie Sławy patrzyły na nas z góry. Al był chory - umierający - ale oczy mu płonęły jasnym, intensywnym blaskiem.

- Człowiek z Żółtą Kartką to uosobienie nieustępliwej przeszłości - powiedział Al. - Wiesz to, prawda?

Tak, wiedziałem.

- Myślał, że umrzesz od pobicia, ale nie umarłeś. Myślał, że umrzesz od infekcji, ale nie umarłeś. Teraz blokuje te wspomnienia... te kluczowe... bo wie, że to jego ostatnia szansa, żeby cię powstrzymać.

- Jak może? Przecież nie żyje.

Al pokręcił głową.

- Nie, to ja nie żyję.

- Kim on jest? I jak może wrócić do życia? Podciął sobie gardło i kartka stała się czarna! Widziałem to!

- Nie wiem, przyjacielu. Wiem tylko, że nie powstrzyma cię, jeśli mu na to nie pozwolisz. Musisz dostać się do tych wspomnień.

- To mi pomóż! - krzyknąłem i złapałem go za twardą, szponiastą rękę. - Powiedz, jak ten facet się nazywa! Chapman? Manson? Oba nazwiska brzmią znajomo, ale żadne mi jakoś nie pasuje. Ty mnie w to wpakowałeś, więc mi pomóż!

W tym momencie snu Al otwiera usta, żeby spełnić moją prośbę, a wtedy interweniuje Człowiek z Żółtą Kartką. Jeśli jesteśmy na Main Street, wychodzi z zielonego sklepu albo z Kennebec Fruit. Jeśli na cmentarzu, powstaje z otwartego grobu jak zombi w filmie George'a Romero. Jeśli w barze, drzwi rozwierają się na oścież. Kartka, którą nosi za wstążką fedory, jest tak czarna, że wygląda jak prostokątna dziura w świetle. Jest rozkładającym się trupem. Jego stary płaszcz pokrywają plamy pleśni. W pustych oczodołach wiją się kłęby larw.

- Nic ci nie powie, bo dziś jeden dolar wart jest dwa! - krzyczy Człowiek z Żółtą Kartką, który teraz jest Człowiekiem z Czarną Kartką. - A nie możesz zmienić przyszłości!

Odwracam się do Ala, tylko że Al zmienił się w szkielet z papierosem w zębach, i wtedy budzę się z krzykiem. Sięgam po wspomnienia, ale ich nie ma.

Deke przynosił mi artykuły prasowe o nadchodzącej wizycie Kennedy'ego, w nadziei że to coś we mnie odblokuje. Nic z tego. Raz, kiedy leżałem na kanapie (właśnie budziłem się po jednej z moich nagłych drzemek), usłyszałem, jak znowu się kłóć, czy zadzwonić na policję. Deke powiedział, że anonimową informację zignorują, a podając nazwiska, narobiliśmy sobie kłopotów.

- Nic mnie to nie obchodzi! - krzyknęła Sadie. - Wiem, że twoim zdaniem zwariował, ale jeśli ma rację? Jak będziesz się czuł, jeśli Kennedy wróci z Dallas do Waszyngtonu w trumnie?

- Jeżeli wciągniesz w to policję, skoncentrują się na Jake'u, skarbie. A podobno zabił człowieka w Nowej Anglii, zanim tu przyjechał.

Sadie, Sadie, po coś mu to mówiła...

Przestała się kłócić, ale nie przestała wierzyć i nie poddała się. Czasem próbowała wydobyć to ze mnie z zaskoczenia, na tej samej zasadzie, na jakiej się leczy czkawkę. Nadaremnie.

- Co ja mam z tobą zrobić? - spytała smutno.

- Nie wiem.

- Spróbuj podejść do tego od innej strony. Podstępem.

- Próbowałem. Zdaje się, że ten facet służył w armii albo w marines. - Potarłem tył głowy, gdzie znów odzywał się ból. - A może w marynarce. Kurde, Christy, nie pamiętam.

- Sadie, Jake. Jestem Sadie.

- Nie tak powiedziałem?

Potrząsnęła głową i spróbowała się uśmiechnąć.

Dwunastego, w pierwszy wtorek po Dniu Weteranów, „Morning News” opublikowało długi wstępniak o zbliżającej się wizycie Kennedy'ego i jej znaczeniu dla miasta. „Większość

mieszkańców wydaje się gotowa powitać młodego i niedoświadczonego prezydenta z otwartymi ramionami. Emocje sięgają zenitu. Oczywiście, nie bez znaczenia jest to, że z prezydentem przyjedzie jego piękna, charyzmatyczna małżonka”.

- Znowu śnił ci się Człowiek z Żółtą Kartką? - spytała Sadie, kiedy weszła. Święto spędziła w Jodie, głównie po to, żeby podlać kwiatki w domu i „wywiesić flagę”, jak to ujęła.

Potrząsnąłem głową.

- Kochanie, dużo częściej jesteś tutaj niż w Jodie. Co z twoją pracą?

- Ellie dała mi pół etatu. Jakoś sobie radzę, a kiedy wyjadę z tobą... jeśli wyjedziemy... wtedy zobaczymy, co będzie.

Odwrociła wzrok i zajęła się zapalaniem papierosa. Kiedy widziałem, jak zbyt długo stuknęła papierosem w stolik, a potem bawiła się zapalkami, zrozumiałem coś przynębiającego: Sadie też miała wątpliwości. Przewidziałem pokojowe zakończenie kryzysu kubańskiego, wiedziałem, że Dick Tiger padnie na deski w piątej rundzie... ale wciąż miała wątpliwości. I nie dziwiłem się jej. Gdybyśmy zamienili się miejscami, też bym je miał.

Nagle się rozpromieniła.

- Za to mam piekielnie dobrego zastępcę, na pewno się domyślasz, kto to taki.

Uśmiechnąłem się.

- Czy to... - Imię mi umykało. Miałem go przed oczami... ogorzała, opalona twarz, kapelusz kowbojski, krawat z tasiemki... ale tego wtorkowego poranka był poza moim zasięgiem. Rozbolał mnie tył głowy w miejscu, którym uderzyłem w listwę przypodłogową... ale jaką listwę przypodłogową, w jakim domu? To potworne kurestwo, że tego nie wiedziałem.

Kennedy przyjeżdżał za dziesięć dni, a ja, do cholery, nie mogłem sobie nawet przypomnieć imienia tego staruszka.

- Spróbuj, Jake.

- Próbuje - powiedziałem. - Naprawdę, Sadie!

- Czekaj sekundkę. Mam pomysł.

Położyła tłącego się papierosa w jednym z rowków wyżłobionych w krawędzi popielniczki, wstała, wyszła na zewnątrz, zamknęła drzwi za sobą. Potem otworzyła je i komicznie szorstkim, głębokim głosem powiedziała to, co staruszek mówił za każdym razem, kiedy przychodził z wizytą.

- Jak się dziś masz, synu? Posilasz się?

- Deke - powiedziałem. - Deke Simmons. Jego żoną była pani Mimi, ale umarła w Meksyku. Urządziliśmy akademię ku jej pamięci.

Ból głowy minął. Jak ręką odjął.

Sadie klasnęła w dłonie, podbiegła i dostałem długiego, cudownego całusa.

- Widzisz? - powiedziała, kiedy się odsunęła. - Dasz radę. Jeszcze nie jest za późno. Jak on się nazywa, Jake? Jak nazywa się ten szaleniec?

Ale nie mogłem sobie przypomnieć.

Szesnastego listopada „Times-Herald” opublikował trasę przejazdu Kennedy'ego. Zaczynała się na Love Field, a kończyła przy Trade Mart, gdzie prezydent miał wygłosić przemówienie przed Radą Obywateli Dallas i zaproszonymi gośćmi. Oficjalnym celem tego wystąpienia była chęć wyrażenia uznania dla dokonań ośrodka Graduate Research Center i pogratulowania Dallas rozwoju gospodarczego w ostatnim dziesięcioleciu, ale „Times-Herald” skwapliwie poinformował każdego, kto jeszcze tego nie wiedział, że tak naprawdę chodzi o czystą politykę. W 1960 Teksas głosował na Kennedy'ego, ale 1964 nie zapowiadał się tak różowo, nawet z miejscowym chłopakiem z Johnson City jako współkandydatem. Cynicy wciąż nazywali wiceprezydenta „Lyndon Triumfator”, była to aluzja do prawyborów do Senatu w 1948, które wygrał osiemdziesięcioma siedmioma głosami w dość podejrzanych okolicznościach. Stare dzieje, ale żywotność przydomka wiele mówiła o mieszanych uczuciach, jakie Johnson budził u Teksasńczyków. Zadaniem Kennedy'ego - i Jackie, oczywiście - było pomóc Lyndonowi Triumfatorowi i gubernatorowi Teksasu Johnowi Connally'emu zmobilizować zwolenników.

- Zobacz - powiedziała Sadie, przesuając czubkiem palca po zaznaczonej trasie. - Długi odcinek Main Street. Potem Houston Street. Wzdłuż całej tej części stoją wysokie budynki. Czy ten człowiek będzie na Main Street? Chyba to jedyna możliwość, nie sądzisz?

Ledwo jej słuchałem, bo zauważyłem coś innego.

- Zobacz, Sadie, prezydent będzie jechał Turtle Creek Boulevard!

Oczy jej rozbłysły.

- To stanie się tam?

Pokręciłem głowę z powątpiewaniem. Chyba nie, ale wiedziałem coś o Turtle Creek Boulevard i jakoś wiązało się to z człowiekiem, którego miałem powstrzymać. Kiedy o tym myślałem, coś wynurzyło się z głębin.

- Miał schować karabin i wrócić po niego później.

- Gdzie schować?

- Nieważne, to już się wydarzyło. To przeszłość. - Zakryłem twarz dłońmi, bo światło w pokoju nagle zaczęło mnie razić.

- Teraz o tym nie myśl - powiedziała i zabrała artykuł. - Odpręż się, bo znowu rozboli

cię głowa i będziesz musiał wziąć prochy. Po nich do niczego się nie nadajesz.

- Tak. Wiem.

- Potrzeba ci kawy. Mocnej kawy.

Poszła do kuchni ją zaparzyć. Kiedy wróciła, chrapałem. Spałem prawie trzy godziny i może zostałem w objęciach Morfeusza jeszcze dłużej, ale potrząsnęła mną, żeby mnie obudzić.

- Pamiętasz, co robiłeś po przyjeździe do Dallas?

- Nie pamiętam nic.

- Gdzie się zatrzymałeś? W hotelu? W motelu? W wynajętym pokoju?

Przez chwilę powróciło mgliste wspomnienie dziedzińca i wielu okien. Portier? Może. Wspomnienie zniknęło. Znowu rozkręcał się ból głowy.

- Nie wiem. Pamiętam tylko, jak przekroczyłem granicę stanu na drodze numer 20 i zobaczyłem tablicę z reklamą grilla. A to kawał drogi od Dallas.

- Nie musimy cofać się aż tam, bo jeśli jechałeś dwudziestką, to zostałeś na dwudziestce. - Zerknęła na zegarek. - Dziś już za późno, ale jutro zrobimy sobie niedzielną przejażdżkę.

- To pewnie nic nie da. - A mimo to zatliła się we mnie iskierka nadziei.

Sadie została na noc i rano wyjechaliśmy z Dallas - ona prowadziła - drogą nazywaną przez miejscowych Pszczelą Autostradą na wschód, w stronę Luizjany. Dojechała aż do Terrell, a tam zjechała z dwudziestki i zawróciła na wyboistym, nieutwardzonym parkingu przy przydrożnym kościele Krwi Odkupiciela, według tablicy z ogłoszeniami na usychającym trawniku. Pod nazwą było przesłanie wypisane naklejanymi białymi literami. Głosiło: ALBOWIEM DAŁ PAN SWOJE SŁOWO, ABYŚCIE JE CO DZIEŃ CZYTALI.

Spojrzała na mnie z lekką obawą.

- Dasz radę prowadzić w drodze powrotnej, kochanie?

Byłem prawie pewien, że tak. Droga była prosta, a chevy miał automatyczną skrzynię biegów. W ogóle nie będę musiał używać mojej sztywnej lewej nogi. Tyle że...

- Sadie - powiedziałem, kiedy pierwszy raz od sierpnia usiadłem za kierownicą i odsunąłem fotel do tyłu najdalej, jak się dało. - Gdybym zasnął, łap kierownicę i wyłącz zapłon.

Uśmiechnęła się nerwowo.

- Och, wierz mi, nie omieszkam.

Sprawdziłem, czy nic nie jedzie, i ruszyłem. Z początku nie ośmielałem się przekraczać siedemdziesięciu na godzinę, ale było niedzielne południe i mieliśmy praktycznie

całą drogę dla siebie. Zacząłem się odprężyć.

- Opróżnij umysł, Jake. Nie próbuj sobie nic przypomnieć, niech to przyjdzie samo.

- Szkoda, że nie mam sunlinera.

- Udawaj, że to twój sunliner, i daj mu pojechać, gdzie chce.

- Dobrze, ale...

- Żadnych ale. Jest piękny dzień. Przyjeżdżasz w nowe miejsce i nie musisz się przejmować zabójstwem Kennedy'ego, bo masz jeszcze sporo czasu, zanim to się stanie. Całe lata.

Tak, dzień był ładny. I nie, nie zasnąłem, choć zmęczony byłem strasznie - od pobicia nie spędziłem tyle czasu na powietrzu. Ciągle wracałem myślami do tego małego przydrożnego kościoła. Najpewniej modlili się tam czarni. Pewnie swingowali przy hymnach tak, jak biali nigdy się nie nauczyli, i czytali SŁOWO, które ALBOWIEM DAŁ PAN, pokrzykując „alleluja” i „chwała Panu”.

Wjechaliśmy do Dallas. Skręcałem w lewo i w prawo - częściej chyba w prawo, bo moja lewa ręka wciąż była słaba i skręcanie w tamtym kierunku sprawiało ból, nawet ze wspomaganiami kierownicy. Wkrótce zagubiłem się w labiryncie bocznych ulic.

Zagubiłem się, i to jak, pomyślałem. Muszę spytać kogoś o drogę, tak jak spytałem tego chłopaka w Nowym Orleanie. Kiedy szukałem hotelu Moonstone.

Tylko że nie nazywał się Moonstone; nazywał się Monteleone. A po przyjeździe do Dallas zatrzymałem się w hotelu... w hotelu...

Przez chwilę myślałem, że to uleci, jak ulatywały inne wspomnienia, czasem nawet imię Sadie. Potem jednak zobaczyłem portiera i te skrzące się okna wyglądające na Commerce Street. Klapka zaskoczyła.

Zatrzymałem się w hotelu Adolphus. Tak. Bo był blisko...

Pustka. Ta część wciąż była niedostępna.

- Kochanie? Wszystko w porządku?

- Tak - powiedziałem. - A bo co?

- Tak jakby podskoczyłeś.

- Lekki skurcz nogi.

- Nic z tego nie wygląda znajomo?

- Nie. Nic.

Westchnęła.

- Czyli następny pomysł bierze w łeb. Wracajmy. Mam prowadzić?

- Chyba tak będzie lepiej. - Pokużykałem na fotel pasażera, myśląc: Hotel Adolphus.

Zapisz to sobie, jak wrócisz do Eden Fallows. Żebyś nie zapomniał.

Kiedy wróciliśmy do małego trzypokojowego mieszkania z rampami dla wózków inwalidzkich, łóżkiem szpitalnym i uchwytyami po obu stronach sedesu, Sadie powiedziała mi, żebym trochę poleżał.

- I weź pigułkę.

Poszedłem do sypialni, zdjąłem buty - powolny proces - i położyłem się. Nie wziąłem jednak pigułki. Chciałem trzeźwo myśleć. Ba, od tej pory musiałem. Za raptem pięć dni Kennedy przyjedzie do Dallas.

Zatrzymałem się w hotelu Adolphus, bo był blisko czegoś. Czego?

Cóż, był blisko trasy przejazdu prezydenta, którą pokazali w gazecie, co zawężyło krąg podejrzeń do... rety, nie więcej niż dwóch tysięcy budynków. Nie wspominając o wszystkich posągach, pomnikach i murach, za którymi mógłby się schować hipotetyczny snajper. Ile zaułków po drodze? Dziesiątki. Ile wiaduktów z doskonałym widokiem z góry na West Mockingbird Lane, Lemmon Avenue, Turtle Creek Boulevard? Kolumna samochodów przejedzie tymi wszystkimi ulicami. Ile podobnych na Main Street i Houston Street?

Muszę sobie przypomnieć, kim jest albo skąd będzie strzelał.

Gdybym wiedział jedno, drugie samo by się przypomniało. Na pewno. Moje myśli jednak uparcie wracały do tego kościoła przy drodze numer 20, przed którym zawróciliśmy. Krew Odkupiciela na Pszczeliej Autostradzie. Wielu widziało w Kennedym odkupiciela. Na pewno Al Templeton. On...

Otworzyłem szeroko oczy i wstrzymałem oddech.

W drugim pokoju zadzwonił telefon i usłyszałem, jak Sadie odebrała, niższym głosem, bo myślała, że śpię.

ALBOWIEM DAŁ PAN SWOJE SŁOWO.

Przypomniałem sobie ten dzień, kiedy zobaczyłem pełne imię i nazwisko Sadie z dwoma zasłoniętymi fragmentami, tak że zostało tylko „Doris Dun”. Ten element harmonii dźwięczał równie mocno. Zamknąłem oczy i przywołałem obraz tablicy ogłoszeń przed kościołem. Potem wyobraziłem sobie, że zasłaniam PAN.

Zostało ALBOWIEM DAŁ SWOJE SŁOWO.

AL BOWIEM DAŁ SWOJE SŁOWO.

Słowo Ala.

Notatki Ala. Miałem jego zeszyt!

Ale gdzie? Gdzie on był?

Otworzyły się drzwi sypialni. Zajrzała Sadie.

- Jake, śpisz?

- Nie. Tylko sobie leżę w ciszy.

- Przypomniałeś sobie coś?

- Nie. Przykro mi.

- Jest jeszcze czas.

- Tak. Co dzień przypomina mi się coś nowego.

- Kochanie, dzwonił Deke. W szkole szaleje wirus i jego też rozłożył. Pytał, czy nie mogłabym przyjść jutro i we wtorek. Może nawet w środę.

- Idź - powiedziałem. - Inaczej sam spróbuje. A nie jest już młody. - W głowie mrugały mi dwa słowa jak neon baru: SŁOWO AL-A, SŁOWO ALA, SŁOWO ALA.

Usiadła obok mnie na łóżku.

- Jesteś pewien?

- Poradzę sobie. Poza tym będę miał towarzystwo. Jutro przychodzą pielęgniarki środowiskowe, pamiętasz? - Ich głównym zadaniem było sprawdzać, czy nie bredzę, bo to mogłoby wskazywać, że mózg mi jednak krwawi.

- Jasne. O dziewiątej. Masz to zapisane w kalendarzu, gdybyś zapomniał. I doktor Ellerton...

- Przychodzi na lunch. Pamiętam.

- Dobrze, Jake. Bardzo dobrze.

- Mówił, że przyniesie kanapki. I shake'i. Chce mnie podtuczyć.

- Bo trzeba cię podtuczyć.

- A w środę mam terapię. Rano tortury nogi, po południu tortury ręki.

- Wolałabym nie zostawiać cię samego tuż przed... no wiesz.

- Jeśli coś sobie przypomnę, zadzwonię, Sadie.

Wzięła mnie za rękę i nachyliła się tak blisko, że czułem jej perfumy i słaby zapach tytoniu z ust.

- Obiecujesz?

- Tak. Oczywiście.

- Wrócę najpóźniej w środę wieczór. Jeśli Deke nie będzie mógł przyjść do pracy w czwartek, trudno, biblioteka zostanie zamknięta.

- Poradzę sobie.

Pocałowała mnie lekko, ruszyła do wyjścia, po czym zawróciła.

- Prawie mam nadzieję, że Deke ma rację i że to wszystko ci się uroiło. Nie mogę znieść myśli, że wiemy, co się wydarzy, a mimo to możemy nie być w stanie tego

powstrzymać. Że będziemy siedzieć w salonie i oglądać telewizję, kiedy ktoś...

- Przypomnę sobie - powiedziałem.

- Na pewno, Jake?

- Muszę.

Skinęła głową, ale nawet przy zaciągniętych zasłonach mogłem wyczytać powątpiewanie z jej twarzy.

- Zanim wyjdę, jeszcze zjemy kolację. Zaniknij oczy i niech pigułka robi swoje. Prześpij się.

Zamknąłem oczy, pewien, że nie zasnę. A to mi odpowiadało bo musiałem pomyśleć o Słowie Ala. Niedługo potem doleciała mnie woń czegoś gotującego się. Pachniało smakowicie. Kiedy wyszedłem ze szpitala i wciąż co dziesięć minut rzygałem lub srałem, wszystkie zapachy mnie odrzucały. Teraz było lepiej.

Zacząłem odpływać. Widziałem Ala w papierowej czapce zsuniętej na lewą brew, siedzącego naprzeciwko mnie w jednym z boksów w barze. Zdjęcia małomiasteczkowych ważniaków patrzyły na nas z góry, ale Harry'ego Dunninga nie było już na ścianie. Uratowałem go. Może za drugim razem ocaliłem go też przed Wietnamem. Nie było jak tego stwierdzić.

Nadal rzuca ci kłody pod nogi, co, przyjacielu? - spytał Al.

Tak.

Ale jesteś już blisko.

Nie dość blisko. Nie mam pojęcia, gdzie wsadziłem ten twój cholerny zeszyt.

Ukryłeś go w bezpiecznym miejscu. Coś ci to mówi?

Już miałem powiedzieć, że nie, kiedy pomyślałem: Słowo Ala jest ukryte w bezpiecznym miejscu. Ukryte w bezpiecznym miejscu. Dlatego, że...

Otworzyłem oczy i chyba po raz pierwszy od wielu tygodni moją twarz przecięł szeroki uśmiech.

Było w skrytce bankowej.

Drzwi się otworzyły.

- Jesteś głodny? Pilnowałam, żeby nie wystygło.

- Hę?

- Jake, spałeś ponad dwie godziny.

Usiadłem prosto i opuściłem nogi na podłogę.

- Wobec tego jedzmy.

ROZDZIAŁ 27

1

17/11/63 (niedziela)

Sadie chciała pozmywać naczynia po posiłku, który ona nazwała kolacją, a ja obiadem, ale poradziłem jej, żeby zamiast tego zajęła się pakowaniem swojej torby podróżnej. Była mała i niebieska, z zaokrąglonymi rogami. Jak dla mnie wyglądała, jakby pochodziła z szafy Barbie.

- Twoje kolano...

- Kilka naczyń wytrzyma. Musisz już ruszać, jeśli chcesz się porządnie wyspać.

Dziesięć minut później naczynia były pozmywane, opuszki moich palców pomarszczone, a Sadie stała przy drzwiach. Z małą torbą w rękach i włosami kręcącymi się wokół twarzy wydawała mi się piękna jak nigdy.

- Jake, powiedz mi coś dobrego o przyszłości.

Zaskakująco mało rzeczy przyszło mi do głowy. Telefony komórkowe? Nie. Zamachowcy samobójcy? Raczej nie. Topniejąca pokrywa lodowa? Może kiedy indziej.

I wtedy uśmiechnąłem się szeroko.

- Powiem ci dwie rzeczy za cenę jednej. Zimna wojna się skończyła i mamy czarnego prezydenta.

Zaczęła się uśmiechać, po czym zauważyła, że nie żartuję. Szczeka jej opadła.

- Mam rozumieć, że w Białym Domu jest Murzyn?

- Otóż to. Choć w moich czasach wolą, żeby ich nazywać Afroamerykanami.

- Poważnie mówisz?

- Tak. Zupełnie poważnie.

- O mój Boże!

- Wielu mówiło dokładnie to samo dzień po wyborach.

- Czy... jest dobrym prezydentem?

- Opinie są różne. Jeśli chcesz moją, radzi sobie tak dobrze, jak można tego oczekiwać w skomplikowanych okolicznościach.

- To ja już chyba pojedę do Jodie. - Zaśmiała się z roztargnieniem. - W oszołomieniu.

Zeszła po rampie dla wózków, włożyła torbę do ciasnego przedziałiku, który służył za bagażnik jej garbusa, i posłała mi całusa. Zaczęła wsiadać, ale nie mogłem pozwolić jej tak odejść. Biec nie dałem rady - doktor Perry mówił, że zacznę za osiem miesięcy, może nawet za rok - ale pokuśtykałem w dół rampy najszybciej, jak się dało.

- Czekaj, Sadie, zaczekaj chwilę!

Pan Kenopensky siedział przed sąsiednim domkiem w swoim wózku inwalidzkim, opatulony kurtką, z motorolą na baterie na kolanach. Norma Whitten powolutku szła chodnikiem w stronę skrzynki pocztowej na rogu, używając dwóch drewnianych lasek bardziej jak kijków narciarskich niż jak kul. Odwróciła się i pomachała do nas, usiłując unieść zastygłą stronę twarzy w uśmiechu.

Sadie spojrzała na mnie pytająco.

- Chciałem ci tylko coś powiedzieć - zacząłem. - Chciałem ci powiedzieć, że jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało.

Przytuliła mnie ze śmiechem.

- I nawzajem, miły panie.

Długo się całowaliśmy i może całowalibyśmy się dłużej, gdyby nie suche kłaśniecie z naszej prawej strony. Pan Kenopensky bił brawo.

Sadie odsunęła się, ale chwyciła mnie za nadgarstki.

- Zadzwonisz, prawda? W razie czego dasz mi... jak ty to nazywasz? Cynk?

- Właśnie tak, i tak, dam ci cynk. - Nieprawda. Nie dam cynku ani jej, ani Deke'owi, ani policji.

- Bo sam sobie nie poradzisz, Jake. Jesteś za słaby.

- Wiem - powiedziałem. Z myślą: Obym się mylił. - Zadzwoń, żebym wiedział, że bezpiecznie dojechałaś.

Kiedy jej garbus skręcił za róg i zniknął, pan Kenopensky powiedział:

- Lepiej bądź grzeczny, Amberson. Ta dziewczyna to skarb.

- Wiem. - Zostałem u wylotu podjazdu dość długo, by się upewnić, że pani Whitten nie przewróci się w drodze powrotnej od skrzynki.

Dała radę.

Wróciłem do środka.

2

Zdjąłem z komody moje kółko z kluczami i przejrzałem wszystkie po kolei,

zaskoczony, że Sadie nie pokazała mi ich, by sprawdzić, czy pobudzą moją pamięć... no ale oczywiście nie mogła pomyśleć o wszystkim. Było ich dokładnie tuzin. Nie miałem pojęcia, do czego większość pasuje, choć byłem prawie pewien, że klucz Schlage otwiera drzwi mojego domu w... Sabbatus? Chyba tak to się nazywało, ale pewności nie miałem.

Na kółku był jeden mały kluczyk. Wybite było na nim FC i 775. Jasna sprawa, otwierał skrytkę bankową, ale w jakim banku? First Commercial? To brzmiało bankopodobnie, ale jakoś mi nie pasowało.

Zamknąłem oczy i zająłem w ciemność. Czekałem, prawie pewien, że to, czego szukam, przyjdzie... i przyszło. Zobaczyłem książeczkę czekową w okładce z imitacji skóry aligatora. Zobaczyłem, jak ją otwieram. To było zaskakująco łatwe. Na pierwszym czeku wydrukowane było nie tylko moje nazwisko w Krainie Przeszłości, ale i mój ostatni oficjalny adres w Krainie Przeszłości.

W. Neely St. 214, m. 1

Dallas, Teksas

I pomyślałem: Oswald. Zabójca nazywa się Królik Oswald.

Nie, oczywiście, że nie. To człowiek, nie postać z kreskówki. Ale byłem blisko.

- Idę po ciebie, panie Króliku - powiedziałem. - Nadal idę.

3

Telefon zadzwonił krótko przed wpół do dziesiątej. Sadie bezpiecznie dojechała do domu.

- Nic ci się aby nie przypomniało? Jestem uciążliwa, wiem.

- Nic. I daleko ci do uciążliwości. - I już ja dopilnuję, żeby było jej daleko do Królika Oswalda. Nie wspominając o jego żonie, która miała na imię Mary albo i nie, i córeczce, która, byłem pewien, miała na imię April.

- Przyznaj, z tym Murzynem w Białym Domu to bujda, prawda?

Uśmiechnąłem się.

- Cierpliwości. Sama zobaczysz.

4

18/11/63 (poniedziałek)

Pielęgniarki środowiskowe, jedna stara i budząca postrach, druga młoda i ładna, przyjechały punktualnie o dziewiątej rano. Zrobiły, co do nich należało. Kiedy starsza uznała, że dość się już nawykrzywiałem, nawzdrygiwałem i najęczałem, dała mi papierową kopertę z dwiema tabletkami w środku.

- Przeciwbólowe.

- Nie sądzę, żeby...

- Weź je. - Małomówna była. - Gratis.

Wrzuciłem je do ust, schowałem w policzku, popiłem wodą, po czym przeprosiłem i poszedłem do łazienki. Tam wypłułem tabletki.

Kiedy wróciłem do kuchni, starsza pielęgniarka powiedziała:

- Duża poprawa. Nie przemęczaj się.

- Nie zamierzam.

- Złapali ich?

- Słucham?

- Bandziorów, co cię pobili.

- Hm... jeszcze nie.

- Robisz coś, czego nie powinienes?

Obdarzyłem ją moim najszerszym uśmiechem, tym, który, jak mawiała Christy, upodabniał mnie do naćpanego crackiem gospodarza teleturnieju.

- Nie pamiętam.

5

Doktor Ellerton przyniósł na lunch wielkie kanapki z rostbefem, chrupiące frytki ociekające tłuszczem i przyobiecane shake'i. Zjadłem tyle, ile mogłem, jak się okazało, całkiem sporo. Wracał mi apetyt.

- Mike namawiał ludzi, żeby wystawić jeszcze jedną rewię - powiedział. - Tym razem na rzecz ciebie. Koniec końców rozsądek zwyciężył. Małe miasto nie może bez końca dawać.

- Zapalił papierosa, upuścił zapałkę do popielniczki na stole i zaciągnął się z rozkoszą. - Jest szansa, że policja złapie bandytów, którzy cię przeciwiczyli? Słyszałeś coś?

- Nic, ale wątpię. Wyczyścili mi portfel i uciekli.

- Co w ogóle robiłeś w tej części Dallas? Nie jest to najbardziej ekskluzywna dzielnica.

Cóż, najwyraźniej tam mieszkałem.

- Nie pamiętam. Może odwiedzałem kogoś.
- Odoczywasz? Nie przemęczasz kolana?
- Nie. - Choć podejrzewałem, że wkrótce przemęcę je aż za bardzo.
- Nadal nagle zasypiasz?
- Z tym akurat jest trochę lepiej.
- To świetnie. Sądzę, że...

Zadzwonił telefon.

- To na pewno Sadie - powiedziałem. - Zawsze dzwoni na długiej przerwie.
- I tak muszę już lecieć. Cieszę się, że przybierasz na wadze, George. Pozdrów ode mnie swoją piękną panią.

Zrobiłem to. Spytała, czy powracają jakieś „istotne wspomnienia”. Po tym, jak ostrożnie dobierała słowa, poznałem, że dzwoni z sekretariatu - i wiedziałem, że po zakończonej rozmowie będzie musiała zapłacić pani Coleridge za międzymiastową. Pani Coleridge prowadziła szkolne finanse, a do tego miała długie uszy.

Powiedziałem Sadie, że nie, żadnych nowych wspomnień, ale się zdrzemnę i może jak się obudzę, coś powróci. Dodałem, że ją kocham (miło było powiedzieć coś, co było świętą prawdą), spytałem o Deke'a, życzyłem jej miłego popołudnia i odłożyłem słuchawkę. Nie zdrzemnąłem się jednak. Wziąłem kluczyki od mojego samochodu i aktówkę i pojechałem do centrum. Miałem głęboką nadzieję, że kiedy wrócę, będę coś w tej aktówce miał.

6

Jechałem powoli i ostrożnie - jak starsza pani - ale kolano i tak strasznie mnie bolało, kiedy wszedłem do banku First Corn i pokazałem w okienku kluczyk od skrytki.

Mój bankier wyszedł ze swojego gabinetu, żeby mnie powitać, i jego nazwisko natychmiast wskoczyło na właściwe miejsce: Richard Link. Kiedy pokuśtykałem do niego, otworzył szeroko oczy i spojrzał na mnie z troską.

- Co się panu stało, panie Amberson?
- Wypadek samochodowy. - Miałem nadzieję, że nie pamiętał albo w ogóle nie czytał notki w kronice kryminalnej „Morning News”. Ja jej nie widziałem, ale wiem, że była: George Amberson z Jodie, napadnięty i pobity, odnaleziony nieprzytomny, przewieziony do szpitala Parkland. - Już wracam do zdrowia.
- Bardzo się cieszę.

Skrytki były w podziemiach. Zszedłem na dół, zeskakując ze schodka na schodek.

Użyliśmy naszych kluczy i Link zaniósł skrytkę do jednego z boksów. Postawił ją na małym, trójkątnym biurku, na którym ledwo się mieściła, i wskazał guzik w ścianie.

- Jak pan skończy, proszę wezwać Melvina. On panu pomoże.

Podziękowałem mu i kiedy poszedł, zaciągnąłem zasłonę w wejściu do boksu. Zamek otworzyliśmy, ale skrytka nadal była zamknięta. Patrzyłem na nią z mocno bijącym sercem. W środku była przyszłość Johna Kennedy'ego.

Otworzyłem skrytkę. Na wierzchu był plik banknotów i rzeczy z mieszkania na Neely Street, z książeczką czekową First Corn włącznie. Pod spodem leżał rękopis przewiązany dwiema gumkami. Na pierwszej stronie widniały napisane na maszynie słowa MIASTO ZBRODNI. Bez nazwiska autora, ale to była moja robota. Na dnie znalazłem niebieski zeszyt: Słowo Ala. Trzymałem go w rękach, przepelniony straszliwą pewnością, że kiedy go otworzę, wszystkie strony okażą się czyste. Że Człowiek z Żółtą Kartką wszystko z nich wymazał.

Proszę, nie.

Otworzyłem zeszyt. Z pierwszej strony patrzyło na mnie zdjęcie. Wąska, nie całkiem ładna twarz. Wargi wykrzywione w dobrze mi znanym uśmiechu - czyż nie widziałem go na własne oczy? To był uśmiech, który mówi: Wiem, co jest grane, a ty nie wiesz, biedny ćwoku.

Lee Harvey Oswald. Żałosny przybłęda, który zmieni świat.

7

Nadciągnęły wspomnienia. To na czele stada nie miało nic wspólnego z Oswaldem, przynajmniej bezpośrednio. To było wspomnienie tego, jak Akiva Roth robił mi zdjęcia polaroidem. Te obrazy wyłoniły się z nicości, z początku słabe, potem wyraziste. Wypełniały lukę w mojej pamięci, podczas gdy ja siedziałem w boksie i z trudem łapałem powietrze.

Ivy i Rosette na Mercedes Street. Nazywały się Templeton, jak Al.

Dziewczynki ze skakanką: „Mój stary w łodzi podwodnej jest”.

Cichy Mike (Święty Mike) w Satellite Electronics.

George DeMohrenschildt rozdzierający koszulę jak Superman.

Billy James Hargis i generał Edwin A. Walker.

Marina Oswald, piękna zakładniczka zabójcy, stojąca na progu mojego mieszkania na West Neely 214: „Przepraszam, widział pan mojego *muża*?”.

Teksaska Składnica Podręczników.

Piąte piętro, okno od południowego wschodu. To z najlepszym widokiem na Dealey

Plaza i Elm Street w miejscu, gdzie zakręcała w stronę tunelu pod torami kolejowymi.

Zacząłem drzeć. Ścisnąłem rękami mocno zaplecione na piersi ramiona. Lewe - złamane owiniętą filcem gazurką - zabolalo, ale nie zważałem na to. Nawet byłem z tego zadowolony. To wiązało mnie ze światem.

Kiedy dreszcze minęły, włożyłem niedokończony rękopis, drogocenny niebieski zeszyt i całą resztę do aktówki. Wyciągnąłem rękę do guzika, który miał wezwać Melvina, ale zanim go wcisnąłem, sprawdziłem, czy nie ma czegoś w głębi skrytki. Znalazłem dwie rzeczy. Jedną była tania obrączka z lombardu, którą kupiłem dla kamuflażu, zanim poszedłem do Satellite Electronics. Drugą - czerwona dziecięca grzechotka, która należała do córki Oswaldów (June, nie April). Grzechotka poszła do aktówki, obrączka do kieszonki spodni. Wyrzucę ją w drodze powrotnej. Jeśli przyjdzie chwila, kiedy będę mógł poprosić Sadie o rękę, dostanie dużo ładniejszą.

8

Pukanie w szkło. A potem głos:

- ...nie jest? Proszę pana, nic panu nie jest?

Otworzyłem oczy. W pierwszej chwili nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Spojrzałem w lewo i zobaczyłem mundurowego policjanta pukającego w szybę mojego chevy od strony kierowcy. I wtedy sobie przypomniałem. Kiedy byłem w połowie drogi powrotnej do Eden Fallows, zmęczony, podekscytowany i przerażony jednocześnie, nagle ogarnęło mnie znajome uczucie pod tytułem „zaraz zasnę”. Natychmiast zjechałem na pierwsze lepsze miejsce parkingowe. To było koło drugiej. Teraz dochodziła czwarta.

Opuściłem szybę.

- Przepraszam, panie władzo - powiedziałem. - Nagle zrobiłem się strasznie senny i pomyślałem, że bezpieczniej będzie się zatrzymać

Skinął głową.

- Mhm, tak to jest po gorzale. Ile pan wypił, zanim wskoczył pan za kółko?

- Nic. Kilka miesięcy temu doznałem urazu głowy. - Przekręciłem szyję, żeby pokazać mu miejsce, w którym włosy jeszcze nie odrosły.

Był już prawie przekonany, ale i tak kazał chuchnąć sobie w twarz. To przekonało go do reszty.

- Pan pokaże dokumencik.

Pokazałem mu prawo jazdy z Teksasu.

- Chyba nie myśli pan jechać aż do Jodie, co?

- Nie, panie władzo, tylko do północnego Dallas. Mieszkam w ośrodku rehabilitacji o nazwie Eden Falls.

Pociłem się. Miałem nadzieję, że jeśli to zauważy, wyjaśni to sobie tym, że delikwent zdrzemnął się w zamkniętym samochodzie w ciepławy listopadowy dzień. Miałem też nadzieję - głęboką - że nie każe pokazać, co jest w aktówce obok mnie na siedzeniu. W 2011 roku mógłbym odmówić, powołując się na to, że spanie w samochodzie to nie jest uzasadniona podstawa do przeszukania. Kurczę, miejsce parkingowe nawet nie było płatne. Jednak w roku 1963 glina mógł po prostu zacząć szperać. Nie znalazłby narkotyków ani pieniędzy, znalazłby za to rękopis ze słowem „zbrodnia” w tytule i zeszyt pełen dziwacznych majaczeń o Dallas i JFK. Czy zabrałby mnie na najbliższy posterunek na przesłuchanie albo z powrotem do Parkland na badanie psychiatryczne? A jak myślicie?

Stał tak przez chwilę, potężny i czerwony na twarzy, glina z obrazu Normana Rockwella, w sam raz na okładkę „Saturday Evening Post”. Wreszcie oddał mi prawo jazdy.

- W porządku, panie Amberson. Niech pan wraca do tych Falls i radzę do rana nigdzie nie ruszać samochodem. Wygląda pan nietęgo, nawet po drzemce.

- Taki mam zamiar.

Odjeżdżając, widziałem w lusterku wstecznym, jak patrzył za mną. Byłem pewien, że zanim stracę go z oczu, znowu zasnę. Tym razem nie będzie żadnego ostrzeżenia; po prostu zjadę z ulicy na chodnik, może nawet skoszę przechodnia albo trzech, zanim wyląduję w witrynie sklepu meblowego.

Kiedy w końcu zaparkowałem wóz przed moim małym domkiem z rampą dla wózków prowadzącą do drzwi, bolała mnie głowa oczy łzawiły, kolano rwało... ale wspomnienie Oswalda pozostało pewne i wyraźne. Rzuciłem teczkę na stół kuchenny i zadzwoniłem do Sadie.

- Dzwoniłam po szkole, ale cię nie było. Niepokoiliam się.

- Byłem u sąsiada, pana Kenopensky'ego, graliśmy w cribbage. - Te kłamstwa były konieczne. Musiałem to pamiętać. I musiałem mówić je bez zająknięcia, bo mnie znała.

- Cóż, to dobrze. - Potem, bez przerwy czy zmiany modulacji głosu: - Jak on się nazywa? Jak ten człowiek się nazywa?

Już miałem powiedzieć: Lee Oswald. Prawie wyciągnęła to ze mnie z zaskoczenia.

- Ja... nadal nie wiem.

- Zawahałeś się. Słyszałam.

Czekałem na oskarżenie, ściskając telefon tak mocno, że bolało.

- Tym razem prawie ci się przypomniało, prawda?

- Coś było - przytaknąłem ostrożnie.

Przegadaliśmy piętnaście minut. Przez cały czas patrzyłem na aktówkę z notatkami Ala w środku. Sadie poprosiła, żebym zadzwonił do niej wieczorem. Obiecałem, że to zrobię.

9

Postanowiłem zaczekać, aż skończy się „Huntley-Brinkley Report”, zanim ponownie otworzę niebieski zeszyt. Nie sądziłem, bym w tym momencie miał tam znaleźć wiele praktycznych informacji. Końcowe zapiski Ala były pobieżne, robione w pośpiechu; nie spodziewałem się, że Akcja Oswald potrwa tak długo. Ja też nie. Polowanie na tego zgorzkniałego kurdupla było jak jazda drogą zawałoną gałęziami i nie mogłem wykluczyć, że koniec końców przeszłość mimo wszystko zdoła się obronić. Z Dunningiem sobie jednak poradziłem. To dawało nadzieję. W głowie majaczył mi zarys planu, który pozwoliłby mi teraz powstrzymać Oswalda i uniknąć więzienia albo krzesła elektrycznego w Huntsville. Miałem doskonałe powody, by chcieć pozostać na wolności. Najlepszy z nich tego wieczora był w Jodie i pewnie karmił Deke'a Simmonsa rosółem.

Metodycznie pozbierałem rzeczy w moim małym, przyjaznym inwalidom mieszkaniu. Poza starą maszyną do pisania nie chciałem zostawić żadnego śladu George'a Ambersona, kiedy wyjadę. Liczyłem, że zostanę do środy, ale jeśli Sadie powie, że Deke ma się lepiej i ona w związku z tym planuje wpaść do mnie już we wtorek wieczorem, będę musiał wszystko przyspieszyć. A gdzie się ukryję do czasu, aż zrobię to, co do mnie należy? Bardzo dobre pytanie.

Dźwięk trąbki oznajmił początek wiadomości. Pojawił się Chet Huntley.

- Po weekendzie spędzonym na Florydzie, gdzie obejrzał próbne wystrzelenie rakiety Polaris i odwiedził chorego ojca, prezydent Kennedy miał pracowity poniedziałek. W ciągu dziewięciu godzin wygłosił pięć przemówień.

Helikopter - Marine One - opadł ku ziemi wśród wiwatów oczekującego tłumu. Następne ujęcie pokazało Kennedy'ego, gdy szedł do ludzi ściśniętych za prowizoryczną barierką, jedną ręką poprawiając zmierzwione włosy, a drugą krawat. Wysforował się daleko przed ochronę z Secret Service, która musiała podbiec, by za nim nadążyć. Patrzyłem zafascynowany, kiedy bez ceregieli prześliznął się przez przerwę w barierce i wmieszał się w oczekującą masę ludzi, ściskając dłonie na lewo i prawo. Agenci pospieszyli za nim.

- Oglądamy zdjęcia z Tamy - ciągnął Huntley - gdzie Kennedy przez prawie dziesięć

minut ścisnął dłonie zgromadzonych. To powód do niepokoju dla osób odpowiedzialnych za jego bezpieczeństwo, ale jak sami państwo widzicie, ludzie są zachwyceni. On też, Davidzie... przy całej jego rzekomej powściągliwości dobrze się czuje w roli polityka.

Teraz Kennedy wszedł w stronę swojej limuzyny, wciąż ścisnąjąc dłonie i co poniektóre kobiety. Samochód, kabriolet ze spuszczonego dachem, wyglądał identycznie jak ten, którym miał pojechać z Love Field na spotkanie z kulą Oswalda. I może to był ten sam wóz. Zamazany, czarno-biały film na chwilę skupił się na znajomej twarzy w tłumie. Siedziałem na sofie i patrzyłem, jak prezydent Stanów Zjednoczonych wymienia uścisk dłoni z moim byłym bukmacherem z Tamy.

Nie miałem jak stwierdzić, czy Roth miał rację co do „syfa”, czy tylko powtarzał zasłyszaną plotkę, ale Edwardo Gutierrez bardzo schudł, jego włosy rzedniały, a oczy patrzyły błędnym wzrokiem, jakby nie był pewien, gdzie jest czy nawet kim jest. Podobnie jak ochrona Kennedy'ego z Secret Service, ludzie otaczający Gutierreza mieli na sobie obszerne marynarki mimo florydzkiego upału. Widziałem to tylko przez chwilę, po czym obraz przeskoczył na Kennedy'ego odjeżdżającego odkrytym samochodem, w którym był tak bezbronny. Wciąż machał do ludzi i błyskał uśmiechem.

Powrót do Huntleya - porwana bruzdami twarz, zakłopotany uśmiech.

- Nie obyło się bez zabawnego akcentu, Davidzie. Kiedy prezydent wchodził do sali balowej International Inn, gdzie Izba Handlowa Tamy czekała na jego przemówienie... zresztą posłuchajcie państwo sami.

Następny nagrany materiał. Kiedy Kennedy wszedł, machając do stojącej publiczności, starszy dżentelmen w alpejskim kapeluszu i *lederhosen* zagrał „Hail to the Chief” na akordeonie większym od siebie. Prezydent zrobił wielkie oczy, po czym uniósł dłonie w serdecznym geście mówiącym: a niech mnie! Po raz pierwszy zobaczyłem go w świetle, w jakim z czasem zacząłem widzieć Oswalda - jako człowieka z krwi i kości. W jego zaskoczeniu i geście, który po nim nastąpił, ujrzałem coś jeszcze piękniejszego od poczucia humoru: świadomość fundamentalnej absurdalności życia.

David Brinkley też się uśmiechał.

- Jeśli Kennedy zostanie wybrany na drugą kadencję, może zaprosi tego dżentelmena, by zagrał na Balu Inauguracyjnym. Zapewne raczej „The Beer Barrel Polka” niż „Hail to the Chief”. Tymczasem w Genewie...

Wyłączyłem telewizor, wróciłem na sofę i otworzyłem zeszyt Ala. Przeglądając ostatnie strony, ciągle widziałem tę zaskoczoną minę. I szeroki uśmiech. Poczucie humoru; wycucie absurdu. Człowiek w oknie na piątym piętrze Składnicy Podręczników nie miał ani

jednego, ani drugiego. Oswald dowiódł tego wiele razy; ktoś taki nie miał prawa zmieniać dziejów.

10

Byłem zawiedziony, kiedy odkryłem, że pięć z ostatnich sześciu stron zeszytu Ala relacjonuje pobyt Lee w Nowym Orleanie i jego bezowocne próby przedostania się na Kubę przez Meksyk. Tylko strona ostatnia skupiała się na dniach poprzedzających zamach i te końcowe zapiski były skąpe. Al bez wątplenia znał podane tam fakty na pamięć i pewnie uznał, że jeśli nie dopadnę Oswalda przed trzecim tygodniem listopada, to i tak będzie za późno.

3/10/63: O z powrotem w Teksasie. On i Marina „tak jakby” w separacji. Ona w domu Ruth Paine, O pokazuje się głównie w weekendy. Ruth załatwia O pracę w Skł. Podręczników za pośrednictwem sąsiada (Buell Frazier). Ruth nazywa O „porządnym młodym człowiekiem”.

W tygodniu O mieszka w Dallas. W pensjonacie.

17/10/63: O zaczyna pracę w Skł. Nosi książki, rozładowuje ciężarówki itd.

18/10/63: 24. urodziny O. Ruth i Marina wydają przyjęcie niespodziankę. O dziękuje im. Płacze.

20/10/63: Rodzi się 2-ga córka: Audrey Rachel. Ruth wiezie Marinę do szp. (Parkland), O jest w pracy. Karabin schowany w garażu Paine'ów, zawinięty w koc.

O regularnie odwiedzany przez agenta FBI, Jamesa Hosty'ego. To podsyca w nim paranoję.

21/11/63: O przyjeżdża do Paine'ów. Błaga Marinę, żeby do niego wróciła. M odmawia. Dla O to kropla, która przelewa czarę.

22/11/63: O zostawia wszystkie swoje pieniądze na komodzie dla Mariny. Razem z obrączką. Jedzie z Irving do Skł. Podr. z Buellem Frazierem. Ma paczkę zawiniętą w brązowy papier. Buell pyta o nią. „Karnisze do nowego mieszkania”, odpowiada O. Karabin Mann-Carc prawdopodobnie rozłożony. Buell parkuje na parkingu publicznym 2 przecznice od Skł. Podr., 3 minuty piechotą.

11:50 O przygotowuje stanowisko snajperskie w południowo-wschodnim kącie piątego piętra, odgradzając się ze wszystkich stron pudłami od robotników, którzy układają nową podłogę. Lunch. Jest sam. Wszyscy wypatrują prez.

11:55 O składa i ładuje Mann-Carc.

12:29 Kolumna wjeżdża na Dealey Plaza.

12:30 O strzela trzy razy. 3-a kula zabija JFK.

Informacji, na której zależało mi najbardziej - adresu pensjonatu Oswalda - nie było w notatkach Ala. Oparłem się pokusie, by cisnąć zeszytem przez pokój. Wstałem, włożyłem płaszcz i wyszedłem na zewnątrz. Było już prawie ciemno, ale po niebie piał się widoczny w trzech czwartych księżyc. W jego świetle zobaczyłem pana Kenopensky'ego zgarbionego na wózku. Motorola leżała mu na kolanach.

Zszedłem po rampie dla wózków i pokuśtykałem do niego.

- Panie K, wszystko w porządku?

Przez chwilę nie odpowiadał ani się nie ruszał i byłem pewien, że nie żyje. Potem podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Tylko sobie muzyki słucham, synu. Wieczorami stacja KMAT nadaje swinga, a to budzi wspomnienia. W starych, dobrych czasach tańczyłem lindy hopa i bunny hopa jak mało kto, chociaż dzisiaj tego po mnie nie widać. Ładny księżyc, nie?

Bardzo był ładny. Przez jakiś czas patrzyliśmy na niego w milczeniu i myślałem o robocie, która mnie czekała. Może i nie wiedziałem, gdzie Lee dziś nocuje, ale wiedziałem, gdzie jest jego karabin: w garażu Ruth Paine, zawinięty w koc. A gdybym tam pojechał i go zabrał? Może nawet nie musiałbym się włamywać. To była Kraina Przeszłości, gdzie na peryferiach nie zamykało się domów, a co dopiero garaże.

Ale jeśli Al był w błędzie? Przecież pomylił się co do miejsca ukrycia broni przed zamachem na Walkera. Nawet jeśli karabin tam był...

- O czym myślisz, synu? - spytał pan Kenopensky. - Jakiś markotny jesteś. Nie kłopoty z dziewczyną, mam nadzieję.

- Nie. - Przynajmniej jeszcze nie. - Można u pana zasięgnąć rady?

- Tak jest, szanowny panie. To jedyny pożytek ze starych pierdzieli, którzy nie potrafią już wywijać lassem ani konia w cuglach utrzymać.

- Przypuśćmy, że wie pan, że pewien człowiek zrobi coś złego. Że jest na to w pełni zdecydowany. Gdyby raz go pan powstrzymał... powiedzmy, wyperswadował mu to... myśli pan, że spróbowałby znowu, czy przeszłoby mu na zawsze?

- Trudno powiedzieć. Myślisz, że ten, kto pociął twarz twojej młodej damy, może wrócić, żeby dokończyć dzieła?

- Coś w tym stylu.

- To wariat. - To nie było pytanie.

- Tak.

- Normalni ludzie przeważnie łapią aluzję - powiedział pan Kenopensky. - Szaleńcy rzadko. Często widziałem to w dzikich czasach, przed nastaniem elektryczności i telefonów. Przeganasz ich, to wracają. Bijesz ich, to atakują z zasadzki... najpierw ciebie, potem tego, o kogo naprawdę im chodzi. Wsadzasz ich do paki, to siedzą i czekają, aż wyjdą. Szaleńców najbezpieczniej zamknąć na długo. Albo zabić.

- Też tak sędzę.

- Nie daj mu wrócić, żeby do reszty ją oszpecił, jeśli o to mu chodzi. Jeśli zależy ci na niej tak, jak się wydaje, to twoja powinność.

Tyle wiedziałem, chociaż akurat Clayton nie był już problemem. Wróciłem do mojego małego modułu mieszkalnego, zaparzyłem mocną czarną kawę i usiadłem z notatnikiem w rękę. Mój plan był już nieco bardziej klarowny i chciałem zabrać się do dopracowywania szczegółów.

Zamiast tego bazgrałem po kartce. W końcu zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, była prawie północ i bolał mnie policzek rozplaszczony na przykrywającej stół ceracie w kratę. Spojrzałem, co mam na kartce. Nie wiedziałem, czy narysowałem to przed zaśnięciem, czy może w trakcie chwilowego przebudzenia, którego nie pamiętałem.

To był pistolet. Nie karabin Mannlicher-Carcano. Mój pistolet. Ten, który wrzuciłem pod schody prowadzące na ganek budynku przy West Neely 214. Pewnie nadal tam był. Miałem nadzieję, że nadal tam był.

Będzie mi potrzebny.

11

19/11/63 (wtorek)

Rano zadzwoniła Sadie i powiedziała, że Deke czuje się trochę lepiej, lecz ona zamierza go przekonać, żeby jutro jeszcze nie ruszał się z domu.

- Inaczej pójdzie do pracy i się doprawi. Ale rano, przed szkołą, spakuję rzeczy i zaraz po szóstej lekcji jadę do ciebie.

Szósta lekcja kończyła się dziesięć po pierwszej. To znaczyło, że będę musiał wyjechać z Eden Fallows najpóźniej o czwartej. Gdybym tylko wiedział dokąd.

- Cieszę się, że cię zobaczę.

- Jakiś sztywny jesteś. Co, znowu cię głowa boli?
- Trochę - powiedziałem. Zgodnie z prawdą.
- Idź się połóż z wilgotną ściereczką na oczach.
- Dobrze. - Nie miałem zamiaru tego zrobić.
- Wymyśliłeś coś?

Tak się składało, że owszem. Wymyśliłem, że zabranie karabinu Lee nie wystarczy. A zastrzelenie go w domu Paine'ów byłoby złym rozwiązaniem. I nie tylko dlatego, że zapewne by mnie złapali. Licząc dwójkę Ruth, w tym domu było czworo dzieci. Mógłbym mimo to spróbować, gdyby Lee chodził piechotą z pobliskiego przystanku, ale podwoził go Buell Frazier, sąsiad, który załatwił mu pracę na prośbę Ruth Paine.

- Nie - powiedziałem. - Jeszcze nie.
- Coś wymyślimy. Cierpliwości.

12

Jechałem (znów powoli, ale z rosnącą pewnością siebie) przez miasto na West Neely, i zastanawiałem się, co zrobię, jeśli mieszkanie na parterze będzie zajęte. Zapewne kupię nowy pistolet, myślałem... ale chciałem odzyskać tę trzydziestkęósemkę Police Special. Taką samą miałem w Derry, a tamta misja zakończyła się powodzeniem.

Według Franka Blaira, prezentera wiadomości z programu „Today”, Kennedy pojechał do Miami, gdzie powitała go duża grupa *Cubanos*. Niektórzy machali tabliczkami z napisem VIVA JFK, inni nieśli transparent KENNEDY TO ZDRAJCA NASZEJ SPRAWY. Jeśli nic się nie zmieni, zostały mu siedemdziesiąt dwie godziny. Oswald, któremu zostało tylko trochę więcej czasu, o tej porze pewnie był w Składnicy Podręczników, może wkładał pudła do windy towarowej, może pił kawę w pokoju socjalnym.

Tam mógłbym go dopaść - po prostu podejść i go kropnąć - ale zaraz by mnie złapali i powalili na podłogę. Po oddaniu strzału, gdyby dopisało mi szczęście. Przed, gdyby nie. Tak czy tak, następnym razem zobaczyłbym Sadie Dunhill przez szybę wzmocnioną drucianą siatką. Gdybym musiał się oddać w ręce policji, żeby powstrzymać Oswalda - poświęcić się, jak mówią bohaterowie - chyba mógłbym się na to zdobyć. Nie chciałem jednak, żeby tak to się rozegrało. Chciałem mieć ciastko i mieć Sadie.

Na trawniku przy West Neely 214 stał okrągły grill, a na ganku nowy fotel bujany, ale rolety były opuszczone, a na podjeździe nie było samochodu. Zaparkowałem przed domem, powiedziałem sobie, że śmiało jest piękne, i wszedłem na schody. Stanałem tam, gdzie

dziesiątego kwietnia stała Marina, kiedy przyszła mnie odwiedzić, i zapukałem tak, jak zapukała ona. Gdyby ktoś otworzył, byłbym Frankiem Andersonem, akwizytorem „Encyclopedia Britannica” (byłem za stary na „Grit”). Gdyby pani domu wyraziła zainteresowanie, obiecałbym, że jutro wrócę z zestawem próbek.

Nikt nie otworzył. Może pani domu też pracowała. Może była u sąsiadów. Może odsypiała pijaństwo w sypialni, która nie tak dawno była moja. Bimbałem na to, jak mawiamy w Krainie Przeszłości. Dom był pusty, to najważniejsze, chodnik też. Nawet pani Alberta Hitchinson, zbrojna w balkonik wartownicza, która zapewne ocaliła mi życie, dziś nie patrolowała okolicy.

Utykając, zszedłem bokiem z ganku, ruszyłem chodnikiem przed siebie, zawróciłem, jakbym nagle coś sobie przypomniał, i zajrzałem pod schody. Trzydziestkaósemka była tam, zagrzebana do połowy w liściach, z których wystawała krótka lufa. Ukląknę na zdrowym kolanie, podniosłem ją i wrzuciłem do bocznej kieszeni sportowej marynarki. Rozejrzałem się. Nikt nie patrzył. Pokuśtykałem do samochodu, włożyłem kolta do schowka i odjechałem.

13

Zamiast wrócić do Eden Fallows, pojechałem do centrum Dallas, zatrzymując się po drodze w sklepie sportowym, by kupić zestaw do czyszczenia broni i pudełko amunicji. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby trzydziestkaósemka zacięła się albo wybuchła mi w twarz.

Moim następnym przystankiem był Adolphus. W tym tygodniu nie ma wolnych miejsc, powiadomił mnie portier - wszystkie hotele w Dallas były pełne w związku z wizytą prezydenta - lecz za dolara napiwku z miłą chęcią zgodził się zaparkować mój wóz na hotelowym parkingu.

- Przed czwartą musi pan go zabrać. Wtedy zaczyna się ruch.

To było w południe. Tylko trzy-cztery przecznice dzieliły mnie od Dealey Plaza, ale wlokłem się niemiłosiernie. Byłem zmęczony, a głowa coraz bardziej bolała, mimo że wzięłem środek przeciwbólowy. Teksaszczyki kierują za pomocą klaksonów i każde trąbienie wdzierało się do mojego mózgu. Często odpoczywałem, opierając się o ściany budynków i stojąc na zdrowej nodze jak czapla. Taksówkarz po dyżurze spytał, czy dobrze się czuję; zapewniłem go, że tak. Kłamałem. Byłem nieszczęśliwy i obolały. Człowiek z chorym kolanem naprawdę nie powinien dźwigać na barkach przyszłości świata.

Osadziłem wdzięczny za chwilę odpoczynku tyłek na tej samej ławce, na której siedziałem w 1960 roku, kilka dni po przyjeździe do Dallas. Wiąz, który wtedy rzucał na

mnie cień, dziś klekotał nagimi gałęziami. Rozprostowałem bolące kolano, odetchnąłem z ulgą i skierowałem wzrok na brzydki murowany sześcian. Okna wyglądające na Houston Street i Elm Street skrzyły się w chłodnym popołudniowym słońcu. Znamy tajemnicę, mówiły. Będziemy sławne, zwłaszcza to w południowo-wschodnim kącie piątego piętra. Będziemy sławne i nas nie powstrzymasz. Budynek otaczała aura głupiego zagrożenia. Czy tylko ja to wyczuwałem? Kiedy zobaczyłem, jak kilku ludzi przechodzi przez Elm, żeby minąć ten gmach drugą stroną ulicy, uznałem, że nie. Lee w tej chwili znajdował się wewnątrz tego sześcianu i byłem pewien, że snuje podobne myśli jak ja. Czy mogę to zrobić? Czy to zrobię? Czy to moje przeznaczenie?

Robert nie jest już twoim bratem, pomyślałem. Teraz ja jestem twoim bratem, Lee, bratem spod znaku cyngla. Tylko nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Za Składnicą Podręczników, na stacji towarowej, zagwizdała lokomotywa. Stado gołębi zerwało się do lotu. Chwilę krążyły nad tablicą Hertz na dachu składnicy, po czym odleciały w stronę Fort Worth.

Gdybym zabił go przed dwudziestym drugim, ocaliłbym Kennedy'ego, ale sam prawie na pewno trafiłbym na kilkadziesiąt lat do więzienia albo szpitala psychiatrycznego. A gdybym zabił go dwudziestego drugiego? Może w chwili, kiedy będzie składał karabin?

Czekanie do ostatniej chwili wiązało się z wielkim ryzykiem, ale sądziłem, że to może się udać, ba, że jest to prawdopodobnie moja najlepsza szansa. Bezpieczniej byłoby mieć współnika, który pomógłby mi prowadzić moją grę, ale była tylko Sadie, a jej nie zamierzałem w to mieszać. Nawet gdyby Kennedy miał przez to umrzeć albo gdybym ja miał wylądować w więzieniu. Dość już wycierpiała.

Pomału wróciłem do hotelu po samochód. Jeszcze raz zerknąłem przez ramię na Składnicę Podręczników. Patrzyła na mnie. Nie miałem co do tego wątpliwości. I oczywiście, że to musiało się skończyć tutaj, tylko głupi by sądził inaczej. Byłem przyciągany do tej murowanej bryły jak krowa wwożona taśmociągiem do rzeźni.

14

20/11/63 (środa)

O świcie ocknąłem się z jakiegoś niezapamiętanego snu. Serce waliło mi w piersi.

Ona wie.

Wie, że ją okłamywałem, mówiąc, że tego wszystkiego nie pamiętam.

- Nie - powiedziałem. Mój głos był ochrypły od snu.

Tak. Specjalnie powiedziała, że wyjedzie po szóstej lekcji, bo nie chce, żebym wiedział, że planuje wyruszyć dużo wcześniej. Nie chce, żebym wiedział, dopóki się tu nie zjawi. Kto wie, może już jest w drodze. Wparuje w trakcie mojej porannej sesji terapeutycznej.

Nie chciałem w to wierzyć, ale wydawało się z góry przesądzone.

Dokąd więc miałem się udać? Kiedy tak siedziałem na łóżku w pierwszym świetle środowego poranka, to też wydawało się z góry przesądzone. Zupełnie jakby moja podświadomość wiedziała to od samego początku. Przeszłość wpada w rezonans, odbija się echem i choć raz dla odmiany to wykorzystam, zamiast być wykorzystywany.

Wcześniej jednak musiałem jeszcze napisać coś na maszynie. Coś nieprzyjemnego.

15

20 listopada 1963

Kochana Sadie!

Okłamywałem Cię. Myślę, że podejrzewałaś to od dość dawna. Myślę, że zamierzasz dziś przyjechać wcześniej, niż zapowiadałaś. Dlatego przed wizytą JFK w Dallas już się nie zobaczymy.

Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, będziemy żyć długo i szczęśliwie w innym miejscu. Z początku wyda Ci się obce, ale myślę, że się przyzwyczaisz. Pomogę Ci. Kocham Cię i dlatego nie mogę Ci pozwolić w tym uczestniczyć.

Proszę, zaufaj mi, proszę, bądź cierpliwa, i proszę, nie bądź zaskoczona, jeśli zobaczysz w gazetach moje nazwisko i zdjęcie - bo prawdopodobnie tak się stanie, jeśli wszystko potoczy się tak, jak tego chcę. Co najważniejsze, nie próbuj mnie szukać.

Ściskam Cię mocno

Jake

PS List spal.

16

Załadowałem całe życie George'a Ambersona do bagażnika mojego chevy z płetwami w kształcie skrzydeł mewy, przyczepiłem pinezką do drzwi wiadomość dla terapeutki i

odjechałem z ciężkim, ściśniętym tęsknotą sercem. Sadie wyruszyła z Jodie jeszcze wcześniej, niż przypuszczałem - przed świtem. Ja wyjechałem z Eden Fallows o dziewiątej. Ona piętnaście po zatrzymała swojego garbusa przy krawężniku, przeczytała wiadomość o odwołaniu sesji terapeutycznej i otworzyła drzwi kluczem, który dostała ode mnie. Zobaczyła opartą o wałek maszyny do pisania kopertę ze swym nazwiskiem. Rozerwała ją, przeczytała list, usiadła na sofie przed wyłączonym telewizorem i rozplakała się. Wciąż jeszcze płakała, kiedy przyjechała terapeutka... ale list spaliła, jak o to prosiłem.

17

Mercedes Street była prawie zupełnie cicha pod pochmurnym niebem. Dziewczynek ze skakanką nie było - pewnie siedziały w szkole, może w skupieniu słuchały nauczycielki mówiącej o rychłej wizycie prezydenta - ale tabliczka DO WYNAJĘCIA znów była przyczepiona do rozchwierutanej balustrady ganku, tak jak się spodziewałem. Widniał na niej numer telefonu. Pojechałem na parking przy magazynie Montgomery Ward i zadzwoniłem na ten numer z budki przy rampie załadowniczej. Nie miałem wątpliwości, że mężczyzna, który odebrał z lakonicznym „Taa, tu Merritt”, to ten sam facet, który wynajął dom pod numerem 2703 Lee i Marinie. Oczami wyobraźni wciąż widziałem jego stetsona i krzykliwe buty z ozdobnymi szwami.

Powiedziałem mu, czego chcę, i zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Na tydzień nie wynajmuję. To porządny dom, kolego.

- To rudera - powiedziałem. - Byłem w środku. Wiem.

- Czekaj no pan...

- To pan niech poczeka. Dam pięć dych, żeby móc zająć tę norę na weekend. To prawie tyle, ile czynsz za cały miesiąc, i w poniedziałek będzie pan mógł znowu wywiesić swoją tabliczkę.

- Dlaczego miałbyś...

- Bo przyjeżdża Kennedy i wszystkie hotele w Dallas-Fort Worth są pełne. Przejechałem kawał drogi, żeby go zobaczyć, a nie zamierzam spać pod gołym niebem w Fair Park czy na Dealey Plaza.

Usłyszałem trzask i szum płomienia zapalniczki. Merritt myślał.

- Czas ucieka, koleś - powiedziałem. - Tik-tak.

- Jak się nazywasz, brachu?

- George Amberson. - Trochę żałowałem, że nie wprowadziłem się, nic mu o tym nie

mówiąc, ale wizyta policji z Fort Worth to ostatnie, czego mi było trzeba. Nie sądziłem, by mieszkańcy ulicy, na której z okazji niektórych świąt wysadzało się kury w powietrze, zbyt się przejmowali dzikimi lokatorami, lecz wolałem dmuchać na zimne. Już nie chodziłem wokół domku z kart; mieszkałem w nim.

- Spotkajmy się przed domem za pół godziny, no może czterdzieści pięć minut.

- Będę w środku - powiedziałem. - Mam klucz.

Znowu cisza. Potem:

- Skąd?

Nie miałem zamiaru zakapować Ivy, nawet jeśli wciąż była w Mozelle.

- Od Lee. Lee Oswalda. Dał mi go, żebym podlewał mu kwiatki.

- Ten wypierdek miał kwiatki?

Odwiesiłem słuchawkę i pojechałem z powrotem pod numer 2703 Właściciel, może zdopingowany ciekawością, nadciągnął swoim chryslerem już kwadrans później. Miał i stetsona, i krzykliwe buty. Siedziałem w pokoju od frontu, wsłuchany w kłótlive duchy wciąż żyjących ludzi. Miały wiele do powiedzenia.

Merritt podpytywał mnie o Oswalda - czy naprawdę był przeklętym komunistą? Powiedziałem, że nie, był porządnym chłopakiem z Luizjany pracującym w budynku, z którego w piątek widać będzie prezydencką kolumnę. Powiedziałem, że mam nadzieję, że mnie też da popatrzeć.

- Jebany Kennedy! - krzyknął Merritt. - Ten to komunistą jest na pewno. Ktoś powinien odstrzelić sukinsyna, aż fikać przestanie.

- Miłego dnia życzę - powiedziałem, otwierając drzwi.

Poszedł, ale nie był zadowolony. Przywykł do lokatorów, którzy płaszczą się i przymilają. Odwrócił się na popękany i kruszejącym betonowym chodniku.

- Tylko zostaw w domu porządek, jaki zastałeś, jasne?

Rozejrzałem się po salonie. Przegniły dywan, popękany tynk, jeden fotel bujany ze złamanym oparciem.

- Żaden kłopot - powiedziałem.

Usiadłem z powrotem i próbowałem znowu się wsłuchać w głosy duchów: Lee i Mariny, Marguerite i DeMohrenschildta. Zamiast tego dopadł mnie kolejny nagły atak senności. Kiedy się obudziłem, usłyszałem rymowaną, którą w pierwszej chwili wziąłem za część rozmywającego się snu.

- Charlie Chaplin do Francji WYSKOCZYŁ! Tancerki oglądać na własne OCZY!

Wciąż ją słyszałem, kiedy podniosłem powieki. Podeszedłem do okna i wyjrzałem.

Dziewczynki ze skakanką były trochę wyższe i starsze, ale to były one, na pewno, Straszna Trójca. Ta w środku miała pryszcze, choć wydawało się, że jest co najmniej cztery lata za młoda na trądzik młodzieńczy. Może to różyczka.

- Salutuj kapitanowi!

- Królowej też - mruknałem i poszedłem do łazienki obmyć twarz. Woda, która rzygnęła z kranu, miała rdzawy kolor, ale była dość zimna, żeby obudzić mnie do reszty. Spojrzałem na taniego timexa, którym zastąpiłem mój zepsuty zegarek. Wpół do trzeciej. Nie byłem głodny, ale musiałem coś zjeść, pojechałem więc do baru Mr. Lee's Bar-B-Q. W drodze powrotnej wstąpiłem do apteki po jeszcze jedno opakowanie proszków od bólu głowy. Kupiłem też dwie książki Johna D. MacDonalda.

Dziewczynki ze skakanką zniknęły. Mercedes Street, zwykle hałaśliwa, była dziwnie cicha. Jak teatr przed rozpoczęciem ostatniego aktu pomyślałem. Wszedłem do domu zjeść kolację, ale choć żeberka były pikantne i kruche, większość wyrzuciłem.

18

Próbowałem zasnąć w głównej sypialni, ale tam duchy Lee i Mariny za bardzo dokazywały. Krótco przed północą przeniósłem się do mniejszej sypialni. Narysowane kredkami dziewczynki Rosette Templeton wciąż były na ścianach i ich identyczne fartuszki (Leśna Zieleń musiała być ulubioną kredką Rosette) i wielkie czarne buciory dziwnie dodały mi otuchy. Pomyślałem, że te dziewczynki przyprawiłyby Sadie o uśmiech, zwłaszcza ta w koronie Miss Ameryki.

- Kocham cię, kochanie - powiedziałem i zasnąłem.

19

21/11/63 (czwartek)

Na śniadanie miałem nie większą ochotę niż poprzedniego wieczora na kolację, ale o jedenastej rano poczułem, że trzeba mi kawy. Najchętniej kilku litrów. Złapałem jedną z nowo kupionych książek - nosiła tytuł „Slam the Big Door” - i pojechałem do Happy Egg na Braddock Highway. Telewizor za kontuarem był włączony i obejrzałem materiał o zbliżającej się wizycie Kennedy'ego w San Antonio, gdzie mieli go powitać Lyndon i Lady Bird Johnson. Potem dołączyła do nich gubernator John Connally i jego żona Nellie.

Podczas gdy na ekranie Kennedy szedł z żoną po płycie lotniska w bazie Andrews w

Waszyngtonie do niebiesko-białego samolotu prezydenckiego, korespondentka głosem kogoś, kto zaraz zleje się w gacie, mówiła o nowej „lekkiej” fryzurze Jackie, podkreślonej „stylowym czarnym beretem”, i o kroju jej „dwuczęściowej, spiętej paskiem szmizjerki od jej ulubionego projektanta, Olega Cassimego Cassini może i był jej ulubionym projektantem, ale wiedziałem, że pani Kennedy zabrała w podróż jeszcze jeden strój. Od Coco Chanel. Z wełny, różowy z czarnym kołnierzem. Do tego oczywiście różowy toczek. Kostium będzie się dobrze komponował z różami, które dostanie na Love Field, nieco gorzej z krwią, która zbrzyzga spódnicę, pończochy i buty.

20

Wróciłem na Mercedes Street i czytałem kupione dzień wcześniej książki. Czekałem, kiedy nieustępliwa przeszłość rozgniecie mnie jak uciążliwą muchę - kiedy zawali się dach albo w ziemi otworzy się rozpadlina, która wchłonie dom pod numerem 2703. Wyczyściłem trzydziestkęósemkę, załadowałem ją, potem rozładowałem i wyczyściłem znowu. Prawie miałem nadzieję, że znów złapie mnie nagły sen - to przynajmniej pozwoliłoby zabić czas - ale nic z tego. Minuty dłużyły się w nieskończoność, opornie przechodząc w godziny, z których każda przybliżała Kennedy'ego do skrzyżowania Houston z Elm.

Dzisiaj żadnego nagłego zasypiania, pomyślałem. To dopadnie mnie jutro. W krytycznym momencie po prostu stracę przytomność. I zanim otworzę oczy, przeszłość się obroni i będzie po sprawie.

Tak mogło się stać. Wiedziałem to. Wówczas musiałbym zdecydować: czy odszukać Sadie i ożenić się z nią, czy wrócić i zacząć wszystko od nowa. Na samą myśl o tym stwierdziłem, że tak naprawdę nie ma o czym decydować. Nie miałem siły wrócić i zacząć od początku. Teraz albo nigdy.

Tego wieczora para prezydencka, państwo Johnson i państwo Connally zjedli kolację w Houston, na uroczystości zorganizowanej przez Ligę Obywateli Latinoamerykańskich. Kuchnia była argentyńska: *ensalada rusa* i potrawa zwana *guiso*. Po kolacji Jackie wygłosiła przemówienie - po hiszpańsku. Ja jadłem kupione na wynos hamburgery i frytki... a raczej próbowałem. Po kilku kęsach także i ten posiłek wylądował w kubie na śmieci za domem.

Skończyłem obie powieści MacDonalda. Pomyślałem, czy nie wyjąć mojej własnej niedokończonej książki z bagażnika samochodu, ale myśl o jej czytaniu była przygnębiająca. Ostatecznie tylko siedziałem w rozwalającym się fotelu, aż za oknem zapadł zmrok. Wtedy poszedłem do małej sypialni, w której kiedyś spały Rosette Templeton i June Oswald.

Zdjąłem buty i położyłem się w ubraniu, z poduszką z fotela pod głową. Zostawiłem otwarte drzwi i zapalone światło w salonie. W jego blasku widziałem narysowane kredkami dziewczynki w zielonych fartuszkach. Czekala mnie noc, w porównaniu z którą miniony dzień będzie się wydawał krótki; będę leżał z otwartymi oczami i nogami zwisającymi za łóżkiem prawie do podłogi, aż przez okno wpadną pierwsze promienie świtu dwudziestego drugiego listopada.

I rzeczywiście była długa. Dręczyły mnie rozważania z serii „co by było, gdyby” i jak być powinno”, i myśli o Sadie. Te ostatnie były najgorsze. Tak bardzo za nią tęskniłem, tak bardzo jej pragnąłem, że czułem się wręcz fizycznie chory. W którymś momencie, pewnie długo po północy (przestałem zerkać na zegarek; powolny ruch wskazówek był zbyt dołujący), zapadłem w sen pozbawiony snów i głęboki jednocześnie. Bóg raczy wiedzieć, do której spałbym następnego ranka, gdyby mnie nie obudzono. Ktoś delikatnie mną potrząsał.

- No, Jake. Otwórz oczy.

Kiedy zobaczyłem, kto siedzi obok mnie na łóżku, w pierwszej chwili byłem stuprocentowo pewien, że jednak śnię. Innego wyjaśnienia nie było. Potem jednak wyciągnąłem rękę, dotknąłem nogawki jej spranych dżinsów i poczułem materiał pod dłonią. Jej włosy były upięte na czubku głowy, twarz prawie nieumalowana, skaza na lewym policzku widoczna i niepowtarzalna. To była Sadio. Znalazła mnie.

ROZDZIAŁ 28

1

22/11/63 (piątek)

Bez namysłu ją przytuliłem. Odwzajemniła uścisk, najmocniej jak mogła. A potem ją pocałowałem i poczułem smak jej rzeczywistości, w którym tytoń mieszał się ze szminką Avon. Szminkę czuć było słabiej; w nerwach prawie całą zeskubała zębami. Pachniała szamponem i dezodorantem, przez które przebijała oleista woń wyciskanego przez stres potu. Przede wszystkim jej dotykałem: biodra, piersi i zrytego bliznami policzka. Naprawdę tu była.

- Która godzina? - Mój nowy zegarek stanął.

- Piętnaście po ósmej.

- Żartujesz? Niemożliwe!

- Ale prawdziwe. I w odróżnieniu od ciebie nie jestem zaskoczona. Kiedy ostatnio porządnie spałeś, zamiast tylko stracić przytomność na parę godzin?

Wciąż usiłowałem dojść do ładu z myślą, że Sadie jest tutaj, w domu w Fort Worth, w którym kiedyś mieszkali Lee i Marina. Jak to możliwe? Na litość boską, jak? I to nie wszystko. W Fort Worth był też Kennedy, w tej chwili wygłaszał przemówienie na uroczystym śniadaniu z lokalną Izbą Handlową w hotelu Texas.

- Walizkę mam w samochodzie - powiedziała. - Pojedziemy garbusem tam, dokąd mamy jechać, czy twoim chevy? Garbus może być lepszy. Łatwiejszy do zaparkowania. A i tak możliwe, że będziemy musieli sporo zapłacić za miejsce, jeśli zaraz nie ruszymy. Koniki już obstawiły ulice, machają chorągiewkami. Widziałam.

- Sadie... - Potrząsnąłem głową, usiłując oprzytomnieć, i chwyciłem buty. Miałem w głowie myśli, całe ich mnóstwo, ale wirowały wkoło jak skrawki papieru porwane przez cyklon, ani jednej nie mogłem złapać.

- Jestem - powiedziała.

Tak. I w tym cały problem.

- Nie możesz ze mną pojechać. To zbyt niebezpieczne. Wydawało mi się, że to wyjaśniłem, ale może nie dość wyraźnie. Kiedy próbujesz zmieniać przeszłość, ona gryzie. Rozszarpie ci gardło, jeśli dasz jej szansę.

- Wyrażałeś się jasno. Sam jednak sobie nie poradzisz. Spójrz prawdzie w oczy, Jake. Przybyło ci parę kilo, ale nadal wyglądasz jak strach na wróble. Kulejesz, i to mocno. Od czasu do czasu musisz się zatrzymywać, żeby kolano ci odpoczęło. Co zrobisz, jeśli będziesz musiał uciekać?

Nic nie powiedziałem. Słuchałem. Robiąc to, nakręciłem i nastawiłem zegarek.

- I nie to jest najgorsze. Ty... au! Co robisz? - zaprotestowała, kiedy złapałem ją za udo.

- Upewniam się, że naprawdę istniejesz. Nadal nie bardzo mogę w to uwierzyć. - Air Force One miał wylądować na Love Field za nieco ponad trzy godziny. I ktoś wręczy Jackie Kennedy róże. W innych teksaskich miastach, które odwiedziła, dostała żółte, ale bukiet z Dallas będzie czerwony.

- Istnieję i jestem tutaj. Posłuchaj mnie, Jake. Najgorsze nie jest to, że wciąż jesteś poważnie poobijany. Najgorsze jest to twoje nagłe zasypianie. Nie pomyślałeś o tym?

Myślałem o tym, i to dużo.

- Skoro, jak twierdzisz, przeszłość jest perfidna, jak sądzisz, co się stanie, kiedy uda ci się zbliżyć na odległość strzału do człowieka, na którego polujesz?

Przeszłość nie była perfidna, to niewłaściwe słowo, ale rozumiałem, o co jej chodzi, i nie miałem żadnych kontrargumentów.

- Nie wiesz, w co się pakujesz.

- Wiem doskonale. I zapominasz coś bardzo ważnego. - Wzięła mnie za rękę i spojrzała mi w oczy. - Nie jestem tylko twoją sympatią, Jake... jeśli nadal tak o mnie myślisz...

- Właśnie dlatego to takie przerażające, kiedy zjawiasz się tak znienacka.

- Twierdzisz, że jakiś człowiek zastrzelił prezydenta, a ja mam powód ci wierzyć, bo inne twoje przepowiednie się sprawdziły. Nawet Deke prawie dał się przekonać. Mówił mi: „Wiedział, że Kennedy przyjedzie, kiedy jeszcze nie wiedział o tym sam Kennedy. Znał datę i godzinę. I wiedział, że przyjedzie z żoną”. Czy myślisz, że ciebie jednego to obchodziło? Nieprawda. Deke'a też to obchodzi. Byłby tu, gdyby nadal nie miał trzydziestu ośmiu stopni gorączki. Mnie też to obchodzi. Nie głosowałam na Kennedy'ego, ale tak się składa, że jestem Amerykanką, co znaczy, że jest nie tylko prezydentem, ale i moim prezydentem. Sądzisz, że to banal?

- Nie.

- To dobrze. - Jej oczy rzuciły błyski. - Nie mam zamiaru pozwolić, żeby jakiś szaleniec go zastrzelił, i nie mam zamiaru zasnąć.

- Sadie...

- Daj mi skończyć. Mamy mało czasu, więc musisz odetkać sobie uszy. Odetkane?

- Tak, psze pani.

- To dobrze. Nie pozbędziesz się mnie. Powtarzam: nie. Jadę z tobą. Jeśli nie wpuścisz mnie do twojego chevy, pojedę za tobą garbusem.

- Jezu Chryste! - jęknąłem. Nie wiedziałem, czy to modlitwa, czy przekleństwo.

- Jeśli kiedykolwiek weźmiemy ślub, będę robić, co każesz, pod warunkiem że będziesz dla mnie dobry. Zawsze mi wpajano, że taka jest powinność żony. - (O, dziecię lat sześćdziesiątych, pomyślałem). - Gotowa jestem zostawić wszystko, co znam, i pójść za tobą w przyszłość. Dlatego, że cię kocham, i dlatego, że wierzę, że przyszłość, o której mówisz, naprawdę istnieje. Pewnie nigdy więcej nie dam ci ultimatum, ale teraz albo zrobisz to ze mną, albo nie zrobisz tego wcale.

Myślałem. Zadałem sobie pytanie, czy mówi serio. Odpowiedź była tak wyraźna jak blizna na jej twarzy: absolutnie tak.

Sadie w tym czasie patrzyła na Kredkowe Dziewczynki.

- Jak myślisz, kto je narysował? Są całkiem ładne.

- Rosette. Rosette Templeton. Wróciła z mamą do Mozelle po tym jak jej tata miał wypadek.

- A potem ty się tu wprowadziłeś?

- Nie, naprzeciwnie. Tutaj zamieszkała mała rodzina Oswaldów.

- Tak się ten człowiek nazywa, Jake? Oswald?

- Tak. Lee Oswald.

- Jadę z tobą?

- A mam wybór?

Uśmiechnęła się i położyła dłoń na mojej twarzy. Dopiero kiedy zobaczyłem ten pełen ulgi uśmiech, zrozumiałem, jak bardzo musiała się bać, kiedy mnie obudziła.

- Nie, kochanie - powiedziała. - Ja takiego nie widzę. Dlatego to się nazywa ultimatum.

2

Włożyliśmy jej walizkę do chevroleta. Gdybyśmy powstrzymali Oswalda (i uniknęli aresztowania), później moglibyśmy wrócić po garbusa, Sadie pojechałaby nim do Jodie i postawiła go przed domem, Gdyby zaś coś poszło nie tak - gdyby nam się nie udało albo

gdyby się udało, ale policja ścigałaby nas za zabójstwo Oswalda - musielibyśmy po prostu uciec. A szybciej, dalej i bardziej dyskretnie ucieklibyśmy chevy z silnikiem V-8 niż volkswagenem garbusem.

Zobaczyła, że chowam kolta do wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki, i powiedziała:

- Nie. Do zewnętrznej kieszeni.

Uniosłem brwi.

- Żebyś mogła go wyciągnąć, jeśli nagle się zmęczysz i postanowisz się zdrzemnąć.

Zarzuciła torebkę na ramię. Prognozy zapowiadały deszcz, ale wyglądało na to, że synoptykom należy się żółta kartka. Niebo się przejaśniało.

Zanim Sadie mogła wsiąść od strony pasażera, usłyszałem za plecami głos.

- To pana dziewczyna?

Odwróciłem się. To była jedna z dziewczynek ze skakanką, ta z trądzikiem. Tylko że to nie był trądzik ani różyczka i nie musiałem pytać, dlaczego nie poszła do szkoły. Miała ospę wietrzną.

- Tak.

- Ładna. Oprócz tego... - Skrzywiła się, co miało pewien groteskowy urok. - ...Tego na twarzy.

Sadie się uśmiechnęła. Moje uznanie dla jej dzielności stale rosło. Nigdy nie malało.

- Jak ci na imię, skarbie?

- Sadie - powiedziała dziewczynka. - Sadie Van Owen. A tobie?

- Cóż, nie uwierzysz, ale też Sadie.

Dziecko przyjrzało jej się z nieufnym cynizmem małej punkowy z Mercedes Street.

- Nieprawda!

- Prawda. Jestem Sadie Dunhill. - Odwróciła się do mnie. - To dopiero zbieg okoliczności, nie sądzisz, George?

Prawdę mówiąc, nie i nie miałem czasu o tym mówić.

- Muszę cię o coś spytać, panienko Sadie Van Owen. Wiesz, gdzie jest przystanek autobusowy na Winscott Road, prawda?

- Pewnie. - Przewróciła oczami, jakby chciała zapytać: Masz mnie za idiotkę? - Hej, przechodziliście ospę?

Sadie skinęła głową.

- Ja też - powiedziałem - czyli z tej strony nic nam nie grozi. Wiesz, który autobus jeździ do centrum Dallas?

- Trójka.

- Jak często kursuje?

- Chyba co pół godziny, może nawet co kwadrans. Po co wam autobus, jak macie samochód? Jak macie dwa samochody?

Poznałem po minie Dużej Sadie, że też się nad tym zastanawia.

- Mam swoje powody. I a propos, mój stary w łodzi podwodnej jest.

Sadie Van Owen uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Znasz to?

- Od lat - powiedziałem. - Wsiadaj, Sadie. Musimy ruszać.

Spojrzałem na mój nowy zegarek. Za dwadzieścia dziewięć.

3

- Powiedz, dlaczego interesują cię autobusy - zażądała Sadie.

- Najpierw ty mi powiedz, jak mnie znalazłaś.

- Kiedy przyjechałam do Eden Fallows i cię nie było, spaliłam list jak kazałeś, a potem zajrzałam do tego staruszka z domu obok.

- Pana Kenopensky'ego.

- Tak. Nic nie wiedział. Wtedy terapeutka siedziała już przed twoimi drzwiami. Nie była zadowolona, że cię nie ma. Powiedziała, że specjalnie zamieniła się z Doreen, żeby Doreen mogła dziś zobaczyć Kennedy'ego.

Przystanek na Winscott Road był przed nami. Zwolniłem, żeby zobaczyć, czy pod wiatą obok słupa jest rozkład jazdy. Nie było. Zjechałem na miejsce parkingowe sto metrów przed przystankiem.

- Co robisz?

- Ubezpieczam się. Jeśli do dziewiętej nie będzie autobusu, pojedziemy dalej. Dokończ to, co mówiłaś.

- Obdzwoiłam hotele w centrum Dallas, ale nikt nawet nie chciał ze mną rozmawiać. Wszyscy taaacy zajęci. Potem zadzwoniłam do Deke'a, a on na policję. Powiedział im, że ma wiarygodne informacje, że ktoś zastrzelił prezydenta.

Do tej pory wypatrywałem autobusu w lusterku wstecznym, ale teraz spojrzałem na Sadie. Byłem wstrząśnięty. Jednocześnie czułem niechętny podziw dla Deke'a. Nie miałem pojęcia, w ile z tego, co powiedziała mu Sadie, tak naprawdę wierzył, a jednak koniec końców postawił wszystko na jedną kartę.

- Co się stało? Podał swoje nazwisko?

- Nie miał okazji. Rzucili słuchawką. Chyba wtedy zaczął wierzyć w tę broniącą się przeszłość. Dla ciebie to wszystko jest żywym podręcznikiem historii, niczym więcej, prawda?

- Już nie.

Nadciągnął ociężały, zielono-żółty autobus z tablicą kierunkową 3 MAIN STREET DALLAS 3. Zatrzymał się i harmonijkowe drzwi z przodu i z tyłu się rozsunęły. Wsiadły dwie-trzy osoby, ale nie miały co liczyć na miejsca siedzące; kiedy autobus powoli przetoczył się koło nas, zobaczyłem, że wszystkie są zajęte. Zauważyłem kobietę z wpiętym w kapelusz rządkiem znaczków Kennedy'ego. Pomachała mi wesoło i choć nasze spojrzenia spotkały się tylko na sekundę, czułem jej radosne, niecierpliwe podniecenie.

Wrzuciłem bieg i ruszyłem za autobusem. Na jego tyle, częściowo zasłonięta buchającymi brązowymi spalinami, promiennie uśmiechnięta dziewczyna reklamująca rozjaśniacz do włosów Clairol oświadczała, że gdyby miała tylko jedno życie, chciałaby je przeżyć jako blondynka. Sadie teatralnie zamachała ręką.

- Fuj! Zwiększ odstęp! Śmierdzi!

- Ostra krytyka z ust laski, która wypala paczkę dziennie - powiedziałem, ale miała rację, smród diesla był ohydny. Zostałem w tyle. Nie musiałem siedzieć mu na zderzaku, skoro wiedziałem już, że Sadie Skakankowa miała rację co do numeru. Pewnie miała też rację co do częstotliwości kursowania. Autobusy może i jeździły co pół godziny w zwykłe dni, ale to nie był zwykły dzień.

- Jeszcze trochę popłakałam, bo myślałam, że odszedłeś na dobre. Bałam się o ciebie, ale i cię nienawidziłam.

Rozumiałem to i jednocześnie uważałem, że postąpiłem słusznie, więc uznałem, że najlepiej będzie nic nie mówić.

- Jeszcze raz zadzwoniłam do Deke'a. Spytał mnie, czy wspominałeś kiedyś, że masz jakąś inną metę, może w Dallas, ale raczej w Fort Worth. Powiedziałam, że nic konkretnego nie pamiętam. On na to, że mogłeś coś powiedzieć w szpitalu, kiedy majaczyłeś. Kazał mi wysilić pamięć. Jakbym tego nie robiła. Wróciłam do pana Kenopensky'ego, myślałam, że może jemu coś powiedziałeś. To było już w porze kolacji, robiło się ciemno. Powiedział, że nie, ale wtedy przyszedł jego syn z pieczeniową wołową i zaprosił mnie, żebym zjadła z nimi. Pan K się rozgadał... zna przeróżne historie z dawnych lat...

- Wiem. - Przed nami autobus skręcił na wschód, na Vickery Boulevard. Włączyłem migacz i pojechałem za nim, ale w dostatecznie dużej odległości, żebyśmy się nie nałykali

oparów diesla. - Słyszałem ich kilkadziesiąt. Z gatunku „zabili go i uciekli”.

- Słuchałam go i wyszło mi to na dobre, bo na pewien czas przestałam łącać sobie głowę, a jak się odprężasz, bywa, że różne drobiazgi same się wynurzają z głębi umysłu. Kiedy wracałam do twojego małego mieszkanka, nagle przypomniało mi się, jak mówiłeś, że przez pewien czas mieszkałeś na Cadillac Street. Tylko coś ci się w tej nazwie nie zgadzało.

- O mój Boże! Zupełnie o tym zapomniałem.

- To była moja ostatnia szansa. Znów zadzwoniłam do Deke'a. Nie miał szczegółowych planów miast, ale wiedział, że są w bibliotece szkolnej. Pojechał tam... pewnie kaszlał, że mu głowę urywało, nadal jest z nim kiepsko... wziął je i zadzwonił do mnie z sekretariatu. Znalazł Ford Avenue w Dallas, Chrysler Park i kilka Dodge Street. Tyle że żadna z nich jakoś nie kojarzyła mi się z cadillakiem, jeśli wiesz, co mam na myśli. Aż w końcu znalazł Mercedes Street w Fort Worth. Chciałam od razu tam jechać, ale powiedział mi, że łatwiej będzie wypatrzeć ciebie albo twój samochód, jeśli wstrzymam się do rana.

Ścisnęła moje ramię. Jej dłoń była zimna.

- Najdłuższa noc w moim życiu, ty niewdzięczniku. Prawie oka nie zmrużyłam.

- Ja wyspałem się za nas oboje, chociaż zasnąłem dopiero nad ranem. Gdybyś nie przyjechała, może przespałbym cały cholerny zamach. To dopiero byłoby fatalne zakończenie, co?

- Mercedes Street jest strasznie długa. Jechałam i jechałam, aż zobaczyłam jej koniec na parkingu jakiegoś dużego budynku, który wygląda jak widziany od tyłu dom towarowy.

- Blisko. To magazyn Montgomery Ward.

- I nadal ani śladu ciebie. Nie wyobrażasz sobie, jaka byłam przygnębiona. I wtedy... - Uśmiechnęła się szeroko. Mimo blizny uśmiech był promienny. A może dzięki niej. - Wtedy zobaczyłam tego czerwonego chevy z tymi idiotycznymi płetwami, które wyglądają jak kobiece brwi. Bije po oczach jak neon. Krzyknęłam i tłukłam pięścią w deskę rozdzielczą mojego małego garbusa, aż ręka mnie rozbolała. No i oto je...

Po przedniej prawej stronie chevy rozległ się zgłuszony, metaliczny huk i nagle zboczyliśmy prosto na latarnię. Coś głośno łupało w samochód od spodu. Obróciłem kierownicą. Była przerażająco luźna w moich dłoniach, ale zapanowałem nad nią na tyle, by uniknąć czołowego zderzenia z latarnią. Bok od strony Sadie otarł się o słup z upiornym zgrzytem metalu o metal. Jej drzwi wygięły się do środka i pociągnąłem ją do siebie. Kiedy się zatrzymaliśmy, maska zwisała nad chodnikiem, a samochód przechylał się w prawo. To nie był zwykły kapeć, pomyślałem. To była, kurde, śmiertelna rana.

Sadie patrzyła na mnie oszołomiona. Zaśmiałem się. Jak już mówiłem, czasem nic

innego nie pozostaje.

- Witaj w przeszłości, Sadie - powiedziałem. - Tak to się u nas żyje.

4

Nie mogła wysiąść po swojej stronie; trzeba by łomu, żeby otworzyć drzwi pasażera. Przesunęła się w bok i wysiadła moimi. Gapiów było niewiele, kilka osób, to wszystko.

- O rany, co się stało? - spytała kobieta z wózkiem dziecięcym.

Poszedłem na przód samochodu. Wszystko jasne. Urwało się prawe przednie koło. Leżało kilka metrów za nami, na końcu łukowatego rowu w asfalcie. Poszarpany kikut osi lśnił w słońcu.

- Koło odpadło - powiedziałem kobiecie z wózkiem.

- O Boziu! - zmartwiła się.

- Co robimy? - spytała Sadie zniżonym głosem.

- Ubezpieczyliśmy się; teraz zgłosimy roszczenie. Najbliższy przystanek.

- Moja walizka...

Tak, pomyślałem. I zeszyt Ala. Moje rękopisy - marna powieść, która nic nie znaczy, i pamiętnik, który znaczy wszystko. Plus mój zapas gotówki. Zerknąłem na zegarek. Dziewięta piętnaście. W hotelu Texas Jackie wkładała różowy kostium. Jeszcze jakaś godzina spotkań politycznych i kolumna limuzyn ruszy do bazy lotniczej Carswell, gdzie czekał wielki samolot. Przy odległości dzielącej Fort Worth od Dallas piloci ledwo zdążą schować podwozie.

Próbowałem pomyśleć.

- Może chcecie państwo skorzystać z mojego telefonu? - spytała kobieta z wózkiem. - Mieszkam tu niedaleko. - Zauważyła mój kuśtykający chód i bliznę Sadie. - Nic się państwu nie stało?

- Wszystko gra. - Wziąłem Sadie pod ramię. - Mogłaby pani zadzwonić do stacji obsługi, żeby odholowali wóz? Wiem, że proszę o wiele, ale strasznie nam się spieszy.

- Mówiłam mu, że przód się kolebie - powiedziała Sadie. Przybrała mocny akcent z Georgii. - Dzięki Bogu, żeśmy na autostradzie nie byli.

- Dwie przecznice stąd jest Esso. - Kobieta wskazała na północ. - W sumie mogłabym pójść tam z dzieckiem...

- Och, życie nam pani ratuje, kochanieńka! - ucieszyła się Sadie. Otworzyła torebkę, wyjęła portfel i wyciągnęła dwudziestkę. - Pani im to da jako zadatek. Przepraszam, że tak

panią kłopotujemy, ale jeśli nie zobaczą Kennedy'ego, to tego nie przeżyję.

To wywołało uśmiech u kobiety z wózkiem.

- Dobry Boże, za tyle odholowałyby dwa samochody. Jeśli ma pani w torebce kawałek kartki, mogłabym wypisać kwit...

- Nie trzeba - powiedziałem. - Ufamy pani. Ale może zostawię wiadomość pod wycieraczką.

Sadie patrzyła na mnie pytająco... ale jednocześnie podawała mi długopis i mały notes z zezowatym dzieckiem narysowanym na okładce. SZKOLNE CZASY, przeczytałem pod jego głupawym uśmiechem. STARE DOBRE NUDNE CZASY.

Wiele zależało od tej wiadomości, ale nie było czasu myśleć o tym, jak ją sformułować. Szybko napisałem, co trzeba, i wsunąłem złożoną kartkę pod wycieraczkę. Po chwili byliśmy już za rogiem.

5

- Jake? Dobrze się czujesz?

- Tak. A ty?

- Drzwi mnie uderzyły i pewnie będę miała siniaka na ramieniu, ale poza tym nic mi nie jest. Gdybyśmy wpadli na ten słup, zapewne byłoby gorzej. Ze mną i z tobą. Dla kogo była ta wiadomość?

- Dla tego, kto odholuje chevy. - I modliłem się, by ten ktoś spełnił prośbę zawartą w liście. - Będziemy się tym martwić, kiedy wrócimy.

O ile wrócimy.

Następny przystanek był w połowie przecznicy. Przy słupie stały trzy czarne kobiety, dwie białe i Latynos, mieszanka ras tak zrównoważona, że wyglądała jak z castingu do serialu „Prawo i porządek: Sekcja specjalna”. Usiadłem na ławce pod wiatą obok szóstej kobiety, afroamerykańskiej damy o imponujących gabarytach wciśniętych w biały fartuszek z rayonu, który praktycznie ogłaszał wszem wobec, że nosząca go jest Gosposią Zamożnych Białych. Na piersi miała znaczek z hasłem Z JFK DO SAMEGO KOŃCA W '64

- Chora noga, proszę pana? - spytała mnie.

- Tak. - W kieszeni marynarki sportowej miałem cztery saszetki z proszkiem od bólu głowy. Sięgnąłem za rewolwer, wyjąłem dwie, rozerwałem i wsypałem sobie zawartość do ust.

- Nerki panu wysiadają, jak pan to będzie tak łykał - powiedziała.

- Wiem. Ale noga musi wytrzymać dotąd, aż zobaczą prezydenta.

Uśmiechnęła się szeroko.

- To rozumiem.

Sadie stała na krawężniku i nerwowo wypatrywała trójki.

- Autobusy coś się dzisiaj ociągają - stwierdziła gospośnia - ale jakiś zaraz będzie. Żeby nie wiadomo co, muszę zobaczyć Kennedy'ego i już!

O wpół do dziesiątej autobusu wciąż nie było, ale ból kolana przeszedł w tępe ćmienie. Dzięki Bogu za Goody's Headache Powder. Sadie podeszła do mnie.

- Jake, może powinniśmy...

- O, jedzie trójka. - Gospośnia podniosła się na nogi. Wyglądała imponująco, ciemna jak heban, wyższa od Sadie, o prostych jak deska, lśniących włosach. - No, to znajdę sobie miejscówkę na samym Dealey Plaza. Mam w torbie kanapki. I czy nasz gość usłyszy, jak go zwołam?

- Na pewno - powiedziałem.

Zaśmiała się.

- A żeby pan wiedział! On i Jackie!

Autobus był pełny, ale czekający i tak wladowali się do środka. Sadie i ja byliśmy na końcu i kierowca, który wyglądał na umęczonego jak makler w Czarny Piątek, zagroził nam drogę dłonią.

- Więcej nie! Nie ma miejsc! Ludzie cisną się jak sardynki! Czekajcie na następny!

Sadie spojrzała na mnie zbolałym wzrokiem, ale zanim mogłem cokolwiek powiedzieć, potężna dama wstawiła się za nami.

- O nie, pan ich wpuści. Ten pan ma chorą nogę, a ta pani, jak widać, też ma swoje problemy. Poza tym ona chuda, a on jeszcze chudszy. Pan ich wpuści, bo inaczej pana wyrzucę i sama poprowadzę autobus. Umieję. Uczylałem się na bulldogu tatusia.

Kierowca spojrzał na górującą nad nim damę, po czym przewrócił oczami i skinął na nas, żebyśmy wsiedli. Kiedy sięgnąłem po drobne, żeby zapłacić za przejazd, zasłonił mięsistą dłonią pojemnik na monety.

- Do diabła z opłatą, stań pan za białą linią i tyle. Jeśli się da. - Pokręcił głową. - Dlaczego nie wysłali dziś tuzina dodatkowych autobusów, tego to ja nie wiem. - Szarpnął za chromowaną rączkę. Przednie i tylne drzwi się zasunęły. Hamulce pneumatyczne puściły z sapnięciem i ruszyliśmy, powoli, ale zdecydowanie.

Mój dobry anioł jeszcze nie skończył. Zaczęła rugać dwóch robotników, czarnego i białego, którzy siedzieli za kierowcą z bańkami z obiadem na kolanach.

- Ruszcie się i ustąpcie miejsca tej damie i temu dżentelmenowi, ale to już! Nie widzicie, że ma chorego kulasa? A mimo to jedzie zobaczyć Kennedy'ego!

- Proszę pani, nie trzeba - powiedziałem.

Nie zwróciła na mnie uwagi.

- Wstawać mi tu! Co, w szopie was wychowali?

Wstali i rozpychając się łokciami, wcisnęli się w tłum zbity w przejściu. Czarny robotnik łypnął na gosposię spode łba.

- Rok sześćdziesiąty trzeci, a ja nadal muszę ustępować białemu.

- Oj, nie kwękaj - powiedział jego biały kolega.

Czarny robotnik zrobił wielkie oczy na widok mojej twarzy. Nie wiem, co zobaczył, ale wskazał zwolnione miejsca.

- Siadaj, zanim fikniesz, kolego.

Usiadłem przy oknie. Sadie podziękowała mruknięciem i zajęła miejsce obok. Autobus sunął naprzód ciężko jak stary słoń, który wciąż może przejść w galop, jeśli tylko dać mu dość czasu. Gosposia troskliwie stała nad nami, trzymając się uchwyty i kołysząc biodrami na zakrętach. Miała czym kołysać. Znów spojrzałem na zegarek. Wskazówki zdawały się pędzić w stronę dziesiątej; lada chwila ją przeskoczą.

Sadie nachyliła się blisko mnie, jej włosy łaskotały mi policzek i szyję.

- Dokąd jedziemy i co tam zrobimy?

Chciałem odwrócić się do niej, ale zamiast tego utkwilem wzrok w drodze przed nami, wypatrując kłopotów. Wypatrując następnego ciosu. Jechaliśmy West Division Street, która jednocześnie była drogą numer 180. Wkrótce będziemy w Arlington, przyszłej siedzibie Texas Rangers George'a W. Busha. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, granicę Dallas miniemy o wpół do jedenastej, dwie godziny wcześniej, nim Oswald wprowadzi pierwszy nabój do komory jego cholernego włoskiego karabinu. Tylko że kiedy próbujesz zmienić przeszłość, zwykle nic nie idzie dobrze.

- Rób to co ja - powiedziałem. - I nie trać czujności.

6

Przejechaliśmy na południe od Irving, gdzie żona Lee dochodziła do siebie miesiąc po narodzinach drugiego dziecka. Ruch był wolny i śmierdzący. Połowa pasażerów zatłoczonego autobusu paliła. Na zewnątrz (gdzie powietrze przypuszczalnie było trochę czystsze) ulice już się zakorkowały samochodami zmierzającymi do miasta. Zobaczyliśmy jeden z KOCHAMY

CIEŃ JACKIE wymalowanym mydłem na tylnej szybie i inny z WON Z TEKSASU KOMUNISTYCZNA GNIDO w tym samym miejscu. Autobus trząsał się i kołysał na boki. Na każdym kolejnym przystanku czekały coraz większe grupy ludzi; wygrażali pięściami, kiedy nasz zapchany autobus nawet nie zwalniał.

Piętnaście po dziesiątej wjechaliśmy na Harry Hines Boulevard i minęliśmy drogowską do Love Field. Wypadek zdarzył się trzy minuty później. Miałem nadzieję, że obejdzie się bez niego, ale wypatrywałem go i na niego czekałem, więc kiedy wywrotka wjechała na czerwonym na skrzyżowanie Hines i Inwood Avenue, byłem częściowo przygotowany. Już kiedyś taką widziałem, w drodze na cmentarz Longview w Derry.

Złapałem Sadie za szyję i przygiałem jej głowę do kolan.

- Schyl się!

Po chwili rzuciło nas na przegrodę między fotelem kierowcy a częścią pasażerską. Szkło pękało. Metal zgrzytał. Stojący pasażerowie polecili do przodu w krzyczącej masie wymachujących rąk, torebek i spadających odświętnych kapeluszy. Biały robotnik, który powiedział „Oj, nie kwękaj”, zgiął się wpół na pojemniku na opłaty przy drzwiach autobusu. Potężna gospoia zniknęła pogrzebana pod lawiną ciał.

Sadie krwawiła z nosa, pod prawym okiem miała napuchnięty siniak, który rósł jak ciasto na chleb. Kierowca leżał na boku. Szeroka przednia szyba była roztrzaskana, widok na ulicę zasłaniał upstrzony rdzą metal. Przeczytałem na nim OBÓT PUBLICZNYCH DALLA. W powietrzu wisiał gęsty smród gorącego asfaltu wiezionego przez ciężarówkę.

Odwróciłem Sadie w moją stronę.

- Nic ci nie jest? Jesteś przytomna?

- Wszystko gra, jestem tylko w lekkim szoku. Gdybyś w porę nie krzyknął, byłoby gorzej.

Z kłębowiska na przodzie autobusu dobiegały jęki i okrzyki bólu. Mężczyzna ze złamaną ręką wyswobodził się ze ścisku i potrząsnął kierowcą, który zsunął się z fotela. Z jego czoła sterczał trójkąt szkła.

- O Chryste! - powiedział mężczyzna ze złamaną ręką. - Kurwa, on chyba nie żyje!

Sadie precyzyjnie się do faceta przewieszzonego przez słupek z pojemnikiem na opłaty i pomogła mu wrócić na zwolnione przez nas miejsce. Był błydy i stękał. Domyśliłem się, że wpadł jajami na pojemnik, który znajdował się dokładnie na ich wysokości. Razem z jego czarnym kumplem podnieśliśmy gospoie, ale gdyby nie była w pełni przytomna i nam nie pomogła, pewnie wiele byśmy nie zdziałali. Ważyła ze sto pięćdziesiąt kilo. Krwawiła obficie ze skroni i pomyślałem, że z tego konkretnego fartuszka już nigdy nie będzie miała pożytku.

Spytałem, czy dobrze się czuje.

- Właściwie tak, ale niezłe się rąbnęłam w głowę. O Boziu!

Za nami w autobusie wybuchła wrzawa. Jeszcze chwila i ludzie rzucają się do drzwi. Stałem przed Sadie i poprosiłem, żeby objęła mnie w pasie. Biorąc pod uwagę stan mojego kolana, to ja powinienem trzymać się jej, ale instynkt to instynkt.

- Musimy wypuścić ludzi - powiedziałem do czarnego robotnika. - Przekręć rączkę.

Spróbowałem, ale ani drgnęła.

- Zacięła się!

Gówny prawda, pomyślałem; to przeszłość nie chce, żeby drzwi się otworzyły. Co gorsza, nie mogłem mu pomóc. Miałem tylko jedną sprawną rękę. Gospoś - z jedną stroną fartuszka zalaną krwią - precisnęła się, omal mnie nie przewracając. Ręce Sadie rozplotły się na chwilę, ale zaraz znów poczułem ich uścisk. Kapelusz gospośi się przekrzywił, a na woalce perliły się krople krwi, groteskowa ozdoba, jak małe jagody ostrokrzewu. Ułożyła kapelusz pod właściwym kątem, po czym razem z czarnym robotnikiem schwyciła chromowaną rączkę otwierającą drzwi.

- Na trzy ciągniemy skubańca - powiedziała. - Gotowy?

Skinął głową.

- Raz... dwa... trzy!

Pociągnęli... czy raczej pociągnęła ona, i to tak mocno, że sukienka rozpruła jej się pod pachą. Drzwi się rozsunęły. Zza naszych pleców dobiegły słabe wiwaty.

- Dziękujemy p... - zaczęła Sadie, ale ja już ruszyłem.

- Szybko. Zanim nas zadepczą. Trzymaj się mnie. - Wysiedliśmy pierwsi. Odwróciłem Sadie w stronę Dallas. - Idziemy.

- Jake, tym ludziom trzeba pomóc!

- I pomoc na pewno jest w drodze. Nie patrz do tyłu. Patrz przed siebie, bo to tam czekają następne kłopoty.

- Jakie? I ile jeszcze?

- Tyle, na ile przeszłość stać - powiedziałem.

7

Zajął nam dwadzieścia minut, żeby pokonać cztery przecznice od miejsca, gdzie padł nasz autobus. Czuję, że puchnie mi kolano. Pulsowało w rytmie uderzeń serca. Podeszliśmy do ławki i Sadie kazała mi usiąść.

- Nie ma czasu.

- Siadaj. - Pchnęła mnie znieczeka i gruchnąłem na ławkę, która miała na oparciu reklamę lokalnego zakładu pogrzebowego. Sadie energicznie kiwnęła głową, jak kobieta, która spełniła kłopotliwy obowiązek, i wyszła na Harry Hines Boulevard, otwierając torebkę i grzebiąc w niej. Na chwilę przestało mnie rwać w kolanie, za to serce skoczyło mi do gardła i zamarło.

Samochód wyminął ją z trąbieniem. O włos. Oddalający się kierowca pogroził jej pięścią i na dokładkę podniósł środkowy palec. Kiedy krzyknąłem na nią, żeby wróciła, nawet na mnie nie spojrzała. Wyjęła portfel, szukała w nim czegoś, podczas gdy wokół śmigwały samochody, zwiewając włosy z jej oszpeconej twarzy. Była spokojna jak wiosenny poranek. Wrzuciła portfel z powrotem do torebki, po czym wysoko nad głowę podniosła banknot. Wyglądała jak czirliderka zagrzewająca kibiców do dopingu.

- Pięćdziesiąt dolarów! - krzyknęła. - Pięćdziesiąt dolarów za podwiezienie do Dallas! Na Main Street! Muszę zobaczyć Kennedy'ego! Pięćdziesiąt dolarów!

Nic z tego nie będzie, pomyślałem. Jedyne skutki będą takie, że rozjedzie ją nieustępliwa prze...

Zardzewiały studebaker zatrzymał się przed nią z piskiem hamulców. Silnik brzęczał i łupał. Z jednego z przednich reflektorów została pusta oprawa. Wsiadł mężczyzna w obszernych spodniach i podkoszulku. Na jego głowie (naciągnięty po same uszy) tkwił zielony filcowy kapelusz kowbojski z indiańskim piórem za wstążką. Facet szczyrzył się radośnie. Jego uśmiech odsłaniał co najmniej sześć szczerb. Jak tylko go zobaczyłem, pomyślałem: Będą kłopoty.

- Coś pani, zwariowała? - powiedział kowboj ze studebakera.

- Chce pan pięćdziesiąt dolarów czy nie? Wystarczy podwieźć nas do Dallas.

Spojrzał na banknot zmrużonymi oczami, podobnie jak Sadie nie bacząc na wymijające go trąbiące samochody. Zdjął kapelusz, otrzepał go o wiszące na kościstych biodrach drelichy, nasadził z powrotem na głowę i znów naciągnął aż po czubki odstających uszu.

- Paniusiu, to nie pięćdziesiątka, to dycha.

- Resztę mam w portfelu.

- To może go sobie wezmę, co? - Złapał jej dużą torebkę za pasek. Zszedłem z krawężnika na jezdnię, ale sądziłem, że facet okradnie Sadie i ulotni się, zanim do nich dojdę. A nawet gdybym zdążył, pewnie spralby mnie do nieprzytomności. Choć chudy, i tak był cięższy ode mnie. I miał dwie sprawne ręce.

Sadie nie puszczała. Ciągnięta w przeciwnie strony torebka rozwarła się szeroko jak krzyzące z bólu usta. Sadie włożyła do niej wolną rękę i wyjęła rzeźnicki nóż, który wyglądał znajomo. Zamachnęła się i cięła kowboja w rękę. Rana zaczynała się nad jego nadgarstkiem i kończyła w brudnym, pomarszczonym zgięciu łokcia. Kowboj krzyknął z bólu i zaskoczenia, puścił pasek torebki i cofnął się o krok.

- Ty suko walnięta, zraniłaś mnie!

Rzucił się do otwartych drzwi studebakera, którego silnik wciąż się zarzywał. Sadie zrobiła krok do przodu i przecięła nożem powietrze przed jego twarzą. Włosy opadły jej na oczy. Usta miała ponuro zaciśnięte. Krew z rannej ręki kowboja kapała na asfalt. Obok wciąż sunęły samochody. Nie do wiary, ale usłyszałem, jak ktoś zawołał:

- Pani da mu popalić!

Kowboj cofnął się w stronę chodnika, nie odrywając oczu od noża. Nie patrząc na mnie, Sadie powiedziała:

- Twoja kolej, Jake.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, po czym przypomniałem sobie o trzydziestceósemce. Wyjąłem ją z kieszeni i wymierzyłem w kowboja.

- Widzisz to, Tex? Naładowany.

- Jesteś taki sam wariat jak ona. - Trzymał rękę przyciśniętą do piersi, plamiąc podkoszulek krwią.

Sadie przypadła do studebakera od strony pasażera i otworzyła drzwi. Spojrzała na mnie nad dachem i pokazała, jakby kręciła korbą. Dotąd sądziłem, że już bardziej kochać jej nie mogę, ale w tej chwili okazało się, że się myliłem.

- Powinieneś być wziąć pieniądze albo w ogóle się nie zatrzymywać - powiedziałem. - A teraz pokaż, jak umiesz biegać. Już. Bo jak nie, to wpakuję ci kulę w nogę i nie będziesz biegał w ogóle.

- Skurwysyn z ciebie.

- Fakt. A z ciebie jest zaszary złodziej, który zaraz będzie miał dziurę od kuli. - Odbezpieczyłem broń. Kowboj ze studebakera nie czekał, żeby się przekonać, czy blefuję. Odwrócił się i ze spuszczoną głową i ranną ręką przy piersi pobiegł Hines na zachód, klnąc i zostawiając za sobą ślady krwi.

- I nie zatrzymuj się przed Love! - krzyknąłem za nim. - Tamtędy to będzie pięć kilometrów! Pozdrów prezydenta!

- Wsiadaj, Jake. Jedźmy stąd, zanim zjawi się policja.

Wsunąłem się za kierownicę studebakera i skrzywiłem się, kiedy zaprotestowało

opuchnięte kolano. Samochód był z ręczną skrzynią biegów, co znaczyło, że będę musiał chorą nogą naciskać sprzęgło. Cofnąłem fotel najdalej jak się dało, słysząc za plecami chrzęst i trzeszczenie śmieci, po czym ruszyłem.

- Ten nóż - powiedziałem. - Czy to...?

- Tak. Ten sam, którym pociął mnie Johnny. Szeryf Jones oddał go po zamknięciu dochodzenia. Myślał, że należy do mnie, pewnie słusznie. Ale w moim domu na Bee Tree Lane tego noża nie było. Jestem prawie pewna, że Johnny przywiózł go z naszego domu w Savannah. Od tamtego czasu noszę go w torebce. Żeby mieć coś, czym mogłabym się obronić, tak na wszelki wypadek... - Jej oczy nabiegły łzami. - Taki wypadek jak ten. O czymś takim właśnie myślałam.

- Schowaj go z powrotem do torebki. - Wcisnąłem strasznie oporne sprzęgło i z wysiłkiem wrzuciłem dwójkę. W samochodzie śmierdziało jak w dziesięć lat niesprzątanym kurniku.

- Wszystko pobrudzi krwią.

- Mimo to go schowaj. Nie możesz chodzić po ulicy z nożem, zwłaszcza kiedy przyjeżdża prezydent. Kochanie, to było więcej niż odważne.

Schowała nóż i zaczęła wycierać oczy pięściami jak dziewczynka płacząca, bo obtarła sobie kolana.

- Która godzina?

- Za dziesięć jedenasta. Kennedy wylądował na Love Field za czterdzieści minut.

- Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam - powiedziała. - Prawda?

Zerknąłem na nią i odparłem:

- Teraz rozumiesz.

8

Dojechaliśmy do North Pearl Street, zanim silnik studebakera strzelił. Spod maski buchnęły kłęby pary. Coś metalicznego brzęknęło o jezdnię. Sadie krzyknęła z frustracji, walnęła się pięścią w udo i użyła kilku wyrazów, których nie nauczyła się na kolanach matki, ale mnie prawie ulżyło. Przynajmniej nie musiałem dłużej męczyć się ze sprzęgłem. Wrzuciłem luz i pozwoliłem, żeby buchający parą samochód stoczył się na pobocze. Zatrzymał się u wylotu zaułka, na którego bruku napisane było NIE ZASTAWIAĆ, ale to konkretne wykroczenie wydało mi się błahe w porównaniu z napadem z bronią w rękę i kradzieżą samochodu.

Wysiedliśmy.

- A teraz która godzina? - spytała Sadie.

- Jedenasta dwadzieścia.

- Jak daleko jeszcze?

- Składnica Podręczników jest na rogu Houston i Elm. Pięć kilometrów. Może więcej.

- Ledwie te słowa wyszły z moich ust, za plecami usłyszeliśmy ryk silników odrzutowych. Spojrzeliśmy w górę i zobaczyliśmy podchodzący do lądowania Air Force One.

Sadie znużonym gestem odgarnęła włosy z twarzy.

- Co zrobimy?

- Na razie pójdziemy pieszo - powiedziałem.

- Zarzuć mi rękę na ramię, trochę cię odciążę.

- Nie trzeba, skarbie.

Przecznicę dalej zmieniłem zdanie.

9

Na skrzyżowanie North Pearl i Ross Avenue dotarliśmy o wpół do dwunastej, mniej więcej wtedy, kiedy 707 Kennedy'ego zatrzymywał się przy grupie witających go oficjeli... wśród których, oczywiście, była kobieta z bukietem czerwonych róż. Nad rogiem ulicznym przed nami górowała katedra Santuario de Guadalupe. Na jej schodach, pod posągiem świętej z wyciągniętymi rękami, siedział żebrak. Po jednej jego stronie stały drewniane kule inwalidzkie, po drugiej emaliowany garnek. O garnek oparta była tabliczka treści JESTEM CIEŻKO CHORY KALEKA! PROSZĘ DAJ ILE MOŻESZ BĄDŹ DOBRYM SAMARTANEM BÓG CIĘ KOCHA.

- A gdzie twoje kule, Jake?

- Zostały w Eden Fallows, w szafie w sypialni.

- Zapomniałeś kul?

Kobiety są dobre w pytaniach retorycznych, nie?

- Ostatnio rzadko z nich korzystałem. Na krótkich odległościach jakoś sobie radzę. - To zabrzmiało marginalnie lepiej od wyznania, że wyjeżdżałem w pośpiechu, bo chciałem uciec z ośrodka rehabilitacyjnego przed jej przybyciem.

- Cóż, teraz by ci się przydały.

Wyrwała naprzód z godną pozazdrosczenia rączością i zagadnęła żebraka na schodach kościoła. Kiedy do nich dokuśtykałem, targowała się z nim.

- Takie kule kosztują dziewięć dolarów, a ty chcesz pięćdziesiąt za jedną?

- Muszę mieć co najmniej jedną, żeby dojść do domu - powiedział roztropnie. - A jak widzę, pani przyjaciel bez choćby jednej nie dojdzie nigdzie.

- A całe to gadanie, że Bóg cię kocha, bądź dobrym Samarytaninem i tak dalej?

- Cóż... - Żebrak w zamyśleniu potarł zarośnięty podbródek. - Bóg panią kocha, to prawda, ale ja jestem tylko biedny kaleka. Jeśli moje warunki nie odpowiadają, może mnie pani minąć jak faryzeusze. Ja bym tak zrobił.

- Nie wątpię. A gdybym je ukradła, ty sknero?

- Mogłaby pani, ale wtedy Bóg by już pani nie kochał. - Wybuchnął śmiechem, zadziwiająco radosnym jak na ciężko chorego kalekę. Uzębienie miał lepsze niż kowboj ze studebakera, ale niewiele.

- Zapłać mu - powiedziałem. - Jedna mi wystarczy.

- Och, pewnie, że mu zapłacę. Po prostu nie znoszę być wykorzystywana.

- Droga pani, pozwolę sobie zauważyć, że to smutna nowina dla całej męskiej populacji planety Ziemi.

- Uważaj, to moja narzeczona - rzuciłem groźnie. Była już za dwadzieścia dwunasta. Żebrak nie zwrócił na mnie uwagi. Przyglądał się portfelowi Sadie.

- Krew. Zacięła się pani przy goleniu?

- Do programu Sullivana to ty się na razie nie pchaj, słonko, do Alana Kinga jeszcze ci sporo brakuje. - Sadie wyjęła dziesiątkę, którą wcześniej machała do nadjeżdżających samochodów, plus dwie dwudziestki. - Proszę - powiedziała, kiedy wziął pieniądze. - Jestem spłukana. Zadowolony?

- Pomogła pani biednemu kalece. To pani powinna być zadowolona.

- Ale nie jestem! - krzyknęła Sadie. - I oby ci te stare ślepie z tego szpetnego łba wypadły!

Żebrak posłał mi pełne mądrości spojrzenie z gatunku „między nami mężczyznami”.

- Pan ją zabierze do domu, panie kochany, chyba zaraz miesięczki dostanie.

Wsunąłem kulę pod prawą pachę - szczęśliwi ludzie, którzy mają zdrowe kości, sądzą, że pojedynczą kulą należy się podparć po kontuzjowanej stronie, ale są w błędzie - i lewą dłonią ująłem Sadie za łokieć.

- Chodź. Nie ma czasu.

Kiedy ruszyliśmy, Sadie klepnęła się w opięty dzinsami tyłek spojrzała przez ramię i zawołała:

- Masz, pocałuj!

Żebrak odkrzyknął:

- Pani wróci i się wypnie, kochanieńka, zrobię to gratis!

10

Szliśmy North Pearl... czy raczej Sadie szła, a ja kuśtykałem o kuli. Z nią było sto razy lepiej, lecz i tak nie widziałem szansy, żebyśmy zdążyli na skrzyżowanie Houston i Elm przed wpół do pierwszej.

Przed nami było rusztowanie. Chodnik biegł pod nim. Skierowałem Sadie na drugą stronę ulicy.

- Jake, po co, u licha...

- Zawaliłoby się na nas. Uwierz mi na słowo.

- Potrzebny nam samochód. Naprawdę potrzebny... Jake? Czemu stanąłeś?

Stanąłem, bo życie to pieśń, a przeszłość harmonizuje. Te harmonie zwykle nic nie znaczą (tak sądziłem wtedy), ale raz na jakiś czas nieustraszony gość w Krainie Przeszłości może jedną z nich wykorzystać. Modliłem się z całego serca, by teraz to się udało.

Na rogu North Pearl i San Jacinto stał zaparkowany kabriolet ford sunliner rocznik 1954. Mój był czerwony, ten ciemnogrnatowy, lecz mimo to... może...

Spróbowałem otworzyć drzwi od strony pasażera. Zamknięte. Oczywiście. Czasem zdarza się szczęśliwy traf, ale żeby tak za darmo? Nigdy.

- Odpalisz go na krótko?

Nie miałem pojęcia, jak to się robi, a coś czułem, że nie jest to takie proste, jak pokazują w „77 Sunset Strip”. Umiałem jednak podnieść kulę i podpórką pod ramię walnąć, aż szyba pokryła się siatką pęknięć i wgięła się do wewnątrz. Nikt na nas nie patrzył, bo nikogo na chodniku nie było. To, co najważniejsze, działo się na południowy wschód od nas. Słyszeliśmy dochodzącą stamtąd falującą wrzawę tłumu, który gromadził się na Main Street w oczekiwaniu na przyjazd prezydenta.

Szyba ustąpiła. Odwróciłem kulę i obitą gumą końcówką wepchnąłem okno do wnętrza samochodu. Jedno z nas będzie musiało usiąść z tyłu. O ile w ogóle coś z tego będzie, oczywiście. Jeszcze w Derry zrobiłem sobie duplikat kluczyka do sunlinera i przyklepiłem go taśmą do dna schowka, pod papierami. Może ten kierowca zrobił tak samo. Może ta konkretna harmonia sięgała aż tak daleko. Szansa była mała... ale szansa, że Sadie znajdzie mnie na Mercedes Street, była tak mała, że przez lupę by jej nie zobaczył, a jednak to się stało. Wcisnąłem kciukiem chromowany guzik otwierający schowek w tym sunlinerze i

zacząłem macać w środku.

Harmonizuj, sukinsynu. Proszę, harmonizuj. Choć raz trochę pomóż.

- Jake? Czemu myślisz, że...

Moje palce natrafiły na coś i wyjąłem blaszane pudełko po cukierkach przeciwkaszlowych Sucrets. Kiedy je otworzyłem, znalazłem nie jeden kluczyk, lecz cztery. Co otwierały pozostałe, nie wiedziałem, ale nie miałem wątpliwości, który mi się przyda. Rozpoznałbym go w ciemności, po samym kształcie.

Kurczę, jak ja kochałem ten wóz!

- Jest - powiedziałem i mało się nie przewróciłem, kiedy mnie uściskała. - Ty prowadź, kochanie. Ja usiądę z tyłu, żeby mi kolano odpoczęło.

11

Wiedziałem, że nie ma co jechać na Main Street; na pewno była zagrodzona barierkami i radiowozami.

- Jedź Pacific najdalej jak się da. Potem bocznymi ulicami. Pamiętaj, żeby zgiełk tłumu mieć po lewej, to nie powinnaś zabłądzić.

- Ile mamy czasu?

- Pół godziny. - Tak naprawdę dwadzieścia pięć minut, lecz pomyślałem, że pół godziny zabrzmiałoby bardziej optymistycznie. Poza tym nie chciałem, żeby bawiła się w kaskadera i naraziła nas na wypadek. Wciąż mieliśmy czas... przynajmniej teoretycznie... ale jeszcze jedna kraksa i to koniec.

Kaskaderki nie uprawiała, lecz prowadziła nieustraszenie. Na jednej z bocznych ulic natknęliśmy się na przewrócone drzewo (jakżeby inaczej), Sadie wjechała na krawężnik i ominęła je chodnikiem. Dotarliśmy aż na skrzyżowanie North Record Street i Havermill. Dalej jechać się nie dało, bo dwie ostatnie przecznice Havermill - aż do punktu, w którym przecinała Elm - przestały istnieć. Urządzono tam parking. Mężczyzna z pomarańczową chorągiewką machnął na nas, żebyśmy podjechali bliżej.

- Pięć doliców - rzekł. - Dwie minuty piechotą do Main Street, macie jeszcze kupę czasu. - Choć mówiąc to, zerknął niepewnie na moją kulę.

- Ja naprawdę jestem spłukana - powiedziała Sadie. - Nie żartowałam.

Wyciągnąłem portfel i dałem parkingowemu piątaka.

- Państwo zaparkują za tym chryslerem - polecił. - Jak najbliżej.

Sadie rzuciła mu kluczyki.

- Sam go zaparkuj. Idziemy, kochanie.

- Hej, nie tędy! - krzyknął parkingowy. - Tam jest Elm! Idźcie na Main! Tamtędy będzie jechał!

- Wiemy, co robimy! - zawołała Sadie.

Miałem nadzieję, że się nie myli. Ruszyliśmy przez gąszcz samochodów, Sadie przodem, ja za nią. Wyginałem się na boki i wywijałem kula, by uniknąć bocznych lusterek. Słyszałem już lokomotywy i szcęk wagonów na stacji towarowej za Składnicą Podręczników.

- Jake, zostawiamy masę śladów.

- Wiem. Mam plan. - Gigantyczna przesada, ale to dobrze brzmiało.

Wyszliśmy na Elm i wskazałem budynek dwie przecznice dalej, po drugiej stronie ulicy.

- Tam. On jest tam.

Spojrzała na przysadzisty czerwony sześcian z patrzącymi oknami, po czym zwróciła na mnie przerażone, szeroko otwarte oczy. Zauważyłem - z czymś w rodzaju klinicznego zainteresowania - że na szyi miała białą gęsią skórę.

- Jake, to okropność!

- Wiem.

- Ale... co z tym budynkiem jest nie tak?

- Wszystko. Sadie, musimy się pospieszyć. Zostało mało czasu.

12

Przecieliśmy Elm po skosie, ja, kuśtykając o kuli, prawie biegiem. Największe tłumy zebrały się na Main Street, ale ludzie zapelniali też Dealey Plaza i stali wzdłuż Elm przed Składnicą Podręczników. Tłoczyli się przy krawężniku aż do tunelu pod torami. Dziewczyny siedziały na ramionach swoich chłopaków. Dzieci, które już niedługo będą krzyczeć z przerażenia, radośnie mazały sobie twarze lodami. Zobaczyłem sprzedawcę kruszonego lodu z sokiem i kobietę o imponującej, natapirowanej fryzurze, oferującą za dolara zdjęcia Jacka i Jackie w strojach wieczorowych.

Kiedy weszliśmy w cień Składnicy Podręczników, byłem spocony, pacha uciskana podpórką kuli wyła z bólu, a kolano opinała płonąca obręcz. Ledwo mogłem je zgiąć. Podniosłem głowę i w części okien zobaczyłem wychylonych pracowników. W tym w południowo-wschodnim rogu piątego piętra nie widziałem nikogo, ale Lee tam był, na pewno.

Spojrzałem na zegarek. Dwunasta dwadzieścia. Dzięki narastającej wrzawie na Lower Main Street mogliśmy śledzić ruch kolumny samochodów.

Sadie próbowała otworzyć drzwi i spojrzała na mnie z rozpaczą.

- Zamknięte!

W środku zobaczyłem czarnego mężczyznę w zawadiacko przekrzywionym kaszkiecie. Palił papierosa. Al namiętnie uzupełniał swoje notatki rozmaitymi marginaliami i pod koniec zeszytu - od niechcienia i wydawałoby się bez powodu - zapisał nazwiska kilku współpracowników Lee. Nie zadałem sobie trudu, żeby je zapamiętać, bo nie miałem bladego pojęcia, do czego mogłyby się przydać. Obok jednego z tych nazwisk - należącego do faceta w kaszkiecie, co do tego nie miałem wątpliwości - Al zanotował: *Pierwszy, którego podejrzewali (pewnie dlatego, że czarny)*. To nazwisko było w jakiś sposób niezwykle, ale i tak nie mogłem go sobie przypomnieć - albo Roth i jego zbiry wybili mi je z głowy (wraz z masą innych rzeczy), albo nie zwróciłem na nie wystarczającej uwagi.

A może po prostu dlatego, że przeszłość jest nieustępliwa. Czy to ważne? Nie mogłem sobie przypomnieć tego nazwiska i już.

Sadie załomotała do drzwi. Czarny mężczyzna w kaszkiecie stał i patrzył na nią obojętnie. Zaciągnął się papierosem, po czym odpędził ją machnięciem ręki.

- Jake, wymyśl coś! PROSZĘ!

Dwunasta dwadzieścia jeden.

Niezwykłe nazwisko, dobrze, ale dlaczego niezwykle? Z zaskoczeniem stwierdziłem, że akurat to wiem.

- Bo ma imię dziewczyny - powiedziałem.

Sadie odwróciła się do mnie. Policzki miała czerwone, blizna szczyrzyła się bielą na ich tle.

- Co?

Nagle zacząłem walić w szklane drzwi.

- Bonnie! - krzyknąłem. - Hej, Bonnie Ray! Wpuść nas! Znamy Lee! Lee! LEE OSWALDA!

Bonnie Ray Williams przeszedł przez hol irytująco niespiesznym krokiem.

- Nie wiedziałem, że ten wymoczek w ogóle ma znajomych. - Otworzył drzwi, po czym odsunął się na bok i wpadliśmy do środka. - Pewnie jest w pokoju socjalnym i wypatruje prezydenta razem z resztą...

- Słuchaj - powiedziałem. - Nie jestem jego znajomym i nie ma go w pokoju socjalnym. Jest na piątym piętrze. Chce zastrzelić prezydenta Kennedy'ego.

Potężny mężczyzna zaśmiał się wesoło. Upuścił papierosa na podłogę i zdeptał go butem roboczym.

- Temu wypierdkowi nie starczyłoby odwagi, żeby utopić kocięta w worku. Nic, tylko siedzi w kącie i książki czyta.

- Mówię ci...

- Idę na pierwsze piętro. Chcecie iść ze mną, proszę bardzo. Ale nie gadajcie mi tu bzdur o Leeli. Tak go nazywamy, Leela. Zastrzeli prezydenta! Też coś! - Machnął ręką i odszedł niespiesznym krokiem.

Pomyślałem: Twoje miejsce jest w Derry, Bonnie Ray. Niezauważanie tego, co się ma przed oczami, to specjalność ludzi z Derry.

- Schody - powiedziałem Sadie.

- Winda byłaby...

- Stałyby między piętrami. Schody.

Wziąłem ją za rękę i pociągnąłem za sobą. Klatka schodowa była wąskim gardłem z drewnianymi stopniami wgiętymi pod ciężarem deptających je latami nóg. Po lewej stronie biegła zardzewiała żelazna poręcz. U podnóża schodów Sadie odwróciła się do mnie.

- Daj broń.

- Nie.

- Nie zdążysz na czas. Ja pobiegnę. Daj broń.

Już miałem jej posłuchać... To nie tak, że uważałem, że to mnie się ten kolt należy; teraz, kiedy rzeczywiście nadszedł moment przełomowy, nie było ważne, kto powstrzyma Oswalda, byle tylko ktoś to zrobił. Jednak staliśmy zaledwie o krok od ryczącej maszyny przeszłości i żeby nie wiadomo co, nie zamierzałem ryzykować, że Sadie zrobi ten krok przede mną i zostanie wciągnięta w jej wirujące pasy i ostrza.

Pocałowałem ją.

- Ścigamy się - powiedziałem i ruszyłem pod górę. - Jeśli zasnę, jest twój!

13

- Wyście powariowali - usłyszałem łagodny wyrzut Bonnie Raya Williamsa. A potem lekki tupot nóg goniącej mnie Sadie. Kulę miałem po prawej stronie - już nie wspierałem się na niej, tylko się nią odbijałem - a lewą ręką podciągałem się po poręcz. Rewolwer w kieszeni marynarki latał z boku na bok i obijał mi się o udo. Kolano ryczało z bólu. Ignorowałem je.

Na podeście piętra zerknąłem na zegarek. Dwunasta dwadzieścia Pięć. Nie; dwadzieścia sześć. Słyszałem nieuchronnie zbliżający się ryk tłumu, niby fali, która zaraz rozbije się o brzeg. Kolumna minęła skrzyżowania Main i Ervay, Main i Akard, Main i Field. Za dwie minuty, góra trzy dotrze na Houston Street, skreśli w prawo i z prędkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę przejedzie obok starego gmachu sądu. Od tego momentu prezydent Stanów Zjednoczonych będzie dostępnym celem. W powiększającej cztery razy lunecie zamontowanej na karabinie Mannlicher-Carcano państwo Kennedy i państwo Connally będą wielcy jak aktorzy na ekranie kina samochodowego w Lisbon. Lee jednak chwilę jeszcze poczeka. Nie był kamikaze; chciał uciec. Gdyby strzelił za wcześnie, ochrona w samochodzie na czele kolumny zobaczyłaby błysk wystrzału i odpowiedziała ogniem. Zaczeka, aż ten samochód - i prezydencka limuzyna - odbije w lewo na Elm. Strzeli w plecy, skurwiel. Też mi snajper.

Zostały jeszcze trzy minuty.

Może tylko dwie i pół.

Rzuciłem się ku schodom między pierwszym a drugim piętrem, nie zważając na ból kolana, zmuszając się do biegu pod górę jak maratończyk pod koniec długiego wyścigu.

W dole słyszałem, jak Bonnie Ray coś krzyczy. Wyłowiłem tylko słowa: „mówił, że Leela zastrzeli...” i „wariat”.

Do połowy schodów na drugie piętro czułem, jak Sadie klepie mnie w plecy niczym jeździec poganiający konia, potem jednak została nieco z tyłu. Słyszałem jej ciężkie dyszenie i pomyślałem: Za dużo papierosów, kochanie. Kolano już mnie nie bolało; adrenalina chwilowo uśmierzyła ból. Trzymałem lewą nogę wyprostowaną na tyle, na ile mogłem, i pozwalałem, żeby kula robiła, co do niej należy.

Zakręt. Na trzecie piętro. Teraz już i ja dyszałem, a schody wydawały się bardziej strome. Jak góra. Podpórka kuli zebraka była śliska od potu. Głowa mi pękała; w uszach huczał ryk wiwatującego tłumu. Oko mojej wyobraźni otworzyło się szeroko i zobaczyłem nadjeżdżającą kolumnę: wóz ochrony, potem prezydencka limuzyna eskortowana przez harleye-davidsony policji z Dallas, na których jadą gliniarze w białych kaskach z paskiem pod brodę i ciemnych okularach.

Następny zakręt. Kula pośliznęła się, ale ustała. Znowu w górę. Stukot kuli. Teraz już czułem słodki zapach trocin sypiących się podczas remontu na piątym piętrze: robotnicy wymieniali starą drewnianą podłogę na nową. Ale nie po tej stronie, gdzie był Lee. Lee miał cały południowo-wschodni narożnik dla siebie.

Dotarłem na podest czwartego piętra i pokonałem ostatni zakręt, łapiąc powietrze

otwartymi ustami. Moja koszula zmieniała się w mokrą szmatę lepiącą się do falującej piersi. Piekący pot zalewał mi oczy.

Trzy pudła z książkami opatrzone naklejkami ROADS TO EVERY-WHERE i WYPISY DLA IV I V KLASY blokowały schody na piąte piętro. Stałem na prawej nodze i dźgnąłem jedno z nich końcówką kuli, odtrącając je na bok. Za plecami słyszałem Sadie, była między trzecim a czwartym piętrem. A zatem wyglądało na to, że dobrze zrobiłem, zatrzymując broń, choć kto to tak naprawdę mógł wiedzieć? Sądząc z mojego własnego doświadczenia, świadomość, że na tobie ciąży główna odpowiedzialność za to, by zmienić przyszłość, mobilizuje do szybszego biegu.

Przecisnąłem się przez szczelinę, którą zrobiłem. Musiałem na sekundę przenieść cały swój ciężar na lewą nogę. Potężnie zawyla z bólu. Stęknąłem i przytrzymałem się poręczy, żeby nie upaść na schody. Spojrzałem na zegarek. Pokazywał dwunastą dwadzieścia osiem. A jeśli się spóźniał? Tłum ryczał.

- Jake... pospiesz się, na litość boską... - To Sadie, wciąż była na schodach przed podestem czwartego piętra.

Wszedłem na ostatni odcinek schodów i wrzawa tłumu zaczęła rozplýwać się w wielką ciszę. Kiedy dotarłem na szczyt, nie było nic oprócz mojego chrapliwego oddechu i palących uderzeń walącego jak młot, przemęczonego serca.

14

Piąte piętro Teksaskiej Składnicy Podręczników - tonący w cieniu kwadrat usiany wyspami stosów pudeł z książkami. Światła pod sufitem paliły się tam, gdzie wymieniano podłogę. Po tej stronie, gdzie Lee Harvey Oswald planował za sto sekund, może mniej, przejść do historii, były zgaszone. Na Elm Street wychodziło siedem okien, w środku pięć dużych i półkolistych, po bokach dwa kwadratowe. U szczytu schodów panował półmrok, ale część pomieszczenia z widokiem na Elm Street wypełniało przymglone światło. Dzięki wiszącym w powietrzu trocinom ukośne promienie słońca wpadające przez okna wydawały się tak grube i solidne, że można by je kroić. Drogę do południowo-wschodniego narożnika blokowała barykada z pudeł z książkami. Stanowisko snajpera było dokładnie na przeciwnym końcu ode mnie, po przekątnej biegnącej z północnego zachodu na południowy wschód.

Za barykadą człowiek z karabinem stał w słońcu przy oknie. Zgarbiony, wyglądał na zewnątrz. Okno było otwarte. Lekki podmuch targał mu włosy i kołnierz koszuli. Zaczął podnosić karabin.

Zerwałem się do nieporadnego biegu, slalomem między stosami pudeł, sięgając do kieszeni marynarki po trzydziestkęósemkę.

- Lee! - krzyknąłem. - Przestań, sukinsynu!

Odwrócił głowę i spojrzał na mnie z szeroko otwartymi oczami i rozdziawionymi ustami. Przez chwilę był po prostu Lee - facetem, który śmiał się i bawił z Junie w wannie, tym, który czasem tulił żonę i całował jej zwróconą ku górze twarz. Nagle jego cienkie i jakoś napuszone usta zmarszczyły się w grymasie, który obnażył górne zęby. A wówczas zmienił się w coś potwornego. Wątpię, czy uwierzycie, ale przysięgam, że to prawda. Przestał być człowiekiem i stał się demonicznym widmem, które od tego dnia miało prześladować Amerykę, wypaczając jej potęgę i niwecząc każdy jej dobry zamiar.

Gdybym na to pozwolił.

Znów napłynęła wrzawa tłumu, tysiące ludzi biły brawo, wiwatowały i wrzeszczały na całe gardło. Słyszałem ich, Lee też. Wiedział, co to znaczy: teraz albo nigdy. Obrócił się z powrotem do okna i przycisnął kolbę karabinu do ramienia.

Miałem rewolwer, taki sam jak ten, którym zabiłem Franka Dunninga. Więcej niż taki sam; w tej chwili to był ten sam rewolwer. Tak myślałem wtedy i tak myślę teraz. Kurek próbował się zaczepić o podszewkę kieszeni, ale wyszarpnąłem trzydziestkęósemkę mimo to, słysząc dźwięk rozrywanego materiału.

Strzeliłem. Kula poszła górą i tylko odłupła drzazgi z górnej części ramy okna, ale to wystarczyło, by ocalić Johnowi Kennedy'emu życie. Oswald drgnął na huk wystrzału i stusześćdziesięciogramowy pocisk poleciał za wysoko, wybijając okno w gmachu Sądu Okręgowego.

W dole rozległy się okrzyki przerażenia i zdumienia. Lee odwrócił się do mnie, jego twarz była maską furii, nienawiści i rozczarowania. Znów podniósł karabin; tym razem to nie w prezydenta Stanów Zjednoczonych miał wymierzyć. Odciągnął kurek - trzask-trzask - i wtedy strzeliłem do niego po raz drugi. Choć pokonałem już trzy czwarte dzielącego nas dystansu i byłem niecałe osiem metrów od niego, teraz też chybiłem. Zobaczyłem, że koszula zafalowała mu z boku, ale to wszystko.

Uderzyłem kulą w stos pudeł. Zatoczyłem się w lewo, wymachując trzymającą broń ręką w próbie złapania równowagi, ale nie było na to szans. Przez krótką chwilę myślałem o tym, jak Sadie tego dnia, kiedy ją poznałem, dosłownie padła mi w ramiona. Wiedziałem, co się stanie. Historia się nie powtarza, ale harmonizuje, a muzyką, którą zwykle tworzy, jest muzyka diabła. Tym razem ja się potknąłem i to była kluczowa różnica.

Już nie słyszałem jej na schodach... lecz wciąż słyszałem jej szybkie kroki.

- Sadie, na ziemię! - krzyknąłem, ale zagłuszyło mnie szczeknięcie karabinu Oswalda.

Usłyszałem, jak kula przeszła nade mną. Usłyszałem krzyk Sadie.

A potem padły następne strzały, tym razem na zewnątrz. Prezydencka limuzyna dodała gazu i z karkołomną prędkością pognąła w stronę tunelu pod torami, wiezione nią dwie pary skuliły się i przytuliły do siebie. Za to wóz ochrony zatrzymał się po drugiej stronie Elm Street, przy Dealey Plaza. Gliny na motocyklach stanęły na środku ulicy, a kilkudziesięciu ludzi wskazywało im cel, okno na piątym piętrze, w którym wyraźnie widać było chudzielca w niebieskiej koszuli.

Usłyszałem serię głuchych łupnięć, jakby bryłek gradu wpadających w błoto. To były kule, które chybiły, uderzały w cegły nad oknem i po bokach. Wiele nie chybiło. Zobaczyłem, że koszula Lee się wybrzuszyła, jakby wdarł się pod nią wiatr - wiatr czerwony, który wyrwał dziury w materiale: jedną nad prawym sutkiem, drugą na mostku, trzecią tam, gdzie powinien być pepek. Czwarta rozerwała mu szyję. Tańczył jak lalka w mglistym, pełnym trocin świetle, i ten przerażający grymas ani na moment nie schodził mu z twarzy. Pod koniec nie był człowiekiem, powiadam wam; był demonem. Demonem, który nas opętuje, kiedy słuchamy naszych najgorszych aniołów.

Kula rąbnęła jedną z lamp pod sufitem, rozbiła żarówkę i rozkołysała oprawę. Następna zerwała czubek głowy niedoszłego zabójcy, tak jak kula Lee zerwała czubek głowy Kennedy'ego w świetle, z którego przybyłem. Lee Oswald walił się na swoją barykadę z pudeł, przewracając je na podłogę.

Krzyki z dołu.

- Dostał! Widziałem, jak upadł! - wrzasnął ktoś.

Tupot nóg. Pchnąłem trzydziestkęósemkę po podłodze w stronę ciała Lee. Zachowałem dość przytomności umysłu, by wiedzieć, że ludzie na schodach mocno by mnie stłukli, może nawet zabili, gdyby zastali mnie z bronią w ręku. Zacząłem się podnosić, ale kolano już nie mogło utrzymać mojego ciężaru. W sumie to i lepiej. Nie byłem widoczny z Elm Street, ale gdybym był, otworzyliby ogień też do mnie. Dlatego poczołgałem się tam, gdzie leżała Sadie, utrzymując swój ciężar na rękach i wlokąc lewą nogę za sobą jak kotwicę.

Jej bluzka przesiąkła krwią, ale dostrzegłem otwór. Był na samym środku piersi, tuż nad wypukłością biustu. Sadie krztusiła się, krew lała się z jej ust. Wsunąłem ręce pod jej plecy i uniosłem ją. Oczy Sadie, wpatrzone we mnie, świeciły w mglistym półmroku.

- Jake - wychrypiała.

- Nie, kochanie, nic nie mów.

Nie posłuchała mnie jednak - czy kiedykolwiek było inaczej?

- Jake, prezydent!

- Bezpieczny. - Tak naprawdę nie widziałem go w uciekającej limuzynie, ale zobaczyłem, jak Lee drgnął, oddając jedyny strzał w stronę ulicy, i to mi wystarczyło. Poza tym powiedziałbym Sadie, że jest bezpieczny, cokolwiek by się stało.

Zamknęła oczy, po czym otworzyła je znowu. Tupot nóg był już bardzo blisko, na ostatnim odcinku schodów. Daleko w dole rozbrzmiewał zgiełk, ludzie krzyczeli podnieceni i zdezorientowani.

- Jake...

- Co, kochanie?

Uśmiechnęła się.

- Aleśmy tańczyli!

Kiedy zjawili się Bonnie Ray i reszta, siedziałem na podłodze i trzymałem ją w ramionach. Przemknęli obok mnie. Ilu, nie wiem. Może czterech. Może ośmiu. Może dwunastu. Nie spojrzałem na nich. Kołysałem ją, wtuloną w moją pierś, pozwalając, by jej krew wsiąkała w moją koszulę. Nie żyła. Moja Sadie. A jednak wpadła w tę maszynę.

Nigdy nie byłem skłonny do łez, lecz prawie każdy mężczyzna, który traci ukochaną kobietę, zapłakałby, nie sądzicie? Owszem. Ale nie ja.

Bo wiedziałem, co trzeba zrobić.

CZEŚĆ VI
CZŁOWIEK
Z ZIELONĄ KARTKĄ

ROZDZIAŁ 29

1

Nie aresztowali mnie, ale zostałem zatrzymany i przewieziony radiowozem na komendę. Na ostatnim odcinku drogi ludzie - było trochę reporterów, ale większość stanowili zwykli obywatele - dobijali się do okien i zagłądali do środka. Z klinicznym dystansem zastanawiałem się, czy może wyciągną mnie z samochodu i zlinczują za próbę zamachu na prezydenta. Było mi to obojętne. Moje myśli zaprzętała zaplamiona krwią koszula. Chciałem ją zdjąć; chciałem też nosić ją zawsze. To była krew Sadie.

Żaden z glin na przednim siedzeniu o nic nie pytał. Pewnie ktoś im zabronił. Gdyby o coś spytali, nie odpowiedziałbym. Myślałem. Mogłem to robić, bo znów ogarniało mnie zimno. Cieszyłem się z tego. Okryłem się nim jak zbroją. Mogłem to naprawić. Naprawię to. Ale najpierw trzeba będzie trochę pogadać.

2

Wsadzili mnie do pokoju białego jak lód. Był w nim stół i trzy twarde krzesła. Usiadłem na jednym z nich. Na zewnątrz dzwoniły telefony i terkotał dalekopis. Ludzie chodzili w tę i w tę, głośno rozmawiając, czasem krzycząc, czasem się śmiejąc. W śmiechu brzmiała ulga. Tak śmieją się ludzie, którzy wiedzą, że cudem uniknęli nieszczęścia. Umknęli kuli, można powiedzieć. Może tak samo Edwin Walker śmiał się wieczorem dziesiątego kwietnia, kiedy rozmawiał z dziennikarzami i wytrząsał z włosów kawałki szkła.

Ci sami dwaj gliniarze, którzy przywieźli mnie ze Składnicy Podręczników, przeszukali mnie i zabrali moje rzeczy. Spytałem, czy mogliby mi zostawić dwie ostatnie saszetki goody's. Po krótkiej naradzie rozerwali je i wysypali zawartość na stół naznaczony wrytymi inicjałami i śladami po gaszonych papierosach. Jeden z nich poślinił palec, skosztował proszku i skinął głową.

- Chce pan wody?

- Nie. - Zgarnąłem proszek i wsypałem do ust. Był gorzki. To mi nie przeszkadzało.

Jeden glina wyszedł. Drugi poprosił o moją zakrwawioną koszulę którą niechętnie

zdjąłem i oddałem. Potem wymierzyłem w niego palec.

- Wiem, że to dowód, ale obchodźcie się z nią z szacunkiem. Jest na niej krew kobiety, którą kochałem. Może to dla was niewiele znaczy, lecz ta kobieta pomogła zapobiec zabójstwu prezydenta Kennedy'ego, a to powinno dla was znaczyć wiele.

- Chcemy tylko ustalić grupę krwi - wymamrotał.

- W porządku. Ale koszula ma trafić na listę moich rzeczy osobistych. Chcę ją odzyskać.

- Oczywiście.

Drugi glina wrócił z prostym białym podkoszulkiem. Wyglądał jak ten, który Oswald miał na sobie - czy raczej miałby na sobie - na zdjęciu policyjnym zrobionym zaraz po jego aresztowaniu w kinie Texas.

3

Wszedłem do małego pokoju przesłuchań dwadzieścia po pierwszej. Jakaś godzinę później (dokładnie tego określić nie mogę, bo nie było zegara, a mojego nowego timexa zabrali razem z resztą rzeczy osobistych) ci sami dwaj mundurowi przyprowadzili mi towarzystwo. Ściśle mówiąc, starego znajomka: doktora Malcolma Perry'ego, który taszczył dużą czarną torbę wiejskiego lekarza. Patrzyłem na niego w lekkim oszołomieniu. Mógł odwiedzić mnie tutaj, na komendzie, bo nie musiał być w szpitalu Parkland i wydłubywać odłamków kuli i kawałków kości z mózgu Johna Kennedy'ego. Rzeka historii już płynęła nowym korytem.

- Witam, doktorze Perry.

Skinął głową.

- Dzień dobry, panie Amberson. - Kiedy widzieliśmy się ostatnio, mówił mi per George. Gdybym miał jakieś wątpliwości co do tego, czy jestem podejrzany, w tej chwili by się potwierdziły. Ale nie miałem. Byłem na miejscu zdarzenia i wiedziałem, co się stanie. Bonnie Ray Williams na pewno już im to powiedział. - Słyszałem, że odnowił się panu uraz kolana.

- Niestety tak.

- Obejrzyjmy to.

Spróbował podciągnąć moją lewą nogawkę i nie dał rady. Staw za bardzo spuchł. Kiedy wyjął nożyczki, obaj policjanci zrobili krok do przodu i wyjęli pistolety, lufami w dół, trzymając palce na kabłąkach spustowych. Doktor Perry spojrzał na nich z lekkim

zdziwieniem i rozciął nogawkę wzdłuż szwu. Obejrzał, dotknął, wyjął strzykawkę i ściągnął wodę z kolana. Z zaciśniętymi zębami czekałem, kiedy to się skończy. Potem wygrzebał z torby bandaż elastyczny i ciasno obwiązał kolano. To przyniosło pewną ulgę.

- Mogę dać panu coś od bólu, jeśli panowie policjanci nie będą mieć nic przeciwko temu.

Nie mieli, ale ja tak. Najważniejszy moment w moim życiu - i życiu Sadie - był tuż. Nie chciałem, by prochy zaćmiły mi umysł, kiedy nadejdzie.

- Ma pan może Goody's Headache Powder?

Zmarszczył nos, jakby coś mu zaśmierdziało.

- Mam aspirynę i emprin. Emprin jest trochę mocniejszy.

- Wobec tego proszę mi to dać. I, doktorze Perry...

Podniósł wzrok znad torby.

- Sadie i ja nie zrobiliśmy nic złego. Ona oddała życie za swój kraj... a ja oddałbym moje za nią. Nie dostałem takiej szansy.

- Jeśli tak, proszę pozwolić, że pierwszy panu podziękuję. W imieniu całego kraju.

- Gdzie jest teraz prezydent? Wie pan?

Doktor Perry spojrział na gliny z pytająco uniesionymi brwiami. Popatrzyli po sobie, po czym jeden z nich powiedział:

- Pojechał do Austin wygłosić przemówienie na uroczystej kolacji, zgodnie z planem. Nie wiem, czy to znaczy, że jest odważny do szaleństwa, czy po prostu głupi.

Może będzie katastrofa lotnicza, pomyślałem. Air Force One rozbije się, zginie Kennedy i wszyscy na pokładzie. Może prezydent dostanie ataku serca albo wylewu. Może jakiś inny tchórzliwy cyngiel odstrzeli mu tę jego urodziwą głowę. Czy nieustępliwa przeszłość atakuje zmienione fakty tak samo jak sprawcę zmian? Nie wiedziałem. I niezbyt mnie to obchodziło. Swoje zrobiłem. Dalsze losy Kennedy'ego to już nie moja sprawa.

- W radiu mówili, że nie wziął ze sobą Jackie - powiedział Perry cicho. - Wysłał ją na ranczo wiceprezydenta w Johnson City. Dojedzie tam do niej na weekend, jak planowali. Jeśli mówisz prawdę, George...

- Myślę, że to wystarczy, doktorze - powiedział jeden z gliniarzy. Mnie to wystarczyło, zdecydowanie; dla Mała Perry'ego znowu byłem George'em.

Doktor Perry - któremu nie brakowało lekarskiej arogancji - zignorował policjanta.

- Jeśli mówisz prawdę, to wróżę ci wizytę w Waszyngtonie. I, najprawdopodobniej, uroczystość wręczenia orderu w Ogrodzie Różanym.

Wyszedł i znowu zostałem sam. Chociaż właściwie nie; była ze mną Sadie. „Aleśmy

tańczyli”, powiedziała tuż przed tym, jak odeszła z tego świata. Mogłem zamknąć oczy i zobaczyć ją, gdy stała w szeregu z dziewczynami, potrząsając ramionami i tańcząc madisona. W tym wspomnieniu śmiała się, miała rozwiane włosy, a jej twarz była bez skazy. Techniki chirurgiczne z roku 2011 mogły w dużym stopniu naprawić to, co z tą twarzą zrobił John Clayton, ale ja, jak sądziłem, miałem dostęp do jeszcze lepszej technologii. Oczywiście, o ile będę miał okazję jej użyć.

4

Dali mi gotować się przez dwie godziny w moim własnym bolesnym sosie, zanim drzwi pokoju przesłuchań otworzyły się znowu. Weszli dwaj mężczyźni. Ten o twarzy basseta pod białym stetsonem przedstawił się jako kapitan Will Fritz z policji Dallas. Niósł teczkę aktówkę - ale nie moją, więc wszystko było w porządku.

Drugi facet miał nalane policzki, cerę pijaka i krótkie ciemne włosy lśniące od wody fryzjerskiej. Jego oczy były bystre, dociekliwe i nieco zaniepokojone. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął portfel z legitymacją i rozłożył go.

- James Hosty, panie Amberson. Federalne Biuro Śledcze. Masz powód być zaniepokojony, pomyślałem. To ty byłeś odpowiedzialny za obserwację Lee, prawda, agencie Hosty?

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań, panie Amberson - powiedział Will Fritz.

- A ja chciałbym stąd wyjść. Ludzi, którzy ratują życie prezydentowi Stanów Zjednoczonych, na ogół nie traktuje się jak przestępców.

- Spokojnie, spokojnie - rzekł agent Hosty. - Przysłaliśmy panu lekarza, prawda? I to nie pierwszego lepszego; pańskiego lekarza.

- Pytajcie - powiedziałem.

I przygotowałem się do tańca.

5

Fritz otworzył aktówkę i wyjął plastikową torebkę z przyklepionym taśmą identyfikatorem dowodu. W środku była moja trzydziestkaósemka.

- Znaleźliśmy to przy ustawionej przez Oswalda barykadzie z pudeł, panie Amberson. Myśli pan, że to jego broń?

- Nie, to police special. Jest mój. Lee miał trzydziestkęósemkę victory. Jeśli nie miał

jej przy sobie, pewnie znajdziecie ją w jego mieszkaniu.

Fritz i Hosty spojrzeli z zaskoczeniem na siebie, potem znów na mnie.

- Czyli przyznaje pan, że znał Oswalda - powiedział Fritz.

- Tak, choć nie za dobrze. Nie wiedziałem, gdzie mieszka, inaczej to tam bym poszedł.

- Miał pokój na Beckley Street - powiedział Hosty. - Zameldował się jako O.H. Lee.

Zdaje się, że posługiwał się jeszcze jednym nazwiskiem. Alek Hidell. Używał go do odbierania poczty.

- Żona i dzieci z nim nie mieszkają? - spytałem.

Hosty się uśmiechnął. Jego obwisłe policzki rozciągnęły się o jakieś pół kilometra w obie strony.

- Kto tu zadaje pytania, panie Amberson?

- My obaj. Naraziłem życie, żeby ocalić prezydenta, a moja narzeczona oddała swoje, więc mam prawo pytać.

Czekałem. Jak ostro się ze mną obejdą? Jeśli bardzo, to oznaczałoby, że są przekonani, że byłem w to zamieszany. Jeśli wcale - że tak nie sądzą, ale chcą się upewnić. Ostatecznie nie było ani za ostro, ani za łagodnie.

Fritz tępy palcem zakręcił torebką z koltem.

- Powiem panu, jak mogło być, panie Amberson. Nie mówię, że tak było, ale będzie nas pan musiał o tym przekonać.

- Mhm. Dzwoniliście do rodziców Sadie? Mieszkają w Savannah. Powinniście też zadzwonić do Deacona Simmonsa i Ellen Dockerty w Jodie. Byli dla niej jak ojciec i matka. - Zamyśliłem się. - Właściwie dla nas obojga. Zamierzałem poprosić Deke'a, żeby był moim drużbą na naszym ślubie.

Fritz puścił to mimo uszu.

- Mogło być tak, że pan i pana narzeczona byliście w zмовie z Oswaldem. I że pod koniec tchórz was obleciał.

Zawsze popularna teoria spisku. W żadnym domu nie powinno jej zabraknąć.

- Może w ostatniej chwili zrozumieliście, że szykujecie się, by zabić najpotężniejszego człowieka na świecie - powiedział Hosty. - Oprzytomnieliście. Dlatego pan go powstrzymał. Jeśli tak to się odbyło, będzie pan mógł liczyć na dużą wyrozumiałość.

Tak. Wyrozumiałość, która oznaczałaby czterdzieści, może nawet pięćdziesiąt lat jedzenia makaronu z serem w Leavenworth, zamiast śmierci na teksaskim krześle elektrycznym.

- To dlaczego nie byliśmy przy nim od rana, agencie Hosty? Dlaczego musielibyśmy

się dobijać, żeby nas wpuścili?

Hosty wzruszył ramionami. Ten gest oznaczał: Ty mi powiedz.

- I jeśli razem planowaliśmy zamach, na pewno widział mnie pan w jego towarzystwie. Bo wiem, że go obserwowaliście, przynajmniej od czasu do czasu. - Wychyliłem się do przodu. - Dlaczego ty go nie powstrzymałeś, Hosty? To był twój obowiązek.

Odchylił się, jakbym zamierzył się na niego pięścią. Jego nalana twarz poczerwieniała. Moja rozpacz stężała w swoście złośliwej satysfakcji.

- FBI miało go na oku, bo uciekł do Rosji, z Rosji uciekł z powrotem do Stanów, a ze Stanów próbował uciec na Kubę. Przez wiele miesięcy przed dzisiejszym horrorem rozdawał na ulicach ulotki wychwalające Fidela.

- Skąd pan to wszystko wie? - warknął Hosty.

- Od niego. I nagle co się dzieje? Prezydent, który robi wszystko, by strącić Castro z piedestału, przyjeżdża do Dallas. Lee Oswald, pracując w Składnicy Podręczników, miał miejscówkę z widokiem na trasę przejazdu kolumny prezydenckiej. Wiedziałeś to i palcem nie kiwnąłeś.

Fritz patrzył na Hosty'ego z przerażeniem. Hosty na pewno żałował, że glina z Dallas w ogóle jest w tym pokoju, ale co mógł zrobić? Był na terenie Fritza.

- Nie sądziliśmy, by stanowił zagrożenie - powiedział Hosty sztywno.

- Toście się pomylili. Co było w notce, którą ci przekazał, Hosty? Wiem, że Lee poszedł do twojego biura i kiedy cię nie zastał, zostawił ci wiadomość, ale nie chciał mi powiedzieć, co w niej było. Uśmiechnął się tylko tym swoim bladym, bezczelnym uśmiechem. Mówimy o zabójcy kobiety, którą kochałem, więc myślę, że mam prawo to wiedzieć. Czy napisał, że zrobi coś, co ściągnie na niego uwagę świata? Założę się, że tak.

- Nic z tych rzeczy!

- To pokaż mi tę notkę. Dalej. Śmiało.

- Wszelka korespondencja od pana Oswalda to sprawa Biura.

- Myślę, że nie możesz mi jej pokazać. Założę się, że na polecenie pana Hoovera został z niej tylko popiół w twoim służbowym kiblu.

A jeśli jeszcze nie, to wkrótce tak skończy. To było w notatkach Ala.

- Skoro taki pan niewinny - powiedział Fritz - niech pan wyjaśni, skąd pan znał Oswalda i dlaczego nosił pan broń przy sobie.

- I dlaczego ta pani miała rzeźnicki nóż uwalany krwią - dodał Hosty.

Aż mi się czerwono przed oczami zrobiło.

- Ta pani była cała we krwi! - krzyknąłem. - Miała krew na ubraniu, na butach, w torebce! Sukinsyn strzelił jej w pierś, nie zauważyliście?

Fritz:

- Spokojnie, panie Amberson. Nikt pana o nic nie oskarża. - W podtekście: Jeszcze.

Odetchnąłem głęboko.

- Rozmawialiście z doktorem Perrym? Przysłaliście go, żeby mnie zbadał i opatrzył mi kolano, więc musieliście. Czyli wiecie, że w sierpniu zostałem pobity prawie na śmierć. Pobicie zlecił i w nim uczestniczył bukmacher Akiva Roth. Nie sądzę, żeby zamierzał mnie aż tak skatować, ale pewnie mu pyskowałem i się wściekł, Nie pamiętam. Od tego dnia nie pamiętam wielu rzeczy.

- Dlaczego pan tego nie zgłosił?

- Bo byłem w śpiączce, detektywie Fritz. Kiedy się ocknąłem, nic z tego nie pamiętałem. Kiedy pamięć częściowo wróciła, przypomniało mi się, jak Roth mówił o swoich powiązaniach z bukmacherem z Tamy, z którym robiłem interesy, i nowoorleańskim gangsterem, niejakim Carlosem Marcello. Wtedy uznałem, że ryzykownie byłoby pójść na policję.

- Twierdzi pan, że policja w Dallas jest skorumpowana? - Nie wiedziałem, czy gniew Fritza jest prawdziwy, czy udawany, i mało mnie to obchodziło.

- Twierdzą, że oglądam „Nietykalnych” i wiem, że gangsterzy nie lubią kapusiów. Kupiłem rewolwer do obrony własnej, do czego mam prawo, zgodnie z drugą poprawką do konstytucji, i nosiłem go przy sobie. - Wskazałem plastikową torebkę. - Ten rewolwer.

Hosty:

- Gdzie pan go kupił?

- Nie pamiętam.

Fritz:

- Ta pańska amnezja jest bardzo wygodna, nie sądzi pan? Jak coś z opery mydlanej.

- Porozmawiajcie z Perrym - powtórzyłem. - I jeszcze raz obejrzyjcie moje kolano. Uraz się odnowił, kiedy biegłem pięć pięter po schodach, żeby uratować prezydentowi życie. Co powiem prasie. Powiem też, że nagrodą za spełnienie mojego obowiązku jako amerykańskiego obywatela było przesłuchanie w małym, dusznym pokoju bez choćby szklanki wody.

- Chce pan wody? - spytał Fritz i zrozumiałem, że może jednak wszystko będzie dobrze, jeśli nie zrobię fałszywego kroku. Prezydent o włos uniknął śmierci. Ci dwaj, nie wspominając o komendancie policji Dallas, Jessie Currym, znajdą się pod ogromną presją, by

dostarczyć ludziom bohatera. Ponieważ Sadie nie żyła, zostałem im tylko ja.

- Nie - powiedziałem - ale co'-cola byłaby w sam raz.

6

W czasie, kiedy czekałem na moją colę, przypomniało mi się, jak Sadie powiedziała „Zostawiamy masę śladów”. Miała rację. Mogłem jednak obrócić to na swoją korzyść. O ile, rzecz jasna, pewien kierowca samochodu pomocy drogowej z pewnej stacji obsługi Esso w Fort Worth zrobił to, o co prosiłem w wiadomości zostawionej pod wycieraczką chevroleta.

Fritz zapalił papierosa i podsunął mi paczkę. Pokręciłem głową. Zabrał ją z powrotem.

- Proszę nam powiedzieć, skąd pan go zna.

Odparłem, że poznałem Lee na Mercedes Street i zostaliśmy kolegami. Że słuchałem jego wywodów o niegodziwościach faszystowsko-imperialistycznej Ameryki i cudownym socjalistycznym rajem, jaki miał powstać na Kubie. Kuba to ideał, twierdził. Rosję zawłaszczyli nie niewarci biurokraci i dlatego stamtąd wyjechał. Na Kubie był wujek Fidel. Lee może nie powiedział wprost, że wujek Fidel chodzi po wodzie, ale tak sugerował.

- Uważałem go za wariata, ale lubiłem jego rodzinę. - Akurat to była prawda. Rzeczywiście lubiłem jego rodzinę i rzeczywiście uważałem go za wariata.

- Jak to się stało, że pan, nauczyciel, w ogóle zamieszkał w tak podłej dzielnicy Fort Worth? - spytał Fritz.

- Próbowalem pisać powieść. Przekonałem się, że nie dam rady pogodzić tego z pracą w szkole. Dom na Mercedes Street to rudera, ale był tani. Sądziłem, że książka zabierze co najmniej rok, i przez ten czas musiałem utrzymać się z oszczędności. Kiedy życie w tej dzielnicy robiło się przygnębiające, próbowałem udawać sam przed sobą, że mieszkam w mansardzie na lewym brzegu Sekwany.

Fritz:

- Czy pańskie oszczędności obejmowały wygrane na zakładach?

Ja:

- W tej kwestii odmawiam zeznań.

Na to Will Fritz, o dziwo, się roześmiał.

Hosty:

- Czyli poznał pan Oswalda i się z nim zaprzyjaźnił.

- Zaprzyjaźnił to za duże słowo. Nie można się przyjaźnić z szaleńcami. Przynajmniej ja nie mogę.

- Proszę dalej.

Lee wyprowadził się z rodziną; ja zostałem. Pewnego dnia ni stąd, ni zowąd zadzwonił do mnie i powiedział, że mieszkają z Mariną na Elsbeth Street w Dallas. Stwierdził, że dzielnica jest lepsza, a tanich mieszkań do wynajęcia nie brakuje. Powiedziałem Fritzowi i Hosty'emu, że wtedy już miałem serdecznie dosyć Mercedes Street, więc pojechałem do Dallas, zjadłem lunch z Lee w Woolworth's i poszedłem na spacer po okolicy. Wynająłem mieszkanie na parterze na West Neely Street 214, a kiedy to nade mną się zwolniło, powiedziałem o tym Lee. Przysługa za przysługę, można powiedzieć.

- Mieszkanie na Elsbeth nie podobało się jego żonie - opowiadałem. - Budynek przy West Neely Street był zaraz za rogiem i wyglądał dużo ładniej. Dlatego się tam przenieśli.

Nie miałem pojęcia, jak dokładnie sprawdzą moje zeznania, czy chronologia wydarzeń trzyma się kupy i co powie im Marina, ale to nie było ważne. Potrzebowałem tylko czasu. W miarę wiarygodne zeznania mogły mi go zapewnić, zwłaszcza że agent Hosty miał powód, by obchodzić się ze mną w rękawiczkach. Gdybym ujawnił, co wiem o jego związkach z Oswaldem, mógłby skończyć karierę, odmrażając sobie tyłek w Fargo.

- I wtedy usłyszałem coś ciekawego. To było w kwietniu. Koło Wielkanocy. Siedziałem przy stole w kuchni i pracowałem nad książką, kiedy podjechał taki elegancki wóz, chyba cadillac, i wysiadło dwoje ludzi. Mężczyzna i kobieta. Dobrze ubrani. Mieli pluszową zabawkę dla Junie. To...

Fritz:

- Wiemy, kim jest June Oswald.

- Poszli na górę i usłyszałem, jak facet, który przyjechał... miał taki jakby niemiecki akcent i tubalny głos... usłyszałem, jak powiedział: „Lee, jak mogłeś nie trafić?”.

Hosty wychylił się do przodu z oczami otwartymi najszerzej, jak to było możliwe w tej nalanej twarzy.

- Co takiego?!

- Słyszałeś mnie. Zaglądam więc do gazety i co widzę? Kilka dni wcześniej ktoś strzelił do jakiegoś emerytowanego generała. Ważnego prawicowca. Lee takich nienawdził.

- Co pan wtedy zrobił?

- Nic. Wiedziałem, że miał pistolet... któregoś dnia mi go pokazał... ale w gazecie pisali, że do Walkera strzelano z karabinu. Poza tym wtedy byłem zajęty głównie moją narzeczoną. Pytaliście, dlaczego miała w torebce nóż. Odpowiedź jest prosta: bała się. Ona też została napadnięta, tylko że nie przez pana Rotha. Zrobił to jej były mąż. Poważnie ją oszpecił.

- Widzieliśmy bliźnię - rzekł Hosty - i przykro nam z powodu tego, co ją spotkało, Amberson.

- Dziękuję. - Nie dość przykro, pomyślałem. - Nóż, który przy sobie miała, to ten sam nóż, którym pociął ją jej były... nazywał się John Clayton. Wszędzie go ze sobą nosiła. - Pomyślałem o tym, jak powiedziała: „Na wszelki wypadek”. Pomyślałem o tym, jak powiedziała: „Taki wypadek jak ten”.

Na chwilę ukryłem twarz w dłoniach. Czekali. Opuściłem ręce na kolana i mówiłem dalej matowym głosem Joego Fridaya. Fakty, szanowna pani, nic, tylko fakty.

- Zatrzymałem mieszkanie na West Neely, ale większą część lata spędziłem w Jodie, opiekując się Sadie. W zasadzie zarzuciłem pisanie książki, myślałem, żeby znowu zatrudnić się w szkole Denholm Consolidated. I wtedy nadziałem się na Akivę Rotha i jego oprychów. Wylądowałem w szpitalu. Kiedy mnie wypisali, trafiłem do ośrodka rehabilitacji Eden Fallows.

- Wiem, co to jest - powiedział Fritz. - Coś jak dom opieki.

- Tak, i Sadie była moją główną opiekunką. Ja się nią zajmowałem, gdy pociął ją mąż; ona mną, kiedy pobili mnie Roth i jego wspólnicy. Tak to się wszystko na tym świecie wyrównuje. Jest taka... swoista harmonia.

- Nic nie dzieje się bez powodu - oznajmił Hosty podniosłym tonem. Przez chwilę miałem ochotę skoczyć przez stół i obić mu ten rumiany, tłusty pysk. Jednak nie dlatego, że się mylił. Moim skromnym zdaniem rzeczywiście nic nie dzieje się bez powodu, ale czy ten powód nam się podoba? Rzadko.

- Pod koniec października doktor Perry pozwolił mi jeździć samochodem, byle niezbyt daleko. - To było wierutne kłamstwo, ale może nie pytają o to Perry'ego od razu... a jeśli postanowią zrobić ze mnie autentycznego Amerykańskiego Bohatera, może nie pytają w ogóle. - W ten wtorek pojechałem do Dallas odwiedzić mieszkanie w West Neely. Tak sobie, bez powodu. Chciałem sprawdzić, czy na jego widok powrócą jeszcze jakieś wspomnienia.

Rzeczywiście pojechałem na West Neely, tyle że po to, by zabrać kolta spod ganku.

- Potem postanowiłem zjeść lunch w Woolworth's jak za dawnych czasów. Wchodzę i kogo widzę przy kontuarze? Lee jedzącego kanapkę z tuńczykiem. Usiadłem obok i spytałem, co słyhać, i wtedy powiedział mi, że FBI prześladowuje jego i jego żonę. Odgrażał się: „Pokażę draniom, że nie ze mną te numery, George.

Jeśli będziesz oglądać telewizję w piątek po południu, może coś zobaczysz”.

- Rany boskie - powiedział Fritz. - I skojarzył to pan z wizytą prezydenta?

- Wtedy nie. Nie śledzę podróży Kennedy'ego aż tak uważnie; jestem republikaninem.

- Dwa kłamstwa za cenę jednego. - Poza tym Lee od razu przeszedł do swojego ulubionego tematu.

Hosty:

- Kuby.

- Otóż to. Nic, tylko Kuba i *viva* Fidel. Nawet nie spytał, dlaczego kuleję. Interesowały go tylko jego własne sprawy, rozumiecie? Taki już był. Kupiłem mu budyń... kurczę, w Woolworth's jest palce lizać, a kosztuje tylko ćwierć dolara... i spytałem, gdzie pracuje. Powiedział, że w Składnicy Podręczników na Elm Street. I uśmiechnął się szeroko, jakby rozładunek ciężarówek i tachanie pudeł to była najlepsza robota na świecie.

Słuchałem jego gadaniny jednym uchem, wyjaśniłem, bo bolała mnie noga i głowa też dawała się we znaki. Pojechałem do Eden Fallows i zdrzemnąłem się. Jednak po przebudzeniu przypomniał mi się ten Niemiec i jego żartobliwe pytanie: „Jak mogłeś nie trafić?”. Włączyłem telewizor i akurat mówili o wizycie prezydenta. Od tego momentu, wyjaśniłem, zacząłem się niepokoić. Przeszperałem stertę gazet w salonie, znalazłem trasę przejazdu prezydenta i zobaczyłem, że przebiega obok Składnicy Podręczników.

- Męczyło mnie to przez całą środę. - Teraz już wychylali się nad stołem, wsłuchani w każde słowo. Hosty robił notatki, nie patrząc na notes. Ciekaw byłem, czy później zdoła je odczytać. - Mówiłem sobie: Może nie żartował. A potem uspokajałem się: Nie, Lee mocny jest tylko w gębie. I tak w kółko. Wczoraj rano zadzwoniłem do Sadie, wszystko jej opowiedziałem i spytałem, co o tym sądzi. Zadzwoniła do Deke'a Simmonsa... mówiłem, że był dla niej jak ojciec... a potem do mnie. Poradziła, żebym powiedział wszystko policji.

- Nie chciałbym pogłębiać twojego bólu, synu - wtrącił Fritz - ale gdybyś to zrobił, twoja przyjaciółka teraz by żyła.

- Chwila. Nie wiecie jeszcze wszystkiego. - Ja też nie, oczywiście; duże fragmenty wymyślałem na poczekaniu. - Powiedziałem jej i Deke'owi, żeby nie mieszała do tego glin, bo gdyby Lee okazał się niewinny, miałby poważnie przechłapanie. Musicie zrozumieć, że facet ledwo wiązał koniec z końcem. Dom na Mercedes Street to rudera, mieszkanie na West Neely było tylko trochę lepsze, ale mnie to nie przeszkadzało... jestem kawalerem i miałem się czym zająć, pisałem książkę. No i odłożyłem trochę pieniędzy. Za to Lee miał piękną żonę i dwie córki, w tym jedną maleńką, tylko co się urodziła, i ledwo mógł im zapewnić dach nad głową. Nie był złym człowiekiem...

Kiedy to mówiłem, korciło mnie, żeby dotknąć nosa i sprawdzić, czy się nie wydłuży.

- ...ale był, proszę wybaczyć określenie, wyjątkowym pierdołą. Przez swoje durne poglądy wylatywał z każdej roboty. Mówił, że jak już coś znajdował, przychodziło FBI i

kopało pod nim dołki. Podobno dlatego stracił pracę przy fotowydruku.

- Gówno prawda - powiedział Hosty. - Chłopak winił wszystkich wokół za problemy, które sam sobie stwarzał. W pewnych sprawach jednak się zgadzamy, Amberson. Był wyjątkowym pierdołą i żał mi było jego żony i dzieci. Bardzo.

- Tak? Miło z twojej strony. W każdym razie miał pracę i nie chciałem, żeby stracił ją przeze mnie, gdyby się okazało, że tak tylko sobie gadał... w czym był specjalistą. Obiecałem Sadie, że jutro, to znaczy dzisiaj, pojedę do Składnicy Podręczników, żeby sprawdzić, co z nim. Chciała pojechać ze mną. Odmówiłem, bo jeśli Lee rzeczywiście odbiło i zamierzał coś zrobić, mogłoby jej grozić niebezpieczeństwo.

- Czy kiedy spotkaliście się na lunchu, zachowywał się jak ktoś, komu odbiło? - spytał Fritz.

- Nie, był spokojny i opanowany, ale taki był zawsze. - Nachyliłem się ku niemu. - Niech pan bardzo uważnie słucha tego, co teraz powiem, detektywie Fritz. Wiedziałem, że Sadie chciała pojechać ze mną bez względu na wszystko. Słyszałem to w jej głosie. Dlatego wyjechałem, nie czekając na nią. Żeby ją chronić. Na wszelki wypadek.

„Taki wypadek jak ten”, szepnęła Sadie w mojej głowie. Będzie tam żyć, dopóki znowu jej nie zobaczę na własne oczy. Przysięgłem sobie, że tak się stanie, choćby nie wiadomo co.

- Myślałem, że przenocuję w hotelu, ale wszystkie były pełne. Wtedy przypomniałem sobie o Mercedes Street. Zdałem już klucz od domu pod numerem 2706, gdzie kiedyś mieszkałem, ale nadal miałem ten od 2703, po drugiej stronie ulicy, gdzie mieszkał Lee. Dał mi go, żebym podlewał mu kwiatki.

Hosty:

- Miał kwiatki?

Wciąż skupiałem uwagę na Willu Fritzu.

- Sadie zaniepokoiła się, kiedy nie zastała mnie w Eden Fallows. Deke też. Dlatego zadzwonił na policję. Nie raz, kilka razy. Przy każdej okazji policjant, który odbierał, mówił mi, żeby nie gadał głupot, i odkładał słuchawkę. Nie wiem, czy ktoś się pofatygował, żeby zaprotokolować te rozmowy, ale spytajcie Deke'a, powie wam to samo, a nie ma powodu kłamać.

Teraz Fritz poczerwieniał.

- Żeby pan wiedział, ile dostaliśmy grózb...

- Nie wątpię. A ludzi macie tylu, ilu macie. Proszę mi tylko nie wmawiać, że gdybyśmy zadzwonili na policję, Sadie wciąż by żyła. Proszę mi tego nie wmawiać, dobrze?

Milczał.

- Jak pana znalazła? - spytał Hosty.

Co do tego nie musiałem kłamać i nie kłamałem. Potem jednak zapytają o podróż z Mercedes Street w Fort Worth do Składnicy Podręczników w Dallas. Ten fragment mojej opowieści był najbardziej najeżony niebezpieczeństwami. Nie przejmowałem się kowbojem ze studebakera; Sadie zraniła go, ale dopiero gdy próbował ukraść jej torebkę. Samochód i tak był na ostatnich nogach i coś czułem, że kowboj może nawet nie zgłosić jego kradzieży. Oczywiście, ukradliśmy jeszcze jeden wóz, ale biorąc pod uwagę, jak ważne pobudki nami kierowały, raczej na pewno nie postawią mi zarzutu w tej sprawie. Prasa by ich rozszarpała, gdyby spróbowali. Najbardziej martwił mnie czerwony chevrolet, ten z płetwami jak kobiece brwi. Bagażnik z dwiema walizkami dałoby się wytłumaczyć; bądź co bądź, spędziliśmy niejeden gorący weekend w Candlewood Bungalows. Gdyby jednak zajrzeli do zeszytu Ala Templetona... nawet nie chciałem o tym myśleć.

Ktoś nieśmiało zapukał do drzwi pokoju przesłuchań i jeden z policjantów, którzy przywieźli mnie na komendę, wsadził głowę do środka. Za kierownicą radiowozu i w czasie, kiedy razem z kumplem przeszukiwali moje rzeczy osobiste, miał kamienną, groźną twarz gliny z filmu kryminalnego. Teraz, niepewny siebie, z wytrzeszczonymi z podniecenia oczami, wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia trzy lata i zauważyłem, że jeszcze zмага się z resztkami trądziku młodzieńczego. Za jego plecami widziałem tłum ludzi - część w mundurach, część bez - którzy wyciągali szyje, żeby mnie zobaczyć. Fritz i Hosty niecierpliwie odwrócili się do intruza.

- Panowie, przepraszam, że przeszkadzam, ale jest telefon do pana Ambersona.

Rumieniec powrócił na obwisłe policzki Hosty'ego z pełną mocą.

- Synu, my tu prowadzimy przesłuchanie. Niechby nawet dzwonił prezydent Stanów Zjednoczonych, nic mnie to nie obchodzi.

Policjant przełknął ślinę, jego jabłko Adama skoczyło w górę i w dół jak małpa na kiju.

- Hm, panowie... dzwoni właśnie prezydent.

A jednak to ich obchodziło.

7

Zaprowadzili mnie korytarzem do gabinetu komendanta Curry'ego. Fritz trzymał mnie pod jedno ramię, Hosty pod drugie. Dzięki temu, że wzięli dużą część mojego ciężaru na

siebie, prawie nie kulałem. Byli reporterzy, kamery telewizyjne i wielkie reflektory, które podnosiły temperaturę do chyba czterdziestu stopni. Wszyscy ci ludzie - stojący szczebel wyżej niż paparazzi - nie mieli prawa przebywać na komendzie po próbie zamachu, ale ich obecność mnie nie dziwiła. Na innej linii czasu wpakowali się do środka po aresztowaniu Oswalda i nikt ich nie wyrzucił. Chyba nikt tego nawet nie zasugerował.

Hosty i Fritz przebijali się przez ścisk z kamiennymi twarzami. Ze wszystkich stron padały pytania, do nich i do mnie. Hosty krzyknął:

- Pan Amberson wyda oświadczenie po złożeniu pełnych wyjaśnień!

- Czyli kiedy?! - odkrzyknął ktoś.

- Jutro, pojutrze, może za tydzień!

Rozległy się jęki. To wywołało u Hosty'ego uśmiech.

- Może za miesiąc. Na razie prezydent Kennedy prosi go do telefonu, więc cofnijcie się!

Cofnęli się, trajkocząc jak sroki.

Jedynym urządzeniem chłodzącym w gabinecie komendanta Curry'ego był wentylator na regale z książkami, ale po pokoju przesłuchań i medialnej mikrofalówce na korytarzu podmuch przynosił błogosławioną ulgę. Na biurku leżała duża czarna słuchawka telefoniczna. Obok niej spoczywała teczka z nazwiskiem LEE H. OSWALD wypisanym drukowanymi literami na zakładce indeksującej. Była cienka.

Podniosłem słuchawkę.

- Halo?

Nosowy głos z akcentem z Nowej Anglii, który odpowiedział, przyprawił mnie o zimny dreszcz. Gdyby nie Sadie i ja, ten człowiek teraz leżałby na stole w kostnicy.

- Pan Amberson? Tu Jack Kennedy. Z tego, co... aaa... mi powiedziano, moja żona i ja zawdzięczamy panu... aaa... nasze życie. Słyszałem też, że stracił pan kogoś bardzo bliskiego.

- Mówił z akcentem, którego osłuchałem się w latach dzieciństwa.

- Nazywała się Sadie Dunhill, panie prezydencie. Oswald ją zastrzelił. Gdyby tego nie zrobił, wyszarpałaby mu oczy.

- Bardzo panu... aaa... współczuję, panie Amberson. Mogę panu mówić... aaa... George?

- Proszę bardzo. - Myślałem: To nie dzieje się naprawdę. To sen.

- Z całego kraju napłyną najserdeczniejsze podziękowania dla niej... i kondolencje dla ciebie, jestem tego pewien. Pozwól, że ja... aaa... złożę je pierwszy.

- Dziękuję, panie prezydencie. - Ścisnęło mi się gardło i ledwo mogłem mówić

głośniej od szeptu. Widziałem jej oczy, tak jasne kiedy umierała w moich ramionach. „Jake, aleśmy tańczyli”. Czy prezydentów obchodzą takie rzeczy? Czy w ogóle o nich wiedzą? Może ci najlepsi. Może dlatego pełnią służbę.

- Jest... aaa... jeszcze ktoś, kto chce ci podziękować, George. Żony nie ma w tej chwili ze mną, ale... aaa... planuje wieczorem do ciebie zadzwonić.

- Panie prezydencie, nie jestem pewien, gdzie wieczorem będę.

- Znajdzie cię. Jest bardzo... aaa... zdeterminowana, kiedy chce komuś podziękować.

A teraz powiedz mi, George, jak się czujesz?

Powiedziałem, że dobrze, co było nieprawdą. Obiecał, że wkrótce spotkamy się w Białym Domu, i podziękowałem mu, choć sądziłem, że żadnej wizyty w Białym Domu nie będzie. Przez całą tę nierzeczywistą rozmowę, podczas gdy wentylator dmuchał w moją spoconą twarz, a matowa szyba w drzwiach komendanta Curry'ego jarzyła się nadprzyrodzonym światłem reflektorów telewizyjnych na zewnątrz, dwa słowa huczały mi w mózgu.

Jestem bezpieczny. Jestem bezpieczny. Jestem bezpieczny.

Prezydent Stanów Zjednoczonych zadzwonił z Austin, żeby podziękować mi za ocalenie mu życia, i byłem bezpieczny. Mogłem zrobić to, co konieczne.

8

Pięć minut po zakończeniu mojej surrealistycznej rozmowy z Johnem Fitzgeraldem Kennedym Hosty i Fritz zaprowadzili mnie tylnymi schodami na podziemny parking, gdzie w innym świecie Oswalda zastrzelił Jack Ruby. Wówczas zebrał się tam tłum oczekujący na przewiezienie zabójcy do więzienia okręgowego. Teraz było tak pusto, że nasze kroki odbijały się echem. Moi opiekunowie zawieźli mnie do hotelu Adolphus, gdzie, co wcale mnie nie zaskoczyło, trafiłem do tego samego pokoju, który zająłem, kiedy pierwszy raz przyjechałem do Dallas. Wszystko kiedyś wraca do punktu wyjścia, jak mówią, i choć nigdy nie zdołałem ustalić, jacyż to tajemniczy mędrcy tak mówią, na pewno przynajmniej w przypadku podróży w czasie mają w tym względzie rację.

Fritz mi powiedział, że policjanci rozstawieni na korytarzu i na dole, w holu głównym, są tam tylko po to, żeby mnie chronić i nie dopuszczać do mnie prasy. (Jasne). Potem podał mi rękę. Agent Hosty też uściśnął moją dłoń i kiedy to zrobił, poczułem, że wsuwa mi do ręki złożony kawałek papieru.

- Niech pan trochę odpocznie - powiedział. - Zasłużył pan.

Kiedy poszli, rozłożyłem mały kwadracik. To była kartka z jego notesu. Napisał trzy zdania, pewnie wtedy, kiedy rozmawiałem przez telefon z Jackiem Kennedym.

Telefon jest na podsłuchu. Przyjdę o 21.00. Spal to, popiół spuść z wodą.

Spaliłem wiadomość, tak jak Sadie spaliła moją, po czym podniosłem słuchawkę telefonu i odkręciłem mikrofon. W środku, przyczepiony do kabli, był mały niebieski walec. Zauważyłem z rozbawieniem, że napisy na nim były po japońsku - to przypomniało mi mojego starego kumpla Cichego Mike'a.

Odczepiłem go, schowałem do kieszeni, przykręciłem mikrofon z powrotem i wybrałem zero. Kiedy podałem nazwisko, telefonistka długo się nie odzywała. Już miałem odłożyć słuchawkę i spróbować znowu, gdy nagle rozplakała się i zaczęła mi nieskładnie dziękować za uratowanie prezydenta. Jeśli tylko może coś dla mnie zrobić, powiedziała, jeśli ktokolwiek w hotelu może coś dla mnie zrobić, wystarczy, że zadzwonię, na imię jej Marie, zrobi wszystko, żeby okazać wdzięczność.

- Na początek proszę mnie połączyć z Jodie - powiedziałem i podałem jej numer Deke'a.

- Oczywiście, panie Amberson. Niech Bóg pana błogosławi. Już łączę.

Telefon zaburczał dwa razy i odebrał Deke. Głos miał gruby, jak od ciężkiego przeziębienia.

- Jeśli to znowu jakiś cholerny reporter...

- Nie, Deke, to ja, George. - Zawiesiłem głos. - Jake.

- Och, Jake - powiedział żałośnie i teraz on się rozplakał. Czekałem, ściskając słuchawkę tak mocno, że ręka mnie rozboleła. Ćmiło mnie w skroniach. Dzień dogasał, ale światło wpadające przez okna wciąż raziło moje oczy. W oddali usłyszałem pomruk burzy. W końcu Deke powiedział: - Wszystko u ciebie w porządku?

- Tak. Ale Sadie...

- Wiem. Mówili w wiadomościach. Usłyszałem to w drodze do Fort Worth.

A zatem kobieta z wózkiem i kierowca samochodu pomocy drogowej ze stacji Esso zrobili to, na co liczyłem. Dzięki Bogu. Nie żeby miało to dla mnie wielkie znaczenie, kiedy siedziałem i słuchałem, jak zrozpaczony stary człowiek usiłuje opanować łzy.

- Deke... winisz mnie za to? Zrozumiem.

- Nie - powiedział wreszcie. - Ellie też nie. Kiedy Sadie coś sobie postanowiła, doprowadzała to do końca. A jeśli rzeczywiście byłeś na Mercedes Street w Fort Worth, to ja

powiedziałem jej, jak cię znaleźć.

- Tak, byłem tam.

- Czy ten sukinsyn ją zastrzelił? Tak mówią w wiadomościach.

- Tak. Chciał zastrzelić mnie, ale moja chora noga... przewróciłem się. A Sadie była tuż za mną.

- Chryste. - Jego głos stał się trochę mocniejszy. - Ale umarła w słusznej sprawie. Tego się będę trzymał. Ty też musisz.

- Bez niej nigdy bym tam nie dotarł. Gdybyś mógł ją zobaczyć... jaka była zdeterminowana... jak dzielna...

- Chryste - powtórzył i westchnął. Wydawał się stary, bardzo stary. - To wszystko była prawda. Wszystko, co mówiłeś. I wszystko, co Sadie mówiła o tobie. Ty naprawdę jesteś z przeszłości, zgadza się?

Ależ byłem zadowolony, że pluskwa tkwiła w mojej kieszeni. Nie sądziłem, by mieli dość czasu na zamontowanie urządzeń podsłuchowych w pokoju, ale na wszelki wypadek osłoniłem mikrofon dłoni i zniżyłem głos.

- Ani słowa o tym policji i dziennikarzom.

- Broń Boże! - Obruszył się na samą myśl. - Już nigdy nie zaznał byś wolności!

- Zabrałeś nasze rzeczy z bagażnika chevy? Nawet po...

- Pewnie. Wiedziałem, że to ważne, bo jak tylko usłyszałem, co się stało, zdałem sobie sprawę, że będą cię podejrzewać.

- Myślę, że sobie poradzę - powiedziałem - ale musisz otworzyć moją aktówkę i... masz piec do spalania śmieci?

- Tak, za garażem.

- W aktówce jest niebieski zeszyt. Wsadź go do pieca i spal. Zrobisz to dla mnie?

- Tak. Jake, bardzo ci współczuję, że ją straciłeś.

- A ja wam. Tobie i Ellie.

- To nie jest uczciwa wymiana! - wybuchnął. - Nie obchodzi mnie, że jest prezydentem, to nie jest uczciwa wymiana!

- Nie - przyznałem - nie jest uczciwa. Ale, Deke... nie chodziło tylko o prezydenta. Chodziło o wszystkie nieszczęścia, które by się wydarzyły, gdyby zginął.

- Co do tego będę ci musiał uwierzyć na słowo. Ale to trudne.

- Wiem.

Czy zorganizują ku pamięci Sadie taką akademię, jaką urządzili dla pani Mimi? Oczywiście. Stacje telewizyjne wyślą ekipy z kamerami i w całej Ameryce nie będzie jednego

suchego oka. Kiedy jednak program się skończy, Sadie wciąż będzie martwa.

Chyba że to zmienię. To znaczyło, że będę musiał przejść przez to wszystko raz jeszcze, ale dla Sadie gotów byłem to zrobić. Nawet gdyby miała spojrzeć na mnie na przyjęciu, na którym ją poznałem, i uznać, że jestem dla niej za stary (choć zrobiłbym wszystko, żeby ją skłonić do zmiany zdania). No i był jeden plus: teraz, kiedy wiedziałem, że Lee naprawdę działał w pojedynkę, nie będę musiał tak długo zwlekać z wysłaniem go na tamten świat.

- Jake? Jesteś tam?

- Tak. I pamiętaj, żeby mówić o mnie per George, dobrze?

- Bez obaw. Może i jestem stary, ale mózg nadal nieźle mi działa. Zobaczą cię jeszcze?

Nie, jeśli agent Hosty powie mi to, co chcę usłyszeć, pomyślałem.

- Jeśli nie, to będzie znaczyć, że wszystko się dobrze ułożyło.

- W porządku. Jake, czy ona... czy na koniec coś powiedziała?

Nie zamierzałem zdradzić mu jej ostatnich słów, były zbyt osobiste, ale coś mogłem mu dać. Przekazuje to Ellie, a ona wszystkim przyjaciółom Sadie z Jodie. Miała ich wielu.

- Spytała, czy prezydent jest bezpieczny. Kiedy powiedziałem, że tak, zamknęła oczy i odeszła.

Deke znów się rozplakał. Moja twarz pulsowała. Łzy przyniosłyby ulgę, ale oczy miałem suche jak kamienie.

- Żegnaj - powiedziałem. - Żegnaj, stary przyjacielu. Delikatnie odłożyłem słuchawkę i długo siedziałem w bezruchu, patrząc na sączące się przez okno czerwone światło zachodzącego słońca. „Niebo o zachodzie czerwone, marynarzy nadzieje spełnione”, jak powiada stare porzekadło... ale znowu usłyszałem pomruk gromu. Pięć minut później, kiedy wziętem się w garść, podniosłem słuchawkę odpluskwionego telefonu i znów wybrałem zero. Powiedziałem Marie, że teraz się położę, i zamówiłem budzenie na ósmą wieczorem. Poprosiłem też, żeby do tego czasu nikt mnie nie niepokoił.

- Och, to już załatwione - powiedziała z ożywieniem. - Komendant kazał, żeby nikogo z panem nie łączyć. - Jej głos obniżył się o rejestr. - Czy on był szalony, panie Amberson? To znaczy, na pewno był, ale czy na takiego wyglądał?

Przypomniałem sobie ten demoniczny grymas.

- O tak - potwierdziłem. - Zdecydowanie. Budzenie o ósmej, Marie. Do tego czasu żadnych telefonów.

Odłożyłem słuchawkę, zanim mogła powiedzieć coś jeszcze. Zdjąłem buty (ściągnięcie

lewego było procesem powolnym i bolesnym), położyłem się i zasłoniłem oczy ramieniem. Zobaczyłem Sadie tańczącą madisona. Zobaczyłem Sadie mówiącą mi: „Wejdz, miły panie, czy lubisz keks?”. Zobaczyłem ją w moich ramionach, jej jasne umierające oczy podniesione ku mojej twarzy.

Pomyślałem o króliczej norze i o tym, że przy każdym jej użyciu następuje pełny reset.

Wreszcie zasnąłem.

9

Hosty zapukał punktualnie o dziewiątej. Otworzyłem i niespiesznie wszedł do środka. W jednej dłoni miał aktówkę (ale nie moją, więc wszystko wciąż było w porządku). W drugiej niósł butelkę szampana, dobrego, Moët et Chandon, z czerwono-biało-niebieską wstążką zawiązaną na szyjce. Wyglądał na straszliwie zmęczonego.

Zamknął drzwi, po czym wskazał na telefon. Wyjąłem pluskwę z kieszeni i pokazałem mu. Kiwnął głową.

- Innych nie ma? - spytałem.

- Nie. To pluskwa policji z Dallas, a śledztwo przejęliśmy my. Na polecenie samego Hoovera. Jeśli ktoś spyta o podsłuch w telefonie, sam go znalazłeś.

- Zgoda.

Podniósł szampana.

- Z pozdrowieniami od dyrekcji. Nalegali, żebym ci to przyniósł. Wypijesz toast za prezydenta Stanów Zjednoczonych?

Zważywszy, że moja piękna Sadie teraz leżała na stole w kostnicy okręgowej, nie chciałem pić toastu za nic. Wygrałem i wygrana miała smak piotunu.

- Nie.

- Ja też nie, ale cholernie się cieszę, że żyje. Powiedzieć ci coś w tajemnicy?

- Pewnie.

- Głosowałem na niego. Możliwe, że jako jedyny agent Biura.

Nie odpowiedziałem.

Usadowił się w jednym z dwóch foteli w pokoju i wydał przeciągłe westchnienie ulgi. Aktówkę postawił między nogami. Obrócił butelkę, żeby przeczytać etykietę.

- Pięćdziesiąty ósmy. Miłośnicy wina pewnie wiedzieliby, czy to dobry rocznik, ale ja raczej preferuję piwo.

- Ja też.

- To polecam Lone Star. Mają dla ciebie na dole całą skrzynkę i oprawiony list obiecujący ci jedną skrzynkę miesięcznie do końca życia. Jest też szampan. Widziałem kilkanaście butelek. Przyszli je wszyscy, od Izby Handlowej po Izbę Turystyczną. Masz kolorowy telewizor Zenith, jeszcze nierozpakowany, szczerozłoty sygnet z wizerunkiem prezydenta od zakładu jubilerskiego Calloway's Fine Jewelry, kupon na trzy nowe garnitury z Dallas Menswear i różne inne prezenty, włącznie z kluczem do miasta. Dyrekcja udostępniła pokój na parterze na twoje łupy i coś czuję, że rano będą musieli udostępnić następny. No i jedzenie! Ludzie przynoszą ciasta, placki, zapiekanki, pieczenie wołowe, pieczone kurczaki i dość meksykańskiego żarcia na pięć lat biegunki. Nie wpuszczamy ich i bardzo niechętnie odchodzą, mówię ci. Przed hotelem warują kobiety, które... cóż, poprzestańmy na tym, że sam Jack Kennedy byłby zazdrosny, a to legendarny jebaka. Gdybyś wiedział, co dyrektor Biura ma w aktach na temat jego życia seksualnego, nie uwierzyłbyś.

- Zdziwiłbyś się, w co jestem skłonny uwierzyć.

- Dallas cię kocha, Amberson. Diabła tam, cały kraj cię kocha. - Zaśmiał się. Śmiech przeszedł w kaszel. Kiedy minął, Hosty zapalił papierosa. Potem spojrzął na zegarek. - Na dziewięć zero siedem czasu centralnego wieczorem dwudziestego drugiego listopada 1963 roku jesteś złotym chłopcem Ameryki.

- A ty, Hosty? Ty mnie kochasz? A dyrektor Hoover?

Po jednym zaciągnięciu odłożył papierosa do popielniczki, po czym wychylił się do przodu i przygwoździł mnie wzrokiem. Oczy miał głęboko osadzone w fałdach skóry i zmęczone, a mimo to bardzo bystre i przytomne.

- Spójrz na mnie, Amberson. Prosto w oczy. I powiedz mi, czy byłeś w zмовie z Oswaldem, czy nie. I niech to będzie prawda, bo kłamstwo rozpoznam.

Zważywszy na jego nieudolne postępowanie z Oswaldem, nie wierzyłem w to, ale wierzyłem, że sam w to wierzy.

- Nie byłem z nim w zмовie.

Przez chwilę milczał. Potem westchnął, opadł na oparcie i sięgnął po papierosa.

- Nie. Nie byłeś. - Wypuścił dym nozdrzami. - W takim razie dla kogo pracujesz? Dla CIA? Może dla Rosjan? Jakoś sobie tego nie wyobrażam, ale dyrektor sądzi, że Rosjanie bez skrupułów spaliliby głęboko zakamuflowanego szpiega, żeby nie dopuścić do zamachu, który mógłby wywołać międzynarodowy incydent. Może nawet trzecią wojnę światową. Zwłaszcza gdyby ludzie dowiedzieli się o pobycie Oswalda w Rosji. - Wymówił to „R-łosji”, jak teleewangelista Hargis w swoich programach. Może wydawało mu się to zabawne.

- Nie pracuję dla nikogo. Jestem zwykłym człowiekiem, Hosty.

Wskazał na mnie papierosem.

- Skoro już o tym mowa. - Rozpiął aktówkę i wyjął teczkę jeszcze cieńszą niż ta Oswalda, którą wypatrzyłem w gabinecie Curry'ego. To musiały być moje akta i na pewno z czasem pogrubieją... ale nie tak szybko, jak stałoby się to w skomputeryzowanym dwudziestym pierwszym wieku.

- Przed Dallas byłeś na Florydzie. W mieście Sunset Point.

- Tak.

- Uczylesz na zastępstwach w szkołach w Sarasocie.

- Zgadza się.

- Przedtem, jak przypuszczamy, spędziłeś trochę czasu w... Derren? Derren w stanie Maine?

- Derry.

- I co konkretnie tam robiłeś?

- Zacząłem pisać książkę.

- Uhm, a przedtem?

- Raz to, raz tamto.

- Jak dużo wiesz o moich kontaktach z Oswaldem?

Milczałem.

- Nie krępuj się. To zostanie między nami, dziewczynkami.

- Dość dużo, żeby narobić kłopotów tobie i twojemu szefowi.

- Chyba że...?

- Ujmę to tak. Ilość kłopotów, których ci narobię, będzie wprost proporcjonalna do ilości kłopotów, których ty narobisz mnie.

- Czy byłbym bliski prawdy, mówiąc, że w ramach sprawiania kłopotów wymyślałbyś fakty, których nie jesteś absolutnie pewien... ze szkodą dla nas?

Milczałem.

Powiedział, jakby do siebie:

- Nie dziwię się, że piszesz książkę. Powinieneś być przy tym zostać, Amberson. To pewnie byłby bestseller, bo świetnie potrafisz zmyślać, to ci muszę przyznać. Dziś po południu byłeś dość wiarygodny. I wiesz rzeczy, których nie masz prawa wiedzieć, co każe nam sądzić, że jednak nie jesteś tylko zwykłym obywatelem. Powiedzże, kto cię nasłał. Angleton z Firmy? To on, prawda? Chytry drań, ten miłośnik róż.

- Jestem po prostu sobą. I pewnie nie wiem tyle, ile wam się wydaje. Ale tak, wiem

dość dużo, by zepsuć wizerunek Biura. Na przykład słyszałem od Lee, że powiedział ci wprost, że zamierza zabić Kennedy'ego.

Hosty zgasił papierosa tak energicznie, że z popielniczki strzeliła fontanna iskier. Niektóre wylądowały mu na grzbiecie dłoni, ale chyba nawet tego nie poczuł.

- Kurwa mać, to kłamstwo!

- Wiem. I powiem je z kamienną twarzą. Jeśli mnie do tego zmusisz. Padł już pomysł, żeby mnie zlikwidować, Hosty?

- Daruj sobie te komiksowe bzdety. Nie zabijamy ludzi.

- Powiedz to braciom Diem.

Patrzył na mnie tak, jak patrzy się na z pozoru niegroźną mysz, która nagle ugryzła. I to wielkimi kłami.

- Skąd wiesz, że Ameryka miała cokolwiek wspólnego z braćmi Diem? Z tego, co czytałem w prasie, mamy czyste ręce.

- Mniejsza o to. Nie zmieniajmy tematu. Sęk w tym, że w tej chwili jestem zbyt popularny, żeby mnie zabić. A może się mylę?

- Nikt nie chce cię zabić, Amberson. I nikt nie chce szukać dziur w twoich zeznaniach.

- Szczeknął pozbawionym wesołości śmiechem. - Gdybyśmy zaczęli, zaraz by się spruły. Takie są liche.

- „Fantazjowanie na poczekaniu było jej specjalnością” - zacytowałem.

- He?

- H.H. Munro. Znany też jako Saki. Opowiadanie „Otwarte okno”. Polecam. Bardzo pouczające, jeśli chodzi o sztukę tworzenia bajek na poczekaniu.

Zmierzył mnie zaniepokojonym spojrzeniem tych jego przenikliwych małych oczu.

- Zupełnie cię nie rozumiem. To mnie martwi. - Na zachodzie, gdzieś pod Midland, gdzie szyby naftowe dudnią bez ustanku, a pochodnie gazowe przyćmiewają gwiazdy, znów zagrzmiało.

- Czego ode mnie chcesz? - spytałem. Wreszcie, po wymianie ciosów na rozgrzewkę, przechodziliśmy do konkretów.

- Myślę, że gdybyśmy sprawdzili, co robiłeś, zanim przyjechałeś do Derren, Derry czy jak mu tam, nie znaleźlibyśmy nic. Jakbyś pojawił się znikąd.

To było tak bliskie prawdy, że prawie dech mi zaparło.

- Chcemy, żebyś wrócił donikąd, z którego przybyłeś. Brukowce będą snuć zwykłe paskudne spekulacje i teorie spiskowe, ale możemy ci zagwarantować, że wyjdiesz z tego czysty jak łąza. Jeśli w ogóle przywiązujesz do tego wagę, oczywiście. Marina Oswald

potwierdzi twoje zeznania od początku do końca.

- Rozumiem, że już z nią rozmawialiście.

- Dobrze rozumiesz. Wie, że ją deportujemy, jeśli nie pójdzie nam na rękę. Dżentelmeni z prasy nie zdołali ci się dobrze przyjrzeć; zdjęcia, które ukażą się w jutrzejszych gazetach, będą niewyraźne.

Wiedziałem, że to prawda. Przed obiektywami aparatów wystąpiłem tylko w czasie krótkiego przejścia korytarzem do gabinetu komendanta Curry'ego, a wtedy Fritz i Hosty, potężni mężczyźni, trzymali mnie pod ramiona, zasłaniając fotografom widok. No i miałem spuszczoną głowę, bo lampy mnie oślepiły. W Jodie było wiele moich zdjęć - nawet portretowe w księdze pamiątkowej z roku szkolnego, kiedy uczyłem tam na etacie - ale w tej epoce, gdy nie znano jeszcze JPG-ów ani nawet faksów, znajdują je i opublikują najwcześniej we wtorek lub w środę.

- Teraz ja opowiem ci historię - powiedział Hosty. - Lubisz historie, prawda? Takie jak to „Otwarte okno”?

- Uczę angielskiego. Uwielbiam dobre historie.

- Ten jegomość, George Amberson, jest tak przytłoczony rozpaczą po stracie swojej sympatii...

- Narzeczonej.

- Narzeczonej, jasne. Jest tak zdruzgotany, że macha na wszystko ręką i po prostu znika. Nie chce rozgłosu, darmowego szampana, orderów od prezydenta i uroczystych parad. Chce od tego uciec i przeżywać żałobę w ciszy i spokoju. Amerykanie uwielbiają takie historie. Widzą je na co dzień w telewizji. Ta ma tytuł „Skromny bohater”. Pewien agent FBI skłonny jest potwierdzić każde jej słowo i nawet odczytać pozostawione przez ciebie oświadczenie. No i jak ci się to podoba?

Podobało mi się jak manna z nieba, ale zachowałem pokerową twarz.

- Widzę, że jesteście bardzo pewni tego, że potrafię zniknąć.

- Jesteśmy pewni.

- I nie zniknę na polecenie twojego szefa na dnie rzeki Trinity?

- Nic z tych rzeczy. - Uśmiechnął się. To miało mi dodać otuchy, ale zamiast tego przypomniało mi stary tekst z moich młodzieńczych lat: „Bez obaw, nie zajdziesz w ciążę, przechodziłem świnę, kiedy miałem czternaście lat”.

- Bo być może mam jeszcze pewną polisę ubezpieczeniową, agencie Hosty.

Drgnęła mu powieka. To była jedyna oznaka, że moje słowa go zaniepokoiły.

- Uważamy, że potrafisz zniknąć, bo sądzimy, że... że po wyjeździe z Dallas będziesz

mógł liczyć na czyjąś pomoc, tak to nazwijmy.

- Żadnej konferencji prasowej?

- To ostatnie, czego byśmy chcieli.

Znowu otworzył aktówkę. Wyjął z niej żółty notes. Podał mi go razem z długopisem, który wyciągnął z kieszeni na piersi.

- Napisz mi list, Amberson. Fritz i ja znajdziemy go jutro rano, kiedy przyjdziemy po ciebie, ale możesz go zaadresować „Do wszystkich zainteresowanych”. I postaraj się, żeby był dobry. Żeby był genialny. Poradzisz sobie, prawda?

- Jasne - powiedziałem. - Fantazjowanie na poczekaniu to moja specjalność.

Uśmiechnął się bez humoru i podniósł butelkę szampana.

- Może skosztuję tego, kiedy ty będziesz fantazjował. Ale tobie nie dam nawet łyżeczka. Przed tobą pracowita noc.

10

Pisałem starannie, ale nie zajęło mi dużo czasu. Uznałem, że w takim przypadku jak ten (nie żeby w dziejach świata kiedykolwiek zdarzył się przypadek dokładnie taki jak ten) krótsze jest lepsze. Kierowałem się pomysłem Hosty'ego na skromnego bohatera. Bardzo byłem zadowolony, że wcześniej miałem okazję kilka godzin się zdrzemnąć. Odpoczynek co prawda zakłócały złowieszcze sny, ale przynajmniej teraz względnie jasno mi się myślało.

Kiedy skończyłem, Hosty pił trzecią lampkę szampana. Wyjął kilka rzeczy z aktówki i położył je na stoliku. Podałem mu notes i zaczął czytać, co napisałem. Na dworze znów zagrzmiało i błyskawica rozdarła nocne niebo, ale zdawało się, że burza jest jeszcze daleko.

Podczas gdy czytał, obejrzałem rzeczy na stoliku. Był tam mój timex, jedyny przedmiot, którego z jakiegoś powodu nie oddano mi razem z resztą rzeczy osobistych, kiedy opuszczaliśmy komendę. Były rogowe okulary. Przymierzyłem je. Soczewki były ze zwykłego szkła. Był klucz bez ząbków. Koperta zawierająca na oko jakiś tysiąc dolarów w używanych dwudziestkach i pięćdziesiątkach. Siatka na włosy. I biały dwuczęściowy uniform - spodnie i fartuch. Bawełniana tkanina wyglądała tak lichy, jak liche według Hosty'ego były moje zeznania.

- Dobry ten list - powiedział Hosty, odkładając notes. - Bije z niego smutek, jakby napisał go Richard Kimball ze „Ściganego”. Oglądasz to?

Oglądałem wersję kinową z Tommym Lee Jonesem, ale wydawało się, że nie pora o tym wspominać.

- Nie.

- Będziesz ścigany, owszem, ale tylko przez prasę i amerykańską opinię publiczną, która chce wiedzieć o tobie wszystko, od tego, jaki sok pijesz na śniadanie, po rozmiar twoich gaci. Interesujesz ludzi, Amberson, ale nie policję. Nie zastrzeliłeś swojej sympatii; nie zastrzeliłeś nawet Oswalda.

- Próbowałem. Gdybym nie chybił, dziś by żyła.

- Ja bym się za to przesadnie nie winił. To było duże pomieszczenie, a trzydziestkaósemka z daleka strzela niezbyt celnie.

To prawda. Trzeba się było zbliżyć na pięć metrów. Uprzedzono mnie o tym, i to nieraz. Jednak nie powiedziałem tego na głos. Sądziłem, że moja krótka znajomość z agentem specjalnym Jamesem Hostym dobiega końca. Prawdę mówiąc, już nie mogłem się tego doczekać.

- Jesteś czysty. Musisz tylko dostać się gdzieś, skąd twoi ludzie będą cię mogli zabrać do szpiegowskiej Nibylandii. Poradzisz sobie?

W moim przypadku Nibylandia była króliczą norą, która przeniesie mnie czterdzieści osiem lat w przyszłość. O ile królicza nora jeszcze tam będzie.

- Tak myślę.

- I oby tak było, bo jeśli spróbujesz nam zaszkodzić, srodze się to na tobie zemści. Pan Hoover... poprzestańmy na tym, że dyrektor nie jest człowiekiem litościwym.

- Powiedz, jak mam się wydostać z hotelu.

- Włóżysz ten strój kucharza, okulary i siatkę na włosy. Klucz jest od windy służbowej. Ona zabierze cię na poziom B-1. Przejdiesz przez kuchnię i wyjdiesz tylnymi drzwiami. Nadążasz?

- Tak.

- Za drzwiami będzie czekał samochód Biura. Wsiądziesz na tył. Nie będziesz rozmawiał z kierowcą. To nie jest wynajęta limuzyna. Zawiezie cię na dworzec autobusowy. Kierowca da ci do wyboru trzy bilety: do Tamy na jedenastą czterdzieści, do Little Rock na jedenastą pięćdziesiąt i do Albuquerque na dwadzieścia po północy. Nie interesuje mnie, który wybierzesz. Ty musisz tylko wiedzieć, że na tym nasze kontakty się kończą. Od tej pory sam będziesz się musiał postarać o to, by pozostać niewidoczny. Ty i ludzie, dla których pracujesz, oczywiście.

- Oczywiście.

Zadzwoił telefon.

- Jeśli to jakiś cwany reporter, który znalazł sposób, żeby się do ciebie dodzwonić,

spław go - powiedział Hosty. - I jeśli wspomnisz choć słowem, że tu jestem, gardło ci poderżnę.

Zastanawiałem się, czy to żart. Nie byłem do końca pewien. Podniosłem słuchawkę.

- Nie wiem, kto mówi, ale jestem potwornie zmęczony, więc...

Lekko chropawy głos na drugim końcu zapewnił, że nie zabierze mi dużo czasu. Powiedziałem bezgłośnie do Hosty'ego: „Jackie Kennedy”. Skinął głową i nalał sobie jeszcze trochę mojego szampana. Odwróciłem się, jakbym pokazując Hosty'emu plecy, miał mu uniemożliwić podsłuchiwanie rozmowy.

- Pani Kennedy, naprawdę nie musiała pani dzwonić, ale to dla mnie zaszczyt, że mogę z panią rozmawiać.

- Chciałam panu podziękować za to, co pan zrobił. Wiem, że mój mąż już dziękował w naszym imieniu, ale... panie Amberson... - Pierwsza Dama się rozplakała. - Ja chciałam podziękować w imieniu naszych dzieci, które mogły dziś powiedzieć rodzicom przez telefon dobranoc.

Carolyn i John-John. Do tej chwili nawet o nich nie pomyślałem.

- Pani Kennedy, nie musi mi pani dziękować.

- Słyszałam, że młoda kobieta, która zginęła, miała zostać pańską żoną.

- To prawda.

- Musi pan być zrozpaczony. Zechce pan przyjąć moje kondolencje... to nie wystarczy, wiem, ale nic innego nie mogę panu dać.

- Dziękuję.

- Gdybym mogła to zmienić... w jakiś sposób cofnąć czas...

Nie, pomyślałem. To moje zadanie, pani Jackie.

- Rozumiem. Dziękuję.

Jeszcze trochę porozmawialiśmy. Ta rozmowa była dużo trudniejsza od tej z Kennedym na komendzie. Po części dlatego, że tamta wydawała mi się snem, a ta nie, głównie jednak chyba za sprawą strachu wciąż słyszalnego w głosie Jacqueline Kennedy. Zdawała się w pełni rozumieć, że cudem uniknęli nieszczęścia. U prezydenta tego nie wyczulem. Sprawiał wrażenie przekonanego, że jest dzieckiem szczęścia, wybrańcem bogów, może nawet nieśmiertelnym. Pamiętam, że pod koniec rozmowy poprosiłem ją, żeby do końca kadencji nie pozwalała mężowi jeździć w odkrytych samochodach.

Powiedziała, że mam to jak w banku, i jeszcze raz mi podziękowała. Ja znowu odparłem, że nie trzeba, i odłożyłem słuchawkę. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że mam cały pokój dla siebie. Hosty wyszedł w którymś momencie mojej rozmowy z Jacqueline

Kennedy. Zostały po nim tylko dwa niedopałki w popielniczce, niedopity kieliszek szampana i jeszcze jedna nabazgrana wiadomość, leżąca obok żółtego notesu z moim listem do wszystkich zainteresowanych.

Pozbądź się pluskwy, zanim wsiądziesz do autobusu. Powodzenia, Amberson. Bardzo mi przykro z powodu twojej narzeczonej. H.

Może to było szczere, ale „przykro mi” to łatwe słowa, nieprawdaż? „Przykro mi” to takie łatwe słowa.

11

Włożyłem przebranie garkotłuka i zjechałem na poziom B-1 windą pachnącą rosołem, sosem barbecue i Jackiem danielsem. Kiedy drzwi się otworzyły, przeszedłem różnym krokiem przez zaparowaną, wonną kuchnię. Zdaje się, że nikt nawet na mnie nie zerknął.

Wyszedłem na zaułek, gdzie dwóch lumpów grzebało w kontenerze na śmieci. Oni też na mnie nie spojrzeli, choć podnieśli wzrok, kiedy niebo na moment rozświetliła błyskawica. U wylotu zaułka stał nijaki ford sedan z włączonym silnikiem. Wsiadłem na tył i ruszyliśmy. Jedyne, co powiedział kierowca, zanim stanęliśmy przed dworcem Greyhound, to:

- Chyba będzie padać.

Podał mi trzy bilety jak karty w pokerze dla ubogich. Wziąłem ten do Little Rock. Miałem około godziny. Poszedłem do sklepu z upominkami i kupiłem tanią walizkę. Sądziłem, że jak dobrze pójdzie, już wkrótce będę miał co do niej włożyć. Wiele nie potrzebowałem; w domu w Sabbatus miałem masę ubrań i choć od tego konkretnego lokum dzieliło mnie prawie pięćdziesiąt lat, liczyłem, że będę tam za niecały tydzień. Paradoks, który spodobałby się Einsteinowi. Nie przyszło mi do mojej zmęczonej, zrozpaczonej głowy, że ze względu na efekt motyla ten dom prawie na pewno nie będzie mój. O ile w ogóle będzie istniał.

Kupiłem też gazetę, wydanie specjalne „Szajs-Heralda”. Było jedno zdjęcie, może zrobione przez zawodowca, ale raczej przez przypadkowego świadka, który znalazł się we właściwym miejscu we właściwym momencie. Pokazywało Kennedy'ego pochylonego nad kobietą, z którą niedawno rozmawiałem, kobietą, która nie miała plam krwi na różowym kostiumie, kiedy w końcu zdjęła go tego wieczora.

John F. Kennedy osłania żonę własnym ciałem, gdy prezydencka limuzyna

odjeżdża z miejsca niedoszłej tragedii narodowej, głosił podpis. U góry był nagłówek czcionką trzydziestkąszóstką. Zmieścił się, bo składał się z tylko jednego słowa:

OCALENI!

Otworzyłem gazetę na drugiej stronie i rzuciło mi się w oczy następne zdjęcie. To pokazywało Sadie, niewiarygodnie młodą i niewiarygodnie piękną. Uśmiechała się. Ten uśmiech mówił: Mam całe życie przed sobą.

Nocni podróżni tłumnie przechodzili wokół mnie, dzieci płakały, żołnierze z workami marynarskimi śmiali się, pucybuci czyścili buty biznesmenom, a głościki w górze ogłaszały przyjazdy i odjazdy. Starannie złożyłem gazetę wzdłuż krawędzi zdjęcia, żebym mógł je wyrwać, nie uszkodzając jej twarzy. Kiedy tego dokonałem, długo na nie patrzyłem, po czym schowałem je do portfela. Resztę gazety wyrzuciłem. Nie było w niej nic, co chciałem przeczytać.

O jedenastej dwadzieścia wezwano pasażerów do autobusu do Little Rock i dołączyłem do ludzi skupionych wokół drzwi. Pomijając fałszywe okulary, nie próbowałem ukryć twarzy, ale nikt nie patrzył na mnie ze szczególnym zainteresowaniem; byłem tylko jeszcze jedną krwinką w krwiobieg amerykańskiego tranzytu, nie ważniejszą niż wszystkie pozostałe.

Zmieniłem dziś wasze życie, myślałem, obserwując innych obecnych u kresu dnia, ale bez poczucia triumfu czy zadziwienia; ta myśl nie niosła żadnego ładunku emocjonalnego, ani pozytywnego, ani negatywnego.

Wsiadłem do autobusu i zająłem miejsce z tyłu. Przede mną było wielu chłopaków w mundurach, zapewne jadących do bazy lotniczej w Little Rock. Gdyby nie to, co dziś zrobiłem, niektórzy z nich zginęliby w Wietnamie. Inni wróciliby okaleczeni. A teraz? Kto wie?

- Życie zmienia się w mgnieniu oka - szepnąłem.

Autobus ruszył. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Dallas, gromy były głośniejsze, błyskawice jaśniejsze, ale wciąż nie padało. Gdy dotarliśmy do Sulphur Springs, nadciągająca burza została z tyłu i wyszły dziesiątki tysięcy gwiazd, jasnych jak okruchy lodu i dwa razy zimniejszych. Patrzyłem na nie czas jakiś, po czym odchyliłem się do tyłu, zamknąłem oczy i słuchałem, jak koła toczą się po autostradzie numer 30.

Śpiewały: „Sadie, Sadie, Sadie”.

Wreszcie po drugiej w nocy zasnąłem.

12

W Little Rock kupiłem bilet na odjeżdżający w południe autobus do Pittsburgha z jednym przystankiem w Indianapolis. Zjadłem śniadanie w dworcowym barze, blisko staruszka, który trzymał na stoliku przed sobą przenośne radio. Było duże i najeżone lśniącoymi pokrętłami. Wiadomością numer jeden oczywiście wciąż była próba zamachu... i Sadie. Została bohaterką. Mieli urządzać pogrzeb państwowy i pochować ją ze wszystkimi honorami na Cmentarzu Narodowym w Arlington. Sam JFK wygłosi mowę pogrzebową. Radio poinformowało też, że narzeczony panny Dunhill, George Amberson, również z Jodie w stanie Teksas, miał spotkać się z dziennikarzami o dziesiątej rano, ale konferencję prasową przeniesiono na późne popołudnie - bez podania przyczyny. Hosty robił wszystko, żeby zapewnić mi możliwie największą przewagę na starcie. To było dla mnie korzystne. Dla niego oczywiście też. I dla jego ukochanego dyrektora.

- Dziś w Teksasie głośno jest nie tylko o prezydencie i jego bohaterskich wybawcach - powiedział spiker w radiu starego pryka.

Zamarłem z kubkiem czarnej kawy zawieszonym w połowie drogi między spodkiem a moimi wargami. W ustach czułem kwaśne mrowienie, które nauczyłem się rozpoznawać. Psycholog może określiłby to *presque vu*, wrażeniem, że za chwilę wydarzy się coś niesamowitego, ale ja używałem dużo skromniejszej nazwy: harmonia.

- Kilka minut po pierwszej w nocy, podczas gwałtownej burzy, przez Fort Worth przeszło tornado, niszcząc magazyn Montgomery Ward i kilkanaście domów. Według najnowszych danych zginęły dwie osoby, cztery są zaginione.

Co do tego, że dwa z tych domów stały na Mercedes Street 2703 i 2706, nie miałem wątpliwości; wściekły wichur starł je z powierzchni ziemi jak błędne równanie. Kiedy wezwano pasażerów do mojego autobusu, wsiadłem z przeczuciem nieuchronnie zbliżającej się zguby. Nigdy mnie nie opuściło.

ROZDZIAŁ 30

1

Parę minut po dwunastej w południe dwudziestego szóstego listopada wysiadłem z mojego ostatniego autobusu Greyhound na dworcu przy Minot Avenue w Auburn w stanie Maine. Po ponad osiemdziesięciu godzinach niemal nieprzerwanej podróży, podczas której jedynym wytchnieniem były krótkie drzemki, czułem się jak wytwór mojej własnej wyobraźni. Było zimno. Bóg odchrząkiwał i niedbale pluł śniegiem z brudnoszarego nieba. Przed wyjazdem kupiłem dzinsy i dwie niebieskie koszule robocze, żeby mieć czym zastąpić strój kuchcika, ale te ubrania nie mogły mi wystarczyć. Podczas pobytu w Teksasie zapomniałem o pogodzie w Maine. Moim pierwszym przystankiem był sklep z odzieżą męską Louie's for Men, gdzie znalazłem podbity kożuchem płaszcz w moim rozmiarze i poszedłem z nim do sprzedawcy.

Odłożył „Lewiston Sun”, żeby mnie obsłużyć, i na pierwszej stronie zobaczyłem moje zdjęcie - tak, to z księgi pamiątkowej DCHS. Nagłówek dopytywał: GDZIE JEST GEORGE AMBERSON? Sprzedawca nabił zakup na kasę i wypisał paragon. Postukałem palcem w moje zdjęcie.

- Jak pan sądzi, co facet kombinuje?

Sprzedawca spojrzał na mnie i wzruszył ramionami.

- Nie chce rozgłosu i wcale mu się nie dziwię. Kocham moją żonę jak cholera i gdyby nagle jej się zmarło, nie chciałbym, żeby robili mi zdjęcia do gazet czy pokazywali moją zapłakaną facjatę w telewizji. Pan by chciał?

- Nie - powiedziałem. - Chyba nie.

- Na jego miejscu nie wychylałbym się do siedemdziesiątego roku. Aż wrzawa ucichnie. Nie chciałby pan porządnej czapki do tego płaszcza? Mam wełniane, dopiero wczoraj przywiezione. Z grubymi, porządnymi nausznikami.

Kupiłem więc czapkę do mojego nowego płaszcza. Potem pokuśtykałem z powrotem na oddalony o dwie przecznice dworzec autobusowy, mając walizkę w zdrowej ręce. Po trosze chciałem pojechać do Lisbon Falls już teraz i upewnić się, że królicza nora jest na swoim miejscu. Gdyby jednak tam była, użyłbym jej, nie oparłbym się pokusie, a rozsądek

mówił, że po pięciu latach spędzonych w Krainie Przeszłości nie jestem gotów na zmasowany atak rzeczywistości, która stała się dla mnie Krainą Jutra. Najpierw potrzebowałem trochę odpoczynku. Prawdziwego odpoczynku, nie drzemki na autobusowym siedzeniu wśród płaczu dzieci i śmiechu mężczyzn.

Przy krawężniku, w śniegu, który sypał coraz gęściej, stało kilka taksówek. Wsiadłem do pierwszej, rozkoszując się ciepłym tchnieniem z wylotu ogrzewania. Taksówkarz się odwrócił. Był grubasem z odznaką LICENCJONOWANY PRZEWOŹNIK na sfatygowanej czapce. Widziałem go pierwszy raz w życiu, ale wiedziałem, że kiedy włączy radio, okaże się ustawione na stację WJAB z Portland, i że fajkami, które wyciągnie z kieszeni na piersi, będą lucky strike'i. Wszystko kiedyś wraca do punktu wyjścia.

- Dokąd, szefie?

Kazałem się zawieźć do hotelu dla zmotoryzowanych Tamarack przy drodze numer 196

- Robi się.

Włączył radio i trafił na Miracles śpiewających „Mickey's Monkey”.

- Te nowoczesne tańce! - burknął, sięgając po papierosa. - Nic, tylko uczą dzieci biodrami wywijać.

- Taniec to życie - powiedziałem.

2

Recepcjonistka była inna, ale dała mi ten sam pokój. Oczywiście, że tak. Opłata nieco poszła w górę, a stary telewizor wymieniono na nowszy model, ale oparta o antenę stała ta sama prośba NIE UŻYWAĆ CYNFOLII! Odbiór nadal był do dupy. Nie nadawali wiadomości, tylko same opery mydlane.

Wyłączyłem telewizor. Powiesiłem na drzwiach wywieszkę NIE PRZESZKADZAĆ. Zaciągnąłem zasłony. Rozebrałem się i wczółgałem do łóżka, gdzie - pomijając półprzymną wyprawę do łazienki w celu opróżnienia pęcherza - przespałem dwanaście godzin. Obudziłem się w środku nocy. Nie było prądu, a na zewnątrz hulał silny wiatr z północnego zachodu. Wysoko na niebie wisiał jasny sierp księżyca. Wyjąłem z szafy dodatkowy koc i spałem jeszcze pięć godzin.

Kiedy obudziłem się ponownie, świt rozświetlał motel Tamarack czystymi barwami i cieniami jak z fotografii w „National Geographic”. Samochody stojące przed domkami były oszronione, mój oddech parował. Sięgnąłem po telefon, spodziewając się, że nic z tego nie

będzie, ale młody mężczyzna z recepcji odebrał od razu, choć głos miał rozespany. Oczywiście, powiedział, telefony działają i chętnie zamówi mi taksówkę - dokąd chciałem jechać?

Do Lisbon Falls, powiedziałem mu. Na róg Maine Street i Old Lewiston Road.

- Pod Fruit? - spytał.

Długo mnie nie było i w pierwszej chwili pomyślałem, że gada od rzeczy. Potem klapka zaskoczyła.

- Zgadza się. Kennebec Fruit.

Wracam do domu, powiedziałem sobie. Boże, dopomóż mi, wracam do domu.

Tyle że to nie było tak. Rok 2011 to nie był mój dom i zostanę tam krótko - o ile w ogóle zdołam się tam dostać. Może tylko kilka minut. Moim domem teraz było Jodie. A raczej będzie, kiedy przyjedzie tam Sadie. Sadie dziewczica. Sadie z jej długimi nogami, długimi włosami i skłonnością do potykania się o wszystko, co stało jej na drodze... ale w krytycznym momencie to ja się przewróciłem.

Sadie z nietkniętą twarzą.

Mój dom był tam gdzie ona.

3

Tego ranka zabrała mnie taksówka prowadzona przez masywną kobietę po pięćdziesiątce zakutaną w starą czarną parkę, w czapce Red Sox zamiast takiej z odznaką LICENCJONOWANY PRZEWOŹNIK. Kiedy skręciliśmy w lewo na drogę numer 196, w kierunku Falls, powiedziała:

- Słyszał pan nowiny? Pewnie nie... w tej okolicy nie ma prądu, co?

- Jakie nowiny? - spytałem, choć w moje kości już wkradła się straszliwa pewność: Kennedy nie żyje. Nie wiedziałem, czy wskutek wypadku, ataku serca, czy jednak zamachu, ale tak czy tak umarł. Przeszłość jest nieustępliwa i Kennedy był martwy.

- Trzęsienie ziemi w Los Angeles. - Wymówiła to „Las Angeliis”. - Ludzie od lat straszili, że Kalifornia kiedyś wpadnie do oceanu, i wygląda na to, że jednak mieli rację. - Pokręciła głową. - Nie powiem, że to przez ich rozwiązły styl życia... tych gwiazd filmowych i całej reszty... ale jestem porządna baptystka i nie powiem też, że to nie dlatego.

Właśnie mijaliśmy kino samochodowe. ZAMKNIĘTE DO WIOSNY, ogłaszał napis nad wjazdem. DO ZOBACZENIA W ROKU 1964!

- Jak duże są straty?

- Mówili, że jest siedem tysięcy ofiar, ale kiedy słyszy się takie liczby, to wiadomo, że na tym się nie skończy. Kurczę, większość mostów się zawaliła, autostrady są w kawałkach, wszędzie pełno pożarów. Podobno ta część miasta, gdzie mieszkają Murzyni, spaliła się praktycznie do szczytu. Warts*! To dopiero nazwa dzielnicy, co? To znaczy, nawet takiej, w której mieszkają czarni? Warts! Ha!

Nie odpowiedziałem. Myślałem o Ragsie, młodym kundelku. Miałem wtedy dziewięć lat i jeszcze mieszkaliśmy w Wisconsin. Rano mogłem się z nim bawić na podwórku do przyjazdu szkolnego autobusu. Uczyłem go siadać, aportować, robić „zdechł pies” i tak dalej, i wszystko podłapywał - mądra psina! Bardzo go kochałem.

Wychodząc, miałem zamknąć furtkę. Rags zawsze kładł się na schodach kuchennych. Gdy mama wracała po odwiezieniu taty na dworzec kolejowy, wołała go do domu i dawała mu śniadanie. Zawsze pamiętałem, żeby zamknąć furtkę - a przynajmniej nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek o tym zapomniał - ale pewnego dnia, gdy przyszedłem ze szkoły, mama powiedziała mi, że Rags nie żyje. Wybiegł na ulicę i przejechał go wóz dostawczy. W jej słowach nie było wyrzutu, najmniejszego, ale w oczach był. Ona też kochała Ragsa.

- Zamknąłem go jak zawsze - powtarzałem przez łzy i, jak już wspomniałem, jestem przekonany, że tak zrobiłem. Może dlatego, że robiłem tak zawsze.

Wieczorem ja i tata pochowaliśmy go na podwórku.

- To pewnie niezgodne z prawem - powiedział tata - ale jeśli nikomu nic nie powiesz, to ja też nie.

Tamtej nocy długo, bardzo długo leżałem z otwartymi oczami, nękań tym, czego nie mogłem sobie przypomnieć, i przerażony tym, co być może zrobiłem. O wyrzutach sumienia nie wspomnę. Dręczyły mnie długo, rok, może jeszcze dłużej. Gdybym pamiętał, jak było, w jedną albo w drugą stronę, na pewno przeszłyby wcześniej. Ale nie pamiętałem. Zamknąłem furtkę czy nie? Raz po raz wracałem myślami do tamtego ranka i nie pamiętałem nic oprócz tego, jak rzucałem szczeniakowi skórzany gryzak i krzyczałem: „Aport, aport!”.

Tak samo czułem się, jadąc taksówką do Falls. Z początku próbowałem sobie wmówić, że w listopadzie 1963 tak czy tak było trzęsienie ziemi. To był po prostu jeden z tych faktoidów - jak próba zamachu na Edwina Walkera - o których do niedawna nic nie wiedziałem. Jak mówiłem Ałowi Templetonowi, kończyłem anglistykę, nie historię.

Nie przekonało mnie to. Gdyby takie trzęsienie ziemi wydarzyło się w Ameryce, w której mieszkałem, zanim wszedłem w króliczą norę, wiedziałbym o tym. Były o wiele

* Brodawki.

większe katastrofy - tsunami na Oceanie Indyjskim w 2004 roku zabiło ponad dwieście tysięcy ludzi - ale siedem tysięcy ofiar to dużo jak na Amerykę, ponad dwa razy więcej niż jedenastego września.

Potem zadałem sobie pytanie, jak to, co zrobiłem w Dallas, mogło wywołać to, co teraz wydarzyło się w Los Angeles. Jedyne wyjaśnienie, jakie przyszło mi do głowy, to efekt motyla, ale czy mógł zadziałać tak szybko? Nie. To niemożliwe. Nie było żadnego wyobraźlanego związku przyczynowo-skutkowego między tymi dwoma wydarzeniami.

A mimo to coś w głębi mojej duszy szeptało: „To przez ciebie. Rags zginął przez ciebie, bo zostawiłeś otwartą furtkę albo nie dość mocno ją zamknąłeś... i przez ciebie stało się to. Ty i Al mieliście gęby pełne pięknych frazesów o zapobieżeniu śmierci tysięcy ludzi w Wietnamie, ale to właśnie jest twój pierwszy wkład w Nową Historię: siedem tysięcy ofiar w Los Angeles”.

To po prostu było niemożliwe. A nawet jeśli...

„Nie ma żadnych minusów - powiedział Al. - Jeśli wszystko się popieprzy, po prostu to odkręcisz. Łatwizna. Jakbyś ścierał brzydkie słowo z tab...”.

- Proszę pana? - odezwała się taksówkarka. - Jesteśmy na miejscu. - Odwróciła się i spojrzała na mnie z zaciekawieniem. - Stoimy tu już prawie trzy minuty. Trochę wcześniej na zakupy. Na pewno tutaj chce pan być?

Wiedziałem tylko, że tutaj być muszę. Zapłaciłem kwotę podaną na taksometrze, dorzuciłem hojny napiwek (w końcu to były pieniądze FBI), życzyłem jej miłego dnia i wysiadłem.

4

Lisbon Falls śmierdziało jak zawsze, ale przynajmniej był prąd; na skrzyżowaniu paliło się migające światło, kołysane północno-zachodnim wiatrem. W Kennebec Fruit było ciemno, w witrynie jeszcze nie pojawiły się jabłka, pomarańcze i banany, które potem będą tam wystawione. Wywieszka na drzwiach zielonego sklepu informowała OTWARTE OD 10.00. Kilka samochodów przejechało Main Street, chodnikiem przemknęło paru przechodniów z postawionymi kołnierzami. Za to po drugiej stronie ulicy zakłady Worumbo pracowały pełną parą. Nawet z miejsca, gdzie stałem, słyszałem „sza-SZUUU, sza-SZUUU” wielkich krosien tkackich. I wtedy ktoś mnie zawołał, choć żadnym z moich imion.

- Jimla! Hej, Jimla!

Odwróciłem się w stronę zakładów, myśląc: Wrócił. Człowiek z Żółtą Kartką

powrócił zza grobu, jak prezydent Kennedy.

Jednak nie był to Człowiek z Żółtą Kartką, tak jak taksówkarz, który zabrał mnie sprzed dworca autobusowego, nie był tym samym taksówkarzem, który zawiózł mnie z Lisbon Falls do motelu Tamarack w 1958 roku, lecz obaj byli prawie tacy sami, bo przeszłość harmonizuje. A mężczyzna po drugiej stronie ulicy był podobny do tego, który prosił mnie o dolca, bo dziś w zielonym sklepie jeden wart jest dwa. Był dużo młodszy od Człowieka z Żółtą Kartką i miał na sobie nowszy, czystszy czarny płaszcz... ale to był prawie ten sam płaszcz.

- Jimla! Tutaj! - Przywołał mnie gestem. Wiatr szarpał połą jego płaszcz i kołysał tabliczką po jego lewej stronie jak migającym światłem na skrzyżowaniu. Mimo to mogłem ją przeczytać: ZAKAZ WSTĘPU RURA KANALIZACYJNA W NAPRAWIE.

Pięć lat, a ta uprzykrzona rura ciągle jest zepsuta, pomyślałem.

- Jimla! Nie zmuszaj mnie, żebym tam do ciebie poszedł!

I pewnie mógłby to zrobić; jego poprzednik, zanim się zabił, był w stanie dojść aż do zielonego sklepu. Byłem jednak pewien, że gdybym wystarczająco szybko pokuśtykał w głąb Old Lewiston Road, ta nowa wersja nie miałyby szans. Może doszedłby za mną do supermarketu Red & White, gdzie Al kupował mięso, ale gdybym dotarł aż do Chevrona Titusa czy do Jolly White Elephant, mógłbym odwrócić się i zagrać mu na nosie. Był skazany na przebywanie w pobliżu króliczej nory. Inaczej widziałbym go w Dallas. Wiedziałem to z taką pewnością, z jaką wiem, że dzięki grawitacji ludzie nie wzlatają w kosmos.

Jakby na potwierdzenie, zawołał:

- Jimla, proszę! - Desperacja, którą widziałem w jego twarzy, była jak wiatr: lekka, ale jakoś nieustępliwa.

Sprawdziłem, czy nic nie jedzie, i poszedłem do niego przez ulicę. Z bliska zobaczyłem dwie następne różnice. Jak jego poprzednik, miał na głowie fedorę, ale była czysta, nie brudna. I tak jak u jego poprzednika, za wstążką kapelusza tkwiła kartka jak staroświecka legitymacja dziennikarska. Nie była żółta, pomarańczowa ani czerwona.

Zielona.

5

- Dzięki Bogu! - Chwycił moją dłoń obiema rękami i mocno ścisnął. Jego skóra była prawie tak zimna jak powietrze. Odsunąłem się od niego, ale zrobiłem to delikatnie. Nie wyczuwałem w nim nic groźnego, tylko tę lekką, uporczywą desperację. Chociaż ta sama w

sobie mogła być niebezpieczna; mogła okazać się tak ostra jak nóż, którym John Clayton pociął twarz Sadie.

- Kim jesteś? - spytałem. - I dlaczego nazywasz mnie Jimla? Jim LaDue jest daleko stąd.

- Nie wiem, kto to jest Jim LaDue - rzekł Człowiek z Zieloną Kartką. - Trzymałem się od twojej struny z dala na tyle, na ile...

Urwał. Skrzywił się. Ucisnął skronie kantami dłoni, jakby przytrzymywał mózg, żeby mu nie wyleciał. Jednak moją uwagę przykuła przede wszystkim kartka za wstążką jego kapelusza. Kolor był nietrwały. Przez chwilę kłębił się i rozmywał jak wygaszacz ekranu mojego komputera. Zieleń zafalowała i przeszła w jasnokanarkowy. Potem, kiedy z wolna opuścił dłonie, kartka znów stała się zielona. Ale nie była to tak jasna zieleń jak wtedy, gdy zauważyłem ją po raz pierwszy.

- Trzymałem się od twojej struny z dala na tyle, na ile mogłem, ale nie zawsze się dało. Teraz jest tyle tych strun. Przez ciebie i twojego przyjaciela kucharza zrobił się bajzel.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziałem, nie do końca zgodnie z prawdą. Mogłem przynajmniej się domyślić, o co chodzi z tą kartką, którą miał i on, i jego zamroczony alkoholem poprzednik. To było coś jak czujniki noszone przez pracowników elektrowni jądrowych. Tylko że zamiast mierzyć promieniowanie, te kartki monitorowały... zdrowie psychiczne? Zielona: jeszcze nie straciłeś piątej klepki. Żółta: powoli ją tracisz. Pomarańczowa: dzwoń po smutnych panów w białych kitlach. A kiedy kartka robi się czarna...

Człowiek z Zieloną Kartką bacznie mi się przyglądał. Z drugiej strony ulicy wyglądał na nie więcej niż trzydzieści lat. Stąd - na ponad czterdzieści. Kiedy jednak podeszło się dość blisko, by zajrzeć mu w oczy, wydawał się starszy od wieczności. I niespełna rozumu.

- Jesteś kimś w rodzaju strażnika? Pilnujesz króliczej nory?

Uśmiechnął się... a raczej spróbował.

- Tak to nazywał twój przyjaciel. - Wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Były bez etykiety. Nigdy takich nie widziałem, ani tu, w Krainie Przeszłości, ani w Krainie Jutra.

- Ta jest jedyna?

Wyciągnął zapalniczkę, osłonił dłonią płomyk od wiatru. Papieros zapachniał słodko, bardziej jak marihuana niż jak tytoń. Ale to nie była marihuana. Sądzę, że coś leczniczego. Może niewiele różniącego się od mojego Goody's Headache Powder.

- Jest ich kilka. Wyobraź sobie, że ktoś nalewa piwa imbirowego do szklanki, po czym odstawia tę szklankę i o niej zapomina.

- W porządku...

- Po dwóch-trzech dniach prawie cały gaz ucieka, ale zostaje jeszcze kilka bąbelków. To, co nazywasz króliczą norą, tak naprawdę nie jest żadną norą. To bąbelek. Co do tego, czy go pilnuję... nie. Raczej nie. Dobrze by było, ale bardzo niewiele moglibyśmy zrobić, nie pogarszając przy tym sytuacji. Na tym polega kłopot z podróżami w czasie, Jimla.

- Na imię mam Jake.

- Niech będzie. Otóż my, Jake, jesteśmy od tego, żeby obserwować. I czasem ostrzegać. Tak jak Kyle próbował ostrzec twojego przyjaciela kucharza.

Czyli ten wariat miał imię. Najzupełniej normalne imię. Kyle, na litość boską. To tylko pogarszało całą sytuację, bo czyniło ją bardziej rzeczywistą.

- Przed niczym Ala nie ostrzegał! Tylko prosił o dolara na tanie wino!

Człowiek z Zieloną Kartką zaciągnął się swoim papierosem i spojrzał w dół, na popękany beton, marszcząc brwi, jakby coś tam było napisane. „Sza-SZUUU, sza-SZUUU”, mówiły krosna.

- Na początku próbował. Na swój sposób. Twój przyjaciel był zbyt podekscytowany nowym światem, żeby go słuchać. A Kyle już wtedy był na krawędzi załamania. To... jak wy byście to nazwali? Ryzyko zawodowe. To, co robimy, potwornie wykańcza psychicznie. Wiesz dlaczego?

Pokręciłem głową.

- Pomyśl. Ile krótkich wycieczek i wypraw na zakupy odbył twój przyjaciel kucharz, zanim wpadł na pomysł, żeby pojechać do Dallas i powstrzymać Oswalda? Pięćdziesiąt? Sto? Dwieście?

Próbowałem sobie przypomnieć, jak długo bar Ala stał na dziedzińcu zakładów tkackich Worumbo, i nie mogłem.

- Pewnie nawet więcej.

- I co ci powiedział? Że każda podróż jest pierwszą podróżą?

- Tak. Że następuje całkowity reset.

Zaśmiał się ze znużeniem.

- Ludzie wierzą w to, co widzą. A mimo to powinien być mądrzejszy. Ty też. Każda podróż daje początek nowej strunie i kiedy tych strun jest dużo, zawsze się płaczą. Czy twojemu przyjacielowi przyszło kiedykolwiek do głowy, żeby się zastanowić, jak może raz za razem kupować to samo mięso? Albo dlaczego rzeczy, które przynosi z 1958 roku, nie znikają podczas następnej podróży?

- Pytałem go o to. Nie wiedział, więc machnął na to ręką.

Zaczął się uśmiechać, ale uśmiech przeszedł w grymas. Zieleń kartki w kapeluszu znów zaczęła się rozmywać. Zaciągnął się głęboko swoim słodko pachnącym papierosem. Kolor powrócił i się ustabilizował.

- Taa, to się nazywa ignorowanie rzeczy oczywistych. Wszyscy to robimy. Nawet kiedy rozum zaczął mu szwankować, Kyle niewątpliwie wiedział, że wyprawy do tamtego sklepu z alkoholem pogarszają jego stan, a mimo to tam chodził. Nie mam mu tego za złe; jestem pewien, że wino łagodziło ból. Zwłaszcza pod koniec. Może byłoby lepiej, gdyby nie mógł dojść do sklepu... gdyby sklep był poza kręgiem... ale nie był. Zresztą kto to może wiedzieć? Nikt tu nie szuka winnych, Jake. Nikt nikogo nie potępia.

Dobrze to było usłyszeć, bo znaczyło, że możemy rozmawiać na ten wariacki temat jak dwaj na poły rozumni ludzie. Nie żeby jego zdanie było dla mnie ważne; tak czy tak musiałem zrobić, co konieczne.

- Jak się nazywasz?

- Zack Lang. Pochodzę z Seattle.

- Z Seattle kiedy?

- To pytanie bez związku z tematem naszej rozmowy.

- Będąc tutaj, cierpisz, prawda?

- Tak. Niedługo też stracę rozum, jeśli nie wrócę. A skutki pobytu tutaj odczuwać będę zawsze. Wielu naszych popełnia samobójstwo, Jake. Bardzo wielu. Ludzie... bo jesteśmy ludźmi, nie kosmitami czy istotami nadprzyrodzonymi, jeśli tak sobie pomyślałeś... nie są stworzeni do tego, żeby obejmować myślą wiele strun rzeczywistości naraz. To nie to samo, co posługiwanie się wyobraźnią. Zupełnie nie. Jesteśmy w tym przeszkoleni, oczywiście, ale i tak czujesz, jak to cię zżera. Jak kwas.

- Czyli każda podróż to nie całkowity reset.

- I tak, i nie. Zostaje osad. Ilekroć twój przyjaciel kucharz...

- Na imię miał Al.

- Tak. Chyba to kiedyś wiedziałem, ale pamięć mi nawala. To jak alzheimer, tylko że to nie jest alzheimer. Bierze się z tego, że mózg automatycznie usiłuje pogodzić ze sobą wszystkie te cienkie, nakładające się na siebie kolejne warstwy rzeczywistości. Struny wytwarzają liczne obrazy przyszłości. Niektóre są wyraźne, większość zamglona. Pewnie dlatego Kyle myślał, że masz na imię Jimla. Musiał to usłyszeć na jednej ze strun.

Nie usłyszał tego, pomyślałem. Zobaczył to w czymś w rodzaju strunowizji. Na billboardzie w Teksasie. Może nawet moimi oczami.

- Nie wiesz, jakim jesteś szczęściarzem, Jake - westchnął Człowiek z Zieloną Kartką.

Dla ciebie podróż w czasie jest prosta.

Nie aż tak prosta, jak ci się wydaje, pomyślałem.

- Były przecież paradoksy - powiedziałem. - Najprzeróżniejsze. Prawda?

- Nie, to złe słowo. To osad. Chyba ci o tym mówiłem, nie? - Wydawało się, że autentycznie nie był pewien. - On zakłóca pracę maszynierii, która w jakimś momencie po prostu... staje.

Pomyślałem o tym, jak strzelił silnik studebakera, którego ukradliśmy z Sadie.

- Kupowanie raz po raz tego samego mięsa w roku 1958 nie było takie złe - powiedział Zack Lang. - Och, oczywiście, w przyszłości wynikały z tego różne kłopoty, ale to jeszcze dało się znieść. Potem jednak zaczęły się duże zmiany. Ocalenie Kennedy'ego było największą ze wszystkich.

Próbowałem coś powiedzieć, ale nie mogłem.

- Zaczynasz rozumieć?

Nie w pełni, ale widziałem ogólny zarys i przerażało mnie to śmiertelnie. Przyszłość wisiała na sznurkach. Jak marionetka. Dobry Boże.

- Trzęsienie ziemi... to ja je spowodowałem. Ratując Kennedy'ego... co właściwie zrobiłem? Przerwałem kontinuum czasoprzestrzenne? - To powinno być zabrzmieć głupio, ale nie, zabrzmiało bardzo poważnie. Zaczęło mnie łupać w głowie.

- Musisz wrócić, Jake. - Zack Lang mówił łagodnym tonem. - Musisz wrócić i zobaczyć, co zrobiłeś. Jakie są skutki całej twojej ciężkiej i niewątpliwie w najlepszych zamiarach wykonanej pracy.

Nie odpowiedziałem. Dotąd martwiłem się, czy zdołam wrócić, teraz bałem się to zrobić. Czy jest sformułowanie bardziej złowrogie niż „musisz zobaczyć, co zrobiłeś”? Na gorąco żadne nie przychodziło mi do głowy.

- Idź. Rozejrzyj się. Pobądź tam trochę. Ale niedługo. Jeśli wkrótce się tego nie naprawi, będzie katastrofa.

- Jak wielka?

- Taka, która może zniszczyć wszystko - rzekł całkiem spokojnie.

- Świat? Układ Słoneczny? - Musiałem oprzeć się dłonią o ścianę suszarni, żeby się nie przewrócić. - Galaktykę? Wszechświat?

- Więcej. - Zamilkł, chcąc się upewnić, że zrozumiałem. Kartka za wstążką jego kapelusza zamącała się, stała się żółta, przeszła z powrotem w zieleń. - Samą rzeczywistość.

Podszedłem do łańcucha. Tabliczka ZAKAZ WSTĘPU RURA KANALIZACYJNA W NAPRAWIE skrzypiała na wietrze. Obejrzałem się na Zacka Langa, tego podróżnika nie wiadomo skąd. Patrzył na mnie bez wyrazu, z połą czarnego płaszcza trzepoczącą wokół jego goleni.

- Lang! Te harmonie... to ja je wszystkie spowodowałem, prawda?

Możliwe, że skinął głową. Nie jestem pewien.

Przeszłość opierała się zmianom, bo zmiany niszczyły przyszłość. Zmiany tworzyły...

Przypomniała mi się stara reklama taśm Memorex. Pokazywała kryształową szklanekę rozbijaną drganiem dźwięku. Czystą harmoniką.

- I z każdą kolejną zmianą, którą udawało mi się zrobić, te harmonie się nasilały. To właśnie jest najbardziej groźne, prawda? Te pieprzone harmonie.

Żadnej odpowiedzi. Może wiedział to, ale zapomniał; może nie wiedział tego nigdy.

Spokojnie, powiedziałem sobie... tak jak pięć lat wcześniej, kiedy w moich włosach jeszcze nie było pierwszych pasm siwizny. Tylko spokojnie.

Przegramoliłem się pod łańcuchem, moje lewe kolano pisnęło z bólu i przystanąłem na sekundę. Wysoka zielona ściana suszarni wznosiła się po mojej lewej stronie. Tym razem nie było kawałka betonu wskazującego miejsce, gdzie zaczynały się niewidzialne schody. Jak daleko były za łańcuchem? Nie pamiętałem.

Szedłem powoli, powoli, moje buty chrzęściły na popękany beton. „Sza-SZUUU, sza-SZUUU”, mówiły krosna... a kiedy zrobiłem szósty, a potem siódmy krok, ich dźwięk zmienił się w „bli-ŻEEJ, bli-ŻEEJ”. Następny krok. I jeszcze jeden. Wkrótce dojdę na koniec suszarni i znajdę się na dziedzińcu za nią. Nora zniknęła. Bąbelek pękł.

Zrobiłem jeszcze jeden krok i choć nie było schodka, przez chwilę zobaczyłem mój but jak na podwójnie naświetlonej kliszy. Stał na betonie, ale jednocześnie stał też na ciemnoszarym linoleum. Zrobiłem następny krok i teraz ja sam byłem jak podwójnie naświetlona klisza. Większość mojego ciała stała obok suszarni zakładów Worumbo pod koniec listopada 1963 roku, ale część mnie była w innym miejscu, i nie była to spizarnia baru Ala.

A jeśli wyjdę nie w Maine, nawet nie na Ziemi, tylko w jakimś innym, obcym wymiarze? Świecie z obłądnym czerwonym niebem i powietrzem, które zatruje mi płuca i zatrzyma serce?

Obejrzałem się znowu. Lang stał nieruchomo, jego płaszcz łopotał na wietrze. Twarz

wciąż miał bez wyrazu. Jesteś zdany na siebie, ta pusta twarz zdawała się mówić. Nie mogę cię do niczego zmusić.

To prawda, ale gdybym teraz nie przeszedł przez króliczą norę do Krainy Jutra, nie mógłbym znowu wrócić do Krainy Przeszłości. I Sadie na zawsze pozostałaby martwa.

Zamknąłem oczy i zdobyłem się na jeszcze jeden krok. Nagle poczułem słaby zapach amoniaku i inną, bardziej nieprzyjemną woń. Kiedy przemierzyło się cały kraj na tylnych siedzeniach wielu autobusów Greyhound, nie można pomylić tego drugiego zapachu z żadnym innym. Był to niemiły aromat toalety, do którego złagodzenia trzeba czegoś więcej niż tylko odświeżacza powietrza Glade na ścianie.

Z zamkniętymi oczami zrobiłem jeszcze jeden krok i usłyszałem to dziwne pyknięcie w głowie. Otworzyłem oczy. Byłem w małej, obskurnej ubikacji. Nie było sedesu; został po nim tylko brudny zarys na podłodze. W kącie leżała wiekowa kostka pisuarowa, której pierwotnie jasnoniebieski kolor wyblakł i przeszedł w smętną szarość. Mrówki maszerowały po niej tam i z powrotem. Kąt, w którym wyszedłem, był zasłonięty pudłami pełnymi pustych butelek i puszek. Przypominał mi stanowisko snajperskie Lee.

Odsunąłem dwa pudła na bok, by móc przejść. Zanim otworzyłem drzwi, ustawiłem pudła tak, jak były. Nie chciałem, żeby ktoś przypadkiem wpadł do króliczej nory. Potem wkroczyłem z powrotem do roku 2011

7

Kiedy ostatnim razem wszedłem w króliczą norę, było ciemno, więc oczywiście teraz też było ciemno, bo od tamtego czasu upłynęły tylko dwie minuty. Wiele się jednak przez te dwie minuty zmieniło. Widziałem to nawet w mroku. W którymś momencie w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu lat zakłady Worumbo się spaliły. Zostało kilka osmalonych ścian, przewrócony komin (nieuchronnie przypominał mi ten, który widziałem w ruinach Kitchener's Ironworks w Derry) i parę stert gruzów. Ani śladu Your Maine Snuggery, L.L. Bean's Express i w ogóle żadnych modnych sklepów. Była tylko zniszczona fabryka na brzegu Androscoggin. Nic poza tym.

W ten czerwcowy wieczór, kiedy wyruszyłem na moją pięcioletnią misję ratowania Kennedy'ego, było przyjemnie chłodno. Teraz panował potworny upał. Zdjąłem podbity kozuchem płaszcz, który kupiłem w Auburn, i wrzuciłem go do cuchnącej ubikacji. Kiedy ponownie zamknąłem drzwi, zobaczyłem na nich wiadomość UBIKACJA NIECZYNNNA! SEDESU BRAK!!! PEKNIĘTA RURA KANALIZACYJNA!!!

Piękni młodzi prezydenci umierali i piękni młodzi prezydenci żyli, piękne młode kobiety żyły, a potem umierały, ale pęknięta rura kanalizacyjna pod dziedzińcem dawnych zakładów Worumbo najwyraźniej była wieczna.

Wciąż był też łańcuch. Podeszedłem do niego wzdłuż bocznej ściany brudnego starego budynku z pustaków, który zastąpił suszarnię. Gdy przegramoliłem się pod łańcuchem i wyszedłem przed budynek, zobaczyłem, że jest to opuszczony sklep spożywczy o nazwie Quik-Flash. Okna były powybijane, wszystkie regały zniknęły. Ze sklepu została pusta skorupa, w której słabo jarzyła się pojedyncza lampa awaryjna zasilana dogorywającą baterią, brzęcząca jak umierająca mucha na szybie zimą. Na resztkach posadzki widniało wysprejowane graffiti i starczyło światła, by je odczytać: WRACAJ DO PAKISTANU BRUDASIE.

Ruszyłem po popękanych betonie dziedzińca. Parking, na którym kiedyś stały samochody robotników, zniknął. Na jego miejscu nic nie zbudowano; był tylko pusty plac pokryty potłuczonymi butelkami, puzzlami starego asfaltu i smętnymi kępami trawy. Na niektórych z nich, jak stare serpentyny, wisiały zużyte prezerwatywy. Spojrzałem w górę, szukając gwiazd, i żadnych nie zobaczyłem. Niebo przesłaniały nisko wiszące chmury, na tyle cienkie, że przepuszczały odrobinę mglistego blasku księżycowego. Migające światło na skrzyżowaniu Main Street i drogi numer 196 (niegdyś znanej jako Old Lewiston Road) zastąpiła sygnalizacja świetlna, ale nie działała. To nic; i tak nie było żadnych samochodów.

Fruit zniknął. Na jego miejscu był dół piwniczny. Naprzeciwko, tam, gdzie w 1958 stał zielony sklep i gdzie w 2011 powinien stać bank, znajdowało się coś o nazwie Spółdzielnia Spożywcza Prowincji Maine. Tyle że jej okna też były powybijane i wszelkie dobra, które być może kiedyś przechowywano w środku, dawno zniknęły. Budynek został wypatroszony jak Quik-Flash.

Na środku opuszczonego skrzyżowania usłyszałem donośny, bulgoczący warkot i zamarłem w bezruchu. Próbowałem sobie wyobrazić, co może wydawać taki dźwięk; jedyne, co mi przyszło do głowy, to jakiś egzotyczny lodowy samolot topiący się w momencie przekraczania prędkości dźwięku. Ziemia pod moimi nogami zadrżała. Brzęknął alarm samochodowy, ale zaraz ucichł. Psy rozszczeły się i nagle zamilkły.

Trzęsienie ziemi w Los Angel-iis, pomyślałem. Siedem tysięcy ofiar.

Światła chlusnęły na drogę numer 196 i szybko przeszedłem na chodnik po drugiej stronie. Nadjechał mały kwadratowy autobus z napisem KURS OKREŻNY w podświetlonym okienku nad kabiną kierowcy. To mi się z czymś skojarzyło, ale nie wiedziałem z czym. Pewnie znowu jakaś harmonia. Na dachu autobusu było kilka obracających się ustrojstw,

które wyglądały jak termowentylatory. Turbiny wiatrowe? Czy to możliwe? Nie było dźwięku silnika spalinowego, tylko słabe elektryczne buczenie. Patrzyłem za autobusem, aż szeroki sierp jego pojedynczego tylnego światła zniknął z pola widzenia.

No dobra, czyli w tej wersji przyszłości - na tej strunie, używając terminologii Zacka Langa - wycofywano z użytku silniki benzynowe. To chyba dobrze, nie?

Może i tak, ale powietrze wydawało się ciężkie i jakby martwe, i zostawiało w nosie zapach, który przypominał mi to, jak śmierdział sterownik mojej zabawkowej kolejki Lionel, kiedy w dzieciństwie za bardzo dawałem mu w kość. „Pora go wyłączyć, niech trochę odpocznie”, mówił wtedy mój ojciec.

Na Main Street stało kilka sklepów, które wyglądały, jakby jeszcze się jako tako trzymały, większość jednak była zdewastowana. Na popękany chodniku walały się śmieci. Zobaczyłem kilka samochodów; część była benzynowo-elektrycznymi hybrydami, inne miały na dachu te kręcące się urządzenia. Jeden nazywał się honda zephyr, drugi takuro spirit, trzeci ford breeze. Wyglądały staro, dwa były zdemolowane. Wszystkie miały na przedniej szybie różową naklejkę z czarnymi literami tak dużymi, że dało się je odczytać nawet w półmroku: **PROWINCJA MAINE „A” ZAWSZE OKAZYWAĆ KARTKI REGLAMENTACYJNE.**

Po drugiej stronie ulicy wałkonila się grupa małych dzieci. Śmiali się, rozmawiali.

- Hej! - zawołałem do nich. - Czy biblioteka jest jeszcze czynna?

Spojrzeni w moją stronę. Zobaczyłem mrugające świetliki papierosów... tyle że sądząc po zapachu, który do mnie doleciał, to prawie na pewno była marihuana.

- Wypierdalaj, facet! - odkrzyknął jeden z chłopaków.

Inny odwrócił się, zdjął gacie i pokazał mi tyłek.

- Jak znajdziesz tam jakieś książki, są twoje!

Nastąpił ogólny wybuch śmiechu i poszli dalej, rozmawiając zniżonymi głosami i oglądając się za siebie.

Nie przejąłem się tym, że pokazano mi tyłek - to nie pierwszy raz - ale ich spojrzenia mi się nie podobały. A zniżone głosy jeszcze bardziej. Możliwe, że brzmiała w nich konspiracyjna nuta. Jake Epping nie bardzo w to wierzył, ale George Amberson owszem; George wiele przeszedł i to właśnie George schylił się, podniósł dwa kawałki betonu wielkości pięści i wcisnął je do kieszeni spodni, tak na szczęście. Jake uważał, że to głupie, ale nie zaprotestował.

Przecnicę dalej dzielnica handlowa (jeśli tak ją można nazwać) raptownie się kończyła. Z naprzeciwka pospiesznie nadchodziła starsza kobieta, nerwowo zerkająca na chłopców, którzy byli po drugiej stronie Main. Miała chustkę na głowie i coś, co wyglądało

jak respirator - taki, jaki noszą ludzie z obturacyjną chorobą płuc albo zaawansowaną rozedmą.

- Przepraszam, wie pani może, czy biblioteka...

- Daj mi spokój! - Miała wielkie, przerażone oczy. Księżyc na chwilę przedał się przez szczelinę w chmurach i zobaczyłem, że twarz kobiety jest cała w krostach. Ta pod prawym okiem zdawała się wżerać w ciało aż do kości. - Mam papier, że mogę wychodzić, z pieczętką Rady, więc daj mi spokój! Idę do siostry! Już z tymi chłopaczyskami jest dość kłopotów, zaraz zaczną chuliganić. Dotkniesz mnie, to zabrzęczę buczykiem i przyjdzie policjant!

Jakoś w to wątpię.

- Proszę pani, chcę się tylko dowiedzieć, czy biblioteka jest nadal...

- Od lat zamknięta, wszystkie książki zabrali! Teraz organizują tam Spotkania Nienawiści. Daj mi spokój, mówię ci, bo wezwę policjanta!

Czmychnęła, zerkając przez ramię co kilka sekund, żeby sprawdzić, czy jej nie gonie. Pozwoliłem jej oddalić się na tyle, by poczuła się bezpiecznie, po czym ruszyłem dalej. Moje kolano już dochodziło do siebie po ciężkiej wspinaczce po schodach w Składnicy Podręczników, ale wciąż utykałem i nieprędko miałem przestać. W kilku domach za zaciągniętymi zasłonami paliły się światła, ale byłem prawie pewien, że nie zasilają ich prąd dostarczany przez Zakład Energetyczny Centralnego Maine. To były lampy Coleman i, w niektórych przypadkach, lampy naftowe. W większości domów panowały ciemności. Z kilku zostały wypalone ruiny. Na jednej z takich ruin widniała swastyka, na innej wysprejowane słowa ŻYDOWSKI SZCZUR.

„Już z tymi chłopaczyskami jest dość kłopotów, zaraz zaczną chuliganić”.

I... czy ona naprawdę powiedziała: Spotkania Nienawiści?

Przed jednym z nielicznych domów, które były w dobrym stanie - w porównaniu z większością wyglądał jak pałac - zobaczyłem długą poręcz do wiązania koni, widok jak z westernu. I rzeczywiście wiązano tam konie. Kiedy niebo rozświetliło się kolejnym rozproszonym mgnieniem, dostrzegłem końskie łajno. Podjazd był przegrodzony bramą. Księżyc znów się schował, więc nie mogłem odczytać tabliczki na żelaznych prętach, ale i bez tego wiedziałem, że oznajmiała ZAKAZ WSTĘPU.

Daleko z przodu usłyszałem wyraźnie wypowiedziane słowa:

- To pizda!

Głos nie był młody - raczej nie należał do któregoś z nastoletnich dzikusów - i dobiegł z mojej, nie ich strony ulicy. Facet, kimkolwiek był, wydawał się wkurzony. I chyba mówił

do siebie. Ruszyłem w stronę jego głosu.

- W kurwę jebany! - kłął ze złością. - Żeby to szlag!

Był może przecznicę ode mnie. Zanim tam dotarłem, usłyszałem głośny metaliczny brzęk i ten sam męski głos krzyknął:

- Idźta sobie! Cholerne smarkacze! Idźta, zanim wyjmę spluwę!

Te słowa powitał drwiący śmiech. To były te upalone trawą młode dzikusy, a głos, który odpowiedział, na pewno należał do tego, który pokazał mi tyłek.

- Spluwę to ty masz w rozporku i założę się, że lufę ma obwisłą!

Znowu śmiech. A po nim przenikliwe, metaliczne „bąąag!”.

- Skurwysyny, szprychę-ście mi złamali! - W podniesionym głosie mężczyzny pobrzmiwał niechętny strach. - Nie, nie, zostańcie po swojej stronie!

Chmury się rozstały. Wyjrzał księżyc. W jego niepewnym świetle zobaczyłem starego człowieka na wózku inwalidzkim. Był na środku jednej z ulic przecinających Main - Goddard, jeśli nazwa się nie zmieniła. Jedno koło utknęło w sporej dziurze i wózek przechylał się bezwładnie w lewo. Chłopcy szli w jego stronę. Małolat, który kazał mi wypierdalać, trzymał procę załadowaną dużym kamieniem. To wyjaśniało ten brzęk.

- Masz stare baksy, dziadku? A może masz nowe albo jakie konserwy?

- Nie! Jeśli nie macie, gnoje, dość przyzwoitości, żeby mnie wypchnąć z tej dziury, to chociaż odejdźcie i zostawcie mnie w spokoju!

Im się jednak zachciało pochuliganic i ani myśleli go posłuchać. Zamierzali go okraść z tych nędznych drobiazgów, jakie akurat miał, może też go pobić, a na pewno przewrócić na ziemię.

Jake i George połączyli się w jedno i obu zrobiło się czerwono przed oczami.

Młode dzikusy skupiły całą uwagę na dziadku na wózku inwalidzkim i nie zauważyły, jak ruszyłem ku nim, przecinając ulicę po skosie - tak samo jak przeciąłem piąte piętro Składnicy Podręczników. Z lewej ręki wciąż nie miałem wielkiego pożytku, ale prawa była sprawna, wzmocniona trzema miesiącami fizjoterapii najpierw w Parkland, potem w Eden Falls. I nie straciłem jeszcze całkowicie celności rzutów, dzięki której w liceum załapałem się do szkolnej drużyny baseballowej. Cisnąłem pierwszy kawałek betonu z odległości dziesięciu metrów i trafiłem Gołodupca w środek piersi. Krzyknął z bólu i zaskoczenia. Wszyscy chłopcy - było ich pięciu - odwrócili się do mnie. Dopiero wtedy zauważyłem, że mają twarze tak oszpecone jak przerażona kobieta. Ten z procą, młody Panicz Wypierdalaj, wyglądał najgorzej. W miejscu, gdzie powinien mieć nos, była tylko dziura.

Przełożyłem drugi kawałek betonu z lewej do prawej dłoni i rzuciłem w najwyższego

z chłopaków, ubranego w wielkie, luźne spodnie podciągnięte prawie po mostek. Osłonił się ramieniem. Bryła trafiła w nie, wytrącając mu jointa z ręki. Spojrzał na moją twarz, po czym obrócił się na pięcie i uciekł. Gołodupiec rzucił się za nim. Czyli zostało trzech.

- Pokaż im, synu! - wrzasnął starzec na wózku inwalidzkim. - Należy im się, jak Boga kocham!

W to nie wątpiłem, ale ich było więcej. Kiedy ma się naprzeciw siebie nastolatków, jest tylko jeden sposób, by wyjść z takiej sytuacji zwycięsko: nie okazywać strachu, tylko autentyczne oburzenie dorosłego. Trzeba przeć naprzód i tak też uczyniłem. Prawą ręką schwyciłem młodego Panicza Wypierdalaja za poszarpaną koszulkę, a lewą wyrwałem mu procę. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami i nie stawiał oporu.

- Ty zasrany tchórze - powiedziałem, zbliżając twarz do jego twarzy... mniejsza o nos, którego nie było. Śmierdział potem, dymem z jointów i brudem. - Jakim trzeba być tchórzem, żeby napadać na starca w wózku inwalidzkim?

- Kto ty j...

- Charlie, kurwa, Chaplin. Do Francji wyskoczyłem tancerki oglądać na własne oczy. A teraz won mi stąd.

- Oddawaj...

Wiedziałem, czego chciał, i rąbnąłem go tym w czoło. Jedna z krost pękła i to musiało boleć jak cholera, bo oczy mu się załzawiły. Na ten widok poczułem obrzydzenie i litość zarazem, ale starałem się nie okazywać jednego ani drugiego.

- Nie dostaniesz nic, tchórze, oprócz szansy, żeby zmyć się stąd, zanim wyrwę twoje parszywe jajca z twojej bez wątpienia chorej moszny i wsadzę ci je do dziury po nosie. Jedyna szansa. Skorzystaj z niej. - I wrzasnąłem mu w twarz, bombardując ją pokazną dawką hałasu i śliny: - Won!

Patrzyłem, jak odchodzili, i czułem wstyd i euforię w mniej więcej równych proporcjach. Stary Jake świetnie sobie radził z uspokajaniem hałaśliwych sal pracy własnej w piątkowe popołudnia przed wakacjami, ale na tym się jego umiejętności kończyły. Nowy Jake jednak był w części George'em. A George wiele przeszedł.

Za plecami usłyszałem głośny kaszel. Skojarzył mi się z Alem Templetonem. Kiedy ucichł, starzec powiedział:

- Panie, pięć lat szczałbym kamieniami nerkowymi, żeby zobaczyć, jak te śmierdziele biorą nogi za pas. Nie wiem, kto pan jesteś, ale mam w spizarce jeszcze trochę glenfiddich... i to, kurna, prawdziwego... i jeśli wypchniesz mnie pan z tej dziury i zawieziesz do domu, chętnie się podzielę.

Księżyc znów się schował, zaraz jednak wyłonił się zza strzępiastych chmur i wtedy zobaczyłem twarz starca. Miał długą siwą brodę i rurkę w nosie, ale nawet po pięciu latach bez trudu rozpoznałem człowieka, przez którego wpakowałem się w cały ten bajzel.

- Cześć, Harry - powiedziałem.

ROZDZIAŁ 31

1

Wciąż mieszkał na Goddard Street. Wwiozłem go po rampie na ganek, gdzie wyciągnął imponujący pęk kluczy. Nic dziwnego. W drzwiach wejściowych były co najmniej cztery zamki.

- Dom wynajęty czy własny?
- Och, własny - powiedział. - Ciasny, ale własny.
- Gratuluje. - Poprzednio mieszkał w wynajętym.
- Nadal nie powiedziałaś, skąd znasz moje imię.
- Najpierw się napijmy. Tego mi trzeba.

Drzwi prowadziły do salonu, który zajmował przednią połowę domu. Starzec zawołał na mnie „prrrr”, jak na konia, i zapalił lampę Coleman. W jej świetle zobaczyłem meble typu „stare, ale solidne”. Na podłodze leżał piękny pleciony dywanik. Na zadnej ze ścian nie zobaczyłem świadectwa matury zaocznej - ani, oczywiście, oprawionego wypracowania na temat „Dzień, który odmienił moje życie” - wisiało za to mnóstwo katolickich obrazków i dużo zdjęć. Nie byłem zaskoczony, kiedy rozpoznałem kilku uwiecznionych na nich ludzi.

- Zamknij drzwi za sobą, co?

Odciałem nas od ciemnego i niepokojącego Lisbon Falls, i zaciągnąłem obie zasuw.

- Rygiel też, jeśli łaska.

Przekręciłem zamek i usłyszałem głośny szcęk. Harry w tym czasie jeździł po salonie i zapalał takie same lampy naftowe z wysokim kloszem, jakie mgliście pamiętałem z domu mojej babci Sarie. Oświetlały pokój lepiej niż lampa Coleman i kiedy zgasilem jej jaskrawy biały blask, Harry Dunning pokiwał głową z aprobatą.

- Jak szanowny pan się nazywa? Moje imię już znasz.
- Jake Epping. Zgaduję, że nic ci to nie mówi?

Pomyślał, po czym pokręcił głową.

- A powinno?
- Pewnie nie.

Wyciągnął do mnie dłoń. Lekko drżała - pierwszy objaw jakiegoś postępującego

porażenia.

- Mimo to podam ci rękę. To się mogło paskudnie skończyć.

Z radością odwzajemniłem uścisk. Witaj, nowy przyjacielu. Witaj, stary przyjacielu.

- No dobra, skoro już to odfajkowaliśmy, możemy się z czystym sumieniem napić.

Przyniosę tego whiskacza. - Ruszył do kuchni, popychając koła wózka rękami, które, choć nieco drżące, wciąż były mocne. Wózek miał mały silnik, lecz albo nie działał, albo Harry oszczędzał akumulator. Spojrzał na mnie przez ramię. - Nie jesteś chyba niebezpieczny, co? To znaczy, dla mnie?

- Dla ciebie nie, Harry. - Uśmiechnąłem się. - Jestem twoim dobrym aniołem.

- A to, kurwa, dziwne - powiedział. - Ale co w tych czasach nie jest dziwne?

Zniknął w kuchni. Wkrótce pojawiło się więcej światła. Ciepłego, pomarańczowożółtego światła. Tu, w środku, było przytulnie. Ale tam... w świecie...

Co ja właściwie, do cholery, zrobiłem?

2

- Za co się napijemy? - spytałem, kiedy mieliśmy szklanki w rękę.

- Za lepsze czasy niż te. Odpowiada, panie Epping?

- Zdecydowanie. I mów mi Jake.

Stuknęliśmy się. Wypiliśmy. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio miałem w ustach coś mocniejszego od piwa Lone Star. Whisky smakowała jak gorący miód.

- Nie ma prądu? - spytałem, oglądając się na lampy. Wszystkie przykręcił, zapewne by oszczędzać naftę.

Skrzywił się.

- Nie jesteś stąd, co?

Pytanie to już kiedyś słyszałem. Od Franka Ancietiego we Fruit. Podczas mojej pierwszej podróży do przeszłości. Wtedy skłamałem. Teraz nie chciałem tego zrobić.

- Nie bardzo wiem, jak na to odpowiedzieć, Harry.

Zbył to wzruszeniem ramion.

- Prąd miał być przez trzy dni w tygodniu i dzisiaj jest jeden z tych dni, ale koło szóstej wyłączyli. Wierzę w Prowincjonalny Zakład Energetyczny jak w Świętego Mikołaja.

Mysząc o tym, przypomniałem sobie naklejki na samochodach. Prowincja Maine?

- Od kiedy Maine jest częścią Kanady?

Spojrzał na mnie jak na wariata, ale widziałem, że to go bawi. Dziwność, a zarazem

realność tego spotkania. Ciekaw byłem, kiedy ostatnio z kimś tak naprawdę rozmawiał.

- Od 2005 roku. Co, ktoś cię w łeb zdzielił czy jak?

- Tak się składa, że owszem. - Podeszedłem do jego wózka, ukląknęłam na to kolano, które wciąż zginało się bez oporu i bólu, i pokazałem mu łysy placek na mojej potylicy. - Kilka miesięcy temu mocno mnie pobili...

- Uhm, widziałem, jak kulałeś, kiedy biegłeś do tych gówniarzy.

- ...i wielu rzeczy nie pamiętam.

Podłoga nagle zatrzęsła się pod nami. Płomyki lamp naftowych zadrżały. Obrazki obijały się o ściany, a gipsowy Jezus z wyciągniętymi rękami chybotliwie przesunął się w stronę krawędzi kominka. Wyglądał jak człowiek myślący o samobójstwie i zważywszy na zaobserwowany przeze mnie stan rzeczy, wcale mu się nie dziwiłem.

- Ruchawka - powiedział rzeczowo Harry, kiedy wstrząsy ustały. - Je chyba pamiętasz, co?

- Nie. - Wstałem, podeszedłem do kominka i przesunąłem Jezusa z powrotem na miejsce obok jego Najświętszej Matki.

- Dzięki. Straciłem już połowę cholernych apostołów z regału w sypialni i każdego oplakuję. Należeli do mojej mamy. Ruchawki to wstrząsy tektoniczne. Często się tu zdarzają, ale silniejsze trzęsienia są na Środkowym Zachodzie i w Kalifornii. No i w Europie i Chinach, oczywiście.

- Kto żyw, ucieka do Idaho, co? - Wciąż stałem przy kominku i oglądałem oprawione zdjęcia.

- Jeszcze nie jest aż tak źle, ale... chyba wiesz, że cztery japońskie wyspy zniknęły?

Spojrzałem na niego z przerażeniem.

- Nie.

- Trzy były małe, ale zniknęła też Hokkaido. Cztery lata temu zapadła się w ocean, jakby zjechała na windzie. Naukowcy mówią, że ma to jakiś związek ze skorupą ziemską. - Dodał rzeczowo: - I że jeśli to nie ustanie, cała planeta rozleci się koło 2080 roku. A potem w Układzie Słonecznym będą dwa pasy asteroid.

Dopiłem whisky jednym haustem i alkoholowe krokodyły łyż sprawiły, że przez chwilę wszystko widziałem podwójnie. Kiedy pokój znów się wyostrzył, wskazałem na zdjęcie Harry'ego w wieku około pięćdziesięciu lat. Był na wózku, ale wyglądał rześko i zdrowo, przynajmniej od pasa w górę; nogawki spodni od garnituru wydymały się na zwiotczałych nogach. Obok stała kobieta w różowej sukience, która przypominała mi kostium Jackie Kennedy. Pamiętam, jak matka pouczała mnie, żebym nigdy nie nazywał kobiety,

która nie jest piękna, „pospolitą”; takie kobiety, wyjaśniła, mają „dobrą twarz”. Ta kobieta miała dobrą twarz.

- Twoja żona?

- Ano. Zrobili nam to zdjęcie w dwudziestą piątą rocznicę ślubu. Dwa lata później umarła. Jak wielu. Politycy powiedzą ci, że to przez bomby atomowe... od piekła w Hanoi w sześćdziesiątym dziewiątym spadło ich dwadzieścia osiem czy dziewięć. Będą przysięgać na wszystkie świętości, że to prawda, ale wszyscy wiedzą, że krosty i rak rozpleniły się w tych stronach dopiero po chińskim syndromie w elektrowni Vermont Yankee. Ludzie całe lata żądali, żeby ją zamknąć. Reakcja zawsze była taka sama: „Bez obaw, w Vermoncie wielkie trzęsienia ziemi się nie zdarzają, nie tutaj, u Pana Boga w ogródku, co najwyżej zwykłe drobne wstrząsy czy ruchawki”. Taa, jasne. Sam widzisz, jak to się skończyło.

- Rozumiem, że w Vermoncie wybuchł reaktor.

- Rozsiał promieniowanie po całej Nowej Anglii i południowym Quebecu.

- Kiedy?

- Jake, jaja sobie ze mnie robisz?

- Absolutnie nie.

- Dziewiętnastego czerwca 1999 roku.

- Przykro mi z powodu twojej żony.

- Dzięki, synu. Dobra z niej była kobieta. Kochana. Nie zasłużyła na to, co ją spotkało.

- Powoli otarł oczy ramieniem. - Dawno o niej nie rozmawiałem, ale też dawno nie miałem z kim rozmawiać. Nalać ci jeszcze tego rozweselacza?

Pokazałem palcami, że ociupinkę. Przewidywałem, że długo tu nie zostanę; musiałem przyswoić sobie całą tę fałszywą historię w pośpiechu. Miałem dużo rzeczy do zrobienia, w tym tę bodaj najważniejszą: przywrócić moją kochaną kobietę do życia. To oznaczało kolejną pogawędkę z Człowiekiem z Zieloną Kartką. Nie chciałem prowadzić jej po pijaku, ale jeszcze jeden mały drink nie mógł zaszkodzić. Potrzebowałem go. Moje uczucia wydawały się skute lodem. Może to i dobrze, bo w głowie miałem mętlik.

- Czy zostałeś sparaliżowany w czasie Ofensywy Tet? - zapytałem, myśląc: Mogło być gorzej; w poprzedniej wersji zginąłeś.

Przez chwilę patrzył na mnie bez wyrazu, po czym twarz mu się rozjaśniła.

- Jak o tym pomyśleć, to chyba rzeczywiście było Tet. Myśmy to nazywali Wielką Sajgońską Rozpierduchą 1967. Helikopter, którym leciałem, rozbił się. Miałem szczęście. Większość ludzi na pokładzie zginęła. Niektórzy byli dyplomatami, niektórzy jeszcze dziećmi.

- Tet w sześćdziesiątym siódmym - powiedziałem. - Nie w sześćdziesiątym ósmym.

- Zgadza się. Ciebie jeszcze na świecie nie było, ale na pewno czytałeś o tym w podręcznikach historii.

- Nie. - Pozwoliłem mu nalać jeszcze trochę szkockiej do mojej szklanki, tyle, żeby przykryć dno, i powiedziałem: - Wiem, że prezydent Kennedy omal nie zginął w zamachu w listopadzie 1963 roku. Potem nic nie pamiętam.

Pokręcił głową.

- Najdziwniejszy przypadek amnezji, o jakim słyszałem.

- Czy Kennedy'ego wybrali na drugą kadencję?

- Kiedy za przeciwnika miał Goldwatera? Pewnie!

- Znowu wziął Johnsona na wiceprezydenta?

- Oczywiście. Kennedy potrzebował Teksasu. I go dostał. Gubernator Connally harował dla niego jak niewolnik podczas tej kampanii, chociaż gardził Nową Granicą Kennedy'ego. Mówiło się, że poparł go ze wstydu. Ze względu na to, co się stało tamtego dnia w Dallas. Naprawdę tego nie wiesz? Nie uczyłeś się o tym w szkole?

- Ty widziałeś to na własne oczy, Harry. Wolę to usłyszeć od ciebie.

- A proszę cię bardzo - powiedział. - Usiądź sobie, synu. Przestań się gapić na te zdjęcia. Jeśli nie wiesz, że w sześćdziesiątym czwartym wybrali Kennedy'ego na drugą kadencję, nie możesz znać mojej rodziny.

Och, Harry, pomyślałem.

3

Kiedy byłem mały - miałem cztery, może nawet trzy lata - pijany wujek opowiedział mi bajkę o Czerwonym Kapturku. Nie tę znaną ze standardowych zbiorów baśni, lecz jej wersję dla dorosłych, pełną krzyków, krwi i głuchych uderzeń siekiery drwala. Do dziś żywo pamiętam, jak mi ją opowiadał, z samej treści jednak przypominam sobie tylko kilka szczegółów: kły wilka wyszczerzone w lśniącym ślinie uśmiechu, na przykład, i okrwawioną babunię wynurzającą się z rozplatanego brzucha bestii. Mówię o tym po to, by dać wam do zrozumienia, że jeśli oczekujecie „Krótkiej alternatywnej historii świata opowiedzianej przez Harry'ego Dunninga Jake'owi Eppingowi”, wybijcie to sobie z głowy. Nie tylko z powodu mojego przerażenia tym, jak fatalnie się wszystko ułożyło. Głównie przez pragnienie, żeby wrócić i wszystko naprawić.

Mimo to kilka rzeczy zostało mi w pamięci. Ogólnoświatowe poszukiwania George'a

Ambersona, na przykład. Nie przyniosły efektu - George przepadł jak kamień w wodę - ale w ciągu czterdziestu ośmiu lat po nieudanym zamachu w Dallas Amberson stał się postacią mityczną. Wybawca czy uczestnik spisku? Ludzie organizowali konwencje, na których prowadzono dyskusje na ten temat, i kiedy słuchałem, jak Harry o tym opowiadał, nie mogłem nie pomyśleć o teoriach spiskowych narosłych wokół Lee Oswalda, któremu się powiodło. Jak wiemy, przeszłość harmonizuje.

Kennedy spodziewał się łatwego zwycięstwa nad Goldwaterem w sześćdziesiątym czwartym, tymczasem wygrał różnicą mniej niż czterdziestu głosów elektorskich; ten wynik tylko najbardziej zagorzali zwolennicy Partii Demokratycznej uznali za przyzwoity. Na początku drugiej kadencji rozwścieczył prawicowych wyborców i kręgi wojskowe, oświadczając: „Wietnam Północny stanowi mniejsze zagrożenie dla naszej demokracji niż nierówność rasowa w naszych szkołach i miastach”. Nie wycofał wszystkich amerykańskich wojsk, ich obecność jednak ograniczył do Sajgonu i jego bezpośrednich okolic, który to obszar nazwano - a to ci dopiero niespodzianka - Zieloną Strefą. Zamiast wysłać do Wietnamu dużą liczbę żołnierzy, druga administracja Kennedy'ego słała duże sumy pieniędzy. Tak jest po amerykańsku.

Wielkie reformy praw obywatelskich w latach sześćdziesiątych nigdy nie zostały wprowadzone. Kennedy to nie był LBJ, a jako wiceprezydent Johnson nijak nie mógł mu pomóc. Republikanie i demokraci z Południa blokowali obrady Senatu przez sto dziesięć dni; jeden nawet umarł za mównicą i został bohaterem prawicy. Kiedy Kennedy wreszcie dał za wygraną, rzucił luźną uwagę, która miała go prześladować aż do śmierci w 1983 roku: „Biała Ameryka wypełniła swój dom opalem; teraz zapłonie”.

Potem wybuchły zamieszki na tle rasowym. Podczas gdy Kennedy był nimi zaprzątnięty, wojska Wietnamu Północnego zajęły Sajgon - a człowiek, przez którego wpakowałem się w całą tę historię, został sparaliżowany, kiedy wiozący go helikopter rozbił się na pokładzie amerykańskiego lotniskowca. Popularność JFK zaczęła spadać na łeb, na szyję.

Miesiąc po upadku Sajgonu Martin Luther King został zamordowany w Chicago. Zabójcą okazał się niesubordynowany agent FBI Dwight Holly. Zanim sam zginął, twierdził, że dokonał zamachu na zlecenie Hoovera. Chicago stanęło w ogniu. Podobnie jak kilkanaście innych amerykańskich miast.

George Wallace wygrał wybory prezydenckie. Wtedy trzęsienia ziemi zaczęły się na dobre. Wallace nie mógł nic na nie poradzić, więc poprzestał na zrzuconiu bomb zapalających na zrewoltowane Chicago. To, powiedział Harry, było w czerwcu 1969 roku. Rok później

prezydent Wallace przedstawił Ho Chi Minhowi ultimatum: albo Sajgon będzie wolnym miastem jak Berlin, albo Hanoi stanie się miastem wymarłym, jak Hiroszima. Wujek Ho odmówił. Jeśli sądził, że Wallace blefuje, mylił się. Dziewiątego sierpnia 1970 roku, dokładnie dwadzieścia pięć lat po tym, jak Harry Truman zrzucił bombę Fat Man na Nagasaki, Hanoi zmieniło się w radioaktywną chmurę. Wiceprezydent Curtis LeMay osobiście dowodził akcją. W orędziu do narodu Wallace nazwał to, co się stało, wołą Bożą. Większość Amerykanów zgadzała się z nim. Wallace cieszył się wysokim poparciem, ale co najmniej jeden człowiek go nie popierał. Nazywał się Arthur Bremer i piętnastego maja 1972 roku zastrzelił Wallace'a na spotkaniu wyborczym w centrum handlowym w Laurel w stanie Maryland.

- Z jakiej broni?

- Zdaje się, że to był rewolwer kalibru .38.

Oczywiście, że tak. Może Police Special, raczej jednak model Victory, taki, jaki pozbawił życia funkcjonariusza Tippita na innej stronie czasu.

Traciłem wątek. Zaczęła mi w głowie huczeć jak gong ta myśl: Muszę to naprawić, muszę to naprawić, muszę to naprawić.

Hubert Humphrey został prezydentem w siedemdziesiątym drugim roku. Trzęsienia ziemi były coraz gorsze. Liczba samobójstw na świecie gwałtownie wzrosła. Szerzyły się wszelkiej maści fundamentalizmy, a z nimi terroryzm na tle religijnym. Wybuchła wojna między Indiami a Pakistanem; wyrosły kolejne grzyby atomowe. Bombaj nigdy nie stał się Mumbaiem. Zamiast tego stał się radioaktywnym pyłem na rakotwórczym wietrze.

To samo Karaczi. Dopiero kiedy Rosja, Chiny i Stany Zjednoczone zagroziły, że będą bombardować oba kraje, aż cofną je do epoki kamienia łupanego, działania wojenne ustały.

W 1976 roku Humphrey sromotnie przegrał z Ronaldem Reaganem; nie zdobył większości głosów nawet w rodzinnej Minnesocie.

Setki ludzi popełniły masowe samobójstwo w Jonestown w Gujanie.

W listopadzie 1979 roku irańscy studenci zajęli ambasadę amerykańską w Teheranie, biorąc nie sześćdziesięciu sześciu, lecz ponad dwustu zakładników. Głowy leciały przed kamerami irańskiej telewizji. Nauczony doświadczeniem piekła w Hanoi Reagan nie ruszył bomb nuklearnych z luków i silosów, za to wysłał *beaucoup* wojska. Pozostali zakładnicy zostali oczywiście zarżnięci i nowo powstałe ugrupowanie terrorystyczne, które przyjęło nazwę Baza - po arabsku Al-Qaeda - zaczęło podkładać miny-pułapki na drogach, gdzie popadnie.

- Facet miał gadane jak mało kto, ale nie rozumiał wojującego islamu - stwierdził

Harry.

Beatlesi zeszli się i zagrali Koncert Pokoju. Zamachowiec samobójca wysadził się w powietrze na widowni i zabił trzystu widzów. Paul McCartney stracił wzrok.

Wkrótce potem Bliski Wschód stanął w ogniu.

Rosja upadła.

Jakaś grupa - prawdopodobnie przebywający na emigracji twardogłowi rosyjscy fanatycy - zaczęła sprzedawać broń jądrową organizacjom terrorystycznym, w tym także Bazie.

- W 1994 roku - powiedział Harry swoim suchym głosem - z pól naftowych w tamtym rejonie zostało już tylko czarne szkło. Takie, co świeci w ciemności. Od tego czasu jednak terroryzm jakby się wypalił. Dwa lata temu ktoś wysadził walizkową bombę jądrową w Miami, ale skutki były mizerne. To znaczy, przez najbliższe sześćdziesiąt-osiemdziesiąt lat nie będzie żadnych imprez na South Beach... a Zatoka Meksykańska to w zasadzie martwa zupa... ale tylko dziesięć tysięcy ludzi zmarło na chorobę popromienną. Wtedy to już nie był nasz problem. Maine zdecydowało w referendum, że przyłączy się do Kanady, i prezydent Clinton nawet słowem nie...

- Bill Clinton jest prezydentem?

- Boże, nie. Miał nominację w 2004 w kieszeni, ale podczas konwencji umarł na atak serca. Zastąpiła go żona. To ona jest prezydentem.

- I jak sobie radzi?

Harry pokiwał dłonią na boki.

- Nie najgorzej... ale trzęsień ziemi nie uregulujesz ustawą. A ostatecznie to właśnie one nas załatwią.

W górze znów rozległ się ten bulgoczący warkot. Podniosłem głowę. Harry nie.

- Co to? - spytałem.

- Synu, tego nie wie nikt. Naukowcy spierają się o to, ale myślę, że bliżsi prawdy mogą być kaznodzieje. Twierdzą, że to Bóg się szykuje, by zburzyć dzieło rąk swoich, tak jak Samson zburzył Świątynię Filistynów. - Dopił resztę whisky. Blade rumieńce wykwitły na jego policzkach... które, z tego, co zauważyłem, były bez krost popromiennych. - I myślę, że akurat w tym przypadku mogą mieć rację.

- Chryste wszechmogący! - jęknąłem.

Spojrzał na mnie ze spokojem.

- Wystarczy ci tej lekcji historii, synu?

Wystarczy na całe życie.

4

- Muszę iść - powiedziałem. - Dasz sobie radę?

- Dopóty, dopóki będę w stanie. Jak wszyscy. - Przyjrzał mi się uważnie. - Jake, skąd ty spadłeś? I dlaczego, do licha, mam wrażenie, że cię znam?

- Może dlatego, że zawsze znamy nasze dobre anioły?

- Gówno prawda.

Chciałem już stąd odejść. Ogólnie biorąc, sądziłem, że moje życie po następnym resecie będzie dużo prostsze. Najpierw jednak, jako że Harry był porządnym człowiekiem, który wiele wycierpiał we wszystkich trzech swoich wcieleniach, znów podszedłem do kominka i zdjąłem jedną z oprawionych fotografii.

- Ostrożnie - burknął Harry z rozdrażnieniem. - To moja rodzina.

- Wiem. - Włożyłem w jego sękate, pokryte starczymi plamami dłonie czarno-białe zdjęcie, które, sądząc po nieco rozmytym obrazie, było powiększeniem z fotki pstrykniętej kodakiem. - Twój tata to zrobił? Pytam, bo tylko jego tu nie widzę.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem, po czym opuścił wzrok na zdjęcie.

- Nie. Nasza sąsiadka, latem 1958 roku. Tata i mama wtedy już byli w separacji.

Byłem ciekaw, czy to ta sama sąsiadka, którą widziałem, gdy paliła papierosa, myła samochód i przyskała wodą na psa. Jakoś byłem przekonany, że tak. Z głębin mojego umysłu, jak dźwięk dobywający się z głębokiej studni, dobiegły głosy dziewczynek ze skakanką, recytujące: „Mój stary w łodzi podwodnej jest”.

- Dużo pił - mówił dalej Harry. - W tamtych czasach nie przywiązywało się do tego takiej wagi, wielu facetów piło i mieszkało pod jednym dachem z żonami, ale on po pijaku dostawał białej gorączki.

- Nie wątpię - powiedziałem.

Spojrzał na mnie znowu, bardziej przenikliwie, po czym się uśmiechnął. Stracił większość zębów, ale uśmiech mimo to wciąż miał w miarę sympatyczny.

- Co ty możesz o tym wiedzieć. Ile masz lat, Jake?

- Czterdzieści. - Choć byłem pewien, że tamtego wieczoru wyglądałem na więcej.

- Co znaczy, że urodziłeś się w 1971

Tak naprawdę w siedemdziesiątym szóstym, ale nie mogłem mu tego powiedzieć, nie wspominając o pięciu zagubionych latach, które wpadły do króliczej nory jak Alicja do Krainy Czarów.

- Blisko. To zdjęcie zostało zrobione pod domem na Kossuth Street. - Wymówiłem to

tak, jak mieszkańcy Derry: Cossut.

Postukałem palcem w Ellen, która stała na lewo od matki, i pomyślałem o jej dorosłej wersji, z którą rozmawiałem przez telefon - nazwijmy ją Ellen 2.0. Pomyślałem też - to nieuniknione - o Ellen Dockerty, jej harmonicznego odpowiedniczce, którą poznałem w Jodie.

- Tu tego nie widać, ale miała marchewkowe włosy, prawda? Jak miniaturowa Lucille Bali.

Harry nic nie mówił, tylko gapił się na mnie.

- Została komiczką? Czy robi w innej branży? W radiu, może w telewizji?

- Prowadzi program na CBC Prowincji Maine - powiedział słabym głosem. - Ale skąd...

- To Troy... a to Arthur, znany też jako Tugga... a to ty, matka cię obejmuje ramieniem. - Uśmiechnąłem się. - Tak jak Bóg tego chciał. - Gdyby tylko to mogło tak zostać. Gdyby tylko.

- Ja... ty...

- Twój ojciec został zamordowany, prawda?

- Tak. - Rurka przekrzywiła się w jego nosie i wyprostował ją powolnym ruchem ręki człowieka, który śni z otwartymi oczami. - Ktoś zastrzelił go na cmentarzu Longview, kiedy składał kwiaty na grobie rodziców. Zaledwie kilka miesięcy po tym, jak sąsiadka zrobiła to zdjęcie. Policja aresztowała Billa Turcotte'a...

Aj, tego nie przewidziałem.

- ...ale miał mocne alibi i ostatecznie musieli go puścić. Zabójcy nigdy nie złapano. - Wziął mnie za rękę. - Proszę pana... synu... Jake... to szaleństwo, wiem, ale... czy to ty zabiłeś mojego ojca?

- Nie, oczywiście, że nie. - Powiesiłem zdjęcie z powrotem na ścianie. - Urodziłem się dopiero w siedemdziesiątym pierwszym, pamiętasz?

5

Powoli ruszyłem Main Street z powrotem do ruin fabryki i opuszczonego sklepu Quik-Flash. Szedłem z pochyloną głową, nie rozglądając się za Beznosym, Gołodupcem i resztą wesołej gromadki. Sądziłem, że jeśli nadal są gdzieś w pobliżu, ominą mnie szerokim łukiem. Uważali, że jestem szalony. I pewnie byłem.

„Wszyscy tu jesteśmy szaleni”, powiedział Kot z Cheshire do Alicji. A potem zniknął. Oprócz uśmiechu, rzecz jasna. O ile dobrze pamiętam, uśmiech jeszcze jakiś czas pozostał.

Rozumiałem już więcej. Nie wszystko, wątpię, czy nawet Ludzie Z Kartkami wszystko rozumieją (a po dłuższej służbie nie rozumieją prawie nic), ale to i tak nie pomogło mi w podjęciu decyzji, którą podjąć musiałem.

Kiedy schyliłem się pod łańcuchem, coś wybuchło w oddali. Nie podskoczyłem. Domyślałem się, że w tym świecie jest dużo wybuchów. Jak wszędzie tam, gdzie ludzie tracą nadzieję.

Wszedłem do ubikacji na tyłach sklepu i omal się nie potknąłem o mój płaszcz podbity kozuchem. Odkopnąłem go na bok - tam, dokąd się wybierałem, nie będzie mi potrzebny - i powoli podszedłem do sterty pudeł, która tak bardzo przypominała stanowisko snajperskie Lee Oswalda.

Cholerne harmonie.

Odsunąłem dość pudeł, by móc wejść do kąta, po czym ostrożnie ustawiłem je za sobą w stos. Ruszyłem przed siebie, kroczyłem po kroczyku, raz jeszcze czując się jak ktoś, kto szuka szczytu schodów w całkowitej ciemności. Nie było jednak schodka, tylko to dziwne rozdwojenie. Poszedłem naprzód, patrzyłem, jak dolna połowa mojego ciała faluje, po czym zamknąłem oczy.

Jeszcze jeden krok. I następny. Teraz poczułem ciepło na nogach. Dwa następne kroki i słońce zmieniło czerń pod moimi powiekami w czerwień. Jeden krok i usłyszałem pyknięcie w głowie. A potem „sza-SZUUU, sza-SZUUU” krosien tkackich.

Otworzyłem oczy. Smród brudnej, opuszczonej toalety przeszedł w smród zakładów tkackich pracujących pełną parą w czasach, gdy jeszcze nie było Agencji Ochrony Środowiska. Pod nogami miałem popękany cement zamiast szarego linoleum. Po mojej lewej stronie stały wielkie metalowe pojemniki wypełnione resztkami materiału, nakryte grubymi płachtami. Po prawej suszarnia. Była jedenasta pięćdziesiąt osiem rano dziewiątego września 1958 roku. Harry Dunning znów był małym chłopcem. Carolyn Poulin była na piątej lekcji w LHS, może słuchała nauczyciela, może marzyła o jakimś chłopaku albo o polowaniu z ojcem za parę miesięcy. Sadie Dunhill, jeszcze niezamężna z panem Miotłowym, mieszkała w Georgii. Lee Harvey Oswald był na Morzu Południowochińskim ze swoją jednostką piechoty morskiej. A młody senator z Massachusetts John F. Kennedy marzył o prezydenturze.

Wróciłem.

6

Podszedłem do łańcucha i przegramoliłem się dołem. Po drugiej stronie przez chwilę

stałem w całkowitym bezruchu, jeszcze raz przebiegając myślą swój plan. Potem poszedłem na koniec suszarni. Za rogiem, oparty o ścianę, stał Człowiek z Zieloną Kartką. Tyle że kartka nie była już zielona. Przybrała brudny odcień ochry, kolor pomiędzy żółtym a zielonym. Nieodpowiedni na tę porę roku płaszcz Zacka Langa był przykurzony, a elegancka wcześniej fedora wydawała się wymięta i jakoś smętna. Policzki, poprzednio gładko ogolone, teraz pokrywał zarost... i zarost ten siwiał. Oczy Zack Lang miał przekrwione. Jeszcze nie pił - przynajmniej nie czułem od niego alkoholu - ale wydawało się, że niedługo zacznie. Bądź co bądź, zielony sklep był na jego małym obszarze działania, a obejmowanie myślą tych wszystkich strun czasu musi boleć. Liczne przeszłości to jedno, ale kiedy jeszcze dodać liczne przyszłości? Każdy sięgnąłby po gorzałę, gdyby była pod ręką.

Spędziłem w 2011 roku godzinę. Może trochę więcej. Ile czasu upłynęło w jego odczuciu? Nie wiedziałem. Nie chciałem wiedzieć.

- Dzięki Bogu - powiedział... tak jak poprzednio. Kiedy jednak znów chciał chwycić obiema rękami moją dłoń, cofnąłem się. Paznokcie teraz miał długie i czarne z brudu. Palce mu drżały. To były dłonie - i płaszcz, i kapelusz, i kartka w rondzie kapelusza - potencjalnego pijaczyny. - Wiesz, co musisz zrobić - rzekł.

- Wiem, co chcesz, żebym zrobił.

- To, czego chcę, nie ma nic do rzeczy. Musisz jeszcze raz wrócić. Jeśli wszystko będzie w porządku, wyjdiesz w barze. Niedługo potem go usuną, a wtedy bąbel, który spowodował całe to szaleństwo, pęknie. To cud, że w ogóle przetrwał tak długo. Musisz zamknąć krąg.

Znów wyciągnął do mnie ręce. Tym razem nie przestałem na cofnięciu się; odwróciłem się i pobiegłem na parking. Rzucił się w pościg za mną. Chore kolano nie pozwoliło mi zostawić go tak daleko w tyle, jak to byłoby w innych okolicznościach. Słyszałem go tuż za sobą, kiedy mijałem plymoutha fury identycznego jak samochód, który widziałem i zlekceważyłem pewnej nocy na dziedzińcu Candlewood Bungalows. Wpadłem na skrzyżowanie Main i Old Lewiston Road. Po drugiej stronie wieczny buntownik w stylu rockabilly stał oparty nogą o drewniany siding Fruit.

Przebiegłem przez tory z obawą, że chora noga zawiedzie mnie na tłuczniu, ale to Lang potknął się i upadł. Usłyszałem, jak krzyknął - to był rozpaczliwy, samotny skrzek - i przez chwilę zrobiło mi się go żal. Ciężki miał facet obowiązek. Nie pozwoliłem jednak, by współczucie mnie spowolniło. Nakazy miłości są okrutne.

Nadjeżdżał autobus Lewiston Express. Ruszyłem chwiejnym krokiem przez skrzyżowanie i kierowca zatrafił na mnie. Pomyślałem o innym autobusie, pełnym ludzi,

którzy chcieli zobaczyć prezydenta.

I Pierwszą Damę, oczywiście, tę w różowym kostiumie. Róże leżące między nimi na siedzeniu. Nie żółte, lecz czerwone.

- Jimla, wróć!

To prawda. A jednak to ja byłem Jimlą, potworem z koszmaru Rosette Templeton. Pokuśtykałem obok Kennebec Fruit, daleko przed Człowiekiem z Ochrową Kartką. Wygram ten wyścig. Byłem Jakiem Eppingiem, nauczycielem szkoły średniej; byłem George'em Ambersonem, początkującym powieściopisarzem; byłem Jimlą, którego każdy krok narażał cały świat na niebezpieczeństwo.

A mimo to biegłem dalej.

Myślałem o Sadie, wysokiej, spokojnej i pięknej, i biegłem dalej. O Sadie, która była wypadkogenna i miała potknąć się o złego człowieka, który nazywa się John Clayton. Przyplaci to czymś więcej niż tylko siniaki na łydkach. „Świat bezpowrotnie dla miłości stracony” - to z Drydena czy z Pope'a?

Zatrzymałem się przy Titus Chevron, ciężko dysząc. Po drugiej stronie ulicy bitnik, właściciel Jolly White Elephant, palił fajkę i patrzył na mnie. Człowiek z Ochrową Kartką stał u wylotu zaułka za Kennebec Fruit. Najwyraźniej tylko tam mógł dojść.

Wyciągnął do mnie rękę. Już na to przykro było patrzeć. Potem padł na kolana i splótł dłonie jak do modlitwy, co było jeszcze gorsze.

- Proszę, nie rób tego! Na pewno znasz koszty!

Znałem, a mimo to pospieszyłem dalej. Na skrzyżowaniu zaraz za kościołem Świętego Józefa stała budka telefoniczna. Zamknąłem się w środku, zajrzałem do książki telefonicznej i wrzuciłem dziesięciocentówkę do automatu.

Kiedy przyjechała taksówka, kierowca palił lucky strike'i, a jego radio było ustawione na WJAB.

Historia się powtarza.

ZAPISKI KOŃCOWE

30/9/58

Zamelinowałem się w domku numer 7 w motelu Tamarack.

Zapłaciłem pieniędzmi z portfela ze strusia, który dostałem od starego kumpla. Pieniądze, jak mięso kupowane w supermarkecie Red and White i koszule ze sklepu odzieżowego Mason's, zostają. Jeśli każda podróż to rzeczywiście pełny reset, nie powinny, ale pełnym resetem nie jest, więc zostają. Pieniądze nie były od Ala, lecz agent Hosty przynajmniej pozwolił mi uciec, co być może wyjdzie światu na dobre.

A może nie. Nie wiem.

Jutro pierwszy października. W Derry dzieci Dunningów nie mogą się doczekać Halloween i już myślą o swoich kostiumach. Ellen, ta mała figlarna ślicznotka, chce przebrać się za księżniczkę Summerfall Winterspring. Nie dostanie takiej okazji. Gdybym pojechał dziś do Derry, mógłbym zabić Franka Dunninga i uratować jej Halloween, ale tego nie zrobię. Nie pojadę też do Durham ocalić Carolyn Poulin przed zbłąkaną kulą Andy'ego Culluma. Czy wybiorę się do Jodie? Uratować Kennedy'ego nie mogę, co do tego nie ma wątpliwości, ale czy przyszłość świata naprawdę jest aż tak krucha, że nie pozwoli dwóm nauczycielom szkoły średniej poznać się i pokochać? Pobrać się, tańczyć do „I Want to Hold Your Hand” Beatlesów i żyć szarym życiem?

Nie wiem, nie wiem.

Może nie będzie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Nie będziemy już mieli trzydziestu pięciu i dwudziestu ośmiu lat; tym razem będę miał czterdzieści dwa albo trzy lata. A wyglądam jeszcze starzej. Ale, proszę ja was, wierzę w miłość; miłość to jedyna w swoim rodzaju przenośna magia. Nie sądzę, by była zapisana w gwiazdach, ale wierzę, że krew do krwi ciągnie, dusza do duszy, a serce do serca.

Sadie tańcząca madisona, z zarumienionymi policzkami, roześmiana.

Sadie prosząca, żebym jeszcze raz oblizał jej usta.

Sadie pytająca, czy chcę wejść i czy mam ochotę na keks.

Jeden mężczyzna, jedna kobieta. Czy to wygórowana prośba?

Nie wiem, nie wiem.

Co tu robię, zapytacie, skoro odłożyłem na bok moje skrzydła dobrego anioła? Piszę. Mam wieczne pióro - to, które dostałem od Mike' a i Bobbi Jill, pamiętacie ich - i na targu kupiłem dziesięć nabożów do niego. Atrament jest czarny, akurat pod mój nastrój. Kupiłem też dwa tuziny grubych notesów i zapisałem wszystkie oprócz jednego. Niedaleko targu jest sklep Western Auto; tam zaopatrzyłem się w szpadel i stalową kasetkę, taką z zamkiem szyfrowym. Za wszystkie moje zakupy zapłaciłem w sumie siedemnaście dolarów i dziewiętnaście centów. Czy te rzeczy wystarczą, by uczynić świat mrocznym i brudnym? Co stanie się ze sprzedawcą, którego losy zoczyły z naznaczonego im toru tylko za sprawą naszej krótkiej transakcji?

Nie wiem, ale wiem to: kiedyś dałem futboliście ze szkolnej drużyny szansę na to, by zabłysnął jako aktor, i jego najlepszy przyjaciel zginął. Jego dziewczyna została oszpecona. Możecie powiedzieć, że to nie była moja wina, ale wiemy, że to nieprawda, mam rację? Motyl rozpościera skrzydła.

Przez trzy tygodnie pisałem dzień w dzień, od rana do wieczora. W niektóre dni dwanaście godzin. W inne czternaście. Pióro śmigало po papierze. Ręka bolała. Moczyłem ją, potem pisałem dalej. W niektóre wieczory chodziłem do kina samochodowego, gdzie obowiązuje specjalna stawka dla niezmotoryzowanych: trzydzieści centów. Siadałem na jednym z krzeseł rozkładanych przed bufetem, obok placu zabaw dla dzieci. Znow obejrzałem „Długie, gorące lato”. Obejrzałem „Most na rzece Kwai” i „Południowy Pacyfik”. Obejrzałem HORRORYSTYCZNY SEANS PODWÓJNY, na który składały się „Mucha” i „Blob, zabójca z kosmosu”. I zastanawiałem się, co zmieniam. Nawet jeśli tylko rozgniatałem robaka, zachodziłem w głowę, co się przez to zmieni za dziesięć lat. Albo dwadzieścia. Albo czterdzieści.

Nie wiem, nie wiem.

Wiem jedno: przeszłość jest nieustępliwa z tego samego powodu, dla którego nieustępliwa jest skorupa żółwia - bo żywe ciało pod nią jest delikatne i bezbronne.

I wiem coś jeszcze: wszystkie codzienne wybory i możliwości to muzyka, do której tańczymy. Są jak struny gitary. Trać je, to wydadzą przyjemny dźwięk. Harmoniczny. Potem jednak zacznij dodawać kolejne struny. Dziesięć, sto, tysiąc, milion strun. Bo one się mnożą! Harry nie wiedział, czym był ten bulgoczący warkot na niebie, ale ja jestem prawie pewien, że wiem - to dźwięk zbyt wielkiej harmonii wytworzonej przez zbyt wiele strun.

Zaśpiewaj wysokie C dostatecznie głośno i czysto, a rozbijesz delikatny kryształ. Puść wystarczająco głośno odpowiednie nuty harmoniczne na odtwarzaczu stereo, a rozbijesz szkło okienne. Z tego wynika (przynajmniej jak dla mnie), że jeśli założysz wystarczająco dużo

strun na instrument czasu, możesz rozbić rzeczywistość.

Jednak reset za każdym razem jest prawie pełny. Owszem, zostaje osad. Tak powiedział Człowiek z Ochrową Kartką i ja mu wierzę. Ale jeśli nie dokonam żadnych dużych zmian... jeśli nie zrobię nic poza tym, że pojadę do Jodie i znów poznam Sadie... jeśli przypadkiem zakochamy się w sobie...

Chcę tego i myślę, że to się stanie. Krew ciągnie do krwi, serce do serca. Będzie chciała mieć dzieci. Ja też. Wmawiam sobie, że jedno dziecko mniej lub więcej nie robi różnicy. A przynajmniej niewielką różnicę. To samo dwoje dzieci. Nawet troje. (W końcu to Era Dużych Rodzin). Będziemy żyć po cichu. Nie będziemy mącić wody.

Tylko że każde dziecko jest falą.

Każdy nasz oddech jest falą.

„Musisz jeszcze raz wrócić - powiedział Człowiek z Ochrową Kartką. - Musisz zamknąć krąg. To, czego chcę, nie ma nic do rzeczy”.

Czy naprawdę mogłem myśleć o tym, by narazić świat - a może samą rzeczywistość - dla kobiety, którą kocham? W porównaniu z tym szaleństwo Lee to pestka.

Człowiek z kartką za wstążką kapelusza czeka na mnie koło suszarni. Czuję, że tam jest. Chyba wysyła fale myślowe, bo mam wrażenie, że je odbieram: Wróć. Nie musisz być Jimlą. Jeszcze nie jest za późno, żeby znowu być Jakiem. Pozytywnym bohaterem, dobrym aniołem. Mniejsza z ratowaniem prezydenta; uratuj świat. Zrób to, dopóki jest jeszcze czas.

Tak.

Zrobię to.

Prawdopodobnie.

Jutro.

Jutro jeszcze nie będzie za późno, prawda?

1/10/58

Nadal jestem tu, w Tamarack. Nadal piszę.

Najgorsza jest niepewność co do Claytona. To o nim myślałem, kiedy wkręcałem ostatni nabój do mojego wiernego pióra, i o nim myślę teraz. Gdybym wiedział, że nic jej z jego strony nie grozi, chyba mógłbym dać za wygraną. Czy John Clayton pojawi się w domu Sadie na Bee Tree Lane, nawet jeśli usunę się na bok? Może wpadł w szal dopiero wtedy, kiedy zobaczył nas razem. Z drugiej strony - pojechał za nią do Teksasu, zanim się o nas dowiedział, i jeśli zrobi to znowu, może tym razem rozpruje jej gardło zamiast policzka. A że mnie i Deke'a przy tym nie będzie, nie będziemy go mogli powstrzymać.

Tyle że mógł o nas wiedzieć już wcześniej. Może Sadie napisała do znajomej z Savannah, znajoma powiedziała swojej znajomej i wiadomość, że Sadie żyje z facetem - takim, który nie znał nakazów miotły - w końcu dotarła do jej byłego męża. Jeśli bez mojego udziału nic z tego się nie wydarzy, Sadie będzie bezpieczna.

Dama czy tygrys?

Nie wiem, nie wiem.

Pogoda robi się jesienna.

6/10/58

Wczoraj wieczorem poszedłem do kina samochodowego. To ostatni weekend. W poniedziałek wywieszają napis ZAMKNIĘTE DO WIOSNY i może dodadzą coś w stylu JESZCZE LEPSZE FILMY W '59! Ostatni seans składał się z dwóch filmów krótkometrażowych, kreskówki z Królikiem Bugsem i dwóch horrorów, „Macabre” i „The Tingler”. Usiadłem na moim zwykłym rozkładanym krześle i obejrzałem „Macabre” niewidzącym wzrokiem. Było mi zimno. Stać mnie na płaszcz, ale boję się robić za dużo zakupów. Ciągle myślę o zmianach, jakie mogłyby wywołać.

Po pierwszym filmie poszedłem jednak do bufetu. Zamówiłem gorącą kawę. (Myśląc: To nie może wiele zmienić, i odpowiadając samemu sobie: A skąd wiesz?). Kiedy wyszedłem, na placu zabaw, który jeszcze miesiąc temu na przerwie byłby pełny, zobaczyłem tylko jedno dziecko. Dziewczynkę w kurtce dżinsowej i jaskrawoczerwonych spodniach. Skakała na skakance. Wyglądała jak Rosette Templeton.

- Szłam sobie drogą, zabłocona była - recytowała. - Potknęłam się, w palec się skaleczyłam. Wszyscy razem: dwa, trzy, cztery, fest! Mój ukochany motylem jest!

Nie mogłem zostać. Za bardzo się trząsałem.

Może poeci potrafią zabić świat dla miłości, ale nie zwykli, mali ludzie jak ja. Jutro, o ile królicza nora nadal tam będzie, wrócę. Ale przedtem...

W bufecie kupiłem nie tylko kawę.

7/10/58

Kasetka z Western Auto stoi otwarta na łóżku. Szpadel jest w szafie (co pokojówka o tym pomyślała, nie mam pojęcia). Atrament w ostatnim naboju wyczerpuje się, ale to nic; jeszcze dwie-trzy strony i koniec. Włożę rękopis do kasetki i zakopię ją nad glinianką, do której kiedyś wyrzuciłem mój telefon komórkowy. Pogrzebię ją głęboko w tej miękkiej, ciemnej ziemi. Może pewnego dnia ktoś ją znajdzie. Może będziesz to ty. O ile przyszłość

istnieje i o ile istniejesz ty, rzecz jasna. Wkrótce się o tym przekonam.

Wmawiam sobie (z nadzieją, ze strachem), że moje trzy tygodnie w Tamarack nie mogły wiele zmienić; Al spędził w przeszłości cztery lata i wrócił do nienaruszonej teraźniejszości... choć przyznaję, że czasem zastanawiam się nad możliwym związkiem podróży Ala z hekatombą w World Trade Center. Przekonuję sam siebie, że takiego związku nie ma... ale i tak się zastanawiam.

Powinienem też wam powiedzieć, że nie uważam już roku 2011 za moją teraźniejszość. Philip Nolan był Człowiekiem bez Ojczyzny; ja jestem Człowiekiem bez Epoki. I podejrzewam, że na zawsze nim pozostanę. Nawet jeśli rok 2011 wciąż istnieje, będę tam nieznanym gościem.

Obok mnie na biurku leży pocztówka ze zdjęciem samochodów stojących przed wielkim ekranem. Tylko takie sprzedają w bufecie kina samochodowego w Lisbon Falls. Napisałem wiadomość i napisałem adres: p. Deacon Simmons, Jodie High School, Jodie, Teksas. Już miałem napisać Denholm Consolidated High School, ale tę nazwę szkoła otrzyma dopiero za rok.

Wiadomość jest treści: *Drogi Deke'u, kiedy zjawi się u Was nowa bibliotekarka, czuwaj nad nią. Będzie potrzebowała dobrego anioła, zwłaszcza w kwietniu 1963. Proszę, uwierz mi.*

Nie, Jake, słyszę szept Człowieka z Ochrową Kartką. Nawet to już za dużo. Jeśli Johnowi Claytonowi pisane jest ją zabić i tego nie zrobi, nastąpią zmiany... a, jak sam widziałeś, nigdy nie są to zmiany na lepsze. Bez względu na to, jak szlachetnymi pobudkami się kierujesz.

Ale tu chodzi o Sadie! - tłumaczę mu i choć nie można o mnie powiedzieć, że jestem skłonny do łez, teraz napływają mi do oczu. Są bolesne, pieką. Chodzi o Sadie, a ja ją kocham! Jak mogę siedzieć z założonymi rękami, kiedy on może ją zabić?

Odpowiedź jest tak nieustępliwa, jak sama przeszłość: Zamknij krąg.

Dlatego drę pocztówkę na kawałki, wrzucam je do popielniczki i podpalam. Nie ma alarmu pożarowego, który wyciem oznajmiłby światu, co zrobiłem. Jest tylko mój chrapliwy szloch. To tak jakbym zabił ją własnymi rękami. Wkrótce zakopię kasetkę z rękopisem w środku, a potem wrócę do Lisbon Falls, gdzie Człowiek z Ochrową Kartką na pewno ucieszy się na mój widok. Nie zamówię taksówki; zamierzam pokonać całą drogę pieszo, pod gwiazdami. Chyba chcę się pożegnać. Serca tak naprawdę się nie łamią. Gdyby tylko mogły.

Na razie wybieram się do łóżka, gdzie położę mokrą twarz na poduszce i będę się modlił do Boga, w którego jakoś nie mogę uwierzyć, by zesłał mojej Sadie jakiegoś dobrego

aniola, żeby mogła żyć. I kochać. I tańczyć.

Żegnaj, Sadie.

Nigdy mnie nie poznałaś, ale kocham cię, skarbie.

OBYWATEL STULECIA (2012)

1

Domyślam się, że dom słynnego Mniamburgra już zniknął, zastąpiony przez L.L. Bean's Express, ale pewien nie jestem; nie zadałem sobie trudu, żeby sprawdzić to w Internecie. Wiem tylko, że był na swoim miejscu, kiedy wróciłem po wszystkich moich przygodach. Podobnie jak cały otaczający go świat.

Przynajmniej jak dotąd.

Nie wiem, jak to jest z tym Bean's Express, bo to był mój ostatni dzień w Lisbon Falls. Wróciłem do mojego domu w Sabbatus, nadrobiłem braki w sspaniu, po czym spakowałem dwie walizki i kota i pojechałem na południe. Zatrzymałem się po paliwo w małej mieścinie w Massachusetts o nazwie Westborough i uznałem, że to miejsce w sam raz dla człowieka, który nie ma żadnych konkretnych perspektyw i niczego już nie oczekuje od życia.

Pierwszą noc spędziłem w Hampton Inn. Było Wi-Fi. Wszedłem do Internetu - serce waliło mi tak mocno, że miałem mroczki w oczach - i otworzyłem stronę „Dallas Morning News”. Po wprowadzeniu numeru mojej karty kredytowej (palce tak mi drżały, że udało się dopiero po kilku nieudanych podejściach) uzyskałem dostęp do archiwum. Artykuł o nieznanym zamachowcu, który strzelił do Edwina Walkera, był tam, gdzie być powinien, w numerze z jedenastego kwietnia 1963 roku, ale dzień później nie napisali ani słowa o Sadie. Przez cały następny tydzień też nie. Ani przez następny. Polowałem dalej.

Znalazłem artykuł, którego szukałem, w numerze z trzydziestego kwietnia.

2

CHORY PSYCHICZNIE RANI BYŁĄ ŻONĘ, POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO

Ernie Calvert

(JODIE) W niedzielny wieczór siedemdziesięciosiedmioletni Deacon „Deke” Simmons i Ellen Dockerty, dyrektorka szkoły Denholm Consolidated, przybyli za późno, by uchronić Sadie Dunhill przed poważnymi obrażeniami, jednak tę dwudziestoosmioletnią, powszechnie lubianą bibliotekarkę z okręgu szkolnego Denholm Consolidated mógł spotkać

dużo gorszy los.

Według Douglasa Reemsa, posterunkowego z Jodie, „Gdyby Deke i Ellie nie zjawili się w porę, pani Dunhill zginęłaby prawie na pewno”.

Dwaj pedagodzy przyszli z zapiekanką z tuńczyka i puddingiem chlebowym. Żadne z nich nie chciało mówić o swojej bohaterskiej interwencji. Simmons powiedział tylko: „Szkoda, że nie przyszedliśmy wcześniej”.

Według posterunkowego Reemsa Simmons obezwładnił dużo młodszego Johna Claytona z Savannah w stanie Georgia, gdy pani Dockerty odwróciła jego uwagę, rzucając w niego zapiekanką. Simmons odebrał napastnikowi mały rewolwer. Clayton wówczas wyjął nóż, którym wcześniej rozciął byłej żonie twarz, i poderżnął sobie nim gardło. Simmons i pani Dockerty bezskutecznie próbowali zatamować krwawienie. Clayton zmarł na miejscu.

Pani Dockerty zeznała posterunkowemu Reemsovi, że Clayton mógł nękać byłą żonę od wielu miesięcy. O zagrożeniu z jego strony uprzedzono personel szkoły średniej Denholm Consolidated, a sama pani Dunhill udostępniła jego zdjęcie, dyrektor Dockerty twierdzi jednak, że Clayton zmienił swój wygląd.

Panią Dunhill przewieziono karetką do szpitala Parkland w Dallas. Według lekarzy jej stan jest dobry.

3

Skłonny do łez nie byłem nigdy, ale tej nocy nadrobiłem zaległości z nawiązką. Zanim zasnąłem, płakałem w poduszkę, a potem po raz pierwszy od bardzo dawna spałem głębokim, spokojnym snem.

Żyje.

Sadie żyje.

Oszpecona do końca życia - o tak, bez wątpienia - ale żyje.

Żyje, żyje, żyje.

4

Świat wciąż istniał i wciąż harmonizował... ale może to, że harmonizował, działało się z mojej przyczyny. Kiedy sami wytwarzamy tę harmonię, chyba nazywamy ją przyzwyczajeniem. Zaczepiłem się jako nauczyciel w okręgu szkolnym Westborough, najpierw na zastępstwach, potem na pełnym etacie. Nie byłem zaskoczony, kiedy dyrektorem

miejscowej szkoły średniej okazał się zagorzały fanatyk futbolu o nazwisku Borman... jak pewien wesoły trener, którego znałem kiedyś, w innym życiu. Przez jakiś czas utrzymywałem kontakty ze starymi znajomymi z Lisbon Falls, potem przestałem. *C'est la vie*.

Znów zajrzałem do archiwum „Dallas Morning News” i w numerze z dwudziestego dziewiątego maja 1963 roku znalazłem krótką notkę: BIBLIOTEKARKA Z JODIE OPUSZCZA SZPITAL. Była zwięzła i zawierała niewiele informacji. Ani słowa o stanie Sadie, ani słowa o jej planach na przyszłość. I żadnego zdjęcia. Notki zagrzebane na dwudziestej stronie między ogłoszeniami o zniżkach na meble a ofertami pracy dla akwizytorów nigdy nie są ilustrowane zdjęciami. To jeden z wielkich życiowych truizmów, jak ten, że telefon zawsze dzwoni wtedy, kiedy jesteś na kiblu albo pod prysznicem.

W następnym roku po powrocie do Krainy Dzisiaj były pewne strony i tematy wyszukiwania, od których trzymałem się z dala. Czy mnie kusilo? Pewnie. Jednak Internet to broń obosieczna. Na każdą znalezione rzecz, która pociesza - jak wieść, że kobieta, którą kochałeś, przeżyła napaść swojego szalonego byłego męża - przypadają dwie, które mają moc, by ranić. Człowiek szukający wiadomości o pewnej osobie może się dowiedzieć, że osoba ta zginęła w wypadku. Albo umarła na raka płuc spowodowanego paleniem. Albo popełniła samobójstwo, w przypadku tej konkretnej osoby najprawdopodobniej przy użyciu mieszanki alkoholu i środków usypiających.

Sadie sama, bez nikogo, kto mógłby bić ją po twarzy, aż się obudzi, a potem wsadzić pod zimny prysznic. Jeśli to się wydarzyło, nie chciałem o tym wiedzieć.

Korzystałem z Internetu, żeby przygotowywać się do lekcji, sprawdzałem w nim repertuar kin i raz czy dwa razy w tygodniu oglądałem najnowsze wiralne filmiki. Nie szukałem informacji o Sadie. Myślę, że gdyby Jodie miało własną gazetę, może czułbym taką pokusę, ale nie miało jej ani w tamtych czasach, ani tym bardziej dziś, gdy tenże sam Internet powoli dusi media drukowane. Poza tym, jak to mówią, nie zagłądaj przez dziurę w płocie, bo się zdziwisz.

Czy kiedykolwiek w dziejach ludzkości była większa dziura w płocie niż Internet? Sadie przeżyła Claytona. Najlepiej będzie, powiedziałem sobie, jeśli moja wiedza o niej na tym się skończy.

5

Może tak by się stało, gdyby nie nowa uczennica, która zjawiała się na moim kursie angielskiego na poziomie uniwersyteckim. To było w kwietniu 2012 roku; może nawet

dziesiątego, w czterdziestą dziewiątą rocznicę zamachu na Edwina Walkera. Nazywała się Erin Tolliver i jej rodzina przeprowadziła się do Westborough z Kileen w Teksasie.

Ta nazwa była mi dobrze znana. Kileen, gdzie kupiłem gumki u aptekarza z obleśnie porozumiewawczym uśmiechem. „Nie rób nic niezgodnego z prawem, synu”, poradził mi. Kileen, gdzie Sadie i ja spędziliśmy wiele słodkich nocy w Candlewood Bungalows.

Kileen, gdzie wychodziła gazeta o nazwie „Weekly Gazette”.

W drugim tygodniu po jej przyjeździe - przez ten czas moja nowa uczennica zdążyła zdobyć kilka nowych przyjaciółek, zafascynować kilku chłopców i całkiem dobrze się zaaklimatyzować - spytałem Erin, czy „Weekly Gazette” nadal się ukazuje. Jej twarz się rozjaśniła.

- Był pan kiedyś w Kileen, panie Epping?

- Dawno temu - powiedziałem; gdybym był podłączony do wykrywacza kłamstw, wskazówka nawet by nie drgnęła.

- Tak, jeszcze wychodzi. Mama mawiała, że kupuje ją tylko po to, żeby mieć w co zawinąć ryby.

- Czy nadal prowadzą rubrykę „Co tam w Jodie”?

- Prowadzą takie rubryki o wszystkich małych miastach na południe od Dallas. - Erin zachichotała. - Gdyby pan chciał, na pewno znalazłby to pan w necie, panie Epping. W sieci jest wszystko.

Co do tego miała całkowitą rację i wytrzymałem dokładnie tydzień. Czasem dziura w płocie jest po prostu zbyt kusząca.

6

Mój zamiar był prosty: wejdę do archiwum (o ile „Weekly Gazette” takie miało) i poszukam nazwiska Sadie. To było sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, ale Erin Tolliver mimowolnie roznieciła na nowo uczucia, które już zaczynały dogasać, i wiedziałem, że nie spocznę, dopóki nie sprawdzę. Archiwum okazało się niepotrzebne. Znalazłem to, czego szukałem, nie w rubryce „Co tam w Jodie”, lecz na pierwszej stronie ostatniego numeru.

JODIE WYBIERA „OBYWATELA STULECIA” NA LIPCOWE OBCHODY SETNEJ ROCZNICY POWSTANIA, głosił nagłówek. A zdjęcie pod nagłówkiem... teraz miała osiemdziesiąt lat, ale pewnych twarzy się nie zapomina. Fotograf być może zasugerował, żeby odwróciła głowę tak, by ukryć lewy policzek, Sadie jednak patrzyła prosto w obiektyw. I dlaczegoż by nie? Dziś była to już tylko stara blizna, rana zadana przez

człowieka, który od lat spoczywa w grobie. Uważałem, że nadaje jej twarzy charakter, ale oczywiście nie byłem obiektywny. Dla kochającego oka nawet blizny po ospie są piękne.

Pod koniec czerwca, po zakończeniu roku szkolnego, spakowałem walizkę i znowu pojechałem do Teksasu.

7

Letni zmierzch w mieście Jodie w Teksasie. Jest trochę większe niż w 1963 roku, ale niewiele. W części miasta, gdzie na Bee Tree Lane kiedyś mieszkała Sadie Dunhill, stoi fabryka opakowań. Zakład fryzjerski zniknął, a stacja benzynowa Cities Service, na której tankowałem mojego sunlinera, to teraz sklep 7-Eleven. Tam, gdzie Al Stevens sprzedawał Widłoburgery i frytki Mesquite, stoi Subway.

Przemówienia upamiętniające stulecie Jodie dobiegły końca. To ogłoszone przez kobietę wybraną przez Towarzystwo Historyczne i Radę Miasta na Obywatela Stulecia było urzekająco zwięzłe, to burmistrza rozwlekłe, ale bogate w informacje. Dowiedziałem się, że Sadie przez jedną kadencję była burmistrzem i przez cztery kadencje zasiadała w kongresie stanowym, ale na tym nie koniec. Była jeszcze jej działalność charytatywna, nieustające wysiłki na rzecz poprawy jakości nauczania w DCHS i roczny urlop, który spędziła jako wolontariuszka w Nowym Orleanie po przejściu huraganu Katrina. Był program Biblioteki Stanu Teksas dla niewidomych uczniów, inicjatywa na rzecz lepszej opieki szpitalnej nad weteranami i nieprzerwane (nawet dziś, gdy miała osiemdziesiąt lat) starania o większą pomoc stanu dla chorych psychicznie. W roku 1996 zaproponowano jej, by kandydowała do Kongresu Stanów Zjednoczonych, ale odmówiła, twierdząc, że ma wystarczająco dużo do zrobienia w swojej społeczności.

Nie wyszła ponownie za mąż. Nie wyjechała z Jodie. Wciąż jest wysoka, nieskurczona osteoporozą. Wciąż jest też piękna, długie siwe włosy spływają po jej plecach prawie do pasa.

Przemówienia się skończyły i Main Street została zamknięta dla ruchu. Transparenty rozpięte na obu końcach zajmującej dwie przecznice dzielnicy handlowej oznajmniają

ZABAWA ULICZNA OD 19 DO PÓŁNOCY!

ZAPRASZAMY!

Sadie jest otoczona przez składających gratulacje - niektórzy wyglądają znajomo - więc idę na stanowisko didżeja przed budynkiem, w którym dawniej był sklep Western Auto,

a teraz jest Walgreens. Facet, który grzebie w winylach i kompaktach, jest po sześćdziesiątce, ma rzadniejące siwe włosy i spory brzuch, ale te kwadratowe okulary w różowej oprawce rozpoznałbym wszędzie.

- Cześć, Donald - mówię. - Widzę, że nadal masz płytotekę klawego człowieka.

Donald Bellingham podnosi głowę i uśmiecha się.

- Bez niej nie byłoby imprezy. Czy ja pana znam?

- Nie, znasz moją mamę. Była na zabawie, na której byłeś didżejem, na początku lat sześćdziesiątych. Opowiadała, że bez wiedzy ojca przyniosłeś jego płyty big-bandów.

Uśmiecha się szeroko.

- Tak, oberwało mi się za to. Jak się nazywa twoja matka?

- Andrea Robertson - powiedziałem, wybierając pierwsze lepsze nazwisko. Andrea była moją najlepszą uczennicą na zajęciach z literatury amerykańskiej.

- Jasne, pamiętam ją. - Jego niepewny uśmiech wskazuje, że to nieprawda.

- Pewnie nie masz już tych starych płyt, co?

- Boże, nie. Dawno przepadły. Ale mam różne nagrania big-bandów na kompaktach. Czyżbyś miał jakieś życzenie?

- Owszem. Ale to życzenie specjalne.

Zaśmiał się.

- Jak wszystkie.

Mówię mu, o co chodzi, a Donald - uczynny jak zawsze - się zgadza. Kiedy ruszam z powrotem w stronę końca przecznicy, gdzie burmistrz nalewa poncz kobiecie, którą przyjechałem zobaczyć, Donald woła za mną.

- Nie podałeś mi swojego nazwiska.

- Amberson - mówię mu przez ramię. - George Amberson.

- I mam to puścić o ósmej piętnaście?

- Punktualnie. Czas się liczy. Miejmy nadzieję, że będzie skłonny do współpracy.

Pięć minut później Donald Bellingham bombarduje Jodie dźwiękami „At the Hop” i tancerze zapełniają ulicę pod zachodzącym teksaskim słońcem.

8

Dziesięć po ósmej Donald puszcza wolny kawałek Alana Jacksona, taki, przy którym nawet starsi ludzie mogą tańczyć. Sadie została sama po raz pierwszy od zakończenia części oficjalnej i podchodzi do niej. Serce wali mi tak mocno, że zdaje się wstrząsać całym moim

ciałem.

- Pani Dunhill?

Odwraca się, uśmiecha i nieco zadziera głowę. Jest wysoka, ale ja jestem wyższy. Zawsze byłem.

- Tak?

- Nazywam się George Amberson. Chciałem tylko pani powiedzieć, jak bardzo podziwiam panią i całe dobro, które pani czyni.

Jest zaskoczona.

- Dziękuję panu. Nie znam pana, ale pańskie nazwisko brzmi znajomo. Pan z Jodie?

Nie mogę już podróżować w czasie i na pewno nie umiem czytać w myślach, a mimo to wiem, że myśli: Słyszę to nazwisko w moich snach.

- I tak, i nie. - I zanim może pociągnąć ten wątek: - Mogę spytać, co skłoniło panią do tego, by zająć się służbą publiczną?

Jej uśmiech teraz jest już tylko cieniem zalegającym w kącikach ust.

- Dlaczego to pana interesuje?

- Czy sprawił to ten zamach? Zabójstwo Kennedy'ego?

- Cóż... chyba tak, w pewnym sensie. Chciałabym wierzyć, że tak czy tak zainteresowałabym się szerszym światem, ale wydaje mi się, że to rzeczywiście się wtedy zaczęło. To pozostawiło w tej części Teksasu... głęboką bliznę. - Jej lewa ręka mimowolnie wędruje do policzka, po czym opada z powrotem. - Panie Amberson, skąd ja pana znam? Bo znam pana na pewno.

- Mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

Patrzy na mnie z rosnącym zdumieniem. Zerkam na zegarek. Ósma czternaście. Już prawie czas. Chyba że Donald zapomni, oczywiście... ale nie sądzę, żeby tak się stało. Przytaczając słowa jakiejś starej piosenki z lat pięćdziesiątych, niektóre rzeczy po prostu są nam pisane.

- Sadie Hawkins Dance w 1961 roku. Kogo poprosiła pani, żeby pomógł pilnować porządku, kiedy matka trenera Bormana złamała biodro? Pamięta pani?

Ona otwiera szeroko usta i powoli je zamyka. Podchodzą burmistrz i jego żona, zauważają, że jesteśmy pogrążeni w rozmowie, i odbijają w bok. Zostaliśmy sami w naszej własnej małej kapsule: Jake i Sadie. Tak jak było dawno, dawno temu.

- Dona Haggarty'ego - mówi. - To było tak, jakby pilnować porządku z wioskowym głupkiem. Panie Amberson...

Jednak zanim może dokończyć, z ośmiu wysokich głośników jak na zawołanie

dobywa się głos Donalda Bellinghama:

- No dobra, Jodie, oto kawałek stary, ale jary, płyta ważna i poważna, utwór jak marzenie i życzenia spełnienie!

I wtedy to się zaczyna, ten wyluzowany wstęp na puzonach w wykonaniu dawno nieistniejącego zespołu:

Ba-da-da... ba-da-da-dii-dum...

- O mój Boże, „In the Mood” - mówi Sadie. - Kiedyś tańczyłam przy tym lindy hopa. Wyciągam rękę.

- Chodź. Zatańczmy.

Śmieje się, kręci głową.

- Obawiam się, że za stara już jestem na swinga, panie Amberson.

- Ale nie na walca. Jak mawiał Donald w dawnych czasach, „tyłki z krzesel, nogi w ruch”. I mów mi George. Proszę.

Na ulicy pary tańczą jitterbuga. Kilka odważa się spróbować lindy hopa, ale żadna nie potrafi swingować jak Sadie i ja dawno temu. Do pięt nam nie dorastają.

Ona bierze mnie za rękę jak kobieta we śnie. Bo to jest sen, i dla niej, i dla mnie. Jak wszystkie słodkie sny, także i ten będzie krótki... ale im coś trwa krócej, tym bardziej jest słodkie, nieprawdaż? Ja tak sądzę. Bo kiedy chwila przemija, już nigdy nie można jej odzyskać.

Chociaż... czasem można.

Nad ulicą wiszą kolorowe lampki, żółte, czerwone, zielone. Sadie potyka się o czyjeś krzesło, ale jestem na to przygotowany i bez trudu łapię ją za łokieć.

- Przepraszam, niezdara ze mnie - mówi.

- Jak zawsze, Sadie. To jedna z twoich bardziej ujmujących cech.

Zanim może o to spytać, obejmuję ją ramieniem w pasie. Ona obejmuje mnie, wciąż patrząc na mnie z dołu. Światła prześlizgują się po jej policzkach i błyszczą w jej oczach. Nasze dłonie się spotykają, palce naturalnie splatają się ze sobą i brzemień lat spada ze mnie jak zbyt ciężki i zbyt ciasny płaszcz. W tej chwili mam tylko jedną nadzieję: że nie była zbyt zapracowana, by znaleźć przynajmniej jednego porządnego mężczyznę, takiego, który raz na zawsze wyrzucił pieprzoną miotłę Johna Claytona.

Mówi głosem prawie zbyt cichym, by było go słycać przez muzykę, ja ją jednak słyszę - jak zawsze.

- Kim jesteś, George?

- Kimś, kogo znałaś w innym wcieleniu, skarbie.

A potem muzyka porywa nas, muzyka ujmuje nam lat i tańczymy.

POSŁOWIE

Prawie pół wieku minęło od zabójstwa Johna Kennedy'ego w Dallas, ale dwa pytania pozostają żywe: czy naprawdę zastrzelił go Lee Oswald, a jeśli tak, czy działał sam? Nic, co napisałem w tej powieści, nie dostarczy na nie odpowiedzi, bo podróż w czasie to tylko interesująca fantazja. Ale jeśli Ty, drogi czytelniku, jak ja jesteś ciekaw, dlaczego te pytania wciąż są w obiegu, myślę, że mogę Ci udzielić zadowalającej, dwuwyrazowej odpowiedzi: Karen Carlin. Nie tylko przypis do historii, ale przypis do przypisu. A mimo to...

Jack Ruby prowadził w Dallas klub ze striptizem The Carousel. Tańczyła tam Carlin, której *nom de burlesque* brzmiało Mała Lynn. W noc po zamachu Ruby odebrał telefon od pani Carlin, której brakowało dwudziestu pięciu dolarów do czynszu za grudzień i rozpaczliwie potrzebowała pożyczki, żeby nie wylądować na bruku. Czy mógłby jej pomóc?

Jack Ruby, który miał inne sprawy na głowie, powiedział jej kilka ostrych słów (bo Rubinowy Jack z Dallas chyba tylko takie znał). Był zbulwersowany, że prezydent, którego wielbił, został zamordowany w jego rodzinnym mieście, i na okrągło powtarzał krewnym i znajomym, jak straszliwy to cios dla pani Kennedy i jej dzieci. Ruby'emu serce się krajało na myśl, że Jackie będzie musiała wrócić do Dallas na proces Oswalda. Media zrobią z tego cyrk, stwierdził. Brukowce wykorzystają rozpacz wdowy do zwiększenia sprzedaży.

Chyba żeby, oczywiście, Lee Oswald zapadł na ostrą odmianę śmierci.

Wszyscy policjanci w Dallas znali Jacka przynajmniej z widzenia. On i jego „żona” - tak nazywał swoją jamniczkę, Shebę - byli częstymi gośćmi w komendzie głównej. Rozdawał darmowe karty wstępu do swoich klubów, a kiedy policjanci pokazali się w którymś z nich, stawiał im drinki. Dlatego nikt nie zwrócił na niego większej uwagi, kiedy w sobotę dwudziestego trzeciego listopada zjawił się na komendzie. Był wśród dziennikarzy, gdy wyprowadzono do nich Oswalda, utrzymującego, że jest niewinny, i pokazującego swoje podbite oko. Ruby miał broń (tak, kolejną trzydziestkęósemkę, tym razem typu Colt Cobra), i był zdeterminowany zastrzelić Oswalda. W pomieszczeniu jednak był tłok; Ruby'ego zepchnięto pod ścianę i ani się obejrzał, a Oswalda już nie było.

Jack Ruby dał więc za wygraną.

W niedzielę przed południem poszedł do punktu Western Union oddalonego o mniej

więcej przecnicę od komendy i wysłał „Małej Lynn” przekaz na dwadzieścia pięć dolarów. Potem poszedł na komendę. Sądził, że Oswalda już przewieziono do więzienia okręgowego w Dallas, i był zaskoczony, kiedy zobaczył zebrany przed budynkiem tłum. Byli reporterzy, wozy transmisyjne i zwyczajni gapie. Przewiezienie więźnia się opóźniło.

Ruby miał przy sobie pistolet i wcisnął się na podziemny parking komendy. Żaden kłopot. Niektórzy policjanci powiedzieli mu cześć, a on im. Oswald wciąż był na górze. W ostatniej chwili spytał strażników, czy mógłby wrócić po sweter, bo ma dziurę w koszuli. Pójście po sweter zajęło niecałe trzy minuty, ale to wystarczyło - życie zmienia się w mgnieniu oka. Ruby strzelił Oswaldowi w brzuch. Powalony przez policjantów i przygnieciony do ziemi, Rubinowy Jack zdołał jeszcze krzyknąć: „Hej, chłopaki, jestem Jack Ruby! Znacie mnie!”.

Wkrótce potem zabójca zmarł w szpitalu Parkland bez wydania żadnego oświadczenia. Dzięki striptizerce, która potrzebowała dwudziestu pięciu dolców, i niewydarzonemu narcyzowi, który zapragnął włożyć sweter, Oswald nigdy nie stanął przed sądem za swoją zbrodnię i nie dostał okazji, by przyznać się do winy. Jego ostatnie słowa dotyczące wydarzeń dwudziestego drugiego listopada 1963 brzmiały: „Jestem kozłem ofiarnym”. Spory co do tego, czy mówił prawdę, nie ustają do dziś.

Na początku powieści Al, przyjaciel Jake'a Eppinga, szacuje prawdopodobieństwo, że Oswald był samotnym strzelcem, na dziewięćdziesiąt pięć procent. Po przeczytaniu niewiele ode mnie niższej sterty książek i artykułów na ten temat twierdzą, że prawdopodobieństwo to wynosi dziewięćdziesiąt osiem, może nawet dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Wszystkie relacje, włącznie z tymi napisanymi przez zwolenników teorii spiskowych, opowiadają tę samą prostą amerykańską historię: mały, niebezpieczny, żądny sławy człowieczek znalazł się we właściwym miejscu, by osiągnąć swój cel. Czy szansa, że stanie się to tak, jak się stało, była mała? Tak. Tak samo jak szansa na wygraną w totka, a jednak ludzie wygrywają prawie co dzień.

Prawdopodobnie najbardziej użytecznymi źródłami, z jakich korzystałem, przygotowując się do pisania tej powieści, były „Case Closed” Geralda Posnera, „Legend” Edwarda Jaya Epsteina (zwariowana rzecz w stylu Roberta Ludluma, ale fajnie się czyta), „Opowieść Oswalda” Normana Mailera i „Mrs. Paine's Garage” Thomasa Mallona. Ta ostatnia przedstawia doskonałą analizę zwolenników teorii spiskowych i ich potrzeby doszukania się porządku w czymś, co prawie na pewno było przypadkowym zdarzeniem. Książka Mailera też jest niezwykła (są tam obszernie wywiady z Rosjanami, którzy znali Lee i Marinę w Mińsku). Autor twierdzi, że przystępował do tego przedsięwzięcia w

przeświadczeniu, że Oswald był ofiarą spisku, z czasem jednak doszedł do przekonania - niechętnie - że stara, nudna Komisja Warrena miała rację: Oswald działał sam.

Bardzo, bardzo trudno rozsądnemu człowiekowi dojść do innego wniosku. Brzytwa Ockhama - najprostsze wytłumaczenie zazwyczaj jest właściwe.

Głębokie wrażenie zrobiła też na mnie - i poruszyła mnie, i mną wstrząsnęła - ponownie przeczytana książka Williama Manchestera „Death of a President”. W wielu sprawach autor całkowicie się myli, ma skłonność do popadania w grafomanię (na przykład nazywa Marinę Oswald „rysioką”), jego analiza motywów Oswalda jest powierzchowna i stronnicza jednocześnie, ale ta okazała praca, opublikowana zaledwie cztery lata po tej strasznej przerwie na lunch w Dallas, jest najbliższa w czasie wydarzeniom; powstała, gdy większość uczestników jeszcze żyła i ich wspomnienia wciąż były wyraziste. Uzbrojony w warunkowe przyzwolenie Jacqueline Kennedy, Manchester rozmawiał ze wszystkimi i choć o następstwach zamachu pisze w zbyt napuszonym stylu, jego relacja jest mrożąca krew w żyłach i żywa jak film Zaprudera przeniesiony na papier.

Chociaż... nie ze wszystkimi rozmawiał. Marina Oswald odmówiła i może dlatego Manchester tak ostro się z nią obszedł. Marina (w chwili, kiedy piszę te słowa, jeszcze żyje) w tchórzliwym akcie męża zwietrzyła okazję dla siebie i któż może mieć jej to za złe? Kto chce przeczytać jej pełne wspomnienia, może je znaleźć w „Marina and Lee” Priscilli Johnson McMillan. Sam niezbyt wierzę jej słowom (chyba że potwierdzają je inne źródła), ale podziwiam w tej kobiecie - dość niechętnie, co prawda - zdolność przetrwania.

Pierwotnie próbowałem napisać tę książkę w 1972 roku. Zarzuciłem ten pomysł, bo zbieranie niezbędnych materiałów wydawało się zbyt męczącą robotą dla człowieka, który uczył na pełen etat. Był jeszcze jeden powód: nawet dziewięć lat po tych wydarzeniach rana wciąż była zbyt świeża. Dobrze, że poczekałem. Kiedy w końcu postanowiłem wziąć się do pisania, naturalną kolejną rzeczą zwróciłem się do mojego starego przyjaciela Russa Dorra o pomoc w zbieraniu materiałów. Zorganizował mi doskonały system wsparcia przy pracy nad inną długą książką, „Pod kopułą”, i tym razem także stanął na wysokości zadania. Piszę to posłowie otoczony stosami materiałów źródłowych. Najcenniejsze są filmy wideo, które Russ nakręcił podczas naszych wyczerpujących (w dobrym i złym tego słowa znaczeniu) podróży po Dallas, i półmetrowej wysokości sterta e-maili, które przyszły w odpowiedzi na moje pytania o wszystko od World Series w 1958 roku po urządzenia podsłuchowe z połowy wieku. To Russ zlokalizował dom Edwina Walkera, który, traf chciał, znajduje się na trasie przejazdu prezydenta Kennedy'ego (przeszłość harmonizuje), i to Russ - po przeszukaniu rozmaitych archiwów w Dallas - odszukał adres, pod którym w 1963 roku prawdopodobnie

mieszkał ten przedziwny człowiek, George DeMohrenschildt. Nawiasem mówiąc, gdzie właściwie był pan DeMohrenschildt wieczorem dziesiątego kwietnia 1963 roku? Prawdopodobnie nie w Carousel Club, ale jeśli miał alibi, ja go nie znalazłem.

Nie chcę was zanudzać moim oscarowym przemówieniem - strasznie mnie irytują autorzy, którzy to robią - jednak muszę uchylić kapelusza przed pewnymi osobami. Niekwestionowanym numerem jeden jest Gary Mack, kurator Muzeum Piątego Piętra w Dallas. Odpowiedział na miliardy pytań, czasem po dwa-trzy razy, zanim wbił informacje do mojego zakutego łba. Wizyta w Teksaskiej Składnicy Podręczników była przykrą koniecznością, którą umilił swoim dużym poczuciem humoru i encyklopedyczną wiedzą.

Podziękowania należą się też Nicoli Longford, dyrektorce Muzeum Piątego Piętra, i Megan Bryant, kierownicze do spraw zbiorów i własności intelektualnej. Brian Collins i Rachel Howell pracują w dziale historycznym Biblioteki Publicznej w Dallas i udostępnili mi stare filmy (niektóre całkiem zabawne) pokazujące, jak miasto wyglądało w latach 1960-1963. Susan Richards, badaczka z Towarzystwa Historycznego Dallas, także dorzuciła swoje trzy grosze, podobnie jak Amy Brumfield i David Reynolds z hotelu Adolphus. Wieloletni mieszkaniec Dallas, Martin Nobles, woził mnie i Russa po mieście. Zabrał nas do dziś nieczynnego, ale wciąż stojącego kina Texas, gdzie schwytano Oswalda, do dawnego domu Edwina Walkera, na Greenville Avenue (szemrana, ale nie tak przerażająca jak dzielnica barów i prostytutek w Fort Worth przed laty) i na Mercedes Street, gdzie nie ma już domu pod numerem 2703. Rzeczywiście porwało go tornado... choć nie w 1963 roku. I jeszcze ukłon dla Mike'a „Cichego Mike'a” McEachema, który ofiarował swoje nazwisko charytatywnie.

Pragnę podziękować Doris Kearns Goodwin i jej mężowi, byłemu asystentowi Kennedy'ego Dickowi Goodwinowi, za to, że cierpliwie znosili moje pytania o najczarniejsze scenariusze w sytuacji, gdyby Kennedy przeżył. George Wallace jako trzydziesty siódmy prezydent to ich pomysł... ale im więcej o tym myślałem, tym bardziej wydawało mi się to wiarygodne. Mój syn, powieściopisarz Joe Hill, zwrócił moją uwagę na kilka skutków podróży w czasie, które umknęły mojej uwadze.

No i chcę podziękować żonie, mojej zawsze pierwszej czytelniczce oraz najsurowszemu i najbardziej sprawiedliwemu krytykowi. Zagorzała zwolenniczka Kennedy'ego, widziała go na własne oczy niedługo przed jego śmiercią i nigdy tego nie zapomniała. A że jest przekorna od urodzenia, wcale się nie dziwię - wy też nie powinniście - że Tabitha stoi po stronie zwolenników teorii spiskowych.

Czy pomyliłem się w niektórych szczegółach? Pewnie, że tak. Czy zmieniłem pewne

fakty, żeby dopasować je do fabuły? Jasne. Przykład: owszem, Lee i Marina poszli na przyjęcie powitalne wydane przez George'a Bouhe'a, w którym uczestniczyła większość rosyjskich emigrantów z okolicy, i owszem, Lee żywił nienawiść i pogardę do tych mieszcuchów, którzy odwrócili się plecami do Matki Rosji, ale przyjęcie to odbyło się trzy tygodnie później niż w mojej książce. I choć prawdą jest, że Lee, Marina i mała June mieszkali na pięttrze budynku przy West Neely Street 214, nie mam pojęcia, kto - jeśli w ogóle ktokolwiek - mieszkał pod nimi. Jednak zwiedziłem ten dom (zapłaciwszy dwadzieścia dolarów za ten przywilej) i żał było go nie wykorzystać. A wyglądał naprawdę nędźnie, mówię wam.

Głównie jednak trzymałem się faktów.

Niektórzy zaprotestują i powiedzą, że byłem nadmiernie surowy dla Dallas. Nie zgadzam się. Powiem więcej: prowadzona w pierwszej osobie narracja Jake'a Eppinga pozwoliła mi potraktować to miasto, przynajmniej takie, jakie było w roku 1963, zbyt łagodnie. Tego dnia, kiedy Kennedy wylądował na Love Field, Dallas było siedliskiem nienawiści. Flagi Konfederacji wisiały właściwą stroną do góry; flagi amerykańskie wisiały odwrócone. Niektórzy gapie na lotnisku trzymali transparenty POMÓŻ JFK WYKORZENIĆ DEMOKRACJĘ. Niedługo przed tym dniem w listopadzie i Adlai Stevenson, i Lady Bird Johnson zostali opluci przez wyborców z Dallas. Na panią Johnson pluły nieźle sytuowane gospodynie domowe.

Dziś jest lepiej, ale na Main Street wciąż można zobaczyć tabliczki ZAKAZ WNOSZENIA BRONI DO BARU. To jest posłowie, nie felieton, ale moje poglądy w tej kwestii są jasno sprecyzowane, zwłaszcza biorąc pod uwagę obecny klimat polityczny w moim kraju. Jeśli chcecie wiedzieć, do czego prowadzi polityczny ekstremizm, obejrzyjcie film Zaprudera. Zwróćcie szczególną uwagę na klatkę 313 z rozbryzgującą się głową Kennedy'ego.

Zanim skończę, chcę podziękować jeszcze jednej osobie: świętej pamięci Jackowi Finneyowi, który był jednym z największych fantastów i bajarzy Ameryki. Oprócz „Porywaczy ciała” - napisał „Time and Again” - skromnym zdaniem piszącego te słowa, najlepszą opowieść o podróży w czasie. To jemu pierwotnie zamierzałem zadedykować tę książkę, ale w czerwcu ubiegłego roku nasza rodzina powiększyła się o śliczną małą wnuczkę, więc wybór padł na Zeldę. Jack, zrozumiałbyś, jestem pewien.

Stephen King
Bangor, Maine